

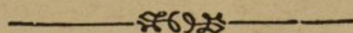
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1888.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM LI.



WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1888.

Дозволено Цензурою
Варшава, 20 Августа 1888 года.



SPIS RZECZY.

I. RZECZY SPOŁECZNE I SPÓŁCZESNE.

2. NAUKI PRZYRODNICZE.

3. FILOZOFIA.

4. LITERATURA.

5. BELETRYSTYKA.

6. HISTORYA.

7. ARCHEOLOGIA.

8. BIOGRAGIA.

9. LINGWISTYKA.

10. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



SOFIZMATA
I ICH PRZYCZYNY.

W rozprawach sejmowych, w wymowie wszelkiego rodzaju, ale szczególniéj sądowéj, w polemice dziennikarskiéj, w sporach naukowych popełniają ludzie mnóstwo błędnych rozumowań już-to z wiedzą i umyślnie dla zmylenia i oszukania przeciwnika, już-to mimowiednie i w dobréj wierze przez niezachowanie prawideł porządnego wnioskowania, lub wyciąganie konkluzyi z niedowiedzionych premis, czyli przesłanek. Jeżeli mówiący lub piszący umyślnie chce obłąkać i otumanić słuchacza, *resp.* czytelnika, rozumowanie jego nazywamy sofistycznėm, jego samego sofistą, a cały argument sofizmatem; jeżeli zaś sam on jest w błędzie, nie wiedząc o tém i błąd ten chce innym wpoić, argument jego mianujemy paralogizmem.

Sofizmatów i paralogizmów jest tak wielkie wojsko, że wyliczyć ich nie masz sposobu, albowiem ile form zdania naszego, tyle może być błędów umyślnych lub mimowolnych. Wymykają się téż one porządnéj klasyfikacyi i od czasów Arystotelesa do naszych logicy pracują nad ich uporządkowaniem, traktując bądź osobno, bądź przy wykładzie prawidłowego i zasadnego rozumowania. Nie myślę zatém nudzić czytelnika przepisywaniem z książek rozmaitych łamigłówek i wybiegów sofistycznych, raz dlatego, że je każdy prawie przypomina sobie ze swoich czasów szkolnych; powtóre dlatego, że człowiek sumienny nigdy się nie ucieka do sofizmatów i umyślnego wprowadzania w błąd swoich bliźnich: przeciw sofistom fachowym znowu nie pomogą żadne przestrogi.

Niektóre z sofizmatów są tak wyraźne i pospolite, że dość iletyle bacznéj uwagi czytelnika lub słuchacza, ażeby je zdemasko-

wał. Jakoż, gdy ktoś czego innego dowodzi, niż zamierzył; gdy bierze za rzecz dowiedzioną to, czego dopiéro trzeba dowieść; gdy podaje za przyczynę zjawiska lub zdarzenia to, co nie zostaje w żadnym związku z owém zjawiskiem lub zdarzeniem; dość pilnie uważać, a nadewszystko znać istotne przyczyny rzeczy, ażeby się nie dać obłąkać. Bywają sofizmata wyrazowe i myślowe, kiedy wyrazy bierzemy w inném znaczeniu we wniosku, aniżeli w premisach; kiedy przeskakujemy ogniwa pośrednie i t. p. Wszystko to nie jest bardzo ciekawe, chociaż przydać się może, tak jak przydają nam się zszeregowane błędy gramatyczne, ażeby służyły za ostrzeżenie przeciw niepoprawnemu mówieniu i pisaniu. Wszakże wiadomostki te, jak już nadmieniono, łatwe są do znalezienia po elementarnych książkach logiki. Nas tu zajmą takie błędne rozumowania, które na oko wydają się poprawnemi, a jednak do fałszywych prowadzą wniosków. I takich jest wielkie mnóstwo; możnaby o nich osobne dzieła pisać, jak to uczynił Jeremi Bentham; ale w krótkim artykule trzeba poprzestać ledwie na niektórych, częściéj się zdarzających w spółczesném piśmiennictwie.

Do takich zaliczamy: odwoływanie się do p o w a g i osobistéj, do wieku, do przodków, do zdania wielkiéj liczby; zarzuty czynione z powodu n a l e ż e n i a do pewnego stronnictwa, sekty lub szkoły naukowéj; nareszcie sofizmata płynące ze zbyt pośpiesznego u o g ó l n i a n i a i fałszywych a n a l o g i i. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Czy powaga może służyć za dowód prawdziwości pewnego twierdzenia? Powołujemy się na powagę cudzego zdania zwykle wtenczas, gdy sami nie możemy dowieść tego, co twierdzimy, lub gdy dowód własny wzmacniamy podobnemi twierdzeniami innych. Wartość czyli ważność cudzego zdania zależną jest od tego, kto je ogłosił. Jeżeli to był człowiek znający f a c h o w o, jak nazywamy, pewien przedmiot, pewną naukę, rzemiosło; wówczas powaga jego zdania może służyć za dowód. Jeżeli w sądzie stawa świadek naoczny, roztropny, sumienny, prawdomówny, świadectwo jego może stanowić dowód. Jeżeli historyk powołuje się na innych, dawniejszych historyków, spółczesnych zdarzeniom opowiadanym, na ludzi stojących blisko głównych działaczów, na pisarzy niełatwowiernych, miłujących prawdę, dostatecznie ukształconych do rozumienia rzeczy—powaga taka może zasługiwać na naszę wiarę. Widzimy z tego, ilu to warunkom powinna zadość czynić powaga, ażeby mogła służyć na dowiedzenie prawdziwości jakiegoś zdarzenia lub zjawiska. Kiedy więc czytamy powoływane bez różnicy zdania rozmaitych ludzi, rozmaitych epok, długie cytaty z Sancho-

niatona, biblii, talmudu, Konfucyusza, prawodawstwa Manu i t. p. zaczynamy przypuszczać, że autor nie mógł dowieść prawdziwości swojego twierdzenia, skoro się powołuje na świadków tak różnéj wartości, i że nas chciał olśnić erudycyą. Już zaś gdy szewc ma świadczyć o wartości machiny, któréj budowy nie zna i funkcyi nie rozumié, lub krawiec o wartości systemu astronomicznego, nie ucząc się nigdy kosmografii; zdanie ich nie może służyć do poparcia twierdzenia, że machina jest dobra lub system astronomiczny zasadny. I szewc i krawiec mogą być ludźmi najuczciwszymi, ale czytelnik, słuchacz prędzéj będą polegali na zdaniu, jak w tym razie, mechanika i astronoma, aniżeli na zdaniu tamtych. Powaga tedy w pewnych razach może służyć za dowód, w innych nie ma żadnéj wartości. Tymczasem słyszymy nieraz odwoływanie się do uczciwości tam, gdzie konieczna jest znajomość fachowa przedmiotu; uczciwość ma swoję powagę, ale nie wynagrodzi nieuctwa: ztąd sofizmat, że przecież ludzie tak zacni omylić się nie mogli.

Ale nawet fachowa powaga nie zawsze strzeże od błędu; przeciwnie, dlatego, że fachowa może uwieczniać błędy. Z dziejów astronomii wiadomo, jak powaga Ptolemeusza długi czas przeszkadzała przyjęciu systematu Kopernika; a znów historya medycyny uczy nas, jak powaga Arystotelesa i starożytnych lekarzy tamowała przyjęcie odkryć Harvey'a na polu fizyologii, i co ważniejsza pośród samych lekarzy, a więc ludzi fachowych. Powiadają, że Harvey po ogłoszeniu swoich odkryć dotyczących krążenia krwi, budowy serca, stracił zupełnie praktykę lekarską. Nie trzeba sądzić, że w XVII w. tylko było to możliwe, i że dzisiaj byłoby niemożliwe. Dzisiaj, równie jak niegdyś, ludzie wolą wierzyć na słowo, niż sądzić i badać własnemi zmysłami. I teraz słyszymy i czytamy, jako dowody, takie odwoływania się do powagi: tak a tak powiedział Tacyt, tak znów Szekspir albo W. Hugo. Czasami jest-to tylko okrasa retoryczna, ale częściéj służy za dowód, chociaż jest tylko sofizmatem lenistwa. Sami nie chcemy, albo nie umiemy myśléć, czynić poszukiwań, doświadczeń; praca to mozolna, często bezskuteczna; daleko wygodniéj powołać się na innych. Proszę pomyśléć, ile się w naszéj historyi politycznéj oraz w dziejach literatury powtarza przez dziesiątki lat i wieki najfałszywszych twierdzeń i poglądów o zdarzeniach, ludziach, instytucyach, dzięki jedynie powadze Długosza, M. Wiszniewskiego, lub nawet mniéj zasłużonych autorów!

Do téj saméj grupy sofizmatów należy argument brany ze czci dla umarłych; nazywają go rozumowaniem chińskiém: przodkowie tak postanowili. Cześć dla umarłych i strach przed nieboszczyka-

mi dały początek długiemu szeregowi praktyk zabobonnych, z których nieprędko a może nigdy się ludzie nie otrząsną. Życie ich, mądrość nadzwyczajna, pokrewieństwo z bogami, wszystko to czyni ustawy ich nietykalnemi. Ludzie czasów odległych, zwani starymi lub starożytnymi, olbrzymieją w wyobraźni późniejszych liliputów. Można się do syta nasłuchać i naczytać o ich mądrości, która się zamieniła w przysłowia, o ich cnotach niedoścignionych przez teraźniejszych karłów, o doświadczeniu życiowém, któremu nasze nigdy nie sprosta. Gdy teraźniejsze pokolenie dokona jakiegoś wynalazku, ulepszenia, wnet wielbiciele starożytności wertują dawnych autorów i już w owych zamierzchłych wiekach znajdują ten wynalazek, dodając sceptycznie: Nic nowego pod słońcem, wiedział o tém Salomon.

Na takie wychwalanie doświadczenia i mądrości starożytnych nieboszczyków słusznie już podobno Bakon odpowiedział, że właściwie starożytnymi nie byli Egipcyanie i Grecy, ale my obecnie żyjący; my to jesteśmy od nich starsi i doświadczeńsi. Indywidualnie biorąc, rzadko syn od ojca jest doświadczeńszy; ale zbiorowo każde pokolenie następne musi być doświadczeńsze od poprzedniego. A chociaż w jedném lub drugiém społeczeństwie może się zdarzyć, skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, jakby cofanie się nauki, sztuki, bogactwa, uobyczajenia do dawno minionego barbarzyństwa; nie można jednak tego utrzymywać o narodach żyjących w szczęśliwszych warunkach.

Biorąc na ogół, można wieloma przykładami z rozmaitych sfer życia rodzinnego, ekonomicznego i politycznego wykazać, iż czasy i ludzie, stosunki ich i obyczaje naszych czasów są, w porównaniu z dawnemi, o wiele znośniejsze, moralnie i materyalnie lepsze. Powoływanie się zatém na umarłych, krępowanie ich wolą i urządzeniami woli i urządzeń, jakie następnym pokoleniom okażą się zbawienne, jest rozumowaniem sofistycznem. To co odpowiadało potrzebom i wyobrażeniom tamtych, może już nie odpowiadać naszym. Społeczność ludzka rozrasta się, rozwija; mnożą się i wikłają stosunki, zjawiają się potrzeby, zgoła natura człowieka uważana za niezmienną, także ulega powolnym modyfikacyom. Starzy więc nie mogli ani się za nas najeść, ani za nas myśléć. Niejedno z ich doświadczeń, niejedna z prawd przez nich zdobytych ostały się i mają dla nas takąż jak i dla nich wartość; uznajemy ich pożytek i prawdziwość; ale daleko więcéj poszło do lamusa zabobonów i przesądów. Wszystko to oczywiście nie usprawiedliwia lekkomyślnego targania za brodę siwéj starożytności; ma nas jedynie strzedz od chińskiego rozumowania i ślepego uwielbienia prze-

szłości, jéj doświadczeń, wyższego jakoby rozumu i cnót niezrównanych.

Kiedyindziéj powołują się ludzie w sądach swoich na zdanie ogółu, wielkiéj liczby, lub co się temuż równa, na opinią powszechną. Cała Warszawa mówi tylko o cudownym doktorze Gagatkiewiczu. Jest-to sofizmat. Najprzód cała Warszawa liczy przeszło 400 tysięcy mieszkańców, z których mnóstwo nie wié, co lewa a co prawa ręka; powtóre, ci którzy u Gagatkiewicza szukali porady, gdy się dowiedzieli, że cudowny doktór dopiero wtenczas wziął się do medycyny gdy mu szewstwo nie dopisywało, przestali się leczyć i o nim mówić. Potrzecie, gdy zaczęto rozgłaszać, że jakiś niedokończony aptekarczyk fabrykuje szewcowi lekarstwa i obaj dobrze na tém wychodzą, powstało oburzenie przeciw oszustowi... i wprawdzie nie cała Warszawa ale mnóstwo ludu oburzającego się głośno na wyzysk, pocichu zazdrościło cudownemu doktorowi sutych honoraryów. Czy wszystko tak było, jak tu opowiedziano, nie sprawdzałem; stronnicy cudotwórczego doktora utrzymywali wtenczas (przed 25 laty), że to zazdrość patentowanych doktorów zmyśliła te kalumnie: to wszakże pewna, że nie cała Warszawa zajmowała się szewcem-lekarzem. Albo, innym razem przybył hecarz z małpami, impresario z aktorką, cyrk z końmi; odbył się pogrzeb znanego aktora: i znów c a ł e miasto zajmuje się tylko aktorką, hecarzem, cyrkiem i pogrzebem. Hiperboliczne uniesienia reporterów dziennikarskich brane są za opinią powszechną; wydymane głupstwem lub zazdrością sprawozdania za sąd ogółu. Zdawałoby się, że ze słownika znikły wyrazy: niektórzy, pewna część, wielu a zastąpiły je: cały, wszystek. Powie ktoś: to tylko nie ścisłość wyrażenia. Prawda; ale jakże niedorzeczne powstają z niéj wnioski. Aktorom, literatom, linoskokom roi się w głowie, że są gwiazdami pierwszéj wielkości, skoro o nich mówi cała Warszawa.

Wielkie liczby nie są bez znaczenia, gdy na nich porządna statystyka wyniki swoje opiera; uciekamy się do nich, gdy chodzi o poznanie woli ogółu w pewnych sprawach praktycznych; ale jeżeli niemi chcą się zasłaniać poszukujący prawdy teoretycznéj lub kryteryum w dziełach estetycznych, w ocenianiu etycznéj strony czynów ludzkich, wnioski opierane na liczbie, na tłumie nie mają żadnéj lub bardzo małą wartość.

Najczęściéj może w rozprawach czy to sejmowych, czy dziennikarskich spotykamy sofizmata ułożone w formie zarzutów, że ten, kto należy do tego lub owego stronnictwa, do takiéj lub innéj sekty, szkoły naukowéj, nie zasługuje na naszą odpowiedź, albowiem i moralnie i umysłowo niżéj stoi od swoich przeciwników. Wyra-

żano to niegdyś zdaniami: *noscitur ex sociis*, albo *noscitur ex cognominibus*, a po naszemu: powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś.

Wiadomo, że pewne nazwy czyli raczéj przezwiska, nie zawierające w sobie z początku nic ubliżającego dla osób, do których je stosowano; z czasem, gdy się rozwinęło bujniéj życie polityczne i naukowe, nabrały krzywdzącego charakteru, lub przynajmniéj taki charakter przywiązują do nich ci, którzy przeciwników swoich chcieliby pokonać, zdruzgotać. Zamiast naukowo ich zbijać, przekonywać o szkodliwości pewnych projektów, o fałszywości pewnych teoryi, przeciwnicy zwykle wzruszają ramionami i jednym wyrazem chcą dać poznać, że projekt, teorya, człowiek, będący ich autorem, nic nie są warci, że to co taki autor głosi musi być fałszem.

Jakoż, nic pospolitszego nad przezwiska: konserwatysta, radykalista, ultramontanin, materyalista, pozytywista, spirytualista, metafizyk. Dość zastosować do przeciwnika jedno z tych przezwisk, ażeby u swoich, u jednomyślnych, wygrać sprawę i przekonać ich, że hipoteza, teorya przeciwne naszym są całkowicie fałszywe, a człowiek, który je wyznaje, nie wart nam piasku podawać. Niech tylko czytelnik przypomni sobie polemiki dziennikarskie z ostatnich lat, lub rozmowy prowadzone w kołach prywatnych. Ile to wymysłów, nie argumentów musieli słuchać i dotychczas słuchają np. arystokraci i demokraci, Darwiniści i pozytywiści, konserwatyści i liberalni. Gdy krzykną: radykał, żydofil, feudał, chłopoman, ultras, sprawa przegrana. Zaciekłość stronnicza nie przebiera w przezwiskach; gdy te nie skutkują, zachwala argumenta kijowe; na wykonawcach rady nie zbywa. Pomijając etyczną stronę tych argumentów dębowych, używający przezwisk zapominają, że drażnienie a dowodzenie są dwie rzeczy różne, że przyczepienie do imienia przeciwnika jakiéjś pogardliwéj nazwy jeszcze nie rozstrzyga sporu. Przyczepienie etykiety do flaszki lekarstwa informuje nas ściśle o jego naturze; ale przyczepianie do ludzi nam nienawistnych tak nieokreślonych przezwisk, dla podkopania ich dobréj sławy, talentu lub nauki, grzeszy lekkomyślnością i jest sofizmatem.

Błędne są również wnioski płynące ze zbyt pośpiesznego u o g ó l n i a n i a. Przejechał ktoś błyskawicznym pociągiem przez Francyą; spotkał się w wagonie z gadatliwym i chwaliburą Francuzem; powróciwszy do domu, opowiadajacy ci Francuzi próżni i lekkomyślni. Rozpacz dzisiejszych dziennikarzy nad zepsuciem obyczajów francuskich dlatego, że zięć prezydenta Rzeczypospolitéj handlował orderami; chwalenie uczciwości Niemców dlatego, że *Stubenmaedchen* zwróciła podróżnemu zapomnianą sakiewkę; potępia-

nie całych warstw społecznych, instytucyi dlatego, że wielu a może tylko mniejszość, do tych warstw, stanów i instytucyi należąca, godna jest w istocie nagany, słowem uogólnianie zbyt pośpieszne dodatnich lub ujemnych stron narodów, klas społecznych, wyciąganie ztąd ogólnéj konkluzyi jako prawa powszechnego jest sofizmatem. Jeżeli w głoszeniu takich wniosków z powierzchownéj obserwacyi nie zachowamy pewnéj ostrożności, pewnych zastrzeżeń na rzecz jednostek, do których owe wnioski w żaden sposób nie przystają, popełniamy sofizmat i niesprawiedliwość.

Ale oto jeszcze jeden zdradliwy wniosek wyprowadzany z analogii. Zdawien-dawna upatrywano podobieństwo między życiem człowieka a czterema porami roku; między organizmem indywidualnym a społecznością ludzką; między ziemią a innemi planetami. Z podobieństw tych wnioskowano, że każdy człowiek musi miéć swoję wiosnę i lato, że czém są w organizmie komórki, tém w społeczeństwie ludzie, że arterye i żyły to drogi lądowe i wodne, że jak jednostkowy organizm rodzi się i umiera tak samo narody i państwa; że jak ziemia ma mieszkańców tak i inne planety mają prawdopodobnie ludzi. Otóż wszystkie te rozumowania i wnioski oparte na podobieństwie są albo metaforami, albo indukcyami bardzo niedokładnemi. Jako figury krasomówcze, jako ilustracye myśli piszącego porównania takie mogą być tolerowane—ale jako dowody niczego nie dowodzą. Jeżeli z sobą porównywamy dwóch ludzi, dwie rzeczy, dwa zjawiska, muszą się oni z sobą zgadzać jeżeli nie we wszystkich punktach, to przynajmniéj w istotnych, ażeby wniosek przystający ściśle do jednéj rzeczy mógł być zastosowany do drugiéj. Tymczasem podobieństwo zachodzące np. między komórką pewnego organizmu a człowiekiem jako jednostką społeczną chroma w najistotniejszych punktach. Gdy używający takiego porównania zapomina, że mówi figurycznie i po długich stronnicach zapewnia nas, iż dowiódł tożsamości organizmu jednostkowego ze zbiorowym, popełnia sofizmat, bo właściwie niczego nie dowiódł, tylko zabawił naszę wyobraźnią mniéj lub więcéj udatnym obrazem.

Wiemy wprawdzie, że z wyjątkiem matematyki i tych nauk, do których ona może być zastosowana, o pełnéj prawdzie i doskonałéj ścisłości wyrażenia nie może być mowy; że zatém skazani jesteśmy tylko na wnioski mniéj lub więcéj prawdopodobne. Niemniéj jednakże i w tych naukach, do których liczba, waga i eksperymentacya nie mogą być zastosowane, pilniejsze przestrzeganie logiki, głębsze wniknienie w sporną kwestyą, liczenie się ze swojém zdaniem ustrzegłyby nas od wielu sofizmatów, które codziennie powtarzamy, lub podane przez innych, połykamy.

Nie obiecując sobie, ażeby ta homilia kogokolwiek zachęciła do ważenia zdań swoich i cudzych, poszukajmy przyczyn i źródeł, z których płyną sofizmata.

Pierwszą i najłatwiejszą do usunięcia przyczyną sofizmatów jest nieznajomość prawideł porządnego wnioskowania. Zaradzić temu może książka. Jeżeli rozumujący postępuje w dobréj wierze a nie wié, co znaczy *ignoratio elenchi*, *petitio principii*, *non causa pro causa*, dość, ażeby zajrzał do logiki. Nie jest to przedmiot ani tak trudny do zrozumienia, ani tak suchy, by mógł odstręczyć chcącego myśléć i pisać zasadnie.

Daleko obfitszém źródłem sofizmatów jest nasza łatwowierność, przyjmowanie za prawdziwe zdań ogólnych niesprawdzonych i wnioskowanie z nich konsekwentne wprawdzie, ale pomimo téj konsekwencyi prowadzące do mylnych wyników. Już dawno zauważono, że błędy siedzą w ogólnikach. Otóż umysł nasz przez lenistwo woli wierzyć, niż się mozolić nad sprawdzaniem uogólnień pośpiesznych, wygłaszanych *à priori* z niezamąconą pewnością siebie, w formie aksyomatów. Zdaje się ludziom, a to nietylko prostakom lecz i uczonym, że są obdarzeni intuicyą i odrazu, bez żadnego dowodu mogą w swojéj cząstkowéj i ograniczonéj obserwacyi streścić doświadczenie całego rodu ludzkiego. Przyjmują więc ogólniki, po przodkach odziedziczone lub przez żyjących utworzone, za pewniki niezbite. Do téj kategoryi należą wszystkie przesądy: będzie nieszczęście, albowiem przy stole siedzi nieparzysta liczba osób; zbłądził w drodze, gdyż pojechał w dzień feralny itp. Są-to bardzo pospolite przesądy, o których nie potrzeba długo rozprawiać; niemniéj jednak pewném jest, że wpływają one na czynności mnóstwa ludzi, najprzód przez zamącenie rozumu, a następnie skutkiem tego na błędne postępowanie.

Takie grube i pospolite przesądy nie są właściwe tylko bezmyślnym tłumom w życiu codzienném; gnieżdżą się one i w nauce chociaż w formie subtelniejszéj. Cóż bowiem pospolitszego nad przesąd, że myślom naszym muszą odpowiadać rzeczy i zjawiska świata zewnętrznego, że każdy wyraz jest nazwą rzeczy lub realnego stosunku zachodzącego między niemi, słowem, że istnieje doskonały paralelizm między światem podmiotowym a przedmiotowym. Całe systemata filozofii wysnuwano z tego niesprawdzonego niby-pewnika: o czém myślę, to musi istniéć, w przeciwnym bowiem razie nie mógłby ten przedmiot powstać w mojéj głowie. Muszą istniéć: sprawiedliwość, piękno, dobro, idee i archetypy same w sobie, gdyż o nich mogę myśléć. Uznając za dowiedzione, że byt obiektywny i myśl są identyczne, że prawa obojga są te same; oby-

wano się bez kontroli świata zewnętrznego; wygodniéj bowiem jest siedziéć w pokoju i z pustéj głowy snuć prawa dla historyi i przyrody, niż sprawdzania ich szukać w przyrodzie i dziejach ludzkich.

Przyrodzoną nazywamy tę skłonność umysłu naszego do wierzenia w pierwszą lepszą wiadomość; jest-to słabość, z któréj nas leczy doświadczenie. Gdyśmy się raz sparzyli na takiéj wiadomości, rodzi się powątpiewanie, nazywane początkiem mądrości; zaczynamy przypuszczać, że i inne wiadomości mogą być nieprawdziwe; powątpiewaniu zaś kładzie kres doświadczenie własne lub wiarogodne cudze. Chcąc zatém uniknąć błędnego wnioskowania, należałoby wszelkie niedowiedzione zdania, uogólnienia, opinie sprawdzać. Zajęłoby to nadzwyczaj wiele czasu i pracy, mniéj byśmy byli bogaci w książki, mniéj czytali bezcelowych sporów, ale za to suma naszych wiadomości byłaby więcéj wartą, zmniejszona ilość ich byłaby nagrodzona jakością. Ale jak tu sprawdzać, gdy drukarz staje i woła o pośpiech? Tym pośpiechem tłómaczą się dziennikarze; inni są radzi, że jutro będą mogli odwoływać wczorajsze nowiny, a potém znów to samo, i tak bez odpoczynku. Więc cóż? O wszystkiém wątpić, nikomu nie wierzyć, ażeby się ustrzedz sofizmatów? Nie wszystkiemu literalnie, ale bardzo mało czemu i tym mniéj im ludzie są ciemniejsi i lekkomyślniejsi.

Albo weźmy interes w znaczeniu korzyści lub szkód, jakich działacz, mówca, autor oczekują z pewnego projektu lub reformy, i przyglądajmy się walce stron interesowanych. Chodzi, dajmy na to, o dwa systematy osuszania mieszkań, albo o ściągnięcie kundmanów do jednego z dwóch konkurujących zakładów pogrzebowych. Interesowani poruszają niebo i ziemię, cytują Pismo św. i kodeks, puszczają insynuacye, apelują do swojéj uczciwości, ażeby tylko spółzawodnika złamać. O sofizmatach nie myślą, a może ich nazwy nie słyszeli; niemniéj jednak nietylko rozumują sofistycznie, ale gotowi są do czynów, nie zupełnie zgodnych z kodeksem. Interes jest niesłychanie wymownym, a z rozmaitych interesów, materyalny najwymowniejszy i najbardziéj sofistyczny. Bez dobrego imienia ludzie mogą trawić, ale bez trawienia żyć nie mogą i to nam objaśnia zaciętość walki chlebowéj. Pod tym względem świat ludzki nie jest lepszy od zwierzęcego. Proszę posłuchać, co mówią literaci o literatach, prawnicy o prawnikach, doktorzy o doktorach, rzemieślnicy o rzemieślnikach. Każdy spółzawodnik jest nieukiem, szarlatanem, kauzyperdą, partaczem.

Któż zresztą nie pamięta rozumowania plantatorów amerykańskich, gdy chodziło o wyzwolenie czarnych niewolników? Dzisiaj jeszcze potomkowie królików bawełnianych domagają się osobnych

wagonów dla czarnych spółobywateli, gdyż podobno zbytecznie śmierdzą, chociaż praca ich nie śmierdziała. Jak wymowną była szlachta, gdy chłopów miano uwłaszczyć! Lordowie angielscy grozili swojéj ojczyźnie najazdem papizmu, gdy się gotowała emancypacya katolików; pruskie junkry widzą ruinę swojego rolnictwa, jeżeli cło na zboże nasze nie będzie podwyższone: słowem interes siedzący w worku, widzi w zagrożonym wyzysku jedyne kryteryum swoich argumentów: jeżeli tego worka dotkniecie, świat się zawali.

Zpośród pobudek działających na kierunek postępowania ludzkiego, interes może być nazwany najdzielniejszą i najpowszechniejszą; on téż najbardziéj wykrzywia nasze poglądy. Wpływ jego bywa tym silniejszy, im człowiek mniéj sobie zdaje sprawę ze swojego postępowania, im on głębiéj siedzi w nim samym. Częstokroć mimo wiedzy, instynktownie bronimy lub potępiamy ludzi, zasady, urządzenia niby w imię najświętszych celów, a w gruncie mówi przez nas interes. Nieświadomi pytają: na co i po co, *cui bono*? Po bliższém wejrzeniu w sprawę przekonywają się, że chodziło o utrzymanie jakiegoś przesądu, o stanowisko jakiéjś klasy społecznéj, do któréj należymy: słowem, frazeologia ogołocona z retorycznych kwiatków pokazuje nam interes, spodziewaną korzyść, przewidywaną szkodę, których heroldem stał się sofizmat.

Mniéj już aniżeli interes, ale zawsze dość często źródłem sofizmatów bywają n a m i ę t n o ś c i: gniew, zazdrość, pogarda, nienawiść. Słuchajmy mówiących, czytajmy polemizujących z sobą. Przeciwnik zwykle nazywa się płazem, nieukiem, zacofańcem niezasługującym na to, by się z nim rozprawiano. Gdy polemizujący stanie na téj niedościgłéj wysokości, argumenta uważa za rzecz niepotrzebną; wystarcza mu pogardliwy frazes lub wyraz i sprawa skończona. Ironia, sarkazm, w potrzebie nawet karczemny epitet wystawiają przeciwnika w błazeńskiéj czapce ku uciesze buńczucznego tryumfatora. Słuchacze i czytelnicy zdumiewają się nad tą studnią uczoności; nie ważą słów, nie badają rzeczy, tylko z zadowoleniem mówią, do siebie: a to go w kozi róg zapędził.

Apelowanie do uczuć i namiętności jest pospolitym wybiegiem retoryki wszelkiego rodzaju. Trzeba słuchacza rozczulić, przestraszyć, oburzyć; trzeba mu wykazać do jak zgubnych następstw prowadzi pewna hipoteza, ażeby z owocu sądził o drzewie. Plagi i klęski publiczne przypisywali autorowie pogańscy religii chrześciańskiéj: bogowie się na was zagniewali. Jakiś zwolennik teoryi ewolucyjnéj fałszował pieniądze i poszedł do kryminału. Patrzcie, woła moralista, do czego prowadzi Darwinizm. Efekt został sprawiony: chrześcianie na pal, Darwiniści do obory.

Nienawiść przeniesiona do stosunków międzynarodowych, religijnych i wyznaniowych daje początek niezliczonym sofizmatom zabarwianym przez źle rozumiany patryotyzm. Francuzi malują Prusaków tak czarno, że nawet zęby niemieckie czarno wyglądają; Prusacy nie pozostają dłużni i widzą we Francuzach wcielenie wszystkich występków z dodatkiem głupoty. Czytającego dzieła religijne, zwłaszcza historyczne, dziwić musi wiekowa nienawiść wyznań. Protestanci do dziśdnia powtarzają legendy zaprawione satyrą a skierowane przeciw katolicyzmowi. Nienawiść-to nie pozwala nam widzieć w przeciwnikach, jakiegokolwiek rodzaju stron jasnych, dodatnich; widzimy tylko ciemne i ujemne. Nic potworniejszego nad to uwiecznianie pogardliwych i nienawistnych sądów, jakie przedstawiciele narodów, sekt, klas społecznych wzajem o sobie wygłaszają! Każdy Żyd, to szachraj; każdy Niemiec, to serwilista; każdy Francuz, to letkiewicz; każdy Polak, to próżniak i utracyusz. Są-to nietylko pośpieszne uogólnienia, lecz nadto sądy zabarwione nienawiścią lub pogardą. Samochwalstwo narodowe, wyznaniowe, klasowe składają się z samych sofizmatów; nienawiść jest potężnym motorem spraw ludzkich, ale budowy jéj nietrwałe, jak wszystko na fałszu oparte.

Nakoniec do przyczyn sofizmatów zaliczamy fanatyzm zarówno czerwony jak i biały, oraz ducha sprzeczności czyli opozycyi *quand même*. Powiadają, że tylko fanatycy wprawiają w ruch bezwładną i bezmyślną masę ludzką; że trzeba fanatycznie ukochać pewną myśl i fanatycznie ją przeprowadzać w czyn, ażeby cośkolwiek znaczyć i jakikolwiek rezultat w życiu osiągnąć. Prawdopodobnie ci, co tak mówią, mają na myśli zapał, umiłowanie przedmiotu, mocną i wytrwałą wolę, lecz nie fanatyzm, który słusznie nazywamy ślepym. To bowiem, co fanatyzm w dziejach ludzkich zrobił, stanowi najczarniejszą ich stronnicę, a dowody i rozumowania, któremi dzieł swoich bronił, należą do najwstrętniejszych sofizmatów. Dość tu przypomnieć fanatyzm wojen religijnych wszystkich czasów i fanatyzm polityczny nie obcy naszym: apologie obu roją się sofizmatami.

Inną barwę mają sofizmata płynące z ducha przekory, z opozycyi dla opozycyi. Zdarza się w zebraniach publicznych i prywatnych, że sprawa będąca w dyskusyi została wyczerpana; przytoczono dowody za i przeciw, zgodzono się na takie lub inne postanowienie. Nagle występuje opozycyonista, chcący uchodzić za mędrszego od wszystkich i swojém uniwersalném nie pozwalam paraliżuje postanowienie. Czelność i bezczelność, dyalektyczne łamańce, język cięty i wyprawny mieszają szyki, zgromadzenie się

rozchodzi bez rezultatu, a jeżeli się nie rozchodzi, krytyk nad krytykami, chcąc zachować urok swojéj bystrości, konkluduje: cokolwiekbyście uradzili, ja jednak pozostaję przy swojém.

Jaki jest cel sofizmatów? bo przecież chyba nie dla zabawy je ludzie wymyślili. Był jakiś Anglik, nazwiskiem Gerard Hamilton, poseł do izby niższéj, który tylko jednę mowę podczas swojego mandatu wygłosił i ztąd zwany *single-speech*. Otóż, chociaż sam mało mówił, wydał jednakże do użytku kolegów na początku bieżącego wieku „Logikę parlamentarną.“ Zadaniem autora było nauczyć mówiących posługiwania się sofizmatami, ażeby czarne uczynić białém, a krzywe prostém. Sofizmata zatém nie są bez celu obmyślone i używane.

K.





ZE SPUŚCIZNY PO GABRYELI.

Usposobienia namiętne i wybuchowe łatwo się zapalają i skłonne są do czynów bohaterskich, do poświęceń nadzwyczajnych, do pracy przechodzącéj niemal ich siły; ale też łatwo ulegają smutkowi, rozczarowaniu, zobojętnieniu, gdy im jedna lub druga sprawa się nie powiedzie, gdy doznają zawodu na téj lub owéj osobie, gdy doświadczą niedostateczności swego przygotowania lub swéj potęgi. Jeśli zaś usposobienia takie łączą się z rozumem bystrym i przenikliwym, a pochopnym do uogólnień; to doznawszy bankructwa swych nadziei, wytwarzają sobie systemat, usprawiedliwiający je w ich sumieniu przynajmniéj od podejmowania zagadnień powszechnéj doniosłości, od przedsiębrania czegoś, co poza sferę pojedyńczych, drobnych usiłowań wychodzi. Po części czują, po części wmawiają trochę w siebie niezdolność do dzieł wielkich, ścieśniają jak najwęziéj pole swojéj twórczości, z goryczą przypominając sobie dawniejsze wysokie poloty. Jest w takiém zachowaniu się natur płomiennych i rozumne zastosowanie sił do zamiarów i samozachowawcza chęć oddziaływania przeciwko prądowi, który je poprzednio unosił, i trwożliwa obawa, czy i w tak dobrowolnie ograniczonéj dziedzinie potrafią jakieś przedsięwzięcia przywieść do skutku.

Jedną z takich natur była niewątpliwie Gabryela.

W dzieciństwie już burzyły się w niéj uczucia, wychodzące po za kres zwykłych w tym wieku objawów i prowadzące do postanowień hazardowych a w źródle swém szlachetnych, bo nie-samolubnych: hartowanie się na wzór Spartanek, pragnienie dzielenia czynów rycerskich, chęć poświęcenia się dla ogółu.

W pierwszéj młodości jakże łatwo i jak szybko przechodziła od uczucia najwyższéj błogości i uszczęśliwienia do przepaścistego smutku i rozpaczy, lubującéj się nie tylko w rozmyślaniu o śmier-

ci, ale nawet w gotowaniu jéj sobie za pośrednictwem szkła tłuczonego...

Gdy fale jéj uczuć i myśli przyszły do pewnéj równowagi; gdy ustaliły się przekonania pod wpływem brata Erazma, zapalonego demokraty; gdy znalazła cel życia w głoszeniu i urzeczywistnianiu zasady miłości, braterstwa, równości; gdy najwyższe i najogólniejsze idee przejmowały jéj duszę: wówczas tworzyła najpiękniejsze swe dzieła, wówczas świeciła przykładem poświęcenia zarówno w szczuplejszym zakresie wywalczenia dla kobiet odpowiedniejszego stanowiska w społeczeństwie jak i w rozleglejszym—zabieganiu o szczęście dla kraju.

Wtém przyszły niepowodzenia, zawody, rozczarowania, naprzód w 1849, a następnie jeszcze większe w kilkanaście lat później. Serce Gabryeli zapłynęło goryczą, która wylewała się z początku satyrą i sarkazmem, ale potém spowodowała osłabienie energii, poczucie bezsilności, świadomość wreszcie bankructwa moralnego. Hasła niegdyś niebiańsko dźwięczące w jéj uchu, teraz rozlegały się w niém zgrzytem.

Przekonawszy się, że najwznioślejsze heroizmy nie zastąpią armat i karabinów, najgorętsze modlitwy nie zmienią nieprzepartéj siły wypadków, najszlachetniejsze uniesienia nie wystarczą za rozum, naukę, ład i karność, „jeśli się ziarnem ciągłéj pracy nie rozsieją“, jeśli widomym owocem nie zaświadczą swéj potęgi: straciła „wszelką na piękności, czułości i inne tym podobne wyrazy wrażliwość“, zaczęła „z wielkiém poszanowaniem li tylko prawdy dowiedzione uznawać“ i wzięła się do bliższego z naukami ścisłemi zaznajomienia. „Od arytmetyki szkolnéj do astronomii, od najprostszych wykładów zoologii, chemii, fizyki do dzieł specyalnie różnym gałęziom medycyny, antropologii lub kosmologii poświęconych“, przez trzy lata bez przerwy wszystko to studyowała, ażeby choć tylko „wiedziéć“ o wszystkiém, wiedziéć „same tylko d o w i e d z i o n e rzeczy“, wiedziéć to, „co ludzie wiedzą z p e w n o ś c i ą“. Z czytania tego nauczyła się „o niedowiedzionych prawdach nie rozumować a w dowiedzione kłamstwa nie wierzyć“ (1).

W takiém trzeźwém usposobieniu umysłu nie mogła już oczywiście Gabryela pogodzić się z najwznioślejszym nawet romantyzmem, któremu sama przedtém hołdowała. „Największém niebezpieczeństwem dla kraju—pisała wówczas do młodéj przyjaciółki—są wszyscy kochankowie ojczyzny. Ojczyzna jest p o t r z e b ą człowieka; zdaje mi się, że stokroć lepiéj wyjdziemy na tém, gdy oj-

(1) List z 27 marca 1870, pisany w Dębowéj Górze.

czyznę pod tym skromniejszym względem uważać zaczniemy; tylko chlebem, powietrzem, napojem, domem, bezpieczeństwem, oświatą, miejscem pracy, możliwością nagrody, prawem, sprawiedliwością, siłą, dobrobytem, godnością naszą wśród obcych — tylko tém niech będzie ojczyzna. Kłaniam uniżenie wszelkim Beatryczom i pięknym paniom, które wśród mgły przedświtu lub po rosie wieczornéj snują się nad przepaściami, a ciągle w studenckie uszy poszeptują, wołając: Cezara! Cezara! Strułam się ich romansami — trzy razy mogłabym się odrodzić, a jeszcze nie przyszłabym do zdrowia“ (1).

To był protest ogólny przeciw hasłom doby romantycznéj w oświetleniu Krasińskiego; a wynikiem naturalnym było też osobiste zachowanie się względem projektów choć trochę ogólniejszéj natury. Przejęła się nieufnością do ludzi; sądziła, że ją otacza sama niechęć w różnych stopniach „od obojętności, która uciec rada, do wstrętu, który rad dokuczyć“, że nieprzyjaźni jéj czyhają tylko, by ją schwytać na jakim błędzie, by ją upokorzyć. Gdy przyjaciółka podsuwała jéj myśl założenia ogródka froeblowskiego, Gabryela, lękając się rozczarowania w razie niepowodzenia, odpisuje: „nie mam już własnéj duszy do przegrania, lecz gotowabym przegrać dusze ukochanych moich“, a wyjaśniając ten wstręt do przedsięwzięć szerszych, dodaje: „chcesz mówić o zarobku, o fakciku, o pojedyńczym człowieku, ograniczoném godzinami zdarzeniu, ha, to służę — kiedy trwam, muszę funkcyonować — lecz nie mów i nie myśl daléj, szerzéj, wyżéj, a zresztą myśl, jeśli chcesz, — nie wystawiaj się na szwank próby“ (2).

A jak było z innemi przedsięwzięciami, tak téż i z autorskiemi. Zachęcana, przynaglana przez znajomych, ażeby pisała, odpowiadała zazwyczaj, że nie ma „z czego“ pisać, bo jest bardzo mało wrażliwa na przedmioty zewnętrzne, bo ma tępe zmysły wzroku, słuchu, dotyku, że odczuwa tylko ból a jest „opieszała i niezdarna“ do pochwycenia przyjemności w jéj delikatnych, „lecz tém samém najwdzięczniejszych odcieniach.“ Zapewniała ironicznie, że zazdrości troszeczkę innym autorom i autorkom, iż nie może jak oni pisać „z dykcyonarza“. Osoby te — powiada — „mają taką łatwość i wprawę, że choćby na los szczęścia wyciągnęły jakiebądź wyrazy, wnet z nich układają wcale gładkie okresy, tak podobne czasem do zdań pomyślanych, że rozpoznać trudno.“ Usiłowała wprawdzie przezwyciężyć się i zabierała się do tworzenia, lecz zazwyczaj po

(1) List z 1-go czerwca 1866, pisany w Pszczonowie.
(2) List z 24 kwietnia 1868, pisany w Dębowéj Górze.

napisaniu kilku lub kilkunastu arkuszy porzucała robotę, ażeby już do niéj nigdy nie powrócić. W samém nawet pisaniu nerwowa jéj natura bardzo zmienną się okazywała. „Przychodzą na mnie — pisała raz — chwile jakiéjś zadziwiającéj łatwości; wydziwić się nie mogę wtedy, jak to było podobném, abym ja pierwéj trudność jaką czuła, tak mi się prędko myśli z wyrazami jedne po drugich rodzą, że tylko o to się lękam, czy nie zbyt pospolite i oklepane, bo mi się zdaje, że je poprostu między najpowszedniejszemi rupieciami znajduję, że to przede mną na stoliku leży. Najczęściéj w takich chwilach coś bardzo zwyczajnego na przeszkodzie staje: obiad, herbata, goście, inne obowiązkowe zajęcie; więc odchodzę spokojna. Drugiego dnia chcę skończyć—wszystko przepadło; zapomniałam, a jeśli pamiętam, to mi się niekształtnie układa, plącze, psuje, krzywi— ostatecznie ginie zupełnie.“ Stąd w papierach Gabryeli znalazło się sporo rozpoczętych zaledwie opowiadań, rozprawek, szkiców do przyszłych utworów, które radziła innym wykonać, wreszcie zdań pojedyńczych, uwag, spostrzeżeń; ale żadnéj niema całości— gdyż autorce brakło tego potężnego pędu idei, co w dobie jéj lat twórczych do pisania ją zmuszał, czyli, jak ona sama się wyrażała, brakło jéj wesołości, „bo pisać mogła wtedy jedynie, kiedy była wesoła.“

Okruchy te ze spuścizny literackiéj po Gabryeli oddane mi zostały do rozporządzenia. Drukować ich niepodobna, chyba kiedyś w nowém zbiorowém wydaniu jéj pism, ale wiedziéć o nich warto; niektóre bowiem rzucają jaśniejsze światło na znane skądinąd cechy jéj twórczości lub życia, inne posłużyć mogą do charakterystyki czasu, w którym tworzyła.

Określić daty ścisłéj powstania ich ani z zewnętrznych, ani z wewnętrznych znamion nie można; tyle tylko powiedziéć da się, że napisane były prawie wszystkie dobrze po roku 1850, w czasie, gdy bujania romantyczne już przemijały, gdy zapał ustępował miejsca rozwadze, a często ironii i sarkazmowi; gdy idee ogólne usuwały się z widnokręgu najulubieńszych myśli autorki, a charaktery i wypadki szczegółowe do niego wchodziły.

Z powodu takiéj cechy tych pozostałości, w przedstawieniu ich trzymać się będę porządku chronologicznego według treści, podając naprzód te, gdzie wspomnienia autorki sięgają do czasów dzieciństwa, a dopiéro potém te, w których wrażenia lat dojrzalszych się odbijają.

Zanim jednak do tego przystąpię, winienem zrobić uwagę ogólną. Gabryela celowała przedewszystkiém w spostrzeżeniach i charakterystykach psychologicznych, w odtwarzaniu myśli i uczuć

osób, zwracających na siebie jéj uwagę; ponieważ jednak uznawała łączność ścisłą ciała i duszy, chętnie też i szczegółowo kreśliła fizyonomie ludzkie, uwydatniając w nich głównie ich wyraz. Z powodu krótkowzroczności nie mogła ona chwytać łatwo i swobodnie mnóstwa fizyonomii, ale te, które pochwyciła, umiała odtworzyć z siłą niepospolitą. Wiedziała ona o téj właściwości swych zmysłów i umysłu i raz ją sformułowała w słowach następnych: „Żadnego pejzażu w szczegółach nie rozpoznam ; linie i kolory zewsząd mi się rozpływają w jakąś mętną, rozmazaną perspektywę. Na obrazie zasługa rysunku jest prawie stracona dla mnie ; ocenię układ, pomysł, dam się najfatalniéj wszystkim skurczom oszukać.... Muszę zbliska się przypatrzyć, żeby znaczenie fizyonomii zrozumiéć; czasem rozumiem tak głęboko, że widzę, co pod skórą i kośćmi w piersiach, a co pod czaszką w mózgu najtajniéj się kryje. Rzadkie są wszelako chwile mego jasnowidztwa; myopizm rozwinął we mnie pewne lenistwo do spostrzeżeń. Bardzo tego żałuję, bo spostrzeżenia *c'est mon fort...* Ja zgóry już wiedząc, że nie zobaczę, mało patrzę i tak się przyzwyczaiłam nie patrzéć, że częstokroć zupełnie ślepą jestem. Wszyscy koło mnie poznają się na wielu drobiazgach i symptomatach pierwéj, niż ja się dowiem, lecz gdy się dowiem, albo gdy już chcę się dowiedziéć, albo gdy mi przypadek coś pod oczy podsunie : wtedy straszliwéj nieomylności dochodzę. Bywały chwile, w których modliłam się, żeby zapomniéć przelotnego spojrzenia, nie myśléć o pewnym wyrazie oblicza, módz w siebie wmówić, że usta inaczéj się zakrzywiły w uśmiechu...“

Takich błyskawicznych spostrzeżeń i takich do głębi sięgających charakterystyk niemało się znajduje nie tylko w pismach Gabryeli drukiem ogłoszonych, ale i w tych resztkach, jakie w papierach jéj znaleziono, a których ona do druku oczywiście nie przeznaczała.

Rozejrzyjmy się w tych okruchach.

I.

Ze wszystkich urywków, które przeglądałem, do najwcześniejszych chwil życia Gabryeli sięga ten, gdzie ulegając dopominaniu się przyjaciół „o podatek od życia“, a nie mając „z czego główszczyzny zapłacić“, wydobyła ze skarbnicy wspomnień jedno o swém życiu pensyonarskiém i zamierzyła skreślić wizerunek niepospolicie utalentowanéj koleżanki, Elżbiety.

Uznając prawdę spostrzeżenia, że „przy schyłku życia z zadziwiającą wiernością wracają do myśli obrazy pierwszych lat dzie-

cińStwa i wstępnéj młodości, — a po stracie wszystkich osobistych nadziei serce najłatwiéj ruch swój organiczny odzyskuje, gdy się nie do najdroższych, do najpiękniejszych, najważniejszych, lecz poprostu do najstarszych przyczepi pamiątek", — Gabryela przeniosła się duchem w czasy pobytu swego na pensyi Zuzanny Wilczyńskiéj w Warszawie i osnuwając około wspomnienia najzdolniejszéj uczennicy wątek swéj opowieści, nakreśliła i postać zacnéj a sympatycznéj przełożonéj i zwyczaje niektóre na pensyi panujące.

O Wilczyńskiéj, tak wybitne miejsce w dziejach wychowania kobiecego u nas zajmującéj, nieraz Gabryela w pismach swych wspominała i to z największém uznaniem i uwielbieniem (1); ale nigdy tak szczegółowo nie zanalizowala jéj rysów zewnętrznych i duchowych; nigdzie indziéj z takiém zajęciem i przejęciem nie skreśliła jéj stosunku do wychowanek. Ustęp ten zasługuje ze wszech miar na poznanie.

Mówi tu Gabryela o swéj ukochanéj przełożonéj, jaką była około roku 1830, kiedy przeszło sześćdziesiątkę liczyła. Oto jéj słowa:

„Była-to kobieta dobrego wzrostu, dobréj tuszy, z siwiejącemi włosami, przy niewielkich wprawdzie ale bardzo czarnych oczach; twarz miała okrągłą lub raczéj trochę kwadratową, nos krótki (w młodości zadartym być musiał, wtedy rozszerzył się tylko); cerę dość ciemną, a że z alzackiéj pochodziła rodziny, więc przyniosła z sobą wielką skłonność do rozdęcia gardła i gdy ją pierwszy raz widziałam, między brodą a szyją nie było żadnego zagłębienia. Bądź-co-bądź nigdy, od pierwszego do ostatniego spojrzenia, tak anty-artystyczne rysy nie zrobiły na mnie wrażenia brzydkości. Widziałam daleko piękniejsze, widziałam bardzo piękne nawet, a przecież zdarzyła się dla każdéj pewna chwila niekorzystna, w któréj mogłam się dopatrzyć, jaki szkielet pod świetną powłoką ukryty, w jaką potworność lub w jaką karykaturę dałoby się ich podobieństwo przeprowadzić. Otóż takiéj chwili nie przypominam sobie nigdy na twarzy p. Wilczyńskiéj: zawsze była smutnie poważną, surową, a jeśli kiedy wyraz swój zmieniła, co zresztą nie tak rzadko się zdarzało, choć mnie wówczas od uśmiechu do uśmiechu wieki całe mijały—ale to zwykły dziecinny pomiar czasu; rzecz wiadoma, że dzieciom tygodnie dłuższemi się wydają od miesięcy w dalszém życiu, zawsze się téż zdaje, że dzieciństwo najdłużéj trwało; wszystko co nie jest codzienném, dzieciom się rzadkiém wydaje; nic dziwnego, że więc uśmiech p. Wilczyńskiéj był w na-

---

(1) Zob. mianowicie w „Pismach Gabryeli", 1885/6, t. V, str. 548—551.

szych pojęciach rzadkością nadzwyczajną — jak żyję tak nie spotkałam się już w życiu mojém całém z drugim takim słonecznym uśmiechem. Nie dość, że twarz uśmiechniętą rozpromieniał i piękną czynił, ale jeszcze pogodą, ciepłem, wiosną, latem był dla tych, na których padał.... Lękam się, by wyrazów moich obojętni czytający ludzie za przesadę stylową nie wzięli. Prawda, że mi z pierwszą myślą nie napłynęły odrazu; musiałam ich daléj poszukać, ale dlatego właśnie, że miałam więcéj niż myśl do oddania, miałam nagle wrócone p o c z u c i e owéj twarzy, owego uśmiechu, owéj dobroci kochającéj, która prosto spojrzeniem w serca płynęła, któréj ostatniém wspomnieniem dla mnie jest łagodne, uśmiechnięte, jak w powitaniu i w błogosławieństwie ciche oblicze umarłéj.

„Stare moje towarzyszki, ile ich jeszcze zostało na świecie, nie zapomniały pewnie, jakie to wrażenie na nas widok p. Wilczyńskiéj sprawiał. Niech tylko ukazała się wśród największego gwaru, krzyku i dokazywania, wnet jakby makiem zasiał. Ręka, podniesiona z grzeszną intencyą rzucenia komuś kajetu na głowę, sztywniała w powietrzu; usta, rozwarte polskim wykrzyknikiem zniecierpliwienia, drętwiały bez głosu; figiel, tańczący po oczach jak światełko po chacie góralskiéj Gersona, przysłaniał się powiekami spuszczonemi na trzymaną w ręku książkę; zdawać się mogło, że bóstwo grozy czarodziejską różdżką uciszyło szumy fal morskich. Dzisiaj nie mogę sobie téj władzy wytłómaczyć. Wiem, że p. Wilczyńska była dobrą aż do łatwowierności, ustępną aż do niespostrzeżenia własnéj krzywdy, a cichego i miłosiernego serca, jak na błogosławieństwo ewangieliczne, że ją kochałyśmy wszystkie, że w chwilach gorętszego uniesienia, jedna drugiéj świadcząc o prawdzie, przysięgała na imię p. Wilczyńskiéj; bo j a k m a m ę k o c h a m nie w znaczeniu, lecz w trochę zbyt częstém użyciu na wartości straciło trochę, przeszło więcéj w przysłowie; inni przecież ze zwyczaju co kilka słów powtarzają: j a k B o g a k o c h a m; u nas na pensyi mówiono: j a k m a m ę k o c h a m przy byle okoliczności: jak mamę kocham, strasznie mi się jeść chce! Ach! jak mamę kocham, trąciłaś mię i zrobiłam kleksa na kajecie!... Lecz imienia p. Wilczyńskiéj nie brałyśmy tak nadaremno; używało się w ważniejszych, niezawsze wprawdzie stosownych do jéj życzeń zdarzeniach. Np. słyszéć można było czasem: No, panny, możecie cały dzień mówić po polsku; ja biorę czapkę i obiecuję, że jéj żadnéj dziś nie oddam—jak panią Wilczyńską kocham....—Znaczenia czapki objaśniać zapewne nie potrzebuję; — wyszła ona podobno z użycia, lecz dosyć jeszcze takich zostało, które ją na własnéj nosiły głowie. U p. Wilczyńskiéj prawem było, żeby dzień jeden po

francusku, drugi po niemiecku rozmawiać; w niedzielę wszystkie europejskie języki tolerowano. Skutkiem téj dziwnéj napozór lecz tradycyjnéj ustawy język polski powinien był trochę ucierpiéć; tymczasem zupełnie w ogólnéj sumie inaczéj wypadało. Wychowanki p. Wilczyńskiéj odznaczały się czystością swojéj polszczyzny, pięknym francuskim akcentem i zupełną nieznajomością języka niemieckiego. Ta osobliwość, przez parę dziesiątków lat i więcéj niezmiennie się utrzymująca, dostarczyła mi późniéj wielu hipotez i wniosków...—teraz do pierwotnego wracając założenia, raz jeszcze powtarzam, że ogólne ukochanie dla naszéj ochmistrzyni wcale mię nie zadziwia, bo tylko było w prostym, logicznym i naturalnym stosunku z rzeczywistém usposobieniem wrodzonych jéj skłonności; ale dlaczego tak jéj bałyśmy się ogromnie, tego sobie wytłómaczyć nie mogę. Wolnoby mi było zapewne bojaźń tę nazwać uszanowaniem bez granic, respektem, karnością; piękniejsze to są wyrazy, ale na cóż w nie, jak w bawełnę, szczerą prawdę obwijać?... Uszanowanie i karność pewnoby się objawiły w sumienniejszém wypełnianiu jéj woli, dogadzaniu jéj chęciom — a tém właśnie na nieszczęście ani za siebie, ani za drugie pochwalić się nie mogę. Był-to sobie strach najzwyczajniejszy, bojaźń najistotniejsza, bojaźń tchórzów wobec niebezpieczeństwa, złoczyńców wobec sędziego. Lękałyśmy się p. Wilczyńskiéj, gdyśmy co złego zrobiły; lękałyśmy się także, gdy przechodziła przez klasę, gdy któréj z nas do jéj pokoju iść trzeba było, gdy odpowiedziéć, poprosić, podziękować [wypadało]. Zwykle siedząc na fotelu w środkowéj klasie, a na wszystkie inne mając widok otwarty, p. Wilczyńska albo sama w czasie lekcyi książkę jaką czytała, albo na wyrywki to starsze, to młodsze panienki przywołując, im sobie czytać kazała. Pamiętam, że każde wezwanie podobne, do ostatniéj chwili, nie obeszło się dla mnie bez wrażenia. Choć najpewniejszą siebie byłam i uśmiech na twarzy p. Wilczyńskiéj widziałam, nie mniéj przeto pierwsze wyrazy drżały mi w piersiach jak po zbyt przyśpieszonym biegu. A kiedy — o dniu nieszczęśliwy! — kiedy mię raz niespodzianie p. Wilczyńska zaczytaną w Melinie de Cressange czyli Podziemiach zamku d'Orfeuil pochwyciła,— no, mam prawo powiedziéć, że nigdy późniéj przed nieszczęściem żadném, przed żadną trwogą tak nikczemnie twarz moja nie zbladła, jak przed jéj spojrzeniem surowém. Surową jednak nie była, rzadko bardzo karała, tylko gdy już naznaczyła pokutę, to nikt od niéj nie wyprosił.... Możeć zresztą nastąpiło jakie złagodzenie skróconego czasu, lecz my tego nie widziały; nam się zawsze wydawała nieubłaganą jak Fatum."

Ten wizerunek przełożonéj pensyi, uznanéj przez rząd królestwa kongresowego za „wzorową“, jest ciekawym przyczynkiem do dziejów wewnętrznych edukcyi naszéj publicznéj, przyczynkiem autentycznym, bo pochodzącym od świadka naocznego, nie skrępowanego w swych zeznaniach niczém więcéj jak miłością prawdy i drogiém wspomnieniem osoby, co jéj „dała chleb ciała i chleb duszy, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje.“ Nie mniéj interesujące są szczegóły obyczajów szkolnych wśród panienek drugiéj i trzeciéj klasy. W sferach drugiéj klasy panowała wtedy despotyczna opinia, że kto z płaczem na pensyą przychodzi, to mazgaj, co mu się uczyć nie chce. Gdy która z „nowotnych“ rozrzewnienie okazywała, starsze odzywały się zazwyczaj do najdaléj siedzącéj uczennicy: „czy nie wié, gdzie się podział kałamarz od łez pożegnania?“ Zapewne każdéj z wyznawczyń tego spartanizmu szkolnego serce się ściskało i łzy po policzkach płynęły, gdy się przychodziło żegnać ostatecznie z rodzicami, „ale prędko tego zapominały lub tém surowsze właśnie dla innych były, im cięższe z owéj chwili wspomnienia na sumieniu dźwigały.“ „Która się prędzéj z żalu otrząsnęła, prędzéj z koleżankami zapoznała, prędzéj w ład lekcyi i zwyczajów wpadła, ta réj wodziła, tę wszystkie uważały za dzielną i oléj w głowie mającą dziewczynę.“

Inne klasy miały odmienny obyczaj. Trzecia np. była wtedy siedliskiem „pańskich fumów“ według utartego między młodszemi wyrażenia. Tam „najpierwéj dowiedziano się o rodowodzie każdéj nowotnéj, tam zliczono zaraz i skrytykowano jéj sukienki, wyśmiano odwiedzających ją krewnych lub znajomych, przymówką ciśnięto plebejuszowskiemu pochodzeniu, a starsze nawet panienki, bardzo nieliczną dodatkową czwartą klasę składające, nie śmiały wręcz przeciw despotyzmowi tych małych arystokratek wystąpić i czasem tylko z ich niedokładnych wiadomości w historyi, z ich omyłek w jeografii pozwalały żartować sobie; — jeśli się za jaką pognębioną ofiarę przesądów ujęła która z odważniejszych, ciężko to późniéj odpokutować musiała; gradem na nią sypały się szyderstwa, przedrzeźniania, nawet częstokroć żadnego prawdopodobieństwa nie mające plotki. Raz całą pensyą obiegło, że piękna panna Ł. ma owe nieładne do nazwania krosty na głowie, dlatego bo się nadzwyczaj oburzyła, gdy biednéj córce piwowara najstaranniéj poprzepisywane kajety wielkiemi żydami umyślnie poplamiono. Ta sprawa aż przed samę p. Wilczyńską się wytoczyła. Sąd się odbył publicznie wobec dorosłych i dzieci. P. Wilczyńska mówiła wiele pięknych rzeczy, ze wzruszeniem głębokiém skazała winowajczynię na odpisanie własną ręką uszkodzonych papierów, a za

potwarz zmyśloną—przez cały tydzień w nocnym czepku chodzić jéj kazała". Zrobiło to—jak powiada Gabryela—wielkie wrażenie na drugoklasistki; długo potém dokuczały owym czepkiem pannie „z historycznego rodu starych Kownackich pochodzącéj". Pomiędzy wspólniczkami jednak psotnego figla wrażenie kary rychło się zatarło; przełożona o różnych tego rodzaju swawolach rzadko się dowiadywała, bo skarżenie zarówno w wyższych jak niższych sferach było przez opinią potępiane, a prócz tego nie lada kto miał odwagę iść na skargę przed Wilczyńską. Drugoklasistki potrafiły też same sobie radzić; bo „chociaż pewna uległość dla starszych pensyonarek była niby prawem ogólném i chociaż młode guwernantki, bliższe im wiekiem, dość pilnie prawa tego przestrzegały, nie mniéj jednak rój drobnych wróbelków, przy zdarzonéj sposobności, stado tak zwanych gąsek klasy trzeciéj wydziobał nieraz i spłoszył". Gabryela nazywa (z łagodną ironią) ten stan usposobień klasowych „istną miniaturą europejskich społeczeństw przy wprowadzeniu chrześciaństwa: arogancya zepsutéj cywilizacyi w starciu z dzikością nieokrzesanego barbarzyństwa; trochę wyżéj nad zepsuciem odosobnienie rozumnych, trochę niżéj pod barbarzyństwem bezmyślność dziecinna".

Co do etykiety towarzyskiéj, drugoklasistki, zgodnie ze swym szorstkim spartanizmem, nie odznaczały się wielką grzecznością W klasie zazwyczaj wołały się po nazwisku, lub przezwisku, wrazie gdy było parę sióstr to po imieniu chrzestném; o wiele starsze pensyonarki i te, do których się dłużéj urazę jaką czuło tytułowano poprostu: panno: szukają panny, przyszłam po pannę, niech mi panna to zrobi itp. Gdy się zaś rzekło do któréj „pani", to było echem „wielkiego świata", stanowiło, esencyą, wyskok, elegancyą świąteczną pensyonarskiéj uprzejmości".

Wspomnienia pobytu na pensyi, nader żywo tkwiące w duszy Gabryeli, nasuwały jéj tłumy postaci koleżanek i pobudzały do ich rozpamiętywania. Oprócz rozpoczętéj powieści o Elżbiecie nakreśliła ona szkic „Wspomnień pensyonarskich", dając materyał innym do opracowania. Przesunęła tu, jak w latarni czarnoksiąskiéj, sylwetki kilkunastu kobiet, kreśląc w krótkości, jak się przedstawiały na pensyi i jakie było ich życie późniejsze. Widzimy więc tu dziewczęta pogardzające kłamstwem, nienawidzące przymusu, które wyszedłszy za mąż mają piekło w domu; to gieniusze klasowe, raczéj dobre niż kochające, które oddawszy rękę dla stanowiska w świecie, rychło umierają; to kochliwe panienki, co z każdego profesora osobną powiastkę w głowie swéj układają, o każdym młodzieńcu, który w kościele blisko nich stanie, tworzą sobie cudne

domysły, i potém już romansowego usposobienia pozbyć się nie mogą; to pokorne i ciche, które następnie męża biorą pod pantofel; to aferzystki; to lubiące pozowanie już od dzieciństwa, to przyszłe kokietki—słowem, galerya bardzo bogata i wielce urozmaicona, szkoda tylko, że w samych suchych zarysach.

Z całéj téj galeryi na jednę postać zwrócę baczniejszą uwagę, gdyż w niéj jedno z najgłębszych swych przekonań upostaciowała Gabryela. Była ona, jak wiadomo, nawskroś religijną, ale religijność chciała widziéć wolną od ciasnych fanatyzmu i doktrynerstwa formułek; stąd kamienny dogmatyzm był dla niéj wstrętnym. W postaci „Ludwiki“ chciała wskazać, jak się wyrabiają w latach dziecinnych umysły, które w przyszłości mają się stać posłusznemi księży Golianów owieczkami. Ksiądz Golian był dla Gabryeli symbolem oschłego katechizowania w duchu ultramontańskim. Otóż Ludwika na pensyi była to bardzo zdolna, bardzo nerwowa dziewczynka: „niema entuzyastka, milcząca poetka.“ Przypadkowo tylko dowiadują się pensyonarki, że kocha Joannę,—będącą geniuszem klasowym—ale Joanna zajęta innemi koleżankami: Elżbietą, Cecylią oraz nauką, mało na nią zważa. Ludwice zawsze trudno było się wypowiedziéć, a że potrzebowała wywnętrzenia, miała serce pełne niezużytkowanych do niczego uczuć i pragnień. Zdolności jéj umysłowe były więcéj bierne niż czynne; tworzyła ona spostrzeżenia i ideały, ale punktu łącznego pomiędzy niemi brakowało jéj zupełnie; stąd rozwijało się w niéj życie głównie wewnętrzne: Ludwika rozpatrywała się w sobie i tęskniła bez końca, ale co z tego zrobić, nie wiedziała wcale. Rozmowa z Joanną podsyciła w niéj pragnienia; raz przełamawszy „lodową nieśmiałość“, czuła całe szczęście wywnętrzenia się, całą potrzebę dopełnienia się drugą istotą. Ale właśnie rozmowa poufalna z Joanną była pierwszą i ostatnią zarazem; bo gieniusz klasowy opuścił pensyą. Ludwika, zrażona późniéj kilkoma nieszczęśliwemi próbami, zaczęła w sobie rozwijać pierwsze zawiązki nieufności i żalu do ludzi. Świat, w który weszła, był to drobniutki średnio majątkowych obywateli świateczek. Spotyka się tu z całą seryą najniefortunniejszych konkurentów; ten nie znając jeszcze pyta, czy mu w domu bywać pozwolą, z drugim się targuje, by mu nie przeszkadzał; inni znów mówią jéj najpospolitsze komplementy o jéj oczach, o jéj piękności, oświadczają się po kilku kieliszkach starego wina, aż się nakoniec zdarza zarozumiały panicz, którego ona znieść nie może, a który jednak naraża ją na plotki całéj okolicy. Ludwika wyjeżdża do Warszawy słaba i rozdrażniona; spotyka się z młodym i fanatycznym spowiednikiem.—Przyszedłszy do tego punktu w kreśleniu swéj postaci, Gabryela robi wielce zna-

mienną uwagę: „Na nieszczęście, tego całego przejścia rozwinąć nie można sumiennie, bo Golian-by wyklął; ale możnaby zdradziecko odzwierciedlić prawdę bez dodawania sądów; bez komentarzy przenieść się w osobistość księdza, nie dopowiadać słów przez niego niedopowiedzianych, nie analizować tego, co się w nim lub w niéj dziać mogło; nie zwewnątrz o nich pisać, ale po kronikarsku zzewnątrz; zachować akcent poważny temu, który mówi o zdeptaniu świata, i akcent entuzyazmu téj, która się ciągnie miłością ku niebu,—wreszcie zakończyć prawdą. Ludwika wyrzekła się rodziny, wyrzekła wszelkich dóbr przemiennych, odtrąciła doczesność, zamknęła się w celi klasztornéj i jest szczęśliwą. Niech wody przepłyną nad górami, niech się wulkany pod nogami rozstąpią, niech ginie ojciec, matka, niech łzami cały ród ludzki opłynie: jéj dobrze, jéj spokojnie, bo oczy w niebie i w krzyżu Chrystusa utkwiła—jest szczęśliwą, a szczęśliwi przecież w każdéj sprawie zawikłanéj słuszność wygrywają“...

W związku z szeregiem myśli, które się złożyły na odmalowanie zmiany zaszłéj w Ludwice pod wpływem fanatycznego księdza, jest inny urywek pism Gabryeli, przedstawiający stosunek wiedzy do religii. „Zdaje się ludziom—powiada nasza autorka—iż póki tajemnicy w naturze, póty Boga w sercu ludzkiém; dlatego jezuici łatwo trafiają do przekonania władców i czułostkowych duszyczek, wychwalając świętość niециekawych prawdy tego świata umysłów; a nawet wiele poczciwych, z dobrą wiarą religijnych istot lęka się to pewnych faktów dowiedzionych, to pewnych przebłysków głębiéj sięgających badań, żeby im błogiego spokoju wiary nie zamąciły“. Ostrożność taką uważa Gabryela jako słuszną może „dla pojedyńczych wyjątków“, ale nie dla ogółu ludzkości, gdyż dla takiego ogółu, jéj zdaniem, prawdziwszy jest aforyzm wprost przeciwny umieszczonemu na początku rozumowania, czyli innemi słowy: „póki tajemnicy i nie wytłómaczonych zjawisk w przyrodzeniu lub w dziejach, póty zaprzeczenia religijnego w rozumie“. Przyznaje słuszność filozofom, utrzymującym, iż tajemnica była jedyném źródłem religii, ponieważ „całe epoki i ludy całe tak często brały jakiś niezbadany fenomen natury za Boga swojego, a jakąś pomyłkę za jego prawo, czy też co najmniéj za cud jego doraźnéj woli“. Lecz prawdziwa, głęboka, istotna religijność może naprawdę zapanować wtedy dopiero, gdy wszelka tajemnica się usunie, gdy wiedzą obejmiemy cały wszechświat i przekonamy się, co jest nad ten wszechświat wyższego, doskonalszego, mędrszego. „Wtenczas tylko—mówi Gabryela—gdy się zakończy praca ziemska na rozpoznanie prawdy, może się zacząć praca niebieska na zdobycie zbawienia. Wspól-

na jedynie, rozpowszechniona, zasobna we wszelkie szczegóły prawda może być zdrowym i trwałym materyałem, z którego człowieczeństwo wspólne swoje ideały wyznaczać i w który wcielać je będzie. Gdy się zrozumie naturę, dopiero spokojnie i zgodnie wszyscy uwierzą w Boga". Na gruncie takiego przekonania zwraca się Gabryela przeciwko nieprzyjaciołom nauki, lękającym się, żeby oświata nie nadwerężyła wiary: „Łaskawy księże, dajmy na to, Golianie!—woła—zakazujesz nam się uczyć chemii i fizyki; albożeś zapomniał o tém, że wszelka prawda od Boga pochodzi, czy też rozróżniasz i gatunkujesz prawdy na naukowe i moralne, ziemskie i niebieskie,—to jakbyś Boga na wyższego i niższego rozdwajał, boć wszelka prawda od Boga pochodzi, więc gdy jest prawdą, jest zupełnie równa prawdzie drugiéj, a niéma prawd dyabelskich, bo dyabeł tylko ojcem wszelkiego kłamstwa jest; żadnéj prawdy niéma w nim, ale on jest w każdém kłamstwie i w każdym kłamcy; a Bóg jest w każdéj prawdzie i w każdym prawdę mówiącym—i bożą jest każda prawda, bo każda jest równie niezmienną i nie uchyloną i konieczną. Tak to jest bożą prawdą, że trzeba kochać bliźniego, jak i to, że woda z 1 części wodoru a z 2 części kwasorodu się składa. Nie przemożesz tego, że zawsze ludzie źli będą i ludziom źle będzie, gdy nienawidzieć zaczną miasto kochać i miłować, — i nie przemożesz tego, aby $2 + 2 = 4$ nie było. Ani dla ciebie, ani dla papieża Bóg tego cudu nie zrobi".

II.

Do drugiego działu zaliczam te okruchy twórczości Gabryeli, w których podaniową czy mityczną treść do opracowania brała, ponieważ wątek taki odpowiada téj fazie jéj wykształcenia, gdy pod wpływem zwrotu do poezyi ludowéj pisała „Mainę i Kościeja", „Lilie" itp. Tego rodzaju pozostałości mamy tylko dwie, tj. początek „pieśni o Lechu" i powieść o „Peryi".

Niewątpliwie, pomysł pieśni o Lechu powstał z duszy poetki wpierw, nim Deotyma swego „Lecha" jako pierwszą cząstkę „Polski w pieśni" ogłosiła; być może nawet, że wydrukowanie tego utworu spowodowało zaniechanie przez Gabryelę pracy w tym kierunku.

Według pomysłu naszéj autorki, matką Lecha była bogini, królowa Karpat, mająca tron na najwyższéj górze, ale ojcem—człowiek—guślarz. Piękny jest, wspaniały obraz siedziby macierzy lechowéj.

Dumnie, wysoko nad bratnie opoki
Góra ku bogom zabiegła w obłoki
I tak zabiegła, że piorunne chmury,

Pokłonem padłszy przed szczytem téj góry,
Nie śmiały powstać—tylko u jéj łona
Jak białych ptaków gromada strwożona
Zawisły lodem;—słońce ponad niemi
Lub nocą księżyc oczyma srebrnemi
Patrzył ciekawie. Ludziom tajemnica,
Co tam wzrok słońca widział lub księżyca...
. . . . Czasem w nocnéj porze
Nagle na niebie kraśne błyśnie zorze —
To łuną biją królowéj źrenice,
To ona patrzy, żeby olbrzym który
Skały marmuru albo złota góry
Nie wziął bezkarnie za państw jéj granicę.
Czasem pogoda na niebios powodzi
Żegluje w złotéj brata słońca łodzi
I znowu nagle przed górala okiem
Jak zdrada czarnym zaćmi się obłokiem;—
To ona także, to ona królowa,
Gdy smutną myślą zaciężу jéj głowa,
W błękicie niebios czoło sobie myje,
A cień jéj splotów słońce światu kryje:

Czasem wśród ogólnego milczenia na ziemi, w owéj górze cudowne jakieś rozlegają się dźwięki: „niby to lasy szumią ludzką mową, Niby łabędzie z hymnem pożegnania ponad śmiertelnych wzlatują mieszkania“. Poetka zwyczajem pieśni ludowéj, pyta, komu to królowa Karpat śpiewa:

Czy bogu Słońcu, że jéj tron lodowy
Rozświetla codzień połysk brylantowy?
Czy matce Nii, że z głębi pieczary
Stopy jéj grzeje podziemnemi żary?
Czy Poświstowi, czy bladéj Nocenie?

I odpowiada: Nie! Królowa nuci piosenkę synowi swemu,—który ma oczy „z tego kwiatu, co go po zbożach wiosna sieje latu, tylko z nich czasem cicha łezka ścieka I po téj jednéj łezce dyamentowéj Mógłby kto poznać, że dziecię królowéj Jest także dzieckiem człowieka“.

Raz syn ten ukochany, bawiąc się z matką, wziął w rączki „gwiazdę złotą, co jéj u czoła, jako kropla rosy U listka białéj lilii, błyszczała“, ale będąc synem człowieka nie mógł jéj utrzymać; gwiazda zleciała na ziemię, a Lech patrzył za nią tęsknie i błagał matkę, by go puściła, bo pragnął polecieć tam, dokąd gwiazda poleciała i widzieć to, co ona widziała. Królowa znając wyroki przedwieczne, nie sprzeciwiała się synowi, ale go pragnęła jeszcze przy sobie zatrzymać, kazała więc mu czekać, aż nazbiera ziela do napoju, który ma go najmężniejszym i najpotężniejszym uczynić. Był-

to „napój z wawrzynu“; po jego wypiciu Lech nagle z dziecka urósł na młodziana:

A jako kwiatkom w narodzenia wiośnie
Pod ziemią duszno i ciemno jak w grobie,
Póki mogiły nie odwalą sobie
I nowém życiem nie błysną na ziemi
Wolnym oddechem, listkami wolnemi;
Tak duszno, ciemno w górzystym obłoku
Lechowéj piersi, Lechowemu oku,
Nieznanéj żądzy niepojęta władza
Ledwo mu w łonie serca nie rozsadza;
Chciałby już siły doświadczyć ramienia,
Chciałby czy niebios rozwalić sklepienia,
Czy ziemię rozbić, czy świat stworzyć nowy,
Byle żył, działał dumny syn królowéj,

Matka chce go jeszcze przy sobie zatrzymać, choćby na dzień, choćby na chwilę jednę, gdyż bogini rozstając się z synem „Taką jest słabą, lękliwą i biedną Jak każda matka między śmiertelnemi, Jak każda biedna kobieta téj ziemi“. Zaczyna więc przekładać synowi niebezpieczeństwa, jakie go na ziemi czekają...

I na tém pieśń się urywa. Nie będąc zwolennikiem tworzenia wielkich poematów na tle mityczném w czasach dzisiejszych, nie czuję dotkliwego żalu, iż Gabryela pracę swą nad Lechem przerwała, lecz zarazem dodać muszę, że ze wszystkich znanych mi prób odtworzenia legendowéj postaci (Skorski, Woronicz, Deotyma), urywek powyższy ma najwięcéj prostoty i naturalności ludowéj, i najwięcéj wdzięku artystycznego.

„Powieść o Peryi“ należy do rodzaju alegoryi, przed laty wielce ulubionych. Gabryela podejmuje wątek przez Moore'a obrobiony i opowiada, jak jedna z owych istot szczęśliwych, igrających swobodnie w promieniach słońca lub szybko żeglujących po morzu obłoków, znudzona samémże szczęściem jednostajném i nieprzerwaném, zapragnęła poznać Radość i Cierpienie. Ponieważ jednak Radość trudno osiągnąć, bo jest daleko, postanowiła spróbować Cierpienia i zleciała na ziemię. Na pierwszym zaraz wstępie spotkała się ze śmiercią młodéj i pięknéj dziewczyny, która jeszcze ani życia ani szczęścia nie zaznała, a opuścić musiała matkę ukochaną, co drżąca i blada trzymała na piersiach jéj głowę bezsilną. Zdawało się Peryi, że to najwyższy stopień cierpienia, lecz gdy ujrzała, iż córka i matka znajdują pociechę w wierze, w nadziei życia przyszłego, zrozumiała, że są bóle sroższe. Po śmierci dziewczyny, Perya wleciała w serce osieroconéj matki, która cierpiała każdéj chwili aż dotąd, póki z uśmiechem nie powitała zgonu, co ją od

cierpień wybawił. Gdy Perya sądziła, że już cięższéj boleści nie dozna, ujrzała „wśród ciemnych drzew białą szatę pięknéj dziewicy: oczy łzami zalane, pierś łkaniem rozdarta, a w ustach smutne słowo: nigdy!“ Był to dla Peryi widok całkiém nowy: „ta boleść bez choroby, ten smutek bez grobu.“ Połączywszy się z duchem cierpiącéj, uczuła, że „jedna chwila zniszczyła dawne, dawne, ale wielkie szczęście, że przeszłość i przyszłość jéj życia rozdzieliły się jakby gromem piorunu zerwane, że jak długie, jak powolne dni płynąć będą, tak ona dnia żadnego żadną nie powita nadzieją.“ Wtém zdaleka słyszéć się dały śpiewy wesela i zbliżył się orszak godowy; dziewica powstała nagle, otarła oczy, uśmiechnęła się nawet. Wówczas Perya „tak mocną, tak niepojętą uczuła boleść, jakiéj we wszystkich wspomnieniach smutku znaleść nie mogła, i bezsilna w łzie ukrytéj na bukiet dziewicy spadła. Chwil parę minęło, nim zdołała powietrzne skrzydła rozwinąć.“ Poznała już całą naukę cierpienia; wiedziała, że smutno umierać, smutniéj płakać umarłych, ale najsmutniéj w cierpieniach być wesołą. I chciała wrócić między dawne towarzyszki, ale zatrzymał ją anioł promienny, wskazując otwarte niebios podwoje i mówiąc: „Pójdź, siostro moja, bo kto cierpiał na ziemi, ten potém z nami w raju szczęśliwym być godzien!“

III.

Obrazki z życia rzeczywistego—ale już nie pensyonarskiego—jakby wyjęte z „Książki pamiątek“ albo „Białéj Róży“, stanowić mogą trzeci dział pozostałości po Gabryeli.

Mamy tu rozpoczęte dzieje wędrówki młodéj nauczycielki, sieroty, któréj na poczcie nikt nie żegnał, nikt rad i przestróg nie udzielał, jadącéj przez Łomżę do Wielkich Gruckich, gdzie miała zastać wdowca nadętego a skąpego. W liście smutnie ironicznym opisuje nauczycielka stryjowi na Ukrainie, jedynemu przyjacielowi i opiekunowi, szczegóły téj podróży, a mianowicie spotkanie się z rubachą-szlachcicem, nienawidzącym panków dumnych, żartującym grubiańsko po za oczyma z panny guwernantki. Nauczycielka postanowiła go obłaskawić i użyła wybiegu, jak dla zabawienia dzieci, boć istotnie ten rubacha dzieckiem był pod względem umysłowym. Nie zwracając więc na niego niby żadnéj uwagi, wydobyła śliczną edycyą ilustracyi Grandville'a: „Les animaux peints par eux-mêmes“, w któréj między stronnicami znajdowało się mnóstwo innych to karykatur, to poważniejszych obrazków wsuniętych, to kopii zrobionych przez samę nauczycielkę, to fotografii wreszcie.

Piękna oprawa i złociste brzegi książki już zrobiły lekkie na szlachcicu wrażenie; wstał, przeszedł się niby do okna i zerknął ku książce. Podróżna otworzyła ją w najefektowniejszém miejscu, gdzie słoń-bankier wielmożność swoję dźwiga. „Żabie oko“ szlachcica dojrzało czegoś i zadziwiło się. Nauczycielka niewzruszona w swéj obojętności przewróciła kilka stronic i zatrzymała się na sroczce dowcipnéj, w takiéj pozycyi rozłożywszy album przed sobą na stole; poczém zaczęła czegoś szukać w pugilaresie; pugilares z rąk się jéj wysunął, a gdy go podnosiła, szeroki rękaw od sukni zrzucił książkę na ziemię — i wszystkie obrazki w nią włożone rozsypały się po izbie.... Karczmarka krzyknęła, jéj mała dziewczynka krzyknęła także i pan szlachcic krzyknął nakoniec; potém na wyścigi jedno przez drugie zaczęli zbierać z podłogi. Nie prędko zbiór nastąpił, bo się różnemi wykrzyknikami przerywał: „Co to za śliczności! Co to za dziwne rzeczy!“ — ale wreszcie każda pomocnicza ręka wyciągnęła się ku nauczycielce ze swoim plonem. Mała dziewczynka za swoję uczynność została upoważnioną, aby sama sobie jeden z kilku podniesionych obrazków wybrała; szlachcic zaś sam się upoważnił i zaczął trzymaną w ręku kolekcyą przeglądać. Trafił na przerysowane z Grandville'a figury. — „A cóż to są za dziwolągi? czy to gdzie tacy ludzie naprawdę żyją?“ — zapytał, a reszta towarzystwa przybliżyła się ciekawie. — „Nie, panie — objaśniła podróżna — to jest tylko przez żart zrobione, żeby wyśmiać różne wady ludzkie. Naprzykład widzi pan tego słonia?... On ma przedstawiać pychę bogacza, co się między ludźmi jak słoń między zwierzętami rozrasta i kiedy stąpa zgóry, to drobniutkie stworzenia na miazgę gniecie, a nawet nie widzi, co mu się tam pod nogami plącze—komar lichota czy bliźni pachołek. Niech się pan przypatrzy téj trąbie odętéj.“ Szlachcic z nadzwyczajném zajęciem patrzył na słonia a szczególniéj na trąbę i na grube nogi; jego dotychczas bardzo niewinne oczy błękitne zaczęły ciemniéć trochę i migotać złośliwie; cienkie nozdrza nerwowém drganiem zadygotały, usta wykrzywiły się, aż przykro było patrzéć. — „Oj! tak! tak! — znam ja ich — odezwał się po chwili dziwnie skandowanym głosem, w którym zaciekłość i nienawiść dźwięczała.—Oj! tak! tak! zgóry stąpają po ubogich pacholkach, choćby to byli bracia ich rodzeni; wszyscy oni tacy; znam ja ich—słonie z odętemi trąbami. Dobrze też to będzie, jak pani taki konterfekt do Wielkich Gruckich zawiezie“— i grubym śmiechem uzupełnił napomknięte przystosowanie. — „Aż chciałbym wiedziéć, co pan Krezus powié, jeśli mu pani kiedy da tę książkę do obejrzenia.“ Nauczycielka spojrzała pytająco na szlachcica, a ten się rozśmiał i zamieniwszy spojrzenia z propina-

torką, zawołał głośniéj, jakby dla upewnienia siebie, że robi dobrze: „To i cóż? Przecież nie sekret; jeśli pani nie słyszała dotychczas, to prędzéj czy późniéj usłyszy niezawodnie, że pan Grucki z Wielkich Gruckich jest wszędzie na okolicę Krezusem nazywany. Mógłby gorszy nosić przydomek. Jeno nie mnie tam mówić, kim on jest, ni téż, kim ja jestem. Nie chcę, żeby mię ludzie posądzali o zazdrość, albo o czepianie się złotych klamek. Pewnie p. Krezus nie lubi nas przed obcymi wspominać i my téż o nim wolimy milczéć. Gdybym tego słonia z odętą trąbą nie zobaczył i gdybyś mi panienka sama nie powiedziała, że ma być pysznego bogacza wyobrażeniem, tobym pewnie języka sobie nazwiskiem jego nie psuł. Przy zdarzonéj sposobności możesz mu panienka wszystko, co tu mówię, słowo w słowo powtórzyć, a może i saméj przyjdzie kiedyś co ostrzejszego dodać. Nie daj Boże! nie życzę nic złego panience, ale przestrzeżony lepiéj się strzeże...“

Aż żal się rozstawać z tą tak delikatnie a jednak tak wyraziście zarysowaną postacią szlachcica-rubachy, poczciwego zapewne w gruncie, ale ze zwykłą ludziom zapracowanym zawiścią patrzącego na pysznego „Krezusa“; zaciekawia téż i ten Krezus zwłaszcza w stosunku do przyszłéj nauczycielki jego dzieci, i nauczycielka i ten poczciwy stryjaszek, którego z napomknień piszącéj list poznajemy jako ukochania godnego człowieka... Wszystkie wyobraźnią snute obrazki z rysów, jakie pozostały, muszą się rozwiać, gdy się dochodzi ostatniéj kartki, kończącéj się zdaniem urwaném.

Wiele realizmu a nawet niezwykłéj u Gabryeli powszedniości mieści drugi urywek, malujący pożycie państwa Kiełczyńskich. P. Onufry Kiełczyński miał nieco burzliwą młodość: ze dwa o jakąś aktorkę pojedynki, ze trzy o jakieś niedoszłe zaręczyny historye, a mniejszych awanturek przy kartach czy przy kieliszku, z wierzycielami, którym figle płatał, lub z dłużnikami, którzy od niego pieniądze wyłudzali, w samę miarę, jak na modnego warszawiaka przystało. Takiego - to kawalera potrafiła przywiązać do siebie i całkowicie nim zawładnąć kobieta nie mająca prawie najmniejszego poczucia estetycznego, nie posażna, lecz gospodarna, rozumna i jak artykuł kodeksu stanowcza. Sposób, w jaki tego dokonała, opowiada autorka krótko, ale bardzo charakterystycznie. Panu Onufremu — powiada — w pierwszych miesiącach pożycia małżeńskiego „zdarzało się czasem do koleżków na partyjkę pociągnąć i większą część nocy z nimi przesiedziéć: pani Kiełczyńska wtedy przy śniadaniu nazajutrz nie omieszkała zaraz z surowém połajaniem wystąpić, a kiedy łajała, to się tak jakoś ciemne brwi nad błękitnemi oczami surowo zsuwały, i nosek, szablasty trochę, tak

dumnie rozdymał, i głos nabierał takiego ostro stanowczego tonu, że najobojętniejszy człowiek byłby zapragnął wówczas gorąco nic nie mieć sobie przeciw niéj do wyrzucenia. Prawdy nie obwijała też w bawełnę; głupstwo nazwała głupstwem, łatwość do pójścia za złemi radami — słabością charakteru, lekkomyślne niedopełnienie biurowych obowiązków — próżniactwem, zadomowe rozrywki — marnotrawstwem. A jeśli pan Onufry chciał się usprawiedliwiać, nigdy dłuższéj nie dopuściła rozprawy; uśmiech jak słońce zza chmur na twarz występował, serdeczna dobroć, jako prawa dziedziczka, do oczu wracała. — Nie mówmy już o tém więcéj—rzekła z właściwém sobie ręki poruszeniem, i na prawdę miała rzadki talent niemówienia już więcéj o tém, co raz powiedziała. Szczęśliwym zaś trafem p. Kiełczyński nie miał talentu żadnéj sceny podobnéj ani przeproszeniem zakończyć, ani w sprzeczkę przeciągnąć; żona nie dała się okłamać i rozrzewnić, nie dała zniecierpliwić i rozdrażnić. Od nadużycia do nadużycia nie czuł się więc ani przebaczonym, ani wojującym; czuł się tylko w nader korzystném dla siebie zawieszeniu pod prawem łaski. Łaska była wdzięczna, wesoła, promienna, swobodna, toć i nie osobliwość, że coraz więcéj zasługiwać się na nią starał. Jak jeszcze w drugim roku małżeństwa córeczka śliczna z matki oczami na świat przyszła, tak pan Onufry do ostatniéj literki stare zrzeczywistnił przysłowie: kto się ożeni, to się odmieni— i odmienił się zupełnie. Odkleił się bezpowrotnie od dawnych stosunków swoich, zachował te znajomości jedynie, które mu z żoną wspólne były, a i z nich nawet niewiele na urozmaicenie życia dziesięciny wizytowéj oddawał społeczeństwu, bo tak się jakoś okazało, że w biurze przybyło mu roboty, a w domu zajęcia. Dzień po dniu potrzebniejszym się stawał panu dyrektorowi i miał coś sprawić lub dopilnować dla pani inspektorowéj; to się w daleką drogę na objazd wybierał; to z objazdu wróciwszy, musiał odpocząć przecież, a jak odpoczął, musiał rzemieślników godzić, by coś w mieszkaniu poprawili; pilno mu było nowe szafki poustawiać, papiery i książki swoje ułożyć, pomysł jakiś gospodarski w wykonanie wprowadzić; — a szczególniéj jeśli go kto na ulicy zatrzymywał, pilno mu było do domu wracać, bo o swoje maleństwo był niespokojny.“

A jak trafnie skreśliła autorka to ugłaskanie lwa salonowego przez rozumną i taktownie a stanowczo postępującą kobietę, tak pięknie i wymownie odmalowała budzące się uczucia ojcowskie w owym birbancie, gdy przy urodzeniu drugiéj córeczki i przy długotrwałéj a ciężkiéj słabości żony, musiał nad niemi troskliwą rozciągnąć opiekę. Nic prawdziwszego nad następne zestawienie róż-

norodnych uczuć i wzruszeń: „Pan Kiełczyński różnych niegdyś doznawał wrażeń; wiedział, jak serce uderza naprzeciw pistoletowéj rurki, jak nerwy drgają mimowolnie przy zielonym stoliku, zwłaszcza gdy się na kartę ostatni tysiączek dziedzicznéj schedy postawi; niestety, wiedział o tém i gdyby nie komunikacye lądowe i wodne a w komunikacyi dawny rodziców przyjaciel; gdyby nie zdolności inżynierskie, których sam w sobie się nie domyślał, byłby może zapoznał się z dramatyczniejszemi jeszcze przegranéj następstwami;—bądź co bądź, wiedział już, z jakiém usposobieniem wewewnętrznem człowiek swoję przyszłość na grę losu ciska; wiedział też, z jaką niespokojnością młody szaleniec pierwszéj odpowiedzi na pierwszy list miłosny czeka, z jakiém tętnieniem w skroni na wyznaczoną schadzkę potajemnie przychodzi, z jaką febryczną trwogą śledzi spojrzeń zalotnéj a niepewnéj choć tryumfalnie zdobytéj wobec współzawodników piękności; wiedział o tém wszystkiém bardzo dokładnie, a jednak przekonał się, że stokroć jeszcze żywszych wzruszeń dostarczała mu ta istota, co ją w kołysce ledwo dojrzéć można było wśród zasłon i poduszeczek, taka maleńka, a taka przerażająca bezbronném niedołęstwem i uroczystością tajemnicy, taka zdaje się łatwa do uszkodzenia przez byle nieostrożność, taka zagrożona śmiercią i znicestwieniem przy byle poruszeniu mniéj zręcznem, przy byle ruchu ostrzejszym, a taka już konieczna sercu do szczęścia, nadziejom do przyszłości; możnaby ją zgnieść jak robaczka mimowolnie, a przyszłoby potém żałować całe życie więcéj niż straconego skarbu i boleśniéj wyrzucać sobie prosty brak uwagi, niż w namiętném uniesieniu popełnioną zbrodnię“...

Dwie córki tego małżeństwa, różne usposobieniem, ale dobre, rozumne i posłuszne dopełniały składu téj szczęśliwéj, miłéj dla oka bliźnich rodziny, nie idealnéj wprawdzie, nie oddziaływającéj przykładem swoim na szersze koło towarzyskie, ani służącéj pracą wyższemu celowi narodu czy ludzkości, ale zacisznéj, nikomu na drodze nie stojącéj, owszem ślimaczo trochę we własnych kącikach przytulonéj i z siebie saméj zadowolonéj.

Dalszych dziejów téj rodziny nie znamy; znowu na początku zdania kończy się karta. Obok niéj leży samotna, ledwie w połowie zapisana a opowiadająca powrót z dalekich stron wojaka, który dążąc do kraju ani się spodziewał, iż większéj części osób ukochanych już nie zastanie, choć oni żyli w pokoju, a on na wojnie.

Na sam koniec zachowałem wzmiankę o urywku najdłuższym, który podaje obecnie „Ateneum“ w całości, jak się dochował. Ma on ze wszystkich dotąd wzmiankowanych wartość artystyczną największą; talent analizy psychologicznéj jaśnieje w nim w pełni swego blasku.

Wyborny tu jest obrazek starego kawalera rejenta, Józefa Kownackiego, spisującego swoje wspomnienia po części z nudów w Zielone święta podczas drobnego jednostajnego deszczu, po części dla zrobienia miłéj niespodzianki jednemu przyjacielowi, z którym na stopie zupełnéj ufności pozostaje, wikaremu „Piętaszkowi“, co nie potrafił rozumnemi i do pojęcia słuchaczów zastosowanemi kazaniami przyciągnąć wielkiego świata małego miasteczka do swojéj fary, gdyż świat ten wolał uczęszczać do kościoła klasztornego, gdzie na jego zmysły więcéj działać umiano. Znakomity jest wizerunek Feliksa Królewskiego, wychowańca uniwersytetu, z pogodną powagą zapatrującego się na ciężkie zadania życia, bystrego obserwatora ludzkich charakterów, obywatela przejętego ważnością swych obowiązków, a przytém miłego, pociągającego człowieka. Sylwetka lekkomyślnéj Walentyny, która była powodem starokawalerstwa Kownackiego, zarys obyczajów małego miasteczka, obrazek dziecinniejącego proboszcza dopełniają te dwa wizerunki, których znaczenie artystyczne jest tak wielkie, że i bez powieściowego zaokrąglenia zainteresować mogą czytelników subtelnością rysów i bogactwem treści. Nadałem urywkowi nadpis: „Wspomnienia rejenta“ którego w autografie niéma, ale który wydał mi się odpowiednim do treści. Wyjątkowo daje się on nawet trochę ściśléj chronologicznie co do czasu powstania swego określić. Jest w nim wzmianka o światełku w chacie góralskiéj, obrazie p. W. Gersona; ponieważ zaś obraz ten wystawiony był, jak mi autor objaśnił, dopiero pod koniec r. 1868; więc oczywiście utwór Gabryeli dopiero po tym czasie mógł być napisanym. Dla wyczerpania téj wzmianki o spuściznie literackiéj po Gabryeli, dodam jeszcze nieco o planie powieści p. t. „Nienawiści rodzinne“, o artykułach luźnych publicystycznego charakteru i aforyzmach.

Plan owéj powieści jest bardzo ogólnikowy; treść, nasunięta widocznie jakiémś zdarzeniem rzeczywistém, przedstawia rozstrój rodzinny pod wpływem rozrzutnego a władzy chciwego dziadka, rozstrój do pewnego przynajmniéj stopnia powstrzymany przez rozumną i energiczną nauczycielkę. Nie widać jasno z planu, jaką myśl zasadniczą chciała przeprowadzić autorka; że jéj chodziło o leczenie moralne upadłego charakteru, to dwukrotnie akcentuje; ale szczegółów tego leczenia nie rozwija oprócz napomknienia o niewłaściwém stosowaniu środków religijnych do natur niskich i pospolitych.

W artykułach i aforyzmach dotykała Gabryela najrozmaitszych kwestyi; najczęściéj i najchętniéj, jako autorka „Geografii“, zajmowała się sprawą ras, dziedziczności wad i przymiotów, a stąd

teoryą Darwina. Była téj teoryi zwolenniczką i na jéj podstawie budowała swój „ideał ludzki". Gwałtowne przerzucanie się z jednego stopnia na drugi, strącanie czy podwyższanie uważała za bezowocne a tém samém „na czas wiadomy, historyczny" za szkodliwe; na mocy prawa stopniowego rozwoju tłómaczyła fakt, że „ludy sztucznie do wyższéj cywilizacyi przynaglane łamią się w niéj i niszczeją." Ani Hawajczycy ani Maorysy—powiadała—nie zniosą dzisiaj oświaty europejskiéj, nie wydołają choćby pamięciowemu ogarnięciu tego, co „praca ludzka w majątek wspólny rozpowszechnionych wiadomości złożyła", podobnie jak rosłe chłopaki bez zdolności umysłowych, nie mogąc wydołać pracy nabywania szkolnych wiadomości, marnieją. „Ideałem ludzkim" jest „rasa z wielkiemi zdolnościami umysłowemi, z organizacyą wstręt mającą do okrucieństwa, z krzepkiém zdrowiem, z wrodzoną chęcią i siłą do pracy". Takiéj rasy jeszcze nie ma, zdaniem Gabryeli; wielkich zdolności nie brakuje w Anglii, Francyi, Niemczech, wśród żydów; krzepkie zdrowie, Skandynawów, Amerykanów może ród ludzki zasilić, są lude całe pracowite jak mrówki w Azyi i w Europie, tylko nié ma jeszcze ludu ze wstrętem do okrucieństwa. Ponieważ Gabryela wierzy najmocniéj, że treścią ostateczną rozwoju jest udoskonalenie rasy ludzkiéj, sądzi więc, że „taka plemienność" ze wstrętem do okrucieństwa kiedyś się przecie wykształci.

Jako wielbicielka potęgi woli ludzkiéj, Gabryela, chociaż odczuwa niekiedy niezwalczoną konieczność, broni przecież wytrwale idei wolności ducha, a za najoczywistszy jéj dowód poczytuje wybór badań naukowych przez jednostkę. „Dajmy na to — powiada— że kto źle trawi, jest cierpki, popędliwy, nawet okrutny; jeszcze nie idzie za tém, by kto miał najprawidłowiéj system mózgowy rozwinięty,—użył go koniecznie do śledzenia wymoczków w kropli wody lub do gotowania różnych płynów w retorcie. Wiedza naukowa jest zenitem, do którego wolność indywidualna sięgnąć może; wolność ta nauką się zatwierdza; dla nauki, dla wiedzy, dla poznania jedynie zdać się na co może człowiekowi".

W kwestyi nieśmiertelności widzi jasno i napewno dwa jéj rodzaje: przez wydanie na świat istot do siebie podobnych i przez wpływ. „Gdyby kto—powiada—nie miał ani dzieci, ani wpływu na nikogo z mających dzieci dokoła, toby i odpadł w niebyłość. Tylko nie wiem, czy jest podobną rzeczą nie mieć wpływu, choćby przez wywołanie wrażeń litości, oburzenia, grozy czy miłosierdzia; człowiek koniecznie działa na człowieka, chyba... w pustelniach nikomu nieznanych, w klasztorach przed wszystkimi zamkniętych". Jest to zatém nieśmiertelność antropologiczno-historyczna, co się zaś tyczy

metafizycznéj, to przekonanie się o niéj zostawia Gabryela przyszłości, w któréj będzie lepiéj na ziemi, mówiąc: „Jak się życie indywidualne tu na ziemi tak ubezpieczy sprawiedliwością i dobrem, że nie będzie potrzebowało na pociechę lub zemstę—zagrobowych wyroków, na zachętę lub grozę—innych światów i innych bytu warunków; wtedy nieśmiertelność duszy zatwierdzi się i wytłómaczy“. Upewnienie się więc o zagadnieniu, które w młodości najżywiéj duszę jéj zajmowało, odkładała poetka na późniéj, ale go nie rozwiązywała przecząco; była konsekwentną; wzdychała do chwili, gdy nauka, umiłowana w ostatnim okresie życia z młodzieńczą niemal gorącością wszystkie tajemnice świata rozwiąże, i gdy postęp, pod hasłem którego zawsze walczyła, wszystko złe na ziemi usunie. Z tą nadzieją, która mogła wiele cierpień osłodzić, lubo nie usunąć, zeszła Gabryela do grobu.

Piotr Chmielowski.





WSPOMNIENIA REJENTA.

Człowiek, który się różni od zwierząt rozumem i mową, jak wszyscy o tém dawno już z gramatyki Kopczyńskiego wiedzą, człowiek, który przez rozum może poznawać rzeczy i o nich rozmyślać, a przez mowę, zawsze według tejże saméj gramatyki, może objawiać innym myśli swoje, nigdy w życiu nudzić się nie powinien— a jednak ja się okropnie nudziłem dzisiaj przez cały pierwszy dzień Zielonych Świątek. Najpierwéj trzeba wiedziéć, że nie miałem koło siebie żadnéj rzeczy do poznania, bo wszystkie już znam od lat mniéj więcéj pięciu, potém nieraz choćbym téż i rozmyślał o nich, to nie mogłem objawić innym myśli moich, bo nie było przy mnie nikogo. Jestem rejentem z łaski świętéj dla mnie pamięci czcigodnego pana Wo...., który mi do otrzymania téj posady wielce dopomógł, — mam około dziesięciu tysięcy na rok, pracy poddostatkiem, ale nigdy do zbytku, potrzeby ciała i duszy rozsądnie ograniczone, temperament łagodny, prowadzenie moralne i z tém wszystkiém żyję samotnie, — zdaje mi się, że głównie z niełaski panny Walentyny, która onego czasu wolała młodego aplikanta sądowego niż mnie, chociaż już byłem podpisarzem; chociaż jéj matka, jéj ciotki, jéj wuj sędziwy daleko więcéj mnie sobie życzyli— ale panna Walentyna mnie sobie nie życzyła, i poszła wkrótce za swojego aplikanta—teraz oboje są bardzo nieszczęśliwi—nie z jego, ni z jéj winy broń Boże— gdybym był najmściwszym człowiekiem, jeszcze by mi się nie godziło ich nieszczęściu urągać. Ona jest zawsze kochaną i kochającą żoną — on był i jest poczciwym chłopakiem, tego zaprzeczyć nie mogę, jakkolwiek zarozumiałość jego często mię raziła. Świéży z uniwersyteckiéj ławki teoretyk, o wszystkiém śmiało wyrokował, nas starszych rutynistami nazywał, dowo-

dził, przewodził, szydził z praktyczności na połyskliwym lodzie jego systemacików nie zbudowanéj, bądź-co-bądź jednak lepiéj się odemnie pannie Walentynie podobał — tymczasem lód stopniał, systemaciki się porozbijały, biedni ludzie z dwojgiem dzieci w świat szeroki poszli.

O panno Walentyno! szanuję cię bardzo, nie wymawiam przeszłości, lecz mimowolnie na myśl mi przychodzi, że gdybyś mieszkała w tych trzech schludnych, ciepłych, spokojnych pokoikach,— piszę w trzech—ale pewnie drugie trzy bym przynajął dla tych twoich dwojga dzieci prześlicznych — gdybyś tu więc była, gdybyś siedziała w tym samym fotelu, w którym ja siedzę, i poprawiała drewek na tym samym kominku, na którym ja całe poobiedzie, w różne jeometryczne figury tlejące głownie ustawiałem, gdyby zwłaszcza dwoje owych stworzonek psotnych i hałaśliwych kręciło się tu i owdzie, przewracało po dywanie, deptało po krzesłach i po kanapie, zaiste, meble nie tak świéżo by wyglądały i musiałbym się nieraz jakiéj nowéj książki wyrzec, żeby na inne pokrycie ich uzbierać — ale z pewnością nie nudziłbym się tak upokarzająco jak dzisiaj.

Gdziekolwiek jesteś, jeśli kiedykolwiek czytać będziesz te słowa, panno Walentyno, nie tłómacz ich sobie jednak zbyt poetycznym językiem. Miałbym za sobą prawo faktu, gdybym chciał się niezachwianą wiernością pochwalić, lecz prawo sumienia czynić mi tego nie dozwala. Wierność moja chwiała się i bardzo chwiała nawet — nigdy téż sobie i nie powiedziałem, że wiernym będę do zgonu, że miłość moja przetrwa jéj obojętność, a kiedyś podziwienie lub żal niewdzięczny wzbudzi. Przeciwnie, w pierwszych zaraz chwilach, gdy widziałem co się święci, chciałem coprędzéj klin klinem wybić; uczucie, przez które cierpiałem, zastąpić uczuciem, które by mi szczęście przyniosło—z początku nie mogłem, potém, potém byłbym mógł, nareszcie spotkałem raz i drugi ładne jak kwiatek, miłe jak koteczka dziewczątko, ale już mi się jakoś na stanowczą do oświadczenia odwagę nie zebrało. Przypuszczam, że Józię byliby mi dali, a Karolcia może sama byłaby mię wzięła — tymczasem różne rozmysły, namysły czas mitrężyły i tak z jedną jak z drugą na niczém—przepraszam—tylko na miłém wspomnieniu się skończyło.

Czy doprawdy raz w życiu jedna jedyna chwila daną jest człowiekowi na miłość, jak księżycowi jeden dzień na pełnię w miesiącu? Czy doprawdy raz w życiu kochamy całą męzką, zdobywczą siłą naszą, a późniéj gdy się ten pyszny fajerwerk na powietrzu spali, i trwałego materyału ogniem swoim nie zajmie, to kochamy słabością naszą, z potrzeby towarzyskiéj — ot tak, jak ja - bym dzi-

siaj pokochał—z nudów krótko mówiąc. Nie rozsądzam jeszcze téj sprawy, bo mogę nieznane mi akta gdzie znaleść. Bardzo dobrze wiem o tém, że mię już do niemłodych kawalerów zaliczają, ale każdy mi przyznaje, że lepiéj i czerstwiéj od wielu młodych wyglądam, sam też niezawodnie na duszy i na ciele młodszym się czuję od tych lalek bibułowych, co dziś trzewiki zamiast butów noszą — nie mam ja piersi na miarę Fidyasza, ale mam w piersiach serce na wagę łez i szczęścia, obowiązku i sumienia. No, nie o tém chciałem pisać....

To serce moje pomimo swojéj gatunkowéj ciężkości nudziło się dzisiaj fatalnie. Już powiedziałem, co być może jako okoliczność łagodząca winę uważaném; lecz ponieważ to się raczéj do ciągu mego życia stosuje, niż do dnia dzisiejszego, a ja właśnie rzadko kiedy w ciągu życia tak się nudzę jak dzisiaj, więc czemu dzisiaj? — rozważę.

Może dla tego, że Zielone Świątki nie dotrzymały programu swego tytułu i wcale nie zielone są lecz szaro - ołowiano - brudno-popielate. Deszcz pada ciągle od wczorajszego wieczora z wytrwałą jednostajnością, równiutkiemi, drobnemi kroplami, jak gdyby kto maszyną angielską zobowiązał się pewną przestrzeń stałego lądu, niby cukru kawałek w zimnéj wodzie, rozpuścić. Wiatr nawet nie zaświszcze dla urozmaicenia téj miarowéj kapaniny. Wróble się nudzą na dachach, muchy się nudzą na ścianach, trawa się nudzi wśród błota, założyłbym się, że i słońce nudzić się musiało wśród chmur—nic więc dziwnego, że ja także; — a może nie,— czyż to ze mnie delikatna kobiétka nerwowa, żebym do tego stopnia wpływom atmosfery ulegał? dotychczas jeszcze nie czułem w sobie podobnego usposobienia. Prędzéj to będzie przyczyną, że mój kochany księżunio wyjechał na wieś do swoich znajomych i zostałem jak Robinson na bezludnéj wyspie przez Piętaszka opuszczony. Nie nazywam się w tém porównaniu Robinsonem dlatego, bym sobie jakąkolwiek umysłową, lub rasową wyższość przyznawał, ale ze względu chronologicznego. Ja pierwszy osiadłem tutaj, on zaś dopiéro w dwa lata późniéj przybył i sam Piętaszkiem się zamianował.

Bezludna wyspa, na któréj mieszkamy, jest zupełnie do małego miasteczka podobna — ze wszech stron oblana koloniami rządowych i donacyjnych włościan, bardzo nisko nad poziom granicznego morza się wzniosła, grunt jéj dziwnie też zdradliwy i płytki, od kamienicy do kamienicy przejść nie można, żeby się o jaką grubą plotkę nie potrącić, lub w chwasty jakiéj czarniutkiéj intryżki nie wplątać, a stanąć tylko na chwilę i nie uważać na siebie, to ziarnka piasku zaczynają ci się z pod nóg usuwać, i wzbierają, wzbierają

coraz wyżéj i zasypują się coraz głębiéj i nie spostrzeżesz nawet jak z głową się zanurzysz po sam mózg w preferansie; wielkie szczęście twoje, gdy niebezpieczniejszych pokładów lancknechta, lub majorkowych buteleczek unikniesz. Nic cię już wtedy nie odratuje, żadnéj gałązki nikt ci nie poda, żebyś mógł się uchwycić czegoś, kogoś i na wierzch wydobyć. Trzeba koniecznie prewencyjnéj czujności dokładać. Pilnować się, budzić, tabaki choćby z najniedorzeczniejszéj książki zażywać, a w miejscu nie stać zbyt długo.

Oj, trudne to, trudne zadanie, wszystko stwarzać koło siebie własnym przemysłem, by się do obywania nie przyzwyczaić. Kiedy czasem obejmę myślą całość już przezwyciężonych przeszkód i niepodobieństw, kiedy się zastanowię ile brytońskiéj zaciętości, amerykańskich konceptów zużyć musiałem, nim sobie wyrobiłem niezależność czterech godzin na dobę i spokój dni świątecznych, nim zebrałem garstkę tych książek, co półeczki dwóch szafek zapełniają ledwie, nim odkryłem lub raczéj wyrąbałem drogę do świeżych literackich źródeł. Kiedy to wszystko wezmę w rachunek, to mi się aż głowa zawraca i pytam sam siebie: nie jestem li ja wielkim chociaż światu nieznanym geniuszem? Dopiéro gdy z bezludnéj wyspy mojéj do ludniejszych trochę zapłynę krajów, wszystkie te pryszcze dumy ogasają, durzeją w gwarze, ruchu, nowościach,—czuję rozpęd dziesięciu lokomotyw, widzę rozbłyski dalekich słonecznych horyzontów, słyszę sto orkiestr, liczniejszych od Bilsego orkiestry—i znowu pytam sam siebie: nie jestem li ja wielkim idyotą, choć się tego ludzie nie domyślają. Według wszelkiego podobieństwa, nie jestem ani geniuszem, ani idyotą,—najsłuszniéj pono księżunio mię nazwał, gdy się różnym wyrobom moim przypatrzył—jestem Robinsonem na bezludnéj wyspie,— a księżunio mój kochany od czasu, jak tu przybył wprost z akademii duchownéj na wikarego przy starym i bardzo już niedołężnym proboszczu—jest Piętaszkiem moim. Razem się wspieramy i spieramy, jeden drugiemu pożycza swoich książek i jeden drugiego przeciw zaspom piaskowym broni—ale to broni co się zowie, bo nie zawsze prosta czujność wystarcza, koniecznie czasem odwagi cywilnéj użyć trzeba.

Ja naprzykład spokojny dopiéro wtenczas odetchnąłem, gdy znalazłem nakoniec jakiś powód do kłótni z burmistrzem. Już chciałem dać za wygranę, tak był ciągle uprzejmy, zapraszający i nawiedzający—daj mu Boże zdrowie w jak najdłuższe lata, ma pięcioro dzieci a wśród nich dwie córki dorosłe—lecz i dwie córki dorosłe nie przemogły preferansa, nie wzniosły się wyżéj, pomimo najmodniejszéj czubiastéj fryzury, nad grę w pantofla, niewinną ciuciubabkę i zajmujące szczegóły o wszystkich kapeluszach, jakie tylko

na wielkiéj mszy niedzielnéj bywają... nie u fary, gdzie szanowny Piętaszek celebruje, ale u księży... nie powiem jakich,—gotów bym skusić czyjąś domyślność i na ślad wprowadzić—dość będzie gdy objaśnię, że bezludna wyspa do małego miasteczka podobna, przedstawia na powierzchni swojéj dwa kościoły jeden się zowie Farą—drugi jest przy klasztorze.

Przed moim jeszcze osiedleniem się w téj stronie świata i po mojém osiedleniu się fara nie była uczęszczaną, wszystkie fartuszki jedwabne i kamlotowe, wszystkie z piórkami i bez piórek kapelusiki, nawet szuby atłasowe tumakami podbite a zjawiające się niekiedy na tych brzegach od obywatelskiéj rzeszy dalekich—wszystkie czepki z wstążkami i bez wstążek cisnęły się zwykle do ławek klasztornego kościoła. Późniéj za przybyciem nowego wikarego fale się rozdwoiły, mniejsza ich połowa zaczęła farę nawiedzać, lecz to zbyt krótko trwało, trochę tylko mężczyzn i kilkanaście neutralnych parafianek osiąknęło z tego przepływu, reszta znów w poświęcone wróciła mury. Młody mój przyjaciel bardzo się tém na razie martwił, szczerze on pragnął w jak najlepszych stosunkach ze swemi owieczkami stanąć, gorliwie dopełniał wszystkich swoich obowiązków, słuchał spowiedzi przykładnie, najbiedniejszych obszarpańców pamiętam po godzinie czasem u jego konfesyonału klęczących, kazania miewał jasne, zrozumiałe, praktyczne, że choćby zaraz do domu wróciwszy, to korzystać z nich i zastosować je do bieżących spraw życia było można nie skrzywił się nigdy, o któréj bądź godzinie, do jakiego bądź chorego był wezwany, choć go wzywali sami prawie ubodzy, lub w rozsianych za miasteczkiem koloniach mieszkający chłopi; jednakże pomimo tego, szanowny Piętaszek widział, że nie ma powodzenia, kilka razy pytał mię o przyczynę, o radę—ja mu ani wytłómaczyć, ani radzić nie umiałem—istotnie mnie samemu dziwną się to i osobliwą zdawało rzeczą; ale zrobiłem, co mogłem przynajmniéj, starałem się pocieszyć i oba zrezygnowaliśmy się ostatecznie na osamotnienie nasze. Teraz tak już przywykliśmy do niego, że jeśli, który z nas przypadkiem zabłąka się w nieznane okolice, albo się łudzi nadzieją odkryć niespodzianych, wnet go drugi nawoływa, łaje i upomina.

Niby to jeszcze nie wyszło na jaw, ale w głębi serc naszych, zdaje mi się, że się lekko nawet obrażonymi czujemy, gdy jeden drugiego w domu nie zastanie; trudno sobie wyobrazić co by się stało, gdyby ten drugi bez opowiedzenia się dniem pierwéj, bez wyliczenia wszelkich usprawiedliwiających powodów cały wieczór np. u państwa burmistrzów, lub u aptekarstwa spędził—Piętaszkowi wolno tylko dla swego proboszcza się poświęcać, ale to ja tylko

przez żarty poświęceniem nazywam, bo sam Piętaszek wcale się poświęcającym nie czuje. Na krótko właśnie przed wyjściem z akademii stracił ojca w tym samym wieku, teraz więc poczciwa dusza z całym zasobem rodzinnych wspomnień do tutejszego staruszka się przywiązała i pielęgnuje go, rozrywa, czasem nawet tak pieści, że aż patrzyć miło. Proboszcz, trochę już dziecinniejący, nie ocenia tego może według właściwéj wartości, ale używa i roskoszuje się jak kotek na słońcu; czasem téż jest do zbytku wymagający, na całe poobiedzia i wieczory konfiskuje mi wikarego, i opowiada mu bardzo długie historye; niektóre są ciekawe, bo pamięta Staszyca, Piramowicza—był w Końskowoli i u Zabłockiego, widział biednego Kniaźnina jak od rana do wieczora siedział na ławie pod drzewem, nic do nikogo nie mówiąc, ze wzrokiem w jedno i toż samo miejsce utkwionym; ale téż czasem bardzo nudnie gawędzi o całéj seryi następujących po sobie dziekanów w dekanacie, lub organistów w jego własnéj parafii. Zostawiam wtedy Piętaszka na słuchacza i nie wyrzucam mu późniéj, że mi się przeniewierza—ale niechby tylko spróbował innéj rozrywki. On téż nawzajem pobłaża mi, gdy pójdę czasem konsyliarza naszego odwiedzić—bo i to w rodzaju jego proboszcza egzemplarz, musiał co najmniéj o parę już latek siedemdziesiątkę przeskoczyć, ale jest dotknięty gorszą niż proboszcz słabością—ma żonę—znacznie młodszą od siebie żonę: pięćdziesięcioletnia, czerstwa, tęga kobieta, zawołana gospodyni i zagorzała dewotka. W odwiedzinach moich tak manewruję, żeby się z nią nigdy nie spotykać. Wikary żartuje ze mnie, że to dla tego, iż się lękam, by mię nie nawróciła a ja powiadam, że się lękam raczéj, by mię nie wybiła kiedy; lecz bądź co bądź, mam upoważnienie na doktora, on ma upoważnienie na proboszcza, a przeciw innym wzajemnie sobie stoimy na straży.

Dzisiaj, na moje nieszczęście, przyjechali do swoich krewnych w okolicę jacyś krewni jego krewnych, czy znajomi tylko ze stron rodzinnych, czy inne licho jakieś, nie wiem—ale wiem, że go po mszy z wielkiemi demonstracyami radości witało z pół tuzina pań kapeluszowych i ze dwie pary niedźwiedzich... kołnierzy; musiał dać się im uwieść na resztę dnia o półtory mili za miasto, za lasy i bory—ledwo tyle mu czasu zostawili, że mię za rękę ścisnął i powiedział „Bądź zdrów, bądź zdrów mój drogi, jak wrócę, wszystko ci wytłómaczę, ale teraz nie mogę, biegnę do klasztoru, o zastępcę na jutro prosić“. I pobiegł i nie wrócił, i widać, że go przez dzień jutrzejszy także nie zobaczę.

Ciekawy jestem, co to za państwo? co to za stosunki? o ile sobie przypominam nasze rozmowy, nic wywnioskować nie mogę.

Prawda, żeśmy też sobie nie wiele osobistych poudzielali szczegółów. Chciałbym wiedziéć, czy dwie kobiéty potrafiłyby żyć z sobą przez trzy lata w przyjaźni, widywać się czasem po dwa razy na dzień i nie opowiedziéć sobie wzajemnie wszystkiego co wiedzą i czego nie wiedzą o najbliższym ich światku—a przecież my z wikarym jesteśmy bardzo szczerzy, nie mamy żadnéj przed sobą tajemnicy intencyonalnie—*de facto* jednak, spostrzegam się w téj chwili dopiero, bardzo mało o sobie wiemy. Nie pamiętam nawet, czy mu kiedykolwiek o pannie Walentynie wspominałem, nie było by to ani przykrém, ani drażliwém, ani upakarzającém dla mnie, nie jest wcale a wcale sekretem mego życia, tylko, ot tak—nie wpadliśmy na ten przedmiot. Może, gdyby księżunio mój nie był mię dzisiaj opuścił, ja sam także nie znalazł bym go tak na podorędziu w komórkach mózgowych.

Oj—wyraźnie księżunio winien, że się zaawanturowałem w pół żale, a w pół marzenia—księżunio winien, że się nudziłem—księżunio winien—że piszę. Tak jest—z nudów zacząłem pisać—ściśléj mówiąc, nie wprost pisać zacząłem, ale przynajmniéj na pisaniu skończyłem. Zacząłem, co prawda, od czytania—utrapienie miéć chciało, że mię świeży transport książek nie doszedł i musiałem wziąć się do jednéj ze starych—pokazało się, że jeszcze doskonałe ją pamiętam, więc nie mogła uwagi przygwoździć, cisnąłem na stół, odepchnąłem wszystko co bliżéj leżało, i chciałem przed sobą tytuń do robienia papierosów rozsypać, ale niecierpliwe moje poruszenie zrzuciło na podłogę album z fotografiami.

— Ha! pójdźcie tu fotografie—na cóż wy się przydacie, jeśli nie potraficie właśnie dnia słotnego rozpogodzić, a tęschnéj samotnéj godziny zaludnić?.. Pójdźcie tu do mnie wszystkie cienie ukochanych—no, i nie ukochanych także, bo mam przecię królowę Wiktoryą z księciem Albertem, i królowę neapolitańską, i Abdul Medżyda, których nie kocham zaiste. Ale pójdźcie wszyscy. — Więc przyszli wszyscy—ja się im przypatrywałem, robiłem nad nimi różne spostrzeżenia, wreszcie myśl mi zabłysła, żeby każdy wizerunek imieniem i nazwiskiem podpisać, a imię i nazwisko po drugiéj stronie ważniejszemi szczegółami biograficznemi objaśnić. Głównie do wykonania tego zamiaru wzgląd na drogiego Piętaszka mię skłaniał. Okropnie jest roztargniony—już ze trzydzieści razy moję kolekcyą od pierwszéj do ostatniéj stronnicy przeglądał—a jeszcze nie daléj jak wczoraj otworzywszy machinalnie ze środka—„Kto to to jest" pytał mię jak najspokojniéj, niby o coś zupełnie nieznanego—ledwo się nie zniecierpliwiłem.—Żeby więc téj ostateczności uniknąć, zabrałem się natychmiast do kładzenia podpisów. Najpierwéj umie-

ściłem je pod całą seryą familijną: sióstr, braci, szwagrów, bratowych, siostrzenic i siostrzeńców, wujów i ciotek, kuzynków i kuzynek, — a po nich pierwszą twarzą, która seryą przyjaciół rozpoczynała, była twarz Feliksa. Dłużéj mi się na niéj wzrok zatrzymał i wolniéj, staranniéj, ozdobniéj prawie pióro u spodu nakreśliło:

Feliks Królewski.

Na odwrotnéj stronie zacząłem biograficzną notatkę; chciałem najważniejszemi tylko ograniczyć się faktami, lecz w naszych stosunkach tyle było najważniejszych, że końca kartki dobiegłem, a jeszcze i połowy nie zamieściłem tego, co mi się zdawało najważniejsze. Wtém nowy pomysł elektryczną iskrą przez czoło mignął, — gdyby to lepiéj biografią całą ułożyć osobno! gdyby pamiętnik o Feliksie, a gdyby późniéj o innych, nie wszystkich, to za wiele, o kilku wybranych przynajmniéj i dać na surpryzę księżuniowi do czytania! jakże by on się cieszył z tego — ha! może nie sam księżunio tylko.

Przypuściwszy, że jemu się spodoba, czemuż by innym spodobać się nie miało—zatarłbym tylko zbyt wyraźne wskazówki. Wziąłbym z każdéj osobistości jéj stronę więcéj do ogółu przypadającą, czy jako losu ciekawe dziwactwo, czy jako psychologiczną niezwyczajność, czy jako wzór moralny, czy jako przestrogę moralną. Wszakże mam dosyć czasu — może nie mam talentu — z pewnością nawet nie mam talentu. Lecz mam za sobą prawdę i wielką sumienność, a nie mam żadnéj pretensyi autorskiéj... Wszelako... jeśli moje sprawozdanie o fotografiach wydrukują?... jeśli wydrukują to, co ja napiszę. Więc naturalnie będę autorem. Nie, nie będę autorem, perswadowałem sam sobie. Autorem jest ten, co czerpie we własnéj wyobraźni i co stawia sądy własnego rozumu — będę pisał z pamięci tylko. No, dobrze, ale czyż się ustrzegę, żeby czasem, choćby najrzadziéj, sądu własnego rozumu nie stawić obok pamięciowych szczegółów,—jeśli postawię? więc znów będę autorem, autorem bez talentu. Zastanów się nad tém panie Józefie. Pan Józef, jakkolwiek jest rejentem, nie zastanowił się wcale, tylko zaczął się śmiać z siebie, że troszczy się tém, co może nigdy nie nastąpić, jak owo małżeństwo bezdzietne, które podobno raz tylko w życiu się pokłóciło i to właśnie o wychowanie odmówionych sobie przez Pana Boga dzieci. Co mi tam myślić, czy będę, czy nie będę autorem, jeszcze wikary pierwszéj próby nie przeczytał, więc w obecnéj chwili dla siebie jedynie i dla niego piszę — wbrew nawet pierwotnemu założeniu, rzecz o Feliksie nie od daty jego urodzenia, ale od epoki, w któréj go poznałem, zaczynam.

Była to dla mnie bardzo smutna epoka, a dzień spotkania, pierwszym złym dniem z wielu gorszych, co mię w przyszłości czekały. Piastowałem już wówczas zaszczytną dla dwudziesto-ośmioletniego młodzieńca godność podpisarza przy sądzie pokoju—w jakiém mieście? — powiem to ustnie wikaremu, jeśli mię zapyta. Wkrótce po obiedzie, co się miało nazywać przed wieczorem, zaszedłem do pani Łucz..., matki panny Walentyny i dwóch innych córek,—wszyscy mię tam zawsze tak serdecznie witali, że nie miałem sposobności rozpoznać, o ile przywitanie panny Walentyny na wyższy, lub niższy ton od ogółu nastrojone było. W tym dniu pamiętnym, gdy się zbliżałem do zamkniętych drzwi bawialnego pokoju, mimowolnie uderzyły moje ucho podniesionym trochę głosem wymawiane słowa. Rozróżniłem coś nakształt łającego akcentu, potém śmiech pusty, a potém dźwięk zawsze dla mnie najmilszy, więc i najłatwiejszy do pochwycenia także.

— Niech Manię albo Tolę weźmie — ja.... dalszy ciąg wejście moje przerwało.

Zastałem panią Łucz... mocno zarumienioną, z opuszczonemi na kolana rękami, siedziała w dużym krześle koło stołu, i pewnie przed chwilą, póki jéj ręce na kolana nie opadły, szyła jakąś bieliznę, bo dużo płótna przed nią leżało i stał otwarty neseserek.

Godzi się wspomniéć nawiasem, że pani Łucz... wdowa po urzędniku, na całe utrzymanie miała tylko kilka tysięcy emerytury, procent od maleńkiego kapitaliku, który niegdyś posagiem wniosła mężowi i zabieżność, pracowitość, skrzętność niezrównaną.

Obok pani Łucz..., tuż pod łokciem prawie, zwieszała się na poręczy dziesięcioletnia Antolka, zwykle Tolą zwana, figlarny i przebiegły szpaczek, z którym wszelkiemi sposobami starałem się dobrą zgodę zachować. Naprzeciwko siedziała panna Maryanna, średnia wiekiem, między siostrami najpoważniejsza ze wszystkich, matka chwaliła każdemu jéj rozsądek, lecz mnie się po prostu apatyczną zdawała tylko. Panny Walentyny nie było przy stoliku, stała w oknie, i z nadzwyczajnym pośpiechem obrywała listki żółkniejące na doniczkowych roślinach. Gdy się ukazałem, szarpnęła tak silnie jakąś gałązkę laku, że jéj z kwitnącym swoim czubkiem w ręku została. Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że na mój ukłon kiwnięciem głowy nie odpowiedziała nawet i co prędzéj wybiegła z pokoju.

Coś mię w sercu piknęło — nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad zdarzeniem i wrażeniem, bo pani Łucz... wstała natychmiast z krzesła, kilka kroków postąpiła na moje spotkanie i tak serdecznie rękę mi podała, tak serdecznie pytać zaczęła o ból

głowy, który mi dosyć mocno dniem pierwéj dokuczał, że jeśli się czém zmieszałem, to raczéj tą jéj uprzejmością niezwykłą więcéj, niż szybkiem zniknięciem panny Walentyny. I Marynia i Tola przyjęły mię także bardzo życzliwie. Tola nawet od tego zaczęła, że muszę w ciągu tygodnia znaleść sobie czas wolny i od rana zaraz pójść z niemi wszystkiemi na daleką za miasto wycieczkę.

Słowem cudna pogoda świeciła na mojém niebie, tylko słońce jeszcze nie wschodziło. Panna Walentyna jak się nie ukazywała, tak się nie ukazywała. Tymczasem nadciągnęła chmura — wszedł młody aplikant — zawsze miałem złe przeczucie do tego człowieka, dziwiło mię po co on tak często prawie jak i ja przychodzi, a tém bardziéj miałem prawo się dziwić, bo pani Łucz... ledwo że bardzo zimną grzeczność mu okazywała, — panienki prawie z nim nie rozmawiały. Tego dnia szczególniéj powitanie mogło być dla niego zniechęcające, jakby na umówionego, wszyscyśmy nagle przerwali rozmowę i głębokie milczenie lodowym wałem otoczyło nowo przybyłego.

Taki byłem niegodziwy, że się wcale a wcale nie rozrzewniłem jego położeniem, bodaj nawet czy mi uśmiech po twarzy nie przeciągnął, gdy zobaczyłem, jak lekko najpierwéj skóra policzków zadrzała mu i zbladła, a potém gwałtownym okryła się rumieńcem. Przez pół minuty może i on milczał, lecz gdy się odezwał głos jego, był zupełnie pewny, czysty, dobitny.

— Czy panie słyszały o dzisiejszym wypadku? — i najspokojniéj zaczął opowiadać jakiś wypadek, który się w mieście zdarzył— konie rozbiegane, powóz połamany, coś w tym rodzaju; nim skończył, uśmiech znikł z mojéj twarzy, i pewnie ta grzeszna twarz na półłokcia się wyciągnęła, gdyż jakby muzyką jaką zwabiona panna Walentyna wsunęła się do pokoju cichuteczko, a gdy gość ją głębokim czcił pokłonem, ona takiemi oczami w jego oczy spojrzała, że mię po całém ciele mrowie przeszło. Natychmiast zaczęła pytać o niedosłyszany początek historyi, rozbiegane konie, czy tam połamane koła, tak ją zajęły, że chyba więcéj niż Hamlet Szekspirowski, którego jednak z takim wzruszeniem czytałem jéj na miesiąc przed ukazaniem się fatalnego aplikanta!...

Upokorzony się czułem taką płytkością towarzyskiéj gawędki, a nadewszystko tém, że panna Walentyna, owa panna Walentyna, którą tak wysoko postawiłem w moim szacunku, zdolna jest na podobieństwo innych poziomych śmiertelniczek i lalek salonowych, bawić się lada jaką anegdotką kuryerkową, słuchać niby czegoś osobliwszego, najpospolitszych nowinek i w przydatku jeszcze patrzyć na mówiącego tym wzrokiem, ach! tym wzrokiem!... Próbo-

wałem na siebie go zwrócić — rzuciłem w sam środek dyalogu jakiś inny przedmiot: wzmiankę o nowym tomie historyi Moraczewskiego.

Panna Maryanna podniosła ją tylko i pani Łucz... chociaż z natury swojéj dość obojętna na kwestye literackie, niespodzianie tą razą żywo się nią zainteresowała, lecz dyalogujący na boku jak gdyby nie słyszeli, ciągle ich jeszcze niebezpieczeństwo jadących państwa pod dramatycznêm wrażeniem trzymało. Zdobyłem się na drugą porcyą zaczepnéj odwagi i wprost zwracając się do panny Walentyny.

— Czy pani by sobie życzyła przeczytać...—pytałem.

— Co takiego? — odpytała nawzajem.

— Pan Józef mówił o Moraczewskim — z przyciskiem wtrąciła matka.

— Nie słyszałam—odparła bardzo stanowczym i dziwnie ostro wyciągniętym tonikiem.

— Gdyby pani sobie życzyła przeczytać? — znów się odezwałem, a serce mi biło: puk, puk, jak u kurczęcia.

— Bardzo dziękuję, nie będę miała czasu.

— Ale Marynia pewnie będzie miała czas przeczytać coś tak pięknego o dawnych dziejach naszych—przerwała jéj pani Łucz...— Niechaj nam pan przyniesie, zawsze jestem bardzo szczęśliwa, kiedy moim dziewczętom zdarzy się dobrą historyczną książkę przeczytać. Na wiersze, na powieści to mi czasu żal, — nieraz i pogderam trochę, kiedy mi się panienki z szyciem lub uprzątaniem dla Krasińskiego, czy podobno Krasickiego opóźnią, lecz gdy o historyą chodzi, to jestem bardzo wyrozumiała.

I poczciwa pani Łucz... przyrzekała mi dozgonną wdzięczność za nowy tom Moraczewskiego, i jéj Marynia podsunęła innego historyka nazwisko do nowéj rozprawy, i wzmogłem się na jakieś bardzo uczone dowodzenie, ale czułem, że myśl na bok odbiega, że sama coraz ciekawszą się staje dalszego ciągu historyi— nie dziejopisów naszych niestety, jeno owych kół i koni rozbieganych, — acz zwolna, zwolna słowa mi się wyczerpały i zapadłem w niespokojne, cięższe od smutku znużenie. Miałem niby poczucie jakiegoś towarzyskiego obowiązku i co chwila przypominałem sobie, że trzeba się z czém odezwać, a jak się odezwałam, to własny głos mi wracał do ucha, prawdziwie dyabelskim akcentem przedrzeźniony.

Szczęście tylko moje, że jestem bardzo logicznym człowiekiem.—„Coś ci tu dzisiaj źle siedzieć mój chłopcze, nikt cię do siedzenia nie przymusza, więc wstań i idź precz",—taki, nie gładki mo-

że, choć bardzo uzasadniony sylogizm ostatecznie sobie w głowie mojéj ułożyłem pierwéj jeszcze niż do herbaty szykować zaczęto. Natychmiast wprowadziłem go w wykonanie. Pani Łucz. koniecznie chciała mię zatrzymać—Tola przechowała mi kapelusz, Marynia nawet dorzuciła słówko prośby a panna Walentyna?—nic. Panna Walentyna w najlepsze sobie z aplikantem szczebiotała—dopiero kiedy wprost do niéj życzenie dobréj nocy zwróciłem.

— Jakto pan—już odchodzi? rzekła oczywiście zadziwiona i co prędzéj bardzo—mogę powiedziéć—tkliwie, serdecznie, słodko—dodała podając mi rękę — dobréj nocy, dobréj nocy panie Józefie.

Mój Boże, co ja sobie głowy nałamałem, żeby zrozumiéć, żeby wytłómaczyć sobie owo jéj przyjęcie uchybiająco niegrzeczne prawie, a owo jéj pożegnanie tak wdzięczne i miłe. Ile razy czytam dzisiaj w gazetach głębokie rozprawy nad mową tronową cesarza Napoleona, tyle razy przypomina mi się jak dnia tego, wróciwszy do domu, siadłem przed mojem biurkiem i cisnąc czoło obiema rękami. „Co to być może? co to być może? rozmyślałem głęboko—ucieka z pokoju, gdy ja wchodzę—wdzięczy się do tego młokosa, jak gdyby mu się pierwsza oświadczyć chciała, a jednak kiedy ją żegnam, niespodzianie głos jéj łagodnieje i dziwi się: Jak to? Pan już odchodzi?—J a k t o? wyraźnie dla tego powiedziała j a k t o—że jéj przez myśl nawet nie przeszło bym tak prędko mógł się oddalić—zaufała długości codziennych odwiedzin—jest mnie pewną, wierzy we mnie—należę do rodzinnego jéj kółka—tamten jest gościem, musiała go bawić, a po jego wyjściu może chciała mi co powiedziéć. P a n j u ż o d c h o d z i. Widać żal jéj się zrobiło—j u ż to ma być: zaprędko, zawcześnie, zostań jeszcze. J u ż powiedziała ze szczególniejszym naciskiem—chciała żebym odróżnił ten wyraz od innych powszednich wyrazów—darowywała mi go osobno, ale czemuż pierwéj tak się zachwyciła ową nowiną uliczną—i tak patrzyła w oczy temu... ha! słyszałem i czytałem, że kobiety bardzo lubią czasem władzy swojéj doświadczać, że umyślnie zazdrość rozbudzają—może ona próbowała czy zazdrosnym będę? może nie jest zupełnie o miłości mojéj przekonaną? wszakże jéj nigdy wyraźnie nie powiedziałem: „kocham cię Walentyno.“ Więc chce mię doświadczyć, chce przymusić, bym wyrzekł i dał jéj prawo uznania się moją na zawsze.

Komentarz tego rodzaju w nadzwyczaj piękną harmonią się układał ze wszystkiemi pragnieniami méj duszy; ale choć długo jeszcze potém zdrowie rozsądku zatruwał i trafność wzroku mącił, nie mógł jednakże mię zaspokoić, ani z doznanych wrażeń otrzą-

snąć. Siedziałem ciągle z łokciami na stole opartemi, z twarzą w obu dłoniach ukrytą, a kiedy niekiedy lekki dreszcz mię przebiegał i myślałem sobie, że pewno febry dostanę, albo wybiegnę na miasto i gdziekolwiek go spotkam, tego impertynenta, tego zuchwalca, tego rozbójnika aplikanta—na kwaśne jabłko go zbiję.

Ja, co miałem być rejentem—ja z mojém łagodném i poważném usposobieniem, lubować się tą myślą, że trzymam kogoś za gardło i kolanami pierś mu rozgniatam—juścić nie co innego, tylko miałem napad gorączki, pierwszy i ostatni z podobnemi symptomami. Wstydziłem się go przez długi czas wobec własnego sumienia, szczególniéj kiedy nie zadługo jakoś wypadła mi do zreferowania sprawa pana Marcina przeciw panu Wojciechowi, o pobicie, nadwyrężenie zdrowia i członków, pozbawienie możności zarobkowania, to się tak zaczerwieniłem, że mię aż jeden z kolegów pytał: czy nie mam skłonności do apopleksyi.

To wszystko na wstępie przytaczam, żeby lepiéj dać zrozumiéć księżuniowi, w jakim dnia tego wyjątkowym byłem stanie i humorze, jakiem wulkanicznym wstrząśnieniom ulegała moja cicha natura. Gdyby anioł z nieba zstąpił wtenczas do mnie na wizytę, nie jestem pewny, czy bym go z bardzo wdzięczną przyjął pobożnością. Można sobie łatwo wyobrazić o ile byłem usposobiony do przyjęcia człowieka.

Tymczasem, gdy ja tak biję się w myślach i z myślami, gdy mi pod kamizelką coraz goręcéj, a na skórze coraz zimniéj zaczyna się robić, drzwi od pokoju lekko się otwierają... słyszę stąpnięcie męskiego kroku.

— Nie wiem, kto przyszedł—myślę sobie, ale kto bądź on jest, niech sobie idzie do dyabła i nie przeszkadza mi tutaj—udaję przeto śpiącego, nie podnoszę głowy.

— Czy z panem Józefem Kownackim mam przyjemność mówić—odezwał się półgłos dyskretny, niby trochę stłumiony.

Zła sprawa—trzeba koniecznie dać się zbudzić, nie czekając aż mię za rękaw pociągną. Odsłaniam przeto ręce, podnoszę głowę i patrzę.

Przedemną stał szczupły, średniego wzrostu młody człowiek, w czarnym tużurku, w popielatych rękawiczkach, z kapeluszem grzecznie do kolan spuszczonym.

Dziś jeszcze nie umiem sobie wytłómaczyć, co ja nagle uczułem po tém pierwszem spojrzeniu; wnioskuję wszelako, że to musiało być trochę podobne do uczucia próżnego dorobkowicza, gdy go w podartym szlafroku przy pracy zejdzie niespodzianie jakiś jaśnie wielmożny, lub jaśnie oświecony pan z panów. Nie wiem, nie

byłem dorobkiewiczem i nie przyjmowałem nigdy jaśnie wielmożnych, ani jaśnie oświeconych, lecz wiem, że mnie w téj chwili odstąpiło wszelkie niecierpliwe rozdrażnienie, a to, czego doznałem, zawstydzeniem się, francuskiém zażenowaniem prędzéj niż czém inném nazwać można, wzmogło się to jeszcze, gdym spostrzegł w czasie mojéj odpowiedzi wzrok pytającego, spokojnie lecz badawczo utkwiony we mnie. Najmniejszym gestem wyzywającym, najlżejszém drgnięciem muskułu twarz jego nie uchybiła przyzwoitéj względności pierwszego powitania, ale oczy wyraźnie chciały mi się przypatrzyć i takiém stanowczém spojrzeniem o moje własne uderzyły, że je zatrzymały w nieruchomości swego promienia.

Wszystko to może parę sekund trwało, gdy poświadczyłem moją tożsamość, uchylił głowy niby na podziękowanie i sięgnął do kieszeni po pugilares.

— Przybywam tu z listem od dobrego znajomego pana—rzekł wtedy, szukając po przegródkach wśród mnóstwa nagromadzonych notatek.

W miarę, jak się wyzwalałem z pierwotnego wrażenia, wydobywało się na wierzch gorzkie poprzedniéj medytacyi usposobienie.

— Pokazuje się, że mam dobrych znajomych na świecie, doprawdy, nie wiedziałem o tém,—i starałem się mówić wolno, obojętnie, z wyborném naśladowaniem moralnego akcentu Anglików.

Nieznajomy mimo ucha puścił rzucony sarkazm, ale nie śpieszył się z szukaniem listu, a gdy go znalazł nakoniec, tak powoli rękę z nim wyciągał, jak gdyby się namyślał. Jego milczenie, jego ruchy wytworne mimowolnie mi imponowały. Musiałem być dla niego grzeczny, *volens nolens*.

— Proszę siedzieć — rzekłem wskazując na mój własny przed chwilą opuszczony fotel — a sam wziąłem się do zapalania świécy, bo chociaż jeszcze dość było widno, żeby sobie zbliska w oczy patrzyć, nie wystarczało jednak światła do prędkiego odczytania drobnych hieroglifów pewnego kolegi, którego kocią łapkę na podpisie zaraz poznałem.

List a raczéj kartka następującéj była treści :

„Jedzie do was Feliks Królewski — luminarz uniwersytetu ***. Starajże się najpierwéj, żebyś przed nim godność naszych świętéj pamięci prawnych kursów utrzymał i żebyś mu się zawojować nie dał, bo ze mną to już poszło *ad acta* — należę do pobitych i rozkochanych. Zrób dla niego wszystko, czego od ciebie zażąda — odpowiédz mu na wszystko, o co cię pytać będzie i pytaj sam, a dowiész się wielu ciekawych rzeczy, nie wyłączając téj nawet, że jestem twoim najżyczliwszym —“

Zdrętwiałem. Feliks Królewski był z tego samego uniwersytetu co mój prześladowca i trzebaż właśnie, żeby na jego imię, a na moję uczynność, jeśli nie coś ważniejszego nawet, tak nieuchylony wystawiono weksel!

— A więc — odezwałem się po chwili, zwijając i rozwijając kłopotliwie przeczytaną ćwiartkę papieru — Adolf mi dał trzy polecenia względem pana: żebym zrobił dla niego wszystko, czego zażąda; żebym odpowiedział na wszystko, o co zapyta, i pytał o co zechcę.

Feliks pierwszy raz wtedy uśmiechnął się trochę, — zazwyczaj ludzie znajomi czy nieznajomi, a jeszcze więcéj nieznajomi podobno, gdy im wypadnie ukłonić się lub zagadać znienacka do kogoś, mają zawsze stereotypowy uśmiech na pogotowiu, ja sam nie mogę się od tego odzwyczaić, choć sobie wyrozumowałem, że mój uśmiech nie ma najmniejszego sensu, gdy pytam np. jakiéj damy w wagonie: czy pani dym cygara nie szkodzi?—lub przed wejściem do wagonu jakiego jegomościa w potężnym futrze: czy jest miejsce na jedną osobę?... Nic w tém ani śmiesznego ani serdecznego nie ma, — ja się przecież zawsze uśmiechnąć muszę i tak wszyscy prawie bliźni moi czynią.

Otóż Feliks tylko wolnym był od tego narowu. W dalszych naszych stosunkach mogłem się o tém przekonać. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek bez przyczyny, przez grzeczność, lub ze zwyczaju uśmiechnął; dla tego może każdy jego uśmiech miał taką wartość wysoką, rzeczywistą; dla tego czynił takie jasne i głębokie wrażenie. „On się nie umie śmiać ani weselem, ani pustotą, ani żartem, ani szczęściem nawet,—powiedziała o nim jedna kobiéta,—on się zawsze dobrocią śmieje, a dobry jest, jak gdyby kochał.“ Pewnobym sam własnym dowcipem nie sformułowal tych subtelności, ala gdy mi je w ten sposób określono, przypomniałem sobie, że istotnie pierwszy jego uśmiech odrazu na mnie podziałał jak wpływ dobroci, a późniéj dobroć jego tak ciągle była do ukochania podobna, że rozróżnić nie umiałem nigdy i dzisiaj z pewnością nie potrafiłbym jeszcze zawyrokować, czy mię bardzo kochał, czy tylko bardzo dobrym był dla mnie. Wolę wierzyć, że mię kochał. Niezawodnie mię kochał, bo z innemi daleko czasem bywał lepszy, ale ze mną najbliższym zawsze pozostał. Ma się rozumiéć, żeśmy z sobą nie przerozumowali tych kwestyi, wzajemny nasz stosunek rozwinął się bez oświadczyn żadnych.

Gdyby tak można niewieście serce pozyskać — nie oświadczać się, a kochać i być kochanym i ożenić się, wreszcie byle się nie oświadczać, nie oświadczać.... brbrbr— zaraz mi się uprzytomnia ta

chwila nieszczęsna, w któréj panna Walentyna... lecz nie o pannie Walentynie pisać miałem, tylko o Feliksie.

Czy to przy świetle uśmiechu, czy po prostu przy zapalonéj świécy, lepiéj mogłem mu się przypatrzyć. Pomimo zaproszenia nie usiadł jeszcze, tylko się wsparł o tył fotelu i zdawał się daléj prowadzić zaczęte przy powitaniu studyum mojéj twarzy; późniéj, gdyśmy już na stopie zupełnéj szczerości stanęli, przyznał mi się, że istotnie miał potrzebę prędkie i stanowcze zdanie utworzyć sobie o mnie, a wierzył bardzo w trafność pierwszego swego spojrzenia, otóż to spojrzenie przedstawiło mu podobno taką smutną fizyonomią, że natychmiast coś go pociągnęło w moję stronę, był albowiem tego przekonania, iż się źli ludzie nigdy nie smucą. Mogą się nudzić, gniewać i cierpiéć, ale smucić się nie mogą; gdy zaś przyznałem się mu z wielką pokorą, że właśnie w owéj chwili nie smutek, lecz gniew okropny w sobie czułem.

— Ot, przechwalasz się — zażartował z tą swoją bez śmiechu wesołością. Chciałeś dusić i zabijać, a łzy ci w oczach stały. Radzę ci, nie gniewaj się na nikogo, bo masz gniew bardzo smutny dla siebie.

Co do jego własnéj twarzy, to mi trudną bardzo do rozwiązania przedstawiła zagadkę. Szczegółowe jéj rysy były niby zupełnie pospolite, zdawać się mogło, że ich pamięć długo nie przechowa, a jednak sam na sobie doświadczyłem, że się łatwo przypominały gatunkiem wywartego wrażenia. Ile razy wróciło mi poczucie jakiéjś złotéj kropli oliwy, łagodzącéj moje samarytańskie rozjątrzone rany, tyle razy widziałem go przed sobą, jak wtedy stojącego przy fotelu i może wyraźniéj jeszcze niż wtedy, rozeznawałem okrągły trochę obwód policzków, kościstą, lekko wystającą brodę, nos prawdziwie *sui generis*, niekształtny, dosyć gruby, ale w takich łaskach u Wawrzonka będący, że nigdy brzydkim nazywać nie pozwolił.

Trzeba zaś wiedziéć, że nasz wspólny znajomy Wawrzonek, od święta Wawrzynkiem mianowany, zakrawał na malarza, zbierał piękniejsze widoki krajowe i był aż w Tatrach piechotą. Ten więc Apellesik kochany utrzymywał, że nos Feliksa jest czysto słowiańskiego typu. Odważyłem się wprawdzie nasunąć tę małą uwagę, że typ słowiański nie musi jeszcze być co się nazywa poprawnym typem, lecz mię zgromił surowo i kazał dobrze się przypatrywać wszystkim, których spotkam druciarzom. Z czego Feliks okazał się nadzwyczaj zadowolony i kilka razy potém przy zdarzonéj sposobności wspominał, że dwudziestego piątego roku swego życia miał tylko organ powonienia, wdychania i wydychania powietrza,

w dwudziestym piątym dopiéro z łaski Wawrzonka zaczął miéć nos druciarski. Jakkolwiek przy dość śniadéj cerze nos druciarski nawet nie byłby wymagań innego artysty zadowolił, to przecież najwybredniejszy portrecista musiałby przyznać, że usta Feliks miał prześliczne—usta i ząbki, choćby panience pożyczyć, a pewnie podziękuje. Miał téż pięknie zarysowane, otwarte, nad brwiamy mocno wystające czoło, skład czaszki wogóle na przód podany i w górę rozwinięty. Adepci frenologii utrzymywali, że miał guzy idealizmu i poezyi, lecz on sam nie uznawał w sobie tych zdolności, nie dla tego by je lekceważył, jak to czyniło wielu rówieśników, i owszem zawsze mówił, że gdyby mu było danem żyć w starożytnéj Grecyi, to byłby sobie wybrał albo los mityczny Homera, albo historyczną postać Sokratesa. Pieśń sławną, która największą nędzę i tułactwo w zachwycie znicestwić może. Prawdę nową, tak świętą, że dla niéj umrzéć warto.

Bliżéj mu jednak Sokratesa niż Homera było. Próżno go nieraz na inkwizycyą brałem, nigdy wypośrodkować nie mogłem, czy chociaż jednę odę lub elegią w życiu swojém napisał,— zawsze mię w pole przypuszczeń wyprowadził i na rozdrożu zostawił. „Był czas, w którym bardzo dużo wierszy pisałem, całe stosy kajetów, Wallenrod, Grażyna, Zamek Kaniowski, wszystko to było od pierwszéj do ostatniéj literki moją własną ręką.... przepisane.“

— Ale ja pytam, powiedz mi, mój poczciwy, mój drogi, — ja pytam, czy kiedykolwiek w życiu ty sam wiersze komponowałeś.

— Na co ci ta ciekawość? — ot zmówmy pacierze.

— Ciekawość najpierwéj frenologiczna.

— Frenologia nie ma żadnéj zasady naukowéj i prawdziwi fizyologowie oddawna już systemat Galla rozbili.

— Co mi do tego, ja się chcę na własnych spostrzeżeniach przekonywać, a mam téż i drugi powód: chcę zmiarkować, czy gorączka poetycka jest tak nieunikniona dla normalnie rozwijającego się umysłu, jak odra i szkarlatyna, lub wyrzynanie się zębów dla ciała.

— To mi się zdaje przynajmniéj, że jest równie potrzebną i użyteczną, bo stanowi ujście niejako dla szumowin fermentującéj fantazyi, zmusza ją do określenia się, do zrobienia z siebie czegokolwiek; choćby to było najnieudolniejsze, ale jest zawsze wyrazem, jest atramentem, papierem i ruchem ręki. Gorzéj i niebezpieczniéj bywa, gdy się w marzenia zakwasi: z marzeń rodzą się chętki, z chętek próby, z prób nałogi. Założyłbym się, że przynajmniéj połowa złodziei, pijaków, graczy i kawalerów orderu świętego Łazarza, była w pierwszéj młodości swojéj chora fantazyą,

która się na wierzch wierszami nie wysypała i w środek, jak to mówią; weszła. Nie wynika ztąd, by każdy wierszopis był Bayardem; jeśli wysypka po dziewięciu dniach nie znika, a mania rymowania jeśli przed dziewiętnastym rokiem nie ustępuje, to znowu niebezpieczeństwa grożą.

— A zatém pisałeś wiersze.

— Przepraszam, mówiliśmy o normalném rozwijaniu się umysłu ludzkiego, mój zaś umysł rozwinął się wcale nie normalnie.

— Więc nie pisałeś?

— Zaczekaj, przypomnę sobie. Zdaje mi się, że kiedy bywałem u rodziców jednego z moich gimnazyalnych kolegów, tośmy często grywali w sekretarza i pewnie wtedy musiałem jakie wiersze napisać.

Innéj odpowiedzi nie mogłem z niego wycisnąć. Spostrzeżenie frenologiczne zostało bez dowodu. Dla mnie jednak z pod téj czaszki i z pod tego czoła raz poraz jakieś płomyki przeświecały; nie mam prawa poezyą ich nazywać, ale przynajmniéj były to bardzo zpoetyzowane realizmy.

Zdziwisz się może, kochany księże wikary, że ci taką długą gawędą uzupełniam ten fotogram, który możesz przecie wziąć do rąk własnych i własnemi widzieć oczyma. Wtém boć téż przyczyna tkwi. Weźmiesz, obejrzysz i będziesz mniemał zapewne, że już masz dokładne wyobrażenie osoby, a jak ci powiem jeszcze, że włosy były ciemno-kasztanowego koloru, a oczy jasno siwe, to nie przypuścisz nawet, by można co więcéj o powierzchowności człowieka wiedzieć. Tymczasem, Piętaszku mój jedyny, skóra węża nie jest zmienniejszą, ani blask dyamentu trudniejszy do pochwycenia, jak oblicze niektórych ludzi. Znaliśmy się późniéj przez całe lata z Feliksem i mieszkaliśmy z sobą czas jakiś i mogłem się go napatrzyć do woli, a jednak zacząwszy od tych wyrazów: „Czy z panem Józefem Kownackim mam przyjemność mówić“, aż do tego ostatniego słowa przy ostatniém rozstaniu: „Zapomniałem“— ciągle w twarzy jego i w głosie nowości jakieś zdarzało mi się odkrywać.

. . . .

Narcyza Żmichowska.



W ALPACH I W TATRACH.

(URYWEK Z METEOROLOGII GÓR).

Nie zbyt to dawno, kiedy Airy, jeden z najsłynniejszych angielskich fizyków powiedział, że meteorologia nie jest nauką. Tymczasem kilka dziesiątków lat wystarczyło, ażeby, wbrew takiéj opinii, nie tylko nagromadzić olbrzymi materyał spostrzeżeń, ale nawet rozwinąć liczne teorye tłómaczące najrozmaitsze zjawiska atmosferyczne.

Wśród zjawisk tych zajmują pierwszorzędne miejsce ruchy powietrza. To też prawdziwy postęp meteorologii rozpoczyna się dopiero z chwilą, kiedy nauka o wiatrach, wyzwoliwszy się z pod wpływu dawniejszych jednostronnych poglądów, zaczęła kroczyć nowemi drogami.

Doniosły wpływ wiatrów na każdoczesny stan powietrza, a tém samém i znaczenie ich dla klimatu wogóle, jest przyczyną, dla któréj od dawna usiłowano zrozumiéć i wytłómaczyć ich istotę i poznać prawa, jakim podlegają.

Ale ścisła teorya wiatrów wymaga przedewszystkiém głębokiego zrozumienia zawiłych prawideł mechaniki gazów i dokładnéj znajomości wielu działów fizyki doświadczalnéj.

To też nie zamierzam tu bynajmniéj wnikać w taką teoryą. Pragnę raczéj kilku charakterystycznemi rysami zaznaczyć jedynie panujące dziś w nauce poglądy, a na tle ich przedstawić obraz owego szczególnego wiatru górskiego, który w krajach alpejskich występuje z tak olbrzymią potęgą, a który i w naszych Tatrach się pojawia.

Co prawda jest on u nas mniéj częstém zjawiskiem, a co do siły i skutków możnaby chyba tatrzański wiatr halny uważać tylko za miniaturową kopią alpejskiego *fönu*.

Wspólną ich cechą jest przedewszystkiém to, że są bardzo suche i ciepłe, a dmąc w niejednostajnych przerwach z południa, południowego wschodu, lub czasem południowego zachodu, spadają gwałtownie ze szczytów gór po stokach północnych w doliny.

Najdawniéj i najlepiéj znanym jest *fön* Alp szwajcarskich, gdzie téż istotnie nader często się pojawia, gdzie skutki jego na każdym występują kroku i gdzie cały szereg ciekawych zjawisk zwykle zbliżanie się jego zapowiada.

Słynny naturalista i znakomity znawca Szwajcaryi, Fryderyk Tschudi, tak o tém pisze:

„Od strony południa pojawiają się mgliste obłoki i czepiają się szczytów gór. Słońce blade i bez blasku zachodzi na tle silnie zaczerwienionego nieba; poczém obłoki długo jeszcze płoną barwą purpurową. Noc zaczyna się duszna, rosy nie ma. Księżyc otoczony ponurą czerwonawą obsłoną. Powietrze w najwyższym stopniu przezroczyste, tak, iż góry zdają się być o wiele bliżéj. Tło nieba barwi się fiołkowo. Zdala słychać szum górskich lasów. Potoki huczą wśród ciszy nocnéj, tocząc zwiększony zapas wód. Jakieś życie niespokojne zdaje się budzić wszędzie i zdążać w doliny. Wreszcie zjawia się *fön*, zapowiadając się kilkakrotnym, gwałtownym podmuchem, z początku zazwyczaj chłodnym i ostrym, zwłaszcza w porze zimowéj, kiedy z olbrzymich pól śnieżnych nadchodzi. Poczém nagle nastaje cisza. Ale wkrótce dalsze, gorące fale wichru wpadają gwałtownie w dolinę, a wzmagając się aż do potęgi szalonego orkanu, zmieniającego wciąż swe natężenie, panują przez dwa lub trzy dni i w odmęt całą wprawiają przyrodę. Łamią drzewa, zrzucają głazy z gór, wzburzają leśne potoki, zrywają dachy domostw, są dla wszystkich postrachem.“

Jak już z tego opisu widzimy, jest alpejski *fön* prawdziwą burzą, wyrządzającą nie raz wielkie nawet szkody. Ale mimo to, odgrywa on też wielką dodatnią rolę w gospodarstwie przyrody górskiéj, tak, iż górale szwajcarscy, zwłaszcza na wiosnę radzi go wyglądają. Powoduje on bowiem wtedy szybkie znikanie lodów i śniegów i to na bardzo wielkie rozmiary. Tak np. w dolinie Grindelwaldzkiéj topi *fön* nie raz w 12-tu godzinach warstwę śniegu na dwie stopy grubą. To téż Hann w znakomitéj swéj klimatologii nazywa go prawdziwym zwiastunem wiosny, który w jednéj dobie umié zdziałać tyle, co słońce zaledwie w ciągu dwóch tygodni.

Dla wielu wyżéj położonych, a zacienionych dolin stanowi *fön* wprost warunek wiosny, tak jak w niektórych okolicach na równinie on tylko w jesieni dojrzewanie wina umożliwia. Tak np. winnice w kantonie Graubinden prosperują najlepiéj, jeżeli pod koniec

sierpnia i we wrześniu *fön*, należyty i dość długo trwający, się pojawia. A plon kukurydzy w północnym Tyrolu i w Arulańskich okolicach zależy w znacznéj części od częstego występowania tego wiatru, który w Innsbruku pod wpływem włoskiego sąsiedztwa, choć nie słusznie *scirocco* nazywają.

Chcąc dać nieco dokładniejsze wyobrażenie *fönu*, przytoczę tu kilka ustępów ze sprawozdania d-ra Erka o burzy, która w październiku r. 1885 nawiedziła Alpy bawarskie. Pisze on: W górach tych zdarzają się w październiku prawie corocznie dni, których pogoda całkiem cechy *fönu* przypomina. Gęsta zasłona chmur przerywa się. Z początku tylko tu i owdzie, pokazuje się piękny błękit nieba, co prawda z domieszką właściwego, żółto-zielonawego tonu. Temperatura szybko wzrasta, a wilgotność nagle maleje. *Fön* występuje tu w postaci nader łagodnéj, i tylko rzadko kiedy usłyszéć można coś o spustoszeniach podobnych do wypadków szwajcarskich. Zdarzyło się to 15-go października. Najstraszliwsza burza, jakiéj od 65-ciu lat nie pamiętano, nawiedziła dolinę Partenkirchen. W wilią dnia tego było pięknie, choć chłodno. O 8-méj rano zaczęły się gromadzić chmury nad Wettersteinem na południowéj stronie doliny. Temperatura wzrastała szybko, o 9-téj g. i 30 m. powiał *fön* z południowego południo-zachodu. Towarzyszył mu na górach śnieg, a w dolinie dészcz brudny, pozostawiający na szybach okien osad czerwonawy. Północna strona nieba od wschodu aż do zachodu nie miała żadnéj chmurki, a o milę daléj na północ dészcz wcale nie padał. O 2-giéj po południu zawiał wiatr znowu, dmąc zmienną siłą w kierunku idącym mniéj lub więcéj z południa, aż do godziny 5-téj, o któréj to porze wybuchnął całą potęgą burzy. Dészcz ustał, niebo się rozjaśniło. Wicher zaś wzmagał się jeszcze przez trzy godziny, poczém słabnąć zaczął, ale w krótkich przerwach wiał znowu gwałtownie aż do 2 g. 30 m. w nocy. Tu nagle nastała grobowa cisza, trwająca cały dzień następny. Najzupełniejszy spokój, jak gdyby spokój śmierci, męczące, duszne powietrze, ponury wygląd nieba, zdawały się zwiastować rychły powrót burzy. Tymczasem przeciwnie, w godzinach popołudniowych rozjaśniło się niebo, przybrało ciemno-niebieską barwę; a piękny, spokojny zachód słońca stanowił wspaniały kontrast ze spustoszeniem, widniejącém wszędzie w dolinie. Temperatura wzrastała od 7-méj rano, aż do początku burzy z 2·8°C do 21°C, a dopiero po południu zaczęła znowu spadać do 19·5°C, a w nocy nawet do 13·9°C. Szkody wyrządzone, powiada daléj dr. Erk, są straszne.

W świetle księżyca widziano całe dachy pędzone przez powietrze. Słup z ciosowych zbudowany kamieni, służący do umieszczenia

astronomicznych narzędzi, powalił wicher na ziemię. Z brzaskiem poranku odsłonił się widok osobliwszy. W całéj dolinie zbierał lud porozrzucane szczątki i belki zniszczonych domostw. Blaszany dach szkoły snycerskiéj, wielkiego, trzypiętrowego budynku, rozerwany na trzy części, leżał odrzucony o 270 metrów. Wielka, blachą kryta altana została w całości przerzuconą przez dom, z którego porwała z sobą kominy. Ale gwałtowność burzy lepiéj jeszcze uwydatniają spustoszenia zrządzone w lasach. Znaczne przestrzenie zostały z drzew ogołocone zupełnie. Z lasu mającego blizko 5 kilometrów długości, szerokiego na 1½ kilometra nie pozostało ani jednego drzewa. Ilość zniszczonych tutaj drzew oceniono na 250000. Strwożona ludność Hamersbachu, wioski leżącéj u stóp lasu, uciekała przerażona i padała na kolana, modląc się i wierząc, że to koniec świata.

W Tatrach rzeczy zazwyczaj nie przedstawiają się tak groźnie; ale przecież opowiadają i o wietrze halnym, że i on nie raz zrywa z chałup dachy i porywa bydło i ludzi, że łamie lasy i gruchocze wszystko, co na swéj drodze napotka. Wiedzą o tém wszyscy zwiedzający Tatry, bo jeżeli się im nie zdarzyło z prawdziwym halnym wiatrem spotkać w naturze, to przynajmniéj czytali wzmiankę o nim, chociażby np. w przewodniku do Tatr i Pienin. Jeden z gospodarzy Zakopiańskich opowiadał mi istotnie, że w grudniu 1886 r. zniszczył mu taki wicher mnóstwo drzew, a z obszernego domu mieszczącego w sobie piekarnię, zerwał dach prawie zupełnie.

W pół roku późniéj widziałem jeszcze po lasach tamtejszych bardzo liczne powywracane i połamane drzewa, a górale mówili mi wszędzie, że to późną jesienią burza tak szalała. Niestety nie można nigdzie znaleźć dokładnych dat ani spostrzeżeń, któreby o istocie i charakterze téj burzy pouczyć nas mogły. Za to ze stron leżących nieco daléj od Tatr ku zachodowi, mianowicie ze stacyi meteorologicznéj w Bielsku, na granicy Szlązka i Galicyi, pochodzi dokładny opis orkanu, który się tam srożył w zachodnich Beskidach mniéj więcéj w tym właśnie czasie, bo w nocy z 8-go na 9-ty grudnia 1886 r.

Oto w krótkości treść tego, rzec można, urzędowego sprawozdania. Jeszcze wieczorem o 10-téj godzinie było niebo całkiem jasne i panowała zupełna cisza. W godzinę późniéj powstała burza, idąca z południowego zachodu. Siła jéj rosła przez całą noc, a dopiero nazajutrz po południu osłabła. Spustoszenia największe sprawiła w górach, które się ciągną o milę na południe od Bielska, sięgając wysokości 1000 metrów. Szkody w lasach oceniono na 100000 zł. r. Dalsze daty odnoszą się do ciepła i wilgotności, oraz do stanu

barometru w bliższém i dalszém otoczeniu, a są zestawione dla wyjaśnienia właściwości téj burzy i przekonania się, że była ona istotnie rodzajem wiatru halnego, czyli *fönem* na małą skalę.

Wrócimy więc jeszcze do nich; ale wprzód musimy się nieco rozpatrzéć w ogólnéj teoryi wiatrów, bez któréj i *fön* pozostałby zagadką.

Areną, na któréj się odbywają owe wielkie, a tak różnorodne gonitwy, od najlżejszego powiewu, aż do najdzikszych uraganów, jest nasza atmosfera. Stanowi ją powłoka powietrza otaczająca całą ziemię, a gruba, jak Liais oblicza, na 40 mil geograficznych.

W gazowéj téj powłoce gęstość zmniejsza się w miarę oddalenia od ziemi tak znacznie, że kiedy np. przy poziomie morza 10 litrów (kwart) powietrza waży 13 gramów (łut.); to w wysokości jednéj mili geograficznéj idzie na łut 25 litrów, a w wysokości mil ośmiu aż 33000 litrów. Skutkiem tak szybko postępującego rozrzedzenia, zawiera się przeważna część masy powietrznéj w warstwach dolnych, a stosunkowo tylko nie wiele w wyższych przestworach.

Podobnie jak z gęstością, ma się rzecz i z temperaturą, która również spada w miarę oddalenia od ziemi. Im wyżéj, tym zimniéj. Z licznych pomiarów przekonano się, że każde 100 metrów wzniesienia daje oziębienie wynoszące około ½ stopnia Celsiusza. Powodu tego szukać należy w téj okoliczności, że główném źródłem ciepła dla powietrza jest powierzchnia kuli ziemskiéj. Promienie bowiem słońca przenikają atmosferę, nie ogrzewając jéj prawie wcale. Dopiero lądy stałe i wody oceanu pochłaniają ciepło promieniste i ogrzewają się tym sposobem. Powietrze w warstwach bezpośrednio na ziemi leżących zabiera następnie ciepło lądu, lub wody, jak gdyby z drugiéj ręki, a będąc jak każdy gaz złym przewodnikiem ciepła, z trudnością tylko dopuszcza ogrzanie się coraz wyżéj. Ale lądy stałe ogrzewają się szybciéj i silniéj, aniżeli wody oceanu. Co prawda ziębną téż prędzéj w czasie, kiedy słońce jest pod poziomem. Ztąd w jednéj nawet wysokości temperatura powietrza nad lądem i morzem musi być różną. Nadto zauważyć należy, że ziemia nie tylko w ciągu dnia słonecznego w każdym swym punkcie w rozmaity sposób się ogrzéwa, co zależy od zmiennego położenia słońca względem poziomu, ale jeszcze ulega znacznemu stopniowaniu ogrzania w ciągu różnych pór roku.

Ważniejsze jeszcze są różnice w cieple ziemi, powodowane większą, lub mniejszą odległością od równika, a więc rozmaitą szerokością geograficzną. Warstwy powietrza otaczające pas międzyzwrotnikowy, stykając się z najcieplejszą częścią kuli ziemskiéj, ogrzéwają się nierównie silniéj, aniżeli w okolicach biegunowych.

Wśród takich okoliczności temperatura powietrza musi być w tym samym czasie różną w różnych miejscach, a w jedném i tém samém miejscu to maléć, to wzrastać w ciągu czasu.

Obok temperatury równie ważną, a może jeszcze ważniejszą rolę odgrywa ciśnienie, mierzące się stanem barometru wyrażanym zazwyczaj w milimetrach. Maleje ono podobnie jak i temperatura w miarę wysokości. Albowiem im bardziéj się wznosimy po nad poziom morza, tém bardziéj zmniejsza się słup cisnącego powietrza, a ubywająca jego część dolna jest właśnie najgęstszą, a więc i najcięższą.

Wyobraźmy sobie teraz, że słup powietrza, cisnący na jakąś powierzchnię, zostanie od dołu ogrzany. Oczywiście, że wtedy warstwy jego dolne jako gorętsze, rozszerzać się będą silniéj, niż warstwy wyższe i tym sposobem każda wypierać będzie nad nią leżące powietrze ku górze. Ciśnienie przeto wzrośnie w górnych częściach słupa skutkiem przybywania tam powietrza. Cały słup jednak nie przestanie cisnąć na swoję podstawę zawsze jednakowo; gdyż ciepło nie zmieniło jego ciężaru. W słupie tym nie będzie już ciśnienie maléć za wzniesieniem w takim samym stopniu, jak poprzednio, ale znacznie powolniéj. Innemi słowy: ciśnienie zachodzące początkowo w pewnéj wysokości, zachodzi teraz w warstwie nieco wyżéj leżącéj.

Stosując to do całéj atmosfery, należy zauważyć, że w pasie międzyzwrotnikowym, z powodu większego rozgrzania ziemi, jest téż i powietrze najbardziéj rozgrzane. Tam więc górne warstwy mają ciśnienie większe, niż tak samo wysokie warstwy w miejscach leżących bliżéj biegunów.

Jaki zaś skutek taka różnica ciśnienia wywierać musi, o tém przekonać się można bardzo prostém doświadczeniem. Ściskając np. miech, zmniejszamy objętość zawartego w nim powietrzu, a tém samém zgęszczamy takowe. Skutkiem tego ciśnienia w miechu staje się większe niż zewnątrz, a powietrze z miecha uchodzi. Widzimy więc, że powietrze zostaje z miejsc większego ciśnienia wyparte i odpływa w stronę, gdzie ciśnienie jest mniejsze.

Z tego téż powodu w górnych warstwach atmosfery muszą powstawać prądy płynące od równika ku biegunom. Wszelako przy takim odpływie zmniejsza się masa gazu cisnąca na powierzchnią ziemi pod równikiem, a zwiększa się w miejscach leżących bliżéj biegunów. Ztąd przy powierzchni ziemi, w przeciwstawieniu do warstw górnych, rośnie ciśnienie w wyższych szerokościach geograficznych, a zmniejsza się pod równikiem. Powietrze płynąć więc musi od biegunów ku równikowi. Ze względu na górne prądy zauwa-

żyć należy, że dla powietrza odpływającego od równika, a przechodzącego na coraz to mniejsze równoleżniki, zachodzi w krótce brak miejsca. Prądy te więc nie dosięgnąwszy biegunów, muszą się w znacznéj przynajmniéj części ku ziemi opuścić, co wedle spostrzeżeń dzieje się już około 30-go stopnia szerokości geograficznej. Po za 30-tym stopniem już dwóch po nad sobą idących, a przeciwnych prądów nie dostrzega się wcale. Powietrze przepływa tam, zwłaszcza w dolnych swych warstwach, w kierunkach zależących przeważnie od różnic ciśnienia, wywołanych niejednakowém w ciągu roku ogrzaniem wód i lądów stałych.

Prąd powietrza w dolnych jego warstwach, a więc w bezpośredniém sąsiedztwie powierzchni ziemi, nosi nazwę wiatru. Otóż o zależności kierunku wiatrów od ciśnienia pouczyć nas mogą tylko spostrzeżenia systematycznie prowadzone. Wyniki takich spotrzeżeń notują się na tak zwanych synoptycznych mapach pogody, na których uwidocznione jest ciśnienie w różnych miejscach na ziemi i kierunek równocześnie dostrzeganego wiatru. Mapy te nie podają wprawdzie ciśnienia takiego, jak je barometr w danéj miejscowości wskazuje; ale takie, jakieby wskazywał, gdyby ta miejscowość mogła się zniżyć aż do poziomu morza. Redukcyą taką wykonywa się za pomocą odpowiedniego rachunku. Przez wszystkie miejsca o jednakowym stanie barometru wykreśla się na mapie linią, która się nazywa „i z o b a r ą“.

Z każdéj takiéj mapy widać bezpośrednio, że wiatr wieje zawsze z okolic, w których w danym czasie barometr stoi wyżéj, ku okolicom o niższém ciśnieniu.

Obchodząc w koło miejscowość największego ciśnienia, czyli tak zwane barometryczne *maximum*, mamy wszędzie wiatr wiejący ku nam od tego *maximum*. Przeciwnie, obchodząc w koło miejsca najniższego ciśnienia, zwanego barometrycznem *minimum*, mamy wiatr wiejący od nas ku takiemu *minimum*.

Daléj pokazuje się z map synoptycznych, że kierunek wiatru idąc od miejsc leżących na izobarze wyższego ciśnienia, ku miejscom leżącym na izobarze ciśnienia niższego, zbacza na całéj półkuli północnéj na prawo, a na południowéj na lewo. Zboczenie to rośnie wraz z szerokością geograficzną, a przyczyną jego jest dzienny obrót ziemi.

Skutkiem takiego zbaczania nie może powietrze w prostych liniach dopłynąć z miejsc wyższego ciśnienia aż do miejsca ciśnienia najniższego, ale musi wciąż nieco skręcać i pozostawiać to *minimum* na półkuli północnéj na lewo. Tym sposobem powstaje wokół miejsc najniższego ciśnienia pewien rodzaj wirowego ruchu powietrza i to w stronę przeciwną biegowi skazówek zegaru.

W takim ruchu będące powietrze nosi nazwę cyklonu, a miejsce najniższego ciśnienia jest jego środkiem. Coś podobnego dzieje się oczywiście i wokół miejsca najwyższego ciśnienia. Ale że tu powietrze od tego miejsca odpływa, więc skręcając na prawo, krążyć musi w stronę przeciwną niż w cyklonie, t. j. tak, jak skazówki zégaru.

W takim ruchu będące powietrze nosi nazwę antycyklonu, a środkiem jego jest właśnie miejsce największego ciśnienia.

W znacznéj odległości od środka cyklonu lub antycyklonu krzywa droga, po któréj płynie powietrze, wydaje się nam prostą, a to dla téj saméj przyczyny, dla któréj np. powierzchnią wody w stawie uważamy za płaszczyznę, chociaż w rzeczywistości jest ona częścią kulistéj powierzchni ziemi.

Stanąwszy na północnéj półkuli gdziekolwiek w obwodzie cyklonu, lub antycyklonu i patrząc w stronę, w którą płynie powietrze, czyli w którą wiatr wieje, będziemy mieli zawsze po stronie prawéj ciśnienie wyższe, a niższe po lewéj. To właśnie stanowi zasadnicze twierdzenie dla całéj teoryi wiatrów i nosi nazwę prawa Buys-Ballota.

Wynika z niego bezpośrednio, że w otoczeniu miejsc barometrycznéj depresyi wieje na południowéj stronie wiatr zachodni, na północnéj wschodni, na wschodniéj południowy, a na zachodniéj północny. Odnosi się to oczywiście do północnéj, a więc naszéj półkuli.

Chcąc na podstawie prawa Buys-Ballota wytłómaczyć układ wszelkich stałych i zmiennych wiatrów, potrzeba by przedewszystkiém znać ciśnienie w jaknajwiększéj liczbie miejsc na ziemi. Ale ciśnienie jest wogóle zmienne. Otóż dla uzyskania pewnych punktów oparcia postępuje się w ten sposób.

Ze wszystkich w ciągu dnia w jakiémś miejscu robionych spostrzeżeń (bywa ich zwykle trzy) oblicza się codziennie średni stan barometru; a następnie z liczb tak otrzymanych oznacza się średni stan ciśnienia dla każdego miesiąca. Łącząc na mapie za pomocą linii wszystkie miejsca, dla których w danym miesiącu średnie ciśnienie jest jednakowe, mamy izobary dla tegoż miesiąca, a więc też i średnie położenie miejsc największego i najmniejszego ciśnienia.

Mapy takie kreślą się na podstawie wieloletnich spostrzeżeń, pochodzących z coraz to liczniejszych stacyi. Dają one izobary dla wszelkich wysokości barometrycznych w odstępach po 5 milimetrów, a pokazuje się z nich, że ciśnienie rozmieszczone jest bardzo niejednostajnie na kuli ziemskiéj i że im większą jest rozmaitość konfiguracyi lądów i mórz, tém też różnorodniéjsze są zagię-

cia linii równego ciśnienia. Lądy bowiem i morza ogrzewają się niejednakowo, wpływają téż w sposób odmienny na cisnące nad niemi powietrze.

Na mapach synoptycznych widzimy różne a odosobnione *maxima* i *minima*, okazujące ciśnienie wyższe, a względnie niższe, aniżeli gdziekolwiek na około. W miarę oddalania się od miejsca, gdzie jest *maximum*, w jakim bądź kierunku, ciśnienie wciąż spada, przeciwnie w miarę oddalania się od *minimum* ciśnienie rośnie.

Rozpatrując się na mapie, dającéj np. izobary dla pory zimowéj, a więc kiedy lądy stałe są najzimniejsze, spostrzegamy, że Europa leży po prawéj stronie miejsc najsilniéj rozwiniętego barometrycznego *minimum*, a na północ od pasa o bardzo wysokiém ciśnieniu, rozciągającego się nad częścią Atlantyku. Stosownie więc do prawa Buys-Ballota, muszą w Europie w tym czasie przeważać wiatry południowe i zachodnie, wiejące z po nad oceanu, a więc ciepłe i wilgotne. Zmiany w tych wiatrach będą już tylko skutkiem przyczyn miejscowych. Przeciwnie wschodnia strona Ameryki, szczególniéj Stany Zjednoczone, jako téż wschód Azyi leżą po lewéj stronie depresyi znajdujących się nad Atlantykiem i oceanem Spokojnym, a po prawéj stronie przestrzeni mających największe ciśnienie i leżących w pośrodku wielkich lądów. Panują tam przeto w téj porze przeważnie wiatry północne i północno-zachodnie. W porze letniéj, kiedy stosunki ciepła na lądach i oceanach są inne, mają téż i izobary zupełnie odmienny kształt i położenie, a więc i wiatry całkiem inne panować muszą.

Na południowéj półkuli nie ma już po za 40-tym stopniem szerokości geograficznéj żadnych rozleglejszych przestrzeni lądowych; to téż nie ma tam i wiatrów, któreby odpowiadały letnim i zimowym wiatrom półkuli północnéj.

W pasie międzyzwrotnikowym przeważają wspomniane już poprzednio prądy, idące w dolnych częściach atmosfery na obu półkulach ku równikowi. Prądy te zbaczając na półkuli północnéj na prawo, a na południowéj na lewo, stanowią właśnie owe wiatry stałe, znane pod nazwą pasatów. Zmiany krążenia powietrza w porze letniéj i zimowéj, pomiędzy wielkiemi lądami a oceanem, powtarzają się, co prawda, na nierównie mniejszą skalę w ciągu dnia i nocy, na wybrzeżach morskich, co przedewszystkiém w krajach stref gorących się uwydatnia. Wiatry, wiejące tam na przemian z lądu na morze i z morza na ląd, są właściwie najdawniéj znaną formą prawidłowych prądów powietrza. Powodem ich jest przeciwieństwo biegu temperatury morza i lądu, zmieniające się z przejściem od dnia do nocy i wywołujące odwrócenie kierunku wiatru.

W krajach podzwrotnikowych, gdzie właściwéj zimy nie ma wcale, wieją wiatry takie przez cały rok; podczas kiedy w miejscach leżących w wyższéj szerokości geograficznéj, zdarzają się jedynie w porze letniéj.

Zajmujące opisy tych wiatrów podaje angielski marynarz Maury w swéj „Geografii fizycznéj morza.“ Znajdujemy tam np. ustęp taki: Mieszkańcy wybrzeży w krajach zwrotnikowych wyczekują niecierpliwie co rano morskiego powiewu. Pojawia się on téż zazwyczaj około godziny 10-téj. Z chwilą tą ustaje nużąca duszność poranku, a świéże orzeźwiające powietrze porusza wszystko i ludziom dopiéro sił do dziennéj pracy użycza. Z zachodem słońca wraca znowu cisza. Powiew morski ustaje, a wkrótce zamiast niego mamy wiatr lądowy, wiejący przez całą noc. Siła tych wiatrów bywa rozmaitą, ale nigdzie nie spotkałem się — powiada Maury — z wiatrem nadmorskim tak gwałtownym, jak w Valparaiso w porze lata południowéj półkuli. W godzinach popołudniowych wiatr ten po prostu szaleje. Porywa z dróg kamienie i rzuca nimi po ulicach. Lud chroni się po domach, ulice i place pustkami świécą. Wszelakie sprawy w zawieszeniu. Komunikacya pomiędzy okrętami a lądem przerwana. Nagle uspokaja się powietrze i woda, panuje cisza. Spokój, który teraz nastaje, jest cudowny. Niebo bez chmurki, atmosfera kryształowéj przejrzystości. Andy widnieją bliżéj. Klimat zawsze łagodny, staje się teraz zachwycającym. Wieczór zaprasza do przechadzki. To téż lud cały wylega na ulice. Panie nawet w balowych strojach, bo nie ma teraz na tyle wiatru, aby mógł najlżejsze piórko poruszyć. Taka zmiana powtarza się jaknajpunktualniéj dzień za dniem, przez całe lato; a mimo to wydaje się zawsze niespodzianką, bo nie można sobie nigdy wyobrazić, żeby tak rozszalała burza mogła tak nagle zamilknąć.

Powstawanie tych wiatrów, wiejących na przemian od lądu i od morza, tłómaczy się w ten sposób: W godzinach porannych ogrzéwa się wybrzeże szybciéj niż woda morska; a więc, jakeśmy to już widzieli, musi ciśnienie w górnych warstwach powietrza nad lądem wzrastać, a tém samém musi w górze powstawać odpływ w stronę niższego ciśnienia, t. j. ku morzu. Skutkiem tego rośnie ciśnienie przy poziomie morza, a w dolnych warstwach nad lądem maleje. To zaś wystarcza do wywołania wiatru wiejącego od morza. W nocy dzieje się przeciwnie. Wybrzeże ziębnie prędzéj niż woda, a więc téż i wiatr odwrócić się musi. W epokach przesilenia nastaje cisza. Okres jednodniowy jest zbyt krótki i dla tego nie może wywołać znaczniejszych różnic ciśnienia. Istotnie téż dopiéro nader ścisłe i subtelne poszukiwania Blanforda i Chambersa zdołały te różnice wykazać.

Jak na wybrzeżach gorących krajów wiatry od lądu i morza wieją na przemiau w noc i we dnie, tak téż i w górach podobne napotykamy zjawisko. W gorącéj porze roku, zwłaszcza w dni pogodne powstaje przed południem wiatr ciepły, wiejący z dolin ku górom. Wzmaga się on po południu, a ustaje dopiéro z zachodem słońca. Po krótszéj lub dłuższéj przerwie pojawia się w zamian wiatr chłodny zstępujący z góry w dolinę. W wielu miejscowościach wiatrom tym ponadawano szczególne imiona; tak np. nad jeziorem Garda nazywają dzienny wiatr *ora*; nad jeziorem Komo: *breva di Lecco* i *breva di Como*, podług dwóch odnóg jeziora. W Alpach, gdzie prawidłowe zmiany wiatrów dziennych i nocnych są nadzwyczaj stałe, uchodzi u ludu nawet za przepowiednią słoty, jeżeli się kiedy zdarzy inaczéj. I jest w tém pewna racya, bo wskazuje to w każdym razie. że jakiś silniejszy i ogólniejszy prąd powietrza usuwa miejscowe wiatry na plan drugi.

Wiatry takie są właściwością wszystkich górskich krajów, z wyjątkiem chyba stref podbiegunowych. Podróżny Strachey powiada, że w dolinach Himalajskich wieje przez cały rok wiatr we dnie ku górom, a w nocy z gór w doliny.

Najczęściéj zwraca się w górach uwagę tylko na wiatr nocny, gdyż zwykle jako zimniejszy, bardziéj czuć się daje.

Teoretyczne wyjaśnienie tych oddawna znanych wiatrów powiodło się dopiéro w najnowszych czasach.

Wyjdźmy o rannéj godzinie na górę i stańmy gdziekolwiek na pochylonym jéj stoku. Jeżeli wiatru nie ma wcale, to znak, że w całym poziomie naszego stanowiska jest jednakowy stan barometru.. Ale wnet rozpoczyna się działanie promieni słońca. Powietrze spoczywające w głębi doliny, na dnie jéj coraz to gorętszém rozszerza się coraz bardziéj i, jak to już wiemy, zwiększa tam ciśnienie w pewném nad tém dnem wyniesieniu. Wkrótce wyniesienie to dosięgnie poziomu naszego stanowiska, a wtedy już i wiatr ciepły ku nam powiać musi. Z zachodem słońca dno doliny ogrzewać się przestaje, spoczywające na niém powietrze ziębnie w ciągu nocy i ściska się, a skutkiem tego w pewném nad dnem wyniesieniu ciśnienie spada i staje się mniejszém niż w takiéj saméj wysokości na stoku góry. To téż i wiatr się odwraca.

Od ogólnéj téj reguły zdarzają się przecież wyjątki, które tłómaczyć należy ubocznemi, a nieraz bardzo powikłanemi stosunkami miejscowości. Tak np. w górnéj Engadynie, w owym kraju najcudniejszych alpejskich widoków, wieje przez całe lato ciepły wiatr dzienny nie z dołu, ale z góry, z wąwozu Maloja w dolinę Innu; podczas kiedy w sąsiednich, bocznych dolinach prawidłowe wiatry

do góry się wznoszą. Znany szwajcarski meteorolog d-r Billwiller wytłómaczył tę pozorną anomalią właściwą konfiguracyą wąwozu Maloja, nie zamkniętego żadnym wałem gór, ale przeciwnie stanowiącego ujście głęboko wciętéj, już na wpół włoskiéj i silnie ogrzanéj doliny Maira.

Ale i chłodne, a nawet zimne wiatry spadające w doliny w porze dziennéj są znane. Zdarzają się one tam, gdzie stoki gór są znacznie zimniejsze niż powietrze dolin; np. w dni bardzo ciepłe w pobliżu alpejskich lodników.

Maurycy Wagner w swych podróżach przyrodniczych po Ameryce południowéj tak wiatry te opisuje: Zbliżając się do linii śnieżnéj, napotyka się w niektórych okolicach, mianowicie na płaskowzgórzu Quito niesłychane przeszkody utrudniające, a czasem wprost uniemożliwiające wychodzenie na szczyty. Stanowią je owe ostre wichry gór Nevados, których mroźne, lodowe powietrze zwłaszcza w sierpniu i wrześniu spada w rozgrzane doliny. Im potężniejsze masy śniegu zalegają porozrzucane po górach wulkany i im rozleglejsze doliny u stóp ich się rozciągają, tém częściéj i regularniéj dmą te wichry lodowe. Powstają one zazwyczaj około siódméj godziny rano i wzmagają się w ciągu dnia, osiągając największą siłę około 2-éj po południu, a trwają aż do zachodu słońca.

Ze wszystkiego cośmy dotąd o istocie wiatrów mówili, wynika, że powstają one zawsze, ilekroć w różnych miejscach jakiego poziomu zachodzą różnice w ciśnieniu barometryczném. Ztąd już nasuwać się musi pytanie, czy i siła wiatru od tych różnic nie zależy? Idąc drogą utartą we wszystkich naukach przyrodniczych, t. j. drogą ściśle prowadzonych i pomiarami kontrolowanych spostrzeżeń, dojdziemy i tu najprędzéj do celu i łatwo uzyskamy potwierdzającą na to pytanie odpowiedź.

Wróćmy do naszych map synoptycznych.

Wspominałem już, że na nich oprócz wysokości barometrycznego ciśnienia oznaczone są i kierunki dostrzeganych wiatrów. Otóż te oznaczenia uskuteczniają się w ten sposób, iż obok każdéj na mapie pomieszczonéj miejscowości kreśli się strzałkę, któréj ostrze zwrócone jest w stronę wiatru. Odchylenie strzałki od nakreślonego na mapie południka wskazuje odrazu jaki wiatr wieje.

Ale nie dosyć na tém. Każda strzałka ma z tyłu dodane poprzeczne kréski, jak gdyby piórka, a liczba ich oznacza siłę wiatru. Im wiatr silniejszy, tym więcéj piórek ma strzałka.

Ścisłe oznaczenie siły wiatru polega na wymierzeniu prędkości z jaką się powietrze porusza. Służą do tego osobne przyrządy zwane anemometrami, które wszelako tylko w stosunkowo niewiel-

kiéj liczbie stacyi obserwacyjnych się znajdują. Im szybciéj powietrze płynie, tém wiatr jest silniejszy. Zazwyczaj poprzestaje się na przybliżonéj ocenie, rozróżniając 6 lub 10, a nawet 12-cie różnych stopni, jak np. na mapach synoptycznych, wydawanych codziennie przez centralny instytut meteorologiczny wiedeński.

Uważne rozpatrzenie się na takich mapach poucza nas, że strzałki mają tam piórek najwięcéj, gdzie izobary najwięcéj do siebie zbliżone. A że od jednéj izobary do drugiéj ciśnienie spada o 5 mm. więc wiatr jest tém silniejszy, im na krótszéj drodze taka różnica ciśnienia się pojawia.

Zachodzi tu coś podobnego, jak z wodą płynącą w potokach. Prędkość jéj jest tém większą, im większy spadek ma koryto, czyli im krótszą drogą spada z téj saméj wysokości.

Wybierzmy sobie na kierunku prostopadłym do izobary dwie miejscowości odległe od siebie o milę geograficzną i zmierzmy w obu stan barometru. Rożnica obu ciśnień odpowiada w zupełności temu, co dla wody w potoku spadkiem nazywamy. Możemy ją przeto nazwać spadkiem barometrycznym. Otóż prawda, wyczytana z map synoptycznych, daje się wyrazić słowami: Siła wiatru rośnie wraz z wielkością spadku barometrycznego.

Stanowi to drugie zasadnicze prawo teoryi wiatrów, znane pod nazwą prawa Stevensona.

Wielkość spadku barometrycznego przy najsilniejszéj burzy wynosi w Europie piątą a najwyżéj trzecią część milimetra na milę, podczas kiedy w cyklonowych orkanach strefy gorącéj dochodzi do jednego milimetra.

Nader pouczające i ciekawe wnioski wysnuć się dają z porównania szeregu map sypnoptycznych, sporządzanych codziennie w ciągu nieco dłuższego czasu, szczególniéj jeżeli w czasie tym srożyły się burze.

Przedewszystkiém przekonać się można, że spadek barometryczny nie jest bynajmniéj wszędzie jednakowy; że zazwyczaj w pobliżu barometrycznego *maximum* jest najmniejszy, tak, iż w tych okolicach wiatry bywają słabe, a nawet cisza często panuje. Za to w okół miejsc depresyi barometrycznéj spadek jest wogóle naglejszy, a więc i wiatry silniejsze. To téż wszelkie burze są wichrami wirowemi, tylko że gwałtowność ruchu powietrza, jako zależna od spadku barometrycznego, nie jest bynajmniéj jednakową do około punktu najmniejszego ciśnienia. Owszem częstokroć się zdarza, że burza sroży się tylko po jednéj stronie wiru.

Wreszcie okazuje się, że miejsca, w których zachodzą barometryczne *minima*, zmieniają swe położenie zazwyczaj z dnia na

dzień, posuwając się najczęściéj ku wschodowi, lub północnemu wschodowi, rzadko kiedy ku południowi, a tylko wyjątkowo ku zachodowi. Przebiegają one w środkowéj Europie przecięciowo po 80 mil dziennie, czyli po 7 metrów na sekundę; a więc posiadają prędkość miernego wiatru. Zdarza się wszelako czasami, że pędzą trzy do czterech razy szybciéj, a więc z prędkością prawdziwéj burzy.

Za to *maxima* barometryczne nieraz przez czas dłuższy nie ruszają się z miejsca.

Ale widzieliśmy, że *minima* barometryczne stanowią właśnie środki cyklonów, a więc i burz. Całe te cyklony zostają oczywiście porwane w kierunku, w którym depresya się posuwa; a powietrze, które w tych wirach przepływa, czyli wiatry cyklon stanowiące, muszą wskutek tego skręcić się w odpowiednią stronę.

Skręcenie to zależy dla każdéj miejscowości, przez którą cyklon przechodzi, przedewszystkiém od położenia jéj względem kierunku, po którym biegnie środek cyklonu, a daléj od tego, czy środek ten jeszcze się ku niéj zbliża, czy też minąwszy ją, już się od niéj oddala.

W Europie nadchodzą barometryczne *minima* prawie wyłącznie z zachodu z po nad Atlantyku. Otóż jeżeli środek burzliwego cyklonu w drodze swéj znajdzie się na południowéj stronie Adryatyku, to w północnych stronach tego morza wiać muszą silne wiatry z północnego wschodu, wzmacniane jeszcze wpływem wielkiéj różnicy w temperaturze niezwykle rozgrzanego wybrzeża i chłodnych wyniosłości Karstu. To właśnie jest owa *bora*, tak bardzo w tamtych stronach dokuczliwa.

Ale jeżeli środek cyklonu z po nad Atlantyku pójdzie nieco wyżéj i zbliży się do wybrzeży Europy mniéj więcéj w szerokości geograficznéj środkowéj albo południowéj Francyi, to na Adryatyku powstają wiatry południowo-wschodnie, a nawet i południowe; a nieco daléj na północ, pod wpływem gór ciągnących się w poprzek ich kierunku, ulegają znacznym przemianom pod względem swego charakteru i własności i przeistaczają się w ów *fön*, o którym mówiliśmy z początku.

Podobnie przesunięcie się miejsc barometrycznéj depresyi po północnéj stronie Karpat, musi wywołać wiatry z południa, a gdzie wysokość gór jest dość znaczną, jak właśnie w Tatrach, tam wiatry te również cech *fönu* nabierają.

Ale *fön* jest suchy i ciepły; a wiatry południowe lub południowo-wschodnie, zwłaszcza nadchodzące z nad oceanu i uderzające o wały gór niosą ze sobą bardzo wiele wilgoci. Chcąc tedy zrozu-

mićć to przeistoczenie, musimy się wprzód zastanowić nieco nad wilgotnością. Powietrze bowiem zawiera zawsze trochę pary wodnéj, pochodzącéj przeważnie z parowania wód oceanów i mórz ogrzanych promieniami słońca. Im cieplejsze powietrze, tém więcéj pary wpośród cząstek jego rozmieścić się może; ale dla każdéj temperatury ilość pary wodnéj, mogącéj się w danéj przestrzeni pomieścić, jest ściśle oznaczoną. Tak np. jeden metr sześcienny powietrza o temperaturze 10°C może zawierać najwyżéj 9·2 gramów pary wodnéj, a jeżeli jéj istotnie tyle zawiera, to najmniejszy dodatek pary, lub najlżejsze oziębienie powoduje natychmiast utworzenie pewnéj ilości wody, czyli skroplenie pary. Ogrzanie wywarłoby skutek przeciwny tj. pozwoliłoby temuż samemu powietrzu więcéj pary w sobie pomieścić.

Powietrze zawierające największą, przy danéj temperaturze możliwą ilość pary wodnéj, nazywa się nasyconém. Jeżeli zaś para w niém zawarta do nasycenia nie wystarcza, to mówimy, że powietrze jest mniéj lub więcéj wilgotne; rozumiejąc przez wilgotność stosunek znajdującéj się w powietrzu pary, do téj ilości, jakiéjby ono do nasycenia potrzebowało. Zazwyczaj wyraża się stosunek ten w procentach. Jeżeli np. w powietrzu znajduje się tylko czwarta część téj ilości pary, jaka by je nasycić musiała, to mówimy, że wilgotność powietrza tego wynosi 25%. Wynika ztąd, że powietrze może być znacznie suchsze wtedy, kiedy ma w sobie więcéj wody, niż kiedy jéj mniéj zawiera; zależy to bowiem od temperatury. Metr sześcienny powietrza zawierający np. tylko 5 gramów wody przy 10°C, ciepła jest daleko wilgotniejszy, niż gdyby zawierał dwa razy tyle wody przy temperaturze 40°C; w pierwszym bowiem razie wilgotność wynosi 54%, a w drugim tylko 20%. Dla tego też oziębienie czyni powietrze, choćby nawet dość suche, znacznie wilgotniejszém i może skroplenie, np. deszcz spowodować. Przeciwnie samo ogrzanie suszy nawet i bez utraty wody.

Zastosujmy to teraz do naszych wiatrów górskich gorących, a suchych.

Nie można się wcale dziwić, powiada Hann, którego uznać należy za właściwego twórcę dzisiejszéj teoryi *fönu*, że pierwsze próby wyjaśnienia tego wiatru alpejskiego doprowadziły do przypuszczenia, jakoby źródłem jego była Afryka. Wszak *fön* jest wiatrem południowym, gorącym i suchym, a Sahara leżąca względem Szwajcaryi na południe jest jak gdyby streszczeniem pojęcia wszelkiego gorąca i suszy. Co prawda, należało pamiętać o tém, że Sahara tylko w porze letniéj jest tak bardzo gorącą, kiedy tym czasem *fön* właśnie w zimie najwięcéj podnosi temperaturę, a w lecie występuje najsłabiéj.

Zwolennicy afrykańskiego pochodzenia *fönu*, a na ich czele geolog szwajcarski Escher von der Linth, utrzymywali, że Sahara wyłoniwszy się z oceanu, stała się następnie suchą pustynią, której piaski rozpalające się od słońca powodują wznoszenie się gorącego prądu powietrza, odpływającego następnie ku północy. W przebiegu po nad morzem Śródziemném miał się ten suchy wiatr południowy nasycać w dolnych swych warstwach wilgocią i wiać przez Sycylią i Włochy aż do podnóża Alp. Alpy dopiero miały go zatrzymywać; a tylko górne, a więc suche warstwy przepuszczać przez szczyty i wąwozy na stronę północną jako *fön*.

Celem utrwalenia takiéj teoryi odbyli nawet wraz z von der Linthem dwaj inni badacze Desor i Martins w r. 1863 naukową podróż do Sahary. Znaleźli tam co prawda mnóstwo kopalnych resztek mięczaków żyjących i dziś jeszcze w morzu Śródziemném, co miało stwierdzać, iż Sahara stanowiła niegdyś dno morskie; ale teorya afrykańskiego pochodzenia *fönu* mimo to utrzymać się nie zdołała. Przeciw niéj przemawia przedewszystkiém przebieg zjawisk atmosferycznych, towarzyszących wiatrowi temu po obu stronach Alp. Kiedy w północnéj Szwajcaryi wieją gorące, suche wiatry z południa, mamy na południowéj stronie gór prawie zupełną ciszę; temperatura w dolinach bardzo mało, lub nawet wcale się nie podnosi; stopień wilgotności jest bardzo znaczny; a zazwyczaj w kilka godzin po wybuchu *fönu* po stronie północnéj występują na południowych stokach i na szczytach Alp znaczne opady, deszcz i śnieg i to w niezwykłéj obfitości.

W czasie strasznéj ulewy i powodzi w Karyntyi, w r. 1872 od 1-go do 4-go grudnia srożył się *fön* jako gwałtowny, suchy wicher w północnych Alpach wapiennych na całéj przestrzeni pomiędzy Wiedniem a Salzburgiem.

Nie można się też zgodzić na myśl, jakoby gorący, suchy wiatr południowy przepływał wgórze po nad południowemi dolinami; bo nawet na grzbietach Alp dostrzedz go nie można. Tam właśnie wzrost temperatury jest nieznaczny, a powietrze zostaje wilgotne. Niezmiernie wielkie ciepło i suchość ogranicza się do dolin będących dziedziną *fönu*, a znika stopniowo w miarę posuwania się w kraj podalpejski.

Wieloletnie obserwacye Hanna w Bludenz w Tyrolu, a Billwillera i innych w Szwajcaryi przekonywają stanowczo, że *fön* północnych dolin alpejskich nie posiada jeszcze swego gorąca i suchości na szczytach gór, ale ich nabywa dopiero w miarę spadania na dół.

Że spadający prąd powietrza, ogrzewając się szybko, musi w dolinę przybyć jako wiatr bardzo suchy, to pojąć łatwo, pamiętając o tém, cośmy tylko co o wilgotności mówili. Ogrzewanie się powietrza w czasie upadku polega na tém, że przechodzi ono pod coraz to większe ciśnienie; a tak teoretyczne obliczenia, jak i wyniki doświadczeń pokazują, że każde 100 metrów spadku wywołuje ogrzanie o jeden stopień.

Przypomnijmy sobie teraz, że jak nas pouczyły mapy synoptyczne, powstają w Europie wiatry południowe wtedy, kiedy *minima* barometryczne w odpowiednich miejscach zbliżą się z nad Atlantyku ku lądowi stałemu. Jeżeli tedy takie *minimum* znajdzie się np. na linii idącéj od Irlandyi ku zatoce Biskajskiéj, a więc w stronie północno-zachodniéj od Alp, to z nad całego przedalpejskiego kraju musi powietrze płynąć ku miejscom takiéj depresyi, jako wiatr południowy, lub południowo-wschodni. Wślad za nim podążyć też musi i powietrze dolin alpejskich. A że wał gór nie dopuszcza natychmiastowego dopływu ze strony południowéj; przeto wyrównanie ubytku musi się odbyć kosztem powietrza spadającego z grzbietów górskich i szczytów.

Ale depresya przybliża się z zachodu, więc też i wicher południowy pojawia się w kraju podalpejskim jeszcze wcześniéj, niż *fön* w alpejskich dolinach; a na południowéj stronie gór panuje jeszcze dość długo cisza, podczas kiedy *fön* już się na północy sroży.

Tak nam przedstawia swoję teoryą Hann, któremu przyznać trzeba zasługę, że pierwszy z całą dokładnością rzecz wyjaśnił.

Mimo całéj prostoty i jasności znalazła przecież i ta teorya przeciwników. Wystąpił mianowicie przeciw wiedeńskiemu meteorologowi znany francuski astronom Faye a w ślad za nim poszedł i Hébert autor obszernéj pracy „o wielkich ruchach powietrza, o *fönie* i *sirocco*“. Odrzuca on wprawdzie przypuszczenie afrykańskiego pochodzenia *fönu* i zgadza się po części z Hannem, przyznając, że powietrze zmuszone do wznoszenia się po jednéj stronie gór, a spadające po drugiéj, musi się ogrzewać i osuszać, zaprzecza jednak, żeby przyczyna tego spadania była taką, jak to Hann przyjmuje.

Ale wywód Héberta grzeszy pewnym brakiem należytéj ścisłości w posługiwaniu się prawami mechaniki. Nie pomaga mu też wiele przyjęcie hipotezy, jaką postawił Faye, że przy uderzeniu wielkich cyklonów o wały gór sięgających nawet do 4000 metrów powstają miejscowe, niejako drugorzędne wiry, w których powietrze zstępuje na dół.

Tymczasem nie powiodło się Faye'mu udowodnić teoretycznie ich istnienie, a natomiast wykazał Billwiller przy pomocy licznych obserwacyi, że w Szwajcaryi w czasie *fönu* nie ma nigdzie takich drugorzędnych wirów i że po prostu w ślad za ubytkiem powietrza w podalpejskich równinach spływać ono tam musi ze stoków gór.

Jeżeli pogląd ten jest słuszny; to na południowéj stronie Alp powinienby powstawać *fön* północny w razie, kiedy by wysoki stan barometru zachodził na północno-wschodniéj stronie gór, a barometryczne *minimum* leżało na południowym wschodzie; czyli, jeżeliby ze względu na położenie łańcucha Alp rozmieszczenie ciśnienia było wprost przeciwne niż przy *fönie* południowym, wiejącym w północnych dolinach.

I tak téż jest istotnie. Ilekroć mapy synoptyczne wykazują takie właśnie rozmieszczenie ciśnienia, wieje ciepły i suchy wiatr z północy lub północnego wschodu w południowych alpejskich dolinach, dający się czuć nawet aż w Medyolanie. Zdarza się to najczęściéj w miejscowościach: Bellinzona, Lugano, Castasegna, Riva i Brixen, oraz nad jeziorem Como.

Tylko, że *fön* północny nigdy nie dorównywa potędze południowego, bo téż i barometryczne *minima* morza Śródziemnego są nie tak częste i bez porównania słabsze niż atlantyckie.

Ale co więcéj, jeżeli istotnie takie są warunki powstawania *fönu*, to powinien on się pojawiać nie tylko w Alpach, ale i w innych górach, choć może mniéj wybitnie, jeżeli konfiguracya lub wysokość gór mniéj temu sprzyja.

Nader ciekawe potwierdzenie téj myśli znaleziono tam, gdzie się tego najmniéj można było spodziewać. Gorący i suchy wiatr w lodowéj Grenlandyi, podnoszący w porze zimowéj temperaturę o 12 do 20°C, to pewnie rzecz godna zastanowienia. A dr. Rink, który go r. 1857 pierwszy opisał, nie wyobrażał sobie nawet, że ma do czynienia z najprawdziwszym *fönem*. Tymczasem podana przez niego wiadomość, iż w domach eskimosów grenlandzkich powietrze w zimie jest niezmiernie suche i o 30° do 40°C cieplejsze niż na dworze, naprowadziła Hanna, jak sam to opowiada, na pierwsze początki nowéj teoryi.

Duński uczony Hoffmeyer przekonał się, że w czasie tego wiatru znajdowało się barometryczne *minimum* w południowéj stronie cieśniny Daviskiéj, *maximum* zaś na północy Atlantyku, a wiatry takim stanem wywołane, musiały w Grenlandyi przepływać przez wyniosłości mające co najmniéj 2000 metrów.

Że *fön* występuje w Pireneach na północnéj ich stronie i to nawet dość często, temu się już dziwić nie można, bo działają tu te same barometryczne *minima*, co i w Alpach, tylko zazwyczaj już o kilka dni wcześniéj.

Ale nawet na wybrzeżach morza Kaspijskiego, jak opisuje Redde, pojawia się w zimie ciepły suchy wiatr wiejący z Elbrusa; a wielu innych podróżnych podaje podobne wiadomości z najróżniejszych stron świata.

Na jednę okoliczność należy jeszcze zwrócić uwagę. Zdarza się, lubo bynajmniéj nie zawsze, że w czasie *fönu* drobny, rozmaicie zabarwiony pył napełnia powietrze, lub wraz z deszczem spada. Przypomnijmy sobie np. ów czerwony osad na szybach okien, o którym mówi Erle. Otóż pył taki pochodzi czasem ze stron bardzo dalekich, niekiedy nawet istotnie aż z Sahary, coby się zdawało przemawiać za zarzuconą już dziś teoryą von der Lintha. Rzecz tę tak pojmować należy. W porze, kiedy nad morzem Śródziemném występują liczne, a bardzo zmienne *minima* barometryczne, powstają téż i w Afryce wichry południowe, unoszące mnóstwo pyłu z piasków pustyni, który potém dostaje się do wyższych warstw atmosfery. Jeżeli przypadkowo cyklon zdążający ku północy zaczepi o taką warstwę, to i pył jéj porwie z sobą i gdzieś daléj może osadzi, lub innym prądom przekaże.

Co do samego powstawania depresyi barometrycznych, to wszelkie dotychczasowe usiłowania nie zdołały wykazać jaki jest właściwie ich początek. Nawet powodu posuwania się ich dobrze jeszcze nie znamy. Ale to jest pytanie nie należące już, ściśle biorąc, do sprawy *fönu*, lecz do ogólnéj teoryi wiatrów, która zbyt jeszcze jest młodą nauką i czeka dalszego rozwoju.

Wróćmy teraz na chwilę do owéj burzy w Beskidach, o któréj poprzednio mówiłem. Ze wspomnianego już sprawozdania stacyi meteorologicznéj w Bielsku widzimy, że w godzinach porannych znajdowała się 8-go grudnia niezwykle głęboka depresya na zachodniéj stronie Szkocyi, a wkrótce zaczęły się wszędzie pokazywać jéj skutki. Barometr wciąż spadał, a w ciągu nocy, podczas posuwania się depresyi coraz daléj na wschód, obniżył się bardzo znacznie. W Bielsku spadło ciśnienie w ciągu 24-ch godzin o 15 mm. Prawie przy samych Beskidach, po północnéj ich stronie, nastąpiło tedy znaczne rozrzedzenie powietrza, tak iż w górach tych wiatr południowy powstać musiał. Podniósł on temperaturę z 4-ch na 7°C. A że spadek barometryczny około Bielska doszedł do 0°3 mm. na milę, więc też i potęga burzy w zupełności się tłómaczy. Nie zatrzymując się dłużéj w Beskidach, posuńmy się w Tatry. U stóp ich le-

ży Zakopane, owa górska wioska zapisana tak mile w pamięci wszystkich, co ją znają. Stanowi ona najwłaściwszy punkt oparcia nie tylko dla tych, co w Tatrach szukają wytchnienia i rozrywki, lub pokrzepienia nadwątlonego zdrowia, ale i dla wszelkich naukowych nad Tatrami poszukiwań.

Tu właśnie miałem téż w ciągu ubiegłego lata sposobność zaznajomienia się nieco bliżéj z wiatrem halnym.

Burza, która w nocy z 16-go na 17-ty sierpnia przeszła nad Zakopanem, jakkolwiek co do gwałtowności nie dosięgła zbyt groźnych rozmiarów, przedstawia się przecież jako typowy *fön* pod względem swego źródła i charakteru.

Spójrzmy na mapę synoptyczną Europy z obu tych dni. Linie i strzałki czerwone oznaczają izobary i wiatry z 16-go sierpnia, a czarne z 17-go. Oryginał téj mapy pochodzi z centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu.

Barometryczne *minimum* które się 16-go pojawiło we Francyi, przesunęło się w ciągu doby na wschód i przeszło po za wschodnie części Niemiec sięgając aż w okolice Warszawy i jeszcze dalej. Za to drugie miejsce depresyi rozciąga się 17-go nad morzem Północném i Anglią, podczas kiedy 16-go była depresya na saméj północy Skandynawii. W południowo-zachodniéj stronie Europy wytwarza się 17-go nowe *maximum*, a 16-go było ono jeszcze na południowym wschodzie sięgając po Kaukaz. Powietrze u podnóża Tatr odpływać musi ku północy i wschodowi, co powoduje znaczne rozrzedzenie, a w ślad za tém i wiatr z gór powstaje.

Zestawiając spostrzeżenia meteorologiczne, notowane przez oba dni w Bielsku, Żywcu, Wadowicach, Krakowie, Jodłowniku, wreszcie w Poroninie i Zakopanem, a po południowéj stronie gór w Szmeksie, Debreczynie i Ungvarze; znajdujemy przedewszystkiém wszędzie silne spadanie barometru, zwłaszcza w nocy z 16-go na 17-ty. W Krakowie wyniosło ono 8 mm. w Zakopanem 10 mm. W ciągu zaś 17-go barometr zwolna znowu się podnosi. Wilgotność zeszła w Krakowie z 86% na 43%, w Jodłowniku z 77% na 51%, a w Zakopanem 76% na 22%. Temperatura we wszystkich wymienionych stacyach wzrosła. W Zakopanem najwięcéj. Wynosiła ona 16-go rano 8°C, o godzinie 2-giéj 20°C, a wieczorem 29°C. Spadek barometryczny doszedł w czasie burzy w Zakopanem do ¼ milimetra na milę.

W ciągu kilku dni, poprzedzających burzę, padały częste i obfite deszcze, ale z rana 16-go sierpnia zaczęło się niebo wyjaśniać. Powietrze stawało się coraz przezroczystsze, a w popołudniowych godzinach szczyty Kościelca i Świnicy zdawały się leżéć znacznie

bliżéj. Około 6-téj wieczorem rozpoczęły się z razu w dłuższych przerwach, co prawda słabe jeszcze podmuchy wiatru z południowego zachodu.

Oświetlenie gór zazwyczaj przy zachodzie słońca tak piękne w Zakopanem, stawało się coraz żywsze. Wydłużony grzbiet Koszystéj lśnił ciemnoczerwoną prawie fiołkową barwą, a ostre szczyty Granatów i w dali widniejące Tatry węgierskie w tém oświetleniu przypomniały mi dolomity Alp tyrolskich, błyszczące przy zachodzie słońca wspaniałém światłem purpurowém.

Wreszcie zaczęły się na szczytach gór gromadzić drobne białe chmurki i płynąć ku wschodowi i północy, dając w szczupłych wprawdzie ramach obraz tego, co Szwajcarzy murami *fönu* nazywają. Około 9-téj wieczorem zerwała się burza nad samą wsią, gdy tymczasem do sąsiednich górskich dolin, jak np. do Kościelisk zawitała już o kilka godzin wcześniéj.

W coraz to częstszych i coraz silniejszych wybuchach srożył się odtąd wicher aż do godziny 2-giéj w nocy i wstrząsał chaty góralskie. Nie doszedł jednak do takiéj potęgi, ażeby ludzkim siedzibom stać się istotnie groźnym. Bez strat i szkód po ogrodach i lasach obejść się oczywiście nie mogło, ale straty te były jeszcze względnie nieznaczne.

Nazajutrz było zupełnie spokojnie, w ciągu dnia chmurzyć się znowu zaczęło, a przed wieczorem spadł deszcz, choć niezbyt obfity.

W trzy tygodnie późniéj odezwał się wiatr halny znowu; ale przerwał on spokój nocy tylko na kilka godzin i wystąpił tak łagodnie, że nie dał nawet powodu do szczegółowych spostrzeżeń.

Wogóle wiatr halny w Tatrach daje nam wprawdzie wyobrażenie o wpływie, jaki wysokie pasma gór wywierają na prądy powietrza, spowodowane właściwém rozmieszczeniem ciśnienia atmosferycznego; ale dalekim jest od owéj grozy, jaką szerzą gdzieindziéj spokrewnione z nim burze.

Nie zmniejsza on téż bynajmniéj uroku, jaki wywierają i zawsze wywierać będą Tatry na każdy umysł wrażliwy na prawdziwe piękno w przyrodzie.

Dr. Oskar Fabian.





WOLA ZBIOROWA I ZASADA SZCZĘŚLIWOŚCI.

STUDYUM ETYCZNE.

(Dokończenie.)

Dobro i zło.

Z takich to przesłanek psychologicznych ulepił filozof niemiecki kamień węgielny dla swojéj etyki. Ale w nim bez trudności dostrzedz można coś więcéj nad podmurowanie, bo i wielki zrąb, niemal korpus cały gmachu, któremu brakuje już tylko ostatecznego wykończenia. Etyczne stanowisko Wundta zarysowało się już dosyć wyraziście. Pozostaje tylko uzupełnić charakterystykę pomysłów zasadniczych bezpośrednią, pozytywną, odpowiedzią na naczelne pytania etyki, czyli dokonać — możnaby dodać — tego, do czego powołuje naukę ów najwyższy z wymienionych imperatywów: potrzeba zdania sobie sprawy z ideałów.

Pytania te krążą po systemach pod postacią trojaką: zagadnień cnoty, szczęścia i obowiązku. Lecz wszystkie te pojęcia, stanowiące trzy główne pierwiastki dociekań nad moralnością, są nadto przypadkowe i jednostronne. Cnota przywodzi na myśl całą konduitę jednostki, jest za bardzo podmiotową. Obowiązek sprawia wrażenie jakiegoś absolutu, niezależnego od czasu i miejsca. W końcu szczęście daje pochop do nieporozumień i opacznych tłómaczeń. Słuszniéj zatém będzie, według Wundta, zastąpić wszystkie trzy kategorye formułami świeższemi i bardziéj ogólnemi; cnotę — pobudką moralną, obowiązek — normą moralną, a szczęście — celem moralnym, — i oto dalsze wywody same rozpadają się na trzy działy.

Przodem idzie problemat celów. Stosownie do rozwojowego charakteru maksym, układają się one w hierarchię. Na szczeblu

najniższym stoją cele indywidualne, a przedewszystkiém zasada zachowania swego życia. Wzięte samo przez się dążenie to jest bezwartościowém, a zyskuje cenę moralną dopiéro wówczas, gdy prowadzi do innych celów, i to takich, które dobroczynną swą stroną nie zwracają się znowu ku jednostce, ale służą ogółowi. Jest wprawdzie jeden wypadek, kiedy i cel osobisty może być chwalebny,—zdarza się to wtedy, gdy polega na wewnętrzném zadowoleniu a nawet szczęśliwości, ale takiéj, która wypływa z czynów dodatnich doniosłości powszechnéj. Gdzie tylko tego pierwiastku doszukać się nie można, tam nawet tak ładne aspiracye, jak chęć samokształcenia się, nie są wolne od zarzutu samolubstwa.

Z kolei idą cele społeczne; zajmują one szczebel wyższy, albowiem czynią zadosyć woli zbiorowéj, która powagą swą i znaczeniem etyczném o całe niebo przerasta indywidualną. Człowiek jest źdźbłem znikomém i niedługowiecznėm i nie powinien życia swego zapełniać myślą o samym sobie, gdyż wówczas samo wspomnienie śmierci odbierze mu energię i pogrąży w apatyi. Nawet dobro najbliższych, rodziny, krewniaków, przyjaciół nie powinno wyczerpywać dążeń moralnych, nawet potomstwo własne nie powinno być droższém nad istotę nierównie wyższego rodzaju — nad państwo, i zostające pod tarczą jego związki społeczne. Ono tylko godném jest skupiania na sobie całéj pieczy i dbałości jednostki, bo egzystencyą swą sięga w przeszłość i daleką przyszłość, a działalność osobistą rozciąga na nieskończenie rozleglejszą przestrzeń, wobec któréj utrata majątku lub kogoś z ukochanych nie ogałaca życia z wszelkiego interesu. Ale i tu pamiętać trzeba, że przez cele społeczne nie należy pojmować maksymacyi dóbr, o jakiéj mówił Bentham, ale rozrost duchowego bytu społeczeństwa, innemi słowy to tylko, co ceni historya, co zostaje wiecznotrwałą spuścizną po ludach i cywilizacyach.

Ztąd niedaleko już do celów humanitarnych, obejmujących sprawę całego człowieczeństwa, najbardziéj oderwanych od potrzeb chwili i spraw przemijających, a więc zaprawdę idealnych. Nie oddawna marzyć można o tego rodzaju ideałach. Poczucie ich jest jeszcze słabe. Ale to pewna, że są szersze nad pragnienia utylitarystów i eudemonistów, bo streszczają w sobie najwyższy rozwój wszystkich sił umysłowych i moralnych człowieka, w jego przejawach jednostkowych, społecznych i powszechnych, a zarazem misyę usuwania mu z drogi wszystkich owych zawad, które stawia, jako cele niemoralne, słabość woli, przewrotność i sobkostwo.

Zdawałoby się, że niepodobna prawić o pobudkach, jako czémś różném od celów. Kto jednak zrozumiał tajemnicę heterogonii, ten

pojmie odrazu, że obie te kategorye dalekie są od identyczności. Cel — to kompas woli; pobudka zaś—to uczucie pożądania lub niechęci, skłaniające do przedsiębrania danego kroku; pierwszy łączy się z samowiedzą, drugie może być niewyraźne, głuche, może wywołać postanowienie, zmianę w postępkach bez dokładnéj wiedzy o przyczynach jego i zamiarach ostatecznych. Życie codzienne nastręcza mnóstwo czynności, które mogłyby odpowiedzieć na pytanie: dla czego? ale nie na pytanie: po co? na co?

I pobudki układają się w drabinkę, z trzech stopni złożoną. Na pierwszym stoją tak zwane motywy uczuciowe, afekta chwili bezpośrednie, jak gdyby instynktownie popychające człowieka do czynu. Wundt nazywa je pobudkami spostrzeżenia, albowiem zazwyczaj widok jednego tylko przedmiotu, np. niebezpieczeństwa, grożącego komuś, porusza tego rodzaju sprężyny. Wogóle jest ich dwie, poczucie własnego ja i współczucie, lub jeśli kto chce samowiedza i współwiedza. Obie działają bez pośrednictwa refleksyi, ale niekiedy bardzo trafnie i celowo. Pierwsza nie oznacza bynajmniéj czegoś przeciwstawnego drugiéj, np. samolubstwa, ale po prostu ów popęd, który język gminny nazywa „pierwszą myślą“, a który często bywa niezawodny, a wówczas służyć może za miarę wyrobienia moralnego; im więcéj ustalone są zasady, tém naglej przychodzi do skutku postanowienie, tém bardziéj podobne jest do nieomylnego, natychmiastowego natchnienia, do kierowniczego jakiegoś instynktu.

Nie ustępuje mu w doniosłości współczucie. Błądzą ci, co je uważają za zjawisko wtórne, za poczucie własnego ja, raptownie przeniesione na drugą jednostkę. Kto rzuca się w rzekę dla wyratowania tonącego, działa nie pod wpływem obrazu boleści własnéj, przeniesionéj na zagrożonego, ale pod wpływem nie mniéj potężnego poczucia jedności z nim, jak ze wszystkimi wogóle równemi nam rodzajem istotami. Poczucie owo sięga nawet daléj, bo aż do stworzeń niższych od nas. Ale w tym wypadku już nie jest zdolne do przybrania drugiéj swéj formy: współradości. Zwierzęta także umieją cieszyć się w towarzystwie, ale wówczas każdy osobnik raduje się nie cudzém szczęściem, lecz własném.

Bodźcem powolniejszym jest pobudka rozwagi. Tutaj działa rachuba, wsparta na nabytém w przeszłości doświadczeniu. Już nie widok jednego faktu lub zjawiska prze do czynu, ale cały szereg ich, ukazując swe korzystne i szkodliwe strony, rodzi zastanowienie, namysł. Takie to pobudki warunkują zgodne pożycie społeczne i organizacyę zbiorowéj pracy. Motyw własnego dobra warunkuje dobrobyt jednostkowy i dlatego moralnie niższym jest od motywu

korzyści powszechnéj, który na gruncie tamtego stopniowo się rozwija i z czasem na drugi plan go usuwa, czyniąc zeń nie cel samoistny, lecz środek. Gdyby było inaczéj, gdyby każdy wyłącznie o własnym żołądku i kieszeni myślał, ciało społeczne rozpadłoby się na części.

Po nad temi grupami pobudek wznosi się trzecia najwyższa— motywów rozumnych. Naturalnie, i to są tylko uczucia, t. j. pewne odmienne od idei celu stany subiektywne, ale zrodzone przez większą jeszcze mnogość zdarzeń i przedmiotów, zrodzone na widok całego etycznego pochodu dziejów, uwarunkowane uczuciem idealném, t. j. antycypacyą ideału, nad którego urzeczywistnieniem ludzkość pracuje.

Ze stanowiska motywów moralnych najwszechstronniéj daje się objaśnić istota złego. Szkoły, zajmujące dwa przeciwległe krańce, pomiędzy którymi umieszcza swoją teoryę Wundt, to jest zupełny indywidualizm i pokrewna mu zasada pożytku, a z drugiéj strony przesadzony uniwersalizm—całą słabość swoją ujawniają tém, że nie są w stanie zadawalniająco określić natury złego. Czémże bowiem jest ono dla utylitarystów? uchybieniem idei praktycznéj, przeciwdziałaniem celom; a zatém sposób myślenia choćby najwystępniejszy, jeśli tylko nie szkodzi ogółowi — nie może zasługiwać na naganę. Dla skrajnych znowu szermierzów powszechności jednostka jest tak marnym współczynnikiem, że jéj czyny na aspiracye zbiorowe wcale nie wpływają, są więc jedynie pewnego rodzaju negacyą, niewinnym protestem zera przeciw nieskończoności.

Jeżeli jednak uznać, że wola pojedyncza i powszechna nie wyłączają się wzajemnie, ale harmonijnie sprzęgają i uzupełniają—natenczas istota złego ukaże się w jasném świetle. Będzie ona oporem woli jednostki przeciw woli ogółu, a że ta obejmuje i cele i pobudki jednocześnie, przeto nietylko rezultat działalności samolubny domagać się będzie skarcenia, ale nawet wewnętrzne jéj sprężyny: sama wola zbrodnicza, sama chęć grzeszna.

Wszelako w obu wypadkach nie jednakowy będzie stopień złego. Karygodny czyn obraża znany nam już imperatyw przymusu zewnętrznego; naganna pobudka—imperatyw swobody, wewnętrznego zadowolenia. Tamten jest zbrodnią, ten niemoralnością; tamten wykwita na gruncie nędzy i upośledzenia, ten zręcznie obchodząc prawo, kryje się w t. zw. dobrém towarzystwie. Obadwa są dziećmi potwornego urządzenia społecznego, które hoduje nadto dwa zwyrodniałe typy poczucia podmiotowego i współczucia, czyli wspomnianych już „pobudek spostrzeżenia", mianowicie: żądzę użycia i zazdrość. Dopóki społeczeństwo dzielić się będzie na dwa

wrogie obozy: posiadających i zgłodniałych—taki stan rzeczy trwać nie przestanie.

Walka woli niższéj z wyższą odbywa się i na innych polach pomiędzy związkami społecznemi niejednakowéj wagi. Gmina może być egoistą względem państwa, naród względem społeczeństwa, społeczeństwo względem ludzkości. Idea szersza boryka się wszędzie ze szczuplejszą, jak światło dnia z ciemnością nocy.

Wszelako klęską najcięższą jest niemoralność indywidualna. Uzbrajając się przeciw niéj, człowiek wymyślił karę, a nauka ślęczy nad jéj wydoskonaleniem. Jakie są dzieje kryminalistyki, o to mniejsza. Na tém miejscu wystarczy zaznaczyć osobiste zapatrywanie Wundta. Według niego tedy, kara jest zawsze aktem woli zbiorowéj, skierowanym na jednostkową za uchybienie jéj, i żeby działać skutecznie, powinna zawierać w sobie pierwiastek słusznéj pokuty, ilościowo odpowiadający skali przestępstwa. Teorya zabezpieczania ogółu przez pozbawianie winowajcy wolności—błądzi, albowiem chcąc być konsekwentną, powinnaby więzić go tak długo, jak długo zachodzi obawa powtórzenia występnego czynu. W ten sposób rzezimieszek, słabe rokujący nadzieje poprawy, powinienby za najlżejszą kradzież nie rozstawać się nigdy z celą więzienną.

Grzeszy również jednostronnością teorya poprawy. Za cel samoistny służy jéj ugłaskanie przestępcy, wskutek czego obłudne pozory skruchy, wymyślone przez wykrętnego i sprytnego łotrzyka, stają się przyczyną grubych ze strony sprawiedliwości błędów. Zresztą już to samo, że sprawcy złego oszczędza się prawdziwéj pokuty, że mu się nie uświadamia popełnionéj winy własném jego cierpieniem, ubezwładnia cały system.

Zasada odstraszania, działająca za pomocą srogich wyroków, zbyt jaskrawe świadectwo bezsilności odbiera od codziennéj statystyki, ażeby potrzeba było dłużéj się nad nią zatrzymywać.

Jaką powinna być kara — wskazać może tylko dobrze zrozumiana jéj istota. Zbrodnia narusza powagę woli powszechnéj i równowagę etyczną, które przeto należy przywrócić, a do tego jedyna prowadzi droga — droga pokuty. Pokuta winna być sprawiedliwą i polegać na zapłacie równą miarą a nie jak bywało dawniéj, równą monetą. Wreszcie powinna oddziaływać na ogólną samowiedzę i kształcić ją—ztąd wypływa dla kary i żywioł wychowawczy.

Ale oto dotarliśmy do trzeciego, najważniejszego działu etyki, do nauki o normach. Przygotowani należytém zgłębieniem teoryi celów i pobudek, uznając jednaką doniosłość obudwu, możemy stworzyć prawidła postępowania, uwzględniające zarówno pierwsze jak i drugie. Nie dadzą się one ująć w pojedyńcze zdania, ale

w maksymy złożone, których jedna część wyrażać będzie normę subiektywną, dotyczącą motywu, druga—obiektywną, określającą cele. Razem jest ich trzy: indywidualna, która brzmi:

I. Myśl i postępuj tak, ażebyś nigdy nie tracił szacunku dla siebie samego — jest to norma podmiotowa,

oraz przedmiotowe jéj dopełnienie:

Wypełniaj to, do czegoś się względem siebie i innych zobowiązał;

społeczna orzeka:

II. Szanuj bliźniego jak siebie samego,

tudzież:

Służ społeczeństwu, do którego należysz.

Wreszcie norma ogólno-ludzka głosi:

III. Uważaj siebie za narzędzie w usługach ideału moralnego;

czemu odpowiada strona obiektywna:

Powinieneś poświęcić się celom, które uznałeś za idealne swoje aspiracye.

Tak wygląda ujęta w dogmaty kwintesencya mądrości, którą z takim mozołem i gruntownością wykłada myśliciel germański. Nie wielkie to są frazesy, ale ważkie, i nic dziwnego; stanowią owoc długiego dociekania i z tém wszystkiém, co czytelnik w krótkiém streszczeniu oglądał, z całą misterną tkanką psychologii i logiki najzupełniéj harmonizują. To samo szczeblowanie ideałów, ta sama troistość, ta sama cześć dla idei ogólno-ludzkiéj i granicząca z pogardą surowość dla zachceń jednostkowych i prywaty.

Zastosowania praktyczne.

Aż dotąd zatrzymywało uwagę czytelnika streszczenie pomysłów etycznych Wundta, ale choć śpieszno nam przejść do scharakteryzowania ich stanowiska w szeregu szkół nowoczesnych — nie podobna ominąć milczeniem wymownych kart dzieła, ilustrujących teoryę. Stałaby się krzywda myślicielowi, który nie tylko rozkłada życie moralne na składowe czynniki i sprężyny, ale i wieńczy rozbiór szkicem budowli, jaką należy wznieść na zdobytych w ten sposób zasadach.

Do tego dzieła syntezy samowolnie zaliczymy jeszcze naukę stosowania norm, w wypadkach gdy ścierają się z sobą; sama hierarchia ich jednak daje do zrozumienia, że zamiary i cele, wypływające z poczucia niższéj normy, należy składać w ofierze intencyom dyktowanym przez wyższe. A więc prawa bytu społecznego winny pokonywać roszczenia jednostki, pojęcie ideału wszechludz-

kiego—zwalczać pożądania związków społecznych. Sąd ogółu nie zawsze konieczność tę pojmuje, nie zawsze odgaduje względną doniosłość prawa etycznego i tworzy sobie najopaczniejsze o pewnych postępkach mniemanie. Zdarza się, iż parweniusza, który do majątku doszedł drogą wyzysku, kradzieży i oszustwa—usprawiedliwia, ponieważ stał się filantropem, ba, nawet pod niebiosa go wynosi z téj racyi, że koło pokrzywdzonych przez niego jest mniejsze od koła, na które spadają jego dobrodziejstwa. Ale w naiwnych tych chwalbach tkwi gruby błąd—albowiem w obu wypadkach pogwałcona została idea szersza, norma wyższa, norma poszanowania cudzego dobra na rzecz idei bardziéj ograniczonéj, bo na rzecz pewnego blizkiego grona obdarowanych.

Lecz jakże rozstrzygnąć wątpliwość, wynikającą z kolizyi dwóch równorzędnych norm? Wybierać ten z walczących z sobą celów, w którym znajduje wyraz idea szersza. Gdy np. interes jakiegokolwiek związku staje do współzawodnictwa ze sprawą gminy, gdy korporacyi ekonomicznéj pomyślność kłóci się z dobrobytem stowarzyszenia wychowawczego—gmina i wychowanie powinny zwyciężać. Rzecz prosta, iż etyka kazuistyczną być nie może i co najwyżéj, ogólny kierunek wytykać jest w stanie, nie wdając się we wszelkie możliwe rodzaje niepewności (1).

Tyle o zawikłaniach pojedyńczych. Taż sama etyka, jak już nam dowiedziono, wstrzymać się musi od postawienia ostatecznéj formuły moralności, gdy chodzi o jutro człowieczeństwa, i co najwyżéj odsłania jéj tendencye. Ze stanowiska tych tendencyi można

---

(1) Nie tyle dla względów praktycznych ile teoretyczno-logicznych Wundt długo zaprząta się odgraniczeniem dziedziny moralności od sfery prawa. Jest to dosyć obszerny traktat samoistny, którego wyniki możnaby zawrzéć w następujących punktach. Normy etyki są zasadnicze i pochodne, czyli kardynalne i wtórne, tak samo jak w matematyce aksyomata czyli prawdy zasadnicze i twierdzenia na nich oparte. Jednocześnie normy są nakazowe i zakazowe, co niemal odpowiada poprzedniemu podziałowi, albowiem wszelkie wskazówki negatywne jak np. nie kradnij, nie cudzołóż itp. dotyczą poszczególnych odstępstw od prawidła pozytywnego a więc głównego. Otóż prawo zazwyczaj głosi te normy prohibicyjne, pomijając milczeniem zasady pozytywne, których w każdym nakazie dorozumiewać się należy. Wzbraniając krzywdzenia bliźnich, zadawania gwałtu, obrażania czci itd.,prawo karne tém samém każe się domyślać prawideł odwrotnych: kochaj bliźniego, czyń mu dobro, szanuj go itd. Wogóle mądrość ustawowa ma za zadanie nie rozwijać ideały ludzkości bezpośrednio, ale torować im drogę przez usuwanie przeszkód i w tym celu niekiedy przedsiębierze ścieśnienia, które ze sprawą moralności nic wspólnego nie mają. Atoli dobrze pojmowane prawo, takie, jakie stworzy może przyszłość—nie powinno zadawalniać się misyą policyjno-karną, ale wprost przykładać rękę za pośrednictwem odpowiednich instytucyi do dzieła duchowego doskonalenia.

sobie wyobrazić, jaki mniéj więcéj kształt przybiorą i przybrać powinny pojedyńcze dziedziny życia moralnego,—to będzie właśnie owa wspomniana już synteza... Obejmuje ona tedy byt jednostkowy, społeczny, państwowy i wszechludzki.

Każda z tych widowni domaga się oddzielnych od etyki prawideł, każda zarazem posiada kilka postaci, pod któremi występuje w rzeczywistości. Osobistość ujawnia się w trosce o utrzymanie życia swojego i swych najbliższych, a więc w dążeniach majątkowych, następnie w powołaniu, daléj w stanowisku obywatelskiém, wreszcie w życiu i aspiracyach umysłowo-estetycznych.

Egzystencya gromadna, w specyficzném znaczeniu wyrazu, składa się również z kilku typowych form: rodziny, klas społecznych i związków rozmaitych.

Działalność państwa rozważana być może z czworakiego stanowiska: jako organizacya majątkowo-gospodarcza, jako ustrój prawny, jako zjednoczenie ściślejsze żywiołów społecznych i wreszcie jako organizacya wychowania i pracy duchowéj.

Ostatnią i najwyższą dziedziną etyki praktycznéj jest ludzkość. Jak dotąd, znane są nader nieliczne przebłyski prawdziwego zespolenia ludów w jedną całość: stosunki ekonomiczne, prawo międzynarodowe, unie państw ucywilizowanych i brzask wspólności w dążeniach wyższych nad zabezpieczenie bytu materyalnego i politycznego.

Na wszystkich wymienionych momentach po kolei zatrzymuje się Wundt, zapytując, jak wpływają faktycznie na sprawę ideałów moralnych i jak mają być ukształtowane, żeby się im nie sprzeniewierzać. Poniekąd zatém jest to ciąg dalszy wycieczki w krainę dziejową pojęć o dobrém i złém, która posłużyła za wstęp empiryczny i źródło wskazówek indukcyjnych saméj teoryi,—ale dalszy ciąg uzupełniony d e z y d e r a t a m i n a p r z y s z ł o ś ć. Obszerny i szczegółowy ich zarys zastąpmy wizerunkiem ogólnikowym.

Okaże się z niego, że, jak to zauważyć można było wcześniéj, Wundt nie należy do przyjaciół dzisiejszego ładu ekonomicznego. Tu i owdzie śle gniewne słowa pod adresem kapitalizmu, gromi toczącą się w społeczeństwie walkę wyzyskiwaczów z wydziedziczonymi. Majątkowi osobistemu, zarówno jak i społecznemu przyznaje racyę bytu w znaczeniu środka, prowadzącego do wyższych celów, ale nigdy celu samego w sobie; dlatego też żąda, ażeby większa zapanowała równość i powszechniejsza możność uczestniczenia w życiu cywilizacyjném. Pieniądz może w najlepszym razie świadczyć o pracy, któréj jest owocem, i wtedy ze stanowiska moralnego nie zasługuje bynajmniéj na potępienie; ale gdy tylko tego czynnika

wytrwałości, pilności i tym podobnych składowych części dorobku nie ma śladu, lub, gdy obficiéj niż potrzeba nagromadzony, bezcelowo spoczywa w szkatule posiadacza—jest wyrazem egoizmu i podlejszych instynktów. W imię tejże zasady należy odróżniać i w życiu zbiorowém związki spekulacyjne od wszelkich innych, propagujących idee szersze. Wszelkie stowarzyszenia handlowe, choćby najgłośniéj o swém powołaniu cywilizacyjném trąbiące—nigdy prawdziwymi związkami nie są: członkowie ich nie znają się nawet, żadnych dążeń wspólnych nie posiadają, prócz chyba dążenia do osiągnięcia jak najwyższéj dywidendy. Etyczne ich znaczenie jest żadne w wypadku najkorzystniejszym, zazwyczaj jednak wprost ujemne.

Wielkie posłannictwo dźwiga rodzina. Nie będziemy powtarzali za Wundtem hymnów na jéj cześć—gdyż, jak łatwo odgadnąć, nie mogą nic szczególnie nowego zawierać. Uderza przecież trafnością uwaga, że miłość dla dzieci, sympatya wzajemna rodzeństwa, pieszczota matki więcéj przyczyniają się do złagodzenia i wyszlachetnienia obyczajów, niż cała cywilizacya razem wzięta. Jednak kobiecie nie dano tu tak szerokiego zakresu działalności, jakby zwolennicy bezwzględnego równouprawnienia płci mniemać mogli,—właśnie dla dobra misyi jéj w społeczeństwie. Chętny i przyjazny dla samoistnéj karyery umysłowéj kobiet, o ile wypływa ona z silnego zamiłowania i jest uzasadniona wybitnemi zdolnościami, Wundt nie pisze się zgoła na naśladowanie mężczyzn w swobodzie wyboru powołania; zwraca uwagę na różnice fizyczne i różnice organizacyi umysłowéj, które skłaniają go do odradzania kobiecie zawodu np. prawniczego lub politycznego, specyalności przyrodniczéj lub matematycznéj a zalecania jéj sztuk pięknych i literatury.

Żądając od obywatela, ażeby w zawodzie swym był sumienny, od obowiązków państwowych nie uchylał się i ojczyznie, gdy zachodzi potrzeba, niósł swe życie w ofierze—nawzajem wymaga autor od ciała politycznego i społecznego, ażeby zniosły przedziały kastowe i klasowe i wszystkim umożliwiły wspinanie się od niższych szczebli drabiny towarzyskiéj ku wyższym—i spodziéwa się, że w przyszłości byt zbiorowy uznawać będzie tylko dwie warstwy: umysłowo czynnych kierowników i umysłowo biernych obywateli; ekonomiczne zaś lub rodowe podstawy różnic znikną zupełnie.

Wogóle posłannictwo państwa jest wysokie. Ono to bezkształtną masę społeczną ujmuje w organiczną całość i siły rozstrzelone jednoczy, ażeby je następnie ku podniosłym celom kierować. Ono najlepsze do tego daje środki, bo tworzy ład prawny, zapewniający bezpieczeństwo. Ono bierze w swe dłonie szale Temidy i wymierza sprawiedliwość lepiéj niż kto inny, albowiem reprezentuje działacza

i sędziego bezosobowego, a upoważnionego przez wszystkich, silnego a zarazem bezstronnego. Ono wreszcie trzyma i trzymać powinno w rękach swych ster oświaty i jaknajtroskliwiéj ją krzewić, bacząc na to, ażeby wykształcenie było o ile możności harmonijne, wspierało się na pewnych niezbędnych podwalinach, jak umiejętność historyi, przyrodoznawstwa i filozofii, które najwszechstronniéj i najskuteczniéj uświadamiają człowiekowi jego ideały,—ażeby nauka w wyższych swych sferach nie przeradzała się w pracę mechaniczną, głuchą na poloty uczucia, a z drugiéj strony nie rozpływała się w płytką wszystkowiedzę.

Wogóle cały ten dział w syntezie Wundta tchnie niepospolitym humanizmem i stanowi w niéj jedna z najpiękniejszych kart. Tam téż należycie uszanowana została religia, któréj przyznano doniosły wpływ na całe życie umysłowe i moralne ze względu na to, iż ideałom nadaje ona cechę jakiegoś transcendentalizmu i wiekuistości; że analizę trzeźwego dociekania uzupełnia pierwiastkiem twórczéj wiary i po wszystkie czasy stanowi niewyczerpane źródło motywów estetycznych i wzruszeń głębokich.

Wydobyta z ciasnych granic dogmatyki, religia staje się zdolną do dotrzymywania kroku postępowi wiedzy ścisłéj a wówczas jest tak potężną podporą dla intuicyi i sztuki, że wyrządzają jéj niesprawiedliwość ci, co pragną jéj zagłady.

Taż sama religia wreszcie bodaj czy nie najwięcéj przyczyniła się do jakiego takiego zbratania ludów—łącząc je we wspólnéj kontemplacyi dziwów i potęg fizycznych i etycznych, jednakich dla wszystkich. Idea braterstwa powszechnego dziś jeszcze zostaje w powijakach niemal, ale umacnia się bez przerwy. Każdy związek międzynarodowy, każdy akt wspólnych obrad posuwa naprzód sprawę powszechnéj zgody. Konwencye handlowe, sądowe czy pocztowe, kongresy i konferencye: wszystko to osłabia wzajemne uprzedzenia i antypatye i przygotowuje grunt pod tak szlachetne mrzonki jak pomysł kodyfikacyi prawa międzynarodowego, powszechnego sądu rozjemczego, bractwa wiecznego pokoju lub opieki nad rannymi żołnierzami itp. instytucyi. Jak na dziś są to po największéj części wzniosłe utopie, którym nielitościwie urąga współzawodnictwo narodów w gromadzeniu sił bojowych i środków niszczących, bratobójczych, ale samo ich apostołowanie, lubo nie wiele skuteczniejsze od głosu wołającego na puszczy, świadczy, iż świadomość wspólnych aspiracyi idealnych rozbudziła się, kiełkuje w wielu umysłach i kiedyś może zostanie wcieloną w czyn.

II.

Na dewizę dla swéj *Krytyki czystego rozumu* wybrał Kant myśl Bacona Werulamskiego. Z większą jeszcze racyą mógłby takiego godła użyć największy myśliciel Niemiec współczesnych. Wundt jest świadomym i żarliwym czcicielem faktów (choć nie dochował im wiary w swym zarysie etyki). Oto dlaczego należy go uważać za jedno z nielicznych chociaż wymownych znamion przełomu, jaki się dziś dokonywa w filozofii praktycznéj.

Możnaby nawet twierdzić, że przeszedł on i Spencera i Rolpha, choć są to jawni, że tak powiem, urzędowi przedstawiciele nauki doświadczalnéj. Ani jeden ani drugi nie zadali sobie tyle mozolnego trudu dla odebrania swym pomysłom cechy dedukcyjnéj, nie szpérali tak długo w świadectwach przeszłości dla umocnienia swych poglądów na dobro i zło. No, a porównania z myślicielami Germanii są już całkiem zbyteczne. Nietylko Leibniz i Hegel, ale nawet sam autor *Krytyki praktycznego rozumu* zdziwił by się niepowszednio na widok 400 bitych stronic społeczno-dziejowego materyału, mających służyć za podstawy tezie moralnéj, i pewnie by go szczególnie nie zbudowały...

Ale zmieniły się czasy. Wypada korzyć się przed tą wstrzemięźliwością od spekulacyi bez gruntu, a w dalszym ciągu zbadać, czém się różnią dane empiryczne Wundta od danych Spencerowskiego hedonizmu, że do odmiennych wniosków upoważniły,—powiadamy odmiennych, gdyż profesor lipski koniec końców dotarł do czci dla idei, do etyki czysto idealnéj.

Spencer a z nim, rzecz prosta, i wielki poprzednik jego Darwin, opierają się na całéj przeszłości życia ustrojowego. Idąc od osobników złożonych ku prostym, tém samém postępują od działalności wielostronnych, bogatych, jak np. działalność człowieka, do bytów pierwotnych, których treść duchowa jest nader szczupła, bo zaczyna i kończy się na stanach wewnętrznych, które towarzyszą czynnościom odżywczym. I jakąż stamtąd wynoszą naukę? Oto że pierwszą pobudką działania bywa dla istoty pamięć doznanéj już kiedyś za taki sam ruch lub czyn rozkoszy; tak samo jak wspomnienie uczutéj przykrości lub bólu każe unikać przedmiotów i czynów, które były jego sprawcami. Wprawdzie Rolph w swém nader godném uwagi dziele dowodzi szeregiem faktów przyrodniczych, że nie pragnienie miłych połechtań, czyli t. z. przyjemności, a jeno nieprzeparte uczucie głodu, ustawiczny ból wszystkich narządów, *nigdy nienasyconych*, warunkuje działalność (1), ale ta poprawka,

(1) Biologische Probleme zumal als Grundlage einer Rationellen Ethik.

jeśliby nawet przyjąć ją, w niczém nie zmienia istoty wywodów, któremi walczą etycy pożytku lub szczęścia. Tak czy owak, doświadczenie uczy, co jest pożądaném a co zasługuje na niechęć, co sprawia rozkosz a co rodzi cierpienie. To samo prawo rządzi światem uduchowionym i na wyższych szczeblach istnienia. Człowiek uspołeczniony nie przestaje nazywać dobrém tego, co rozszerza skalę jego życia, złém—tego, co mu wyrządza krzywdę, zwęża łożysko jego bytu, boli go, lub boli jego bliźnich. A gdy jedno lub drugie pochodzi nie od natury lub przypadku, lecz od woli ludzkiéj, tedy zwie pierwsze moralném, drugie — niemoralném. Doświadczenie jednak byłoby bezsilném, gdyby nie było w naturze czynników, utrzymujących stosunek między pokoleniami lub jednostkami, co z doświadczenia bezpośrednio korzystały, a temi, co je uświęciły jako zasadę lub uczuwają jako bezwiedny popęd. Tego to nieodzownego pośrednika odnaleziono w prawie dziedziczności. Jest to niby kamień filozoficzny etyki; wyjaśnia on należycie proces doskonalenia się etycznego; wykazuje, iż każda jednostka jest dziedzicem roztropności wszystkich swych przodków, jak i całéj wymarłéj ludzkości, pozwala wierzyć, iż nikt nie potrzebuje przechodzić na nowo szkoły doświadczenia, bo ma gotowe przepisy i instynkta.

Można dostrzedz, że i punkt widzenia Wundta jest rozwojowy. I on przeprowadza nas przez drabinkę organizacyi, jeno zaczyna pochód nie od zarodków ustroju jednostkowego, lecz bytu gromadnego. Tym sposobem biologii prawo głosu w rzeczach moralności zostało odebrane,—wprawdzie milczkiem ale stanowczo. Pozostały wskazówki społeczne i wysnute z nich, wielce ważne dla całości, p r a w o i n o r o d z t w a c e l ó w *(Heterogonie der Zwecke)*. Wywody zyskały przeto barwę więcéj psychologiczną. Nie ma w nich mowy o żadnych rozkoszach ani cierpieniu, lecz tylko o pobudkach czynu. O tych zaś powiedziano, że wiodą zazwyczaj po za upatrzoną metę, po za zamierzony cel, a tém samém dla przyszłości stwarzają nowe pragnienia, nowe dążności. Pół-ślepy popęd do działania przechodzi w motyw świadomy, no, a motyw świadomy— to właśnie cel. Jakiś zwyczaj lub obyczaj w swém zastosowaniu ujawnia niespodzianą korzyść i dobro, i jutro korzyść ta stanie się przedmiotem powszechnéj rozwagi. Dla tego cele i ideały zyskują bezustannie na treści, są w ciągłym rozwoju i nie mogą być nigdy podawane za ostateczne. Jak wiemy, myśliciel z racyi téj wstrzymuje się od kategorycznego, ustalonego określenia dobra i zła—ale słuchacz jego nie może powstrzymać się od uwagi, że inorództwo celów to coś bardzo a bardzo zbliżonego do angielskiéj nauki o do-

świadczeniu, a nawet więcéj, że to myśl ta sama, tylko w inną sukienkę przybrana.

Bez czynnika doświadczalnego Wundt rady sobie nie da; nie obszedł by się nawet bez sprężyny pożytku, jakkolwiek u niego zostaje ona w ukryciu. Gdy mówię, że bezwiedna pobudka w następstwie zaawansowała na cel świadomy, zarazem twierdzę, że postęp ten zdziałała korzyść. Pomija Wundt stronę podmiotową tego pochodu, a podkreśla jeno logiczną—ale nie powinno to nikogo wprowadzać w błąd.

Jeżeli są różnice co do przeszłości, to przyszłość tu i tam rysuje się niemal jednakowo. I Spencer nie kładzie jéj kresu, pomny na to, że ewolucya—rzecz nigdy nieskończona. I Spencer wzdraga się dać skrystalizowany kanon o istocie dobrego i złego, bo wié, że pojęcie to względne, ruchome; pojmuje tylko jedno: że celem wszelkiego postępowania jest szczęście, ale na czém ono polega—nie odważa się objaśniać, nie śmié téż zapewniać, iż jest dla wszystkich jednakiém. Wymaga tylko równości warunków do szczęścia, czyli sprawiedliwości, ale przed dalszą niwelacyą cofa się (*The data of Ethics*. Cap. XIII). Jest wogóle niechętny wszelkim katechizmom cnoty — i w téj mierze mało ustępuje filozofowi niemieckiemu.

Słowem, bez naciągania rzec można, iż różnica dwóch nazw: e w o l u c y o n i z m i h e t e r o g o n i z m, prawie wyczerpuje całą różnicę w podkładach faktycznych. Czyżby jednak Wundt sam nie czuł tego? Owszem, mógł czuć wyraźnie i nie bez doniosłéj zasady odbudował przeszłość podług innego planu. Oto: pragnął obejść się bez reguły dziedziczności. Widać z kilku miejsc, z saméj wreszcie krytyki utylitaryzmu, iż nie ufa zgoła teoryi przekazywania dodatnich skłonności drogą czysto fizyczną. Uważa ją po prostu za wznowienie hypotezy i d e j w r o d z o n y c h, jeno na gruncie materyalistycznym. Dla każdego, kto na zarzut taki godzi się, system Wundta zyskuje znaczną przewagę, bo nie posługuje się tak jawnie zdobyczami darwinizmu. Zamiast mózgu i nerwów, woli czynić przewodnikiem moralności urządzenia społeczne i cywilizacyjne: religię, zwyczaje, naukę, język, sztuki piękne, poezyą, przemysł, komunikacye, i, wyznać należy, udaje mu się to nienajgorzéj. One to podsuwają człowiekowi materyał kształcący, który prawem inorództwa coraz lepiéj i rozumniéj bywa zużytkowanym. Jest-to bądź-co-bądź formuła przekonywająca i okazała, choć mniéj chyba prosta i jasna, niż prawo dziedziczności duchowéj.

Lecz jeśli tylko z zastrzeżeniem przyznać można heterogonii nowość i świeżość — za to nie można nie powitać jéj radośnie jako niezawisłego potwierdzenia prawdy, tak drogiéj duchowi czasu

i całéj filozofii, że mianowicie: moralność może się ostać bez poparcia władz ubocznych, nadludzkich. Krzewi się i wzmaga sama, z nikłych zaczątków wyrasta na wspaniałą potęgę, służącą własnemu tylko, a więc ludzkiemu zbawieniu. Dwa zwykle przeciwne prądy: brytański i germański harmonijnie się złączyły, by zachwiać wiarę w mistyczne natchnienie, w bezwzględność religijną moralności oraz jéj rodowód nadziemski.... Idea rozwoju jest również groźną i niebezpieczną dla dawnéj, przez kościoły wynaturzonéj etyki, jak i dla całego panteonu ubiegłéj doby.

Wystąpiwszy tedy pod hasłem czystego humanizmu, lub jeśli tak rzec można, ziemskości, pomysł Wundta odbiega jednak coraz więcéj od modły hedonicznéj. Drogi rozwoju poczucia moralnego miały dużo podobieństwa, ale u kresów swych nagle się rozchodzą. Wyhodowana przez Benthama-Milla i Darwina szkoła buduje ołtarz szczęśliwości, indukcyjny idealista niemiecki—woli zbiorowéj.

Bożyszcze to, dosyć mało znane, ma właśnie zastępować cele, wytykane przez etykę pożytku i zadowolenia. A nadto ma być pomocném znanéj już zasadzie inorództwa, w rugowaniu prawa dziedziczności. Wola zbiorowa nic bowiem wspólnego z pożądaniem szczęścia miéć nie może—to jedno. A powtóre, będąc łącznikiem duchowym społeczeństwa, i kształcąc się ustawicznie—może z korzyścią odegrać rolę t. z. altruizmu.

A sprawy sympatyi lekceważyć nie wolno. We wszelkiéj etyce niepodległéj musi ona stać na pierwszém miejscu, bo od niéj zależy powaga i wartość przepisów moralnych. System ma siłę, gdy umié przekonać, że bez interwencyi mocy nadprzyrodzonych obok samolubstwa wzrośnie i zakwitnie miłość bliźniego i poszanowanie cudzego dobra. Jak wiadomo, Bentham ufał, iż egoizm z konieczności jest zarazem altruizmem, gdyż 1) kto dba o własną pomyślność, musi tém samém zjednywać sobie względy bliźnich, czyli że „ręka rękę myje“ i 2) człowiek jako zwierzę społeczne znaczną część swego dobrobytu pokłada w rozkoszach życia towarzyskiego, w miłości, przyjaźni, współczuciu smutkom i radościom — dla tego samego przeto musi być dobrym i uczynnym. Dzięki tym dwom potrzebom rozumna troska o własne szczęście staje się najdzielniejszą dźwignią „mnożenia szczęśliwości“ *(the greatest hapiness of the greatest number)*. J. S. Mill jeszcze większy położył nacisk na samorództwo altruizmu. Dla tamtego harmonia interesów spoczywa w nich samych; słynny zaś autor „Utylitaryzmu“ uznaje ją wcześniéj, bo już w samych myślach, czuciach i woli jednostki. Zdaniem jego, tak dalece sprzężeni jesteśmy z ciałem zbiorowém, że nie podobna nam myśléć o sobie, żeby nie pamiętać zarazem

o innych. Dzieje się to na skutek konieczności psychologicznéj, która z pożycia wspólnego wypływa, a która stanowi najwyższe stadyum rozwoju właściwości duchowéj, zwanéj kojarzeniem wrażeń, wyobrażeń i pojęć.

Owóż Wundt'owska wola zbiorowa stanowi sprężynę, jeszcze bardzo do asocyacyi pojęć zbliżoną. Przynajmniéj pierwszém jéj zadaniem wykazać, że jednostka sama przez się jest zerem, i staje się czémś, li połączona z duchem społecznym. Dowodzi Wundt, że dbałość o własne dobro prędko znajdzie się u kresu i sama siebie zaneguje. Życie indywidualne zamało posiada interesu i treści, by całkiem mogło wypełniać działalność. I człowiek, jeśli nie chce spojrzéć w oczy straszliwéj czczości i pustce, musi zespolić się z ogółem, z historyą i całą przyszłością.

Naturalnie taki interes zbiorowy daleki jest od pogoni za szczęśliwością; i oto mamy drugie posłannictwo gromadnéj woli,— punkt ciężkości całego systematu, moment, który go naprawdę i jaskrawo odróżnia od tamtych. Tu przeciwieństwo występuje dosadniéj, bo wszelkim dążeniom jasnym, pozytywnym, jak: szczęście lub pożytek, odmówiono wręcz wartości.

Nie masz jednostek, ale są tylko społeczeństwa; nie masz żadnego *ja* ani *ty*, ale twór nad nie wyższy i odrębny. Nie masz atomów, ale organizm. Jednak co dziwna, to że nawet „największe szczęście największéj liczby“ nie zadawala Wundta, choć możnaby mniemać inaczéj. Gdy się wzniesiemy po nad sprawy osobiste i każemy im milknąć wobec szczęścia powszechnego, gdy słowem zepchniemy egoizm na stanowisko podrzędne — wtedy, zdawałoby się, uczynimy zadość wymaganiom woli zbiorowéj? Nie—jéj i altruizm najczystszy jest obojętnym. Zrywa ona ze wszystkiém, co trąci zadowoleniem, bo mówi śmiało, że suma, a nawet wypadkowa pojedyńczych dobrobytów równa się nicości. Daremnie szukałby kto klucza do téj iście cudownéj dyalektyki. Nie da go ani matematyka, ani logika. I stajemy osłupieni przed tezą, która najpierwotniejszéj naszéj wierze, iż „dwa a dwa czyni cztery“—wyraźny kłam zadaje!

Lecz czémże w takim razie wola zbiorowa ma nas zachęcać i podbijać? Bo acz pozbawieni jéj wyrazu ostatecznego, na który nie pozwala jéj natura płynna, całkiem bez drogowskazu obywać się nie możemy. Czyżby godłem ciągłego doskonalenia się, jednostkowego lub powszechnego? I to nie. Ani Schleiermacher z Krausem, ani krańcowy ich następca Hegel, ani perfekcyoniści starożytni, jak stoicy, epikurejczycy, perypatetycy z swym rzecznikiem najnowszym, Leibnizem, nie zadawalają Wundta. Rozwój

bowiem, zdaniem jego, przechyla się zawsze ku jakiéjś szczególnéj gałęzi życia, np. umysłowéj lub estetycznéj — a wola zbiorowa specyalizacyi zgoła nie znosi.

Gotówby ktoś podejrzéwać, że skoro Wundt odwraca się nawet od takich, przecie niemateryalnych wcale pragnień—więc bije pokłony Molochowi, jakiéjś wszystko pożerającéj powszechności? że wzorem Hobbesa uważa ustrój społeczny za jakiegoś Lewiatana, groźnego i żarłocznego? Daleki on od tego. Bo chociaż wyróżnia rozwój bezwzględny, głoszony przez Hegla, — ma za złe, iż jednostkę uczynił całkiem bezsilną i bierną, z czego wynika, że chce i w pojedyńczym człowieku widziéć podmiot, pewnemi prawami obdarzony.

W rzeczy saméj duch, jaki wieje z etyki niemieckiego myśliciela, jest o wiele łagodniejszy. Nie zraża tak bardzo, nie straszy wojenną dyscypliną. Dużo w nim ludzkiéj życzliwości i aspiracyi pokojowo-braterskich, które przywodzą trochę na myśl mrzonkę Kanta o republice powszechnéj. Jest to raczéj pogodne, z niejaką ekstazą uśmiechnięte oblicze proroka lepszéj przyszłości, niż sucha, karcąca twarz sztywnego moralisty i społecznika. Potrafi on z przedziwną sztuką, w sposób ujmujący i sympatyczny owionąć tchnieniem uniwersalności i wiekuistości; umié przekonać, że byt rozstrzelony jest jak pusta wydma piaszczysta, na któréj nie rośnie nic, prócz karłowatych chwastów; wolny od rojeń tęczowych, nieznacznie a wytrwale solidaryzuje nas z pokoleniami wieków ubiegłych i najdalszém potomstwem, tak, iż czujemy, jak nas zewsząd ogarnia atmosfera idealna; postrzegamy całą nicość samolubstwa i prywaty.

Jak Spencer np. po drobnych szczeblach wznosi nas od zawiązków życia moralnego do jego poziomów wzniosłych i zmusza do wiary, iż to jedna nić ewolucyjna, — tak samo Wundt, rozszerzając stopniowo ramy duchowéj egzystencyi, pomału w wyobraźni czytelnika zacieśnia węzeł, łączący osobistość z wolą zbiorową, i co najważniejsza, zależność od niéj pogłębia.

Trudno w tém miejscu powstrzymać się od uwagi, że przez myśliciela tego przemawia oczywiście tradycya narodowa. Niemcy hołdują idei organizacyi i jak wiadomo wcielają ją w osobne, często naciągane systemy. Tak zwana „szkoła organiczna" prawa państwowego, wielkie zajęcie się socyalizmem, zarysy Schaefflego i Lilienfelda: wszystko to objawy tego samego nastroju, który stworzył teoryę rządu policyjnego i hegelianizm.

Jeno, powtarzamy, Wundt należąc do nich rodzajem, gatunkowo przewyższa ich o całe niebo. Wchłonął w siebie pierwiastki

psychologii zbiorowéj, którą uprawiają Lazarus i Steinthal, ale zachował się odpornie wobec nagabywań społecznego absolutyzmu. Stąd jego fizyognomia na wskróś humanitarna.

Stąd również znamienna i ciekawa w wysokim stopniu cecha jego idealizmu. Zazwyczaj kult idei bywa wyssanym z palca; bywa jakiémś nabożeństwem instynktownéin, a jak mówi logika, apriorystycznéin, spekulacyjném. Nic podobnego u Wundta. Tu idealizm wystrzelił na gruncie nader subtelnéj i ścisłéj psychologii,— poważnéj, bo badanie ducha zbiorowego dla wielu, jak Lindner, Taine, Renan i inni, ma wagę wyjątkową i coraz więcéj się szerzy. Wundt uzasadnił mocno postulat spójni i tém jeszcze, że doszedł doń po śladach ewolucyi etycznéj, którąśmy na wstępie poznali bliżéj. Zdaje się, że nazwa „empirycznego (w sensie miana, nadawanego dziś filozofii angielskiéj) idealisty“ nie najgorzéj pasowałaby do niego.

* *
*

Z tém wszystkiém znak pytania stoi, jak stał. Można się ukorzyć przed rozkazem powyższym, powagę jego uznając, ale to mu nie doda wcale barwy, albo raczéj nie odejmie piętna mglistości i niezdecydowania. Wiemy, że jest wrogi zasadzie szczęścia, lecz czemu sprzyja? Boć chcąc czy nie chcąc, na pewien choćby kawał czasu każdy musi sobie powiedziéć, co jest dobre i moralne, a co złe i karygodne?

Widzieliśmy, że i Wundt od dogmatyki uchylić się nie zdołał (nauka o normach). Gdy jednak zechce kto określić ją bliżéj, znajdzie, iż filozof mimo całą swą konsekwencyę i oględność, ustrzedz się nie zdołał od ukośnych spojrzeń w kierunku idei szczęśliwości. Pomijając już niedosyć szczelnie zasłonięty dla bacznego oka czynnik doświadczenia a więc i korzyści— w wiadomym pochodzie inoródczym — słyszymy z własnych ust jego wyznanie, zdolne zachwiać silnie całym tym gmachem anti-hedonizmu. Bo oto co głosi na str. 437 „Etyki“:

„Natura woli sprawia, że uczuciowe pierwiastki świadomości mają w przyczynowości postępków znaczenie decydujące. Woli musi towarzyszyć zawsze pożądanie, lub wstręt; oboje zaś związane są z uczuciem rozkoszy, lub przykrości. Innych, samoistnych pobudek uczuciowych nie ma: człowiekiem nie rządzą raz uczucia bezpośrednie, innym razem rozwaga — lecz zawsze uczucia. Te znowu mogą być związane bądź z wyobrażeniem bezpośredniém...., bądź z całym łańcuchem celowo zczepionych wyobrażeń, dotyczących

bliższych lub dalszych celów empirycznych (konkretnych) lub czynów, bądź wreszcie wypływać mogą z ostatecznych, idealnych celów moralnego dążenia, możliwych na razie tylko do bardzo mglistego określenia. Takie to wyobrażenia celów idealnych nazywamy ideami."

Zdaje się, że wniosek można stąd wyciągnąć jasny i niedwuznaczny i wszelkie postępki nasze, czy obliczone są na skutek doraźny czy na odległy o lat tysiące, mają za stałego towarzysza swego poczucie szczęścia i niedoli. Świadomy tego pewnika w swéj psychologii, Wundt traci go z uwagi w etyce właściwéj i w rezultacie błądzi. A jestto pewnik wszelkiéj bezstronnéj nauki o duszy, coraz widoczniejszy w toku dziejów i coraz natarczywszy. Gdyby Wundt również pilnie baczył na psychologię historyi jak na psychologię społeczeństwa, nie mógłby nie dostrzedz, że w człowieku ów żywioł hedoniczny, owo rządzenie się uczuciem pragnienia lub wstrętu, potęguje się bezustannie. Wiek nasz jest tego dowodem najlepszym. Rozpatruje on życie i stosunki coraz wyłączniéj ze stanowiska eudemonizmu. Przestał dbać o szczęście zagrobowe, a obstaje przy potrzebie szczęśliwości doczesnéj. Jego socyologia wychodzi z założenia, że każdy kto żyje, żyć powinien znośnie przynajmniéj, jego etyka odbiera kredyt Molochom, a oddaje go samymże ludziom, ściąga cele z po za ziemi na samą ziemię; jego poezya obraca się niezmiennie za pośrednictwem największych swych rzeczników dokoła świadomości, że jest źle a powinno być dobrze na świecie. Jego filozofia wreszcie ten postęp naszéj czułości na ból i rozkosz wyraźnie podkreśla, jak to czyni np. Hartmann. Teorya iluzyi, dowodząca, iż w ludzkości wzmaga się krytycyzm, i złudzenia jedno po drugiém pryskają, jest sama w sobie wysoce prawdziwa i z istotną ewolucyą świadomości całkiem zgodna. Bo rzeczywiście, we wszystkich dziedzinach myśli odbył się przełom w duchu większych od życia wymagań. Nigdy jeszcze tylu naraz poetów i filozofów nie ważyło na szalach czysto ziemskich—ogólnéj sumy szczęścia i niedoli.

Jeżeli Wundt tak wielką powierza rolę uczuciu pożądania i niechęci w procesach woli—to dla historyozofa, wolnego od wszelkich uprzedzeń, rola ta potężnieje niesłychanie.

Jednak czém się to dzieje, że pierwiastki hedoniczne zepchnął nasz myśliciel na drugi plan? Bo stworzył sobie sztuczną dosyć różnicę między motywem a celem. Pierwszy utożsamił z przeczuciem rozkoszy lub bólu, drugi z ideą jakąś, tymczasem ideą woli zbiorowéj. Cóż to znaczy? Że, jeśli zgadzam się słuchać nakazu téj ostatniéj,—jéj wyobrażenie sprawia mi przyjemność i powoduje mną—

ale... nie ono powoduje mną, a jeno abstrakcya jakaś. Nie—tak być nie może. Żadne oderwanie takiéj mocy miéć nie może. Odcięte od poczucia czyjegokolwiek, tj. własnego lub cudzego dobra, staje się pustką, jakiémś *vacuum*, którego natura nasza nie lęka się wprawdzie, ale ukochać nie może. Tak jak w świecie realnym nie ma koloru, a jest tylko kolor czarny, biały, niebieski lub inny—tak samo w sferze sprężyn nami kierujących w życiu praktyczném—niema samoistnéj idei absolutnéj, lecz tylko myślowe, czysto-logiczne uogólnienie szczęścia lub niedoli w pojęcie nakazu lub zakazu, zwane ideą. A więc i pojęcie woli zbiorowéj musi być koniecznie zapełnione jakąś treścią, czyjémś dobrem. Umysłowi prostaczemu, pół-świadomemu może zaimponuje formalny dogmat, ale niechaj rozbudzi się cokolwiek, niechybnie spyta swego rozumu: dla czyjego dobra ma mu być posłusznym? A wtedy odrzec sobie musi: dla przyjemności Boga, dla korzyści bliźnich itd. Prawda—często działamy odruchowo w imię głęboko w nas wszczepionéj zasady; nie zdajemy sobie przy każdym czynie sprawy z jego racyi eudemonistycznych—ale etyka nie jest czynem lecz rozwagą i analizą, jéj więc zasada koniec końców musi odsłonić swoje dno konkretne, z uczucia dodatniego lub ujemnego utworzone.

Dowodzenie to—nie nowe. Podała je cała etyka i psychogia angielska między wierszami dzieł swych, uświadomił je zupełnie Spencer, choć nie położył należnego nacisku na jéj dla filozofii praktycznéj doniosłość. Jest to jedynie zrozumiały wywód. Idea woli zbiorowéj niech się odżegnywa od wszelkiéj rozkoszy materyalnéj, a dyktuje same tylko zadowolenia duchowe—to nie zmieni postaci rzeczy: pozostanie zawsze wyrazem pogoni za jakiémś dobrem. Niech godłem postępowania zamiast „użycia“ Epikura, Holbacha i Lamettriego, zamiast „pożytku“ Benthama i Milla—będzie oczyszczona z uciech przemijających „rozkosz“ Arystotelesa, szczęśliwość jak była tak i będzie gruntem przepisów moralnych.

Lecz w téj właśnie różnicy uciech tkwi przyczyna wszelkich odmian idealizmu w etyce, a więc i Wundtowskiego. Hasło „szczęśliwość“ ma dawać pochop do nadużyć i nieporozumień, ma schlebiać popędom niższym, zapewniać sobkostwu przewagę nad miłością bliźniego. Skały to groźne; dla ich uniknienia—czyż nie lepiéj wymyślić surowy idealizm?

Ale błędem jest psychologicznym mniemanie, że wieść ludzkość ku szczęściu znaczy hołdować jéj instynktom zwierzęcym.

Natura rozkoszy ma to do siebie, że wyradza w człowieku pewną ekonomię, wskutek któréj wybiera on trwalsze. Zapewne, nie wszyscy tak czynią i zbyt różową jest nadzieja J. S. Milla, iż

gdyby głosowanie powszechne miało stanowić o względnéj wartości zadowoleń, oświadczonoby się zgodnie za duchowemi i estetycznemi. Tak dobrze nie jest i tak źle nie jest — bo byśmy już dawno chyba stali u kresu dążeń ludzkich i nie wiedzieli, co z dalszém istnieniem począć. Lecz, że wspinając się po drabince rozwoju umysłowego, ród nasz uczy się przekładać rozkosze sympatyi nad rozkosze w sobie zamkniętego egoizmu, przyjemności wolne od wstrętnych reakcyi i następstw bolesnych nad uciechy chwili — to chyba wątpieniu nie ulega. Na co szukać w marnym prochu iskier tajemnéj, mistycznéj inspiracyi, kiedy ma on swoją własną odrobinę jasnowidzenia, która radzi stronić od rozkoszy i pragnień niewdzięcznych. Na co kłamać sobie i światu hymnami na cześć boskości natury człowieczéj, kiedy w samém zwierzęciu odnosi tryumf przeczucie szczęścia dłuższego nad instynkt przelotnych połechtań? Tak przecież pojmował rzecz wielki Epikur i jego szkoła, tak prawił wielki Bentham, jeden z najjaśniejszych wieku zeszłego umysłów, gdy nazywał moralność dobrą buchalteryą szczęścia.

Jest jeszcze druga obawa, którą żywi Wundt wobec rozkrzewiania się etyki szczęśliwości: ażeby, przenosząc całą wagę czynu w jego wypadkową, nie ogołocono z wszelkiego znaczenia moralnego samych pobudek i tego stanu wewnętrznego, który czyn poprzedza, który zostaje w jednostce nieujawnionym, jako sposób myślenia, jako *Gesinnung*. Bo w rzeczy saméj utylitaryzm zgadza się i na to, by postępek wypływał z przebiegłego wyrachowania—byleby w rezultacie przyczyniał się do zwiększenia ogółu szczęśliwości.

W tym skrupule Wundta i idealistów tkwi moment niezmiernie charakterystyczny, i co ważniejsza, obnażający w metodzie jego odwrotną stronę medalu.

Oto przedemną czyn, obchodzący pewne koło ludzi. Szlachetny jest czy podły? Nie wiem — bo to zależy od interesowanych, jeśli skorzystali, a suma szczęścia powszechnego wzrosła—nazywam go szlachetnym, jeśli nie — obojętnym, jeśli przypłacili go cierpieniem—zwę go występnym. Tak rozumując, jestem względnie i możliwie wolny od powziętych zgóry uprzedzeń. Mam przed oczyma zjawisko empiryczne i sądzę je, uzbrojony w to tylko przekonanie, że jest pewne *minimum* potrzeb, właściwych wszystkim ludziom, że zaspokojenie tych potrzeb jest warunkiem szczęścia wszystkich i że przyczyniać się do niego jest pierwszym obowiązkiem a stawiać zapory — pierwszym grzechem. Opieram się tedy na prawdzie elementarnéj, świadomie czy bezwiednie uznawanéj przez wszystkich (prócz chyba ogarnionych szałem ascetycznym).

Inaczéj chce Wundt. On odrazu, nie zbadawszy nawet skutków czynu, określa jego cechę etyczną i mówi: jeśli wypłynął z pobudek zacnych — jest moralny, jeśli z niecnych — jest niecny. Lecz jakie pobudki są zacne, a jakie niecne? Na czém opiera on wiadomość o ich charakterze? Widocznie więc wiedział przedtém, co jest dobre, a co złe; widocznie przystąpił do rozbioru z gotową formułką! Gdzież się tedy podziała ścisła bezstronność i przedmiotowość?

Etyka, siląc się przedewszystkiém na definicyę moralności, powinna zrzucać z siebie wszelkie wpływy i przesądy. Kodeksom i katechizmom wolno nieprzyjemną dla idealizmu prawdę kryć pod korcem i nawet czynić tak muszą *pro publico bono*. Lecz filozofa zrażać nie powinno, że szukając rdzenia moralności, odnajdzie go w przyczynkach do powszechnego zadowolenia. To też daleko więcéj męstwa okazali Grecy a dziś Anglicy, gdyż biorą się do rzeczy po Sokratesowsku, mówiąc sobie w duchu: „ja nie wiem nic— zobaczmy, co się okaże.“

Wundt sam wreszcie przyznaje swą stronność, pomimo iż zapewnia o zupełnéj indukcyjności. Na str. 426 „Etyki“ czytamy:

> „Nazywają to dziś naiwnie dziecinną metodą, gdy pragniemy ustalić pojęcia etyczne z pomocą tego, co wszyscy o nich myślą. A jednak nie będziemy mieli nigdy wyższego probierza prawdy nad tę właśnie powszechność. To, co przez wszystkie normalne świadomości, pod warunkiem naturalnie dostatecznego ich wyrobienia, uznane zostało za oczywiste, nazywamy pewnikiem.“

Gdyby nawet w tém *credo* nie było rażącéj giętkości—jak giętkiém i względném jest pojęcie „dostatecznego wyrobienia“ — to i wtedy zostanie dziwna w naszych czasach cześć dla bożyszcz, które Bacon nazywał *idola fori*. Wundt powołuje się na pewniki matematyczne, co do których nie ma przecież różnic w poglądach! Niestety—kilkadziesiąt stronic, poświęconych ocenie etyki pożytku i szczęścia, jak gdyby wykreślił nagle Wundt ze swego dzieła—zapomniał o nich; a szkoda wielka, boć one przecież jaskrawo wyświetliły, że od niepamiętnych czasów aż do najświeższéj doby wije się przez dzieje czerwona nić niewiary i odstępstwa od „bałwanów gminu.“ Nie wziąć w rachubę Epikura, Bacona, Hobbesa, Lockego, po części Hume'a, daléj Helvetiusa i materyalistów francuskich, wreszcie Benthama i potężny jego, z każdym dniem potężniejszy kierunek—to trochę za bezceremonialnie.

Prawdą jest niezbitą, że ostatecznéj sankcyi szukamy w zgodzie wszystkich, lecz na tezę Wundta nie wszyscy bynajmniéj się

zgadzają. I etyka eudemoniczna oklasku powszechnego nie zjednała sobie, ale ona przynajmniéj we wszystkich systemach wykryła fakt dążenia do czyjegokolwiek dobra, — nawet w krańcowo odmiennych.

Tak tedy okazuje się, iż przedmiotowy w intencyi, profesor lipski nie zdołał się powstrzymać od dogodzenia zapatrywaniom utartym, które z krzywdą dla obiektywności postawił przed swoimi wywodami.

Jeden jeszcze doniosły zarzut czyni on etyce brytańskiéj — zarzut bardzo szerokiego znaczenia. Pomawia ją o dążności indywidualistyczne, o rozstrzelenie interesów, osłabianie spójni duchowéj, czego następstwem ogólném gorycz, zniechęcenie i wreszcie wiek teraźniejszy cechująca rozpacz. Gdyby to oskarżenie było zasadne — idea zbiorowéj woli, mająca złu przeciwdziałać, byłaby wynalazkiem cennym, a hedonizm—zbrodniczym.

Na szczęście, ciężki grzech ów nie obarcza tych, komu został przypisany. Choroba, co trapi społeczeństwo nowe, nie powstała bynajmniéj z rozwielmożnionego jakoby separatyzmu. Wykwitła ona pod tym samym cieplarnianym dachem, który hodował i wybujać pozwolił dawniejszéj, odwiecznéj, przez prawo uświęconéj walce o byt. I zamiast złorzeczyć utylitarystom — czyż nie słuszniéj byłoby dziękować im, że przyśpieszyli brzask pragnień świadomych i pewnych pretensyi? Nie należy w nowszych prądach widziéć saméj tylko zakały. Jest w nich zdrowe ziarenko postępu, jeno okryte skorupą warcholstwa i skrajności. Przebywa świat chwilę krytyczną, w któréj gorączkuje i bredzi, stąd mrzonki przechodzące w utopie, stąd egzaltacya w nowatorstwie,— w chwilach przytomnych zaś skarży się i cierpi — stąd upadek ducha. Wundt odwraca porządek faktów, gdy mówi o zwątpieniu i ze stanu wtórującego robi wynik ostateczny; prywatę podaje za skutek utylitaryzmu zamiast przeciwnie, wysnuć potrzebę ogólnéj szczęśliwości z prywaty, co więcéj zgadza się z tokiem dziejów i nie okazuje pierwszéj z nich w tak czarném świetle. Gdyby zasada szczęścia i prawo woli zbiorowéj chciały, każde zosobna, zrobić obrachunek sumienia, etyka w Niemczech rozpanoszona musiałaby iść do piekła. Cokolwiek kto rozumie przez „największe dobro największéj liczby“, wszyscy się zgodzą na jedno: że niedola jednostki, choćby jednéj tylko, dewizie téj poskarżyć się może. Tymczasem wszelkie absoluty są, jak ktoś trafnie wyrzekł o metafizyce, kiszkami, które można czém kto chce zapychać. W imię ogólnego postępu, w imię uległości niewidzialnym majakom idealizmu, można tępić i z siedzib rugować całe ludy, niekiedy nawet w szczerém przekonaniu,

że się służy dla tryumfu ludów wyższych, jako wierniejszych kapłanów „ideału.“ My się tego ideału, choćby tak ujmującym i łagodnym był, jak w dziele Wundta, boimy....

* *
*

Nieznane objaśnia się przez znane. Z téj prawdy wychodząc, ocenialiśmy pomysły Wundta przez porównanie z bardziéj zrozumiałemi doktrynami eudemonizmu. Okazało się, że autor ten wnosi do etyki trzy rodzaje mniemań.

Jedno z nich — całkiem nowe i cenne; mianowicie poglądowe i przekonywające naszkicowanie rozwoju, jaki odbywa się w idei etycznéj, pod wpływem różnych czynników cywilizacyjnych. Rozszerza się ona, wyszedłszy z centrum, jakiém jest np. małe plemię, i z czasem ogarnia całą ludzkość. Jest-to niby wibracya fal wodnych, coraz szerszemi kołami rozchodząca się od miejsca, gdzie rzucono kamień. Jest-to obraz samorództwa moralności, całkiém odmienny od ewolucyi angielskiéj i wybornie ją uzupełnia.

Na drugi rodzaj składają się: przedmiotowość, choć nie zawsze upilnowana, ale w Niemczech i filozofii idealistycznéj nowa (gdyż mglistych zarysów Posta i Iheringa można nie liczyć). Nikt tam tak świadomie nie oparł etyki na danych antropologii, nie użył innéj nauki za materyał empiryczny. Daléj: prawo inorodztwa celów ze wszystkiemi swemi skutkami oraz wola zbiorowa; jednak żywioły te, jak się rzekło, z w r o g ó w łatwo można przedzierzgnąć w s p r z y m i e r z e ń c ó w idei szczęśliwości, rozwagi, pożytku, zmienności i względności morału, słowem cząstek składowych nauki Benthama, Milla i Spencera. Zamiast przeczyć im, raczéj potwierdzają ich tezy, i nie byłoby dziwném, gdyby roztropny szermierz utylitaryzmu — prócz własnego, zbroił się odtąd i w oręż, bezwiednie przez Wundta dostarczony, w obu tu nadmienionych grupach myśli.

Trzecie zaś składa się z krytyki szkół przeciwnych, podściełającéj całe dzieło, i świadczy o powierzchownem ich zbadaniu, o rozmyślném przeoczaniu ich silnych stron, i parodyowaniu zasady „maxymacyi“ szczęścia. Tu także należą odważne twierdzenia, że suma dobrobytów pojedyńczych równa się zeru, że hedonizm rodzi sobkostwo i co zatém idzie, rozgoryczenie na byt, że po określenie morału trzeba udawać się do ogółu, ta bowiem teza nagłem *salto mortale* przerzuca Wundta do wyznawców myślenia *a priori*. Te i tym podobne odkrycia zbogacają skarbiec filozofii nie złotem ale blaszkami.

Napoleon Hirszband.



HELENA MASSALSKA.

Księżna Karolowa de Ligne. Hr. Wincentowa Potocka

(Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle).

CZĘŚĆ DRUGA.

LA C-SSE HELÈNE POTOCKA.—1888.

Ogłoszenie drugiego tomu, poświęconego historyi „Wielkiéj Pani" polskiéj, niespodzianką się stało—dla piszącéj pod pseudonimem autorki, panny Łucyi Herpin, która zwierza się obecnie przed nami z tém, iż nie myślała o dalszym ciągu swéj zajmującéj, ale wyczerpanéj, jak sądziła, powieści. Obfitość nowych źródeł, których jéj dostarczono, skłoniła ją do odmiennego postanowienia. „Notat, listów, wskazówek, tradycyi rodzinnych, niczego jéj nie zabrakło". Nawiasem mówiąc, polskiemu pisarzowi i poszukiwaczowi „tradycyi rodzinnych", powtarzającemu te słowa i wiedzącemu, że niema w nich przechwałki, trudno obronić się od melancholicznego zwrotu do własnych, mniéj pospolicie uprzywilejowanych losów. Ale, co jest prawdą o prorokach, prawdą także być musi o wydawcach pamiątek historycznych... I prawda ta znajduje podobno zastosowanie nawet w losach panny Herpin, skoro aż w Polsce przyszło jéj szukać swojego typu *grande-damy* z XVIII wieku...

Jakkolwiekbądź, wiadomość o gotującéj się niespodziance już w ciągu roku zeszłego rozgłoszoną została, — nie bez obudzenia pewnych obaw, tak pomiędzy licznymi przyjaciołmi autorki, jak i w szerszém kole tych wszystkich osób, dla których postać „Heleny Potockiéj" nie może być przedmiotem obojętnéj tylko ciekawości. Przypominano sobie, iż postać ta, wdzięczna ale cokolwiek wątła i nikła, nawet pierwszego tomu wypełnić nie była w stanie, inaczéj jak w parze z zabierającą zawsze i wszędzie dużo miejsca osobą księcia de Ligne, autora 34-tomowych Pamiętników. O dalszém wyczerpywaniu tego obfitego, ale przez tyle już kałamarzy wysuszo-

nego źródła nie mogła zapewne myśléć autorka. Dalszego ciągu rozkosznego dzienniczka z „Abbaye-aux-Bois“ nie znalazła z pewnością także. Czytelnicy jéj przekonali się już, że księżna de Ligne i pani Wincentowa Potocka nie dotrzymała świetnych obietnic Helenki Massalskiéj. Z czegoż tedy miał urość ten drugi tom? Zkąd się miał wziąć jego powab? Czy nie z pociągającego, niestety, ciekawość publiczną ale wieczystego źródła, zasilonego mętnemi ściekami tego, co w każdéj „rodzinnéj tradycyi“ chować się może drażliwych, bolesnych i wstydliwych wspomnień?..

Pierwsza rozmowa ze szczęśliwą właścicielką piśmiennéj puścizny po uroczéj pensyonarce z „Abbaye-aux-Bois“ i po otaczających ją osobach rozchwiała w myśli piszącego tutaj krzywdzące te domysły. Będący dziś w rękach czytelników drugi tom fałsz im zupełny zadaje. Eksploatatorką skandalu nie uczyniła się panna Herpin. Udzielonego sobie zaufania nie nadużyła. Z dostarczonych dokumentów skorzystała z oględnością, wstrzemięźliwością i taktem godnym najżywszéj pochwały. I napisała cały tom o „Helenie Potockiéj“. I tom ten, jedną tą wątłą i nikłą postacią bezpodzielnie prawie zajęty, pustym się nie wydaje. Jest zajmujący i powabny i pełen wdzięku. Jakim sposobem?

Sposobem bardzo prostym, a nie mniéj przeto bardzo wyjątkowym, jak wyjątkowém jest zjawisko, które trafiło się w osobie naszéj polskiéj bohaterki. Przypomina sobie zapewne czytelnik bohatera bajki, który w walce z mnożącym nieskończoną liczbę sztuk i fortelów nieprzyjacielem, jedną tylko posiada i zużytkowywa sztukę, ale zwycięską. Jest coś analogicznego z Heleną Potocką. Kobiety wyższéj, w pospolitém znaczeniu słowa, nie szukać w niéj. W téj tak bogatéj galeryi postaci niewieścich, celujących szlachetnemi przymiotami umysłu i duszy, którą wiek XVIII zostawił, niemasz stanowczo dla niéj miejsca. Wykształconą po nad ogólny poziom, inteligentną po nad pospolitą miarę, dowcipną w uderzający sposób nie jest. O podnioślejszém znaczeniu swego stanowiska, jako kobiety, wielkiéj pani, obywatelki, nie ma pojęcia. Jest złą żoną pierwszego męża i niekoniecznie dobrą, choć namiętnie kochającą, drugiego. O tém, że jest polką, zdaje się najczęściéj nie wiedziéć, a w każdym razie nie poczuwa się do żadnych z tego tytułu obowiązków. Macierzyństwo nawet nie udaje się jéj. Nawet chcąc, nie umié być matką. Cóż tedy umié ona i gdzie jéj przymiot zwycięski? Umié kochać!

To jéj sztuka, to jéj sekret, za pomocą którego dziś jeszcze trafia ona do naszych serc, i oto, po latach tylu zapomnienia, zdobywa sobie na obczyźnie, śród cudzoziemców niechętnych samemu

brzmieniu jéj nazwiska, takie miejsce, jakiego by pozazdrościć mogła w zagrobowém życiu niejedna z jéj świetniejszych rówieśniczek.

Zważmy, że ani bardzo wyrafinowaną, ani nawet bardzo szlachetną nie jest ta jéj miłość. Jest raczéj trywialną; w wysokim stopniu zmysłową i w nie mniéj wysokim stopniu zazdrosną, podejrzliwą, niespokojną aż do dokuczliwości i natręctwa. Zważmy, że jéj przedmiotem człowiek cale nie osobliwy, piękny podobno i wytwornego obejścia, ale zresztą miernego umysłu i mierniejszego jeszcze serca, egoista i komedyant, Don-Żuan, bez rycerskości i aferzysta bez wyższych uzdolnień ale i bez skrupułów. Cóż tedy osobliwego widać w téj miłości? Jedną, ale wielką rzecz: prawdę! Prawdziwą jest ona, to jest szczerą bez żadnych zastrzeżeń, żadnych udanych pozorów, żadnego oszukiwania siebie czy drugich; to jest bezwzględną bez żadnych ograniczeń; to jest bezinteresowną aż do najzupełniejszéj ofiary ze wszystkiego co służyć może do całopalenia na jéj ołtarzu: nawet miłości własnéj, nawet godności kobiecéj, nawet wstydu! I utrzymuje się ona taką bez zmiany, bez żądzy przerwy, bez jednéj chwili niepewności i wahania, przez cały ciąg życia bolesnemi doświadczonego przygodami. Ta kobieta, która zaczyna od poświęcenia wybranemu przez się towarzyszowi jednego z najgodniejszych zazdrości losów, jakie wydzielone kobiecie być mogą; która, aby podążyć za nim, zostawia za sobą świetne stanowisko towarzyskie i przywiązane doń przyjemności, Paryż i jego uciechy, kochającą ją przybraną rodzinę i własną nawet a jedyną córkę; która, aby pozostać przy jego boku, skazuje się na długoletnie pokutnicze niemal życie śród niewygód, trosk materyalnych i upokorzeń; ta kobieta, odzyskawszy po latach kilkunastu, szczęśliwém trafu zrządzeniem, wszystko co straciła, stanowisko, dostatki, Paryż i córkę ową nawet zwróconą niewygasłemu w jéj sercu macierzyńskiemu przywiązaniu, rzuca raz jeszcze to wszystko, aby śród srogiéj zimy, mimo nadwątlonego zdrowia, biedz na odległą Ukrainę za niewiernym podobno małżonkiem...

Powieść panny Łucyi Herpin o „Helenie Potockiéj“ nie zaniedbuje przygodnych, romansowy wątek urozmaicających akcesoryów. Znajdzie w niéj czytelnik i trochę historyi polskiéj, (za którą, nawiasem znowu mówiąc, aczkolwiek między współpracownikami dokonanego dzieła łaskawie wspomniany, nie przyjmuję odpowiedzialności), i trochę europejskiéj; nieco epizodów, niekoniecznie może świeżych nawet dla francuskiéj publiczności, z Petersburskiego życia w ostatnich latach panowania Katarzyny II i pierwszych latach rządów Pawła, i więcéj zajmujące rysy z fizyonomii po rewolucyjnego Paryża, cośkolwiek z Ukrainy, Litwy i najrozmaitszych okolic

całego świata, Berdyczów i Wiedeń, francuskie typy emigracyjne w polskiéj gościnie, no naturalnie i nieuniknionego księcia de Ligne ze swoją nie starzejącą się galanteryą, młodzieńczą werwą i strzelistemi zawsze *bon-mots*'ami. Ale w tém wszystkiém szukać będzie podobno tenże czytelnik najskwapliwiéj saméj Heleny Potockiéj, z odsłaniającym się aż do najdrobniejszych szczegółów wyrazem jéj fizyonomii moralnéj. I będzie miał słuszność.

A jednak, nie dla uchwycenia w treściwym szkicu téj, jakkolwiek interesującéj fizyonomii upomniałem się tu o rolę sprawozdawcy; osobiście doszukałem się czegoś innego jeszcze w tym drugim tomie, leżącym przedemną; czegoś o czém nie pomyślała podobno panna Łucya Herpin, tak jak, przedrukowywując w I-ym tomie dzienniczek młodéj pensyonarki, nie zamierzyła obdarzyć nas pomnikiem systematu edukcyjnego, któremu mamy do zawdzięczenia nie jedną Helenę Potocką, ale to ogólniejsze zjawisko: kobietę XVIII wieku. Owóż inne zjawisko, szerszego także i po za pojedyńczą postać niewieścią sięgającego charakteru i znaczenia, odsłania się znowu w tym drugim tomie przed oczami piszącego tutaj, któremu zapominać nie godzi się, że jest przedewszystkiém historykiem. Tém zjawiskiem, to polska rodzina Heleny, rodzina, do któréj należą dwie pierwsze żony jéj męża, późniejsza pani Mniszchowa i pani Anna Potocka, tańcząca obok niéj w r. 1810 na balu wydanym przez goszczącego w Paryżu księcia Sasko-Wejmarskiego, i on sam, trzykrotny małżonek i szczęśliwy wszystkich trzech żon donataryusz, ubiegający się w Petersburgu, roku 1795-go, o jedno bodaj spojrzenie cesarzowéj Katarzyny, i syn jego, Franciszek, dopiero co adjutant Davoust'a a już zaraz potém szambelan cesarza Aleksandra a szczęśliwy podobno także mąż Sydonii de Ligne, téj córki, którą trzecia żona jego ojca porzuciła dla tegoż ojca! Ze stanowiska polskiéj historyografii, oto najwięcéj interesująca strona rozłożonego przed nami obrazu i dział mój osobisty w zebraném przez pannę Herpin żniwie. Ale osobistych moich zaprzątnień narzucać nikomu nie pragnę, i aby nikogo nie skrzywdzić, chcę przedstawić obraz cały, o ile zmieścić się on może w ramach pobieżnego sprawozdania.

I.

POBYT W KOWALÓWCE.

(1793—1800.)

Pierwsze chwile spędzone w téj miejscowości, z którą pierwszy tom zaznajomił już czytelnika, należą do najszczęśliwszych w życiu Heleny. Zaiste, dla wczorajszéj mieszkanki zamku w „Bel-

Oeil“ i paryskiego pałacu, Kowalówka sama przez się nie może przedstawiać zbyt wiele powabów—nawet upiększona sztuką p. Simon'a, francuskiego mistrza w ogrodnictwie i hodowaniu kwiatów, który „wyemigrował niby wielki pan“. Ale jest w Kowalówce jedna rzecz, która starczy jéj za wszystko i niczego żałować nie pozwala: jest p. Wincenty, mąż zdobyty przebojem na pani Annie Potockiéj i posiadany nakoniec bezpodzielnie, bo uwięziony w téj ustronnéj rezydencyi ukraińskiéj nie tyle podobno miękkim uściskiem pieszczących go ramion, co twardszemi okowami poplątanych dokuczliwie interesów. Pozwala się on pieścić, łaskawie przyjmuje usiłowania podejmywane dla rozerwania go, wita gładkiemi komplementami oryginalne pomysły strojów przeznaczonych dla odświeżenia tego powabu, któremu pozornie przynajmniéj ulegać się zdaje, chwali suknię „*à la memeluck en étoffe ponceau et argent*“, i drugą polskiego znowu kroju „*de soie des Indes blanche, brodée de fleurs roses*“, i trzecią kozacką „*en tyftick mordoré broché d'or*“; jest nawet zazdrosnym: kiedy wydala się z domu chociażby na jedną noc tylko, żąda, aby którakolwiek z panien służebnych spała w małżeńskiéj komnacie; i jest czułym, bo pisze z pierwszego popasu:

„Miałem serce tak ściśnięte, opuszczając ciebie, że wstrzymując łzy, dławiłem się, i dla tego nie mogłem powiedziéć ci słowa, wsiadając do powozu“.

Nakoniec wracającego z kontraktów Dubieńskich wita szczęśliwa małżonka, pokazując mu z rumieńcem na twarzy, uszyty w jego nieobecności czepeczek dla oczekiwanego gościa. Czegoż więcéj żądać?

Krótkiemi atoli i krótszemi nawet niż w zwykłej doli śmiertelników są te chwile szczęścia. Przerywa je zaś dość niespodzianym występem, w roli Makbetowego widma, osoba „o któréj zapomnieli szczęśliwi małżonkowie i mieli prawo a nawet obowiązek zapomniéć. Może i czytelnikom samym I-go tomu wyszło z pamięci to, że dramatyczne zaślubiny młodéj pary w kaplicy, trzema trumnami zawalonéj, dopełnione zostały przed ostateczném rozwiązaniem w Rzymie dawniejszych ślubów hr. Wincentego, z hrabiną Anną (Mycielską). Władza księcia-biskupa Massalskiego, uprzedzając w ten sposób wyrok stolicy apostolskiéj, nie zdołała wszelako narzucić swéj uzurpowanéj powagi umysłowi i sercu pani podkomorzyny (tytuł mężowski razem z nazwiskiem zatrzymała hr. Anna), opuszczonéj ale zawsze kochającéj małżonki. Nieprawnie dokonany związek posłużył tylko do utwierdzenia jéj w nieporzuconych nadziejach i pragnieniach. Niewierny małżonek dał już tyle dowodów niestałości swojéj, dla czegóż trzecia nieprawna żona miała by

być szczęśliwszą od dwóch pierwszych? Postanowiła tedy hrabina Anna czekać, w przekonaniu, iż najdaléj po roku spędzonym w objęciach przywłaszczającéj go sobie rywalki i w odludnéj Kowalówce, niewierny zjawi się w Warszawie i znajdzie się u jéj nóg. Rok minął i nie sprawdził tych przewidywań. Hrabina Anna przestraszyła się, i chwytając za pióro, napisała do księcia-biskupa:

„Dowiaduję się, że mój mąż żyje publicznie w Kowalówce z księżną de Ligne, która przybiera nazwisko Heleny Potockiéj. Owóż akt unieważnienia mojego małżeństwa nie został nigdy podpisanym ani potwierdzonym w Rzymie ; jadę przeto do Warszawy, dla podjęcia odpowiednich kroków, celem zerwania nieprawnego związku, i odmawiam teraz mojego przyzwolenia na rozwód.“

Hrabina Anna udzieliła tego przyzwolenia, dla odzyskania syna swojego, Franciszka; ale było to przed rokiem, i wtedy syn ten znajdował się w Kowalówce pod opieką Heleny, a niewiadomo było jeszcze, że taż Helena potrafi tak trwale przywiązać pięknego i płochego Wincentego do swojéj osoby. Ze zmianą położenia zmieniła też pani Anna zdanie. Oczywiście na księcia-biskupa spadł teraz obowiązek bronienia i dzieła, do którego przyłożył rękę i zagrożonéj powagi swojéj. Aliści z domowemi temi komplikacyami dramatycznemi zeszły się tragiczne wypadki, których Warszawa stała się widownią w czerwcu 1794 r. Dnia 18-go czerwca (nie 28-go, jak chce panna Herpin), książę-biskup padł ofiarą chwilowego szału ludności warszawskiéj, wzburzonéj nadchodzącemi z placu boju złowrogiemi wieściami. Okropna wiadomość zastała Helenę w Kowalówce przy połogu, i po raz pierwszy, mimo obecności drogiego towarzysza i spodziewanego nowego zadatku jego miłości, odezwało się w jéj sercu uczucie osamotnienia. Znikła z przed jéj oczu jedyna po za tym, kto wié? jutro może wiarołomnym znowu towarzyszem i ostatnia podpora, na którą liczyć mogła. A zdawała się znikać także nadzieja zwalczenia niespodzianego oporu hrabiny Anny.

Pozostawał jeden środek: wyzyskanie tego wpływu, którym szczycić się miał prawo hrabia Wincenty względem całego długiego już szeregu niewieścich osobistości, napotkanych w donżuanowskim swym zawodzie, a któremu zmienne koleje tegoż zawodu nie przynosiły jakoś ujmy; osobiste odwołanie się z jego strony do szlachetniejszych uczuć porzuconéj małżonki. Środek heroiczny w oczach Heleny i niebezpieczeństw pełen. Jednak przyjęty przez nią z rezygnacyą, choć nie bez przenikających do głębi duszy obaw i serdecznych dreszczów. Jesienią r. 1794 Wincenty Potocki jedzie do Warszawy dla spotkania się tam z panią podkomorzyną. Helena

zostaje w Kowalówce z dwojgiem już teraz dziatek, z których starszy, Aleksy, zachowuje pierwszeństwo w jéj macierzyńskiéj czułości, bo w nocy nawet „chrapiąc cokolwiek, przypomina swojego ojca.“

Obawy, któremi napełnia ją niebezpieczne spotkanie bezzasadnemi nie są, jak świadczy o tém list podkomorzyny, pisany do brata nazajutrz po pierwszych odwiedzinach hr. Wincentego.

„Wzruszona do głębi duszy, chwiejąc się, zrobiłam parę kroków naprzód, aby go powitać, zaledwie zaś przemówił, uczułam budzącą się napowrót miłość, któréj nic nie zdołało wydrzéć z mojego serca; potrzebowałam ostatniego wysiłku woli, ażeby nie rzucić się w jego objęcia.“

Ale nikt lepiéj od hr. Wincentego nie potrafi, jeżeli taka jest jego wola, kłaść tamy niepożądanym uniesieniom i wylewom uczuć. Szczęściem zaś dla Heleny, wola jego w tym sensie okazuje się niewzruszoną, umacniają ją bowiem bardzo poważne względy — choć nie te, których domyślać by się chciała zostawiona w Kowalówce towarzyszka. Jak wiadomém być powinno czytelnikom, jedną z pierwszych czynności Heleny po zaprzysiężeniu dozgonnéj wierności temu, którego wybrało jéj serce, było odstąpienie mu całego prawie teraźniejszego i przyszłego majątku, ogołocenie się zupełne z krzywdą zostawionéj w „Bel-Oeil“ Sydonii. Do nabytych w ten sposób i bez skrupułu przywłaszczonych przez hr. Wincentego praw przybywała obecnie olbrzymia po księdzu-biskupie puścizna, któréj skromniejsze wiano hr. Anny nie mogło zastąpić. Uzbroił się on tedy w sztywność i obojętność, nie szczędząc jednak „ujmujących słów i manier, i niebawem mógł donieść omdlewającéj śród niecierpliwego oczekiwania mieszkance Kowalówki, że wszystko pomyślnie skończone i udzielone mu zostało pełnomocnictwo do ostatecznego przeprowadzenia procesu rozwodowego.

Niestety! radość, którą sprawiło Helenie to doniesienie, nie miała znowu być długotrwałą. Już w pierwszych miesiącach następnego roku (1795) gromadzą się nad jéj głową nowe chmury.

„Zdaje się—pisze ona — jak gdyby fatalność przywiązana była do stóp moich, i skoro tylko pomyśléć mogę, że uchwyciłam szczęście, ucieka ono odemnie.“

Pisze tak pod bolesném wrażeniem straty poniesionéj w osobie drobnéj i wątłéj Helenki, którą dopiéro co powiła. Jednocześnie zaś dochodzi ją i męża wiadomość, że za wstawieniem się księcia de Ligne, cesarzowa Katarzyna rozkazała nałożyć sekwestr na dobra po-biskupie, dla zabezpieczenia pokrzywdzonych praw Sydonii. Jednocześnie także mąż, którego obecność wetuje w jéj oczach wszystkie straty i osładza wszelkie goryczy, powołanym się

mieni do Grodna, do boku Stanisława-Augusta, którego czeka w téj chwili ostatnia dotkliwa próba: narzucony z Petersburga akt abdykacyi, a w którego otoczeniu znajduje się między innemi damami pani ex-marszałkowa nadworna, Mniszchowa (Zamojska z domu), pierwsza żona pana podkomorzego. Helena zamierzyła nie opuszczać męża; towarzyszy mu do Grodna na to, aby z ust tejże saméj p. Mniszchowéj, niespodzianą przyjaźń jéj okazującéj, dowiedziéć się o nowéj katastrofie. Hrabina Anna Potocka podpisała wprawdzie akt rozwodowy, w zamian, jak zapewnia hr. Wincenty, za dość znaczne ustępstwa majątkowe, ale podpisała go dopiéro na dniu 24 listopada 1794. Owóż dwaj synowie, któremi Helena obdarzyła swojego męża, urodzili się: Aleksy w lipcu 1793, Wincenty w maju 1794 roku. Czy tedy ustępstwa jéj uczynione (na rzecz zapewne własnego syna Franciszka) zdały jéj się po namyśle niewystarczającemi, czy dała się ona uwieść znowu nadziei odzyskania wydartego sobie małżonka, za pomocą nowych ciosów wymierzonych przeciwko teraźniejszym jego ślubom, dość że wystąpiła nagle pani podkomorzyna na drodze sądowéj przeciwko prawowitemu urodzeniu, a tém samém przeciwko prawom spadkowym dwóch dopiéro co wspomnianych synów nienawistnéj rywalki.

Charakterystycznym jest sposób, w jaki Helena przyjmuje tę wiadomość, którą hr. Wincenty obiecywał sobie ukryć przez nią.

„Wiem wszystko od pani Mniszchowéj.“ A potém rzucając się z płaczem w jego objęcia: „Ach! ja to nieszczęście ci przynoszę! Będziesz chciał mnie się pozbyć!“

Uspakaja podkomorzy jak umié najlepiéj nieszczęśliwą kobietę, ale opuszcza ją znowu i jedzie do Petersburga, dla starania się o zjednanie sobie przeciwko hrabinie Annie przemożnych wpływów dworskich i wszechwładnéj opieki imperatorowéj. Listy, które ztamtąd do żony pisuje, stanowią dość ciekawy pomnik do charakterystyki owoczesnych stosunków. Przedstawiony jéj cesarskiéj mości na ranném przyjęciu przy powrocie z cerkwi, zapytanym zostaje łaskawie pan podkomorzy o to, „czy przybywa z Niemirowa i w jakim stanie znalazł drogi“, i poczytuje to sobie za dowód wyjątkowych względów, „ponieważ rzeczą jest bardzo rzadką, iżby imperatorowa mówiła do kogokolwiek po pierwszém przedstawieniu i kilka osób komplementowało mnie z tego powodu. Jakoż było kilka osób przedniejszego stanowiska przedstawionych razem ze mną, ja zaś jeden byłem tak szczęśliwy.“

Kilkoma dniami późniéj, dostawszy się, przy opiece Markowa, którego protekcyą zjednać sobie potrafił, do sali, w któréj odbywa się obiad kawalerów św. Jerzego i w pierwszym rzędzie widzów

naprzeciwko imperatorowéj umieszczony, ma on znowu szczęście zwrócić na siebie uwagę władczyni, która pytać go raczy przez wielkiego marszałka dworu, jak mu się podoba sala. Odpowiada bez zająknienia p. podkomorzy, „że zapewne podobała by mu się ona wielce, gdyby inny przedmiot nie przywiązywał całéj jego uwagi, co zjednywa mu uprzejme spojrzenie dostojnych oczu.“ Na drugim obiedzie dla kawalerów orderu św. Ducha, mimo równie uprzywilejowanego pomieszczenia, „nie trafia mu się to samo szczęście.“ Ale natomiast daném mu jest widziéć po raz pierwszy pięknego Zubowa, do którego prowadzi go nazajutrz usłużny Markow z listem polecającym od Repnina. List i opieka Markowa wszechmocnemi się okazują. Mimo zbyt licznego koła dworaków niedopuszczającego poufniejszéj rozmowy, faworyt kilkakrotnie przemawia do pana podkomorzego i „wszyscy zapewniają, że pierwszego to polaka spotkało „tak łaskawe przyjęcie.“ Zabiegi zaś te wszystkie dość pomyślny w końcu odnoszą skutek. Za ofiarę nowych ustępstw, na rzecz Sydonii, za którą nie przestaje orędować książe de Ligne, imperatorowa skłania się do uprawnienia dwóch małych Potockich, których „przyjście na świat mniéj kosztowało trudu“, jak się wyraża Helena. Zostawia wprawdzie p. podkomorzy, opuszczając Petersburg, niektóre niedopełnione i nowych kłopotów powodem mające być formalności, ale dla tego, że pilno mu do Mohilewa, gdzie zatrzymała się Helena, oczekując na jego powrót, mimo rozkazów jego inną odludniejszą miejscowość na tymczasową rezydencyą jéj przeznaczających. Mohilew znajduje się na drodze do Petersburga; odwiedzają tam Helenę rzadcy, ale jeszcze zbyt liczni jak dla pana podkomorzego przejezdni, i p. podkomorzy jest zazdrosnym. Zjawia się niespodzianie na ośm dni przed zapowiedzianą datą przybycia, nie dopuszcza do objęć swoich wybiegającéj z uniesieniem na jego spotkanie małżonki; żąda pierwéj ścisłego rachunku z wszystkich jéj czynności. Ale wszystko to nic: skoro przybył nareszcie, Helena jest szczęśliwą!

Tym razem szczęście, w ten sposób jéj zwrócone, trwalszém się okazuje: trwa, w dalekiéj zawsze Kowalówce, całe dwa lata. Kowalówka przestaje być zresztą w tym czasie tą ustronną i rozrywek wszelkich pozbawioną siedzibą, którą była w pierwszych chwilach: staje się owszem punktem środkowym bardzo ożywionego życia towarzyskiego, w którém główny żywioł stanowi zaludniająca tę okolicę emigracya francuska. Miły i dowcipny Walenty Esterhazy, przyjaciel księcia de Ligne i wierny towarzysz Maryi Antoniny, przesiaduje tu z całą rodziną. Hrabina Dyana de Polignac, z braćmi i dziećmi ich, hrabia i hrabina d'Aragon, wnuczka

margr. de Mirabeau i dawna przyjaciółka Heleny, margrabiostwo de Badens z córkami i innych wielu czynią z Ukrainy „nową Francyą“, jak się wyraża księżna Lubomirska. Badens'ów, dotkniętych utratą nietylko dostatków dawniejszych ale wszelkiego nawet sposobu do życia, ugaszcza Helena w samejże Kowalówce. Pani de Badens bierze się do leczenia Heleny, któréj zdrowie dość wątłe zawsze budzi niejakie obawy, za pomocą fig suszonych, stanowiących jakoby wielce posilający pokarm. Figi nie odnoszą pożądanego skutku. Pani de Badens broni z żywością swojéj recepty, i, perorując, wywraca w uniesieniu czajnik dopiéro co wrzątkiem napełniony na nogi panu podkomorzemu. Na to Helena rzuca jéj spojrzenie, „które pod ziemię chować jéj się każe.“ Ale wogóle harmonia jak najlepsza panuje w całém gronie. Helena urządza teatr amatorski, maluje sama dekoracye, sporządza kostiumy przy pomocy panien de Badens; dobiéra z łatwością doskonałą trupę artystów między Polignac'ami i d'Aragonami; próbuje nawet opery komicznéj i wystawia z powodzeniem: „*Ma tante Aurore*, *Richard Coeur de Lion*, *Zemire et Azor*, *Fanchon la Vielleuse*“ i t. d.

Dwa lata szybko mijają wśród tych uciech niewinnych — i oto „fatalność przywiązana jakoby do stóp“ biednéj Heleny zjawia się znowu na progu. Wiosną 1799 roku, podczas kilkodniowéj nieobecności hrabiego, mały Wicuś, od urodzenia słabowity, zapada na gardło. Przywołany przez sztafetę ojciec znajduje go już nieżywego i znowu staje w oczach Heleny ponure widzenie trzech trumien owych, w drodze do ołtarza napotkanych. Pozostaje jéj Aleksy, jéj ulubieniec, ładny, zdrowy i rozkoszny chłopak. I znowu w nieobecności męża, noc znajduje nieszczęśliwą matkę przy łóżeczku trawionéj przez nagłą gorączkę i dławiącéj się dzieciny. Przywołany z Niemirowa doktór kiwa głową.

— To gardło także? — pyta Helena, a otrzymując potwierdzającą odpowiedź: „Wiedziałam o tém, i t a m t e n na gardło umarł“, dadaje, myśląc o synku hrabiny Anny, którego miała w swojéj opiece. „Boże! czyż trzeba, abym i ostatnie moje dziecko straciła, dla spełnienia wyroków Twéj sprawiedliwości. A przecież pielęgnowałam t a m t e g o z narażeniem mojego życia. Ale matka jego nie wierzy temu i przeklęła mnie!“ Obecni Badens'owie patrzą z trwogą na to, jak przyciska ona usta swoje do ust biédnego chłopczyny, na których śmierć położyła już palec swój trucizną zaraźliwą namaszczony. Ostatnie z ust tych drogich odebrawszy tchnienie, pada nieszczęśliwa matka na ziemię bez zmysłów. Stara się doktór o przedłużenie sztucznemi środkami letargicznego snu, w którym pogrąża ją to omdlenie. Pogrzebowe przygotowania do-

pełniają się przez ten czas. Ale instynkt, od sztuki lekarskiéj silniejszy, budzi ją w chwili, gdy biała trumienka opuszcza próg domu; rozebrana prawie, wyrywając się przytrzymującym ją pannom służebnym, zjawia się biédna Helena śród kroczącego do kaplicy orszaku. Nieporuszona, „do klęczącego posągu podobna“, towarzyszy żałobnemu obrzędowi, ale gdy biała trumienka znika w podziemiu, gdzie poprzedziły ją dwie inne, zrywa się i mocnym głosem woła: — Trzy! jest ich trzy teraz!

Poczém wynoszą ją z kaplicy omdloną znowu.

I długiém już teraz, dłuższém od chwil pogodnych jest pasmo chmurnéj, zgryzotami i troskami wypełnionéj doli. Do smutków serdecznych przybywają domowe niepokoje i majątkowe kłopoty. Interesa nie nadto umiejętną choć chciwą ręką p. podkomorzego prowadzone, plączą się w dotkliwy sposób. Nad Niemirowem i Kowalówką samą zawisła groźba wywłaszczenia. Zimą r. 1799 podkomorzy wybiera się znowu do Petersburga, zostawiając przy Helenie rządy zagrożonéj fortuny, bez pełnomocnictwa jednak, które by jéj było potrzebne dla wywiązania się z téj niewdzięcznéj roli, ale udzieleniu którego sprzeciwia się jego zazdrosny charakter. Nader ciekawą i na własny jéj charakter jasne a miłe rzucający światło, jest gospodarcza strona korespondencyi Heleny w tym czasie:

„Nie masz wyobrażenia jak dalece Kowalówka upadła z winy rządcy, który wybierał od chłopów więcéj dni roboczych niż należało... wczoraj wyszedłszy w pole, zobaczyłam jednego z nich stojącego przy swoich wołach, z których jeden upadł, aby się nie podnieść już prawdopodobnie. Powiedziałam mu, aby go wyprzągł i do domu odprowadził, bo inaczéj straci go. Odpowiedział mi bardzo rozsądnie:

„Jeżeli przestanę orać dzisiaj, jutro będę bez chleba, bo zabierają nam cały tydzień na pańszczyznę. Jestem teraz „poczwórny“, w jesieni będę „parowy“, a za rok „pieszy.“

„Odpowiedziałam mu, że nie żądam więcéj jak trzy dni, i, jeżeli wymagać będą więcéj od niego, powinien przyjść na skargę. Odrzekł mi, że kozacy nie dopuszczą go do mnie. Przyzwałam ekonomów i zakazałam pod karą utraty służby brać od chłopów więcéj niż się od nich należy. Dziś rano sprowadziłam starszych ze wsi i powiedziałam im, że jeżeli będą wybierać więcéj jak trzy dni od chłopów, niechaj mi o tém raport zdadzą. Kupię to, co im brakuje z bydła, kazałam im spis sporządzić tego, co kupione być winno i dać mi zaręczenie, że mi zwrócą koszt za rok. Daję im także ziarno na zasiew; jedném słowem wieś będzie niezadługo w dobrym stanie, staram się bowiem usilnie o to, aby chłop nie

robił więcéj nad powinność; nie tylko ludzkość, ale nasz własny interes tego wymaga, niedługo bowiem nie byłoby wcale „ciągłych“ w Kowalówce. Kazałam, ponieważ rzeczą jest nudną i prawie niemożliwą mówić z wszystkimi chłopami, aby wybrano dwóch najrozsądniejszych, którzy w każdą sobotę na sesyi przedstawiać będą zażalenia swych towarzyszów....“

Troskliwość Heleny sięga nawet do szczegółów, których świadomość powinna być oszczędzoną jéj przez lekkomyślnego małżonka:

„Małgorzata napisała do mnie list bardzo rozczulający; umiera ona literalnie z głodu. Poleciłam Sambowskiemu, aby jéj wypłacił pensyą i odpowiedziałam jéj, że jestem pewna, iż nie wiész nic o jéj przygodach, a wiedząc sama jak dalece los jej obchodzi cię i że taką jest twoja wola, kazałam Sambowskiemu, aby jéj dał satysfakcyą; słowem starałam się pocieszyć ją i uspokoić...“

Ta Małgorzata — nie domyślił by się tego zapewne czytelnik— jest dawną kochanką hr. Wincentego!

„Kochałeś ją — dodaje Helena— to wystarcza, aby dola jéj nie była mi obojętną.“

Ale gospodarcze trudy Heleny w Kowalówce, petersburskie zabiegi p. podkomorzego nie okazują się wystarczającemi dla zapobieżenia zgotowanéj katastrofie. „Rzeczą jest niepojętą — pisze Helena do męża — że ty, który zawsze byłeś wierny interesom Rosyi, nie możesz nawet uzyskać posłuchania od cesarza!“ Sam dłuższy pobyt w Kowalówce, nad którą wiszą sekwestracyjne wyroki i areszta, okazuje się niemożliwym. Z końcem 1800 roku Helena opuszcza na zawsze tę siedzibę, gdzie obok niektórych miłych wspomnień zostawia więcéj żałobnych pamiątek, aby złączyć się z mężem najpierw w Petersburgu, a późniéj po kilkomiesięcznéj wędrówce za granicą, w nowéj nieznanéj dotąd galicyjskiéj rezydencyi w Brodach.

II.

POBYT W BRODACH.

(1803 — 1807).

Brody, *1 grudnia 1803.*

„Jestem tu od dni dziesięciu; znalazłem dom nagi i pusty, ani odrobiny drzewa na opał i nic do jedzenia. Od mego przyjazdu stolarze i tapicerzy pracowali dniem i nocą; sprowadziłem nieco sprzętów, przynajmniéj niezbędniejszych, drzewo znalazło się i spi-

żarnia została na teraz zaopatrzona; znajdziesz wreszcie, moja droga Heleno, dobre łóżko, ciepły pokój i *le strict nécessaire*. Przybywaj więc jaknajprędzéj; znajdziesz nadewszystko serce, które pokochało cię na całe życie i umiera z niecierpliwości, aby cię uściskać."

W ten sposób zaprasza pan podkomorzy do nowéj siedziby zostawioną po drodze w Tarnowie i po staremu tęskniącą towarzyszkę. Pokój ów ciepły, dla niéj przygotowany, nie dał się odszukać w zamku samym, zbyt spustoszonym. Skromniejszy dom w opodal leżącym Ostrowcu przeznaczony został na ugoszczenie powracających po długoletniéj nieobecności dziedziców. A pokój ten, zwycięsko wytrzymujący próbę grudniowych mrozów, jest jedynym. Towarzyszy mu służąca za jadalnię, bawialnię i sypialnię nawet dla rzadkich gości duża sala, tak zimna, że raz i drugi Helena zmuszona jest wstać od stołu, unikając przeziębienia, a wieczorny wist czy lombr odbywa się w jéj pokoju przed kulawą kanapą. Zasiadający do tego każdodziennego wista: major Hoffmann, były plenipotent księcia-biskupa, trzymający jeden z folwarków w posesyi i rezydujący w zamku, stara generałowa, jakaś przyjaciółka czy nawet krewna p. podkomorzego, zajmująca także kilka zamkowych pokojów, rządca Histz (?) i proboszcz miejscowy—oto teraźniejsze towarzystwo Heleny, oto jéj dzisiejsze rozrywki!

W mieście samém zabawić ją może chyba widok tłoczącéj się w ciasnych zaułkach i w błocie po kolana zanurzającéj się ludności izraelskiego wyłącznie prawie pochodzenia, któréj wizerunek, ręką księcia de Ligne skreślony, zasługuje na przytoczenie.

„Biedacy, zajmujący pośrednie miejsce między bogaczami a noszącą łachmany gromadą żebraków, zawsze w potach od ustawicznego latania po rynkach i karczmach z ofiarowywanym towarem; prawie wszyscy garbaci, broda ruda lub czarna, a zawsze plugawa, płeć sina, zęby wyszczerbione, nos długi i krzywy, wzrok bojaźliwy i niepewny, głowa chwiejąca się, włosy kędzierzawe okropne, kolana czerwone i odkryte, nogi długie płaskie i na wewnątrz stawiane, oczy zapadłe, broda długa i spiczasta, pończochy czarne, dziurawe i opadające z wysuszonych łydek i grenadyerskie czapki.... Stopień poniżenia, na którym zostawiają ich rządy, nędza, z któréj wydobyć się nie mogą, złe jadło, złe powietrze w synagogach i ulicach, które zamieszkują, utrwalają ten strój i ten wygląd, o których powiedziéć jeszcze można; *Jacob genuit Isaac* podobnego do siebie.... Mają oni pewne rodzaje cnót: zawsze trzeźwi, zawsze posłuszni, punktualni i uprzedzający rozkazy, poddani wierni swojemu monarsze i nigdy w gniew nie wpadający, czasem go-

ścinni, a kiedy bogaci to pomagający chętnie biednym. Złośliwymi są oni jedynie w Polsce, gdzie, mszcząc się za doznawane upokorzenia, nadużywają władzy, która przysługuje im po wsiach".

Zdarza się, że mróz silniejszy lub gwałtowniejsza zamięć śnieżna i wspomnianych nawet wyżéj codziennych towarzyszów nie dopuszcza do osamotnionego Ostrowca. Helena gotowaby i wtedy nie skarżyć się na swój los, skoro mąż przy jéj boku pozostaje, i innéj nie pragnąć zabawy jak ta, któréj dostarczyć może obu głośne czytanie powieści pani de Genlis lub Kotzebuego, gdyby nieodmiennym rezultatem tych wspólnie podejmowanych lektur nie było pogrążenie p. Podkomorzego w głębokie i donośném chrapaniem zapowiadające się uśpienie.

Bywają przecież wieczory, podczas których, mimo braku gości i wista, oczy p. podkomorzego pozostają otwarte. Trafia się to wtedy kiedy Helena, biorąc do rąk ulubioną niegdyś harfę, towarzyszy śpiewowi jednéj jeszcze towarzyszki tych dni samotnych, o któréj nie wspomnieliśmy dotąd. Jest nią panna Karwoska, od lat już kilku w poczet domowników przyjęta, zostawiona na gospodarstwie w Kowalówce po wyjeździe Heleny i jéj męża do Petersburga, i wielkiém zaufaniem obu a osobliwą przyjaźnią Heleny zaszczycona. Kowalówka uległa obecnie ostatecznemu wystawieniu na sprzedaż; nawet portrety familijne poszły pod młotek i panna Karwoska przybyła do Brodów, więcéj pieszczona jeszcze przez swoję panią niż dawniéj, zabierająca miejsce obok niéj w powozie czy saniach, kiedy pogoda pozwala na przejażdżkę, codziennie obdarzana sukniami, fatałaszkami, upominkami wszelkiego rodzaju. Raz gubi Helena koronkową zarzutkę; Karwoska płacze noc całą, lękając się aby jéj nie posądzono; zaczém, przyzwawszy ją do siebie, każe Helena przynieść szampańskiego wina, „aby naprawić jéj humor". Aliści wieczora jednego, zobowiązawszy swą ulubienicę do wyuczenia się nowego jakiegoś duetu, spostrzega Helena udając się na spoczynek, że nuty, które zabrać miała od swego pokoju pięknym głosem obdarzona faworytka, zostały na stole. Chce poprawić zapomnienie, ale pokój faworytki, do którego podchodzi, zamknięty na klucz, i nikt nie odpowiada na jéj wołanie. Gdzie może się zabawiać panna Karwoska o téj późnéj porze? Podejrzenie, odnoszące się do pięciu czy sześciu młodych oficyalistów zajmujących pokoje na górném piętrze, nasuwa się Helenie; odpycha je ona jednak natychmiast, i zwraca się spokojnie ku swojéj sypialni, gdy, przechodząc mimo pokoju męża, przychodzi jéj myśl powiedzenia mu raz jeszcze dobranoc. Ku jéj wielkiemu zdumieniu, i tu pukanie do drzwi żadnéj nie wywołuje odpowiedzi. Dopiero na drugie czy trzecie, z naciskiem

przez nią powtórzone wezwanie, drzwi otwierają się, i p. podkomorzy zapytuje ją opryskliwie: czego żąda. Uderzona tém przyjęciem, Helena wchodzi szybko do pokoju, nie odpowiadając a rozglądając się do koła: w pokoju niema nikogo; ale, wiedziona instynktem rzuca się ona ku przyległéj komnacie. Słychać tam krzyk przeraźliwy, i, nie omylona w bolesném swém przeczuciu małżonka wraca, ciągnąc za sobą na pół nie żywą kobietę—pannę Karwoskę.

— Wszelkie tłómaczenie byłoby zbyteczném oświadcza zimno Helena przystępującemu do niéj p. podkomorzemu, i udaje się do swéj sypialni. W kilka minut późniéj p. podkomorzy podąża za nią.

„Przyszedł spać do mojego pokoju“—pisze nazajutrz Helena, „ale nie położyłam się sama. O piątéj wrócił do siebie“.

Zaledwie zaś wyszedł, zadzwoniwszy na przerażone panny służebne, wydaje Helena rozkaz zaprzężenia i odwiezienia natychmiast Karwoskiéj do siostry, w Klekotowie mieszkającéj. Rozkaz zostaje spełniony, i wtedy dopiero rzuca się biédna kobieta, nierozebrana, na łóżko. Nazajutrz wstaje i przybywa do jadalni w porze obiadowéj, ale zaledwie usiadła do stołu, siły opuszczają ją, i gwałtowna gorączka pozbawia ją przytomności. Kiedy, po ośmiu dniach, wraca do niéj świadomość otaczających ją osób i rzeczy, pamięć bolesnego odkrycia zatarła się już jakoś i pomieszała się z milszém widzeniem drogiéj sercu osoby, nieodstępującéj dniem i nocą od jéj łoża, pielęgnującéj ją i pieszczącéj nieustannie. P. podkomorzy istotnie czułym i troskliwym okazuje się nad wszelki wyraz:

„Téj nocy—pisze Helena—wstał trzy razy, aby podać mi do picia“. A dwoma dniami późniéj: „Kazałam przywołać męża, ażeby widział, żem wstała. Przyrzekliśmy sobie żyć w spokoju oboje; zapewniłam go, że nie będę więcéj wyrzucać mu jego postępku, a on obiecał być wiernym odtąd i pieścił mnie bardzo. Nadzieja szczęścia może jeszcze świecić dla mnie“. I nazajutrz znowu: „Prosiłam męża, aby polecił Kownackiemu napisać do Wiednia o receptę *d'une soupe pour faire des enfants*“.

Niewiadomo w jaki sposób wywiązał się p. Kownacki z polecenia, ale wiadomo, niestety, że niedługim jest świt téj jutrzenki, którą obiecuje sobie Helena. W gruncie rzeczy katastrofa, któréj powodem staje się panna Karwoska, stanowi tylko epizod w nakłonionym do bolesnego rozwiązania, a wieloma innemi żywiołami zasilonym dramacie. P. podkomorzy nudzi się w Brodach, a skwaszonym nadto będąc przez zły i nie polepszający się stan swoich interesów, źle jest usposobiony dla tego idylicznego *tête à tête*, w którém Helena szuka zawsze swojego szczęścia. Ona sama, nie znajdując w tém jedyném i wyczerpującém się źródle dostatecznego pokarmu

dla swojego młodego umysłu i żywéj wyobraźni, jest bezwzględnie rozdraźniona i niespokojna; naprzykrza się mężowi i przykrym go w zamian znajduje. Przychodzi do tego, że rozprawiając o interesach z Histzem i Wolffem, Helena, w gniewném uniesieniu, oskarża dotkliwemi słowy postępowanie ubóstwionego męża, a mianowicie petersburskie jego czynności: „nie dotrzymując danego słowa, zgrywał się w karty i stracił ogromne sumy, latał za wszystkiemi kobietami a zaniedbywał interesa, tak iż ona sama byłaby uzyskała nierównie korzystniejsze warunki". Ukryty za parawanem małżonek słucha téj perory i ztąd scena, z któréj zdając sprawę, Helena pisze: „Powiedział mi rzeczy najbardziéj obelżywe, „między innemi to, że nie chce miéć dzieci odemnie, i chce abym wyjechała, chociażbym była przy nadziei". I do tego przychodzi nakoniec, że Helena żąda sama, aby, zabezpieczywszy jéj los, pozwolił jéj opuścić go na zawsze. I kilkoma dniami późniéj, odprowadziwszy ją do powozu i zimnym pocałunkiem na rękę złożonym pożegnawszy, wyprawia pan podkomorzy do Lwowa porzucającą go dobrowolnie małżonkę.

(*D. n.*) *Kazimierz Waliszewski.*





WYKOPALISKO

Z POD CZERWONEGO DWORU.

Dużo się w ziemi kryje starodawnych zabytków! Każde niemal wykopalisko dostarcza nam nowych materyałów, rozjaśniających naszą przeszłość, lub, co najmniéj, potwierdzających dane raz już zdobyte. Zdawało by się, że wyorywane lub wykopywane monety (blaszki), kawały lanego srebra, lub ozdób, nic nam ciekawego powiedziéć nie są w stanie i przydać się mogą tylko do przetopienia. Tak się najczęściéj dzieje w rzeczywistości i większa część naszych wykopalisk idzie zwyczajnie do tygla złotniczego, z wielkim dla poznania przeszłości naszéj uszczerbkiem; gdyż te blaszki, kawały srebra, lub ozdoby, często rozjaśnić mogłyby nam niejednę zagadkę dziejową, na wiele nowych wniosków naprowadzić; takie wnioski znowu przy studyach nad późniejszemi wykopaliskami, zaś przechodzą już w pewnik, a zatém dają nam nową zdobycz naukową. Czynimy tu tę krótką uwagę dla tego, że niniejszy nasz opis dojdzie do rąk szerszego koła czytelników, którzy, gdy się zdarzy gdzie w ich okolicy jakie wykopalisko, wykupić je może zechcą od znalazcy; najczęściéj bowiem dotąd włościanin zbywa znaleziony skarb żydowi z sąsiedniego miasteczka, gdzie ginie bezpowrotnie dla nauki.

Jesienią 1885 r. w Czerwonym Dworze, oddalonym o 16 kilometrów od Wilna, fornal orząc pole pod zasiewy ozime, wyorał miedziany kociołek z monetami i kawałami srebra. Kociołek, który od uderzenia pługiem rozpadł się w kawały, sądząc z pozostałych czerepów, mógł miéć objętości około garnca. Monety i kawały srebra fornal pozbierał i zachował do czasu, by przy sposobności sprzedać je żydowi, który jedynie umié dochować tajemnicy,

jeżeli tego wymaga jego własny interes. Lecz, widocznie, chłopek zwierzył się komuś ze swą tajemnicą, ten ktoś drugiemu i t. d., słowem wkrótce cała okolica wiedziała o znalezionym skarbie. Przybyła policya — badano, indagowano chłopka, ale ten zaparł się wszystkiego, z obawy, by mu skarbu nie odebrano. Po upływie pewnego czasu p. Sienkiewiczowi, właścicielowi majątku, udało się wykupić, jak fornal zapewnia, cały wyorany przezeń skarb, który odstąpiony p. Moraczewskiemu, numizmatykowi z Wilna, ostatecznie przeszedł do zbiorów p. Weyssenhoffa, a ten go łaskawie udzielił nam dla analiz i studyów.

Rzeczone wykopalisko zawierało :

1) monet mistrzów inflanckich i m. Rewla	sztuk	10
2) groszy praskich : Wacława II, Jana I i Karola (1300—78)	„	14
3) monetek litewskich, których rysunki załączamy . . .	„	8
4) sztabek srebra w postaci czółna i pryzmatu	„	16
	ogółem sztuk	48

Wielka szkoda, że monetki mistrzów inflanckich i m. Rewla nie zostały nabyte wraz z całém wykopaliskiem, a dziś już podobno zaginęły bezpowrotnie; bardzo by one nam ułatwiły oznaczenie czasu zakopania skarbu; zbadawszy jednak całe wykopalisko, zdołamy może rozwiązać tę kwestyą.

Przejrzyjmy monetki litewskie, zaczynając od najwięcéj uszkodzonych; wagę podajemy tylko okazów lepiéj zachowanych.

Rys. 1. Pieniążek mocno pokruszony, ledwo dał się odtworzyć. S. G. monetki przedstawia jeźdźca zwróconego w lewo, w śpiczastym hełmie, w prawéj ręce trzyma po za sobą wzniesiony miecz. S. O. odtworzyć się dobrze nie dała, widać tylko, że przedstawia krzyż patryarchalny na tarczy; proba XIV.

Rys. 2. Monetka znacznie uszkodzona; S. G. przedstawia jeźdźca zwróconego podobnież w lewo, trzymającego, jak się zdaje, wzniesiony po za sobą miecz; S. O. na tarczy krzyż patryarchalny; próba X.

Rys. 3. Brak odkruszonéj połowy prawie monety. S. G. jeździec w prawo, w śpiczastym hełmie na głowie, trzyma w poprzek dzidę z chorągiewką o dwóch końcach, dotykających grzywy konia; po za perłowym obwodem śladu liter nie widać; S. O. na półokrągłéj tarczy krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem są ślady liter; próba IX.

Rys. 4. S. G. Jeździec w prawo, trzyma przed sobą jakby berło, może miecz; S. O. na tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem śladu liter nie widać; próba IX, waga 0,31 grm.; na zużycie metalu dodać wypadnie około 25%.

Rys. 5. S. G. jeździec w prawo trzyma przed sobą chorągiew o dwóch końcach, zwróconych ku jeźdźcowi, za perłowym obwodem śladu liter nie widać; S. O. na tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem są ślady liter; ten pieniążek zdaje się być niedobity. Próba XV; waga 0,38 gm.; na zużycie metalu okołu 15%.

Rys. 6. S. G. jeździec w prawo, w śpiczastym hełmie, trzyma poziomo dzidę, stopa jeźdźca uzbrojona ostrogą, zbliża się do formy miecza, dokoła obwód perłowy; S. O. w śpiczasto zakończonéj tarczy krzyż patryarchalny, nad tarczą jakaś litera, zdaje się łacińskie v; za perłowym obwodem ślady pisma. Próba XIV; waga 0,45 gm. na zużycie metalu przeszło 10%.

Rys. 7. S. G. jeździec w lewo, w śpiczastym hełmie o daszku wystającym nad oczyma, trzyma w prawéj ręce po za sobą wzniesiony miecz, lewą zaś lejce; koniec miecza i szpic hełmu przechodzą po za perłowy obwód, w którym widzimy litery łacińskie, dające wyczytać: ... IIVILN.... S. O. w tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, między górnemi ramionami krzyża, po pięć kulek w krzyż ułożonych; nad tarczą—szczątki jakiejś litery, a z prawéj strony tarczy—jakiś niezrozumiały znak; za perłowym obwodem szczątki pisma łacińskiego, dające wyczytać: ... IVILNA...; próba XIV; waga 0,41 gm.; na zużycie metalu około 10%.

Rys. 8. S. G. w perłowym obwodzie chorągiew (*labarum*) na któréj krzyż maltański, a nad którą krzyż drugi podobny; po bokach chorągwi—po gwiazdce między dwiema kulkami, pod chorągwią zaś pięć kulek w krzyż ułożonych; S. O. przedstawia w perłowym obwodzie litery K.I, w otoku słowiańskiemi literami napis wspaczny: .BOΛOΔI ԀO ; próba XIII, waga 0,50 gm. na zużycie metalu około 15%.

Monetki te nie są okrągłe, bite na cienkiéj blasze, przedstawiają figury i krzyże w głównych tylko zarysach, bez cienia śladu, by stempelki, wbijane w matrycę, były cyzelowane; wogóle robota nadzwyczaj gruba, tylko na monetce N. 7 rysunek nabiera cokolwiek poprawniejszych form, dla tego przypuszczamy, że jest ona najpóźniejszą ze wszystkich opisanych.

Monetki podobne do przedstawionych na Rys. 1—7, były już znane w trzech pojedyńczych okazach: u p. Ryszarda w Krakowie, p. Moraczewskiego w Wilnie i p. Weyssenhoffa, podług którego wykonano Rys. 9. Każda z tych trzech monetek jest innym stęplem bita; widzimy na nich szczątki napisu słowiańskiego „печать“. Próba monetki na Rys. 9 jest XIV, waga 0,56 gm. a na zużycie metalu około 10%; monetka zaś będąca w posiadaniu p. Ryszarda ma

wagę 0,61 gm. a próba przedstawia jakoby srebro czyste, prawdopodobnie będzie XV, i ma być bardzo dobrze zachowaną.

P. Ryszard, w swéj broszurze (1) przyznaje ją Władysławowi Jagielle z powodu zamieszczonego na S. O. krzyża patryarchalnego. Sam krzyż patryarchalny niczego tu nie dowodzi, gdyż wiadomo, że i Witołd w 1418 r., tj. prawie równocześnie z Jagiełłą, otrzymał, krzyż patryarchalny od papieża Marcina V, jako oznakę godności wikaryusza apostolskiego *in temporalibus* na Litwę, Żmudź, Ruś itd. (2); rostrzygnąć kwestyą: komu te monetki mają być przypisane, może krytyczny pogląd na kwestyą, kto na Litwie kuł monetę: Władysław Jagiełło, czy Witołd? Wprawdzie dokumentów menniczych z téj epoki nie mamy, wiemy tylko z nadania żydom w 1388 r. przez Witołda jeszcze jako ks. na Grodnie, Drohiczynie, Łucku itd. że Witold miał swych mincarzy (3); zważywszy jednak: 1. że Litwa za czasów Witołda stanowiła prawie odrębne państwo. 2. że Witold samodzielnie rządził Litwą, nie zasięgając zdania ani rady króla Jagiełły, z którym go ciągle starał się różnić cesarz Zygmunt, 3. że dumny Witold nie chciał w niczém ustąpić od praw przywiązanych do godności wielkiego ks. Litwy, a nawet marzył o oddzielnéj koronie, 4. że w tymże czasie każdy z książąt Litwy kuł swoją monetę, jak mamy przykłady na monetach Korybuta ks. na Nowogródku i Włodzimierza ks. na Kijowie; wreszcie 5. że późniejsi wielcy książęta litewscy bili monetę ze swém imieniem, naprzykład Aleksander Jagiellończyk jako w. ks. Litwy (1492—1501) bije denary i półgroszki (na których widzimy litery A, N, M łacińskie), a jako w. ks. i król (1501—1506) bije takąż monetę, (gdzie też litery są gotyckie) (4), również Zygmunt August bije monetę w 1545—1548 r. ze swém imieniem;—to przyjdziemy do przekonania, że monetki Rys. 1—6. są zabytkiem panowania Witołda z 1418—1430 r., jak to wskazuje krzyż patryarchalny.

Ciekawy okaz przedstawia monetka Rys. 7. Wszystkie monetki tego typu są ze szczątkami pisma słowiańskiego—tu zaś widzimy pismo łacińskie. Nie omylimy się może, przyznawszy tę monetę Zygmuntowi-Korybutowi Kiejstutowiczowi (1432—1440); do tego nas

---

(1) Spis 48 numizmatów ze zbioru A. Ryszarda skradzionych. Kraków 1880 r. str. 14, tabl. 2.—XXXVI.

(2) Dr. Piekosiński Fr. O monecie i stopie menniczéj w Polsce w XIV i XV wieku. Kraków 1878 r. str. 198.

(3) Daniłowicz. Skarbiec dyplomatów odnoszących się do Litwy, Rusi itd... N. 558

(4) O monetach Aleksandra Jagiellończyka, jako w. ks. (1492—1501) i jako w. ks. i króla (1501—1506) wkrótce ogłosimy rzecz drukiem; tymczasem zaznaczamy, że na podstawie analiz przyszliśmy do powyższego przekonania.

upoważnia nietylko poprawniejszy rysunek i pismo łacińskie, lecz i podobieństwo rysunku pogoni, do przedstawionéj na pieczęci, użytéj przez tego w. księcia w 1433 r. (1).

Monetka N. 8 cokolwiek odmiennego jest stempla od opisanéj w katalogu monet rosyjskich Em. hr. Czapskiego pod N. 10 (2), która mylnie została tam zamieszczoną, gdyż w téj epoce Kijów był już pod panowaniem Litwy, jako lenne księstwo; tę monetę zgodnie z hr. Czapskim należy odnieść do panowania Włodzimierza Olgierdowicza, ks. na Kijowie (1377—1395), lecz jako monetę Litwy a nie Rusi. Litery K·I mogą oznaczać Kijów.

Opisując monetki, podaliśmy wagę przy lepiéj zachowanych okazach, próbę zaś srebra — przy opisie każdego. Dziś na ewaluacye zawcześnie, dopiéro gdy będziemy posiadali większą ilość pewnego typu tych monet, a zwłaszcza lepiéj zachowanych, wtedy ewaluacye będą możebne. Podaliśmy nadto przy każdym, lepiéj zachowanym okazie, przypuszczalny procent straty metalu, by tém ułatwić analizy przyszłemu badaczowi nad monetami Litwy średniowiecznéj. Tu tylko zaznaczamy jeszcze, że na Litwie były w pospolitym obiegu następujące monety krajowe: ruble, grosze (z rubla 100 groszy) i szelągi; o egzystencyi groszy i szelągów litewskich przekonywują nas dokumenta: przywiléj Olgierda z 1337 roku, jeszcze jako księcia na Krewie, zatwierdzający prawność kupna majątku przez Hryhorya Funkel (3), oraz nadanie Żydom przez Witołda w 1388 r. (4). Zdaje się, że opisane przez nas monetki, są to szelągi litewskie.

Przejdźmy do sztabików lanych ze srebra. 14-cie okazów składało się z połówek w formie czółna, jeden cały w takiejże postaci i jeden w kształcie pryzmatu. Przyjrzyjmy się rysunkom tych ciekawych sztabików. Rys. 10 *a*, *b*, *c*, przedstawia całkowity sztabik w formie czółna, *a*—widok z boku, *b*—widok grzbietu łódki, a *c*—wyżłobienie; rys. 11 przedstawia takiż sztabik przecięty: *a*, *b*, *c*, toż samo wyobrażają co i na rysunku 10; *d*—przedstawia nos łódki, zaś *e*—miejsce przerąbania; miejsce to, jako gładkie, przedstawiono na rysunku biało, a zacieniowane jest miejsce, gdzie po nadrąbaniu, resztę srebra niedorąbanego przełamano. Rozmiarów geometrycznych nie podajemy; nicby one nas nie nauczyły, gdyż każdy

---

(1) Vossberg. Siegel des Mittelalters v. Polen, Lithauen.... Berl. 1854, s. 41, tab. 22.

(2) Em. hr. Czapski. Udielnyja wielikokniażeskija i carskija dieńgi drewniej Rusi. Petersburg 1875, str. 4.

(3) Daniłowicz. Skarbiec dyplomatów N. 152.

(4) Ibidem N. 358.

sztabik, jako lany w dowolnéj formie w grubym piasku, a późniéj zwierzchu przyciśnięty, prawdopodobnie drewienkiem w stygnącym metalu, dla nadania mu wklęsłości, wedle ścisłych pomiarów, okazuje się różnym od innych: mają one tylko ogólną jednostajną formę czółna, a powinny mieć jednakową wagę i próbę srebra.

Nie ma wątpliwości, że mamy przed sobą ruble. Ruble lała Ruś, Litwa, Inflanty, Mołdawia i t. d. Ruble ruskie znamy i te nic wspólnego z przedstawionemi nie mają. O rublach litewskich, wykopanych w dobrach Kossakowskich, wspomina Czacki i zaznacza, że miały formę owalu, a próbę XV¼, lecz sam ich nie widział, i opisuje je tylko z opowiadania (1); opowiadający może nie umiał należycie opisać ich formy, mogły one być podobnemi do przedstawionych obecnie przez nas. Przejdźmy teraz do analizy: poprzecinane ruble niejednakową mają wagę; trzy połówki dały wagę przybliżoną do wagi półtora całkowitego rubla, próbę zaś srebra trzymają XV½ (2). Rubel całkowity, również XV½ próby, waży 178,60 gm., a uwzględniając 2% na zużycie metalu—182,17 gm., strąciwszy zaś $^1/_{32}$ część na miedź, otrzymamy w takim rublu 176,40 gm. czystego srebra.

Wiemy, że w 1417 r. w dzień św. Katarzyny król Władysław Jagiełło pożyczył od Witolda pięćset rubli czystego srebra topienia litewskiego i obowiązał się w zamian zapłacić 1000 grzywien litewskich groszy praskich rachuby polskiéj (3). Grzywna zaś groszy praskich rachuby polskiéj z 1417 roku zawierała 88,15 gm. czystego srebra, więc rubel, odpowiadający dwom takim grzywnom, powinien zawierać 176,30 gm. czystego srebra (4).

Rubel mający kształt czółna, po dokonanéj analizie, wykazał zawartość 176,40 gm. czystego srebra, różnica zatém od rubla litewskiego, pożyczonego Jagielle w 1417 r., jest arcy mała; przytém, przy wyrachowaniu procentu zużycia metalu, możebną jest mała niedokładność (więcéj na 0,10 gm.), wolno więc nam przyjąć za pewnik, że opisane przez nas ruble są niezaprzeczenie litewskie, lane około 1417 roku.

Rubla w postaci pryzmatu (rys. 12), znalezionego pojedyńczo, nie poddawaliśmy analizie, gdyż wraz z wykopaliskiem nie przeszedł do zbioru p. Weyssenhoffa; podamy natomiast analizę uczy-

---

(1) Czacki. Prawa polskie i litewskie. Warszawa 1800, t. I, str. 171.

(2) Jedna połówka ważyła 86,70 gm.; druga—89,20 gm.; a trzecia — 92,90 gm.; więc przeciętnie połówka waży 89,60 gm., czyli cały rubel 179,20 gm. — różnica od wagi całkowitego rubla wynosi więcéj na 0,60 gm.

(3) Czacki. Prawo polskie i litewskie. T. I, str. 172 i 173.

(4) Piekosiński Dr. F. O monecie i stopie menniczéj w Polsce str. 160.

nioną na podstawie listu p. Moraczewskiego: trzyma próbę XV, waży 85,20 gm. (20 zołotników), uwzględniając 2% na zużycie 86,90 gm., a strąciwszy $\frac{1}{16}$ na miedź, otrzymamy w takim rublu 81,49 gm. czystego srebra. Co do tego rubla trudno coś orzec stanowczego; wprawdzie wiemy, że w 1450 r. z 15 rubli srebra wagi litewskiéj, otrzymano 15 grzywien (1); wagi zaś grzywny czystego srebra z 1450 r. nie znamy, lecz poprawiona grzywna za Kazimierza Jagielończyka w 1456 r. wynosi brutto 151,53 gm., a netto tylko 56,82 gm. (2); więc być może, iż ten rubel jest inflancki? Wątpliwość tę mogą rozjaśnić tylko studya nad nowemi wykopaliskami. Co do wagi tego rubla także pewności matematycznéj nie mamy, gdyż był ważony na zołotniki, a przy podobnéj wadze, przy najskrupulatniejszém ważeniu, różnica może wynieść przeszło gram.

Rzućmy jeszcze raz okiem na całe wykopalisko. Z monet pewnych mamy: grosze czeskie z okresu 1300—1378 roku, monety mistrzów inflanckich i m. Rewla, monety Włodzimierza, ks. na Kijowie 1377—1395 roku i monetki Litwy z krzyżem patryarchalnym, wskazującym, że są wybite po 1418 r. Zapewne dziwném jest, że w tym wykopalisku nie spotykamy tak pospolitych groszy czeskich Wacława III i półgroszków koronnych Władysława Jagiełły; to nasuwa podejrzenie, pomimo zapewnień fornala, że wykopalisko nie całe przeszło w ręce p. Sienkiewicza. Sądząc z monet czeskich i kijowskiéj, zakopanie skarbu powinniśmy odnieść prędko po 1395 r., lecz monetki litewskie z krzyżem patryarchalnym dowodzą, że zakopanie skarbu nastąpiło już dobrze po 1418 roku, gdyż widzimy monetki Litwy bardzo obiegiem zużyte. Za panowania Witołda z 1418—1430 r. nie widzimy przyczyny zmuszającéj kogoś do ukrywania swego skarbu. Dopiéro w 1432 i 1435 widzimy takie przyczyny, w czasie bratobójczéj wojny między Zygmuntem a Swidrygajłłą, albo około 1440 r., gdy Zygmunt pod koniec swego panowania, wskutek podejrzliwości, prześladował Litwinów, odbierał im mienie, więził ich i katował; wtedy to najprawdopodobniéj opisane wykopalisko dostało się do ziemi. Nie omylimy się przeto, gdy czas zakopania tego skarbu wskażemy około 1440 roku.

---

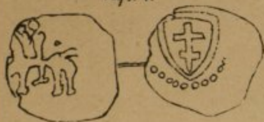
(1) Ibidem str. 160. — (2) Ibidem str. 83 i 84.

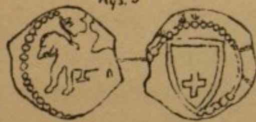
Wiktor Wittyg.

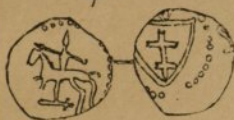

Rys. 1.


Rys. 2


Rys. 3


Rys. 4.


Rys. 5

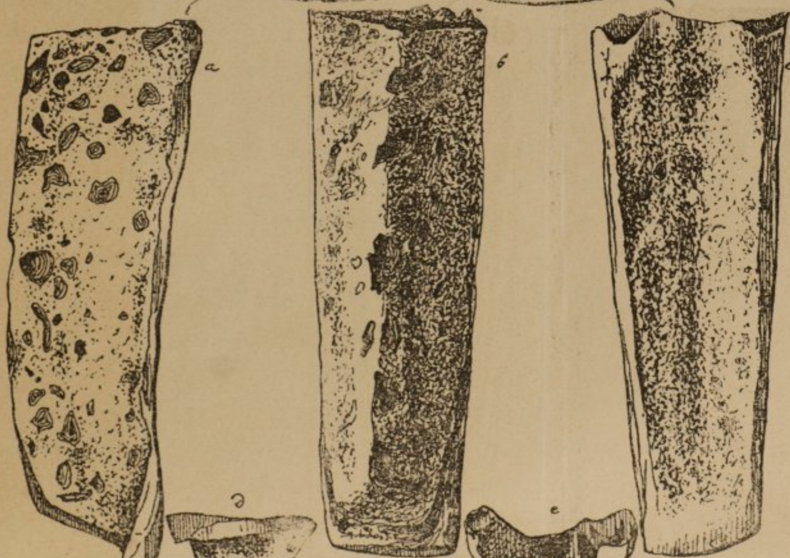

Rys. 6

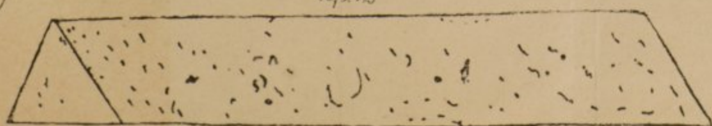

Rys. 7


Rys. 8


Rys. 9


a
б
c


11
a
б
c
д
e


Rys. 12



KAZIMIERZ JAROCHOWSKI.

(1829—1888).

Napisanie życiorysu Kazimierza Jarochowskiego jest dziś bodaj najtrudniejszém u nas zadaniem, jakie się dostać może w udziale polskiemu publicyście. Pisano już dużo i prawdopodobnie napisze się jeszcze więcéj o przedwcześnie zmarłym a tak niepospolitym mężu, ale powątpiewać należy, czy ktokolwiek skreśli rychło, a na szerokiéj podstawie, wyczerpującą, gruntowną i prawdziwie historyczną ocenę stanowiska i działalności jego. Nie dla tego, żeby trudność nieprzebytą stawiało zbadanie życiorysowego materyału, ale raczéj ztąd, że zanadto mało i zanadto powierzchownie znamy rozwój życia i bytu społecznego, politycznego z czasu, w którym głównie żył i działał Jarochowski. On może jeden znał i rozumiał epokę tę krytycznie. Czy sam przed sobą zdał sobie już z niéj sprawę, nie wiadomo, ale przypuszczać należy. Nie znalazł jednak sposobności, żeby to, co widział i rozumiał o wielkopolskich dziejach i stosunkach z ostatnich lat kilkudziesięciu, wypowiedzieć bezstronnie, otwarcie i jasno, jak wypadało na historyka o dobrze zasłużonéj sławie naukowéj. Tylko z pola literatury wielkopolskiéj zostawił nam bardzo cenny szkic okolicznościowy, odnoszący się do epoki współczesnéj. W szkicu tym są szerokie światła, rzucane poglądowo na wszystkie stosunki życia umysłowego, ale i to wszystko odnosi się do pierwszéj połowy bieżącego stulecia, w któréj Jarochowski się uczył i co najwyżéj zapatrywał na wzory mężów starszego pokolenia. Działalność jego własna poczęła się w drugiéj połowie, a świadomość o téj epoce życia duchowego i społecznego dzielnicy wielkopolskiéj wziął z sobą do grobu i pozostawił nam w puściźnie nierozwiązaną zagadkę, nad któréj rozwikłaniem jeszcze długo silić

się będziemy daremnie. Nie można powiedzieć, żeby Jarochowski w życiu wielkopolskiém ostatnich lat czterdziestu mniéj więcéj, kiedy w niém brał czynny udział, zajmował przewodnie, rozstrzygające stanowisko; owszem z natury stosunków, a po części może i charakteru, stanowisko jego zawsze poniekąd było, że tak powiem, kryptogamiczne, i właśnie dla tego tém trudniéj określić granice jego duchowego panowania. Młodością sięgał w epokę rewolucyjnego romantyzmu, zmarł w epoce politycznego wycieńczenia a zarazem ekonomicznych porywów i usiłowań, zwróconych ku odbudowaniu zachwianych podstaw bytu społecznego i narodowego na realizmie, nie mogącym się otrząsnąć z tysiącznych sprzeczności. Czy, o ile i jak w tym dokonywującym się zwolna przewrocie duchowym, stawał, płynął z wodą lub pod wodę, czy i jak ruch ten rozumiał i zrozumiał, któżby się już dziś odważył na wyrzeczenie stanowczego zdania, kiedy arena życia Jarochowskiego jest jeszcze niedogorzałém spaleniskiem, niezagojoną raną, niedośpiewaną pieśnią—żałobną.

Niechże więc czytelnik nie spodziewa się i po nas ani wyczerpania ani ostatecznego zgłębienia przedmiotu. Nie tylko piszący nie są dziś do tego przygotowani, ale daleko mniéj jeszcze czytająca publiczność, która przedewszystkiém się lubuje w konwencyonalnych frazesach. Sypią téż z nich całe mogiły nad każdą zmarłą znakomitością, że aż doprawdy wspomnienia pośmiertne przestały już wielokrotnie być zaszczytem dla zmarłych i żyjących. Nie pragniemy tu bynajmniéj zadowolnić czytelnika spaleniem trywialnéj hekatomby frazesowéj: byłoby to ubliżeniem dla pamięci zmarłego; ale tak samo, ze względu na zbyt żywe i świeże jeszcze stosunki, musimy sobie poniekąd odmówić przyjemności krytycznego rozbioru téj strony i części życia a pracy Jarochowskiego, która poświęcona była praktycznéj stronie życia publicznego: polityce i publicystyce dziennikarskiéj. Wszystko, co w téj materyi powiedzieć możemy, musi być tylko ogólnikowém, szkicowém, pobieżną uwagą a dostarczy tylko najogólniejszych konturów do charakterystyki nieboszczyka.

Kazimierz Jarochowski urodził się 12 września 1829 r. w Sokolnikach Małych w powiecie szamotulskim, z ojca Cypryana i matki Konstancyi z Trąmpczyńskich. Rodzina Jarochowskich należy do bardzo staréj szlachty. W ciągu dziejów niejednokrotnie spotykamy Jarochowskich, jeżeli nie na senatorskich to przecież na nie mniéj zaszczytnych rycerskich posługach Rzpltéj a nad kolebką Kazimierza stało stadło rodziców, odznaczające się najżywszém po-

czuciem obywatelskiém i najgorętszym patryotyzmem. Poczucie to i patryotyzm były zawsze cechą wybitną średniéj szlachty polskiéj. Nie jednokrotnie to zmarły historyk nasz zaznaczał słowem i piórem, dowodząc „że właściwa siła Rzpltéj zawsze w téj tylko szlachcie spoczywała, a zepsucie ogólne, nawet w najopłakańszych rzeczach nie dosięgło i nie skrzywiło zupełnie tego rdzenia narodu.

W epoce, kiedy się Kazimierz rodzi i wychowuje na młodzieńca, obywatelskość, patryotyzm i uczciwość były synonimami rewolucyonizmu, konspiracyi. Nie dziw więc, że w pierwszéj młodości pociągnięty został w zakres robót i cierpień politycznych. Już w r. 1846 jako uczeń gimnazyum, wysłany z misyą do Drezna, zapoznał się podobno z murami Koenigsteinu. W r. 1847 kończy jednak studya gimnazyalne a w r. 1848 znów bierze żywy udział w wypadkach poznańskich. Odtąd jednak życie jego poszło spokojniejszym torem. Skończył na uniwersytecie berlińskim wydział prawny a w r. 1862 otrzymał w Poznaniu rządową posadę jako sędzia powiatowy. Na stanowisku tém, dla Polaka wielce trudném i drażliwém, wytrwał Jarochowski aż do r. 1882, kiedy nastała era ryczałtowego przesiedlania urzędników polskich do okolic niemieckich. Powód zewnętrzny u Jarochowskiego dał ku temu zjazd Długoszowy w Krakowie, w którym Jarochowski brał czynny udział. Wytoczono mu proces dyscyplinarny i przeniesiono mocą wyroku na posadę sędziego do Zieleńcina (Zielenzig), w obwodzie rejencyjnym frankfurckim (n. Odrą). Nie mogąc się pogodzić z myślą wegetowania po za krajem, na piaskach brandeburskich, złożył Jarochowski dobrowolnie urząd i jako emeryt zamieszkał w Poznaniu. Niestety śmierć przedwczesna już po 6 latach wyrwała go ze społeczeństwa, wśród którego dopiero swobodniéj żyć co tylko rozpoczął. Umarł 24 marca 1888 r.

Chcąc poznać człowieka, jakim był dla kraju a po szczególe też jakim pozostanie dla potomności, rozdzielić nam wypadnie szkic ten na dwie części. W pierwszéj pokusimy się o zapoznanie z mężem nauki a szczegółowo nauki historycznéj, w drugim dziale powiemy zdanie nasze o polityku i dziennikarzu; zaznaczamy jednak z góry, że trudno będzie utrzymać się w zakreślonym tu podziale gdyż w Jarochowskim historyk był zawsze częściowo politykiem, a polityk zawsze i dość jednostronnie historykiem.

W obydwóch wszakże kierunkach złożył zmarły dowód niezaprzeczonego talentu. Między historykami zajmuje bardzo wybitne stanowisko, między dziennikarzami polskimi niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc, pod względem inteligencyi i zasobu naukowego.

Dwa były czynniki, które działalność Jarochowskiego skierowały na pole dziejopisarstwa. Młodość jego przypada na czas, kiedy w Poznańskiém jeszcze żyło i tętniało zajęcie sprawami umysłowemi i naukowemi. Byli mecenasi nauk, byli pisarze, wydawcy, pisma naukowe i literackie, a przedewszystkiém była publiczność odpowiednia. Szczególnie zaś zakwitła wtedy działalność historyograficzna, na któréj czele z jednéj strony stał konserwatywno-monarchiczny Łukaszewicz a z drugiéj postępowy wyznawca i obrońca szlacheckiego gminowładztwa, Jędrzej Moraczewski. Strzelisty a badawczy umysł Jarochowskiego, żyjącego w atmosferze takiéj, zajął się łatwo zadaniami, które w oczach jego starsi pracownicy rozwiązywali, a stosunki, tradycye domowe sprawiły od razu, że młodzieniec zapisał się z całém i nigdy niezachwianém przekonaniem do obozu Moraczewskiego. Wynikało z porządku rzeczy, że z pisarzem tym musiał miéć bliskie stosunki, że wiedział jak daleko sięgnie i sięgnąć może kres jego pracy. W głównéj części niedokończona, stanęła ona w r. 1855 na dziewiątym tomie „Dziejów Rzpltéj Polskiéj", posunięta aż do końca panowania Jana Kazimierza. Jeżeli zważymy, że Jarochowski w r. 1856 wydał swoje „Dzieje panowania Augusta II", nie trudno nam zrozumiéć wewnętrzny związek, jaki między obudwoma wydawnictwami istnieje. Praca Jarochowskiego miała być dalszym ciągiem dzieł Moraczewskiego, w jednym duchu podjęta i przeprowadzona konsekwentnie. Obadwaj występują zawsze i wszędzie jako bezwzględni wielbiciele gminowładztwa szlacheckiego i „ustawy" Rzpltéj, ale Jarochowski przewyższa poprzednika swego o całe niebo, gruntownością badań, szerokością horyzontu, umiejętnością grupowania argumentów, a nareszcie świetnością stylu.

Drugim, więcéj zewnętrznéj i przypadkowéj natury czynnikiem, który Jarochowskiego skierował na drogę historyografii, było, że około r. 1850 dostały się do rąk jego bardzo obszerne materyały i dokumenty historyczne, wydawane następnie przez niego od roku 1854—1862 pod tytułem Teki Podoskiego. Zbiór ten obejmuje począwszy od r. 1717—1733 dokumenty historyczne o wszelakiego rodzaju czynnościach publicznych Rzpltéj, jako to dyaryusze sejmów, korespondencye króla z dygnitarzami i dygnitarzy między sobą itd., „co wszystko", powiada wydawca, „dla wygody czytelnika, a daj Boże, przyszłego dziejopisarza Sasów, porządkiem lat ułożyliśmy".

Ze zbioru tego poznał młody badacz po raz pierwszy epokę ową i wyrobił w sobie powołanie na historyka smutnych czasów saskich. Jak i o ile się z zadania swego wywiązał, wiadomo powszechnie.

Niejednokrotnie jednak zadawano sobie pytanie, czemu mąż takiego zakroju, z tak świetnemi danemi, poświęcił czas i siły, godniejsze lepszego zadania, na badanie zgniłéj, sromotnéj epoki Sasów. Że Jarochowski z całą świadomością przystąpił do zadania życia swego, widać ztąd, że i on sam zadawał sobie powyżéj zakreślone pytanie. W przedmowie do I tomu Sasów powiada on: „Niejednemu, kto pracę moję weźmie do ręki, nasunie się samo przez się pytanie, czemu poczynający pisarz nie doświadczał raczéj sił swoich na świetniejszéj epoce przeszłości naszéj, aniżeli na pełnym nieszczęść i zgrozy wieku Sasów" i t. d. Na pytanie to znajdujemy następnie i odpowiedź: „To co mamy i czém jesteśmy za dni naszych, poczyna się z wszelkiemi szczegółami od chwili wstąpienia na tron pierwszego Sasa, którego panowanie jest częścią pierwszą datą, częścią przyczyną obecnego stanu rzeczy. Dzieje nasze, od 17 czerwca 1696 (elekcya), do chwili, w któréj te słowa kreślę, stanowią nierozerwaną całość; biorąc się do historyi pierwszego Sasa, zasiadam tylko do szerzéj pojętych dziejów teraźniejszości naszéj. I dla tego to postawiłem twierdzenie, że właśnie epoka Sasów powinna się była stać dla nas szczególnym przedmiotem pracy i badań, że właśnie dla myślącego głębiéj Polaka dzisiejszego czasu, jest ważném w praktycznych następstwach swych zadaniem, śmiałe dotknięcie się téj epoki, od któréj dotąd, jak niemogąca znieść widoku krwawéj rany niewiasta, uciekaliśmy. Ale może i dla tego ta rana dotąd nie uleczona, że jéj nikt jak należy zbadać nie chciał."

Otóż, że tak powiemy, moralne namaszczenie, z którém Jarochowski przystąpił do swéj pracy, a zaprawdę, jeśli z tego stanowiska rzecz pochwycił, należy mu się nie tylko wysokie uznanie, ale i wdzięczność narodowa za sumienną pracę historyka, w któréj stawał się czasem apologistą rodzinnych stosunków polskich, Rzplitéj polskiéj, a przedewszystkiém szlachty wobec zepsutego moralnie a wynarodowionego w kierunku kosmopolitycznym możnowładztwa. „Cnota, rozum narodowy, uczciwość, zrozumienie obowiązków względem siebie i kraju — mówi Jarochowski—tkwiły tylko i jedynie w téj prawda ciemnéj, ale większa prawda, że uczciwéj i poczuwającéj się do godności polskiéj szlachcie." W słowach tych odzwierciedla się cały zasób dodatniéj zdobyczy, jaką uczony badacz potrafił sobie uskarbić ze studyów nad wstrętną epoką. Jak i o ile Jarochowski na tym pewniku opierał całą swą historyozofią i politykę, zobaczymy późniéj. Tu tylko jeszcze nadmienimy, że nasz apologeta szlacheckiéj Rzplitéj ciężkie przechodził próby swéj

wiary historycznéj. Puszczając w świat pierwszy tom swych Sasów, odzywa się w przedmowie jeszcze z całém przekonaniem o istnieniu jakiéjś godności, jakiéjś myśli narodowéj w społeczeństwie. Kiedy zaś w r. 1874 wydał II tom historyi Augusta II, przemawia już prawie z desperackim pesymizmem. „Największą trudnością — mówi on — dla historyka owéj epoki (inwazyi Karola XII) jest nadaremne szukanie polskiego męża i polskiéj myśli, pierwiastków, z któremi by mu się było wolno sprzymierzyć moralnie, do którychby mógł przywiązać rozum i serce, któreby mu rozświecały ciemny dedal ówczesnego zamętu, któreby mu pozwalały stąpać na pewnym i bezpiecznym gruncie narodowym. Jest-to epoka, w któréjbyśmy szukali równie nadaremno objawu myśli polskiéj." Król Niemiec konspiruje przeciwko całości kraju terytoryalnéj, możni, to sami „pigmeje, którzy nie patrzą po za widnokrąg swego partykularnego interesu, swéj małéj namiętności lub mniejszéj jeszcze ambicyi. Żaden z nich nie ma ani serca, ani głowy dla Polski... o podniesieniu majestatu narodowego z błota i kału nie ma z ich strony ani mowy, ani przeczucia nawet." Już i w gminowładztwo szlacheckie, zdaje się, przestał tu wierzyć historyk nasz z r. 1874. Posłuchajmy co mówi o téj szlachcie, w któréj „tkwiła tylko i jedynie" myśl narodowa i poczucie godności. „W lasach myszenieckich i ostrołęckich, w bagnistéj okolicy Nuru, Ciechanowca, Drohiczyna, gromadzą się dzielni strzelcy i bartnicy, legendowi Kurpie, zbiera się w oddziały szlachta, by walczyć z rozbójniczymi Szwedami. Czyż może do legowisk biednych Kurpiów, czyż może do powstańczych oddziałów nurskiéj i drohickiéj szlachty schroniła się wypędzona zewsząd, zapomniana myśl narodowa? Nie łudźmy się; to tylko krwawa burda o uprowadzone bydło i wyprzątaną ze zboża stodołę. Żałujmy biednych ofiar, wynagradzanych stryczkiem i kulą przez znaną mściwość Szwedów, ale nie szukajmy w nich bohaterów i męczenników, ze świadomością celu podjętéj narodowéj walki." A daléj „myśl polska odzywa się raz poraz (w jednostkach), pozostaje przecież tylko myślą, nie staje się szałem, nie szereguje około siebie ani głów, ani dłoni...."

Nie chcemy twierdzić, żeby usposobienie historyka-myśliciela, przedstawiające się w powyżéj przytoczonych słowach, miało spowodować autora do porzucenia niewdzięcznéj pracy. W dwóch tomach, rozdzielonych czasem 18 lat, doprowadził Jarochowski historyą Sasów tylko do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, o któréj powiada, że była wielkim błędem i źródłem niesłychanych dla kraju klęsk. Od r. 1874 upłynęło znów kilkanaście lat, a nie doczeka-

liśmy się zwięźle opowiedzianego dalszego ciągu historyi Sasów w Polsce. Nie twierdzimy, żeby sam niesmak w pracy zużyty, zniechęcił autora, ale w każdym razie wpływał on zniechęcająco na optymistę z r. 1856. Do jakiegoż rezultatu musiałby był pesymista z r. 1874 dojść w trzecim i następnych tomach historyi Sasów! Jak wiadomo, nie zdołał już Jarochowski zaokrąglić dalszéj swéj pracy, ale przecież jéj nie porzucił i tylko celem gruntowniejszego obrobienia materyału, został monografistą historycznym.

Liczba monografii historycznych, opracowanych przez Jarochowskiego, jest bardzo znaczna. Wydane drukiem w osobnych zbiorach składają cztery tomy z r. 1860, 1863, 1884 i 1886. Podzielić je można na dwa rodzaje. W jednych opracowuje on materyały specyalne do swéj historyi Sasów, w innych, jakoby na odpoczynek znużonéj i znękanéj myśli, przerzuca się bądź w dawniejsze, bądź świeższe czasy. Niepodobna nam w tym dość szczuple obmierzonym szkicu wymieniać i zdać sprawy ze wszystkich prac monograficznych. Potrącimy tylko o te, które ze względu na materyą i że tak powiemy autorską ekonomią piszącego, do krótkiéj wzmianki nas zniewalają.

Zdaje się, że przed r. 1860 Jarochowski nosił się z zamiarem zagłębienia się w dzieje Słowiańszczyzny zachodniéj. Świadczy o tém monografia jego o kronice Helmolda. W dalszym ciągu prac swych nigdy jednakże już do tego przedmiotu nie powrócił. Ważne także miejsce w monograficznéj pracy Jarochowskiego zajmuje jego z powodu jubileuszu wiedeńskiego napisana rzecz p. t. „Wyprawa i odsiecz wiedeńska“ oraz „Wyprawa wiedeńska ze stanowiska interesu politycznego Polski.“ Obiedwie rozprawy te uważać można jako wiążące ogniwo między końcem prac Moraczewskiego a główném dziełem historyka epoki saskiéj. Jeszcze ważniejsze miejsce między monografiami Jarochowskiego zajmuje „Sprawa Toruńska z r. 1724.“ Genialne wyświecenie sprawy téj już samo przez się nadaje autorowi prawo do dobrze zasłużonéj nazwy obrońcy narodowego stanowiska. Wiadomo, o ile polityka, dyplomacya i zelotyzm religijny sprawę tę wyzyskały na zohydzenie Polski przed trybunałem opinii europejskiéj. Tymczasem autor nasz dowodzi jasno, że sprawa ta była bardzo prostym i zwykłym w owe czasy objawem starcia się dwóch fanatyzmów, z którego przy naturze polskiego charakteru i stanie polskiego prawodawstwa oraz sądownictwa nie byłaby się wyłoniła krwawa „tragedya toruńska“, gdyby August II, w tragiczném załatwieniu téj sprawy, nie był miał własnego, mefistofelowego interesu, po za którym się krył zamach szkaradny na całość Rzplitéj i rządy konstytucyjne.

Nasz historyk epoki Saskiéj nie tylko że zbadał gruntownie tę tak drażliwą sprawę, nie tylko że wyjaśnił jéj tajniki a odparł oszczerstwa miotane na Polskę, — ale co ważniejsza, sprawił kłamliwéj historyografii i publicystyce niemieckiéj odwet należyty drogą zaczepną. W r. 1877 ogłosił on właśnie w „Ateneum“ jedną z najlepszych prac swych p. t. „Sprawa Kalksteina“ (1670—72). Jak wiadomo, Kalkstein był głównym wyrazem opozycyi księstwa pruskiego przeciwko elektorowi brandeburskiemu, który w traktacie welawsko-bydgoskim uwolnił się z pod lennictwa Polski. Następstwa tego traktatu wywołały tragiczną walkę między wzdychającymi za spólnością z Polską stanami Prus książęcych a elektorem, dążącym do zaprowadzenia rządów absolutnych w zręcznie nabytéj dziedzinie. Ofiarą jego bezwzględności padł pod toporem Kalkstein, najzagorzalszy stronnik Polski, a okoliczności towarzyszące katastrofie kalkstejnowskiéj, mianowicie porwanie Kalksteina z Warszawy rzucają ponure cienie nie tylko na epokę samę, ale i na charakter Wielkiego Elektora. Wszystko to w nagiéj prawdzie odkrył i z archiwów berlińskich wydobywszy, ogłosił Jarochowski zdumionemu światu, prostując mianowicie błędne i tendencyjne przedstawienie rzeczy prof. Droysena. Ta doskonale pod względem naukowym, świetnie co do stylu napisana rozprawa podniosła do zenitu sławę i znaczenie autora i ukazała się w kilku wydaniach. Nie wiemy, czy takowe dziś są wyczerpane, a jeżeli tak jest, wartoby zrobić nowe, ile możności popularne wydanie. Nieboszczyk sam, jak słusznie, dumnym był z téj właśnie pracy swojéj i niejednokrotnie wyrażał pragnienie, żeby na podstawie jego historycznego przedstawienia rzeczy, dramaturg polski stworzył dzieło sceniczne. Zaiste tkwi w sprawie téj materyał do szekspirowskich tragedyi! Za życia nie doczekał się Jarochowski téj pociechy; może choć wzmianka niniejsza, na tak wdzięczny temat zwróci uwagę naszych poważnych dramaturgów.

Wspominaliśmy już, że prace monograficzne Jarochowskiego wyszły różnemi laty w czterech zbiorowych tomach. Wydawnictwa te nie obejmują jednak wszystkich pism jego, pomieszczanych w najpoważniejszych czasopismach: w „Ateneum“, „Przeglądzie Polskim“, „Przewodniku Naukowym“, „Niwie“ i t. d. Prac tych niepodobna nam ani wyliczać, ani oceniać. Wszystkie one odznaczają się źródłowém, sumiennénı opracowaniem, a przytém zawsze przewodnią myślą czy to interesu politycznego polskiego, czy idealnego posłannictwa Polski.

Obszerniejszą jednak wzmiankę poświęcić nam wypada innéj jeszcze pracy Jarochowskiego. Wyszła ona osobno w Poznaniu

r. 1880, a zalicza się także do najzasłużeńszych publikacyi zmarłego historyka. Jest-to jego „Literatura Poznańska w pierwszéj połowie bieżącego stulecia.“ Wydanie dzieła tego spowodowane zostało prelekcyami profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, w Poznaniu wygłoszonemi, o udziale Wielkopolski w naszéj literaturze narodowéj. Pobudka zatém do napisania książki była polemiczna, ale wynik polemiki objawił się w sposób najdodatniejszy. Materyał obfity, zgromadzony w téj okolicznościowéj pracy, upoważnia nas do twierdzenia, że autor zbiérał go oddawna, a wystąpienie profesorów krakowskich, dodało mu tylko zewnętrznego bodźca do zaokrąglenia i wydania téj z niesłychaną pilnością skreślonéj a wyczerpującéj książki. Kto o umysłowém życiu, o literaturze Wielkopolski z danéj epoki chce być poinformowany, znajdzie w dziele Jarochowskiego potrzebne wskazówki, tém pożądańsze, że dotąd praca Jarochowskiego jest jedyną w swym rodzaju i nie łatwo znajdzie konkurenta. Ileż to rzeczy trzeba przejrzéć, ileż przeczytać, żeby sobie pozwolić na sąd w sprawach, opracowanych przez Jarochowskiego. Praca jego zaś o tyle jeszcze większe ma znaczenie, że nie ogranicza się na bibliografii i krytyce literackiéj, lecz rzuca szerokie promienie światła na stosunki kraju umysłowe wogóle, na jego inteligencyą, życie ogólne i prądy polityczne a społeczne w danéj epoce. Dzieło to stanowi też łącznik między działalnością Jarochowskiego historyka a Jarochowskiego publicysty i polityka; dla tego uwagi nasze o niém położyliśmy na koniec charakterystyki naukowéj, kiedy nam, w granicach zgóry nakreślonych, przejść wypada do omówienia jego działalności publicystycznéj. Pod tym względem dzieło o literaturze jest poniekąd kluczem do zrozumienia stanowiska, zajmowanego przez Jarochowskiego i zawiera niejednokrotnie jego *credo* polityczne, jego najgorętsze pragnienia. Czasy tą pracą objęte, mianowicie w drugiéj ich połowie, uważa on, rzec można, za złotą epokę umysłowości wielkopolskiéj, zwłaszcza wobec „jutra“, t. j. epoki, na którą przypadła właściwa działalność naszego autora. Epoka wczorajsza, że ją tak nazwiemy, tchnie jeszcze echami życia Rzplitéj, gminowładztwa szlacheckiego, patryotyzmu zawartego w konspiracyi i rewolucyonizmie, we wzgardzie i lekceważeniu warunków i podstaw bytu, wobec błyskotek politycznego romantyzmu. Zasady takie wyznaje nasz autor i przeszedł z niemi z pola dramatycznego wczoraj na pole tragicznego jutra i dziś, którego, narówni z wielu innymi epigonami epoki romantycznéj, niezrozumiał i jako *par excellence* szlachcic gminowładczy zrozumiéć nie mógł. Widzi on jednak, że i jak w dopełnionéem wczoraj stara owa Polska

moralnie wali się i kruszy, jak nowe żywioły występują na widownię, dobijając się znaczenia, a stara Polska usiłuje je pochłonąć, żeby nie istniały jako przeciwieństwa, do samodzielnego rozwoju uprawnione. Bo téż charakterystycznem znamieniem epoki i jéj kolorytu jest, że antagonizmy między ludźmi i prądami, usiłuje przedstawiać w niewinnéj, najniewinniejszéj postawie nawet tam, gdzie one w gruncie rzeczy wystąpiły z całą tragiką sprzeczności, z najgorszą, najszkodliwszą, bo utajoną zasadniczą akcyą przeciwieństw. Ma Jarochowski tę niewątpliwą zasługę, że pierwszy przyznał i zaznaczył na swój sposób patryarchalny antagonizm dwóch mężów z owéj epoki, a co dziwniejsza, dwóch ludzi nowych, a jednak sobie przeciwnych, t. j. Libelta i Marcinkowskiego. W antagonizmie tym streszcza się dla nas dziś sens moralny owego czasu, a zupełnie przyznać nie możemy, żeby antagonizm ten, jak wszystkie inne antagonizmy epoki, miał charakter czysto teoretyczny, nie prowadzący do gwałtownych katastrof. A wszakże to kierunek Libelta doprowadził bardzo praktycznie i namacalnie do śmieszno-tragicznéj katastrofy ogólnéj r. 1846, Raczyński „soliter“ skończył życie pełne pracy i poświęcenia straszliwém samobójstwem, a Marcinkowski, urzędowo możnaby powiedziéć „z powodów nadwątlonego zdrowia“, w rzeczywistości także z rozpaczy nad niedojrzałością społeczeństwa, poszedł na dobrowolną odstawkę, by czémprędzéj odumrzéć tych, co go nietylko nie rozumieli, ale zarazem od niego żądali ofiar z najpoważniejszych przekonań. Po tych tragicznych antagonizmach przechodzi nasz autor, jakoby lekkim powiewem zefiru podziwienia nad zgodą i zgodnością zadziwiającą, jaka panowała w téj złotéj epoce pracy dla ojczyzny między spółzawodnikami, prześcigającemi się jakoby w sposobach służenia dobru ogólnemu. Czy sposoby te wyszły na zatratę i zgubę społeczeństwa, czy téż choć w części dodały mu sił nowych, jest to kwestya inna.

Zawsze, bądź-co-bądź „Literatura Poznańska“, mimo jéj okolicznościowego pochodzenia a polemicznéj istoty, pozostanie dla autora pomnikowém dziełem, którego obfita część literacka przetrwa o wiele głoszone w niéj polityczne zapatrywania i zasady.

Po wszystkiém, cośmy dotąd powiedzieli, znacznie się nam już ułatwiło zadanie ocenienia Jarochowskiego jako polityka i publicysty.

Mamy dość liczny zastęp zręcznych dziennikarzy, ale publicystów w tém słowa znaczenia jak Jarochowski, chyba nie wielu doli-

czylibyśmy się, mówiąc eufemicznie. Rozległością wiedzy przewyższał go Kraszewski ze współczesnych, głębokością i gruntownością nauki nikt. A przy tak znakomitym funduszu naukowym posiadał najcenniejszy przymiot dziennikarza, gotowość w każdéj chwili do zajęcia stanowiska, wydania sądu, zaczepienia przeciwnika lub dania odporu. Obojętną mu było rzeczą, czy pisać artykuły wstępne w rodzaju leaderów, czy filipiki polemiczne, czy feljetony naukowe, czy nareszcie korespondencye sprawozdawcze. Wszystko pisał stylem świetnym, ulanym, po którym nie trudno było rozróżnić autora. Stanowisko urzędowe nie pozwalało mu oczywiście występować z otwartą przyłbicą; więc wszystko, co pisał w pubicystyce dziennikarskiéj, pisał bezimiennie i w tém już polega niepokonana trudność dokładnego zbadania i stwierdzenia jego stanowiska i jego zapatrywań. Możemy zatém tylko powiedziéć ogólnie, że Jarochowski był wprawdzie duszą „Dziennika Poznańskiego"; ale o ile ona w danym wypadku, w danéj sprawie, objawiała się na zewnątrz w piśmie całkowicie lub tylko cząstkowo, tego stwierdzić dziś nikt nie jest wstanie, jeżeli nieboszczyk nie pozostawił po sobie osobnego zbioru dziennikarskiego z tego, co dla „Dziennika" lub innych pism pisywał. Można więc tylko powiedziéć, że on z pismami temi dzieli ogólnie wszelką zasługę zdobyczy, jaką z nich społeczeństwo miało, a zarazem dzielić się musi z niemi wszelką odpowiedzialnością za klęski, jakich społeczeństwo z powodu tych pism doznało. Pod tym względem zaś jeszcze sobie nie zdano u nas krytycznie sądu; w jakim stosunku mają się zdobycze i klęski. Niepodobna zatém także orzec nic stanowczego o udziale w nich Jarochowskiego. Tyle pewna, że w całym ruchu ekonomicznym, jaki się w obecném jutrze rozwinął, zwłaszcza téż z początku, zupełnie Jarochowski nie brał udziału, a nawet rzec można, ruch ten jako nie szlachecki i nie szlachetny, z patryotyzmem epoki „wczoraj" nie licujący, lekceważył jeżeli nie potępiał. A jeżeli pod koniec obecnéj epoki siła logiki faktów ruchowi temu i wobec niego nadała obywatelstwo, osobiście stał zawsze z daleka od niego. Jako dziennikarz nie zdobył się dlań na głębsze zrozumienie ani na życzliwość, objawiającą się czémś więcéj jak konwencyonalnemi komplementami. Szlachcic gminowładczy, wychowaniec epoki, dla któréj patryotyzm był równoznaczącym z konspiracyą, szablą, mową i radą sejmikową, z akcyą polityczną bez względu na siły, a w dodatku historyk rządów, wojen, intryg i traktatów politycznych, nie miał i nie mógł on miéć wyrozumienia dla doniosłości tego, co w dawnéj Rzpltéj znaczenia nie miało. Niejednokrotnie w literaturze swéj utrzymywał, że dzisiejsze życie nasze nie jest niczém innémi, tylko dal-

szym ciągiem ustroju gminowładczo-szlacheckiego. Za to też tém chętniejszym i skorszym był zawsze do popierania każdego kierunku i objawu życia publicznego, który miał lub zdawał się mieć pozór akcyi politycznéj, choćby się też kończył zwykle tylko na jakim nieprzydatnym świstku papieru dodatnio, a ujemnie nastrajał przeciwko nam coraz srożéj wszelkie potęgi piekła i ziemskich nienawiści. Szkoła dziennikarska, do któréj Jarochowski należał i w któréj czasowo przewodniczył, była przedewszystkiém historyczną. Ztąd i polityka przez szkołę tę robiona nosiła przeważnie i jednostronnie cechę historyczną. Logika téj szkoły jest bardzo prosta. Jest historycznym faktem, że nam się krzywda stała i dzieje, więc trzeba się wszelkiemi sposobami bronić a skoro obronić się nie można, trzeba obronę udawać, żeby przez to podnosić ducha. A ponieważ ze „wszelkich“ środków obrony najłatwiejsze są, jak ongi za Rzpltéj, aktykowane tak licznie protesty, memoryały, adresy i nowszego autoramentu wnioski, interpelacye, mocye na zebraniach, nareszcie uchwały nie znające skutku i komisye, grzebiące zwykle sprawę, cała nieledwie akcya publiczna u nas toczyła się pod patronatem dziennikarstwa w tém zaczarowaném kole prawie zupełnie bezskutecznéj roboty, Z zaczarowanego koła tego nie wyszedł Jarochowski, nie wyszła wogóle polityka nasza, bo jeszcze ciągle ubezwładniona jest uprzedzeniami epoki, rozpanoszonemi od r. 1845—63. Nie ma dziś, broń Boże, u nas rewolucyonistów, ale idee wszczepione w społeczeństwo za panowania kierunku rewolucyjnego, jeszcze nie ustąpiły nowym, mozolnie od czasu Marcinkowskiego krystalizującym się wśród społeczeństwa, którego aparat duchowy zupełnie dla nich jest obojętnym. Dziś idee te zrobiły już wielkie postępy, ale ideałem patryoty jest dotąd na zewnątrz ostentacyjnie działający, protestujący, szamocący się, czujący gorąco nie zaś rozumny, na zimno obliczający, naginający się bez ujmy dla jedności narodowéj, systematycznie od dołu nad odtworzeniem podstaw bytu pracujący Polak. Ideały Jarochowskiego, choć niejednokrotnie sam walczył z krzykactwem niepohamowaném, były niewątpliwie po tamtéj stronie i to z tradycyi, wychowania, przykładów za młodu uświęconych. Walczył on z krzykactwem niepomiarkowaném, ale sam jako dziennikarz gotów był każdéj chwili na słowa i artykuły wydać oraz wojnę nie tylko Hohenzollernom, Habsburgom ale i najchętniéj „Holsztyno-Gottorpom“. Uważał siebie, uważał swoje słabe i znikczemniałe społeczeństwo za stronę wojującą, równouprawnioną—a niestety z naszéj strony uprawnioną tylko do papierowych represalii. Wszystko to bardzo słuszne ze stanowiska historycznego. Nasze prawa historyczne są przewybor-

nie zapewnione, ale niestety polityka nie jest wykładem historyi powszechnéj, jeno konglomeratem najrozmaitszych czynników, z pomiędzy których oczywiście historya nie jest wykluczona. Nawet bywa, że historya zajmuje w polityce dominujące stanowisko, ale tylko wtedy i póty na tém stanowisku utrzymać się może, póki rozporządza siłą własną czy sprzymierzeńców interesowanych. Skoro zaś siły nie ma na zawołanie, powinna się cofać do arsenału a w swoje miejsce stawiać czynniki chwilowo odpowiedniejsze. Takie pojęcie polityki nieprzystępném było i jest dla naszéj szkoły polityków historycznych, którzy logikę swą wyprowadzają z „wczoraj“ a najczęściéj po przez wszystkie przypadłości stanowczego „dziś“ przeskakują z nią w błędne „jutro“. Czerpiąc siły jednostronnie z tradycyi, krzepią je nadziejami nieustannéj spekulacyi na „jutro“, zamykając oczy na fatalne warunki przemożnego „dziś“. Takim politykiem tradycyi i spekulacyi optymistycznéj (1) był nasz historyk Jarochowski.

Tak jest, historykiem był znakomitym, dziennikarzem, publicystą nieledwie jeszcze znakomitszym, znakomitym nawet był krytykiem politycznym w swych dziełach, ale praktycznym politykiem nie był, poprostu dla tego, że był jednostronnie politykiem historycznym. Głos jego bezwątpienia wpływał przeważnie przez wiele lat na naszą akcyą parlamentarną, która poszczycić się nie może na zewnątrz najmniejszym skutkiem dodatnim, tak dalece, że już dziś za wielki tryumf uważać nawykliśmy „pewne wrażenie“, zrobione na Niemcach przez mówców naszych. Skierowanie czynności naszéj parlamentarnéj do świadomo bezowocnych celów sprawiło téż, że przez tyle lat, jak ogólnie utrzymują, między posłami dotychczas nie wykształcił się prawie ani jeden mąż, któryby był materyałem na statystę, gdyby go w razie szczęśliwego zwrotu okoliczności, zkądkolwiek od nas zażądano.

---

(1) Optymizm Jarochowskiego był jednak tylko, że tak powiemy, polsko-urzędowym, jak u większéj części poczciwych naszych optymistów, którym się zdaje, że świat by się zapadł, gdyby sobie pozwolili powiedzićć szczerą prawdę i do niéj zastosować swą działalność. Co Jarochowski rozumiał w głębi duszy o optymistach, wypowiedział okolicznościowo w swéj charakterystyce Patkula. Powiada on: Patkul jest na wpół żołnierz, na wpół dyplomata, podobnie jak wiele bardzo osobistości, znajdujących się na świeczniku owéj epoki, widocznie (był) bardzo miernym żołnierzem a zarazem może uzdolnionym, ale téż bardzo mało poważnym, powierzchownym człowiekiem, optymistą, naturą, dla któréj Francuz jakby wynalazł umyślnie trudny do przepolszczenia a przecież tak dobrze zrozumiały przymiotnik swego języka „*frivole*“. (*Przyp. aut.*)

Zatém, praca Jarochowskiego dziennikarska była niewątpliwie świetną co do stylu, imponująca co do inteligencyi, ale dodatnio politycznego znaczenia dla kraju nie miała, ani w kierunku parlamentarnym, ani w czasie nieszczęsnéj tragedyi 1863 r. ani podczas „kulturkampfu“, a gdy wystąpił potop antypolskiego kierunku, toć już wogóle polityczne artykuły dziennikarskie przestały być bronią przekonywującą.

Ale i na zewnątrz praca dziennikarska Jarochowskiego nie wyrobiła Wielkopolsce tak pożądanych stycznych z innemi dzielnicami. Jarochowski przez wiele lat korespondował do najznaczniejszych pism zakordonowych, a jednakże właśnie za temi kordonami skarżą się nie od dziś, że stosunki i sprawy zaboru pruskiego braciom naszym są zupełnie obce, że o nich poprostu wyobrażenia nie mają, mimo że tak znakomite pióro przez tyle lat utrzymywało za pomocą licznych korespondencyi stosunki informacyjne. Pióro było świetne, temu nikt nie zaprzeczy, ale pisarz systematycznie uważał za stosowne donosić z Księstwa braciom tylko albo o ucisku niemieckim, albo o wiekopomnych czynach swego obozu, obliczonych na efekt zagraniczny. O stosunkach wewnętrznych, domowych, walkach i prądach nurtujących społeczeństwo, o upadku moralnym z jednéj, a dźwigających się siłach moralnych z drugiéj, o siłach, jakie w. ks. Poznańskie i zabór pruski jeszcze dla kraju reprezentują, nic a nic nasi bracia za kordonem nie wiedzą.

W powyższéj uwadze pierwszy raz wspomnieliśmy o Jarochowskim jako o człowieku obozu tj. aktualnego stronnictwa. Był nim rzeczywiście, był czy reprezentantem czy uczestnikiem tz. obozu narodowo-liberalnego, który swego czasu istniał w w. ks. Poznańskiém w przeciwieństwie do tz. ultramontańskiego czyli narodowo-kościelno-konserwatywnego. A że był najdzielniejszym w piórze ze swego obozu i skazanym na prowadzenie wszelkich polemik, uskarbił sobie u przeciwnego obozu znaczną porcyą niechęci i nienawiści, co mu przez wiele lat przeszkadzało w przyjęciu jego kandydatury na posła. Dopiero na dwa lata przed śmiercią, gdy po załatwieniu niefortunnym u nas sprawy kulturkampfu, ostrza stronnictw się stępiły, doszedł nareszcie Jarochowski do poselstwa. Kiedy kandydaturę jego roztrząsano, niejednokrotnie zwykł był mawiać: „pójdę jeżeli mnie chcą, ale pójdę takim, jakim byłem i jestem; takim też chce pozostać“. I poszedł, ale tylko na swoję zgubę, z największą stratą dla społeczeństwa. Nadwątlone zdrowie jego nie wytrzymało frykcyi, z jakiemi się spotkał jako poseł polski, jako człowiek obozu i jako człowiek myślący—we wszystkich okolicznościach życia parlamentarnego. W nieulezconym stanie wrócił w po-

czątku r. b. z Berlina i umarł, a strata jaką społeczeństwo przez śmierć jego poniosła w żadnym nie pozostaje stosunku do zaszczytu jakiego doszedł i do działalności poselskiéj, jaką mógł rozwinąć. Tyle nagromadzonego materyału, tyle pracy rozpoczętéj, tyle myśli przetrawionych i gotowych wejść w jakiś system szerszych poglądów, wszystko to zostało stracone. Taka bywa koléj rzeczy, taka ironia losów.

Nie możemy skończyć szkicu tego, żeby nie dodać jeszcze dwóch pociągnień pióra. Powiedzieliśmy już poprzednio, że Jarochowski nie brał prawie wcale udziału w ruchu wewnętrznym społecznym. Tak było. Nie rozumiał go, nie miał do niego serca, ale był tyle uczciwym, że się do niego nie mieszał ani przywodzić w nim chciał. Wyjątek stanowiło dla Jarochowskiego pole literacko-naukowe w ruchu tym. Nie tylko że należał od dawna do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale brał najczynniejszy udział w jego posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego. Ilekroć mu wypadło przybyć na posiedzenie, przynosił zawsze piękny, gruntowny, wykład lub odczyt, a wiele z wydanych późniéj monografii, pierwszy raz poznawano na posiedzeniach tego wydziału. Po śmierci Bentkowskiego Władysława, objął kierownictwo wydziału a prawie równocześnie powołany został do zarządu Towarzystwa na miejse wiceprezesa. Jak poselstwo, tak i ten zaszczyt późno bardzo spadł na najzasłużeńszego, właśnie z powodu jego politycznego stanowiska w obozie tz. narodowo liberalnym, zkąd przeciwnicy niechętnie w życiu tutejszém przypuszczali ludzi do stanowisk i zaszczytów jakokolwiek wpływowych. Otóż wszystkie trudności te pokonał Jarochowski ostatecznie potęgą swego umysłu i godną zawsze postawą. Był on niezawodnie człowiekiem stronnictwa, obozu, nawet powiedziéć można w pewnéj mierze koteryi, ale przyzwoitość nigdy go nie opuszczała, był on z tych ludzi partyjnych, z któremi zrywać stosunków nie ma nigdy konieczności. Jako człowiek myślący i posiadający szeroki horyzont umysłowy, umiał zawsze w stosunkach wewnętrznych ocenić stanowisko czyjeśkolwiek, liczyć się z okolicznościami danemi, z prawem i interesem bliźniego.

To też, o ile niesłychana pracowitość nie zamykała go w pustelniczéj pracowni, był w kole bliższych znajomych nieocenionym towarzyszem. Rozmowa z nim była zawsze zaciekawiającą, bo i wiedział wiele i umiał opowiedziéć, okrasić wszystko błyszczącym dowcipem, niekiedy mocno sarkastycznym. I w świecie uczonym miał nie tylko między swymi, ale i między obcemi narodowościami mnóstwo stosunków i znajomości, zawartych bądź przy wy-

cieczkach na studya do archiwów Berlina, Drezna, Kopenhagi, bądź u źródeł leczniczych, bądź na kongresach i zjazdach naukowych.

Na pamiętnym zjeździe długoszowym w Krakowie godnie reprezentował Wielkopolskę, a że był członkiem Akademii Umiejętności, wiadomo powszechnie.

Imię i pamięć jego nie zaginie w społeczeństwie polskiém, bo należał do wybranych ziemi swéj, którzy dobrze zasłużyli na wdzięczność następnych pokoleń.

S.





STOSUNKI PRAWNE W ZIEMI HALICKIÉJ

W WIEKU XV.

Dr. Xawery Liske. Akta grodzkie i ziemskie tom XII. Najdawniejsze zapiski sądów halickich 1435—1475. We Lwowie 1887, 4°, stron XIV, 551.

Oto w krótkim czasie okazał się już drugi tom zapowiedzianego przez wydawcę cyklu średniowiecznych zapisków sądowych ziem ruskich, rozmiarami równy pierwszemu. Jak niezmiernie ważnym jest tego rodzaju materyał dla poznania ustroju administracyjno-sądowego, prawa zwyczajowego, znamion etnograficznych, ekonomicznych, kulturowych téj lub owéj ziemi, dla poznania wogóle tych wszystkich stosunków, które obejmujemy wspólném mianem wewnętrznego życia narodu — o tém wspominać nie potrzeba. O ileż bardziéj cieszyć się wypada z ogłoszenia źródeł świeżych, nieznanych i obfitych, przynoszących tyle nowego dla poznania téj części dawnéj Rzplitéj, która tak mało pod tym względem jest dotychczas znaną.

Sprobujemy tu w krótkim zarysie podać co ciekawsze szczegóły.

Organizacya sądowo-administracyjna ziemi halickiéj, przed zaprowadzeniem w niéj prawa polskiego była, jak to wydawca w przedmowie wykazuje, zupełnie taką samą, jak w sanockiéj, istniał tu tylko jeden sąd, ziemski ze starostą na czele; dopiéro w r. 1435 następuje rozdział na gród i ziemstwo. Na czele sądu ziemskiego zasiada, jak w innych ziemiach polskich, osobny sędzia i podsędek; starosta odtąd tylko w grodzie urzęduje, a na rokach ziemskich ukazuje się tylko jako zwykły ziemianin-asesor i to głównie wówczas, gdy ma jaką sprawę dla załatwienia w sądzie. Na całą ziemię jest tylko jeden sąd ziemski w Haliczu, ale ziemia

halicka dzieliła się na 4 powiaty: halicki, światyński, kołomyjski, trębowelski, a każdy z nich posiadał osobny sąd grodzki; sąd ziemski natomiast miał tylko dwie filie, w Kołomyi i Trębowli, gdzie zasiadali komornicy i dokąd zjeżdżał czasami sąd ziemski w komplecie. Komorników takich miał zarówno sędzia, jak i podsędek ziemscy po trzech: w Haliczu, Kołomyi i Trębowli, a zasiadają oni na rokach już od r. 1435.

W ogólności załatwia tu sąd ziemski te same sprawy, jak wszędzie indziéj, jeżeli jednak znajdujemy tu czasami nieustaloną jeszcze kompetencyą i chwiejność w osądzeniu tego lub owego wypadku, jeżeli sąd czasem sam nie umié uznać, czy sprawa jakaś leży w sferze jego działania, jeżeli wreszcie znajdujemy tu wypadki podlegające gdzieindziéj innym sądom, to chwiejność ta i brak ścisłego określenia kompetencyi, których liczne przykłady widzimy i w aktach sanockich, ma swą przyczynę w tém, że sąd ziemski jest tu jeszcze w stadyum tworzenia się, że zresztą kodeksu, przewidującego wszystkie wypadki nie było. Tak np. znajdujemy tu przed sądem ziemskim sprawę o gwałt publiczny, napad na gościńcu, należący do czteru artykułów starościńskich (2042) *), znajdujemy sprawę rozwodową, należącą do sądów duchownych (610), albo kwestyą, czy arcybiskup lwowski ma odpowiadać przed sądem ziemskim czy duchownym — sędzia odsyła do komisarzy królewskich. Przeciwnie przyznaje swojéj kompetencyi sprawę o staw i orzeka, że wszystkie takie sprawy, o które pozwy leżą w grodzie, należą do ziemstwa, a nie do grodu (589).

Kiedy ten sąd odbywał posiedzenia, ile razy do roku i w jakich porach, trudno o tém coś pewniejszego powiedziéć i w jakąś regułę ująć, gdyż akta nie są kompletne, a z drugiéj strony mamy w XV w. co do tego rozmaite postanowienia, tak, że stałéj normy nie ma. Tylko co do pory dnia postanawia w r. 1464 wiec halicki, ażeby roczki ziemskie odbywały się do zachodu słońca (3140).

Między urzędnikami ziemskimi występuje także za czasów Warneńczyka *tutor* (opiekadlnik) (porów. S. Kwiatkowski: Urzędnicy....), którego znaczenie trudno odgadnąć, miał on jednak jakiś wpływ na tok spraw, gdyż ziemianie odkładają np. sprawę „*ad tutorem*“; a miała takiego „tutora“ każda ziemia. Do składu sądu należy tu jeszcze prócz pisarza i podpisarek *(subscriba)*.

Jak wszędzie indziéj, wydaje sąd ziemski pozwy pod imieniem króla, ciekawe jednak, że w r. 1445, 5 kwietnia wychodzi pozew pod imieniem Władysława III, który jeszcze 10 listopada 1444 zgi-

*) Liczby w klamrze oznaczają zapiski.

nął pod Warną; dowód więcéj, iż rzeczywiście w śmierć jego nie wierzono (2025), tak, że jeszcze nawet 1 maja 1447 mówiono o koronacyi Kazimierza, jako o rzeczy niepewnéj (1814). Pozew musiał miéć pewną przepisaną formę, musiał być w pewnym czasie doręczony, choć bliższych wskazówek ani do jednego, ani do drugiego nie mamy; uważano jednak pozew za „zły“, gdy nie miał wyrażonego nazwiska powoda, tylko urząd jego (1635); pozew był „nieporządny“, jeżeli doręczono go dopiéro na cztery dni przed terminem (4080). Zwykle wydawano trzy pozwy, z trzykrotnym terminem stawania, tu spotykamy się jednak i z sześciu i siedmiu ważnymi terminami (1998); za nieprawne pozwanie następowała kara 3 grzywien, za niewłaściwą skargę kara „potaczno“ 1 wiardunek stronie, a 1 sądowi. Kary sądowe, czysto dyscyplinarne, są tu dosyć częste; szlachta butna, krzykliwa, bez należytéj ogłady, pozwalała sobie rozmaitych „wiolacyi“ sądu, nieuszanowania wobec trybunału sprawiedliwości; niejednokrotnie zdarzało się, że w gorącéj wodzie kąpany szlachcic wyprawiał w sądzie krzyki i burdy wszczynał, że złajał woźnego, że w zapale repliki nazwał przeciwną stronę kłamcą; ba, zdarzało się nawet, że gruboskórny hreczkosiéj wobec sądu położył się na stół lub skrzynkę, albo nawet dla większego zapewne efektu wylazł w izbie sądowéj na stół (784, 1244, 1471, 1615). Ale w ślad za tém następowała kara; sąd chcąc utrzymać powagę swoję i zmusić do poszanowania i bojaźni nieociosanych junaków naznaczał natychmiast doraźną karę, zwykle w wysokości 3 grzywien. Również karał zawsze nieusprawiedliwione niestawiennictwo na termin karą 1 wiardunka. Tylko król mógł zwalniać na pewien czas od stawania w sądzie, jak np. w roku 1437 uwolnił król Annę Kleczkowską po śmierci męża na jeden rok od terminów sądowych (160). Od pojedynczych terminów można się było zresztą uwolnić prócz choroby obłożnéj, służby królewskiéj i wypadków elementarnych (jak powódź), sprawą „*pro maiori*“; jeżeli kto miał w innym sądzie ważniejszą sprawę, odkładał termin, na dowód jednak, że tak było, musiał z tamtego sądu przynieść piśmienne zaświadczenie (1945—1999).

Ważną rolę w ziemstwie odgrywa woźny; do niego należy obliczanie zagród chłopskich po wsiach i sprawozdanie sądowi ilu chłopów siedzi na całéj, ilu na pół-zagrodzie (1733), do niego skonstatowanie, w celach reklinacyi chłopskiéj, czy w pewnéj wsi znajduje się odpowiednia ilość chłopów, dozwalająca jednemu lub dwom opuścić wieś, jego rzeczą jest „nawiedziéć“ zboże, które bydło pozwanego spasło, wogóle wszelkie czynności, odbywające się po za izbą sądową. Do takich należało przedewszystkiém rozno-

szenie pozwów, odbywania wizyi i t. p. Uchwałą z r. 1464 określił wiec halicki wynagrodzenie woźnemu za jego czynności; według niéj otrzymywał woźny od doręczenia pozwu 1 grosz od mili drogi, bez względu na to, że do jednéj miejscowości zanosił kilka czasem pozwów; taką samę nagrodę otrzymywał za wizye (3139).

Po nad sądem ziemskim w wyższéj instancyi stoi wiec ziemi w Haliczu, po nad oboma nieznany bliżéj zjazd *(convencio)* całéj Rusi Czerwonéj w Mościskach, który to zjazd wysyła deputatów dla rozsądzenia niektórych spraw (608, XXXI). Na wiec odwoływano się, o ile wnosić można, w sprawach o głowę (1517) i o dobra dziedziczne. Mamy np. zapiski, gdzie pozwany o dobra odwołuje się na wiec, gdyż „to nie jest prawo ziemskie“ (1507), albo że tu chodzi „*pro hereditate*“ (1985); zdaje się jednak, że wartość przedmiotu spornego rozstrzygała, czy sprawa należy do wiecu, czy nie. Np. w zap. 3478 strona pozwana odwołuje się na wiec, motywując, że tu chodzi o 300 grzywien i tyleż szkody, powodowa strona zaprzeczyła, powiadając, że taksowała tylko na 29 grzywien i nie chciała odwołania dopuścić.

Z poszczególnych spraw, załatwianych przed sądem ziemskim halickim, należy wymienić przedewszystkiém liczne kontrakty, zawierane zwykle na czas od Bożego Narodzenia do Bożego Nar. (836); załatwiają jednak także sprawy pieniężne na dorocznych jarmarkach w Haliczu (2286); pożyczki zaciągało się za wystawieniem rewersów (1991), a można je było spłacać ratami tygodniowemi (1490). Sprawy o zaprzeczenie szlachectwa są tu nieliczne, wszystkiego tylko pięć zapisków odnosi się do nich, z których jednak dwa (2775—6), bardzo obszerne, zawierają ciekawe wywody szlachectwa ze świadkami herbowymi ze strony ojca, matki i babki.

Liczne stosunkowo są sprawy o kradzież i to nietylko chłopów lub mieszczan, lecz i szlachty. Obwiniony o kradzież lub o chowanie złodziei, oczyszczał się przysięgą, składaną czasami samosiódm (702), a jeżeli dowiodło się oskarżycielowi fałszywego doniesienia, spotykała go kara 3 grzywien. Aleksander, mieszczanin halicki, oskarżony, że skarb z Olkusza zabrał dla siebie, chcąc się oczyścić, powołał oskarżycieli przed sąd, a ci wyznali, że oczernili go tylko ze złości i z namowy innych ludzi; sąd uznał naturalnie Aleksandra niewinnym (3328). Albo spotykamy się z ciekawym dokumentem oczyszczającym, jaki kasztelan chełmski wystawia słudze swemu szlachcicowi, „którego dobrą sławę jakiś wróg, dyabeł rodzaju ludzkiego oczernił, zwąc go złym człowiekiem i złodziejem“, czemu wszystkiemu kasztelan zaprzecza (2941). Zdarzało się jednak, że oskarżenie o złodziejstwo rzucał nie jeden czło-

wiek, ale opinia publiczna wskazywała na pewne indywiduum i obwiniała je o zajmowanie się tém haniebném rzemiosłem, nazywało to się „być w rugu“, „być w rudzye przissassugey *sive* zemskyey.“ Taki obwiniony przez obmowę ziemian *(per* rugowanye *alias oblocucionem)* składał przysięgę oczyszczającą przed wojewodą, albo deputatami sejmikowymi i to zwykle samosiódm (588, 4208). Każdy lojalny obywatel był obowiązany dostawić złodzieja na żądanie do sądu, a nie czyniący tego podpadał karze 3 a nawet 14 grzywien (4300, 4428).

Najciekawsze są dwa statuty ziemskie o złodziejach; pierwszy wydany w języku ruskim w r. 1435 jest téj treści: „My Michał Buczacki pan i starosta hal. i Kola sędzia hal., dziedzic z Dalejowa, wyznajemy to z ziemianami, że my to tak ułożyli: kiedykolwiek się zdarzy, że pójdzie kto za swoim złodziejem w gorącym pościgu i gdy przyjdzie mu wnijść do którego sioła i jakiego człowieka obwinić, jako złodzieja swego, to już wtedy ma się odbyć sąd w jego sprawie w tym dniu po jego przyjeździe do sioła bez zwłoki.

A jeśliby pan tego sioła rzekł, że tego człowieka nie ma i zapewni to (słowem) swojéj czci, że tego człowieka w siole nie ma, wtedy iściec ma czekać tego człowieka przez drugie trzy dni, a gdyby jego jeszcze nie było wtedy, kiedy człowiek ten obwiniony do domu przyjdzie, po jego przyjeździe na trzeci dzień ma się odbyć sąd; a jeśliby ataman albo radca rzekł, że jego w siole nie ma, to on ma za prawdę przyjąć, iż tego człowieka w siole nie ma, ale tak, iż prawa swego nie traci; a gdyby zaś zbiegł ów człowiek i nie byłoby go nigdzie, tedy temu iścowi pan tego sioła ma zapłacić mieniem owego zbiega; a gdyby którykolwiek ziemianin przeciwił się temu i gdyby nie chciał pomóc sądowi, tedy ma on pokupić 3 grzywny, a pokupiwszy je, ma przyjść w pomoc sądowi“ (4204).

Drugi statut z r. 1444 w języku łacińskim odwołuje się na poprzedni i to samo postanawia (1395).

Sprawy o główszczyznę znajdują się w aktach także dosyć licznie. Cena głowy jest rozmaitą; pogłówne za chłopa wynosi raz 12, raz 17 grzyw., za szlachcica 63 grzyw. A w zapisce 1873 przedstawia nam się w całéj surowości prawo odwetu, kiedy Fedko i Daniło z Grabowca z jednéj, a Krystyna z Grabowca, wdowa, z drugiéj strony zawierają zgodę na wieczne czasy w sprawie o zamordowanie Ardeowa brata Fedka i Iwanka syna Krystyny, przezco prawu stało się zadość „*caput pro capite.*“ Prawda, że z takim przykładem „krew za krew“, stawiającym przed oczy pierwotne stosunki, gdy człowiek, jak zwierz, staczał walkę o byt, spotykamy się raz tylko

jeden; w niektórych razach dochodził szlachcic swéj krzywdy mniéj krwawo. Jakiś nie bardzo pochopny do korda szlachcic pozywa drugiego przed sąd o dwa policzki (1322), a inny skarży znów o policzek zadany mu „*quinque digitis et palma*“ (3062); przypomina to nam zupełnie dzisiejsze sceny przed sędzią pokoju.

Najciekawszą stroną obecnego tomu, przynoszącą nowy, niezmiernie ważny materyał, są zapiski odnoszące się do stosunków chłopskich. W porównania z tomem XI, gdzie pomiędzy aktami sanockimi zapiski téj kwestyi bardzo były nieliczne, mamy tu tak obfity zbiór zapisków dotyczących sprawy włościańskiéj, że ilość ich wynosi mniéj więcéj czwartą część całości. Co więcéj mamy tu roczki, na których specyalnie rozsądzano sprawy o chłopów „*termini pro hominibus*“, a jeżeli prawda, co podaje w pracy swojéj Jurysdykcya patrymonyalna ks. Lubomirski, który wiele archiwów znał, a między innemi i obecne akta przed ich uporządkowaniem, że tylko halickie i łęczyckie akta mają osobne roczki o kmieci, to tém bardziej wzrośnie ważność téj publikacyi, otwierającej obfite źrodło dla badań stosunków chłopskich i to szczególnie na Rusi, gdzie one mniéj znane niż gdziekolwiek indziej.

Są tu chłopi wolni i niewolni, do pierwszych należą szczególnie zagrodnicy, t. j. siedzący na całéj i pół zagrodzie (*homines de area et de media area)*, do niewolnych „kalenni“ i „ordyńcy“, ci ostatni prawdopodobnie w niewolę wzięci Tatarzy (?). Prócz tych mamy tu zajmujących się uprawą roli „ratajów“ (*homo circa aratrum existens alias* ratay), daléj „podsadków“ (*inquilinum alias* podsathka. 4046), którzy różnili się znowu od tamtych, bo np. w zap. 3982 czytamy: „*ego sum homo arealis et non* podsadek“. Główną różnicą między wolnymi a niewolnymi chłopami było to, że pierwsi mogli w oznaczonym czasie i w ściśle ograniczonéj liczbie opuszczać osady i przenosić się do innych wsi, kiedy drudzy całkowicie byli przykuci do gleby i do woli swego pana. Chłop wolny mógł opuścić wieś za zezwoleniem pana i za opłatą pewnych oznaczonych należytości i przenieść się do wsi innego pana; przenosiny takie zwały się „*reclinatio*“ „*recessus cum iure reclinationis*“. Już statut Wiślicki mówi, że jeden lub dwóch chłopów może wieś opuścić, nie określa jednak bliżej warunków przesiedlenia. Z zapisków obecnych możemy sobie wyrobić o reklinacyi dość jasny obraz. Chłop, pragnący się przesiedlić, znosił się z przyszłym swoim panem tej wsi, do któréj chciał się udać i prosił teraźniejszego swego pana o prawo reklinacyi. Jeżeli na chłopie nie ciążyła żadna wina, jeżeli zresztą innym warunkom stało się zadość, pan dawał pozwolenie. Przesiedlania te odbywały się „*tempore transitus hominum*“, t. j. w czasie

dwóch tygodni, od Bożego Narodzenia licząc, a odbywały się uroczyście w dzień, nie w nocy, tak, ażeby to mogło być dla każdego widocznem, że chłop opuścił wieś jawnie, za zezwoleniem właściciela, a nie pokryjomu nockiem; przy tém byli także zawsze obecni „*duo homines extranei alias* opczy", zapewne wysłannicy téj wsi do której miał się chłop udać i przychodzący po odbiór jego. Brak tych zwyczajem wymaganych warunków, t. j. jeżeli reklinacya nie odbyła się „*tempore et hora*" i „*coram extraneis hominibus*", mógł być powodem niedopuszczenia jéj. Opłatę, do jakiéj chłop przesiedlający się był obowiązany, określa statut ziemski z r. 1435: „*Cum aliquis incolarum de domo in villa a festo Nativitatis Christi a domino suo recesserit, extunc domino villae sesagenam, viccum tritici alias* dzber, *duos truncos avenae, quatuor tortas Rutenicales, quatuor genera gallorum alias* cur, *currum feni, currum lignorum dare debet*". (4203) (por. zap. 485). Nadto było także warunkiem reklinacyi, ażeby chłop, przenoszący się do innéj wsi, osiedlał się na tém samém prawie, na jakiém był dotąd osiadły, a więc z prawa ruskiego wolno mu się było przenosić tylko na prawo ruskie, z wołoskiego na wołoskie, co po największéj części w zapiskach jest wyrażone. N. p. w zap. 454 szlachcic K. reklinuje szlachcicowi S. chłopów; chłopi ci przenoszą się z prawa ruskiego na prawo ruskie; otóż K. oświadcza, że gdyby chłopów tych w przeciągu roku znalazł na prawie niemieckiém osiadłych, mają mu być zwróceni wraz z karą 3 grzyw. Ilu chłopów z jednéj wsi mogło się przesiedlać na raz, na to trudno odpowiedziéć stanowczo; spotykamy się z zapiskiem, według którego woźny ma zliczyć chłopów we wsi, jeśli jest ich więcej niż 10, natenczas jeden może wieś opuścić (1729); w innym razie ma ich być przynajmniéj 20 (i to nie licząc popa, dziesiętników i innych 3 ludzi), aby jeden mógł się przesiedlić (1640); w inném miejscu znowu orzeka sąd, że jeżeli we wsi jest więcéj niż 20 ludzi na prawie wołoskiém (oprócz popa, karczmarzy, podsadków i dwóch chłopów na prawie ruskiém) natenczas dwóch może wieś opuścić (2377). Spotykamy się jednak z zapiskami, gdzie się reklinuje trzech, cztérech a nawet i siedmiu ludzi z jednej wsi (1635. 1641). Jakiéjż tu normy przestrzegano?

Gdy pan udzielił już raz pozwolenia chłopu, nie miał już prawa cofać tego pozwolenia i nie dopuszczać reklinacyi, prawnie i według wszelkich wymogów udzielonéj, i nie mógł zatrzymywać takiego chłopa w ostatniéj chwili, zwłaszcza, jéżeli nie miał mu nic do zarzucenia. W przeciwnym razie bowiem panu, do którego chłop reklinowany miał się udać, służyło prawo upomnienia się o niego, jak o swoję własność, mógł pozwać pierwotnego pana przed sąd, że

chłopa „*decenter*“ reklinowanego nie chce wypuścić. Nie śmiał również właściciel po udzieleniu prawa reklinacyi i otrzymaniu należytéj opłaty od chłopa, zabierać mu żadnéj rzeczy, gdyż o grabież taką musiał również odpowiadać przed sądem na skargę wniesioną przez nowego właściciela, występującego jako patron w obronie chłopa—swéj własności. Statuty ziemskie, które są najważniejszą częścią tych zapisków, uchwalone na wiecach w r. 1444 i 1445 naznaczają w jednéj i drugiéj sprawie odpowiednie kary. Piérwszy postanawia, że pan, zatrzymujący u siebie chłopa reklinowanego do innego pana i nie chcący go puścić, płaci karę 3 grzyw. stronie, a 3 grodowi; kara zupełnie taka sama, jaką nakładano za nieprawne zatrzymanie u siebie zbiegłego kmiecia (1395). Drugi orzeka. że żadnego chłopa po reklinacyi grabić nie wolno, choćby się miało doń słuszne pretensye, lecz należy czekać aż do rozprawy sądowéj z nowym właścicielem (1525). Ta reklinacya wywoływała więc, jak widzimy, rozmaite stosunki prawne, które rozstrzygano na osobnych roczkach „*pro hominibus reclinatis*“ albo „*fugitivis*“, odprawianych w piérwszych dniach stycznia każdego roku. Częstokroć chodziło o to, czy chłop, dopraszający się reklinacyi, ma do niéj prawo, czy należy do téj kategoryi wolnych chłopów, którym prawo to przysługiwało, czy do kalennych lub ordyńców. W takim razie rozstrzygała tu przysięga. Szlachcic, nie chcący chłopa puścić, dowodzi innymi chłopami kalennymi, że i ów chłop jest kalenny (2386); w innym wypadku szlachcic, do którego chłop się reklinował a nie został puszczony, z powodu zarzutu, że jest niewolnym, składa przysięgę, że to chłop wolny „i ze any Iwanow dzad, anny oczecz niebil kalenni, anny hordinecz. Gy sprawidliwe wissedl“ (1096). Jeżeli sąd znalazł, że chłop jest wolny, siedzący na zagrodzie i że nie ma przeciw niemu żadnego zarzutu, natenczas nakazywał puszczenie go ze wsi i wysyłał woźnego „na vimioth“ t. j. dla przeprowadzenia wyroku i przesiedlenia chłopa reklinowanego do innéj wsi. Oprócz tego spotykała pana naturalnie wyżej oznaczona kara (3453).

Organizacya ta stosunków chłopskich przyszła tu z zachodu, z W. Polski, na któréj wzór została na Rusi przeszczepioną. Dowodem na to, że statut z r. 1435, ustanowiający opłatę reklinowanych chłopów, mówi, że on obowiązuje już w ziemiach krak., sandom. i W. P o l s k i; statut Piotrkowski zaś z r. 1493 określając warunki recessyi dla ziemi krakowskiéj, powiada, że niema on dotyczyć ziem W. Polski i Rusi, „*ubi antiqua consuetudo servatur*“ (Bandtkie, *Ius Polonicum*, 327). Zdaje się jednak nadto, że stosunki włościańskie na Rusi, zostały urobione specyalnie na modłę stosunków ziemi łęczyckiéj. Naprowadza na to owo twierdzenie ks. Lubomirskiego, że

tylko w Haliczu i Łęczycy zachowały się osobne roczki o zbiegłych chłopów, a powtóre, że w konstytucyach ziemi łęczyckiéj z r. 1418 i 1419, zachowanych u Bandtkiego (str. 197. 200) znajdziemy postanowienia: *quod kmethones a dominis ipsorum surgere non possunt, nisi a festo nativitatis domini, recipientes licenciam a suo domino ante duas septimanas*... zupełnie tak samo jak było w ziemi halickiéj. Klasyfikacya jednak chłopów, ich podział, ich nazwy—to stosunki rodzime, czysto ruskie.

Chłop, jak wszędzie indziéj, był tu rzeczą, nie człowiekiem. Szczególnie upośledzonym był stan chłopa niewolnego, który rodził się, żył, pracował i umiérał nie dla siebie lecz dla pana swego, niby bydlę domowe, które przedstawia wartość pieniężną. Dziedzic pozywa drugiego, że mu sługę paszącego stadninę, schwycił, sprowadził do swego domu i powiesił, „*nullum jus ad ipsum habens*“, czém mu wyrządził szkodę na 29 grzywien (3878).

Chłopem niewolnym można było zostać nietylko przez urodzenie, ale także przez zaprzedanie; ojciec miał prawo sprzedać swoje dziecię w niewolę, (por. Rakowiecki. Prawda Ruska I. 93) jak to bywało w dawném prawie ruskiém. Chłop pozwał Jana Kolę o porwanie córki; na to Kola wstał i odrzekł: ja mu córki nie porwałem, lecz on będąc moim człowiekiem, sprowadził na mój dom złodziejów, którzy mię okradli, złożyłem więc na niego sąd i skazałem go na 60 grzyw., on zaś przyszedłszy do sądu z córką swoją, ofiarował mi ją na wieczne czasy w zamian za te 60 grzyw. i okroił nos téj dziewce (—na znak jéj niewolnictwa—) i ona przez to stała się moją niewolnicą (*serva*. 2004). Na równi z chłopstwem stało niższe duchowieństwo ruskie; diak i pop niczém prawie nie różnili się od wolnego chłopa. Pan pozywa o diaka, który uszedł „*abs reclinacione*“ (723); dziedzic każe popa utopić bez złożenia nań sądu, wprawdzie za to pociągnięty został do odpowiedzialności sądowéj (118); popa, według wszelkich formalności *in tempore et hora* reklinowanego, nie chce pan puścić ze wsi (3755). Tak samo jak chłop, należał więc pop do prawa patrymonialnego dziedzica; — jakaż to pod względem stanowiska prawnego przepaść między nim, a duchownym łacińskim.

Jurysdykcyą patrymonialną wykonywał dziedzic albo osobiście albo ustanawiał nań sąd z kilku chłopów złożony (515). Chłop, skarżący szlachcica, rzadko kiedy staje sam przeciwko niemu, zwykle zastępuje go pan jego, opiekun w obec prawa. Procesy chłopów załatwiają się tu przed sądem ziemskim, zdaje się jednak, że właściwém ich *forum* był sąd komorników, którego akta po raz pierwszy ogłasza wydawca. Sąd komornicki jest podwładny ziemskiemu (3969), a jak-

kolwiek załatwiają się na nim takie same sprawy jak przed ziemskim, zdaje się, że właściwy wydział komorników stanowiły sprawy chłopskie, które najobficiéj znajdują się w ich aktach. Wszelkie bowiem zapisy, uczynione z jakichkolwiek powodów przed aktami komornickiemi, winny były być, tak samo jak z grodzkich, przenoszone do ksiąg ziemskich.

Na sądach komisarskich, których księga, tak samo jak komornickich, zachowała się począwszy od 1460 r., zasiadają prócz zwykłéj szlachty, urzędników ziemskich i grodzkich, sędzia lub sędziowie przez króla wyznaczeni, ale tylko „*specialiter ad has causas*“, wyroki odkładają od nich czasem na sejmik lwowski pod orzeczenie arcybiskupa i wojewody (4172).

Ciekawém jest również, co nam przynosi zbiór ten do poznania topo- i etnograficznych stosunków ziemi halickiéj. Liczne wsi są tu osadzone przeważnie na prawie ruskiém lub wołoskiém, rzadko na niemieckiém; ludność pierwotna ruska i wołoska i napływowa ze Szląska, z Mazowsza, z Węgier, a nawet i Tatarzyn gdzie niegdzie się znajdzie. Żydów dość wielu, a w rękach ich znajdują się czasami cła i myta. Cała ziemia silnie nawodniona; prócz górskich rzek i potoków, jest tu mnóstwo stawów, po kilka czasem w jednéj wsi; nad któremi warczą wszędzie koła młyńskie. O stawy te mnóstwo spraw się toczy w sądzie. Nad rzekami i stawami wznoszą się obronne zamki (oprócz grodów) w Michalczu, w Manasterzyskach, Jazłowcu, Tłustem, w Magnum Byele nad Seretem i in. Z możnych rodów szlacheckich górują tu po nad innemi Buczaccy-Jazłowieccy, którzy posiadają olbrzymie dobra na Rusi i na Podolu, Jazłowiec, Czerwonogród, Manasterzyska z przyległemi wsiami i cały komplet dóbr z jednéj i drugiéj strony rzeki Strypy (3428). Idą tu daléj panowie Kola z Dalejowa, panowie z Chodcza, a wreszcie powstający, lecz mało jeszcze znany i niezamożny dom Sieniawskich. Wielka posiadłość, do któréj należy kilkanaście wsi, napotyka się tu dość często; jest jednak i bardzo drobna posiadłość, jak np. wieś Jamki ma być podzielona między 12 spadkobierców, wieś, która liczy wszystkiego razem 27 zagród i to tak ma być podzielona, że połowę wsi z 13 zagrodami dostaje jeden spadkobierca, a 11 innych drugą połowę z 14 zagrodami (3509).

Oprócz przybyłéj z Polski szlachty, są tu jeszcze potomkowie dawnych rodów ruskich, możni niegdyś, potężni kniaziowie, którzy dziś pod obcym rządem usunęli się zupełnie z życia publicznego i w dumném, ponurém zasklepieniu rezydują w swych starych zamczyskach. Sąd tytułuje ich zawsze „*illustris dux*“ albo „*princeps*“, które tytuły oddawano tylko członkom rodu królewskiego, ale nie

zawsze chcą oni uchylić hardego karku pod jarzmo obecnych rządów. Kniaź Mithko de Kurosz oskarżony o napad i poranienie mieszczanina Rohatyńskiego wysłuchuje w sądzie skargę i nie zaszczyca go ani słówkiem odpowiedzi, lecz odchodzi hardo, ani ust nie otworzywszy na swą obronę (529).

Do stosunków miejskich odnosi się statut z r. 1435, który postanawia, żeby żadnych towarów, bydła, ani wiktuałów nie sprzedawano i nie kupowano nigdzie, tylko na jarmarkach po miastach, ktoby przeciw temu wykroczył, podpada karze 3 grzywien, a gdyby gdzie we wsi znaleziono takie targi prywatne, mają być wszystkie towary skonfiskowane (4203). Statut ten przyczyniał się, jak widać, znacznie do wzrostu miast.

Mamy tu także niejednę wskazówkę do cen majątków, bydła i towarów. Wieś jest w cenie 100 do 500 grzywien, oczywista, że różnica ta zależała zarówno od jakości gleby, jak i rozmiarów użytecznych gruntów i należących do wsi przysiołków; że różnice pod tym względem bywały wielkie, widać z tego, iż spotykamy się z zamianą jednéj wsi na trzy (2461); zastaw na wsi wynosi zwykle 20—50 grzywien. Cena bydła jest również rozmaitą: wół jest wartości 1 — 1½ kopy, koń 1, 6, a nawet 29 grzywien, krowa 1 kopy 120 owiec=15 grzyw. Z towarów łokciowych napotykamy płótna i barchany gorlickie; sztuka płótna gorlickiego kosztuje 4 grzywny, sztuka sukna żółtego 10 grzyw.. Łańcuch srebrny i pozłacany na wartość 20 grzyw. i t. p.

Trudno wyczerpnąć w krótkiém sprawozdaniu bogaty, a tak różnorodny materyał znajdujący się w tym tomie, to pewna, że przyczyni się on wielce do rozświecenia mnóstwa kwestyi, szczególnie zaś włościańskiéj i z niecierpliwością musimy oczekiwać dalszego ciągu publikacyi, która w dwóch tomach tak świetną przyniosła nam zdobycz.

W pierwszym z nich a XI-tym ogólnego zbioru, dobrze znanego w świecie naukowym, ogłosił d-r Liske najdawniejsze zapiski sądów sanockich z lat 1423—1462, w tomie zaś XII znajdujemy zapiski sądów halickich od r. 1435, t. j. od czasu zaprowadzenia na Rusi prawa polskiego (co uroczyście zostało wypisane na czele aktów), aż do r. 1475. Kiedy jednak w poprzednim tomie mieliśmy trojakie akta sanockie, ziemskie, grodzkie i wyższego sądu niemieckiego, w obecnym znajdujemy akta czterech sądów halickich, mianowicie ziemskiego, grodzkiego, komornickiego i komisarskiego. Najlepiéj z nich zachowały się akta ziemskie i one idą też nieprzerwanym ciągiem od r. 1435 do 1475; z grodzkich dochowały się tylko szczątki i to w stanie nadzwyczajnie uszkodzonym, tak,

że mamy z nich jedynie ułomki z lat 1435, 1438—1440, 1456—9, 1462—4. Nadto mamy tu jeszcze akta komornickie z lat 1460—1475, o których w sanockiém ani śladu nie ma, i część aktów komisarskich, obejmujących 7 lat 1460—6. Różnica ta występuje najlepiéj w ilości ogłoszonych zapisków, cały zbiór obejmuje ich bowiem 4444, z tego wypada na ziemskie 3865, komornickie 294, komisarskie 43, grodzkie 242. To było téż powodem, że w wydaniu tych aktów nie poszedł prof. Liske drogą użytą w poprzednim tomie t. j. nie daje nam pod każdym rokiem aktów każdego z tych czterech sądów, zbyt znaczne luki uniemożliwiały bowiem tę metodę; podaje on nam natomiast w całości akta ziemskie w jednym ciągu, potém osobno i w całości akta trzech innych sądów. W oddaniu tekstu trzyma się wydawca zasad wyłuszczonych i zastosowanych przy ogłoszeniu aktów sanockich: do r. 1440 wyłącznie są zapiski podane w dosłowném brzmieniu, odtąd przeważnie w skróceniu, ale w takiém, które opuszcza tylko stereotypowe formůły, a zachowuje istotną treść zapisku.

Na zakończenie chciałbym zapytać, czy w zap. 37 dwa opuszczone nieczytelne wyrazy nie można by uzupełnić przez [*primam pecuniam*] *perdidit alias* zadatek, analogicznie do zapisku N. 67.

Indeksy znane są już z poprzednich tomów; mają one ustaloną reputacyą, a dokładności ich niczego zarzucić nie można. Tak jak w tomie 11 jest ich tu trzy: 1) indeks osobowy i miejscowy, 2) wyrazów polskich, 3) rzeczowy, dla prawników oraz dla tych, którzy pojedynczą kwestyą jakąś opracować zamyślą, nadzwyczaj ważny, ułożony przez prof. Balzera według téj saméj metody, jak w tomie poprzednim.

F. Bostel.





DROBNY PRZYCZYNEK

DO BIBLIOGRAFII

PIŚMIENNICTWA DOLNO-ŁUŻYCKIEGO.

Od r. 1574, w którym „śpiewnik“ i „katechizm“ Albina Mollera, w narzeczu dolnych Łużycan wydane u Michała Wolraba w Budyszynie, początek dały dolno-łużyckiemu piśmiennictwu, pojawiło się w druku razem z publikacyą Mollera w ciągu 144 lat następnych zaledwie siedm książek dolno-łużyckich (1). I tak z kolei potém wydał Andrzéj Tharaeus we Frankfurcie nad Odrą 1610 r. „Enchiridion Vandalicum“; 1706 r. ogłosił Bogumił Fabricius w Korjeniu pod Chociebużem „mały katechizm Lutra“, po raz drugi wydany 1714 r. w Chociebużu; jeszcze przed 1709 r. wyjść miały, jak zapewniają Knauth i Gulda (2), Abrahama Knježka „křesćijanske prašenja a 30 špruchow že swjateho pisma“, dotąd niestety nieodszukane (3); 1709 r. wspomniany wyżéj Bogumił Fabricius wydał w Chociebużu „nowy testament“, tamże 1714 znowu przedrukowany (4); 1711 r. podług świadectwa Knautha wydrukował Krzysztof Gabryel w Gubinie „Quirsfeldische Deutsch und Wendisch vermehrte Catechismus-Fragen, wydane po raz drugi 1718 w Lubinie;

---

(1) Pismowstwo a spisowarjo delnjołužiskich Serbow. Wot (1548) 1574 — 1880. Zezběrał K. A. Jenč. Časopis Maćicy Serbskeje 1880. Zešiwk II.

(2) Tamże str. 93.

(3) Zdaje się, iż „Compendium theologico-Vandalicum“ tegoż samego autora wydane w Lubinie 1727 r. jest późniejszym przedrukiem téj właśnie książki.

(4) Jak zauważył Alfons Parczewski „Přinoski k serbskej bibliografiji z měšćanskeje knihownje we Wrótslawju“, Časopis Maćicy Serbskeje 1882. Zešiwk II, str. 74, są wydania z r. 1709 dwa odmienne odbicia.

nareszcie 1713 r. wyszło Bogumiła Fabriciusa „krótke rozwučenje“ bez podanego miejsca druku.

Oto całkowity zasób drukowanych zabytków dolno-łużyckiego piśmiennictwa aż po r. 1718.

Jak widzimy, składają się na tę ubożuchną wiązankę druki wyłącznie treści nabożnéj i do użytku kościelnego służące. Z zakresu rzeczy świeckich, o ile wiadomo, nic zgoła aż do owego czasu w narzeczu dolnych Łużycan drukiem nie ogłoszono. Tém więc cenniejszym nabytkiem są niezawodnie dwa czterowiersze z r. 1718, które udało nam się wydobyć z dotychczasowego ukrycia, a cenniejszym dla tego, że uważać je można niejako za pierwszy zawiązek świeckiego na dolnych Łużycach piśmiennictwa. Znalazłem je w broszurze *in folio* będącéj własnością miejskiéj biblioteki we Wrocławiu a zatytułowanéj jak następuje: „Pietatis Observantiaeque Symbola Ex Jacobi Typotii Variis diversorum Principum Symbolis In Anniversaria Festivitate Onomastica Viri Praecellentissimi Amplissimi Ervditissimique Domini M. Sigismvndi Cleemanni Philologi ac Polyhistoris Praeclarissimi nec non Athenaei Guben. Rectoris longe meritissimi Die II Maji A. R. O. MDCCXIIX. Auspicato affulgente Votis devotis collecta et Apollini suo Ne ἀσύμβολοι essent Sancta Religione consecrata a Devinctissimis Superioris Auditorii Alumnis. Gubenae Excudebat Joannes Henr. Hofmann.“ Broszura ta liczy 7 kart, opatrzonych u dołu sygnaturą *B—D* i zawiéra przeważnie wierszowane płody kilkudziesięciu uczniów *superioris auditorii* gubińskiéj szkoły, na cześć Zygmunta Cleemanna, zasłużonego rektora tejże szkoły, ułożona i celem uświetnienia dnia jego imienin wydane.

Rodzina Cleemanów w mieście Gubinie ogólnego w tym czasie zażywała szacunku. Ojciec naszego Zygmunta, Andrzéj Cleemann, rodem z Luboraza (Lieberose), pełnił w Gubinie najpierw obowiązki rektora szkoły, z kolei był w tém mieście archidyakonem i umarł tu jako pastor primarius 1713 r. Opróżnione po ojcu miejsce pastora objął młodszy syn jego, także Andrzéj, starszy natomiast Zygmunt, poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu, sprawował w Gubinie od r. 1709 urząd rektora szkoły, a niewątpliwie pracował na tém stanowisku z chlubą dla siebie i z rzetelnym dla szkoły pożytkiem, skoro, jak tego dowodzi broszura nasza, prawdziwie serdeczną miłością otaczała go młodzież kształcąca się pod jego kierunkiem.

Nader rozmaite co do układu i rozmiarów, różną też przedstawiają wartość młodociane płody w téj publikacyi zawarte. Najwięcéj jest wierszy ułożonych w różnych narzeczach języka nie-

mieckiego, obok tego są wiersze w językach łacińskim, hebrajskim i greckim, jest także kilka słów uwielbienia dla ukochanego mistrza wypowiedzianych prozą po francusku, — na ostatniéj zaś karcie *tergo* znajdują się zajmujące nas tutaj wyłącznie dwa dolno-łużyckie czterowiersze. Są one wydrukowane literami gockiemi. W nagłówku, jak przy wszystkich innych wierszach, mieści się *symbolum* z Typotiusa, u spodu podane jest imię i nazwisko, oraz miejsce pochodzenia autora. Dajemy najpierw wierny odpis tekstu, nie zmieniając w niczém drukowanego oryginału. Uwagi i objaśnienia językowe umieszczamy w przypiskach.

1.

Virginius Vrsinus, Dux Bracchianum, Rotam L. Rerum vicissitudo.

KNes Rector Bog dai was westaunei (1) Glusä (2) qveschisch
Won kschel wam kuschdi Zaß ten Schen Smerom (3) dasch swechisch,
Won scharsch' was kuschdi Zaß pschi swojim swetim (4) Slowe,
Won nekschel Nestrowoſtz, dasch sato lube Strowe.

Johann Landwogt / Horna Lus.

2.

Antonius Medices, Magnus dux Hetruriae, Arbusculas excrescentes, L. Tandem.

KNes Husabnik asch my jak Bomky (5) newostali,
Tho myßmy waschom (6) fleiß' (7) a wernoschz' (8) pschipißali,
Bog kschel was wot Nebia Kronnowasch swelikeu Glucku,
Won kschel was pscheze wiastsch se swoieu motzneu Ruku. (9)

Christan Friedrich Schmidt, Zaednig. March.

Ażeby ułatwić odczytanie i zrozumienie tekstu, powtarzamy go tutaj raz jeszcze alfabetem łacińskim, podług zasad pisowni nowoczesnéj i z uwzględnieniem właściwéj interpunkcyi.

---

(1) = we stawnej. — (2) niem. Glück. — (3) = z měrom. — (4) Formy *instrumentalisu* błędnie tutaj użyte zamiast form *locativu* swójom swětem. — (5) niem. Baum. — (6) = wašomu. — (7) = flaisu, niem. Fleiss. — (8) = wěrnosći. — (9) Ostatnie dwa wiersze liczą po 15 zgłosek, gdy poprzednie dwa są trzynastozgłoskowe. Nieregularność tę możnaby uchylić wprowadzając do tekstu zamiast form *wjelikeju* tudzież *swójeju mócneju* prawidłowe i dotąd używane w Dolnych Łużycach formy *wjelkej swójej mócnej*.

1.

Kněz rektor! Bog daj was we stawnej gluce kwěśiś,
Wón kśěł wam kuždy cas ten żeń z měrom daś swěśiś;
Wón żarž was kuždy cas při swójom swětem słowje,
Wón njekśěł njestrowosć daś za to lube strowje.

2.

Kněz hucabnik! Až my jak bomki njewostali,
To my smy wašom flais' a wěrnosć' připisali.
Bog kśěł was wot njebja kronowaś z wjelikeju gluku,
Wón kśěł was přece wjasć ze swójeju mócneju ruku!

Bliższych szczegółów o autorach owych wierszy wyśledzić nie zdołaliśmy. Jan Landwogt pochodził, jak opiewa dołączony do jego nazwiska dopisek, z Horna = Horno, po serbsku Rogow, wsi, która i dzisiaj jeszcze pozostała serbską i jedyna w całym gubińskim powiecie oparła się skutecznie germanizacyi. Krystyan Fryderyk Schmidt zaznaczył, jako miejsce urodzenia swego Zaednig = Sehdenick, po serbsku zapewne Sadnik. Jest to miasto położone w Marchii brandeburskiéj, w powiecie łęplińskim, nad Hawolą, oddawna już zgermanizowane.

Ani Landvogt ani Schmidt nie zabłysnęli w historyi dolnołużyckiego piśmiennictwa i nazwiska ich nie przedostały się do szczupłego zastępu tych dzielnych, którzy wśród najniekorzystniejszych warunków ojczystą mowę swoję usiłowali podnieść do znaczenia języka literackiego. Cała ich w zakresie ojczystego piśmiennictwa działalność ogranicza się, jak się zdaje, do tego jednego na ławach jeszcze szkolnych literackiego debiutu. Nie mniéj przecież należy im się na karcie dziejów dolno-łużyckiego piśmiennictwa wdzięczne wspomnienie.

Dr. Bolesław Erzepki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Zasady matematyczne muzyki przez Władysława Witkowskiego.(*) Warszawa, 1887.

Stosowanie matematyki w teoryi muzyki jest uzasadnioném w naturze rzeczy i sięga głębokiéj starożytności. Już Pytagoras utożsamiał liczby z harmonią, a stosunki liczbowe, zachodzące między tonami skali muzycznéj, przenosił do sfer planetarnych. Ten wszakże kierunek badań, daleki od wszelkich metod doświadczalnych, wyrodził się w spekulacye metafizyczne i astrologiczne, które w dziedzinie muzyki przez długie wieki wszechwładnie panowały. Nawet taki geniusz wiedzy, jakim był Kepler, nie mógł się uwolnić z więzów metafizyki liczbowéj w dziedzinie téj teoryi.

Dopiero w połowie zeszłego wieku znakomity matematyk Euler wprowadził teoryą matematyczną muzyki na tory racyonalne. Jemu to teorya ta zawdzięcza ciekawe reguły arytmetyczne, według których oznaczyć się daje stopień konsonansu przedziałów (interwalów) i akordów muzycznych z danych stosunków liczbowych drgań, odpowiadających uważanym przedziałom. Wpływ tonów zwanych kombinacyjnemi nie był jeszcze Eulerowi znany. Po nim

---

(*) Jeżeli, nie mając żadnéj kompetencyi w rzeczach muzyki, pozwalam sobie zamieścić tu uwagi swoje nad pracą p. Witkowskiego, to czynię to poczęści z obowiązku zdania sprawy o książce, która wydana w roku zeszłym, doczekała się zaledwie krótkiéj recenzyi ze stanowiska muzykalnego w „Echu muzyczném" (No. 188 z dnia 7 maja 1887, porówn. odpowiedź p. Witkowskiego w No. 197 z dnia 9 lipca tego roku), po części na wezwanie wystosowane do redakcyi „Ateneum", w którém szanowny autor zwolnił recenzenta od oceny strony muzycznéj jego pracy. Odsyłając przeto czytelnika do wspomnianéj recenzyi p. Kleczyńskiego w „Echu muzyczném" ograniczam się jedynie na zdaniu sprawy z matematyczno-fizycznej osnowy książki p. Witkowskiego.

w dziedzinie téj najbardziej zasłużyli się Tartini, Rameau i d'Alembert. Pierwszy uwzględniał już tony kombinacyjne, drugi tony harmoniczne *(Obertöne)*; prace te przeniosły teoryą muzyki z gruntu metafizyczno-liczbowego na grunt przyrodniczo-matematyczny. Pomysły Hoene-Wrońskiego i oparta na nich teorya Durutte'a stoją na gruncie matematyczno-metafizycznym.

Największe zasługi w teoryi przyrodniczéj zjawisk muzykalnych położył współczesny nam genialny badacz Helmholtz. Wielkie jego dzieło p. t. „Die Lehre von den Tonempfindungen" stanowi epokę w téj dziedzinie. W niém to Helmholtz zbadał istotę dźwięków muzycznych, wyjaśnił doświadczalnie naturę dźwięczności *(timbre, Klangfarbe)*, konsonansu i dysonansu przedziałów i akordów, przedstawił rozwój teoryi muzyki i scharakteryzował jego istotę; wypowiedział przytém mnóstwo niezmiernie interesujących poglądów estetycznych, tak że wspomniane dzieło, mimo że autor jego przyznaje się tylko do dyletantyzmu w muzyce, stanowi nieocenioną pracę źródłową dla muzyków, a zwłaszcza dla pracujących w dziedzinie teoryi muzycznéj. Szczególniéj ważną jest teorya dudnień *(Schwebungen, battements)*, będąca podstawą nauki konsonansu i dysonansu.

Część arytmetyczna teoryi muzyki oprzéć się winna, zdaniem naszém, na teoryi fizycznéj; stanowi ona jéj dopełnienie i stosować się musi do jéj rozwoju. Uważana sama w sobie ma znaczenie pewnych prawideł arytmetycznych, prawideł zresztą bezwątpienia pożytecznych i ciekawych, lecz nie sięgających w istotę zjawisk muzykalnych.

Wziąwszy do ręki książkę p. Witkowskiego, spodziewaliśmy się, sądząc z tytułu, znaleźć w niéj zbiór tego rodzaju prawideł, opartych na najnowszych rezultatach badań Helmholtza. Tymczasem o tych badaniach znajdujemy zaledwie pobieżną wzmiankę (str. 8); o tonach kombinacyjnych, o dudnieniach i t. p.—ani słówka. Autor stoi na stanowisku takiém, że zdaniem jego, arytmetyka muzykalna, że tak powiem, nie teorya matematyczna w znaczeniu ścisłém—jest wszystkiém; ona to „rozwiązuje ostatecznie pytanie, na czém rzeczywiście polega melodya i harmonia muzyki" (Przedmowa). Stanowisko to wydaje mi się naukowo nieuzasadnioném.

O ile zrozumieć mogliśmy, pomysł sz. autora przedstawia się w sposób następujący:

Ponieważ istota gam oraz melodyi i harmonii muzycznéj były dotąd zdaniem autora, niewyjaśnionemi, powziął więc myśl wyprowadzenia tego wszystkiego z jednego źródła, a raczéj oparcia wszystkiego na jednéj podstawie. Tą podstawą jest bardzo prosty szereg

geometryczny, którego wyrazem pierwszym jest 1, a wykładnikiem $\frac{3}{2}$, czyli tak nazwany szereg *kwint*:

$$1, \frac{3}{2}, \left(\frac{3}{2}\right)^2, \left(\frac{3}{2}\right)^3, \left(\frac{3}{2}\right)^4 \ldots\ldots$$

Szereg ten zastąpić można w badaniu szeregiem wykładników (logarytmów), wyrażających odległość tonów muzycznych:

$$0, 1, 2, 3, \ldots\ldots$$

Sprowadzenie tonów szeregu kwint do tejże samej oktawy uskutecznić się daje przez podzielenie każdego jego wyrazu przez odpowiednią potęgę liczby 2. Iloraz wykładnika uważanego wyrazu przez wykładnik téj potęgi stanowi ułamek $\frac{\log 2}{\log 3 - \log 2}$, który rozwinięty w ułamek ciągły, prowadzi do różnych podziałów gamy, między innemi, do podziału na 7 i 12 części. Wynik tego rachunku uważa autor za dowód prawdziwości swéj teoryi. Następne wywody autora opierają się na rozmaitych przekształceniach powyższego szeregu geometrycznego i odpowiadającego mu arytmetycznego—oraz na stosowaniu redukcyi wyrazów szeregu według modułu 7 i 12, przyczém autor wprowadza jeszcze pojęcia rozciągu tj. różnicy między najwyższym i najniższym tonem na skali kwint oraz zawartości, która mierzy się sumą wyrazów szeregu tonów, zamienionego na liczby wyrażające odległości. Na tych to pojęciach opiera „prawa" melodyi i harmonii, w rozbiór czego wdawać się nie mogę; zauważę tylko, że z teoryi akordów autora wynika, że liczba wszystkich akordów (od 3-ch do 7 tonowych) może być 258, a gdy odrzuci się akordy, których rozciąg przechodzi liczbę 12, to będzie ich 181.

Za podstawę teoryi swojéj uważa autor następujące twierdzenie (str. 12):

„Stosunki tonów muzycznych stanowią szereg geometryczny, którego pierwszy wyraz jest jedność, odpowiadający tonowi fundamentalnemu, a stosunek kwadrat ze stosunku największego, któremu odpowiedni ton nie daje się odróżnić od tonu fundamentalnego".

Prawo to nazywa sz. autor „nadzwyczaj ważném i nowém, podstawą wszystkich praw muzycznych". Nie wchodząc w bliższy rozbiór kwestyi, czy twierdzenie podobne może być nazwane „prawem", pozwolę sobie zauważyć, że, o ile wiem, zestawienie tonów w szeregi geometryczne nie jest nowością, jak to można czytać w dziele Helmholtza (str. 478), co się zaś tyczy samego wywodu twierdzenia, to wyznajemy, że nie zadwolnił on nas wcale pod względem wymagań ścisłości. Co się znów tyczy pojęcia „kommy",

to, zdaniem naszém, daleko bardziéj przemawiającym do przekonania jest wywód Wrońskiego (przytoczony w dziełku: *Wroński et l'esthetique musicale par Charles Henry*, str. 38), jakkolwiek rozumowanie Wrońskiego przenika pierwiastek metafizyczny.

Z akustyki bierze autor tylko jedno prawo, mianowicie, „że ton każdy odpowiada ściśle stałéj liczbie drgań, bez względu na ciało wibrujące“—wszystkie inne odrzuca (str. 10); ale czémże jest prawo drugie autora: „każdy ton mierzy się stosunkiem liczby drgań tego tonu do liczby drgań tonu fundamentalnego“ jeżeli nie parafrazą odrzuconego przezeń prawa: „Każdy akord muzyczny między dwoma tonami może być wyrażony i jest oznaczony przez stosunek $\frac{n}{n'}$, dwóch liczb wyrażających ilości drgań na sekundę, odpowiadających tym tonom“. Zauważyć przytém należy, że autor nazywa często „prawem“ to, co jest zwykłém spostrzeżeniem lub wnioskiem z przeróbki arytmetycznéj.

Gdy teraz przejdziemy do samego wykonania pracy, to z żalem wyznać musimy, że tekst jest przepełniony mnóstwem błędów, z których nie wszystkie są omyłkami druku, przy czém i korekta jest fatalną. Zwrócimy tu uwagę na niektóre tylko błędy:

Na str. 1. powiedziano: „sama ta liczba po wykonaniu działania nazywa się potęgą“; tymczasem nie ta liczba jest potęgą, lecz wynik mnożenia.

Na str. 2. Wyrażenia „$\frac{729}{512}$ dzieląc przez 512; dzieląc ostatni ułamek przez licznik 217“—użyte błędnie; należało powiedzieć „dzieląc licznik i mianownik ułamku przez itd.“

Na str. 4. Powiększony ilością stałą zamiast: powiększony o ilość stałą.

Na str. 9. „Przechodząc do tego stosunku, doświadczenie uczy nas“—jest to wyrażenie niepoprawne pod względem językowym.

Na str. 11 powiada autor, że szereg

$$1, \frac{\alpha+1}{\alpha}, \ldots \quad 2, \frac{2\alpha+1}{\alpha}, \ldots$$

zawiera wszystkie liczby, zacząwszy od jedności itd., co nie jest prawdą.

Na str. 14. Zdanie: „szereg 4) posiada tę własność, że zacząwszy od ułamka bardzo małego λ wyrazy tego szeregu rosną, zacząwszy od 1 i stoją się coraz prostsze, więc można ten szereg odwrócić“ jest mylne i niejasne.

Na str. 19 nazywa autor peryodem ilość różną od zera, dla któréj $\left(\frac{3}{2}\right)^{\omega} = 1$; tymczasem, ilość ω, jeżeli jest rzeczywistą, nie może

być różną od zera; błąd autora pochodzi stąd, że idzie mu właściwie nie o potęgę samego ułamku $\frac{3}{2}$, lecz o potęgę tego ułamka podzieloną przez pewną potęgę liczby 2.

Na str. 78 autor pisze wzory takie, jak

$$a^{-m} = 2 \cdot \frac{1}{a^m}, \quad a^m = 2 \cdot \frac{1}{a^{-m}},$$

które są matematycznemi absurdami. Popełnia on tu ten sam błąd, jaki wskazaliśmy w uwadze poprzedzającéj.

Na str. 85—wzór na S jest napisany błędnie, gdyż—nx wypisano jako wykładnik, co być nie powinno. Jest to omyłka druku, nie poprawiona w korekcie.

Klasyfikacya gam i akordów przy pomocy prostych wzorów arytmetycznych jest istotnie zadaniem bardzo interesującém, szkoda tylko, że przedstawienie zadania tego w szacie tak nieścisłéj nie może zachęcić matematyków i fizyków do przeczytania pracy pana Witkowskiego.

S. Dickstein.

Prace filologiczne wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II, zeszyt II. Warszawa, 1888 r.

P. Kalina w ciągu dalszym rozprawy swojéj p. t. „Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiéj", zastanawia się nad słowami, których tematy w języku sanskryckim mają akcent na zakończeniu. O ile wnosić można z pierwszéj części niniejszéj rozprawy, umieszczonéj w zeszycie I, autor przez końcówkę tematową rozumie samogłoskę, którą dawniéj uważano za spójkę, łączącą temat z fleksyą konjugacyjną np. sanskr. *tudá* zamiast dawniejszego systemu spójkowego *tud-á*, co będzie tematem słowa sanskryckiego *tudâmi*, *tudási*, *tudáti* (uderzam, uderzasz, uderza). Zwracamy uwagę, że p. K. mówiąc o tych tematach, nie przytoczył jednak powyższych przykładów, utrudniając tém czytelnikowi zrozumienie i tak zawikłanego przedmiotu. Naznaczywszy autor istnienie akcentu w końcówkach tematowych, przechodzi do dziedziny języków słowiańskich, zastanawiając się nad wpływem akcentu na przemianę samogłosek tematowych, co wiele za dobą przedsłowiańską powyższego przemawia zjawiska, zachodzącego jednak w słowach spólnéj kategoryi np. osoba I cz. teraźn. w starosłowiańskim *żegą* i *żъgą*, porówn. słowieńskie: *żgem*, bułg. *żegъ*, ross. *żgu*, rusk. czesk. *żhu*, polsk. *żże* obacz *żeże* (1). Z tych forma druga z jerem miękkim jest właściwą cechą

(1) Historya języka polskiego, 408.

tego czasu, gdy pierwsza z samogłoską mocniejszą *e* przejętą została z czasu przeszłego (*żeg*), aby uniknąć w osobie drugiéj cz. teraźn. przykrego zbiegu dwóch *ż* (*żъżeszi*). Istnienie samogłoskowości jerów objaśnia się tém, że dźwięki rzeczone w starosłowiańskim łączą się z płynnemi *l*, *r* i nosową *n*. Wyjątek wszakże stanowią tematy *nъzą* i *żъgą*, które nie kończą się ani na płynną, ani na nosówkę.

To co się mówiło o słowach: *żegą* i *żъgą* nie odnosi się do typów: *ber* (berę-biorę), tworzących czas przeszły od rozszerzonego tematu *bra*. Słowo *znają* (znam) jest formą cz. przeszłego, bo w teraźn. wypadłoby *zen* od pierwiastku *g'an* jak np. *gna* brzmi *żeną* (gnam) itp. W ciągu dalszym przytacza autor słowa, które na analogii z powyższemi powstając, przekształcają się w narzeczach słowiańskich, stosownie do ustroju dźwiękowego w dyalektologii.

Pracę te nazwać by można cennym nader przyczynkiem do zbadania fleksyi konjugacyjnych w języku polskim, gdyby autor zechciał zachować w układzie pewien porządek, na czém by wiele jasność rozprawy zyskała.

Lubo już W. A. Maciejowski w Dodatkach do Piśmiennictwa polskiego (str. 150) umieścił niektóre wyjątki z komedyi o mięsopuście, że jednak pomieniony pisarz dopuścił się błędnych niekiedy objaśnień, bardzo jesteśmy wdzięczni p. K. za ogłoszenie rzeczonego rękopisu, znajdującego się w bibliotece petersburskiéj. Pomnik ten szczególniéj jest godnym uwagi, że nie zachowano w nim ówczesnéj pisowni, co poniekąd może być miarą wymowy XVI w. Proces znikania nosowości samogłosek ogarnął już nietylko końcówkę ale i środki wyrazów. Jest to zjawisko, które przejawia się w wielu gwarach ludu polskiego, grożąc pochłonięciem nosowości, co już w innych narzeczach słowiańskich stało się faktem spełnionym. Samogłoski czyste oznaczano literami nosowemi np. *wyrząсzili* (wyrzucili), *czemą* (czemu), w *domą* (domu) itp. P. K. widzi w tém ślady akcentu przeciągłego (circumflexus). „Okoliczność ta podaje nam ważną wskazówę, mówi autor, ażeby w pisanéj literze nie szukać zawsze odpowiedniego dźwięku żywéj mowy, gdyż w niéj może często zachowany być tylko dawniejszy zwyczaj ortograficzny, który z rzeczywistym rozwojem języka nie zawsze idzie w parze“.

P. profesor Nehring przywodzi nam ośm kartek z nieznanéj staréj książeczki do nabożeństwa. Kartki te przyklejone były do desek Adagiów Erazma Rotterdamskiego z r. 1515 w bibliotece uniwersyteckiéj we Wrocławiu. Zabytek ten należy do najdawniejszych druków polskich, bo z końca XV w. a więc wcześniejszych od „Obyczayu mowyenia zoltarza panny Maryey (1521 r.). Dźwięki nosowe

wyrażają się za pomocą greckiego ą (ą) lub α (ę). Znak ten używa się także w Żywocie papieża Urbana (druk z 1514 r.). Z osobliwości językowych zkąd inąd znanych notujemy tylko: przyp. 2 l. mn. *tysiąc* (zam. tysięcy), rzeczownik *uczastnik*, przymiotnik *wzdziaczny* i imiesłów *umarwszy*.

Oprócz znanych form przysłówkowych w staropolszczyźnie na *sky*, powstałych z przypadku 6 l. mn. deklinacyi rzeczownikowéj przymiotników, p. Kryński przywodzi nam niektóre okazy z pomników XV i XVI w., np. *przyjacielski* (1449—1460 r.), *złodziejski* (1450), *małżeński* (1450 r.), *polski* (1450 r.) itp. Zabytkami poniekąd tych przysłówków są formy na *e* np. *babskie* (po babsku), *chłopskie* (po chłopsku), żyjące jeszcze aż po w. XVIII.

P. Karłowicz umieścił: Dziesięć pieśni mazurskich, pieśń staroczeską o narodzeniu Jezusa (w. XV), zaduszniki—łańtuch, rańtuch i kilka słów o nazwiskach litewskich. Szczególne formy z pieśni mazurskich: *zakścią* (zakwitną), tak zwane *połnogłasije* w formie *seroka* (sroka) porówn. nazwy miejscowości *Seroki*, *Serock*. Z leksykologii: *wódka* nie oznacza gorzałki lecz wodę, podobnież *gorączka* = gorąco, upał.

Do lżejszéj i popularniejszéj, ale bardzo pouczającéj lektury „Prac filologicznych“ należą prace: prof. Malinowskiego Studya nad etymologią ludową (c. d.) i Kamińskiego Ostatni zwrot w sporze o starożytność rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego.

Justyn Feliks Gajsler.

= **Poezye Adama Mickiewicza.** *Nowe wydanie, z życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego* (Warszawa, 1888, 4 tomy str. C + 240, 340, 363, 374). Co nasi najbliżsi sąsiedzi zachodni, Niemcy, posiadali już od lat trzydziestu, my dziś dopiero zaczynamy nabywać, to jest tanie wydania pierwszorzędnych poetów ojczystych. Istotnie najnowsza edycya Poezyi Mickiewicza może naprawdę nie tylko na równi ale nawet wyżéj być postawioną niż którebądź niemieckie wydanie Goethego lub Schillera. Nie taniość bowiem jedynie (4 tomy, o dwudziestu kilku arkuszach każdy, za kopiejek 80), ale nadto dobroć papieru, wyraźność druku, poprawność tekstu przy nadzwyczaj starannéj korekcie, objaśnienia historyczno-literackie, opatrzenie stosunkowo obszernym życiorysem należy tu wciągnąć do porównania, z którego edycya polska wyjdzie niewątpliwie zwycięsko. W wydaniu tém poezyi Mickiewicza mieszczą się nie tylko rzeczy znane z edycyi dawniejszych, lecz również takie, które po raz pierwszy w drukach warszawskich się pojawiają jak fragment dramatu p. n. „Jakób Jasiński“, „Wielka wojna

w przyszłości", „Aleksander Puszkin", „O duchu narodowym", „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych", „O dążeniu ludów", „Mazzini i Mazziniści", „Odpowiedzialność rządu według pojęć ludu", „Socyalizm", „Chłopi". Pomieszczenie tych utworów, po większéj części ogółowi naszemu czytającemu bardzo mało znanych, jest nabytkiem nowego wydania wielce pożądanym, gdyż uwielbianego poetę przedstawi z nowéj strony, o któréj dotychczas mała tylko garstka ludzi wiedziała. W układzie starano się zachować porządek chronologiczny z uwzględnieniem atoli podziału na rodzaje literackie. A więc w tomie I-ym po życiorysie, obejmującym stronic sto, podano „Ballady i romanse" ponieważ od tych utworów epiczno-lirycznych rozpoczęła się właściwa działalność Mickiewicza jako reformatora naszéj poezyi; następnie zaś umieszczono sonety erotyczne i krymskie, poezye miłosne i elegijne, przemowy, ody i pieśni, poezye religijno-gnomiczne; a w dodatkach powiastkę „Żywilę" i wiersze wątpliwéj autentyczności („W imionniku M. S." „Do***", „Dziewica na rozdrożu", „Do Deotymy"). W tomie II-im wydrukowano poematy: „Grażyna", „Dziady", „Konrad Wallenrod" i „Farys", poezye dydaktyczne („Warcaby", „Do Joachima Lelewela", „Do doktora S."), bajki i powiastki. Tom III-ci zajął „Pan Tadeusz". W tomie IV-ym wreszcie mieszczą się przekłady z obcych poetów, i przekłady utworów Mickiewicza pisanych po francusku; dodatkowo zaś do „Poezyi" dodano rozprawy literackie i polityczne do poznania poety w całości jego umysłu niezbędne. Tu właśnie obok znanych powszechnie: Uwag nad Jagiellonidą, O poezyi romantycznéj, Goethe i Byron, O krytykach i recenzentach Warszawskich, znalazła miejsce większa część tych, które jako zupełną nowość téj edycyi wymieniono powyżéj. Zalety tego wydawnictwa pod względem zewnętrznym i wewnętrznym są tak wielkie, że przy nich nikną całkowicie drobne usterki, i sprawiają, iż bezwarunkową pochwałą zalecić możemy czytelnikowi to nowe wydanie Poezyi wieszcza.

= **Typy i ideały pozytywnéj beletrystyki polskiéj** *przez Teodora Jeske-Choińskiego* (Warszawa, 1888, str. 225). Autor zamierzył sobie przedstawić, jak się ukształtowały w kreacyach powieściowych z ostatnich lat dwudziestu kilku hasła wygłaszane przez tak zwanych pozytywistów. Zadanie to ciekawe i ważne zarówno pod względem psychologiczno-artystycznym jak i społecznym, gdyby podjęte było i wykonane z dokładną znajomością przedmiotu a bez uprzedzeń stronniczych; bez tych zaś przymiotów traci istotne znaczenie i staje się tylko pracą okolicznościową z charakterem czysto-publicystycznym. P. Choiński otwarcie podaje się za polemistę „młodego konserwatyzmu", tak ochrzczonego przez siebie a wrogo występują-

cego przeciw zasadom postępowym; i przyznaje, że działalność powieściopisarzów pozytywnych tylko w świetle tego stronnictwa przedstawić się starał. Wstrętnym jest dla niego cały ruch „pozytywny“, a więc i beletrystyka przezeń do życia powołana. Powieściopisarze i powieściopisarki, zalecający pracę organiczną, malujący ludzi „porządnych“: dobrych ojców, rzetelnych kupców, przemysłowców i rzemieślników rozumnych, trzeźwo i jasno na zadania społeczne patrzących profesorów, urzędników, rolników, głoszący wielką wartość nauki w zastosowaniach praktycznych, są to według niego—pisarze szkodliwi a tém szkodliwsi, im większy posiadają talent. Dlaczego?—zapyta może czytelnik: oto dlatego, że nie są bohaterami w wielkim stylu, według szablonu romantycznego. „Każdy z nich—powiada p. Choiński o ideałach pozytywistów — zapewni szczęście swéj żonie i będzie pamiętał o utrzymaniu dla rodziny. Jeżeli jest typem dodatnim, nie dopuści się czynu hańbiącego, ale nie zdziała też nic, coby przekraczało miarę codziennych potrzeb społeczeństwa. Niéma między nimi n a r w a ń c ó w, niéma natur gienialnych, żyjących wyłącznie dla idei niesamolubnéj“ (str. 214). Gdyby autor dbał naprawdę o rozjaśnienie sprawy, gdyby mu szło istotnie tylko o charakterystykę rodzaju twórczości beletrystów pozytywnych, nie zaś o poniżenie ich ideałów; toby niewątpliwie przyszedł do przekonania, że beletryści owi, odtwarzając rzeczywistość, nie mogli zapełnić swych utworów postaciami proroków, apostołów, rycerzy „żyjących w y ł ą c z n i e dla idei niesamolubnéj“, bo takich w życiu nie napotkali, gdy tymczasem ludzi nie gienialnych wprawdzie, spełniających jednak sumiennie swe obowiązki, widzieli i do kreacyi swoich wprowadzili. Wielcy ludzie pojawiają się rzadko; romantyzm nie znajdując wkoło siebie znacznéj ich liczby, a zmuszony zadość czynić swewu popędowi, albo zanurzał się w przeszłość dla wyłowienia z jéj głębin bohaterów sobie sympatycznych, albo też wytwarzał szeregi gienialnych natur skrzywionych. Dzisiejszy realizm woli malować teraźniejszość, woli zajmować się powszedniemi cnotami i występkami, jakie ma ciągle przed oczyma. Nasi beletryści dawniejsi niewiele stworzyli natur gienialnych; zwykłym zaś ich wybrańcem był niezadowolony i rozczarowany artysta, poeta, nie wielki zazwyczaj przynoszący pożytek społeczeństwu, bo nie umiejący lub nie mogący wywalczyć dla siebie stanowiska, któreby mu działać pozwoliło. Dzisiejsi powieściopisarze zaniechali tę postać, a wprowadzili doktorów, inżynierów, przemysłowców, kupców, nie dając im archanielskich skrzydeł, ale uposażając w przymioty, które mogły ich pożytecznymi członkami społe-

czeństwa, dążącego przez wzmocnienie podstawy materyalnéj bytu do utrwalenia i przechowania skarbów duchowych. Rycerzy w dzisiejszych stosunkach zazwyczaj przedstawiać nie mogli, ale gdy chcieli ich odmalować, zwracali się ku przeszłości. P. Choiński z rozmysłem pominął powieści historyczne Jeża, w których niejedna piękna postać rycerza się znajduje, a pominął dlatego, ażeby mu to w jego tendencyi zohydzenia ideałów pozytywnych nie bruździło. Z tegoż samego powodu pominął takie utwory Orzeszkowéj, gdzie głębokie uczucie zostało uwydatnione; szło mu bowiem o to, ażeby w jéj pismach tylko suchy racyonalizm uwydatnić. U Konopnickiéj, tąż samą powodowany dążnością, dostrzega tylko kosmopolityzm (str. 207) a nie widzi tych łez, jakie poetka wylewa nad dolą ojczystą, akcentuje jéj pessymizm, a nie potrąca nawet słówkiem o dodatnich pierwiastkach jéj poezyi. Dosyć będzie tych wskazówek, ażeby nabrać przekonania, że p. Choiński nie chciał patrzéć tam, gdzie mu gwoli tendencyi patrzéć nie wypadało, i że przedstawił czytelnikom nie wizerunki naszych powieściopisarzów, ale ich karykatury. Chociaż więc przy końcu broszury wyliczył sumarycznie zasługi beletrystyki pozytywnéj (wprowadzenie nowych typów, roztworzenie nowéj sfery, udoskonalenie techniki, wywalczenie dla ludzi nauki „stanowiska towarzyskiego“ (?), przygarnięcie do serca maluczkich i sponiewieranych, patrzenie uważne na życie itp.); to wyliczenie to jako nieoparte na wywodach poprzednich, wygląda dziwnie jak pochwała ludzi tych samych, którym dopiero co szkodliwość się zarzucało, i za to samo, za co się ich łajało. Ta jaskrawa niezgodność z samym sobą, występująca tak wyraźnie przy końcu książki, ujawnia się nieraz i w niéj saméj, tylko w formie nie tak dobitnéj. Brak zaś należytego wystudyowania przedmiotu, brak nawet zasadniczych wiadomości z zakresu obejmującego to, co się krytykuje, widziéć się daje dość często. Kto bowiem bierze ograniczenie pola badań naukowych za zrozpaczenie o saméj nauce (str. 131, 221); kto Galileusza poczytuje za „odkrywcę teoryi heliocentrycznéj“ (str. 196), jakby nic nie słyszał o Koperniku; ten nie może rościć pretensyi do nazwy znawcy kierunku pozytywnego, który krytykować się podjął. Może on tu i owdzie wypowiedziéć jakąś trafną uwagę estetyczną, ale ogarnąć całości ruchu pozytywnego i wydać o nim sądu kompetentnego nie potrafi.

= **Czwarta część Dziadów Adama Mickiewicza.** *Studyum porównawcze napisał Dr. Józef Kallenbach (Kraków, 1888, str. 21 w 4-ce).* Jak w pracach swoich nad twórczością Kochanowskiego, tak i w obecném studyum nad czwartą częścią „Dziadów“ p. Kallenbachowi idzie wyłącznie o wykrycie źródeł literackich, z których wy-

płynęły pewne wyobrażenia lub wyrażenia poety. Uwzględniając to wszystko prawie, co poprzedni badacze pod tym względem zrobili, starał się autor posunąć daléj poszukiwania i wzbogacić je nowemi zdobyczami. Zastanawia się tedy pokolei nad wpływem „Nowéj Heloizy“ Roussa, „Wertera“ Goethego i pism Jean Paula Richtera na pomysły i obrazowanie Mickiewicza w dziejach miłości Gustawa. Co do „Nowéj Heloizy“ zaznacza p. Kallenbach głównie powoływanie się kochanków na wyższe, przedwieczne wyroki, które dusze dwojga ludzi dla siebie przeznaczyły, a nadto słusznie zestawia jeden poszczególny pomysł Roussa i Mickiewicza o owém zachowaniu się kochanka, kiedy dowiadując się o ślubie kochanki, chce ją w początku zabić, ale niebawem przerażony tą samą myślą, pozostawia ukochaną udręczeniom sumienia tylko. Zresztą między Gustawem a St.-Preux nie widzi „istotnego duchowego podobieństwa“. St.-Preux to „figura bez krwi i kości, automat poruszany myślami autora“, mianowicie od czasu, gdy schodzi na biernego kochanka; Gustaw zaś jest „bezwątpienia silniejszym, naturalniejszym wyrazem namiętności młodzieńczéj;“ on nie umié jak bohater Nowéj Heloizy „wyperswadować sobie uczuć kochanka i stać się spokojnym przyjacielem“.—Co do pomysłów analogicznych z pewnemi ustępami utworu Goethego, to p. Kallenbach streszczając dawniejsze wywody, dodaje od siebie szczegół, iż „jak Werter zapowiada, że pójdzie naprzód do wspólnego wszystkich ojca i czekać będzie na kochankę, a gdy ta wreszcie przybędzie, Werter w obliczu Najwyższego złączy się z nią na wieki; tak i Gustaw pod koniec Dziadów jest przekonany, że śladem lubego anioła cień jego błędny wkradnie się do nieba, spokojnie wyczekuje téj chwili, pewny, że dla niéj i dla niego przyszłość śmieje się wesoła“. Robi zaś nacisk na to, że dwaj bohaterowie są w gruncie różni od siebie, gdyż żyją innemi wspomnieniami i inaczéj zapatrują się na świat. Wywody p. Kallenbacha, dotyczące stosunku obu do natury, niezbyt wydają się nam trafne i przekonywające, dla tego że nie widzimy rzeczywistego punktu porównania. U Gustawa niéma właściwie zamiłowania natury w tém znaczeniu jak u Wertera; przytoczone przez autora ustępy dowodzą tylko, że Gustaw przywiązany był do pamiątek, a więc zarówno do zawiązki ze złotych włosów jak do listka cyprysu czy gałęzi jedliny, ponieważ one były darami lubéj albo mu téż dary te symbolizowały; szukanie zaś w rozmowie ze świętojańskim robaczkiem równoważnika do przeciwstawienia go „bólowi wszechświatowemu“ Wertera jest wyszukaném i naciąganém; wyszukaném, bo oprzéć się trzeba nie na słowach bohatera zupełną przytomnością umysłu nacechowanych, tylko na urojeniu obłąkańca; naciąganém,

bo Gustaw świętojańskiemu robaczkowi nie tylko spółczucie przyznaje, ale także ostrzeżenie, że na świecie nawet zalety bywają przczyną zguby, ostrzeżenie pełne smutku niezbyt dalekiego od „bólu wszechświatowego“. — Nad wpływem Jean Paula pierwszy p. Kallenbach się zastanowił. Pobudką ku temu była mu dewiza umieszczona nad czwartą częścią Dziadów („Ich hob alle mürben Leichenschleier auf“ itd.). Autor doszedł, że dewiza ta wyjęta została przez Mickiewicza z utworu Jean Paula zatytułowanego: „Biographische Belustigungen unter der Gehirnschale einer Riesin“. Sądził, że poeta nasz wziąwszy motto z téj powieści, korzystał może i z niektórych pomysłów w niéj zawartych. Doznawszy pod tym względem zawodu, gdyż się okazało, że ani całość opowiadania, ani sytuacye pojedyńcze owych „Zabaw biograficznych“ nie przedstawiają nyjmniejszéj analogii z poematem Mickiewicza, — zabrał się do wertowania innych pism Jean Paula w nadziei odnalezienia śladów pokrewieństwa między niemi a dziełem naszego wieszcza. Ponieważ zaś wiersz Mickiewicza „Nowy Rok“ co do pomysłu zasadniczego i podziału na trojakie życzenia wzięty jest, jak to p. Kallenbach również pierwszy zaznaczył, z powieści Jean Paula „Siebenkäs“ (rozdział XXIII), szukał tych śladów w niéj przedewszystkiém. Niedziw, że oddawszy się badaniu temu z zamiłowaniem, odnalazł miejsca, które mu się wydały wielce podobnémi, chociaż krytykowi, przystępującemu na chłodno do oceny rzeczywistości tych podobieństw, zupełném złudzeniem się wydają. Jakoż ani z toku myśli ani z wyrażeń niepodobna wynaleźć dalekiéj nawet analogii pomiędzy słowami Mickiewicza: „Gdy na dziewczynę zawołają żono, już ją żywcem pogrzebiono“, a zdaniem Jean Paula, że dzień ślubu dziewczyny jest najdłuższym jéj dniem (*ihr längster Tag*—trudno przypuścić, ażeby p. Kallenbach czytał tu myślowo ihr *letzter* Tag, kiedy wydrukował poprawnie). Podobnież wprowadzenie „kołatka“ (*Trotzkopf*), który u Jean Paula ma przypominać zbliżającą się śmierć, a u Mickiewicza jest pokutującą duszą lichwiarza, nie posiada takich cech spólnego pochodzenia, ażeby go za przypadkowe poczytać nie wypadało. Sam zresztą autor nie przywiązuje wielkiéj wagi do tych szczegółów, lecz sądzi, że w ogólnym nastroju ducha, w podwyższonéj skali uczuć i pewném zabarwieniu mistyczném u Mickiewicza objawił się wpływ Jean Paula; nie daje jednak na to przekonywających dowodów; ponieważ zaś te czynniki równie istniały w Bürgerze, Goethem, Schillerze i innych poetach niemieckich, a specyalnych właściwości Jean Paula (humor kapryśny, melancholiczny) nie znajdujemy u Mickiewicza, musimy twierdzenie powyższe uważać za całkiem niedowiedzione. Poruszenie

jednak saméj kwestyi wpływu było potrzebném i to stanowi wraz z pozytywnemi zdobyczami badania, lubo drobnemi, zasługę p. Kallenbacha.

= *Adam Mickiewicz*. **Początek I księgi Pana Tadeusza w przekładzie na 9 języków europejskich**. (Lwów. Nakład Wł. Bełzy, 1888, str. 24; jest także tłómaczenie tego tytułu na francuski). — P. Władysław Bełza, który się tak gorliwie krząta około rozpowszechniania wiadomości o Mickiewiczu i jego utworach, podjął to wydawnictwo nie tylko dla dania bibliograficznéj notatki o przekładach „Pana Tadeusza“, lecz także w celu zwrócenia uwagi na to arcydzieło tych pisarzów tych krajów, które jeszcze przekładu jego nie posiadają. Wydanie ograniczone zostało do dwustu egzemplarzy, przeznaczonych wyłącznie dla bibliografów i bibliotek zwłaszcza zagranicznych. Mamy tu 22 początkowe wiersze „Pana Tadeusza“ naprzód oczywiście po polsku, a następnie w językach: czeskim (przekład Elizy Krasnohorskiéj), wielkorosyjskim (przekład Mikołaja Berga), małoruskim (przekład Kuźmy Wołyńca, który, jak się dowiadujemy z dopisku, ma gotowe tłómaczenie dwu ksiąg), białoruskim (przekład Wincentego Dunina Marcinkiewicza), francuskim (przekład wierszowany Wacława Gasztowtta), włoskim (przekład prozą Arigò Boito), hiszpańskim (przekład Leona Mediny), niemieckim (przekład Zygfryda Lipinera) i angielskim (przekład pani Maude Ashurst Biggs). Wydanie przedstawia się bardzo ładnie pod względem zewnętrznym; druk i papier bardzo dobry; poprawność znaczna.

= Znany z prac swoich nad życiem i pismami Heinego p. *Gustaw Karpeles* przygotował do druku i ma niebawem ogłosić (nakł. Roberta Oppenheima w Berlinie) **Autobiografią Henryka Heinego**, zebraną z pism prozaicznych, poezyi, listów, rozmów i nieznanych dotąd utworów samego poety, w ten sposób, iżby utworzył się całkowity zarys życia i twórczości, wszechstronnie rozważonych.

= **Podręcznik austryackiego prawa wekslowego**. *Napisał Dr. Józef Retinger*. (Kraków 1888, str. 166. Nakład. Żupańskiego i Heumanna). — Stały rozwój języka prawniczego polskiego w urzędach i sądownictwie Galicyi wywołał od niejakiego czasu dążność do wydawania nie tylko samych tłómaczeń ustawy, ale i dzieł obejmujących szerszy zakres. Dążność owa znajdując swój wyraz w całym szeregu poważnych publikacyi naukowych, jakiemi od pewnego czasu nieustannie wzbogaca się uboga jeszcze stosunkowo nasza literatura prawnicza, daje tém samém dowód coraz większego rozkwitu u nas téj gałęzi wiedzy i coraz większych na tém polu wyników naukowych. Do pokaźnéj liczby dzieł, jakiemi dział ten

wzbogacił się ostatnio, przybywa obecnie nowa, źródłowo opracowana książka dr. Retingera. Oprócz wzorowego przekładu tekstu austryackiéj ustawy wekslowéj, rozwinął tu autor szerszy pogląd na zasadnicze definicye pojęć prawa wekslowego w ogólności. Po krótkim wstępie, w którym podaje zwięzłą charakterystykę i pogląd historyczny na ustawodawstwo wekslowe od najpierwszych tegoż zawiązków aż do dzisiejszego jego stanu w poszczególnych państwach, poświęca autor dłuższy rozdział roztrząśnieniu dawnéj ustawy wekslowéj polskiéj z r. 1775. Ustawę tę przytacza dr. R. w całości, aby wykazać, iż w ogólnym zakresie była ona wielce zbliżoną do dzisiejszego ustawodawstwa wekslowego, a współcześnie w niczém nie ustępowała ustawodawstwu wekslowemu innych państw. Objaśnienia do tekstu austryackiéj ustawy wekslowéj i procesu wekslowego opracował autor z uznania godnym mozołem na podstawie orzeczeń i motywów Najwyższego Trybunału w Wiedniu, uważając ten rodzaj komentarza zupełnie słusznie za odpowiedniejszy dla praktycznego stosowania ustawy. Nie pominął też dr. Retinger i zdań teoretyków, wypowiedzianych w obfitéj austryackiéj literaturze prawa wekslowego, a nadto wyzyskał wyczerpująco cały dostępny materyał, zawarty w czasopismach prawniczych. Obok swéj niezaprzeczonéj naukowéj wartości jest książka d-ra Retingera niezbędnym podrecznikiem dla użytku prawników galicyjskich, a wydaniem jéj oddał autor licznemu ich zastępowi nie małą przysługę.

= Z dniem 25 lutego b. r. począł w Krakowie wychodzić miesięcznik poświęcony wyłącznie sprawom Towarzystw prawniczych polskich p. t. **Kronika prawnicza**. Pismo to jest organem założonego niedawno w Krakowie z inicyatywy ostatniego zjazdu prawników i ekonomistów, Towarzystwa prawniczego, a redakcyą tegoż objął profesor prawa politycznego w uniw. Jagiel. d-r Franciszek Kasparek. Nowy miesięcznik założył sobie przedstawiać wierny obraz działalności Tow. prawniczego krakowskiego a zarazem utrzymywać łączność tego towarzystwa z towarzystwami prawniczemi prowincyonalnemi i ożywiać ruch naukowy w téj sferze. Obok szczegółowych sprawozdań z przebiegu obrad w tych towarzystwach, „Kronika prawnicza“ zamieszcza w całości rozprawy i referaty odczytywane i rozbierane na owych posiedzeniach. Szereg tychże rozpoczął wykład prof. Kasparka: „O stanowisku prawném cudzoziemców.“ Staranność w układzie części redakcyjnéj i uporządkowaniu obfitego materyału dobrze wróży o przyszłości pisma, które na galicyjskim gruncie przyczynić się może istotnie do wzmożenia ruchu naukowego w dziedzinie nauk prawnych.

= **Sonety Józefa Orłowskiego**. *Lwów 1888*.—Nie wielki ten zbiorek „Sonetów“ obejmuje cztery cykle, każdy z kilku utworów złożony i w pewną całość zaokrąglony. Pierwszy z nich zatytułowany „Sonety lwowskie“ ma za przedmiot wspomnienie historyczne z przeszłości Lwowa i okolicy, drugi zawiera wiersze okolicznościowe „Z życia“, trzeci erotyki, czwarty zaś poświęcony jest wspomnieniom Nowego roku. Z nieudolną formą, znamionującą początkujące pióro, rywalizuje w tych płodach brak głębszéj myśli i tendencyi, a wszędzie na pierwszy plan występuje przestarzały romantyzm. Historyczny cykl grzeszy brakiem umiejętnie ułożonego planu i konsekwencyi myśli, obrazki z życia rażą nienaturalnym sentymentalizmem, a erotyki, najudatniejsze stosunkowo co do formy, zdradzają manierę. Widocznie zresztą sam autor nie jest zbyt wymagającym w swych żądaniach, gdy mu „rąbek chmurnego obłoku“ wystarcza do szczęścia, i przypuszczać można, że tego rodzaju wylew wezbranego uczucia ulżyć musiał niemało duszy trawionéj gorączką poetycką. Dla chłodniejszego dzisiejszego pokolenia utwory p. Orłowskiego nie mogą się wydać czém innném, jak poronionemi płodami chorobliwéj i na niewłaściwe tory skierowanéj fantazyi zapóźnionego romantyka.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Występy artystów petersburskich w Warszawie.—Żyjemy w epoce pary i elektryczności!—Saski ogród leczy ze złudzeń.—Niecierpliwość młodzieży.—Zwątpienie starszych.—Obawy ogółu co do czasów przyszłych.—Żółwi krok rzeczywistości.—Stare rany.—Byt robotników wiejskich lat temu kilkadziesiąt i dziś.—Konkurs z inicyatywy studentów.—Artykuł „Wieku“ o parobkach i najemnikach.—Straszny obraz nędzy materyalnéj i moralnéj niedoli.—Świat, gdzie kradzież nie jest występkiem!—Jaki robotnik jest najdroższy?—Co robić?—Ile powinien zarabiać ojciec rodziny?—Pomysł Libelta.—Czego się nauczyć możemy od szlachetnych alchemików socyologii?—Najemnicy.—Robota „na wydział“.—Wątpliwości, czy się u nas robota taka przyjmie.—Płaca od sztuki i wynagrodzenie dzienne.

W ubiegłym miesiącu w Teatrze Wielkim w Warszawie dało kilka przedstawień towarzystwo artystów dramatycznych z Teatrów cesarskich w Petersburgu. Odegrano „Pskowianka“ p. Meja, „Na czasie“ przez nieznanego autora, „Rozwiedźmy się“ p. Aleksandrowa, „Dziwny zbieg okoliczności“ p. A. R-na, a także drobną sztuczkę Paillerona „Iskierka“, zlokalizowaną przez p. Pleszczejewa. Na wyróżnienie krytyki i widzów zasłużyli: p.p. Warłamów, Korwin-Krukowski, Szewczenko, oraz panie Wasiljewa, Czystiakowa, Ponomarewowa i Aleksandrowa.

Żyjemy w epoce pary i elektryczności! Niezaprzeczoną tę prawdę powtarzamy często i kłujemy nią siebie i innych jak ostrogą, pobudzając do tem większego pośpiechu. Szczególniéj mieszkańcy dużych miast skłonni są do przejęcia się tym pewnikiem. Życie otaczające pędzi z oszałamiającą szybkością, wypadki mijają się i migają w oczach naszych jak bicykliści na wyścigach, wszystko dokoła dąży gdzieś, śpieszy. Fotografują *à la minute*, bilety wizytowe drukują *à la minute*, nawet śniadanie jedzą *à la minute*. Dorożki, tramwaje, posłańcy biegną we wsze strony: na koniach i ludziach widać pośpiech. Kogo spotkać czasu nie ma, bo go nagli pilny interes. Gdyby nie pełne godności całodzienne defilady tłumów przed strojnie ugarnirowanemi ławkami Saskiego ogrodu, gdyby nie bezustanne zaludnienie werend i bilardów w cukierniach, można by na-

wet Warszawę—którój przecie daleko jeszcze do Londynu i Paryża—przyrównać do kotła z wrzącą wodą.

Pośpiech otoczenia odbija się na przedsięwzięciach jednostek. Młodzi szarpią krępujące ich munsztuki, pragnąc jak najprędzéj w czyn zamienić dobre swe chęci. Jedni są przeświadczeni, że co się dziś nie da uskutecznić, to zduszoném zostanie na wieki tłuszczem egoizmu. Inni sądzą, że zbawcze reformy, że wielkie rewolucye są tak bliskie, jak pękanie lodów w marcu, i lękają się, aby dzieło odrodzenia nie zostało dokonane bez ich udziału. Ale i starsi reformatorowie trapią się nieraz wątpliwością, czy ludzkości nie zgnębią do reszty klęski, zanim przyjąć się zdoła zbawczy ich przepis. Jak niegdyś Aleksandra Wielkiego dręczyła obawa, aby jego ojciec nie podbił świata całego, zostawiając mu tylko jednostajność spokojnego panowania, a Radziwiłł lękał się, że mu Rejtan wszystkie niedźwiedzie powybija, kiedy on będzie w Warszawie,—tak i dzisiaj, jeżeli nie ogół, to w każdym razie liczne jednostki niepokoją się, czy jeszcze zostały w kole życia jakie ważniejsze losy. Iluż to ludzi zdejmuje trwoga, że pola pracy nie znajdą, bo wszystkie warsztaty już zajęte; że furtki do majątku, do karyery, do sławy właśnie zamykają się, że ryb w wodzie, ptastwa w powietrzu, zwierzyny w lasach zabraknie. Trzeba się śpieszyć, choćby płuca pęknąć miały, a urwać coś z reszty kończącego się świata dawnego, obfitego w dary różnorodne.

Jakże wśród takiéj gorączki pozostać zimnym i nie wpaść w tempo ogólnego prądu! Ciągle i zawsze lękać się trzeba: czy nie zapóźno!

Ale oderwijmy tylko oczy na chwilę od zgiełku osobistych kłopotów, oddalmy punkt widzenia, a zmieni się zaraz obraz cały. Jakże irytująco powolnym jest rozwój życia! Gdzie tam para, gdzie elektryczność,—to krok żółwia, który pełznie powoli i odpoczywa co chwila. Z iluż to ran społecznych sączy się krew dziś jeszcze, choć o zagojeniu ich myśleli już dziadowie i pradziadowie. Pracowali i cierpieli, a owoców nie widać ani z téj pracy, ani z tych cierpień. Ile nędzy, nieszczęść, cokolwiek zaledwie złagodzonych parowiekowymi wysiłkami uczonych, polityków, filantropów. Serce cierpnie, gdy się na to wszystko spojrzy i rozważy.

Bardzo palącą kwestyą u nas jest nieszczęśliwy dziś, niepewny jutra byt parobków i najemników wiejskich. Przejmował on troską czujniejszych obywateli lat temu wiele, nawet wtedy, kiedy poniżenie ogółu chłopskiego zaćmiewało go swymi rozmiarami. Budziły się dążenia ulepszeń, powstawały projekty.. i dziś tyleż co wtedy, a może więcéj niedoli trawi nasz organizm. Trudno było by so-

bie w téj chwili przypomniéć wszystkie prace, jakie poświęcono téj kwestyi, najbardziéj jednak gruntowną była, zdaje się, broszura p. Ludwika Górskiego, wydana 28 lat temu przy „Rocznikach gospodarstwa krajowego“.

Obecnie troskę o polepszenie doli proletaryatu wiejskiego postawiono znowu na porządku dziennym. Obowiązkiem jest prasy, obowiązkiem każdego obywatela, współczującego nędzy, dbałego o pomyślność ogółu, nie pozwolić aby raz jeszcze uwaga powszechna zasnęła na lat wiele, nie sprowadziwszy żadnéj zmiany. Dziś, jak przed ćwierć-wiekiem, zajść muszą w stosunkach rolniczych zmiany. Jesteśmy w epoce przesilenia. Dziś prędzéj niż kiedykolwiek można coś wykołatać: osoby interesowane, zagrożone we własnym bycie, łatwiéj nadstawią ucha na rady i wskazówki.

Rok czy półtora roku temu studenci szkoły rolniczéj w Puławach złożyli rs. 200 jako nagrodę konkursową za najlepszy projekt właściwego wynagradzania oficyalistów i robotników w gospodarstwie rolném, oraz ubezpieczenia ich bytu na starość lub w razie kalectwa; „Gazeta Rolnicza“ do zaofiarowanéj sumy dołączyła 100 rs. od siebie. W sądzie konkursowym spotkali się ludzie najrozmaitszych kierunków, poczynając od szczytów zachowawczych do krańców radykalizmu. Wyrok zapadł w tych dniach, ale niestety żadna z nadesłanych prac na nagrodę nie zasługiwała, odznaczono tylko względnie najlepszą rozprawę p. Bolesława Zdziarskiego. Postanowiono dać mu 150 rs., drugą zaś połowę zwrócić studentom.

Jednocześnie tęż samą sprawę podnosi „Wiek“ w sześciu artykułach zatytułowanych: „W kwestyi robotników wiejskich“. Ponieważ Wiek ma reputacyą pisma szlacheckiego, a autor zdaje się być ze sprawą obeznanym dokładnie i bezpośrednio, więc przesady co do czarnéj barwy przypuszczać tam nie możemy, a pomimo to zobaczmy, jak obraz ponuro wygląda.

Materyalne położenie parobka było zawsze bardzo liche. Praca ojca nie wystarczała nigdy na utrzymanie rodziny. Żona i dzieci musiały chodzić na zarobek, który téż był tak szczupły, że gdy kartofle na wyznaczonym przez dwór zagonie nie urodziły, jeśli główna karmicielka—krowa zdechła, wtedy straszny głód był towarzyszem ciężkiéj nieustannéj pracy. Od roku 1876 położenie się pogorszyło i pogorsza wciąż. Moneta obiegowa straciła połowę niemal swéj wartości, wszystko zdrożało, a zarobki proletaryatu wiejskiego niepodniosły się. Brzemię nędzy się wzmogło, dławi straszniéj, głód wysysa resztki sił całéj licznéj klasy, któréj udział w pracy jest ważny, znaczny. Łatwo sobie wyobrazić, czém jest choroba w takiém położeniu. Łatwo pojąć, do czego spaść musi moralna strona życia rodziny, pozbawionéj wszystkiego—nawet nadziei.

„Czyż tedy można się dziwić—pisze organ ziemiaństwa,—że parobek wiejski, przyciśnięty straszną koniecznością, złamany niedolą i pozbawiony wszelkich innych sposobów ratunku, chwyta się ostatniego, jaki mu jeszcze pozostał... kradzieży?“

Co znaczą, co pomogą wobec okropnéj konieczności wszelkie utyskiwania na niesumienność, na zepsucie służby wiejskiéj? Ze słów autora artykułu wynika, że skarżyć się na złodziejstwo parobka, to tož samo, co narzekać, że powietrze nie zatrzymuje rzuconego do góry kamienia.

Na tém nie koniec; każde złe jest jakby pierwszém ogniwém łańcucha. Czém mogą być dzieci, nie wychowywane, bo ich nikt nie wychowuje, ale wzrosłe w atmosferze nędzy i zepsucia? Na to pytanie odpowiada „Wiek:“ „będą zręczniejszymi i ostrożniejszymi złodziejami.“ A więc złodziejami dziedzicznymi, z urodzenia, na których nowoczesna psychologia ma jeden tylko środek: usunąć ze społeczeństwa ludzkiego zupełnie i na zawsze.

To są skutki moralne opłakanego stanu wielu tysięcy rodzin, do tego dołączyć należy zgubne wpływy ekonomiczne.

Przed kilkunastu laty w Manchester robotnicy i robotnice przędzalni bawełnianych urządzili wielkie i długotrwałe bezrobocie. Dochody urwały się, trzeba było żyć z dawnych oszczędności i ze szczupłych zasiłków kasy robotniczéj. Z pogorszenia się warunków ekonomicznych oczekiwać należało wzrostu śmiertelności wśród dzieci. Tymczasem miało miejsce zjawisko wprost przeciwne—dzieci umierało mniéj. Obecność matek w domu, ich opieka nietylko zrównoważyły, ale nawet przeważyły gorsze warunki materyalne. Ten fakt wywołał w swoim czasie wielkie poruszenie. W różnych kołach roztrząsano społeczne korzyści i szkody z pracy matek po za domem. W r. 1884 komisya, wydelegowana przez Akademią paryską, oświadczyła się przeciwko pracy zarobkowéj kobiet i zwróciła uwagę na fatalne skutki téj pracy nawet pod względem ekonomicznym. Głosy różnych uczonych przyłączyły się do tego orzeczenia.

Jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym szkodliwość zjawiska potęguje się przy przejściu na grunt mniéj uprawiony przez cywilizacyą. Robotnicy manchesterczy, wychodząc na robotę, dzieci swoje zostawiają pod opieką nadzorczyni w dobrze zorganizowanéj ochronie, lub przytułku. U nas, mniejsze porucza się łasce Opatrzności, lub powierza pieczy Burka; starsze nieco wyprawić trzeba z pastuchami na wygon, jeszcze nieco starsze idą do ciężkiéj pracy, która nie da im nigdy należycie wyróść, ani rozwinąć się.

Skądże ta część ludności ma późniéj znaleść siłę i energią do pracy! Przywalona nieustannie nadmierną robotą, odżywia się źle, nie dosypia prawie nigdy, w zimie dni i nocy, w lecie nocy spędza w trującéj atmosferze?

Co wart późniéj taki robotnik? Czy możliwą jest z nim sprężystość w gospodarce, pośpiech w chwili potrzeby? Czy można mu zaufać, czy można liczyć na niego? Zidyociały wskutek strasznych warunków życia, ma wszystkie wady martwéj maszyny i ani jednego jéj przymiotu!

Słusznie twierdzi autor powołanego artykułu, że pomimo lichego wynagrodzenia, parobek nasz droższy jest od najwyżéj płatnego robotnika amerykańskiego. Tamten bierze za pięciu, ale robi za dziesięciu.

„Wiek“ widzi możność wyjścia z tego opłakanego stanu, a jako piérwszy środek zaleca znaczne podwyższenie ordynaryi i pensyi. Nam ten środek wydaje się nateraz nietylko piérwszym, ale i najważniejszym. Należało by nań wielki nacisk położyć i zwracać nieustannie uwagę interesowanych zarówno drukiem jak i ustnie na zjazdach, posiedzeniach itd. Dzisiaj tak rzeczy stanęły, że, chcąc się ratować przed naciskiem zwiększonéj i obostrzonéj konkurencyi, trzeba prowadzić gospodarstwo nakładowe. Takiéj rady udziela Galicyi p. Szczepanowski, toż samo zalecają ziemianom w Królestwie wszyscy znawcy téj sprawy. Spotęgowanie siły roboczéj przez powiększenie nakładu jest cząstką tego programu. Zdaje nam się, że niepotrzeba się tu uciekać do frazesów i wzywać w imię dobra publicznego, bo bankrutujący posiadacz, niepewny jutra dla własnéj rodziny, argumentu tego nie zrozumie i nie odczuje. Prawdopodobnie da się wyrachować, że interes własny, materyalny, potrzeba ratowania mienia dla siebie i dla dzieci, wymaga podwyższenia płacy, i że jest to tylko dobre ulokowanie kapitału. Kradzież zwykle przynosi właścicielowi większą stratę, niż rzecz sama warta, a złodziejowi mniejszy pożytek. Należy dać służbie takie warunki, aby kradzież przestała być koniecznością, a stała się występkiem.

Normalne, umoralniające życie rodzinne tam tylko rozwijać się może, gdzie ojciec jest w stanie zapracować sam jeden na utrzymanie wszystkich. Odrywanie matki do pielenia lub żniwa dzień w dzień pcha dzieci do wykręcania gniazd wróblich, do zrywania gruszek w cudzych ogrodach, a wreszcie i do większych występków, wpływa szkodliwie na odżywianie się, na czystość, więc i na zdrowie całego domu. Zarobek powinien tak być obliczony, aby starczył dla całéj rodziny. Jest to wymaganie wspólne dziś wszystkim niemal poważnym reformatorom na zachodzie.

Stanowi to naturalnie połowę tylko sprawy, dotyczy zapewnienia bytu na dzień dzisiejszy, młodym, zdrowym i silnym. Pozostaje jutro, pozostają biédacy, którzy utracili możność pracowania. Co do tego, zadanie o wiele trudniejsze, i chyba je wypadnie pozostawić pokoleniom dalszym i szczęśliwszym; załatwienie śpieszne i pomyślne pierwszéj połowy było by już wielkiém dziełem. A przytém, bodaj czy trwalsze ugruntowanie losu warstwy całéj, osłonięcie jéj przyszłości przed klęskami niemocy i wypadków da się dokonać na drodze inicyatywy prywatnéj, czy gdziekolwiek uda się dojść w tym kierunku do stalszych rezultatów bez udziału władzy prawodawczéj?

Autor z „Wieku“ proponuje inne jeszcze różne środki w celu moralnego podniesienia parobków i uczynienia z nich produkcyjniejszéj siły. Radzi on zwracać uwagę na odpowiednie zarządzanie robotą i umiejętne skierowywanie ludzi do pewnych rodzajów czynności, aby każdy mógł najwłaściwiéj zużytkować swe uzdolnienia. W ten sposób wykształci się zamiłowanie, pracowitość. Daléj zwraca „Wiek“ uwagę, jak właściwą i pożyteczną rzeczą byłoby powiększanie płacy w miarę lat przesłużonych. Oświadcza się przeciwko naddatkom przy kwartalnych obrachunkach i nadawaniu drobnych działek ziemi. Piérwszy środek nie wywiera żadnego skutku na parobków, drugi powiększa tylko liczbę - jak pokazało doświadczenie w Poznańskiém i w Prusach—mało produkcyjnych „karłowatych“ gospodarstw. Nie bardzo także autor nasz zaleca szerokie stosowanie tak zwanych tantyem, t. j. dodatków od ilości wykonanéj dziennie pracy; natomiast twierdzi, że tantyemy, obliczane od czystego dochodu z całego gospodarstwa i rozdzielane między wszystkich zatrudnionych w niém robotników, w stosunku do pobieranych przez nich zasług, przedstawiają niemal wszystkie warunki dzielnego środka zachęty do pracy i bezpośredniego wpływu na podniesienie dobrobytu robotnika.

Na zakończenie „Wiek“ przytacza pomysł Libelta, wyrażony niegdyś w broszurce: „Koalicya kapitału i pracy“, a polegający na dopuszczeniu robotników do współwłasności. Odtrąciwszy jakiś szczegół co do sposobu zarządu majątkiem, autor uważa cały projekt uczonego poznańskiego za możliwy do wprowadzenia w życie, a główną dobrą stronę jego widzi w tém, iż proletaryat staje się odrazu właścicielem, „rozszerza się jego żywa, czynna osobistość“. „Własność jest najdzielniejszym bodźcem, podnoszącym moralnie tych, którzy żadnych innych moralnych zasobów nie mają“.

Sądzę, że projekt Libelta posiadać tylko może znaczenie świadectwa jak szlachetny ten mąż troszczył się o los upośledzonych, jak gorąco pragnął polepszyć ich twardą dolę. Broszura napisana zo-

stała w epoce urodzajnéj w utopije. Nad umysłami panowali przez swoje dzieła i przez swoich uczniów: Saint-Simon, Fourrier, Cabet; była to złota doba socyalizmu, świeżo sprzymierzonego z demokratyzmem i zrewolucyonizowanego przez ten związek. Socyologowie, którzy nie zgadzali się na projektowane przez komunistów przewroty państwowe, chcieli w ten sposób wytrącić z rąk gwałtownych nowatorów broń, że sami budowali projekty bardzo radykalnych przemian. Pomysł Libelta nosi na sobie cechy takiego właśnie zamiaru.

Te czasy, których punktem środkowym, owocem i wyrazem były ruchy 1848 roku, posiadają wiele uroku; ludzie, którzy wycisnęli na nich piętno swego charakteru i dążności jaśnieć będą w historyi wielu cnotami, można się z ich dzieł i życia uczyć miłości dla upośledzonych, ale bodaj czy da się wyszukać wskazówek dla skutecznéj pracy na przyszłość. Przez ostatnie kilka lat dziesiątków dzieje nagromadziły wiele nowych cennych doświadczeń, nauka zdobyła wiele ważnych prawd. Założenie i charakter nauk społecznych uległy zupełnéj przemianie. Szlachetni działacze z przed 48 roku byli przeważnie alchemikami socyologii.

Prócz parobków należy zwrócić także uwagę na wiejskich najemników dziennych. Stanowią oni także dużą siłę roboczą, a stan ich materyalny i moralny jest również jak pierwszych okropny. Tu naturalnie powtórzyć należy to, co się tam powiedziało o potrzebie wyższego wynagrodzenia, bo w obec takich środków do życia, które jedynie mogą przedłużyć konanie z głodu, o żadnéj zmianie myśléć niepodobna. Ale w danym wypadku występuje inne jeszcze pytanie, które „Wiek“ roztrząsa. Czy należy zaprowadzić pracę „wydziałową“ inaczéj zwaną „na akord“, czy też trzymać się dotychczasowéj metody, wykonywując każdą czynność za pomocą bezładnie zgromadzonych robotników, płatnych odpowiednio do zużytego czasu.

Najemnik dzienny — według autora z „Wieku“ — myśli o tém tylko, aby robiąc jak najmniéj, najmniéj téż wytężać swe siły; wprawia się wciąż tylko do próżnowania i dochodzi pod tym względem do wysokiéj doskonałości. Pracujący na wydział — przeciwnie. Myśli o sposobach ułatwienia sobie roboty, aby zrobić jak najwięcéj, aby wszystkie swe siły produkcyjnie zużytkować. Roboty akordowe wspólne, w których kilku lub kilkunastu ludzi bierze udział, a następnie dzieli się zarobkiem, rodzą we wspólnikach poczucie organizacyi sił, podziału pracy, wzajemnych obowiązków i wspólnych korzyści, a te pierwsze idee, zrodzone na gruncie doświadczenia, nie zaś w sferze oderwanych pojęć, lub dogmatów, stanowią trwałą podwalinę „r z e t e l n é j c y w i l i z a c y i“!

Nie będę wdawał się w domysły, jaką cywilizacyą nazywa szanowny autor rzetelną, a jaka jest fałszywa; nie będę również roztrząsał, czy istotnie roboty „akordowe wspólne“ mają takie wysokie znaczenie moralne. W danéj kwestyi chodzić powinno przedewszystkiém o to, czy postawiony projekt nie jest kanarkiem na dachu, pobożném westchnieniem, czy da się łatwo wcielić w życie w chwili obecnéj. Nie znając stanu rzeczy zblizka, na gruncie — co ma, zdaje się, za sobą autor artykułu — nie myślę bynajmniéj nic orzekać, tém niemniéj niech mi wolno będzie wyrazić wątpliwość, czy u nas w bieżącéj dobie, przy rozwiniętym silnie systemie parobczanym można dojść rychło do urządzenia na wsiach robót zbiorowych „na akord“. Nie widzę przygotowania do téj reformy, nie widzę materyału, z którego dała by się łatwo ulepić organizacya na wzór wielko-ruskiéj a r t i e l i (autor sam wskazał na podobieństwo pomiędzy tym sposobem prowadzenia robót i proponowaną przez siebie inowacyą). Roboty wiejskie przy dotychczasowym trybie, przy dążności do uprawy roli i sprzętu za pomocą maszyn i służby stałéj, mało dają bodźca do tworzenia się jakichś grup lub stowarzyszeń wśród robotników wiejskich. Najemnik odgrywa podrzędną, dopełniającą rolę, musi być jedynie wykonawcą, a z biegiem czasu wskutek udoskonaleń technicznych bierność ta potęgować się jeszcze musi; zapełnia on i zapełniać będzie niejako luki, których objąć nie jest w stanie maszyna i parobek.

Robotnicy czasowi rekrutują się przeważnie z małorolnych gospodarzy. Dla nich pójście do roboty na cudzy zagon jest czynnością dodatkową. Wątpić więc można, czy przy niewyrobieniu w chłopie naszym ducha asocyacyi, przy małém zaludnieniu wiosek, przy zwróceniu głównéj uwagi na uprawę pola własnego,—czy przy tych wszystkich warunkach dały by się prędko zorganizować jakieś zbiorowe przedsiębierstwa, które przytém z rokiem każdym traciły by racyę bytu, wskutek niezaprzeczenie szybkiego rozwoju techniki i zwycięskiego wkraczania maszyn do każdego rodzaju produkcyi.

Wobec tego kwestya sprowadzi się do pytania, stawianego nieraz przy rozważaniu stosunków fabrycznych: czy robotnikom płacić od s z t u k i, czy d z i e n n i e?

Pytanie to od lat dawnych zajmowało, zajmuje, i zajmować długo jeszcze będzie wszystkich w tych krajach, gdzie sprawa robotnicza jest coraz bardziéj naglącém zagadnieniem społecznėm. Lat temu 6-ć, czy 7-m rozprawiano o niéj gorąco w Paryżu w syndykatach, na mityngach, w warsztatach i w kawiarniach. Impuls dały bezrobocia, jakie w owym czasie wybuchnęły, naprzód stolarzy, potém ślusarzy itd. Słyszałem wtedy wiele sporów, debatów, uwag i wyjaś-

nień na zebraniach i od znajomych robotników Francuzów i Polaków. Do narad należały wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem naturalnie socyalistów. Ci stoją na zbyt górnych wyżynach, aby mogli dostrzedz jakiś szczegół. Przebudować świat cały—to dobrze, ale mniejsze przedsięwzięcia zostawiają „burżuazyi“. Zbyt mocno wierzą w doktrynę, aby potrzebowali coś rozpatrywać; znajdują w niéj tak stanowcze odpowiedzi, że nie widzą potrzeby narad. Zbyt są przeświadczenie o niemylności swych mistrzów, aby mogli nie tylko zastanowić się nad cudzém zdaniem, ale go nawet bez ironicznego uśmiechu wysłuchać.

Kwestya, czy zarobek ma się rachować według czasu, czy według rezultatów pracy ma dwie strony, sprzeczne z sobą, i dla tego narady do tryumfu jednego zdania nie doprowadziły. Jedni nadają główne znaczenie jednéj, drudzy drugiéj stronie kwestyi, stąd nie dające się usunąć różnice żądań.

Fabrykanci i lepsi robotnicy żądają wynagrodzenia od sztuki. Gorsi wyrobnicy, a tych jest ogromna większość, wolą dzienny rachunek. Ze względu na ilość produkcyi, na oszczędność czasu, pierwsze żądanie jest o wiele słuszniejsze. Jeżeli wartość pracownika nie ocenia się przy zapłacie, to najnieudolniejszy robotnik staje się normą, do niego stosują się wszyscy, sił się wiele traci, wybitni i zdolni robotnicy nie mają pobudki do rozwinięcia pilności i energii.

Jestto jedna strona sprawy.

Gdyby niezdolność robotnika była zawsze wynikiem lenistwa, to ludzie nie zainteresowani mogli by wydać jeden tylko sąd. Ale ileż się razy zdarza, że najgorętszą chęć pracy paraliżuje brak sił, organiczny brak zręczności i tępość umysłowa. Ci ludzie jednak potrzebują dla siebie, dla swych rodzin tyleż, co ich koledzy szczęśliwiéj obdarowani. Czyż należy im utrudniać walkę o byt? Żądania opinii, instytucye stawać przecie powinny w obronie słabszych, opiekować się mniéj udolnymi.

Jak rozstrzygnąć ten spór, jakim racyom dać pierszeństwo? Sądzimy, że to zależy od warunków—od czasu i od miejsca. Tam, gdzie, jak u nas w téj chwili, przedewszystkiém na widoku należy mieć wydajność, bo jeżeli ta upadnie, to wszystkim może zabraknąć chleba powszedniego, a bezlitośna konkurencya sąsiadów w żadnym względzie bankrutów oszczędzać nie będzie, to może należałoby zacząć od środków, wzmagających przedewszystkiém produkcyą. Do tego dążą rady autora artykułu w „Wieku“. Sądzimy, że w prasie naszéj jeszcze nieraz spotkamy się z dyskusyą nad tym przedmiotem.

Ludwik Straszewicz.

Jeszcze o Banku poznańskim. — W sprawie alimentacyi Warszawy. — Wizyta w Studzieńcu.

W przeszłym zeszycie „Ateneum“ wspomnieliśmy o usiłowaniach i nadziejach wprowadzenia zabagnionéj sprawy banku poznańskiego na lepsze tory, a mianowicie nadania mu charakteru wyłącznie parcelacyjnego, w celu dopomożenia włościaninowi polskiemu do nabycia i utrzymania kawałka ziemi, którego chłop poznański, wypierany przez falę germańską, niejednokrotnie aż za oceanem szukać musi. W wypowiedzianéj wzmiance byliśmy wyrazicielami nie tylko osobistych poglądów, ale i zbiorowych życzeń poważnéj grupy akcyonaryuszów banku poznańskiego. Obecnie otrzymujemy wiadomość, że w pierwszéj, połowie lipca ma się odbyć w Poznaniu walne zebranie akcyonaryuszów banku, a jednocześnie dochodzą nas niepokojące pogłoski o nacisku, jaki niektórzy posiadacze ziemscy w Poznańskiém na pewną część akcyonaryuszów, najbliższych swych współobywateli, wywrzéć jakoby usiłują.

Pogłoski te, gdyby były prawdziwe, taki wykazywałyby zanik rozsądku i poczucia narodowego w Poznańskiém, że uwierzyć w nie zaiste trudno. Czyż jest bowiem do wiary podobną wieść, że sumy złożone w znacznéj, w przeważnéj nawet części z po za obrębu Poznańskiego, złożone w imię sprawy publicznéj i na korzyść téj sprawy, pewna część panów poznańczyków chciałaby rozdrapać na przedłużenie agonii finansowéj indywiduów, które, niepamiętne na obowiązki osobiste, rodzinne, obywatelskie, narodowe, strwoniły swoją ojcowiznę. Podobny użytek z cudzego grosza, na cel publiczny oddanego, byłby nadużyciem dobréj wiary ofiarodawców, byłby—nazwijmy rzecz po imieniu—kradzieżą cudzego grosza.

To też nie wierząc w te fatalne wieści i zaznaczając jedynie fakt ich istnienia, zastanówmy się nad ważną kwestyą, która ma być przedmiotem narady akcyonaryuszów, a mianowicie: czy bank ma, czy téż nie ma istniéć i w razie odpowiedzi twiedzącéj na pytanie pierwsze, w jakim kształcie istniéć winien?

Że nadzieje społeczeństwa naszego co do doniosłości projektowanego banku w przeciwdziałaniu germanizacyi Poznańskiego zawodnemi się okazały, to chyba w obecnéj chwili dla każdego już widoczne.

Chodzi tylko o stopień tego zawodu. Chodzi o to, czy—mówiąc językiem matematycznym—działalność banku da się wyrazić przez ilość znacznie drobniejszą wprawdzie od spodziewanéj, ale zawsze dodatnią, — czy będzie przedstawiać zero, czy też ilość ujemną.

Ilością ujemną nazwałbym taki wypadek, jakiego każą się obawiać fałszywe, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wieści o grożącém rostrwonieniu grosza publicznego na podtrzymanie wegetacyi garstki szkodliwych społecznie jednostek. Nazywam je szkodliwemi nie dla tego, bym wszystkich upadłych finansowo za brudnych moralnie poczytywał. Nie;—między zbankrutowanymi, lub mającymi jutro zbankrutować przedstawicielami własności większéj w Poznańskiém mogą być ludzie, których osobiście surowo sądzić niepodobna, z uwagi że „nie wiedzieli, co czynili“. Nie zła wola, lecz niedołęstwo, brak myśli, woli, charakteru, brak podnioślejszych nad próżnowanie i użycie aspiracyi były przyczyną ruiny majątkowéj prawie wszystkich tych panów. A jednak, z wyjątkiem nielicznéj garstki takich, którzy stracili mienie tylko w skutek losowych klęsk, i takich, którzy pokutują za winy cudze, za winy ojców swoich, wszystkich pozostałych, chociażby osobiście najsympatyczniejszych, nie waham się nazwać szkodliwą społeczeństwa naszego zarazą. Dotknięci tą zarazą—próżniactwem i życiem nad stan—nie dość że giną sami, ale przykładem, wciąganiem w swe koła młodzieży, nadawaniem zgubnego „tonu“ całéj klasie społecznéj, na innych zarazę przenoszą, śmierć w około siebie sieją. Im to właśnie zawdzięczamy, że wielcy świata tego pozwalają sobie urągać nam publicznie, wysyłać nas do Monaco, rzucać w oczy obelgę: żeśmy do tego stopnia upadli, iż między ludźmi myśli i pracy miejsca dla nas nie ma,—że jaskinie szulerskie, domy nierządu, najbezecniejsze nory, to odpowiednie dla nas otoczenie. I takich to ludzi, sprawców naszéj niesławy mybyśmy mieli ofiarami grosza publicznego podtrzymywać!?! Kiedy dżuma, lub trąd w jakiéj okolicy się szerzy, wówczas nie o dogodnościach zarażonych jednostek, lecz o uratowaniu tych, którzy jeszcze nie są zarażeni przedewszystkiém myśléć należy. A więc usuwa się zarażonych, odgradza ich kwarantanną,—jedném słowem całą uwagę zwraca się na zabezpieczenie zdrowych.

Gdybyśmy postąpili inaczéj w Poznańskiem, bylibyśmy podobni do człowieka, który, chcąc ocalić jeden palec, pozwala gangrenie stoczyć cały organizm.

Niezależnie od bezużyteczności, a nawet w pewnéj mierze szkodliwości sztucznego podtrzymywania agonii bankrutów, zmarnowanie grosza publicznego pociągnęłoby jeszcze inne fatalne skutki. Ofiarność na cele publiczne nie jest cechą wybitną naszego społeczeństwa w zwykłym jego nastroju. W chwilach nagłych podrażnień zapalamy się łatwo jak słoma, ale téż jak słoma prędko gaśniemy.

Jeżeli jeszcze i ten słaby popęd do ofiarności będziemy przygaszać przez smutne przykłady strwonienia ofiarowanego grosza,

możemy dojść do tego, że na cele najniezbędniejsze, na potrzeby konieczne żaden worek się nie rozwiąże. Łatwo przewidzieć, że nie jeden akcyonaryusz zobaczywszy, iż jego zapracowany nieraz ciężko i od własnych potrzeb odjęty grosz, zamiast iść na cel publiczny, trafił do kieszeni jakiegoś darmozjada, niczém się już w przyszłości skłonić nie da do złożenia datku na jakiekolwiek cele społeczne.

Oto są przyczyny, dla których nazywam rozpożyczenie grosza banku poznańskiego bankrutującym właścicielom ziemskim za rezultat najgorszy ze wszystkich możliwych.

Lepszém już—względnie, oczywiście—byłoby zwrócenie grosza akcyonaryuszom. Nie zrobiłoby się wprawdzie nic, byłoby zero, ale nie byłoby zbyt poważnych skutków ujemnych na przyszłość. Nie jeden z akcyonaryuszów zwrócony mu wkład użyłby z pewnością znowu na jaki cel publiczny, ufny z doświadczenia, że jeśli zamierzone projekta często u nas nie przychodzą do skutku, to przynajmniéj nie spotykamy się z rabunkiem ofiar pieniężnych.

Najlepszym jednak, chociaż znacznie drobniejszym od zamierzonego, rezultatem byłoby założenie z tą sumą jaka już jest prawie zebrana, tj. z milionem marek skromnego przedsiębiorstwa parcelacyjnego. W majowym zeszycie „Ateneum" pisałem, dla czego uważam bank parcelacyjny w Poznańskiém za najodpowiedniejsze przedsiębiorstwo finansowe w celu przeciwdziałania naporowi germanizmu.

Obecnie dodam tylko, że na czele takiego banku o skromnym, parcelacyjnym zakresie działania nie potrzebaby już stawiać, finansisty-bankiera (o trudność znalezienia finansisty rozbił się projekt banku z szerszym zakresem działania), ale dość będzie postawić dobrego urzędnika gospodarczego, uczciwego zdolnego i energicznego administratora (czyżby i taki nie był możliwy do znalezienia w całém Poznańskiém?) i że administratorowi koniecznem byłoby wyznaczyć przyzwoite, dostatnie wynagrodzenie i udział w ewentualnych zyskach przedsiębiorstwa. Złożyć ofiarę ze stu, a nawet tysiąca marek może nie jeden, ale złożyć ofiarę z całego swego czasu nie może żaden człowiek pracy. Jeżeliby przeto stanowisko kierownika banku parcelacyjnego pozostało bezpłatném, to objąć by je mógł albo jakiś wycofowany od zajęć emeryt, albo ktoś mający inną, przynoszącą mu dochód pracę. W jednym i drugim wypadku sprawy banku nie mogłyby iść energicznie, a wynikłe ztąd straty byłyby z pewnością nieporównanie większe, od cyfry wysokiéj nawet pensyi i dywidendy dyrektorskiéj.

Przy takich warunkach bank parcelacyjny mógłby rozpocząć skromną, ale trwałą działalność, może zaś po pewnym czasie zna-

źli by się niewierni, lecz chętni do nawrócenia Tomasze, którzy, przekonawszy się naocznie, że bank trwa i działa, dopomogliby do rozszerzenia jego działalności.

*

W sprawie alimentacyi Warszawy gazeta rosyjska „Birżewyja Wiedomosti“ zawiadamia, że w obec nowego położenia naszego miasta jako fortecy, zwołana została „komisya, która zajmie się obliczeniem, ile należy zbudować w Warszawie magazynów prowiantowych, budynków dla bydła, wielkich składów węgla kamiennego i innych przedmiotów pierwszéj potrzeby, tak aby Warszawa, w czasie oblężenia, mogła się obyć przez czas dłuższy bez dostaw z zewnątrz“.

W niektórych pismach polskich spotykaliśmy się również ze wzmiankami o działalności sfer rządowych w sprawie alimentacyi, która — po otoczeniu naszego miasta fortami — palącą się stała. A społeczeństwo samo — jego organa zbiorowe — czy też przedsięwzięły cokolwiek w téj mierze?

Mówiono o sprawie alimentacyi Warszawy w tow. popierania przemysłu i handlu; podobno komitet giełdowy naradzał się również w téj mierze; w radzie obywateli, wzywanych zwykle przez p. prezydenta do narad w sprawach miasta, istniał jakoby zamiar opracowania projektu magazynów zbożowych miejskich i wyjednania u zarządów kolei dla tych magazynów pewnych przywilejów taryfowych; daléj były pogłoski o projektach urządzenia giełdy produktowéj, a w szczególności zbożowéj, postawienia budynków, przeznaczonych na dotuczanie dostarczanych z prowincyi podpasionych tylko wołów, wieprzów i baranów, podobnie jak to np. urządzono w Buda-Peszcie; zobowiązania piekarzy, mączarzy, składników węgla itd. do trzymania wciąż w pogotowiu pewnych, określonych przez przepisy obowiązujące, zapasów alimentacyjnych, jak to ma miejsce np. w Paryżu itd. itp.

Dotychczas jednak z tych gawęd czyn nie wyłonił się żaden. A czas by już był wielki. Tak nędznie obsługiwanego pod względem alimentacyjnym, jak Warszawa, miasta wielkiego nie ma żaden kraj cywilizowany.

Mamy na papierze projekt hall i.... no i po za tém nic. Ponieważ zaś projekt, jako taki, jest tylko nadzieją, więc w rzeczywistości nie mamy absolutnie nic. Nie mamy gdzie składać zboża, nie tylko na handel tranzytowy, ale i na własną nawet miasta potrzebę; zresztą nie umieliśmy dojść do zgromadzenia w Warszawie znaczniejszych zapasów zboża drogą naturalną, tj. drogą wytworzenia na naszym rynku jednego z ognisk handlu zbożowego, do czego położenie Warszawy, ze względu na zetknięcie się tu kilku linii kolejo

wych oraz rzeki spławnéj, bardzo się nadaje. Nie mamy budynków dla bydła i dla tego handlarze przywożą tylko tyle sztuk na targ, ile ich na natychmiastową rzeź potrzeba. Dosyć byłoby chwilowéj przerwy w ruchu na kolejach Terespolskiéj i Nadwiślańskiéj, żeby miasto odrazu zostało bez mięsa. Nie mamy składów węgla, a zatém nie mamy i zapasów paliwa. Dość znów jakiego nieprzewidzianego wypadku — zamieci śnieżnéj, powodzi — i ztąd trudności komunikacyjnéj na drodze Wiedeńskiéj i Dąbrowskiéj, dość nareszcie nagłych mrozów, żeby ceny węgla w Warszawie nieproporcyonalnie podskoczyły a mizerne zapasy wprędce się wyczerpały. Podobnie jest i z jarzynami, z solą itp. Właściwie jednego tylko cukru mamy zasób wystarczający; ale to właśnie ten produkt alimentacyjny, bez którego jeszcze względnie najłatwiéj się obejść.

W ogóle więc alimentacya Warszawy na takiéj stoi stopie, że dość drobnéj nieprawidłowości w dostawach, żeby nas, przy najspokojniejszych czasach, w kilka dni, ogłodzić, zamrozić....

A cóż dopiero w tym wypadku, o którym wspominają „Birżewyja Wiedomosti", tj. w wypadku oblężenia. Wypadku tego nie przewidujemy wprawdzie w czasie bliskim; może i w dalszym się nie zdarzy; ale skoro w około miasta wznoszą się fortyfikacye, to *eo ipso* wyradza się możność oblężenia, tak samo—jak dajmy na to—zbudowanie teatru, lub wogóle gmachu jakiegoś stwarza możliwość pożaru. A więc, jak w dobrze urządzonym teatrze powinny istnieć środki ratunkowe na wypadek pożaru, tak w ufortyfikowaném mieście, powinny istnieć urządzenia alimentacyjne na wypadek oblężenia. Żeby zaś jasno zrozumiéć jakich to olbrzymich zapasów potrzebuje miasto podczas oblężenia, zatrzymujemy się na kilku cyfrach, dotyczących alimentacyi Paryża w czasie oblężenia przez Prusaków w r. 1870/71. Cyfry te biorę z umieszczonego w czerwcowym zeszycie „Ateneum" artykułu p. t. „Z czasów oblężenia Paryża". Przy dwumilionowéj ludności (cztéry razy tylko od Warszawy więcéj) Paryż posiadał w dniu rozpoczęcia oblężenia następujące zapasy: 350,000 cetnarów metrycznych, czyli około półczwarta miliona pudów mąki, 150,000 centnarów metrycznych, czyli około półtora milijona pudów ryżu, sto tysięcy wołów, pięćkroć sto tysięcy baranów, sześć tysięcy wieprzy—z odpowiednią ilością paszy dla całego tego inwentarza, — sześćdziesiąt tysięcy racyi mięsa solonego, olbrzymi zapas kartofli i jarzyn, olbrzymie zapasy węgla, trzymiesięczną prowizyę soli, korzeni, kawy, séra, tłuszczów i sześciomiesięczny zapas win i spirytualiów. To były zapasy publiczne. Kto zaś zna Paryż z jego olbrzymiemi hallami, składami żywności, ten łatwo zrozumié, jakie tam jeszcze były, do obliczenia w swym ogromie trudne, zapasy prywatne. I oto, przy takich zapasach, we trzy

tygodnie po rozpoczęciu oblężenia już zaczynają paryżanie poznawać smak mięsa końskiego i oślego, na targu głównym *(Halles Centrales)* zaczynają się robić pustki, a ceny żywności podnoszą się nieproporcyonalnie. Po cztérech tygodniach mięso już jest wydawane drobnemi, niedostatecznemi do prawidłowego odżywiania racyami; w sześć tygodni kilogram masła solonego dochodzi do ceny 36 franków (funt około 9 rubli); we dwa miesiące już mięsa wołowego nie ma wcale, a powstają natomiast jatki z mięsem psiém i kociém; w dziesięć tygodni już są zabijane krowy, pozostawione dla mléka, niezbędnego dla dzieci i chorych; we trzy miesiące idą na rzeź zwierzęta z menażeryi i ogrodu zoologicznego, dekalitr kartofli dochodzi do ceny 20 franków t. j. garniec około 4 rubli, szczur się płaci 2 franki, wróbel 1 fr. 25 cent., kruk 5 fr.; we cztéry miesiące jest już racyonowany chléb, który się wypieka zresztą przeważnie z otrąb, z mączki kartoflanéj itp., a w 140 dni, tj. przed samém poddaniem się Paryża nie zostaje już literalnie prawie w całém mieście do jedzenia nic. Znacznie przedtém, a mianowicie wkrótce po rozpoczęciu mrozów, zabrakło paliwa, tak że musiano wycinać lasek Buloński i zaprzestać oświetlania miasta gazem. Ruch kołowy ustał zupełnie, bo nie było już koni. Śmiertelność w czasie oblężenia wzrastała w miarę zmniejszania się zapasów i pod koniec w czwórnasób przewyższała śmiertelność normalną, pomimo że do zupełnego głodu jednak miasto nie doszło, bo do ostatniéj chwili, aczkolwiek skąpo, wydzielano żywność, a gdy jéj zupełnie już zbrakło, wówczas, po 143 dniach oblężenia, poddano się.

Przełóżmy te cyfry na nasze stosunki.

Ponieważ mamy 4 razy mniejszą niż w Paryżu w r. 1870 ludność, przy zapasach tedy publicznych i prywatnych 4 razy mniejszych tj. przy milijonie pudów mąki, czterukroć stu tysiącach ryżu, lub kaszy, 25 tysiącach wołów, 125 tysiącach baranów itd. itd. mielibyśmy rezultat taki sam, jak w Paryżu tj. moglibyśmy pierwsze trzy tygodnie po przecięciu komunikacyi żywić się normalnie, a potém, przymierając coraz bardziéj z głodu i chłodu (z chłodu bardziéj niż w Paryżu, bo klimat mamy ostrzejszy), znaleźć się w miesiącu czwartym u progów śmierci.

Ponieważ jednak my nie tylko $1/4$, ale nawet $1/40$, nawet $1/400$ massy podanych wyżéj przedmiotów żywnościowych nie mamy,—ponieważ nie mamy, po za potrzebą chwili bieżącéj, żadnych, ale to literalnie żadnych zapasów, więc ostateczna nędza, głód i śmierć czekałyby nas już po 2-ch, 3-ch dniach.

Czyż więc kwestya alimentacyi Warszawy nie jest kwestyą palącą?

*

W środę, dnia 27-go czerwca grono osób zaproszonych przez zarząd osad rolnych zwiedzało zakład poprawczy dla nieletnich w Studzieńcu. Ponieważ podobnéj wizyty publicznéj Studzieniec nie miał już od lat cztérech, a w niedawnym czasie pisma nasze rozbrzmiéwały echami zarzutów, czynionych zarządowi w namiętnym tonie przez byłych urzędników zakładu, przeto ciekaw byłem poznać wrażenia tych, którzy w r. b. zwiedzili osadę Studzieniecką i zaraz na drugi dzień po wizycie odwiedziłem jednego z uczestników wycieczki, na którego umiejętność obserwacyi i sumienność liczyłem. Niniejsza wzmianka będzie właściwie powtórzeniem prawie dosłownném naszéj rozmowy. Muszę tylko ostrzedz czytelników, że mój znajomy ma usposobienie nieco kostyczne i że rozmawiając ze mną, nie przypuszczał, iż opowiadanie jego żywcem niemal do druku podane będzie. Przepraszam téż najmocniéj mego interlokutora za małą niedyskrecyę, jaką względem niego popełniam, a liczę na łaskawe przebaczenie w imię założonego przezemnie celu, to jest dobra instytucyi.

Przystępuję do powtórzenia rozmowy.

— Jakże się wydał Studzieniec?

— Studzieniec?! A no ładnie zabudowany.... Cegła w murach bardzo porządna, dobrze wypalona....

— I więcéj pan żadnych wrażeń nie wyniósł ze Studzieńca?

— Prawie żadnych, przynajmniéj żadnych stanowczych.

— Jakto? — pytam zdumiony — a wrażenia wyniesione z rozmowy z wychowańcami?

— Z wychowańcami wcale nie rozmawiałem.

— Przepraszam, ale ja chyba niedobrze zrozumiałem pańską odpowiedź. Przecież zdaje mi się, że pan jeździł do Studzieńca dla zbadania stanu wychowańców, ale nie stanu murów. Więc rozmowa z wychowańcami....

— Zapewne; ale nam z nimi zabroniono rozmawiać. Przewodniczący zarządu osad rolnych w *speech*'u, jaki miał na wstępie do zaproszonych gości, oznajmił najwyraźniéj, że wolno nam patrzyć, słuchać, ale rozmawiać z pupilami studzienieckimi wara.

— Pan dobrodziéj raczy żartować, a ja pytam poważnie....

— Ależ jak najpoważniéj zapewniam, że nam kategorycznie zabroniono rozmawiać z wychowańcami zakładu.

— I dla czego?

— Alboż ja wiem. Dotychczas łamię sobie głowę i zrozumiéć nie mogę. Może obawiano się, że zgorszymy tych maluczkich.

— To przypuszczenie jest niemożliwe. Przecież to nie hałastra jakaś, nie wpraszający się wreszcie, nieznani zarządowi lu-

dzie, ale zaproszeni, wybrani, tacy, któych bytność zarząd uznał za pożyteczną, pożądaną dla zakładu. Trzeba szukać innego objaśnienia.

— Ja żadnego znaleść nie umiem. Wiem tylko, że gdym posłyszał w jaki sposób ten regulamin dla przybyłych gości jest ułożony, zdało mi się, że odczytuję na nowo tak dosadnie skreśloną przez Dickensa wizytę pensyi wzorowéj, albo ów rozdział z „Nababa", gdzie Daudet opowiada, jak doktór Jenkins przedstawia w odświętnéj szacie dygnitarzom paryskim swój zakład „Betleemski."

— Chcesz pan powiedzieć, że w Studzieńcu istnieją rzeczy, których zarząd się wstydzi i pragnie je ukryć przed okiem publiczności?

— Tego powiedzieć nie chcę; ale mniemam, że zakaz rozmowy z wychowańcami daje złe pozory, a w każdym razie pozbawia zwiedzających jednego z ważnych środków zbadania stanu rzeczy.

— I nikt z gości nie rozmawiał z chłopakami.

— Owszem byli podobno tacy, którzy, wbrew zakazowi, krótką rozmowę przeprowadzić zdołali, dozorcy jednak natychmiast rozpędzili rozmawiających uczniów.

— I cóż te dzieciaki mówiły?

— Skarżyły się na złe jadło i na surowe obchodzenie się....

— Czy miały słuszność?

— Alboż ja wiem. Krótka, dorywcza i nagle przerwana rozmowa nie pozwala dojść do przekonania, czy dzieci mówią prawdę, czy kłamią. Może być, że to skarga zwykła w zakładach wychowawczych, a niczém w istocie nieusprawiedliwiona.

— A z tego, co panom pokazywano i czego pozwalano słuchać, jakie pan wyniósł wrażenia?

— Wychowańcy ulokowani są dobrze, odziani wcale przyzwoicie, — ogromny procent chorych na oczy; wyraz twarzy mają charakterystycznie przypominający żydków, uczących się w chederach....

— Jak pan określa ten wyraz?

— Wyraz osłupiałości i apatyi, sińce pod oczami—ślady pewnego, zgubnego nałogu....

— Wspomniał pan o chorych na oczy. Czy zakład Studzieniecki ma lekarza?

— Miejscowego nie ma; a więc to już nie domysł, lecz pewnik, że obsługa lekarska urządzona jest w Studzieńcu wadliwie. Lekarz stały w takim zakładzie, to osobistość potrzebniejsza jeszcze od dyrektora, od księdza i od nauczycieli. Gdyby był w Studzieńcu stały lekarz, dobrze wynagrodzony i gorliwie o hygienie wychowańców myślący, toby dziatwa inaczéj wyglądała. Studzieniec wzorował

się podług kolonii rolniczéj w Mettray pod Tours, daleko mu jednak do pierwowzoru pod wielu bardzo względami, co się zaś tyczy urządzeń sanitarnych, nie może być żadnego porównania między tymi dwoma zakładami. W Mettray istnieje zakład hydropatyczny dla wychowańców, co w Studzieńcu, pozbawionym wody bieżącéj, a więc i kąpieli, podwójnie byłoby potrzebném; podobne zakłady, jak np. szczepienia ospy— w Mettray są to takie ideały, których Studzieniec nawet w zaczątkach nie posiada.

— Jakże się panu wydali przełożeni kolonii?

— Dyrektor ma siwą brodę i niebieskie okulary.

— Znowu pan żartuje.

— Bo cóż ja mogę powiedzieć o człowieku, którego widziałem kilka godzin, jako aktora pewnego, ułożonego z góry ceremoniału. Zauważyłem tylko, że się go wychowańcy widocznie boją. Przy zbliżeniu dyrektora usuwają się i zbijają trwożliwie w kupki, odpowiadając mu zaś, zapominają języka w gębie. Co do nauczycieli, czyli tak zwanych przełożonych z prawem nauczania, wykłady ich wydały mi się na ogół wcale zadawalniające. Egzaminowanie uczniów przez nauczycieli dawało również zadawalniające rezultaty. Szkoda znów tylko, że publiczności nie pozwolono zadawać pytań, co do których nie byłoby już żadnéj wątpliwości, że uczniowie o treści ich uprzedzeni nie byli. Zastrzegam się znowu, że wcale nie podejrzéwam, aby słyszane przez nas pytania i odpowiedzi były zawczasu ułożone, ale chodzi mi raz jeszcze o usunięcie wszelkich pozorów, a tych właśnie dałoby się tak łatwo uniknąć, gdyby nie niefortunny zakaz, przez pana przewodniczącego zarządu na wstępie wygłoszony. Co do dozorców wreszcie, ci wyglądają rozmaicie, ale wszyscy noszą pręty.

— Prawdopodobnie laski?

— Nie, giętkie, zdaje się brzozowe pręty.

— I na cóż to?

— Na co, nie wiem, ale wiem, że to fatalnie wygląda.

— Czy w Studzieńcu istnieje kara cielesna.

— Istnieje.

— Czy jest konieczna?

— Wchodzimy na tor kwestyi zasadniczych, o których zbyt wiele byłoby do powiedzenia. Podług mnie wcale nie konieczna. W koloniach poprawczych francuskich nie ma kary cielesnéj a rzeczy idą niezgorzéj,—lepiéj niż u nas! W kilku zakładach rosyjskich także nie ma kary cielesnéj, nie ma jéj wogóle w większości podobnych zakładów w Europie, a więc mniemam, że i u nas mogłaby, a nawet powinnaby być usuniętą. Ale nawet z punktu widze-

nia tych, którzy z uwagi na konieczność większego rygoru w koloniach poprawczych, niż w zwykłych, wychowawczych zakładach, są za utrzymaniem kary cielesnéj dla małoletnich przestępców, kara cielesna, tak jak ją wykonywują w Studzieńcu, jest nonsensem. Nie dowierzając dyrektorowi i chcąc go kontrolować, zarząd osad rolnych w Warszawie każe sobie przedstawiać na zatwierdzenie każdą decyzyę co do kary cielesnéj. Tym sposobem znika jedno, prawie jedyne usprawiedliwienie téj kary—doraźność działania, bezpośredniość jéj po przewinieniu, a stąd silny wpływ na ukaranego. Przy praktykowanym w Studzieńcu systemacie, upływa tydzień, dziesięć dni, albo i dwa tygodnie czasu między winą a karą. I pytam się, jak ma sobie postępować dyrektor miejscowy z ogłoszeniem swojéj decyzyi, tj. kiedy ma ją ogłaszać. Zaraz po zdecydowaniu przez siebie, że kara konieczna, ogłosić swéj decyzyi winnemu i całemu zakładowi nie może, bo nie wiadomo czy zarząd decyzyę tę zatwierdzi, ogłaszanie zaś takich decyzyi, których potém wykonać dyrektorowi zarząd nie pozwoli, zmniejszałoby powagę dyrektora w obec całego zakładu. Musi więc dyrektor czekać parę tygodni, milcząc, i dopiero potém, kiedy dzieciak już zapomniał o swéj winie, nagle przystępować do egzekucyi.

— Cóż się panu najwięcéj podobało w Studzieńcu?

— Panna Jadwiga Czaki.

— Ciągle pan żartuje. Ale zkądże się wzięła w Studzieńcu panna Czaki? Przecież na poprawę jéj tam nie wysłali? No a do zbadania czy instytucya funkcyonuje prawidłowo, nie wiem, czy stanowisko „naiwnéj“ daje dostateczne kwalifikacye.

— Dla czego i po co panna Czaki była zaproszona do Studzieńca przez zarząd osad rolnych, nie wiem. Ale skoro ją zaproszono, to miała wszelkie prawo zaproszenie przyjąć. A raz przyjechawszy do Studzieńca, zrobiła w bardzo miły sposób tyle dobrego, ile zrobić mogła, a mianowicie rozweselała nas podczas obiadu, łagodziła dyssonanse między obrażonymi o brak dostatecznych względów reporterami a notablami zgromadzenia i w końcu zebrała wśród gości składkę na wychowańców Studzienieckich, przy czém dokazała istnego cudu, bo potrafiła skłonić przysięgłego wroga zwierzchności Studzienieckiéj, ex-dyrektora tego zakładu p. Ryszarda Puciatę (który przybył do Studzieńca w charakterze korespondenta „Głosu“), że przy zbieraniu składki, mającéj iść do rąk nienawistnego sobie zarządu, oprowadzał pannę Jadwigę pod rękę i sam ofiarę złożył. Chociaż więc twierdzenie moje może się wydać panu żartem, powtarzam raz jeszcze, że panna Czaki wypełniła w Studzieńcu swą rolę wybornie.

Być może zresztą, że inni zrobili dla kolonii o wiele więcéj i lepiéj, ale myśmy tego sprawdzić nie mogli. Tyle więc tylko jeszcze z wrażeń przelotnych zakomunikować panu mogę, że prezes komitetu Tow. osad rolnych p. Ludwik Górski i kurator osady Studzienieckiéj p. Jan Górski robią wrażenie, iż są szczerze zainteresowani sprawami Studzieńca i że bardzo mile są widziani przez małoletnich wychowańców; że przewodniczący w zarządzie osad rolnych profesor Miklaszewski umié wybornie, jakby *ex cathedra* wyłożyć szkic urządzeń Studzienieckich, a tak jest przejęty swą rolą przewodnika zakładu wychowawczo-poprawczego, iż po trochu i gości jak rekrutów musztruje (jeszcze raz wracam do przykładu zabronienia rozmowy z wychowańcami i cytuję stawione chcącemu wnieść przy obiedzie toast reporterowi, p. Skrzyneckiemu żądanie, żeby najprzód opowiedział treść projektowanego toastu i otrzymał aprobatę zarządu); że ksiądz Ciemniewski, wykładający religię, jest widocznie uosobieniem dobroci i o ile z przelotnego wrażenia sądzić można—jest przez uczniów kochany; że majstrowie w warsztatach, jak mi się zdaje, fach swój znają; że okazy wyrobów Studzienieckich są wcale przyzwoite i że roboty rolne w Studzieńcu oglądaliśmy z odległości około pół wiorstowéj.

Otóż i wszystko, co mogę opowiedziéć o Studzieńcu.

— A cyfry statystyczne, szczegóły?

— Mogę panu ofiarować rozdawany nam w drodze przez prof. Miklaszewskiego półarkusik z rodzajem raportu o stanie osady Studzienieckiéj.

W taki to sposób zdobyłem opowiadanie ustne i egzemplarz sprawozdania piśmiennego o Studzieńcu. Rozmowę przytoczyłem, treść zaś sprawozdania piśmiennego jest następująca.

Towarzystwo Osad Rolnych. — Studzieniec.

Towarzystwo Osad Rolnych powstało w r. 1872 (1).

Prezesem komitetu jest Ludwik *Górski*, vice-prezesem Edward *Stummer*. Komitet składa się z 30 członków. Przewodniczącym w zarządzie profesor Walenty *Miklaszewski*. W zarządzie zasiada 8 członków. Kuratorem osady jest Jan *Górski* z Woli Pękoszewskiéj. Towarzystwo w d. 1 stycznia r. b. składało się z 68 członków stałych honorowych (którzy złożyli jednorazowo przynajmniéj 100 rs.) i 1886 członków honorowych, (płacących rocznie po rs. 6). Główne źródła dochodu: *a*) składki członków Towarzystwa. Zaległość z tego tytułu wynosi od członków warszawskich rs. 10676, od prowincyonalnych 34579 rs.—ogółem rs. 45255. Umorzono w roku 1887 zaległości 1542 rs., *b*) ofiary w gotowiźnie i w naturze, *c*) dochód z odczytów, widowisk itd., *d*) procenta od kapitałów, *e*) z gospodarstwa rolnego, ogrodu i warsztatów, *f*) zasiłek z kasy m. Warszawy i opłaty od rządu za żywność i ubranie wychowańców. Za żywność w r.

(1) Osada Studzieniecka istnieje od r. 1876.

1888 rząd płaci po 7,96 kop., a za obówie $^2/_5$ kop. dziennie za wychowańca. W r. 1887 wydatki przewyższyły dochody w tym roku osiągnięte o rs. 1626 kop. 33½.

W osadzie Studzienieckiéj: Dyrektor Ksawery *Nałepiński*, pomocnik Dyrektora *Ostrowski*, kapelan ks. Marceli *Ciemniewski*, starszy przełożony oddziału Andrzéj Kołodziejski. Przełożonych z prawem nauczania 4; dozorców bez prawa nauczania 5; ogrodnik, ekonom, 5 nauczycieli rzemiósł, lekarz (przyjezdny), felczer, sekretarz-buchhalter, magazynier i niższéj służby 8. Pomieszczenie urządzone dla 162. W ubiegłym roku przecięciowo było 148 wychowańców, d. 27 Czerwca było 144, podzielonych na IX oddziałów czyli rodzin. Od 1 Stycznia r. b. przyjęto 29; uwolniono warunkowo 11, po upływie terminu wyrokiem zakreślonego 24; miejsc wakujących 16. Pozostający w osadzie skazani byli: przez sądy okręgowe 4, zjazdy 9, sędziów pokoju 50, sądy gminne 81. Na lat 2—18, od 2—3, 58; od 3—4, 37; od 4—5, 14; od 5—6, 14; od 6—7, 3. Mających rodziców 64, tylko ojca 36, tylko matkę 19, sierot 14, nieprawego łoża i podrzutków 11. Wyznania rzymsko-katolickiego 129, prawosławnego 3, ewangielick. 3, mojżeszow. 9. Przed przybyciem do osady zajmowało się: rzemiosłem 18, wyrobkiem w mieście 15, na wsi 3, posługą u rodziców 50, u obcych 42, żebraniną 1, włóczęgą i kradzieżą 15.

Z pośród przybywających do osady 12 umiało czytać i pisać po rosyjs. i po pols., 20 tylko po polsku, 9 znało litery, 103 nic nie umiało.

Dnia 27 Czerwca znajdujący się w osadzie wychowańcy dzielili się: pod względem sprawowania się w kl. I—29, II—48, III—43, IV—22; warunkowo uwolnionych 2; co do nauki: biegle czytających, piszących i umiejących cztery działania arytmetyczne 29, uczących się czytać, pisać i rachować 90, zaczynających się uczyć 25; co do wieku: od 11—12 — 7, 12—13 — 11, 13—14 — 14, 14—15 — 21, 15—16 — 29, 16—17 — 41, 17—18 — 21; co do zajęcia: stolarzy, tokarzy i rzeźbiarzy 23, kołodziei i bednarzy 17, kowali i ślusarzy 16, krawców 11, szewców 12, ogrodników 21, rolników 44.

Dochodu z warsztatów w r. z. osiągnięto brutto 5760 rs. 44 k. Gospodarstwo rolne na 50 morgach przyniosło w r. z. dochodu brutto 2517 rs. 6 kop.; w r. b. będzie wprowadzony płodozmian na 60 morgach 9 polowy, oraz zaprowadzone będzie urządzenie leśne.

W r. b. uwolniono wychowańców 30 i dla wszystkich wynaleziono pomieszczenia, a mianowicie: u stolarzy 3, kowali 1, szewców 2, krawców 4, ogrodników 4, do gospodarstwa wiejskiego 10, zwrócono rodzicom 6.

Od otwarcia osady uwolniono: warunkowo 25, po odbyciu terminu 339, wydalono 11, zmarło 26. Z pośród nich oddano rodzicom 95, umieszczono na naukę: u stolarzy 37, kołodziei 22, kowali 16, krawców 11, szewców 15, tokarzy 3, piekarzy 7, cieśli 1, pszczelnictwa 1, felczera 2, seminaryum nauczycielskiego 1, do ogrodu 20, do gospodarstwa rolnego 108. Z oddanych na naukę rzemiósł wyzwolono na czeladników różnych rzemiósł 65, posiada własne warsztaty 13, żonatych 15, nadto 1 nauczyciel elementarny. Pod opieką Towarzystwa pozostaje 151.

(— X —)

KONKURSY.

I.

W redakcyi tygodnika „Głos“ złożono kwit Banku Handlowego na rs. 200 wystawiony na imię p. J. Karłowicza, z następującém zawiadomieniem:

„Ogłasza się konkurs na powiastkę dla ludu historyczną, lub obyczajową, z kierunkiem obywatelsko-społecznym. W obu razach akcya odbywać się winna w sferze naszego ludu wiejskiego i z głównym jego udziałem. Rzecz ma być oryginalna, nigdzie niedrukowana, napisana zajmująco, językiem prostym, zrozumiałym dla ludu, ale literackim. Objętość 3—4 arkuszy druku w 16-ce. Za 2 powiastki, uznane przez sąd konkursowy za bezwzględnie dobre i odpowiadające warunkom konkursu, przeznacza się z rs. 200 — dwie nagrody: po 100 rs., przy równéj wartości powiastek, lub jedna 120 rs., druga 80—przy wartości ich nierównéj; poczém, bez osobnego wynagrodzenia, zostaną one jednorazowo wydane w Warszawie.

Sąd konkursowy składają: pp. M. Brzeziński, A. Dygasiński, J. K. Gregorowicz, J. Karłowicz, T. Korzon, S. Norblin, K. Prószyński, A. Pułaski, J. Sawicka (Ostoja), A. Zakrzewski i J. L. Popławski, jako delegat redakcyi „Głosu.“

Termin konkursu upływa z dniem 1-ym stycznia 1889 r. Rękopisy wraz z zapieczętowanemi kopertami, zawierającemi wewnątrz nazwisko i adres autora, nadsyłać należy do Redakcyi „Głosu.“—Na kopertach i rękopisach winny być umieszczone jednakowe godła. Uprasza się pisma polskie o powtórzenie tego zawiadomienia“

II.

Konkurs Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu imienia J. U. Niemcewicza (ogłoszony na posiedzeniu publiczném dnia 3 maja 1888 r.).

Na konkurs kończącego się z dniem dzisiejszym dwulecia, ogłoszone było zadanie następujące:

„Opracowanie monograficzne (oparte na wyczerpującém zużytkowaniu wydanych dotychczas materyałów), dowolnie obranego przedmiotu z zakresu historyi stosunku politycznego między Litwą a Polską od r. 1386 do 1569.“

We właściwym terminie żadna praca z odpowiedzią na wystawione przez nas zadanie złożoną nie została. Wszakże, zważywszy

doniosłość zadania, oraz niezwykły interes naukowy, przywiązany do wyjaśnienia stosunków pomiędzy Polską a Litwą w obrębie czasu od roku 1386 do 1569, rada Towarzystwa historyczno-literackiego wystawia ponownie na konkurs dwulecia następującego (1888—1890) zadanie na wstępie wymienione. Żądana praca, w języku polskim ma obejmować nie mniéj 15 arkuszy druku. Autor najlepszéj rozprawy otrzyma nagrody 3,600 franków; nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzieloną na dwie części, i wtenczas najlepsza praca otrzyma fr. 2,000, następująca po niéj fr. 1,000. Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopisie pod adresem sekretarza generalnego Akademii umiejętności w Krakowie, albo sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego (Paryż, 6, quai d'Orléans). Rękopis powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybraném przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopisu i zawierającym nazwisko autora. Terminem ostatecznym dla złożenia rękopisów jest dzień 15-go lutego 1890. Na posiedzeniu publiczném dnia 3-go maja 1890 r., rada odpieczętuje list noszący godło pracy, któréj została przyznana nagroda, i ogłosi imię jéj autora. Inne listy zostaną spalone. Gdyby do wymienionego terminu nie była przysłana żadna praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie suma 3,600 franków użytą zostanie na nagrodzenie historycznego dzieła z ostatnich dwóch lat, lub cel inny do poparcia badań i prac nad dziejami polskiemi służący.

W imieniu rady Towarzystwa — sekretarz: *L Gadon.*

III.

Rada administracyjna szkoły polskiéj w Paryżu na Batignolles, a zarazem fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego im. Śniadeckich, zawiadomiła Akademią umiejętności, iż na rok bieżący 1888/9 ma fundusz na stypendyum dodatkowe w kwocie 2000 franków.

Stypendyum to, które nie jest stałem, ani jako takie warunkami fundacyi objętém, nadawane bywało zawsze kandydatom poświęcającym się naukom humanistycznym. Rada administracyjna wyraża życzenie, iżby w tym roku nadaném było Docentowi oddającemu się studyom literatury ojczystéj przy jednym z uniwersytetów krajowych.

Do tego życzenia stosując się, wzywa miejscowy komitet fundacyi ś. p. Gałęzowskiego wszystkich, którzyby o rzeczone stypendyum ubiegać się mieli chęć i prawo, iżby podania swoje wnieśli do dnia 10 lipca 1888 r.

Do podania ma być dołączony dowód, że kandydat jest docentem literatury polskiéj, wykaz jego wykładów i liczby uczniów, oraz program studyów, jakie w téj naukowéj podróży przedsiębrać zamierza. W Krakowie dnia 4 czerwca 1888 r.

St. Tarnowski, sekr. jener. Akad. um.

NEKROLOGIA.

† **Józef Sapalski** urodzony r. 1821 w Daszowie, powiecie lipowieckim na Ukrainie, oddawał się gorliwie badaniom przyrodniczym, mianowicie geologicznym i paleontologicznym. Od r. 1841 do 1850 był spółpracownikiem „Przeglądu naukowego“ i „Biblioteki warszawskiéj.“ Osobno ogłosił: „O kometach i teoryi biegu ciał“ (Warsz. 1843), „O trzęsieniu ziemi podług Huga“ (Warsz. 1850), „Pogląd na historyą naturalną gubernii radomskiéj“ (Kielce, 1862), „Badania o jestestwach organicznych na kuli ziemskiéj“ (Kraków, 1872). Umarł 31 maja r. b. w Miechowie.

† **Leon Zaleski** urodzony r. 1841 w Chlewiszczach (pow. bialskim, gub. grodzieńskiéj) nauki szkolne odbył w Lublinie, a uniwersyteckie na wydziale matematycznym w Petersburgu rozpoczął, lecz dla klimatu dokończyć nie mógł. W r. 1860 wyjechał do Paryża i kształcił się tam w szkole centralnéj. Ożeniwszy się za powrotem, zajął się gospodarstwem w Serocku, w lubelskiém, dbając o dobrobyt i oświatę ludu. Pisywał wiersze i korespondencye do czasopism warszawskich pod pseudonimem Bolesława z Ustronia. Utraciwszy wzrok, osiadł w Lublinie i założył w roku 1875 „Gazetę lubelską“, zapełniając nieraz całe jéj numery własnymi utworami. W r. 1878 połączył się z nią dawniéj już istniejący „Kuryer lubelski.“ Odtąd jeszcze przez lat 6 kierował Z. swém wydawnictwem, aż wreszcie dotkliwe ciosy: śmierć żony, utopienie się dwu synów, podkopały jego siły fizyczne; usunął się od pracy dziennikarskiéj i w ciężkiéj chorobie przebył ostatnie lata. Zmarł 30 maja r. b. w Woli Skromowskiéj, pow. lubartowskim.

† **Albert Gąsiorowski,** były spółredaktor „Dziennika literackiego“ we Lwowie, autor dwu dziełek biograficzno-krytycznych: „A. Mickiewicz do wyjazdu z Petersburga“ (Krak. 1872) i „A. Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz“ (Wadowice 1874), profesor gimnazyum w Wadowicach, zmarł tamże 11 czerwca r. b. w wieku lat 40 kilku. Pisywał on nowelle i obrazki pod pseudonimem *Tristis*. „Ateneum“ pomieściło w zeszycie czerwcowym jednę z nich.

† **Adam Goltz** urodził się w Sieniawie 12 października 1817 r. z ojca, lekarza Czartoryskich; nauki szkolne odbył w Warszawie na Lesznie, skąd r. 1832 przeszedł do liceum. W 1836 wyjechał za granicę, bawiąc czas dłuższy w Niemczech i Francyi. Za powrotem osiadł na Podlasiu, a gdy powstało Towarzystwo rolnicze, został jednym z najczynniejszych jego członków, pisując do Roczników gospodarstwa krajowego o oczynszowaniu włościan, przemyśle wiejskim, oraz wielu kwestyach rolniczych. W r. 1860 przeniósł się do Warszawy i zajął się sprawą ochronek, co go poprowadziło do studyów nad nauczaniem elementarném, o którém w „Bibliotece Warszawskiéj" obszerną ogłosił rozprawę. We wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach, dobro ogółu mających na celu, czynny zawsze brał udział i zabierał głos w kwestyach bieżących, to w osobnych broszurach („Reforma w wychowaniu kobiet"), to w dziennikach („Wiek", „Echo"). Gdy stronnictwo zachowawcze zaczęło się grupować około „Niwy", a następnie „Słowa", należał do tych, co słowem i pismem przyczyniali się do zamienienia projektów w czyn. Odznaczał się zawsze umiarkowaniem. Ostatnia jego praca publicystyczna poświęcona była kwestyi silnie go zajmującéj; są to „Listy o konserwatyzmie", wydane przed miesiącem jako odbitka ze „Słowa." Zmarł w Warszawie 21 czerwca r. b.

SPROSTOWANIE.

W pierwszéj części art „Wola zbiorowa" wkradła się pomyłka, mogąca wywołać nieporozumienie. W zeszycie Czerwcowym na str. 513 w wierszu 6-tym od dołu zamiast: „I nie ma zasadniczego p r a w d o p o d o b i e ń s t w a w przypuszczeniu", powinno być: „I nie ma zasadniczego n i e p r a w d o p o d o b i e ń s t w a w przypuszczeniu, że na wyższych szczeblach rozwoju etyka może obejść się bez podpory religijnéj."

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.



KASTY I KLASY.

Czyści i nieczyści, szlachetnie i nieszlachetnie urodzeni, pracujący i z cudzéj pracy żyjący spotykają się na całéj kuli ziemskiéj, zarówno w starym jak i w nowym świecie, tak dobrze w Chinach, Indyach, Egipcie, jak i w Mexyku lub Peru. Badania antropologów, historyków, podróżopisarzy doprowadziły nas do pewnika, że społeczność ludzka przechodziła lub obecnie przechodzi podobne fazy w swoim rozwoju, mianowicie, że żyła w stanie dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi. W okresie dzikości o kastach i klasach społecznych nie mogło być mowy; w tych odległych czasach błąkające się hordy nie mają stałego siedliska, ani stałego zajęcia: najważniejszém zadaniem człowieka jest utrzymanie się przy życiu, zdobycie pokarmu. Dopiéro w okresie barbarzyństwa dostrzegamy różniczkowanie się społeczeństwa na kasty, które etnografia uważa za charakterystyczne znamię tego peryodu. Że jednak dzieje człowieka na ziemi stanowią jedno pasmo zdarzeń i nie okazują nigdy i nigdzie nagłych i wielkich przeskoków tak, żeby jeden okres zupełnie się różnił od drugiego; ztąd też zwyczaje, urządzenia, praktyki, wyobrażenia, zmodyfikowane nieco, przechodzą do następnego okresu. I tak: kasty z okresu barbarzyństwa, zmodyfikowane nieco, odnajdują się w okresie cywilizacyi w postaci klas i stanów. Społeczeństwo dzisiejsze krajów cywilizowanych wszędzie przedstawia nam organizacyą klasową i stanową, przypominającą dawne kasty, a jednak mimo tego w wielu punktach różną od organizacyi kastowéj.

Cóżkolwiekbądź, w pospolitéj mowie, zwłaszcza gdy chcemy wyrazić pewną niechęć do dzisiejszych wyosabniających się stanów

i klas społecznych, nazywamy je czasem kastami; nazwa to niewłaściwa, gdyż w Europie przynajmniéj i Ameryce kasty nie istnieją.

Nie omylimy się może, idąc za zdaniem tych, którzy nazwę k a s t a wyprowadzają od łacińskiego *castus*, c z y s t y; a ta etymologia nasuwa nam oraz znaczenie wyrazu stosowanego do pewnych warstw ludzkich, uważających się za czystsze, lepsze, szlachetniejsze, wybrańsze w porównaniu z innemi warstwami. W barbarzyńskim okresie dziejów ludzkich mamy nietylko ludzi czystych i nieczystych, ale także zwierzęta i pokarmy w tenże sposób rozróżniane. Warstwy te zamykają się w sobie tak szczelnie, że ludzie innéj grupy nie mają do nich żadnego przystępu; owszem, zwyczaj zabrania małżeństwa i stosunków towarzyskich, a nawet wspólnych praktyk religijnych, jednostkom należącym do różnych kast społecznych. Kastą więc nazywamy taką warstwę ludzi, która żyje w odosobnieniu od innych warst, tylko jednym rodzajem pracy jest zajęta, ma swoje bóstwa, swoje praktyki religijne i zwyczaje towarzyskie. Czytelnik przypomina sobie zepewne taką organizacyą społeczną z dziejów Indyi, Egiptu, Persyi i t. d. Podobna ona jest do piramidy; szeroką jéj podstawę stanowi lud pracujący na wszystkich; daléj idą wojownicy, potém kapłani, a wierzchołek téj budowy wieńczy władca, wywodzący ród swój od bogów lub przynajmniéj z ich łaski rządy swoje sprawujący. Kogo losy postawiły na niższym szczeblu drabiny, ten pod grozą świętokradztwa nie może wejść na wyższy: co robił ojciec, to będzie robił syn, wnuk, prawnuk aż do ostatniego potomka, aż na wieki. Jeżeli uprawiał ziemię, albo rzemiosło, nosił oręż albo pasał świnie, z bogami gadał lub prawo ich tłómaczył; to i synowie jego toż samo czynić będą. A jeżeli się źle sprawował na ziemi, za karę będzie dusza jego wędrowała w szeregi kast niższych, a nawet zwierząt, dla zmycia grzechów ziemskiego żywota, podobnie jak to i u nas mówią, że dusza szlachcica przejdzie po śmierci ciała w żydowskiego konia, ażeby się pracować nauczyła.

— Co to za pyszna organizacya społeczna!—woła niejeden filister. Przecież choć aby raz w historyi mieli ludzie rozum i odgrodzili Chamskich potomków od Jafetowych; czystych, dobréj krwi i podniosłych sentymentów od podłéj czerni, którą dzisiejsza demokracya chciałaby postawić na równi z wybranymi. Na prawdę, kastowa organizacya społeczeństwa była fazą konieczną w rozwoju człowieka, jak tego dowodzi jéj powszechność i musiała na swój czas odpowiadać potrzebom ludzi. Obecnie patrzymy na nią jako na fakt w jednych stronach dawno już dokonany, w drugich jeszcze istniejący; wiemy, że była to forma bytu społecznego, nadająca się

wybornie do ufundowania wielkich despocyi wschodnich; że tamowała szybszy ruch naprzód, dusząc wszelką inicyatywę w jednostkach; że nareszcie musiała się pod wpływem narastających kapitałów i wiedzy przekształcić na inną, podobną, ale już i różną, to jest na organizacyą klasową.

W wiekach średnich podobnie jak w starożytności spotykamy hierarchicznie urządzone społeczeństwo. Pod względem politycznym rozwinął się system lenny, mający na wierzchołku suwerena, a pod nim coraz niższych lenników; pod względem społecznym najogólniejszy podział ludzi na trzy stany: żywiący, nauczający i broniący. Każdy z nich dzieli się znów na mniejsze grupy: rolników wolnych i niewolnych, rzemieślników w ścisłém znaczeniu i artystów podzielonych na cechy i bractwa; wojowników-szlachtę wyższych i niższych; nauczycieli prawie wyłącznie duchownych, podzielonych na duchowieństwo parafialne i zakonne. Niewolnictwo, nieuznawane teoretycznie, istnieje przecież w formie poddaństwa i przykucia do ziemi aż do naszych czasów. W Brazylii oswobodzono niewolników w 1888 r.

Każdy z tych stanów dąży do obwarowania się przywilejami i zwalenia na inne ciężarów publicznych, z wyjątkiem najliczniejszéj klasy włościańskiéj, która tak jak niewolnicy w starożytności, pracuje na wszystkich, a o przywileje ani umié, ani może się starać. I teraz stany społeczne podobnie jak kasty odgradzają się jedne od drugich; mieszczanie podzieleni na cechy nie łączą się z rolnikami; szlachta ani z mieszczanami, ani tymbardziéj z włościanami nie zawiera małżeństw i nie utrzymuje stosunków towarzyskich; ma się za czystą, a resztę wszystkich ludzi za nieczystych i nieszlachetnych. Ogólną cechą téj organizacyi stanowéj jest wyzysk słabszych przez mocniejszych, uprzywilejowanych, i ta okoliczność wyrabia w stanach społecznych poczucie solidarności swoich interesów, czyli jak dziś mówią, świadomość klasową (*Klassenbewusstsein*). Wyrabianie się téj świadomości klasowéj najwcześniéj się okazało wśród rycerstwa i duchowieństwa; późniéj nieco w mieszczaństwie pod grozą i uciskiem szlachecko-rycerskiego stanu; w stanie włościańskim dopiero w naszych czasach zaczyna kiełkować (żakerya i koliszczyzna inne nosiły cechy).

W wiekach średnich głoszą wprawdzie, że z jednego stanu można przejść do drugiego za zasługi, za czyny wojenne, ale tylko w teoryi; rzeczywiście zdarza się to rzadko: i prawne i towarzyskie przeszkody tamują mieszanie się klas i stanów; społeczeństwo pozostaje rozdzielone na niechętne sobie grupy. Późniéj, gdy przeszkody prawne po większéj części zniesiono, towarzyskie trwają do-

tychczas, tych bowiem żaden akt prawodawczy usunąć nie zdoła. Jedynie postęp wiedzy i uszlachetnienie obyczajów mogą złagodzić antagonizmy i przeciwieństwa klasowe; złorzeczenie nic tu nie poradzi. Na przykłady patrzymy u siebie; następują klęski materyalne, ruina zupełna całych rodów i warstw, a narowów stanowych wiekami zakorzenionych wyrwać niepodobna. Bywają ludzie mądrzejsi po szkodzie, ale u nas niezmiernie rzadko się to zdarza. Więc chociaż społeczeństwo nowożytne wyszło z okresu barbarzyństwa a organizacyi ściśle kastowéj w Europie i w Ameryce nie widzimy, jednakże dzisiejsze stany i klasy bardzo jeszcze pod wielu względami przypominają kasty. Teoretycznie dzisiaj człowiek jakiegokolwiek stanu czy klasy może się ubiegać o wszelkie urzędy i stopnie; ale faktycznie jakże trudno wyjść z tego zamurowanego koła stanowego! Urodzenie, wykształcenie, a nadewszystko stan majątkowy stanowią takie zapory, że długo jeszcze zapewne dzisiejsza organizacya społeczna trwać będzie.

A teraz przejdźmy do innego pytania, mianowicie, zkąd się wzięły dawne kasty a teraźniejsze stany i klasy społeczne? Że one nie powstały z głowy, lędźwi i nóg Bramy o tém zapewne już i w Indyach nie wątpią; że ich nie było w okresie dzikości, to i teoretycznie i z etnograficznych badań uzasadnić można. Otóż, co do pytania o początku kast, a późniejszych stanów i klas, jedno zdaje się być pewném, a mianowicie, że początek ich leżał, chociaż nie wyłącznie, w p o d b o j u jednych hord przez drugie. Ponieważ znów sam podbój musiał być wynikiem albo dzielności fizycznéj i przebiegłości, albo położenia geograficznego i pewnéj zasobności materyalnéj tak w ludziach jak i w środkach, albo co prawdopodobniejsza, wszystkich tych okoliczności i czynników: możnaby więc powiedziéć, że powstanie kast, stanów i klas było rezultatem zmienionych warunków ekonomicznych, tak samo jak i dziś podbój jednych narodów przez drugie, a klas przez klasy gruntuje się przeważnie na wyższości ekonomicznéj. Prochu i kul, karabinów i dział żaden Krupp darmo nie daje.

Ażeby dojść do téj przewagi ekonomicznéj musiała jedna horda już z początku czémś górować nad drugą, a gdy słabszą pokonała, zabrani niewolnicy stanowili pierwszy łup i pierwsze narzędzia produkcyi. Gdy szczęśliwsza horda krok ten zrobiła, reszta stosunków sama z siebie już się daléj rozwijała: nietylko pojmani, lecz cała ludność podbita zeszła na niższy szczebel; musiała trzodę paść, rolę lub rzemiosło uprawiać na korzyść zwycięzców, którzy już tylko orężem pracowali nad utrzymaniem zdobyczy, lub jéj pomnożeniem nowymi podbojami.

Podanéj tu genezy kast i stanów nie uważamy za dogmat; to wszakże mamy za pewne, iż dotychczasowe badania etnograficzne i zdarzenia historyczne wszystkich wieków, aż do dni naszych, upoważniają do takiego wniosku. Może dalsze badania nasuną inne przypuszczenie; może w przyszłości pokój, nie wojna, będzie twórcą stosunków społecznych i międzynarodowych: jak dotychczas, wojna w téj lub owéj formie, była ich rodzicielką. Jeżeli o czasach przedhistorycznych twierdzenie podobne może się zdawać mniéj prawdopodobne, to znów o historycznych, a zwłaszcza o naszych jest ono zupełnie pewne. Dzisiejsze przekształcenia polityczne i społeczne odbywają się za pomocą wojny i konkurencyi ekonomicznéj; spychają one jedne narody i warstwy społeczne na dół, a dźwigają drugie; wytwarzają stany, klasy i warstwy, wprawdzie nie tak zamknięte w sobie jak dawne kasty, ale tak samo dążące do wyosobnienia się za pomocą herbów, tytułów, rang od reszty ludności. Kto w tych wyścigach międzynarodowych i rodowych zostanie zdystansowany, przejdzie w szeregi paryasów i czandalów. Nie pomoże tu wołanie o pomstę do nieba, bo i bogowie, wedle starożytnego poety, sprzyjają dzielniejszym: albo się pasuj i płyń, albo idź na dno.

Jeżeli przypuszczenie nasze o początku kast i późniejszych stanów jest słuszne, mianowicie, że źródło ich leżało w przewadze materyalnéj i przemocy wojennéj jednych hord nad drugiemi; to po ustaniu podboju i p o k ó j nie mało się przyczynił do różniczkowania mniéj więcéj jednorodnéj masy ludzkiéj: w pokoju dłuższym lub krótszym powstały rzemiosła i sztuki dziedziczne w kastach, a następnie w rodach.

Wiadomo, że początek cechów odnoszą do wieków średnich a za najbliższy powód do ich zaprowadzenia podają klasowy interes mieszczan, szukających w tych instytucyach obrony przeciw feodalnym najezdnikom. Czyby dawne rzymskie *collegia opificum*, *artificum et tenuiorum* należało zaliczać do cechów, na to niemasz zgody; prawdopodobniéj, że ostatnie stanowiły między innemi, charakterystykę wieków średnich. A zatém cechy, bractwa, gildy, konfraternie, kontubernia tworzą tyleż rozmaitych klas w społeczeństwie średniowieczném, które coraz bardziéj się rozdrabia, rozproszkowywa. Zawody i powołania artystów, lekarzy, aptekarzy, kupców tworzą również zorganizowane grupy, rządzące się własnemi ustawami, podobnie jak piwowarzy, piekarze i rzeźnicy. Kupcy np. nie chcą, by ich nazywano cechem lecz zgromadzeniem (Węgrzecki, R o z p r a w a o p r o f e s y a c h i p r o f e s y o n i s t a c h, 1810). Powoli interesa majstrów i czeladzi stają czołem przeciw sobie; jedni i drudzy zaczynają się organizować w osobne grupy. Z pośród

majstrów dochodzą niektórzy wielkich fortun, wydzielają się z reszty mieszczan, biorą w ręce ster rządów miejskich: to patrycyusze i nowa klasa. Słowem, wieki średnie, pod względem społecznym uważane, okazują nam dziwny zmysł organizacyjny, może dlatego, że ludziom zostawiono więcéj inicyatywy niż w starożytności i w czasach nowszych, gdy się zaczęły tworzyć wielkie konglomeraty polityczne, strychujące wszelkie wyniosłości społeczne.

Nie piszemy tu ani historyi cechów, ani ich obrony; powstały one i żyły, póki były potrzebne; chodziło nam o zaznaczenie, że organizacya klasowa powstawała i utrzymywała się taką samą drogą jak kasty w starożytności, mianowicie, drogą wyzysku wojennego lub pokojowego, który nazywamy konkurencyą ekonomiczną. Taki stan rzeczy dotrwał aż do naszych prawie czasów. Ogłoszone we Francyi pod koniec zeszłego wieku tak zwane prawa człowieka, równają ludzi teoretycznie i wobec prawa; faktycznie, dawna nierówność klasowa istnieje; owszem, dopiero teraz, w naszym wieku nabiera uderzających rozmiarów. Znów się podnoszą głosy grzmiące przeciw klasom społecznym, przeciw wyzyskowi jednych przez drugie. Różnica w tém zaszła, że teoretycy równości zredukowali i klasy i ich nazwy stawiąc przeciw sobie kapitalistów i proletaryuszów, wyzyskujących i wyzyskiwanych. Takie uogólnienie nadzwyczaj różnorodnych żywiołów, składających dzisiejsze społeczeństwa, może być jedynie jako hasło i chorągiew bojowa rozumiane; nigdy zaś jako wyraz realnych stosunków.

W téj chwili jednak nie o wyrazy chodzi, lecz o rozstrzygnienie pytania, czy klasowa organizacya społeczeństwa, w jakiéj żyjemy, dałaby się zastąpić inną, bez tych różnic i antagonizmów, na jakie patrzymy.

Ci, którzy złorzeczą dzisiejszéj organizacyi społeczeństwa, jako opartéj na wyzyskujących się wzajem klasach ludności, mniemają, że możnaby ją zastąpić inną, lepszą, bo wolną od téj zażartéj walki o własną egzystencyą. Złorzeczenia ich mają najprzód za cel obudzenie wstrętu i nienawiści do tego, co jest, a następnie przygotowanie umysłów do projektowanego raju. Wiedzą oni, że złorzeczenia mogą wydać tylko ujemny rezultat, że zatém trzeba ludziom postawić przed oczy jakiś plan dodatni. Plan taki mają gotowy, a nazwa jego komunizm. Rozwijać go tutaj nie potrzebujemy, przypuszczając, że czytelnicy iletyle wiedzą, jakby wyglądała komunistyczna budowa społeczeństwa. Gdyby ją kiedy na wielką skalę wzniesiono, klasy dzisiejsze przestałyby istnieć, ale powstałyby inne, inaczéj nazywane, walczące ze sobą i zapewne wcale nie lepsze, ani moralniejsze od teraźniejszych. Przypuszczenie to opieramy na

naturze człowieka i jego potrzebach, zarówno materyalnych jak i duchowych.

Nie przypuszczamy, ażeby dzisiejsza organizacya społeczna, oparta na klasach spółzawodniczących ze sobą o przewagę, była albo niezmienną, albo najlepszą z tych, jakie filantrop mógłby w głowie swojéj ułożyć. I my pojmujemy dzieje ludzkie jako proces nieustający, jako ciągłe stawanie się i przemianę jednych form produkcyi w drugie, i co z tego wynika, powstawanie nowych form życia społecznego. Oduczyliśmy się również od podziwiania cudnéj harmonii interesów ludzkich, i nazywania naszego świata najlepszym z możebnych światów. Rozumiemy, że „umówione kłamstwa“ dzisiejszéj ludzkości muszą oburzać każdy niespaczony umysł i niewygasłe uczucie: mimo to wszystko jednakże nie możemy sobie wyobrazić ani zniknienia klas społecznych, tak lub inaczéj nazywanych, ani ustania egoizmu i walki choćby w formie konkurencyi między jednostkami i narodami. To nie znaczy, że nikt sobie tego raju nie może wyobrazić; widzimy bowiem, że są umysły wyższe, bystrzejsze i lotniejsze, które nietylko teoretycznie,lecz i za pomocą doświadczeń praktycznych próbowały rozwiązania problematu, wprawdzie na małą skalę, ale zawsze bezskutecznie (Owen, Cabet, komunistyczne osady w północnéj Ameryce).

Reformatorowie społecznego porządku, albo jak oni nazywają bezrządu i chaosu, nie rachowali się nigdy z naturą człowieka i prawami przyrodzonemi, którym ona ulega. Tak dawniejszym, jak i spółczesnym zdawało się, że społeczeństwo ludzkie i organizacya jego są wyłącznie dziełem umowy społecznéj i prawodawstwa; że zatém, ażeby zmienić formy bytu, dość jest zadekretować równość, wolność i braterstwo, a już niebo na ziemi utworzą. Hipoteza kontraktu społecznego, modna jeszcze w przeszłym wieku, obecnie została porzucona; utrzymuje się jéj wynik, mianowicie, że prawodawcy mogą przerabiać i urabiać społeczeństwo wedle woli. Na poparcie tego dogmatu przytaczają jak prawodawcy przenosili tytuły własności po reformacyi XVI w., jak w XVIII w. francuskie sejmy konfiskowały majątki klasztorów i arystokratów, jak w XIX wieku uwłaszczanie chłopów potasowało rolę i stosunki warstwy ziemiańskiéj; a ztąd wyciągają wniosek, że prawodawcy będą mogli i w przyszłości skasować klasy społeczne przez skasowanie własności indywidualnéj, a zamienienie jéj na zbiorową. Trzeba tylko prawodawstwo uchwycić w swoje ręce, zyskać mandaty poselskie i większością głosów skasować własność, klasy, pieniądze, banki, kredyt, lichwę, słowem usunąć z oblicza ziemi nierówność, konku-

rencyą, wyzysk. Prawo wszystkiemu podoła, a czemu ono nie podoła, gwałt pomoże, jako *ultima ratio* rządców i rządzonych.

Rzeczywiście, historya uczy, że prawodawcy bardzo doniosłe zmiany w strukturze społecznéj bądź faktycznie istniejące sankcyonowali, bądź zaprowadzali nowe; ale i to niemniéj jest pewném, że prawo stanowione musi być w zgodzie z naturą ludzi i rzeczy, których przepisami wiąże, czyli, że chcąc mieć względną trwałość, powinno się rachować z fizycznemi i duchowemi, a więc przyrodzonemi prawami człowieka. Otóż człowiek, odkąd go zna historya, pomimo wszelakiego postępu, jakiego dotychczas dokonał, natury swojéj w zasadniczych rysach nie zmienił. Tak samo dziś, jak przed tysiącami lat ma potrzeby tkwiące w nim samym, które musi zaspakajać, chcąc byt rasy zachować; potrzeby te wielce się z postępem czasu i rozwoju pomnożyły, zróżniczkowały. Aby je zaspokoić, musiały też wzrosnąć i środki i sposoby ich dostarczania; musiały koniecznym biegiem rzeczy powstawać klasy ludzi zajętych różnorodną pracą około wytworzenia owych środków bytu. Innemi słowy, kasty, klasy, profesye, zawody, powołania były i są zjawiskami koniecznemi, wynikającemi z nieodbitych potrzeb człowieka, z jego natury. Czy wszystkie te klasy były i są bezwarunkowo potrzebne; czy ze zmianą trybu produkcyi nie mogłyby być zredukowane; czy przypadkiem w dzisiejszéj organizacyi społecznéj nie masz klas nieprodukcyjnych, a więc pasorzytnych, i jakim sposobem możnaby się ich pozbyć: na te pytania nie potrzebujemy tu odpowiadać, gdy chodzi nam tylko o wykazanie, iż organizacya klasowa wynika z saméj natury potrzeb człowieka, i że powstawanie na nią jest bezzasadne. Może za tysiąc lat bedą ludzie inaczéj patrzyli na ten przedmiot, może ich nasze klasy będą raziły tak, jak nas rażą kasty: dzisiaj przyznajemy się do niemożności wyobrażenia sobie społeczeństwa bez różnic klasowych, o ile one są wynikiem natury człowieka i produkcyi ekonomicznéj. Przeciwnie znów klasy sztuczne, np. herbowa i nieherbowa, albo chińskie klasy biurokratyczne mogą się wydawać zbytecznemi w społeczeństwach do nich nienawykłych i budzić przeciw sobie pewną niechęć: ale Chińczycy mają swój rozum i po radę do Europejczyków nie przychodzą — więc ich klasy zostawmy w pokoju.

Nietylko z przyrodzonych i nabytych potrzeb człowieka wywodzimy konieczność stanów i klas społecznych; ale również z natury pracy i rozmaitych do niéj uzdolnień. W miarę wzrostu i rozwoju społeczeństwa sama praca zaczyna się rozdrabniać; co z początku robił jeden, produkując dla siebie i swoich, to potém wytwarza cały szereg profesyonistów, rzemieślników i to najczęściéj

nie dla siebie, lecz dla innych, na zamianę. Powstaje tedy nowa klasa, pośrednicząca w zamianie, to jest wszelkiego rodzaju kupcy i przekupnie. Chcąc zatém znieść klasę kupczącą, trzebaby znieść wszelką zamianę, nie tylko wewnętrzną lecz i międzynarodową. Dlategoż komuniści wyobrażają sobie przyszłe społeczeństwo bez własności indywidualnéj i zamiany.

Daléj, nastanie rządu wśród zrzeszonych lub podbitych gromad prowadzi do wytworzenia się klas odrębnych, z początku nieznanych. Szczęśliwy wódz zwycięskiéj hordy nie zdoła sam wszystkich obowiązków swoich wypełnić; brat lub krewniak jego dogląda spraw religijnych; potomkowie jego utworzą klasę z czasem dziedziczącą wyłącznie te sprawy. Prócz tego, około wodza staną naczelnicy hord podbitych i dadzą początek nowéj klasie, zwanéj późniéj książętami i arystokracyą. Dzieje się tak nietylko w okresie barbarzyństwa, ale i w czasach cywilizacyi. Cesarza niemieckiego podczas otwarcia parlamentu otacza kilkunastu książąt, jeszcze za naszych czasów niezawisłych, a teraz ledwie częściowo samoistnych.

Można przypuszczać, a nawet z pewnością twierdzić na mocy dowodów historycznych i prawnych, że powstające w społeczeństwie klasy, podobnie jak kasty, zechcą zdobyte stanowisko lub profesyą zyskowną uczynić wyłącznem swojém dziedzictwem; że się zechcą jedne od drugich wyodrębnić, a gdyby można w swoje ręce pochwycić wszystkie korzystniejsze funkcye życia zbiorowego, zwalając pracę produkcyjną na spółzawodniczące z niemi warstwy. Oto np. szlacheccy prawodawcy nie dozwolą klasie miejskiéj nabywać ziemi szlacheckiéj, a pozwolą sobie nabywać miejską, nie poddając się juryzdykcyi miejskiéj. Kiedyindziéj nie dopuszczą mieszczan do wyższych, a włościan nawet do niższych urzędów świeckich i kościelnych. Pod pozorem obniżenia ceny rzeczy uchwalą prawo o zbytku *(lex sumptuaria)*, zakazujące mieszczanom i plebejom nosić odzieży z pewnych materyi i klejnotów, ażeby się nawet ubraniem od innych klas wyodrębnić. Prawo z r. 1613, ponawiane wielokrotnie późniéj, brzmiało: „Widząc w tém być wielką szkodę Rzeczypospolitéj i chcąc stan szlachecki i w tym miéć równy *a plebeis*, postanawiamy, aby żaden mieszczanin, ani *plebeius*, *excepto magistratu*, nie śmiał zażywać szat jedwabnych i podszewek, także futer kosztownych, okrom lisich i inszych podlejszych: także aby w safianie żaden z tych nie chodził, *sub poena 14 marcarum ad cujusvis instigationem* i tych rzeczy delatorowi przysądzeniem."

Przypominając o tych prawach, możemy uspokoić chorążych wieku krzemiennego, że nie podnosimy rekryminacyi przeciw ko-

mukolwiek; wiemy, żeśmy nie byli unikatami w historyi: szło nam o ilustracyą twierdzenia, iż klasy społeczne, pochwyciwszy władzę, dążą do wyodrębnienia się od innych klas przywilejami, do zaprowadzenia kastowości. Jeżeli zaś zdobywszy przewagę, potém dbają o skromność w ubiorze i rozwijanie wszystkich cnót kardynalnych w plebejach, to im tylko zaszczyt przynosi. Mamy w tém dowód nie jedyny téj prawdy niewątpliwéj, że którakolwiek z klas dojdzie najprzód do materyalnéj przewagi nad innemi, będzie się starała i rządowi i reszcie mieszkańców nadać organizacyą, któraby najlepiéj strzegła jéj interesów. Do tych interesów nagina się wówczas i prawo i moralność i obyczaj, które są, że tak powiem, idealném zwierciadłem stosunków społecznych każdéj epoki dziejowéj.

Tak więc kasty, stany, klasy społeczne spotykamy po wszystkie czasy i miejsca, z wyjątkiem epoki najdawniejszéj, zwanéj okresem dzikości. Początek ich był wieloraki: podbój, natura potrzeb ludzkich, rozmaite uzdolnienia człowieka do ich zaspakajania, podział pracy wzrastającéj ze wzrostem społeczeństwa. Z czasem przywiléj wytworzył nowe klasy, opierające chęć przodowania na urodzeniu, majątku, urzędzie, godności. Otóż, z przeszłości wnosimy zwykle o przyszłości, mianowicie, że i w przyszłości społeczeństwo nie przestanie wytwarzać nowych stanów i klas, które mogą się inaczéj, niż dotychczasowe nazywać; niemniéj jednak istniéć będą, oczywiście póty, póki się nie ziści zapowiadana przez komunistów niwelacya wyżyn i zasypywanie dołów. Można się nawet posunąć do tego przypuszczenia, że gdyby kiedyś nastąpiło to zniwelowanie różnic społecznych, jużby nazajutrz po tym dniu pamiętnym wyszły na jaw nowe antagonizmy, tkwiące zarodem w człowieczéj nierówności; na przekór bowiem wszelkim dekretom, nie równość i jednostajność, lecz różnorodność jest prawem świata zarówno fizycznego jak i ludzkiego.

Tę różnorodność, inaczéj różniczkowanie, nazywamy prawem powszechném i przyrodzoném, gdyż je spotykamy wszędzie, począwszy od materyi kosmicznéj, a skończywszy na jednostce ludzkiéj. To co z początku wydaje się jednorodném, okazuje w dalszym rozwoju różnorodność, która musiała zarodem tkwić w owém jednorodném i pod wpływem otoczenia, warunków, okoliczności rozwinęła się w nieskończoną ilość form ciągle zmiennych. Stosując to prawo do świata ludzkiego, widzimy rzeczywiście, iż ani żołądki, ani mózgi ludzkie nie są jednakowéj siły, że zatém świat ludzki, społeczny okaże nam te różnice pod rozmaitemi postaciami i formami, których konkretnym wyrazem będą stany, powołania, klasy.

Będą one z sobą walczyły może nie zawsze kłami i pazurami, ale walczyć muszą póki im jaki magik nie wszczepi baraniéj natury. Tylko walka, konkurencya, wyścigi, choćby na Mokotowskiém polu, bronią społeczeństwo od stagnacyi i zabagnienia.

Czyżby tego nie rozumieli teoretycy złorzeczący konkurencyi i wzajemnéj walce klas społecznych? Przeciwnie, oni ją rozumieją; ale ich oburza wyzysk jednéj klasy przez drugą, a głównie klasy roboczéj przez kapitalistów. Dlatego chcieliby takiéj organizacyi społecznéj, któraby zniosła klasy, a tém samém i walkę ich, i wyzysk; ażeby słowem, powstała społeczność bez różnic i przywilejów, pracująca w miarę i używająca w miarę. Jeden, wielki, złożony warsztat, a przy nim wszyscy zdrowi zmuszeni do pracy; jeden wielki ul, ale bez trutniów—oto ideał tych reformatorów. Ideał rzeczywiście snujący się oddawna po głowach ludzkich, lecz niepodobny do urzeczywistnienia z takimi ludźmi, jakich zna historya.

K.





W KAŹNI.

WSPOMNIENIE Z WIĘZIENIA AUSTRYACKIEGO.

„Pierwszy korytarz“ mieścił się na samym dole w poklasztornym gmachu ś-go Michała. Składał się z dwu odnóg prostopadłych do siebie: jedną kończyło duże okno, zajmujące całą szerokość ściany, druga była ciemna. Po lewéj stronie od wejścia czerniał szereg framug z ciężko okutemi drzwiami; z prawéj strony był głuchy mur, przerwany tylko wejściem do prostopadłéj odnogi.

Moja cela, „kaźnia“—jak tam mówiono—leżała na samym końcu korytarza, tuż przy oknie. Kwadratowa niemal, sklepiona w kształt spłaszczonego walca, brudną była, jak owych pięciu żydów—złodziei, których osoby i ruchomości usuwano w téj chwili, kiedy ja, świeżo wprowadzony do tego nieznanego świata, z rozpaczą zapuszczałem strwożone oko do wnętrza przyszłéj siedziby.

Siedziałem sam i nie wiedziałem, co robić z długiemi godzinami, nie wiedziałem jak skrócić zabijającą nudę dni i nocy, wlokących się z ślimaczą powolnością. Książek nie miałem, bo je władza uważała za zbyteczne dla umysłu, czy też może za szkodliwe dla śledztwa. Z chleba niepodobna było nic lepić, bo się mazał na palcach, jak błoto po deszczu, a schnąc, pękał i rozpadał się. Część dnia chodziłem spiesznymi krokami z kąta w kąt—były to chwile poświęcone rozmyślaniom. Część dnia leżałem na grzbiecie na p r y c z y i zajmowałem się wyłącznie liczeniem pająków w kątach i plam na sklepieniu.

Ale najwięcéj czasu spędzałem na oknie i przy drzwiach. Okno w razie potrzeby mogło wygodnie zastąpić łóżko, bo mur dawnego klasztoru miał kilka łokci grubości. Wskutek tego otwór na okienko był jakby długą, czworokątną rurą, którą krata dzieliła na dwie nierówne części. Na wewnętrznéj stronie mogłem się zupełnie pra-

wie wyciągnąć, a po za kratą pozostawało jeszcze dobrze z półtora łokcia muru.

Widzieć wiele nie mogłem: raz dla tego, że siedząc w środku rury, zdala od brzegu, miałem ograniczone pole widzenia, a powtóre dalszy widnokrąg zasłaniały mi zupełnie chlewki p. nadzorcy więzień, tytułowanego *Verwaltrem.*

Pękate i koślawe te budynki, pełne różnorakiego zwierza, otoczone kałużami błota, nasuwały mi zawsze na myśl arkę Noego, kiedy po potopie osiadła na stałym gruncie. Błoto musiało być doskonałością w swoim gatunku, bo lśniącą swą barwą hebanowi dorównywało i nigdy nie schło.

Ze wszystkich mieszkańców chlewkowych największą miałem rozrywkę z indyków. Przechadzały się one poważnie przez dzień cały po kładkach, umożliwiających wśród błota drogę do chlewków i komunikacyą między nimi. Szczególniéj sprawiały mi ucieszną rozmaitość, gdy je na noc zaganiał parobek.

Przytulony mocno z jednéj strony do kraty, mogłem jeszcze po za chlewkami dojrzéć koniuszek błyszczącego bagnetu, poruszającego się w tę i w ową stronę z miarową jednostajnością.

Przez dziurki blaszanego okienka we drzwiach widziałem brzeg kraty okna korytarzowego, a po za nią skrawek odrapanego muru, na którym opierały się czarne gałązki dosychającego drzewka. Pod oknem stała ława, a daléj ciągnęła się już tylko ściana przeciwległa.

Takie były granice świata, w którym przepędzałem dni całe.

Stojąc we drzwiach z twarzą na blasze okienka, wpatrywałem się nieraz w figury, utworzone przez opadłe z muru wapno. W jednych dopatrywałem twarzy ludzkich, w innych całych osób w różnych pozach, najczęściéj śmiésznie powykręcanych; jeszcze inne przypominały mi mapy oddzielnych części świata i poszczególnych krajów. Jedna plama była zupełnie podobna do Australii.

Największe jednak źródło rozrywek stanowiły „I n t e n c y e“, wiszące na ścianie korytarza, akurat na przeciwko drzwi mojéj kaźni. Była to duża karta, zadrukowana we dwie szpalty i oprawiona jak obraz w czarne ramy. U góry ponad drukiem widniał rysunek jakiś. Z okienka nie byłem wstanie rozróżnić, co to takiego; ale raz na dzień, kiedy posługacz sprzątał celkę i wodę przynosił, mogłem na chwilę wyjść na korytarz; mogłem także zatrzymać się przy I n t e n c y a c h, wracając ze spaceru, przez czas jak klucznik kłódkę u drzwi moich otwierał. W ten sposób zbliska przekonałem się, iż obrazek przedstawiał Matkę Boską w postawie stojącéj, z zamkniętémi oczyma, z opuszczonemi rękami. Z szeroko rostawionych pal-

ców tryskały smugi światła. Intencye zaś same był to spis zaofiarowań w takim rodzaju: „za dusze bez spowiedzi z tego świata zeszłe“, „za nawróconych grzeszników“ itd. U dołu ramek mieściły się dwie skrzynki. Na jednéj znajdował się napis: „*Ztąd wziąć*“, na drugiéj: „*Tu włożyć*“. W skrzynkach były gałki z liczbami kto gałkę wyciągnął, powinien był odmówić trzy „Zdrowaś Marya“ na intencyą, numerem wskazaną.

Więźniowie przychodzili do tych „Intencyj“ i wyjmowali gałki. Widok ludzi, przeważnie bardzo mało pociągających, o twarzach brudnych, o spojrzeniu bezczelném, nie sprawiał takiego wrażenia, jak widowisko teatralne, ale stanowił rozrywkę bardziéj zajmującą, aniżeli przyglądanie się indykom Verwaltra.

Probowałem nawet z początku przemawiać przezedrzwi do kolegów na korytarzu, ale ci w téj chwili znikali — mieli zakazane wdawać się w jakiekolwiek stosunki ze mną, gdyż „m i a ł e m s p ó l n i k ó w“.

W ciągu dnia przychodziło niewielu, ledwie od czasu do czasu przyciągnął pod „Intencye“ jaki maruder, ale wieczorem przez pół, co najmniéj, godziny tłoczyli się niemal—jedni odchodzili, drudzy przychodzili. Nie oddalałem się wtedy odedrzwi.

W gmachu więźiennym istnieje fabryka koszyków, wózków, kufrów itd. Prócz tego więzniowie używani są do wszelkiéj posługi w sądzie, jak również posyłani z dozorcami na miasto do czyszczenia ulic, wynajmowani do przeprowadzek i tym podobnych czynności.

O szóstéj dzień więzienny się kończy, aresztanci wracają z roboty do kaźni. Cele zamykają się na dwie kłódki, przez chwilę słychać tylko szczęk kluczów i skobli, potem wszelki ruch, wszelki gwar ustaje, zapada cisza, zupełna, uroczysta. Ucho czasami tylko pochwycić zdoła cichutki szelest kroków obutego w wojłokowe papucie nocnego dozorcy.

Z powracających od roboty więźniów rzadko który ominął Intencye. Przychodzili, brali gałki, podnosili głowy do góry, szukając w spisie znalezionego numeru, potém rzucali gałki napowrót i odchodzili. Nie umiejącym czytać pomagali usłużni towarzysze. Byli pomiędzy nimi tacy, starzy praktycy zapewne, którym wystarczało odczytanie numeru na gałce, widocznie wiedzieli już na pamięć, co jaka liczba znaczy i za jakie dusze 3 Zdrowaś Marya odmawiać należy. Chociaż co prawda nie widziałem nigdy, aby który z odwiedzających Intencye szeptał pacierz przepisany, lub żegnał się. Dostrzegłem tylko, że jedni odchodzili z wesołemi minami, inni źli jak gdyby zawiedzeni. Niektórzy klęli nawet. Szczególniéj rzucał mi się w oczy i utkwił w pamięci mały kuternoga, którego ruchy robiły

zupełnie wrażenie toczącéj się kuli. Niziutki, okrągły, z głową, przypominającą kształtem dynię a przybraną w czapkę, któréj by mu pozazdrościł nie jeden wiejski nauczyciel z biednéj szkółki—mógłby nią zastępować globus, była prawie kulista, z dwu stron nieco spłaszczona. Nawet u kołnierza, klap i pół spencerka miał rogi ścięte; szczególna, że i nazwisko nosił takie krótkie jakieś a zabawne, iż dźwiękiem przypominało coś okrągłego. Wyszło mi ono z pamięci. Ilem razy go widział, zawsze nie szedł lecz biegł, jakby istotnie było mu gdzie pilno, toczył się niby piłka. Dłuższa lewa noga, którą ciągnął nieco za sobą po ziemi, wcale mu nie hamowała szybkości poruszeń. Koledzy lubili żartować z kulasa, ale to go wcale z tropu nie zbijało, i ile razy zdarzyło mi się słyszéć walkę na języki pomiędzy nim a przeciwnikami, zawsze jego zostawało na wierzchu. Raz któryś krzyknął z drugiego końca, kiedy ten właśnie dobiegał do Intencyj, był więc blisko okna:

— A nie machaj tak nogą, bo szybę wybijesz i skórę ci połatają za szkodę.

— Podstaw ślipie złodzieju — odpalił w téj chwili kulas, niezwalniając wcale biegu—to obacysz czy nie wybiję, jeszcze ci dam szóstkę na maść.

Codziennie przybiegał pośpiesznie do Intencyj, chwytał gałkę, wodził palcem po szkle szukając numeru, potém rzucał gałkę i spluwał klnąć głośno:

— *Cie szlak* trafi!

Te słowa wygłaszał, mknąc już z powrotem. Powtarzało się to z najdoskonalszą jednostajnością.

Późniéj dowiedziałem się, iż ciągnienie numerów nie było wcale dowodem przykładnéj pobożności i nikt pacierza odmawiać nie myślał. Intencyami temi posługiwali się do wróżenia. Gdy który np. trafił na 65 nr. i odczytał: „Ze prędkie dusz w czyszczu cierpiących odkupienie“, brał to za przepowiednią szybkiego wyjścia, otrzymania krótkiéj kary, lub ułaskawienia. Nie lubiono i lękano się spotkać numer 103 „Za grzeszników niepoprawnych, którym wieczne potępienie grozi“.

Pod wieczór jednego z tych dni, jednostajnych jak krople drobnego deszczu, męczących jak upał południowy, długich jak noc bezsenna, stałem jeszcze według zwyczaju w mojém obserwatoryum, chociaż w téj chwili nie było już bardzo na co patrzéć. Na zamkowéj wieży zegar powolnie wydzwonił 6-ą. Procesya do Intencyj urwała się, wracających zbyt późno od roboty więźniów klucznik zaganiał odrazu do kaźni. Niektóre cele, między niemi i moje były już zamknięte na dwie kłódki. Przysłuchiwałem się ostatnim dźwiękom

życia, które za chwil kilka miały już umilknąć aż do przyszłego ranka. Klucznik—nazywał się Rudy — narzucił płaszcz na ramiona i drepcze niecierpliwy na miejscu, chciałby coprędzéj oddać klucze i iść na kolacyą. A tu więźniowie ciągną wciąż powoli z roboty.

Dwu młodych drabów stoi naprzeciwko mego okienka i sylabizuje dla rozrywki różne wyrazy i wiersze „Intencyi." Znam ich— to posługacze. Jeden przynosi mi co rano czarną gomółkę, którą on nazywa piernikiem, inni mianują bartkiem, a zarząd więzienny przez upór przyzwyczajenia uważa najniesłuszniéj za bochenek chleba; drugi posługacz co kilka dni zamiata kaźnię. Na oknie korytarza siedzi szczupły, choć niezbyt niski mężczyzna, z maleńką główką, w okrągłéj również maleńkiéj czapeczce. Cała jego postać, każdy ruch sprawiają dziwne wrażenie, zdaje się, że ten człowiek zdołałby wszędzie przeniknąć. Wygląda jakby nieustannie ściągał ku środkowi ciała wszystkie członki swoje, dla tém łatwiejszego przesunięcia się przez maleńki otwór. Drobniutkie oczki świécą przenikliwie, latają jak odbicie ruchomego lusterka po ścianie; z ust nie schodzi mu uśmiéch, mający pozór raz umiejętnego przymusu, drugi raz przyzwyczajenia. Pod pachą trzyma skórzane zawiniątko. I tego znam—to golarz więzienny. Siedzi w jednéj kaźni z posługaczami, a ci korzystają z przywileju, iż są zamykani ostatni.

Niecierpliwy klucznik usiadł, stękając, na ławie pod oknem. Na korytarzu wciąż słychać kroki powracających.

— Nie moż*u*sz ta złodzieju iść pr*yn*dzéj — popędza pan Rudy.

— A pudzi tu Łuniak — zawołał nagle do kogoś dla mnie niewidzialnego.

Na dostępnéj dla oka mego części korytarza pokazał się zaraz niski bezkształtny więzień, w nowym spencerku. Wydał mi się podobnym do krótkiego pniaka, osadzonego na dwu cieńszych kółkach.

— Dali ci nowy paletot — przemówił klucznik.

— Dali.

— Ja tam gadał wachmistrzowi*u*, co potrzebujesz.

— Bóg zapłać!

— Wystarczy ci do wyjścia — odezwał się golarz cienkim a ochrypłym głosem, charkając z żydowska.

Łuniak podniósł głowę i z podełba spojrzał na mówiącego.

— Nie wiadomo jeszcze, gdzie ty skończysz — odrzekł chrapliwie.

— No, idziemo do kaźni—przerwał klucznik; powstał z wysiłkiem i powoli powlókł się za więźniem, pobrzękując kluczami.

— Nie wiele on już pociągnie — przemówił golarz i zwrócił oczy na posługaczów, sylabizujących wciąż pomimo zmroku.

— Spać! — zawołał nagle Rudy.

Więźniowie odeszli.

Za kilka dni przypadł szczęśliwy termin spacerowania „z korytarzem.“ Zwykle chodziłem sam, w drodze łaski tylko raz na parę tygodni pozwalano mi w ten sposób korzystać z towarzystwa sąsiadów. Wyszliśmy do ogrodu. Tak nazywano szeroką ścieżkę pomiędzy chlewkami a płotem warzywnego ogrodu p. Verwaltra. Ścieżka ta ubita była nogami ludzkiemi na klepisko, ale po każdym deszczu spacer po niéj nie różnił się niczém od pracy zduna, mieszącego nogami glinę w dzieży.

Tylko przy bardzo sprzyjających okolicznościach mogłem na zbiorowym spacerze znaleść inną uciechę jak widok twarzy, ruchów i postaci aresztanckich i bierne przysłuchiwanie się ich dowcipkom lub kłótniom. Mówić w owym czasie nie wolno mi było, zaledwie najpobłażliwsi dozorcy i jedynie w razie nieobecności pana Verwaltra tolerowali jakieś odezwanie się. Tego dnia na kamieniu pod murem siedział stary dozorca Sołtys, człek spokojny i nielubiący nikomu wyrządzać przykrości. Verwalter wyjeżdżał w téj chwili „na szańce“, aby dokonać obowiązkowéj ceremonii oględzin tamtejszego gmachu więziennego.

Wprowadzony zostałem do ogrodu ostatni. Więźniowie zajmowali całą ścieżkę. Jedni chodzili grupami, inni włóczyli się pod płotem pojedynczo, niektórzy trzepali kołdry, kilku, skuliwszy się i podgiąwszy nogi pod siebie, siedziało pod murem. Jakiś biédak wsadził ręce i nos za koszulę, brudną jak fartuch kowalski, i łapał z filozoficznym spokojem pchły. Niedaleko od wejścia stał oparty plecami o płot Łuniak. Okrągła twarz, żółta jakby z wosku, była pełną i wynędzniałą zarazem. Oczy, nos, usta wyglądały niby kreski, zrobione przez kogoś od niechcenia na niekształtnéj bryle glinianéj, aby jéj nadać podobieństwo do twarzy ludzkiéj. Czapeczkę więzienną miał nasuniętą aż do brwi.

Przeszedłszy kilka razy wzdłuż płotu, zatrzymałem się koło dozorcy.

— Zna pan tego więźnia, co stoi tam pod płotem? — wskazałem na Łuniaka.

— To Łuniak, prowadziłem go na sąd.

— Za co on siedzi?

— A proszę pana, miasto spalił.

— Nie może być!

— A jakże!

— Sam się przyznał?

— Gdzie tam, on nic nie mówił ani sędziemu, ani na rozprawie. Stał tak jak ten kamień—Sołtys uderzył ręką o czworograniasty słupek, na którym siedział.

— To może on nie spalił?

— Ale, proszę pana, żona własna po spowiedzi go oskarżyła.

— Żona?

— A tak.

Przy wejściu do ogrodu pokazał się pan Zaborski, dozorca, dźwigający naprzemian z Rudym klucze pierwszego korytarza. Twarz miał mocno czerwoną, trzymał fajkę w zębach, czapkę przekręcił na bakier z fantazyą. Widywałem go zbyt często, aby nie wiedziéć, co oznacza taka barwa twarzy i taka postawa. Zbliżył się do nas, przymrużył lewe oko i zapytał Sołtysa przyciszonym głosem:

— Stary pojechał? — chodziło mu o Verwaltra.

— Już — odpowiedzieliśmy razem z Sołtysem.

Klucznik spojrzał na mnie groźnie, o ile człowiek pijany może groźnie patrzéć. Byliśmy z sobą w bardzo dobréj komitywie, tylko jak Zaborski miał wódkę w głowie, to mu zaraz na język występowała surowość. Skrzywił się, głowę przechylił nieco na bok i nieco na dół, nogę jedną wysunął naprzód, potém zasyczał przez zęby:

— Pan nie możesz do nas mówić.

— Siadaj pan spokojnie. Tu nie pańskie rządy tylko pana Sołtysa, jak pan tu będziesz hałasował, to pana do ciemnéj dziury wsadzim.

Spojrzał na mnie osłupiałemi oczyma, nie mogąc połapać się i dobrze pojąć sensu słów moich.

— *Was sagen Sie*?—odezwał się po chwili.—To teraz więźniowie będom rządzić? — wygiął dolną wargę i zmarszczył brodę.

— A tak, tylko co był tu stary i mówił, zapytaj pan Sołtysa.

Sołtys się śmiał.

— No siadaj pan — wezwałem znowu Zaborskiego.

— To pan tu komendant?

— Ja *kriegs-minister* — posadziłem klucznika siłą, ten krzywił się, jakby mnie przedrzeźniał z oburzenia na tak świętokradzkie przywłaszczanie sobie szanownego tytułu; dla byłych żołnierzy, a z nich rekrutują się wyłącznie dozorcy, „kriegs-minister“ pozostaje na całe życie jakąś wszechpotężną władzą, któréj wszystko w państwie podlega.

Usadowiwszy i uspokoiwszy jako tako Zaborskiego, zwróciłem się znowu do Sołtysa.

— I dużo ten Łuniak dostał?

— Łuniak — przerwał Zaborski — Lanckoronę spalił.

— Śmierć, tylko cesarz ułaskawił i dał mu całe życie — odpowiedział Sołtys.

— Dawno on siedzi? — pytałem daléj.

— Oho! Już cztery roki chyba? — Sołtys powiedział to tonem pytającym, zwracając się do Zaborskiego.

— W inkwizycie rok więcéj siedział — wycedził ten ostatni, odwróciwszy się od nas zupełnie.

— Ciągle pod pańską ręką? To mu było ciepło!

Pan Zaborski pokazał znowu swoje oblicze. Skrzywił się, spojrzał na mnie groźnie, potém uśmiechnął się nagle i trącając Sołtysa łokciem w bok, powiedział:

— Lubim tego pana, bo bardzo wesoły!

Pochlebiała mu zawsze opinia surowości.

— Pod którym numerem on siedzi? — zagadnąłem raz jeszcze.

— Pan tego nie może wiedziéć — zasyczał szybko skrzywiony Zaborski.

— Pod siódmym, czy co? — odpowiedział Sołtys znowu w sposób pytający.

Zaborski głową kiwnął.

— Z tym pańskim spólnikiem, co to w małéj czapeczce chodzi—dodał—z panem Rywańskim. — Sołtys — mówił daléj klucznik przyciszonym głosem — to dobry chłop, ja go znam dawno. Przy nim można wszystko mówić. Drugi jest k a p u ś. Zaraz wszystko staremu przepowié. Musim być ostrożni. Pan Rywański to mu chleb daje. Ja nie lubim tego — strasznie się skrzywił Zaborski. — Drugi ukradnie, to sam ma. A ten co ma, o—tu zrobił giest niedoopisania — wszystko z dymem puścił.

— Tak — dodał sentencyonalnie Sołtys — taki najgorszy.

Pogawędziwszy jeszcze nieco z dozorcami, rozpocząłem znowu przechadzkę. Łuniak stał wciąż oparty o płot. Zatrzymałem się przed nim.

— Wy siedzicie z panem Rywańskim, prawda? — spytałem.

Łuniak patrzył na mnie. Zbliska twarz jego była jeszcze dziwniejsza, jeszcze mniéj kształtna. Pomimo małych rozmiarów całości, pojedyńcze części leżały nieproporcyonalnie jakoś daleko od siebie. Skóra pomarszczona; w fałdach czarne bruzdy. Maleńkie oczki zapadły gdzieś głęboko, ale świeciły gorączkowym blaskiem, widać w nich było niby niepokój, jakby w téj chwili porwała go nagle myśl żywa i pchała do czynu gwałtownego. Z przodu włosy kryły się zupełnie pod czapką, a brwi miały kolor skóry, tak że gęstości ich poznać nie można było. Niektóre włoski wyrosły nad-

miernie i, wygięte w łuki, sterczały nad oczyma, budząc w patrzącym obawę, że się dostaną do oka i sprawią ból przykry.

— Co? — nagliłem o odpowiedź.

Milczał.

— No, czemuż nie odpowiecie, przecież po ludzku was pytam.

Milczał.

— Panie, panie, tu pana wołają—rozległ się głos Zaborskiego.

Obejrzałem się, Sołtys wzywał mnie ręką. Poszedłem do nich.

— Niech pan nie mówi nic do złodziei — upomniał prosząco stary dozorca.

— Nie można—dodał stanowczo i surowo Zaborski.

Po powrocie do kaźni i późniéj we wspomnieniu mojém o Łuniaku tkwiła przedewszystkiém drażniąca nerwy obawa, aby mu długi łukowaty włosek nie zalazł do oka.

Po niejakim czasie sędzia śledczy, a może władza więzienna uznała, że w sprawie tak ważnéj jak nasza, koniecznie wypada okazać niepraktykowaną czujność i wykonać przedsięwzięcie, któreby jednych natchnęło przestrachem i grozą, drugich w zdumienie i podziw wprawiło. Zarządzono więc powszechną rewizyą czyli w i e l k ą g r a n d ę, jak się niedosyć lojalni więźniowie wyrażali.

Celebrował wachmistrz Pańkowski, najzacniejszy poczciwiec, jakiemu kiedykolwiek poruczono poszukiwania śledcze. Tak pasował do téj roli, jak zasłużona szkapa chłopska do angielskich wyścigów z przeszkodami. Przystroił się w kurtę paradną, przyczepił do boku długi pałasz, a twarz powlókł uroczystą powagą. Przypuszczam, że nie wiele razy w życiu nadarzyła mu się sposobność przywdziewać taką wysoce świąteczną godność na dobroduszne oblicze: może raz, jak do wojska wstępował, a drugi raz, gdy wiódł przed ołtarz dzisiejszą panią Pańkowską, obecnie bardzo szanowną matronę.

Naprzód usłyszałem niezwykły, a jakiś tajemniczy ruch na korytarzu; można było poznać, że dużo ludzi przyszło, ale, co się nie zdarzało nigdy, rozmawiali szeptem. Potém zaczęły brzękać klucze i kłódki, ale także ciszéj niż zwykle. Nareszcie stłumiony szelest zbliżył się do moich drzwi. Skobel zgrzytnął, drzwi skrzypnęły, do kaźni wkroczył poważnie wygalowany wachmistrz, a za nim dozorca również ustrojony w nową kurtkę i również przy pałaszu tylko o wiele krótszym. Poczciwy Pańkowski nastroił marsa, powiódł dokoła surowe spojrzenie i... wyszedł pełnić daléj obowiązki głównego komendanta. Dozorca przetrząsał pościel i inne rzeczy, szukając wewnętrznéj korespondencyi, prowadzonéj na kartkach. Z miny poznać można było odrazu, że go wszelkie kartki na świecie, chociażby naładowane zbrodnią stanu,

jak letnie chmury elektrycznością, obchodzą tysiąckrotnie mniéj niż napotykane po drodze cygara: *kuby* czterо-centowe, a szczególniéj *wirżynia*. Wracał więc do nich nieustannie z wytrwałością głodnego kundla, odganianego od miski z jadłem. Taktyka była tak umiejętna i tak stanowcza, iż musiała koniecznie doprowadzić do celu i nadzwyczajna a wysoko pomyślana rewizya u mnie, zarówno jak w większości kaźni, skończyła się tylko nadzwyczajnym poczęstunkiem.

Zaledwie ceremonialnie wprowadzony dozorca zdążył usunąć się za drzwi, wszedł Rudy i oświadczył, że jestem przeniesiony do innéj celi, ale niedaleko, bo tylko pod numer 7-my, leżący na tym samym korytarzu w ciemnéj odnodze.

Dotąd siedziałem sam jeden, parę tylko razy dostawałem na czas krótki towarzysza. Długa samotność, zatruta przymusową bezczynnością, jest ciężkiém doświadczeniem losu, pomimo to współlokatorów moich żegnałem z takiém uczuciem, z jakiém nawiedzona ludność żegna przemijającą zarazę. Kaźnia, do któréj mnie obecnie przeniesiono, długa i wąska, o dwu oknach, czysta względnie, wyglądała jak nadziana na gruby drąg, którego końce tkwiły w przeciwległych ścianach. Opierano na nim deski, tworzące „pryczę“ do spania. W dzień deski te złożone były w jednym końcu pod ścianą na gromadę, na noc rozkładano je i tworzono pomost, zajmujący całą długość celki i połowę jéj szerokości. W drugim końcu piętrzył się pod sam sufit stos sienników. Na ścianach wisiały półki, na nich spoczywały „szalki“, poprzegradzane drewnianemi łyżkami. Blaszane „szalki“, kształtem przypominające kaszkiety kawaleryi austryackiéj, zastępują więźniom miski, talerze, szklanki. Były nawet w kaźni pewne ozdoby, stanowiły je arabeski z kolorowego papieru, powycinane z wielką fantazyą i nie z mniejszą fantazyą porozlepiane na ścianach. Nigdy nie mogłem sobie zdać sprawy z intencyi artysty. Na drzwiach nad okienkiem wisiał kalendarz ruchomy, sporządzony bardzo prosto przez więźniów.

Gdym po raz pierwszy przestąpił próg 7-go numeru, po kaźni spacerował jeden tylko człowiek—Łuniak. Inni lokatorowie w liczbie dziesięciu, jak się o tém dowiedziałem, wchodząc, ze znaczku zrobionego kredą na zewnętrznéj stronie drzwi, byli nieobecni, widocznie wyszli na robotę. Skazanych na całe życie nie wypuszczano razem z innymi. Wejście moje zrobiło na podpalaczu bardzo małe wrażenie. Na jedno mgnienie oka przystanął i spojrzał, potém zaraz rozpoczął nanowo spacerować wolniutkim krokiem, kołysząc się nieco w chodzie na obie strony. Złożyłem pod deskami mizerne moje ruchomości, które stanowiły węzełek, dający się w garści nie-

mal ścisnąć i wspiąłem się na okno, aby zbadać pozycyę nowéj siedziby i zresztą, aby coś z sobą zrobić.

Łuniak początkowo chodził całkiem spokojnie, musiałem jednak przerwać mu nałogowy sposób używania ruchu, gdyż po małéj chwilce zaczął nucić pod nosem jakąś niepochwytną melodyą i... łapać muchy, których kilka, pomimo dosyć wczesnéj i wcale niegorącéj wiosny, wałęsało się po ścianach kaźni. Zdawało się, że robi on to z wielkiém zajęciem. Machał ręką niezgrabnie, lecz szybko, potém ściśniętą pięść zbliżał nieco do oczu i powoli, ostrożnie ją roztwierał. Jeźli mucha została ujętą, to ją puszczał i łapał inną, lub drugi raz tęż samą.

Chociaż siedziałem od niego o kilka kroków, widziałem doskonale długie, jasne, łukowate włoski, grożące oczom. Drażniły mnie i poczułbym wielką ulgę, gdybym je mógł był mu obciąć.

Do każdego innego byłbym przemówił zaraz, do tego mruka nie mogłem, bom pamiętał jego niechęć do rozmowy ze mną w ogrodzie. Wkrótce obecność jego przestała mnie zajmować i przeszkadzać. Widziałem, że nie zwraca na mnie żadnéj uwagi.

W dni powszednie miałem z Łuniaka jedynego towarzysza od godziny 6-téj z rana do 6-téj wieczorem. Przez całe niedziele, święta i po 6-téj wieczorem codziennie kaźnia pełną była gwaru i śmiéchu. Więźniowie po całodziennéj robocie wracali wcale niezmęczeni, widocznie nie bardzo wytężali siły. Brali się zaraz do kart lub bawili w inne gry. Łuniak zaprzestawał wtedy spaceru, siadał z nogami na pryczy, plecami opierał się o stos sienników i patrzył gdzieś. Oczy biegały mu wtedy niespokojnie, tak, jak je po raz pierwszy widziałem w ogrodzie. Zdawało się, że jest czémś mocno zajęty, a tymczasem trwało to godziny, dni i trwało by zapewne tygodnie i miesiące, gdyby nie konieczne przerwy. Kara jego zaostrzona była postem dwa razy na tydzień, we środę i w piątek i w te dni nie dostawał nic do ust. Rocznicę swojéj zbrodni spędzać miał zawsze samotnie w ciemnicy.

Raz, kiedy Zaborski wpuścił Łuniaka po spacerze do kaźni, ten zamiast rozpocząć natychmiast, wedle niezmiennego zwyczaju swoją wędrówkę z kąta w kąt, stanął, spojrzał na mnie, przybrał postać czającego się człowieka, obrócił głowę na prawo, potém na lewo, następnie zdjął ręcznik z gwoździa i zasłonił okienko we drzwiach. Patrzyłem nań zdziwiony i nawet — wyznaję — czułem pewien rodzaj jakiéjś niewytłómaczonéj trwogi. Łuniak tymczasem zbliżał się do okna, na którém siedziałem, przelazł przez drąg pryczy, obejrzał się raz jeszcze na drzwi i wyciągnął w końcu do mnie rękę z maleńkim zwitkiem.

— Od pana Rywańskiego — szepnął.

Wziąłem zwitek i chociaż kartka od kolegi nie była niczém nadzwyczajném, tak jakoś zostałem zdziwiony, żem nawet skinieniem głowy nie podziękował za przysługę.

Główną treścią kartki było oddanie Łuniaka pod moją opiekę. „To dobry człowiek—pisał Rywański—uczciwy, nie zdradzi, nie ma nikogo na świecie, coby mu pomógł. Ja mu dawałem zawsze to i owo. Pomagaj mu i ty, będziemy mieli dobrego listonosza.“

Czytanie skrawka papieru, nagryzmolonego kawałkiem niezatemperowanego grafitu, zajęło mi ledwie kilka sekund czasu; nim skończyłem, Łuniak powrócił już do zwyczajnéj swéj wędrówki. Zbliżał się właśnie do ściany i zamierzał ręką na muchę.

Kolega upewniał mnie o jego uczciwości. Zabawnie to brzmiało w zastosowaniu do przestępcy. Ale wszystko na świecie jest względne, w kryminale to słowo ma téż swój sens właściwy.

Pomimo tego upewnienia, nie mogłem zdobyć się na ufność względem mego towarzysza. Było w nim coś, czego nie rozumiałem. Słysząc go po raz pierwszy, jak głosem chrapliwym, z groźbą prawie odpowiadał golarzowi, widząc jego zaciętość w milczeniu, przypuszczałem, że jest stanowczy, zapamiętały, skłonny do gwałtu, to mi tłómaczyło samą zbrodnię. Ale teraz, mając wciąż przed oczyma jego bezczynność i bezmyślność, musiałem zmienić zdanie. Za wszystko starczy mu łapanie much po ścianach! Zupełny niedołęga, nieumiejący sobie w niczém dać rady. Kartki nosiło wielu więźniów, żaden nie robił z tego takich wielkich rzeczy, żaden nie stroił by tyle ceregieli, będąc sam-na sam zamknięty w kaźni, témbardziéj, że na korytarzu dyżurował Zaborski, z którego nikt sobie nic nie robił. Podpalacz i tchórz! Najgorsza kombinacya potworności moralnych. Może wymaganie od podpalacza zamiłowania do jawności nie było bardzo racyonalném, ale tak mi się wtedy w rozdraźnieniu przeciwko irytującemu towarzyszowi niedoli wydawało.

Nie robiłem sobie nic z niego, bo wynędzniały w więzieniu był widocznie o wiele słabszy odemnie, ale zasnąć przy nim, jakeśmy byli we dwu tylko, nie miałbym odwagi. Nie pojmowałem go i bałem się dlatego.

Kiedy łączył już nas fakt przyniesienia kartki, sprobowałem nawiązać rozmowę.

— A gdzie pan Rywański siedzi?

Zamiast odpowiedzi wzruszył nieco ramionami.

— Nie wiecie?

Wzruszył ramionami raz drugi.

— Pan Rywański was bardzo lubił. Prawda?

— Dobry pan — odezwał się Łuniak nareszcie a jednocześnie udarował wolnością złapaną tylko co muchę.

— Żałujecie, że go ztąd zabrali?

Pokiwał głową jakby z żalem, ale giest taki mógł także wyrażać, że ostatecznie bardzo o to nie dba.

— Zaniesiecie mu jutro kartkę odemnie? Dobrze?

Znowu kiwnął głową.

Z takim rozmownym towarzyszem trudno było oddawać się dłuższéj gawędce, musiałem wrócić do dawnéj swej taktyki milczenia.

Ponieważ pisywałem do Rywańskiego więcéj dla zasady podtrzymywania korespondecyi niż z interesu, a także dla rozmaitości, bo z nudów trzeba było jednak czémkolwiek się zająć, więc téż w kartkach nie miałem zwykle arcyważnych i arcypilnych spraw do poruszenia. Nadmieniłem mu o dziwaczném postępowaniu Łuniaka i o niemożliwości zupełnéj dogadania się z nim.

Rywański odpowiedział mi, że z nim było toż samo z początku, ale z czasem pozyskał zaufanie i mógł jako-tako się rozmówić. „Jego historya jest szczególna—pisał—rozpytaj więźniów.“

Byłbym to już dawniéj zrobił bez porady, gdybym miał możność pogadania z kimś swobodnie o téj sprawie. Ale cały dzień spędzałem z Łuniakiem, a chociaż wieczorem schodzili się inni, to i on był obecny.

Dopiéro jakoś w maju—było ciepło i zapewne na świecie uroczo, bo się Planty okryły rozkoszną, wabiącą zielenią,—całodzienne sam-na-sam z Łuniakiem skończyło się, dostaliśmy towarzysza.

Więźniowie wrócili na noc z roboty w mniejszéj niż zwykle liczbie. Brakowało mularza Nowaka. Z rozmowy więźniów pomiędzy sobą wywnioskowałem, że miała miejsce jakaś awantura.

— A co się stało z Nowakiem? — zapytałem.

— E, proszę pana, to taki paskudziarz—zabrał głos Filipczyk, najpewniejszy siebie z całéj kampanii, złodziéj z profesyi, któréj wcale nisko nie cenił, miał owszem swoje etyczne wymagania zawodowe i nie był wolny od pewnego rodzaju ambicyi. — Poszedł na świat budować — ciągnął daléj — i ukradł parę papierków. Jakeś wpadł do kryminału, to patrz, żebyś wyszedł prędzéj, a nie ściągać tam parę papierków, co i schować nie ma gdzie! — Paskudziarz! — dodał jeszcze raz z pogardą.—Nie zdążył ich przygnać dozorca z roboty, a do starego już przyszli ze skargą. Oni na hof, a stary zaraz w rząd. „Kto ukradł papierki?“ Nikt nic nie mówi. „Rewidować!“ Rewidują, akurat u Nowaka znaleźli w kołnierzu trzy papierki. Stary go zaraz w pysk, raz drugi: „A ty psia-cie-mać, milion dyabłów zjadłeś....“

— Bił go? Verwalter?—przerwałem.

— Dwa razy tak go lunął w pysk, aż się na hofie rozległo.

— Przecie on nie ma prawa bić! — mówiłem z oburzeniem i zdziwiony.

Pomimo zmroku na ustach więźniów dostrzegłem uśmiéch.

— Bije i jest.

Co prawda nie miałem racyi dziwić się bardzo, bom nie piérwszy raz dowiadywał się, jaki użytek robi pan Verwalter z rąk swoich. Ale czułem potrzebę uspokojenia sumienia własnego, a zarazem dosadnego zwrócenia uwagi więźniów, że postępowanie podobne mija się z prawem. W kilka dni po przyprowadzeniu mnie tutaj, obudzony zostałem w nocy wielkim hałasem. Wśród ciszy nocnéj rozlegał się jęk i krzyk, jaki wydawać może tylko człowiek bardzo gwałtownie cierpiący.

— Jezus Marya, niech mnie pan nie bije, panie Verwalter.

— Psia-ci-mać, milion dyabłów zjadłeś!—rozlegał się jednocześnie gniewny a doniosły głos pana Verwaltra.

Na drugi dzień dowiedziałem się od Zaborskiego, że to Verwalter, wróciwszy w nocy z wesołéj kolacyjki, usłyszał o jakiémś wykroczeniu i wymierzał doraźną sprawiedliwość.

— A gdzie teraz Nowak?—zapytałem.

— Siedzi w ciemnéj dziurze, wsadził go stary na 24 godzin. Nie kazał brać do roboty i na spacerkę niepuszczać.

— Biédny człowiek—zakończyłem.

— Ot, głupi!—poprawił Filipczyk.

Na drugą noc Nowak wrócił do nas. Przez całe następne 24 godziny miał humor, przypominający smakiem chrzan świeżo utarty, klął i spluwał. Spuchnięte policzki świadczyły o prawdzie słów Filipczyka. Powoli jednak udobruchał się i na trzeci dzień jużeśmy gawędzili swobodnie. Gdy Łuniak wychodził na spacer, zostawaliśmy sami z Nowakiem. Mularz miał bardzo obiecującą twarz, otwartą, inteligentną i przyjemną. W rozmowie był rozsądny i rezolutny.

Jak tylko całodzienna konwersacya nadała mi pewne prawa do uprzejmości jego i zaufania—co tém łatwiéj przyszło, że pochodził, jak się okazało, z Królestwa i widział we mnie rodzaj swojaka wśród ludzi, obcych nam obu,—zapytałem go zaraz o Łuniaka. Rozpocząłem od samego początku:

— Za co on siedzi?

— Lanckoronę całą spalił.

— Tak!.. To dziwna rzecz, nigdybym nie myślał. Kiedyż on taki spokojny, nawet niedojda!

— Niech pan temu nie wierzy, oho, nie znał go pan dawniéj...

— I co go do tego skłoniło?—przerwałem, zajęty przedewszystkiém biegiem własnych myśli.

— Tego dobrze nikt nie wié.

— Bo téż on może nie spalił?

— Aha! jak go tylko tu, do turmy, przyprowadzili, to on był jak wściekły, przystępu do niego nie było. Szalkę z kaszą we drzwi, chleb za drzwi. Zaborski był pijany. „Co ty—mówi—Łuniak, tu tak hałasujesz, wójtem na wsi byłeś?“ A Łuniak do niego przyskoczył: „Jak—gada—świnie zechcecie potruć, to im takiéj kaszy i takiego chleba dajcie“. Tylko zębami zgrzytał, pięściami o ścianę tłukł. My to tam, wié pan, między sobą żartujem; jeden drugiemu czasem powie tam złodzieju, albo zgnijesz w kryminale, na to mu odpowie się tak samo i koniec, wiadomo żarty. Łuniakowi—niech Bóg broni. Tu był taki ślepy rybak (pan go nie znał, już wyszedł może dwa roki będzie), to raz się z sobą pokłócili, ale tak tylko. To mu Łuniak mówi: „Ty strachu na wróble“, a rybak powiada: „Na wróble to nic, ale jak ciebie za Lanckoronę na małym hofie powieszą, to będziesz ludzi straszyć“. Kiedy Łuniak nie skoczy!.. Ślepie mu krwią zaszły. Jak zacznie krzyczéć: „Ty złodzieju, taki, owaki“. Piana mu z ust wyszła... Złapał nóż i do ślepego. Zaraz inni się zerwali, Baster, ten z drugiego korytarza, i wyrwali mu nóż. To przecie Baster, to miał tak o... wszędzie pokrajane ręce. Tylko że ambitny złodziéj i Łuniaka lubił, to nie poszedł na skargę. Znów raz zaczęli gadać, kto ile łokci—niby ile lat—dostanie. Pan wié, w inkwizycie to furt o tém gadają. Tak Baster mówi Łuniakowi: „Ty, Łuniak, to chyba całe życie dostaniesz, jak cię cesarz ułaskawi“. A Łuniak zaraz na nogi: „Nie doczekanie ich, żebym całe życie tu gnił; jak Lanckoronę spaliłem, tak kryminał spalę!“ My się strasznie dziwili. Czy to można wiedziéć, kto w kaźni siedzi, może być niejeden taki dobrodziéj, co się zamelduje do sędziego i powié: ten się przyznał, wszyscy słyszeli i świadków mają. To my nigdy się w kaźni nie przyznajem, jak na sądzie, każdy tam łże jak może i wykręca się, a przysięga, że o niczém nie wié. A on to jeszcze parę razy potém wygrażał: „Jak Lanckoronę spaliłem, tak kryminał spalę“. Czasem to do niego ktoś przychodził, wołali go, to siedział i pół godziny i więcéj. A zawsze jak wrócił, to miał kilka papierków. Innemu to zawsze tam kto przyniesie bądź chleba, bądź tam kiełbasy, czy bigosu, a jemu furt papiérki dawali. I zawsze był potém taki butny, jak by miał już jutro wychodzić.

A nie bał się nikogo. Dziadom, tam Zaborskiemu czy Rudemu, to dobrego słowa nigdy nie dał, z kaźni wyganiał. Zaborski to nic, tylko się śmieje, jak to on: „uspokoisz ty się—powiada—cze-

kaj!“ Ale Rudy, to nieraz bywało dobrze mruczał i groził: „Wsadzum cię do ciemnéj dziury, nie bój się“! Jak opowiadali, że Verwalter wybił kogo, to każdy się przyznał do strachu, on nie, tylko pięści zaciska. „Żeby on tylko mnie zaczepił, jabym tego psia-cimać, milion dyabłów zjadłeś, nauczył! Nieraz na spacerze, leci stary przez ogród, czy przez hof, my wszyscy czapki z głowy, a Łuniak nie, przekrzywi kaszkiet na ucho i jeszcze patrzy mu w oczy. Wie pan, u Verwaltra ręka jak na nasmarowanych zawiasach chodzi, a jego nigdy nie tknął.

Ale jak go przyprowadzili z rozprawy, my patrzym—źle! To biały jak ta ściana, to czerwony, to jak ta ziemia święta czarny. Pytamy dziada, co go na sąd prowadził. Dostał szubienicę! Przez cały czas rozprawy—powiada—nie odezwał się ani słówka. Prezes go pytał i przysięgli i prokurator, nawet swemu obrońcy nie odpowiedział nic.

— My wszyscy myśleli—ciągnął daléj mularz,—że on zwaryuje. Czasem to tak ryczał jak para wołów, czasem tak klął, że my się żegnali; w nocy się zrywał, włosy garściami szarpał, głową o ścianę tłukł. Z kaźni piekło zrobił, chwili spokojnéj nie było. Ani zagrać w co, ani porozmawiać, i jeszcze go omijać jak wrzód na ciele.

Dopóki ułaskawienie cesarskie nie przyszło, to on chodził jak w febrze: krzyknie kto na korytarzu, wołają kogo—on do kratki zaraz, głowę przyłoży i słucha. Dziad bywało drzwi otwiera—on już drży. Ale co raz to mniéj krzyczał, tylko w sobie taił.

— Długo ułaskawienie nie przychodziło?—spytałem.

— A to... ze dwa miesiące, czy co?

— To długo.

— Długo? Co to, proszę pana, za długo! Pod drugim siedzi za zabójstwo, to czwarty miesiąc już czeka. Ale my się bardzo chcieli dowiedzieć o Łuniaku, jak on spalił, dla czego? Dziad, co był na sądzie, coś tam mówił, ale sam dobrze nie wiedział i nie rozumiał. A Łuniaka choćby w żarna włożył, nic by się od niego nie dowiedział, tak jak i teraz. Baster to go ciągle pytał: „Powiédz, powiédz wszystko jak było, może się da jeszcze co zrobić. Aż raz mu Łuniak jak byli sami powiedział: „Ksiądz mnie namówił, ksiądz mnie zgubił“! Ale więcéj nic gadać nie chciał.

Dopiero jakoś przyszli tu ludzie z pod Lanckorony za bójkę, było ich może 12-u. Tak my do nich: „Za co Łuniak? spalił?—„Spalił“.—„A dla czego“. Oni tak, owak, niewiadomo. „On sam gada, że go ksiądz namówił“. Wtedy jeden powiada: „I ludzie tak gadają· Żonę ma szelmę, do księdza latała, a jego się bali, bo gwałtownik, to i uprzątnęli. Namówili, żeby spalił, a późniéj na spowiedzi ksiądz

kazał wydać". A drugi gada: „Nieprawda, nieprawda! To dawny wikary zły był, że go z Lanckorony wysadzili i kazał Łuniakowi spalić nowego wikarego".

Mularz przez chwilę milczał, podniosłszy oczy do góry.

— Nie pamiętam, jak to on gadał, czy to nowy czy stary wikary kazał żonie zakapować. Więcéj do dziś niewiadomo. My sobie późniéj miarkowali, że do niego to pewnie przychodził ten ksiądz, co go podmówił. Dawał papiérki i nie kazał nic gadać. Ten głupi usłuchał; teraz to pies kulawy o niego się nie dowie.

— No a jakże ci ludzie mówili—zapytałem znowu—porządny to był człowiek na świecie.

— Chwalili, gadają, nie pił, pracowity.

— Czy to jaki rzemieślnik z Lanckorony?

— Gdzie tam—żywo przerwał mularz z pewnego rodzaju dumą i oburzeniem nawet—to taki chłop, chamuś!

— Teraz to on już chyba ma niespełna rozumu?

— E, on już nie długo pociągnie.

Powrót więźniów ze spaceru przerwał rozmowę.

Z Łuniakiem wchodziłem coraz to w lepsze stosunki i widocznie zyskiwałem jego zaufanie. Nosił moje kartki i ku wielkiemu zgorszeniu pana Zaborskiego dostawał cząstkę mego pożywienia. Przekonałem się, że nie jest on, pomimo takiéj jakiéjś martwoty umysłowéj, pozbawiony sprytu pewnego. Dowiadywał się różnych rzeczy, mnie obchodzących: o kolegach, o tém kto był u sędziego, kogo gdzie posadzili itd. Udzielał mi tych informacyj w sposób nadzwyczajnie lakoniczny, jak gdyby przedewszystkiém dbał o jak najmniejsze sfatygowanie języka; zdawało się, że wprzód nim usta otworzył, pracował nad ułożeniem zdania możliwie najoszczędniejszego.

— Pan Kremer pod 55-y.

— Przenieśli go tam?

Stwierdził kiwnięciem głowy.

— To na czwartym korytarzu?

Znowu kiwnął głową.

Raz przyniósł mi pod spencerkiem cały arkusz papieru, używanego w fabryce więziennéj do wyklejania kufrów; lewa strona wyśmienicie nadawała się do pisania. Jak on go zdobył—nie wiem. W każdym razie był to czyn do wykonania trudny. Naprzód dostać, a potém schować podczas spaceru, musiał strzedz się zarówno dozorców jak i więźniów. Wpadł szybko, aby go Nowak nie widział; nie podał zdobyczy mnie, ale wsunął szybko do palta, wiszącego na ścianie.

— Papiér—szepnął.

Pomimo widocznego zbliżenia, na gawędkę wyciągnąć go nie mogłem.

— Cni się wam?—pytam.

Nowaka w téj chwili nie było, poszedł do komory po tytuń.

— Dawniéj cniło się, który to już rok!

Spojrzałem na niego, właśnie zamachnął się na muchę.

— Nie darują wam czego z kary?

— Darują... djabła kulawego... cztery deski.

— Was za spalenie?

— Za spalenie.

Może przez wyobraźnią wskutek opowiadania Nowaka, ale mi się wydało, że i pytanie i odpowiedź przykrość mu sprawiła. Chciałem jednak wybadać go szczegółowiéj. Pomimo jednogłośności twierdzeń, błąkało mi się jeszcze po głowie przypuszczenie: może nie spalił? Trudno mi bardzo było przystąpić. Trzeba widać pewności chirurga, że się pomoże nieszczęśliwemu, aby śmiało dotknąć zbolałéj rany. I zdecydować się nie mogłem stanowczo i, zdecydowawszy się na sekundę, rozpocząć nie miałem odwagi. Nareszcie sprobowałem ubocznéj drogi:

— A jak to się stało, że was złapali?

— At... złapali!

— Toście wy rzeczywiście podpalili?

Spojrzał na mnie, i o ile nieruchomość maski pozwalała, widziałem na twarzy jego zdziwienie.

— A całe życie za co dali!?..

Przyszedł Nowak; ale i bez téj przerwy wątpię, czybym daléj pytał. Więcéj do téj materyi już nie wróciłem.

Przekonałem się wkrótce, że nietylko jeden Zaborski był zgorszony pomocą, udzielaną przezemnie Łuniakowi. Nowakowi téż się to nie podobało. Powiedział mi o tém naprzód Filipczyk i radził, abym się strzegł. Potém powtórzył mi toż samo Zaborski. Wywołał mnie na korytarz i skrzywiony, obróciwszy się przez pół tylko do mnie, z nogą, z ręką i z fajką wysuniętą naprzód, jakby chciał uciekać od czyjegoś natręctwa, mówił pocichu, akcentując każde słowo:

— Nie daj się pan oszukać. Nowak to złodziéj jest. Jak on Rudemu powie to, co mnie mówi—będzie bieda. Do starego zakapuje—Zaborski przy wyrazie „stary“ skrzywił się jeszcze bardziéj.—Ja do pana nie mogłem nic mówić. Co to jest—podniósł głos—proszę do kaźni!

Trzasnął drzwiami i zamykał kłódkę z takim szczękiem, jakby go najwyższa pasya targała. Nie zdziwiło mnie bynajmniéj takie zakończenie rozmowy: była to zwyczajna taktyka Zaborskiego. Alem pojąć nie mógł, co za niebezpieczeństwo grozić mnie może ze strony Nowaka. Jakiś obskurny złodziéj, którego nawet kolega z rzemiosła nazywa paszkudziarzem! Chwast czepiający się buta na „spacerce“ byłby mi równie strasznym. Mógł stać się niewygodnym, ale niebezpiecznym, albo groźnym!?... Pieniędzy nie miałem przy sobie, więc nawet okraść mnie nie był wstanie. Ze słów Filipczyka i zresztą z przymówek samego Nowaka wiedziałem, że to chodzi o chléb, masło i mléko dawane Łuniakowi. Ale zaradzić temu nie mogłem. Na dwu było mało tego, com miał,—na trzech nie starczyło by w żaden sposób. Zresztą najmniejszéj racyi nie było karmić takiego łotra. Łuniak nosił kartki, ten nie robił mi nic, a zmieniać listonosza nie miałem ani potrzeby, ani zamiaru. Gdyby nawet do Nowaka można było miéć zaufanie, to i tak większa ilość posłańców zwiększała niebezpieczeństwo.

Przychodziło mi na myśl, że Nowak może wiedziéć lub zgadywać coś o kartkach, alem tego nie mógł bardzo brać do serca. Sam on przecie opowiadał mi tonem potępienia o dobrodziejach, co się meldują do sędziego ze skargą—jakże mógł teraz dopuścić się czegoś podobnego. Przytém pisywałem zawsze na oknie, odwrócony plecami do kaźni, zasłaniając sobą cały otwór i wysunąwszy obie ręce po za kraty, tak że z kaźni nikt w żaden sposób dojrzéć nic nie mógł. Łuniakowi wsuwałem maleńkie zwitki nieznacznie w rękę albo wtedy jak nikogo więcéj w kaźni nie było, albo przynajmniéj jak nikt nie patrzył. Szelma rzezimieszek jakoś to jednak zwąchał.

Zamierzałem rozpytać Zaborskiego o co mu chodziło, alem nie zdążył. Miał do mnie przemówienie już dobrze po dwunastéj, a o 1-éj oddał klucze Rudemu i poszedł. Z Rudym już była inna gawęda. Nie przypuszczałem, ażeby ostrzeżenia tyczyły się tak bliskiéj przyszłości. Myślałem sobie, że trafię może na taką chwilę, kiedy Zaborski będzie trzeźwy i łatwiéj dojdę do końca. Rano nie zawsze bywał pijany. Rzeczywiście po trzeźwemu byłby mi powiedział, iż na moją prośbę on z kancelaryą byliby zaraz Nowaka przenieśli do innéj kaźni; ja o tém wtedy jeszcze nie wiedziałem.

Na drugi dzień rano o 10, jak zwykle, Rudy otwierał kłódki i wypuszczał więźniów na spacer. Kartka moja od półtory godziny była już u Łuniaka. Nareszcie przyszła koléj na nr. 7. Rudy uchylił nieco drzwi i wykrzyknął zwykłe:

— Spacer!

Widziałem, że Łuniak ociąga się nieco. Kiedy Nowak już wyszedł, podbiegł do mnie szybko i zwrócił kartkę.

— Nowak p r z e z d r a d z i!—szepnął.

Wyszedł, ale nie uszło paru minut, w czasie których słyszałem jak więźniowie opuścili korytarz, wrócił Łuniak, a za nim wtoczył się ciężki Rudy.

— Rozbieraj się!—wyrzekł groźnie ten ostatni.

— Co to takiego?—spytałem.

— Oskarżyli, co óny kartkie nosi.

Zeskoczyłem z okna.

— Dajże pan pokój, panie Rudy, czyż pan będziesz zwracał uwagę na to, co szczeka taki pies Nowak! Zły jest, że mu nie daję mléka jak temu biédakowi.

— Biédakowi—powtórzył Rudy—taki biédak! A czy tu pan wié, że óny całe miasto spaluł, ludzi bez dachu zostawił. A pan go karmi jak kogujś dobrego. No, rozbieraj się!

Okazało się, że i tego gorszyła pomoc, okazana Łuniakowi.

— Ja pana proszę, daj pan temu pokój.

Częstowałem nieraz Rudego herbatą z arakiem i kubami po cztery centy, sądziłem więc, iż powinien był dać ucha mojéj prośbie.

— Ja muszu zrobić, co do mnie należy.

Pal cię sześć, pomyślałem, szukaj! i tak nic nie znajdziesz. Przypomniało mi się, że kartkę ja mam w kieszeni. Wróciłem więc na okno, bo tam mi w razie niebezpieczeństwa łatwiéj było zniszczyć. Nie czekając zresztą na niebezpieczeństwo, począłem ją targać.

Skończywszy rewizyą, Rudy kazał Łuniakowi ubrać się napowrót, a sam czekał.

— Możesz iść na spacerku — odezwał się doń teraz już łagodnie.

Łuniak wyszedł, Rudy został. Chęć wytłómaczenia się przedemną uważałem na bardzo naturalną z jego strony. Dopomogłem mu nawet.

— No widzisz pan, czy to warto było słuchać takiego złodzieja!—przemówiłem pierwszy.

— Pan jeszcze ni wi, co to są za kapusi. Myśli pan, óny zara do starego zakapui, to ja muszu.

— Przekonał się pan, że żadnych kartek nie ma. Widział pan kiedy jaką kartkę u mnie.

— Już my wimy! A niech pan takieguj złodzieja nie karmi. Czy to mu tu źle. Ma co jeść, gdzie spać. Ja za 30 papierków muszu mieszkanie nająć, karmić siebie, karmić żone.

Rudy wyszedł. Ostatnią przymówkę zrozumiałem, ale co znaczyło „m y w i m y“ nie mogłem się domyślić. Czy oni wiedzą, że ja nie pisuję kartek, czy też że pisuję, chociaż rewizya tego nie wykryła?

O jedenastéj wrócił korytarz ze spaceru. Łuniak przyszedł, ale Nowaka nie było.

— Gdzie Nowak?

— Wzruszył ramionami.

— To on ciebie zakapował?

— Niech go szlak trafi!

W tém rozległ się na korytarzu grzmiący głos Verwaltra.

— Kluczny!

Po chwili, kiedy już Rudy widocznie się stawił, Verwalter powiedział do niego, ale tak, że się wśród murów rozległo·

— Przyprowadzić Łuniaka!

Mój towarzysz drgnął; po raz pierwszy widziałem na twarzy jego silniejsze wrażenie. Oczy schowały się gdzieś głębiéj i stamtąd żywiéj jeszcze płonąć i biegać poczęły. Wargi mu drżały, cały się trząsł. Widać było wielki przestrach.

Z korytarza dochodził szelest ciężkich a przyśpieszonych stąpań Rudego po kamiennéj posadzce, opodal słychać było powolniejsze kroki kilku innych ludzi. Szczęknęła kłódka, Rudy drzwi otworzył.

— Łuniak, pudzino!—zawołał przyciszonym nieco głosem.

W téj chwili przyszły mi na pamięć słowa Nowaka: „u Verwaltra ręka chodzi jak na wysmarowanych zawiasach!“

— Nie chodź Łuniak na korytarz, niech tu przyjdą!—zawołałem.

Zanim jednak zdążyłem przeleść przez drąg już Rudy wyprowadził Łuniaka.

Przyłożyłem twarz do kratki we drzwiach. Gwałtownemu Verwaltrowi nie starczyło widać cierpliwości, aby czekać na zawołanego, i przyszedł sam. W mroku korytarza widziałem tylko sylwetki. Niski, bezkształtny, ale widocznie mizerny Łuniak stał w obwisłéj kurtce więziennéj przed tęgim rozrosłym Verwaltrem. Pierwszy kulił się, drugi, stojąc nawet, rozpierał się jak gdyby. Po za nim czerniała gromadka z kilku dozorców złożona. Pan Verwalter przybył ze świtą.

— To ty, psia-ci-mać, milion dyabłów zjadłeś, kartki roznosisz!

— Ja nie, panie Verw...

— Zrewidować go — zwrócił się pan zarządca z rozkazem do dozorców.

— Ja go już zrewiduwałem panie Verwalter. nic nie ma— wmięszał się Rudy.

— Zrewidować!—przerwał mu powtórny rozkaz, zbyteczny, bo już dozorcy szarpali biédnego Łuniaka. Z zadziwiającą wprawą i z niepojętą szybkością, literalnie w mgnieniu oka, zdarli z niego ubranie, nie szczędząc zapewne szturchańców. Chwilę przetrząsali i macali wszystko, grzebali we włosach, oglądali palce u nóg.

— Nie ma nic?—spytał wciąż jednako groźnym i stanowczym tonem Vervalter.

— Nic.

Łuniak zaczął naciągać napowrót ubranie, ale nie mógł dokończyć. Verwalter zwrócił się teraz do niego.

Serce we mnie zamarło, nadeszła straszna chwila.

— Psia-ci-mać, milion dyabłów zjadeś, kartki nosisz! — krzyknął z całéj siły Verwalter, i jednocześnie straszna ręka podniosła się do góry.

Łuniak rozumiał, że pan Verwalter nadarmo fatygować się nie mógł, wiedział co go czeka. Zanim jeszcze groźny giest został zrobiony, on już cofnął się w tył i podniósł ręce, jakby chciał się niemi zasłonić.

Tyle już lat ubiegło, a ruch ten podpalacza mam w oku w téj chwili, jakbym nań patrzał; była w nim nieprzytomność z przestrachu bezgranicznego i bezwiedna a pokorna prośba bezbronnéj i bezsilnéj ofiary.

Wzniesiona ręka spadła ze strasznym trzaskiem, cofnięcie się Łuniaka tylko powiększyło jéj zamach. Głowa więźnia uderzyła z łoskotem o mur wąskiego korytarza. Znowu trzask i głowa odrzuconą została na ścianę przeciwną.

Krew uderzyła mi do twarzy! Taki gwałt, taka krzywda, takie bezprawie, takie brutalstwo przemocy! Zacząłem bić pięściami w blachę okienka.

— Jak pan śmiesz bić więźnia! — krzyknąłem. Chwytałem za drzwi pragnąc zapewne je otworzyć, ale nie drgnęły nawet w swoich okuciach.

— Proszę hałasów nie robić, co to jest! — zwrócił ku mnie surowy lecz spokojny już głos pan Verwalter.

— To bezprawie, to....

Pan Verwalter nie słuchał, opuszczał szybkimi krokami korytarz, krzyknął tylko jeszcze na Rudego:

— Wsadzisz go na czterdzieści ośm godzin do ciemnéj dziury, potém mi o nim przypomnisz.

— Dobrze.

Za chwilę Rudy otworzył drzwi, za nim stał blady, trzęsący się, zakrwawiony i widocznie nieprzytomny Łuniak.

— No bierz swoje... — zaczął klucznik.

Odepchnąłem go i wypadłem na korytarz nawpół ledwie przytomny.

Verwaltra już nie było.

Rudy ciężkim swoim krokiem biegł niemal za mną.

— Co pan robi, to nie możnu, kto widział, proszu do kaźni!— perswadował napół groźnie, napół prosząco.

— Prowadź pan mnie do kancelaryi — przerwałem mu.

— Teraz niemoznu, potemuj pana poprowadzim.

— No to ja sam pójdę — zwróciłem się ku drzwiom.

Rudy jęknął i powlókł się za mną.

Wpadłem do kancelaryi.

— Proszę posłać do pana prezesa, że ja potrzebuję się z nim widzieć natychmiast.

Z drugiego pokoju wyszedł Verwalter.

— Co pan ma za interes do prezesa?

— Panu nic do tego!

— Ja nie poślę teraz do prezesa.

— Pan musisz posłać, proszę w téj chwili... To ja list napiszę. Proszę mi dać papieru — zwróciłem się do urzędnika kancelaryi.

— Prezes—odezwał się drwiąco Verwalter—nie jest w każdéj chwili na pańskie zawołanie. Teraz pan pisać nie może, bo pański spólnik pisze.

Obejrzałem się—żadnego „spólnika“ nie było, sami urzędnicy.

— Nie ma nikogo.

— A ja panu mówię, że pisze — powiedział z naciskiem i wyniośle. — Proszę wracać do kaźni. Rudy!—wskazał oczyma klucznikowi wyjście, a sam wpadł do drugiego pokoju i drzwi zatrzasnął.

— Poczekaj łajdaku! — zawołałem w bezsilnym gniewie.

Urzędnicy, pochyleni nad papierami, usiłowali nie patrzéć na mnie, jakby się bali strasznego zajścia jakiego. Rudy ciągnął mnie za rękaw. Wróciłem do kaźni. Łuniak zakrwawiony, z okropnie spuchniętą twarzą, chodził już spokojnie po celce.

— Zabrałeś rzeczy? — spytał Rudy.

Łuniak nie odrzekł nic.

— Pudzi — zakomenderował klucznik.

— Nie chodź — zawołałem i chwyciłem Łuniaka za rękę. Ale ten widocznie probował mi się wydrzéć i usiłował iść za Rudym.

— Co pan robi — odezwał się zgorszony klucznik. — Wojska spruwadzą i będzie tak po wszystkiemu. Pójdzie pan do pana prezesa, jak zawołaju.

Łuniak wyrwał mi się i poszedł do ciemnicy.

Człowiek, co zna świat z opowiadań przedewszystkiém, co na życie przez okno zawsze patrzył, gdy się trąci o twardą, brutalną rzeczywistość, staje wobec niéj jak wobec przepaści, przerażony, obezwładniony głębią, ogromem, jakiego nie znał i nie przypuszczał. Ogarnia go wtedy zgroza, zdumienie, oburzenie, złość, a nareszcie rozpacz. Takich uczuć doznałem i ja, siedząc samotnie w kaźni. Nareszcie, myśląc o bezmiarze dzikości i okrucieństwa, rozpłakałem się. Łkałem jak dziecko, chociaż od kilku miesięcy byłem już pełnoletni.

Jak tylko usłyszałem, że na korytarzu jest już Zaborski, zawołałem go zaraz do kaźni. O cudo, pomimo iż południe dawno minęło, był jeszcze trzeźwy.

— Masz pan — wsunąłem mu w rękę garść kubów. — Codzień będziem herbatę z arakiem pić, ale mam do pana wielką prośbę.

— No?

— Wiész pan, co się stało z Łuniakiem?

— A no, mówiłem panu.

— Zanieś mu pan mój obiad.

Zaborski skinął głową na znak zgody.

— Teraz nikogo nie ma na korytarzu — dodał. — Tylko — pogroził palcem — niech pan nikomu ani słowa. Jakby Rudy wiedział, zakapowałby.

— Niech pan mu zaraz zaniesie i niech pan tu wróci.

— Mój panie Zaborski— prosiłem go daléj jak wrócił — niech mi pan koniecznie da znać, jak będą wołać do prezesa, bo Rudy, pan wié....

— Dobrze — odpowiedział, oglądając fajkę, takim tonem, jakby chciał wyrazić: pójdziesz, nie pójdziesz tam, na jedno wyjdzie.

Wieczorem dowiedziałem się od więźniów, że Verwalter przez cały dzień był strasznie zły. Bił jeszcze z dziesięciu za bagatelki, na które innym razem wcale by nie zwrócił uwagi. Widzieli w tém skutek mojéj opozycyi. Samo zajście z Łuniakiem nie mogło go tak rozgniéwać, zbyt często używał swojéj prawicy za narzędzie kary, aby to miało go humoru pozbawiać. Wedle ich zdania, 48 godzin ciemnicy było terminem niepraktykowanie długim, zwykle sadzał na 12-cie, na 24-ry godziny najwięcéj, i to także przypisywali krzykom moim przez okienko.

— Oho, stary zawzięty — mówili, kiwając głowami. — On nawet nie ma prawa sadzać na tak długo, ale co jemu, kto tam będzie wiedział, kto się za złodzieja upomni.

— A do prezesa iść nie można? — wykrzyknąłem.

— Do prezesa iść, a palnąć się dwa razy w pysk — to jedno — twierdził Filipczyk. — Pójdzie do niego więzień. „Tak i tak, panie prezesie.“ A on zaraz: „Byłeś tu już“? Jak więzień powié: „nie“, to on: „No to widzisz, pamiętaj, że tu źle i więcéj nie przychodź.“ A jak więzień powié, że był, to prezes mówi: „No to wiedziałeś, że źle, pocóżeś przyszedł.“ Nic się nie wskóra, a że stary zawsze tam jest, to potém w pysk wali.

Rozpytałem jeszcze raz więźniów o ciemnicę, chociaż wiedziałem przedtém, że to loch, leżący naprzeciwko naszéj kaźni po drugiéj stronie korytarza, gdzie grunt wznosi się o całe piętro wyżéj. Nie ma tam ani posłania, ani stołka, tylko drąg taki, jak u nas do pryczy, i konewka z wodą. Okienko całe można dłonią zakryć. Wiedziałem także, że zamkniętym tam nie dają żadnego pożywienia.

Po odsiedzeniu wyznaczonego terminu, Łuniak wprost z ciemnicy odstawiony został na s z a ń c e. Szańce były postrachem więźniów, rodzajem miejsca zesłania dla nich. Opowiadano okropne rzeczy o wilgoci, która pochodziła ztąd, iż cały budynek grzązł jak gdyby w ziemi. Prócz tego w trzech czy czterech jego izbach, nabitych ludźmi, dzień i noc robiono koszyki, a że robota ta wymaga nieustannego moczenia prętów, więc podłoga nie wysychała z wciąż odnawianych kałuż. Wyziewy z moczonych gałęzi nie były podobno ani przyjemne, ani zdrowe. Tam setka przeszło ludzi spędzała życie, po całych tygodniach, nie przekraczając progu.

— Najzdrowszy — mówili więźniowie i dozorcy — jak tam na dwa miesiące pójdzie, to go tu przywiozą do szpitala. Łuniakowi już tam będzie „kaput“ — dodawali.

Za kilka dni Zaborski ogłaszał uroczyście na korytarzu:

— Do prezesa!

Przyszedł do mnie i spytał:

— No, chce pan do prezesa? Niech się pan zbiera!

Byłem już gotów zupełnie. Poszliśmy zaraz, ale trzeba było czekać w jakimś ogromnym przedpokoju, zanim skończy się obrzęd słuchania innych więźniów. Miałem dobrą otuchę. Doświadczyłem już raz dowcipu pana prezesa, kiedy mi wywiódł, iż oskarżony jestem zbyt ciężko, aby mógł pozwolić na sprowadzenie do więzienia mojéj czystéj bielizny. Wiedziałem, że pod bacznem okiem jego dzieją się niesłychane nadużycia, że więźniowie mrą z głodu, bo jedzenie zupełnie nie jest w stanie podtrzymać sił, prędzéj otruć może. Zwracano mu na to uwagę, ale skargi pozostawały bez najmniejszego skutku. W najlepszym razie odpowiadał, że sam widuje codzień to jedzenie, probuje i jest bardzo smaczne. W saméj rzeczy on codzień probował to, co mu przynosili, a przynosili mu,

jakem raz widział, rzeczy bardzo smakowite, ale tak podobne do tego, co dawali więźniom, jak dystylowana woda do rynsztokowego błota. Pomimo to miałem dobrą otuchę. Postanowiłem zdobyć się na największą chociażby cierpliwość, ale jednocześnie stanowczo oświadczyć, iż popełnia tyle bezprawia, że raz może dać ucho poczuciu sprawiedliwości. Przygotowałem się zupełnie do przemówienia, od kilku dni układałem sobie wszystko w głowie.

Woźny otworzył drzwi. Wszedłem, za mną wsunął się Zaborski, ale pozostał przy progu. Pan prezes siedział głęboko w fotelu przy biurku z taką swobodą, jakby to się działo w jego sypiaini lub gabinecie prywatnym. Otoczony był kłębami dymu z fajki, którą trzymał zupełnie tak, jak Zaborski; tylko cybuch był trzy razy dłuższy i cztery razy grubszy, a kończył się nie cienką rogową rurką, jak u klucznika, lecz grubym okrągłym bursztynem. Widziałem go już raz, był nieco rudawy, płeć czerwona, jakby natarta tylko-co czémś szorstkiem, twarz zresztą nie miała w sobie nic osobliwego, nic, na czém by oko i pamięć zatrzymać się mogły. Znać było tylko, że to biuralista i w dodatku ze staréj szkoły, zabytek z czasów meternichowskich.

Po za prezesem, oparty łokciem na kantorku, stał Verwalter i uśmiechał się ironicznie a tryumfująco, uśmiech ten pozbawił mnie wiele zimnéj krwi.

— Panie prezesie — zacząłem — kilka dni temu odegrała się pode drzwiami mojéj kaźni scena, która... oburzyła mnie—zamierzałem opowiedziéć to bardziéj malowniczo, ale teraz wydało mi się, że lepiéj będzie rzecz skrócić, opuszczając bardziéj jaskrawe obrazy i przeskakując przez silniejsze wyrażenia. Mam nadzieję, że pan nie zechce tolerować tego nadużycia.

— Co takiego?

— Pan Verwalter zbił i pokaleczył więźnia.

— Sam pan jest temu winien — wtrącił łagodnym i prawie uprzejmym głosem Verwalter—dawałeś pan kartki do noszenia dla wspólników.

— Panie prezesie, ja chciałbym z panem mówić....

— Czy pan nic więcéj nie ma do powiedzenia?

— Według przepisu prawa, pan Verwalter nie powinien tu być — dodałem jeszcze.

— Pan mi tu przepisów nie masz dyktować.... Proszę! — ręką drzwi wskazał.

Probowałem nie ustąpić.

— Więźniowie mrą z głodu — prezes rękę drugi raz wyciągał w kierunku drzwi i zatrzymał ją; z twarzy po za dymem widziałem,

że go te słowa obeszły i zirytowały zarazem—niech pan nie pozwoli przynajmniéj tak ich katować.

— Ja dla złodziei przysmaków z Ameryki sprowadzać nie będę—zawołał gniewnie.

— Więc niech ich pan nie da katować panu Verwaltrowi. Jestem przekonany, że gdybyś pan sam widział—chciałem przemówić mu do serca i do ambicyi, ale przerwał:

— Skąd pan do tego przychodzi, żeby się wtrącać w te rzeczy Pańska sprawa jest dosyć ważna...

Teraz ja mu przerwałem:

— Panu powinno być wszystko jedno skąd skarga za nadużycia pochodzi. Więźniowie powiadają, że przyjść do pana, to toż samo..

Prezes brwi zmarszczył.

— Sami więźniów psujecie, narażacie, kartki nie mogą być cierpiane!

— Przy tym więźniu kartki nie znaleziono. Pan Verwalter sam całą rzecz wymyślił.

— Co mi pan tu będziesz krzywdził urzędników. Sami jesteście burzyciele!.. Wyprowadzić go!

Woźny zbliżył się nieco do mnie i Zaborski zaruszał się pod progiem, Verwalter odskoczył od kantorka i mimiką tłómaczył rozporządzenie prezesa.

— Mniejsza z tém—przemówiłem jeszcze w formie pogróżki siląc się na spokój,—potrafię ja szukać sprawiedliwości daléj.

— Wyprowadzić!—brzmiał jak komenda wojskowa powtórny rozkaz prezesa.

Verwalter stał już przy mnie z ironicznie tryumfującym uśmiechem, spotęgowanym teraz do bezczelności.

Trzęsąc się ze złości i oburzenia, wyszedłem.

Pan Verwalter postanowił mnie ukarać i tegoż dnia przeniesiony zostałem do najgorszéj kaźni, gdzie mogło się pomieścić czterech, a siedziało piętnastu więźniów. Jedni spali na pryczy, drudzy pod pryczą. Ponieważ byli to „inkwizyci", więc opuszczali celkę tylką w dzień powszedni na godzinę spacerową. Wyziewy, zaduch—okropne! Nie mogłem tak, jak pod 7-ym, siedzieć cały dzień na oknie, bo tu było tylko jedno, a towarzysze nie zgadzali się na nieustające zaćmienie. Kara ta jednak nie wtrąciła mnie bynajmniéj w rozpacz, miałem na pana Verwaltra sposób. Zawezwałem natychmiast służącego i kazałem mu oświadczyć pani, że w téj kaźni nie będę brać ani obiadów, ani mléka, ani masła, ani chleba, ani tytoniu. Wobec cen, jakie na nas p. Verwaltrowa nakładała, była to strata

przeszło trzydziestu guldenów miesięcznie. Rzecz prosta, brzmiał zbyt wymównie argument, aby nie miał sprowadzić natychmiastowego skutku. Na drugi dzień przeniesiony zostałem na drugi korytarz do kaźni pojedyńczéj. Wróciłem do upragnionéj samotności.

Ubiegło znowu kilka tygodni. Zawołałem golarza, aby mnie ostrzygł.

— Wié pan– odezwał się, zabrawszy się do wykonania poruczonéj mu operacyi—wié pan mnie przeznaczyli na Wiśnicz, byliby dziś wywieźli, bo dziś wywożą.

W Wiśniczu znajduje się główne więzienie karne dla Zachodniéj Galicyi. Przebywa tam ograniczona liczba ciężéj skazanych aresztantów. W miarę jak się miejsca opróżniają wywożą na Wiśnicz ze śledczych więzień partyami po kilku lub kilkunastu.

— No i co?—spytałem, chociaż los golarza nie był wcale bliski sercu mojemu.

— Zaraz ja wczoraj dziadów zebrał, oni poszli do Verwaltra prosić, nu, ja się z samym starym znam, on zaraz do prokuratora i fertig!

— Mówią, że na Wiśniczu lepiéj, większy porządek i karmią lepiéj!

— Lepiéj, dla takiego chama, chłopa, co nie umié sobie poradzić lepiéj, dla mnie tu lepiéj.

— Prawda, że wam tu dobrze, chodzicie sobie wolno, macie zarobek.

— Z tego, pan myśli, zarobek, co ja złodziejom brody golę, o! tak moje wrogi mieli taki zarobek! Tu można lepiéj zarobić—dodał tajemniczo.

— No, ale jedzenie?

— Pan myśli, ja raz chociaż to jedzenie tutejsze miał w usta. Skąd! Ja sobie zawsze od lokaja Verwaltrowéj kupuję. Dam szóstkę, to mam zupę jak się patrzy i chleb i mięso. A myśli pan jak dam Zaborskiemu wódki, albo Rudemu cygaro, to oni ze świata nie przyniosą czego ja chcę. Oj! oj!

— Skądże wy wódkę macie?

— No, mam.

— A dużo ludzi wiozą teraz na Wiśnicz — zapytałem po chwili.

— Osiem. Wié pan tego Łuniaka, tego co to za kartkę na szańce poszedł, to jego téż wiozą, już on tu jest.

— Jest! Mój golarzu!...—urwałem.

— Co takiego?

— Nic.

Przyszła mi myśl posłać co Łuniakowi, ale przypomniałem sobie, że dać golarzowi pieniądze do zaniesienia komuś, co na całe życie jedzie na Wiśnicz, to toż samo co mu więcéj za strzyżenie zapłacić.

— Prędko ich wywiozą?

— Za pół godziny, za trzy kwadranse.

— Czy dziś Zaborski dyżurny?

— Nie.

Na moim nowym korytarzu téż był dozorca, któremu nie ufałem. Wiedziałem, że jak wywożą na Wiśnicz, to Verwalter musi być w kancelaryi i nie da zawołać Łuniaka. Nie było rady.

— Proszę pana—odezwał się golarz, widocznie zgadując moje myśli—jemu tam dobrze będzie. Pójdzie do roboty. A jedzenie, myśli pan, takie jak tu: dwa razy ziemniaki, dwa razy knedle, jak tu w szpitalce. A jak w niedzielę dadzą mięso, to pan myśli, takie ze zdechłego jak tu!? O! Tylko on nie długo już pociągnie.

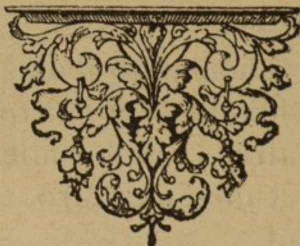
— Dla czego? Zdrów chłop!

— Czy to ja proszę pana pierwszy raz, czy pierwszy rok w kryminale siedzę. Jak tylko taki złodziéj zacznie mruczéć ciągle pod nosem, a muchy łapać, albo kraty rachuje, albo szarpie ze spencerka skubie, a jeszcze nic nie gada, no to już on nie długo pociągnie.

. . . .

Łuniaka nie widziałem, ani słyszałem nigdy więcéj o nim.

L. St.





HELENA MASSALSKA,

Księżna Karolowa de Ligne. Hr. Wincentowa Potocka.

(Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle).

(Dokończenie.)

We Lwowie czeka Helenę niespodzianka, która wpłynąć ma niebawem opatrznościowym sposobem na udzielenie jéj dziwacznym losom nowego zgoła kierunku. Śpieszącą z odwiedzinami do przyjaciółki, ks. Jabłonowskiéj, wita w przedpokoju głos dobrze znany, który mało co o omdlenie jéj nie przyprawia: książe de Ligne, ojciec porzuconego niegdyś Karola, stoi przed nią.

Książe de Ligne nie zmienił się, choć sam wielorakiemi i bolesnemi przygodami doświadczony. Wojna wyzuła go z rozkosznéj rezydencyi w „Bel-Oeil" i z całego prawie majątku, nie pozwoliwszy mu nadto wrócić do upodobanego rzemiosła żołnierskiego. Usunięto go od wszelkiéj komendy, mszcząc się podobno za uszczypliwe dowcipy, od których powstrzymać się nie mógł względem pierwszych niefortunnych przeciwników zwycięskiéj armii francuskiéj. Arcyksięcia Alberta mianowicie, pytającego: czy nie znajduje go zmienionym po chorobie, jaką przebył w następstwie porażki poniesionéj pod Jemmapes, powitał lekkomyśny książe, odpowiadając: „*Je vous trouve, Monseigneur, l'air encore un peu défait*".

Zmuszony do zadawalniania się szczupłym względnie dochodem z kilku pensyi, z których jedną zawdzięczał Katarzynie II, i skromném względnie także pomieszkaniem w pałacyku Wiedeńskim na wałach, (pomalowanym według gustu jego na różowo), nie stracił książe wesołego humoru, młodzieńczéj werwy i téj dla wszystkich i dla wszystkiego wyrozumiałéj dobroci, która stanowi jednę z najcharakterystyczniejszych i najsympatyczniejszych stron jego moralnéj fizyonomii. Jakiego przyjęcia mogła spodziewać się Hele-

na od tego, w najdroższych uczuciach dotkniętego niegdyś przez nią człowieka, jakich słów z jego ust oczekiwać, w obecnym zwłaszcza składzie okoliczności, domyślić się łatwo. Prędko jednak położył książe koniec jéj obawom. W długiéj i przyjacielskiéj rozmowie, jeśli wspomniał o przeszłości, to dla tego tylko, aby dać poznać młodéj kobiécie niewłaściwość obecnego jéj postąpienia. Toć jedynie namiętne i głębokie przywiązanie do teraźniejszego męża, które wyznawała dotąd, usprawiedliwić poniekąd było w stanie dawniejsze jéj postępki. Rozdział z tym mężem musiał by uczynić ją w oczach całego świata pospolitą kokietką, posłuszną przemijającym kaprysom. Dołączył książe jeden jeszcze argument, przeznaczony, bez jego może wiedzy, do sprawienia na umyśle Heleny najgłębszego wrażenia: Sydonia, jéj córka, wychowana została w uczuciach największego uszanowania dla matki i najzupełniejszéj nieświadomości Warszawskich jéj przygód; czy uczucia te nie musiałyby zostać wystawione na dotkliwą próbę wobec nowego skandalu, odświeżającego koniecznie pamięć przeszłości?

Wzruszona, ujęta i nie wiedząca już co myśléć i co począć, Helena odpowiedziała na te przedstawienia, rzucając się na szyję swemu świekrowi, oświadczając, iż gotowa pójść drogą, którą on jéj wskaże. „Widzę jednę drogę tylko, odparł książę: wrócić do męża, uzyskać odeń łagodnością pozwolenie na wyjazd do Paryża i uwolnić się tym sposobem od przykrego pobytu w Brodach oraz nieuniknionych śród samotnego życia tamtejszego wzajemnych podrażnień“.

W kilka dni po téj rozmowie wyprawiona ze Lwowa sztafeta pędziła do Brodów z listem, w którym Helena objawiała życzenie podjęcia ostatniéj próby porozumienia i chęć powrócenia do Brodów w tym celu; nie czekając zaś na odpowiedź i z jedną ks. Jabłonowską oraz księciem de Ligne czule się pożegnawszy, podążyła zawrócona z niebezpiecznych manowców małżonka do Złoczowa, gdzie spotkać ją miał z odpowiedzią wracający goniec. W rzeczywistości, rady księcia de Ligne dla tego tak łatwo trafiły do jéj przekonania, że odpowiadały tajemnym życzeniem jéj serca. Książe zalecił, aby zrobiła przez rozsądek to, do zrobienia czego nagliła ją miłość. Wywiedziona przytém z zapomnienia i w blasku najpowabniejszych przymiotów ciała i duszy postawiona przed jéj oczami postać siedmnastoletniéj Sydonii opanowała nagle jéj skołatane i uczucia tego, niby deski zbawienia, chwytające się serce. Wracając do boku niewiernego i poniewierającego ją towarzysza, wyobraziła ona sobie, iż ponosi ofiarę dla odzyskania tego jedynego teraz dziecka. Aczkolwiek bowiem oględnie, bo w przewidzeniu silnego

oporu ze strony żony swojéj, staréj księżny de Ligne, książe obiecał, że, byle pozostała przy mężu, zobaczy tę ukochaną niespodzianie córkę.

P. podkomorzy odpowiedział kilku tylko i dość suchemi słowy, wyrażając, że „najlepsze przyjęcie czeka ją w Brodach, dokąd zachowała prawo wrócenia kiedy jéj się podoba". Ruszyła tedy Helena ze Złoczowa w dalszą drogę, nie bez układania postawy, jaką jéj przybrać względem męża wypadało, aby nie narazić swéj godności, i przebaczając, dać mu uczuć wartość tego przebaczenia. Płonne rachuby i przygotowania! Przyjęta na progu domu i szybko odprowadzona do swego apartamentu przez podkomorzego, „nie lubiącego czułych scen przed świadkami":

— Czy gniewasz się, żem wróciła? zapytała nieśmiało.

— Gniewam się, żeś wyjechała, odpowiedział małżonek, biorąc ją w swoje objęcia.

Pozwoliła się zatrzymać chwil kilka w tym uścisku, kryjąc opartą o jego ramię i zarumienioną twarz, a potém z głębokiem westchnieniem: „Ach! jakże ciebie kocham, mój Wincenty!" szepnęła, żegnając się raz jeden więcéj ze swoją godnością i wszystkiemi rachubami.

Niespodziewa się zapewne czytelnik, aby ta, jakkolwiek czuła, naprawa rozerwanych stosunków była zadatkiem wzorowego już nadal i od nowych zatargów zabezpieczonego pożycia małżeńskiego. Próba, którą przebyła w ten sposób Helena, nie pozostała jednak bezowocną. Zrozumiała ona po raz pierwszy potrzebę wypełnienia téj próżni, którą wytworzyła dokoła niéj teraźniejsza jéj dola czémśkolwiek inném po za jedną miłością dla męża, niewystarczającą jawnie, jakkolwiek namiętną; szukania czegoś po za jego osobą i jego pieszczotami. Wzięła się z zapałem do zarzuconego oddawna malarstwa, utrzymywana w szybko rozwiniętym zapale do pracy na tém polu, pochłaniającéj samotne godziny, przez nieszczędzącego jéj zachęt i pochwał małżonka. Nadewszystko zaś przywiązała się do nowego przedmiotu czułych i coraz to serdeczniejszych wspomnień, podsuniętego jéj przez księcia de Ligne w osobie Sydonii. Czyniąc zadość udzielonym jéj przez tego ostatniego we Lwowie nadziejom i obietnicom, Sydonia napisała do swéj matki list tkliwych wyrazów pełen, z radośném uniesieniem przyjęty i nie mniéj tkliwą powitany odpowiedzią. Raz nawiązana korespondencya musiała stać się coraz to częstszą i poufalszą. Przyszłość téj jedynaczki, czekające ją małżeńskie przeznaczenie, najrozmaitsze odnoszące się do jéj osoby zaprzątnienia i rachuby jęły zabierać w macierzyńskiém sercu co raz to więcéj miejsca. Za spra-

wą zaś tłómaczącego się łatwo zbiegu okoliczności, p. podkomorzy przypomniał sobie w tym samym czasie straconego z oczu i pamięci własnego jedynaka, Franciszka (z drugiéj żony, Mycielskiéj), jedynego dziedzica imienia i fortuny—nawet téj fortuny—jak teraz z goryczą wspominać przychodziło Helenie—która powinna była dostać się kiedyś Sydonii!

I tak przyszło jednego dnia między pogodzonymi małżonkami do następującéj, niespodzianek pełnéj rozmowy. Wchodząc rano do pokoju żony z listem w ręku. „Otrzymałem w tej chwili, rzekł p. podkomorzy, propozycyą dość oryginalną, z któréj pragnę zdać ci sprawę. Pani Seweryna Potocka wyraża mi życzenie swoje, aby syn mój Franciszek pojął za żonę jednę z jéj córek. Dotąd nic dziwnego, ale dodaje ona, iżby pragnęła nie mniéj gorąco, aby jéj syn ożenił się z twoją córką, Sydonią. Na te słowa Helena zadrżała, zarumieniła się mocno i nie odpowiedziała nic. Nie uszło to wzruszenie uwadze p. podkomorzego. „Projekt ten, ciągnął daléj, wydaje ci się dziwacznym tak jak mnie; tym sposobem dzieci nasze stały by się rzeczywiście bratem i siostrą!“ Helena podniosła głowę i patrząc mężowi prosto w oczy: „Mam w głowie projekt dziwaczniejszy jeszcze“, rzekła.—„Jaki?“—„Ten, aby stały się one mężem i żoną“.

I nie bez przeszkód wprawdzie, nie bez silnego oporu ze strony hrabiny Anny, silniejszego jeszcze ze strony księżny de Ligne, projekt ten przychodzi do skutku. Książę de Ligne sam skłania się doń z łatwością, ze skwapliwością nawet. Helena zaś przywiązuje się do obmyślonéj przez się kombinacyi ze zwykłą sobie namiętnością, jak dalece gwałtowną, świadczy o tém jeden z listów, nie najmniéj charakterystyczny w całéj jéj korespondencyi. Postanowione zostało, iż siedmnastoletnia Sydonia i dziewiętnastoletni Franciszek spotkają się w Teplicach, dokąd p. podkomorzy sam podąży dla przedstawienia syna i zagajenia układów matrymonialnych przy pomocy hr. Anny, pozyskanéj ostatecznie dla projektowanego związku. Helena zaś pozostanie przez ten czas w Paryżu, dokąd polepszone obecnie interesa wyprawić ją pozwoliły. Aliści w Paryżu już otrzymany przez nią, a z Drezna wyprawiony przez podkomorzego list zawiadamia ją, że nie doczekawszy się przybycia zatrzymanéj w Polsce nieprzewidzianemi przeszkodami hr. Anny, postanowił p. podkomorzy odwiedzić tymczasem Brody.

„Jakiż cios zadałeś mi!—pisze natychmiast Helena.—Nie wiem już, czy istnieję jeszcze i gdzie jestem, nic mi nie przypomina tego wszystkiego, chyba bolesne uczucie, którego doznaję. Jedziesz tam, po tém wszystkiém, co mi przyrzekłeś i jedziesz dla czego? Dla tego, że źle wybrałeś tego, którego postawiłeś u steru swych intere-

sów, mimo tego wszystkiego, co ci powiedziałam. Pozwalasz się uwodzić chimerycznym obawom! Powtóre podróż twoja zniweczy z pewnością projektowany związek, spotkanie nastąpi w twojéj nieobecności, znajdą się osoby, które udając, że życzą sobie tego, wytworzą przeszkody. Zawsze robisz rzeczy, które najbardziéj szkodzą twym projektom i przywodzisz mnie do rozpaczy, ponieważ nigdy nie mogę rachować na żadną z twych obietnic. Co jest rzeczą pewną, to to, że uważam to małżeństwo za zerwane zupełnie; zdaje się, jak gdyby zły geniusz jakiś skłaniał cię do złych postanowień w tém wszystkiém, co może być źródłem twojego i mojego szczęścia!... Kończę, jestem zbyt zrozpaczona, aby mówić z tobą o czém inném. Posyłam ten list do Brodów, gdzie mniejszy jeszcze panuje nieporządek niż w mojéj głowie. Przyznaję ci, że nie posiadam się z oburzenia. Jakże nieszczęśliwą jest rzeczą, mając serce głębokiéj czułości pełne, żywić uczucie wyłączne i namiętne dla istoty słabéj i wszelakim wpływom podległéj; źródło to nieuniknionych cierpień i rozdzierających niepokojów! Jedném słowem powiedzianém będzie, że zrobiłeś wszystko dla nieszczęścia a nic dla szczęścia mojego.... Omdlałam dopiéro co i otwieram napowrót mój list, aby ci powiedziéć, że zdrowie moje nie będzie w stanie wytrzymać tego, co mnie spotyka; nie wyglądaj już listów odemnie, dopóki nie dowiem się, że spotkałeś się z temi, których powinieneś był oczekiwać, albo przynajmniéj zbliżyłeś się do nich. Jeżeli przeciwnie przedłużysz twoję nieobecność, nie usłyszysz już nigdy o mnie. Mniemam, iż opóźnienie przyjazdu podkomorzyny i reszta, wszystko było obrachowane, rezultat to intrygi, którą oszukano cię, a któréj sama jedna jestem ofiarą, znam cię bowiem zanadto dobrze, abym przypuszczała, że cierpiéć cokolwiek możesz z tego powodu! Co do mnie, nieszczęsny związek ten stał mi się nienawistnym, i gdyby moje przyzwolenie było jeszcze potrzebném, nie dałabym go, nie chcę wiązać się z tymi, którzy wydzierają mi życie!"

Domyśla się zapewne czytelnik, że pamięć o przebywającéj w okolicach Brodów Karwoskiéj nie jest obcą temu wylewowi gwałtownych uczuć. Ale i w tém zapewne nie mam potrzeby oświecać jego domyślności, że groźba nie pisania więcéj do tak srogiemi wyrzutami obarczonego małżonka nie zostaje spełnioną. Pisze jeszcze Helena razy siedm do Brodów; tylko żaden z tych listów nie dochodzi w Brodach do rąk p. podkomorzego. Bardzo przezornie rozporządził p. podkomorzy, aby wszystkie listy, z Paryża doń przychodzące, odsyłano do Teplic i tym sposobem za powrotem do téj miejscowości w oznaczonym z góry terminie, znalazł w ich liczbie

jeden późniejszy datą od dopiéro co przytoczonego, a kończący się temi słowy: „Do widzenia, mój Wincenty, kocham cię jeszcze, nie mogę już wątpić o tém.“

Zjawiła się téż w Teplicach hrabina Anna, coraz lepiéj usposobiona dla projektowanych zrękowin, a nie zmieniona w dawniejszém usposobieniu względem niewiernego małżonka. Jakim był charakter stosunków, które nawiązać się teraz musiały między rozerwaną parą, za sprawą przedślubnych układów i przygotowań, o tém bliższéj nie uzyskujemy pewności. Znajdujemy wszelako bilecik ręką hr. Anny pisany w tym czasie do brata, Michała Mycielskiego, a dość wymowny w swéj lakoniczności: „Znalazłam tu kilka dni szczęśliwych, których nie śmiałam już obiecywać sobie.“ Może wymowniejszém zaś jeszcze jest heroiczne postanowienie, do którego skłania się ona, odmawiając sobie szczęścia towarzyszenia do ołtarza wychowanemu przez się i czule kochanemu synowi. Jak łatwo pojąć, mimo skłonności wszelkiéj do kompromisów, cechującéj obyczaje owoczesne w arystokratycznych zwłaszcza sferach, obecność na ślubnym obrzędzie dwóch żon hr. Wincentego i ich spotkanie się z sobą nie mogło nie nasuwać niejakich trudności. Hr. Anna, pierwsza, oświadczyła, iż wypada uczynić wybór w tym względzie między nią a jéj szczęśliwą rywalką. Zakłopotany podkomorzy użył całéj swojéj dyplomacyi dla skoncypowania listu, mającego skłonić Helenę do pozostania w Paryżu, i dyplomacya jego odniosła niespodzianie pomyślny skutek. Mimo gorącego pragnienia zobaczenia nareszcie téj córki, któréj listami dotąd zadawalniać się musiała, i mimo upokorzenia, na którą skazywało ją przymusowe rozłączenie z nią w takiéj chwili, Helena drżała na myśl tego spotkania z hrabiną Anną, którego i ta ostatnia oszczędzić sobie chciała; przyjęła więc z łatwością odpowiadające jéj tajemnym uczuciom postanowienie, tém łatwiéj, że jednocześnie otrzymała od męża wiadomość, że on sam, po podpisaniu kontraktu ślubnego, odmówi sobie towarzyszenia ślubnemu obrzędowi i do Paryża ku niéj podąży. Aliści nagle, po dłuższéj rozmowie z panem podkomorzym, przy zakończeniu któréj „zostawiła przez chwil kilka rękę swoję w jego uścisku i wysunęła ją wreszcie z westchnieniem“, hrabina Anna siadła do biurka i napisała dwa listy: jeden do Heleny, wyrażający nadzieję, że stan zdrowia nie przeszkodzi jéj przybyć do Teplic na ślub córki, drugi do p. podkomorzego, kończący się temi szlachetnemi słowy:

„Nie mogłam znieść myśli zasmucenia księżniczki Sydonii i syna naszego w dniu, który ma być najszczęśliwszym w ich życiu; nie chcę opóźnić przez moję winę radości, któréj wygląda księżniczka

z poznania swojéj matki. Serce moje nacieszyło się od miesiąca widokiem ich miłości, powinno to wystarczyć mi; zostanę w domu w dzień ich ślubu, modlić się będę za nich, życzenia moje tylko towarzyszyć im będą.“

Nie przyjęła jednak Helena ofiary; ślub odbył się 8-go września 1807 r. w Mariaszówce bez niéj i bez jéj męża, choć śród licznego i wielce świetnego grona krewnych i przyjaciół obu rodzin. Prowadzili do ołtarza Sydonię książę Clary i hr. Wallenstein, Franciszka ks. Sasko-Wejmarski i hr. Naryszkin. Między otaczającemi Sydonią drużkami pierwsze miejsce zajmowała Krystyna de Ligne, przyznana (ale bez tytułu książęcego) córka naturalna księcia Karola, 1-go męża Heleny, nieodstępna jéj od lat dziecinnych towarzyszka. Młoda para podążyła najpierw do Wiednia, gdzie książę de Ligne znalazł pożądaną sposobność popisywania się swoją galanteryą i umiejętnością w urządzaniu festynów i zabaw wszelakiego rodzaju, między któremi teatr amatorski musiał znaleść miejsce. Obu nowożeńcom dostały się role w przedstawieniach „Kobiet uczonych“ i „Agary na pustyni“, w których tytułową rolę grała— pani de Staël. Strój Agary nie przypadł jakoś do twarzy natchnionéj Korynnie. Zaczém, między widzami pomieszczony i już z tego względu źle usposobiony, bo sam grać lubiący, choć niegodziwie grający, książe de Ligne nie zaniedbał popisania się także swoją uszczypliwą werwą. Obracając się do siedzącego obok hrabiego Uwarowa: „Jak się nazywa ta sztuka?“ — zapytał nagle, nie pamiętając niby tytułu. — „Agar na pustyni“, mości książę. — „Ach, nie, nie, przypominam sobie teraz, to „Usprawiedliwienie Abrahama.“

Co mu nie przeszkodziło do zawiązania wkrótce najprzyjaźniejszych stosunków z tą literacką koleżanką, choć opartych na kompromisie, wykluczającym stanowczo politykę z rozmów poświęcanych innym, nie mniéj zajmującym przedmiotom.

W końcu listopada dopiéro, przed bramą wspaniałego pałacu przy ulicy Caumartin, zamieszkanego przez Helenę i jéj męża, odezwał się turkot oddawna wyglądanego powozu—powozu wiozącego tę, do której wydzierało się teraz serce nieczułéj niegdyś matki, a któréj postać, odgadywana z rozpatrywanych całemi godzinami miniatur i portretów, nasuwała jéj jednak,—w nieuniknionéj ale bolesnéj łączności wspomnień, inny wizerunek, sponiewierany niegdyś, zapomniany długo. Stawał on ciągle teraz w moich oczach; głos jakiś mówił mi: Nie dałaś mu nawet jednéj łzy, a jednak był on ojcem twojego dziecka. Ta myśl przenikała mnie do głębi duszy, i bałam się mojéj córki.“

Zbiegła jednak ze schodów na jéj spotkanie, zapominając o etykiecie, chwyciła ją w objęcia, słowa wymówić nie mogąc, ani nawet rozpoznać jéj rysów oczami, z których łzy sypały się rzęsiste, zaniosła ją prawie do przeznaczonych dla niéj pokojów, posadziła na swych kolanach jak małe dziecko i pocałunkami ją pokrywając, powtarzać tylko była w stanie głosem przerywanym przez łkania: „Ach tak dawno... tak dawno!“ Potém, z pierwszego wzruszenia ochłonąwszy, oddaliła ją od siebie, ujmując za ręce, szybkiemi ruchami zdjęła z niéj okrycie futrzane, kapelusz, dobyła grzebień z włosów, rozpuściła długie jasne sploty, kazała jéj iść naprzód i cofać się, obracać się w prawo i w lewo....

Prawdomówność historyczna zmusza mnie do zaznaczenia, że podług przechowanych w rodzinie wspomnień, mimo pięknych włosów, kształtnéj kibici i prześlicznéj nogi a ręki (jak zapewnia książe de Ligne), mimo namiętnéj wreszcie miłości, którą rozgorzał dla niéj dziewiętnastoletni małżonek, Sydonia powabną nadto nie była, oszpecona zwłaszcza w sposób dotkliwy przez ospę. Ale tego nie widziała zapewne Helena. Nowa szczęśliwa doba w jéj niedawno tak udręczoném życiu rozpoczęła się dla niéj teraz.

POBYT W PARYŻU. — ŚMIERĆ.

(1807 — 1815).

Dworno przybyli państwo Potoccy do Paryża, podróżując osobno po części za przyczyną zbyt licznego i w przygodnych gospodach nie łatwo mieszczącego się orszaku. W jednym powozie jechał pan podkomorzy sam, w drugim doktór i dwaj plenipotenci, w trzecim czterech sekretarzy; zamykał karawanę szaraban z dwoma kamerdynerami i czterema lokajami i ogromny wóz kuframi naładowany. Dwór Heleny, aczkolwiek mniéj liczny, był jeszcze dość okazałym. Pałac przy ulicy Caumartin, umeblowany przez najpierwszych paryskich tapicerów i stolarzy, Jacob'a, Thomire'a, Glaize'a, zapełnił się sprzętami, których wartość oceniano na 1,000,000 fr. W wspaniałéj jadalni trzy razy na tydzień zasiadało dobrane grono biesiadników, a popisujący się na tych przyjęciach swoją sztuką współzawodnik Vatel'a, wybrany przez znanego specyalistę-smakosza, pana de la Naupaliere, zyskał sobie sławę jednego z najlepszych kucharzy w Paryżu. Kwiat rozproszonego przez emigracyą a zbierającego się teraz napowrót z rozmaitych kątów świata i reorganizującego się towarzystwa garnął się do tych gościnnych progów. Do najczęściéj widywanych i najmiléj witanych

gości należeli stary baron de Breteuil, dość czynny w emigracyjnych latach i wielki przyjaciel księcia de Ligne, książę de Levis, księżna de Mirepoix, stara wreszcie dziś ale niegdyś słynna z piękności a zawsze dowcipna i wystrojona margrabina de Coaslin, ta, któréj słynny finansista Bourette ofiarował milion franków w chwili uniesienia, i spotkał się z odmową, aż nazajutrz dopiéro rozmyśliła się margrabina, ale wtedy Bourette odpowiedział jéj: „To, o co prosiłem wczoraj, miało wysoką cenę; to co mi dziś pani ofiarujesz za drogo kosztuje“; ta, która podczas rewolucyi na widok nieobiecującego posłania, zgotowanego dla niéj w lichéj oberży, wołała: „Ach, to nie łóżko Ludwika XV-go!“ Dawna towarzyszka Heleny z Abbaye-aux-Bois, pani de Coigny (panna de Conflans), reprezentowała w tém kółku tę część przedmieścia St. Germain, która dała się zjednać urokowi nowego zwycięskiego porządku rzeczy. Sama Helena okazuje się zrazu entuzyastyczną bonapartystką. Pierwsze chwile pobytu w doświadczonéj tylu katastrofami i po latach dwudziestu, tak zmienionéj stolicy przykrych jéj wprawdzie dostarczają wrażeń. Nowa monarchia nie zdążyła jeszcze zatrzéć wszystkich śladów rewolucyi. Na fasadach dobrze znajomych jéj niegdyś arystokratycznych siedzib napisy: „pałac“, „hotel“ zastąpione zostały przez „Dom *ci-devant* Bourbon“, „Dom *ci-devant* Conti“ i t. d. Połowa tych pałaców pozostaje zamknięta i pusta; część przeznaczona została przemysłowym użytkom, ze sklepami urządzonemi na dole, z szyldami kupieckiemi, zastępującemi dawne herby; przez otwarte drzwi wjazdowe widać trawę rosnącą na dziedzińcach, w których tłoczyły się niegdyś wspaniałe ekwipaże.... Pierwsze kroki swoje zwraca naturalnie Helena w stronę „Abbaye-aux-Bois.“ Niestety! Nikogo w zamkniętym i tutaj i pustym gmachu; zakonnice zostały rozproszone, przełożona umarła; stara przeorysza jedna mieszka opodal w lichéj izdebce przy ulicy de Sevres. A dawne jéj towarzyszki, tak świetnéj z pozoru przeznaczone przeszłości? Panna de Stainville wyszedłszy za mąż za księcia de Monaco, i wyemigrowawszy razem z nim i dziećmi, wróciła pod przybraném nazwiskiem, aby ocalić cośkolwiek z majątku swych córek. Zdradzona przez służącego, stanęła 7 thermidora przed trybunałem rewolucyjnym. Radzono jéj, aby oświadczyła, że jest przy nadziei, dla zyskania czasu. Ponieważ los od roku już z mężem ją rozdzielał, nie chciała okupić życia znieważającém kłamstwem. Wsiadając do fatalnego wózka, prosiła aby jéj podano nożyczki, aby zostawić nieco włosów swoich na pamiątkę dzieciom. Gdy jéj odmówiono, stłukła szybkim ruchem ręki szybę i posiekała kawałkiem szkła piękne warkocze; potém położyła trochę różu na blade od znużenia po-

liczki, „nie chcąc, aby ją blednącą widziano przed rusztowaniem.“ Dwoma dniami późniéj zamach stanu 9-go thermidora byłby ją ocalił! Z ust drugiéj towarzyszki, księżny de Choiseul dowiedziała się Helena o losie dwóch opiekunek jéj lat dziecinnych księżny de Grammont i księżny du Chatelet. Zapytana przez trybunał rewolucyjny o to, czy nie posyłała pieniędzy emigrantom, „Moje życie nie warte kłamstwa“, odpowiedziała księżna de Grammont. Obie księżne, ścisłą połączone przyjaźnią, razem poszły na rusztowanie.

Jednak, mimo tych strasznych, powiązanych z nią wspomnień, wspaniałość Napoleońskiéj apoteozy olśniewa Helenę.

Do męża, 15 Sierpnia 1807 r.

„Wracam z Notre-Dame i spieszę z udzieleniem ci moich wrażeń; najprzód widziałam cesarza doskonale; galerya, na któréj znalazłam miejsce, znajduje się nad ołtarzem i prawie naprzeciwko tronu. Nie chcę ci mówić najprzód o jego osobie *(sic)*; przed jego przybyciem mogłam rozejrzéć się po kościele, podziwiać okazałość przygotowań i t. d.; ale skoro przybył on, oczy moje i myśl moja nie opuściły go już. Nie jest on wielkiego wzrostu, ale może być za sprawą wyobraźni uprzedzonéj przez pojęcie o jego potędze, znalazłam dużo godności w ruchach jego i postawie. Jest dość grubym, ale widać, że nie jest-to tłustość; są to członki nerwów pełne i skupione, które robią wrażenie raczéj siły niż otyłości. Przychodzę do głowy. O! co téj się tyczy, to nie można jéj odmówić wielkiego charakteru, wybitnego w każdym rodzaju. Przypomnij sobie wszystkie czyny jego życia, znajdziesz je odmalowane w téj głowie, twarz jego przechodzi od wyrazu najwięcéj chmurnego do słodyczy najwięcéj anielskiéj, uśmiech jego to niebo, które się wyjaśnia po burzy. Cóż ci powiedziéć? — głowa Apollina czy jakiéjkolwiek innéj piękności greckiéj nie pasowałaby tak do tego, czém on jest, do tego, co zrobił, jak jego własna; nie odmalowywała by tak dobrze jego charakteru i nie udzielała by tego wrażenia, którego on powinien i prawdopodobnie chce udzielać. Płeć jego nie jest czarną, jest ołowianą, wskazuje noce bezsenne, troski, których dostarcza olbrzymie państwo, i plany, których rozległość jemu samemu może tylko jest znana. Z pewnością płeć rumiana niweczyła by efekt jego fizyonomii i nie byłaby mu do twarzy. Jedném słowem, radzę mu, aby się pokazywał, nie może stracić na tém.....“

Ale entuzyazm w ten sposób objawiający się, urok świetnych przyjęć dworskich, obecność przy jéj boku odzyskanéj córki, wszystko, co ją do Paryża przywiązywać teraz może, nie przeszkadza temu, że pewnego dnia, w październiku 1809 r. wita ona zdumioną

Sydonię niespodzianą zapowiedzią natychmiastowego wyjazdu do Polski. Co się stało? Stało się to, że ze słów usłyszanych od swych panien służebnych i z listów otrzymanych z Polski wyrozumiała ona, że bawiący obecnie w Radziwiłłowie małżonek nie bawi tam sam; Karwoska znajduje się u jego boku. Pędząc pocztą i nie dając sobie czasu do odpoczynku, nie zważając na zimno, słotę i wszelkie wygody, staje nagle Helena przed nieuprzedzonym i zmięszanym, choć na gorącym uczynku nie schwytanym winowajcą. Mimo podejrzliwych dociekań i indagacyi nie znajduje ona z razu nic, coby potwierdzało zazdrosne jéj domysły i obawy. Spędza miesiąc cały w Radziwiłłowie, w dobréj z mężem harmonii, i uspokojona już, odjeżdża do Brodów dla zabrania ztamtąd przeznaczonych do Paryża przedmiotów, gdy na 3-éj wiorście za Radziwiłłowem nieznajoma ręka wrzuca do jéj powozu bilecik z temi zawartemi w nim słowy: „Karwoska była w Radziwiłłowie w chwili twego przyjazdu, towarzyszyła nieodstępnie twemu mężowi podczas jego pobytu w Berdyczowie i teraz jeszcze zajmuje twoje miejsce“. Dać stangretowi rozkaz zawrócenia do Radziwiłłowa, wpaść do opuszczonego dopiero co domu nakształt bomby i przebiedz od dołu do góry wszystkie pokoje w pogoni za rywalką, jest rzeczą, która nie wymaga ze strony Heleny chwili namysłu. Gonitwa okazuje się i teraz bezskuteczną, zagniewany małżonek poprzestaje na iroczném zachęcaniu jéj do dalszych poszukiwań dostarczających zajmującego widowiska domownikom; nie przekonana ale pokonana, Helena siada napowrót do powozu. A jednak bilecik bezimienny nie skłamał. Cudem tylko Karwoska, siedząca przy stole ze swoim kochankiem w chwili powrotu Heleny, potrafiła ujść z przed jéj oczu. Nowe informacye, w Brodach otrzymane, nie zostawiają biednéj małżonce żadnéj w tym względzie wątpliwości. Wtedy zdobywa się ona na pomysł heroiczny: sztafeta wyprawiona do Radziwiłłowa wiezie w liście pod adresem pana podkomorzego dwa cyrografy, do których podpisania zostaje on wezwany. Pierwszym z nich zaręczyć on ma słowem honoru, że Karwoska nie znajdowała się w Radziwiłłowie w chwili przyjazdu Heleny, że nie towarzyszyła mu do Berdyczowa i że nie ma jéj teraz jeszcze w Radziwiłłowie; drugim zobowiązać się ma na przyszłość do zerwania wszelkich stosunków z tą kobietą.

„Jeżeli nie możesz, podług twego sumienia, podpisać obu tych zaręczeń, rzućmy raz jeszcze zasłonę na przeszłość; podpisz przynajmniéj drugie, a wrócę do Paryża spokojna; jeżeli zaś nie dotrzymasz przysięgi, będę miała przynajmniéj pismo, które towarzyszyć mi będzie do grobu i z którém pozwę cię przed sąd Boży“...

Hrabia Wincenty rusza ramionami i podpisuje jeden i drugi papiér.

„...Byłam chora, bardzo chora“, pisze Helena odbierając pożądane dokumenta; „wracasz mi życie, wracasz mi szczęście. Dziękuje ci stokrotnie!... Teraz chociażby wszyscy ludzie razem podnieśli głos przeciwko tobie, nie słyszałabym ich... Odjeżdżam spokojna“.

I cesarski Paryż wita napowrót w swych murach tę, która należy do jego najpowabniejszych ozdób. Ale lata mijają szybko. Nadchodzi rok 1814. Gwiazda piękniejszego niż Apollo i z roku na rok nowemi laurami w Notre-Dame wieńczonego zwycięzcy blednieje i gaśnie. Sprzymierzeni zbliżają się pod Paryż, wiodąc za sobą prawowitego króla. Niech żyje Ludwik XVIII! Helena staje się z dnia na dzień zapamiętałą legitymistką. Wypowiada przyjaźń pani de Coigny, która nie chce wyrzec się nowéj swéj monarchicznéj wiary. Dzieli z innemi swemi przyjaciółkami niecierpliwość zobaczenia „bohatéra, któremu wszyscy winni życie“. Tym bohatérem jest Aleksander I. Rozdziéra swoję chustkę na szmaty, aby pomnożyć liczbę białych kokard rozdawanych pospólstwu. Zapewnia, że na widok wkraczającego w mury paryskie wojska rosyjskiego, które budziło niejakie obawy, jeden ogólny rozległ się okrzyk: „Jacy piękni! Jacy grzeczni!“ I sam Ludwik XVIII wydaje jéj się równie prawie pięknym jak niegdyś Napoleon, „zwłaszcza kiedy siedzi, bo chodząc kołysze się nadzwyczajnie na dotkniętych pedagrą rogach“. Spotyka ją zaszczyt ugaszczania przez 24 godzin jego kr. mości i całéj królewskiéj rodziny w zamku nabytym pod Paryżem, w St.-Ouen, i zaszczyt ten najżywszą radością ją przejmuje. Życie towarzyskie, które się teraz rozpoczyna w powróconéj prawym swym panom stolicy, powraca jéj saméj dawne rozkoszne chwile. Odnalazła ona swój Paryż z roku 1787-go, z wykwintnemi salonami, balami, i łowami, na których książe de Berry „raz po razie zbliża się do powozów, dla rozmawiania z damami! z kapeluszem w ręku, jak niegdyś Ludwik XIV“!

Co wszystko nie przeszkadza jéj znowu pisać w połowie października do bawiącego na Ukrainie męża:

„Załatwię wypłaty, które mi polecasz, rozporządzę wszystko i wyjadę ztąd za dni kilka. Jest to mojém nieodmiennem postanowieniem. Gdybym nie była mogła ruszyć się przed grudniem, byłabym wyjechała także i lody najsroższéj zimy nie były by mnie powstrzymały... Pojadę za tobą aż do Kijowa, jeżeli będzie trzeba. Widzieć cię jest najpierwszą potrzebą mojego serca; aby potrzebie téj uczynić zadość, poświęciłam w młodości mojéj wszystko, przełamałam wszystkie przeszkody. Cierpieć dla połączenia się z tobą nie będzie rzeczą nową dla mnie: utrata zdrowia, życia, nie przeraża mnie; żyć z dala od ciebie, to jedynie może być dla mnie strasznémi!

Dla tego ruszyłabym w drogę nawet wśród najsroższego zimna, ażeby cię choć na minutę zobaczyć, chyba że zostanę w drodze, o co się najmniéj troszczę. Uśmiecham się z pogardą, kiedy mi mówisz zimno o mojém zdrowiu; nie chodzi o to ażeby żyć, chodzi o to ażeby nie cierpiéć. Nie znasz jeszcze namiętności, z takiego kruszcu jak moja; kiedy nie będę już należyć do tego świata, będziesz mógł określić jéj ciekawą historyą, jako przyczynek do historyi serca ludzkiego..... Dziwną jest rzeczą, że los mój powołuje mnie na Ukrainę... Jakżebym chciała zmówić ostatnią moję modlitwę w tym biednym kościołku w Kowalówce! Jakżebym chciała spocząć na wieki obok tych, którzy śpią w jego podziemiach. Jeżeli dusze po śmierci błądzą i mogą przenosić się z miejsca na miejsce, tam to połączą się z tymi, do których przywiązana byłam węzłami, których niestałość ludzka nie mogła zerwać i które przez śmierć tylko przeciętemi będą!“

Ofiara ze zdrowia i życia, którą czyni temi słowy Helena nie w słowach tylko istnieje. Podróż ta wystawia podobno jéj nadwątlone siły na zbyt twardą istotnie próbę. Zniewolona przez lekarzy do opuszczenia Brodów wiosną następnego roku, udaje się ona najpierw do Wiednia z towarzyszącą jéj córką, późniéj, po ostatecznym upadku Napoleona, do Paryża; przybywa tu 7 września, a 30 października żegna się ze światem, z dala od ukochanego męża, w objęciach jednéj, porzuconéj niegdyś, Sydonii. Doktorzy paryscy jednomyślnie przypisują ten zgon nagły i przedwczesny nużącym wycieczkom do Polski, przedsiebieranym w chwilach, gdy zdrowie jéj największego oszczędzania się wymagało.

A pan podkomorzy? Pan podkomorzy okazuje wielką rozpacz. Zaniedbując wszystkie inne zajęcia, zaprząta się układaniem listów drogiéj towarzyszki i pisze u spodu ostatniego z nich:

„O boleści! ten list jest ostatnim jéj listem; umarła a z nią razem szczęście moje!“

Jak dalece atoli długotrwałą jest ta boleść, o tém świadczą dwa dokumenta, których powtórzeniem zamyka panna Herpin swoje opowiadanie, zamieszczając je zresztą—i słusznie—bez żadnych komentarzy. Pierwszy dotyczy projektu, którego wykonaniu przeszkodziła jedynie śmierć pana podkomorzego:

Hrabina Anna do hrabiego Wincentego

Zbaraż, 8 stycznia 1825 r.

Panie hrabio!

„Proponujesz mi nowy związek, zgodzę się nań chętnie, nie mogąc zrobić lepiéj. Zresztą religijny obrzęd oczyści nas z grze-

chów naszych. Jeżeli pozwolisz, panie hrabio, prosić będę księcia arcy-biskupa galicyjskiego, ażeby napisał do ciebie i wziął na się dopełnienie ceremonii tego odnowionego ślubu. Co do mnie zapewniam, że kocham cię miłością tak czystą jak najlepsza przyjaźń i wola twoja będzie moją, przy obecności bożéj między nami i widoku wiecznego błogosławionego życia: nie rozłączymy się nigdy! nigdy więcéj! Zbliż się do Boga, uczyń mu ogólne wyznanie twoich błędów i przyjm moje czułe uściśnienia.

Twoja żona przeszła i przyszła
Anna Potocka.

Drugi dokument jest wyciągiem z rejestrowych ksiąg cmentarza Pére-Lachaise:

„Helena Potocka, z domu Massalska; drugi rząd, na prawo od grobu marszałka Ney'a (w górze), 44-a dywizya, pogrzebiona czasowo na pięć lat d. 2 listopada 1815 r., przeniesiona została 21 marca 1840 do wspólnéj fossy, w któréj porzuconą pozostała".





PIOTR JÓZEF PROUDHON.

MUTUALIŚCI, FEDERALIŚCI I T. D.

I.

Ogólna charakterystyka Proudhona. — Ubóstwo jego rodziców i ciężkie warunki kształcenia się. — Pierwsze prace literackie Proudhona. — Pobyt jego w Paryżu. — Memoryały o własności. — „O utworzeniu porządku w ludzkości.“ — Trzy stany umysłowego pojmowania.—Religia i filozofia.—Metoda układania seryi. — Odgłos saint-simonizmu. — Podział pracy. — Oddanie słuszności komunizmowi. — Prawa ekonomii politycznéj są prawami historyi.—Zbliżenie się Proudhona do socyalistów.—„System sprzeczności ekonomicznych.“ Proudhon na początku rewolucyi lutowéj.—Staje się dziennikarzem.—Zachowanie się jego w Zgromadzeniu Narodowém. — *Le Peuple.* — Bank ludowy. — Proudhon w szeregach demokracyi socyalnéj. — W więzieniu. — „Rewolucya społeczna skazana przez zamach stanu.“—Dzieła Proudhona od 1853 do 1858 r. — „O sprawiedliwości.“—Bóg i absolut.— „Majoraty literackie“. „Teorya podatku“. „O zasadzie federacyjnéj.“ — „Kwestya włoska i polska.“ — „Wojna i pokój.“ — Powrót do Francyi i śmierć Proudhona.

Kiedy Ludwik Blanc, zakrzyczany przez reakcyą, opuszczony przez swych kolegów radykałów, ustępował z trybuny parlamentarnéj, wchodził na nią Proudhon, przeciwnik jego pomysłów społecznych, znany dotąd głównie z tego, że wszystko i wszystkich krytykował. Nazwisko jego wkrótce napełniło wrzawą zgromadzenia publiczne, wywołało zgorszenie w obozie socyalistycznym i spotęgowało gniewy reakcyjne. Był to człowiek niezaprzeczenie utalentowany, z umysłem atoli więcéj krytycznym aniżeli twórczym. Wadą jego ogromną była niezmierna zarozumiałość, połączona z niedostateczném wykształceniem naukowém i lubowaniem się w paradoksach i błyskotliwych frazesach. Wygórowana miłość własna głuszyła w nim uczucie i czyniła go często niesprawiedliwym. Nieposkromiona żądza wyróżniania się pchała go nieraz przeciwko głosowi opinii powszechnéj i poróżniła go niemal ze wszystkimi demokratami w sprawach: włoskiéj, węgierskiéj, polskiéj i niewolnictwa amerykańskiego. Twórca anarchizmu był prawdziwie anarchiczny w swojéj krytyce i w swoich poglądach

pozytywnych: często bowiem te ostatnie przeczyły krytyce, lub odwrotnie. Czy był socyalistą? Wielu temu zaprzecza. Występował nieraz z taką zawziętością przeciwko spółczesnym sobie socyalistom, że prasa reakcyjna z zadowoleniem wtórowała jego słowom. *Gazette de France* (12-go kwietnia 1850 r.) przypisała Proudhonowi główną zasługę, że socyalizm pozostał w stanie utopii. A pomimo to wszystko, był on dzieckiem ruchu socyalistycznego, wprawdzie dzieckiem, które Francuzi nazywają *enfant terrible*.

Piotr Józef Proudhon urodził się 1809 r. w Besançon'ie, miejscu urodzenia Karola Fouriera. „Mój ojciec—powiada Proudhon—był robotnikiem bednarskim, moja matka—kucharką; pobrali się jak mogli najpóźniéj, co nie przeszkodziło im wszakże wydać pięcioro dzieci, z których byłem najstarszy, i którym, napracowawszy się dobrze, pozostawili w spuściźnie ubóstwo“ (1). Do dwunastu lat żył na wsi: pasał krowy i pracował w polu. Kiedy zaczął chodzić do kolegium, ubóstwo rodziców dawało mu się czuć dotkliwie: nie mając za co kupić książek szkolnych, musiał u kolegów odpisywać sobie zadane lekcye; przychodził do klasy bez czapki i w sabotach, które przed drzwiami pozostawiał. W kolegium był w bliższych stosunkach z Bergmannem i Ackermannem, z którymi następnie korespondował; należał tam do stowarzyszenia tajnego filadelfów, które pielęgnowało tradycyą rewolucyjną. Kiedy ojciec jego stracił grunt, został on zecerem i korektorem w drukarni. Miał wówczas lat dziewiętnaście. Czując wielki pociąg do pracy umysłowéj, chłonął w siebie wszystko, co mu się nawijało pod ręce. Drukarnia, w któréj pracował, wydawała biblią i wiele dzieł teologicznych. Proudhon czytał je z upodobaniem. W téjże drukarni wychodziło dzieło Fourier'a: *Le nouveau monde industriel*, nad którego dziwactwami znęcał się Proudhon, robiąc korektę.

Pierwszą pracą drukowaną Proudhona był zarys gramatyki powszechnéj, który nie miał żadnéj wartości naukowéj, ale autorowi ułatwił otrzymanie stypendyum akademii besançońskiéj w kwocie 1,500 fr., wypłacanéj przez trzy lata. Wówczas już Proudhon, jakby zobowiązując sam siebie, obiecywał pracować niezmordowanie, za pomocą filozofii i wiedzy, z całą energią woli i wszystkich władz umysłu, nad polepszeniem fizyczném, moralném i umysłowém tych, których z upodobaniem nazywa swymi braćmi i towarzyszami. Drugą jego pracą był memoryał o ustanowieniu sabatu ze względu na moralność, hygienę, stosunki rodzinne i państwowe. Pracę tę akademia besançońska nagrodziła medalem bronzowym.

---

(1) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Bruxelles 1868. T. I, str. 239.

W niéj przegląda już to krytyczne usposobienie, którém się nacechowały późniejsze utwory Proudhona.

W r. 1839 udał się Proudhon do Paryża, ażeby się tam daléj kształcić naukowo. Paryż gromadził wówczas—można powiedziéć bez przesady — kwiat inteligencyi europejskiéj, zmuszonéj opuścić własne ogniska domowe. Każda prawie narodowość miała tam swoich świetnych przedstawicieli: Mazzini, Montanelli, Ramon de la Sagra, Heine, Karol Grün, Marx, Mickiewicz, muzyk Chopin, Jan Czyński, Mierosławski i t. d. byli dobrze znani w kołach postępowych i demokratycznych. W téj to ważnéj epoce przybył Proudhon do Paryża, ale zmuszony ze swéj pensyi opłacać wierzycieli i oddzielać część pewną dla rodziny, pędził życie samotne, ustronne, pełne niedostatku. „Cóż z tego—pisał on w tym czasie do największego swego przyjaciela Bergmanna, profesora w Sztrasburgu — że mogę czytać, pisać, studyować: jestem pognębiony, przerażony, zbeszczeszczony. To spoglądam na Sekwanę, przechodząc przez mosty; to znowu przychodzi mi myśl czasami zostać złodziejem. Uczucie nędzy jest tak wielkie, że gdybym jutro doszedł do majątku, zmora prześladująca mnie nie porzucałaby przez dwa lata jeszcze.“ Pomimo jednak tych rozpaczliwych myśli, wierzył w swoję przyszłość, w swoje siły, w swoję wielkość, że tak powiem. Z zarozumiałością, która go zawsze cechowała, pisał do Bergmanna w lutym 1840, że stwarzał nową metodę badania zagadnień społecznych i psychologicznych, która wyrówna metodzie, jaką geometrowie stworzyli dla badania zagadnień matematycznych. „Nie mówię bynajmniéj za wiele—dodawał—kiedy zapowiadam, że nic podobnego nie zrobiono dotąd, ani co do formy, ani co do treści.“ Wówczas pracował nad kwestyą własności. „Muszę zabić—pisał w liście prywatnym — w pojedynku śmiertelnym nierówność i własność. Albo ja się zaślepiam, albo ona już się nie podniesie od ciosu, który jéj rychło zadany zostanie.“

Proudhon posiadał w swém ojczystém mieście drukarnię, która lichy mu przynosiła dochód, ale miał z niéj tę korzyść, że drukował w niéj (1840—1842) swoje memoryały o własności. Pierwszy memoryał pojawił się w r. 1840 i omal nie pozbawił pensyi autora, który niepotrzebnie zadrasnął w nim akademią besançońską. Sprawa jednak skończyła się szczęśliwie dla Proudhona. Smuciło to mocno autora, żądnego rozgłosu, że memoryał jego sprawił małe wrażenie, i uczuł wdzięczność dla Blanqui'ego, który zdając sprawę z jego książki w akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, wyraził się o niéj dosyć pochlebnie. Drugi memoryał o własności, w którym rozwijał daléj swoje pomysły, poprzedził listem

do Blanqui'ego. To go nawet ocaliło od prześladowania sądowego, ponieważ Blanqui wziął go pod swoję opiekę. Metoda, którą się posługiwał Proudhon w swych memoryałach, a o któréj pisał z taką chełpliwością do Bergmanna, była metafizyczna. Tak się o niéj sam wyrażał. „Wziąłem za prawidło—pisze—dla moich sądów, że wszelka zasada doprowadzona do ostatecznych rezultatów, jeżeli wpadnie w sprzeczność z sobą, jest fałszywa i nie ma znaczenia; również instytucyą, którą powołuje do życia taka zasada, należy uważać jako sztuczną, jako utopią" (1). Ależ idąc tą drogą, można wszystko zanegować: nie tylko wolność i równość, lecz nawet miłość! Autor zanegował więc własność i rząd, stawiąc zamiast tego ostatniego an-archią, i przyszedł do przekonania, które jednak wypowiedział ostrożnie, że opatrzność nie jest wszystkiém na świecie. Za jedyną prawną podstawę własności uznał pracę. Pierwszy swój memoryał przedstawił Proudhon akademii nauk moralnych i politycznych. Blanqui, który był sprawozdawcą tego memoryału, oddawszy pochwały autorowi, słusznie jednak zauważał, że własność należy oceniać nie z filozoficznego, lecz ze społecznego stanowiska. Wyraził przytém to zdanie, że w przekonaniu społeczném własność zyskuje coraz większe uznanie. Przeciwko temu wystąpił Proudhon z nowym memoryałem i starał się wykazać, że tak własność jak i religia i władza dążą do upadku. Przeoczył on tu proces ewolucyjny i w odmianie formy widział zatratę saméj rzeczy. Zadraśnięty w swéj miłości własnéj przez jednego z falansterczyków, który z ironią powiedział o nim, że nigdy ani Kantem, ani Heglem, ani Newtonem nie będzie, uderzył on gwałtownie w trzecim memoryale na Considérant'a, rąbał zawzięcie furyeryzm i zaatakował z całéj mocy własność i właścicieli, tak, że prokuratorya w Besançonie oskarżyła go o napaść na własność, o wzbudzanie pogardy ku rządowi i o obrazę religii i obyczajów. Sąd jednak przysięgłych uważając, że sprawa ta należy właściwie do kompetencyi naukowéj, uwolnił oskarżonego od winy.

W miarę dłuższego pobytu w Paryżu, mnożyły się znajomości i stosunki Proudhona. Wiele w tym względzie zawdzięczał Józefowi Garnierowi, który poznał go z wydawcą dzieł ekonomicznych, Guillaumin'em, i z wielu pisarzami ekonomicznymi. Szczególne miał poważanie dla Blanqui'ego i dla Wołowskiego i chciał im poświęcić nowe swoje dzieło, które spodziewał się, że stworzy epokę. Dzieło to p. t. *De la création de l'ordre dans l'humanité ou principes*

---

(1) Les confessions d'un révolutionnaire pour servir à l'histoire de la révolution de février par P. J. Proudhon. Paris 1850, str. 131.

d'organisation politique, pojawiło się w r. 1843. Autor sam o niém mawiał w późniejszym czasie, że nie uzyskało ono uznania publicznego i że stało się to z powodów słusznych. Proudhonowi zawsze chodziło głównie o metodę najwłaściwszą badania w naukach politycznych i moralnych, ażeby za jéj pomocą postawić ekonomią polityczną i historyą na gruncie pewnym, naukowym. Gdyby napisał był swoje dzieło, zanim się pojawił kurs filozofii pozytywnéj Augusta Comte'a, niezawodnie miałoby ono bez porównania ważniejsze znaczenie, ponieważ wprowadziłoby na prawdziwą drogę szukania metody pozytywnéj. Po pojawieniu się jednak dzieła Comte'a, wygląda ono jako słabe i niedokładne odbicie się myśli tego filozofa. Nie chcę przez to powiedziéć, że Proudhon świadomie brał u Comte'a treść filozoficzną. Przeciwnie, z pewnością nie znał on, przed napisaniem swojéj książki kursu filozofii pozytywnéj, albo, co najwięcéj, przeczytał jaką powierzchowną i niedokładną o nim recenzyę. Sądzę tak na téj podstawie, że autor „Utworzenia porządku w ludzkości", poznawszy filozofią Comte'a, wyrażał wielkie dla niéj uznanie i prostował, albo przynajmniéj zastosowywał niektóre swoje dawniejsze twierdzenia do ogólnego poglądu comte'owskiego. Wreszcie, gdyby był znał dokładniéj dzieło twórcy pozytywizmu, z pewnością nie zbaczałby na manowce i szedłby prostszą drogą ku celowi (1).

Jak u Comte'a dziejowo przedstawiają się trzy stany umysłowego pojmowania: teologia, metafizyka i pozytywizm ; tak u Proudhona temi trzema dziejowemi stanami są: religia, filozofia i wiedza. Pomieszawszy religią z teologią, a filozofią z metafizyką, autor „Utworzenia porządku w ludzkości" przyszedł do wniosku, że tak religia jak filozofia chylą się do upadku i ostatecznie zaniknąć muszą. Mówiąc o skończonéj misyi religii, syn nawskróś podówczas jeszcze katolickiego Franche-Comté, objawił w sobie tak wysoki stopień uczucia religijnego, że sam to spostrzegł późniéj i słusznie zauważył, że „czytając te ostatnie stronice, spostrzegamy, iż autor jest więcéj religijny, niż do tego przyznaje się, a przedewszystkiém więcéj, niż tego sobie życzy" (2). Przytém Proudhon uważał, że w owym jeszcze czasie religia była potrzebna dla ludu, kobiet i dzieci. „W chwili—powiada—kiedy umysł wyzwoli się, a wychowanie swobodne, wsparte pracą i nawyknieniem do rozmyślania

---

(1) W następném swojém dziele : *Système des contradictions économiques ou l'philosophie de la misère* (Paris, 1846) Proudhon powołuje się już na dzieło Comte'a. Prologue, str. XII. — (2) De la création de l'ordre etc. Nouvelle édition. Paris 1873. Oeuvres complètes de P. J. Proudhon (Tom III, str. 36).

i zastanawiania się, nie okiełzna jeszcze duszy nowém wędzidłem, sumienie szybko zdziczałe może w przeciągu kilku dni upaść do ostatniego stopnia przewrotności“ (1). Przedstawia się tu wszakże bardzo ważne pytanie: czy jest rzeczą moralną, a wreszcie możebną zalecać i nauczać taką religią, w którą sami nie wierzymy i która—podług naszego przekonania —jest błędna? Jak się zdaje, autor mniemał, że wiara, nadzieja i miłość są to cnoty teologiczne. Jeżeliby która z tych cnót miała być teologiczną, to chyba najprędzéj wiara. Sam autor jest tego zdania, albowiem powtarza, że „religia jest czynem wiary“ i że opiera się ona tylko na wierze. Tymczasem już Comte wykazał, że jest wiara naukowa, bez której niepodobna się obejść. Czyż astronom, który posuwa wiedzę naprzód, może sprawdzić wszystko, co wykonali jego poprzednicy i czy nie przyjmuje wiele rzeczy na wiarę? Czy biolog, badając czynności ustroju organicznego, nie opiera się z wiarą na wynikach wiedzy fizycznéj i chemicznéj? Czyż socyolog miałby czas i możność obserwować, doświadczać i sprawdzać wszystko, co zrobiono w innych dziedzinach wiedzy, a co jest niezbędne dla własnych jego badań? Czy biorąc materyał historyczny i etnograficzny nie powoduje się w znacznéj mierze wiarą? Mówimy to o uczonych. A cóż mamy powiedzićć o znacznéj części światłéj publiczności? A cóż wreszcie o całym ogóle narodu? Ktoby dzisiaj nie wiedział, że nie słońce obraca się dokoła ziemi, lecz przeciwnie ziemia dokoła słońca! Sprobujmy atoli, niech ten i ów, co skończył już dosyć dawno naukę szkolną i wyłącznie jest zajęty tylko swoim zawodem, wydemonstruje nam i udowodni, że rzeczywiście ziemia obraca się dokoła słońca. Niewątpliwie przekonamy się, że ta prawda naukowa dla większości, ogromnéj większości, jest pewnikiem tylko wiary. Proudhon stawia pewność w przeciwieństwie do wiary. Myli się. Wiara i pewność łączą się z sobą ściśle. Kto wierzy, ten jest pewny tego, w co wierzy; inaczéj, przestaje wierzyć.

W wydaniu 1849 r. Proudhon w odnośniku powiada, że filozofią, tak jak on ją rozumie, Comte nazywa metafizyką. Błądzi ona—podług niego—głównie tém, że stara się wynajdywać p r z y c z y n y wszystkiego, przy czém nie rozróżnia on przyczyn następnych od pierwszych, których poznanie filozofia pozytywna uważa także za

(1) Str. 304. Wreszcie Proudhon określa religią tak ponętnie, że niewiadomo, dla czego ma być usunięta. „Religia jest-to wieczna miłość, która porywa dusze po nad rzeczy zmysłowe i podtrzymuje w społeczeństwach niezmienną młodość.“ (Confessions d'un révolutionnaire, str. 5). „Cóż to jest ubóstwianie, *religio*, Istoty Najwyższéj, jeżeli nie przedstawienie Sprawiedliwości, t. j. szacunku Ludzkości? Bóg jest to wszystko naraz: z jednéj strony jest to przyroda ludzka, podniesiona do nieskończoności i wyidealizowana“ i t. d. De la Justice. IV. 352.

niemożebne. Autor najnieszczęśliwiéj powołuje się na medycynę, mniemając, że mniéj ważném jest poznanie przyczyn chorób (etiologia) od sposobu ich leczenia (terapii). Tymczasem bez poznania przyczyn choroby, leczenie jéj będzie zawsze odbywać się na ślepo, kiedy przeciwnie, poznawszy przyczyny choroby, stajemy już na drodze racyonalnéj używania świadomie środków leczniczych. Znany jest aksyomat lekarski: *sublata causa, tollitur effectus*. Znakomity postęp wiedzy fizycznéj, formułując prawo trwałości i przemienności siły czyli raczéj ruchu—podług trafnego i głębokiego spostrzeżenia Aleksandra Baina — daje klucz do wyjaśnienia prawa powszechnéj przyczynowości, którém to prawem tak długo i bezskutecznie zajmowali się metafizycy. Co do Proudhona, to on ze zwykłą sobie niekonsekwencyą w następnych działach książki mówi często o przyczynach i potrzebie ich badania.

Metafizyka, czyli właściwiéj logika—poprawkę tę robi sam Proudhon—zajmuje się wynalezieniem najwłaściwszéj metody badania, takiéj metody, któraby dawała zupełną pewność. Taką—zdaniem autora—jest metoda układania seryi (*théorie de la loi sérielle*). „Fourier—powiada autor—odkrył prawo seryjne. Geniusz wyłączny, niekarny, samotny, ale obdarzony głębokim zmysłem moralnym, nadzwyczajną czułością organiczną, zadziwiającym instynktem przewidywania, Fourier, bez analizy, mocą saméj intuicyi, wznosi się odrazu do najwyższego prawa świata" (1). Ponieważ jednak Fourier doszedł do tego prawa instynktownie, nie zaś drogą rozumową, przeto posługiwał się nią, układając dziwaczne i nieusprawiedliwione niczém kombinacye. Na czémże właściwie polega metoda seryjna? Na szeregowaniu pojęć, albo przedmiotów niemi wyrażonych. Botanika stała się nauką wówczas, kiedy ułożyła rośliny w pewne szeregi. Tak było i z innemi naukami. Szeregowanie wszakże powinno być wyrozumowane. Dla tego trzeba, aby był pewien punkt widzenia (*le point de vue*); jedność przedmiotu, co często bywa tém samém co punkt widzenia; wreszcie przyczyna (*la raison*) (2) czyli stosunek przedmiotów. Autor mówi o tém dość obszernie i dość niejasno. Dla utworzenia prostéj seryi, wytwarzają dwa wyrazy; dla utworzenia systemu—trzy. Daje się z tego ułożyć pewnego rodzaju waga (? Red.). Taką wagą dyalektyczną, od czasów Kanta, jest znana formuła:

$$\left.\begin{matrix}\text{Teza}\\\text{Antyteza}\end{matrix}\right\}\ \text{Synteza,}\qquad\text{albo}\qquad\begin{matrix}\text{Teza — Antyteza}\\\text{Synteza.}\end{matrix}$$

---

(1) Str. 120.—(2) Tłómaczę *la raison*—przyczyna, gdyż wyraz ten jest prawie synonimem wyrazu *la cause*. E. Littré dla objaśnienia *raison* stawia: cause, sujet, motif; a dla objaśnienia *cause* stawia: raison, sujet, motif.

Formuła ta stała się ulubionèm narzędziem Proudhona, zwłaszcza w jego dziele: *Système des Contradictions économiques*. Stanowiąc istotnie potężne narzędzie logiczne, nie chroni jednak ona od błędów, wynikających z pewnych uprzedzeń. I tak Proudhon przeciw własności stawia jako antytezę wspólność. Dla czego? Antitezą własności (klasa posiadająca) jest brak własności (proletaryat), nie zaś wspólna własność, którą raczéj należy uważać za syntezę. Aprioryczność sądów Proudhona jest wielka. „Klasyfikacya ta, dana *à priori* przez przyrodę rzeczy i dedukcyą umysłu, jest matematyczna“ (1), powiada Proudhon i mniema, że to już wystarcza do przekonania czytelnika. Twierdzenie uchodzi za dowód. Mówiąc o seryach podobieństwa czyli analogiach, powiada, że zwolennicy równości błędnie stawiali rodzinę i państwo w jednym szeregu: rodzina jest żywiołem, który tworzy naród; jednością zaś seryjną, która daje początek państwu, jest warsztat. Lewis H. Morgan odróżnia także zasadniczo społeczeństwo rodowe (*societas*) od społeczeństwa politycznego czyli państwa (*civitas*). U niego jednak, jedno i drugie społeczeństwo stoją w jednym i tym samym szeregu ewolucyjnym. Ażeby z narodu mogło powstać państwo, musiała sformować się z plemion greckich gmina miejska—powiedzmy—gmina miejscowa. Gmina zaś wytworzyła się z rodu, „i im bliżéj do swego początku, tém bardziéj odznacza się charakterem rodowym tj. spólnością rodzinną. Grote w swojéj historyi Grecyi uwidocznił przejście fili rodowéj w filę polityczną, rodu w gminę—demos“ (2). Pierwsza organizacya pracy nawet nosi charakter rodzinny. Wyraz e k o n o m i a pochodzi od greckiego: οἶκος—dom, który wyrosł na podstawie rodzinnéj. Pierwsza ekonomika, ekonomika Ksenofonta, rozpoczyna się od uwag nad dobrym zarządem domu. Warsztat więc i rodzina—jako odrębne pierwiastki nie dają się przeciwstawić. Chociaż Proudhon zapewnia, że w rozumowaniu jego panuje taka ścisłość jak w czystéj matematyce (3), wszakże właśnie téj ścisłości nie widzimy. Powiada on, że serye sztuczne, jako środek pomocniczy mogą być pożyteczne, lecz jeżeli zechcemy zastąpić niemi serye naturalne, wówczas zamiast pożytku przyniosą szkodę. „I tak podział sztuczny Francyi na 86 departamentów okazał się pożytecznym dla złamania feudalnéj i municypalnéj Galii i dla utworzenia silnéj cen-

---

(1) Principe fédératif. Nouvelle édition. Paris. 1868, str. 14. — (2) Komuniści. Lwów, 1876, str. 150. Wreszcie sam Proudhon w późniejszém swojém dziele: „Idée générale de la révolution au XIX siècle“ (Paris, 1851) str. 117:... „Bonald mógł słusznie powiedzieć, że rodzina jest zarodkiem państwa.“ — (3) Principe fédératif. str. 18. „We wszystkiém, com powiedział, nie ma żadnego slowa, któreby nie posiadało zupełnéj ścisłości; nie inaczéj się rozumuje w matematyce czystéj.“

tralizacyi: dzieło to wysokiéj narodowości nie zostało ukończone, a tymczasem rozmaite znamiona zdają się wskazywać, że powinniśmy już przygotować się do naturalniejszego podziału kraju, odpowiednio do różnic klimatycznych, rasowych, industryalnych itp., prowadzących do nadania każdéj części państwa właściwego charakteru i właściwéj fizyonomii" (1). Dla czego podział sztuczny Francyi na departamenty, ma być uważany za środek pomocniczy, nie wiadomo. Skoro centralizacya mogła być pożyteczną dla Francyi, dla czego miała ona być bezwarunkowo szkodliwą dla Włoch? „Wasze Włochy scentralizowane—wołał Proudhon we dwadzieścia lat późniéj—wzbudzają litość i nabawiają nas kłopotu; są dla nas antypatyczne, reakcyjne, i nie chcemy ich za nic. Wolimy widziéć je przez sto lat jeszcze austryackiemi, burbońskiemi, papieskiemi, muratowskiemi, nie wiedziéć jakiemi: zachowają przynajmniéj swe kadry" (2). Pomimo téj rażącéj niekonsekwencyi, Proudhonowi zdawało się, że federalizm jego datuje się od 1840 r. (3).

W tém, co mówi Proudhon o ekonomii politycznéj i historyi, spotykamy się często z myślami Saint-Simona. Czy to była reminiscencya tylko mimowolna, czy też skutek podobieństwa stanowiska teoretycznego? Saint-Simon był w gruncie industryalistą, który doprowadził system industryalny do socyalizmu. Proudhon, nie mający tego geniuszu co Saint-Simon, ani téj rozległéj nauki, ani téj logiczności myśli, widząc przed sobą dwa systemy: industryalny i socyalistyczny, porównywał je, oceniał i, nie mogąc zdecydować się ani na jeden ani na drugi, zajął stanowisko chwiejne, chyląc się jednak raz po raz, z powodu swych sympatyi, więcéj ku socyalizmowi. Pomimo pozornéj stanowczości i absolutności jego twierdzeń, daje się to widziéć we wszystkich jego dziełach, a przedewszystkiém w *Le système des contradictions économiques*.

Najważniejszą zasadą w ekonomii politycznéj zdaniem Proudhona—jest p o d z i a ł p r a c y. Zasada ta, którą zawdzięczamy Adamowi Smithowi, „przyczyniła się, od pięćdziesięciu lat, bardziéj do postępu nauki społecznéj, aniżeli przez dwadzieścia stuleci: Polityka Arystotelesa, Ekonomika Ksenofonta, Rzeczpospolita i Prawa Platona, kodeks Iustyniana ze wszystkiemi komentarzami prawników, Utopia Morusa, romans Fenelona, Duch praw Monteskiusza i Umowa społeczna Rousseau'a; wszystko, co lepszego zawierają doktryny Saint-Simona, Fouriera i komunistów, wypływa z tego prawa" (4). Oczywiście jest to przesada, chociaż niezaprzeczenie Smith

(1) De la création de l'orde str. 130. — (2) Nouvelles observations sur l'unité italienne (Paris, 1865), str. 68. — (3) Princ. fédér. str. 79. — (4) De la création etc. str. 243.

wyświadczył nauce wielką korzyść, wykazując doniosłe znaczenie podziału pracy. Po Smith'cie drugi ekonomista, markiz Germain-Garnier—zdaniem Proudhona—sformułował drugie ważne prawo: prawo siły kolektywnéj, obejmując niém wielkie korzyści pracy stowarzyszonéj. Garnier jednak—jak się zdaje—nie widział wielkiego związku, jaki istnieje pomiędzy pierwszém a drugiém prawem. Prawo Garniera jest tylko drugą stroną prawa Smitha: „podział pracy i siła kolektywna czyli spólność działania, są to dwie uzupełniające się strony jednego prawa“ (1). Podział pracy jestto ustanowienie seryi, jest to sama serya. Dzielić pracę znaczy łączyć pracujących. „Dzielić pracę jest to potępić małą industryą“ (2). To samo należałoby powiedziéć i o pracy rolniczéj. Tymczasem autor czyni skok niespodziany, chociaż skąd inąd można go było przewidziéć: autor stawia następujący—jak sam się wyraża—aforyzm:

Podział pracy, wielka eksploatacya
Mała własność, wielka uprawa.

Doktryna o seryach nie oświeciła więc autora w tym wypadku. Nie dopatrzył on, że pomiędzy dwoma drugiemi wyrazami (wielka eksploatacya i wielka uprawa) panuje zupełna tożsamość, gdy dwa pierwsze wyrazy są różne. Chcąc, ażeby wyrażenie było właściwe, należałoby powiedziéć, albo uwzględniając pierwszy stosunek:

Podział pracy przemysłowéj, wielka eksploatacya
Podział pracy rolniczéj, wielka uprawa,

albo mając na względzie drugi stosunek:

Mały warsztat, wielka eksploatacya
Mała własność, wielka uprawa,

co widoczną byłoby niedorzecznością.

Pomimo to, w tém dziele Proudhon w swojéj chwiejności pochylił się na stronę komunistów. Oto, jego własne wyrazy. „Komuniści—powiada—nie mają słuszności w moich oczach, z tego tylko powodu, że noszą nazwę, pod którą wszyscy z uporem upatrują myśli i projekty odstręczające: *Tantum quod Christiani*. I tak, komuniści głoszą się zwolennikami rodziny, małżeństwa, wolności osobistéj i bez wątpienia także specyalności i odpowiedzialności robotników. Otóż, ustawiczny argument ich przeciwników—powinienbym może powiedzićć—oszczerców, sprowadza się do tego zaprzeczenia: „Nie, wy nie wierzycie w to wszystko, ponieważ jesteście komunistami“. Komuniści, chcąc oznaczyć przedmiot swych pragnień, używają bez rozróżniania wyrazów: spólność, stowarzyszenie, organizacya; jako środka do zrealizowania tego żądają: reformy wyborczéj i rządzenia narodu przez naród, co stawia ich całkowicie pomiędzy demokrata-

(1) Str. 245. — (2) Str. 269.

mi najpostępowszymi i umieszcza na saméj wysokości postępu. Zresztą dogmatyzują oni mało; swoje widzenie rzeczy przedstawiają skromnie. Metodą ich pracy są hipotezy“ (1). „Ażeby wszystko powiedzićć, komuniści zdają się niekiedy zapominać, że człowiek nie żyje samém tylko życiem publiczném, lecz że mu trzeba jeszcze życia prywatnego. Zresztą, oni nie odwołują się do żadnéj pojedyńczéj powagi; przeciwnie, powołują się na wszystkie tradycye, na wszystkich socyalistów przeszłych i teraźniejszych, co jest wyśmienitą oznaką; nakoniec, otwarcie stawią siebie poza obrębem dziedziny religijnéj“ (2).

To, co napisał Proudhon o historyi, nie wiele warte. Jedna myśl tylko zasługuje na większą uwagę, chociaż i ta wypowiedziana jest przesadnie, a mianowicie, że ze względu na organizacyą, prawa ekonomii politycznéj są prawami historyi. Myśli jednak téj, która powstała w nim po przeczytaniu „Historyi ekonomii politycznéj w Europie“ Blanqui'ego, ani dowiódł, ani nawet ujął w jakie pewniejsze wskazówki. Że Proudhon nie rozumiał historyi, dowodzi już jego błędne spostrzeżenie, sprzeczne przytém z jego teoryą, domagającą się, by reformy nie szły z góry, ale powstawały same przez się, spostrzeżenie że porządek polityczny poprzedza odpowiedni porządek ekonomiczny (*industriel* — podług wyrażenia się autora). Wreszcie, czy można na seryo traktować poglądy historyczne człowieka, który je zmieniał nieustannie? Raz utrzymywał, że myśl podziału władz jest z gruntu fałszywa i niepraktyczna (3); drugi raz, że jest to największa z myśli, że dzięki jéj społeczeństwo przybiera ostatecznie formę organiczną (4); w jedném i tém samém dziele raz nazywał narodowość mrzonką, z którą nauka nic nie ma do czynienia, drugi raz powiadał, że jest to niesłusznie uważać ją za rzecz urojoną, i że niezaprzeczenie jest ona powołana do odegrania ważnéj roli w przyszłych konstytucyach. Dość przeczytać, co Proudhon napisał o historyi polskiéj, ażeby przekonać się, iż nie był zdolny wznieść się na poważne stanowisko nawet publicysty historycznego, a jedynie mógł być pamfleciarzem, dogadzającym chwilowo swéj namiętności i swemu usposobieniu. Pomimo sofistycznych wykrętów Proudhon był skory do uznawania faktu dokonanego i hołdowania sile. Dowodem tego jego zapatrywanie się na stanowisko kobiéty i brutalna jego dyskusya w téj sprawie ze swemi przeciwniczkami. Emancypacya kobiety—podług Proudhona—to wszystko jedno, co jéj prostytucya (5).

(1) Str. 294. — (2) Str. 295. — (3) Les Confessions d'un révolutionnaire, str. 186. (4) Princip. Fédér. str. 22. — (5) De la Justice etc. IV. Str. 133

W r. 1844 Proudhon, niezadowolony z pisarzy ekonomicznych stempla niejako urzędowego, zaczął się zbliżać do socyalistów, których znaczenie i wpływ przytém stawały się coraz większe. W tym roku poznał się z Karolem Marxem, który wtajemniczał go w filozofią heglowską; następnie czynił to, w długich rozmowach zimowych, Karol Grün, który—jak powiada Marx—miał przed nim to pierwszeństwo, że i sam jéj zgoła nie rozumiał (1). Proudhon w liście do Ackermanna, datowanym z Paryża 4-go października 1844, mówi o formowaniu się stronnictwa socyalistycznego. Przewiduje, że „socyalizm, podniosłszy się do wysokości naukowéj—socyalizm który nie jest czém innėm jak ekonomią polityczną—opanuje społeczeństwem i pchnie je z niepowstrzymaną siłą ku dalszym losom.“ Właśnie mniemał, że sam on przyczyni się najwięcéj do postawienia socyalizmu na podstawie naukowéj, do uświadomienia go, albowiem „socyalizm nie ma jeszcze świadomości siebie: dzisiaj nazywa się on komunizmem.“

Zdawało mu się, że zadanie uświadomienia socyalizmu spełni jego nowe dzieło, które w dwóch tomach pojawiło się w Paryżu w r. 1846 p. t. *Système des contradictions économiques ou philosophie de la misère.* Autor pisał w późniejszym czasie, że krytyka nieprzyjazna tego dzieła zniechęciła go do dalszych badań tego rodzaju w kierunku politycznym. W tych jednak słowach więcéj goryczy, niż prawdy. Istotnie, krytykowano nowe dzieło Proudhona surowo, zwłaszcza krytyka Karola Marxa była druzgocząca, ale dzięki także temu dziełu, autor jego zdobył wielką wziętość, która utorowała drogę jego późniejszemu wpływowi. W dziele tém metodę Hegla, któréj dobrze nie rozumiał, zastosował Proudhon więcéj w formalny sposób. Wyszukiwał wszędzie sprzeczności na podstawie tego, czy pewne objawy zgadzały się, lub nie zgadzały z jego pragnieniem równości. Rozbujawszy się w sprzecznościach, o wszystkiém zwątpił, we wszystkiém znalazł sprzeczność. Litość, szczęście, cnota, ojczyzna, religia i miłość wydały mu się maskami. Mając popęd do badań teologicznych, zajmował się niemal tyleż hypotezą Boga—jak się wyrażał—ile ekonomią polityczną i socyalizmem. Lubował się w zwrotach i wyrażeniach, które drażniły opinią publiczną. Ośmiészał wiarę socyalistów w braterstwo. Napaść na Cabeta była nieprzyzwoita. Wycieczki przeciwko Ludwikowi Blanc'owi często wkraczały w dziedzinę osobistości. Z powodu wyrażenia się tego autora, że chcieć zaszczepić stowarzyszenie na konkurencyi, jest to dać świadectwo ubóstwa myśli, Proudhon powiada, że są to wyrazy

(1) List Marxa w *Sozial-Demokrat* z r. 1885.

godne pożałowania. „Dowodzą one—ciągnie daléj—że Ludwik Blanc w czasie czwartego wydania jego książki, tak samo mało znał logikę jak ekonomię polityczną, i że o jednéj i o drugiéj sądził jak ślepy o kolorach“ (1). Chętka sprzeczania się przybierała pozory krytyki. W późniejszym czasie Proudhon sam powiadał, że studya jego, od 1839 do 1852 r., były „prostym sporem“ (*de pure controverse*) (2). Samę metodę dyalektyczną Hegla potępił. „Antynomia nie rozwiązuje się—pisał on w 1858 r. w tém wada zasadnicza filozofii heglowskiéj: dwa wyrazy, z których się składa, równoważą się albo z sobą, albo z innemi wyrazami antinomicznemi, co prowadzi do poszukiwanego rezultatu. Lecz równowaga nie jest syntezą taką, jaką rozumiał Hegel, i taką, jaką ja w ślad za nim przypuszczałem“ (3). „Sprzeczności ekonomiczne“ możnaby w znacznéj ich części nazwać sprzecznościami z ekonomią polityczną, jak to wykazał znakomicie Marx w swojéj krytyce. Są jednak tu i owdzie trafne uwagi krytyczne, zwłaszcza w rozdziale o kredycie, w którym to rozdziale autor chwali prace Wołowskiego i Cieszkowskiego, szczególnie tego ostatniego.

Kiedy wybuchła rewolucya lutowa, Proudhon nie miał żadnego jeszcze znaczenia politycznego. Cokolwiek mówi o swojém filozoficznéni trzymaniu się na uboczu, z własnych jego wyznań jest rzeczą widoczną, że pragnął co prędzéj dorwać się do znaczenia a nawet do władzy. Sam opowiada, że przeczuwając upadek monarchii pośpieszył z Lyonu, gdzie pracował w pewnym domu handlowym, na dwa miesiące przed rewolucyą, do Paryża. Do walki jednak nie chciał należéć i—jak sam opowiada (4)—odradzał to nawet swoim przyjaciołom. Dopiéro, widząc zwycięstwo rewolucyi, zrana 24 lutego stawił się do biura „Reformy“, gdzie Flocon dał mu do składania proklamacyą o usunięciu Ludwika Filipa z tronu. Kiedy nadeszła wiadomość, że król wyjechał, i Tuillerye zostały wzięte,—Proudhon powiada: „nie miano co więcéj ze mną robić“ (5). Uczuł dotkliwie brak wziętości politycznéj. Spieszno mu więc było jéj nabyć. Wszedł przeto do klubu rewolucyjnego Barbès'a, który popierał rząd ówczesny tymczasowy. Porzuciwszy pisanie syntetycznéj części, która miała nastąpić po krytycznéj w badaniu jego życia społecznego, ogłosił broszurkę, w któréj podawał sposób rozwiązania problematu społecznego, bez nałożenia podatku, bez zaciągnię-

---

(1) I. str. 226. — (2) Proudhon expliqué par lui-même (24 janvier 1856). — (3) De la justice dans la révolution et dans l'Eglise, T. I. str. 353. To samo powtarza w Teoryi własności. Oeuvres posthumes de P. J. Proudhon. Théorie de la propriété. Nouvelle édition. Paris. 1871. — (4) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Tome XVIII. Mélanges. Paris. 1869. str. 7. — (5) Ibid. str. 8.

cia pożyczki (1). Rozwiązaniem tém było utworzenie kredytu bezpłatnego. Broszura ta, bałamutna w swéj treści, utonęła w powodzi innych, bez zwrócenia na siebie uwagi. Wtedy Proudhon podał się w departamencie Doubs na kandydata do Zgromadzenia Narodowego, a w okólniku, który z tego powodu ogłosił, zalecał zgodę robotników z patronami, ażeby łatwiéj dojść wspólnemi siłami do rozwiązania kwestyi społecznéj. Kandydatura jego upadła. Rzucił się więc do dziennikarstwa. Oto, co sam on mówi o tém. „Odrzucony jako kandydat, publicysta niemający czytelników, musiałem zwrócić się do dziennikarstwa. Mówiono mi codziennie: pisz książki, to więcéj warte, niż dzienniki. Zgadzam się. Lecz książek ludzie nie czytują, i kiedy autor „Filozofii pozytywnéj“, August Comte, zaledwie zgromadza na swoje kursy 200 wiernych mu osób, „*Faubourien*“, *Père Duchêne*“ i „*Vraie République*“ prowadzą cały kraj. Zużyjesz 10 lat życia na napisanie książki *in-octavo*; pięćdziesięciu amatorów ją kupi; późniéj przyjdzie dziennikarz, który rzuci cię na śmietnisko, i rzecz skończona. Książki służą tylko do przygotowania się na dziennikarza: najwyższym rodzajem literatury w naszém stuleciu—jest wstępny artykuł, jest fejleton“ (2). Istotnie, Proudhon okazał się lepszym dziennikarzem, aniżeli filozofem i ekonomistą: tu stanowczością języka maskował chwiejność swéj myśli. „*Le Représentant du peuple*“ wyrobił sobie dość obszerne koło czytelników. Kiedy przygotowywała się manifestacya 15 maja, dziennik wystąpił z gwałtownym artykułem (1848 N. 44,), wołając, że naród francuski naraża własną wolność, chcąc jéj służyć gdzieindziéj. Egoizm narodowy i krótkowidzący przemawiał przez usta autora „Sprzeczności ekonomicznych“, chociaż nie miał on jeszcze téj stronniczéj niechęci ku Polsce, jaką w kilkanaście lat późniéj przejawiał, i zapatrywał się wówczas na nią jeszcze ze stanowiska cywilizacyjnego (3). Związki klubowe i zawód dziennikarski utorowały mu drogę do Zgromadzenia Narodowego. Kiedy więc po 15 maja w Paryżu odbywały się uzupełniające wybory 11-stu posłów, został on wybrany ostatnim na liście, mając za sobą 77094 głosy. Zachowanie się jego, w czasie krwawych dni czerwcowych, było ostrożne i ściągnęło następnie szyderstwa stronnictwa wstecznego i ostrą krytykę socyalistów rewolucyjnych. To też kiedy po dniach czerwcowych, wszystkie dzienniki socyalistyczne zawieszono, ocalał jeden tylko „*Représentant du peuple*“, chociaż nie na długo.

---

(1) Organisation du crédit et de la circulation et solution du problème social etc. (Paris, 1848). — (2) Les confes. d'un révol. str. 150. — (3) Les confes. d'un révol. str. 88. „Kwestya narodowości w sprawie narodu przyjaznego, który był niegdyś wałem ochronnym chrześcijaństwa przeciwko Ottomanom, a późniéj takimże wałem przeciwko hordom północnym“...

W parlamencie Proudhon zdobył sobie dość niezaszczytną sławę. Będąc przeciwnikiem wszelkiéj inicyatywy rządowéj w prawodawstwie, co wyrażał jeszcze jaskrawiéj, mówiąc, iż najpożyteczniejszą jest rzeczą dla rewolucyi, doprowadzić rząd i jego działanie do znaczenia zera, sam wystąpił w lipcu z wnioskiem prawodawczym. Wprawdzie, jak zwykle tłómaczył ten krok swój wykrętnie, utrzymując, że się zwracał nie do rządu, lecz do Zgromadzenia Narodowego, a więc do kraju (1). Wniosek, przedstawiony przezeń, obejmował w głównéj swéj części nałożenie podatku dochodowego w ten sposób, że trzecia część z czynszu domowego z dzierżawy gruntowéj, z papierów publicznych i weksli, potrącała się w połowie na korzyść lokatorów, dzierżawców i dłużników, w połowie zaś na korzyść państwa. Przypuszczając, że w krótkim czasie podatek ten zapełniłby kasę państwową, wnioskodawca wkładał obowiązek na r z ą d, ażeby ten niezwłocznie przystąpił do organizowania po okręgach kantorów dyskontowych, do zakładania banków rolniczych i przemysłowych i do spisu dokładnego własności w celu ułatwienia i zapewnienia kredytu. Jak widzimy, stawał on na gruncie saint-simonistów i mniemał, że tą drogą da się przeprowadzić rewolucya społeczna. Zapewne chcąc zjednać dla swego wniosku więcéj posłów, żądał równocześnie, aby nie brano pod uwagę podatku dochodowego od spadków. Wniosek uznano za nagły i odesłano do komisyi finansowéj, która wezwała Proudhona, ażeby wyjaśnił i wytłómaczył swoje żądania. Zamiast umotywowania swego wniosku, jako wywołanego chwilową potrzebą, témbardziéj, że sam wnioskodawca był przeciwnikiem podatku dochodowego, rozwijał on przed komisyą niejasną swoję teoryą o kredycie wzajemnym, i widząc, że ma do czynienia z przeciwnikami wszelkiéj reformy społecznéj, starał się w nich wmówić, że właściciele, pomimo że się im potrąci część dochodu, i robotnicy, pomimo że się zmniejszy ich zarobek, będą bogatsi, będą więcéj mieli. „Nigdy pan nie zdołasz nam wytłómaczyć — odrzekł Thiers — w jaki sposób właściciel, im więcéj oddaje ze swego dochodu, tém więcéj ma zyskiwać, i w jaki sposób robotnik, im więcéj traci ze swego zarobku, tém więcéj wzbogaca się!“

Proudhon powiada, że nie miał daru wymowy. Nie miał także drugiego daru, daru jasnego tłómaczenia się. Często to, co on pisze, wywołuje w nas najprzód zaprzeczenie; dopiéro w dalszym ciągu czytania spostrzegamy, że niewłaściwość użytych wyrazów, lub wyrażeń odmienia charakter jego myśli, która nieraz w gruncie

---

(1) Les confes. d'un révol. str. 155.

bywa słuszna. Brak zdolności jasnego tłómaczenia się i egzageracya tak w uspakajaniu, jak w straszeniu, jedynie wytłómaczyć są w stanie tę burzę wściekłą, jaką wywołała 31 lipca w Zgromadzeniu Narodowém jego mowa, popierająca przedstawiony przezeń wniosek. Nie zawierał on nowego pomysłu—jak to mniemał wnioskodawca — i nie rozwiązywał wcale kwestyi społecznéj, ale mógł ułatwić jéj rozwiązanie i zaradzić wielu niedogodnościom. Chodziło więc tylko o to, czy projekt był praktyczny, czy nie narażał na niebezpieczne kolizye. Prawdopodobnie większość Zgromadzenia Narodowego odrzuciłaby wniosek, gdyby nawet nie nasuwały się żadne wątpliwości co do jego praktycznego zastosowania. Trzeba jednak przyznać, że w takiéj formie, w jakiéj był przedstawiony, wcale nie wzbudzał zaufania. Mowa, która miała go poprzéć, do reszty go dobiła: z jednéj strony niepotrzebnie podrażniła do najwyższego stopnia namiętności stronnictwa reakcyjnego, z drugiéj zaś strony wprawiła w kłopot stronnictwo demokratyczno-socyalne. „Część Góry — pisze sam Proudhon — zawstydzona, przestraszona, uciekła, nie chcąc potępić swego spółwyznawcy“ (1). Flocon czynił mu następnie wyrzut, że to on swoją mową spowodował usunięcie z konstytucyi zasady prawa do pracy. Niezaprzeczenie, że wystąpienie Proudhona w parlamencie wiele zaszkodziło sprawie socyalizmu. Tymczasem w swojéj zarozumiałości głosił on, że „31-go lipca rzeczpospolita demokratyczno-socyalna otrzymała sakrament bierzmowania, tak samo jak 26-go czerwca otrzymała sakrament chrztu!“ (2). Odtąd jednak nie występował już czynnie w parlamencie. „Moje milczenie—powiada, stając na szczudła— było najpożyteczniejszą i najrozumniejszą czynnością w zawodzie politycznym. Głosowanie moje było prawie zawsze przeczące“ (3).

Z powołania Proudhon był dziennikarzem: na tém polu był silny. Nowe jego pismo, „*Le Peuple*“, z początku tygodniowe, późniéj codzienne, miało powodzenie. Od 1 grudnia 1848 r. do 28-go marca 1849 r. liczba tłoczonych egzemplarzy podniosła się z 12,000 na 50,000 (4).

Widząc powodzenie dziennika, Proudhon postanowił przystąpić do zrealizowania swojéj myśli banku ludowego, z którą się nosił już od dawniejszego czasu, Popierali go w tém inni socyaliści a zwłaszcza furyeryści, jak Juliusz le Chevalier i Ramon de la Sagra. Wprawdzie widzieli oni jednostronność Proudhona, który mniemał, że samo ułatwienie kredytu rozwiąże zagadnienie społeczne, ale

---

(1) Les conf. d'un révol. str. 164. — (2) Oeuvres complètes. T. XVIII, str. 95.— (3) Les conf. d'un révol. str. 220. — (4) Oeuvres com. de P. J. Proudhon. XVIII, str. 88.

sądzili, że raz postawiwszy bank ludowy na nogi, da się następnie z nim połączyć organizacya wytwarzania i spożycia. Z tych też powodów zgodzili się popierać założenie banku ludowego niektórzy członkowie byłéj komisyi stałéj luksemburskiéj. Sam Proudhon wreszcie przystał na takie widzenie rzeczy. W końcu stycznia 1849 r. podpisano akt założenia banku ludowego. Teoretyk anarchizmu zastrzegł sobie władzę monarchiczną. Sam powiada, że stowarzyszenie z nazwą kolektywną było obrazem tylko monarchii" (1). W lutym rozpoczął on propagandę dziennikarską w sprawie banku. Propaganda ta, przerwana jego aresztowaniem, może uważać się za wzór reklamy dziennikarskiéj. Rozpoczął ją następującą zapowiedzią: „Podejmuję się przedsięwzięcia, które nie miało nigdy nic podobnego, i któremu nic nigdy nie dorówna." „Chcę odmienić podstawę społeczeństwa, przemienić oś cywilizacyi, sprawić to, ażeby świat, który pchnięty wolą boską, obracał się dotąd od zachodu na wschód, odtąd, poruszony wolą człowieka, zaczął obracać się od wschodu na zachód." Podnieciwszy w ten sposób do najwyższego stopnia ciekawość i uwagę czytelnika, nie przystąpił odrazu do wykładu swojéj teoryi, ale w pierwszym artykule zapewnia o jéj wielkiem znaczeniu, w drugim mówi o sobie, w trzecim o teoryi rewolucyjnéj w czwartym o znaczeniu rewolucyi lutowéj, w piątym o socyalizmie, gdzie wreszcie powiada, że ma ukończyć dzieło rozpoczęte przez Saint-Simona i prowadzone daléj przez Fourier'a i L. Blanc'a, i z zasady prawa do pracy wyprowadza zasadę prawa do kredytu i w dalszém następstwie do jego wzajemności. Dopiéro w siódmym artykule zaczyna dowodzić, że kredyt powinien być wzajemny i daremny. Jeżeli tak nie jest—powiada—to znaczy, że cywilizacya skłamała, że filozofia skłamała, że rozum na to jest dany człowiekowi, by wprowadzać w błąd jego sądy, i że postęp w rodzie ludzkim jest zboczeniem Opatrzności. „Przysięgam ci, czytelniku—woła—że tak nie będzie, i jeżeli potęga tajemna, która kieruje światem, może słabnąć w swych postanowieniach, to dość będzie siły w jednéj głowie, ażeby nagiąć los; jeżeli Bóg może się wahać, to człowiek go zastąpi...." (2). W ósmym artykule autor bada, w jaki sposób można uczynić kredyt wzajemnym. Ponieważ o téj teoryi późniéj będę mówił obszerniéj, przeto w kilku tylko ogólnych zdaniach powiem tu o niéj. Należy — pisze Proudhon—„zorganizować wymianę i zesolidaryzować obieg w taki sposób, ażeby kredyt i skutkiem tego odpowiedzialność dla każdego wytwórcy nigdy nie były ani wyższe, ani niższe od wytworu." Postawiwszy takie zadanie, które ciemnością swoją może spółzawo-

(1) Ibid. str. 81. — (2) T. XVIII, str. 42 i 43.

dniczyć z metafizycznemi zagadnieniami spółczesnych mu filozofów niemieckich, wykrzykuje: „albowiem bez tego—trzeba powiedzićć — kredyt byłby chimerą, socyalizm kłamstwem, a rewolucya zbrodnią“ (1). Wymiana taka powinna polegać na tém, ażeby każdy brał ściśle wartość swojéj tylko pracy, nie doliczając innych kosztów, wydanych na przeobrażenie materyału surowego; np. piekarz ma brać tylko za pieczenie, nie doliczając kosztów mlewa, przewozu, pracy rolniczéj. Taką to budową, „bez przykładu w rocznikach filozofii i wiedzy“, miał się zająć założyciel banku ludowego. W miesiąc jednak po tych szumnych zapowiedziach, po deklaracyi wreszcie, poprzedzającéj ustawę banku, że w zasadach jéj zawiera się cały socyalizm, i że wszystko, co jest po za tém, jest albo utopią, albo chimerą, ogłosił on likwidacyą tego banku, co wreszcie w prawie był zrobić, ponieważ w tym czasie skazano go na więzienie. Ale przytém zrobił charakterystyczny dodatek, którym niejako pobił całą swoję teoryą antyguwernalizmu i zaprzeczył własnéj krytyce postępowania Ludwika Blanc'a. Gdybym nawet był wolny—dodawał—to okoliczności bieżące wkładałyby na mnie inne obowiązki. Teraz nie chodzi o propagandę, ale o życie: trzeba albo zwyciężyć, albo zginąć! „Zwyciężyć! znaczy, zasadę demokratyczną i społeczną postawić u władzy. A wówczas na co się przyda bank ludowy? po co biura na ulicy Faubourg-Saint-Denis? Czyż nie ma tam Banku Francyi“ (2). Przy likwidacyi okazało się, że współczucie i zaufanie dla dzieła proudhonowskiego nie były bardzo wielkie, gdyż pomimo reklamy, przypominającéj szarlatanów amerykańskich, w ciągu dwóch przeszło miesięcy wpłynęło niespełna 18,000 franków (3). Wytknął to Emil Girardin w swoim dzienniku *La Presse*, wskazując, że prawie równocześnie podpisano 900,000 franków na *cités ouvrières*, któremu to dziełu patronował Ludwik Bonaparte. Wprawdzie Proudhon tłómaczył stosunkowo małą subskrypcyą tém, że podpisywała się klasa robotnicza, więc uboga. Lecz i w takim nawet razie, w porównaniu z rozmaitemi innemi subskrypcyami robotniczemi z owéj epoki, suma podpisana wcale nie imponuje.

---

(1) Ibid. str. 47. — (2) T. XVIII, str. 81.

(3) Proudhon chwalił się, że w przeciągu 6-ciu tygodni deklarowano co najmniéj 20,000 przystąpień do banku ludowego, co miało reprezentować najmniéj 60,000 osób (Confes. 235). Jeżeli to prawda, to fakt ten—zdaniem mojém—jeszcze bardziéj świadczy o braku zaufania: zapisywano się, ale nie dawano pieniędzy. W innych przedsięwzięciach socyalistycznych, w które wierzono, oddawano ostatnie pieniądze a często nawet sprzedawano rzeczy i wnoszono wziętą za nie kwotę. Tak było np. w tych stowarzyszeniach, które zawiązywały się z inicyatywy L. Blanc'a, a które Proudhon wyszydzał.

Prześladowanie zmusiło socyalistów i demokratów połączyć się z sobą i ścisnąć swoje szeregi. Utworzyło się stronnictwo socyalno-demokratyczne. Proudhon stał także w jego szeregach. Niedługo wszakże dotrzymywał mu kroku. W kwestyi zamierzonéj manifestacyi przeciwko wyprawie rzymskiéj, zajął stanowisko opozycyjne. Oburzona prasa socyalno-demokratyczna oskarżała go o paktowanie z rządem. Istotnie, pomimo całéj gwałtowności języka „*Le Peuple*", daje się spostrzegać w nim pewna chęć wejścia w porozumienie ze stronnictwem panującém i uczynienia swéj pozycyi mniéj wyjątkową. Dziennik jednak został zawieszony po manifestacyi 13-go czerwca.

Na dziesięć dni przed manifestacyą, t. j. 3-go czerwca, uwięziono Proudhona, na mocy wyroku sądu przysięgłych z dnia 28-go marca. Skazano go wówczas za obrazę prezydenta rzeczypospolitéj w dwóch artykułach dziennikarskich na trzy lata więzienia i 3,000 fr. kary. W więzieniu pozostawał do 4-go czerwca 1852 r. Napisał tam dwa dziełka: „*Les Confessions d'un révolutionnaire*" i „*Idée générale de la révolution au XIX siècle.*" Pisywał nadto artykuły do dziennika „*La Voix du peuple*", którego spółwłaścicielem i redaktorem był także Edmund Chojecki (Charles Edmond). Wreszcie ożenił się podczas swego pobytu w więzieniu. Tak o tém pisał do Bergmanna: „Mając czterdzieści lat, pojąłem za żonę młodą i ubogą robotnicę, nie z miłości, bo zrozumiész łatwo, jakiéj natury są moje namiętności, lecz z współczucia dla jéj położenia, z szacunku dla jéj osoby, dla tego, że po śmierci matki byłem bez rodziny, ponieważ — czy uwierzysz? — w braku miłości zachciało mi się gospodarstwa domowego i ojcostwa! Innych myśli nie miałem. Od czterech lat wdzięczność mojéj żony dała mi cztery jasnowłose i rumiane córeczki, które matka sama wykarmiła i wychowała i których istnienie napełnia dzisiaj prawie całą moję duszę."

Z powodu zamachu stanu, wykonanego przez Ludwika Bonapartego, Proudhon ogłosił dziełko p. t. „*La révolution sociale démontrée par le coup d'état du 2 décembre*", które poróżniło go — można powiedziéć—ostatecznie ze stronnictwem republikańskiém. Ze zwykłym sobie optymizmem, autor stara się wszystko wytłómaczyć na korzyść swoich teoryi. Przytém, pomimo swego anarchizmu, chciałby rząd cesarski natchnąć swemi myślami. Cesarz został wybrany przez naród—powiada—musi więc być cesarzem narodu, musi popierać jego interesy. „Ażeby tryumfować nad burżuazyą, złożoną z kapitalistów i właścicieli; ażeby powstrzymać klasę średnią, przemysłową i liberalną; ażeby panować nad pospólstwem, nie chodzi

już o to, ażeby utrzymywać to pospólstwo łupami po narodach zwyciężonych, lecz o to, aby mu dać możność życia z własnego wytworu, słowem dać mu pracę. W jaki sposób weźmie się do tego Cezar? Oto kwestya. Otóż w jakikolwiekbądź sposób on się weźmie do tego, czy się zwróci do Saint-Simona, Fouriera, Owena, Cabeta, Ludwika Napoleona i t. d., w każdym razie jesteśmy w pełni socyalizmu, a ostatniém słowem socyalizmu jest: bez procentu i bez rządu *(avec le non-intérêt le non-gouvernement!)*" (1). „Anarchia — powiadam wam — cezaryzmu. Nie wydobędziecie się z niéj. Nie chcieliście rzeczypospolitéj uczciwéj, umiarkowanéj, zachowawczéj, postępowéj, parlamentarnéj i wolnéj; a więc znaleźliście się pomiędzy Cesarzem i Walką Społeczną *(la Sociale)*! Wybierajcie więc teraz, co się wam najbardziéj podoba. A naprawdę, jeżeli Ludwik Napoleon upadnie, to upadnie jak jego stryj przez rewolucyą i dla rewolucyi tylko. Proletaryusz zaś, cokolwiekbądź się stanie, znuży się mniéj od was. Czyż to nie dla niego odbędzie się rewolucya, a oczekując téj rewolucyi, czyż nie jest on przyjacielem Cezara?" (2). W następnym roku Proudhon poświęcił nawet cesarzowi swój wykład zasad organizacyi społecznéj *(Exposition des principes de l'organisation sociale)*. Przez Chojeckiego wszedł on w stosunki z księciem Napoleonem, i na jego propozycyą w r. 1855 przedstawił projekt „Towarzystwa nieustannéj wystawy", mający na celu jaknajodpowiedniejsze i jaknajpożyteczniejsze zużytkowanie gmachu wystawy powszechnéj. Projekt ten, w sprawie którego autor naradzał się z wielu przemysłowcami, był wykonalny i zapewniał wielkie korzyści (3). Wreszcie dla zarobku pieniężnego, na zamówienie pewnéj księgarni, napisał: „*Manuel du spéculateur à la Bourse.*" Książka ta wyszła w r. 1857 i nie mogła mieć żadnego wpływu, ale autorowi zdawało się, że po 2-im grudnia był to pierwszy cios wymierzony przeciwko feudalizmowi industryalnemu.

W r. 1858 pojawiło się dzieło Proudhona p. t. „*De la Justice dans la révolution et dans l'église*", za które skazano go na więzienie. Uchodząc przed niém, wyjechał on do Belgii. Zmienił wówczas swój pogląd na cesarstwo i 17 września pisał z Brukseli do Chojeckiego: „Cesarstwo, jest-to kontrrewolucya, zawzięta, lecz przebiegła, obłudna, okrutna....." (4). Dzieło jego o sprawiedliwości wychodziło w Belgii powtórnie zeszytami w r. 1859 i w 1860.

---

(1) La révolution sociale démontrée par le coup d'état du 2 décembre. Paris 1852, str. 278. — (2) Str. 277. — (3) Projekt ten jest wydrukowany w dodatku do dziełka: *Théorie de la propr.* — (4) Correspondance. Tome Huitième, str. 191.

Pisane popularnie, pełne wycieczek polemicznych, zajmuje się ono filozofią, moralnością, kwestyami ekonomicznemi, politycznemi, płciowemi itd. W przekonaniu autora, było ono wielkiém dziełem filozoficznóm. „Mniemano—powiada—że filozofia wraz z Heglem umarła: otóż, ona zmartwychwstała pod piórem rewolucyonisty, demokraty, nieprzyjaciela Boga, z charakterem jedności, prostoty i potęgi, jakiéj nie znali nigdy ani Niemcy, ani Grecy“ (1).

W dziele tém, pełném metafizycznych rojeń i reminiscencyi heglowskich, widoczny jednak jest wpływ Comte'a (2). Autor wyrzeka się zupełnie dawnéj swojéj teoryi sprzeczności, antynomii, która—zdaniem jego—nie może doprowadzić do rozwiązania kwestyi, i która dogodna jest jedynie dla sofistów. Nie pogodzenie sprzeczności, lecz oznaczenie stosunku jest najważniejsze. Jakiż stosunek wybrać należy? „Zamiast szukać prawa mojéj filozofii—powiada—w stosunku pomiędzy mną, który się uważam za szczyt bytu, i pomiędzy tém, co jest najniższe w stworzeniu i co uważam za bezmyślne,—będę szukał tego prawa w stosunku pomiędzy ja i drugiém ja, które nie jest mną, pomiędzy człowiekiem i człowiekiem“ (3). Ten stosunek określa, a przynajmniéj powinna określać Sprawiedliwość. Powinna ona być miarą, sprawdzianem wszelkich stosunków, a przedewszystkiém ludzkich. Nie jest ona wrażeniem, lub działaniem jednéj strony, lecz jest zobopólna, polega na wzajemności, na przyjętém zobowiązaniu pożycia spólnego. „Wszelka moralność ludzka, tak w rodzinie, społeczeństwie, państwie, jak w wychowaniu, nauce, ustroju ekonomicznym, polega na jedynéj zasadzie równego z obu stron poszanowania godności ludzkiéj, we wszystkich stosunkach, mających na celu albo osoby, albo interesy“ (4). Sprawiedliwość jest to najwyższa zasada, którą ludzkość czciła pod nazwą Boga, którą filozofia upatrywała w Idei Platona i Hegla, w Absolucie—Fichtego, w Rozumie czystym i Rozumie praktycznym—Kanta itd. „W całéj encyklopedyi wiedzy nie znajdujemy tak wysokiéj idei“ (5). Jeżeli ludzkość czci sprawiedliwość pod nazwą Boga, to może i dla Proudhona Bóg ma to samo znaczenie? Nie—odpowiada autor—precz z Bogiem, bój z Bogiem (6)! A więc jesteś ateusz? Nie—odpowiada

---

(1) De la Justice etc. IV. str. 348. — (2) Proudhon sam się przyznaje do tego wpływu. „P. Aug. Comte, którego powagę należy się zawsze przytoczyć, nawet wówczas, kiedy jego zdania nie odznaczają się wielką ścisłością“... De la Justice etc. VI, 215. „Lecz,—jako uczeń Kanta i Comte'a, odpychałem absolut narówni z nadprzyrodzonością“ Théorie de la propriété. str. 202. — (3) T. I. str. 31 i 32. — (4) T. I. str. 307. — (5) T. I. str. 35. — (6) Proudhon opowiada, że kiedy 8 stycznia 1848 r. przyjmowano go do loży masońskiéj, na zapytanie: „coś winien Bogu?“—odpowiedział: „*la Guerre*“.

daléj—jeżeli mówię: bój z Bogiem, to znaczy, że uznaję Boga. Jestem antiteusz; co nie jest jedno co ateusz. „Ateizm mniema się być rozumnym i silnym, tymczasem jest głupi i tchórzliwy“ (1). Jakże rozumiesz Boga? Bóg jest to a b s o l u t w najwyższéj potędze. „Wcielony w osobę, absolut z potężniejącą władzą rośnie w rasie, w społeczeństwie, korporacyi, państwie, kościele; bierze władzę króla nad zbiorowością ludzką i powszechnością stworzeń. Doszedłszy do téj wysokości, staje się B o g i e m“ (2). Cóż to jest absolut? Jest to podstawa wszystkich naszych myśli. Wszelka myśl, wszelka idea oznacza absolut; usunąć ten ostatni, znaczy zniweczyć myśl. Sama myśl Sprawiedliwości ma za podstawę absolut. Bóg więc jest to pojęcie, nigdy zaś „twórca, pan, przed którym powinienem się korzyć, i któremu mam dziękować“ (3). Z absolutem łączy się pojęcie konieczności. Nie wystarcza ono jednak dla objaśnienia Boga, ani też przyrody. Umysł więc wytwarza w przeciwieństwie do tego pojęcia nowe pojęcie wolności. Wolność albo wolna wola „jest to potęga zbiorowości, która powstaje w téj saméj istocie z połączenia się organizmu, życia, umysłowości i wszystkich wyrosłych przez nią uczuć, namiętności, myśli“ (4). Wolność jest wynikiem sił fizycznych, uczuciowych i umysłowych człowieka. Jedynym jéj organem jest człowiek, używający pełni swych zdolności. Antropomorfizm Boga jest także usprawiedliwiony. „Albo Bóg, najwyższy absolut, byt bytów, nie jest wolny, a więc równoznaczny z nicością; albo też jest zbiorowością powszechną, najwyższą wolnością, najwyższą ludzkością“ (5). Dla czego więc Proudhon zarzucał Comte'owi, że ten opanowany przez pojęcie absolutu (?), wytworzył z L u d z k o ś c i nowego Boga?

Z powodu kongresu literatów w Brukseli w r. 1858, Proudhon napisał dzieło p. t. „*Majorats littéraires*“, w którém słusznie z pewném oburzeniem odpiera porównywanie płodów umysłowych z płodami materyalnemi, dającemi się łatwo zamieniać. Z powodu zaś konkursu, wyznaczonego przez Radę Państwa kantonu szwajcarskiego Vaud, napisał rozprawę o podatku i otrzymał wyznaczoną nagrodę. Uwieńczona ta rozprawa wyszła w r. 1861 p. t. „*Théorie de l'Impôt*“. Wykazawszy, że podatki płacone dzisiaj spadają ostatecznie na klasę pracującą, zaleca dla ulżenia im téj opłaty, równoważyć największą część wydatków państwowych przez nałożenie podatku rentowego. Podług wielce prawdopodobnego obliczenia—powiada—renta ziemska we Francyi wynosi 1800 milionów. Przy-

(1) T. III. str. 36. — (2) T. III. str. 31. — (3) III, str. 37. — (4) II. str. 239. — (5) III. str. 217.

puszczając więc, że budżet francuski wymaga 600 milionów, to na jego pokrycie wystarczy trzecia część renty gruntowéj, i w takim razie nie trzeba byłoby żądać żadnych innych podatków. W ten sposób objawiłby się wreszcie—powiada Proudhon—„ten szczęśliwy feniks: rząd bez podatku“.

W czasie wojny włoskiéj, Proudhon zajął stanowisko nieprzyjazne dla jedności włoskiéj, a nawet nieprzychylne dla samego narodu włoskiego. Oburzył tém w wysokim stopniu demokracyą francuską. Jeden z jego zwolenników, Vallein, redaktor „*Indépendant e la Charente-Inférieure*“, ogłosił, że powaga Proudhona straciła dla niego wszelkie znaczenie. Taxile Délord, dawniejszy jego współpracownik, w dzienniku „*Siècle* szeregiem cytat wykazał, że Proudhon przeczył temu, co sam pisał w r. 1848 i 1849. Na to jednak propagator anarchizmu odpowiadał, że on swoich dzieł nie czyta i nie pamięta przeto, co pisał. Byłoby wszakże o wiele korzystniéj dla niego i dla jego zwolenników, gdyby mniéj pisał, a częściéj odczytywał i rozważał, co napisał. Wówczas nie byłby w ciągłéj sprzeczności sam z sobą; nie puszczałby w obieg paradoksów, które przyczyniały się tylko do bałamucenia umysłów; nie rzucałby niemal na wiatr łudzących jaskrawością zdań, które wiele złego zrobiły W r. 1861 wystąpił on także nieprzyjaźnie i w sprawie innego narodu. Wówczas Charles Edmond zerwał z nim stosunki. W dziwny sposób propagandę anty-włosko-polską połączył Proudhon z propagandą federalizmu. W dziełku swojém „*Du principe fédératif*“, które ściągnęło na autora tyle niechęci, ze zwykłą sobie zarozumiałością uważał swoje stanowisko federalistyczne jako czyniące epokę w rozwoju przekonań społeczno-politycznych. Tymczasem już Rousseau, tak zawzięcie poniewierany przez niego w jego „*Ideé générale de la révolution*“, przytaczał ważne dowody na poparcie ustroju federalnego. Niesumienność publicystyczna Proudhona była wielka. Z listu, pisanego do Altmeyera 23 września 1861 r., przekonywamy się, że wydając stanowcze sądy o historyi polskiéj, nie przeczytał był żadnego poważnego w tym przedmiocie dzieła. Dopiero zmuszony niejako bronić się przed zarzutami dziennikarstwa francuskiego, prosił Altmeyera, by mu ten wskazał jaką dobrą historyą Polski. „Posiadam—pisał—notaty tylko rękopiśmienne, zebrane ze wszystkich stron i wystarczające dla mojéj opinii, ale w téj chwili nie mam żadnéj książki o Polsce“ (1).

Z uporem, godnym lepszéj sprawy, chciał przegadać, przekrzyczéć wszystkich, co na sprawę sponiewieranych przez niego naro-

(1) Correspondance. Tome Onzième. str. 201.

dów inaczéj się zapatrywali, Pisząc krytykę historyczną, która — jak się przechwalał — miała otworzyć nowe widnokręgi (1), posiłkował się wiadomościami, których mu udzielał Teodor Firks (2) i historyą Schmitta. Po mowie listopadowéj cesarza Napoleona w roku 1863, pośpieszył z ogłoszeniem nowych swoich poglądów w dziełku p. t. „*Si les traités de 1815 ont cessé d'exister? Actes du futur congrés par P. J. Proudhon (Paris, 1863*). Poglądy jego jednak nie znalazły uznania nawet tam, gdzie się spodziewał był je znaleść. Uważano, że przeholował.

Nie odkryła także nowych horyzontów jego rozprawa antywłoska, w któréj odwoływał się do geografii, etnografii, historyi, ekonomii politycznéj i prawa narodów. Rozprawa ta wyszła w roku 1865, dopiéro po śmierci Proudhona, p. t. „*Nouvelles observations sur l'unité italienne.*" Pełno w niéj naciągań dowolnych. Mówi o rozmaitych narodach na ziemiach włoskich, a nie chce wiedziéć o spólnéj ich literaturze, o patryotyzmie włoskim. Zresztą Garibaldi w oczach jego jest awanturnikiem. „Narodowość włoska, jest-to fikcya" (3) — powiada z całą stanowczością.

W przedmowie do dzieła: „*La Guerre et la Paix*", Proudhon sam się przyznał, że wiele jego wniosków było dowolnych, które nie opierały się na żadnéj zasadzie, jeno były wynikiem wewnętrznych jego sympatyi lub antypatyi (4). Siła wszelka, nawet brutalna, miała urok dla niego. Sławne bismarkowskie: siła przed prawem może wylegitymować się prawem siły Proudhona. Z prawa siły — podług autora „Wojny i Pokoju" — pochodzą wszystkie inne prawa, i układa on następującą seryą, czyli gamę, którąby— jak powiada — napełniła radością serce Fouriera: 1) Prawo siły; 1) Prawo wojny; 3) Prawo narodów; 4) Prawo polityczne; 5) Prawo cywilne czyli domowe; 6) Prawo ekonomiczne, które rozpada się na prawo pracy i prawo wymiany; 7) Prawo filozoficzne czyli wolności myśli; 8) Prawo wolności, czyli ludzkości (5). Nawet — zda-

---

(1) Listy Proudhona, w których mówi o pisaniu historyi polskiéj, wcale nie świetnie go malują. „Mon travail sur la Pologne se poursuit. C'est une oeuvre de critique historique qui découvrira bien des horizons nouveaux, fera tressaillir de joie la Prusse, l'Autriche, la Russie, grincer des dents aux démocrates et pâlir les Polonais. Un beau volume, que je soigne avec amour." List do Gouvernet'a z 15 lutego 1862, str. 364, t. XI. Corresp."... je crois avoir conquis le marché etranger.... mon prochain ouvrage m'ouvrira la Russie". List do Maurice'a z 29 lipca 1863 r., str. 130, t. XIII. Kiedy Lucyan Jottrand czynił mu bardzo słuszne zarzuty, Proudhon w liście do niego z dnia 14 grudnia 1863 nie wahał się kłamać. — (2) Autor dzieła, wydanego w 1864 r. p. t. „*Que fera-t-on de la Pologne?*" — (3) Str. 28. — (4) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Tome XIII. La Guerre et la Paix. Tome premier. Paris 1869, str. 4. — (5) I, str. 242.

niem autora — „wojna jest nierozłączna z ludzkością i wraz z nią trwać powinna“ (1). Zgodność całego ustroju społecznego z prawami ekonomicznemi przeobrazi jéj charakter, ale prawo siły zawsze istnieć będzie i „najemnictwo, pauperyzm i żebractwo, ta największa hańba, czekają zwyciężonego“ (2).

Od września 1862 r. Proudhon przebywał we Francyi, dokąd wrócił ułaskawiony przez cesarza. Kiedy wskutek porobionych ustępstw parlamentaryzmowi wszczął się żywy ruch polityczny i wszystkie stronnictwa zaczęły się organizować i wzmacniać, robotnicy zapytywali Proudhona, jakie mają zająć stanowisko przy wyborach do parlamentu w r. 1864, i ten nie umiał im dać wówczas innéj rady, jak tę, ażeby się wstrzymali od głosowania, przeciwko czemu sam tak wymownie walczył w r. 1849. Lecz robotnicy paryscy byli innego zdania i ogłaszając 21-go lutego 1864 r. manifest, podpisany przez 60 ludzi, wezwali do stawiania kandydatur robotniczych. Z powodu tego manifestu, Proudhon napisał dziełko p. t. „*De la Capacité politique des classes ouvrières*“, które pojawiło się w 1865 r. Dziełko to, streszczające zasady mutualistyczne, stało się ulubioną książką proletaryatu francuskiego i zapewniło mutualizmowi przewagę aż do 1870 r.

Proudhon umarł w Passy w styczniu 1865 r. Nad jego grobem przemawiali: Massol, Langlois, Chaudey.

(D. n.) *B. L.*

---

(1) T. I, str. 64. — (2) II, str. 294.





RYS ROZWOJU
ESTETYKI NIEMIECKIÉJ.

Estetyka już za czasów Platona i Arystotelesa stanowiła pewien odrębny dział myślenia, jako nauka o pięknie. Plato poświęca jéj obszerne ustępy w Fedrosie, Hippiaszu starszym, Biesiadzie, a szczególniéj w Filebosie. Oznacza on, jako nieodzowne warunki piękna: miarę, ład, symetryą, harmonijną całość. Arystoteles zajmuje się w swéj poetyce cokolwiek specyalniéj określeniem istoty piękna. Jakkolwiek obaj z Platonem nie rozróżniają piękna od dobra (καλὸν κ'ἀγαθόν), to jednak drugi uważa, że dobro polega na czynie, piękno zaś opiera się na czémś nieruchliwém, stałém, stąd pierwsze dąży do celu, ma zawsze cel jakiś przed sobą. Arystoteles nadto wciąga w zakres studyum estetycznego żywioł tragiczny i komiczny. Na uwagę zasługują też późniejsze wywody Plotyna, który w swém dziele „O piękności“ określa piękno, jako coś czysto duchowego, w przeciwieństwie do zmysłowéj i cielesnéj brzydoty.

W wiekach średnich nie zajmowano się estetyką. Czasy pełne rycerskiéj fantazyi, nie otwierała dla refleksyjnego myślenia pola wdzięcznego. Dopiéro wiek XVIII, osobliwie koniec jego pod względem krytycyzmu tak świetny, obudził z długiego uśpienia estetykę. Prace Boila, Home'a, Batteux, Gottscheda dążyły raczéj do ustalenia pewnych prawideł w poszczególnych działach twórczości; zajmowały się szczegółami, tworzyły przepisy poezyi i rymotwórstwa. Niebawem atoli dała się uczuć potrzeba stałego systematu. Już w wykładach filozofii Wolffa istniała powyższa dążność; zrealizował ją Baumgarten, ze szkoły tego filozofa — i zebrał rozproszone myśli i wyobrażenia o pięknie w całość, którą po raz pierwszy na-

zwał estetyką (1). Zrozumieć to, co doskonałe w świecie realnym, to znaczy wzbudzić w sobie uczucie estetyczne — wedle Baumgartena. Ale przez wyraz „doskonałe“ pojmuje on *„perfectio gustui observabilis.“* Stąd wypływa, że doskonałość właściwie nie posiada szerokich, ogólno-ludzkich praw i warunków, że jest zmienną. A daléj, piękno u Baumgartena—jest-to doskonałość zmysłowa. Jest to zresztą coś zupełnie skończonego; zależy ono od pewnego celu, jakkolwiek doń nie dąży.

Widać z powyższych określeń, z jak szczupłém kołem niejasnych ogólników pasowały się początkowe w tym kierunku studya. Jednakże już skutkiem pracy Baumgartena, a jeszcze bardziéj jego zwolenników i bezpośrednich następców estetyka została przydzieloną do filozofii i otrzymała powagę umiejętności. Odtąd kroczyła ona zawsze u boku filozofii. Filozofowie byli estetykami. I nie dziw, że zamiast zastosować się do potrzeb produkcyi literackiéj i artystycznéj, usiłowali ją otoczyć całą chmurą umiejętnych i głęboko-uczonych, a trudno-zrozumiałych definicyi, w których zastanawiali się nad wielu abstrakcyjnemi pojęciami zakresu piękna. Stanowisko, zadanie i cel piękna, stosunek tegoż do świata, piękno we wszechświecie, piękno w naturze, piękno w królestwie mineralném, roślinném, zwierzęcém i t. d. i t. d., coraz wyżéj, aż do rozbioru najtrudniejszych zagadnień człowieka, aż do poglądu na dzieje ludów, niby jakiéjś ogólnéj historyi cywilizacyi: wszystko to, cała ta masa rozmaitych, nie połączonych ściśle z sobą kwestyi naukowych, wchodziła w zakres estetyki.

Jak w każdéj gałęzi wiedzy, tak téż i tu tworzenie systematów było zadaniem pierwszorzędném. Każdy z wybitnych filozofów niemieckich tworzy odrębny systemat estetyczny, wszyscy pojmują estetykę, jako część filozofii, opierają ją na filozofii dziejów. Istnieje także, a nawet przeważa w XIX wieku w Niemczech przekonanie, że realną podstawą estetycznych praw są uczucia ludzkie; toczy się ciągle wymiana spornych zapatrywań o celowości sztuki; mówi się dużo o fantazyi ludów, fantazyi jednostek, o geniuszu i nieświadoméj twórczości artystycznéj: nie masz atoli w tém wszystkiém podkładu psychologicznego, są to tylko apriorystyczne, ogólnikowe, mniéj lub więcéj trafne domysły lub dedukcye, które wobec nader szybkiego postępu nauk przyrodniczych w ostatnich czasach, coraz bardziéj tracą swą siłę i znaczenie.

(1) Al. Gl. Baumgartenii. Aesthetica. Frankfurt nad O. 1750, a w r. 1758 Aestheticorum pars altera.

Przyznać trzeba, że nie ma literatury, w któréjby estetyczne badania tak ważną odgrywały rolę, jak w niemieckiéj. Utworzono mnóstwo estetycznych systematów, których studyum wymaga wiele czasu. Dla zrozumienia jednak stanowiska dzisiejszéj estetyki niemieckiéj konieczną jest rzeczą bodaj, że tak powiem *à vol d'oiseau*, obejrzéć kierunki poprzednie, bo na nich to właśnie opierają się najnowsze tego rodzaju prace. Zasadnicze różnice poglądów podzieliły estetyków niemieckich na formalistów i idealistów (inaczéj zwanych *Inhalts-Aesthetiker)*, a znaleźli się i tacy, którzy usiłowali oba te kierunki pogodzić.

Em. Kant jak na wielu polach umiejętności, tak i tu położył pierwsze podwaliny estetyki formalistycznéj, jakkolwiek za właściwego twórcę tejże uważany bywa Herbart. Pięknem — wedle Kanta—jest to, co za piękne uznajemy, chociaż nie posiada celu i choć uznając je za takie, nie mamy na oku własnego interesu (1). Na tém właśnie polega różnica między pojęciem i definicyą Kanta, a estetyków angielskich (Hogarth W., Burke). W ciągłéj walce przeciwko zmysłom i doświadczeniu, jako jedynym źródłom wiedzy, ugruntował Kant i w dziedzinie estetyki formalistyczną teoryą, która całkowicie usunęła celowość. Piękno wedle niego polega tylko na formie, a sztuki piękne musiałyby stracić swe etyczne zadanie. Kant nadto umotywował po raz pierwszy zdanie, że sąd krytyczny o pięknie może być tylko subiektywny — i to mu Lotze uważa za jednę z największych zasług (2). Czuł to Kant, że ogólnie przyjęte i akceptowane prawa estetyczne nie mogą ani z jednéj strony ścieśnić i ująć w karby twórczości, ani téż z drugiéj wpłynąć na odczuwanie piękności dzieła sztuki, bo „muszę—powiada—bezpośrednio po przedstawieniu mi przedmiotu pięknego uczuwać rozkosz, a téj nie może mi wtłoczyć żadna namowa.“ „Gdyby mi ktoś np. odczytywał poemat, który ostatecznie nie odpowiada moim wyobrażeniom o pięknie, to mi może i usprawiedliwiać się i powoływać na świadki wszystkie reguły Batteux'go lub Lessinga na dowód, że poemat piękny; a nawet mogą pewne ustępy, które mi się właśnie nie podobają, odpowiadać regułom i przepisom: zatknę sobie uszy i nie chcę słuchać żadnych dowodzeń i rozumkowań.“

Pominę estetyczne wywody Herdera, Schillera i Fichtego. Wszyscy oni nie zdołali odrębności swéj dość silnie napiętnować i mniéj lub więcéj byli zależni od Kanta.

---

(1) Ein vorgestelltes Object müsse ohne Interesse und ohne Begriff als formal zweckmässig für die subjectiven Bedingungen des Urtheilskraft allgemein gefallen — wówczas jest pięknym.—(2) H. Lotze. Geschichte der Aesthetik in Deutschland. München 1868.

Schelling zajmuje się w swéj filozofii natury niejednokrotnie stanowiskiem piękna we wszechświecie i zadaniem tegoż. Usunął on kantowskie określenie piękna *(zweckmässig—ohne zweck)*. Przyjął trzy potęgi ducha: siłę refleksyi czyli przelanie materyi w formę — to prawda; siłę subsumcyi albo wlanie formy w materyą—to dobro; zespolenie obojga — to piękno. Oczywiście postęp tu już znaczny. Schelling przeszedł do trafnéj stosunkowo definicyi piękna od jednostronnych, grzeszących bądź to przewagą formalizmu, bądź żywiołu etycznego. Jednakże w metafizycznêm dowodzeniu, w którém nie małą rolę odgrywają błyszczące paradoksy, nie zwraca Schelling uwagi na mechanizm piękna. Zajęty jego istotą, nie dba o te sposoby, któremi się np. wrażenie piękna w duszy naszéj wywołuje, nie zajmują go wcale warunki piękna. Nie uzupełnił téj niedokładności i Solger, który o tyle posunął badanie naprzód, że rozważa estetykę niezależnie od filozofii. Zaraz na czele dzieła swego (1) zaznacza, że estetyka jego zajmuje się sztuką. Piękno w przyrodzie nie należy tutaj. Wiążąc tedy analizę swą do wyników, jakie już poprzednicy poczynili, sądzi, iż piękno może wypłynąć z harmonijnego połączenia pierwiastku idealnego z realnym, ogólnego ze specyalnym. Jednakże w świecie rzeczywistym to, co ogólne, nie zlewa się harmonijnie nigdy ze specyalném i poszczególném, co jest jednym więcéj dowodem, że właściwego piękna szukać należy w sztuce. Jakkolwiek u Solgera forma stanowi nader ważny współczynnik piękna, to jednak nigdy nie zapomina on o powyższém połączeniu. Swoją drogą wyrównanie szpar i rysów, jakie muszą nastąpić przy kojarzeniu się dwóch powyższych spornych pierwiastków, nie może nastąpić łatwo i owszem, należy to— wedle wyrażenia Solgera — do „prawdziwych cudów." Możliwe to tylko u geniuszów. W jaki sposób odbywa się owo harmonijne połączenie kontrastów, estetyk nie wyjaśnia. Poprostu odbywa się ono skutkiem „iskry boskiéj", skutkiem wyższego natchnienia, skutkiem wpływu bóstwa na istotę śmiertelną. Bóg odgrywa w estetyce powyższéj wybitną rolę. Tylko twórczy Bóg przenika aż do głębi wszystkie sprawy; tylko on posiada zupełną świadomość własnéj istoty aż do najdrobniejszych szczegółów. Dla nas, którzy nie rozporządzamy siłą twórczą, wydają się objawy, fakta i przedmioty niepojętemi; widok ich obudza w nas jeno niejasne jakieś wyobrażenie piękna; jeżeli mamy się niém rozkoszować w pełni, musimy

(1) Ponieważ jest to pierwsze w ścisłém tego słowa znaczeniu dzieło estetyczne w literaturze niemieckiéj, podaję tytuł: „Ervin, Vier Gespräche über das Schöne und die Kunst. Berlin 1815. 2 Theile."

mieć władzę tworzenia. Bóg jednak nie dał nam téj siły. On—duch twórczy — nie mógł się w zupełności wcielić w bierne istoty, mógł jeno tchnąć w nie iskrę własnéj siły twórczéj. W artystycznym geniuszu spoczywa taka boska idea żywa, jako zasada; w dziele sztuki zaś powstaje ona do bytu.

Działalność, pośrednicząca dwom powyższym stadyom, nazywa się u Solgera twórczą fantazyą. Fantazya występuje tu po raz pierwszy, jako pojęcie pierwszorzędnéj wagi w estetyce. Nazywa ją autor w uroczystych i patetycznych zdaniach „siłą boską“, „płomieniem, który goreje na ołtarzu bóstwa i oświeca wnętrze ducha ludzkiego.“

Po Solgerze wpłynął niepospolitą powagą swoją na kierunek badań estetycznych Hegel. Już wszyscy wymienieni po Kancie chylili się ku idealistycznemu pojmowaniu piękna; w encyklopedyi Hegla dosięga kierunek ten kulminacyjnego punktu. Pięknu przeznacza Hegel wysokie i zaszczytne miejsce: kładzie je obok religii i filozofii, jako sztukę, duch absolutny, realizujący się sam w sobie. Wyklucza ją ze sfery czystéj abstrakcyi, jako téż ze sfery czystego realizmu i umieszcza w sferze czystego ducha. Więc téż nie chce uznać istnienia piękna w naturze: za właściwe piękno uchodzi u niego tylko piękno artystyczne. Każda empirya stoi niżéj, nawet dobro wsuwa do niższéj „kategoryi.“ Wywody jego wysnuły się i rozwinęły z systemu Schellinga. Jak Schelling, uważa Hegel piękno, jako doskonałe zharmonizowanie pierwiastków realnych i idealnych. Różnice poczynają się stąd, że Schelling jeszcze niezupełnie wyklucza piękno ze sfery natury, jak to czyni Hegel. Rosną one, skoro się zwróci uwagę na stosunek piękna do religii i filozofii u obu. Schelling uważa artystyczne piękno za zupełne zlanie się kształtu i materyi, za coś, co się wznosi niezmiernie wysoko, ku bóstwu zbliża. Hegel natomiast umieszcza religią i filozofią wyżéj od artystycznego piękna. Sztuka—to nieskończone w śmiertelném, jeno w formie bezpośredniego zmysłowego poglądu; religia—w formie wyobrażenia, a filozofia w formie swobodnego myślenia (1). Hegel stworzył cały szereg naśladowców i uczniów tak dalece, że mu nie zbywa na zwolennikach nawet wobec dzisiejszego rozwoju estetyki niemieckiéj.

Taka była w grubych zarysach historya początkowego rozwoju estetyki idealistycznéj w Niemczech. Jako ojciec i właściwy

---

(1) Trafne zarzuty wywodom estetycznym Hegla czyni Adolf Zeising w cennėm swém dziele: Aesthetische Vorschungen. Frankfurt a/M. 1855.

twórca estetyki formalistycznéj ceni się dziś wielce Jan Frydr. Herbart (1).

System Herbarta kształtował się nie o wiele późniéj od kantowskiego, a obok idealistycznego. W 1798 roku pisze Herbart: „filozofia moja—albo cokolwiek wyjaśnię wyraz, by nie brzmiał tak szorstko—moje dążenie do prawdy, nie obcuje wyłącznie z ideałami, chciałoby ono przedewszystkiém wyrozumiéć i pojąć, a więc i ujrzéć, ale nie tylko ujrzéć, co jest człowiek, jak powstał i czém być może w przyszłości: ukrywa się w téj niejasnéj sferze abstrakcyi zbyt wiele niepewnego, aby nie szperać w doświadczeniu i nie żądać od dziejów potwierdzeń"...

A zatém analiza psychologiczna już u Herbarta stanowi ważny współczynnik krytyki estetycznéj. „W badaniu estetyczném—powiada on—zwykliśmy zaczynać od dzieł sztuki. Przedsiębrać takie badania—rzecz całkiem słuszna. Ale nie polegają one na rozstrzygnięciu takich pytań, jak—co jest zmysł, co fantazya, a jakie mają zadanie rozum albo uczucie przy odczuwaniu piękna; kto się jeszcze z tą bajką nosi, dla tego prawda pozostanie w ukryciu—za bajką. Musi on rozgatunkować szeregi wyobrażeń, które dzieło sztuki w sobie złączyło i albo je zosobna studyować albo téż ich związek tak długo, aż odszuka elementy piękna i warunki tegoż". Nie mogę naturalnie wdawać się w krytyczny rozbiór powyższego sądu; nadmienię tylko, że wadliwy w pierwszéj połowie, podaje on trafną wskazówkę w drugiéj i jest bezwarunkowo bliższym prawdy, niż spółczesne wędrówki idealistów w obłokach abstrakcyi. Od Herbarta i jego ucznia Roberta Zimmermanna pochodzi téż dokładny wywód, odrzucający prototyp piękna. Spekulatywna estetyka przyjmuje w sądzie estetycznym za podstawę jakąś ideę, jakiś absolut. Formalistyczna uznała odrazu niebyt takiego absolutu. Podstawą piękna jest subiektywne podobanie się. Stąd każde dzieło sztuki ma swe własne warunki piękna i niemasz szablonu estetycznego, któryby służył za miernik piękna wogóle.

Owocem tych ziarn zdrowych, rzuconych przez Herbarta były usiłowania pogodzenia formalizmu z estetyką treści.

Wyszczególnić potrzeba osobliwie trzy takie próby: Schoppenhauera, Lotzego i Köstlina.

Pierwszy nie ułożył jednolitego systemu; z mnóstwa atoli ustępów, jakie się w dziełach płodnego tego filozofa znajdują, zestawiano już jednolitą całość niejednokrotnie (2).

---

(1) Joh. Friedrich Herbarts Sämmtliche Werke. Leipzig 1882.

(2) Liczne ustępy znajdują się w główném dziele: Welt als Wille und Vorstellung nie mniéj w Parerga rozprawy: Zur Aesthetik der Dichtkunst, Ueber das innere Wesen

Nie podobna w pobieżnym zarysie wykazywać zależność systemu Schoppenhauera od poglądów Kanta i Fichtego. Nie mniéj przeto starał się on pozostać w zgodzie z psychologią, ujmował przedmiot trzeźwo i realistycznie, starannie zdawał sobie sprawę ze szczegółów, nie gubiąc się w spekulatywnych aberracyach, a do tego posługiwał się stylem jasnym i przystępnym.

Wychodził z tego zapatrywania, że filozofia i sztuki piękne mają to samo zadanie: dążą do wyjaśnienia istoty bytu. Obie rozwiązują je odpowiednio do swych środków: jedna daje rozwiązanie dla wyobraźni, druga dla rozumu.

Obok takich poglądów, którym nie brak i dzisiaj wyznawców, znajdują się u Schoppenhauera liczne inne, wątpliwéj wartości. Sądzi on np. że podczas chwili twórczéj—subiekt twórczy i obiekt zlewają się w jedno, coś w guście mistyki Hölderlina, który pragnie zlać się w jedno z bóstwem.

Uczucie wzniosłe przychodzi wówczas do świadomości, gdy subiekt świadomie a niespokojnie zwraca się od wrogiego z obiektem swym stosunku do swéj „woli" i pogrąża się w czyste poznawanie idei. Pomijam sprzeczność, w jaką filozof podpada z samym sobą i z własnymi twierdzeniami na innéin miejscu, a którą dokładnie wykazuje Gaudig. Natomiast zastanawia mię mętność, z jaką, przeważnie zresztą trzeźwy i jasny estetyk walczy, aby sobie wytłómaczyć proces twórczy. Ciekawém jest též określenie intuicyi i fantazyi u Schoppenhauera. Wedle Platona intuicya jest czémś w rodzaju jasnowidzenia, do którego subiekt dosięga, jeśli zapomina zupełnie o sobie i swéj cielesności, a pogrąża się całkowicie w obserwowanym obiekcie. Takież samo zdanie Schoppenhauera. Fantazya zaś jest to władza, która uzdalnia indywiduum, zamknięte u kresu przyczynowości, a więc nie wolne, do rozszerzenia swego poglądu za pośrednictwem materyału, danego mu przez doświadczenie, niedoskonałego jakościowo i ilościowo. Bez uzupełniającéj fantazyi byłoby poznanie geniusza ograniczone do wyobrażeń przedmiotów, postrzeganych zmysłów. Za jéj pomocą rozszerza on swój horyzont po za doświadczenie i buduje resztę. Zdawałoby się wedle tego, że fantazya jest władzą od doświadczenia absolutnie niezależną. Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest. Najbogatsza fantazya prowadzi do fantastyki, jeżeli nie opiera się na doświadczeniu i artysta, który zbogaca swój umysł przez podróże, historyczne badania, przyrodnicze doświadczenia itd. pozostaje o wiele wierniejszym naturze.

---

der Kunst, vom Genie. Dobre zestawienie i krytykę znajdzie czytelnik w pracy Gaudiga Hugona: Die Grundprincipien der Aesthetik Schoppenhauers. Halle 1883.

Widocznemi jest w powyższych rysach wahanie się między bogatym już materyałem estetyki idealistycznéj, a zdobyczami psychologii Herbarta; Schoppenhauer wnika już w specyalne kwestye twórczości, nie obawia się analizy psychologicznéj, rozbiera kształtowanie się idei twórczych w genialnych umysłach, określa fantazyą, ale pomimo tego lubuje się niekiedy w dyalektyce idealistycznéj.

Herman Lotze uchodzi w filozofii i estetyce niemieckiéj powszechnie za twórcę systemu, pośredniczącego między idealizmem a formalizmem, jest to przedstawiciel t. z. idealnego realizmu (1). Starał się on pogodzić formę z treścią, a czyni to z właściwą sobie zręcznością, bezstronnie, z głębokiém wniknięciem w istotę rzeczy i bez posługiwania się całą armią pięknych frazesów. Przeważa jednak u niego pierwiastek etyczny. Piękno uważa za formalny objaw dobra. Nie ma pięknych form, któreby wywoływały uczucie rozkoszy. Formy czynią to jedynie przez przypomnienie znajdującéj się w nich cennéj treści. A owe „wartości", zawarte w nich, to nic innego, jeno dobro, (*das Gute* albo *das Seinsollende*). Trzeba atoli pamiętać, że wartości te nie należą do istoty form. „Elementarne formy piękna są to analogie zwykłych objawów, które płyną z każdego dobra w celu zrealizowania tegoż; jeżeli w owych idealnych formach czynną jest wyobraźnia, to wówczas przenika nas rozkosz, bo ukazuje nam ona pozór sfery, w któréj wiekuiste prawa dobra stały się krwią i ciałem zjawisk, a ideał wyłania na jaw jako siła—grupy tych zjawisk". „Wrażenia nie oddziaływałyby na nas estetycznie, gdybyśmy nie tylko jàko myślące, ale oraz czujące umysły nie odczuli w stosunkach, od których wrażenia te odbieramy, wskazówki tego, co absolutnie wartościowe". Wypływa stąd, że najważniejszym składnikiem wrażeń estetycznych jest dobro, w czém się Lotze przechyla do poglądów estetyków idealistycznych. A estetyka ma za zadanie wykazać na poszczególnych objawach właśnie ów stosunek form do absolutnego dobra. Z wymienionego rysu zasadniczego płyną poglądy tego filozofa na specyalne estetyczne kwestye.

Fantazya jest władzą wyższą, niż imaginacya. Ta pośredniczy między świadomością naszą a różnego rodzaju stosunkami, formami, objawami; fantazya zaś uczuwa w tychże wartość absolutną, ja-

(1) Główne dzieło Lotzego jest Geschichte der Aesthetik in Deutschland. München 1868. Nadto wydano ostatniemi czasy dziełko: Grundzüge der Aesthetik v. H. Lotze. Leipzig 1884. Odnosi się tu także wiele ustępów w Mikrokosmos i parę drobnych rozprawek z zakresu estetyki, jak np. Ueber den Begriff der Schönheit. Gótting. 1845, Ueber Bedingungen der Künstschönheit. Göttingen. 1847 i in.

ką one mogą mieć dla duszy ludzkiéj. Objawia się ona nie tylko, jako działalność, odkrywająca w świecie form ich wartość, ale owszem jako działalność twórcza, która wewnętrzny świat wartości przemienia w świat kształtów.

Aby dzieło sztuki wywarło wrażenie musi odpowiadać następującym warunkom:

1º Powinno zadowalać zmysły. Stąd wypływa mało jeszcze zbadany szereg warunków fizyologicznych piękna, które to warunki nie tylko dotyczą harmonii zmysłowych wrażeń (barwy, dźwięki), ale oraz bezwiednie panują w symbolice (1).

2º Musi odpowiadać prawom, rządzącym przebiegiem naszych wyobrażeń, uczuć, dążeń. Są one wszędzie jednakie bez względu na swą treść i wartość. Stąd płyną psychologiczne warunki piękna.

3º Musi czynić zadość pełnemu treści duchowi naszemu, który wytworzył sobie stałe pojęcie o zawartości, związku i cenie świata.

W tém określeniu czyni Lotze wrażenie, jakie na nas dzieło sztuki wywiera, zależném nie tylko od niego samego, ale oraz od fizyologicznych i psychologicznych warunków naszego ustroju, od całego świata naszéj duszy, skąd oczywiście jasno wynika, że sąd estetyczny musi być subiektywny. W ten sposób wiążą się poglądy Lotzego, w których przed chwilą ukazywałem przewagę pojęć estetyki treści—także z estetyką formalistów, a zarazem uwzględniają potrzebę warunków fizyologii i psychologii.

Posuwa się on jednak za daleko, gdy nawet rodzajom dzieł sztuki przepisuje prawidła i oznacza mniejsze zakresy piękna. Dzieli ogólną estetykę—na estetykę muzyki, architektury, plastyki, malarstwa i poezyi. Każdy z powyższych gatunków posiada wiązkę przepisów i prawideł. Nie będę się zastanawiał nad tym kodeksem estetycznym i wykazywał, jak wiele przestępstw możnaby wymienić w licznych dziełach artyzmu dzisiejszego, gdyby się je chciało oceniać wedle paragrafów tego kodeksu.

Pomimo tego, że w szczegółach nie zadowala, jest autor w analizie kwestyi ogólnych przeważnie trafnym i dla nowożytnego estetyka stanowi nie lada-jakie źródło. Trzeci z eklektyków Karol Köstlin (2) nazywa swoję metodę „realistyczno-psychologiczną“. Rea-

---

(1) Wyjaśnianie znaczenia symboliki w estetyce niemieckiéj, jakkolwiek jest ona ważną i powtarza się od czasu Herdera, nie leży wszelako w zakresie niniejszéj pracy i wymagałoby dłuższego epizodu. Ciekawego czytelnika odsyłam więc do wydanéj przed dziesięciu laty pracy: Des Symbolbegriff in der neuesten Aesthetik v. D-r Johannes Volkelt Privatdocent in Jena. Jena 1876.

(2) Główne jego dzieło: Aesthetik v. D-r Karl Köstlin, o. ö. Professor der Aesthetik u. Kunstgeschichte an der Universität Tübingen 1869. Olbrzymi tom str. 1031—XXVII.

listyczną ma ona być w przeciwstawieniu do idealistycznéj. Jest to więc formalizm, odziedziczony po Herbarcie; formę uważa się tu jako obiektywną podstawę wszelkiéj działalności estetycznéj. Psychologiczną zaś metoda owa ma być dlatego, że za cel obiera sobie psychologiczne umotywowanie bytu, działań i uczuć estetycznych, którym za podstawę świat form służy. Tak wyjaśnić się da zależność eklektyzmu Köstlina zarówno od teoryi Kanta i Schillera, jako téż od Herbarta i szkoły tegoż.

Wychodzi on z tezy, że treść uczuć estetycznych polega na działalności fantazyi. Rozróżnia dziedzinę teoryi i praktyki, dziedzinę rzeczywistego życia od estetycznego, które odznacza się tém, iż jest zupełnie swobodne i niezależne, że rozwija się i działa tylko w zakresie tego, co „interesujące“, ale że wszystko, co interesuje, wciąga w swój zakres. Niezależną jest produkcya artystyczna, bo sama jest celem dla siebie, podczas gdy objawy w świecie realnym mają pewne określone cele i przeznaczenia. Jest to zapatrywanie Kanta. Pogląd to zresztą niedokładny, bo, jak już Neudecker (1) wykazuje, istnieją po za światem fantazyi obszary myślenia, o którychby można twierdzić, że są także sobie celem. W bliższém określeniu twierdzenia, że produkcya artystyczna trudni się tém, co interesujące, podaje Köstlin jego obszar. Estetycznie zajmującém można nazwać tylko to, co jest zajmującém dla człowieka. A więc artystyczna produkcya musi zawierać w sobie interes dla człowieka, ten zaś spoczywa tak w treści, jak w formie, przeważnie jednak w formie. „Piękno—jestto bezwarunkowo zadawalniająca forma“. W ten sposób spokrewnia się autor z formalistami. Jednėm z głównych zdań swych: „piękno jest wszędzie i zawsze jednakowe“, cofa się wstecz do estetyki idealistycznéj; treść estetyczna może być zmienną; materyał piękna i wartość jego ulegają zmianom: ideał piękna—zdaniem Köstlina—jest jeden i wieczny.

Charakterystycznym rysem estetyki tego autora jest, że wciąga w jéj zakres ogromną moc, materyału, który z estetycznėm pięknem i artystyczną produkcyą może mieć związek tylko przypadkowy. Niktby się nie domyślił, że w estetyce Köstlina odgrywają drobną swą rolę także infuzorye, polipy, mięczaki, skorupiaki, amfibie itd. Jestto istna encyklopedya wszechświata i wszechbytu.

Takie są zarysy drogi, jaką przebyła estetyka niemiecka, nim znalazła kierunek, w którym dziś podąża. Trzeba z góry zaznaczyć,

---

Nadto: 1. Ueber das optische Formgefühl. Ein Beitrag zur Aesthetik. Leipzig. 1873; 2. Der aesthetische Akt und die reine Form („Die Litteratur“ 1874 nro 29, 30).

(1) Studien zur Geschichte der deutschen Aesthetik seit Kant, Würzburg 1878, str. 61—62.

że nie jest on ani innym, ani nawet zbyt odmiennym. Ktokolwiek zajmuje się dzisiejszą estetyką niemiecką, a zna poprzednie w tym zakresie prace, ten co krok spotyka się ze zdaniami, czerpanemi wprost ze starych mistrzów. Pokolenie młodych estetyków, jakkolwiek usuwa liczne maksymy, stanowczo i powszechnie uznane za archaizmy, to jednak nie posiada jeszcze tyle odwagi cywilnéj, a może nie znajduje w postępie nauk pomocniczych tyle poparcia, aby mogło rzucić się zuchwale na ten Olimp dawnéj filozofii niemieckiéj. Dziś już eklektyzm nie popłaca; formalizm w tym kształcie, co u Herbarta, zaginął. Istnieją atoli pośród estetyków niemieckich epigonowie w prostéj linii Hegla, a obok nich występują z pewną nieśmiałością przeważnie młodzi badacze, biorący za podstawę krytyki estetycznéj—psychologią. Ci nie tworzą estetycznych systemów nakształt filozoficznych, nie usiłują już analizować piękna we wszelakich stanach, zakresach i postaciach jego, nie mieszają z estetyką historyi literatury, a tém bardziéj dziejów fantazyi i wogóle cywilizacyi świata. Nie mają oni estetyki za zbiór prawideł, szematycznie ułożonych, którym powinno odpowiadać pewne dzieło, jeśli pragnie otrzymać stopień dzieła sztuki. Ograniczają się na analizie psychologicznéj tych czynników umysłowości ludzkiéj, które wywołują artystyczną produkcyą i towarzyszą jéj. Przyczyny takowéj, zmiany funkcyi organicznych odbywające się podczas niéj w umyśle, a oraz sposoby oddziaływania dzieł sztuki na przeciętny organizm ludzki—oto zadanie, którego rozbiorem zatrudnia się dziś przeważna ilość estetyków niemieckich.

Sprawozdanie z wybitnych dzieł, wydanych ostatniemi czasy w jednym i drugim kierunku, wykaże znamiona i różnice obu.

Powiedziałem, że istnieją dotąd coraz mniéj liczne jednostki, hołdujące idealistycznéj estetyce Hegla. Są to zaiste ostatni z Mohikanów. Ponieważ atoli zajmują w hierarchii naukowéj nader wybitne i wpływowe stanowiska, głos ich nie pozostaje bez echa. Najznaczniejszym z nich jest niewątpliwie Maurycy Carrière, sędziwy profesor estetyki w uniwersytecie monachijskim i znany powszechnie autor cennego dzieła: Sztuka i literatura w związku z rozwojem cywilizacyi 19 wieku. Wychowaniec filozofii Hegla, zachował w zasadach tradycye nauki tegoż. Tkwi w niéj jednak dążność do podkładania spekulacyi psychologicznéj pod wywody tak, jak to czynił Schiller. Carrière traktuje więc swój przedmiot w istocie nie psychologicznie, bez naukowéj ścisłości, jaką już postęp w rozbiorze kwestyi psychologicznych umożliwił. Możnaby to nazwać „etycznèm“ traktowaniem przedmiotu. Jak Köstlin, łączy z estetyką historyę cywilizacyi, a specyalnie porównawczą hi-

storyę literatury i sztuki (1). Ta ostatnia jest wedle Carrièr'a skrystalizowaniem życia: tu i tam elementa téż same, ale to, co w przyrodzie i dziejach mętnie się wikła, to w sztuce czysto się wznosi, jasno i wyraziście zarysowywa się dla oka. Wrażenie estetyczne polega na tém, że piękno działa za pośrednictwem swéj formy, za pomocą miary i symetryi, które wyobrażają ład w rozmaitości. Forma jednak, tak jak i treść nie istnieją każda sama dla siebie: jedna warunkuje drugą. Skończone piękno jest to zgoda harmonijna kontrastów, zlanie się formy i treści. W taki sposób dogmatyczny i powierzchowny wyjaśnia tajemnice twórczości. Cały proces takowéj, odbywający się w duszy artysty, zbadany niedokładnie; oddziaływanie produkcyi artystycznéj na nas przedstawione pobieżnie. Tu i owdzie spotkać się można z trafnym wywodem, co bywa atoli nie często. Fantazya—powiada Carrière—jest to siła obrazująca. Potrzebuje ona podniety zzewnątrz. W tenże sposób odbywa się i wzbogacenie fantazyi. Objętość i głąb' doświadczenia artysty (2) dają ton i miarę jego kreacyom. Z głębi doświadczenia tego płyną niby ze źródła wspomnienia, uczucia i cała, nie dająca się ocenić gra wyobrażeń, asocyacyi, reprodukcyi i apercepcyi, a wszystko to splata się w obraz idealny. Nawet dla samego artysty bywa do pewnego stopnia tajemniczą działalność tego ożywienia. Czynniki świadome i nieświadome łączą się w tym procesie tak, że rozróżnić ich niepodobna.

Nie będę powtarzał poglądów Carrièr'a na inne ogólne kwestye estetyczne, bo nie zbaczają one od systemu estetyki idealistycznéj. Natomiast dokładniéj zajmę się estetyką poezyi, bo to wykaże, jak Carrière pojmuje zadanie i cel estetyki, a oraz jaką metodą posługuje się przy rozbiorze kwestyi estetycznych.

W jednym ze wstępnych rozdziałów swego dzieła o poezyi wykreśla autor granice poezyi i prozy, sztuki i umiejętności. Sztuka mieści w sobie pierwiastek indywidualny i jest przedstawicielką tegoż; uzmysławia oderwane pojęcia za pomocą obrazów. Umiejętność z ogółu zjawisk wysnuwa pojęcia, tłómaczy istotę czasu i rozwój społeczeństw, rozkłada zjawiska na części, uważa sprawy, ich przyczyny i skutki, z mnóstwa przesłanek tworzy pojęcia ogólne. Pomimo tego, że podano formę, jako główną znamienną różnicę poezyi i prozy, zaznacza Carrière dość wybitnie idealistyczne swe

(1) W dwóch głównych dziełach zamyka się system Carrière'a. Pierwsze, dawniéj wydane, nosi tytuł Die Aesthetik., drugie zaś: Die Poesie. Ihr Wesen und Ihre Formen mit Grundzügen der vergleichenden Litteraturgeschichte v. Moritz Carrière. Leipzig 1884.

(2) Aesthetik I. str. 386.

upodobania, podnosząc wielce znaczenie treści. W poezyi—powiada (str. 76)—panuje i wznosi się ponad wszystko myśl: ją to powinna mieć poezya za cel bezpośredni. Poeta nastraja fantazyą czytelnika, aby odtwarzała też same kształty, które on wytwarza; ale oraz zmusza ją do tego, by mając jeden rys urabiała całą postać, zmusza ją do samodzielnéj twórczości. Tak Homer nigdy nie opisuje wdzięków Wenery, jeno jednym śmiałym rysem określa jéj postać, zniewalając nas w ten sposób do indywidualnéj twórczéj działalności.

Widzimy, że autor nie sięga w głąb wytwórczéj fantazyi, nie szuka w niéj mimowolnego procesu, który sprawia owo przerywanie wyobrażeń i powoduje zatratę pospolitych a plastyczną wypukłość znamiennych rysów. Autor opisuje tylko zewnętrznie sam objaw i wpływ jego na nas.

Dłużéj zastanawia się nad znaczeniem „mytu“ dla artysty. Włącza do tego całą przeszłość artysty, wpływy wykształcenia na jego umysł. Mniejsza o to: czy wpływy otoczenia i zależność twórczości poetyckiéj od wypadków i wrażeń minionego życia artysty nazwiemy „mytem“ lub inaczéj; to rzeczy nie zmienia i słuszności kwestyi nie nadwéręża. Ciekawszém byłoby wyjaśnienie samego procesu, owego przerabiania masy nabytych i niekształtnych wrażeń, wyobrażeń i pojęć w obrazy, tchnące życiem i barwnością. Carrière nie tyka tego przedmiotu. Nazywa poprostu twórczą siłę „darem nieba“ (*das Göttliche*). Nie badając wcale istoty obrazowania, wylicza gatunki jego, osobliwie obszerniéj zajmuje się personifikacyą, kreśli np. szczegółowo i historycznie wędrówkę rozmaitych mytów i wyobrażeń o bóstwie.

Najobszerniejszą częścią dzieła są prawa, nakreślone przez Carrièr'a dla różnych rodzajów poezyi. Sam poeta—wyłożył teoryą poezyi, zbiór praw i przepisów, mających służyć poecie za drogowskazy w trudnéj wędrówce. Dzieli poezyą wedle dawnego zwyczaju na epiczną, liryczną i dramatyczną. Poeta epiczny nie zajmuje się wnętrzem duszy ludzkiéj, jako takiéj, jeno przedstawia świat i życie, w którém się dusza ludzka obraca, maluje naturę w jéj istotnych barwach, nie zaś, jak się odzwierciedla w duszy ludzkiéj w chwilach pewnego nastroju, rozwija myśli, jako idee, powszechnie przyjęte. Wszędzie tu występuje życie samodzielne, swobodne, w swéj nierozerwalnéj jednolitości, w swéj harmonii. Poeta sam znika po za dziełem. Każdy poeta czerpie treść do swych kreacyi bodaj w drobnéj cząstce z teraźniejszości, w któréj żyje. Ale liryk żyje uczuciem danéj chwili i idzie za jego głosem, dramaturg zwraca się do tego w przyszłości, co jako skutek z obrotu spraw się wysnuje; epik zaś spogląda w przeszłość, w życie już skończone, zwarte

w sobie i tworzące całość. Poezya epiczna celować powinna plastyką, kompozycya ma być jednolitą, jak ogniwa spojone w łańcuchu, bez skoków i luk, abyśmy krok za krokiem, od faktu do faktu dążyli ku końcowi, aby czas i przestrzeń były odpowiednio zmierzone i wypełnione. Jedna główna nić wiąże całość, zdarzenia się ze sobą łączą, myśli idą logicznie i składnie. Wszystko to są, jak widzimy, mniéj lub więcéj uzasadnione osobiste życzenia estetyka, i gdyby np. dzieło epiczne nie posiadało wyżéj wymaganych przymiotów, toby jeszcze nie można było żadną miarą orzekać, iż jest złém bezwarunkowo. Że powyższy statut epicznéj poezyi nie ma rzeczywistego uzasadnienia, świadczy fakt, iż możnaby go zastosować do wszelkiego innego rodzaju poezyi, co więcéj—wiele prac prozaicznych chlubi się wymienionemi zaletami (1). Podobny szereg prawideł towarzyszyć winien dwóm innym gatunkom poezyi—lirycznéj i dramatycznéj. W liryce poeta opowiada subiektywnie własne uczucia; liryk wstępuje w środek swych pomysłów; uczucie jego ogarnia świat cały, a on je okazuje w źwierciedle własnego umysłu. Ale nie tylko siły uczucia potrzeba lirycznemu poecie; jego umysł ma być tak wrażliwy i czuły, że mu powinno starczyć niby harfie Eolowéj najlżejszego potrącenia, aby do życia obudziły się miękkie dźwięki. To co innych zaledwie wzrusza, musi liryka pobudzać (str. 369). Ból życia, o którym tak często prawią wielcy lirycy, staje się w wyobrażeniu następców frazesem, podczas gdy u owych był on pełną łez prawdą. Jakkolwiek poeta w liryce sam jest punktem środkowym, to przecież zakres liryki rozszerza się wszędy, aż do wieczności. Przyroda i problemata obyczajowe, losy narodów, ich wznoszenie się i upadek tak samo znajdują właściwe oddźwięki w umyśle, jak i wypadki z życia jednostek. Dramat polega na połączeniu liryki i epiki: historycznie wziąwszy wtedy się dopiero rozwija, gdy owe już rozkwitły. Bohater epopei bywa przedstawicielem społeczeństwa; cel jego ma być celem powszechnym, do którego dążą wszyscy.

Bohater dramatu pragnie przedewszystkiém zrealizowania własnych planów i obiera pewien cel, jako swój własny, odłącza się od otoczenia i skutkiem tego wywołuje konflikt. W konflikcie wewnętrznym spostrzegamy istotę dramatu. Walka przenosi się z ze-

---

(1) W przykładach poezyi epicznéj, wziętych porównawczo z literatury europejskiéj, znajduje się wzmianka i o polskiéj epice (str. 307). O znajomości polskiéj literatury świadczy sąd autora o panu Tadeuszu. „Wpływ Don-Juana Byrona spostrzegamy—pisze Carrière—także w przygodach miłosnych Pana Tadeusza u Mickiewicza, a szczery humor znamionuje opisy krajobrazów i charakterystykę osób“.

wnątrz do duszy bohatera. Idealizm fantazyi i uczucia, realizm świata, miłość, heroiczna siła woli—oto właściwości dramatycznych charakterów. Zwykle prawdziwy i dobry dramaturg tak potrafi nastroić czytelnika, że każdy charakter bohatera wydaje się dodatnim i budzi sympatyą. W jakiémś zdarzeniu lub charakterze uderza poetę treść o znaczeniu ogólno-ludzkiém. Skupia więc oba pierwiastki: albo charakter przedstawia tak, że sprawa układa się wedle jego myśli, albo też fabułę tak przekształca, jak tego wymaga charakter. To wniknięcie w oba momenta jest pierwszém dziełem dramaturga. Konstrukcya dzieła może być także dwojaka: albo bohater zjawia się jeszcze w całéj dziewiczéj sile swéj natury i ogarnia go jakoweś potężne uczucie, lub téż wrogie żywioły rozpoczynają walkę, trują spokój bohatera i wciągają go również w wir boju. Dramat wymaga nieprzerwanego połączenia przyczynowego. Im poeta trafniéj zdoła motywa kolizyi i akcyi wyszukać w stosunkach ogólno-ludzkich, tém chwalebniéj zasłuży się u wieczności. Co się opiera na zmiennych sprawach świata, traci siłę swą i znaczenie. Bezpośrednie wrażenie dramatu osłabić się też musi, jeśli treść tegoż dla nas jest tak obcą, iż musimy dla zrozumienia odpowiednio zaznajamiać się ze stosunkami. Najlepszéj i najciekawszéj treści dostarczają więc dzieje i życie własnego społeczeństwa (1). Carrière żąda w dramacie jedności akcyi, zaznacza jako dobrą i potrzebną jedność miejsca i czasu. Omawia dokładnie i szczegółowo układ. Początek stanowi ekspozycya charakterów i stosunków, węzeł kolizyi. Przytém jednak nie może poeta używać wcale długich opisów. Od ekspozycyi dąży poemat do punktu kulminacyjnego i pochyla się ku katastrofie. W ciągu akcyi atoli nie powinien poeta zapominać o chwilach wytchnienia. Musi istniéć też kryzys i katastrofa, w przeciwnym bowiem razie popełnia poeta błąd w dramacie. Estetyk otacza swą opieką nawet styl dramatyczny. Musi on być realniejszy, musi na każdy odcień uczucia miéć odpowiedni wyraz, a nadto zachować rozmaitość. Zwykła mowa—to zdawkowa moneta, z rąk do rąk krążąca. Oznacza ona wyobrażenia i myśli, które należą do wszystkich; poeta patrzy w głąb' serca, czerpie stamtąd złoto i srebro uczuć, tworzy zmysłowe wyrazy na oddanie wrażeń, jakie sam żywi i usiłuje innym przyswoić. U dramatycznego poety znajdujemy dźwięki gniewu i miłości, odwagi i bólu, niby

---

(1) Zdanie to, jak na Niemca, dość śmiałe, choć wcale nie nowe. Wszakże Schiller, największy dramatyczny poeta niemiecki, obierał do utworów swych dzieje Anglii (Marya Stuart), Francyi (Dziewica Orleańska), Hiszpanii (Don Carlos), Włoch (Narzeczona z Messyny), Szwajcaryi (Wilhelm Tell), Rosyi (Demetrios).

odgłosy przyrody. Wyszuka on zawsze właściwy wyraz i ożywia uczucie estetyczne, które działało niegdyś, pierwotnie, podczas tworzenia się dźwięków mowy; pierwiastek plastyczny i muzykalny poezyi stają na jego usługi. Język tchnie silną wolą i porywa do czynu. Nie masz tu ani szerokości eposu, ani śpiewności liryki; ale czuć się daje dążenie ku jednemu celowi, a tu i owdzie cała skoncentrowana siła indywidualizmu w pojedyńczych namiętnych dźwiękach przerywa mowę. Tak poetycznie przemawia ów estetyk, nie darmo przez Niemców nazwany „*geistreich*.“ Jeszcze więcéj fantazyi, a jeszcze mniéj ścisłéj analizy spostrzega się w przedstawieniu prawideł dla specyalnych gatunków dramatu, mianowicie tragedyi, komedyi i dramatu właściwego. Tragedya zajmuje się poważną stroną życia, opiewa zwycięstwo boskiéj woli albo konieczności nad wszelkiemi błędami świata, święci tryumf dobrego po upadku złego. Walka wolności z koniecznością, z jakiémś *fatum*, ciążącém nad sprawami ludzkiemi, prawo świata, położenie faktyczne rzeczy, siła stosunków, przeszłość wyciągająca szpony swe ku przyszłości, zwłaszcza zaś indywidualna natura ludzka: wszystko to stanąć może w drodze bohatera, który niezmordowanie dąży ku wytkniętemu celowi. Staje on do walki i w ten sposób wypełnia los swój. Wina i przebaczenie okazują się często ważnemi chwilami tragedyi, ale nie stanowią wyłącznego węzła i rozwiązania. W komedyi staje się konieczność owém utajoném bóstwem, które pozornie folguje kaprysom, ba, udziela im chwilowego zwycięstwa nad ideą. Wolne od praw i ich powagi zamienia się życie w igraszkę, wszelakoż nawet igraszka nie powinna być zupełnie pozbawioną reguł i prawideł. Panuje tu boska miłość. Nie może ona wprawdzie odrazu podołać nieprawości, ale skupia osoby, którym się takowa za wadę uważa: ich próżne plany zostają zniweczone. Kaprys przeciwstawia się kaprysowi, przypadek walczy z przypadkiem: tak wzajemnie się paraliżują i z tych coraz gęściéj splątanych niedorzeczności wypływa ludzka natura, jako rozsądna, pełna wrodzonéj szlachetności, wyłania się prawidłowy bieg rzeczy; a gdy w końcu wszystko szczęśliwy bierze obrót, poznajemy kierującą rękę opatrzności. Śmierci tragicznéj przeciwstawia się w komedyi, jako punkt końcowy, wesele, które nie tylko symbolizuje życie, ale zaznacza niejako nadzieję nowego życia....

Dotarliśmy wreszcie do kresu w tym potężnym lesie pięknych frazesów. Zdaje się, że fantazya, którą obdarzony sowicie autor, szkodzi mu. Nie jest-to jednak owa fantazya twórcza, łamiąca stare bóstwa, a ścieląca sobie przemocą nowe tory. Zbiera ona rozsypane i przywiędłe już kwiatki i gromadzi je w bukiet bez woni....

Nadaremnie usiłuje estetyk skupić setki reguł, ujmujących twórczość w ścisłe karby przyzwoitości i szablonu. Z artystyczną twórczością to tak, jak z dzieckiem. Włóż mu czyste, świeżo odkrochmalone sukienki; przez chwilę będzie sztywnie i trochę bojaźliwie usiłowało zachować całą ich nieskazitelną przyzwoitość; wnet jednak natura weźmie górę—i patrz: dziecię z wesołą wrzawą biegnie, nie bacząc na mnące się i łamiące składki i fałdy krępującego je stroju. Bardzo trafnie Schoppenhauer upatruje analogią między dzieckiem a człowiekiem genialnym. Carrière popełnia kapitalny błąd przez to, że żąda od twórczości bezwarunkowego posłuszeństwa przepisom.

Takie jest *credo* estetyków, rozsnuwających w dalszym ciągu systemat Hegla. Istnieją atoli w Niemczech poważni i uczeni badacze, usiłujący oprzéć swe studya na gruncie psychologicznym i zużytkować w estetyce rezultaty nauk przyrodniczych. W pierwszym ich rzędzie należy wymienić d-ra Hermana Siebecka, b. profesora w uniwersytecie bazylejskim (1). Młody ten uczony napisał swe dzieło na podstawie studyów psychologicznych. Nie pragnie on brnąć w lesie metafizyki estetycznéj — pozostawia to innym; obiera sobie za cel: podać przyczynki do filozofii fantazyi. Główny punkt rozprawy tworzy nauka o apercepcyi w tym kształcie, jak jéj fundamenta rzucił Herbart, a daléj rozwinął Steinthal. Siebeck samodzielnych badań nie czyni; opiera się zawsze na tém, co w danéj sferze zrobili poprzednicy. Nauka o apercepcyi Herbarta — to główne źródło; studya Kanta w bardzo wielu szczegółowych kwestyach, a tu i owdzie zapatrywania Vischera, Lotzego, Zeisinga wskazują mu nieomylną, zdaniem jego, drogę, którą iść ma postępowa estetyka. Zgadza się w gruncie z tymi, którzy piękno uważają za harmonijne zlanie się pierwiastku idealnego z realnym. Różnica atoli jego poglądu polega na tém, że dla niego stosunek tych dwóch pierwiastków piękna jest rodzajem subiektywnéj, jakkolwiek powszechnéj i koniecznéj iluzyi, podczas gdy u estetyków treści był on rzeczywistym. Jakieś arcydzieło, posąg, obraz, poemat staje się pięknėm we właściwém znaczeniu dopiéro dla oka, oświeconego działaniem fantazyi. Siebeck naturalnie pomija mnóstwo kwestyi, w którychby miał sposobność popisać się piękną frazeologią. Specyalnie zatrudnia go geneza wyobrażeń estetycznych w umyśle ludzkim, analiza podobania się estetycznego, fantazya

---

(1) Das Wesen der ästhetischen Auschanung. Psychologische Untersuchungen zur Theorie des Schönen und der Kunst v. Dr. H. S. Prof. d. phil. au der Un. Basel. Berlin 1875. Obecnie jest on profesorem w Giessen.

i idealizowanie; poświęca całe rozdziały rozpatrzeniu istotnych znamion piękna i modyfikacyom tegoż.

Piękno przedewszystkiém wypływa — z „podobania się." To zaś bywa rozmaite: inaczéj podoba mu się jakaś potrawa, inaczéj dźwięki instrumentu, inaczéj spełnienie jakiego życzenia lub nadziei. Polega ono na zachowaniu się obiektu względem subiektu, boć subiekt pozostaje ten sam, zmieniają się zaś ciągle obiekty. W obiekcie rozróżniamy materyą i formę. Podobanie się zatém może być zawisłe: 1) tylko od materyi przedmiotu, 2) tylko od formy, 3) od obu razem. To ostatnie zaś bywa: *a)* celowe—stosunek materyi i formy jest tu nader ścisły; *b)* estetyczne — tu ścisłego takiego związku między formą i treścią nie masz, istnieje jednak pewna wzajemna zawisłość obu. Przy estetyczném podobaniu się materya *(der Stoff)* jest właściwie do pewnego stopnia obojętnym tragarzem *(der Träger)* formy. Roróżniamy wprawdzie formę, która się wiąże koniecznie z taką a nie inną treścią, ale tak, że treść może być uważana za zmysłowe oparcie formy, a obok niéj wiedzie żywot sobie właściwy i niezależny. Jeżeli jakiś przedmiot podoba się, jako piękny, dzieje się to za pomocą dodatku *(Zusatz)* ze strony subiektu, który jakieś właściwości przedmiotu uwydatnia. Mówimy np.: ten ptak jest piękny, posiada zielone ze złotym połyskiem pióra i t. d. Wogóle estetyczne wyobrażenie bywa tylko opisem, zrobionym wedle spostrzeżeń człowieka. W zoologii wystarczy słowo „pstry" lub „jaskrawy", a wówczas właściwość estetyczna zniknie. I odwrotnie, skoro zastosujemy do określenia przedmiotu ów dodatek, wówczas znika to, co stanowi istotę przedmiotu. Drzewo np. jest czémś zupełnie innem dla malarza niż dla ogrodnika. Stąd więc wypływa, że właściwość, na podstawie któréj nazywamy przedmiot jakiś pięknym lub brzydkim, nie leży w nim samym, jeno musi być koniecznie „wynalezioną" *(gefunden)*. A zatém dana wraz z obiektywną istotą zewnętrzna forma przedmiotu powinna być tak uorganizowana, iżby powodowała subiekt do takiego określenia formy, w którémby znajdował się właśnie ów niezbędny do estetycznego obrazu dodatek. Ujęcie przedmiotu polega w tym wypadku na iluzyi artystycznéj, skutkiem któréj naturalne właściwości przedmiotu tracą się. Co dla naturalnego układu jest podrzędne, to staje się w wyobrażeniu estetyczném często główném: struktura wewnętrzna np. ustępuje wobec mniéj lub więcéj przypadkowych linij powierzchni.

Formy organiczne dane są nam wraz z materyą; nie jest w naszéj mocy opuścić je dowolnie lub odmienić; nie mogę tego, co posiada kąty, uważać za okrągłe, tego, co rozdzielone—za spojone.

Formy estetyczne zaś nie są niezbędnie połączone z zewnętrznym opisem przedmiotu. Forma estetyczna jest nadwyżką *(Ueberschuss)* w stosunku do form empirycznych: w naturze przedmiotu nie jest ona istotną. To téż umysł, ujmując estetycznie przedmioty, igra sobie z nimi; chodzi mu nie o poznanie przedmiotów, ale o własne zadowolenie wobec ucisku pozytywnego bytu.

Pogląd estetyczny uwzględnia przedewszystkiém celowość w stosunkach powierzchni, a zawartość przedmiotu nie wchodzi tu w rachubę. Treść poglądu tworzy się z obrazu formy przedmiotu. Ale w poglądzie estetycznym części są w takim związku z sobą, iż nie możemy żadnéj z nich usunąć, ani odmienić bez uszkodzenia całości estetycznéj. Następnie autor objaśnia mechanizm asocyacyi, reprodukcyi i apercepcyi wyobrażeń. W badaniu tém, opierającém się zresztą na wynikach najnowszych badań psychologicznych, nie widzę nic wielce ciekawego do powtórzenia. Można je znaleść w pierwszym lepszym podręczniku psychologii empirycznéj.

Interesującym jest rozdział o fantazyi i idealizowaniu. Umysł z jednéj strony w zmysłowości widzi tylko zmysłowość, t. j. kształtuje formy organiczne tak, jak mu się one przedstawiają, bez zmiany. I w tym procesie istota duszy stanowi rzeczywisty współczynnik, ale pobudka leży we wrażeniu zewnętrzném, t. z. duch tworzy treść jakąś na podstawie czegoś danego; z drugiéj zaś strony wkłada on indywidualność swą w przedmioty, mianowicie spostrzega tylko treść ożywioną. I w tym wypadku proces musi polegać na czémś „danem", duch nie produkuje z niczego; ale właściwy sposób przerobienia obiektywnie danego zjawiska, w którém to przekształceniu sumę danych z zewnątrz właściwości skupia w duchową treść — to już wyłączne i własne dzieło ducha. Czynnym więc jest umysł w obu razach i w obu téż bywa natchniony przez świat zewnętrzny. Ale zasada wzajemnego działania między obiektem a subiektem spoczywa w razie empirycznego spostrzegania w owém „danem", w drugim zaś razie—w istocie ducha. Tak tedy duch objawia się raz jako recyptywny, drugi zaś—jako produktywny. A zatém—ta duchowa czynność, która za treść swą ma produktywny stosunek ducha do materyi, nazywa się fantazyą. Psychologia określa fantazyą, jako stan duchowy, który igra z danymi stosunkami i formami; modyfikuje zdobytą treść wyobrażeń tak, że tworzy z istniejących grup—nowe; jakkolwiek czerpie je z danego zasobu myśli, to jednakże zbaczają one od realnych stosunków, a nawet mogą się składać z obrazów, które w rzeczywistości nie istnieją. Podstawą zaś do tego jest psychologiczny mechanizm téj gry. Wyobrażenia, które stały się nieświadomemi, reprodukowane

i wprowadzone bywają w nowe asocyacye nie koniecznie wedle związku i porządku, jaki miały pierwotnie, lecz także wedle przypadkowych punktów łącznych, podobnych treści, wspólności poszczególnych znamion, kontrastów i t. d.

Ale powyżéj opisany mętny przebieg reprodukowanych wyobrażeń, bez oznaczonych dróg i celów — to jeszcze nie jest właściwa działalność fantazyi artystycznéj. Wszak istnieje fantazya dziecka, młodzieńca, kobiety; nawet skutkiem długoletniego zajęcia w pewnym zawodzie urabia się w odpowiedni sposób fantazya. Poetycka — jest tylko jednym z rodzajów. Fantazya artystyczna tworzy estetyczne kompleksa wyobrażeń (str. 99).

Daléj autor radzić już sobie nie umié. Porzuca zatém metodę psychologiczną i posługuje się frazeologią estetyków idealistycznych. Produkcya artystyczna — powiada (str. 102) — powinna być zawsze udoskonaleniem danego przez doświadczenie materyału. To początek idealizowania. Odbywa się ono za pomocą intuicyi duchowéj, w któréj obiektowi nadaje się kształt pierwowzoru, ideału jego. Ideał zaś jest-to wiekuisty i doskonały wzór obiektu. Powstaje naturalnie pytanie, cóż właściwie jest intuicya, gdzie bierze początek i w jaki sposób działa? Autor kwestyą tę pomija zupełnie.

Podobnie téż rozbiera i określa istotne znamiona piękna tak samo, jak to uczynili poprzednicy—Köstlin i Carrière. Piękno, wedle Siebecka — jak wedle poprzedników — ma zadość czynić szeregowi przepisów, ma posiadać wymienione przezeń przymioty: pierwiastek indywidualny, określone granice, podział, miarę, proporcyonalność, ożywienie, harmonią, symetryą, idealność, obrazowość.

Dzieło Siebecka o tyle, jak widzieliśmy, różni się od poprzednich, że uznaje konieczność badań psychologicznych i szuka w nich rozwiązania kwestyi estetycznych; pozytywniéj i jaśniéj przeprowadza analizę twórczości artystycznéj, i jakkolwiek w końcu cofa się do zagadkowych dawnych pytajników, pozostawiając je *statu quo ante*, to przecież w dążeniu ku nim przyznać mu trzeba logiczną ścisłość i konsekwencyą. Czy przyjęcie za zasadę herbartowskiéj nauki o apercepcyi, a oraz chęć pogodzenia idealizmu z metodą doświadczalną, udała mu się zupełnie—to inna kwestya. Podstawy téj zgody nazbyt kruche; owo przymierze z estetykami treści w zasadniczym poglądzie na piękno, zbyt pozorne; cały zaś system jest właściwie formalizmem, którego wykład zasilił się bogatym materyałem, zaczerpniętym z nauki psychologii doświadczalnéj. Dokładniejszy rozbiór wykazaćby mógł niewątpliwie w takiém trójprzymierzu liczne pierwiastki dezorganizacyjne, wiodące do ry-

chlejszego lub późniejszego zburzenia całego systemu. Historycznie wziąwszy—świadczy to dzieło w każdym razie o znacznym postępie badań estetycznych w Niemczech, zwłaszcza w porównaniu z przestarzałemi pracami tego rodzaju, co Carrière'a.

Nareszcie po tylu półśrodkowych próbach pogodzenia dawnych teoryi estetycznych z materyałem, danym przez psychologią, postanowiła estetyka zerwać sojusz z formalizmem i idealizmem, a ugruntować się jedynie na empiryi.

Hettnerowi sprawa przedstawiała się już jasno, gdy pisał (1): „Potrzeba estetykę pojmować poprostu, jako psychologią fantazyi. Schelling, Solger, Hegel tworzą systemata, metafizykę estetyki, ale Achillesową piętą ich wiedzy jest, że nie wyjaśniają psychologicznego podkładu sztuki." Tym, który stanowczo zmienił metodę i badania estetyczne w literaturze niemieckiéj na nowe skierował tory, a przynajmniéj położył sobie za zadanie to uczynić—jest Fechner (2).

Motywując i uzasadniając założenie, z którego wychodzi, dzieli Fechner badania estetyczne na filozoficzno-estetyczne i doświadczalne. Różnią się one zasadniczo. Filozof szuka wyjaśnienia piękna w jego istocie i początku, rozbiera najogólniejsze i najważniejsze idee i pojęcia, zniżając się coraz bardziéj do objawów drobniejszych w estetyce; empiryk nie zastanawia się nad tém, co to piękno, jak trzeba pojmować wzniosłość, tragiczność, wdzięk, komizm, humor, styl, manierę, nie podaje filozoficznych definicyi, ale poczyna badanie od elementów piękna, z dołu, od rozbioru pierwszych przyczyn podobania się. Proces podobania się, analiza przyjemnych pobudzeń i wpływ tychże na zmianę stanów naszego organizmu—oto główne zadanie estetyka empirycznego.

Fechner zresztą przyznaje, że estetycy filozoficzni cokolwiek uwzględniali i pierwsze przyczyny i samo działanie podobania się; czynili to atoli niedostatecznie i kwestyą tę główną uważali za podrzędną.

Pomimo tych zastrzeżeń nie może się i ten empiryk wrzekomy otrząsnąć z masy spekulatywnego materyału, który nagromadziła estetyka filozoficzna. Jakkolwiek stara się w swym wywodzie całego procesu wrażeń estetycznych od asocyacyi trzymać się zawsze gruntu pozytywnego, opiera się, gdzie może, na zdobyczach fizyki, fizyologii i psychologii, to jednak w nader wielu wypadkach postępuje, jak eklektyczny empiryk i zasłania się wobec niepewności dyalektyką filozoficzną. Dochodzi on i bada ostateczne przy-

---

(1) Vorrede zu W. v. Humboldt ästetischen Versuchen.

(2) W dziele: Vorschule der Aesthetik v. Fechner Gustaw. Leipzig 1876.

czyny podobania się, ale przyznaje w skromności swéj, że pierwsza przyczyna podobania się *(der Grund)* musi być uważana, jako abstrakcya, łącząca wszystkie inne specyalne przyczyny. Nazywa on je prawami albo pryncypiami i wylicza cały ich szereg (1).

Jak prawdziwy estetyk treści definiuje piękno. Piękno jest to, co wywołuje rozkosz bezpośrednio, w czém różni się od dobra, które budzi wrażenie przyjemne ze względu na swe skutki. Chodzi o to: 1-sze, dla czego się coś estetycznie podoba, i 2-gie, o ile ma coś prawo do estetycznego podobania się. Pierwsze pytanie nie ma pozytywnéj odpowiedzi. Ostateczna bowiem przyczyna podobania się nie jest nam znana; możemy atoli pomimo tego badać inne zewnętrzne i wewnętrzne przyczyny. Co się zaś tyczy pytania drugiego, idzie tu właściwie nie o to, czy się coś bezpośrednio podoba lub nie, ale czy jest dobrze, że się coś podoba. Stąd wynika najwyższa zasada podobania się, którą Fechner dogmatycznie układa. Najwyższém prawem estetycznén w tym kierunku — zdaniem Fechnera—jest potępić wszystko, co się sprzeciwia najogólniejszym zasadom ludzkiego dobrobytu i szczęścia, a zatém wszystko, co czyni szkodę cielesnemu i duchowemu zdrowiu, co ubliża religii, obyczajności, prawidłowości logicznéj. Miary istotnego piękna należy tedy szukać w ogólnéj mierze dobra: a tak w rzeczywistości prawdziwa estetyczna rozkosz utożsamia się z etyczną.

Pod pewnym względem badania Fechnera zajmują niepospolicie ważne stanowisko w historyi współczesnéj niemieckiéj estetyki. On pierwszy zwrócił uwagę na racyą bytu dotychczasowéj estetyki filozoficznéj. Nie ma dość śmiałości do potępienia jéj; jednakże usiłowaniem swojém — oparcia całego procesu wyobrażeń estetycznych na podstawie doświadczalnéj, okazuje, że zadaniem estetyki— i jedyném zadaniem — jest śledzenie poszczególnych warunków i przyczyn piękna, a oraz określenie praw tychże.

Tak w rezultacie, po tylu walkach, po całym wieku nieustannéj mozolnéj szperaniny, po przebyciu tak długiéj drogi domysłów i nieplennych dociekań, staje dzisiejsza estetyka niemiecka zaledwie u progu nowego kierunku, a łatwo zrozumiéć, jak drogo opłacać się musi zdobycie każdéj piędzi na tém nowém polu, skoro się zważy, że w postępie tym trzeba zużywać siły na wycinanie dawnych chwastów. *Antoni Mazanowski.*

---

(1) Der ästetischen Schwelle, der ästhetischen Hülfe, der einheitlichen Verknüpfung des Mannigfaltigen, der Widerspruchlosigkeit, der Einstimmigkeit, der Klarheit; von einem ästhetischen Associacionsprincip, von einem Principe des ästhetischen Kontrastes, der ökonomischen Verwendung der Mittel.



Z GALICYI.

Nowa ustawa spirytusowa i sprawa propinacyi galicyjskiéj. — Stosunki sądownicze w Galicyi w świetle mowy posła Pernerstorfera.—Sprawa dra Felicyana Jackowskiego.

I.

Oddawna nie mieliśmy w Wiedniu tak bardzo ożywionéj sesyi parlamentarnéj, jak tegoroczna. Wszystko, co przez kilka miesięcy ojcowie państwa mówili nad brzegami modrego Dunaju, odbijało się głośném echem w Galicyi, ponieważ rozgrywały się tamże najżywotniejsze nasze interesy materyalne, czasy zaś, niestety, takie już nastały, że ludzi bardziéj dziś boli, gdy ich kto po kieszeni bije, niż gdy im nie materyalne zdobycze wydziera. W Wiedniu ważyły się losy nowéj ustawy spirytusowéj, która Galicyę miała obciążyć podatkiem, wynoszącym rocznie mniéj więcéj 15 milionów złotych reńskich. Piętnaście milionów, to może drobnostka dla prowincyi bogatéj, mającéj handel rozgałęziony i przemysł zdrowy; tam jednak, gdzie śruba fiskalna, acz dobrze pociskana, nie jest wstanie wydobyć nawet zwykłych podatków, tam kwota piętnastomilionowa staje się ciężarem, przed którym musi zadrżéć najodważniejszy finansista. Zadrżała więc i Galicya, a jeżeli w końcu ustąpiła, uczyniła to jedynie dla tego, że tak wielkiéj ofiary dla dobra państwa sam cesarz zażądał od jéj reprezentantów.

Że monarchia Habsburgów wciąż choruje na brak pieniędzy, to rzecz oddawna wiadoma. Wprawdzie nie stoi ona na bankructwie, jak to może nie jednemu się wydaje, lecz z drugiéj strony nie da się zaprzeczyć, że nie posiada ona także tyle zasobów, ile dziś każde wielkie państwo miéć musi, jeżeli chce uczynić zadość wymaganiom cywilizacyi nowoczesnéj, a przedewszystkiém jeżli ma posiadać armią liczną i dobrze uzbrojoną, których Europa dziś potrze-

buje wrzekomo dla utrzymania pokoju. Dawniejszemi laty, austryaccy ministrowie skarbu pokrywali najczęściéj każdy niedobór budżetowy nową pożyczką; była to więc gospodarka prawdziwie szlachecka, która bardzo łatwo mogła się skończyć bankructwem. Zamiast wzmocnić siłę podatkową państwa, ministrowie opłacali coraz wyższe odsetki od coraz nowszych pożyczek, słowem postępowali jak nie jeden szlachcic galicyjski, który dopóty weksle podpisuje, póki mu nie wyprowadzą z obory krowy ostatniéj a w końcu i ziemi mu nie sprzedadzą. Obecny minister skarbu, dr. Dunajewski, acz polak i szlachcic, poszedł zupełnie inną drogą, ponieważ zamiast pożyczać wyszukuje nowe źródła dochodu, dzięki czemu finanse austryackie zostały już prawie uregulowane. Wprawdzie w budżecie nie ma dotąd nadwyżki, niedobór jednak bywał najczęściéj tak mały, że bez uciekania się do środków nadzwyczajnych można go było pokrywać z roku na rok. Dopiero w roku ubiegłym położenie finansowe przedstawiło się w świetle bardziéj ponurém. Zatarg bulgarski i bezustanne alarmy wojenne, zmusiły Austryą do zarządzenia nowych środków militarnych, które za sobą wielkie koszta pociągnęły. Stworzono instytucyą pospolitego ruszenia, pobudowano baraki drewniane, które teraz kazano przerobić na murowane, postawiono kilkanaście nowych mostów, gdzie niegdzie poprawiono drogi, rozlokowano wojska, wprowadzono nowy karabin i zaprowidowano magazyny. Na to wszystko potrzeba było pieniędzy, których minister skarbu nie miał w kasie. Prócz tego prezydent gabinetu węgierskiego, Tisza, oświadczył kategorycznie że honwedów, których w Węgrzech jest 200.000, nie będzie mógł utrzymać, jeźli państwo nie przyzna mu nowych i to znacznych źródeł dochodu. Te to ważne okoliczności były powodem wniesienia przed parlamenty, tak w Wiedniu jak w Peszcie, nowéj ustawy spirytusowéj, która państwu ma dać przeszło 40 milionów guldenów.

Nie jeden nieobznajomiony z naszymi stosunkami, słysząc jak Galicya biada i ręce łamie, że jéj wódkę chcą wysoko opodatkować, musiał niezmiernie dziwić się temu zjawisku i brać nas za prostych barbarzyńców, którzy nie pojmują, że jeźli jaki podatek, to właśnie gorzelniany, jest bez zaprzeczenia najsprawiedliwszym pod słońcem. Zrozumiały to inne państwa, i dla tego nawet w wolnych stanach Ameryki Północnéj, spirytus ulega wysokiéj opłacie. Niech jednak nikt nie sądzi, że jedni tylko Galicyanie tego nie pojmowali. Przeciwnie, rozumieli oni to tak samo dobrze, jak wielcy finansiści na zachodzie, a jeżeli mimo to drżeli na samo wspomnienie o podatku spirytusowym, działo się to jeno dla tego, że forma, w jakiéj go miano zaprowadzić, groziła im zupełną ruiną. I oto dla czego,

Wszystkie wielkie państwa, nie wyłączając z nich nawet Ameryki, dążą od niejakiego czasu do ograniczenia liczby małych gorzelni, nad któremi dozór jest trudny i kosztowny. Naturalném tego następstwem jest zmniejszanie się tak zwanych gorzelni rolniczych. Za to fabryczne nabierają siły i znaczenia. W Anglii znajduje się już wszystkiego tylko 10 gorzelni, z których każda opłaca rocznie kilka milionów guldenów podatku. Każdéj z nich pilnuje także w przecięciu po 600 strażników. W Anglii nie wolno zakładać nowéj gorzelni daléj niż o ćwierć mili od miasta. W Szwecyi było dawniéj 170.000 gorzelni; obecnie jest ich ledwie 222 a i z tych mniejsze znajdują się w stanie opłakanym. W Norwegii było w r. 1840 gorzelni 1387, w roku zaś 1875 tylko 25; w Finlandyi w r. 1835 około 35.000 a w r. 1882 ledwie 66. W Ameryce małe gorzelnie prawo wprost zakazuje. W Rosyi w r. 1870 było 4308, gdy przeciwnie teraz jest ich 2337. Gorzelnia mała, rolnicza, jedynie tam nie zginęła, gdzie rząd pobiera opłatę ryczałtową od naczyń fermentacyjnych. Przeciwnie, gdzie zaprowadzono opłatę konsumcyjną, tam zaczęły kwitnąć jedynie gorzelnie fabryczne, z wielką szkołą rolniczych. Projekt finansowy p. Dunajewskiego domagał się opłaty konsumcyjnéj, i to w wysokim stopniu zaniepokoiło Galicyą. Ktokolwiek choćby tylko w przybliżeniu zna nasze stosunki, wié, że w Galicyi nie ma przemysłu fabrycznego i że takowy żadną miarą u nas dźwignąć się nie może, ponieważ inne prowincye austryackie, stojące pod względem kultury wyżéj niż nasza, zabijają wskutek wolnéj konkurencyi, każdą gałąź przemysłu galicyjskiego w samym już zarodku. O smutnéj téj rzeczy pisałem obszernie dawniejszemi laty, więc dziś nie będę się nad nią rozwodził. Jedyny jeszcze przemysł, jaki u nas istniéć może i jako tako istnieje, to rolniczy, do którego przedewszystkiém należą gorzelnictwo i młynarstwo. Gorzelni mamy 400. Jak na 6.000 gmin, liczba to bardzo skromna, gdyż jedna gorzelnia nie przypada nawet na 10 wiosek; ale już i ta cyfra oddaje krajowi niezmierne usługi, ponieważ w owych czterystu gorzelniach wypasa się rocznie kilkadziesiąt tysięcy wołów, prócz tego dostarczają one sporéj ilości nawozu, bez którego w bardzo wielu okolicach naszéj prowincyi ziemia nic już nie rodzi. Niech teraz powié każdy człowiek bezstronny, czy Galicya mogła spokojnie wysłuchać wiadomości, że gdy nowa ustawa zostanie przez parlament wiedeński przyjęta, wszystkie jéj gorzelnie rolnicze przepadną, a na ich miejsce powstanie kilka wielkich, fabrycznych, które krajowi żadnéj nie oddadzą usługi, ponieważ w nich tylko wielcy kapitaliści będą robili dobre interesy? Troska o gorzelnie rolnicze była tedy pierwszym motorem, poruszającym opozycyą galicyjską. Drugim, nie mniéj ważnym, była sprawa propinacyi.

Rząd, mimo uwłaszczenia włościan w r. 1845, pozostawił propinacyę nietkniętą, i dziś tak właściciele tabularni, jak wolne miasta, mają z niéj znaczny dochód. Prawo to istnieje dotąd tylko w Galicyi i na Bukowinie. W innych prowincyach austryackich zostało już zniesione. Gdy w parlamencie zaczęto o niém mówić, posłowie niemieccy wprost nam urągali, utrzymując, że tylko Polacy mają dotąd prawo, przypominające dawne czasy pańszczyzniane. To téż według nich państwo nie powinnoby zważać na tego rodzaju zabytki feudalne. Na te zarzuty odpowiedzieli tak dobitnie delegaci polscy Rutowski i Hausner, że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia ich uwag na tém miejscu, choćby tylko w streszczeniu. „Jeżeli zostanie zaprowadzona wysoka opłata od spirytusu—mówił pierwszy, natenczas nastąpi znaczne ograniczenie konsumcyi w Galicyi, gdzie nowa ustawa napotyka nowe warunki, ponieważ w Galicyi istnieje dotąd p r o p i n a c y a. Wyraz ten tylekrotnie tu (tj. w Izbie) powtarzano, że stał się on utartym frazesem dla oznaczenia pewnych stosunków, tak iż potrzeba wielkiego spokoju i bezinteresowności, aby rzeczowo przedmiot ten zbadać. Nie mam zamiaru wykładać historyi tego przedmiotu. Sądzę jednak, iż każdemu wiadomo, że na podstawie dawniéjszych stosunków prawnych, prawo propinacyjne dotychczas utrzymało się w Galicyi, przez wszystkie rządy austryackie było powszechnie uznaném, i przy wszystkich systematach politycznych, jakie istniały w Austryi, pozostało nietkniętém. To prawo propinacyjne stało się w Galicyi p r a w e m r z e c z o w é m, gdyż połączone jest z większą posiadłością ziemską, lub téż z pewnemi miastami, stało się p r a w e m p r y w a t n é m, gdyż z biegiem czasu wyraźnie uzyskało tę prawno - prywatną cechę“. Dosadniéj odpowiedział Niemcom p. Hausner, gdy rzekł:

„Być może, iż wyda się komuś bardzo naiwném, a jest to jednak prawdą niezaprzeczoną, iż nietylko dla rozwoju świata, nie tylko dla postępu ludzkości, ale także dla życia parlamentarnego o wiele byłoby lepiéj, gdyby ewangieliczna mądrość i łagodność więcéj miały zwolenników i więcéj panowały nad umysłami, a szczególnie, gdyby zapanowała zasada: Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. Uwagi te nasunęły mi się, gdym się przysłuchiwał obradom nad podatkiem od wódki i nad odszkodowaniem za propinacyą. Gdyby w sercach tych mówców tliła choć jedna iskierka ewangeliczna, to zamiast mówić nam tyle przykrych rzeczy, byliby może zapytali siebie samych: Jakże zapatrywalibyście się na tę samę sprawę, gdyby nie tyczyła się ona Galicyi, lecz naprzykład stolicy państwa? Gdyby Wiedeń posiadał stare, na dokumentach oparte prawo, gdyby to prawo przynosiło mu rok rocznie miliony, gdyby milionów tych używano na

cele oświaty i dobroczynności, a gdyby państwo, pieniędzy potrzebując, chciało mu uszczuplić środków na owe cele dobroczynne, cóżbyście panowie powiedzieli? Zdaje mi się, iż odpowiedź brzmiałaby: Odszkodowanie nie jest tu podarkiem, nie jest zapłatą. Obowiązkiem naszym bronić téj sprawy! Nazwalibyście to nawet żywym wyrazem idei państwa. Obrońców téj myśli nazwanoby odważnymi i przyznanoby im chętnie słuszność. Tak samo powinnyby się rzeczy przedstawiać i teraz, chociaż idzie tu o Galicyą, gdyby stronniczość i uprzedzenie narodowe nie zamącały umysłów i nie przytępiały pojęcia sprawiedliwości. Dla czego więc wszystko, co ma Galicyi zapewnić pożytek, doznaje tutaj takiego losu? Oto dla tego, ponieważ jesteśmy krajem ubogim, ponieważ natura odcięła nas łańcuchem gór od stref południowych i ciepłych, wystawiając naszą północną i wschodnią granicę, na mroźne tchnienie wichrów uralskich, ponieważ nieuregulowane rzeki co roku szerzą u nas zniszczenie, ponieważ nie stąpany po obfitych pokładach węgla i żelaza, i ponieważ od światowego handlu i wielkich dróg handlowych jesteśmy więcéj oddaleni, niż inne kraje monarchii. Dla tego jesteśmy, co prawda, ubożsi od innych, ale równie jak inni jesteśmy opodatkowani i płacimy podatki w tym samym co oni stosunku".

Obawa o propinacyą nie była płonną, projekt bowiem rządowy domagał się 45 złot. reń. od każdego hektolitra, skutkiem czego cena spirytusu, który dotąd płacił tylko 8 zł. r. od hektolitra, musiałaby znacznie podskoczyć, a konsumcya zmniejszyć się, zaczém poszło by także uszczuplenie dochodów z propinacyi.

Nim dam obraz naszéj walki parlamentarnéj, którą przez trzy miesiące toczyliśmy w Wiedniu, muszę jeszcze słów kilka poświęcić projektowi rządowemu. Od samego początku było rzeczą widoczną, że nowa ustawa spirytusowa faworyzuje Węgrów, a po części i Czechów. Odpowiednio do zawartości alkoholu, powinnoby się tak samo od piwa (Czechy) jak i od wina (Węgry) płacić po 45 zł. r. tymczasem piwo opłaca 42·5 zł. r., wino zaś ledwie 25 guldenów. Lecz i te cyfry są tylko teoretyczne. Faktem jest niewątpliwym, że piwo nierównie mniéj płaci, poważni zaś znawcy téj gałęzi przemysłu zapewniają, że na tém polu, przy dokładnéj kontroli podatkowéj, możnaby zebrać rocznie o 8 milionów złot. reń. więcéj niż to się dziś dzieje. Jeszcze gorzéj ma się rzecz z winem. Teoretycznie opłaca wino od hektolitra 2·97 zł. r. lecz gdy weźmiemy pod uwagę rzeczywistą jego konsumcyą, zobaczymy, iż rzeczywisty podatek, przeliczony na całą konsumcyą wina w Austryi, wynosi zaledwie 80 centów od hektolitra. Faktem jest, że jeżeli wino wraz z podatkiem przecietnie kosztuje 8 złot. reń., a piwo również 8 guld., wów-

czas spirytus kosztuje 65 złt. r.; bo jeżeli wino kosztuje 7·20 guld., piwo 6·50 guld., a alkohol 20 guld., to jako podatek od hektolitra wypadnie od wina 80 cnt., od piwa 1 guld. 80 cnt., od alkoholu zaś 45 złot. reńs., t. j. podatek ten w stosunku do wartości znaczy przy winie 10 prc., przy piwie 30 prc., a przy alkoholu 225 prc. Jeżeli się teraz zważy, że wina produkują najwięcéj Węgry, wódki zaś Galicya, która jéj stosunkowo także najwięcéj sama konsumuje, to łatwo pojąć, o ile nowy projekt był korzystniejszym dla mieszkańców po tamtéj stronie Karpat niż dla nas. I zdaje się nie ulegać najmniejszéj wątpliwości, że Węgrzy, starając się o tak wysokie opodatkowanie spirytusu, mają na pamięci swoje wino, które teraz w znacznie większéj niż dotąd ilości będzie do Galicyi przychodziło. Ze stanowiska cywilizacyjnego należałoby sobie nawet tego życzyć, wino bowiem dla ludzkiego organizmu zdrowsze jest od wódki, ale za co, pytam, będzie Galicyanin wino kupował, jeżeli z upadkiem gorzelni rolniczych, wyczerpią się ostatnie źródła jego dochodów?

Nie koniec na tém. Węgrzy chcieli przy ogniu spirytusowym jeszcze jednę pieczeń upiec. Ich chłopi mają tak zwane gorzelnie kociołkowe, w których przerabiają owoce. Jest ich tam razem przeszło 100,000. Część alkoholu w nich wyrabianego, jako idąca na użytek samego producenta, nie ulegała dotąd żadnéj opłacie i tylko od drugiéj części skarb pobierał stosunkowo niewielki podatek. Nowa ustawa spirytusowa nie obejmowała gorzelni kociołkowych. Coby się więc było stało, gdyby owe gorzelnie, korzystając z tak znacznych ulg, były podwoiły, lub nawet potroiły swoję produkcyą? Czyż wtedy z Węgier nie mógł łatwo nastąpić eksport spirytusu do Galicyi, co w rezultacie musiałoby za sobą pociągnąć zupełny upadek gorzelnictwa naszego? Już to Węgrzy chętnie śpiewają: „Węgier, Polak, dwa bratanki!“ — ale odkąd stali się siłą państwową, chętnie buty nam szyją i przy każdéj sposobności starają się podkopywać nasz byt materyalny. Dość powiedzieć, że począwszy od roku 1860 w samém gorzelnictwie jest to już 7 zmiana, a prawie wszystkie z nich zawdzięczamy naszym sąsiadom zakarpackim.

Niebezpieczeństwo grożące gorzelniom rolniczym i propinacyi galicyjskiéj, a w części także zbyt widoczne faworyzowanie Węgrów były powodem, że po wniesieniu ustawy spirytusowéj opinia publiczna w Galicyi zaniepokoiła się w stopniu tak wysokim, iż przez dłuższy czas nie było można nawet przewidzieć, na czém się wszystko skończy.

II.

Ledwie parlament wiedeński odczytał przedłożenie rządowe, dotyczące nowego podatku spirytusowego, wnet cała Galicya uderzyła na alarm. Z wyjątkiem tych nielicznych, którzy utrzymują z rządem bezustanne stosunki, którzy już z góry godzili się na projekt ministeryalny, wszyscy inni wypowiadali głośno swoje oburzenie, dzięki czemu kraj cały zmienił się w jeden obóz opozycyjny W nim widzieliśmy tak dobrze książąt, hrabiów i szlachciców, jak burmistrzów owych miast, a takich jest w Galicyi 54, które mają znaczne dochody z propinacyi. Zaczęły się zjazdy, narady, powiaty, towarzystwa i miasta wysyłały deputacye do Wiednia, gdzie stale obradował komitet krajowy, mający czuwać nad sprawą spirytusową. Ministrowie przyjmowali deputacye grzecznie, niektórzy z nich bardzo nawet ubolewali, że na Galicyą spadnie tak wielki ciężar, lecz mimo to nieznacznie dawali oni do zrozumienia, że nowy podatek musi być uchwalony, ponieważ skarb potrzebuje pieniędzy, a zkąd inąd wziąć ich nie może. Innemi słowy znaczyło to: „Nie dacie dobrowolnie 15-cie milionów, potrafimy je sami wziąć.“ Jednych irytowało to niezmiernie, dla drugich była to zimna woda, na ich głowy wylana. Ci zaczęli zastanawiać się nad położeniem i powoli nabrali przekonania, że wojna z rządem będzie niemożliwą, bo choćby nawet Dunajewski ustąpił, nowy minister skarbu musiałby także postarać się o przeprowadzenie podatku spirytusowego, ponieważ czém inném nie byłby w stanie pokryć niedoboru. Skoro więc złe musi nastąpić, niech zatém stanie ono przed nami choć w takiéj formie, iżbyśmy je mogli znieść. Obóz ten, spokojny w swoich zapatrywaniach a umiarkowany w żądaniach, którego głową w kole polskiém jest p. Grocholski, postanowił targować się z ministrem, aby dla Galicyi uzyskać choć jakie takie koncesye. Powiedziano tedy p. Dunajewskiemu, że Polacy dopiéro wtedy będą za projektem rządowym głosowali, jeżeli gorzelnie rolnicze otrzymają bonifikacyą, jeżeli wódka w nich wyrabiana będzie opłacała od hektolitra nie 45, lecz tylko 35 złot. reńs., jeżeli właściciele tych gorzelni dostaną nieco pieniędzy na przerobienie aparatów, i jeżeli galicyjski fundusz propinacyjny, który ma służyć na wykupienie tego prawa, będzie przez lat 21 pobierał z kasy rządowéj po 1 milionie rocznie. Pan minister skarbu nie chciał z początku ani słyszéć o tych ustępstwach, powoli jednak zaczął i on się na nie godzić, zwłaszcza gdy postrzegł, że opinia kraju całego idzie nierównie daléj i o jakichkolwiek ustępstwach ani chce słyszéć. Skrajni, a tych było znacznie więcéj niż umiarkowanych,

byli stanowczo przeciwni projektowi i chcieli go w całości odrzucić. Do tego nakłaniało ich także stronnictwo centralistyczne parlamentu wiedeńskiego, które w razie upadku gabinetu, przyrzekało im najdaléj idące ustępstwa. Syrenie te głosy chybiły jednak celu. Chociaż skrajni nigdzie i nigdy nie lubią myśléć spokojnie, mimo to umizgi centralistów tak były rażące, że w końcu nawet oni musieli przejrzéć. Rzeczą było aż nadto widoczną, że Niemcom o nic więcéj nie szło, tylko o obalenie gabinetu Taaffe-Dunajewski, poczém łatwowiernych Polaków byliby niewątpliwie na lodzie osadzili. Ale chociaż rozwaga zaczynała brać górę, mimo to losy nowego podatku wciąż się jeszcze chwiały. Wezwano tedy na pomoc p. Grocholskiego, który dla poratowania nadwątlonego zdrowia przebywał w Abazyi. Sz. prezes koła polskiego przybył natychmiast do Wiednia, lecz gdy się projektowi rządowemu zbliska przypatrzył, nabrał sam przekonania, że jest on dla Galicyi tak zgubnym, iż żadną miarą nie może przemawiać za jego przyjęciem bezwarunkowém. Najumiarkowańsi tedy byli zdania, że minister musi Galicyi poczynić ustępstwa. Podczas gdy nikt jeszcze nie wiedział jaki obrót rzeczy wezmą, nastąpiły ferye wielkanocne. Skorzystała z nich opozycya, aby w kraju uorganizować kilkanaście tak zwanych sejmików relacyjnych, na których posłowie zdają przed wyborcami sprawę ze swych czynności. Posłom opozycyjnym szło głównie o to, by ich mocodawcy przez podpisywanie licznych petycyi dodali siły ich wystąpieniom w Wiedniu a rządowi nowe trudności stawili. Ministrowi finansów nie była ta rzecz na rękę, więc też szybko o to się postarał, żeby sejmiki relacyjne zrobiły fiasko. Biurokracya austryacka jest niewyczerpana w pomysłach i sposobikach gdy idzie o szykanowanie, ledwie więc usłyszała, jakie jest życzenie wysokiego rządu, wnet wyszukała paragraf w konstytucyi, który mówi, że władza polityczna (administracyjna) powinna być uwiadomiona na trzy dni przed każdém publiczném zgromadzeniem. Wprawdzie od 27 lat, t. j. odkąd mamy konstytucyą, nigdy się na ten paragraf nie odwoływano, i każdy sejmik relacyjny odbywał się spokojnie wtedy, gdy go poseł zwoływał, tym razem jednak stało się inaczéj, i w jednych miejscowościach sejmiki wcale się nie odbyły, gdyż komisarz rządowy założył swoje *veto*, w innych zostały rozwiązane, a tylko tam pozwalano mówić posłom bez dopełnienia jakichkolwiek formalności, gdzie starosta z góry wiedział, że mowa wypadnie na korzyść rządu, nie zaś na jego szkodę. Ale mimo to miasto zgromadzeń publicznych, odbyły się prywatne i opozycya wróciła do Wiednia z petycyami, żądającemi od koła polskiego jaknajwiększéj stanowczości.

Położenie stało się więc nadzwyczaj drażliwe. Była nawet chwila, w któréj się zdawało, że p. Dunajewski runie z całym gabinetem. Wszelako nagle zaszedł fakt, którego nikt się nie spodziewał, a który odrazu pchnął sprawę na nowe tory. Oto cesarz kazał do siebie wezwać wice-prezesa koła, p. Jaworskiego, a gdy ten się zjawił, przemówił doń mniéj więcéj w te słowa: „Położenie polityczne jest groźne, skarb mój potrzebuje pieniędzy. Mam nadzieję, że Polacy, na których lojalność liczę, przyjmą ustawę spirytusową, gdyż prędzéj lub późniéj, z tym lub innym gabinetem, musi ona być uchwalona.“ P. Jaworski usłyszawszy to z ust tego monarchy, któremu Galicya tyle zawdzięcza, nie miał nic lepszego do uczynienia, jak pokornie głowę skłonić, a gdy przyszedł na posiedzenie koła i jego członkom słowa cesarskie powtórzył, opozycya została odrazu złamana, tak dalece, że na 60-ciu posłów znalazło się ledwie trzech, którzy chcieli jeszcze prowadzić walkę do ostateczności. Że tak się stało, niech się temu nikt nie dziwi. Przecie woli cesarskiéj, będącéj dla poddanych rozkazem, nie ośmieliłby się nikt sprzeciwić. Zrozumieli to posłowie i dla tego kapitulowali. Przyznając im jednak racyą w tym wypadku, godzi się równocześnie zapytać, czy p. minister skarbu powinien był przeciw swoim przeciwnikom wytaczać aż tak ciężkie działo, jakiém bądź-co-bądź jest słowo monarsze? Bo i czémże będzie właściwie parlamentaryzm z całą konstytucyą, jeźli w chwilach stanowczych ministrowie będą wzywali na pomoc monarchę i zasłaniali się jego wolą, którą każdy poddany, chociażby nawet nie chciał, musi uszanować? Nie dziw też, że krok p. ministra skarbu był surowo krytykowany nawet przez ludzi umiarkowanych, którzy mu tego długo nie zapomną.

Po słowie cesarskiém sprawa poszła już gładko. Skrajna opozycya umilkła. Zato na pierwszy plan wysunęli się umiarkowani, którzy z p. ministrem zaczęli targować. I po długich korowodach stanęło na tém, że gorzelnie rolnicze otrzymają bonifikacyą, że wódka w nich wyrabiana zamiast 45 złr., będzie płaciła tylko 35 złr. od hektolitra, i że fundusz propinacyjny galicyjski będzie dostawał od państwa po jednym milionie rocznie, co do r. 1910 uczyni 21 milionów złr. Co do gorzelni kociołkowych w państwie węgierskiém, tym odjęto także przywileje wyjątkowe, dzięki czemu nie będą one mogły współzawodniczyć z gorzelniami galicyjskiemi. Ustawa została tedy uchwalona i ojcowie ojczyzny wrócili do domów. Jeźliby mnie teraz kto zapytał, ile dochodu spodziewa się skarb uzyskać z nowéj ustawy, natenczas musiałbym mu odpowiedzieć słowami p. Ottona Hausnera, który w radzie państwa tak ten dochód obliczył: „Dotychczasową konsumcyą spirytusu w Cislitawii (tj. w Au-

stryi, bez Węgier) można przyjąć w ilości 1,35o,ooo hektolitrów rocznie, które przy istniejącéj dotąd stopie podatkowéj w wysokości 6½ guld. w przecięciu, przynosiły 8,5oo,ooo guld. Przypuśćmy teraz, że konsumcya zmniejszy się o 3oo,ooo hektolitrów. Z tych jednak przypada pewna część na pijaków z profesyi. Są to zazwyczaj ludzie, żyjący w stosunkach opłakanych, nie mający kredytu, a przy podrożeniu wódki, postaranie się o nią sprawi im większą trudność, aniżeli zapłacenie dwóch kieliszków ludziom trzeźwym. Przypuszczam zatém, że w ogólnym ubytku na tych pijaków z profesyi, przypadnie trzecia część, t. j. 100,000 hektolitrów. Równa się to 36o milionom kieliszków, a rezultat taki trzeba będzie z etycznych i humanitarnych względów nazwać bardzo pocieszającym. A jakiż w tym wypadku będzie wynik dla skarbu państwa? Po ubytku 3oo,ooo hektol. pozostanie ich 1,o5o,ooo hekt. a jeźli przyjmę podatek tylko 35 guld. uczyni to 36,755,ooo złt. r. czyli w porównaniu z dawniejszym dochodem podatku w kwocie 8,5oo,ooo guld. o 28,5oo,ooo guldenów więcéj."

Podałem ogólny obraz nowéj ustawy i scharakteryzowałem jéj dzieje konturowo. W szczegóły i drobiazgi wdawać się nie będę, bo te waszych czytelników nie mogłyby interesować. Zdaje mi się jednak, że nawet z tego, com dotąd powiedział, dość jasno wypływa, że to co nasza reprezentacya uzyskała, było dla Galicyi niezbędne, i o ile jéj obawy były z początku uzasadnione, o tyle teraz nie potrzebuje lękać się skutków nowéj ustawy. Bo i kogóż ona najbardziéj dotyka? Konsumenta. Temu zaś pozostawiono do woli, bądź pić wódkę w dawnéj ilości, bądź zmniejszyć jéj konsumcyę, bądź całkiem jéj się wyrzec. Mieszkając na wsi, pytałem chłopów tak u siebie, jak we włościach okolicznych, co powiedzą w takim razie, jeżeli wódka w trójnasób podrożeje. „Nie będziemy jéj pili"—rzekł jeden. „Będziemy pili herbatę lub wino"—odpowiedział drugi. Na sto osób, do których zwracałem się z tém samém zapytaniem, znalazła się tylko jedna kobiéta, sławna na całą wieś pijaczka, która miasto odpowiedziéć, jęknęła: „Oj!" Jeźli wieśniak nie lęka się nowego podatku: dla czego by się go więc miał obawiać posiadacz gorzelni rolniczéj, którą bonifikacya zabezpiecza przed konkurencyą, albo właściciel propinacyi, skoro państwo będzie dawało rocznie milion dla funduszu propinacyjnego? O ostatniéj téj sprawie trzeba jeszcze słów kilka powiedziéć. W r. 1875 Galicya postanowiła dobrowolnie i z własnéj inicyatywy, zająć się sprawą wykupna propinacyi i myśl tę wprowadziła za pomocą ustawy sejmowej, która już oddawna uzyskała sankcyą cesarską. Projekt wykupienia propinacyi przeprowadzono w taki sposób, jaki odpowiadał rzeczy-

wistym stosunkom kraju, nieposiadającego wielkich kapitałów, i nie zawsze mogącego odwołać się do publicznego rynku pieniężnego. Dla tego téż trzeba się było chwycić środków najprostszych, pierwotnych prawie. Oto postanowiono utworzyć pewien fundusz propinacyjny, za pomocą którego dało by się wykupić w ciągu 26 lat całkowity dochód właścicieli prawa propinacyjnego. Jak dotąd fundusz ten rośnie bardzo powoli, i chociaż roczny dochód z propinacyi obliczają w Galicyi na 4 miliony złot. reń., mimo to w roku 1910, gdy wykupno będzie już miało stać się faktem spełnionym, cały ten fundusz, wraz z odsetkami, nie wyniesie więcéj niż 15 miljonów. Inaczej jednak będzie już wyglądał, jeśli go wzmocni kapitał 21 milionowy, który powstanie z rocznych zasiłków rządowych. Jest to pomoc tak wielka, że na jéj podstawie minister skarbu zamierza już teraz zająć się wykupnem prawa propinacyi, i projekt odnośny ma być sejmowi galicyjskiemu przedłożony jeszcze w roku bieżącym.

Jeśli więc nowa ustawa miasto zniszczyć nas materyalnie, czego z początku wszyscy się lękali, przyczyni się jeszcze do naszego dobra moralnego, wykupno bowiem propinacyi jest dla nas bądź co bądź kwestyą piekącą, to w takim razie może jéj jeszcze kiedyś będziemy błogosławić.

III.

Sprawa podatku spirytusowego nie była jeszcze ukończona, gdy wydarzył się fakt niemałego znaczenia, który opinją publiczną w Galicyi także do głębi poruszył. Oto podczas rozpraw nad wydatkami ministra sprawiedliwości, wygłosił jeden z członków lewicy parlamentarnéj, mianowicie poseł Pernerstorfer, mowę piorunującą, w któréj sądownictwu galicyjskiemu tyle zarzucił, że gdyby tylko połowa tego była prawdziwą, jużbyśmy musieli miéć o niém bardzo smutne wyobrażenie. Nim przystąpię do mowy saméj, muszę wpiérw kilka słów powiedziéć o historycznym rozwoju naszego sądownictwa, zwłaszcza o sądach pierwszéj instancyi, gdyż te, jako najliczniejsze, i bezpośrednio na masy oddziaływające, wywierają wpływ największy.

Aż do r. 1855 mieliśmy w każdéj wielkiéj wsi sędziego, którego powszechnie nazywano mandataryuszem, a który w sądownictwie europejskiém był unikatem. Pierwszy lepszy chłopek, który ledwie czytać i pisać umiał, połapawszy co nieco z kodeksów, po kilkoletniéj praktyce, otrzymywał dekret i zostawał mandataryuszem. Rząd go mianował a właściciel wsi, *vulgo* szlachcic opłacał.

Rząd mógł mu każdéj chwili dekret odebrać, szlachcic zaś mógł go każdéj chwili oddalić, jak się oddala chłopca stajennego lub pastucha od nierogacizny. Rząd był niemiecki podejrzliwy, i w każdym szlachcicu wietrzył rewolucyonistę; szlachcic nie lubił rządu, a jako pan w swojéj włości, dopuszczał się nieraz nadużyć nad poddanymi, których rząd brał w obronę. Mandataryusz zatém, aby żyć, musiał być wszystkim: szpiegiem i rewolucyonistą, zwolennikiem monarchii z łaski bożéj i wielbicielem wszechwładztwa szlacheckiego, lokajem starosty cyrkularnego i popychadłem dziedzica. Jak to działało na charaktery, łatwo zrozumiéć. Kasty bardziéj zdemoralizowanéj, skłonniejszéj do łapówek i wszelkiego rodzaju zdrożności, niż mandataryusze galicyjscy, nie było pod słońcem. Z téj to warstwy w r. 1855 potworzono „mięszane“ urzędy powiatowe, w których jedni urzędnicy oddawali się sądownictwu, drudzy sprawom administracyjnym. Chaotyczny ten ustrój panował lat dziesięć, i dopiero w r. 1865 oddzielono sądownictwo od administracyi, dzięki czemu powstały samodzielne sądy powiatowe. Pod względem formy uczyniono więc bardzo wiele, ale co do ducha rzeczy, trzeba było jeszcze niemałéj pracy, ponieważ tradycye mandataryuszowskie zbyt żywo tkwiły w pamięci, by je doszczętnie można było odrazu wykorzenić. Szczególniéj jedna przywara wciąż jeszcze kwitła w sądach pierwszéj instancyi, a było nią łapownictwo. Demoralizacya dotknęła jednak nietylko pierwszéj instancyi sądownictwa. Za czasów mandataryuszowskich, wszystko było zdemoralizowane od dołu do góry. W owych czasach, acz urzędników niezmiernie źle płacono, napróżno byłoby szukać radcy sądu kolegialnego, nie posiadającego choć jednéj wioski. A nie mało było takich, którzy ich mieli po kilka. Synowie tych panów wciskają się dziś do arystokracyi, a łatwo się domyśléć, w jaki sposób ci panowie robili wtedy majątki... Po oddzieleniu sądownictwa od administracyi, prezydentem Apelacyi we Lwowie, a tém samém zwierzchnikiem całego sądownictwa w Galicyi wschodniéj, został mianowany dawny minister sprawiedliwości, baron Komerc. Nie da się zaprzeczyć, że człowiek ten, co mógł, czynił, aby sądownictwo oczyścić. Szlachetne zamiary nie zostały jednak całkiem pomyślnym skutkiem uwieńczone, więc też nie dziw, że gdy na jego miejsce przychodził p. Schenk, wprawdzie Austryak i Polakom nieprzychylny, ale mający reputacyą człowieka energicznego i doskonale obznajmiony z miejscowemi stosunkami, kraj z wielką radością powitał jego nominacyą, gdyż spodziewał się, że przecie raz nastąpi puryfikacya sądownictwa. Pan Schenk długie lata gospodarzył, a jaka była ta gospodarka, o tém dowiedzieliśmy się w części z mowy posła Pernerstorfera, który rzekł

między innemi: „Kiedy baron Schenk swój urząd obejmował, przywiązywano wiele nadziei do reform, które tenże przedsięwziąć zamierzał. Przedewszystkiém oczekiwano pomnożenia sił sędziowskich, ponieważ skutkiem powiększającéj się ludności i rozwoju społecznego, rósł ciężar pracy rządowéj w sposób nader uciążliwy, skutkiem czego narzekano powszechnie na przewlekłość wymiaru sprawiedliwości w Galicyi. Nowy prezydent zarządził tedy, ażeby tak zwana branża dyurnistów (pisarzów dziennych) była w dwójnasób pomnożona. Zarazem jednak kierownikom odnośnych sądów dano wskazówkę, że pomimo nakazanego powiększenia personalu dyurnistów fundusz wyznaczony na ich wynagrodzenie powinien zostać w dotychczasowéj wysokości. W ten sposób stało się, że w sądach galicyjskich zatrudniano dzieci, zaledwie wyrostków za wynagrodzeniem 8 lub 10 a najwyżéj 25 guldenów miesięcznie. I takich to urzędników używano w protokóle podawczym, w registraturze, w ekspedycie, ba nawet powierzano im przeprowadzanie pertraktacyi spadkowych. Ponieważ tym proletaryuszom, a byli między nimi także ojcowie rodzin, cierpiącym wraz z żonami i dziećmi głód wieczny, inny rodzaj uczciwego zarobku nie był przystępny, przeto w sądach galicyjskich wyrobiła się straszliwa plaga krajowa, nazywająca się pisarstwem pokątném. Cierpi z tego powodu powaga sądów oraz materyalne dobro ludności. Skoro jednak za to mógł p. prezydent sądu wyższego wykazywać oszczędności i zbiérać komplimenta—to rzecz była *summa summarum* dobra. Pomnożenia sił konceptowych nie można już było w taki sam sposób dokonać, należało się wziąć do tego inaczej. Polecono tedy surowo, żeby wszystkie zaległości były natychmiast wyrobione, a peryodyczne wykazy mają być odtąd w swoim czasie, ale bez zaległości przedstawiane. Jak rozkazano, tak się stało. W pierwszéj instancyi, powiedział p. prezydent, badanie aktów i zastanawianie się nad wyrokiem, nie powinno zbyt wiele czasu zajmować, albowiem zawsze znajdzie się strona niezadowolona, która będzie apelowała do wyższego sędziego, a zatem sędzia wyższy zbada już rzecz gruntownie. Tak tedy rozpoczął się w Galicyi „zwyczaj kreślenia numerów“ i nie ten referent uchodził za najdzielniejszego, który najlepszéj roboty dostarczał, ale ten, co w stosunkowo najkrótszym czasie najwięcéj kawałków wyrobił, i ten, który nie wykazywał żadnych zaległości. Ztąd powstały formalne wyścigi w kreśleniu numerów, przyczém całkiem naturalnie, w prawidłowéj administracyi sądowniczéj, słusznie wymaganą jakość orzeczeń, musiała zastąpić i c h i l o ś ć. Nadto jako samoistnych sędziów w sprawach drobiazgowych i karnych, ba, jako nawet sędziów śledczych używano młodych, niedo-

świadczonych, pierwotnie tylko do bardzo mało znaczącéj pomocy przeznaczonych praktykantów. Proszę sobie wyobrazić takiego samoistnego sędziego, mającego prawo rozstrzygać o honorze i majątku, o całym losie nietylko poszczególnych obywateli państwa, ale i całych familij, obarczonego nad miarę pracą, a często toczącego najcięższą walkę o byt własny i swojéj rodziny! Jakież to niesumienne wystawianie młodych urzędników państwa na wszelkiego rodzaju pokusy, ileż z tych urzędnikéw rzeczywiście upada! a dowodem tego jest istotne pogorszenie sądownictwa. Młodzi ludzie, zamiast przez asystowanie gruntownym i sumiennym badaniom i orzeczeniom starszych radców, miasto nabywać fachowego doświadczenia, wymierzają samodzielnie sprawiedliwość przez „kreślenie numerów", przywykają przez to do powierzchownéj, niedokładnéj i niedbałéj pracy. Zatém jako fachowcy są straceni. Dodać wypada, iż często się zdarza, że jednemu sędziemu na rano i na popołudnie wyznaczają po kilka spraw karnych, choć ściśle wziąwszy, ledwie jedna z nich w jednym dniu może być załatwioną. W takim składzie rzeczy idzie tylko o to, aby w postępowaniu sądowém zadosyć uczynić formie, albo tylko jéj pozory zachować. Czy zasądzony winien jest rzeczywiście, to rzecz podrzędna, jak skoro są tylko zaprzysiężone zeznania świadków. Świadkowi daje się wiarę dla tego, ponieważ jest zaprzysiężony, a nie dla tego, że mówi prawdę. Zaprzysiężenie jednak w pewnych warunkach jest, jako takie, bardzo słabą rękojmią, że świadek mówił prawdę. Czy rzeczywiście prawdę zeznał, to musi dopiéro sędzia zbadać z największą sumiennością, uwzględniając osobistość danego świadka, stopień jego inteligencyi, możliwość po mistrzowsku zakrytéj obłudy i t. d. Zalecany z góry jaknajwiększy pośpiech do szybkiego załatwiania spraw, nie dozwala jednak galicyjskiemu sędziemu dokładnego zbadania rzeczy; wystarczy, jeśli wyrok polegający „na wolném przekonaniu sędziego", zgodnie z formą będzie wydany. Nienaruszalna formułka „wolnego przekonania sędziowskiego", ten biurokracyą uświęcony a dla sędziów niesumiennych wygodny szablon wyrokowania w pierwszéj instancyi „nigdzie nie wyrządził tyle złego co w Galicyi i przyczynił się do niezaprzeczonego upadku powagi sądów. Ustawą gwarantowane kolegialne rozstrzyganie tak w sprawach karnych jak cywilnych, jest czczem urojeniem, czczą formą, które wyrządzoną krzywdę i niesprawiedliwość czynią tém dotkliwszemi, im kto naiwniejszym był i brał te prawne rękojmie na seryo. Takim sposobem stało się, że w postępowaniu karném, przy kolegialném rozstrzyganiu, powzięte z góry mniemanie prokuratora, lub też przewodniczącego, w spra-

wach zaś cywilnych referenta jest zawsze decydującém. W istocie więc, we wszystkich instancyach zamiast sądów kolegialnych, mamy tylko jednego sędziego. Referentom ustawa wprawdzie przepisuje, ażeby referaty swoje dokładnie opracowywali i wyczerpująco przedstawiali, iżby członkowie senatu z całym spokojem zbadaniu spraw oddawać się i według najlepszéj wiedzy i sumienia rozstrzygać mogli, wszelako referent jest także tylko człowiekiem i ma ludzkie ułomności. Subiektywne, jednostronne zapatrywania prawne, mniejsze uzdolnienie umysłowe i mniejsza wiedza jurydyczna, pewne względy, uprzedzenia i t. p., a nawet mimowolne, ale dla sprawy saméj nader szkodliwe przypadki, przyczyniają się wogóle do tego, iż radzący *in collegio* członkowie senatu nader rzadko mają sposobność do tego, aby przez podnoszenie przeciwnego zdania zawinić, że posiedzenie sądowe zostałoby przedłużone. Zresztą tylko człowiek bardzo naiwny może wierzyć, że to, co czteréj sędziowie z możliwém natężeniem i zużyciem całego czasu, z osobna, w ciągu pięciu lub sześciu dni wyznaczonych na studyowanie aktów, zrobić mogą, że to samo zrobią oni kolegialnie w ciągu cztero- albo pięcio-godzinnego posiedzenia. Widzimy więc, że nie ma wcale sądów kolegialnych, i że nawet na posiedzeniach kolegialnych referaty w całości czytane nie bywają, a tylko pokrótce markowane. Wszelkiéj samowoli, wszelkiéj jednostronności, ba, nawet nadużyciu — drzwi stoją otworem, postępowanie zaś tajne, piśmienne, nie podlegające kontroli, musi się przyczyniać do złego jeszcze bardziéj. Pomijając nie bardzo budującą judykaturę w przekroczeniach, jako powszechnie znaną, przechodzę do postępowania drobiazgowego, ze szczególniejszém uwzględnieniem stosunków galicyjskich. (Postępowanie drobiazgowe dotyczy sporów poniżéj 5o-u guldenów). Otóż w dwojaki sposób jest ono chybione, a nawet szkodliwe. Wbrew nabytym i przez długie wieki w przekonanie ludu wsiąkniętym zapatrywaniom, przeniesiono punkt ciężkości, w braku innych, tak zwanych środków dowodowych, na przysięgę stron. Przeciw błędnemu tłómaczeniu ustawy, nie masz żadnego środka prawnego, przeciwnie, wolne przekonanie sędziego panuje niepodzielnie na całym obszarze postępowania drobiazgowego. Tym sposobem subiektywnéj samowoli i ignorancyi stworzono poświęcone *asylum*, bo nie wysokość kwoty, o którą idzie, ale rodzaj sprawy stanowi trudność w rozstrzyganiu, w którém wiedza jurydyczna, sumienność i rozwaga zaiste twardą przechodzić muszą próbę.

Dla biednego ojca rodziny, mającego sprawę drobiazgową, często 5 do 5o zł. znaczą tyle co majątek cały i są kwestyą jego egzystencyi. Jednemu sędziemu w sprawach drobiazgowych wyzna-

czają na jedno przedpołudnie 5o do 8o procesów takich, z całą procedurą zaprzysięgania świadków itd. Musi on te wszystkie numera wymazać, ale gdyby nawet jak Herkules był fizycznie silny, mądry jak Salomon a sprawiedliwy jak Kato, to jednak musiałby się pomylić i w czémś uchybić. Praktyka stworzyła w tym względzie środek wyjścia. Skarżącego uważa się w zasadzie za świadka. Odważny i o bardzo elastyczném sumieniu człowiek może sprawami drobiazgowemi w Galicyi zarobić bardzo wiele, plądrując swych bliźnich poprostu, jednak nie wyżéj nad kwotę 5o zł. Taka judykatura daje się ludności we znaki bardziéj, niż lichwa...

Oto byłby już mały obrazek sądownictwa galicyjskiego w pierwszéj instancyi, które jednak według zapatrywania b. prezydenta wyższego sądu kraj. lwowskiego nie jest tak niebezpieczne, ponieważ sądy wyższe są właściwie do tego, aby wykonywać potrzebne sprostowania.... W gruncie rzeczy ograniczyło się wszystko do owych peryodycznych wykazów. Wymazane numera są tylko martwym świadkiem tego, w jaki sposób załatwienie nastąpiło, są one jednak zarazem pożądanym i wymownym świadkiem tego, że kawałki w ogóle załatwione.

Atoli i w drugiéj instancyi panuje nagonka do mazania numerów... Usilne staranie, aby wykazy peryodyczne odpowiadały zupełnie oczekiwaniom p. prezydenta, nieraz zaprawdę przełamywało z konieczności żelazo obowiązku.

Co do tych zresztą dość wygodnych kłopotów uspakajano sumienie bardzo łatwo, albowiem według ogólnéj recepty jest jeszcze trzecia instancya, powołana do usuwania usterek wyższego sędziego...

A teraz przechodzę do wyświecenia właściwéj wartości i urzędowéj czynności tego właśnie najwyższego trybunału, który miał być „*summum bonum*“ sprawiedliwości. Nie należy zapominać, że wyroki najwyższego trybunału są nieodwołalne, że zatém powinny być ferowane w zupełném przeświadczeniu o ich świętości i nietykalności. W przeciwieństwie do postępowania sądowo-karnego w I-széj instancyi w sprawach drobiazgowych, powinien się on trzymać ściśle tylko przepisów prawnych. Tak przynajmniéj nakazuje § 46 cytowanego wyżéj cesarskiego patentu. Wiadomo jest wprawdzie, że najwyższe orzeczenia sądowe bywają drukowane, ale i to wiadomo, że ogólne są zażalenia na różnice w tych orzeczeniach, które często sobie nawzajem przeczą. Pomijam to, jak owe orzeczenia przyjmuje fachowa krytyka. Sposób wygodnego kreślenia liczb także i w najwyższym trybunale zrobił znakomite postępy, a ponieważ nie ma już apelacyi przeciw jego orzeczeniom, ułatwia

to ową zgubną manipulacyą. Orzeczenia te powołują się wprawdzie na motywa wyroków 1-széj i 2-giéj instancyi, zazwyczaj nie podają powodów, dlaczego się nie powołują i nie odpierają zarzutów podniesionych przez strony w swoich odwołaniach się... Tajemnica, która okrywa całą procedurę postępowania cywilnego i niemożebność kontroli, ułatwiają w wysokim stopniu dowolność sędziów, ale nawet publiczne ustawą unormowane postępowanie, tak w procesach karnych, jak w bagatelkach, zwyrodniało wielce w praktyce. Przy tém niemożliwém i niepewném wyrokowaniu jestto zawsze rzeczą nader ryzykowną, nawet w razie najgłębszego przekonania o doznanéj krzywdzie, dochodzić praw swoich aż w trzeciéj instancyi, i łatwo zdarzyć się może, iż zamiast uzyskania prawa uzyska się karę za śmiałość zbyteczną. Według § 286 proc. k. i § 3 nowelli z 31 grudnia 1877 ma trybunał kasacyjny, a zatém cały senat, po wysłuchaniu prokuratora jeneralnego najprzód, obradować na posiedzeniu tajném, a dopiero potém wyrokować. Tak przepisuje ustawa. Praktyka jednak, przynajmniéj w galicyjskim wydziale najwyż. trybunału, idzie całkiem odmiennemi drogami.

Według §§ 45 i 46, daléj 140 do 143 ces. patentu z 3 maja 1853, § 160 p. inst. 258 i 362 proc. k., powinien odnośny referent całkiem samoistnie i bezstronnie zbadać akta i zażalenia i według tego referat swój sporządzić, oraz postawić wnioski, o których trybunał kasac. po wysłuchaniu prokuratora jener. wyrokować ma. Tymczasem jednak urządza się rzecz tak, że referent razem z prokurtorem jener. a zatém pod jego wpływem, referat swój i wnioski układa, prokuratorya jeneralna przykłada na referacie swoje *vidi* zgody i z tém idzie referent na niepubliczne posiedzenie trybunału kasac... Tak to wygląda w praktyce najwyższa judykatura, i to w wypadkach, gdzie cześć i społeczne stanowisko obywateli zależą od wyroku. *Exempla trahunt.* A jeśli najwyższy trybunał, najwyższa państwowa, bez odwołania będąca, instancya pozwala sobie na tego rodzaju dowolności, to nie dziw, że i niższe instancye dopuszczają się także samowoli... Nawet przy oczywistych błędach w wyrokowaniu, sądy upierają się z bezduszną formalistyką na uzyskanéj już raz prawomocności, a nadto z umysłu robią dopuszczalnemu i żadnemi względami nieskrępowanemu ułaskawieniu monarszemu trudności...

W dalszym rzędzie przychodzi mianowicie sposób awansów sędziowskich. Nietylko zaszczyt wyższéj rangi, ale szczególniéj związane z nim pobory są same przez się już wystarczające, ażeby niesu-

mienne karyerowiczowstwo popychać do jak najszybszego zrobienia karyery. Stan sędziowski i niezawisłość sędziowska już z tego powodu cierpią wiele, że przy obsadzaniu posad sędziowskich funkcyonaryuszom prokuratoryi dawane jest bezwarunkowo pierwszeństwo. Prokurator, w ślepém posłuszeństwie swoim przełożonym tj. dla nadprokuratoryi państwa i dla ministeryum sprawiedliwości, ażeby tak się wyrazić: wytresowany, zapomina mieć własne zdanie i być samodzielnym, zwłaszcza, gdy u nas źle zrozumiane stanowisko oskarżyciela publicznego czyni z niego naturę przesiąkniętą na wskróś pessymizmem, do wszystkiego uprzedzoną, a odznaczającą się nadto nadmiarem gorliwości służbowéj. W rzadkich tylko wyjątkach, sędzia, mający przeszłość prokuratorską za sobą, odpowiada oczekiwanemu przez ustawę ideałowi: n i e u p r z e d z o n e g o, w o l n e g o, l u d z k i e g o s ę d z i e g o... Niedokrewność cywilno-prawna i sądowo-karna samowola nie mogą złożyć się na dobrego sędziego, a jednak stało się systemem: przeładowywać sądy wyższe i najwyższy trybunał radcami, mającymi przeszłość prokuratorską i w tém leży przyczyna wyrodzenia się, gdyż absolutnie ustawom istniejącym przeciwnego, tak zwanego obiektywnego postępowania w sprawach prasowych. To obniżanie poziomu sędziowskiéj niezawisłości wytworzyło się w Galicyi jeszcze na większą aniżeli gdziekolwiekindziéj skalę. Posunięcie na wyższy stopień hierarchii zależne jest tam jeszcze od całkiem szczególnych warunków. Najprzód należy zasłużyć sobie na prawo do otrzymania dobréj kwalifikacyi. Dojść można do tego bardzo licznemi i bardzo rozmaitemi drogami. Najlepszą próbą dobréj kwalifikacyi było i jest to, jak kogo można użyć w tak zwanym w Galicyi wschodniéj senacie prezydyalnym. Senat prezydyalny, według terminologii wschodnio-galicyjskiéj, jest to senat, zostający pod osobistém przewodnictwem prezydenta, a mający rozstrzygać w wypadkach, interesujących szczególnie samego p. prezydenta. Były prezydent wyższego sądu krajowego br. Schenk potrafił po mistrzowsku operować tym prezydyalnym senatem, a ponieważ nie wziął — (bo nie mógł) — żadnego patentu na ten wynalazek, przeto prezydenci sądów krajowych z całą przyjemnością uważali sobie za obowiązek pójść za przykładem swego przełożonego. Do tego prezydyalnego senatu, nigdy samoistnie myślących i wiernych swemu przekonaniu sędziów, jako z zasady wykluczonych, nie powoływano, i to podkopało samoistność sędziowską jeszcze bardziéj, a trybunały stały się (przynajmniéj w Galicyi wschodniéj) właściwie jednoosobowemi senatami prezydyalnemi. Wziąwszy do rąk galicyjską listę rang sędziowskich, można każdego karyerowicza, który na koszt czasu służby in-

nych zrobił karyerę, natychmiast palcem wskazać, a ten szybkonogi kontyngens stanowi więcéj niźli połowę funkcyonaryuszy sędziowskich!

Że taki urzędnik na nowéj swéj posadzie ma aż nazbyt często sposobność okazać wdzięczność swemu protektorowi — to niestety jest ludzką, ale dla wymiaru sprawiedliwości niezbyt pożądaną konsekwencyą. Atoli dobra kwalifikacya własnego jednego przewodniczącego nie była przecież dostateczną. Potrzeba było osiągnąć jeszcze korzystne wotowanie referenta ministeryalnego. Fatyga w tym kierunku ułatwiona była o tyle, o ile interesowani potentaci mieli tych samych przyjaciół w osobach szkodliwéj, we Lwowie znanéj kliki adwokackiéj, na któréj czele stoi niejaki dr. Roiński. Klika ta uzyskała z biegiem czasu nader pożądane rozszerzenie swéj władzy przez to, że do swego związku przyjęła dr. Karola Stromengera, adwokata lwowskiego, ożenionego z córką b. prezydenta wyższego sądu krajowego. Istnienie takiego stanu rzeczy musiało samo przez się bardzo podkopywać powagę sądownictwa w Galicyi. Może kiedyś zajdzie potrzeba wejść bliżéj w te stosunki; na dzisiaj nie mam tego zamiaru.

Moi Panowie! parlamentarne czynniki ustawodawcze i ministrowie, zostają co do swych czynności pod kontrolą i krytyką publiczną; tylko na polu sądownictwa czy to umyślnie, czy z zaślepienia, a może i zbytniéj wiary w siebie, utworzył się stan idyotycznego *Papua-Tabu*, rodzaj *noli me tangere*. Wyroki sądowe nie mogą być w publicystyce omawiane, albowiem przeszkadza temu osławione postępowanie obiektywne, pozwalające za rzeczy w tym rodzaju każdy dziennik konfiskować; parlamentarny zaś rozbiór nazywają brakiem patryotyzmu, jeżeli rozbiór ten kompromituje sądownictwo. I ludzie myślą, że wyświadczają przysługę konstytucyjnemu życiu państwa, jeśli milczeniem przyjmują na się część winy i omijają drogi reformy! Mniemam, że funkcyonaryusze sądowi bez względu na swój urząd, czuć to i myśléć powinni, iż za każde uchybienie ustawom i dobru obywateli, ich pieczy powierzonym, publicznie do odpowiedzialności pociągnięci być mogą i rzeczywiście będą. Tylko przeciwne ustawie, nieprawne orzeczenie sędziowskie unika światła dziennego, obawia się publicznéj dyskusyi fachowéj; kontrola w dyskusyi publicznéj przeprowadzona jest tu jedyną drogą do skutecznéj reformy na polu administrowania sprawiedliwości.

Te ogólne wywody chcę teraz oprzéć na szeregu poszczególnych wypadków, które zebrałem, ale poczuwam się do obowiązku

wyraźnie zaznaczyć, że one wszystkie—z wyjątkiem jednego—odnoszą się do czasu urzędowania wyżéj przezemnie nazwanego prezydenta sądu wyższego i że obecnie urzędujący prezydent p. Simonowicz z sumiennością i wysiłkiem pracy stara się o usunięcie zastarzałych nieprawidłowości.“

Poseł Pernerstorfer podał sporą wiązankę takich faktów, od których człowiekowi uczciwemu powstają włosy na głowie. Zbrodnie takie, jak oszustwo i nadużycie władzy urzędowéj stanowią ich główną treść. I aby go kto nie posądził, iż jeno dla czczego efektu i w zamiarze szkodzenia w opinii p. Schenkowi, wywleka brudy nigdy nie bywałe, przy każdym fakcie z osobna przytaczał nazwiska osób współdziałających. Niestety między niemi było najwięcéj adwokatów lwowskich. Nie sądzę, aby powtórzenie tych szczegółów na tém miejscu było stosowne. Są rzeczy ohydne, których lepiéj nie tykać. Pominę je zatém milczeniem i na zakończenie tego obrazu powtórzę słowa arcykonserwatywnego „Przeglądu“, który jako organ wiedeńskiego lenderbanku bliższym jest sfer rządowych niż opozycyi. Dziennik ten, wychodzący we Lwowie pod redakcyą p. Ludwika Masłowskiego, napisał w nr. 124 z r. 1888:

„Że mowa ta wywarła w kraju naszym dawno niebywałe i głębokie wrażenie, temu przeczyć byłoby prostém zaślepieniem. W tém leży właśnie cała jéj doniosłość. Słusznie ustawy są na to, aby były ściśle wykonywane i stosowane, albo lepiéj żeby ich wcale nie było. Jeżeli jednak są ustawy niedostateczne, lub jeżeli które się przeżyły, w takim razie należy je w drodze prawodawczéj odpowiednio potrzebom czasu zmienić, ale nie, jak to się niestety często dzieje, przez praktykę do potrzeb czasu naginać. Podnoszenia i publicznego omawiania czynności spełnianych w imię publicznego lub państwowego obowiązku, nie możemy nigdy zaliczać do spraw osobistych, wrzekomo wyjętych z pod prawa parlamentarnego lub publicznéj dyskusyi. Wymienianie w takim razie imion zależy od zapatrywania. Gdzie, jak i u kogo czerpał poseł Pernerstorfer swoje informacye, jest to dla sprawy saméj rzeczą zupełnie obojętną, idzie bowiem tylko o to, czy podniesione fakta są prawdziwe, czy nie. Z prawdziwą przykrością musimy jednak skonstatować, że każdy z podniesionych przez tego posła zarzutów, gdyby tylko częściowo został sprawdzonym, już najzupełniéj usprawiedliwi jego wystąpienie. To téż sądzimy, że wypowiemy tylko oczekiwanie całego kraju, jeżeli z całém zaufaniem dla p. ministra sprawiedliwości, przyłączymy się do budżetowego sprawozdawcy p. Lienbachera, że przytoczone fakta zostaną z całą bezwzględną sumiennością i bezstronnością jak najrychléj zbadane. Niepodobna bowiem

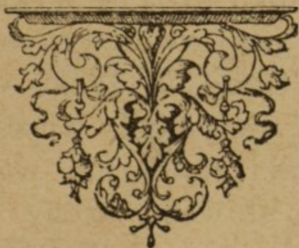
przemilczeć, że podniesione przez posła P. zarzuty, stanowią u nas tak zwaną publiczną tajemnicę. Atoli właśnie dobro sprawy publicznéj wymaga, ażeby przez najściślejsze dochodzenia słuszność lub bezzasadność takich publicznych tajemnic była koniecznie zbadaną i wyświeconą. Inaczéj postępując, wyrządziłoby się prawu i porządkowi publicznemu ciężką, niepowetowaną szkodę."

Ponieważ od mowy Pernerstorfera upłynęło już kilka tygodni, słusznie przeto mógłby mnie nie jeden zapytać, co pan minister sprawiedliwości dotąd uczynił, aby podniesione przez tego posła zarzuty bądź wyjaśnić, bądź obalić. Jako człowiek prywatny, nie mogę być wtajemniczony we wszystkie szczegóły maszyneryi biurokratycznéj, która w Austryi jest niezmiernie skomplikowana i silna; mogę więc tylko to powiedziéć, o czém we Lwowie mówią dziś powszechnie, że droga, jaką minister sprawiedliwości obrał w téj sprawie drażliwéj, nie należy do tych, które niewątpliwie do celu prowadzą. Udowadnia to najlepiéj smutna historya faktu następującego:

Przy końcu swojéj mowy, poseł Pernerstorfer wspomniał o pewnym adwokacie lwowskim, którego zasądzono wrzekomo za sprzeniewierzenie, lecz zasądzono nie po formie, tylko w b r e w u s t a w o m i p r z e p i s o m. Tym adwokatem jest dr. Felicyan Jackowski, który przez dłuższy czas był uważany w Galicyi za najzdolniejszego, prócz tego za najzuchwalszego prawnika, co u ludzi z talentem, a przytém idących przez świat przebojem, często się przytrafia. Że taki człowiek mógł sobie zrobić wielu nieprzyjaciół, czyhających na jego zgubę, to rzecz jasna. Szczególnie między kolegami nie był on popularny. Gdy przed trzema laty ktoś doniósł do sądu, że p. Jackowski wziął od jednego ze swych klientów 30.000 guldenów, która to kwota, po śmierci owego klienta znalazła się w notatkach uwidoczniona, sąd nie badał téj sprawy z należytą skrupulatnością, a że koniecznie chciał dra J. z drogi usunąć, więc miasto postawić go przed sąd przysięgłych, jak tego ustawa żąda, który byłby obżałowanego prawdopodobnie uniewinnił, gdyż ten tłómaczył się, że pobrał tylko należące mu się honoraryum, nic więcéj, powołał go przed zwykły trybunał i zasądził. Po tém pierwszém i najjaskrawszém naruszeniu ustawy, nastąpił cały szereg innych, ba! nawet trybunał najwyższy, o który w końcu ta smutna sprawa się oparła, nie okazał się dość przedmiotowym i sprawiedliwym. Gdy i on wyrok pierwszéj instancyi potwierdził, dr. Jackowski wniósł podanie do cesarza, poparte bardzo licznemi podpisami wybitnych obywateli lwowskich, w którém prosił, bądź o rewizyą procesu, bądź o ułaskawienie. Prośbę jego wręczył cesarzowi sam prezydent izby deputowanych, dr. Smolka. Monarcha przyjął ją łaska-

wie, wstrzymał wykonanie wyroku i nakazał dochodzenie. Aż dotąd rzecz się przedstawia bardzo pięknie, skoro bowiem cesarz ujął się za pokrzywdzonym poddanym, złożył tém dowód szlachetności swego umysłu i niezaprzeczonéj chęci naprawienia złego; jednakowoż na tém także wszystko się skończyło. Z gabinetu cesarskiego sprawa dostała się w ręce ministra sprawiedliwości, ten zaś idąc utartemi drogami biurokracyi austryackiéj, zapytał o opinią co do procesu p. Jackowskiego, te same instancye, które go śledziły, uwięziły i zasądziły. Trzeba być bardzo naiwnym, aby przypuścić, że one teraz oczyszczą p. J. a oskarżą siebie. Wszak sama loika powiada, że przedewszystkiém będą się starały swoje postępowanie usprawiedliwić, i aby tém łatwiéj to osięgnąć, zrobią teraz dra Jackowskiego jeszcze czarniejszym niż był u nich przedtém. Zachodzi więc pytanie, czy tak samo jak z d-rem J. nie stanie się i z innemi faktami, przytoczonemi przez posła Pernerstorfera. Dochodzenie niewątpliwie spełznie na niczém, jeżeli rzecz będzie szła według utartych szablonów, od których biurokracya austryacka niestety na krok dotąd nie odstępuje. Gdyby coś podobnego jak z adwokatem Jackowskim, wydarzyło się w Prusiech, w Anglii, we Francyi, albo téż w Rosyi, niewątpliwie zostałaby natychmiast wyznaczona komisya *ad hoc*, którаby poza wszystkiemi sądami rzecz zbadała i następnie samemu monarsze zdała z niéj sprawę. U nas o czémś podobném dotąd nie słychać. Jest to bardzo smutna strona medalu, i dla tego niech się nikt nie dziwi, jeźli opinia powszechna jest u nas w wysokim stopniu zaniepokojona i z niekłamaném zajęciem wygląda końca procesu dra Jackowskiego.

Józef Rogosz.





EMBRYOLOGIA,

JAKO NAUKA DOŚWIADCZALNA.

W szeregu nauk biologicznych embryologia zajmuje jedno z najwybitniejszych stanowisk. Dosyć jest rozejrzéć się nieco w literaturze zoologii ostatnich lat kilkunastu, by przekonać się, jak wielka ilość prac poświęcona jest badaniom embryologicznym. Nauka ta rozwinęła się bardzo silnie pod wpływem darwinizmu, a znakomite postępy zawdzięcza temu, iż opiera się na metodzie porównawczéj, iż nie poprzestaje na gromadzeniu suchych faktów, lecz objaśnia je, wyciąga z nich wnioski ogólne, tworzy hypotezy i teorye, jest jedném słowem n a u k ą we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Od czasu, gdy teorya powstawania gatunków stała się środkiem ciężkości w naukach biologicznych, kwestya pochodzenia różnych grup świata zwierzęcego, czyli dzieje rodowego rozwoju zwierząt—zaczęła żywo zajmować umysły zoologów.

Historya rodowego rozwoju czyli filogenii zwierząt jest nadzwyczajnie dla badań trudna. Ażeby wykryć stopień wzajemnego pokrewieństwa pewnych grup zwierzęcych, określić, które z nich wystąpiły wcześniéj na widownią życia w dziejach ziemi naszéj, które zaś późniéj, które z nich uległy większéj modyfikacyi w biegu czasu, które zaś zachowały mniéj lub więcéj niezmieniony pierwotny charakter, jedném słowem, ażeby nakréślić z największém prawdopodobieństwem dzieje owéj długiéj, a niezmiernie ciekawéj drogi, po któréj kroczył rozwój świata zwierzęcego—nauka posługuje się różnemi metodami. Paleontologia poucza nas o licznych, zaginionych obecnie, formach przejściowych, które łączyły z sobą oddzielne grupy zwierzęce ogniwem pokrewieństwa. Rozpatrując kolejno postaci, znajdywane w pokładach geologicznych starszych,

a następnie formy, zawarte w warstwach młodszych, które późniéj na ziemi wystąpiły, paleontologia mogłaby nakreślić bezpośredni obraz dziejowego rozwoju zwierząt i mogłaby napozór oddać pod tym względem znakomite usługi. Niestety jednak w rzeczywistości dostarcza ona niezmiernie szczupłego materyału do dziejów świata organicznego. Jak wiadomo, w pokładach geologicznych zachować się mogą tylko części twarde ciała zwierzęcego, jak kości, zęby, pancerze; części miękkie mogą być przekazane przyszłości tylko jako mniéj lub więcéj niedokładne odciski; zresztą zachowanie się odcisku ciała zwierzęcego zależy od przypadku, od szczególnego, szczęśliwego zbiegu wielu warunków, ztąd też stosunkowo odcisków zachowało się bardzo niewiele. Jeśli zaś przytém zważymy, że zewnętrzne części ciała (które jedynie mogą się odcisnąć w miękim pokładzie) nie dają nam jeszcze pojęcia o budowie wewnętrznéj, to zrozumiemy łatwo, dla czego tak niedostatecznemi są dane paleontologii.

Druga, daleko bogatsze dająca plony, metoda badań filogenetycznych (t. j. dotyczących rodowego rozwoju zwierząt) polega na porównywaniu z sobą organizacyi i budowy różnych grup zwierzęcych, obecnie na ziemi żyjących. Jest to zadanie anatomii porównawczéj. Nauka ta uczyniła olbrzymie postępy w ostatnich kilkudziesięciu latach; wykryła mnóstwo t. z. homologicznych czyli jednoznacznych organów u grup zwierząt, pozornie bardzo mało z sobą spokrewnionych, wykazała istnienie wielkiéj liczby organów szczątkowych u zwierząt wyższych, którym to organom u niższych ustrojów jaknajściśléj odpowiadają narządy, mające ważne znaczenie fizyologiczne; tym sposobem anatomia porównawcza, wykazując podobieństwo i różnice w budowie, daje ważne wskazówki, dotyczące stopnia wzajemnego pokrewieństwa różnych grup zwierzęcych, co dla badań filogenetycznych ma naturalnie nadzwyczajną doniosłość.

Wszelako dla genealogii zwierząt ma największe znaczenie ze wszystkich nauk embryologia porównawcza. Im ściślejszym węzłem pokrewieństwa łączą się z sobą pewne grupy, tém podobniejsze są pierwsze stadya ich rozwoju; w ten sposób badania wczesnych faz rozwoju mogą dać nader ważne wskazówki rodowodowe. Każdy organizm wyższy przebiega w osobnikowym swym rozwoju stadya, mniéj lub więcéj podobne do kolejnych postaci przodków rozwoju rodowego; rozwój osobnika od jajka aż do stanu rozwiniętego i rozwój rodowy danego gatunku od form najniższych do coraz wyższych przedstawiają szeregi mniéj lub więcéj równoległe. Łatwo więc zrozumiéć, że w rozwoju osobników moż-

na wyprowadzać w wielu razach dosyć prawdopodobne wnioski filogenetyczne. Równoległość ta nie jest tak ścisłą, jak nie jeden może przypuszcza; warunkuje się to tém, iż osobnikowy rozwój jest nadzwyczajnie skrócony w porównaniu z rodowym, oraz okolicznością, iż zarodek musi się przystosować w każdym poszczególnym wypadku do warunków życia płodowego, lub też jako swobodnie żyjąca larwa, do warunków swego otoczenia, te zaś specyalne przystosowania maskują i zmieniają w wielu razach stadya rodowe w rozwoju indywidualnym. Tak np. w jajkach zwierząt znajdujemy mniéj albo więcéj żółtka przeznaczonego do odżywiania zarodka, pewne specyalne organy, służące za zbiorniki dla żółtka tego (t. z. pęcherze żółtkowe), błony, za pomocą których zarodek przyczepia się do ciała matczynego, specyalne organy, któremi przechodzą soki odżywcze od matki do płodu i t. d.; wszystko to są utwory, wywołane wskutek przystosowania się zarodka do warunków życia płodowego i nie są naturalnie powtórzeniem stadyów rodowych. Wszystkie tego rodzaju organy noszą nazwę cenogenetycznych.

Otóż, gdyby się udało ściśléj oddzielić takie procesy późniejsze, wtórne, czyli cenogenetyczne od pierwotnych, stanowiących powtórzenie stadyów rodowych i uwarunkowanych genealogiczném pokrewieństwem danéj grupy zwierząt z innemi, — to dla filogenii wynikła by z tego korzyść niesłychanie wielka.

Jeżeli czynniki *a* i *b* wywołują ogólny skutek *c*, to aby ściśle określić udział obu tych czynników, należy w naukowych badaniach uciec się do doświadczenia; sztucznie usuwając z kolei czynnik *a* albo *b*, obserwujemy, jaka nastąpi zmiana w *c*, lub też sztucznie modyfikując jeden z czynników, obserwujemy, o ile i jak się zmieni *c*. Gdybyśmy zatém i w danym naszym wypadku mogli sztucznie zmodyfikować w różny sposób warunki, w jakich pozostaje rozwijający się zarodek, gdybyśmy przytém dostrzegli, że pewne strony jego organizacyi ulegają przez to większym i głębszym przemianom niż inne, moglibyśmy ztąd wnosić, że te to właśnie cechy są głównie uwarunkowane przystosowaniem się zarodka. Jednem słowem, zmieniając sztucznie przez dłuższy czas pewne warunki, zdołalibyśmy może zmodyfikować pewne cenogenetyczne procesy, a tém samém łatwiéj by nam było odróżnić je od procesów palingenezy, t. j. od cech pierwotnych, odziedziczonych po bardzo dawnych przodkach rozwoju rodowego. W taki więc sposób eksperyment w embryologii mógłby rozjaśnić nie jeden punkt sporny, ważny dla kwestyi pochodzenia i rodowego rozwoju gatunków.

Na inną stronę ważności eksperymentu w embryologii zwraca uwagę prof. Leo Gerlach (1), którego zapatrywanie jest następujące.

Jeśli zadamy sobie pytanie, czy wiek zwierzęcia wpływa na siłę zdolności przystosowania, tj. czy ta zdolność w różnym wieku osobnika pozostaje taką samą, czy też zmienia się—to dojdziemy naturalnie do wniosku, iż młodsze osobniki posiadają, większą zdolność „przystosowawczą" niż starsze. W jeszcze wyższym stopniu „zdolność przystosowawcza" jest rozwinięta w epoce embryonalnéj, przyczém tém silniéj przejawia się ona im młodszemi są zarodki i im mniéj postąpiły naprzód w stadyach, odpowiadających rodowym. Młodszy zarodek jest plastyczniejszy tak pod względem ogólnego kształtu ciała, jako też wewnętrznéj organizacyi, nie ma on jeszcze owych stałych, niepodatnych znamion, jakie znajdujemy u zwierząt rozwiniętych. Dlatego też zmiany normalnych warunków rozwoju, do których zarodek musi się przystosować, mogą wywrzéć wpływ nań mniéj lub więcéj głęboki i trwały.

Wynika z tego daléj, że tém snadniéj można liczyć na wywołanie u pewnego gatunku w ciągu określonego czasu jakiegokolwiek widocznego zboczenia, im dokładniéj udało by się modyfikować rozwój embryonalny przez pewien stały i w określonym kierunku działający czynnik.

Prof. Gerlach, zaznaczając z tego względu wielką doniosłość eksperymentu w badaniach embryologicznych, zapatruje się może nawet zbyt optymistycznie na ewentualne zdobycze na tém polu; sądzi on bowiem, że tą drogą udałoby się może silnie zmodyfikować pewne gatunki zwierzęce, jedném słowem, sprawdzić doświadczeniem zdolność gatunków do bardzo głęboko sięgających przemian pod wpływem warunków zewnętrznych.

Z powyższego wynika, że eksperyment w embryologii przyniósłby z wielu względów nieocenione korzyści morfologii zwierzęcéj; ściślejsze odróżnienie zjawisk cenogenezy od procesów filogenetycznych w rozwoju osobnikowym, zdolności „przystosowawcze", stopień zboczeń u zarodka i wpływ warunków zewnętrznych na powstawanie właściwości dziedzicznych—wszystko to są niezmiernie ważne ogólne pytania biologiczne, których, jeśli nie rozwiązania, to przynajmniéj rozjaśnienia oczekiwać możemy, od embryologii eksperymentalnéj.

---

(1) Ueber neuere Methoden auf dem Gebiete der experimentellen Embryologie. Anatomischen Anzeiger, 2 Jahrg. 1887, N. 18 i 19, oraz Biologischer Centralblatt N. 19.

Aż dotąd jednak embryologia była nauką, wyłącznie prawie obserwacyjną, metody jéj badań—morfologiczne. W każdéj jednakże nauce eksperyment oddaje nadzwyczajne usługi; sztuczne usuwanie pewnych wpływów, wprowadzanie w grę nowych czynników, dowolne zestawianie pewnych warunków dla potwierdzenia lub obalenia przypuszczeń, *à priori* wypowiedzianych,—wszystko to osiągnąć można na drodze doświadczenia.

Otóż, w ostatnich kilku latach zjawiło się w literaturze zoologicznéj kilka ważnych bardzo prac z dziedziny embryologii eksperymentalnéj, jako pierwsze nieledwie w tym kierunku próby. Prace te zapowiadają cały szereg innych, nowych poszukiwań na tém polu, przedstawiającém się jeszcze aż dotąd jako *tabula rasa*. Pragniemy w niniejszym artykule zapoznać czytelników z niektóremi zdobyczami w dziedzinie embryologii doświadczalnéj i wykazać, jak są one różnorodne i jak ściśle wiążą się z najważniejszemi zagadnieniami biologii.

Najnowsze badania doświadczalne w dziedzinie embryologii dają się sprowadzić do następujących punktów: do badania wpływu czynników zewnętrznych na proces zapłodnienia i rozwoju normalnego, oraz wpływu warunków sztucznych na powstawanie form potwornych, czyli teratologicznych. W laboratoryum rolniczo-chemiczném w Lipsku pp. Rauber i Sachsse (1) przedsięwzieli jeszcze w r. 1885 długi szereg poszukiwań nad wpływem zewnętrznych fizycznych i chemicznych czynników na przebieg rozwoju jaj zwierzęcych. Uczeni ci badali wpływ temperatury, ciśnienia atmosferycznego oraz różnych substancyi chemicznych. Pomijając rezultaty poszukiwań poprzedników tych badaczy, główniejsze zdobycze zaznaczymy tylko przez nich samych osiągnięte. Co do temperatury, to okazało się, że dla jaj różnych zwierząt istnieje pewna najodpowiedniejsza temperatura (*optimum*), przy któréj jaja najlepiéj się rozwijają, oraz pewne *minimum* i *maximum* temperatury, których przekroczenie wywiera na jaja wpływ zabójczy. Otóż, to *optimum*, *minimum* i *maximum* temperatury jest rozmaite dla różnych jaj a szerokość wahań tych bywa bardzo rozmaita. Wpływ ciepła na jajko okazuje się daléj nader urozmaiconym, zależnie od tego, jak szybko następują po sobie zmiany temperatury. Interesującą jest okoliczność, iż jaja oraz zarodki różnego wieku w danym gatunku zwierząt zachowują się prawie zupełnie jednakowo wobec zmian temperatury otaczającéj.

---

(1) Ueber den Einfluss äusserer Einwirkungen auf die Entwicklung tierischer Eier. Sitzungsberichte der naturforschenden Gesellschaft zu Leipzig. Jahrgang X, S. 55.

Nadzwyczaj ciekawe są doświadczenia powyższych badaczy nad wpływem ciśnienia atmosferycznego. Pewną ilość jaj łososia poddano przy temperaturze + 10 °C ciśnieniu trzech atmosfer (czyli przewyższającemu o dwie atmosfery zwykłe ciśnienie) w ciągu trzech dni. Okazało się, że w ciągu tego czasu rozwój był powstrzymany, lubo jajka nie uległy zagładzie. Większość jaj zachowała zdolność do dalszego rozwoju, lecz nie posunęły się one w nim daleko i wkrótce po doświadczeniu zamarły. Jeźli jednak wpływ powiększonego ciśnienia nie był czasowym, lecz działało ono stale przez cały ciąg rozwoju, to nie zabijało zarodków i nie powstrzymywało rozwoju, lecz tylko opóźniało takowy i prócz tego, rzecz ciekawa, wpływało w wysokim stopniu na przemianę kształtów ciała. Tak np. jeśli zarodki, znajdujące się na stadyum zamykania rurki nerwowéj, pozostawały w ciągu sześciu dni pod ciśnieniem dwóch atmosfer, to przykształcały się w formy o znacznie mniejszéj długości niż zwykle, a natomiast znacznie wyższe i szersze. Tego rodzaju doświadczenia, przeprowadzone na większéj ilości najrozmaitszych zwierząt wodnych, pozwoliły by nam może zrozumiéć owe interesujące postaci ryb, zamieszkujących ogromne głębie oceanów i w ostatnich czasach poznane.

Wreszcie różne substancye chemiczne: tlen, wodór, roztwory soli kuchennéj, amoniaku, kwasu siarczanego, salicylowego i t. d. zależnie od natężenia roztworu oraz długości działania albo nie okazywały żadnego wpływu na rozwój, lub téż powstrzymywały zarodki na różnych stadyach rozwoju; np. w roztworze kwasu siarczanego 1/16 na tysiąc części wody jaja żabie rozwijały się aż do stadyum powstawania skrzel; jednoprocentowego zaś roztworu soli kuchennéj nieprzenosiły ani zarodki żab, ani ryb.

Co do wpływu światła, to w ostatnich czasach położył na tém polu niemałe zasługi Emil Yung (1) z Genewy. Zbadał on wpływ rozmaitych promieni świetlnych na rozwój jaj żabich, jaj pstrągów i mięczaków. Skonstatował on, że promienie fioletowe przyśpieszają w znacznym stopniu wzrost i rozwój zarodka; w mniejszym stopniu sprawiają to promienie błękitne, a jeszcze mniejszy wpływ na wzrost okazują promienie żółte i białe. Światło czerwone i zielone wstrzymuje lub opóźnia rozwój, ciemność zaś opóźnia lecz nie powstrzymuje rozwoju. Różnéj łamliwości promienie światła dadzą się więc, według poszukiwań uczonego genewskiego, ułożyć

---

(1) E. Yung. Influence des lumières colorées sur le développement des animaux. Comptes Rendus, XCI, 440—441.—E. Yung: Influence des différentes couleurs du spectre sur le dével. des animaux. Archives de zool. expér. Lacaze-Duthiers'a, VII, 251—282.

w następującym szeregu, co do sprzyjającego wpływu na rozwój: fioletowe (najbardziéj sprzyjające) błękitne, żółte, i białe, czarne, czerwone i zielone (dwa ostatnie przeszkadzają rozwojowi).

W ostatnich kilku latach zajmowano się także bardzo kwestyą wpływu siły ciężkości na procesa embryonalne, a specyalnie na kierunek płaszczyzn, w których następuje podział jajka.

Uczony niemiecki prof. E. Pflüger pierwszy zwrócił uwagę na wpływ siły ciążenia na dzielenie się jajka żabiego. To ostatnie jest kuliste i składa się z dwu połów: mniejszéj, ciemnéj z powodu nagromadzenia się tutaj ciemnego barwnika, oraz większéj, jasnéj. Jeśli połączymy w myśli linią prostą biegun ciemny z jasnym, to otrzymamy t. z. oś jajową. Gdy zapłodnione jajko leży swobodnie w wodzie, oś jajowa przyjmuje zawsze mniéj lub więcéj pionowe położenie, przyczém biegun ciemny, zwany zwierzęcym zwraca się do góry, jasny zaś, czyli roślinny ku dołowi. Środek ciężkości jajka żabiego nie znajduje się w środku, lecz bliżéj roślinnego, w skutek tego właśnie jajko zwraca się biegunem ciemnym do góry. Otóż, dwie pierwsze płaszczyzny podziału przechodzą prostopadle do siebie przez oś jajową, a więc w kierunku pionowym; wskutek tego jajko dzieli się na cztery jednakowéj wielkości części, z których każda opatrzona jest częścią ciemną, górną i jasną dolną. Trzecia płaszczyzna podziału przechodzi w kierunku poziomym czyli prostopadłym do dwóch pierwszych lecz nie przez równik, ale bliżéj bieguna zwierzęcego; wskutek czego jajko składa się z czterech części większych, jasnych, i czterech mniejszych ciemnych. Dalsze płaszczyzny podziału jajka żabiego obecnie nas nie interesują.

Otóż Pflügerowi (1) udało się zauważyć zboczenie od powyżéj opisanego, naturalnego sposobu segmentacyi czyli dzielenia się jajka żabiego. A mianowicie uczony ten przymocowywał jajko sztucznie w rozmaitych położeniach, tak że oś jajowa (łącząca biegun ciemny z jasnym) nie miała kierunku pionowego, lecz poziomy lub skośny. Otóż, okazało się, że bez względu na położenie osi, dwie pierwsze płaszczyzny dzielenia przechodziły zawsze w kierunku pionowym, tak że jeśli np. oś jajowa zajmowala położenie poziome, to dwie pierwsze płaszczyzny podziału były do osi téj prostopadłe. Z faktów tych Pflüger wyprowadził wniosek, że widocznie siła ciążenia, działająca, jak wiadomo, w kierunku pionu, wywiera wpływ na dzielenie się jajka, i że pod jéj działaniem pierwsze płaszczyzny

---

(1) E. Pflüger, Ueber. d. Einfluss der Schwerkraft auf die Theilung der Zellen. Archiv. f. die ges. Physiologie. Bd. XXXI.—E. Pflüger, Ueber den Einfluss der Schwerkraft auf die Theilung der Zellen und auf die Entwicklung des Embryo. Archiv. f. d. ges. Physiologie. Bd. XXXII.

przechodzą stale w kierunku téj siły. Spostrzeżenia Pflügera zwróciły na siebie natychmiast uwagę całego świata naukowego. Bo rzeczywiście, gdyby siła ciążenia miała okazywać bezpośredni wpływ na proces przewężania się jajka, to znaczyłoby, że kształtowanie się zarodka pozostaje w bezpośredniéj zależności od warunków zewnętrznych, że takowe warunkują sobą postać morfologiczną, że jednym słowem istota procesów rozwojowych znajduje się w ścisłym związku z pewnemi bodźcami zewnętrznemi. Wkrótce też po ogłoszeniu pracy Pflügera, inni uczeni podjęli poszukiwania nad tą, wielkiéj wagi biologicznéj, kwestyą.

G. Born (1) doszedł do przekonania, że w jajkach żabich, przytwierdzonych w sztuczném i nienormalném położeniu, odbywa się przemieszczenie różnych części substancyi jajowéj; części gatunkowo lżejsze zajmują miejsce wyższe, części zaś cięższe—niższe. Ostatecznie więc substancye jajka układają się zawsze jednakowo, bez względu na położenie jajka, zupełnie tak samo, jak w kuli zapełnionéj np. oliwą i wodą, oliwa zawsze wypływa na wierzch. W jajku żabim plama twórcza, skupiona przy biegunie zwierzęcym wraz z jądrem jajowém, zajmuje stale, jako lżejsza, górne położenie.

Tak więc wobec takiego zapatrywania się na rzeczy, siła ciążenia nie okazuje żadnego specyalnego wpływu na procesy embryonalne, jak to sądził Pflüger. Pod jéj działaniem ma miejsce tylko przemieszczenie substancyi jajowych, różnéj ciężkości gatunkowéj, a ponieważ przemieszczenie to, bez względu na położenie jajka w przestrzeni, zawsze jest jednakowém (ulegając ogólnemu prawu ciążenia), to nie dziw, że pierwsze płaszczyzny podziału jajka, zależne od sposobu rozmieszczenia plazmy jajowéj oraz jądra, przechodzą zawsze w tym samym kierunku, a mianowicie specyalnie u żaby, w kierunku pionu. Myśl tę rzeczywiście stwierdził uzasadnił i uogólnił prof. Oskar Hertwig, jeden z najwybitniejszych embryologów współczesnych. Zanim atoli do pracy Herwiga przystąpimy, dodamy, że prócz Borna i ostatnio wymienionego badacza inni jeszcze zoologowie pracowali także w tymże okresie czasu nad kwestyą wpływu siły ciążenia na procesa embryonalne, tak że w nauce nagromadziła się w ostatnich kilku latach cała literatura tego niezmiernie ciekawego i ważnego przedmiotu.

I tak uczony niemiecki Wilhelm Roux (2) zadał sobie pytanie, czy jajka żabie, usunięte z pod kierującego wpływu siły ciążenia,

(1) G. Born, Ueber den Einfluss der Schwere auf das Froschei. Verhandlung. der medizin. Section der schlesisch. Gesellschaft. f. vaterländ. Cultur, 1884.—(2) Wilhelm Roux Ueber die Entwicklung der Froscheier bei Aufhebung der richtenden Wirkung der Schwere. Bresl. ärtzl. Zeitschr. 1884.

mogłyby się normalnie rozwijać; rozumie się, iż rezultat powinienby być ujemny, gdyby rzeczywiście siła ciążenia kierowała rozwojem. Otóż umieścił on skrzek żabi w wilgotnéj macie na przyrządzie odśrodkowym (centryfugalnym), którego kierunek i szybkość obrotu tak były regulowane, iż osi jajowe podczas obrotu aparatu przyjmowały położenie rozmaitego nachylenia do pierwotnego. Tém nie mniéj atoli okazało się, iż jajka rozwijały się tak samo dobrze i tak samo szybko, jak znajdujące się w warunkach normalnych. Okazało się, że i w tym razie, bez względu na położenie osi jajowéj w przestrzeni, dwie pierwsze płaszczyzny podziału przez nią przeszły, pierwsza zaś pozioma płaszczyzna, z małemi wyjątkami, przechodziła, jak normalnie, bliżéj bieguna ciemnego. Roux wyprowadza ztąd wniosek: „że siła ciążenia nie jest niezbędną dla rozwoju, że nie wywiera ona żadnego koniecznego, kierującego i różnicującego wpływu“, że raczéj „zapłodnione jajko zawiera samo w sobie wszystkie kształtujące siły, niezbędne do normalnego rozwoju“.

Prof. Rauber (1) wykonał także szereg doświadczeń nad wpływem siły ciążenia na rozwój jaj żab, oraz pstrągów. Skłania się on do zapatrywań Pflügera, iż sile ciążenia przypada pewne kierujące działanie na rozwój, wszelako wywody jego nie są bynajmniéj przekonywające, a fakta dadzą się objaśnić w taki sposób, w jaki Born i inni tłómaczyli sobie powyżéj opisane wyniki spostrzeżeń Pflügera.

Poszukiwania prof. O. Hertwiga ostatecznie dowiodły, że przypisywanie sile ciążenia bezpośredniego wpływu na procesy embryonalne jest błędném. Hertwig obserwował dzielenie się przezroczystych jaj szkarłupni (*Echinodermata*) i przekonał się, że przy różném położeniu jaj pierwsza płaszczyzna podziału nie przechodziła stale w kierunku pionowym, lecz pod kątem różnego nachylenia, że w ten sposób kierunek siły ciążenia nie znajduje się w żadnym związku z kierunkiem płaszczyzn podziału. Według Hertwiga, siła ciążenia nie wywiera bezpośredniego wpływu na dzielenie się komórek jajowych, nie rządzi téż ona żadnym ogólniejszym i nieznanym prawem organizacyi. W doświadczeniach swoich Hertwig, prócz powyższego rezultatu ujemnego, doszedł także do następującego wniosku pozytywnego. A mianowice, przekonał się, że płaszczyzny podziału komórek jajowych przechodzą zawsze w kierunku pionowym do osi jądra jajowego. Objaśnijmy to nieco bliżéj. Otóż, jądro jajowe, które zazwyczaj jest kulistém, przyjmuje w chwili rozpoczęcia dzielenia się jajka postać wydłużoną, wrzecionowatą; warunkuje się to

---

(1) W. Roux, Beiträge z. Entwicklungsmechanik des Embryo. Zeitsch. f. Biologie, Bd. 21. Breslauer ärtzl. Zeitschr. 1885.

bardzo złożonemi przemianami, jakie zaczynają się wtedy w jego wnętrzu odbywać i które znane są pod nazwą karyokinezy. Wrzeciono to układa się długą osią, czyli jak mówimy wprost, osią swoją w takim kierunku, iż końce wrzeciona zwracają się ku okolicom największego nagromadzenia plazmy twórczéj w jajku; Hertwig objaśnia to pewną siłą przyciągania, jaka istnieje pomiędzy biegunami wrzeciona i plazmą otaczającą. Tak więc, jądro przyjmuje w jajku zapłodnioném pewne określone położenie, które warunkuje się sposobem rozmieszczenia i skupienia w jajku plazmy twórczéj, jednéni słowem, przyjmuje ono położenie zależne od wewnętrznéj budowy jajka. Ale oto kierunek pierwszéj płaszczyzny podziału jajka zawisły jest od położenia jądra, przechodzi ona bowiem zawsze, jak powiedzieliśmy, w kierunku pionowym do wrzeciona, czyli do osi jądra i to zupełnie niezależnie od położenia jajka w przestrzeni. Tak więc poszukiwania Hertwiga doprowadzają do nader ciekawego i ważnego rezultatu, bo procesy dzielenia się jaja, a tém samém wogóle procesy embryonalne znajdują się w ścisłéj zależności od budowy samego jajka, od sił wywiązujących się skutkiem wzajemnego na siebie oddziaływania jądra i plazmy jajowéj. Co się tyczy wyjaśnienia doświadczeń Pflügera, to Hertwig tłomaczył je także pośrednim tylko wpływem siły ciążenia, fizycznéni jéj oddziaływaniem na rozmieszczenie w jajku dwóch substancyi różnego ciężaru gatunkowego (tj. plazmy twórczéj i odżywczéj, skupionych przeważnie dokoła ciemnego i jasnego bieguna w jajku żabiem).

Z innych zdobyczy na polu embryologii eksperymentalnéj zasługują na uwagę niezmiernie interesujące dane, dotyczące zapłodnienia jajka. Samo wyjaśnienie procesu zapłodnienia stanowi jednę z najpiękniejszych zdobyczy najnowszéj morfologii, a tém ciekawsze są jeszcze eksperymentalne w tym kierunku poszukiwania, które pozwoliły nam przeniknąć głębiéj do istoty tego tajemniczego zjawiska.

Ażeby czytelnik mógł zrozumiéć poniżéj podane fakty, musimy w krótkości zapoznać go naprzód z morfologiczną stroną zapłodnienia. Od czasu, gdy zaczęto za pomocą mikroskopu badać budowę jajka i nasienia, oraz przekonano się, że to drugie zawiera liczne t. zw. ciałka nasienne, to jest męskie komórki płciowe, wyobrażano sobie, że zapłodnienie polega na przenikaniu wielkiéj ilości tych ciałek do jajka i całkowitém ich zlewaniu się z niém. Ale dopiéro w ostatnich latach, dzięki niestrudzonym badaniom Fola, v. Benedena, a nadewszystko braci Hertwigów, zrozumiano należycie istotę tego procesu. Otóż wiadomo, że w każdéj komórce organicznéj odróżniamy zarodź, czyli plazmę, oraz jądro, część

gęstszą, wewnątrz plazmy umieszczoną. W jajku zwierzęcém czyli w żeńskiéj komórce rozrodczéj odróżniamy bardzo wyraźnie obie te składowe części; jądro nosi tu nazwę pęcherzyka zarodkowego, plazma—żółtka.

Ponieważ ciałka nasienne mają bardzo swoiste kształty, przedstawiając najczęściéj długą nić, zakończoną główką, zoologowie nie pojmowali przez długi czas morfologicznego znaczenia różnych ich części; okazało się atoli na zasadzie badań nad rozwojem ciałek nasiennych, że główka stanowi jądro, a nić plazmę zmodyfikowanéj w ten sposób komórki. Otóż, w zapłodnieniu biorą udział normalnie dwie tylko komórki, przyczém główną rolę odgrywają tu jądra komórkowe. Gdy ciałko nasienne styka się z jajkiem, główka jego czyli jądro przenika do wnętrza jajka i zlewa się tam w jedną całość z jądrem jajowém; nić zaś czyli plazma komórki nasiennéj do jajka nie przechodzi, w zapłodnieniu tedy udziału nie bierze. I tak w zwykłych normalnych wypadkach jajeczko zapładnia się jedném tylko ciałkiem nasienném, a istota zapłodnienia polega na połączeniu jądra jajka z jądrem ciałka nasiennego. Oprócz tego, normalnie jajko danego gatunku zapłodnione bywa wyłącznie przez ciałko nasienne tego samego gatunku zwierząt.

Zboczenia zatém od normy mogą miéć miejsce w dwóch kierunkach: po pierwsze, zamiast jednego mogą przeniknąć liczne ciałka nasienne do jajka: nienormalność ta zowie się polyspermią—wielonasiennością; po drugie, zapłodnienie może być dokonane przez ciałko nasienne obcego gatunku zwierząt, byłaby to tak zw. hybridyzacya. Jeżeli normalnie nie ma miejsca ani jedno, ani drugie, to należy przypuścić, że w komórce jajowéj, a może i nasiennéj, spoczywają pewne siły, dążące do przeciwdziałania tym nienormalnościom. Otóż, aby dowiedziéć się, jakiego to rodzaju są owe siły i w jaki sposób działają, należy uciec się do eksperymentu; należy umieścić sztucznie komórki rozrodcze w takich warunkach, aby umożliwić polyspermią i hybridyzacyą, czyli zawiesić na pewien czas działanie owych sił. Szereg niezmiernie interesujących doświadczeń w tym kierunku wykonali niestrudzeni bracia Hertwigowie.

Rozpatrzmy naprzód wyniki ich eksperymentalnych poszukiwań nad warunkami hybridyzacyi (1). Każdy, kto zna w ogólnych

---

(1) O. u. R. Hertwig. Experimentelle Untersuchungen über die Bedingungen der Bastardbefruchtung. 1885. — E. Pflüger. Die Bastardzeugung bei d. Batrachiern. Arch. f. d. Ges. Physiol. Bd. XXIV. — E. Pflüger. Untersuchungen über Bastardirung d. anuren Batrachier, und die Principien d. Zeugung. Arch. f. Physiol. Bd. XXXII.

chociażby zarysach zasady teoryi Darwina, wié o tém, jak wielkiéj wagi naukowéj nabrała w ostatnich czasach kwestya krzyżowania z sobą różnych pokrewnych gatunków zwierząt; prawa hybridyzacyi czyli krzyżowania gatunków są jednak dotąd mało bardzo znane. Warunki hybridyzacyi badano dotąd, że tak powiem, nie u źródła, lecz w dalszym przebiegu. Zastanawiano się nad tém, jakiego stopnia pokrewieństwa gatunki mieszać się mogą, jakie czynniki wpływają na sprawność hybridyzacyi osobników, ale mało bardzo zwracano dotąd uwagi na to, iż najbliższa przyczyna wszelkich objawów téj właściwości spoczywać musi w naturze komórek płciowych, w akcie zapłodnienia, który jest przecie najistotniejszym i najważniejszym procesem w rozmnażaniu się zwierząt. Dlatego też wszelkie pytania będą mogły być postawione jasno i w sposób określony wtedy dopiéro, gdy pozostawimy na uboczu wszystkie wtórne momenty, sprzyjające lub przeszkadzające krzyżowanemu zapłodnieniu i gdy ograniczymy się do zdolności hybridyzacyjnéj samych komórek płciowych.

W roku 1882 Pflüger przedsięwziął szereg doświadczeń nad krzyżowaniem żab z ropuchami (*Rana fusca* i *Bufo vulgaris*), różnych gatunków żab pomiędzy sobą (*Rana fusca* i *esculenta*), różnych gatunków trytonów pomiędzy sobą, oraz żab z trytonami (*Rana fusca* i *Triton alpestris*, oraz *T. taeniatus*). Okazało się, że nasienie żab wpływa energicznie na jaja zwyczajnéj ropuchy, tak, iż zapłodnione niém prawidłowo się dzielą i dochodzą aż do stadyum moruli, późniéj atoli giną wszystkie; naodwrót jednak nasienie ropuchy nie okazuje żadnego wpływu na jajka żabie. Taki sam fakt jednostronnéj hybridyzacyi zauważył też Pflüger pomiędzy różnemi gatunkami żab. Okazało się daléj, że krzyżowanie pomiędzy sobą różnych gatunków trytonów nigdy się nie udawało, co jest tém ciekawsze, iż nasienie trytonów zapładniało jaja żabie, jakkolwiek te ostatnie ulegały bardzo nienormalnemu dzieleniu się i wcześnie umierały; hybridyzacya w kierunku przeciwnym (t. j. zapładnianie jaj trytonów nasieniem żab) było niemożliwe.

Pflüger zauważył daléj inny jeszcze nader interesujący fakt; znalazł on mianowicie, że krzyżowanie pomiędzy żabami i trytonami nie udaje się w każdéj porze roku, że przed 23 kwietnia wszystkie doświadczenia dawały rezultat dodatni, po 23-m zaś żadne się nie udało. Wnioskuje on z tego, że 23 kwietnia jaja osiągają najwyższy punkt swego rozwoju, że od tego czasu stopień fizyologicznéj ich dzielności zaczyna się zmniejszać, skutkiem czego tracą one zdolność do hybridyzacyi.

Nie mniéj ciekawe rezultaty osiągnął Born (1) z doświadczeń swych nad krzyżowaniem żab i ropuch; sądzi on, że różne wypadki hybridyzacyi zależą przeważnie od różnéj zdolności ciałek nasiennych do przenikania w obce jaja. W późniejszéj pracy swojéj Pflüger doszedł po części do podobnego wniosku.

Bracia Hertwigowie robili doświadczenia nad krzyżowaniem różnych gatunków szkarłupni. Doszli oni do niektórych wniosków, zgodnych z rezultatami spostrzeżeń Pflügera i Borna, lecz najważniejsze wyniki ich badań różnią się od dotychczasowych i niezmiernie są interesujące. W następujących trzech punktach, co do praw hybridyzacyi, Hertwigowie zgadzają się z Pflügerem i Bornem: 1) Udatne lub nieudatne krzyżowanie nie zależy wyłącznie od stopnia pokrewieństwa krzyżowanych gatunków; widzieliśmy, że np. gatunki trytonów nie mieszają się z sobą, gdy tymczasem trytony zapładniają jajka żab, czyli zupełnie różnych rodzajów; do pewnego atoli stopnia pokrewieństwo odgrywa tu ważną rolę, wiadomo bowiem, że nie podobna otrzymać mieszańca z tak odmiennych zwierząt, jak np. z ssaka i gadu, albo płazu. 2) W krzyżowaniu dwóch gatunków nie ma bardzo często wzajemności, to jest nasienie jednego gatunku zapładnia jaja innego, lecz nie na odwrót. 3) Udatne, lub nieudatne krzyżowanie zależy od właściwości w danym czasie produktów płciowych, użytych do krzyżowania; w produktach płciowych (jajku i ciałku nasienném) daje się zauważyć zmienna jakby dyspozycya do hybridyzacyi.

Pod powyższemi trzema względami obserwacye Hertwigów zgadzają się, jak powiedzieliśmy, z spostrzeżeniami Pflügera i Borna. Co do innych atoli punktów wyniki ich obserwacyi różnią się, a Hertwigowie używszy ściślejszych metod badania, doszli do następujących ciekawych rezultatów. Przedewszystkiém zjawia się pytanie, który z dwóch produktów płciowych jest zmienny i kiedy produkty te nadają się najbardziéj do hybridyzacyi?

Według Pflügera i Borna, produkty płciowe dają się najłatwiéj mieszać czyli hybridować wtedy, kiedy znajdują się na wysokości rozwoju swego i posiadają tym sposobem największą energią życiową. Obaj ci uczeni różnią się atoli pomiędzy sobą w tém, że według Pflügera dla hybridyzacyi ma największe znaczenie energia życiowa jaj, według Borna zaś — energia życiowa nasienia, że we-

---

(1) Born. Beiträge zur Bastardirung zwischen d. einheim. Anurenarten. Arch. f. Physiol. Bd. XXXII. — Born. Ueber die inneren Vorgänge bei d. Bastardbefruchtung der Froscheier. Bresl. ärztliche Zeitschr. 1884.

dług pierwszego stan jajka, według drugiego zaś stan nasienia bardziéj sprzyja, lub nie hybridyzacyi.

Płazy, nad któremi robili doświadczenia obaj powyżsi uczeni, przedstawiają z wielu względów materyał niedogodny do tego rodzaju poszukiwań. Niezaprzeczoną wyższość mają pod tym względem szkarłupnie. Płazy są płciowo dojrzałe tylko w pewnéj porze roku; w każdym zaś czasie znaleść można płciowo dojrzałe szkarłupnie, ponieważ u zwierząt tych co kilka tygodni dojrzewają komórki płciowe, przyczém można znaleść różne gatunki w jednym i tym samym czasie płciowo dojrzałe, co wszystko ułatwia doświadczenia nad hybridyzacyą.

Otóż rezultaty eksperymentów Hertwigów, którzy właśnie wybrali sobie szkarłupnie (jeże morskie), jako przedmiot badań są następujące.

Dobry lub zły rezultat hybridyzacyi zależy prawie wyłącznie od stanu jaj. Otóż jaja tylko-co wydalone z jajnika nie pozwalają się zapłodnić przez obce ciałka nasienne, lecz dopiéro po dziesięciu, dwudziestu, lub trzydziestu godzinach przyjmują te ostatnie do swego wnętrza. Rezultat ten nie mógł zależéć w danym wypadku od różnic w nasieniu, ponieważ we wszystkich doświadczeniach nasienie było brane w stanie świeżym natychmiast po wyjściu z jąder, a tym sposobem, jak twierdzą Hertwigowie, wynik ten był ciągle stałym, a rozmaitość rezultatów mogła tém samém zależéć tylko od drugiego czynnika, t. j. od stanu jaj. Im późniéj po opuszczeniu jajnika zapładniano jaja, tym łatwiéj dawały się zapłodnić obcém nasieniem; w ten sposób można było znaleść pewne *optimum* hybridyzacyi, po za którém zdolność hybridyzacyjna znów się zaczęła zmniejszać. I tak: *a)* jeżeli zapłodnienie miało miejsce po przeciągu 1/4 godziny (od czasu, gdy jaja opuściły jajnik), tylko bardzo mała ilość jaj pozwoliła się obcém nasieniem zapłodnić,—był to stan *minimum* hybridyzacyi; *b)* z jaj zapłodnionych po 2 1/4 godzinach, 10% rozwijało się normalnie; *c)* z jaj zapłodnionych po 6 1/4 godzinach, 60% rozwijało się normalnie; *d)* z jaj zapłodnionych po 10 1/4 godzinach—wszystkie prawie (95%) jaja rozwijały się,— był to stan *optimum*; *e)* gdy zaś jaja zapłodniono po jeszcze dłuższym przeciągu czasu, ilość rozwijających się jaj zaczynała się już zmniejszać.

Widzimy zatém, że rezultat, do którego doszli Pflüger i Born jest przeciwny rezultatowi doświadczeń Hertwigów. U płazów komórki płciowe miały największą zdolność hybridyzacyjną, gdy ich energia życiowa była największą, u szkarłupni zaś, jak widzimy, rzeczy mają się wprost przeciwnie: „ze zmniejszającą się energią życiową jajka, wzrasta zdolność do za-

płądniania się przez nasienie obcego gatunku.“ Rozpatrując krytycznie doświadczenia Pflügera i Borna, Hertwigowie dochodzą do wniosku, że i u płazów istnieją prawdopodobnie takie same stosunki, jak u szkarłupni, że i tam jajka, znajdujące się w stanie największéj dzielności życiowéj, odpierają obce ciałka nasienne, czyli sprzeciwiają się hybridyzacyi. W każdym razie, w obec tego, że Hertwigowie posługiwali się licznemi doświadczeniami i używali metody bez porównania ściślejszéj, aniżeli poprzednicy ich, oraz otrzymywali bez wyjątku rezultaty nie dwuznaczne i pewne — wynikom ich poszukiwań oddać musimy niezaprzeczone pierwszeństwo.

Hertwigowie tłómaczą bardzo dobrze znany fakt, iż gatunki zwierząt hodowanych i roślin uprawnych daleko łatwiéj dają się hybridyzować, aniżeli gatunki, żyjące dziko na łonie natury. Wiadomo bowiem, że nienormalne warunki życia istot oswojonych wpływają w wysokim stopniu na modyfikacyą organów płciowych i ich produktów, osłabiając te ostatnie. Otóż zgodnie z wynikami poszukiwań Hertwigów, jaja tych zwierząt, jako odznaczające się mniejszą dzielnością życiową, powinny się dać łatwiéj zapładniać przez obce nasienie, co téż rzeczywiście ma miejsce, jak tego fakta dowodzą.

Dotąd uważaliśmy stan nasienia w sprawie hybridyzacyi jako czynnik stały. Jednakże możemy sobie zadać pytanie, czy tak jest rzeczywiście, czy energia życiowa nasienia nie wpływa też w równym stopniu jak i dzielność jajka na proces hybridyzacyi? Otóż Pflüger i Born upatrują tu w saméj rzeczy ścisły związek przyczynowy. Pflüger podaje grube, mechaniczne wyjaśnienie, przypuszczając, że oprócz stanu jaj kształt nasienia, a zwłaszcza główki ciałka nasiennego ma również dla kwestyi hybridyzacyi znaczenie niemałe. Pflüger zauważył, że u płazów otwór w błonie jajka t. zw. mikropyle, przez który ciałko nasienne przenika do wnętrza jaja‘ jest zastosowany w każdym gatunku do kształtu i wielkości główki ciałka nasiennego; jeśli otwór jest bardzo wąski, to ciałka nasienne u tego gatunku mają główki zaostrzone i wąskie, u gatunków zaś, u których mikropyle jest szersze, i główki ciałek nasienne są grubsze. Zauważył on daléj, że ciałka nasienne żaby *Rana fusca*, mające główki cienkie i zaostrzone, zapładniają jaja wszystkich innych gatunków (np. jaja żaby zielonéj, polnéj, ropuchy); gdy przeciwnie grubogłówkowe ciałka nasienne żaby zielonéj nie przenikają do jaj *R. fusca*; podobnych faktów udało się Pflügerowi zaobserwować więcéj. Sądzi on tedy, iż kształt ciałek nasiennych jest przyczyną tego, że hybridyzacya może miéć miejsce lub też nie. Born przyj-

muje również doniosłe znaczenie w tym względzie kształtu ciałek nasiennych i sądzi, że kształt ten warunkuje zdolność ciałek nasiennych do przenikania przez galaretowate osłony jaj, rozmaicie zbudowane w jajach różnych gatunków.

Hertwigowie dochodzą do zupełnie odmiennych wniosków. Ich zdaniem wpływ nasienia jest całkiém drugorzędny (1), a zdolność do hybridyzacyi spoczywa głównie w jajach. Co zaś do przypuszczeń Pflügera i Borna, że jeśli jedne gatunki mogą się mieszać, a inne nie, to zależy to od kształtu ciałek nasiennych, Hertwigowie zbijają ten pogląd doskonałemi doświadczeniami. A mianowicie, wszystkie gatunki jeżów morskich, nad którymi wykonywali doświadczenia, mają ciałka nasienne zupełnie jednakowego kształtu i jednakowéj wielkości, tak, że pod mikroskopem nie podobna ich odróżnić od siebie przy najsilniejszych nawet powiększeniach. A zresztą, gdyby nawet były pomiędzy niemi jakieś niedostrzegalne różnice w budowie, to nie miałyby one w tym wypadku żadnego znaczenia, albowiem jajka szkarłupni pozbawione są t. zw. mikropyle, to jest owych drobnych otworków, przez które zwykle ciałko do jajka przenika; u szkarłupni ciałko nasienne może w każdém miejscu przebić błonę jajka i do wnętrza się przedostać.

Na zasadzie wszystkich swoich doświadczeń Hertwigowie dochodzą do ważnego wniosku, że w e w n ę t r z n a k o n s t y t u c y a produktów płciowych, a głównie jajka, sprzyja lub nie jego zapłodnieniu przez obce nasienie; że do substancyi produktów płciowych przywiązane są pewne siły regulujące i rządzące procesem zapłodnienia i że siły te mogą osłabnąć, gdy energia życiowa jajka się zmniejsza; jajko nie może wtedy okazywać dostatecznéj odporności i pozwala się zapłodnić przez ciałka nasienne gatunków, którym kiedyindziéj stawiało opór. Do jakiéj części jajka przywiązane są te siły, na to Hertwigowie wahają się dać stanowczą odpowiedź, lecz na zasadzie ich późniejszych poszukiwań eksperymentalnych, do których niebawem przystąpimy, oraz na zasadzie innych teoretycznych rozumowań, należy z wielkiém prawdopodobieństwem przypuścić, iż siły te przywiązane są do jądra komórki jajowéj, iż ono rządzi zatém przebiegiem owego tajemniczego procesu, jakiém jest zapłodnienie.

Tak więc widzimy, iż w sprawie hybridyzacyi, nowsza embryologia, dzięki eksperymentalnéj metodzie badania, doszła do wniosków, nie małego znaczenia ogólno-biologicznego.

---

(1) Hertwigowie nie mieli zresztą dotąd sposobności przekonania się, jaki jest ów nieznaczny wpływ nasienia w sprawie hybridyzacyi.

Kwestya hybridyzacyi wiąże się bardzo ściśle z polyspermią, nad którą w ostatnich czasach pracowano również za pomocą eksperymentalnéj metody badań i na téj drodze otrzymano nadzwyczajnie ciekawe rezultaty. Normalnie, jak już wiemy, jajeczko zapładnia się przez jedno tylko ciałko nasienne, przyczém główka tego ostatniego czyli jądro przenika do wnętrza jaja i zespala się tam z jądrem komórki jajowéj w jedną całość; na tym procesie zespalania się dwóch jąder komórek płciowych polega istota zapłodnienia. Niekiedy atoli zdarza się taki nienormalny wypadek, iż nie jedno lecz kilka ciałek nasiennych naraz do jajka przenika i jądra wszystkich zlewają się z jądrem komórki jajowéj. Jest to t. z. wielonasienne zapłodnienie, czyli polyspermia. Uczony szwajcarski Herman Fol, który położył w nauce niespożyte zasługi na polu badań embryologicznych, wypowiedział hypotezę, że zapłodnienie jajka przez większą ilość ciałek nasiennych powoduje rozwój zarodków o zdwojonych, lub strojonych częściach ciała; hypoteza ta, jakkolwiek bardzo prawdopodobna, dotąd jednak nie została stwierdzona faktami. Otóż bracia Oskar i Ryszard Hertwigowie (1) zdołali na drodze doświadczalnéj wykryć, w jakich warunkach polyspermia ma miejsce, w jakich okolicznościach jajko pozwala się zapłodnić, zamiast—jak to bywa normalnie—jednemu, wielu ciałkom nasiennym; wykryli téż oni głębsze przyczyny tego nienormalnego procesu.

Ponieważ w wypadkach normalnych jajko pozwala się zapłodnić przez jedno tylko ciałko nasienne, nie widzimy zaś ze strony nasienia żadnéj przeszkody, która nie pozwalała by kilku ciałkom naraz do jajka przeniknąć (albowiem liczne ciałka nasienne atakują ze wszystkich stron jajko), *à priori* więc już przypuścić musimy, że w samém jajku istnieje zdolność do zapobiegania wejściu większéj ilości ciałek nasiennych do jego wnętrza. Hertwigowie przekonali się, że jeżeli jajka szkarłupni umieścić w wodzie, do któréj dodano pewną ilość jakiegobądź alkaloidu (np. nikotyny, strychniny, morfiny, chininy, kokainy i t. d.), lub też jeżeli ogrzewać je w różnym stopniu, w takim razie im dłużéj będziemy na jajko czynnikami tymi działali, lub też im silniejszymi będą te czynniki (np. im będzie gęstszy roztwór owych alkaloidów, albo im wyższą będzie temperatura), tém łatwiéj jajko ulegać będzie polyspermii. Okazuje się przytém, że jeżeli jajko pod wpływem słabego bodźca chemicznego (np. słabego roztworu nikotyny) pozwala się zapłod-

(1) O. u. R. Hertwig. Ueber den Befruchtungs- und Teilungsvorgang des tierischen Eies unter dem Einfluss äusserer Agentien. 1887.

nić przez dwa ciałka nasienne, to jeśli bodziec ten będzie silniejszym, więcéj téż ciałek do wnętrza jego przeniknie. Widzimy zatém, że jajko pod wpływem pewnych bodźców szkodliwych, zbyt silnie działalność jego paraliżujących, traci stopniowo coraz bardziéj zdolność opierania się polyspermii. Jakżeż objaśnić sobie to działanie alkaloidów? Otóż zauważono, że w jajkach szkarłupni (i wielu innych zwierząt), po zetknięciu się pierwszego ciałka nasiennego z powierzchnią plazmy jajowéj, dokoła téj wydziela się specyalna błonka, nie pozwalająca już następnym ciałkom przenikać do jajka. Podobnie jak każdy gruczoł wydziela pod wpływem pewnego bodźca, tak téż, przypuszczają Hertwigowie, że i jajko wydziela ową błonkę bezpieczeństwa, ochraniającą je od polyspermii, pod wpływem zetknięcia się z pierwszém ciałkiem nasiennném; ciałko nasienne stanowi więc pewien specyficzny bodziec dla jajka, wywołujący w niém pewne stałe objawy. Jeżeli jajko pod wpływem alkaloidów jest osłabione i pobudzalność jego zmniejszona, w takim razie naturalném jest, że zetknięcie się jednego ciałka z jajkiem stanowi bodziec zbyt słaby; może więc wtedy przeniknąć bezkarnie większa ilość ciałek nasiennych, np. dwa lub trzy i dopiéro pod wpływem tych kilku ciałek jajko wydziela błonkę, tamującą już dalszą polyspermię. Pojmujemy więc, że im silniejsze działanie bodźca, im większe znieczulenie jajka, tém większa polyspermia. W taki sposób te eksperymentalne poszukiwania Hertwigów prowadzą nas do wniosku, że podobnie jak co do hybridyzacyi, tak téż i co do polyspermii, w samém jajku spoczywają pewne siły, regulujące proces zapłodnienia.

Pod wpływem chloralu jądro ciałka nasiennego, które przenikło już do wnętrza jajka, nie zespala się tam z jądrem jajowém; a ponieważ chloral, jak wykazały inne doświadczenia, działa paraliżująco na plazmę komórki jajowéj, możemy ztąd wnosić, że spotkanie się i zlanie jądra ciałka nasiennego z jądrem jajowém zależy od pewnych specyalnych sił, właściwych plazmie; plazma kurczy się w pewien swoisty sposób i sprawia ów zadziwiający ruch obu jąder ku sobie, tak, że się z sobą zetknąć muszą.

Niezmiernie ciekawy jest wpływ różnych tych czynników na jajko, które już zostało zapłodnione. Otóż pewne bodźce, jak np. morfina, strychnina, nikotyna nie okazuje żadnego specyalnego wpływu na proces rozwoju zapłodnionego jaja, o ile wogóle nie działają zabójczo na życie jajka. Inne znów, a mianowicie chinina i chloral wielkiéj są wagi, ponieważ nie tylko opóźniają proces przewężania się jajka zapłodnionego, lecz nawet zmuszają jądro przygotowujące się do podziału i wydłużone w postaci wrzeciona—

do powrotu ku stanowi pierwotnemu; jądro traci włóknistą budowę znów się zaokrągla i przedstawia pęcherzyk, jak przed początkiem dzielenia. Wszelako gdy jajko po takiém podrażnieniu, znów do normalnego powraca stanu, jądro rozpoczyna znów dzielenie i rozpada się nie jak zwykle na dwie części lecz zrazu na 4 lub więcéj, tworząc uprzednio cztery lub więcéj wrzecion, układających się w czworobok, dalszy podział następuje już prawidłowo: taki podział jądra zrazu na cztery lub więcéj części daje się także zauważyć w jądrze jajowém, zapłodnionėm przez kilka ciałek nasiennych, czyli w polyspermii.

Nad mechaniką rozwoju pracowali daléj w ostatnich czasach eksperymentalnie W. Roux (1), i O. Schultze (2). Pierwszy z tych uczonych w szeregu kilku obszernych prac starał się określić wpływ różnych czynników zewnętrznych na rozwój i rozwiązać ważne pytanie, o ile w plazmie jajowéj lokalizowane są zawiązki dla różnych organów i właściwości budowy przyszłego zwierzęcia. Roux zadał sobie przedewszystkiém pytanie, czy rozmieszczenie substancyi, wchodzących w skład jajka, pozostaje po zapłodnieniu takie same, jak przed zapłodnieniem. To ważne pytanie Roux rozwiązał za pomocą doświadczenia. Pogrążywszy uprzednio jajka żabie w nasieniu, umieszczał je natychmiast w cieczy o odpowiedniéj ciężkości gatunkowéj, tak że swobodnie pływały. Otóż okazało się, że jajko po wstąpieniu do jego wnętrza nasienia, zmieniało swoje położenie w cieczy, uległo dość znacznemu obrotowi (nieraz przeszło 90°), z czego wynika, że pod wpływem zapłodnienia musiało nastąpić przemieszczenie substancyi różnego ciężaru gatukowego, wchodzących w skład jajka. Roux wykonał jeszcze trudniejsze i ciekawsze doświadczenie. Za pomocą cienkiéj rureczki wprowadzał on nasienie do jajka żabiego w miejscu, jakie dowolnie wybierał (przebijając otwartym końcem rureczki galaretowatą osłonę jajka). Takie lokalne zapłodnienia przekonały go, że zależnie od tego, w którém miejscu było dokonane, substancye wewnątrzjajowe rozmieszczały się w odpowiedni sposób, albowiem pierwsza płaszczyzna dzielenia się jajka przypadała stale na południku, w którym miało miejsce owo sztuczne, lokalizowane zapłodnienie. O. Schultze zarzuca Roux'owi, że nie można przypuszczać, aby od kierunku, w jakim

(1) W. Roux, Ueber die Zeit der Bestimmung der Hauptrichtungen des Froschembryos. Leipzig. 1883.—W. Roux, Beiträge zur Entwicklungmechanik des Embryo. Bresl. ärztliche Zeitschr. 1885. — (2) O. Schultze, Zur ersten Entwicklung des braunen Grasfrosches. Leipzig 1887 (w „Gratulationszeitschrift für A. v. Kölliker).—O. Schultze, Ueber Axenbestimmung des Froschembryo. Biol. Centr. N. 19, 1887.

zespala się jądro jajka z jądrem męzkiém, zależało rozmieszczenie substancyi wewnątrzjajowych, ponieważ w jajkach dzieworodnych w których ma miejsce również pewne stałe rozmieszczenie plazmy w jajku, a które rozwijają się, jak wiadomo, bez zapłodnienia, należy szukać zupełnie innéj tego przyczyny. Wszelako, zdaje nam się, nie ulega wątpliwości, że czynnik ten ma pewne znaczenie w sprawie rozmieszczenia w jajku składowych jego części; kierunek zapłodnień nie jest wyłącznym momentem w tym razie, lecz bez wątpienia dosyć ważnym. Ostatecznie więc, wraz z Roux, musimy zgodzić się na ten fakt iż lokalizacya substancyi jajowych zależna jest w znacznym stopniu od biologicznych właściwości i odbywa się pod wpływem sił wewnątrzjajowych. Do podobnych wniosków doszedł, jak widzieliśmy wyżéj, O. Hertwig.

Roux zadał sobie daléj pytanie, czy w chwili pierwszych stadyów przewężania się jajka, są w niém zlokalizowane zawiązki przyszłych organów ciała, czyli innemi słowy, czy z pewnych części substancyi jajowéj, położonych w pewnych określonych miejscach, rozwijają się stale pewne tylko części ciała? Pytanie to Roux starał się rozwiązać następującą metodą doświadczalną. Ostrzem igły robił nakłucia w różnych punktach przewężającego się jajka, wskutek czego z miejsc tych wyciekała pewna ilość substancyi jajowéj. Otóż gdyby z każdéj części plazmy jajka miały się pewne tylko organy rozwijać, to stale przy nakłuwaniu niektórych punktów jajka i wypływaniu części plazmy z tych właśnie okolic, osobnik z jajka takiego się rozwijający powinien by posiadać jakiś defekt stale w określoném miejscu ciała swego. Doświadczenie wykazało jednak, że po większéj części tak nie jest: przy nakłuwaniu jednego i tego samego miejsca przewężającego się jajka, defekty zjawiały się w bardzo różnych miejscach. Wszelako w niektórych wypadkach rezultat był inny; wskutek nakłucia jajka w pewném określoném miejscu pierwszéj płaszczyzny przewężnéj, defekt zjawiał się także u zarodka w pewnéj określonéj okolicy (po za środkiem pierwotnéj rurki nerwowéj). Widzimy zatém, że kwestyi téj nie można dotąd ze stanowczością rozwiązać; w każdym razie jednak liczne doświadczenia w tym kierunku ściśle przeprowadzone pozwoliłyby określić dokładnie prawa owéj lokalizacyi i czas, w którym następuje wyróżnicowanie się pewnych zaczątków w jajku podczas rozwoju.

Badania eksperymentalne ostatnich kilku lat wykazały także, że pewne określone potworności w rozwoju kurczęcia można wywołać przez lokalne drażnienie, a zwłaszcza przypalanie pewnych okolic zarodka. Wielką zasługę położyli na tém polu Fol i Waryń-

ski (1). Dla eksperymentalnéj metody badań jajka kurze wogóle bardzo się nadają, już przez to samo, że stanowią materyał, będący pod ręką. Wszelako doświadczenia nad zarodkiem kurzym uciążliwe są z tego względu, że otwieranie skorupy rozwijającego się jajka bez zaszkodzenia życiu zarodka niezmierne nastręcza trudności. Jeszcze Beguelin (1749) zdejmował w pierwszych dniach rozwoju część skorupki na tępym biegunie jajka i dorabiał pokrywkę ze skorupki innego jajka. Pokrywkę tę zdejmował on dowolnie, ilekroć razy pragnął przyjrzéć się biegowi rozwoju. Metoda ta okazała się jednak niepraktyczną, ponieważ rozwijała się wkrótce pleśń na powierzchni zarodka i sprowadzała jego śmierć.

W późniejszych czasach (2) zadawalniano się tém, iż robiono małe otworki na skorupie w okolicy równikowéj i zakrywano je innemi kawałkami skorupki (Valentin, Schrohe) lub téż pokrywkowemi szkiełkami, które kitowano za pomocą wosku (Scymkiewicz). Wszelako żadnemu z tych badaczy nie poszczęściło się osiągnąć szczelnego zamknięcia, tak, że według L. Gerlacha, już z tego jednego względu zarodki nie mogły się długo rozwijać normalnie wewnątrz jaja i po większéj części wkrótce umierały.

W ostatnich czasach doszli do lepszych rezultatów Fol i Waryński, którzy postępowali w taki sposób: wycinali kawałek skorupy; obnażywszy zarodek dokonywali nad nim pewnéj określonéj operacyi i następnie tenże kawałek skorupki umieszczali na dawném miejscu, zalepiając szczeliny listkami złota.

Leo Gerlach posunął jeszcze daléj metodę eksperymentalnego badania zarodka ptasiego; wymyślił on specyalny przyrząd, który nazwał embryoskopem. Zasada jego polega na tém, iż na skorupie jajka przymocowuje się pierścień metalowy; część skorupy, mieszcząca się na wewnątrz pierścienia, zostaje otworzona, a blaszka szklana, szczelnie do pierścienia przylegająca, może zamykać ten otwór; przyczém zostają zachowane ostrożności antyseptyczne. Ponieważ pokrywę szklaną łatwo podnosić i znów zamykać, możliwém jest wykonywanie na zarodku najrozmaitszych doświadczeń.

Doświadczenia te mają dotyczyć wpływu bodźców termicznych, mechanicznych oraz chemicznych na rozwijający się zarodek. Co do pierwszych, to właśnie Fol i Waryński z dobrym skutkiem używali téj metody, a mianowicie przez lokalny wpływ por-

---

(1) Warynski et Fol. Recherches expérimentales sur la cause de quelques monstruosités simples et de divers processus embryogeniques. 1883. — S. Warynski. Recher. expérim. sur le mode de formation des omphalocéphales. 1884. — Patrz także „Ateneum“ tom II z r. 1886. „O sztucznèm wywoływaniu potworów o sercu podwójném“ podług badań St. Waryńskiego. — (2) Leo Gerlach. Ueber neuere Methoden auf dem Gebiete der experimentellen Embryologie. Biologisches Centralblatt, N. 19, 1887.

mieniującego ciepła na różne okolice ciała zarodka osiągali oni zatrzymanie się rozwoju tych części; w ten sposób zdołali oni wyjaśnić przyczynę niektórych nieprawidłowości w rozwoju, np. przypuszczają, że występująca dosyć często potworność, zwana heterotazyą (szczególnego rodzaju wykręcenie zarodka), pochodzi z zatrzymania się rozwoju zarodka ze strony lewéj, lub też zbyt silnego rozrostu ze strony prawéj. Oprócz tego przy udoskonalonéj metodzie otwierania jaj można było wykonywać doświadczenia nad wpływem bodźców mechanicznych, np. lokalnego ucisku zarodka. Tą drogą udało się np. Waryńskiemu sztucznie otrzymać potworność, zwaną omfalocefalią, która polega na tém, iż głowa przegina się pod kątem prostym do poziomu tyłomóżdża *(postencephale)* i zagłębia się prostopadle w żółtko. Potworność ta, jak pokazał eksperyment, powstaje wskutek ucisku na wyniosłość głowy, który to ucisk w naturze może być wywołany przez skorupę jajka. Okazuje się przytém, że jeżeli ucisk ogranicza się do głowy, powstaje omfalocefalia o sercu pojedyńczém, jeśli zaś ucisk ten rozpościera się w tyle po za głową, oprócz omfalocefalii występuje także zdwojenie serca.

Widzimy zatém, że i teratologia (nauka o potwornościach) może stanąć na właściwym gruncie, opierając się na eksperymencie, jedynie bowiem drogą doświadczenia możemy się przekonać, jakie są przyczyny najrozmaitszych potworności, występujących w rozwoju zarodków. Rzecz naturalna, że korzyści z tego mogą być nie tylko natury czysto teoretycznéj, lecz i praktycznéj medycynie mogą niemały okazać pożytek, ponieważ ogólne procesy rozwoju embryonalnego tak są podobne w zarodku ptasim oraz ssaków (a tém samém ludzkim), że z doświadczeń nad zarodkiem ptasim można z wielkiém prawdopodobieństwem wnosić także o wpływie różnych bodźców lokalnych na zmiany w zarodku ssących, a tém samém poznać przyczynę niektórych potworności i nienormalności, jakim podlega płód ludzki w łonie matki.

Tak więc widzimy, iż pomimo nadzwyczajnéj swojéj młodości, embryologia eksperymentalna zdołała zdobyć nie jeden ważny fakt ogólnego znaczenia biologicznego. Nie ma wątpliwości, iż umysł ludzki wkroczywszy raz w tę tajemniczą i nową dziedzinę, nie ulęknie się trudności, jaką ona przedstawia, lecz doskonaląc coraz bardziéj metody, zdoła wznieść z czasem z embryologii doświadczalnéj równie wspaniały systemat faktów i teoryi, jaki dotąd osiągnął na drodze embryologii obserwacyjnéj, która zadawalnia się spostrzeganiem przemian rozwojowych, zachodzących w warunkach naturalnych.

Dr. Józef Nusbaum.



JĘZYKI NATURALNE I SZTUCZNE.

(VOLAPÜK I LINGVO INTERNACIA).

Olbrzymi pożytek, mogący wyniknąć z istnienia jednego wspólnego dla wielu narodów języka, rzuca się w oczy każdemu: łatwość porozumienia się z cudzoziemcami, oszczędzenie drogiego czasu, którego dziś tyle poświęcamy na naukę mnóstwa języków obcych, znakomite rozszerzenie literackiego i naukowego horyzontu każdego człowieka dzięki dokonywaniu tłómaczeń ze wszystkich języków na ten jeden wspólny, silniejsza cyrkulacya w sferze handlowéj itp. są to owoce, którym pożyteczności zaprzeczyć trudno.

Tymczasem, gdy jedni uznają tę ideę za *pium desiderium* ludzkości, inni natomiast zalecają dla stosunków międzynarodowych jeden z bardziéj rozpowszechnionych języków naturalnych, nakoniec inni jeszcze głosują za jakimś nowym *ad hoc* utworzonym. Dwie pierwsze kategorye drwią sobie z trzeciéj: wytykają palcami wyznawców „sztucznego żargonu", śmieją się ironicznie wobec książki Schleyera lub broszurki Esperanta, bawią się nazwiskami „robicieli" języków, gramatycznych sztukmistrzów, prawodawców „gwary" powszechnéj. Z pierwszą kategoryą—ludzi „praktycznych"—rozprawiać nie warto: wszelkie niespełnione jeszcze marzenie nazywają oni mrzonką; lubią „przychodzić do gotowego"—i przyjdą! Natomiast zamierzamy usunąć uprzedzenia tych, którzy do pełnienia funkcyi języka międzynarodowego nie chcą dopuścić „indywidualnego fabrykatu" i oświadczają się za używaniem w tym celu jednego z istniejących języków naturalnych.

Pomijamy ważny argument natury negatywnéj, mianowicie, że żaden naród nie pozwoli, aby międzynarodowym był obcy, a nie jego język; postaramy się pozytywnie dowieść, że języki sztuczne mają poniekąd wyższość nad naturalnemi.

Przy téj sposobności okażemy, że nowy język (d-ra Esperanto), który niedawno zjawił się w Warszawie, naszém zdaniém, posiada większą wartość praktyczną i teoretyczną niż rozgłośny Volapük Schleyera.

Od obietnic przechodzimy do rzeczy. Przestępujemy próg laboratoryum sztucznego języka. Nie będziemy nużyli czytelnika pedantycznym rozbiorem mnóstwa nasuwających się pytań, nie będziemy go wciągali w lingwistyczną głębię, pokażemy tylko na jakich zasadach wspiera się budowa języka sztucznego.

Weźmy np. kwestyą rodzajów: Dla czego „stół“ w języku naszym jest rodzaju męskiego, kiedy po francusku przybiera płeć żeńską (*la table*)? Dla czego polski „liść“ mógłby iść do ołtarza z francuską „la foliole”, kiedy znów w języku niemieckim, jako bezpłciowe „das Blatt“, musi zrzec się wszelkich matrymonialnych zamiarów? Dlaczego „das Band“ ma oznaczać wstążkę, a „der Band“—tom, „der Heide“ ma być poganinem, a „die Heide“ stepem; dlaczego rodzaj rozstrzyga tu między różnemi pojęciami o jednéj nazwie? Zkąd wreszcie taka nielogiczność, jak „das Weib“ (kobieta) w niemieckim, podczas gdy język francuski nie zna znów wcale rodzaju nijakiego?...

Wszystko to jest właśnie skutkiem nieświadomego tworzenia się języków; przyzwyczajenie stawało się sankcyą najwyższą. Zobaczmy teraz, jak sobie w danéj kwestyi postępuje z naturą sztuka, wsparta logiką oraz porównawczemi studyami nad językami naturalnemi. Twórca „świadomego“ języka zapytuje: po co ten dziwny chaos rodzajów? gdzie sens w tych sprzeczkach, czy „kometa“ jest męskiego, czy żeńskiego rodzaju? Rodzaj gramatyczny winien zależéć od płci. A przeto przedmioty martwe, uczucia, pojęcia abstrakcyjne itp. są z natury rodzaju nijakiego, samce—męskiego, samice—żeńskiego. A że istoty żyjącéj niepodobna zmieszać z przedmiotem martwym, uczuciem, abstrakcyą, więc cała kwestya rodzajów sprowadza się do odróżniania samców od samic. W języku polskim wyrazy: „ojciec i matka, syn i córka, kogut i kura“ od różnych pochodzą pierwiastków; lecz posiadamy za to cały szereg wyrazów o wspólnym źródłosłowie, które wskazują płéć odmiennemi zakończeniami, tak np. kot i kotka, osioł i oślica, kupiec i kupcowa itp. Daléj jeszcze są wyrazy, które obejmują obie płcie; do takich dla odróżnienia dodają się słowa: samiec i samica (np. kanarek, żaba etc.). Te trzy sposoby rozróżniania płci napotykamy prawie we wszystkich językach. Jakiż z nich jest najdogodniejszy, a przeto najodpowiedniejszy dla języka sztucznego. Oczywiście, że nie pierwszy, który obciąża pa-

męć nowemi niepotrzebnemi pierwiastkami. Pozostaje tedy wybór między drugim i trzecim. Dr. Esperanto obrał drugi, Schleyer—trzeci. Schleyer wyrazy fat—ojciec, son—syn itp. poprzedza przystawką ji (=szi po ang. ona, zastępujące w języku angielskim w tym samym wypadku słowo samica) i tym sposobem otrzymujemy wyrazy: ji-fat—matka, ji-son—córka. Esperanto używa przyrostka *in*: amiko, amikino—przyjaciel, przyjaciółka, filo, filino—syn, córka, patrino—matka. Przyrostek *in* wzięto z języków żywych: podstoli—podstol*in*a, der Graf—die Gräfin (hrab*in*a), dziewcz*yn*a itp. Oba te sposoby są dobre, naturze bynajmniéj nie przeczą, wprowadzają tylko pewną regularność gramatyczną, oraz ekonomią w słownictwie. Jeżeliby nas zapytano, który z tych sposobów jest lepszym, oświadczylibyśmy się raczéj za dobitném *in* niźli za Szleyerowskiem ji, mogącém ujść uwagi naszego ucha, jako wypowiadane przed wyrazem, do którego się stosuje. Istotna jednak wyższość Esperanta w danéj kwestyi polega na tém, że nie zmusza on nas do gramatycznego rozróżniania rodzaju nijakiego, identyfikując go jakoby z męskim. Tak np. u Schleyera fat sag*om* (ojciec mówi) i git sag*os* (prawo mówi); u Esperanta zaś: pato diras ilego diras. Rozróżnianie, jak sam przykład polskiego języka wskazuje, zupełnie zbyteczne; Schleyer wyraża się w danym razie: prawo, ono mówi. Dobitnie, nieprzeczymy, ale że to gramatyki nie ułatwia—rzecz widoczna.

Przerzucamy się do innéj kwestyi, zwracamy uwagę na złożone orzeczenia. Mówimy: „ten chłopiec jest dobry, ta dziewczyna jest dobra, to dziecko jest dobre.“ Ale wszakże w niemieckim przy każdym z tych rzeczowników mówimy: „ist gut“ przymiotnika nie zmieniając. Twórca języka, który w uproszczonéj gramatyce używa tylko najniezbędniejszych form, powié sobie: chcę wyrazić, że chłopiec, dziewczyna, dziecko, posiadają sumę tych właściwości, które nazywamy dobrocią, lecz czyż w każdym z danych wypadków dobroć się zmienia, raz staje się męską, drugi raz żeńską to znowu nijaką? Wszak nie! W saméj rzeczy tedy trzeba przyjąć tę regułę, któréj trzyma się język niemiecki, nie obawiając się wcale niejasności. Toż samo rozumowanie stosuje się i wówczas, gdy przymiotnik użyty jest jako określenie (bona patro, bona patrino, gudik fat, gudik ji-fat), aczkolwiek w polskim i tu przymiotnik nagina się do rodzaju, a i niemiecki niekiedy przestaje być konsekwentnym (po *ein*). Lecz i tutaj gramatyka Esperanta łatwiejsza i konsekwentniejsza: dzięki artykułowéj deklinacyi, drugi i trzeci przypadek nie wymaga zmiany przymiotnika; u Schleyera przymiotnik przybiera zakończenia, — może ich jednak nie przybierać, gdy stoi za rzeczownikiem.

Obecnie, gdy czytelnik zrozumiał już niektóre wytyczne zasady „robicieli języków“, możemy szerzéj rozejrzéć się w etymologii. Przedewszystkiém jednak zwracamy uwagę czytelnika na mnóstwo form, zakończeń, t. z. nieprawidłowości w językach fleksyjnych: We francuskim języku np. według obliczenia Don Sinibalda de Mas, twórcy ideografii, — samych zakończeń dla czasów zwyczajnych 10-ciu prawidłowych koniugacyi jest 310, a 1755 dla 39 nieprawidłowych koniugacyi, 200 zaś dla słów posiłkowych, co razem stanowi 2265—ogromny balast dla pamięci. Podobnyż balast w językach niemieckim, angielskim, włoskim itp. Czém-że jest wobec tego nader szczupła ilość gramatycznych zakończeń w Volapüku i nieledwie że kilkanaście wszystkich w języku Esperanta!!...

Ze strony etymologii językom sztucznym zarzucają ich n i e f l e k s y j n o ś ć (tj. niezmienność źródłosłowów); uważają je za wytwór usiłowań, cofających mowę naszą wstecz, od najwyższego stopnia rozwoju językowego ku fazie niższéj, aglutynacyjnéj (1). Zarzut ten jednak traci na powadze wobec tego faktu, że znakomity lingwista Maks Müller nie przypisuje wielkiego znaczenia „drabinie językowéj“ Schlegla; przy różnicy morfologicznego ustroju dwóch rozmaitych języków dostrzega on niekiedy jedność fonetycznych procesów, któréj przypisuje ważniejsze znaczenie w klasyfikacyi języków; klasyfikuje on języki według danych geograficznych. Daléj, są lingwiści, którzy przyznają wyższość pewnym właściwościom języków aglutynacyjnych nad odpowiedniemi właściwościami języków fleksyjnych; języki aglutynacyjne są mniéj zawiłe pod względem budowy gramatycznéj: istnieje tu większa prawidłowość; przyrostki (sufiksy) mają stałe znaczenie etc. (2). Te właśnie najlepsze właściwości języków aglutynacyjnych przejęli językotwórcy, zważywszy, że fleksyjność jest właśnie najgłówniejszą przyczyną trudności języków aryjskich.

---

(1) Według językoznawców, język przechodzl przez trzy fazy: *monosylabiczną aglutynacyjną* i *fleksyjną*. Chiński język skamieniał na pierwszéj fazie: nie posiada on zakończeń dla części mowy, nie ma form dla wyrażania stosunków. Tak np. pojęcie „jadłem“ wyrażam przy pomocy trzech jednosylabowych słów: „ja jeść przedtém“; kamyk= dwóm wyrazom: „kamień dziecię“. Języki turańskie zatrzymały się na fazie aglutynacyjnéj: skupiają one (tj. łączą) różne części mowy z małą zmianą samogłosek. Najgiętsze atoli są języki fleksyjne (indoaryjskie i semickie) w których prócz właściwości pierwszych dwóch faz, zauważamy trzecią: zmianę samych źródłosłowców: tu najlżejsza zmiana nadaje inną treść wyrazowi.

(2) Właściwą wadę języków aglut. stanowi narastanie słów bez końca, a skutkiem tego ich niezmierna długość. Jako przykład weźmiemy z języka Esperanta wyraz: aptekarz—*sanilujisto*: składa się on ze źródł. san=zdrowie, przyrostków: il (sanilo—lekarstwo), j (saniluje—apteka) ist (=zajmujący się czémś) i końcówki gramatycznéj *o*.

Narody indo-aryjskie dzięki ustrojowi narządów głosowych, bądź dzięki innym przyczynom, tkwiącym w ich charakterze, były bardziéj od innych narodów skłonne do zmian fonetycznych, skutkiem których słowa coraz to inszą przybierały postać. Właściwie pierwszym impulsem do wprowadzenia zmiany źródłosłowów (fleksyi) była potrzeba rozróżnienia pojęć, dotąd wadliwie oznaczanych jednym wyrazem: przez zmianę źródłosłowu otrzymywało się nowy wyraz. Późniéj uczyniono toż samo i dla rozróżnienia form gramatycznych, a raczéj oznaczonych przez nie pojęć. Lecz zapytujemy, czy gdyby od *gehen* czas przeszły był *gehte* (a nie *ging*),—czy forma ta, utworzona prawidłowo, byłoby mniéj zrozumiałą. Bezwątpienia niejednokrotnie inne formy, utworzone prawidłowo, fonetycznie byłyby gorsze od dzisiejszych nieprawidłowych; dla tego to w biegu czasu uległy zmianie (od *leiden*—imperf. *litt.* a nie *leidte*). Lecz to nie może stosować się do języków sztucznych, które zbierają już owoce tego fonetycznego procesu, źródłosłowy, sufiksy i zakończenia dobierają oni tak, aby te, skupiając się, nie wymagały fonetycznych przemian (1). Pomyślne wywiązanie się z tego zadania stanowi właśnie zasługę Schleyera i Esperanta.

Gdyby ilość fleksyi stanowiła o wyższości języka, to najwyżéj należałoby chyba postawić język Basków, który posiada takie mnóstwo form koniugacyjnych, że skłoniło to aż księcia Ludw. Luc. Bonapartego do poświęcenia oddzielnéj monografii temu przedmiotowi (Le verbe Basque). Z drugiéj strony, i niezmienność źródłosłowów, nie przemawia na niekorzyść języków sztucznych, gdyż bądź co bądź, nawet w językach fleksyjnych, źródłowy, o ile na to pozwalają reguły fonetyczne, zachowują swoję pierwotną formę. Maks Müller z tego powodu mówi o jakiejś naturalnéj „sile źródłosłowów“. Naszém zdaniem, właśnie nieznaczna ilość form, oraz niezmienność źródłosłowów, ułatwiając gramatykę i słownictwo języków sztucznych, stawiają je ponad językami Europy przy wyborze języka międzynarodowego. Pod tym względem Esperanto poszedł daléj, niż Schleyer; jego język stanowi poniekąd najwyższy stopień rozwoju języka aglutynacyjnego (2).

---

(1) Odmienność form: „módz, mogę, może, mógłbym“—jest koniecznością fonetyczną. Lecz formy: povi, povas, povis, povus (Esper.) nie wymagają żadnych zmian, a łatwiejsze są od koniugacyi łacińskiéj (posse), francuskiéj (pouvoir) etc.

(2) W razie przyjęcia się języka sztucznego Esperanta, prawdopodobną jest rzeczą, że pewne dłuższe słowa ulegną skróceniu za sankcyą jakiejś akademii (Volapük posiada już podobną akademią). W każdym razie chociażby wówczas język ten stał się nieco trudniejszym, to nie byłoby to dlań ze szkodą, wobec tego że wszedłby już w życie.

Poprzedzające wyjaśnienie rzuci pewne światło na kwestyą konjugacyi w języku sztucznym. Weźmy np. czas teraźniejszy słowa ruszać: ja rusz*am*, ty rusz*asz*, my rusza*my* itp. Zmieniamy tu końcówkę gramatyczną zależnie od tego, czy mówimy o osobie 1-széj, 2-giéj lub 3-éj, czy osoby téj używamy w liczbie pojedyńczéj, czy w mnogiéj. Ależ z punktu logicznego sam fakt ruchu pozostaje we wszystkich tych razach jakością niezmienną. Jeżeli przy zaimkach osobowych zaznaczymy jedynie istnienie jakiejś czynności obecne, przeszłe lub przyszłe, to najzupełniéj to nam wystarczy. Prawda, że istnienie osobowych końcówek pozwala nam pomijać zaimki (ruszam, ruszasz), co skraca mowę, ale że brak tych końcówek nie jest bynajmniéj czemś nie naturalném i niewygodném, dowodzi tego przykład rosyjskiego, (ja płakał, ty płakał, oni płakał). Prawidło to jednak zarzuca poniekąd i ten język, używając nowéj końcówki dla trzech osób liczby mnogiéj (my, wy, oni płakali—podobnie i w angielskim). Oczywista, że jasność myśli nie straciłaby nic, gdyby każdy czas posiadał tylko jedną końcówkę. Języki naturalne dopuszczają się nowéj niekonsekwencyi, oznaczając rodzaj w koniugacyi: ja płakał*em*, ja płakał*am*, on płakał, ona płakała. Że jest to najzupełniéj zbyteczném, okazuje brak rodzajowych końcówek w tych-że językach w czasie teraźniejszym i przyszłym (on, ona—płacze; on, ona—zobaczy). Czynność jest niezależną od płci, niezmienną; dość tedy, gdy płeć wyrazimy w osobie trzeciéj przez *zaimki*: on i ona; zaznaczanie zaś płci w osobie pierwszéj i drugiéj (ja, ty), jest zgoła zbytecznéni, gdyż płeć tych osób, jako, że tak powiemy, obecnych przy rozmowie, rzuca się w oczy.

Wyszedłszy z przedstawionych założeń, Esperanto dla trzech czasów: teraźniejszego, przeszłego i przyszłego, daje trzy tylko końcówki: *as*, *is*, *os*; zaimek osobowy wskazuje zawsze osobę. Oto koniugacya słowa vidi—widziéć.

Sing. Mi
Vi
Li (ŝi - ona) } vidas, vidis, vidos.
Plur. Ni
Vi
Ili

Natomiast Schleyer czyni uwagę, że końcówka osobowa częstokroć jest właśnie zaimkiem (*my* rusza*my*); jest to właściwie prawem w językach aglutynacyjnych (tatarskie: *men* ata*men*—ja strzelam). Idąc w ślad tego prawa, (a zresztą może samodzielnie wpadłszy na tę myśl), Schleyer zamiast końcówek używa wszędzie zaimków osobowych. Słowa löfön—kochać ma czas teraźniejszy w liczbie

pojed. löf-*ob*, löf-*ol*, löf-*om* (masc.). Liczba mnoga löf-*obs*, löf-*ols*, löf-oms, löf-ofs (1). Dla oznaczenia tedy czasu przeszłego i przyszłego, aby nie naruszyć końcówek używa on przybranek (na wzór greckiego augmentum). Imperf. przybiera ä (älöfol), perf.—e, plusquamp.—i, futur. prim.—o, futur. sec. u. Tu Schleyer odstąpił od ekonomii gramatycznéj, dał się pociągnąć wzorom germańsko-romańskim. Tymczasem urodzony na glebie słowiańskiéj *Lingvo Internacia*, na wzór języków słowiańskich, mniéj posiada czasów, ze względu na to, że cieniowanie ich nie jest zawsze koniecznėm, gdyż wiele tu mówi logika; dla odróżnienia zaś w koniecznych wypadkach ciągłości czynności, lub téż dokonania jéj w czasie przeszłym lub przyszłym, używa się tu przyrostka ad—w pierwszym razie, w drugim zaś przybranki ek: vid*ad*is—widywałem, *ek*vidis—zobaczyłem, *ek*vidos—zobaczę. Jeżeli tedy konjugacya u Schleyera jest bardziéj matematycznie zbudowaną, to konjugacya Esperanta jest łatwiejszą.

W „Volapüku" przybranki e i ä trudne są do odróżniania dla Słowian; końcówki al, ol, om, of, ok (zaimek zwrotny się), os (ono), i on (francus. vous) dopuszczają łatwe wylanie się w mowie i na piśmie. Zbyteczne bogactwo téj konjugacyi również jest wadą; na cóż np. istnieje forma aoristu (äilöfol—kocham stale)?! Gdybyśmy nie bali się utrudzić czytelnika, przeprowadzilibyśmy dalszą paralelę, z któréj okazałoby się, że Esperanto ciągle trzyma się tychże samych prawideł (np. w imiesłowach), gdy tymczasem Schleyer, pragnąc mićć wszystkie formy w swoim języku, dopuszcza się dziwolągów, nie dających się łatwo zrozumiéć przy prędkiéj mowie (löfol-li-la-nó = mogęż nie kochać?). Następnie Schleyer jest wielokrotnie nienaturalnym: całą bierną stronę formuje on przez dodanie *pa* (pierwszą sylabę słowa *pa*ssivum), przechodzącego w imperf. w *pä*, w perf. w *pe*, w fut. (1 i 2) w *pu* i *pi*.

Zakończymy nasz rozbiór gramatyki obu języków rozbiorem deklinacyi. Schleyer formuje takową przez dodanie kolejnych samogłosek do źródłosłowu: fat (ojciec), fata, fate, fati; liczba mnoga przybiera spółgłoskę s: fats, fatas, fates, fatis. Deklinacya Esperanta mniéj sztuczna, ale téż i mniéj konsekwentna, niżli u Schleyera: 2-gi i 3-ci przypadek naśladuje artykułową konjugacyą włoską, 4-ty kończy się na n: patro, de patro, al patro, patron; liczba mnoga przyjmuje j: patroj, de patroj, al patroj, patrojn. Narzędnik (6-ty przypadek) w obydwóch językach wyraża się przy pomocy przedimka: u Esp. kun, w Volap.—sa, ko ke.

---

(1) Akcent na ostatniéj sylabie.

Porównywając konjugacyą i deklinacyą obu języków sztucznych z odpowiedniemi formami w językach naturalnych, będziemy musieli się zgodzić, że gramatyka Volapüku i Lingvo jest o wiele łatwiejszą, niż jakakolwiek inna; w językach naturalnych bowiem istnieje zawsze prócz massy wyjątków po kilka wzorów deklinacyi i konjugacyi.

Po etymologii, która jest szkieletem języka, należałoby przejść do słownictwa, lecz rozbiór jego zmuszeni jesteśmy poprzedzić rozbiorem innéj kwestyi: fonetyki języka sztucznego; zanim bowiem poznamy słowa, musimy poznać składowe ich dźwięki.

Z téj strony właśnie padają najsilniejsze razy na ideę języka powszechnego. Krytycy wskazują olbrzymią różnorodność głosowych narządów ludzkości; przegląd języków naszéj kuli poucza, że niektóre (większa część języków australijskich) składają się zaledwie z 8-miu dźwięków; wielu narodom brak takich dźwięków, jak r, k, t, m, d, f...

A że bogactwo naszych pojęć nie da się wyrazić za pomocą jedynie 8-miu dźwięków, okazuje się tedy, że idea języka wspólnego całemu światu jest mrzonką, nie możebną do urzeczywistnienia; nazwa Volapük (język świata), nadana przez Schleyera, bynajmniéj nie jest ścisłą.

Czyż jednak obniża się skutkiem tego znaczenie popieranéj przez nas idei? Naszém zdaniem, gdyby sama tylko Europa posiadała jeden język dla stosunków międzynarodowych (1), byłoby to już bardzo wiele. Stosunki z Polinezyjczykami, piłującymi sobie zęby i skutkiem tego tracącymi zdolność wymawiania wielu dźwięków, bynajmniéj się nam nie uśmiechają.

Ale, zdaniem niektórych krytyków, nawet sama Europa nie może posiadać jednego wspólnego języka. gdyż ma temu przeszkadzać różnica narządów głosowych Anglika, Francuza, Polaka etc. Oczywiście ci, co tak mówią, zapominają, że już dziś uczymy się najróżnorodniejszych języków mimo ich odmiennéj fonetyki. Polak przy pewnym wysiłku nabyć może wymowy angielskiéj, przynajmniéj do tyla, aby być zrozumianym; Niemiec potrafi mówić po polsku, mimo naszego „nieszczęsnego“ ł.

---

(1) Niektórzy uważają ideę języka powszechnego za szkodliwą ze względu na to, że język taki mógłby usunąć na drugi plan język ojczysty, a z czasem i zastąpić go. Są to obawy próżne. Żaden naród w domowém swojém życiu nie wyrzeknie się nigdy własnego języka; nawet wyrzec się nie może, jak nie może zrzec się swojego charakteru, obyczajów etc., słowem swojéj natury.

Jeżeli tedy zjawia się człowiek, który za podstawę fonetyki sztucznego języka przyjmuje wykluczenie pewnych dźwięków indywidualno-narodowych (np. polskiego ł, ang. th), toć przecie człowiek taki tylko zwiększa możność porozumienia się ludów. Języki Esperanta i Schleyera dlatego właśnie mają wyższość nad językami żywemi w zastosowaniu do stosunków międzynarodowych, że obydwaj twórcy nie użyli ani jednego dźwięku, którego nie mogłyby wymówić jakiekolwiek europejskie usta. Schleyer jednak nie jest tutaj bez grzechu: użyte przez niego e, ä ö, aczkolwiek wymawialne dla Słowian, wymagają od nich pewnego wysiłku w rozmowie; również i słuch Słowianina odróżnia je z trudnością, co może być powodem nieporozumień, zwłaszcza że zgłoski te grają ważną rolę w gramatyce (imperf. przybiera ä, perf. e). Z drugiéj strony, Słowianie z trudnością rozróżnią w rozmowie podobnie brzmiące słowa, zakończone na *d* i *t*, *g* i *k*, *b* i *p*: läd, lät, led, let, lab, lap, mak, mag i t. p.

Widzimy tedy jak mało uwzględnił Słowian ten sam Schleyer, który z godną największego podziwu pracą przerabiał każde słowo germańskie, ażeby uprzystępnić swój język dla jaknajwiększéj liczby ludów: r zmieniał na l, gdyż Chińczycy r nie wymawiają; starannie unikał zbiegu trzech lub dwóch spółgłosek, nie istniejącego u wielu ludów etc.

Stronnicy Volapüku, opierając się na tém ostatniém, dowodzić będą, że język Schleyera ma większe szanse przyjęcia się na całym świecie, niż język Esperanta. Naszém zdaniem, twierdzenie to jest mylne. Przedewszystkiém zauważymy, że sam Schleyer zaszedł nie bardzo daleko w kierunku fonetycznego ułatwiania swojego języka; musiał i on przyjąć pewne granice, inaczéj przyszłoby mu utworzyć język z 8-miu dźwięków, język odpowiedni tylko dla najniższego szczeblu rozwoju ludzkości. Użył on mnóstwa dźwięków niewymawialnych dla wielu ludów; nawet r nie wyrugował zupełnie; zapomniał, że Arabowie nie wymawiają p, Finnowie i Mongoły—f; zapomniał, że Japończycy odwrotnie, niż Chińczycy, zamiast l używają r; zapomniał, że téż same ludy, które nie znoszą zbiegu dwóch spółgłosek, nie zniosą również zakończonych spółgłoską słów Volapüku (1).

Zapomniał wiele, a jednak, naszém zdaniem, jeszcze za wiele pamiętał! Sądzimy, że niepotrzebnie czerpał on ze swojéj głębokiéj wiedzy lingwistycznéj, niepotrzebnie opracował wiele szczegółów, gdyż kierujący się raczéj zmysłem praktycznym Esperanto,

---

(1) Kafrowie np. angielskie kirk przerobili na ikerike.

mimo mniejszéj wiedzy i mniejszego opracowania, jednakowe ze Schleyerem szanse posiada nawet po za granicami Europy, nawet u Chińczyków, o których tak dbał Schleyer. Nie jest to paradoks, jest to przypuszczenie oparte na danych naukowych, a pobijające przeciwników idei powszechnego (1) języka.

Oto co pisze Maks Müller w swojéj „Nauce o języku“: „Ja sam widziałem Mohawka z łatwością wymawiającego dźwięki wargowe; nauczył się on tego, czego nie potrafi żaden z jego ziomków. Praktyka przyzwyczai i Hawajczyka do wymawiania dźwięków *k* i *t*, obecnie zastępowanych jakimś środkowym między *k* i *t* dźwiękiem.“

Faktem jest daléj, że Finnowie nauczyli się z czasem wymawiać kilka skupionych spółgłosek: *pr*, *sp*, *str*, dzięki stosunkom z ludami aryjskiemi. Słowianie dawniejsi nie potrafili zapewnie wymawiać dźwięku *f*, gdyż takowy nie spotyka się w żadnym czysto słowiańskim wyrazie. Tak więc narządy głosowe mogą się zmieniać, przystosowywać. Więcéj jeszcze powiemy: uczeni zbyt pochopnie uważają alfabet za miarę wymawianych przez naród dźwięków; sądząc z abecadła, nam, Polakom, możnaby odmówić możności wymawiania takich dźwięków, jak *sz*, *cz*, które w abecadle czeskiém i rosyjskiém mają osobne znaki. Niemiec, nie posiadający w rodzinnym języku *ś* i *ć*, z łatwością je wymawia; przy pewnym wysiłku wymówi nawet *ł*.

Przyswajając sobie nowy język, uczymy się nowych dźwięków. Przypuśćmy jednak, że Chińczyk żadną miarą nie wymówi *r*, że zastąpi je zawsze dźwiękiem *l*. Lecz czyliż to nie rozumiemy naszych dzieci, gdy zamiast „robak“, mówią „lobak.“ Porozumieniu się z ludźmi nie przeszkadzają bynajmniéj takie idyosynkracye, jak zamiana *k* na *t*, lub *l* na *r*. Z pierwszém tedy śmiało spotkamy się u Hawajczyka, z drugiém u Chińczyka. Dzisiejsi Chińczycy uczą się angielskiego języka mimo jego fonetycznych trudności; nauczą się tedy i języka Esperanta, który w fonetyce uwzględnił tylko Europę: nauczą się go, jeżeli stanie się on językiem Europy; krótka praca sowicie się im wówczas opłaci.

Ze strony fonetyki inny jeszcze stawiają zarzut językowi powszechnemu. Krytycy twierdzą, że jeżeli nawet przyjmie się taki język, to z czasem musi się zindywidualizować; w ludzkości bowiem istnieje pod tym względem pewna siła różniczkowania: indo-aryjskie języki rozbiegły się z jednego pnia; każdy język rozpada się na kilka dyalektów....

---

(1) Zwracamy uwagę czytelnika, że słowa „powszechny“ używamy nie ściśle, nadając mu zawsze pewne granice, tak np. wykluczamy Polinezyjczyków.

Zarzut ten nie wytrzymuje krytyki. Języki aryjskie kształciły się w epoce koczowania ludów; każdy z tych ludów wziął ze wspólnéj kolebki tylko podstawy przyszłéj swojéj mowy, bardzo mało jeszcze wyrobioną naówczas; późniéj, po osiedleniu narodów, języki aryjskie oddalały się coraz bardziéj od wspólnego źródła a indywidualne przyjmowały cechy tylko pod wpływem tego, że nie było wówczas dzisiejszych środków komunikacyi oraz stosunków międzynarodowych. Lecz dziś, gdy dzięki kolejom i telegrafom krańce świata zbliżyły się ku sobie, zmiany podobne nie mogą zajść tak łatwo. Kontrolującym czynnikiem może być tu z czasem jakaś akademia, jeżeli nie wystarczy sama literatura, która zawsze pewną jedność utrzymywać będzie (1).

Napróżno także obawiają się niektórzy, że każdy naród zastosuje do nowego języka swoje prawa fonetyczne (2), swoje idyosynkrazye, że jeden słowa skróci, a drugi przedłuży, jeden będzie dodawał dźwięki, a drugi je wyrzucał. Narody postępowały tak, ale tylko w granicach własnego języka, urabiającego się nieświadomie. Lecz któż słyszał, aby Polak, nauczywszy się języka niemieckiego, przerabiał go według praw mowy rodzinnéj? Czyliż wygodny Anglik, lubiący krótkość, nie mówi po francusku „histoire“, chociaż po swojemu wyraża się „story“? Czyż Francuz dodaje do łacińskiego „sperare“—*e* dla tego, że łatwiéj mu wymówić „esperer“; czyż od krótkiego „père“ nie wraca do bardziéj nużącego „pater“, ucząc się łaciny? Jeśli indywidualne i trudne języki: angielski i francuski, są dzisiaj po części językami „konwersacyi międzynarodowéj“, to i język sztuczny z czasem może posłużyć w tym celu, a dzięki ułatwionéj fonetyce najbardziéj się do tego nadaje (3).

Przechodzę do najważniejszéj części, do słownictwa i na tém polu właśnie najdowodniéj okażę, jak znaczną przewagę mają języki sztuczne nad naturalnemi pod względem pamięciowym; zauważyć jednak należy, że słowa: „języki sztuczne“ użyte są tutaj bardziéj *in abstracto*, oraz w zastosowaniu do języka Esperanta.

---

(1) Prawda, że Anglicy, Francuzi, Polacy etc. po swojemu czytają łacinę, ale dzieje się tak tylko dla tego, że nikt napewno nie wié, jak czytali istotnie Rzymianie. Inaczéj ma się rzecz z językiem żywym. A choćby nawet czytanie i wymowa zindywidualizowały się, to już istnienie jednego powszechnego pisma nie jest rzeczą drobną, a że to możebne, widzimy to chociażby ze wspólnéj ideografii mnóstwa azyatyckich narodowości.

(2) Według prawa Grimma, tam gdzie Grek używał kh (χ), tam Got wymawiał g, a starożytni Germanowie k i t. p.

(3) Jeżeli sądząc z powyższego rozbioru, Volapük pod tym względem może liczyć na szersze poparcie po za granicami Europy, to „Lingvo Internacia“—naszém zdaniem—posiada większe szanse na gruncie europejskim, między narodami słowiańskiemi.

Schleyer bowiem na tém polu grube poczynił błędy, a są one tylko konsekwentnym wynikiem jego poglądów na fonetykę języka „powszechnego."

Słownik jego wprawdzie posiada tylko 2600 wyrazów,—liczba nader mała w porównaniu z olbrzymiém mnóstwem słów każdego z języków cywilizowanych; nie ma w nim chaotyczności źródłosłowów, wyrażających pojęcia jednoznaczne, jak to się dzieje w językach żywych; nie ma utrudniających naukę fleksyi, ani mnóstwa zakończeń gramatycznych; nie ma niestałości w sufiksach ani zbytecznéj ich różnorodności; nie ma całego szeregu dwuznaczności (1), napotykanych w językach naturalnych. Usunięcie tych wszystkich „nie ma" jest podstawą słownictwa języków sztucznych, ale nie dość, że Schleyer pod tym względem dał się prześcignąć dr. Esperanto (jak obaczymy niżéj), — popadł on w inny błąd: wprowadził do swego słownika mnóstwo słów jednozgłoskowych, podobnie brzmiących, niecharakterystycznych, które poprostu „wykuć" potrzeba. Oto drobna garstka przykładów: nad—igła, nag—potém, näg—blizko, net—naród, nek—nigdy, nög—jajko, nök—wuj, nog—jeszcze, not—wieść, nöt—orzech i t. p. W obec tego najmniejsza zmyłka w piśmie, lub w mowie może zatrzéć myśl całego zdania. Jak tu odróżnić num—liczba i nüm—numer, mid—mięso na ciele i mit—mięso na pokarm?

Inny błąd Schleyera polega na tém, że prawie całkowicie rozerwał łączność między swym językiem, a językami romańskiemi i germańskiemi. Pomimo że te ostatnie (najgłówniéj zaś angielski) obrał sobie za podstawę przy tworzeniu słownika, to jednak nawet zdolny lingwista, znający dobrze języki europejskie, nie zdoła zrozumiéć bez słownika ani urywku, napisanego Volapükiem. Kto w „gat" odkryje garten, w „döl"—idea, w „mot"—matka? Napróżno będziemy się domyślali w słowie: globik—„okrągły", oznacza ono bowiem „gruby"; wyraz „klugik", który przypomni nam niemieckie „klug" (mądry), oznacza „krzywy"; „monitön", podobne do „monitować", tłómaczy się przez „jeździć konno".

Czemu to nienawidziéć, franc. haïr, angiel. to hat, niemieckie hassen, w Volapüku brzmi „cetön"? Czemu łacińskie „facilis"—lekki, jako „fikulik"—oznacza „ciężki"?

---

(1) W słowniku francuskim spotykamy np. wyrazy: *ver* — robak, *vers* — wiersz *verre*—szklanka, *vert*—zielony, *vair*—miech (rozmaite słowa o jednakowém brzmieniu); w niemieckim: *leiten*—prowadzić, *lauten*—dźwięczą, *Leuten*—ludziom. Franc. *bas*=nizki, dolna część, nizko, pończocha.

Ale największém dziwactwem Volapüku jest przekręcanie źródłosłowów i całych wyrazów, wspólnych wielu narodom, a przeto z natury swojéj „powszechnych“: matematyka—gletav, minister—dünal (przy dünel—sługa), ewangelia—gospel, Afryka—Fikop, Irlandya—Kilän. Wszystkie nazwy miejsc i narodów zmienione do niepoznania. Nawet naukowe terminy nie są wzięte, jakby należało z łaciny, ale utworzone samodzielnie: miedź—„koped“ nosi prócz tego chemiczną nazwę „kupin“, srebro—„silef“, chemicznie—„silin“! Człowiekowi, nieobeznanemu z zasadami fonetycznemi, na których opierał się Schleyer (unikanie litery *r*, zbiegu spółgłosek i t. p.), wyda się, że to jakiś szał przekręcania ogarnął autora Volapüku, że staraniem jego było właśnie jaknajwiększe obciążenie pamięci uczniów. Nie dziw też, że (pominąwszy uczonych i entuzyastów, oraz najbardziéj obecnie zainteresowanych w téj sprawie kupców), słownik Volapüku, pełny dziwolągów, nieharmonijny, wszystkim zarówno obcy, spotyka w szerszych kołach społeczeństwa szyderstwo i chłód. Schleyer sam zabił praktyczną wartość swego słownika! Ważniejszy jednak zarzut polega na tém, że nie trzymał się on stale, przy tworzeniu wyrazów, pewnych wytycznych zasad, odkrytych przez lingwistykę (1); stosował je, lecz dowolnie (2). W obec tego upada i naukowa wartość „Volapüku“, o którą Schleyer dbał przedewszystkiém i na którą powołują się jego zwolennicy.

Naukowym nie można też nazwać słownika dra Esperanto; jest to mieszanina wyrazów romańskich i germańskich, przy wyborze których autor kierował się głównie pewném „poczuciem“ odpowiedniości, lub nieodpowiedniości danego wyrazu: jego dźwięcznością i zdolnością do naginania się w kierunku etymologicznych reguł „Lingvo Internacia“. Powtóre, starał się on do pewnego stopnia „skokietować“ dla swego języka narody zachodniéj Europy: trochę wziął z francuskiego, trochę z niemieckiego, trochę z angielskiego; język jego, dzięki niektórym zakończeniom (np. *o*), oraz częstemu zbiegowi spółgłosek *r*, *n*, *s* i *t* najbardziéj przypomina włoski; niektóre słowa, zda się, wprost pochodzą z włoskiego (na włoskim

---

(1) Jeżeli Chińczycy słowo Chrystus (Kristus) przekręcili na Ke-li-sse-tu, to „imperator“ zastąpiliby czémś w rodzaju „imepela“ (od źródłosłowa imper), lub też przez ipatola (dźwiękowe zepsucie wyrazu „i(m)p(er)ator“, z dodaniem ułatwiającéj wymowy samogłoski na końcu). Schleyer bezzasadnie imperator zastąpił przez „limep“ (imper = impel; ztąd limpe (?); dla uniknięcia zbiegu spółgłosek: limep). Wogóle odrzuca on spółgłoski, przestawia je, lub przenosi na początek wyrazu, według kaprysu.

(2) Wogóle Schleyer nadużywa analogii: zendel—południe, więc vendel—wieczór. Liczebniki: jeden, dwa, trzy etc. zastępuje wymyślonemi przez siebie: bal, tel, kil. fol etc.

wzorowaną jest i deklinacya); wiele słów wzięto z łacińskiego, nie oglądając się na ich późniejsze przeobrażenia w językach romańskich. Zapożyczania się u łaciny uważamy za słuszne, gdyż łacina była niegdyś międzynarodowym językiem cywilizowanych klas społeczeństw, a i dzisiaj, z jednéj strony, jest poniekąd językiem nauki, z drugiéj strony, w klasycznym systemie wychowania cieszy się pewném rozpowszechnieniem śród uczącéj się młodzieży europejskiéj. Zapożyczanie się zaś Esperanta u różnych języków żywych ma także praktyczną doniosłość, gdyż słownik jego w pewnéj części przemówi po swojsku do każdego narodu i może zachęcić go do przyjęcia „Lingvo internacia" (1). Szkoda tylko, że Esperanto nie osiągnął całkowicie celu swoich starań, aby i „wilk był syty i owca cała": ponieważ bowiem romański pierwiastek został najbardziéj uwzględniony, zachodzi tedy obawa, że zawistny germański wilk (vide: pruski) poczuje się nasyconym za mało. Z tém wszystkiém jednak, słownik Esperanta, pomimo że z natury swéj jest zlepkiem, stanowi pewną całość, dzięki wcale umiejętnemu doborowi wyrazów; nie razi sztucznością, jak obcy wszystkim zarówno słownik Volapüku; dla człowieka, znającego cokolwiek język francuski i niemiecki, lub angielski, jest kompletnie zrozumiałym; harmonijnością swoją robi miłe wrażenie (2), co w danym razie nie jest rzeczą drobną. Widzimy tedy, że posiada on wielkie znaczenie praktyczne (3).

---

(1) Pewną zręczność okazuje Esperanto, dobierając te źródłosłowy, które brzmią podobnie we wszystkich aryjskich językach. Jego „strato" — ulica (pochodzące z łacińskiego stratum), wyda się przekręceniem swojskiego słowa zarówno Anglikowi (street), Włochowi (strada) i Niemcowi (Strasse). Garden (dżarden — ogród) pisownią swoją przypomina jednoznaczne słowo angielskie i niemieckie, dźwiękiem francuzkie. Z języków słowiańskich wzięto parę wyrazów.

(2) Dla porównania przytoczymy tu dwa urywki: jeden z „Volapüku," drugi z „Lingvo Internacia." *Volapük* (przypominamy, że akcent leży zawsze na ostatniéj sylabie): „ämekom klebön su yani doma oma zöti suköl: „Cems pernöböl poföködutoms!" — *Lingvo Internacia* (akcent na przedostatniej sylabie): „Je la komenco Dio kreis la teron kaj la czielon. Kaj la tero estis senforma kaj dezerta, etc."

(3) Prawdziwie naukowy słownik języka sztucznego powinienby się opierać na wspólnych europejskim językom źródłosłowach aryjskich. Ale dwa względy stoją tutaj na przeszkodzie: 1) Słownik taki, jako niezrozumiały ogólnie (czas na różnych miejscowościach rozmaicie pozmieniał te źródłosłowy), nie miałby znaczenia praktycznego, byłby również obcym jak „Volapük"; 2) fundament aryjski nie ustrzegłby bynajmniéj twórcy takiego słownika od dowolności; z jednéj strony bowiem źródłosłowy aryjskie, jako składające się przeważnie ze spółgłosek, dozwalałaby na dopełnienie samogłoskowe wedle kaprysu twórcy; z drugiej strony, do woli jego pozostawałoby pójść w dalszych zmianach źródłosłowów aryjskich bądź drogą Greków, bądź Gotów, bądź starożytnych Germanów, a późniéj jakiegokolwiek z języków romańskich. Przyłącza się tu jeszcze ta okoliczność,

Ale nie na tém kończy się praktyczna wartość słownika Esperanta i tutaj dopiero zaczyna się jego wartość poniekąd naukowa. Odpowiednio do 2600 słów (1) Volapüku, Lingvo internacia posiada ich tylko 900 (2)! Napozór wydaje się nie prawdopodobném, aby ta drobna liczba mogła zastąpić chociażby w połowie bogaty zapas wyrazów w językach żywych. Jednakże bliższe rozejrzenie się w słowniku Esperanta zmusza nas wyznać, że autorowi udało się to w znacznéj części. Odszukał on główne twórcze źródłosłowy, z których na mocy końcówek gramatycznych i umiejętnie dobranych przyrostków i przystawek (nagłosów), naśladujących częstokroć wcale dobrze naturę, łatwych do zapamiętania i utworzonych tak, aby w zespoleniu ze źródłosłowami nie wymagały zmian fonetycznych,—można uformować kilka tysięcy słów (3). Jest-to poniekąd urzeczywistnienie myśli Leibnitza, który o czeém podobném marzył w „De arte combinatoria". Zbyt wiele czasu zabrałoby nam szczegółowe dowodzenie wyrażonéj tu myśli; ciekawych tedy odsyłamy do źródła (4); tu zaś poprzestaniemy na kilku przykładach. Kierując

---

że źródłosłowy aryjskie są nader ekspansywne w swoich znaczeniach i mają one prawie zawsze po kilka znaczeń, upodobnionych do siebie za pomocą metafory (źródłosł. „mra"— od którego pochodzą słowa: „śmierć, mord" ma pierwotne znaczenie: trzéć, mléć — ztąd ścierać w proch nieprzyjaciół, uśmiercać). Zresztą pierwotne znaczenia niektórych aryjskich źródłosłowów nie są nam znane.

(1) Jeżeli zważymy, że przeciętny człowiek używa zaledwie 3—4,000 słów, to okaże się, że Schleyer nie ulżył tak znacznie pamięciowej pracy swoim zwolennikom.

(2) Rozumie się, że w téj liczbie brak wielu mniéj używanych słów. Schleyer dopełnia ciągle swoj słownik. Jeżeli dr. Esperanto nie chce, aby język jego był tylko praktyczną próbką, winien on wstąpić w ślady swego poprzednika i spełnić obietnicę wydania kompletnego słownika, o czém wspomina w swéj broszurce.

(3) W językach naturalnych przyrostki nie mają stałego znaczenia, bywają nader różnorodne, a częstokroć na ich miejscu spotykamy nowe źródłosłowy, skutkiem czego pamięć uczącego się nie może znaleźć kierowniczéj nici i mocno jest obciążoną. „Sze*wc*, kuch*arz*, nauczy*ciel*," jako nazwy ludzi zajmujących się pewnym fachem, w języku Esperanta wyrażają się słowami pochodzącemi od wyrazów: „but, gotować uczyć," przy pomocy przyrostka ist (=zajmujący się czemś)=botisto. kuiristo, instruisto... Suffiks *ist* naśladuje języki żywe (okul*ist*a). O przyrostku *in* mówiliśmy wyżej. W języku polskim przy słowie „latać" mamy wyraz „skrzydło"; u Esper. flugilo od flugi, gdyż „il" oznacza narzędzie pewnej czynności (kudrilo—igła, od kudri—szyć), Podczas gdy Esperanto umieścił w słowniku z objaśnieniem znaczenia pewną ilość przyrostków, a tym sposobem za podstawę wzbogacenia słownictwa przyjął logikę ludzką (dar kombinacyjny), Schleyer oparł się raczej na pamięci. W „Volapüku" przyrostków mniej (ztąd znacznie więcej źródłosłowów), nie są one tak niezmiennie, logicznie stosowane tak, pozend*el* (południe) przy „el" [=zajmujący się czemś]. Jest to ***gruby błąd***.

(4) „Język międzynarodowy" d-ra Esperanto. „Przedmowa i podręcznik kompletny." Napróżno autor broszurkę swoję nazywa podręcznikiem kompletnym. Dla przeciętnego czytelnika nie jest ona wystarczającą; potrzebuje on przykładów, aby mógł nabyć wprawy w tworzeniu słów. Nie wystarcza podręcznik ten tem bardziéj, że nie poruszo-

się zasadami dra Esperanta, z pierwiastku „mort“ otrzymujemy następujące wyrazy: morto—śmierć, morta—martwy, morti—umierać, mortigi—zabijać, mortidżi—zabijać się, morteco—śmiertelność, mortigisto—kat, mortulo—trup, mortula—trupi, mortulujo—grób etc. Za dobrą stronę słownika uważamy jego giętkość znacznie wyższą niż w Volapüku Schleyera: z każdego wyrazu przez dodanie odpowiedniéj końcówki otrzymać możemy rzeczownik (końc. o), przymiotnik (końc. a), słowo (końc. i) itp.; imiesłów łatwo przechodzi w słowo rzeczowne; słowo czynne w bierne i naodwrót (przez dodanie ig lub idż); pojęcie konkretne zmienia się w abstrakcyjne (przez dodanie ec) itp. Dzięki temu systemowi można tu formować neologizmy, wyrażające pojęcia określone, i nawet w językach żyjących nieposiadające odpowiednich słów [na wzór rideti—uśmiechać się], otrzymujemy wyraz ŝanĝeti (= szandżeti)—zlekka zmieniać się; ridegi—śmiać się głośno, tubalnie (1); przy malaudanta—głuchy (źle słyszący) mamy malaudanto (rzeczownik). Synonimika, ta Achillesowa pięta języków sztucznych, u Esperanta stosunkowo dość jest rozwinięta: doktoro=saniganto=sanigisto=kuracanto=kuracisto. Najważniejszy zarzut, jaki spotka tego rodzaju system tworzenia słów polega na tém, że ciągłe powtarzanie się jednych i tych samych przyrostków i nagłosów czyni język monotonnym, pozostawia w nim szwy po gabinetowéj robocie.

W każdym jednak razie słownikowi dra Esperanta musimy oddać pierwszeństwo przed słownikiem Schleyera. Ludziom wykształconym pod względem językowym jest on prawie całkiem znany; nie znającym francuskiego i włoskiego daje jakoby wstępne wiadomości; zmuszając do kombinowania wyrazów ze źródłosłowów i odpowiednich przyrostków, stanowić może pożyteczne ćwiczenie logiczne dla młodzieży. Tymczasem Volapük, wprowadzony w gimnazyum Monachijskiém, wobec nie usunięcia nauki innych języków, stał się tylko jednym więcéj przedmiotem i obciążył młode główki, co wcale nie było zamiarem Schleyera.

Nie najmniejszy sęk w rozbieranéj przez nas kwestyi porozumienia się ludów, stanowią składnia i stylistyka. Rozmaite ludy nader odrębnie wyrażają swoje myśli, mają one swoje metafory, zwro-

---

no w nim i nie wyjaśniono *wielu* kwestyj. (Co znaczy „um“? W jakim porządku należy dodawać przyrostki, jeżeli ich kilka się podaje, etc.).

(1) Sufiksy eg — dla odznaczenia wzmocnienia i et — osłabienia (zmniejszenia), są wybornie pomyślane: mano — ręka, manego — łapa, maneto — rączka, manegeto — łapka, maneteto — rączynka. Natomiast mal dla wyrażenia kontrastu razi swojém dziwactwem: malseka — mokry (? źle suchy?). Sufiksy „uj“ i „ej“ zbyt podobne, co może być powodem pomyłek.

ty, których niepodobna tłómaczyć wprost na Volapük lub „język międzynarodowy“, jeżeli chce się być zrozumianym przez wszystkich. Otóż na teraz oba języki wymagają jak najprostszego wyrażania swoich myśli, zupełnéj odpowiedniości między myślą a słowem, bacznego przestrzegania, aby do mowy nie przedarł się jakiś idyotyzm językowy (1). Bezwarunkowo jest to krępującym warunkiem, ale należy pamiętać, że jest to warunek niestały, który z czasem ustąpić musi. Wierzymy, że wobec jednorodności logiki ludzkiéj uda się wycisnąć kwintesencyą wspólnéj składni i stylistyki, jak to się udało z etymologią: należy tylko wykluczyć wszystko co zawilsze, trudniejsze, mniéj logiczne, jako utworzone świadomie i dowolnie (2). Wobec tego, że język Schleyera wyrabia już praktyka w tym kierunku, od dra Esperanta sama jego sprawa wymagałaby podania wskazówek w kwestyi składni i stylistyki. Co do składni, to sądzimy, że wzorować by ją należało na łacinie, oraz na prostszych pod tym względem, niż zachodnie, językach słowiańskich: z przykładów podanych przez Esperanta uważamy już pewien ruch w tym kierunku (np. Ĉu (czy) zamiast wyrażania pytań na wzór niemieckiego lub francuskiego przestawiania zaimka na drugie miejsce, za słowem). Kwestya ta tedy może być szczęśliwie rozwiązaną; toć nawet jeżeliby język powszechny posiadł z czasem swoję własną składnię, to nie byłoby trudniéj nauczyć się téj jednéj składni, niż składni kilku języków europejskich. Co się zaś tyczy stylistyki, to zauważyć musimy, że nawet niezbyt surowe przestrzeganie zasady unikania metafor i idyotyzmów nie usuwa możności wzajemnego rozumienia się rozmawiających; ponieważ zawsze mają one swoją logiczną podstawę, logika tedy pozwoli odgadnąć ich znaczenie, gdy tylko wszystkie słowa będą wiadome. Z czasem zaś, gdy język powszechny wejdzie w użycie, potrafi on drogą naturalną przyswoić sobie całe bogactwo metafor dzisiejszych języków, pod piórami dobrych stylistów może się szybko rozwinąć; znaczenia wielu idyotyzmów i przenośni nauczy nas literatura, oczytanie: nie inaczéj poczynamy je pojmować w mowie ojczystéj, a szczególnie w poezyi.

---

(1) „Comment vous portez-vous“ dosłownie: jak się pan nosisz, będzie niezrozumiałem dla nie-Francuzów, jak również może być niezrozumiałem dla innych narodów polskie: „jak się pan masz“? Należy pytać: jak pańskie zdrowie?

(2) Tym, którzy zachwycają się logicznością języków naturalnych, przypominamy zwyczaj „ti pi“, istniejący na wyspie Tahiti. Szacunek dla króla nie pozwala tam, aby sylaby, wchodzące w skład imienia „królewskiego,“ poniewierały się w zwykłych wyrazach. Gdy wstąpił na tron król Tu, zgodnie z prawem tém zmieniono np. wyraz „fetu“ (gwiazda) na „fetia,“ Podobnych zasad, nie zakrawających bynajmniéj na organiczne, spotykamy mnóstwo w innych językach. (M. Müller).

Rozbiór nasz zakończymy słowami Müllera, wypowiedzianemi przezeń jeszcze w 1868 r., podczas lekcyi w królewskim instytucie. „Miałem zamiar wykazać—mówi on— że stworzenie języka sztucznego nie zawiera w sobie nic niemożliwego dla ludzi, którzy przywykli mówić językiem naturalnym. Nie dość na tém: twierdzę, że taki sztuczny język może być daleko prawidłowszy, doskonalszy, łatwiejszy do nauczenia się, niż jakibądź z języków naturalnych ludzkości.“

To, co przeczuł znakomity lingwista, to dzięki Schleyerowi, a bardziéj jeszcze dzięki dr. Esperanto, z krainy mrzonek przechodzi w sferę rzeczywistości.

Któryż z tych języków stanie się językiem międzynarodowych stosunków? Wiemy, że wielu na to pytanie odpowiada: „żaden“. Imiona Schleyera i Esperanta—powiadają—utoną w fali zapomnienia, jak tylko przejdzie ten modny szał, ta „powszechno-językomania“; zasypie je piasek czasu, jak zasypał dziesiątki imion ich poprzedników!

To jednak, w czém widzą dowód kruchości idei powszechnego języka, nam się wydaje świadectwem na korzyść téj idei. Ciągłe zjawianie się ludzi, pracujących w tym kierunku, bez względu, że poprzednicy ich zostali wyśmiani i zapomniani, wyraźnie okazuje że idea języka międzynarodowego jest ideą żywotną; że zaś nie jest ona bezpłodnym wysiłkiem mózgu, dowód tego mamy w tém, że praca w tym kierunku coraz to świetniejsze daje rezultaty. Ci, których pochłonęła fala zapomnienia nie byli to właściwie twórcy języków, ale pazigrafii i ideografii (powszechnego pisma); próby ich zapomniano, gdyż okazały się niepraktycznemi. Schleyer, pierwszy, dał język skończony i dziś zbiera on owoce swéj pracy i poklask uczonych, poparcie kilku rządów i uniwersytetów (1), kongresy Volapükistów, kilkanaście gazet Volapük'skich—to nie drobnostki; a mówią one mocno na korzyść saméj idei. Jeszcze doskonalszym i praktyczniejszym jest język Esperanta; zjawiwszy się jednak późniéj, staje on wobec groźnego współzawodnika. Obecna sytuacya zarysowuje się pod postacią walki między dwoma temi językami (2).

---

(1) W Madryckim i Wiedeńskim uniwersytecie wprowadzono kursa „Volapüku.“ Według rozporządzenia rządu włoskiego, urzędnicy pocztowi muszą posiadać ten język. Handlowe domy Francyi i Ameryki trzymają subiektów i korespondentów obeznanych z tym językiem. Nawet w Bejrucie wychodzi jedna gazeta Volapükska.

(2) Zarodek śmierci dla języka międzynarodowego upatrują w przypuszczalném zjawieniu się nowych języków międzynarodowych. Przedwczesne to obawy. Wydaje się nam nader trudném stworzenie języka, opartego na zupełnie *nowych* zasadach. Sądzimy, że raczej odpowiednie siły skierują się ku ulepszeniu już istniejących. A jeżeli nawet

Z jednéj strony stoi Volapük, mający za sobą opinią uczonych, część prasy, kilkanaście tysięcy zwolenników; wyszedł on z potężnych Niemiec, szerzy się w wielu krajach, poniekąd nawet i do nas zawitał. Dzięki temu, że używany jest przez kupców, podróżnych, a częścią i przez literatów, przebył on już pewną drogę rozwoju, wykształcił się i wzbogacił do pewnego stopnia.

Z drugiéj strony, naprzeciw niemu, staje nieznany, niewyrobiony dotąd „Lingvo Internacia". Jego warszawski rodowód może mu być policzonym za grzech w oczach silnych tego świata. Tu, na miejscu, wyśmiany w wielu dziennikach, marzy on o podbiciu obcych: Francyi, Niemiec, Anglii! (1)

Cóż ma on za sobą?

1) Niezwykłą łatwość słownika, jego stosunkową dostępność, dowcipną konstrukcyą języka (rozczłonkowanie słów na źródłosłowy, sufiksy, końcówki gramatyczne i pomieszczenie takowych w słowniku, dzięki czemu nawet wcale nie znający gramatyki Esperanta, jedynie przy pomocy słownika, może z łatwością odcyfrować sens całych zdań). Wszystko to mówi na korzyść użycia języka Esperanta w stosunkach międzynarodowych (dla porozumienia się podróżnych, dla sfer handlowych etc.); jako praktyczniejszy od Volapüku, może on stać się niebezpiecznym dla tego ostatniego konkurentem.

2) Język Esperanta z łatwością może stać się językiem nauki; naukowe terminy przechodzą doń bowiem z łaciny, zaledwie po lekkiéj zmianie gramatycznéj końcówki. Natomiast fonetyczne reguły Volapüku zmuszają do przerabiania wszystkich bez wyjątku terminów naukowych; jest to olbrzymia praca, dająca nadto pole samowoli: któż jest prawomocnym w tego rodzaju twórczości?

3) Dźwięczność i giętkość języka Esperanta, przewyższające niezmiernie Volapük, pozwalają przypuszczać, że po pewném „wyrobieniu", może on stać się nawet językiem literatury pięknéj. Wprawdzie całego bogactwa synonimów, barwnéj różnorodności końcówek, charakterystycznych zwrotów języków żywych nie zastąpi on nigdy, (a przynajmniéj dotąd, dopóki nie utraci swéj łatwości). Jednakże reguły, na których się opiera, (nadewszystko ła-

---

zjawią się języki nowe, to w takim razie otrzyma palmę zwycięstwa najłatwiejszy, najlepszy, który zwolenników poprzednich języków przeciągnie na swoję stronę.

(1) Dr. Esperanto winienby przedstawić projekt swego języka do oceny akademiom, gimnazyom, prasie europejskiej, oraz kongresom volapükistów. Plebiscyt, za pomocą którego dr. Esperanto pragnie rozpowszechnić swój język, jest raczéj zabawką, niż poważnym środkiem, prowadzącym do celu. Nie łatwo to zebrać 10,000,000 głosów, a wielka jeszcze kwestya, czy na zebrane liczyć można.

twość tworzenia nowych słów) wróżą mu pomyślny rozwój na téj drodze. Jeżeli zważymy wreszcie, że przy odmienności synonimiki różnych języków, przy rozmaitości ich stylowych zwrotów, wogóle zupełne oddanie skarbów jednego języka w drugim jest niepodobieństwem, to będziemy musieli się zgodzić, że język Esperanta może dość zadawalniająco już dzisiaj pełnić funkcyą swoję przy tłómaczeniu dzieł literatury pięknéj rozmaitych narodów. Próbki wierszy, podane przez Esperanta, dają w tym względzie bardzo pochlebne świadectwo jego językowi.

Wszystko to upoważnia nas do twierdzenia, że o rezultacie walki między Volapükiem i Lingvo internacia dziś jeszcze przesądzać niepodobna i mimo, że pierwszy stał się już poniekąd językiem międzynarodowym, szala zwycięstwa może jednak przechylić się jeszcze na stronę Esperanta. W każdym razie ciekawy rezultat téj walki jest jeszcze bardzo dalekim.

Leop. Bl.





ARCHIWUM KROLESTWA
W MOSKWIE.

Komisye rządowe krzątają się, podając do publicznéj wiadomości opisy aktów archiwalnych i porządkując archiwa, zawierające cenne materyały do dziejów państw i narodów, weszłych w skład imperyum Rosyjskiego. Z polecenia rządu wydał b. metrykant Metryki Litewskiéj p. Stan. Ptaszycki: „Opis ksiąg i aktów Lit. Metr. S. Petersburg 1887", podając w głównych rysach historyą metryki i opisując szczegółowo bogaty materyał tam zawarty. Powitać należy tę publikacyą jako taką, która zdoła stworzyć szereg publikacyi tego rodzaju i zainteresować badaczy do studyów nad materyałami, o których dokładniejsze mamy wiadomości.

Nie uprzedzając bynajmniéj podobnych zamiarów, których doniosłości dla nauki nie można dość ocenić, chcę podać tutaj notatkę o aktach archiwalnych Metryki koronnéj, które się po dziś dzień w archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Moskwie znajdują. Dzięki uprzejmości dyrektora tego archiwum, miałem sposobność przejrzéć w ciągu stycznia 1882 r. akta i dokumenta, zanotować ważniejsze, chociażby tylko najgłówniejsze daty, nakreślone więcéj dla wiadomości własnéj aniżeli publicznéj. Dzisiaj ogłaszam tę notatkę drukiem dla tego, aby chociaż w głównych rysach podać wiadomość o materyach archiwum koron., a daléj aby wskazać na ścisły związek, zachodzący między opisaną z inicyatywy rządu tak zwaną Metryką litewską a archiwum królestwa.

Oddział XIV archiwum ministeryum spraw zagr. w Moskwie zawiera archiwum królestwa Polskiego. Akta i dyplomata mieszczą się w 27 szafach, z których pierwsze 21 szaf i połowa 22 są mniéj więcéj uporządkowane, tak, iż akta podzielone są na oddziały

i znajdują się bądź w kartonach, bądź w księgach, reszta aktów, w 5 i pół szafach zawarta, oczekuje na uporządkowanie.

Połowa aktów znajdujących się tutaj ma charakter dyplomatyczny i odnosi się do stosunków zewnętrznych królestwa Polskiego; druga połowa do ostatnich lat rzpospolitéj, do podziałów Polski i do rewolucyi Kościuszkowskiéj. Przejrzyjmy szafy a zarazem i działy archiwum.

Sz. 1 zawiera: *Acta magni ducatus Lithuaniae* od 1488—1681 r. w trzynastu księgach (N. 1—13) (*); są to księgi Metryki Lit., z których pierwsze księgi głównie do stosunków dyplomatycznych Litwy z w. ks. Moskiewskim się odnoszą, znane w części z publikacyi ks. Oboleńskiego i Daniłowicza p. t. „*Posolskaja kniga.*“ Do tejże metryki należą i dwa kartony (1 — 2), zawierające dyplomata na pergaminie i papierze od 1554—1748 r., a wreszcie i jeden karton aktów, odnoszących się do województwa Kijowskiego.

Sz. 1—2 *Metryka koronna*, składająca się: *a)* z 38 ksiąg (I—XXXVIII) od r. 1502 do 1745, a mianowicie ks. 1—3 lata 1502—1504; ks. 4—11 lata 1512—1530, 1517—1526, 1537—1544; ks. 12—18 lata 1549 - 1559; ks. 19 — 20 *libri legationum* z r. 1569; ks. 21 z lat 1577—78; ks. 22 zawiera instrukcye dla posłów i listy z 1526—28; ks. 23 zawiera Tomiciana; ks. 24 z r. 1558—1559; ks. 25 z r. 1669—1673; ks. 26 zawiera *Turcica*; ks. 27 do r. 1598; ks. 28 do r. 1596 zawiera instrukcye dla posłów; ks. 36 do r. 1713; ks. 37 i 38 do roku 1745. Do ksiąg Metryki koron. należy i *b)* 11 ksiąg rejestrów archiwum król. Pol. (1—11) i wreszcie *c)* Akta dyplomatyczne obejmujące jedną księgę N. 98 i jeden karton z lat 1775—1793. W téjże szafie 2-éj pomieszczone są i akta, dotyczące stosunków dypl. Polski z Austryą, jak *a)* pisane na pergaminie w ośmiu kartonach (1—8), obejmujące lata 1412—1776 r.

W szafie 3 ciąg dalszy stosunków Polski z Austryą, jakoto: *b)* 16 kartonów aktów pisanych na papierze (1—16) z lat 1613—1793; *c)* noty dyplom. z ministeryum Wiedeńskiego i odpowiedzi na nie z r. 1775—1788 w 16 księgach; numera ksiąg 34^a, 34^b, 34^c—42 i 222^a, 222^b, 222^c, 222^d i 222^e. Jest więc tu 11 ksiąg not dypl. i 5 ksiąg wyciągów, a mianowicie 222^a — 222^e.

Sz. 4 zawiera ciąg dalszy, a mianowicie: *d)* korespondencyą departamentu spraw zagr. z posłami rzpospolitéj w Wiedniu z roku 1775—1788 w siedmiu księgach N. 111—117; *e)* Akta odnoszące się

(*) Księgi 1—4 zawierają materyał do stosunków Litwy z Rosyą od 1488 roku; ks. 5 odnosi się do takichże stosunków za króla Stefana, ks. 6—9 za Zygmunta III, ks. 10 odnosi się do 1650 r.; ks. 11—13 do stosunków z Rosyą do roku 1681 włącznie.

do wyznaczenia granic pomiędzy Polską a Galicyą z 1773—1776 w dwóch księgach i jedna księga map, N. 220, 221 i 59; *f)* Akta odnoszące się do tegoż przedmiotu w dwóch kartonach.

W tejże szafie znajdują się akta do stosunków Polski z Anglią: *a)* trzy kartony aktów z 1683 — 1794, *b)* korespondencya z 1775—1788 w pięciu księgach N. 78—82; daléj 1 karton aktów do stosunków z Armenią z 1632—1644, pisanych również na papierze.

Sz. 5. Tu mieszczą się: *a)* akty na pergaminie do stosunków z Bawaryą w dwóch kartonach z 1460—1544 i *b)* jeden karton aktów na papierze do tegoż przedmiotu z 1764—1790; karton aktów papierowych do stosunków z Badenem z 1788 — 1789; karton aktów perg. do stosunków z Bessarabią r. 1389—1411; karton aktów pergam. do stosunków z Czechami 1395—1527. Do stosunków z Brunświkiem mamy tu: *a)* karton aktów na papierze z 1424 — 1558 i *b)* siedm kartonów aktów, pisanych na papierze z 1592 — 1765. W końcu do stosunków z Węgrami jest tu ośm kartonów aktów pergam. z 1355—1657 i dwa kartony aktów na papierze z 1385—1658.

Sz. 6. Do stosunków z Wenecyą mamy jeden karton aktów pergam. z 1464—1777. Daléj idą akta z 1768 r., objaśniające stosunki rzpolitéj z Hamburgiem, Lubeką i Bremą w jednym kartonie na papierze pisane; jeden karton aktów na pergaminie i papierze z 1761—1778 do stosunków z Genewą. Do stosunków z Holandyą odnoszą się: *a)* akta pergam. w jednym kartonie z 1671 r.; *b)* akta na papierze w pięciu kartonach (w kartonie piątym znajduje się księga N. 301) z lat 1656—1794. Stosunków z Danią dotyczą: *a)* akta pergam. jeden karton z 1419—1657, *b)* akta na papierze w trzech kartonach z 1656—1794. Do stosunków z Gdańskiem odnosi się 7 ksiąg, zawierających korespondencye z roku 1783—1788 pod N. 71—77. Tu należy téż księga pod N. 92 z 1785 r., wyłuszczająca stosunki handlowe z Gdańskiem, Elblągiem, Hamburgiem, Chersonem etc. Następują dwa kartony do stosunków z Hiszpanią z 1615—1794; wszystkie akta pisane na papierze; jeden karton aktów papierowych do stosunków z Kałmukami z r. 1653 i jeden karton aktów dyplom. z 1764—1784, dotyczących stosunków rzplitéj z elektorem Kolońskim.

Szafa 7 obejmuje karton aktów na papierze do stosunków polskich z Kurlandyą z 1766—1783; karton takichże aktów do stosunków z księstwem Lotaryńskiém z 1764 r.; karton do stosunków z elektorem Mogunckim z 1764—1787; dwa kartony aktów, na papierze do stosunków z Kozaczyzną z 1610 — 1664, jeden karton aktów pergamin. i papierowych do stosunków z Maltą

1765—1787; jeden karton aktów perg. do stosunków z Meklenburgiem 1524—1562. Do stosunków z Mołdawią i Wołoszczyzną mamy dwanaście kartonów aktów z 1387 — 1553, tudzież dwa kartony aktów papierowych z 1653—1767. Do stosunków z Neapolem odnosi się siedm kartonów aktów na pergaminie i na papierze z 1517—1733; dyplomatyczne stosunki z papieżami z 1641—1793 objaśniają bulle i akta, pisane tak na papierze i pergaminie w czterech kartonach. Wreszcie stosunki z Persyą z 1618—1630 objaśniają akta na papierze w jednym kartonie, a stosunki z Portugalią, z 1664—1713 akta papierowe w jednym kartonie.

Szafy 8—10 zawierają akta dypl. do stosunków z Prusami: *a)* akta pergam. z lat 1773—1793 jeden karton; *b)* dziewięć kartonów aktów na papierze z 1604 — 1793; *c)* noty dypl. wymieniane z ministeryum pruskiém w roku 1775—1786, w dwunastu księgach, N. 43—53 i N. 57; *d)* noty dyplom. z 1786—1788 w trzech księgach, N. 54—56; *e)* korespondencye z 1775—1788 w jedenastu księgach, N. 103—110 i 118—120; *f)* ogólna taryfa cłowa z 1775 r. w jednéj księdze N. 171; a wreszcie *g)* wyciągi z not dyplom. 1 księga N. 223.

W tejże szafie 10-téj mieszczą się akta dotyczące stosunków z elektorem Reńskim, a mianowicie jeden karton aktów na papierze z 1764—1780 i zaczynają się akta do stosunków dypl. z Rosyą, obejmujące i jedenastą szafę. Akta te mają następujące oddziały: *a)* 3 kartony aktów pergam. i papierowych z 1635—1793; *b)* 14 kartonów aktów na papierze z 1634—1794. W jedenastéj szafie *c*) noty dyplom. wymieniane z ministeryum rosyjskiém z 1775—1788 w jedenastu księgach, N. 23—33; *d)* korespondencye z 1775—1788 w dziesięciu księgach, N. 61—65, 212 i 66—69; *e)* Akta demarkacyjne z 1778—1781 w dwóch księgach, N. 89—90 i *f)* księga N. 58 z r. 1776, zawierająca granice królestwa z Rosyą.

Sz. 12 zawiera jeden karton aktów na pergaminie i papierze do stosunków z Saksonią z 1496—1790; jeden karton aktów papierowych do stosunków z Sardynią z 1763—1781; jeden karton do stosunków z Siedmiogrodem z 1553 r.; jeden karton aktów papier. do stosunków z Sycylią z 1766—1790 r.; daléj ośm kartonów aktów pap. do stosunków z Tatarami Krymskimi z 1514—1780 r., jeden karton do stosunków z w. księstwem Toskańskiém z 1765—1766 i w końcu jeden karton, a właściwie drugi z porządku do stosunków z Siedmiogrodem z 1649—1750.

W szafie 12 mamy najprzód jeden karton aktów do stosunków z elektorem Trewirskim z 1764 — 1775, a daléj idą *Tur-*

cica zajmujące 13 szafę i część szafy 14, a w szczególności: *a*) 35 kartonów aktów na papierze od 1384—1791, w części i w tureckim języku z ozdobnemi cyframi sułtańskiemi i *b*) siedm ksiąg (N. 121—124 i 83—85) zawierających korespondencye z 1775—1788.

Dalszą część szafy 14 zapełniają akta, dotyczące stosunków z Francyą, w następującym porządku: *a*) jeden karton aktów na pergaminie i na papierze z 1663—1691; *b*) 4 księgi korespondencyi z 1753—1792 N. 375—377 i jedna księga bez numeru; *c*) korespondencya z Jakubowskim z 1759—1784 w dwóch księgach; *d*) pisma rozmaitych osób do pełnomocnika we Francyi z 1788—1793 w jednéj księdze i jednym kartonie; *e*) akta dotyczące spadkobierstwa Maryi Leszczyńskiéj w Polsce z 1749—1793. Mamy tu daléj i akta dotyczące stosunków z Szwajcaryą z 1764—1770 w jednym kartonie a wreszcie dwa kartony aktów pergam. do stosunków ze Szwecyą z 1505—1629. Dalszy ciąg aktów objaśniających stosunki ze Szwecyą znajduje się w 15 szafie a mianowicie 7 kartonów aktów na papierze z 1618—1793 poczém idą dwa kartony różnych aktów kończących dział dyplomatyczny aktów archiwalnych.

Odtąd zaczyna się inny dział a mianowicie dwa kartony dotyczące wewnętrznych spraw rzpltéj; szafa 15—16 zawiera papiery i korespondencyą króla Stanisława Aug. w sześciu kartonach a mianowicie księgi N. 226, 359, 154, 201—204, 70, 264, 263, 262, 266, 265, 267—269, 378, 190, 178, 182 i 186. Następuje część biblioteki tego króla, składająca się z dwóch kartonów rękopismów, 25 ksiąg *in folio* drukowanych, sześciu takichże ksiąg in 4° i wreście trzech in 8° wypełniających 17 szafę. Daléj idą księgi dotyczące spraw departamentu spraw zagr. z 1791—1794 r. a mianowicie księgi NN. 169, 170, 191, 189, 188, 160, 179; księga N. 200 zawiera materyały do oświaty narodowéj z 1793—95; księgi N. 158, 163, 198 i 199 akta zarządu wojennego z 1794 r.; księgi N. 153, 161 i 194 księgi rady najwyższéj, daléj z tegoż czasu księgi N. 185 i 167 departamentu sprawiedliwości; ks. N. 181 księgi zarządu komisyi zdrowia z 1791; daléj ks. N. 149, 150—152, 162, 174, 180, 175, 172, 157 i 177 departamentu policyi z lat 1791—94.

W szafie 18 mieszczą się najprzód księgi N. 196, 156 i 159, dotyczące administracyi m. Warszawy; ks. 197 zawiera rozmaite akta z 1715—1748.

Dalszą część szafy 18 wypełniają daléj kopie rozmaitych traktatów, daléj papiery z 1684—1784; akta dotyczące stosunków handlowych z 1744—1781, zapełniające trzy księgi (N. 86, 87 i 88); sprawozdania deputacyi wysyłanych za granicę z 1789—1791 składające

jednę księgę N. 91; Dyaryusz sejmu r. 1792 w jednéj księdze N. 93; sprawy konsulatu chersońskiego z 1784—1787 stanowiące księgę N. 94; dziennik Rady nieustającéj z 1792 r. obejmujący ks. N. 205; listy Kickiego w sprawie długów królewskich i innych sprawach finansowych z r. 1797, obejmujące księgę N. 206, a w końcu i rozmaite mowy królewskie, miane na sejmach, obejmujące księgę N. 207.

Szafę 19 wypełniają protokóły uchwał komisyi policyjnéj i ekonomicznéj z r. 1791 w księdze N. 208; takież postanowienia z r. 1792 w księdze N. 209; protokóły sekretne komisyi policyjnéj z r. 1794 w księdze N. 210; akty dotyczące handlowych stosunków z 1771—1776 w księdze N. 211; zbiór ustaw z 1775 r. (8 tom Vol. leg.) w księdze N. 213; *éxposé*, pretensye dworów Wiedeńskiego, Rosyjskiego i Berlińskiego do Polski w 1773 r. i odpowiedzi ze strony rzpltéj w księdze N. 214; ustawodawstwo sejmu z 1776 (8 tom Vol. leg.) w jednym tomie księga N. 216; ustawy i uchwały sejmów z 1778 i 1780 r. (7 tom Vol. leg.) w jednym tomie, księga N. 217; uchwały i ustawy sejmu Warszawskiego od października 1788 do październ. 1790, w jednym tomie, księga N. 219.; traktaty z trzema dworami i inne akta dotyczące téj materyi z 1768 r. księga N. 224.; konwencye dotyczące granic z trzema dworami z 1781—1786 w księdze N. 225.

Szafa 19 zawiera akta i dokumenty sądowe w sprawach cywilnych z 1791—1794 w dziewięciu księgach N. 232—240; akta sądowe i papiery Rady Najwyższéj narodowéj z 1794 r. w dziewięciu księgach (N. 241—249). Papiery rewolucyjne komisyi wojennéj obejmują jedenaście ksiąg N. 250—260.

W szafie 20 mieszczą się pisma ks. Prozorowskiego do ks. Repnina z 1767—1769 w księdze N. 261; listy Kościuszki i Zakrzewskiego z 1794 r. N. 270; sprawy dotyczące wyznań z dawnych lat pod N. 271; rewolucyjne pisma magistratu z 1793—1794, pod N. 273; raporty wojenne i papiery policyi wojennéj z 1794 r. pod N. 274; papiery dotyczące straży bezpieczeństwa Warszawy z 1794 r. w trzech księgach N. 275—277; akta departamentu spraw zagr. z 1794 r. pod N. 278; z tegoż czasu raporta i sprawozdania pod N. 279; zarys pospolitego ruszenia pod N. 280; wiadomości dotyczące siły zbrojnéj powstania 1794 r. pod N. 281; decyzye i postanowienia naczelnika pod N. 282 z września, i października 1794 r. pod N. 283; rozkazy i zlecenia naczelnika pod N. 284; akta departamentu skarb. N. 285; sprawozdania i rozkazy rozmaitych władz pod N. 286; listy, raporty i odpowiedzi pod N. 287; akta departamentu wojen. pod N. 288; akta dotyczące zaprowiantowania wojsk pod N. 289; proklamacye, rezolucye i odpowiedzi pod N. 290; prośby wznoszone do naczelnika, N. 291

Do roku 1794 odnosi się i znaczna część aktów, zawartych w szafie 21, i tak: akta dotyczące wewnętrznego zarządu pod N. 292; akta departamentu wojennego, sprawozdania i rewersy pod N. 293; raporta o przyjezdnych i odjeżdżających pod N. 294; akta intendentury wojennéj pod N. 295; polecenia i rozmaite akta pod N. 296, 297; N. 298 zawiera akta z 1772 r.; N. 299 akta z lat 1772—1789; N. 300 listy do Szembeka z 1708—1714; N. 301 listy do plenipotenta w Anglii z lat 1788—1793; N. 302 zawiera dziennik instygatora z 1792 r.; N. 303 dziennik magistratu Warsz. z 1794 r.; N. 304 protokół wniosków i memoryałów przedstawionych Radzie Narodowéj w 1794 roku; N. 305 protokół posiedzeń ekspedycyi tymczasowéj; N. 306 żurnal postanowień ekonomicznych departamentu policyi z 1792 r.; N. 307 sprawy sądowe z 1792 r.; N. 308 dziennik departamentu policyi z 1793 r.; N. 309 i 310 żurnal postanowień ekonom. departamentu policyi z 1792 r.; N. 311 zawiera dziennik instygatora z 1787 r.; N. 312 takiż z 1789 r. a téż same akta instygatorskie znajdują się pod N. 313 i N. 314 ostatni r. 1788; N. 315 zawiera protokóły deputacyi i zakładów dobroczynnych litewsk. z 1792 r.; N. 316 protokóły komisoryackie z 1794, a N. 317 protokół trzeciego okręgu miasta Warszawy z tegoż roku.

Księga N. 320 zawiera akta dymisyonowanych wojskowych; N. 321 protokóły memoryałów prezesa Rady Najwyższéj; N. 322 uchwały ekonomiczne komisyi policyjnéj z 1792 r.; N. 323 pisma i raporta otrzymane przez króla w 1794 r.; N. 324 dziennik dep. policyi z 1793 r.; N. 325 papiery dotyczące powstania Kościuszkowskiego; N. 326 protokóły komisyi celem uwolnienia Warszawy od kwaterunku z 1784 r.; N. 328 księga protokółów patentów wojskowych z 1794 roku; N. 329 rejestr bydła rogatego przypędzonego do Warszawy z tegoż czasu; N. 330 protokóły komisyi w sprawie koszar wojskowych z 1784 r.; N. 331 protokół listów z 1794 r.; N. 332 protokół patentów dla pospolitego ruszenia województw; N. 333 wykaz długów królestwa; N. 334—340, zatém 7 ksiąg, zawierają bruliony relacyi z 1739—1763 r. — Szafa 22: N. 341 wzory patentów na prawa krążenia statków; N. 342 zawiera część pierwszą rejestru dochodów kwarcianych z dóbr starościńskich koron., a N. 343 zawiera część drugą tegoż rejestru; N. 355 zawiera korespondencyą króla z lat 1764—1798; N. 356 wyciągi ustaw z lat 1766—98 (?); N. 357 patenta rozmaite z r. 1780—1797; N. 358 korespondencyą Middeltona z 1791—1795; N. 360 listy króla, odnoszące się do konfederacyi Targowickiéj i sejmu Grodzieńskiego z 1792—1793, a takież listy z 1793—97 mieszczą się w księdze N. 361; N. 363 zawiera prośby podane królowi w latach 1794—98; N. 364 o pretensyach polskich

do sum neapolitańskich. W dalszéj księdze mamy materyały odnoszące się do wstąpienia króla na tron, listy Siwersa pod N. 368 Rozmowę w królestwie umarłych.

Do konstytucyi 3 maja odnosi się księga N. 379 z r. 1790—1792; pisma do sejmu Grodzieńskiego się odnoszące 1791—93 pod N. 380. Pod dalszym N. 381 mamy prośby i rozmaite pisma Zakrzewskiego z 1792 r.; daléj pod N. 382 rachunki i rewersa z 1792—93; pod N. 383 raporty brygadyera Nowickiego z 1793 r. Pod N. 383 i 384 poselstwa rozmaitych osób, wysyłanych do dworu rosyjskiego z poleceniami z lat 1762—1769 część pierwsza i druga; N. 387 opisy o przyjęciach posłów polskich na rozmaitych dworach w 1670 — 1775. N. 388 raporta wojskowe z 1794, a w końcu protokół o furażowaniu wojska z tego roku.

Dalsze akta mieszczące się w końcowych 5 i pół szafach nie są jeszcze uporządkowane, a odnoszą się również do ostatnich lat rzeczypospolitéj.

Wielka część dokumentów pergaminowych znana jest z wielkiéj lecz nieodpowiadającéj wymogom naukowym publikacyi Dogiela. Jak z dorywczego porównania wypływa, nie wszystkie pergaminy weszły do téj publikacyi; opuszczano niektóre, gdyż uznano je za mniéj ważne, inne zaś ze względów politycznych pomijano, jak np. tranzakcye króla Ludwika W. z Kazimierzem W. z lat 1350, 1355 i 1364 ze względu na pretensye korony Węgierskiéj do Rusi, i innych wiele. Niektóre działy, a nawet bardzo obszerne, jak *Turcica*, stosunki z Tatarami i t. p. nie weszły wcale w skład publikacyi Dogielowskiéj, jak wiadomo nie zupełnéj. Zdaje się, że podział tego działu archiwum jest ten, jaki był za czasów Dogiela, a państwa i kraje reprezentowane są w porządku alfabetycznym, któréj to zasady tak ściśle przestrzegano, że np. akta dotyczące Siedmiogrodu raz są w kartonie *sub S*, drugi karton z innych lat *sub T*, gdyż łacińską nazwą kraju jest *Transsilvania.*

Najstarsza księga metryki koronnéj rozpoczyna się z 1502 r. Zasługuje ona, jakotéż trzy następne na szczegółowy opis, który podam w innéni miejscu. W księdze trzeciéj *liber. legat III*, *p. 63* znajduje się, pod tytułem *Origo regis Jagyelo et Wytholdi ducum Lithuaniae*, łacińskie tłómaczenie znacznego ustępu pierwszéj kroniki litewskiéj, znanéj z wydań Daniłowicza i Popowa, a tłómaczenie to dokonano z pełniejszego i dokładniejszego rękopisu aniżeli mieli ci wydawcy i posłużyło swego czasu Długoszowi do jego historyi, jak się to z porównania tekstów dowodnie przekonać można.

Z powyższego pobieżnego spisu materyałów widoczna, że oddział pierwszy tegoż, owych kilka tysięcy dokumentów pergamino-

wych i pisanych na papierze, opatrzonych pieczęciami w 208 kartonach, to Dogiel z rozmaitemi opuszczeniami i dodatkami; drugi oddział podaje materyał główny do ostatnich lat rzplitéj, a w znacznéj części obejmuje w sobie także księgi metryki koronnéj. Do tego drugiego oddziału należą i księgi koronne dzisiejszéj Metryki Litewskiéj, a mianowicie *libri inscriptionum* w liczbie 30 ksiąg, dwie bowiem niewłaściwie do tychże zaliczano (ob. Ptaszycki. Opis Metryki lit. p. 27), daléj trzy księgi koronne sądowe, księgi koronne *transactionum publicarum* w 43 numerach z lat 1539—1790; 31 ksiąg koron. *lustrationum*; 7 ksiąg kopii z metryk koron., stanowiących V oddział dzisiejszéj Metryki Litewskiéj; 197 ksiąg Rady nieustającéj i materyałów odnoszących się do ostatnich lat rzplitéj, a w końcu 14 tomów inwentarzów i 165 ksiąg tak zwanych nowych, tudzież wszystkie dyplomata i akta na pergaminie pisane, z wyjątkiem 15 pergaminów, stanowiących część integralną Metryki lit. Widoczna więc, że komisya z 1798 r. wyznaczona do posortowania materyałów metryk tak polskiéj jak i litewskiéj, systemu oddzielenia ksiąg i aktów, dotyczących spraw wewnętrznych od aktów dotyczących spraw zewnętrznych nie przeprowadziła, i że większa część dzisiejszéj tak zwanéj Metryki litewskiéj należy do opisanego Archiwum koronnego, jak z drugiéj strony bardzo mała część tegoż archiwum, gdyż tylko 13 ksiąg i 2 kartony *Actorum M. D. Lith.*, należy właściwie do Metryki Litewskiéj.

Antoni Prochaska.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozmowa o pogodzie. — Szkoły! — Powtórzenie dawnych uwag. — Stare nałogi i dawne porządki. — Klasycyzm wobec fachowości. — Matematyczne obliczenie prawdopodobieństwa co do ziszczenia rachub rodzicielskich. — Szczególne wiadomości z „Wieku“ o szkołach prywatnych. — Reformy ogólne i pensye. — V zjazd przyrodników. — Najważniejsza jego strona. — Artykuł prof. Hoyera o metodach naukowych. — Poemacik na rzecz kolonij letnich. — Założenie kamienia węgielnego pod dom dla obłąkanych w Tworkach.

Mówmy o pogodzie. Fatalna!

Czy może być w téj chwili lepszy temat do rozmowy? Najprzód, jestem pewny, że zostanę doskonale zrozumiany, że biadania moje odczują wszyscy czytelnicy. Powtóre, jest to sprawa paląca. Żniwa i zbiory wymagają tak gwałtownie pogody, jak Warszawa ukończenia kanalizacyi, miejsc ustępowych publicznych i znośnych mieszkań letnich. Sprawa paląca jest tém samém zajmującą.

Pogoda, jako przedmiot rozmowy, ma jednę tylko stronę słabą — prędko się wyczerpuje. Kronika dopiero u początku, a ja mogę dodać chyba pobożne westchnienie, aby prędzéj słońce objęło sklepienie niebieskie w niepodzielne posiadanie.

— A szkoły, szkoły! kłopoty rodziców, którzy tracą sen i apetyt, jak się lipiec kończy a sierpień nadchodzi — pomyśli lub zawoła ojciec, mający 10-letniego syna.

— Dobrodzieju, pisałem już o tém i...! Nie tak to łatwo napisać o szkołach, jak się wydawać może. Sięgnij pamięcią po za kilkanaście kronik, a przekonasz się, że nie łatwo.

Cóż jednak robić, spróbuję powtórzyć w krótkości te uwagi, jakie usiłowałem zakomunikować czytelnikom akurat dwanaście miesięcy temu.

Zamożni rodzice dawnemi laty słusznie sądzili, że najwłaściwszą drogą edukacyi syna jest oddanie go do gimnazyum, aby, ukończywszy je, przeszedł do uniwersytetu i mógł potem zająć w społe-

czeństwie stanowisko przewodnie, a dające przytem kawał pewnego chleba. Dziś się wszystko zmieniło. Z praktyki i drukowanych postanowień można było najzupełniéj dowodnie przekonać się, iż rola gimnazyum w państwie, a przez to i rola uniwersytetu jest inną. Nieuznawać tego, negować, napierać się, wskutek nabytego pędu, zapewnienia szczęścia przez ustrojenie syna w srebrne galony— jest poprostu zaślepieniem, nierachującém się okolicznościami.

Dziś patent kandydata jakiegokolwiek wydziału nie jest już jak dawniéj magicznym kluczem do sezamu posad. Pokierowanie dziecka na tę drogę nie równa się wcale zapewnieniu mu bytu, daniu środków przebijania się przez życie. Chyba że w tém dziecku pewne właściwości umysłu i serca przygłusza żyłka do odległych podróży. W każdym innym wypadku utarta dotychczas dróżka karyery do celu nie prowadzi.

Państwo chce — i to najzupełniej odpowiada naszym, tutejszym potrzebom — aby znaczna część młodzieży od wykształcenia klasycznego zwróciła się do szkół fachowych. Opieranie się temu prądowi byłoby szkodliwym uporem. Człowiek, co z domu wyniesie wyszlachetnione uczucia, wyższe dążenia życiowe i społeczne, a przytem rozwinięty umysł, i posiędzie przez wykształcenie pewną niezależną od podmuchów pozycyą materyalną, powinien być w téj chwili najdoskonalszym typem obywatela. Przytém takiemu człowiekowi jedynie dobrze dziać się może.

Jedném z najważniejszych względów, który często powstrzymuje rodziców od sprzeniewierzenia się nałogowi i od kształcenia synów w sposób odpowiedniejszy wymaganiom bieżącym jest wzgląd na wojsko. Skończenie chociażby 6-ciu tylko klas daje już bardzo ważne ulgi, wzgląd jest więc zupełnie słuszny. Chodzi jednak o to, jak wielkie jest prawdopodobieństwo osiągnięcia pożądanych świadectw.

Ponieważ zaledwie $1/3$ pragnących dostaje się do gimnazyum: a z wstępujących $1/4$ lub nawet $1/5$ kończy 6-tą klasę (a liczby te maleć nieustannie będą), więc istnieje $1/15$ lub najwyżéj $1/12$ prawdopodobieństwa dopięcia celu. Egzamin zaś z 4 klas dla otrzymania trzeciéj kategoryi ulg może zdawać każdy. Egzamin to łatwy, biorąc go bezwzględnie, a z trudnościami odpowiedniej liczby corocznych promocyj porównać się nie da nawet. Pchając więc syna do szkoły jedynie w widokach uzyskania przywilejów w wojsku, w najlepszym razie wygrywa się parę lat służby szeregowéj, a z $14/15$ prawdopodobieństwa naraża się chłopca na ten przykry obrót rzeczy, iż wyjdzie gdzieś z niższéj klasy niedouczony, zmarnowawszy prawie zupełnie kilka bardzo cennych lat życia. Trzeba być ślepym najzupełniéj, żeby nie spostrzedz, iż rozum w głowie i najodpowiedniejsze przy-

szykowanie do walki o byt zawsze równoważą dyplom, przy pewnych zaś warunkach mają wartość bez porównania odeń większą.

Nie mogę tu rozwinąć każdego z potrąconych względów, zamiarem moim było zwrócić uwagę rodziców na stan rzeczy. Rozważywszy to wszystko, niewątpliwie niejeden ojciec zgodzi się, iż cisnąc się uporczywie do drogi wskazanéj przez rutynę, wyrządził by krzywdę zarówno dziecku własnemu jak i społeczeństwu.

Jeżeli jednak rodzice błądzą przy wyszukiwaniu dróg najodpowiedniejszych dla wykształcenia syna, to dziwić się bardzo nie można, gdyż w sprawach wychowania panuje pewne zamieszanie, które utrudnia objęcie okiem całości a w skutek tego i decyzyą.

Naprzykład w 163 nrze „Wieku" wyczytać można taką wiadomość:

„W myśl decyzyi władz rządowych wszystkie szkoły realne, utrzymywane przez gminy, instytucye, towarzystwa lub prywatne jednostki, w których posady zajmują osoby zatwierdzone przez władzę naukową, *posiadają przywileje zakładów naukowych rządowych*, kończącym zaś te szkoły przysługują *prawa równe kończącym szkoły, utrzymywane kosztem skarbu.* Te zaś szkoły realne, w których personel nauczycieli nie jest zatwierdzony przez rząd, pozostają na prawach prywatnych zakładów naukowych."

Osoba, udzielająca czytelnikom powyższéj informacyi, albo sama powinna była poinformować się dokładniéj co do tych spraw, albo, jeżeli to niepotrzebne, dodać o ile to wszystko stosuje się do warszawskiego okręgu naukowego.

U nas wszystkie szkoły prywatne podlegają prawom z r. 1841. Reforma Wielopolskiego przekształciła jedynie szkoły rządowe, instytucye wychowawcze prywatne widocznie wtedy odgrywały tak mizerną rolę, że zapomniano o nich zupełnie. Później gimnazya objęte zostały ogólnymi przepisami wszechpaństwowymi i wszystkie zmiany, jakie zachodziły w Cesarstwie, stosowały się i do Królestwa Polskiego. Tak zwane pensye, czyli szkoły prywatne, przez ten cały czas nie doczekały się żadnéj reformy. Prawo z 1841 r. nosi na sobie wyraźnie piętno surowéj epoki, w któréj zostało wydane. Wszyscy nauczyciele prywatni, guwernerzy, korepetytorzy muszą mieć świadectwo z kancelaryi Kuratora, dozwalające im dawać lekcye w ogóle, a prócz tego muszą być w każdym oddzielnym wypadku osobno zatwierdzani przez dyrektora gimnazyum rządowego na prowincyi, przez inspektora szkół miasta Warszawy w Warszawie. Prawa te były nie tylko jak najściślej stosowane dotąd, ale nawet w ostatnich kilku latach wzmocniono je pewnemi obostrzeniami. Musiały zostać

wydane nowe rozporządzenia (gazety o nich nigdy najmniejszéj nie podały wzmianki), w skutek których w pewnych wypadkach p. Kurator, w innych p. Inspektor (mówię o Warszawie) nie zatwierdzali lecz wprost mianowali nauczycieli do szkół prywatnych. A więc w tutejszym okręgu mowy być nie może o szkołach prywatnych z osobami, niezatwierdzonemi przez rząd. Takich szkół nikt u nas nie widział, nikt o nich nie słyszał. Przyjęcie nauczyciela chociażby ze świadectwem, ale bez osobnego mianowania pociąga za sobą (według prawa z 1841 r.) pierwszym razem w szkołach czteroklasowych i wyższych karę 60 rs. (płaci taką sumę i przełożony i uczący), w szkołach niższych 22 rs.; za drugim razem zwierzchnik naukowy oddaje sprawę sądom.

Można byłoby wnioskować, że na mocy nowego rozporządzenia wszystkie szkoły prywatne w Królestwie nabędą praw zakładów rządowych. Jest to jednak więcéj niż bardzo wątpliwe. Świeżo, bo zaledwie przed miesiącem uczniowie dwu sześcioklasowych szkół realnych w Warszawie zdawali egzaminy rządowe nietylko wedle dawnego porządku, ale nawet z pewnemi nowemi obostrzeniami.

Faktem ważnym w życiu naukowém naszém jest świeżo odbyty V-ty zjazd przyrodników i lekarzy polskich we Lwowie i urządzona przy téj okoliczności wystawa. Dokładnych wiadomości o jedném i o drugiém nie ma jeszcze.

Drukowały już wprawdzie dzienniki długie korespondencye o przebiegu posiedzeń i zabaw, ale ponieważ sprawozdawcy nasi są w takich wypadkach bardzo skłonni do uniesień i rozczulenia, więc trzeba czekać jeszcze, aż głos zabiorą spokojniejsi znawcy. Najpoważniejszą tymczasem wiadomością o zjeździe jest telegram, podpisany przez p. Bronisława Znatowicza i zamieszczony w n-rze 30 „Wszechświata". Brzmi on: „Zjazd świetny. Uczestników 600. Wystawa bogata i zajmująca."

W tymże samym „Wszechświecie" (nr. 29) znajdujemy artykuł prezesa Akademii krakowskiéj, dr. Józefa Majera o przyszłym (wtedy jeszcze) zjeździe. Parę zdań i garstka danych zwróciły moją uwagę, podzielę się więc niemi z czytelnikami.

Myśl urządzenia zjazdów takich zrodziła się w Krakowie 19 już lat temu, została odrazu urzeczywistnioną i zbiegiem czasu nie tylko nie poszła w zapomnienie, nietylko nie zmarniała, lecz przeciwnie zamieniona w czyn, w téj formie wciąż potężniała, rosła, i co do rozmiarów i co do wpływu. Świadczy to, iż nie opierała się ona na fikcyi. Zjazdy nie były czczą zabawką, nie była manekinem w szych obleczonym, lecz odpowiadały istotnéj potrzebie życia i nauki.

Już z powodu pierwszego zjazdu powiedziano gdzieś było: „ważne to i tém ważniejsze, że wcale nie polityczne zebranie. Boć zapewne każdy przyzna, że co się tyczy intencyj, to na zabawę nie zjeżdża nikt do Krakowa z Poznania, Lwowa, Warszawy, Paryża i Bukaresztu...“

Zjazdy podobne uczonych jednego kraju, poczynając od roku 1822, odbywają się w wielu stronach Europy. Korzyści z zapoznania się pracowników, z żywéj wymiany myśli, z łatwiejszego porozumienia się w kwestyach wspólnych przedsięwzięć, dla których przytém zjazdy stanowią niemały bodziec,—korzyści z tego wszystkiego są zbyt jasne, aby je trzeba było wykazywać.

Pierwszy nasz zjazd odbył się w 1869 r. w Krakowie. Drugi nie mogąc dla przeszkód politycznych przyjść do skutku w Poznaniu, nastąpił we Lwowie w 1875-m, trzeci w Krakowie w 1881, czwarty wreszcie w Poznaniu w 1884 roku.

Ponieważ raz już wspomniałem o „Wszechświecie“, polecę więc uwadze czytelników drukujący się tam artykuł profesora Henryka Hoyera p. t. „O metodzie badania naukowego.“ W obec błędnego tułania się u nas zdań i pojęć po różnych manowcach przestarzałych lub modnych przesądów, artykuł tèn, uważnie odczytywany przez ogół, przynieść może korzyść nie małą. Nowe poglądy wciąż dosyć ruchliwą falą napływają do naszego intellektualnego zakątka, bodaj czy umiemy je grupować, oceniać, zestawiać. Gdyby uwagi p. Hoyera posłużyły za temat do rozmyślań, do roztrząsań i rozmów, to niewątpliwie wyrobiłyby ducha krytycznego i pomogły do poważniejszego ugruntowania sądów w niejednym umyśle.

Na korzyść kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci wydany został mały poemacik p. Maryi Konopnickiéj p. n. „W piwnicznéj izbie“. Nabycie téj małéj książeczki dostępne jest nawet dla średniéj zamożności ludzi; powinno by więc nabywców znaleźć się sporo. Odczytanie zaś ładnego utworu poetki przypomni i o koloniach letnich i o pożytku z nich płynącym i skłoni może niejednego do złożenia na ten cel ofiary. Sprzedaż główna w księgarni Teodora Paprockiego i Spółki. *N. N.*

Centralny dom dla obłąkanych w Tworkach jakkolwiek dopiéro w dniu 17 lipca r. b. rozpoczęty od założenia kamienia węgielnego, ma już dość długą przeszłość; jeszcze bowiem w r. 1860, gdy z rozrostem miasta tak gmachy po-bonifraterskie jak i istniejący od r. 1835 przy szpitalu Dzieciątka-Jezus oddział dla obłąkanych kobiét stały się niedostatecznemi, Rada Główna Opiekuńcza

Zakładów Dobroczynnych w Królestwie Polskiém wyrobiła u rządu coroczną zapomogę na budowę nowego domu w kwocie 15,000 rub. z sumy 29,730 rs. co rok budżetem Królestwa Pols. na szpitale wyznaczanéj, co trwało do r. 1871.

Wskutek zabiegów Rady, osobliwie téż r. t. Łaszczyńskiego, owoczesnego gubernatora cyw. warsz. a zarazem i prezesa Rady Głównéj, rząd wyséłał za granicę specyalistów dla zbadania zakładów tego rodzaju, mianowicie d-ra Pląskowskiego, późniéj d-ra Rotego; wreszcie członka Rady Głównéj, budown. Tournel'a. Wybierano rozmaite miejscowości w pobliżu Warszawy, jak Wawrzyszew lub Opalin za rogatką Powązkowską (1862), zaniechano jednak téj myśli wkrótce z powodu zbytniéj blizkości obozów artyleryi, któréj huk podczas ćwiczeń pozbawiałby chorych koniecznego spokoju. Myślano potém o zbudowanlu szpitala w okolicach Grochowa, Brudna lub Wawru, i w r. 1868 hr. Berg, ówczesny namiestnik, uznał za najstosowniejsze zbudować D o m C e n t r a l n y na prawym brzegu Wisły za Pragą. W tym celu polecił prezesowi Rady Głównéj generałowi Rożnowowi przejrzéć wszystkie poprzednie projekty, wybrać miejscowość i przedstawić nowe plany budowli i zapatrywanie Rady Głównéj. Komisya złożona z pp. gubernatora Rożnowa, rz. r. st. Bekkera, b. głównego inspektora lekarskiego w Królestwie, i kilku innych urzędników i obywateli rozpatrzywszy się w okolicy Pragi, wybrała miejscowość leżącą o 1½ wiorsty od rogatki Moskiewskiéj na gruntach folwarku Kamionka, obszerną około 50 morgów (28 dziesiatyn); do tego obszaru wydział inżynieryi wojskowéj dołączył dwie morgi ziemi okalającéj pomnik bitwy Grochowskiéj 1831 r., z obowiązkiem doglądu i pieczy nad pomnikiem. Wybór Kamionka, powiększonego w swéj rozległości kawałkiem gruntu, na którym stoi pomnik na pamiątkę zbudowania traktu bitego (szossy) Brzesko-Litewskiego, co wszystko razem czyni 54 morg. 198 prętów, hr. Berg zatwierdził i folwark ten tak przez miejscowych budowniczych i inżynierów, jak i przez specyalistów przybyłych z ramienia ministeryum spraw wewnętrznych, uznany został za zupełnie odwiedni przeznaczeniu. D-r Rote i budowniczy Tournel obok obszernego sprawozdania z pobytu i badań za granicą odpowiednich zakładów, sporządzili plan budowy, zastosowany do Kamionka. Dla oceny tego planu i kosztorysu wyznaczono komisyę na wniosek zarządzającego sprawami Komitetu urządzającego, która wypracowała szczegółowo kosztorys i swoje przedłożenia i te przesłała dla oceny komisyi psychiatrycznéj przy ministeryum spraw wewn., gdzie cały eleborat uległ gruntownym zmianom. Po zwróceniu go, d-r Rote i p. Bekker z budowniczym Tournelem,

w myśl uwag poczynionych w ministeryum, przystąpili do nowéj przeróbki planów szpitala, zamierzonego na 400 łóżek z ogólnym na całą budowę kosztem około 900,000 rubli. Następnie komitet budowy, złożony z gubernatora Rożnowa, wice-gubernatora Daniłowa, rz. r. st. Bekkera, pułk. inżyn. Palicyna, prezesa rady szczeg. opiek. szpitala św. Jana Bożego, Słomińskiego, d-ra Rotego i budowniczego Tournela, miał sobie polecone zająć się wygotowaniem ostatecznych planów i dopełnień niektórych robót przygotowawczych, na które wyasygnowano 10,017 rubli. Wygotowanie planu i wykonanie go poruczono budowniczemu Tournelowi; d-r Rote miał być naczelnym lekarzem.

Fundusze na budowę Domu centralnego, ze źródeł na wstępie wskazanych, składane w Banku Pol., w końcu roku 1869 utworzyły 145,202 rub. 35 kop., a nadto niezależnie od pomocy rządowéj, liczono na zapomogę z „Kapitału użyteczności publicznéj“ Towarzystwa Kred. Ziemsk., oraz na wartość posiadłości po-bonifraterskiéj, która by mogła być sprzedaną po przeniesieniu z niéj chorych do nowego zakładu. Do r. 1870, w którym Radę Główną zastąpiono przez Radę miejską, oprócz wybrania i nabycia za 8000 rubli miejscowości, dokonano także następnych robót ziemnych przygotowawczych: cały folwarczek obwiedziono rowem i wałem, zbudowano dwie studnie, wystawiono szopę na skład materyału budowlanego i odnowiono domek strażnika przy pomniku Grochowskiéj potrzeby,— nadto jako początek parku przy Domu centralnym uzyskano z lasów skarbowych bezpłatnie 4,000 młodych drzewek. Wszystkie te kosztowne zachody stały się jednak bezcelowe, rząd bowiem ostatecznie uznał za niemożliwe zbudowanie tak wielkiego zakładu w pobliżu fortów warszawskich i to na linii tak strategicznéj jak koryto Wisły. Postanowiono więc przenieść się na lewy brzeg Wisły. Na upatrywaniu miejsca zeszło lat 10, aż w końcu roku 1879 p. Kryński, właściciel majątku Tworki pod Pruszkowem, wystąpił do Rady miejskiéj z propozycyą odstąpiepia pod budowę szpitala odpowiedniego obszaru 105 morgów. W dniu 16 kwietnia 1880 r. komisya z ramienia Rady miejskiéj, złożona z d-ra Waltera, inspektora szpitali cywilnych w Warszawie i d-ra Rotego, zwiedziła proponowaną miejscowość. Ta, ze względu na grunt przeważnie piasczysty, dosyć wyniosły, zatém suchy, przerznięty małą rzeczką, przytém mająca kilka morgów boru sosnowego, okazała się stosowną na zakład podobny, który byłby oddalony o 2 mile od Warszawy, a o 1½ wiorsty od stacyi kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj Pruszkowa (Gaz. Warsz. z d. 28/IV 1880).

Odtąd ubiegło dwa lata w ciszy, dopiéro w r. 1882, w pierwszéj połowie lutego, po kilkomiesięcznych pertraktacyach ukończono układy z p. Kryńskim przybiciem ceny sprzedażnéj w sumie 25,000 rubli. Zaraz téż miano przystąpić do budowy szpitala (Gazeta Warsz. 1882, N. 37), według planu psychiatry d-ra Balińskiego, który w r. 1881 wezwany z Petersburga dla obejrzenia miejscowości, uznał ją za stosowną. Za wzór tego gmachu w stylu rosyjskim postanowiono dać dom obłąkanych w Kazaniu. Zrobiono więc odpowiednie plany, za które ich twórcy, p. Sztromowi, akademikowi petersburskiemu, zapłacono 1% od sumy kosztorysowéj, która nie miała przewyższać 760,000 rs. Było to w r. 1882. Rok 1883 nie posunął ani na krok sprawy budowy szpitala. Dopiéro w roku 1884 „Gazeta Warsz.“ w N. 290 podała z wiarogodnego źródła wiadomość, iż z uwagi na to, że Tworki leżą niedaleko od jednego z fortów, jakiemi Warszawa jest otoczoną, ministeryum wojny oparło się budowie wielkiego gmachu szpitalnego i zgadza się jedynie na urządzenie szpitala systemu barakowego, drewnianego, tak, aby w danéj chwili, na wezwanie, wszystkie budynki, stanowiące posiadłość szpitalną, można było w ciągu kilku dni rozebrać i z ziemią zrównać. Od téj chwili upłynęło 3 lata, a choć w r. 1887, śladem lat dawnych, utworzono komitet budowlany z p. Wiłujewem, kuratorem szpitala D-ka Jezus na czele, choć miejsce długoletniego i zasłużonego współpracownika psychiatry d-ra Rotego zajął przy oddziale obłąkanych kobiét u D-ka Jezus d-r Włodzimierz Hardin z Samary (który w r. 1885 ukończył studya lekarskie i otrzymał doktorat w Petersburgu), z pensyą 3,000 rs. rocznie, a mianowany jednocześnie naczelnym lekarzem przyszłego szpitala w Tworkach, którego budowy, jako członek komitetu, doglądać będzie, — mimo to wszystko choć już nawet plan i kosztorys zatwierdzono na sumę 769,043 rs. 17 kop. i do budowy traktu bitego od stacyi do przyszłego zakładu przystąpiono, ministeryum wojny dopiéro w grudniu r. z. ostatecznie na budowę zezwoliło.

Według wiadomości, podanych w dziennikach zeszłorocznych (Gaz. Warsz. N. 109 i Kurjer Codz. N. 211), szpital ma miéć tylko 400 łóżek, t. j. tyle, ile ich jest u Jana Bożego i w Oddziale obłąkanych u D-ka Jezus, z pominięciem 50 łóżek dla obłąkanych przy szpitalu Starozakonnych. Jeśli to ma być Dom Centralny, na który jeszcze w r. 1869, gdy Warszawa miała tylko 269,000 ludności wyznaczono 400 łóżek, to dziś po 18 latach, przy warunkach bytu tak strasznie na niekorzyść zmienionych i chorobom umysłowym sprzyjających, a nadto przy ludności w mieście czterysta kilkadziesiąt głów wynoszącéj, zatém większéj o prawie 200,000,—

o znoszeniu szpitala Jana Bożego lub Oddziału obłąkanych kobiét u D-ka Jezus nie powinno by być mowy. Dom ten bowiem wystarczy zaledwie dla mężczyzn. Zabudowania zaś po-bonifraterskie, po stosownéj odnowie, mogłyby być albo filią, albo metropolią dla Oddziału obłąkanych kobiét u Dzieciątka Jezus.

Wydatki na budowę mają być pokryte: 1) ze specyalnego funduszu od r. 1864 na budowę tę odkładanego rs. 250,900, który już obecnie wyczerpano; 2) z kapitału użyteczności publicznéj w kwocie 500,000 rs. (uchwała Rady Państwa z d. 1/IV 1883), na rachunek których temi dniami tutejszy kantor Banku Państwa otrzymał upoważnienie do wypłat 200,000 rubli komitetowi w miarę potrzeby; 3) z wpływu szacunku, przewidywanego ze sprzedaży Kamionka, obliczanego na 40,000 rs. i 4) z gotówki w kwocie 49,719 rubli, wykazanéj w sprawozdaniu Rady miejskiéj dobrocz. za r. 1886.

Budowę gmachu powierzono p. Hillerowi, majstrowi ciesielskiemu, który od lat 12 pozostaje stałym przedsiębiorcą budowlanym przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Ukończenie szosy pozwoliło na rozpoczęcie zwózki materyałów. Przy budowie zajętych kilkuset robotników i na pomieszczenie ich, wynajęto wielki budynek murowany po fabryce żelaznéj, znajdujący się po drugiéj stronie plantu kolejowego.

Miejscowość, na któréj wznoszą szpital, posiada grunt zupełnie suchy, piasczysty, lasek sosnowy i rzeczkę niewysychającą. Budynki zakładu rozłożone zostaną na skraju lasu, po obu jego stronach, część więc zadrzewienia stanowić będzie rodzaj parku. Drugą część lasku przeznaczono również na miejsca spacerowe dla chorych. Szpital składać się będzie aż z 15-tu budynków murowanych, wliczając w to i domy dla administracyi.

Zakład rozdzielony będzie na dwa oddziały: męski i żeński, ogółem zaś na początek pomieści 400 chorych. Kuchnie i pralnie mieścić się mają w oddzielnych budynkach, z uwzględnieniem wszelkich warunków sanitarno-hygienicznych. Wodociągi i kanalizacya dopełniają całości. Ważna kwestya oświetlenia szpitala zadecydowaną została na korzyść gazu, skutkiem czego szpital posiadać będzie własną gazownię.

Oprócz sal dla chorych zwyczajnych, przy szpitalu znajdować się ma przytułek dla chorych nieuleczalnych. Ci nieszczęśliwi oddzieleni zostaną od głównego zakładu i posiadać będą na swoje potrzeby ogródek i pola do uprawy. Jednóm słowem, według zakreślonych planów, ma to być szpital pierwszorzędny. Robotami na miejscu kieruje budowniczy p. Oswald. Budowa trwać będzie półtrzecia roku i na początku r. 1891 nowa instytucya oddaną ma być na użytek publiczny.

Założenie kamienia węgielnego odbyło się w obec szczupłego grona przybyłych.

W końcu nie od rzeczy będzie podać głos pisma najbardziéj kompetentnego, to jest „Medycyny“, która w numerze 28-m z dnia 14-go lipca pisze: „Po długich, bo parę lat trwających przygotowaniach, przystąpiono nareszcie do budowy domu dla obłąkanych w Tworkach. Obiecują budynek wykończyć i do użytku oddać w r. 1890. Przybędzie nam pomieszczenie na 400 obłąkanych, ale to nie zaradzi złemu, jeżeli z otwarciem nowego zakładu dzisiaj istniejące w Warszawie będą zamknięte. Mamy do namysłu 2 lata i nie wątpimy, iż sfery decydujące obmyślą środki potrzebne do utrzymania oprócz budującego się Zakładu w Tworkach, jeszcze jednego w Warszawie, gdyż potrzeby w tym względzie z powiększeniem się ludności w gwałtowny sposób wzrastają.“

W. A. S.

Wspomnienie o Stanisławie Waryńskim.

Gazety doniosły o niedawnéj śmierci Stanisława Waryńskiego w Genewie. Niewielka tylko garstka rodaków, rozrzuconych po wszem świecie, znała go bliżéj, i tym boleśnie ściśnie się serce na wieść smutną. Był on jak wędrowiec, który na swéj drodze spotyka przeszkody same; krwawiąc dłonie i piersi, roniąc siły, usuwał je jedną po drugiéj; nareszcie, kiedy wydostał się na utorowany gościniec i mógł już oglądać cel wysiłków swoich, rozwarła się mogiła i pochłonęła go przedwcześnie. Koleje jego życia może nie są wyjątkowe — setki młodzieży naszéj doznaje podobnego losu — témbardziéj zasługują one na napisanie.

Stanisław Waryński urodził się na Ukrainie w samym końcu 1857 lub w początkach 1858 roku. Ukończył szkołę realną w Białéj Cerkwi (nie w Humaniu jak mylnie podano). Ponieważ patent otrzymany nie dawał mu prawa wstąpienia do uniwersytetu rosyjskiego, więc wyjechał w roku 1876 wraz z przyjacielem swoim i towarzyszem młodości Edmundem Brzezińskim (obecnie lekarzem w Bulgaryi) za-granicę. Bawił początkowo kilka miesięcy w Wiedniu, potém przeniósł się do Lipska i tam rozpoczął studya, przerwane długą, obłożną chorobą. Ponieważ Lipsk jest miastem, gdzie się środkowuje handel księgarski, więc brat Stanisława żądał od niego

załatwiania różnych interesów księgarskich; w owym czasie było to najzupełniéj dozwolone, legalne i Waryński dopełniał wszystkiego otwarcie. Ale nastały w roku 1878 przepisy wyjątkowe i wbrew najelementarniejszéj, powszechnie uznanéj zasadzie, iż żadne prawo wstecz nie obowiązuje, student medycyny pociągnięty został do odpowiedzialności za wysyłanie książek. Siedział 5 tygodni w areszcie i kazano mu wyjechać z granic cesarstwa Niemieckiego.

Udał się do Genewy. Na razie myśleć nie można było o nawiązaniu przerwanych studyów, przedewszystkiém należało się starać o kawałek chleba powszedniego. Zaczął pracować w drukarni (jeżeli mnie pamięć nie zawodzi w nieistniejącéj obecnie polskiéj drukarni Bolesława Trusowa). Kilka miesięcy przebyte w Genewie były najczarniejszemi chwilami życia Waryńskiego, nie lubił o nich opowiadać, nie wiem więc co mu dolegało, ale wielokrotnie słyszałem z ust jego gorzkie narzekania. Wyrwał się więc i około 19 Marca 1879 roku stanął w Krakowie.

Przybył z kilkoma guldenami, zaczął od przymierania głodem, mając przed sobą perspektywę, że potrwa to długo, i jeżeli się kiedy skończy, to może aż po otrzymaniu dyplomu. Żywił nadzieję, iż rodzice przyślą mu jaki zasiłek, wiedział, że wielkim być nie może, ale chodziło mu o najlichszą choćby egzystencyą. Pomimo ciężkiego początku, Kraków podobał mu się i podziałał nań orzeźwiająco. Nie mógł zaraz wstąpić do uniwersytetu, bo do początku semestru letniego brakowało jeszcze kilku tygodni, ale cieszył się myślą, że wkrótce wróci do książek, do audytoryum i do laboratoryów.

Nie chcąc po raz drugi ściągnąć na siebie cienia chociażby podejrzenia ze strony władz, z nadzwyczajnym pośpiechem zameldował się i zaniósł paszport swój osobiście do biura policyi. To go zgubiło. Pan komisarz Kostrzewski wiedział już, iż jest na świecie jakiś Waryński (Ludwik) socyalista (w téj chwili był już aresztowany pod nazwiskiem Pawłowskiego), więc ze sprytem i gorliwością, która cechuje policyę austryacką jak najskwapliwiéj aresztował Stanisława w dniu 23 Marca. Policya austryacka była wtedy, a pewnie i dziś jest najniedołężniejszą instytucyą pod słońcem. W sposób barbarzyński i oburzający przekracza ona nieustannie obowiązki swoje, a tego, co do niéj należy istotnie, wykonać należycie nie potrafi.

W ten sposób Waryński Krakowem cieszyć się mógł nie całe dwa tygodnie. Zaczęło się długie i w początkach bardzo ciężkie więzienie. Nie miał przez dwa miesiące czystéj bielizny, przez sześć — książek. Siedział w celkach pełnych zaduchu, robactwa, w towarzystwie kilkunastu naraz zbrodniarzy. Doznał parę razy przykrych upokorzeń. Pan prezes Kawecki, do którego udał się z prośbą

o pozwolenie sprowadzenia czystéj bielizny, kazał go za drzwi wyrzucić. Pomimo to pragnął gorąco pozostać w Krakowie i pocieszał się nadzieją, że może mu na to pozwolą.

Po jedenastu blizko miesiącach więzienia śledczego rozpoczęła się rozprawa sądowa w dniu 16 Lutego 1880 roku. Na Stanisławie ciążył tylko jeden zarzut: był bratem Ludwika, a Ludwik skazany został później na... *pięć dni* aresztu za przybranie fałszywego nazwiska! Pan prokurator Brazon oskarżenie swoje wygłosił poważnie, tak poważnie, że czcigodny p. Czyszczan, prezydujący, wówczas radca sądu wyższego w Krakowie, dziś wysoki dygnitarz w Wiedniu człowiek najwyższéj szlachetności i wrażliwego serca, prawy i odważny, musiał zwrócić uwagę (wbrew bezstronnéj roli swojéj), iż podobne oskarżenie jest śmieszne poprostu. Tłomaczenie się Waryńskiego Stanisława było krótkie:

— Nigdy w życiu nie przekroczyłem prawa, niezrobiłem ani jednego kroku nielegalnego. Celem moich usiłowań wszelkich, celem 12-dniowego pobytu mego w Krakowie były studya medyczne.

— Ileż czasu pan siedziałeś za te dwanaście dni? — zapytał jeden z przysięgłych.

— Rok.

Szmer oburzenia przebiegł po ławach przysięgłych i echem zgrozy odbił się między publicznością.

Stanisław zdobył sobie bardzo gorącą sympatyę wśród wszystkich świadków rozprawy. Kiedy się dowiedziano, iż pragnął by zostać w uniwersytecie Jagiellońskim, wielu obywateli zgłosiło się z własnéj pobudki z gotowością poręczenia, sam p. Czyszczan jeździł do dyrektora policyi p. Englisza, aby nie stawiano przeszkód Waryńskiemu do pozostania w Galicyi. Nic nie pomogło. Jednego dnia dwunastu obywateli przysięgłych jednogłośnie orzekło, iż ś. p. Stanisław nie winien nic, na drugi dzień p. Englisz zawyrokował, iż jako szkodliwy agitator powinien opuścić na zawsze wszystkie kraje, w wiedeńskiéj radzie państwa reprezentowane.

Jeśliby osoby, tak wysoko postawione, jak p. prokurator i p. dyrektor, były zdolne czasami przypuścić, że do opatrznościowéj ich działalności mogą się wkraść jakieś omyłki—tu dobrze byłoby może, gdyby zastanowiły się, co zyskała Galicya, co zyskał Kraków na wydaleniu brutalném Waryńskiego. Kilkoma latami życia, jakie mu zostały, dowiódł on, iż istotnie chodziło mu o naukę i wyłącznie o naukę; odznaczył się i pomimo krótkiego czasu zasłynął wśród obcych. Taki nabytek nie byłby do pogardzenia dla uniwersytetu krakowskiego. Waryńskiemu wyrządzili bez potrzeby krzywdę, skazując na ciężką tułaczkę, uniwersytet narazili na stratę. Warto byłoby, aby

pisma galicyjskie wobec świeżéj mogiły zwróciły uwagę na tę zbawienną działalność p. Englisza; wypadek z Waryńskim nie był wcale wyjątkiem, lecz szeroko stosowaną regułą. Pomimo kilkoletniego pobytu w Szwajcaryi, gdzie kroków jego nikt nie krępował, ani kontrolował, gdzie odbywały się zjazdy, obchody, kongresy, wydawane były pisma i broszury, nigdzie śladu nie ma, aby Stanisław Waryński myślał o czémkolwiek bądź inném niż o studyach medycznych. Był poprostu ofiarą ślepéj, przesadzonéj a pozornéj gorliwości.

Z Waryńskim razem siedziało 36 oskarżonych, z których znaczna większość została w Listopadzie wypuszczoną, pozostało 13. W téj liczbie było kilku studentów, co późniéj wrócili do szkoły. On jeden, jak tylko nadeszła możliwość, zaraz w murach więziennych wziął się do pracy. Pożyczył od kolegi atlas anatomiczny i z wielką wytrwałością, która go cechowała zawsze, przerysowywał po całych dniach.

Wydalanych z Krakowa odsyłano z kozy do kozy, dopóki przez Wiedeń, Insbruck, Landek, Blüdentz i Bregenz nie przybyli do Szwajcarskiéj granicy. Stanisław musiał wracać do Genewy. Tym razem pomimo zupełnych pustek w kieszeni i pomimo rozpoczętego semestru zapisał się od razu na listę studentów. Nie tylko nie stawiono mu przeszkód, ale uwzględniwszy okoliczności, uwolniono go zaraz od opłaty za lekcye.

Trzeba było przebyć okres ciężki, jak podróż przez piaszczystą pustynię. Proces krakowski naraził ojca na utratę posady, ostatnia nadzieja pomocy zewnętrznéj prysnęła. Nie było wprawdzie chłodu, bo wiosna i lato tego roku było w Genewie bardzo skwarne, ale głód dokuczał nieraz, a dokuczał by więcéj, gdyby nie ludzka uczynność, gościnność, dobroć i zaufanie Szwajcarów: kto tylko z nimi się zetknął, niewątpliwie cnot tych doświadczył i zachował w sercu tkliwą wdzięczność.

W tym czasie zjawił się w Genewie niejaki p. Konstanty Tukałło. Był to stary człowiek, skołatany życiem, zmordowany, schorzały. Waryński jakoś go gdzieś spotkał i zdjęty współczuciem, opiekować się zaczął rodakiem. Załatwiał mu interesy, robił sprawunki, ochraniał mienie, pielęgnował i nareszcie odszukał starego przyjaciela p. Stanisława Tchorzewskiego. Pomiędzy starcem i wstępującym świat młodzieńcem zawiązała się nić sympatyczna przyjaźni. Tukałłę interesowały przeszłe losy i przyszłe zamiary studenta. Waryński widział, iż zacny a zamożny litwin chce mu ułatwić drogę życia, zapewniając byt aż do skończenia medycyny. Pewnego poranku Stanisław dowiedział się, iż Tukałło umarł. Starzec, obudziwszy się, chciał wziąć z ziemi obuwie, pochylił się i serce mu

pękło. Tchorzewski upewniał, iż właśnie tego dnia miał Tukałło złożyć w banku czy u notaryusza odpowiednią sumę. Nagły więc zgon był jakby nowym pchnięciem losu, które łódź Waryńskiego odtąciło od przystani.

Oglądał się, szukał, próbował—długo nic znaleść niepodobna było; zdawało się, że wszystkie wysiłki jego, cała wytrwałość i chęci rozbiją się o przeciwności, aż z początkiem wakacyi znalazł kawałek chleba. Kopiowanie atlasu nauczyło go nieco rysunków i cieniowania tuszem; poruczono mu malowanie albumu dla komiwojażera w fabryce kosmetyków pp. Fouet i Clement.

Praca to trudniejsza niż początkowo przypuszczać można, siedzieć trzeba było dzień cały wśród ciężkich wyziewów, początkowo wonnych, a wkrótkim czasie dokuczliwie duszących. Od ściągania farb z pędzelka ustami i od wyziewów w gardle osiadała gorycz, przykry ból głowy nie opuszczał nigdy. Codziennie przez 3½ miesiąca można było widzieć Stanisława po za szybą wystawową jak pochylony malował flaszki, flakony, pudełka, naklejał etykiety itd. Przychodził do fabryki o godzinie 8-éj rano, od 12—2 miał czas wolny na obiad, dzienną pracę kończył o 6. P.p. perfumiarze byli bardzo porządni ludzie, szczególniéj p. Fouet, Waryński zarabiał u nich dziennie 3½, 4 a nawet 5 franków, nie tylko miał za co żyć, ale oszczędzał nieco na czas studyów. Kilku kolegów próbowało pracować wraz z nim, jeden wytrwał dwa tygodnie, drugi miesiąc... on jeden nie przerwał roboty, aż do rozpoczęcia lekcyi w uniwersytecie.

Pomimo przeciwieństw i ciężkiéj pracy, zachowywał wciąż zupełny spokój ducha i doskonały humór, który przypominał wesołość zdrowego dziecka. Krakowa żałował zawsze i mówił o nim z pewnym odcieniem tkliwości. Lubił wspominać o maleńkim pokoiku na Smoleńsku, w oknie którego zupełnie jak w ramkach widać było kopiec Kościuszki. Z wdzięcznością opowiadał o pani Orłowskiéj, właścicielce domu, zacnéj staruszce, u któréj mieszkał tak krótko, a która pomimo to nie zapominała o nim przez cały czas więzienia: przynosiła bezinteresownie zupełnie masło, sér i kawę z wyborną śmietanką. Wspominał nawet o Zuzi, hożéj krakowiance, służącéj, która w dni uroczyste w niebieskim kabaciku wyglądała jak ideał dziewczyny polskiéj. Nawet z murów więziennych miał jedno rzewne wspomnienie. Brat jego był chory w szpitalu na tyfus brzuszny, bardzo mała pozostawała już nadzieja życia. Stanisławowi nie wolno było go widywać, a wieści przedostawały się późno i ubocznemi dróżkami. Raz przychodzi stary dozorca, pijaczysko, i wyciągając rękę powiada:

— Niech pan uściśnie moją dłoń, ona ciepła jeszcze ciepłem brata pańskiego.

Postawiwszy się na miejscu więźnia zdenerwowanego, zgnębionego, strapionego, łatwo zrozumie się uczucie, z jakiém ten dowód serca przyjął Stanisław; nie zapomniał téż tego nigdy i zawsze opowiadał nawet tym, o których wiedział, że już wielokrotnie słyszeli tę historyą.

Jeszcze przez pierwszy rok pobytu Waryńskiego w Genewie można było znać go tygodniami i nie wiedzieć, że ten człowiek, taki poważny w czynach w przedsięwzięciach, umié poważnie mówić. Zwyczajny ton jego mowy był żartobliwy.

— Nie bój się nic!—powtarzał ulubiony frazes, spotkawszy którego z bliższych znajomych z zasępioną miną.

Jeżeli chciał komuś opowiedzieć jaki wypadek, naprzykład o spotkaniu nadzwyczajném, zawsze zaczynał rozmowę w tej formie.

— Zapytaj mnie: kogo ja spotkałem.

Jak przychodził po pracy na obiad, biegł zaraz do kuchni, gdzie stara pani Génou gotowała obiad dla całéj kolonii jego przyjaciół, i zaczynał sprzeciwiać się jéj jak rozswawolone dziecko. Staruszka bardzo lubiła i jego samego i jego figle, udawała, że się gniewa, groziła zawiązaniem ściérki na szyję i zapędzeniem do szorowania rądli.

Dopiero jak się go zagabnęło o jaką sprawę poważną, nagle przybierał inny wyraz twarzy, nawet ton głosu się zmieniał: zwykle niski basowy stawał się nieco piskliwym. Z odpowiedzi jego widać było odrazu, że patrzy seryo na świat, na ludzi i na obowiązki swoje.

W tym czasie skarżył się już często na chorobę nérek. Jeżdżąc z Tukałłą, trafił w jakiejś wiosce nad jeziorem genewskiém na źródło, które nadzwyczajnie dobroczynnie działało na jego zdrowie; ubolewał, że się tam na kuracyę udać nie może.

Kłopoty Waryńskiego o byt skończyły się wraz z upływem pierwszych wakacyi. Pomimo braku pewnych kwalifikacyi egzaminowych, prof. Laskowski zawezwał go na asystenta do teatru anatomicznego. Za to otrzymywał skromne 100 fr. miesięcznie, ale zyskał możność gruntownego nauczenia się anatomii. Przytém robił preparaty do muzeów, jeździł z doktorem L. na czynności niektóre, nareszcie późniéj miał sporo lekcyi anatomii. Dochody z biegiem czasu rosły, wziął też zaraz na wychowanie maleńkiego bratanka—niemowlę.

W końcu r. 1880 wynajął pokoik u pp. Chevalier. Wrodzona mu łatwość zawiązywania stosunków i pożycia sprawiła, iż wkrótce

zaprzyjaźnił się z całym domem; odwiedzający go znajomi zauważyli łatwo, że szczególnie serdeczna zażyłość łączy go z córką gospodarstwa, z panną Julią. Panienka pod jego wpływem wróciła do przerwanéj nauki, zdawała egzamin w szkole wyższéj dla kobiet, uczęszczała na wykłady uniwersyteckie. Niebawem panna Chevalier wystąpiła urzędownie w charakterze narzeczonéj, i po skończeniu przez Stanisława uniwersytetu połączył ich węzeł małżeński. Ktoś napisał, iż p. Waryńska jest wnuczką znakomitego Chevalier, ekonomisty senatora Francyi. Skąd ta wiadomość zaczerpniętą została—nie wiem. Wątpię jednak o jéj prawdziwości. Stanisław nigdy o tém nie wspominał, ojciec zaś pani Julii trudnił się wierceniem dziur w kamieniach zegarkowych; zarabiał 10 fr. dziennie.

Przy pr. Laskowskim Waryński pracował lat 2, potém przyjął obowiązek w pracowni Schyffa, znakomitego profesora fizyologii. Było to zajęcie bardzo pożyteczne, ale niezmiernie nużące. Sędziwy uczony, aczkolwiek ojciec rodziny, i znany z żywego niegdyś udziału w sprawach politycznych, dziś oddany jest wyłącznie doświadczeniom fizyologicznym. Zjawia się o 6-éj rano w pracowni, często obiad mu tam przynoszą, wychodzi późnym wieczorem a nawet potrafi i do północka przesiedzieć. Wakacyi nie zna albo wcale, albo pozwala sobie tego zbytku na dwa dni: wtedy jedzie do Włoch i wraca chory, bo zapomina o jedzeniu. Corocznie 300 psów nie licząc innych zwierząt, przechodzi przez jego stół wiwisekcyjny. Od laborantów wymaga ciągłéj niemal obecności, wzywa ich nieraz w niedzielę. Poprzedni asystent po 2-u latach dostał wycieńczenia jakiegoś, wpadł w apatyą. Nie odstraszyło to Waryńskiego.

Preparaty Stanisława zwróciły już były wtedy uwagę wielu profesorów. Przytém zdawał jednocześnie egzaminy państwowe i uniwersyteckie. Profesor Fol słynny biolog, przedsiębiorąc szereg doświadczeń nad sztucznem wywoływaniem monstrualności u zalążków w jajkach, wezwał Waryńskiego na współpracownika. Doświadczenia te i sprawozdanie z nich uczyniły imię naszego rodaka znaném w świecie naukowym. „Ateneum" poświęciło im w swoim czasie artykuł, mogę się więc powstrzymać od wchodzenia w szczegóły. Nie ulegało już wątpliwości, że przed Stanisławem otwiera się szeroka droga do zasług naukowych, do sławy, a więc i do katedr. W uniwersytecie genewskim otaczało go uznanie powszechne. Profesorowie traktowali go jak przyszłego kolegę.

Z końcem roku szkolnego $188^2/_3$ Waryński rzucił asystenturę i przez ostatni rok lub $1\frac{1}{2}$, jakie mu pozostawało do ukończenia studyów akademickich, postanowił radzić sobie lekcyami, których miał zawsze dosyć. Potrzebował wiele czasu do pracy w klinikach

Otrzymał przytém stypendyum od hr. Platera z zapisu Krystyna Ostrowskiego.

Były to ostatnie chwile, w których go widywałem, zmienił się bardzo. Fizycznie wyglądał świetnie, zmężniał, rozrósł się, niby Herkules, nic nie znamionowało, iż wewnątrz rozwija się wciąż groźna choroba. Usposobienie żartobliwe zniknęło zupełnie, był bardzo poważny, zmęczony jak gdyby. Przychodził z narzeczoną na zebrania towarzystwa młodzieży polskiéj, ale milczał zwykle. Przypominałem mu nieraz dawne czasy, powtarzałem jego ulubione niegdyś wyrażenia.

— Pamiętasz—mówił wtedy i uśmiechał się; ale był to promień odbity jak gdyby i chłodny.

Podobno proponowano mu katedrę w Strasburgu, ale o tém wiem tylko z gazet; przyjął posadę w świeżo otworzonéj szkole dentystycznéj w Genewie.

Dawniéj jeszcze słyszałem od osób, przyjeżdzających z Genewy, iż zamierzał osiąść w Warszawie. Trzeba było jednak usunąć wiele przeszkód. Podczas różnych perypetyi zaginął mu paszport, a przytém był już przetrzymany i nieodnawiany. Musiałby zdawać egzamin tutejszy, a nie miał wymaganéj matury.

Wiem także, że myślał i marzył zawsze o niegościnnym Krakowie.

Niech mu będzie lekką przynajmniéj ta obca ziemia, w któréj go złożono na wieczny odpoczynek.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Stanisław Janicki,** zmarły 10 lipca r. b., był synem profesora b. uniwersytetu aleksandryjskiego w Warszawie. Tu się urodził w roku 1836 i po ukończeniu szkół w kraju kształcił się na inżyniera za granicą. Pracował przy wielu znaczniejszych budowlach, a między innemi przy pierwszym moście żelaznym na Wiśle pod Warszawą i przy przekopaniu kanału Suezkiego. Z tego czasu drukował szereg interesujących listów w „Tygodniku ilustrowanym.“ Pomieszczał też artykuły w „Gazecie Polskiéj“ i w „Inżynieryi i budownictwie.“ Życiem swém umiał sobie zjednać powszechny szacunek.

† **Władysław Wierzbiński**, ur. 13 stycznia r 1831 w Sciborzu na Kujawach, mąż ducha energicznego, długoletni poseł na sejm berliński, publicysta - współpracownik „Dziennika Poznańskiego", zakończył życie 12 lipca w Poznaniu.

† **Józef Sporny**, urodzony w Warszawie 1817 roku, inżynier, autor kilku prac w przedmiotach dotyczących techniki, jak „Asfalt i bitumy", wydana w r. 1874, „Zbiór wiadomości z mechaniki stosowanéj, podług Morina", „Tektura i jéj zastosowanie w budownictwie" i in.; wielce czynny w sferze życia praktycznego człowiek, którego jubileusz 50-cioletniéj działalności w końcu roku zeszłego obchodziliśmy, — umarł 31-go lipca w Otwocku, pochowany w Karczewie.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**



WIELCY LUDZIE.

Wielkich idei, wielkich czynów, wielkich ludzi żądają u nas i gdzieindziéj, jako zbawców ludzkości. Ród ludzki tak podobno skarłowaciał, tak mu wysechł mózg, stępiały zmysły, zamarły uczucia i wola zwiędła, że opiekunowie tego staruszka jedyny jeszcze ratunek jego widzą w owém trojgu wielkości. Jest-to naraz zawiele, albowiem wystarczyliby sami wielcy ludzie, o których wielkości świat się dowiaduje tylko przez wielkie idee i wielkie czyny, jakich byli organami. A więc, żeby nie utonąć w wielkościach, ograniczmy się na samych wielkich ludziach, przyjrzyjmy się ich fizyonomii i znaczeniu w dziejach ludzkich.

Przedmiot-to, jak czytelnik widzi, nadzwyczaj interesujący, bo iluż-to śmiertelników ma się za wielkich, każdy oczywiście w swojéj parafii! Ten przymiotnik w i e l k i, dodany do nazwiska człowieka, musi miéć czarodziejski urok, gdyż wielu, jeżeli nie wszyscy radziby go przyczepić do swojego nazwiska. Nie jeden artysta, literat, uczony, wojownik, zresztą nawet gospodarz, patrząc na cześć okazywaną pewnym ludziom, na pomniki wznoszone im za życia, wzdychają pokryjomu do takich hołdów i pomników przynajmniéj po śmierci. Czemu zaś pokryjomu wzdychają do wielkości? Byłożby w tém pożądaniu coś nagannego? Nie; to tylko przez skromność. Ale gdy się swoi znajdą między swoimi, w swojéj parafii, konjugują przez wszystkie czasy, tryby, liczby i osoby: i ja wielki i tyś wielki, wszyscyśmy wielcy: tamci z przeciwka to same miernoty. Ma tedy wielkość niezmierny urok dla ludzi.

Cóżkolwiekbądź, ani spółcześni, ani potomni—a bardziéj pierwsi niż drudzy — nie są skorzy do przyznawania swoim bliźnim tytułu wielkości. Przeciwnie; spółcześni patrząc zbliska na wybit-

niejsze postaci i nie mogąc ocenić skutków, jakie w przyszłości dopiéro z idei i czynów dzielniejszych mężów wynikną — trochę wreszcie przez zazdrość, gotowi są do pytania: i cóż z Nazaretu mogło wyjść wielkiego? Ale upływa ćwierć lub pół wieku, wymiéra jedno i drugie pokolenie, zazdrości znikają i potomni zaliczają jednych do swojego panteonu, drugich strącają w otchłanie. Nieraz zdarza się i tak, że co dla jednego wieku uchodziło za wielkie, zmalało w oczach drugiego; co potępiali spółcześni, to podnieśli późniejsi. Wszakże Tyberyusz i Neron doczekali się rehabilitacyi, a Cycerona strącono do rzędu próżnych retorów. Jeżeli mnie pamięć nie myli, nawet nieboszczyk pan Hieronim Radziejowski wyszedł w naszych czasach na wielkiego patryotę. Słowem, zdawałoby się, że nie ma żadnego stałego kryteryum, którémby mierzono wielkości ludzkie. I tak jest w istocie. Zobaczymy zaraz jak to, co uczeni za kryteryum wielkości ludzkiéj podają, jest niepewne, jak kult bohaterów na słabych opiéra się podstawach.

Nie wiadomém jest piszącemu, czy który z autorów minionych wieków zajmował się tym przedmiotem, to jest poszukiwaniem kryteryum wielkości ludzkiéj; ludzi wielkich nie brakło, ale ani wiemy, kto pierwszy zaczął ich nazywać wielkimi, ani czém się kierował, gdy ich tym przydomkiem obdarzał. Dopiéro w naszym wieku zaczęto pytać się, jakie jest znaczenie wielkich ludzi w dziejach narodów i dlaczego właśnie wielkimi ich nazywają. Dobrze będzie przyjrzéć się pokrótce, jakie pojęcie tego przedmiotu mieli celniejsi pisarze.

Zacznijmy od Hegla, gdyż jego wyobrażenie o znaczeniu wielkich osobistości w historyi posłużyło innym do dalszego rozwijania tematu. Zdaniem jego, wielcy ludzie są tacy, których własny interes zbiegnie się z interesem ogółu, tak, iż ścigając cel osobisty, służą bezwiednie celowi ogólnemu, do którego popycha ich rozum absolutny, czyli duch świata. Za przykład autor bierze Juliusza Cezara: „Cezar walczył w interesie utrzymania swojego stanowiska, honoru i bezpieczeństwa, a zwycięstwo nad przeciwnikami oddało mu we władanie razem i całe państwo; zostawiwszy mu formę urządzeń dawniejszych, został on jedynowładcą. Osiągnięcie tego osobistego celu, t. j. jedynowładctwa w Rzymie, stanowiło równocześnie konieczne przeznaczenie Rzymu i historyi świata, tak, że był to nietylko jego zysk osobisty, ale razem instynkt (?), które tego dokonały, co leżało w czasie. Têm są wielcy ludzie w historyi; własne, szczegółowe ich cele zawierają w sobie treść tego, co jest wolą ducha świata. Ta treść stanowi prawdziwą ich potęgę i tkwi w ogólnym bezwied-

nym instynkcie ludzi, którzy są parci do tego wewnętrznie i nie mają potrzeby temu, kto się podjął osiągnięcia podobnego celu we własnym interesie, oporu stawić. Przeciwnie, narody gromadzą się pod jego chorągwią; on im wskazuje i wykonywa to, co stanowi cel ich najwewnętrzniejszy *(immanenter Zweck).*"

„Przyjrzawszy się bliżéj losowi tych historycznych indywiduów widzimy, iż mieli szczęście być wykonawcami celu, stanowiącego szczebel w rozwoju ducha ogólnego. Posługiwanie się Rozumu temi narzędziami moglibyśmy nazwać podstępem! albowiem dozwala im z całym impetem namiętności ścigać cele osobiste, a mimo tego sam (Rozum) nic na tém nie traci, lecz się uwidamia. Szczegół bywa po większéj części drobiazgiem w stosunku do Ogółu: jednostki bywają poświęcane. Dzieje zatém powszechne okazują się jako walka jednostek, a na tém polu szczegółów odbywa się wszystko naturalnie. Jak w świecie zwierzęcym utrzymanie życia stanowi cel jednostki, a pomimo tego przeważa rozum, Ogół (t. j. zachowanie gatunku), jednostki zaś giną; tak samo dzieje się i w świecie duchowym. Namiętności niszczą się wzajem; sam tylko rozum czuwa, do celu swojego zdąża i znać o sobie daje" *(Philosophie der Geschichte*, 1837, str. 32).

W téj definicyi wielkich ludzi i w dalszém jéj rozwinieniu dużo jest chwiejnego i nieokreślonego. Tak np. nie wiemy czém, albo kim jest ów duch świata, *Weltgeist*; o celach, jakie on ma, lub miéć może, a do których osiągnienia używa wielkich ludzi, także nic nie możemy powiedziéć. Pierwszy lepszy awanturnik mógłby się powoływać na misyą otrzymaną od ducha świata, od rozumu absolutnego, i żądać ofiar dla dopięcia swoich celów. Daléj, nietylko od wielkich, ale i od małych ludzi wymagamy, żeby celu i środków do niego prowadzących byli świadomi, a tu bezwiedny rozum posługuje się bezwiednemi narzędziami do osiągnięcia niewiadomego celu. Dużo tedy byłoby do zarzucenia téj definicyi wielkich ludzi podanéj przez wielkiego filozofa; ale jest w niéj jeden punkt, który, jak się zdaje, ugodził w istotę rzeczy, mianowicie, że wielkim człowiekiem jest ten, kto służy Ogółowi, który my, mniéj uczenie, nazwalibyśmy wprost Ludźmi. Czy jego cele osobiste zawsze będą w jedni z celami Ogółu, to inne pytanie; przeciwnie, zdaje nam się, że gdy osobiste cele takiego męża stoją na drugim planie, lub nawet gdy są w sprzeczności z interesami jego narodu, a on zdoła przemódz nad sobą i swoje ja poświęci szczęściu bliźnich; że dopiéro wtenczas ma prawo do czci spółczesnych i potomnych. Tém znów lepiéj dla niego, tém mniéj tragicznych spotka go zdarzeń, im ściśléj osobisty jego interes będzie przystawał do interesów

Ogółu. Jeżeli zaś wielcy ludzie nie powinni być—zdaniem Hegla—sądzeni według tych samych zasad sprawiedliwości, co i reszta śmiertelnych; jeżeli im wolno nie zważać na klęski spowodowane ich ambicyą a dotykające miliony jednostek: wolimy raczéj narazić się na zarzut powierzchowności, niż czcić takich bohaterów.

U nóg Hegla i przez pół roku w kozie berlińskiéj uczył się Cousin mądrości niemieckiéj o wielkich ludziach i wszechwładztwie państwa. Powtarza tedy o nich naukę mistrza i jak przystało na wzorowego eklektyka, uzupełnia ją zkądinąd czerpanemi propozycyami. R. Flint reasumuje odczyty jego pod tym względem w następujące zdania: Powstanie wielkiego człowieka nie jest przypadkowém; nie jest on istotą, którаby mogła być lub nie być, lecz przedstawicielem mniéj lub więcéj doskonałym, jakiego każdy wielki naród koniecznie wydać powinien. Wielki człowiek, jak wszystko, co jest rzetelnie piękném i wzniosłém, łączy w sobie ogólność i szczegółowość. Reprezentuje on ducha ogólnego swojego kraju i swojéj epoki; jest to niejako materyał, z którego on powstał, to stanowi jego łączność ze wszystkimi i pozwala mu wywierać wpływ i panować nad wszystkimi; ale ducha tego wyobraża pod formą skończoności i szczegółowości własną osobą czyli indywidualnością, tak dalece, że szczegółowość i ogólność, skończoność i nieskończoność, osobistość i nieosobistość stapiają się w nim wedle téj miary i harmonii, które stanowią prawdziwą wielkość ludzką. Wielcy ludzie streszczają w sobie tak doskonale narody, epoki, ludzkość, że historya powszechna jest tylko zszeregowaniem ich życiorysów. Wielki człowiek zjawia się, ażeby reprezentował pewną ideę póty, póki ta jest potężną, ani wcześniéj, ani późniéj; rodzi on się i umiera we właściwym czasie, świadom mniéj lub więcéj, że jest narzędziem siły niepohamowanéj losu. Znakiem jego wielkości jest świetne powodzenie, zkąd płynie dlań najprzód wielka potęga, a następnie wielka chwała, jakich nie dostępują nigdy ci, co na to nie zasłużyli. Wielki człowiek jest wielkim i razem człowiekiem; wielkim czyni go łączność z pojęciami i duchem swojéj epoki i to tylko właściwie należy do historyi, która musi pomijać wszystko, co jest czysto indywidualnego i czasowego, a zajmować się tém, co jest wielkiém i trwałém, co uczyniło pewnego człowieka osobą historyczną, zlewając nań potęgę i chwałę. Człowiekiem zaś czyni go jego indywidualność, która może być mizerną, wadliwą, prawie pogardy godną; tę wszakże należy zostawić biografii. Epoka nieskończoności, kiedy to absolut pochłaniał indywidualność i wolność, była nieodpowiednią dla rozwoju wielkich ludzi; epoka skończoności przeciwnie, była dla nich szczególniéj

pomyślną tak, iż można ją nazwać bohaterskim wiekiem rodu ludzkiego; nareszcie epoka łącząca nieskończoność ze skończonością wydała ich także wielu, ale osobistość ich była mniéj wyraźną i świetną. Nakoniec przemysł jest sferą życia najmniéj przychylną ukazaniu się wielkich ludzi, a zaś wojna i filozofia najprzychylniejszemi, ponieważ dwa sposoby głównie nadają się do służenia ludzkości, mianowicie posuwanie jéj o krok naprzód w kierunku prawdy przez nadanie ideom epoki najwyższego wyrazu i przez wyciśnienie tychże na świecie za pomocą miecza, zdobywając dla nich jaknajwiększe panowanie.

Krytyka podanéj teoryi o wielkich ludziach jest bardzo łatwą: użyto jéj przed nami tak przeciw Cousin'owi, jak i przeciw naśladowcom francuskiego naśladowcy. Flint dodaje od siebie: Nic nie wiemy o prawie, według którego wielcy ludzie mieliby k o n i e c z n i e w oznaczonym czasie i miejscu zjawiać się i znikać; również nie wiemy, dlaczego w jedném pokoleniu tacy wyjątkowi ludzie powstają, a w drugiém brak ich, pomimo wzdychania i wołania, wtenczas kiedyby się najbardziéj przydali (R. Flint, *La philosophie de l'Histoire en France*, 1878, str. 214—216).

W miarę bliższego rozważania przedmiotu, pojęcie jego specyalizuje się. Dotychczas mówiono o wielkich ludziach ogólnikowo i bardziéj przygodnie; Plutarch i Korn. Nepos traktowali biografie znakomitszych mężów greckich i rzymskich, jako cząstkę materyału historycznego z celem pragmatycznym; Hegel i Cousin także okolicznościowo przy wykładzie filozofii dziejów lub historyi filozofii dotykali zagadnienia: dopiéro Carlyle wystąpił z osobném dziełem „O Bohaterach.“ Ten już specyalizuje wielkość ludzką i sięga aż mitologicznego Odyna, potém roztrząsa znaczenie wielkiego p r o r o k a (Mahomet), następnie p o e t y (Dante, Szekspir), k a p ł a n a (Luter, Knox), l i t e r a t a (Johnson, Rousseau, Burns) i nareszcie k r ó l a, albo raczéj wojownika (Cromwell, Napoleon).

Zdaniem Carlyle'a, należy uważać za pewne, iż bohaterów zsyła nam niebo, że mamy zdolność i powinność czczenia ich, gdy są zesłani: prawda ta „błyszczy jak gwiazda polarna pośród chmur dymu i kurzawy i wszelkiego rodzaju spustoszeń“..... „Czcić ludzi, jeżeli ta cześć nie ma być czczym grymasem, którego lepiejby było zaniechać, to znaczy czcić bohaterów, uznawać, że w tym naszym bracie przemieszkuje coś boskiego“.... Daléj autor ubolewa nad tém, że wielu bohaterów występowało jako rewolucyoniści, niemniéj jednak „każdy wielki człowiek jest z natury swojéj synem porządku nie zaś bezładu. Jest-to położenie tragiczne dla prawdziwego człowieka, gdy musi służyć rewolucyi. Wygląda wówczas jako anarchi-

sta, a tymczasem anarchia przeszkadza mu na każdym kroku... Powołaniem jego jest zaprowadzać porządek. Zesłany jest na to, ażeby nieład i chaos przyprowadził do ładu i składu. Jest on apostołem porządku“ (Carlyle, *Les Heros: traduct. française;* 1888. str. 318—320 *passim*).

Ograniczamy się na tych kilku krótkich wyjątkach z dzieła rozczochranego idealisty i purytanina, który się zabłąkał w nasze czasy jakoby nieboszczyk z przed lat dwustu. Cześć, niemal religijna, dla bohaterów i to takich, którzy, jak mu się zdaje, byli przykrojeni na model purytański, mało kogo dzisiaj zachwyca. Redukowanie historyi narodów do biografii wielkich ludzi, uważanie ich za wzory, za twórców tego wszystkiego, co masa ludzi razem wzięta zdobyła, zdaje nam się być błędem, którego żaden głębszy znawca dziejów nie popełni. Po czém tych apostołów mamy poznać? Po tém, że przywracają porządek: *l'ordre régne à Pekin*, pisał jakiś ambasador do swojego rządu. Zapewne przywrócił go wielki mandaryn.

Posłuchajmy jeszcze, co wielki poeta mówi o wielkich ludziach lubo tylko o swojskich. „Ten przyszły wielki człowiek, spodziewany mesyasz skąd przyjdzie? po czém go poznać? nie ma na to zgody... jedni mu przydają gilotynę, inni drzewo genealogiczne, inni zwój protokułów. Niemcewicz ma nadzieję, że to będzie jakiś Pizystrat, Cromwell, Cezar lub Napoleon... Ale w historyi narodów nic się nie powtarza... tyle można z pewnością (?) powiedziéć, że przyszły wielki człowiek do żadnego z dawnych nie będzie podobny“ (Mickiewicz, „O przyszłym wielkim człowieku“, 1833). Rzeczywiście Towiański nie był podobny do żadnego z wielkich ludzi; poeta o tyle miał zdrowego podówczas jeszcze sądu, że tylko negatywnie określił wielkiego człowieka i to przyszłego: nie będzie ani taki, ani siaki.

Skończyliśmy z najłatwiejszą częścią roboty; przytaczać zdania cudze, tożto nie tak trudno. Ale jaki sens z tych przytoczeń? Oto najprzód widać jak trudno jest wynaleźć skalę do mierzenia wielkości ludzkiéj. Kto i po co ich na tę ziemię przysyła? Jeden powiada, że Rozum, Absolut; drugi, że Nieskończoność; trzeci jeszcze niewyraźniéj, że bywają zsyłani. A po co? i na co? Żeby się w nich i przez nich realizowała idea bezwzględna, albo żeby służyli za ogniwo nieskończoności ze skończonością, albo, żeby przywracali porządek przez warchołów i szalonych burzony. Wybiéraj czytelniku do woli; w tych mistycznych toniach może co ułowisz. Jedno tu jest jasne, mianowicie, że celem wielkich ludzi przywracanie porządku.

Powtóre, zdaje się, że wszystkim autorom, nie wyłączając Napoleona III, gdy pisał życie Cezara, przyświécał głównie typ wojownika jako model wielkich ludzi. I nietylko przytoczeni autorowie, ale po wszystkie czasy nadawali ludzie tytuł wielkiego głównie wojownikom. Nie jest to bez racyi. Szczęśliwy wojownik, zdobywca ziemi i ludzi nietylko ostrogami i pióropuszem podbija idealne serca; lecz przedewszystkiém realną korzyścią. Toż-to za chwałą wielkości i potęgi narodowéj idą ciepłe miejsca, zyskowne urzędy, monopole, synekury, wielkie targowiska na bydło ludzkie i towary. Taka wielkość wraża się w pamięć gruntowniéj i trwa dłużéj, niż wielkość piosenki na fujarce granéj! Tak było niegdyś, tak jest do dziś dnia. Żądano króla, któryby był jeżeli nie wielkim wojownikiem, to przynajmniéj wielkim bogaczem, ażeby zastawione księztwa wykupywał, podatków nie nakładał i swoim sumptem dla swoich wyborców nowe zdobywał korzyści. Pesymista powiedziałby może, iż rozbójnicze, łupiezcze instynkta przedpotowego dzikusa odzywają się dziś jeszcze w najcywilizowańszych narodach; nic więc dziwnego, że wielkość wojenna ma dotychczas najwięcéj czcicieli i to nietylko u poszukujących ciepłych posad, ale i u filozofów, którzy także zimnych nie lubią. Może to i najbliższe prawdy tłómaczenie; że jednak w wątpliwych kwestyach dozwolona jest wolność zdania; nie narzucamy nikomu swojego.

Lecz chociaż przytoczone powyżéj cytaty nie podają definicyi wielkich ludzi, któraby wytrzymała krytykę; jednak już samo rozspecyalizowanie pojęcia jest krokiem naprzód, gdyż pozwala na szczegółowe rozejrzenie się w rozmaitego rodzaju wielkościach ludzkich. Carlyle, który krok ten uczynił, zamało wszakże rozebrał wielkich ludzi, ażeby na tych okazach oprzéć jakiéś pewniejsze uogólnienie. Jakoż, w jego „Bohaterach“ nie widzimy sportretowanych wielkich prawodawców, administratorów państw, artystów. mówców, filozofów i. t. p. Wciągnienie do rozważania rozmaitego rodzaju wielkości pozwoliłoby może przez porównanie ich z sobą wynaleźć jakieś cechy wspólne; autora jednak pociągał głównie pierwiastek heroiczny i jego przeważne jakoby znaczenie w losach narodów: ztąd poszło przecenienie wartości temperamentu wojowniczego o purytańskiém obliczu. Otóż, dążności czasu obecnego, o ile się przejawiają w podnioślejszych umysłach, wcale nie sprzyjają kultowi wojny; masy nie myślące, lub mało myślące, są pod tym względem takiemi, jakiemi je zna historya: żądnemi łupu a więc i wojny. Gdy następują przesilenia ekonomiczne, masy w wojnie jedynie widzą sposób do wyjścia z trudności; wtóruje im w tych nadziejach prasa spekulująca na prenumeratorów. Zdawałoby się

z tego, że w istocie bohaterowie wojenni, wielcy strategicy, są jedynemi wielkościami godnemi czci i pomników. Zaledwie mała garstka autorów jest zdania, że cywilizacyą należy mierzyć zanikaniem typu wojennego, a czcią dla pracy pokojowéj i coraz wyższego uobyczajenia ludzi. Są-to, zdaniem praktycznych polityków, utopiści szkodzący co najwięcéj swoim utopiom; wojna będzie na wieki ludzkiém rzemiosłem, a wielcy wojownicy budowniczymi państw i twórcami historyi.

Bądź-co bądź, gdyby takim małym jak my ludziom wolno było w téj sprawie głos zabierać, stanęlibyśmy po stronie tych utopistów i powiedzielibyśmy, że wielcy ludzie są ci, którzy bliźnim swoim jaknajwięcéj zapewnili szczęścia zarówno w kierunku materyalnym jak i umysłowym i moralnym. Na takie określenie wielkości ludzkiéj mógłby ktoś odpowiedziéć, że jest-to także ogólnik nic nie mówiący, albowiem przez szczęście każdy co innego rozumié, że każdy mierzy je subiektywnym swoim stanem. Otóż zdaje mi się, że pomimo różnic w pojmowaniu szczęścia, są jednak pewne wspólne wszystkim ludziom momenta w jego pojęciu. Nikt np. dotychczas nie uważał za szczęście choroby, głodu i pragnienia, nadmiaru pracy itp. A na wyższym stopniu cywilizacyi nikt nie uważał za szczęście ciemnoty umysłowéj, skażenia obyczajów, niesławy itp. Wprawdzie właściciele czarnych i białych niewolników, tak dobrze amerykańscy jak i europejscy, mogli uważać, że ani wolność, ani oświata nie są potrzebne do szczęścia wyzyskiwanych narzędzi; dzisiaj nawet dają się słyszeć głosy, że ciemnota jest warunkiem szczęścia, że im człowiek mniéj zna, tém mniéj pożąda, a im mniéj pożąda, tém jest szczęśliwszy: jednak ci, co tak mówią, nie pragną téj szczęśliwości dla siebie tylko dla innych. Możemy zatem uznać za wielce prawdopodobne, iż w pojęciu szczęścia mieszczą się rozmaite dobra, a mianowicie: zdrowie, dostatek, oświata, uobyczajenie, umiarkowana praca, dobre imię i t. p. Szczęście takie nie jest-to *summum bonum*, najwyższe szczęście, jakiego poszukiwali mędrcy starożytni; ale jest-to szczęście ludzkie, względne, nie absolutne i gdzieś w metafizycznych okolicach wiszące, lecz dostępne dla ludzi. Ci zatém, którzy sumę takiego szczęścia powiększyli i uczynili je dostępném dla jaknajwiększéj liczby swoich bliźnich, mieliby najsłuszniejsze prawo do tytułu wielkości.

Zdaje nam się, że ten lub ci, którzy wynaleźli pług, wóz, a potém do nich parę zastosowali, którzy wynaleźli najpierwsze i najprostsze narzędzia mechaniczne, którzy rozpoznali budowę ciała ludzkiego i środki leczenia, owładnęli piorunem, wynaleźli alfabet, dźwiękiem pieśni lub słowa, mądrą ustawą, okiełznali siedzącą w człowieku bestyą—że ci się wielce przyczynili do szczęścia ludz-

kiego, i na miano wielkich istotnie zasłużyli. Nazwisk tych dobroczyńców po większéj części nie znamy, a dla wielu byłyby one, nawet znane, tak głuchemi, iż wobec Cyrusów, Alexandrów, Cezarów, Napoleonów, nie wartoby o nich wspominać.

Wiemy, iż takie pojmowanie szczęścia i wielkości ludzkiéj, jak je wyżéj określono, wyda się niejednemu episierskiém i kramarskiém; ale każdy wiek lub może szereg wieków, tworzą sobie odmienne pojęcia o szczęściu i wielkości. Nasz wiek zdaje się przechylać do téj kramarskiéj wielkości, albo mówiąc bez przenośni, do wielkości pracowitéj, spokojnéj nie spokojem cmentarnym, lecz pokojem obfitującym w twórcze dzieła wiedzy, talentu i obyczaju. Zanadto wiele kosztowała ludzi sława wojenna i ten pokój z 16-ma milionami zbrojnych, żeby się mieli upajać hukiem dział i spodziewanemi zdobyczami, które nigdy nie zrównoważą miliardowych podatków, nie mówiąc już nic o zdziczeniu obyczajów. Oczywiście, mówimy tylko o przechylaniu się ku idei pracowitego pokoju, o dążnościach wieku reprezentowanych przez szlachetniejsze i rozumniejsze umysły, nie zaś o masach ludzkich: dla tych bowiem *la gloire*, *pikelhauba* a potém dobrze płatne posady są jeszcze ideałami i na długo pozostaną.

Przypuszczając, że się czytelnik zgodzi na takie pojmowanie wielkości ludzkiéj, trzebaby jeszcze roztrząsnąć, czy inna cecha mająca znamionować wielkich ludzi, tj. sukces, powodzenie, wytrzymuje krytykę. Jest bowiem rzeczą pewną, iż wielkość duszy, moc charakteru spotykają się na wszystkich szczeblach drabiny społecznéj, chociaż im nie zawsze towarzyszy powodzenie. Otóż, co do tego, trzeba się zgodzić, iż rzeczywiście w ciszy i ukryciu rozgrywają się nieraz tragiczne sceny, w których niezłomna wola, praca wytrwała, rzetelny talent zdobywają się na czyny istotnie bohaterskie, godne pióra historyka lub malarskiego pędzla, i w panteonie wielkości ludzkich powinnyby się znajdować obok wielkości uwieńczonych powodzeniem. Że jednak sukces dzielniéj za sobą pociąga i w oczy uderza; nic dziwnego, iż tylko tych ludzi i te ich przedsięwzięcia nazywamy wielkiemi, którym towarzyszyło powodzenie. Jakoż, nie jest to moment godny lekceważenia. Rozumujemy bowiem tak: jeżeli się sprawa udała, musiał jéj sprawca jednostkowy lub zbiorowy dobrze wszystko obliczyć, musiał wybrać i czas i miejsce i narzędzia i wszelkie okoliczności odpowiednio do zamierzonego celu. W tém leży jego wyższość, a gdy sprawa wielka, to jego wielkość. Wielkie zamysły nieuwieńczone powodzeniem mogą się podobać Katonom, mogą stanowić temat dramatu czy tragedyi, ale tylko zwycięskie podobają się bogom. Za to trzeba przyznać słu-

szność tym, którzy sukcesem i powodzeniem nie chcą mierzyć spraw złych, a złemi są wszystkie, gdy szkodzą jednostkom lub społeczeństwu.

Gdybyśmy skalą pożytku i szczęścia mierzyli dawne wielkości historyczne, zapewne niejednę z nich należałoby usunąć z panteonu, zwłaszcza gdy czyny ich sprowadziły na ludzi najrozmaitsze i długotrwałe klęski; ale każdy wiek, jak powiedziano, urabia sobie według swoich wyobrażeń pojęcie wielkości: dlatego też naszą skalą nie można mierzyć owych bohaterów, którym się kłaniali starożytni lub średnich wieków ludzie. Pozostaną więc ci bohaterowie na kartach historyi z przydomkami wielkości; ale w pojęciu nadchodzących pokoleń wielkość ta będzie malała i blakła, a to tym bardziéj im prędzéj się oduczą wielbić dzieła zniszczenia i cnót niepłodnych.

Ale wielkości zarówno ludzkie jak i matematyczne nie są jednakowe; dopiero przez porównanie dochodzimy, która z nich większa. Wielkości matematyczne jako abstrakcyjne tylko ilością różnią się od siebie; wielkości ludzkie przeciwnie różnią się głównie jakością czyli treścią. Na treść tę składają się ich czyny i myśli o ile się czynami wyjawiły. Już zaś czyny i myśli ludzkie bywają najrozmaitsze; nazywamy je wielkiemi, gdy wiele dobrego i dla największéj liczby sprawiły. Wielki utwór artystyczny i wielki wynalazek, madonna Rafaela i zastosowanie pary, niejednakowéj są wartości pod względem pożytku i zapewnienia szczęścia ludziom, chociaż i obraz i zastosowanie pary mianujemy wielkiemi. Obie te wielkości należą do sfer odmiennych; jedna zadawalnia nasze poczucie piękna, druga sprawia ulgę w pracy człowieka. Suma szczęścia, jaką ludziom zapewnia piękny utwór artystyczny, jest niklejszą i mniejszéj liczbie dostępną, aniżeli suma dobra, jakie daje wynalazek zmniejszający cierpienia ludzkie. Więcéj realnego dobra przynosi ludziom wielki prawodawca, wielki uczony oswabadzający umysły ich z niewiadomości i przesądów, aniżeli wielki poeta bawiący ich pięknemi obrazami, lub aktor wstrząsający nerwami przez parę godzin. Słowem, wielkości ludzkie mogą być rozmaite w rozmaitych sferach myślenia i działania ludzkiego, zarówno wtenczas gdy zwiększają sumę szczęścia jak i wtedy gdy zmniejszają sumę cierpień ludzkich.

Czém się jednakże dzieje, że ludzie oceniający wielkość swoich bliźnich widzą i podnoszą szczególniéj pewien rodzaj wielkości? Czemu np. po wszystkie czasy aż do dziśdnia wielkość wojenna głównie znajdowała czcicieli? Dlaczego wielkość artystyczna, np. znakomity aktor więcéj ludzi interesuje, aniżeli wielki filantrop,

uczony, wynalazca? Zdaje się, iż dlatego, że jeszcze nie wyszli z okresu, w którym z jednéj strony łupieztwo, a z drugiéj zabawa stanowią treść życia. Do ocenienia wielkości innego rodzaju potrzeba innéj kultury umysłowéj i innéj organizacyi społecznéj. Oprócz tego, na sąd nasz o wielkości ludzkiéj wpływają czysto subiektywne gusta, upodobania, skłonności i znajomość przedmiotu. Tylko ten, kto wié, jakie trudności miał do pokonania działacz, może ocenić wielkość jego pracy, talentu lub geniuszu. Ztąd to tak rozmaite sądy o wielkich ludziach, że ich mierzymy skalą subiektywną, według własnego upodobania, gustu, namiętności, a to nietylko wtenczas gdy porównywamy wielkości różnych rodzajów, lecz nawet tego samego rodzaju. Kto był większy, Sofokles czy Szekspir, Arystofanes czy Molier, Goethe czy Mickiewicz, Kopernik czy Newton? Obszerne pole do najrozmaitszych opinii. Cóż dopiéro powiedziéć, gdy do sądów takich wmiesza się pierwiastek szowinistyczny, dający przewagę swojskim wielkościom dlatego, że swojskie!

Nareszcie, w sprawie, która nas zajmuje, mamy jeszcze jeden punkt do rozważenia, mianowicie zkąd, gdzie i kiedy zjawiają się wielcy ludzie. Wnosząc ze zdania przytoczonych na początku autorów, zdawałoby się, że wielcy ludzie spadają z nieba raz z konieczności, drugi raz najzupełniéj przypadkowo, albo że ich wysyłają według upodobania: duch świata, rozum absolutny, nieskończoność, czas i inne tym podobne iksy. „Bohater — powiada Carlyle — jest posłem przybywającym z głębi mistycznéj nieskończoności z nowinami do nas. Przychodzi on z wewnętrznéj substancyi rzeczy... z serca świata, z pierwotnéj rzeczywistości, a to, co ogłasza, jest pewnego rodzaju objawieniem.“

Prawdą jest, że wielcy ludzie nie zjawiają się na zawołanie, że ich brak wtenczas, gdy narody najbardziéj ich potrzebują; ale nie można utrzymywać, że ich rodzi przypadek. Odkąd przypadkowość wyrugowaną została z rozmaitych dziedzin myślenia, może ona tłómaczyć tylko naszę niewiadomość, ale nie istotny przebieg rzeczy i spraw ludzkich. Więc na pytanie z k ą d przychodzą wielcy ludzie? odpowiedź krótka: zkąd i mali; w początku ich nie masz nic mistycznego. Gdzie się zjawiają? Że na ziemi o tém nikt nie wątpi; ale w tém pytaniu leży coś więcéj, mianowicie, wśród jakich ludzi? Schweinfurth opowiada, że w afrykańskiém plemieniu Niam-Niam jest zwyczaj zjadania noworodków pochodzących od niewolnic i że są to dla czarnych nielada łakocie. Kogo tam ludzie uważają za wielkiego? Prawdopodobnie tego, kto jak sułtan Darfuru może sobie pozwolić na takie przysmaki co święto. Alboż i u nas

nie ten jest wielkim panem, który nic nie robi a smacznie jada? Innemi słowy, wielcy ludzie mogą być wszędzie, tylko wielkość ich inaczéj mierzą w Darfurze, a inaczéj we Francyi, inaczéj u Greków z czasu wojny Trojańskiéj, a inaczéj u Niemców z epoki Bismarcka.

Najważniejszy wszakże punkt leży w pytaniu, k i e d y się zjawiają wielcy ludzie? Wtedy, gdy grunt dla nich jest przygotowany, a gruntem jest otoczenie ich własne, społeczeństwo, wśród którego mają działać, materyalny i moralny stan tego otoczenia, nareszcie ogóly stan cywilizacyi pewnéj epoki. Tylko w takich warunkach zjawić się m o g ą, ale nie m u s z ą. Czyżby zatém wielcy ludzie byli jedynie rezultatem swojego otoczenia, to jest tych wszystkich warunków, jakie ich poprzedziły i otaczają? A osobista ich wartość — bystry rozum, żelazna wola, dar kombinacyi, stanowczość działania—słowem to, co we wszystkich, a szczególniéj w wielkich cenimy — nie miałożby znaczenia? I owszem, to, co człowiek sam wart i co warto jego otoczenie, składa się na jego wielkość. Otóż zdaje mi się, że w pasowaniu na wielkich ludzi, ci co im taki tytuł przyznali, więcéj podnosili tę subiektywną ich wartość, niż wpływ otoczenia. Zdawało im się, że wielki człowiek w nicości się urodził, że ani przed nim, ani z nim nie było spółpracowników, że wszystko, co się stało, wynikło z jego inicyatywy i jemu powinno być przypisane, tak samo jak przegrane i wygrane bitwy idą na sławę lub niesławę naczelnego wodza. Jest-to optyczne złudzenie umysłu, gdy doraźnie sądzi i to, na co się składały wieki i pokolenia, przypisuje wielkiemu człowiekowi, którego raczéj możeby należało szczęśliwym nazywać. Siały pokolenia, pracowały szeregi więcéj lub mniéj uzdolnionych robotników, a on zebrał. Ani Homer lub Dante nie byliby wielkimi poetami, gdyby się porodzili wśród teraźniejszych Hottentotów, ani Newton wielkim matematykiem a Darwin wielkim naturalistą, gdyby im gruntu nie przygotowały szeregi uczonych, co znosili cegły na wspaniały przybytek wiedzy. Byłżeby Napoleon I wielkim wojownikiem, gdyby mu pola nie przygotował naród francuski, albo Bismarck wielkim mężem stanu, gdyby go nie poprzedził cały szereg niepospolitych ludzi i najrozmaitszych zdarzeń natury ekonomicznéj, umysłowéj i moralnéj, które wytworzyły mu otoczenie zarówno w rzeczach jak i ludziach rozumiejących dążenia jego? Wielki tak samo jak i zwykły człowiek musi miéć grunt pod nogami, musi się oprzéć na ludziach nie słomianych lecz dorównywających mu talentami, poświęceniem, a nadewszystko umiłowaniem celu, do którego on dąży. Najdzielniejsi łamią się i tragicznie kończą, gdy nie znajdą echa w swojém otoczeniu. Niepowodzenie przedsięwziętego dzieła świad-

czy, że się pomylili w rachunku, że nie przewidzieli wszystkich czynników, mogących krzyżować ich plany; żałujemy ich wówczas zarówno jak i otoczenia, które ich nie rozumiało, ale wielkimi nie nazywamy, albowiem w sferze czynu, sukces, powodzenie konieczne są do pozyskania tytułu wielkości.

Tak więc zdaje się, że wielkość ludzka jest ilością zmienną, w każdym okresie czasu lub szeregu wieków inną, odpowiednio do umysłowego i moralnego stopnia rozwoju społeczeństwa. Wielkości ludzkie nie jednakową mają wartość i tém są większe, im więcéj dobra jaknajwiększéj liczbie ludzi dziełami swojemi zapewniły. Nie spadają one z deszczem, ani też są posyłane z nowinami do znudzonych mieszkańców ziemi; nie rodzą się na pustkowiu i jałowym gruncie, ztąd samym sobie wyłącznie dokonanych czynów przypisywać nie mogą. Wierzchołki górzystego krajobrazu dostrzega zbliżający się podróżny zaraz z początku drogi; dopiéro gdy się w głąb puści, przekonywa się, iż owe szczyty strzelają ze zbitych mas skalistych. Coś podobnego dzieje się w podróży przez dzieje ludzkie; z początku uderzają nas niebotyczne postaci bohaterów wojennych, późniéj dopiéro uczymy się cenić wielkich prawodawców, poetów, artystów, uczonych, a na ostatku badań przekonywamy się, iż te wielkości wystrzeliły zpośród zbitych mas ludu drobnego, uznojonego, o którym ani rapsodyści, ani minezyngery nie śpiéwają.

K.





POGLĄDY POLITYCZNE ENCYKLOPEDYSTÓW.

I.

Ruch opozycyjny we Francyi XVIII wieku rozpoczęty został w dziedzinie nauk przyrodzonych i filozofii, gdzie Newton i Locke wyparli Dekarta i Pascal'a. Dopiero w połowie tego stulecia ruch taki zwrócił się ku zjawiskom życia praktycznego i objął kwestye ekonomiczne i polityczne. Rzeczą godną uwagi jest ubóstwo francuskiéj literatury politycznéj w przeciągu dwóch wieków poprzednich: od czasów Bodin'a napotykamy tu jedynie Bossueta—teologa, Fénelona—moralistę, księdza de Saint-Pierre—marzyciela (1). Zaś jednocześnie w Anglii oraz sąsiedniéj Holandyi i Niemczech ukazują się traktaty polityczne pierwszorzędnéj doniosłości, stanowiące niespożyty materyał dla rozmyślań. Nareszcie pod tym wpływem i we Francyi budzi się życie. Występuje r. 1748 Monteskiusz z „Duchem praw" i odtąd w drugiéj połowie XVIII w. polityka staje się przedmiotem badań umysłów najwybitniejszych, t. zw. filozofów, czyli encyklopedystów. Tak żywa zawrzała praca umysłowa, że w krótkim przeciągu czterech dziesięcioleci nietylko cudze zdobycze teoretyczne zostały w zupełności przyswojone, lecz nawet doprowadzone samoistnie do ostatecznych logicznych wyników i w téj formie zaszczepione narodowi, odwykłemu od wszelkiego rozumowania politycznego. Doniosłość doktryny przedrewolucyjnéj, dawniéj częstokroć przeceniana, obecnie naodwrót, a niemniéj niesłusznie, bywa lekceważona (2). Prawdy, jak zazwyczaj, szukać wypada

(1) Vauban i Boisguilbert, zajęci kwestyami ekonomicznemi, czysto praktycznemi, nie wchodzą tu w rachubę.

(2) Dawna przesada jaskrawo uwydatniła się w historyi Blanc'a. Krańcowość przeciwna u Aubertin'a *L'ésprit public au XVIII s.* 1878. Podobnież Rocquain *L'ésprit révolutionnaire avant la révolution* 1878, gdzie dowodzi, że rewolucya winna była wybuchnąć jeszcze 1753 r., i zgodnie z tém odmawia wszelkiego wpływu na wypadki „filozofom".

pośrodku. Doktryna owa w szeregu zjawisk koniecznych, jakie uwarunkowały wielki przewrót, osobne zajmuje miejsce, będąc zresztą ściśle z niemi spleciona i od nich zależna; główném a niezmiernie ważném jéj zadaniem było urobienie formy dla nagromadzonéj przez tamte treści. Od czasów Frondy we Francyi zamarła myśl polityczna, i posłów do przyszłych zgromadzeń ustawodawczych trzeba było odrazu, w ciągu jednéj generacyi wyhodować, wobec braku wszelkiéj tradycyi politycznéj. Zasadniczy moment wielkiéj téj roboty jasno sobie uzmysłowić, będzie zadaniem pewnie pociągającém i pożyteczném, które obok historycznego nie jest téż poniekąd pozbawione pewnego interesu i dla obecnéj doby. Ktokolwiek pośród gwaru spółczesnych spraw międzynarodowych i ekonomicznych przysłuchuje się baczniéj hasłom czysto politycznym, jakich nieprzestaje wyrzucać Francya spółczesna, rozpozna w nich bez trudu wyraźniejsze coraz echa zapomnianych napozór rozumowań zeszłowiecznych.

Przedewszystkiém wytłómaczyć nam należy użytą powyżéj nazwę „encyklopedystów“, nie jasno zwykle i różnorodnie pojmowaną. „Encyklopedya“ stanowi nader wydatne i charakterystyczne dla zeszłego wieku zjawisko. Lecz z powodów zewnętrznych jest ona w swych częściach składowych wielce różnorodną pod względem wartości, często nawet charakteru. Stąd fakt samego udziału w „Encyklopedyi“ ma tu znaczenie drugorzędne; natomiast szczególnie ważnym jest ogólny jéj jednoczący w p ł y w i k i e r u n e k. Z tego powodu wyłączyć tutaj należy Woltera i Monteskiusza, aczkolwiek obadwaj zaliczają się do współpracowników „Encyklopedyi“. Wolter nigdy poważnie nie zajmował się kwestyami politycznemi i całkowicie należy do pierwszéj, wyżéj zaznaczonéj doby wielkiego ruchu nowatorskiego,—drugi, z natury arystokrata, pozostał, wraz ze swym liberalizmem torysowskim, nietknięty przez gorączkę polityczną epoki. Wykluczenie takie dwóch znakomitych pisarzów, sprzeczne z rozpowszechnionym na nich poglądem, okazuje się jednak właściwém. Wolter w zupełności pozbawiony jest zmysłu politycznego: z Anglii przywiózł deizm tylko, nie konstytucyę; względem zaś francuskich stosunków politycznych (1) zachowywał się albo jako dworak (*Hist. de Louis XIV*), albo jako deista. (*Hist. de Louis XV*). Zachwyca go zamach stanu Maupeou (1771) (2); jak się okazało, stanął tu w sprzeczności z opinią publiczną, która,

---

(1) *Sensu stricto*; pomijając ogólną tendencyę i działalność humanitarną.

(2) Upadek Choiseul'a bardzo był na rękę przyjaciółce Woltera, Katarzynie II, w sprawach polskich. Okoliczność ta nie pozostała bez wpływu na sympatye Woltera dla Maupeou.

pomimo wszelkich wad parlamentów, dobrze pojmowała polityczną doniosłość zniesienia téj ostatniéj tamy. Jakkolwiek żył jeszcze do r. 1778, wolał jednak Wolter w charakterze szczęśliwego „*maître d'hôtel*“ Europy prowadzić daléj w Ferney ucieszną walkę z kościołem, niż wdać się w niezupełnie bezpieczną z państwem. Co się tyczy Monteskiusza, to wyłączenie jego niemniéj jest koniecznėm, acz z powodów innego rodzaju. Monteskiusz jest historykiem, nie zaś politykiem. „Monteskiusz nie stworzył teoryi, wskazującéj drogi prawodawcy, nie dał systematu przyszłéj reformy, lecz jedynie studyum porównawcze przeszłości; wytłómaczył on prawa jako fakty“. Najtrafniejsze to ze wszystkiego, co o nim pisano (1). Główna jego myśl (i zasługa) o potędze wpływu przyrody na człowieka—jest historyczno-przyrodniczą i wprost przeciwną racyonalistycznemu kierunkowi epoki, dążącéj ku niwelacyi bezwzględnéj. Powierzchowne i ostrożne poglądy polityczne Monteskiusza nie przenikają do mas i nigdzie nie znajdują sympatyi—oprócz dworów europejskich, u miłośników wykwintnego stylu i subtelnych epigramatów. Wpływ jego na rewolucyę jest prawie żaden; pogardliwie odpycha ona Anglię i wyniesioną stamtąd teoryę podziału władz. Monteskiuszowi nie należy się nawet zasługa zapoznania Konstytuanty z Anglią: tak np. znajomość gruntowna urządzeń angielskich, jaka się daje dostrzedz u Mirabeau i kilku jego przyjaciół, opierała się na dziełach Blackstone'a i Delolme'a, oraz wskazówkach Dumonta, od Benthama i innych bezpośrednio czerpanych (2).

Również wypada tu wyłączyć i wogóle ściśle od „encyklopedystów“ odróżniać inną, miejscową czysto i od wpływu obcego wolną grupę „ekonomistów“. Szkoła ta powołana została do życia

(1) Villemain. *Tableau de la littér. au XVIII s.* I. 377. Pomijając głosy analogiczne w olbrzymiéj literaturze o Monteskiuszu, zwracam tu uwagę na uczone—zbyt może surowe—artykuły J. Schvarcz'a *Montesquieu's Erziehung zum Verfassungspolitiker* w Zeitschr. für die gesammte Staatswiss. XL (1884) 681 i nast.; XLII (1886) 297 i nast.

(2) Błędnie bywa przypisywaną Monteskiuszowi konstytucya 1791 r. a dopiero republikańska (1793 r.)—Rousseau'wi. Mylne to mniemanie opierają zazwyczaj na § 16 pierwszéj „Deklaracyi praw“, zastrzegającym podział władz; tymczasem w rzeczywistości całkowita władza odrazu zjednoczoną została w rękach ludu (jak ostatnio dobitnie wykazał Taine). Wogóle, jeśli gdziekolwiek wypada szukać przeważnego wpływu politycznego Monteskiusza, to nie w ojczyźnie jego, lecz w Stanach Zjedn. Amer. Pół. O stosunku Monteskiusza względem konstytucyi 1791 r. por. słuszne uwagi Janet'a *Hist. de la scien. polit.* II. 609 i nast. Już w Konstytuancie na Mont. powołują się jedynie ksiądz Maury, Cayla itp. przedstawiciele skrajnéj prawicy. Lewica powołuje się nań w jedynym wypadku, kiedy pragnie pozbawić króla wpływu na mianowanie sędziów, i naówczas na swój sposób tłómaczy „Ducha praw“ (5—7 maja 1790 r.). Kiedy Roussowi przyznane zostają najwyższe honory pośmiertne, odzywa się protest przeciw posągowi dla Woltera i Monteskiusza (8 maja 1791 r. Lanjuinais).

przez opłakany stan ekonomiczny Francyi, całkiem z sił opadłéj po czasach Ludwików i Regencyi, i poszukiwała jedynie środków poprawy materyalnéj. „Ekonomiści“, według trafnych słów Tocqueville'a, pragnęli „reform“, nie zaś „swobód“. Całkowicie zmysłu politycznego pozbawieni, upatrywali oni w państwie jedynie machinę ogromną, a bezwłasnowolną, przez mechanika wszechwładnego rządzoną; pozostawała tylko troska o największą produkcyę i zyskowny odbyt. Nie ma potrzeby rozmyślać o ustroju państwowym: oparty on jest na przyrodzonéj *„évidence.“* „Widoczna“, że monarcha jest współwłaścicielem *(copropriétaire)* całego państwa, gdyż w ten sposób najsilniéj jest w jego dobrobycie interesowany; niemniéj stąd „widoczna“, że władza jego jest dziedziczną, gdyż byłby on inaczéj tylko użytkownikiem dożywotnim. Z tegoż rodzaju „ewidencyi“ wypływa absolutny charakter władzy monarszéj, jéj nieomylność, cały jedném słowem systemat „despotyzmu legalnego.“ Stosunek szkoły téj do „encyklopedystów“ nader jest zawikłany, wskutek czego zazwyczaj błędnie lub niejasno bywa rozumiany. Sam Quesnay umieszcza prace swe w „Encyklopedyi“; Rousseau wychwala Mirabeau-ojca; Morellet, encyklopedysta i przyjaciel Diderota broni „ekonomistów“ przeciw napaściom Galianiego, a Diderot, który poprawiał i wydał dzieło tego ostatniego, najsurowszą krytykę szkoły „ekonomistów“, jednocześnie gorąco poleca jako prawodawcę (Katarzynie II) Mercier de Larivière'a, najbardziéj krańcowego pośród nich doktrynera. Takie i inne liczne sprzeczności łatwo się wszakże tłómaczą dwojakim charakterem stosunków wzajemnych: z jednéj strony naukowe i społeczne zasługi „ekonomistów“, jako nieprzyjaciół merkantylizmu, oraz humanitarne ich dążenia zyskują szczery poklask „encyklopedystów“; z drugiéj—polityczna ich niedojrzałość i wroga dominującéj żądzy przewrotów teorya *„laisser faire“* wywołuje oburzenie.

Jeśli wykluczyć jeszcze spokojnego Turgota, zajmującego stanowisko osobne, Mablego (i Morellego), rozpoczynających na uboczu nowy całkiem kierunek, i wreszcie umysły drugorzędnéj siły i wpływu — wtedy postawione zadanie sprowadzi się do analizy poglądów politycznych następujących pisarzów: Roussa, Helwecyusza, Diderota, Holbacha i Condorceta. Ciasne, a głębokie pomysły pierwszego, przekonywające i popularne drugiego, trzeciego wszechstronność i zapał, czwartego systematyczność, wreszcie przejście ku zastosowaniom praktycznym w osobie ostatniego, utworzą razem obraz dostatecznie pełny.

Polityczne ich systematy zbudowane są na dwóch czynnikach spółdziałających: 1-o nienawiści ku istniejącemu porządkowi rze-

czy i 2-o dedukcyi z jakiejkolwiek zasady ogólnéj, przez zastosowanie do kwestyi społecznych klasycznéj metody matematycznéj. Metoda ta, przez „ekonomistów“ gorąco zalecana, dużo zyskała powagi dzięki niedawnym cudownym rezultatom, jakie przyniosło zastosowanie jéj w naukach fizycznych. Tradycya aprioryczna Dekarta również nie pozostała bez wpływu (1). Pisuje tedy Diderot rozprawy o geometryi i mechanice, Helwecyusz studyuje matematykę pod kierunkiem Maupertuis'a, Holbach specyalnie zajmuje się chemią i główne swe dzieło wydaje wspólnie z Lagrangem, nawet niewykształcony Rousseau pisze o sferoidalności kuli ziemskiéj. Stąd téż na ludzi zapatrują się jak na atomy, na naukę o państwie jak na część mechaniki. Jeśli zwracają się ku historyi, to jedynie w sensie ilustracyi anegdotycznéj i z lekceważeniem traktują prace Monteskiusza i Mablego o starożytnéj historyi Francyi. Wszyscy oni dążą do wspólnego celu: obalenia istniejącego nieznośnego stanu rzeczy, i każdy sili się dopiąć tego za pomocą swojéj *idée fixe*, którą dla Roussa stanowi wolność przyrodzona, dla Helwecyusza—„interes“, dla Holbacha—materyalizm. Diderot i Condorcet, umysły eklektyczne raczéj, niż twórcze, w mniejszym stopniu kierunkowi takiemu podlegają.

Obok tych czynników głównych stają inne, drugorzędne już i pochodne. Odnieść tu należy idealizowanie Grecyi i Rzymu, *sui generis* pseudoklasycyzm polityczny (2). Tutaj również odnieść wypada idealizowanie zjawisk spółczesnych, lecz dalekich, powstałe pod wpływem panującéj manii podróżniczéj. Ta ostatnia okoliczność rzadko bywa braną pod uwagę, jest ona atoli wysoce charakterystyczną. Opowieści o szczęściu Persów, Indusów, Chińczyków, im były fantastyczniejsze, tém działały silniéj; a że wszyscy ludzie, wierzono, są jednacy, można więc w Atenach lub na Oceanie Spokojnym znaleść ideał dla Paryża. Analogiczne (tylko odwrotne) rozumowanie kazało nieco późniéj Konstytuancie przyjmować z naiwnym zachwytem odezwy „ambasadorów rodu ludzkiego“ (3).

---

(1) Por. przenikliwe uwagi Espinasa *Soc. anim. Intr.* i Janet'a l. c. 575; do czego można by dodać jeszcze, że od zwierzęcia-maszyny Dekarta, niedaleko do człowieka-maszyny Lamettriego i Holbacha.

(2) Znaczenie tego czynnika nieco przesadzone u Taine'a (*L'anc. rég.* liv. III); por. zresztą niżéj, u Holbach'a.

(3) 19 czerwca 1790 r. Jak się w następstwie okazało, byli oni wszyscy miejscowéj paryskiéj fabrykacyi; lecz takiemi téż były wcześniéj paragwajskie i t. p. idylle, jakie w zachwyt wprawiały pedagogów Konstytuanty. Na tę łatwowierność uskarża się już trzeźwy Voltaire *Comm. sur l'Espr. d. loix.* 377.

Ze wszystkich tych czynników razem wziętych wyradza się cecha zasadnicza myśli politycznéj „encyklopedystów“: ogólność i abstrakcyjność zagadnień politycznych, jakie sobie stawiają, jak również rozwiązań, jakie znajdują. Nie zaglądają oni nigdy do wnętrza ustroju państwowego i jego czynności, nie dotykają zjawisk konkretnych, nie wchodzą w „drobnostki“—jak lekceważąco wyrażają się sami,—lecz poprzestają na ustanowieniu zasad najogólniejszych. Nawet gdy bezpośrednio z życiem mają do czynienia (Polska, Korsyka), metoda taka nieznacznym tylko ulega modyfikacyom; zresztą podejmowanie się już same niemożliwego zadania dostatecznie świadczy o poglądzie na nie. W następstwie kierunek taki przeszedł do Zgromadzeń Prawodawczych i ustalił się zwyczaj dekretowania przedewszystkiém zasad, bez uwagi na resztę. Stąd powaga niezmierna i wpływ komisyi przy Zgr. prawodawczych we Francyi, stąd zwykła w tych ostatnich czczość i powierzchowność rozpraw—zjawiska, które po dziś-dzień nie znikły i paraliżują rozwój właściwéj działalności parlamentarnéj. Z drugiéj wszakże strony tenże rys pozwolił „encyklopedystom“ pogłębiać często swe rozmyślania, gdyż naprowadzał ich bezustannie na kwestye socyologiczne i filozoficzne, oraz na ścisły tychże związek z politycznemi.

II.

Ze względu zarówno na chronologię (1), jak potęgę wpływu (2), wypada rozpocząć od Roussa. Pierwsze jego ważne i odnoszące się tutaj pisma są to dwie jego rozprawy na tematy konkursowe Akademii w Dijon. Stanowią one jedną całość, nie powiązaną w zasadzie z dalszym rozwojem jego myśli politycznéj. Zasadnicza obydwóch teza jest anti-społeczna. W pierwszéj rozprawie (3) powstaje Rousseau przeciw pewnym głównie przejawom życia społecznego (nauce i sztuce), w drugiéj (4) powstaje już przeciw życiu społeczne-

(1) Pierwszy „Discours“ ukazał się 1750 r.; „Encyklopedya“ r. 1751 rozpoczęta, ukończona (tekst) 1766 r.; dzieła Helwecyusza wyszły w 1758 i 1772 r.; Holbach'a pomiędzy 1767 a 1777; Condorcet'a (polit.) od 1781 r.

(2) Mało znane są ciekawe szczegóły apoteozy rewolucyjnéj Roussa. 21 grudnia 1790 r., na skutek petycyi Eymard'a i Barrere'a, Konstytuanta dekretuje posąg „pour le législateur de l'univers“ i pensyę dla wdowy Levasseur. Zajmujące są rozprawy z powodu szczątków Roussa (27 sierpnia, 4 i 21 września 1791): „il faut rétablir cette priorité (względem Woltera i innych) qui appartient si éminemment à Jean Jacques“ (Ch. Lameth). 11 paźdz. 1794 r. zostają przyznane Roussowi honory Panteonu. W kartach podczas rewolucyi zamiast figur królów umieszczano wizerunki Solona, Catona, Brutusa i Roussa.

(3) *Discours sur les sciences et les arts.* 1750 (Oeuvr. ed. Dupeyron 1782. T. VII).

(4) *Discours sur... l'inégalité* 1754 (T. I).

mu w ogólności, uderzając kolejno na wszystkie jego przejawy, od najpierwotniejszych aż do spółczesnych. Człowiek z przyrodzenia jest istotą samotną, dla któréj żadne stosunki z podobnemi sobie nie są potrzebne. Człowiek pierwotny samotnie błąka się po ziemi, od niéj bezpośrednio otrzymując pokarm i legowisko; podczas czynności płciowéj jedynie styka się chwilowo z napotkaną przypadkiem kobietą, którą, zadowolniwszy instynkt, opuszcza natychmiast. W ten sposób rodzina już stanowi zjawisko przeciwne naturze, a więc témbardziéj związki więcéj złożone, plemiona, narody, państwa. Pochodzenie języków przedstawia zagadkę niezrozumiałą, gdyż są one wszystkie w zasadzie sprzeczne z przeznaczeniem przyrodzoném człowieka. Mowy już nie ma o „sztukach pięknych i naukach“; „człowiek myślący jest zwierzęciem zepsutem“ (1). Niestety przyroda pozbawiła człowieka stałości gatunków zwierzęcych i obdarzyła zmiennością, czyli t. zw. zdolnością rozwoju, *perfectibilité*, która w istocie jest tylko „zdolnością zwyrodnienia.“ Przejawem pierwszym zwyrodnienia było ustanowienie własności, najwystępniejszy pomysł ludzki, gdyż z jednéj strony stał się źródłem nierówności, z drugiéj zaś wywołał rolnictwo, a więc i związki społeczne. Wszelako w pierwotnych takich związkach ludzie po dawnemu powodowali się instynktem samozachowawczym; kiedy wszakże potężna ta dźwignia, w czystym stanie przyrodzonym, przy jednakim wszystkich udziale w bogactwach przyrodzonych, działała w równym stopniu na korzyść wszystkich, — obecnie stawała się czynnikiem wielce niewygodnym dla nowo-powstałych bogaczy—uzurpatorów. By zapewnić sobie zatém wyłączne użytkowanie swéj „własności“, „wynaleźli“ oni państwo, wyłudziwszy zgodę łatwowiernych współbraci biedaków przez kłamliwe obietnice przyszłych dobrodziejstw „wynalazku.“

W wywodach powyższych Roussa zastanawia przedewszystkiém śmiały, dziś niepojęty już prawie sposób, w jaki spekulacyę do badań historycznych stosuje, przy zupełnym braku faktów. Stanowi to przyczynek do zaznaczonéj „niehistoryczności“ wieku. Daléj, po za metodą samą, zastanawiającą, jest zarazem paradoksalność tezy, jéj sprzeczność z ogólnie przyjętemi poglądami. Teza ta w rzeczy saméj jest niczém inném, jak opozycyą krańcową przeciw „zmysłowi społecznemu“ Arystotelesa; jego „zwierzęciu społecznemu“ Rousseau przeciwstawia samotne. „Rozprawy“ wywołały też moc nieskończoną krytyk, pośród których na zaznaczenie

(1) „L'état de refléxion est un état contre nature et l'homme, qui médite, est un animal depravé“ Ib. 53.

zasługuje nie nowa lecz słuszna uwaga Buffona, że własności fizyczne człowieka, długie jego i niebezpieczne dzieciństwo np., same już każą przypuszczać życie wspólne, przynajmniéj w rodzinie. Godzi się téż wyróżnić obszerną a rozumną replikę Stanisława Leszczyńskiego, który naówczas w Nancy pędził spokojne życie filozofa, wypoczywając po burzliwych przejściach krótkiego panowania (1). Na zarzuty jego odpowiedział Rousseau w bardziéj zręczny niż przekonywający sposób, czém zaskarbił sobie trwałą przyjaźń króla. Poważniejszego, naukowego oporu nie napotkał nigdzie.

Jak powstanie „Rozpraw", tak i ich kierunek ma źródło czysto zewnętrzne i przypadkowe. Konkursowe te prace nie są owocem ciągłéj, konsekwentnéj myśli Roussa, lecz powstały pod chwilowym wpływem przyjaciela. W kwestyi téj wiele się spierano: Rousseau w części tylko przyznawał wpływ Diderot'a na pierwszy głośny swój utwór literacki, Diderot wyrażał się w téj mierze niejasno. Dzisiaj, wobec wydanych niedawno (1876 r.) niektórych rękopisów Diderot'a, nie ma już pod tym względem wątpliwości (2). Nie należy sądzić, jakoby kwestya oryginalności miała tu tylko znaczenie literackiéj ciekawostki. Pierwsze pisma Roussa zostały uznane wyżéj, jako odcięte zupełnie od następnych jego teoryi politycznych. Zaś literatura krytyczna pragnąc ująć w jedną całość wszystkie pomysły Roussa, zmuszona była uciekać się do spaczenia istotnego ducha różnych jego pism (3). Tymczasem naturalne wytłómaczenie pierwszego przeskoku umożebnia właściwą dokładną ocenę głównego systematu.

Krańcowość pierwszego wystąpienia Roussa, potęgując na razie wrażenie, czyniła wszakże zarazem niemożebnym wszelki wpływ głębiéj sięgający. „Discours" mogły zachwycać ówczesnego czytelnika, podniecać nienawiść ku istniejącym urządzeniom, lecz w żaden sposób w życiu rzeczywistém stosować się nie dawały. Tylko jednostki wyjątkowe (4) mogły udawać się pomiędzy dzikie ludy, wedle rady mistrza; dla masy zwyczajnych śmiertelników droga ta była zamknięta. A jednak—mimo wszelkich późniejszych odżegny-

---

(1) *Réponse au discours qui a remporté le prix de Dijon* (*par Stanislas, roi de Pologne*). 1751 (umieszczone w „Dziełach" Roussa. T. VII). Uczestniczył podobno w téj pracy jezuita Maron, stąd Rousseau początkowo po swéj odpowiedzi obawiał się Bastylii. Król w następstwie pozostawał długo w stosunkach z Roussem za pośrednictwem hrabiego Du Tressan. Bronił go nawet późniéj energicznie przeciw napaściom Palissot'a, członka Akademii w Nancy.

(2) *Confess.* l. VIII. Diderot. *Essai sur Senèque.* I, § 66. Tegoż *Réfut. de l'Homme.*

(3) Np. Villemain, Mohl, Hettner, Janet.

(4) Jak np. uczeń i przyjaciel Roussa Bernardin de Saint-Pierre.

wań się Roussa—jedynym logicznym wnioskiem z pierwszych jego rozumowań był powrót stanowczy do stanu pierwotnego. Stąd wyradzała się dla Roussa konieczność poczynienia ustępstw pewnych dla życia rzeczywistego — inaczéj wypadało chyba położyć pióro. Dostrajały się téż do alternatywy takiéj subiektywne niektóre czynniki. Rousseau zaznajamia się z życiem i nauką; przestaje być nowicyuszem, który pragnie zwrócić na siebie uwagę przez dysonans najjaskrawszy (1). Nie ma już na oku nagrody konkursowéj, lecz pragnie napisać „dzieło dydaktyczne" z dziedziny prawa państwowego. Powstaje więc „Umowa społeczna."

„*Du contrat social ou principes du droit politique*" (2), według zapewnień Roussa miało stanowić właściwie część obszerniejszego traktatu (3). Rousseau pragnie tu znaleść sprawiedliwy i doskonały ustrój państwowy, nie myśli jednak tworzyć ideału, lecz system praktyczny „*en prenant les hommes tels qu'ils sont.*" Człowiek rodzi się wolnym: wypływa to ze zmysłu samozachowawczego, który dąży z natury swéj do indywidualizacyi czynów każdego osobnika. Gdy więc w najpierwotniejszym instynkcie ma swe źródło, a zatém bezpośrednio w naturze ludzkiéj jest ugruntowana, winna idea wolności stanowić podwalinę każdego systematu politycznego. Jednakowoż życie na każdym kroku staje z nią w sprzeczności „przez swe

---

(1) „Prendre le parti, que personne ne prendra", radził mu Diderot.

(2) 1762 r. W najnowszém obszerném dziele o Roussie (A. S. Aleksiejew, prof. un. mosk. *Etiudy o Ż. Ż. Russo.* T. I *Russo wo Francyi.* T. II *Swiaź pol. doktriny R. s gosud. bytom Żenewy.* 1887) autor pragnie dowieść paradoksalnéj tezy, jakoby „Contr. soc." napisany został jeszcze 1754 r. Nie wdając się w szczegółową krytykę wątłéj argumentacyi Al., zaznaczę tu tylko główne źródło błędów w jego skądinąd interesujących i nader pracowitych „studyach." Jest niém t. zw. przez Macaulay'a „furor biographicus", który powoduje Al. przyjmować na wiarę wszystkie zapewnienia Roussa (w „Konfesyach" zwłaszcza i korespondencyi); stąd liczne sprzeczności, które Al. tłómaczyć chce przez hypotezy. Kwestya ta posiada swe znaczenie, gdyż Al., zgodnie ze swém przypuszczeniem, uważa „Contrat." za utwór młodzieńczy, drugorzędny, nie będący wcale wyrazem istotnych poglądów politycznych Roussa.

(3) *Contr. soc.* Avertiss. Liv. III. Ch. XV. Conclus. Por. *Confess.* liv. X. Jednakowoż mityczne owe „Institutions politiques", dokąd jakoby wejść miało prawo międzynarodowe, nauka o finansach, administracyi i t. p., nigdy nie istniały w rzeczywistości. Rousseau od czasu pierwszych „Discours" układa osobne urywki „socyologiczne" (por. Streckeisen-Moultou. *Oeuvr. et corrésp. inéd. de J. J. Rousseau.* 1861) pod wpływem Monteskiusza i z zewnętrznych pobudek (Tak np. jego „Considérations sur l'influence des climats relativement à la civilisation" uważam za odpowiedź na uwagę D'Alembert'a w *Disc. prélimin.* z powodu pierwszego „Discours"). Od 1755 r., kiedy powierzono mu wydanie pism politycznych księdza de Saint-Pierre (por. Lettre à Bastide z 5 grud. 1760 r.), zajmuje się Rousseau w poważniejszy sposób kwestyami politycznemi. Jeden z pierwszych, powstałych w ten sposób fragmentów stanowi *Economie politique,* ekstrakt ze wszystkich—*Contrat. social.*

kajdany". Ta faktyczna niewola istot ludzkich może być rozpatrywana albo ze względu na utrzymującą ją siłę, albo też ze względu na prawo, na jakiém się opiera. W pierwszym razie wypadałoby w miarę możności przemoc odeprzéć przemocą i powrócić do wolnego stanu pierwotnego, niszcząc społeczność. Z drugiego punktu widzenia „porządek społeczny jest uświęconém prawem" i wypada jedynie wywołaną przez konieczność niewolę postawić w zgodzie z wolnością przyrodzoną. To ostatnie zadanie stawia sobie Rousseau.

Jasném jest, że przez postawienie już w ten sposób kwestyi wyrzeka się Rousseau krańcowości „Rozprawy o nierówności." Tam więzy państwowe były wynikiem chytréj chciwości, tutaj są one „prawem uświęconém"; tam społeczność uznaną została jako wynik zwyrodnienia, a państwo nazwane kulą, wspierającą zgrzybiałego kalekę (1) — tutaj zaś „człowiek wiecznie winien błogosławić szczęśliwą chwilę, kiedy wyrwany został z przyrodzonego stanu i do obywatelskiego przeniesiony" (l. I, Ch. III).

W celu rozwiązania określonego już zadania zwraca się Rousseau do zjawiska prostszego — rodziny, gdzie analogicznie, jak w społeczeństwie, wolność członków jest nierówną. W rodzinie wolność dzieci przez własny ich instynkt samozachowawczy zostaje ograniczoną; stają się one wolne odkąd samodzielnie życie swe zachować potrafią. W państwie rząd jest ojcem, poddani — dziećmi, i wzajemny ich stosunek, podobnież jak w rodzinie, jest środkiem do osiągnięcia dobrobytu tych ostatnich. W ten sposób inna zasada — pożytku, również ze zmysłu samozachowawczego wypływająca, może w państwie ograniczyć pierwszą—wolność. Wszelkie inne próby wytłómaczenia nierówności pomiędzy ludźmi są bezowocne: nie daje się ona tłómaczyć przez „prawo przemocy" (Hobbes), gdyż pojęcia przemocy i prawa są sobie sprzeczne; nie daje się też wyprowadzić z „prawa niewolnictwa" (Grocyusz), gdyż wyżenie to stanowi *contradictio in adjecto*; ani też wreszcie z „prawa wojny" (2). Lecz porządek społeczny nie wypływa z natury

(1) „La société est naturelle à l'espèce humaine, comme la decrépitude à l'individu et il faut des arts, des loix, des gouvernemens aux peuples, comme il faut des béquilles aux vieillards." *Lettr. à Philopolis* (Oeuvr. I, 180).

(2) T. j. mniemanego prawa, czyniącego zwyciężonych niewolnikami zwycięzcy, który darował im życie. Lecz 1-o nie daruje on im życia, do którego żadnego nie ma prawa, gdyż wojna jest stosunkiem państw tylko, nie zaś osobników prywatnych; 2-o położenie zwyciężonego, jako na „prawie przemocy" oparte, nie jest prawném, lecz faktyczném, które w miarę możności obalić powinien (Ch. IV). Pierwsza zasada stanowi podstawę prawa międzynarodowego i dziwna, że właśnie przeciw twórcy onego, Grocyuszowi, wypadło się na nią powołać.

samėj; „a więc oparty jest na umowach.“ Wypada przeto zbadać istotę tych umów.

Główna i zasadnicza wada rozumowań Roussa polega na pomieszaniu istotnego (historycznego) porządku zjawisk, z jedynie słusznym podług jego przekonań (logicznym). Pokusił się był dawniéj wskazać pierwszy w „*Disc. sur l'inég.*“, lecz obecnie zrozumiał już trudności takiego zadania, nieodzowność wiedzy historycznéj i niedojrzałość własnych hypotez. Stąd w „*Contr. soc.*“ wyrzeka się strony historycznéj, rzuca się natomiast do moralnéj, teoretycznéj, nie wymagającéj już tyle wiedzy, ile zdolności spekulatywnéj. „Nie wiem, w jaki sposób powstał obecny ustrój państwowy — powiada na wstępie — pragnę jedynie wskazać, w jaki sposób daje się on uprawnić“ (1). Atoli obiedwie te kwestye są nierozłączne. Wskutek tego Rousseau z musu wpada w sprzeczności i czyni umowę społeczną czémś środkującém pomiędzy zjawiskiem rzeczywistém a ideałem, nie może bowiem przedstawić jéj jako pierwsze, a nie chce uznać w niéj tylko drugiego. Na tém polega jego siła — lecz tutaj téż kryje się bezsilność. Skoro tylko uznamy umowę społeczną jako fakt rzeczywisty, skoro dozwolimy Roussowi „założyć fundamenty“ (Schlosser) — wypadnie z trudnością oprzéć się jego konsekwencyom; z drugiéj strony przez zaprzeczenie realnego istnienia takiéj umowy, stawiamy „Contr. soc.“ w jednym rzędzie z „Utopią.“

Stanowisko abstrakcyjne Roussa musiało go doprowadzić do walki z Grocyuszem i Hobbes'em, od których przecie przejął swe zasady najpierwsze. Uznają oni również niezależność przyrodzoną człowieka pierwotnego, lecz rozumując *a posteriori*, z istotnych stosunków społecznych wyprowadzają domysł o milczącéj zgodzie na takowe. Nie byli oni właśnie reformatorami. Stąd istota zwróconéj przeciw nim polemiki Roussa polega na zarzucie, że „uzasadniają oni prawo przez jego stosowanie. Podnieść tu szczególniéj należy sposób, w jaki zbija twierdzenie Grocyusza, że naród może samego siebie podarować monarsze, podobnież jak każdy w ogólności osobnik, właśnie na mocy zupełnéj swéj niezależności i prawa rozporządzania samym sobą. Naród, wyrzekający się wolności— odpowiada na sofizmat ten Rousseau — unicestwia tém samém swój charakter osoby prawnéj, a więc wszelkie zawierane przezeń umowy są z istoty nieważne. W uwadze téj występuje dobitnie wielka i płodna w następstwa idea „niezbywalności swobody“, która, zda-

(1) Jaskrawiéj jeszcze w rękopisie „Contr. soc.“ (wydanym przez Aleksiejewa): „je cherche le droit et la raison et ne dispute pas des faits“ (str. 24 rękopisu).

niem głębokiego krytyka, stanowi istotnie samorodną treść pomysłów Roussa i główną spuściznę zeszłego stulecia (1). Bezpośrednie jéj zastosowanie doprowadza Roussa do negacyi niewolnictwa w ogólności, nie z humanitarnego już tylko (jak np. u Woltera), lecz z prawnego a więc i mocniejszego stanowiska. Wychodząc z jego poglądu, że niewolnictwo nie jest umową, rewolucya, kiedy zniosła poddaństwo, *servage* itp. pozostałości dawnych porządków, odmówiła wszelkiéj indemnizacyi. Tutaj téż odnosi się przepis Kod. cyw. (§ 1780), znoszący najem usług bezterminowy, jako formę niewolnictwa. Należy jednak zastrzedz, że sam Rousseau w niewolnictwie świata klasycznego upatruje konieczny warunek wolności zupełnéj obywateli. By wszyscy obywatele mieli możność zająć się należycie sprawami państwa, należy uwolnić ich od prywatnych zajęć codziennych (l. III, Ch. XV). Na takie zdanie Roussa powoływali się w następstwie deputowani południowych Stanów Zjedn. Ameryki pół., w obronie niewolnictwa (2).

Powróćmy do właściwego toku wykładu Roussa. „Umowa społeczna jest treści następującéj: „Każdy stawia swą osobę i całą swą siłę pod władzę zwierzchnią woli powszechnéj i każdy członek uważany jest za część nierozdzielną całości.“ Z poświęconéj idealnie pełni „sił“ osobnika, państwo faktycznie bierze część tylko, lecz rozmiary téj części w zupełności zależą od woli państwa. Gwarancyę stanowi tu ta okoliczność, że rozmiary te zawsze określane bywają p r z e z w s z y s t k i c h d l a w s z y s t k i c h. W ten sposób osobnik każdy, gdy oddaje siebie wszystkim, nie zaś oddzielnéj jednostce, zachowuje pewną samodzielność, a wzamian za ofiarowaną jéj część zyskuje prawo korzystania ze zjednoczonéj potęgi całości dla obrony swojéj osoby i majątku. „Umowa społeczna“ z saméj swéj istoty wymaga jednomyślności.

---

(1) Stahl. *Gesch. d. Rechtsphil.* III, 5, § 2. — Por. jeszcze w *Sur l'inég.* 115.

(2) Część polemiczna, w rękopisie obszerniejsza (p. 24—36), zawiera jeszcze krytykę poglądu feudalnego, opierającego władzę rządu na zasadzie *primi occupantis*. Rousseau ustanawia dla saméj téj zasady liczne a słuszne ograniczenia, zgodnie z któremi zaprzecza możliwości nabycia tą drogą przez jednostkę całych terytoryów; powstaje przeciw stosowaniu teoryi okupacyi względem nabytków kolonialnych (od XVI w.), i oburza się na tytuły „królów Francyi, Hiszpanii“ i t. p., jako pozbawione zasady prawnéj. Ostatnia uwaga Roussa, podjęta przez rewolucyę, po dziśdzień zachowała znaczenie. „Son seul titre est roi des *Français*“ (Ustawa 1791 r. Titre III, Ch. II, 1, § 2); podobnież Napoleonowie i Ludwik Filip. W rękopisie również znajdujemy krytykę przedawnienia, jako sankcyi władzy rządowéj, lecz tu argumentacya Roussa jest słaba i zwraca się zarówno przeciw przedawnieniu cywilnemu; w druku ustęp ten całkowicie został opuszczony. Niemniéj jednak tkwią tu pobudki głębsze, powiązane z „niehistorycznością“ epoki: rewolucya zachowała się wrogo nawet względem przedawnienia cywilnego, w zastosowaniu do praw feudalnych i beneficyów kościelnych.

Powstała w ten sposób „osoba społeczna“ zowie się w stanie działania — władcą *(souverain)*, w stanie „biernym“ — państwem, w stosunku do innych tego rodzaju stowarzyszeń—mocarstwem (1). Części jéj składowe, uważane jako całość, zowią się narodem, jako osobni spółuczestnicy władzy zwierzchniczéj—obywatelami, a jako sługi woli powszechnéj—poddanymi. W tym ostatnim charakterze każdy może zostać zmuszony do posłuszeństwa przez „ciało społeczne“; naówczas tylko „zmusza się go, by był wolny“ (Ch. VII). Przymus taki, uprawniony przez wypływające z „umowy“ zobowiązanie, nigdy nie może być ze szkodą dla zmuszanego osobnika, gdyż „ciało nie może pragnąć żadną miarą uszkodzenia swych członków.“ Jednakowoż oddzielnéj jednostce wolno emigrować, jeśli nie chce uznać saméj „umowy społecznéj“; może ona w takim razie zabrać ze sobą wszystko, co posiada (l. III, Ch. XVIII).

Od pierwszego już kroku, wbrew założeniu, wypadło Roussowi zatrzymać się na zasadzie przymusu — przemocy większości. Stara się więc ukryć tę zasadę pod paradoksem o „przymusowéj wolności“ i złagodzić ją przez swobodę emigracyi. Pierwsze jest tylko paradoksem (2), drugie zaś odmienną formą przymusu: dość pomyśléć np. o „swobodzie emigracyi“ Irlandczyków. Lecz Rousseau ogranicza jeszcze prawo wychodźtwa: w czasach krytycznych, kiedy państwo szczególnie potrzebuje pomocy obywateli, emigracya równa się dezercyi i jako taka winna być karaną (ib. Note). Kiedy późniéj, w Konstytuancie (28 lutego 1791 r.) trwały rozprawy o wychodźcach, powoływał się Merlin na to ostatnie miejsce „Contrat“, najsurowszych przeciw emigracyi żądając postanowień (3).

Utożsamienie narodu i „władcy“, które odtąd stanowi nić przewodnią wywodów Roussa, znajdujemy właściwie już u Grocyusza: *imperium in populo manet, ut in toto, cujus pars caput (rex).*“ Wszakże Rousseau zamiast „caput“ powiedziałby „ręka.“ Należy tutaj zwrócić szczególną uwagę na upodobanie, jakie ma Rousseau do porównań „organicznych.“ „Ciało państwowe można uważać jako organizm, żywy i do ludzkiego podobny. Władza zwierzchnia wyobraża głowę; prawa i zwyczaje—mózg, zasadę *(principe)* nerwów i siedlisko rozumu, woli i uczuć, których organami są sędziowie i urzędnicy; handel, przemysł i rolnictwo stanowią usta i żołądek, przyjmujący pokarmy; finanse państwa — to krew, którą rozumna

---

(1) Terminologia Roussa stała się w następstwie obowiązującą. Kiedy w Konstytuancie (6 czerw. 1790) Malouet nazwał króla „souverain“, przerywają mu po dwakroć z lewicy: „on vous prie de parler français.“ (Eymery. *Rapports et discours.* T. IV, 118).
(2) Por. niżéj. — (3) Podobnież Pastoret (*Ass. législ.* 25 paźdz. 1791).

ekonomia całemu równie udziela ciału, sama funkcye serca pełniąc; obywatele wreszcie składają samo ciało, którego ranić w żadném miejscu niepodobna, aby wrażenie bólu natychmiast nie udzieliło się mózgowi" (1). Umyślnie wypisałem cały ten ustęp, gdyż sądzę, że idea „organiczna" towarzyszyła w umyśle Roussa wszystkim wywodom „Contrat" i milczącą dawała im sankcyę (2).

Wyłożywszy powstanie i cechy główne „umowy społecznéj", przechodzi Rousseau do zbadania opartego na niéj ustroju państwowego.

„Wola powszechna" (*volonté générale*) bezpośrednio przejawiać się może jedynie względem ciała społecznego jako całości (l. II, Ch. IV), i przejawy takie zowią się prawem. Prawo jest właśnie niczém inném, jak każdorazowém określeniem rozmiarów owéj części wolności, jakiéj pozbawieni zostają wszyscy poddani. Należy ściśle rozróżniać pomiędzy „wolą wszystkich" a „wolą powszechną"; gdyby nawet w obydwóch „subiekt" był identyczny, „obiekt" pozostaje różny: dla pierwszéj—interes prywatny (szczególny), dla drugiéj—publiczny (ogólny). Wynika stąd zaprzeczenie wszelkich prywatnych przywilejów lub ograniczenia praw, choćby nawet za zgodą wszystkich zostały ustanowione. Natomiast w aktach „woli powszechnéj" z saméj istoty rzeczy przejawiać się musi „zadziwiająca zgodność interesu ze sprawiedliwością", gdyż przy wydaniu prawa, które wszystkich w równéj mierze obowiązuje, każdy myśli o sobie. Lecz dla osiągnięcia takiéj zgodności konieczną jest rzeczą, aby w istocie każdy dawał swój głos, by „z większéj ilości małych różnic wypływała zaprawdę powszechna wola". Należy zatém przeszkodzić tworzeniu się w państwie jakichkolwiekbądź stowarzyszeń i partyi, gdyż członkowie takowych dawaliby jeden właściwie głos, wyrażający „prywatną wolę powszechną stowarzyszenia", a wraz ze zmniejszeniem „ilości różnic" zaciemnioną zostaje istotna „wola powszechna" (Ch. III).

Dotychczas Rousseau jest ściśle konsekwentnym. Opiera się on ciągle na dwóch powiązanych ze sobą przypuszczeniach: umowie społecznéj i równości. Jeśli pierwsza istotnie miała miejsce, jako akt woli spółobywateli i wynik słusznéj rachuby, to system „woli powszechnéj" jest jedynym możliwym prawnie. Lecz aby istotnie miały wszystkie „strony" znaleść rachubę w onéj „umowie", ko-

---

(1) *Econ. polit.* (Oeuvr. I. 366; cały ten artykuł ukazał się pierwotnie w V tomie „Encyklopedyi"). —(2) Zawsze jednak jedynie jako analogia, o czém pamiętać należy: „mais... la constitution de l'homme est l'ouvrage de la nature, celle de l'état est l'ouvrage de l'art". *Contr. soc.* l. III, Ch. XI.

nieczną jest pewna równość „umawiających się“. Np. podatek pieniężny równy, nie równym będzie dla nierównych, ani nawet procentowy lub postępowy (ostatni zresztą z trudnością już dałby się wtłoczyć w formułę prawa Roussa). Podobnież dowolne prawo cywilne lub karne. Rozumie to Rousseau, a jednak przypuszcza tylko „małe różnice“; musi zatém szczególny kłaść nacisk na równość, jako na warunek bardziéj, niż na cel, musi wciąż powracać do żądania „równości, gdyż wolność bez niéj istniéć nie może“ (1).

Nie mniéj logiczną jest opozycya Roussa przeciw „woli wszystkich“. We wszelkich stosunkach państwa względem swych części składowych, lub części tych pomiędzy sobą, „wola powszechna“ jest nieobecną, stają tylko strony, zainteresowane a więc do wydania sądu o sprawie niezdolne. Stanowić przeto tutaj powinna nie władza prawodawcza, lecz sądowa lub administracyjna. Zawiera się w takim poglądzie opozycya stanowcza przeciw wielu nadużyciom rewolucyi. Przez charakter obiektu „woli powszechnéj“ określone są jéj granice, nietykalne, bo bezpośrednio na „umowie społecznéj“ oparte: wyklucza się w ten sposób wszelakie podstawienie na jéj miejsce „woli wszystkich“ lub prywatnéj. Szczególną kładę wagę na ten szczegół, dotychczas nigdzie należycie nie oceniony; tutaj kryje się przepaść, jaka dzieli despotyzm teoretyczny Roussa od faktycznego rewolucyi—każdéj.

Jeśli pod tym względem rewolucya odstąpiła od Roussa, to natomiast najdokładniéj wypełniła inne jego żądanie, również odnoszące się do „woli powszechnéj“. Mówię o „stowarzyszeniach“ w państwie. Zniesione zostały prowincye ze swymi parlamentami i charakterem lokalnym, a natomiast zaprowadzony geometrycznie abstrakcyjny podział na departamenty, dystrykty, kantony. Zniesione korporacye kościelne, w następstwie nawet towarzystwa naukowe i literackie (by nie wspomniéć już o cechach, przy zniesieniu których przeważnie działały pobudki ekonomiczne). Państwo całe, według pięknego wyrażenia Taine'a, zamienione zostało w „pył istot ludzkich“. Czynniki takiego kierunku były nader różnorodne, lecz pośród nich w pierwszym rzędzie jasno się uwydatnia powyższy wywód Roussa (2).

Powróćmy w dalszym ciągu do jego wykładu. Z własności „woli powszechnéj“ wypada, że władza prawodawcza jest 1° nieomylną (Ch. III), gdyż wola „ciała społecznego“ może miéć na celu

---

(1) L. II, Ch. XI; por. l. I, Ch. IX; l. II, Ch. III i t. d.

(2) Por. posiedzenia Konstytuanty w końcu 1789 i na początku 1790 r., oraz Zgromadzenia Prawod. w lipcu i sierpniu 92 r.

jedynie pożytek tego ciała; 2° niezbywalna (Ch. I), gdyż nikt w równym z nią stopniu nie jest nieomylnym; 3° niepodzielna (Ch. II), gdyż podmiot jéj i przedmiot stanowi niepodzielne „ciało społeczne". Wynika stąd bezprawność systematów przedstawicielstwa narodowego, instytucyi feudalnéj, nieznanéj starożytnym; oszukane przez nie narody jedynie w czasie wyborów są wolne, następnie „przestają istniéć" (l. III, Ch. XV). Konieczne są powszechne, peryodyczne zgromadzenia całego narodu, odbywające się z mocy samego prawa w pewne dni określone (Ch. XII, XIII). Próżno usiłowanoby wykazać niewykonalność podobnego urządzenia w obszernych państwach europejskich: wszak istnieją przekonywające przykłady rzeczpospolitych greckich, Macedończyków, Franków, przedewszystkiém zaś Rzymu, jako państwa pod względem rozmiarów najdaléj zbliżonego do spółczesnych. I otóż Rousseau całą księgę (l. IV) poświęca na analizę rzymskich urządzeń politycznych, głównie mając na oku komicye. Należy wszakże unikać zgubnéj centralizacyi rzymskiéj, a więc nie dopuszczać stolic, lecz urządzać zgromadzenia kolejno we wszyskich miastach, również kolejno przenosząc centrum rządowe. Otwarcie zgromadzenia powszechnego odbywa się przez przedłożenie dwu pytań najpierwszych: 1° zgromadzeni, w charakterze „władcy", stanowią, czy zachować dotychczasową formę rządu; 2° ciż sami, jako „naród", decydują, czy zostawić nadal obecnych członków rządu. Następnie dopiero zgromadzenie przechodzi do właściwych zajęć prawodawczych, dopełnia i poprawia istniejący systemat praw.

Poglądy Roussa na prawodawstwo tyle są niepraktyczne, ile logiczne ze względu na jego założenie. Kiedykolwiek zaś pragnie pomysły swe uprawdopodobnić i o wykonalności ich pomyśli, natychmiast staje się niekonsekwentnym. Dzieje się tak już w sprawie inicyatywy prawodawczéj. Jeszcze w „Rozprawie o nierówności" proponował Rousseau prawo to całkowicie pozostawić „aux magistrats" (1), dla uniknięcia „niebezpiecznych inowacyi". W „Contr. soc." nie wyrzeka się on takiego poglądu, owszem, wspomina o osobnym projektodawcy prawodawczym, którego moc prawodawcza „równa się zeru", lecz prawo inicyatywy jest nieograniczone (l. II, Ch. VII). Oświadcza tutaj wprawdzie, że „prawodawca" ów nie może być zarazem rządzącym, za przykładem Lykurga, który wyrzekł się władzy królewskiéj zanim się podjął ustanowienia praw dla swego narodu. Nie mniéj atoli zachodzi tu ta zasadnicza sprzeczność, że kiedy akt uczestnictwa w „woli powszechnéj" uznany został ja-

(1) *Sur l'inég.* Dédic. 11.

ko czynność niezbywalna każdego obywatela, jednak tyle istotna część tego aktu, inicyatywa, wszystkim została odebrana i osobnéj, uprzywilejowanéj jednostce powierzona.

Inną, równéj wagi, kwestyę stanowi sposób przejawiania się faktycznego „woli powszechnéj“. Na zgromadzeniach, powiada Rousseau, stanowi większość głosów. Prawo to większości oparte jest na przyjętéj uprzednio przez jednomyślność „umowie społecznéj“, nie ogranicza zatém swobody mniejszości. Rzeczywiście, przy głosowaniu nie zapytuje się, jaką jest wola głosującego w danéj sprawie, lecz jaką jest pod tym względem „wola powszechna“. Obliczenie głosów wykazuje to ostatnie. A więc, „jeśli moje zdanie zwyciężone zostało przez przeciwne, dowodzi to tylko, żem się pomylił, i że to, com za wolę powszeehną uważał, nie było nią bynajmniéj. Gdyby mój głos pojedyńczy był przeważył, stałoby się wbrew własnemu memu życzeniu; wówczas właśnie nie byłbym wolnym“ (l. IV, Ch. II).

Rousseau zmuszony jest uciec się do téj sofistyki. Powyżéj (l. II, Ch. I) był powiedział: „bezmyślném jest, aby wola wiązała się sama na przyszłość, gdyż niepodobna, aby wola zgodziła się na cośkolwiek, co sprzeczném jest z dobrobytem istoty, przejawiającéj wolę“. Obecnie zaś wypada mu związać obywateli, na rzecz większości, przez tę samą „bezmyślność“, jaką nie chciał ich wiązać na rzecz jednostki. Aby uniknąć sprzeczności, Rousseau ratuje się przez wyłuszczony sofizmat, nader wszakże niewystarczający. W istocie, nieomylność „woli powszechnéj“ wywnioskowaną została uprzednio właśnie z jéj układu wewnętrznego, na który złożyły się wszystkie „wole indywidualne“; obecnie zaś, gdy się okazuje, że głosujący wyrazić ma nie własną wolę, lecz „powszechną“, traci pierwsza swą wartość indywidualną a druga całą treść i wszystkie niezrównane własności. Błąd logiczny spowodowany tu został również przez milczące ustępstwo, poczynione dla życia rzeczywistego. Niepraktycznem byłoby żądanie ciągłéj jednomyślności, lecz byłoby bardziéj logiczném. W rzeczy saméj, uczeń Roussa, Filangieri stanowczo żąda jednomyślności dla dokonania zmian w danym ustroju politycznym. Sam Rousseau w następstwie, kiedy na jawie napotkał urządzenie, którego nie ośmielił się żądać nawet pośród swych rojeń abstrakcyjnych, z zapałem bronił polskiego *liberum veto*, tj. negatywnego uosobienia jednomyślności (1).

---

(1) Pragnął jednak ograniczyć *veto* do „points fondamentaux de la constitution“ *Gouvern. de Pologne* Ch. IX. (Oeuvr. I. 475). Por. Filangieri *La science de législ.* T. I. (wyd. francus. 1786 r.)

Dalsze szczegóły poglądów Roussa, tyczących się zgromadzeń prawodawczych, w ścisłym są związku z urządzeniami politycznemi rodzinnego jego miasta—Genewy (1). Odnosi się tutaj przedewszystkiém żądanie peryodyczności zgromadzeń raz na zawsze ustanowionéj przez prawo, na co Rousseau wielokrotnie silny kładzie nacisk. Zgromadzenia takie odbywały się w Genewie od 1707 r., co 5 miesięcy, z mocy prawa, bez udziału rządu. Porządek taki zniesiony został 1712 r. pod wpływem Rad rządzących, dla których okazał się nader niewygodnym, i odtąd zwołanie Zgromadzenia Narodowego (Conseil général) znowu stało się zależném od woli rządu. Kiedy dzieło Roussa zostało w Genewie wyrokiem Rady mniejszéj skazane na spalenie, jedną z głównych pobudek, acz ukrywaną pod pozorem skrupułów religijnych, był właśnie omawiany ustęp z „Umowy społecznéj", gdzie autor niejako wprost wskazywał na zniesione prawo z roku 1707. W Genewie znajdujemy również ślad jednego z najskrajniejszych pomysłów Roussa. „Od chwili, kiedy naród z mocy prawa zgromadzony jest w charakterze władcy, zawieszoną zostaje wszelka juryzdykcya rządu, jak również sama władza wykonawcza... w obecności reprezentowanych nie masz reprezentantów" (2). Na ten ustęp powstawał jeszcze Wolter i słusznie twierdził, że Zgromadzenie Narodowe przy takich warunkach jest niczém innem, jak „uroczystą zachętą dla przestępców". Owóż nader jest ciekawém, że w Genewie, jeszcze w broszurze politycznéj z 1707 r., pośród najgorętszéj walki stronnictw, wypowiedziane zostało przez partyę radykalną żądanie identyczne. „Wobec zgromadzonego ludu, czytamy tutaj,.. wszystkie prawa niezwłocznie zostają zawieszone, jako przed władcą (souverain); podczas trwania Zgromadzenia ma miejsce jakoby zupełne zniesienie rządu" (3).

Pozostała do rozważenia jedna jeszcze kwestya wagi pierwszorzędnéj, mianowicie napaści Roussa na system przedstawicielstwa wogóle i angielskiego w szególności. Napaści te przyczyniły się

---

(1) O stosunku Roussa do Genewy ob. trzy ciekawe studya Juliusza Vuy, prezesa Instytutu Genewskiego (1881). Nowe, lecz mało zasadne są poglądy Jansena w rozprawie *Zur Literatur über Rousseau's Politik* (w Preuss. Jahrbücher 1882 kwiecień), gdzie pragnie dowieść stanowczego wpływu na Roussa czynów i pism Jakóba Michélego. Jacques Michéli du Crest pomiędzy laty 1730—44 toczył słynny onego czasu spór z Radą Dwustu genewską; w rezultacie majątek jego sekwestrowany, sam on praw obywatelskich pozbawiony. Wpływ pewien gwałtownych pism tego awanturnika na Roussa bądźcobądź przez Jansena został udowodniony. Por. też studyum Kocha *Die Verfass. von Genf u Rousseau's Contrat soc.* (w Histor. Zeitschr. Sybla 1886. T. XIX).

(2) L. III, Ch. XIV. Por. *Gouv. de Pol.* Ch. VI. 449. Voltaire *Idées républ.* XXXII. 197. — (3) *Lettre d'un citoyen* 1707 r. (podana u Aleksiejewa l. c. II. 361).

głównie do odsądzenia Roussa od wszelkiego rozumu politycznego przez bezstronnych nawet i poważnych badaczów (1); są one wszakże zupełnie zrozumiałe i naturalne. W istocie, nie mogła Anglia liczyć na sympatye owoczesnéj Francyi, nie miała do tego nawet prawa. Działały tu przedewszystkiém przyczyny polityczne: historyczna nienawiść narodowa obfity znajdowała pokarm w nowych walkach we wszystkich niemal częściach świata (2). Również i parlamentaryzm angielski onego czasu bynajmniéj sympatycznie się nie przedstawia, przesiąknięty do głębi sprzedajnością i zepsuciem. Jeszcze D'Argenson, były minister, którego dzieło silnie oddziałało na Roussa, uskarża się na demoralizacyę parlamentu angielskiego i porównywa Anglię z Kartaginą, przeciwstawiając jéj Rzym (3). Równocześnie, a niezależnie od nich obydwóch do tegoż samego wniosku przychodzi Helwecyusz (4). Podróż po Anglii, jaką odbył Rousseau w towarzystwie Hume'a w 1766 r., mogła tylko utwierdzić taki pogląd; to też w późniejszych Radach dla Polski nie jednokrotnie napotyka się surowe o Anglii i polityce jéj zdanie (5). Wypadnie zresztą poniżéj do téj kwestyi powrócić; tutaj należy zaznaczyć tylko, że krytyczny względem Anglii stosunek stanowi rys charakterystyczny wszystkich „encyklopedystów". Ukrywa się tu zasada czysto rewolucyjna i kiedy ta została urzeczywistnioną, niezwłocznie anglomania Woltera i Monteskiusza ustępuje miejsca pogardzie i nienawiści śmiertelnéj. Pomijając już pobudki zewnętrzne, ta tu działała wewnętrzna, że dążenie radykalne ku reformie nie mogło zostać zadowolnione przez istniejącą już rzeczywistość, lecz ideału abstrakcyjnego szukać sobie musiało.

W trzeciéj księdze Rousseau szczegółowo bada istotę i zadanie rządu w państwie.

Z danéj powyżéj definicyi prawa wypadało, że stanowić je może jedynie naród cały: prawo, jako takie, nigdy nie ma na widoku jednostki osobnéj, lecz „ciało społeczne" w swéj całości. Inaczéj rzecz się ma przy stosowaniu prawa: ma się tu do czynienia wyłącznie ze zjawiskami szczegółowemi. Wówczas już naród sam działać nie może, nie powinien, koniecznym jest natomiast osobny organ

---

(1) Np. Schlosser, Lecky, nie mówiąc już o politykach.

(2) Optymizm Buckle'a (I. Ch. XII) jest zrozumiałym: jest on anglikiem i silnie wierzy w „cywilizacyę". Za nim często bywa powtarzany błędny pogląd na stosunek Anglii i Francyi od XVIII w.

(3) D'Argenson *Considér. sur le gouvern, de la France* (1764) 37 i nast. Rousseau korzystał z ciekawego tego dzieła z rękopisu.

(4) *De l'Esprit* Ch. XX. „Les Anglois, plus Carthaginois, que Romains" i t. d. — (5) Rzecz o Polsce pisał Rousseau już po przeczytaniu słynnych „Listów Juniusza".

wykonawczy: o ile „wola powszechna“ nie może ani prawnie ani faktycznie być reprezentowaną, o tyle jest to odpowiedniém dla „siły powszechnéj“. Tego rodzaju organ wykonawczy dla praw politycznych, będący pośrednikiem pomiędzy narodem — „władcą“ a poddanymi, zowie się rządem. Ustanowienie rządu **nie** jest umową pomiędzy „władcą“ a członkami rządu: „władcy„ żadna inna umowa oprócz społecznéj wiązać nie może. Rząd nie jest kontrahentem, lecz sługą względem państwa; wykonywa on tylko nałożony nań obowiązek w granicach dowolnie przez „władcę“ określanych i w każdéj chwili przez „władcę“ może zostać pozbawiony stanowiska.

Stosunki wzajemne trzech czynników: władcy, poddanych i rządu dają się wyrazić zapomocą stosunku geometrycznego, gdzie czynnik ostatni stanowi ogniwo środkowe, pierwszy zaś i drugi— skrajne. Tym sposobem w państwach różnych rząd winien być różnym. Siła rządu winna wzrastać w stosunku prostym do liczby ludności, gdyż wraz ze wzrastającą liczbą obywateli wola jednostki więcéj oddala się od „powszechnéj“, większéj zatém wymaga siły powstrzymującéj. Głównym czynnikiem siły rządu jest ilość rządzących: znajduje się ona w odwrotnym do pierwszéj stosunku. W związku z poprzedniém wypada, że winna ona pozostawać w stosunku odwrotnym do liczby ludności. A zatém odpowiada monarchia wielkim państwom, arystokracya—średnim pod względem zaludnienia, demokracya—małym. Nie są tu bez wpływu również pobudki natury ekonomicznéj, dla których monarchia odpowiednią jest dla narodów bogatych, arystokracya dla zamożnych, demokracya—dla ubogich. Pierwsza, przy najwyższéj sile ekspansywnéj, posiada wszelako dwie zasadnicze wady: nadmierny wpływ woli monarchy na „powszechną,“ oraz niebezpieczeństwo, wynikające z następstwa tronu, gdyż system elekcyi i dziedziczności zarówno są niedogodne (1). Forma rządu arystokratyczna zbyt często a zasadniczo gwałci ideę równości (2). Demokracya—to ideał niedościgniony, to „urządzenie stosowne dla bogów“ (3). Trzy te główne formy rządu mają dążność przechodzenia jedna w drugą, pod wpływem ciągłéj dążności rządu do powiększenia swéj władzy; ruch taki możliwy jest w następującym tylko kierunku: demokracya, arystokracya, mo-

---

(1) L. II; l. III, Ch. I. Przeciw dziedziczności tronu por. *Gouv. de Pol.* 470 i nast.

(2) Rousseau zdaje się przechylać ku arystokracyi wyborczéj—w duchu szwajcarskiéj; wszakże w razie nadużycia (już jako ochlokracyę) uważa ją za najzgubniejszą: „le meilleur des gouvernemens est l'aristocratie; la pire des souverainétés est l'aristocratique“. *Lettres de la mont.* VI. 294. Podobnież por. *Polysynodie* (Oeuvr. XII, 89).

(3) L. III, Ch. IV; l. IV, Ch. III; por. *Econ. pol.* 394.

narchia. Nareszcie ogólną miarę dobrego rządu stanowi wzrost zaludnienia (l. III, Ch. IX, X).

Rozgraniczenie władzy prawodawczéj od wykonawczéj, które stanowi podstawę wyłuszczonéj nauki o rządzie, posiada u Roussa całkowicie inne znaczenie, niż u Monteskiusza. U tego ostatniego obiedwie władze stają obok siebie równouprawnione, u Roussa druga stanowi pojęcie pochodne, podrzędne. „Władza zwierzchnia" jest niepodzielną, a więc teorya podziału władz Monteskiusza „jest istném szalbierstwem jarmarcznėm, jestto, jak gdyby żywego człowieka rozerwano na części i jednéj pozostawiono oczy tylko, innéj ręce i nic więcéj". Różne pojmowanie zasady pociągało za sobą różnice kardynalne w jéj stosowaniu. Pogląd Roussa nader sprzyja pochłonięciu siły zależnéj, pochodnéj, przez siłę twórczą, bezwzględną. Określając w następstwie (1) szczegółowiéj własności władzy prawodawczéj, Rousseu za jeden z najważniejszych jéj przywilejów uważa wykonywanie „nadzoru (*inspection*) nad władzą wykonawczą". Nadzór ten jest nieograniczonym i nieokreślonym, nie zaś, jak u Monteskiusza, ustanowioném uprzednio przez prawo zrównoważeniem dwóch osobnych, równouprawnionych potęg; polega on na ciągłém, zasadniczém ujarzmieniu jednéj, bez żadnego w zamian równoważnika: wiemy już, że rząd żadnego nie ma wpływu na zwoływanie lub rozwiązywanie zgromadzeń.

Jednakowoż, jeśli zgodnie z całym kierunkiem swego systematu dochodzi Rousseau tym sposobem do żądania wyraźnego wszechwładzy ludu, umié on jednocześnie ustanowić dla niéj granice przez ściśle logiczne wnioskowanie z własnego założenia. Tak więc sprawy zagraniczne państwa, jako nie dające się podciągnąć pod otrzymaną wyżéj definicyę prawa, nie stanowią „aktów władzy zwierzchniéj, lecz tylko stosowanie prawa", a zatém nie należą do „władcy", tj. zgromadzeń. Stąd prawo wojny i pokoju należy wyłącznie do rządu (2). W téj kwestyi rewolucya nie poszła za Roussem i potężnym wysiłkom wymowy Mirabeau udało się uzyskać dla króla nieznaczne jedynie ustępstwo—prawo inicyatywy. Odstępstwo takie od zasad Roussa wyraźniéj jeszcze uwydatniło się w konstytucyi 1793 r.

Co się tyczy form rządu, to—przy całkiem zresztą różném pojmowaniu ich istoty—Rousseau ściśle zachował stary podział Arystotelesa. W jednym tylko kierunku przypuszczając przejście, Rousseau, swym zwyczajem, liczy się tylko ze swą logiką i pomija historyę. Próbował wprawdzie podciągnąć pod swą formułę historyę

---

(1) *Lettr. de la mont.* VII, 318. — (2) L. II, Ch. II, *Lettr. de la mont.* 319.

rzymską, lecz cała jego sofistyka na nic się nie zdała wobec faktu, że w Rzymie monarchia przerodziła się w rząd arystokratyczny, ten zaś w demokratyczny, z którego znowu powstała monarchia. Niemniéj zdyskredytowanym, jak teorye „cyklów politycznych", jest obecnie pogląd Roussa i jego spółczesnych na wzrost zaludnienia, jako zjawisko bezwzględnie dodatnie. Naówczas jedyny protest przeciw temu poglądowi (1) wyszedł od Woltera i Mablego. Idąc w téj kwestyi za rozpowszechnioném zdaniem, stanął Rousseau poniekąd z własną teoryą w sprzeczności. Poprzednio określił był rząd demokratyczny jako ideał, do którego tylko naród nieliczny zbliżyć się może, obecnie zaś upatruje szczęście narodu w najszybszém wzrastaniu ludności, co według własnéj jego zasady niechybnie prowadzi do monarchii. Jedyném wyjściem z téj sprzeczności byłoby państwo federacyjne, z drobnych republik złożone, lecz na idei téj krótko zatrzymuje się Rousseau i odrzuca ją tymczasem, jako niezgodną z niepodzielnością „woli powszechnéj."

Wypada w końcu przyjrzéć się jednéj z najciekawszych stron systematu Roussa — jego teoryi „religii cywilnéj."

Rousseau był deistą, lecz nie tyle deistą rozumującym, a więc abstrakcyjnym, w stylu angielskich, wciąż znowu wątpiącym, bez wiary w nieśmiertelność duszy, ile deistą uczuciowym, wiary istotnéj, bezpośredniéj, pełnym zachwytu dla ewangelii, jako wielkiéj księgi, nie badającym jéj podejrzliwie, jako sfałszowany dokument. Wobec takiego nastroju ducha musiał on przypisać religii znaczenie niepoślednie w swym systemacie politycznym; poświęcił też téj kwestyi rozdział końcowy swego dzieła. Rousseau odróżnia trzy rodzaje religii. Pierwszy, własny jego chrystyanizm ewangeliczny jest nieprzydatny dla celów politycznych, gdyż pomija w zupełności życie ziemskie, całą uwagę skupiając na przyszłém. Drugą grupę stanowią religie „narodowe", najsilniéj rozwinięte u ludów starożytnych, podczas teokratycznéj ich epoki; są one niewłaściwe ze względu na skrajną swą nietolerancyę i mnogość koniecznych przesądów. Trzecia grupa — „religie kapłańskie", „jak religie Japończyków, lamaizm, katolicyzm" — najzgubniejsze są pod względem politycznym, gdyż „dają dwa sprzeczne prawodawstwa, dwóch władców, dwie ojczyzny." Ten ostatni właśnie rodzaj religii panuje obecnie w państwach europejskich; zmiany, poczynione w Anglii (Henryk VIII) i Rosyi (Piotr I), są niewystarczające, gdyż nie usu-

(1) Pogląd ten ustalił się głównie dzięki powadze imienia Monteskiusza. Por. *Espr. d. loix* l. XXIII; księga ta, pod względem cynizmu, w niczém nie ustępuje wybrykom, jakich w duchu przeciwnym dopuszczali się najskrajniejsi uczniowie Malthusa.

wają rozdwojenia. Jedyne wyjście właściwe—ustanowienie „religii cywilnéj“; określenie jéj dogmatów należy z prawa i obowiązku do „władcy“. Dogmaty te stanowi: wiara we wszechmocne i dobroczynne bóstwo, w życie zagrobowe, w świętość „umowy społecznéj“ i praw. Każdy obywatel obowiązany jest publicznie i uroczyście uznać te prawdy; jeśli się nie zgadza, zostaje z państwa wydalony, jeśli zaś po złożeniu przysięgi okazuje się w następstwie niewierzącym, karany jest śmiercią. Do dogmatów wiary należy również tolerancya względem wszystkich, nie objętych przez nią kwestyi religijnych (1).

Rewolucya nie pominęła i tych pomysłów Roussa. 18 Floréal'a roku II, istnienie „Istoty Najwyższéj“ zostało zadekretowane przez Konwencyę, a więc stało się obowiązującém z mocy prawa. 20 Prairiala' t. r. odprawiono po raz pierwszy odpowiednie nabożeństwo na całéj przestrzeni Francyi, przyczém w Paryżu występował jako arcykapłan prezydent Konwencyi, najgorliwszy uczeń Roussa, Robespierre. W następstwie kierunek taki podjęty został za czasów dyrektoryatu przez dyrektora Laréveillère'a, pod nazwą teofilantropii, kiedy drogą prawodawczą ustanawiano nawet liturgię i świątynie nowéj „religii cywilnéj.“ Lecz, co najważniejsza, dzięki Roussowi zdołał umocnić się pogląd na religię, jako na policyę moralną *sui generis*, a więc i na duchowieństwo, jako na urzędników państwowych. Stąd urządzenie cywilne duchowieństwa przez rewolucyę. Jednocześnie, rozumując ściśle logicznie, gdy osoby duchowne uznano za zwyczajnych „*salariés*“ państwa (Mirabeau), uznano dobra kościelne za własność państwa i skonfiskowano, zastąpiwszy je przez pensye.

Oto w głównych zarysach nauka Roussa o państwie. Obaczmy teraz, w jaki sposób zastosował on ją względem organizmu żywego, dotykalnego, a który, jeśli oddawna już różnił się całą swą budową od tych, jakie Rousseau mógł na zachodzie naocznie oglądać, przedstawiał naówczas (1772 r.) zjawisko zupełnie szczególne. Nie stanowi to wszakże szkopułu dla abstrakcyjnego umysłu Roussa; nie stara się on nawet poznać bezpośrednio pacyenta i chorobę (jak Mably np.), lecz zdaleka przepisuje mu cudowny swój a powszechny sposób leczenia. Na zasadzie nielicznych i wątpliwéj wartości danych, jakich mu dostarczono, pokonferowawszy téż nie-

(1) W rękopisie żąda nawet, aby „cette profession de foi, une fois établie, se renouvelle tous les ans avec solennité.“ Larivière czyta późniéj w Zgromadzeniu Prawod. cały ustęp o religii z „Umowy społecznéj“, a Filassier żąda, aby wprost oddano pod głosowanie „la proposition du citoyen Rousseau“, tyczącą się religii cywilnéj (24 maja 1792)

co z mężem téj powagi, bezstronności i rozumu politycznego, co biskup Massalski, pisze Rousseau głośne „Uwagi o rządzie polskim.“

Z samego już, jak widzimy, sposobu powstania „Uwag“, nie mogły one posiadać ani naukowéj, ani praktycznéj wartości. A jednak w ostatniém tém swojém piśmie polityczném położył Rousseau wielką, niespożytą zasługę, zawarł w niém bowiem dobitnie i z mocą ideę nową wówczas a potężną i płodną. Jest nią idea narodowości. Rys ten, wyraziście odbijający od kosmopolityzmu, właściwego epoce, ma źródło w pierwotnym stosunku Roussa względem Genewy, jako ideału politycznego, i występuje jeszcze w słowie wstępném do „Rozprawy o nierówności.“ Następnie w „Ekonomii politycznéj“ powstaje Rousseau z goryczą na głoszone powszechnie „szyderstwa z uczuć patryotycznych“ i żąda „skondensowania“ miłości bliźniego na rzecz współobywateli (1). Podobnież w „Emilu“, w „Umowie społecznéj“ (2), i wreszcie tyle szczegółowo i wymownie w „Reformie Polski.“ Narodowości szuka i żąda w odzieży, zwyczajach, wychowaniu. „Szczęściem jest dla Polaków, że posiadają strój narodowy“; to téż obowiązkowo winni się go trzymać „zarówno król i senatorowie, jak i wogóle wszyscy urzędnicy państwa... surowo ma być wzbronioném ukazywać się przy dworze w stroju francuskim.“ Wystrzegać się mają pod tym względem Polacy „błędu, jaki popełnił car ów, tyle wychwalany.“ Najważniejszym wszakże czynnikiem jest tu wychowanie. „Pragnę, aby każde dziecko polskie znało w roku dziesiątym życia rodzaje wytwórczości swego kraju, w dwunastym — wszystkie jego prowincye, drogi i miasta, w piętnastym—historyę narodu, w szesnastym—wszystkie jego prawa. W dwudziestym roku życia każdy Polak ma być nie człowiekiem w ogólności, lecz właśnie Polakiem.“ Uczyć młodzież mają wyłącznie krajowcy (Ch. IV). Potrzeba jedném słowem uczynić Polskę „niestrawną“, skoro niepodobna powstrzymać apetytu sąsiadów.

Jednakowoż i tę nawet sympatyczną stronę „Uwag“ zasłaniają niezwłocznie natchnienia doktrynerskie, pochodzące od „Umowy społecznéj.“ Zauważył był tam Rousseau (l. II, Ch. IX), że w wielkich państwach tak znaczne powstają pomiędzy obywatelami różnice, że muszą oni poniekąd czuć się względem siebie obcymi,

---

(1) „Le sentiment d'humanité s'évapore, en s'étendant sur toute la terre... il faut donc borner et comprimer l'intérêt et la commisération pour leur donner de l'activité. Or... il faut, que l'humanité soit concentrée entre les citoyens.“ *Econ. pol.* 381, 382.

(2) Zwłaszcza w rękopisie, gdzie uskarża się na „ces prétendus cosmopolites, qui, justifiant leur amour pour la patrie par leur amour pour le genre humain, se vantent d'aimer tout le monde, pour avoir le droit de n'aimer personne“ (p. 9 rękopisu).

a więc pragnąć różnych praw, wobec czego i patryotyzm istotny zanikać musi. Tutaj (1) powtarza z naciskiem, że „wielkie rozmiary państw głównym są powodem niedoli ludzkiéj“. Radzi więc podzielić Rzpltą na Małopolskę, Wielkopolskę i Litwę, jako „trzy państwa, połączone w jedno“ sposobem federacyi. Bardziéj jeszcze byłoby do życzenia rozczłonkowanie Polski na tyle części federacyjnych, ile jest województw, z osobną w każdéj administracyą, oraz obok odpowiedniego rozszerzenia kompetencyi sejmików. Zauważyć się tu daje pewne odstępstwo od zasady ścisłéj jedności, która kazała Roussowi porzucić w „Umowie“ wszelką myśl o federacyi; tłómaczy się ono przez obawę, jaką budziła w nim forma monarchiczna Rzpltéj. Obawa ta, podsycana jeszcze przez jego mocodawców—Barzan,—dominującą nutą przechodzi przez cały ciąg „Uwag“. Stąd szczególną baczność zwraca Rousseau na władzę królewską. Dziedziczność korony (jak już wiadomo z „Umowy“) byłaby zgubną, a zatém, wobec „inklinacyi“ w tym kierunku Polaków, stwierdzonéj ostatnio przykładem dynastyi saskiéj, konieczném jest prawo, wyłączające raz na zawsze synów królewskich od tronu (Ch. VIII). Król obierany zostaje w sposób następujący: z senatorów dożywotnich (wojewodów) przez losowanie zostaje oznaczonych trzech kandydatów, z pomiędzy których sejm natychmiast obiera króla (Ch. XIV). Urządzone zostają sądy pośmiertne, na wzór egipskich, wyrokujące o zmarłych królach; w ten sposób spodziewa się Rousseau zastąpić, w części przynajmniéj, konfirmacye peryodyczne króla (rządu) przez Zgromadzenie Narodowe, którym tak ważne przypisał znaczenie w „Umowie, a których tutaj wyrzec się widzi zmuszonym. Z żalem czyniąc to ustępstwo, Rousseau nie omieszkał jednak gorąco zalecić Rzpltéj ten swój sposób trzymania królów w karbach (2). Jak widać ze sposobu obierania, król winien koniecznie być Polakiem; pomijając już inne względy, należy pamiętać, że samowola cudzoziemca trudniéj bywa poskramianą. Co się tyczy sejmów, to z natury swojéj, jako instytucya reprezentacyjna, stanowią one właściwie *malum necessarium*; kiedy jednak naród cały udziału w nich przyjmować nie może, należy przynajmniéj związać posłów przez możliwie ścisłe instrukcye, których obowiązkowo trzymać się muszą (3), oraz poddać dokładnie urządzonéj, ciągłéj

---

(1) *Considér. sur le Gouv. de Pologne.* Ch. V. (Oeuvr. I, 441 i nast.).

(2) Życzyłby sobie „que la Couronne fut en quelque manière amovible, et qu'au bout de certaines périodes les Rois eussent besoin d'être confirmés.“ Ib. 529.

(3) W téj sprawie Konstytuanta odstrychnęła się od Roussa, kiedy sejm czteroletni ściśle wypełnił jego żądanie. 24 marca 1791 r. powoływał się Kiciński na powagę Konstytuanty francuskiéj, która niemal równocześnie ustanowiła moc tylko wskazującą nie aś obowiązującą instrukcyi poselskich; bezskutecznie jednakże.

kontroli wyborców. Należy również rozszerzyć w tym celu znaczenie i rolę sejmików, jako właściwych, bo bezpośrednich głosicieli woli narodu. Również dla zmniejszenia wpływu sejmów, oraz by uniknąć przekupstwa sejmujących przez rząd, należy ściśle przestrzegać sześciotygodniowego terminu sejmowania. Wolno wprawdzie sejmowi przedłużyć ten termin drogą prawodawczą, nigdy jednak dla sejmu bieżącego, lecz tylko dla przyszłych w ogólności: wynika to ze znanéj już definicyi ogólnéj prawa (1). Nie mniéj wadliwym jest w zasadzie podział władzy prawodawczéj, (z natury swéj niepodzielnéj, jak wiadomo z „Umowy“) przez ustanowienie senatu obok izby poselskiéj; i tutaj więc konieczne są środki zapobiegawcze. Liczbę senatorów należy zmniejszyć; mianować ich ma nie król, lecz izba poselska, z pomiędzy kandydatów, przedstawianych jéj przez sejmiki. Część tylko senatorów ma być dożywotnią; inni wybierani zostają na dwa lata lub dłużéj. Wreszcie głosowanie odbywa się zawsze jawnie. Lecz co winno stanowić podwalinę konstytucyi—to konfederacye i *liberum veto.* Pierwsze uważa Rousseau jako „*chef d'oeuvre de politique*“ (2); są one „tarczą, azylem, świątynią konstytucyi“. Podobnież rzecz się ma z *liberum veto*, winno ono zostać zachowane jako „gwarancya istotnéj wolności“. Rousseau powstaje przeciw propozycyi Mablego, według któréj prawo *veto* miało należyć nie do każdego pojedyńczego posła lecz do jednomyślnego ogółu przedstawicieli całego województwa; zgubny to projekt, albowiem „głosy brane zbiorowo, gromadnie, nie dążą już tak prawdziwie ku dobru powszechnemu, jak brane odosobnione, indywidualne“ (3). Nadużyciom przy stosowaniu prawa *veto* daje się w zupełności zapobiedz przez odpowiednie urządzenie tego prawa; a więc należy zachować *veto* jedynie względem „praw fundamentalnych“ oraz wyraźnie określić odpowiedzialność protestujących. W tym celu poseł, który założył *veto* w jakiejkolwiek sprawie, po upływie 6 miesięcy stawić się musi przed specyalnym trybunałem, który dwojaki tylko wyrok mocen jest ferować: honory dożywotnie lub śmierć (bez drogi łaski) (Ch. IX). To samo stosuje się względem konfederacyi; zatém barską, która „niewątpliwie uratowała umierającą ojczyznę“, należy uczcić przez wzniesienie pomnika, z wyrytemi na nim nazwiskami konfederatów (4), oraz przez

(1) Uwagi te Roussa nie byłv bez wpływu na rozprawy z powodu prorogacyi sejmu w r. 1790. Powołuje się na Roussa Suchorzewski (10 czerwca) i inni przeciwnicy prorogacyi. — (2) Ch. IX, 480. — (3) Ch. VII, 465. — (4) Wszystkich, „même de ceux, qui dans la suite auroient pu trahir la cause commune; une si grande action doit effacer les fautes de toute la vie“ Ch. III. 429.

uroczystość „wspaniałą i republikańską", święconą na ich cześć co każde lat dziesięć. Natomiast, co się tyczy Stanisława Augusta, to „skoro oswobodzicie się od przemocy wschodniéj, albo powtórnie winniście go obrać na podstawie nowych paktów konwentów—albo téż głowę mu uciąć należy, jak na to dobrze sobie zasłużył" (1).

Tak się przedstawiają w streszczeniu rady Roussa dla Polski. Polegają one oczywiście—pomimo niektórych ustępstw wymuszonych—na zastosowaniu formuł bezwględnych z „Umowy Społecznéj". Zastosowanie to atoli szczególne. Kiedy „umowa społeczna" i zrodzone z niéj formuły pochłaniały wszystkie osobniki danego narodu i wszystkich téż prawa uwzględniały—tutaj większość ogromna wyrzucona jest za nawias i część tylko drobna brana w rachubę. Poradził sobie tu Rousseau za pomocą następującego wygodnege sofizmatu: ogólne, wyprowadzone uprzednio twierdzenia polityczne odnosiły się istotnie do wszystkich ludzi, żyjących w społeczeństwie; otóż, jeśli „prawo państwowe" (*loi d'Etat*) danego narodu pewien tylko stan za obywateli a więc za ludzi uważa, to twierdzenia owe do tego tylko stanu się stosują i nic wspólnego nie mają z resztą mieszkańców (jak np. ze zwierzętami). Raz przyjąwszy takie rozumowanie, Rousseau następnie z konsekwencyą wielką mógł już daléj wnioskować, odzyskawszy grunt „Umowy". Tak np. twierdzi zupełnie logicznie, że król, jeśli nie jest szlachcicem, nie ma w sejmie prawa głosu, albowiem królem być przestaje w czasie trwania sejmu (urzędy wszystkie, jak już wiadomo, zostają zawieszone, kiedy działa władza prawodawcza), zaś jako nie-szlachcic nie jest człowiekiem-obywatelem (Ch. VI). Wszelako sofizmat powyższy, jeśli pomógł Roussowi wybrnąć z nierozwikłanéj sprzeczności, zbyt był kruchym, aby istotnie zdołał go uspokoić. Toż „umowa społeczna", na przyrodzie bezpośrednio oparta, żadnéj „*loi d'Etat*" ustąpić nie powinna. Obok logika burzy się też w Roussie człowiek szlachetny, miłujący ludzkość. Zaraz też na wstępie określa Polskę jako „ciało, w znacznéj części z martwych członków złożone", a daléj wprost oświadcza, że zgubą Polski jest nic innego, jak „barbarzyństwo owe feudalne, co odrywa od państwa część jego największą a niekiedy najzdrowszą". Gorąco więc i po kilkakroć mówi za uwolnieniem chłopów, za uszlachceniem mieszczan. Prawda, że zaleca przytem „oględność krańcową", że radzi trzymać się stopniowania powolnego w reformie, że wreszcie, wbrew własnym zasa-

---

(1) „Il faut lui faire couper la tête," comme il l'a bien mérité". Ciekawego tego ustępu nie mogłem odnaleść w kilku wydaniach dzieł Roussa, jakie miałem pod ręką; popany jest u Venedey'a *J. J. Rousseau.* 1850, str. 444.

dom pragnie indemnizacyi właścicieli—lecz wszystko to nie umniejsza zasługi, owszem większą ją raczéj czyni. W „notach”, jakie Rousseau otrzymał do swéj pracy od Barzan, w rozmowach pouczających z Massalskim, pewnie niewiele się znalazło o doli i potrzebach ludu polskiego. Tak więc szczerze odczute wskazówki Roussa w téj sprawie stanowią niejako *hors d'oeuvre*—niekoniecznie miłe dla jego mocodawców—względem żądanego odeń elaboratu politycznego, który miał obok szlachetnych zamiarów i zadawnione grzechy powagą głośnego imienia autora usankcyonować. Jakkolwiek są pobieżne, sympatyczne te wskazówki, należy Roussowi za zasługę niepoślednią poczytać i ocenić je jako samoistny protest z jego strony, któremu aby praktyczną nadać doniosłość, gotów był nawet zwykłą swą surowość logiczną poświęcić (1). Żądanie to, w wykonalną obleczone formę, podniesienia stanów włościańskiego i mieszczańskiego, stanowi obok zaznaczonéj idei narodowości istotną, niepożytą wartość „Projektu Reformy Polski“. Z tego właśnie (i jedynie) stanowiska powtórzyć można zdanie Portalis'a, że „głębokie uwagi Roussa o Polsce długo przeżyją pustą i burzliwą metafizykę umowy społecznéj“ (2).

Ażeby skończyć z Roussem, jedna jeszcze ogólna o nim uwaga. Rousseau żadnego nie odebrał wychowania i do końca życia pozostał przy nader szczupłych wiadomościach (3). Okoliczność ta spotęgowała jego śmiałość spekulatywną i ułatwiła mu wpływ na tłumy. Tę samą abstrakcyjność i brak wiedzy napotykamy u najbardziéj konsekwentnych jego uczniów, Robespierre'a i Saint-Just'a; stąd również upór ten sam i dogmatyzm nieubłagany.

---

(1) Niesprawiedliwym w téj mierze, bo nie uwzględniającym należycie innych pism Roussa, ani okoliczności, towarzyszących napisaniu „Uwag“, jest Kalinka *Sejm czter.* II. § 154. — (2) Portalis *L'esp. philos. durant le XVIII s.* 1820. II. Ch. XXVI. 283.

(3) „Peu de science et nulle pratique“ Villemain l. c. II. 234. „Rousseau, le moins instruit de tous“. Taine *L'anc. rég.* 226. Nie znał zupełnie greckiego i angielskiego języka (w epoce panowania Platona i Locke a); nawet łaciną bardzo słabo władał, (por. Avertiss. do przekładu Tacyta. Oeuvr. VII. 235. Lettr. à Vernes 18 listop. 1759; XII. 228). Podobnież rzecz się miała z historyą i naukami przyrodzonemi.

(*Dok. n.*) *Szymon Askenazy.*



BAN STRACHINICZ.

RAPSOD LUDOWY SERBSKI.

PRZEKŁAD Z SERBSKIEGO.

Bohaterskie pieśni serbskie w przekładzie polskim znane są nam dotąd w ilości zbyt szczupłéj i z wielu względów nie dają należytego wyobrażenia o całéj wartości tych utworów. Ze zbioru ogłoszonego przez Wuka Karadżicza tłómacze nasi nie zawsze wybierali pieśni najcelniejsze, lecz głównie takie, które im samym najbardziéj się podobały. Więc Bohdan Zaleski ślicznie, lecz za swobodnie i nie z oryginału podobno, przełożył ulubione sobie pieśni pobożne i niektóre legendowe o bitwie na Kosowém polu. Roman Zmorski także, oprócz kilkunastu legend i najpiękniejszéj ze wszystkich bohaterskich pieśni p. t. „Wesele Maksyma Czernojewicza", tudzież cyklu pieśni o Marku Królewiczu, podał kilka pieśni bohaterskich; te wszakże nie tylko nie liczą się do najcelniejszych, lecz należą do miernych, a nawet do pośledniejszych. Dla czego pominął on takie pieśni, np. jak Ban Strachinicz, Siostra Leki Kapetana i Chory Dajczyn z tomu II Wuka, oraz takie, jak Ożenienie się Todora z Zadaru, Iwa Senjanina, Milicza bajraktara i wiele innych z tomu III-go? Czy przekłady tych pieśni, późniéj przez niegoż dokonane, nie zaginęły w rękopismach po jego śmierci?—na to odpowiedziéć trudno.

To tylko jest rzeczą pewną, że ów wsławiony słusznie i jedyny w swoim rodzaju skarbiec rapsodów narodowych serbskich mieści w sobie mnóstwo utworów prześlicznych, a nam dotąd zupełnie nieznanych, których przekład wierny możeby nie był darem obojętnym dla naszéj literatury.

Jednym z tych-to nieznanych, a najcelniejszych utworów, jest bezzaprzeczenia pieśń o Banie Strachiniczu, którą pokusiwszy się

przełożyć jak najstaranniéj, podaję tutaj chociażby dla tego, ażeby na to wdzięczne wielce, lubo od lat blisko 30-tu całkiem u nas zapomniane pole literatury narodowéj serbskiéj zwabić tłómacza bardziéj powołanego od siebie.

Bohater téj pieśni, Ban Strachinicz (*) nie jest zgoła osobą zmyśloną; albowiem najprzód, w kronice jednéj, jak podaje G. Mileticz (**), jest wzmianka wyraźna o tém, że „Car Amurat, stanąwszy na polach Kosowskich, zburzył dwór Strachini nad rz. Toplicą; a powtóre i w pieśniach opiewających pogrom kosowski, w jednéj (***) powiedziano o nim, że

„gdzie brodzono we krwi po kolana,
tam to poległ Banowicz Strachinia“ —

a w przechowanym urywku (***) innéj, bardzo pięknéj pieśni jest o nim 5 wierszy takich:

„Któż to taki był ów dobry junak,
który jednêm cięciem ostréj szabli,
ostréj szabli w swojéj ręce prawéj
po dwadzieścia głów tam zmiatał naraz?
— Był to junak Banowicz Strachinia.“

Nie zapomniało więc podanie ludowe o jego bohaterskim udziale w téj walce wiekopomnéj, lecz nie uwydatnił się tam Strachinicz żadną przygodą nadzwyczajną, żadnym czynem osobliwszym, podobnie jak Miłosz Obilicz, jak Kosanczycz Iwan, Milan Toplica i inni towarzysze cara Łazarza. Daleko bardziéj zapewne osoba jego w swoim czasie imponować musiała niepospolitą odwagą rycerską, szlachetnością i wspaniałomyślnością, których dowody prawdopodobnie rzeczywiste, łącznie z przygodami niezwykle dramatycznemi, lubo zapewne upoetyzowanemi, złożyły się na utworzenie całego rapsodu osobnego o tym „sokole serbskim“, Banie Strachiniczu.

Powstanie téj pieśni, wraz z innemi co do treści współczesnemi, Mileticz słusznie odnosi do wieku XV. Późniejszą, jak mniemam, być ona nie musi dla tego, że wyrazów tureckich ma 3—4 razy mniéj, niż każda z pieśni junackich pochodzących niewątpliwie z XVI i XVII wieku, znanych mi tak ze zbioru Karadżicza, jako téż i z innych, drukowanych i niedrukowanych.

Musi być ona klejnotem wielce rzadkim w literaturze ustnéj Serbów, gdy sam Karadżicz słyszał ją tylko parę razy w waryan-

---

(*) W zbiorze pieśni serbskich Wuka Karadżicza (wyd. wiedeńskie 1845, II, s. 262) pieśń ta pod N. 44 ma nadpis: „Banowicz Strachinja.“ — (**) Glasnik Srpskog učenog družtwa. Belgrad 1865. Zeszyt 18, str. 294. — (***) W. Karadżicza: Pieśni Serbskie. T. II, pieśń 45, wiersz 188 i 189. — (****) Tamże, pieśń 50, V, wiersz 1—5.

tach mocno uszkodzonych, wprzód nim mu się udało w roku 1820 spisać ją z niezmiernym trudem i to za wdaniem się osobistem panującego wówczas ks. Miłosza Obrenowicza, z ust sławnego gęślarza *Miliji*, hercegowińca, rodem z Kołaszyna, osiadłego w Serbii (*).

W przekładzie téj mistrzowskiéj pieśni o banie Strachiniczu starałem się zachować jak najwierniéj nie tylko właściwy rytm i budowę wiersza oraz każdy szczegół jéj treści, lecz i właściwą jéj prostotę opowiadania obok niepospolitéj wymowy i siły w obrazowaniu. Wierność tę mając przedewszystkiém na względzie, trzymałem się tak ściśle oryginału, że każde zdanie wyrażałem niemal dosłownie, o ile to było możliwém bez rażącego serbienia polszczyzny, — albo też oddając myśl oryginału w wyrazach zupełnie równoznacznych, strzegłem się wszelkich zboczeń od niéj i ozdobniejszego urabiania jéj po naszemu. Skutkiem tego w całéj pieśni nie tylko liczba wierszy w moim przekładzie wypadła zupełnie taka jak w oryginale, lecz i pojedyńcze zdania ujęte zostały w takiéj samiéj ilości wierszy i w tymże porządku po sobie następują.

Przy całém wszakże usiłowaniu zachowania wierności w przekładzie, nastręczały mi się często trudności nie małe, wynikające z wielce odmiennéj budowy obu języków, a szczególnie z przyczyny tego osobliwszego stylu gęślarskiego pieśni Serbskich, który żywcem przepolszczony, brzmiałby za dziko dla naszego ucha. W obec tych trudności, zmuszony nieraz do odstąpienia od wyrażeń czysto serbskich, w przekładzie niniejszym baczyłem głównie na to, ażeby w nim myśl oryginału pozostała wszędzie nietkniętą i temu stało się zadość.

BAN STRACHINICZ.

Żył przed laty pewien ban Strachinicz,
był on banem małéj ziemi Bańskiéj (**),
małéj Bańskiéj około Kosowa;
był to sokół, jakich dziś już nie ma.
Dnia jednego wstał ban raniusieńko
i przyzwawszy sługi swe, zawoła:
„Sługi moje, pośpieszcie się żwawo,

(*) Od tegoż dziada Miliji spisał Karadżicz dwie inne pieśni, najpiękniejsze ze wszystkich, t. j. o Maksymie Czernojewiczu i Siostrze Leki Kapetana.— (**) M a ł a B a ń s k a jest to okolica w południowéj Serbii z miasteczkiem B a ń s k a, przy Kosowém polu.

siodłajcie mi siwka od majdanu (*),
a ubierzcie mi go jak najpiękniéj
i popręgi podciągnijcie mocno,
bo ja, dziatki, w drogę się wybieram:
z Bańskiéj ziemi i grodu wyruszę
i natrudzić mego siwka myślę,
by w gościnę udać się, me dziatki,
w teściowiznę, na Kruszewac biały,
do miłego teścia Jug Bogdana
i do szwagrów, dziewięć Jugowiczów;
tęsknią za mną tam w teściowém gnieździe,
Sługi, panu swojemu posłuszne,
osiodłały mu siwka sokoła.
Tymczasem się ban Strachinicz odział:
wystroił się w atłas i aksamit
i sajetę wdział, wspaniałe sukno,
co od wody żywiéj się czerwieni,
a od słońca jaskrawiéj rumieni.
Wystroił się dzielny sokół serbski,
dosiadł siwka swego od majdanu,
ruszył żwawo i lotem zajechał
w dom teściowy na Kruszewcu białym,
Kędy carstwo (**) powstało niedawno.

Skoro zoczył go Jug Bogdan stary
i ujrzało dziewięć szwagrów miłych,
Jugowiczów, dziewięciu sokołów,
ledwo wierzą, że to zięć ich drogi;
więc za szyję gościa obejmują,
sługi wierne pochwyciły konia,
a szwagrowie go na wieżę wiodą,
gdzie zasiedli do gotowych stołów,
do biesiady, na pańskie rozmowy.
Nazbiegało się sług i służebnic,
jedni stoją (***), drudzy winem służą.
Ile było chrześciańskiego państwa,
wszyscy siedzą popijając wino:
pierwsze miejsce sam Jug Bogdan zasiadł,
u prawego ramienia tuż przy nim
ban Strachinicz, miły zięć posadzon,
po nim daléj bracia Jugowicze,
a na końcu stołu inne państwo.

(*) Majdan, po serbsku znaczy plac boju, plac pojedynku rycerskiego; stąd koń od majdanu, często wspominany w pieśniach, oznacza rycerskiego, bojowego rumaka. — (**) To jest Żupaństwo, województwo, feudalne państwo pod władzą cara serbskiego. — (***) „Neko dvori“ — dvoriti nie ma innego znaczenia, tylko stać przed panem lub gościem spokojnie, z rękami złożonemi na piersiach, w gotowości do usług, oczekując rozkazów.

Młodsi zawsze służą gospodarom.
Najmłodsze zaś, to dziewięć szwagrowych;
więc szwagrowe tuż stanęły rzędem:
te przed świekrem, silnym Jug Bogdanem,
inne daléj przed swymi mężami,
a najwięcéj przed wspaniałym zięciem.
Jeden sługa wino im obnosi,
nosi wino w dużéj czarze złotéj,
która dziewięć litrów (*) w siebie bierze.
Gdybyś widział inne tam przysmaczki,
te łakocie, same pańskie jadła,
rzekłbyś bracie, że to carska uczta!
Dość już długo ban tam sobie gościł,
dość już długo tam się ban zabawił,
otoczony czcią w teściowym domu.
Wszystkie państwo, co było w Kruszewcu
przychodziło rano i wieczorem
Jug Bogdana silnego upraszać:
„*gospodaru*, silny Jug Bogdanie!
całujemy twą połę jedwabną
i prawicę twoją, białą rękę,
racz potrudzić cudne państwo swoje
i przyjdź do nas z miłym zięciem swoim
i przyprowadź bana Strachinicza
w nasze dwory i domostwa nasze,
byśmy uczcić mogli go u siebie."
Jug każdemu chętnie czynił zadość,
zanim tedy wszystkich poodwiedzał,
dużo czasu na to mu schodziło
i za długo ban się tam zasiedział.

Aż tu naraz, patrz co za nieszczęście!
Dnia jednego, gdy słońce rozbłysło,
goniec przybiegł, pismo białe niesie,
z Bańska przybiegł od małego grodu,
od banowéj staruszeczki matki,
pismo składa na kolanie bana.
Jak rozczytał pismo i przeczytał,
aż tam w piśmie szpetne rzeczy stoją,
bo staruszka matka nań narzeka:
„gdzieś ty synu, banie Strachiniczu?
przeklęte ci we Kruszewcu wino
i nieszczęsna u teścia gościna!
Czytaj pismo,—znaj ból niesłychany!
Przemoc na nas spadła niespodzianie,
car turecki, synu, od Jedrena (**),

(*) Litra, dawna miara krajowa za Dunajem dla płynów i wagi, równa ćwierci oka, t. j. kwarty, lub 2 funt. wagi. — (**) Z Adryanopola.

car nam wpadł tu na Kosowe pole,
car nam wpadł tu i wezyrów nawiódł
i okrutnych swoich namiestników.
Całą ziemię naszą car zagarnął,
wszystkie wojska swe tureckie dźwignął
i na polu Kosowém zgromadził.
Całe zalał niém Kosowe pole,
obie rzeki na niém opanował:
po nad Łabą i rzeką Sitnicą
horda całe Kosowo zaległa.
Powiadają, synu, i tak prawią ludzie,
że po suchy jawor od marmuru,
a od tegoż jawora do mostu,
sklepionego mostu na Sazliji
i od mostu tego do Zweczana,
od Zweczana, prawią, do Czeczana,
od Czeczana w górę ku płoninie
Turki całe przygniotły Kosowo.
A na liczbę, powiadają, synu,
sto tysięcy najprzód jest u cara
jakichś pysznych, wybranych Spahijów,
co w dzierżawach mają carskie ziemie,
co się carskim chlebem wszyscy żywią,
co na koniach majdanowych jeżdżą
i nie noszą zbytniego oręża,
tylko szablę jedyną u pasa.
U Turczyna, tureckiego cara,
mówią, synu, jest i drugie wojsko,
ćma ognistych janiczarów Turków,
co w Jedrenie mają swój dom biały;
sto tysięcy ma być tych janczarów.
Powiadają, synu, i tak prawią ludzie,
że Turczyn ma trzecie wojsko silne
z samych Tuków jakichś i Mandżuków (*),
Strasznie wrzeszczą i srodze się biją.
Ma też Turczyn inne wojsko jeszcze:
powiadają, że jest z jedną hordą
samowolny Turczyn Włach-Alija,
co samego cara słuchać nie chce,
o wezyrach nigdy ani myśli,
a zaś wszystkie inne wojska carskie
lekceważy, jak mrowie na ziemi;
tyle wojska ma przeklęty Turczyn!
Gdzie zaś stąpi, synu, tam nieszczęście!
On nie poszedł z carem na Kosowo,
lecz na lewo sobie drogę znalazł
i na naszą spadłszy Bańską ziemię,

(*) Tuki i Mandżuki, nazwy nieznane, najpewniéj zmyślone, jakichś dzikich azyatyckich ludów.

Bańsko, synu, w niwecz ci obrócił,
żywym ogniem wszystko tu popalił
i kamienie powyrzucał z głębi.
Wierne sługi twoje porozganiał,
styrał twoją staruszeczkę matkę
i jéj kości koniem potratował;
w końcu porwał twoję lubę wierną (*)
i zawiózłszy na pole Kosowe,
pod namiotem twoję lubę pieści!
Ja, mój synu, na zgliszczach tu jęczę,
a ty wino we Kruszewcu spijasz!
Bądź przeklęte ostatnie twe wino!“

Gdy wieść taką z pisma ban wyczytał,
ból go srogi i żal ciężki przejął;
z twarzy smutnéj uciekło wesele,
wąsy czarne opadły mu na dół
i do samych ramion pozwisały.
Po obliczu srodze zachmurzoném
łzy mu tuż-tuż puścić się gotowe.
Takim ujrzał go Jug Bogdan stary.
Takim zięcia ujrzawszy z poranka,
zapłonął Jug, jako płomień żywy
i do zięcia Strachinicza rzecze:
„o mój zięciu, Bóg niech będzie z tobą!
czegoż to dziś tak bardzo wczas wstałeś?
czemuś smutny dzisiaj i nie wesół?
czyś się czego zatroskał, mój zięciu?
czyliś się na kogo tu rozgniewał?
Szwagrowie-li z ciebie żartowali,
lub co złego rzekli ci w biesiadzie?
czy Szwagrowe nie dość ci służyły?
albo zganić masz coś w domu teścia
powiedz zięciu, co ci jest i jak jest?“
Ban zapłonął i tak mu odrzecze:
„przestań, teściu, stary Jug Bogdanie;
ze szwagrami jestem w pięknéj zgodzie,
a szwagrowe, to pańskie *gospoje*,
cudnie gwarzą i cudnie mi służą;
cóżbym zganić miał w méj teściowiźnie?
Oto czemu jam dzisiaj nie wesół:
pismo do mnie przyszło z małéj Bańskiéj,
pismo od méj staruszeczki matki.“
Więc teściowi bóle swe powiada:
jak mu dwory jego poniszczono,
jak mu sługi jego rozegnano,
jak mu matkę starą stratowano.
i jak lubą porwano mu żonę.

(*) L u b a i w i e r n a l u b a w pieśniach serbskich zastępuje stale wyraz ż o n a.

„Lecz mój teściu, stary Jug Bogdanie!
chociaż ona jest dziś żoną moją
lecz i córką jest tobie zarazem,
więc sromota wspólną jest nam obu!
Owóż, teściu, starcze Jug Bogdanie!
jeśli byś zmarłego żałował,
to nad żywym ulituj się bardziéj.
Błagam ciebie, całując twą rękę,
daj mi swoich ty dziewięciu synów,
twoich synów a mych szwagrów miłych.
Pójdę z nimi, teściu, na Kosowo,
poszukiwać społem mego wroga
a carskiego chana plugawego,
co mi porwał moją lubę wierną.
Ty niczego nie lękaj się, teściu,
i o dzieci (*) twe nie troszcz się zgoła,
bo ja dzieciom twoim a mym szwagrom
całą odzież pozmieniam do znaku,
po turecku wszystkich ich przebiorę:
dam zawoje białe im na głowy
a na plecy zielone dołomy,
w fioletowe spodnie poubieram
i przypaszę szable płomieniste.
Sługom moim junackim nakażę,
by im konie dobrze posiodłali
i popręgi mocno podciągnąwszy,
po wierzch skórą niedźwiedzią pokryli.
W janiczarów dzieci twe przestroję,
sam też szwagrów pokieruję wszędy,
kiedy pójdą ze mną na Kosowo.
Między wojskiem carskiém się zwijając,
przodem pójdę im za delibaszę (**).
Niech się niby wstydzą i udają,
że się boją mnie, swojego wodza.
Ktokolwiek zaś w wojsko carskiém chciałby
nas zatrzymać i pomówić z nami
po turecku, czy też po mandżucku,
to rozmówić się potrafię z każdym
i turecką mową i mandżucką.
Po arabsku rozumiem ja także,
odrobinę też po arnaucku;
więc przewiodę dzieci przez Kosowo.
Całe wojsko tureckie przejść muszę
zanim wroga mojego wynajdę,

(*) Dzieci, według naszego wyobrażenia, jest wyrazem wcale nie stosownym dla mężów dorosłych, dziewięciu Jugowiczów; lecz u ludu serbskiego wyrazem „djeca" dotychczas nazywają wszystkich młodszych od ojca rodziny, nie wyłączając nawet jego własnéj żony. — (**) Naczelnik, dowódca hufca.

tego turka, zbója (*) Włach-Aliję,
co mi porwał moją lubę wierną.
Niechże szwagry potrudzą się dla mnie,
bo sam, teściu, łatwo mógłbym zginąć,
lecz przy szwagrach zginąć ja nie mogę,
ani dam się nawet okaleczyć".

Posłyszawszy to Jug Bogdan stary,
zapłonął Jug, jakby płomień żywy
i do zięcia Strachiń-bana rzecze:
„Strachiń-banie, zięciu ty mój miły!
widzę dzisiaj, że rozumu nie masz,
gdy mi synów mych dziewięciu żądasz,
byś mi dzieci powiódł na Kosowo,
na Kosowo pod tureckie miecze.
O tém zięciu ani mowy więcéj!
Nie dam dzieci wodzić na Kosowo,
choćbym córki nie miał już oglądać.
Zięciu miły, dzielny Strachiń-banie!
Czemu żeś się tak bardzo zatroskał?
Wiész-li zięciu,—niech cię biéda nie zna,—
niechby ona jednę noc spędziła
z nim w namiocie,—tylko jedną nockę,—
to nie może już ci zostać miłą.
Bóg ich zabij! przeklęta to sprawa:
ona woli jego dziś niż ciebie;
niechże zginie, niech ją diabeł porwie!
Ja cię z lepszą tu ożenię lubą,
z tobą będę chłodne winko spijać
i na wieki będziem przyjaciółmi;
lecz nie dam ci dzieci na Kosowo".

Wspłonął na to ban, jak ogień żywy;
a z téj żółci i srogiego żalu
nie chce nawet na sługę zawołać,
o koniuchu ani już pomyśli,
lecz do stajni sam po siwka skoczył.
A jakże go sam osiodłał gracko,
jak popręgi mocno mu podciągnął!
Okiełznał go wędzidłem stalowém
i przed dom go wywiódł na podwórzec,
ku pieńkowi z białego kamienia (**)
i rzucił się na grzbiet swego siwka.
Spojrzał potém na swych dziewięć szwagrów,

(*) W oryginale „silna Vlah-Aliju", tj. mocnego, potężnego; tutaj wszakże i daléj w ustach Strachinicza tłómaczę przez zbój, jako wyraz wierniéj i dobitniéj oznaczający siłę brutalną nienawistnego wroga, przeciw któréj występuje Strachinicz. — (**) Z którego się wsiada na konia.

a szwagrowie patrzą w ziemię czarną (*);
spojrzał także na szwagra swéj żony,
Nemanicza, młodzika jakiegoś,
a Nemanicz w czarną ziemię patrzy.
Gdy z nim wino i wódkę pijali,
każdy z nich się junactwem przechwalał,
każdy chlubił się i klął na Boga:
„miłujemy cię Strachinicz-banie
więcéj niżli całą ziemię naszą“;
a dziś, patrzaj, w nieszczęśliwéj doli
ban żadnego przyjaciela nie ma!
Boć nie żarty to, pójść na Kosowo!

Ban poznawszy, że przyjaciół nie ma.
sam się puścił Kruszewackiém polem.
Wyjechawszy już w szerokie pole,
obejrzał się na Kruszewac biały,
czy szwagrowie się téż nie namyślą,
czy nad szwagrem się téż nie użalą?
Gdy się ujrzał w dzisiejszéj potrzebie,
że nikogo przyjacielem nie ma,
wówczas wspomniał i przypomniał sobie
o swym charcie, lotnym Karamanie,;
co mu milszym był nad siwka nawet
więc zawołał nań z białego gardła.
Charcik biedny, zapomniany w stajni,
posłyszawszy głos pański, poskoczył
i wśród pola wnet dogonił siwka.
Poskakuje przy siwoszu charcik,
aż obróża złota na nim brząka.
Lubując się nim, ban ducha nabrał.

Jedzie daléj ban na koniu siwym,
mija pola i płoniny mija,
aż jak stanął na Kosowém polu
i moc wojska ujrzał na Kosowie,
ban na razie zatrwożył się nieco;
lecz przyzwawszy Boga prawdziwego,
wprost się puścił między hordy Turków.
Ban rozjeżdża po Kosowém polu,
rozjeżdża ban na wsze cztery strony,
poszukując zbója Włach-Aliję.
lecz go nigdzie napotkać nie może.
Spuścił się ban ku wodzie Sitnicy
I natrafił tam na dziwo jedne (**):

(*) „W czarną ziemię patrzą“, jest wyrażeniem obrazowém bardzo pospolitém w pieśniach serbskich, zamiast spuścił oczy ze wstydu lub bojaźni. — (**) Chociaż to, co się natychmiast opisuje, żadnym dziwem nie jest, umyślnie przełożyłem dosłownie wyrażenie oryginału, jako wzór przesadnego stylu pieśniarskiego w serbskiéj poezyi ludowéj.

po nad brzegiem téj wody Sitnicy
jakiś namiot zielony tam stoi
i szeroko rozsiadł się na polu.
Na namiocie błyszczy jabłko złote
i świeci się jak żarzące słońce;
przed namiotem dzida w ziemię wbita,
a u dzidy wrony koń uwiązan,
głową raz wraz torbę z owsem miota,
grzebiąc nogą, to lewą to prawą.
Ban Strachinicz, kiedy to obaczył,
jął miarkować i tak się domyślać,
czy nie Włacha Aliji to namiot?
Więc na siwka poskoczywszy naprzód,
zrzucił junak z za ramienia dzidę,
odchylił nią połę od namiotu
i zagląda, kto tam jest w namiocie?
Aż to nie był ów zbój Włach-Alija,
tylko siedział jakiś derwisz stary,
z brodą białą do samego pasa.
Z nim nikogo nie ma pod namiotem,
bo biédakiem jest nieszczęsny derwisz.
Turczyn winem raczy się z puhara,
sam nalewa i sam na sam pije.
Poczerwieniał derwisz aż po oczy.

Skoro go ban Strachinicz obaczył,
po turecku pozdrowił selamem.
Derwisz pjaném mierząc go spojrzeniem,
złowrogie mu powitanie bąknął:
„bodajś zdrów był, dzielny Strachiń-banie
z małéj Bańskiéj około Kosowa!“
Ban zapłonął, przerażony srodze,
po turecku jednak odpowiedział:
„hej derwiszu,—biada twojéj matce!
po co pjesz, na co się tak spijasz,
że aż pjany szpetne rzeczy pleciesz
i prawego Turczyna zwiesz giaurem?
Co ty bajesz o jakimś tam banie?
Nie jestem ja banem Strachiniczem,
tylkom carski mołojec prawdziwy.
Luźne konie carskie się zerwały
i rozbiegły się po całém wojsku,
więc mołojcy, rzucili się żwawo
i carowi pierzchłe konie łowim.
Gdybym ja przed carem lub wezyrem
twoje własne chciał powtórzyć słowa.
to choć stary, skosztowałbyś biédy“.
Derwisz się na całe gardło rozśmiał:
„hej mołojcze, banie Strachiniczu!
wiész co banie?—niech cię bieda nie zna!—

gdybym cię dziś na Golecz-płoninie
spotkał nawet po środku wojsk carskich,
tobym poznał wnet ciebie i siwka
i twojego charta Karamana,
milszego ci nawet nad siwosza.
Wiész co banie z małéj Bańskiéj ziemi?
poznaję cię po twém własném czole,
a pod czołem po parze twych oczu
i poznaję cię po wąsach czarnych.
Wiesz-li banie?—niech cię licho nie zna!—
Raz w mém życiu popadłem w niewolę:
pandury mnie twoje pochwyciły
nad Sucharą, w górze na płoninie
i gdy w twoje oddali mię ręce,
tyś mnie wrzucił na dno do ciemnicy.
Tam zamknięty, cierpiałem w niewoli,
biédny więzień, przez dziewięć lat całych.
Dziewięć przeszło, dziesiąty rok nadszedł;
wówczas, banie, tyś się ulitował.
przywołałeś Rada, stróża więźniów,
kazałeś mu ciemnicę otworzyć
i do siebie przywieść mnie w podwórzec.
Pamiętasz-li, banie Strachiniczu,
jakeś ty mnie wówczas dopytywał:
„„nędzny rabie mój, turecka żmijo,
co przepadasz tu w mojéj ciemnicy!
czybyś nie mógł wykupić się, rabie?““
Tyś mię pytał, a jam prawdę wyznał:
„„mógłbym ci się z żywotem wykupić,
gdybym dostał się do mego domu,
w ojcowiznę, kędym się urodził.
Mam ci ja tam i gotówki nieco,
majętności mnogie i dzierżawy,
to mógłbym ci zdobyć się na okup;
lecz ty, banie, wierzyć mi nie zechcesz
i nie puścisz do białego dworu (*).
Dam ci za się zastaw najpewniejszy:
jednym będzie sam Bóg nasz prawdziwy,
drugim będzie przysięga ma święta,
że ci okup sam przyniosę wiernie““.
A tyś, banie, dał mi wówczas wiarę
i puściłeś do białego dworu
w ojcowiznę, gdziem się był narodził.
Gdym do biednéj ojcowizny wrócił,
widzę, sroga ją przygniotła klęska:
na me dwory, kędym się urodził,
na me dwory zaraza napadła,
wymorzyła co męzkie i żeńskie,

(*) „Dwór biały“ i „dwory białe“ używa się stale w pieśniach serbskich, zamiast dom.

przy ognisku żywéj duszy nie ma;
dworzy mi się w pustki obróciły,
pustką stojąc w gruzy się rozpadły,
a na gruzach dzikie bzy porosły.
Com miał jakie dobro i dzierżawy,
rozszarpały to w dziedzictwo turki.
Kiedym ujrzał moje dwory w gruzach,
sam bez grosza i bez przyjaciela,
pomyślawszy, na jednom się ważył:
pochwyciłem ja pocztowe konie
i ruszyłem do Jedrenu grodu,
do caram się udał i wezyra.
Widzi wezyr i carowi doniósł,
co za junak jestem do majdanu;
więc odziały mnie wezyry carskie,
odziano mnie i namiot mi dano.
Car darował wrońca od majdanu
i broń świetną ze swojéj zbrojowni;
zapisały mnie wezyry carskie
na wojaka carskiego na wieki.
Ty zaś banie pewno dziś przychodzisz
o swój dług się upominać u mnie,
lecz ja, banie, ni denara nie mam.
Strachiniczu,—bodajś biedę spotkał!—
po co wlazłeś między wojska carskie
na Kosowo, by tu marnie zginąć?"

Widzi to ban i derwisza poznał,
więc z siwosza, swego konia, zsiada
i starego derwisza obejmie:
„Bogiem bracie, ty derwiszu stary!
cały dług mój chętnie ci daruję.
Nie żądam ja, bracie, ni denara;
nie mojego długu ja tu szukam,
tylko szukam zbója Włach-Aliji,
który dwory moje w gruzy zburzył,
który lubę moję sobie porwał.
pokażże mi, ty derwiszu stary,
Pokażże mi tu mojego wroga;
przytém jeszcze raz ciebie bratymię,
nie wydaj mnie tureckiemu wojsku,
by mnie Turcy żywcem nie schwytali".
Na to derwisz Bogiem się zaklina:
„Sokole ty, banie Strachiniczu!
mocniejszą jest wiara ma od skały:
gdybyś dzisiaj dobywszy szablicy,
wyrąbał nią połowę wojsk carskich,
to i wtedy ciebie bym nie zdradził
i twojego chleba nie podeptał.
Kiedy więźniem twym w ciemnicy byłem,

tyś mnie dosyć swém napoił winem
i swym białym chlebem nakarmiłeś
i słoneczkiem odegrzéwał często,
gdyś swobodę dawał mi na wiarę,
ani razu wiarym ci nie złamał;
długu-m, prawda, nie spłacił,—bom nie mógł.
Więc odemnie niczego się nie bój.
A co widziéć chciałeś i mnie pytasz
o możnego Turka Włach-Aliję,
to on biały namiot swój rozłożył
na Goleczu, wysokiéj płoninie.
Lecz ci wiernie radzić będę, banie:
wsiądź na siwka i uchodź z Kosowa,
bo na pewno zginiesz tutaj marnie.
Sobie tutaj za nadto nie ufaj,
ni ramieniu, ni ostréj szablicy,
ani swojéj téj zatrutéj kopii.
Na płoninę chce ci się, do Turka?
dostaniesz się,—lecz okrutnie wyjdziesz:
razem z koniem i orężem twoim
żywego cię do rąk tam pochwycą,
tuż żywemu ręce ci połamią
i żywemu wyłupią ci oczy".
Roześmiał się na to ban Strachinicz:
„Bogiem bracie, ty derwiszu stary!
nie użalaj się nademną, bracie,
tylko wojskom tureckim nie wydaj".
Turczyn mu się powtórnie zaklina:
„Wysłuchaj mnie, dzielny Strachiń-banie!
mocniejsza ma wiara od kamienia:
gdybyś dzisiaj, rozjuszywszy siwka,
szablicę swą ostrą tuż wydobył
i pół wojska carskiego nią wysiekł,
to i wtedy ciebie bym nie zdradził
i Turkom cię nie wydałbym za nic!"
Po rozmowie ban odjeżdża rano
i z siwosza zwróciwszy się, pyta:
„o mój bracie, staruszku derwiszu!
poisz konia rano i wieczorem,
poisz konia na wodzie Sitnicy,
więc mi poradź i ukaż po prawdzie
gdzie są brody na téj wodzie zimnéj,
żebym konia mego nie utopił?"
A derwisz mu po prawdzie odrzecze:
„Strachiń-banie, serbski ty sokole!
dla twojego konia i junactwa
tam bród wszędy, gdzie nad wodą staniesz".

Ban się kopnął i w bród wodę przebył,
potém ruszył na swym koniu siwym,

ruszył prosto na Golecz-płoninę.
Jedzie dołem, a słoneczko z góry
całe pole Kosowo oświeca
i oświeca całe wojska carskie.
Lecz patrzcie-no zbója Włach-Alija!
Przez całą noc Strachinicza lubę
na płoninie pod namiotem pieści.
Ale Turczyn brzydki zwyczaj miewał,
lubił zaspać każdego poranka,
choć już słońce z wysoka dogrzéwa.
Zamknął oczy i śpi sobie słodko.
Upodobał sobie nową brankę,
brankę miłą, Strachinicza lubę,
na kolanach jéj więc głowę złożył.
Ona tuli mocarza Aliję
i przez poły otwarte namiota
rozgląda się po Kosowém polu,
po tureckich rozgląda się wojskach.
Tu namioty, jakie są, przegląda,
tam się w konia lub w junaka wpatrzy;
naraz oczy gdzie indziéj zwróciła
i spojrzawszy w dół Golecz-płoniny,
obaczyła junaka na koniu.
Wpatrzywszy się i dobrze przyjrzawszy,
wnet Turczyna dłonią uderzyła,
uderzyła go w policzek prawy,
uderzyła i tak nań zawoła:
„*Gospodaru*, mocny Włach-Alijo!
wstawaj żywo,—bodajś nie dźwigł głowy!
prędko pasem wzorzystym się opasz,
chwytaj na się oręże twe jasne,
bo nadjeżdża ku nam ban Strachinicz,
więc i tobie on tu zetnie głowę,
i mnie razem oczy powydziera“.
Spłonął Turczyn, jako ogień żywy,
spłonął Turczyn, lecz rzuciwszy okiem,
Turczysko się na głos roześmiało:
„duszko moja, Strachinicza lubo!
jakżeż się ty zlękłaś tego właszka!
jakiegoż on strachu ci napędził!
Czyż ci przy mnie i w Jedrenie nawet
ban się będzie jeszcze przewidywał?
Toż to nie jest żaden ban Strachinicz,
tylko jakiś delibasza carski.—
Car go z czémeś do mnie tu przysyła,
albo sam car, albo wezyr Mehmed.
Car mnie pewno do pokory wzywa,
bym mu wojska jego nie rozpędził.
I wezyry carskie snać się boją,
bym szablicą czasem ich nie skropił.

Lecz ty patrzaj tylko, co to będzie
i niczego nie lękaj się duszko.
Jak wyciągnę ja mą szablę ostrą
i carskiego utnę delibaszę,
to drugiego niech już do mnie nie szle."
Lecz mu luba Strachinowa swoje:
„*Gospodaru*, silny Włach-Alijo!
czyż nie widzisz? bodaj ci wypadły!
toż to nie jest ci mołojec carski,
lecz to mąż mój jest, sam ban Strachinicz.
Poznaję go dobrze ja po czole
i po oczach obojgu pod czołem
i po własnych jego wąsach czarnych;
poznaję go po tym siwku w jabłka
i po płowym charcie Karamanie.
Nie żartuj-że z głową, *gospodaru*!"

Gdy to słyszy Turek Włach-Alija,
aż osłupiał Turczyn z przerażenia;
więc się zerwał na lekkie swe nogi,
prędko pasem wzorzystym opasał,
puginały ostre za pas włożył
i szablicę przypasał do boku,
a na wrońca raz po raz pogląda.
A tymczasem i ban tuż się zjawia.
Mądry był ban, lecz tu sprawę popsuł:
ani rano dzień-dobry nie rzecze,
ni tureckim pozdrowił selamem,
tylko szpetnie łży go temi słowy:
„A tuś mi ty? bękarcie ty jeden!
ty, bękarcie, podły chanie carski!
A czyjeś to poburzył ty dwory?
a komuś to niewolników pobrał?
czyją lubę pieścisz pod namiotem?
Wychodźże mi na majdan junacki!"
Skoczył Turczyn, jakby opętany;
raz pokroczył i już jest przy koniu,
znów krok zrobił — już na koniu siedzi
i oba mu cugle ręką ściągnął.

Lecz Strachinicz ban już nie wytrzymał,
więc na Turka pierwszy siwkiem natarł
i bojową dzidę w niego puścił.
Ale junak na junaka trafił:
Włach-Alija rękę wprzód wyciągnął
i schwyciwszy rzuconą nań dzidę,
tak do bana z urąganiem rzecze:
„bękarcie ty, banie Strachiniczu!
cóż to, własku, ty sobie myślałeś,

że to tobie Szumadijskie (*) baby
krzykiem tutaj straszyć i rozganiać?
Masz ty sprawę z silnym Włach-Aliją,
co ma cara za nic i wezyra,
a to wojsko carskie ze wszech ziemi,
całe jak jest, tyle u mnie znaczy,
ile mrowie to w zielonéj trawie.
A tyś ze mną na majdan się porwał!“
To mu rzekłszy, dzidę w niego puścił,
chcąc od razu srogi cios mu zadać.
Lecz Bóg pomógł Strachinicz-banowi,
że miał siwka konia od majdanu;
więc gdy dzida świsnęła w płoninie,
sokół siwek przypadł na kolana,
dzida nad nim przeleciała górą
i o kamień zimny uderzywszy,
rozstrzaskała się na trzy kawały:
tuż przy jabłku (**) i przy tylnym końcu.

Po skruszeniu téj dzidy bojowéj,
buzdygany pierzaste porwali:
jak uderzył silny Włach-Alija,
jak uderzył bana Strachinicza,
to go z siodła wysadził odrazu
i powalił aż na uszy siwka.
Lecz Bóg chronił bana Strachinicza:
ma on siwka, konia od majdanu,
jakiego dziś żaden Serbin nie ma,
ani Serbin, ani Turczyn żaden.
Jak w tył głową rzucił z całéj siły,
tak znów pana na siodle usadził.
Jak uderzy teraz ban Strachinicz
złego smoka, zbója Włach-Aliję,
choć go z siodła wysadzić nie zdołał,
lecz z nim wrońca po same kolana
w ziemię wtłoczył na wsze cztéry nogi.
Połamali piórne buzdygany,
połamali i poodrzucali,
a za ostre pochwycili szable,
by junacki majdan daléj dzielić.

Wartoż widziéć bana Strachinicza!
ma u pasa, powiadają, szablę,
którą kuło dwóch kowali naraz,
dwóch kowali i dwóch czeladników
od niedzieli do drugiéj niedzieli.
Z czystéj stali szablę mu ukuli

(*) Szumadya, okolica Serbii między rz. Kołubarą i Morawą. — (**) Gałka po środku rzewca.

i straszliwe wyciągnęli ostrze.
Turczyn zaciął, a ban się zasłaniał;
swoją szablą jego szablę odbił
i odrazu przeciął ją na poły.
    Spostrzegł to ban i tém ucieszony,
stąd i z owąd naskakuje wściekle,
żeby prędzéj głowę mu usiekać,
lub choć rękę skaleczyć Turkowi.
    Ale junak na junaka trafił;
bo swéj głowy Turek nie dał dotknąć,
ani ręki nie dał sobie zranić,
tak się bronił swą połówką szabli:
tą połówką wywijając zręcznie,
kark zasłania od srogiego ciosu
i zarazem szablę bana łupie,
że wciąż kawał po kawałku pryskał.
Obie szable zsiekali do szczętu,
aż po same rękojeści prawie.

    Więc te szczątki cisnąwszy od siebie,
zeskoczyli oba z dziarskich koni
i za białe porwawszy się gardła,
tak się wodzą dwa smoki okrutne
po Goleczu, po równéj płoninie.
    Wodzili się letni dzień do pół dnia,
aż się w końcu Turczyn pienić począł
pianą białą, jak śnieg nowy w lesie,
a Strachinicz białą zakrwawioną;
obryzgał nią odzienie na piersiach,
i zabroczył buty swe obadwa.

    Dokuczyła walka ta banowi,
więc zawoła, szamocąc się z Turkiem:
    „Lubo moja, niech cię Bóg zabije!
    'kiego licha wyglądasz w płoninie?
    porwij lepiéj jaki kawał szabli
    i przebij nim mnie albo Turczyna,
    wybierz lubo, kogo sobie wolisz."
Na to Turczyn wściekle się odezwie:
    „duszko moja, Strachinicza lubo!
    nie przebijaj mnie, lecz Strachinicza,
    wszak mu nigdy miłą już nie będziesz;
    on do śmierci będzie ci wyrzucać,
    wypominać rano i wieczorem,
    żeś ty u mnie była pod namiotem.
    Mnie zaś miłą zostaniesz na wieki:
    zawiozę cię do Jedrena grodu,
    wyznaczę ci służebnic trzydzieści
    do trzymania pół twych i rękawów,
    karmić będę miodem i cukrami,

dukatami całą cię obszyję
z wiérzchu głowy do zielonéj trawy;
przebij tylko bana Strachinicza!“
Rzecz to łatwa, przekupić niewiastę:
więc skoczyła lekko, jak szalona
i znalazłszy ułamek szablicy,
obwinęła haftowaną chustką,
by swéj rączki białéj nie skaleczyć
i lata z nim z téj i z owéj strony.
Szczędzi głowę Turka Włach-Aliji,
a ugodzi swego gospodara,
gospodara, Strachinicza bana
w samo ciemię, u pokrętnéj (*) kity,
a przez zawój białego turbana.
Przecięła mu kitę pozłocistą,
przecięła mu cały turban biały
i zraniła głowę junakowi.
Krew junacka na twarz mu chlusnęła,
o mało mu oczu nie zaleje.

Przeraził się mocno ban Strachinicz,
że ma zginąć marnie, jak szaleniec.
Lecz w tém sobie naraz coś przypomniał
i na całe gardło białe krzyknął
na swojego charta Karamana,
tak, jak go był na łowach nauczył.
Raz i drugi krzyknął ban na niego,
aż chart skoczył i w lot dosadziwszy,
lubę bana zębami uchwycił.
Że niewiasta każda jest lękliwą,
lękliwszą jest każda od szczenięcia,
więc kęs szabli odrzuciwszy w trawę,
wrzasła strasznie, aż daleko słychać,
porwie charta płowego za uszy
i szamoce się z nim po płoninie.
Turczynowi oczy chcą wyskoczyć,
tak kochanki żal mu opadniętéj,
więc tam patrzy, co się téż z nią stanie?
Wtém ban w sobie nową siłę poczuł,
nową siłę i serce junackie;
więc zatoczy w tę i w drugą stronę,
aż Turczyna w końcu z nóg obalił.
Wtedy ban już tak był rozjuszony,
że nie szukał żadnego oręża,
tylko gardło Turkowi naprężył
i w gardło mu wpiwszy się zębami,
zagryzł go tak, jak wilk jagnię zgryza.

(*) „Čekrk-čelenka“, ozdoba często wspominana w pieśniach junackich, jest to kita u kołpaka, zwykle złocista, osadzona tak, że w swéj osadzie kręci się jak chorągiewka.

Powstał ban i całém gardłem krzyknie
na płowego charta, nawołując,
aż wyzwolił od niego swą lubę.
Rzuciła się luba po płoninie
i do Turków ucieka przed banem;
lecz jéj nie dał uciec ban Strachinicz,
tuż pochwycił ją za białą rękę,
i powrócił z nią do swego siwka.
Sam na barki wskoczył siwoszowi,
potém lubę wciągnął po za siebie
i popędził ban, w bok się rzuciwszy,
potém w poprzek tędy i owędy,
aż wywinął się z pomiędzy Turków
i oparł się aż w Kruszewcu równym,
aż w Kruszewcu, w swojéj teściowiźnie.

Zdala ujrzal go Jug Bogdan stary,
a spotkało dziewięć szwagrów miłych.
Ręce szerzą (*), w twarze się całują,
o dobre się wypytali zdrowie.
A gdy stary Jug Bogdan obaczył
kitę zięcia i zranioną głowę,
łzami zalał swe oblicze pańskie:
„Bodajś wesół był w naszéj dziedzinie!
cóż to? i car turecki u siebie
ma, jak widzę, nie lada junaka,
co potrafił zranić mego zięcia,
któremu dziś równego nie znaleść.
Przeraziło to i szwagrów również.
Lecz Strachinicz ban przemówił na to:
„nie martw się ty napróżno, mój teściu,
ani wy się lękajcie, szwagrowie;
nie ma tam car takiego junaka,
coby mógł mnie pokonać lub zranić.
Powiem ja wam przez kogo zraniony,
i czyja mnie ugodziła ręka:
Oto kiedym majdan dzielił z Turkiem,
o mój teściu, stary Jug Bogdanie,
wtedy luba moja mnie zraniła,
moja luba, twoja córka miła,
nie mnie broniąc lecz tego Turczyna.“
Wspłonął stary Jug, jak płomień żywy
i krzyknął już na dziewięciu synów:

(*) To jest obejmują w otwarte ramiona. Chociaż nie gładko po polsku, lecz umyślnie przetłómaczone są dosłownie te dwa wiersze, dla oddania w całém oryginalném brzmieniu tego obrazu, stereotypowo powtarzanego często w pieśniach serbskich:

„ruke šire, u lica se ljube,
za lako se upitaju zdravlje.“

„dziewięć nożów zaraz mi pochwyćcie
i w kawałki rozpłatajcie sukę!“
Silni chłopcy posłuchali ojca
i rzucili się na swoję siostrę;
lecz Strachinicz ban im nie pozwolił
i do szwagrów przemówił w te słowa:
„Szwagry moje, dziewięć Jugowiczów!
po co, bracia, tak się dziś hańbicie?
na kogoż to dobyliście noże?
Jeśliście wy tacy dziś junacy,
to gdzie noże mieliście i szable,
gdym was z sobą wzywał na Kosowo,
by na Turkach junactwo pokazać
i w potrzebie stanąć mi na pomoc?
Nie dam tedy wam dziś siostry karać.
Przecież bez was mógłbym ją sam zgładzić,
leczbym przez to zgładził teściowiznę (*)
i nie miałbym z kim się wina napić;
więc ja wolę przebaczyć méj lubie.“
Mało dziś jest podobnych junaków,
jakim niegdyś był ów ban Strachinicz!

(*) T. j. związek z teściem i jego rodziną.





PIOTR JÓZEF PROUDHON.

MUTUALIŚCI, FEDERALIŚCI I T. D.

(Dokończenie.)

II.

Zasadnicza myśl Proudhona.—Wzajemność.—Umowa.—Z prawa do pracy wynika prawo do kredytu.—Organizacya kredytu.—Taniość kredytu nie rozwięzuje kwestyi społecznéj. Scentralizowanie i uprzystępnienie kredytu.—Organizacya wymiany.—Uwagi Modola.—Pieniądze.—Rewolucya.—Stowarzyszenie.—Ekonomizm i socyalizm.—Własność ziemska. Równowaga społeczna.—Równość.—Mierny stan jest stanem normalnym.—Mutualiści francuscy.—Ruch spółdzielczy.—Mutualiści na kongresach Stowarzyszenia Międzynarodowego i w komunie paryskiéj.—Pisarze mutualistyczni.

Wśród rozmaitych sprzeczności i niekonsekwencyi, w pomysłach ekonomicznych Proudhona snuje się wszakże jedna myśl, która pod rozmaitemi nazwami i formami wynurza się prawie we wszystkich jego dziełach. Jest to myśl wzajemności (*mutualité* od *mutuum*), którą najlepiéj uwydatnił w swojém dziele: „*Contradictions économiques*". Autor widzi w społeczeństwie same sprzeczności, które można pogodzić formułą zrównania. Formułą tą jest teorya wzajemności, „synteza dwóch idei: własności i spólności; synteza równie dawna jak pierwiastki ją składające, ponieważ niczém inném nie jest, jeno powrotem społeczeństwa, przez labirynt pomysłów i systematów, do praktyki pierwotnéj, jeno wynikiem tysiącoletniego rozmyślania nad zasadniczém założeniem, A równa się A" (1).

Wzajemna wymiana usług powinna być dobrowolna, a więc ma się opierać na umowie, która powinna być fundamentem organizacyi, tak ekonomicznéj jak politycznéj. Proudhon więc, pomimo że sponiewierał Rousseau'a, bierze dwie zasadnicze jego myśli:

(1) Système des contradictions économiques. II. str. 528.

umowę i federacyą, która jest także przejawem tylko umowy. Umowa stała się kamieniem węgielnym wszelkich poglądów Proudhona. Na jéj podstawie—jak widzieliśmy—wyrasta najwyższa jego idea: Sprawiedliwość.

Podjąwszy—jak sam powiada—dzieło Saint-Simona, Fourier'a, L. Blanc'a, stara się wyciągnąć z ich pracy ostateczny wniosek. Formuła L. Blanc'a: organizacya pracy zamieniła się w prostszą: prawo do pracy. Niech więc ona będzie punktem wyjścia. Prawo do pracy koniecznie przypuszcza poprzednie prawo do używania narzędzi pracy, bez których robotnik nie może pracować. Same jednak narzędzia pracy nie wystarczają. Ażeby robotnik mógł pracować, potrzebuje on jeszcze materyału. Prawo do pracy znaczy więc także prawo do materyału, potrzebnego do pracy. Lecz jakaż byłaby dla robotnika korzyść z pracy, gdyby miał tylko prawo do części produktu wypracowanego przez siebie, nie zaś do całości jego? Prawo do pracy prowadzi więc koniecznie do prawa posiadania w całości wytworu swéj pracy. Robotnik jednak, dla utrzymania swego, potrzebuje rozmaitych przedmiotów; musi więc za swój produkt otrzymywać wytwory innéj pracy. Bez możności wymiany, prawo do pracy byłoby fikcyą, złudzeniem. „Zanim więc robotnik mógłby korzystać z wytworu swéj pracy, otrzymuje on—powiada Proudhon—od społeczeństwa: narzędzia pracy, materyał potrzebny, własność produktu, wymianę, które mu ono poręcza, daje naprzód, czyli—mówiąc językiem technicznym—kredytuje. Wywiązuje się z tego następująca formuła:

$$\text{Prawo do pracy} = \left\{\begin{array}{l}\text{Prawo do narzędzi}\\ \text{Prawo do materyału}\\ \text{Prawo do wytworu}\\ \text{Prawo do wymiany}\end{array}\right\} = \text{Prawo do kredytu"}\ (1).$$

Daléj prawo do pracy pociąga za sobą obowiązek pracy, a więc również prawo do kredytu—obowiązek kredytu, a wynikiem tego jest wzajemność kredytu (*réciprocité du crédit*). Kredyt w stosunkach prywatnych przejawia się jako pożyczka; w stosunkach społecznych—jako wzajemność, wymiana.

„Kredyt w narodzie, który oddaje się pracy, jest to samo co obieg krwi w zwierzęciu; jest organem odżywiania się, życiem samém. Ustawać on nie może, bez niebezpieczeństwa dla ciała społecznego. Jeżeli prawodawcom, po obaleniu praw feudalnych i zniwelowaniu klas, należałoby zwrócić uwagę na jaką instytucyą przed wszystkiemi innemi, to z pewnością na kredyt" (2). Dobra organi-

(1) T. XVIII. str. 36 i 37. (2) Idée génerale de la révolution, str. 49 i 50.

zacya kredytu jest to kardynalna, najgłówniejsza reforma społeczna, która sama sprowadzi dobrą organizacyą wytwarzania i spożycia. Z początku Proudhon mówił o możności bezpłatnego i dostępnego dla wszystkich kredytu; następnie jednak, przeszedłszy próbę banku ludowego, mówił o kredycie tylko możliwie najtańszym i rozróżniał kredyt osobisty od rzeczowego.

Niezawodnie kredyt można uczynić tańszym i przystępniejszym; niezawodnie, im kredyt tańszy, tém bardziéj zmniejsza lichwę, tém bardziéj sprzyja produkcyi;—ale sama taniość kredytu nie jest w stanie ani zapewnić wszystkim zarobku ani zapobiedz wyzyskiwaniu. Takie kasy zaliczkowe Schulze-Delitsch'a, takie związki pożyczkowe Raiffeisen'a, chociaż obniżyły ogromnie procent od pożyczki, chociaż ogarnęły wielką liczbę osób (1) nie osiągnęły celu oczekiwanego przez Proudhona od kredytu.

W jaki sposób Proudhon mniemał zorganizować kredyt, ażeby był on najtańszy i najprzystępniejszy dla wszystkich? W „*Solution du probléme social*" uważał za pierwszy, niezbędny warunek takiego kredytu jego bezpośredniość i powszechność. W tym celu zalecał on w banku, którego akcyonaryuszami byliby wszyscy wytwórcy, a więc całe społeczeństwo, scentralizować wszystkie operacye handlowe; tj. weksle i trety, przedstawiające wytwory już sprzedane, zamieniałyby się w nim na obligacye papierowe odpowiedniéj wartości. W ten sposób można będzie obniżyć stopę procentową do ½ lub ¼ centima tj. pobierać ściśle taką kwotę, jaka okaże się potrzebną dla opłaty kosztów administracyi i zużycia metalów. Byłby to początek radykalnéj zmiany stosunków ekonomicznych. „W tym dniu, w którym zadekretujecie zdemokratyzowanie banku i zniżenie procentu — powiada autor — wejdziecie na drogę rewolucyjną" (2). Czy jednak istotnie tak by było? Pomijając niebezpieczeństwa, grożące istnieniu takiego banku, a które zmuszają Proudhona na samym już wstępie do orzeczenia, że będą przyjmowane papiery handlowe tylko pierwszéj watości tj. pewne i wypłacalne, wypada zauważyć, że taki bank przyniósłby największą korzyść klasie kupieckiéj, daléj zakładom wytwórczym (fabrykom, warsztatom itd.), ale prawie żadnéj robotnikom, którzy prócz własnéj pracy nic do sprzedania nie mają. Ułatwienie wymiany przytém nie zapobiegłoby nadprodukcyi w pewnych gałęziach przemysłu, a więc zawieszaniu pracy i obniżaniu zarobku.

---

(1) Podług sprawozdania z 1885 r., kasy zaliczkowe w Niemczech doszły do liczby 3224 i miały członków 451800. — (2) Ideé. str. 201.

Ułatwienie wymiany przedewszystkiém wyszłoby na korzyść téj klasy i tego zawodu, które u socyalistów niemal powszechnie nie miały względów. Uznawszy wymianę za najważniejszy czynnik ekonomiczny, Proudhon stara się podnieść także znaczenie społeczne handlu i stanu kupieckiego. Handel—podług niego—nie tylko jest wymianą wytworów, ale sam jest wytwórcą bogactwa. W obecnych jednak stosunkach wzbogaca więcéj jednostki, niż społeczeństwo. Przyczyną tego dowolność cen, frymarczenie, ażiotarstwo. Pod nazwą *ażio* Proudhon rozumie zysk, przewyższający koszta wytworu i zarobek prawowity kupca. Ażio, równoznaczne ze złodziejstwem, jest następstwem niepewności i nierówności w stosunkach handlowych. Zaprowadzenie równości w handlu przyczyniłoby się ogromnie do rozwoju społecznego: „nastąpiłby olbrzymi postęp w sprawie zrównania majątkowego“ (1).

Lecz Proudhon czuł, że wymiana w takim razie musi zmienić swój charakter: zamiast wymiany rzeczowéj, wymiany przedmiotów, powinna ona stać się rzeczywistą wymianą usług, czyli raczéj pracy. Stoją temu na zawadzie dwa główne warunki: trudność ocenienia wartości pracy w wytworach wymiennych i samoistna wartość środka zamiennego, pieniędzy metalicznych. Gdyby na wytwór pewnego przedmiotu spożywczego składała się jedna osoba, lub przynajmniéj jedna kategorya osób, to dałaby się oznaczyć jego wartość, na podstawie użytéj pracy, chociaż nie bez ogromnéj trudności. Lecz rzecz przedstawia się bardziéj skomplikowaną. Zwykle wytwór, poszukiwany przez spożywcę, przechodził przez ręce kilku kategoryi wytwórców. Weźmy np. chleb. W każdym jego bochenku mieści się praca rolnika, młynarza i piekarza. Sprzedając chleb, piekarz bierze nie tylko wartość swojéj pracy, ale także wartość pracy młynarza i rolnika. Przy tém nagromadzeniu wartości, może sobie doliczać pewnę przewyżkę i prawdopodobnie ją dolicza. Jakże temu zapobiedz? Trzeba rozdzielić zawarte w jednym przedmiocie wartości pracy oddzielnych wytwórców, a to może się odbyć—zdaniem Proudhona—w następujący sposób. Rolnik, dostarczając zboże młynarzowi, kredytuje mu tylko poniesione przez siebie koszta rolnicze; młynarz kredytuje piekarzowi koszta tylko mléwa; piekarz kredytuje spożywcy koszta tylko pieczenia chleba. Spożywca płaci więc tylko za pracę piekarza. Pomijając to, że autor nie daje jasnego tłómaczenia, kto zapłaci za pracę młynarza i rolnika, wypada jeszcze zapytać, w jaki sposób rolnik zwróci sobie koszta kupna gruntu, inwentarza, narzędzi? Czy młynarz nic nie ma rachować so-

(1) De la Justice etc. I. str. 311.

bie za kupienie, lub wystawienie młyna? Kto zapłaci piekarzowi wydatki ogólne (*frais généraux*), połączone z pieczeniem chleba (urządzenie pieca, opał, światło itd.)? Idźmy daléj za wątkiem myśli naszego autora. Do piekarza przychodzi roznosiciel, kwituje go za wykonaną jego pracę (kwitować zawsze śmiało może, bo kwitu sam nie płaci), zabiera chleb i odnosi takowy do domu spożywców, którzy w ten sposób otrzymują chleb łatwiéj i taniéj, bo płacą tylko za pracę roznoszenia. Czy nie ułatwiłoby to licznym pasorzytom wyzyskiwanie społeczeństwa, z zachowaniem wszelkich pozorów wykonywania pracy? Projekt proudhonowski banku zamiennego, w porównaniu do stowarzyszenia pracy wymiennéj Owena, do angielskich *equitable-labour-exchange bazars*, które pochłonęły ogromne kapituły i pobankrutowały, przedstawia się jako mniéj racyonalny, więcéj skomplikowany i zgoła niepraktyczny. Sama myśl instytucyi zamiennéj, bez pośrednictwa pieniężnego, nie była—jak widzimy—nowa, a z listu Modola do Proudhona w maju r. 1848 pisanego, dowiadujemy się, że przemysłowcy francuscy nosili się także z podobnemi pomysłami. W liście Modola zawierają się bardzo słuszne uwagi. Instytucya zamienna, w rodzaju projektowanéj przez Proudhona, przyczyniłaby się ogromnie—zdaniem Modola—do rozszerzenia zakresu pracy, ale nie zapobiegłaby złym i zgubnym skutkom walki konkurencyjnéj; praca odbywałaby się zawsze na ślepo, a więc z mniejszą, lub większą zatratą korzyści, tak dla samego pracownika, jak dla społeczeństwa. O wiele praktyczniejszy od banku ludowego projekt przedstawił Proudhon w r. 1855; był to projekt „Towarzystwa wystawy nieustającéj“, które scentralizowałoby niejako cały handel krajowy.

Co do roli pieniędzy w stosunkach ekonomicznych, to Proudhon odmiennego był zdania w początkowych i w późniejszych swych badaniach. Z początku uznawał on konieczność pieniędzy; w późniejszym jednak czasie stanął w tym względzie na stanowisku socyalistycznćm i przyszedł niemal do tego przekonania, że pieniądze metaliczne są główną przyczyną złego. Największym aktem wielkiéj rewolucyi francuskiéj—podług niego—był dekret Konwencyi z 10 listopada 1793 r., zaprowadzający kult rozumu; największym aktem przyszłéj rewolucyi ma być: „zdemonetyzowanie pieniędzy, ostatniego bożka Absolutu“ (1). Dzięki pieniądzom tylko i procentowi od nich pobieranemu, wytworzyła się fikcya p r o d u k c y j n o ś c i k a p i t a ł u. Hipoteza ta, znajdując poparcie w ustawach, prowadzi do tego, że połowa produktów społeczeństwa, pod nazwą

(1) De la Justice etc. II. str. 132.

renty, dzierżawy, czynszu, procentu, zysku, ażia itd., przechodzi nieustannie z rąk robotniczych do rąk kapitalistów. Są to swego rodzaju prawa feudalne, jakie nadaje własność swoim posiadaczom. „Otóż, twierdzimy—powiada Proudhon—że powszechne zniesienie praw własności, zapewniających panowanie, nastąpi samo przez się, powoli, bez wywłaszczania, bez boju, skoro tylko państwo, podejmując inicyatywę rewolucyi, rozpocznie swoję działalność od zniesienia procentu i od bezpłatnego zorganizowania obiegu i dyskonta“ (1). Czy zniesienie prawne procentu od pieniędzy nie otworzyłoby drogi lichwie bezprawnéj? Procent nie jest ściśle przywiązany do pieniędzy metalicznych; można brać odsetki także przy asygnatach, można pobierać je wreszcie w formie naturalnéj, jako dosypki, dolewki i wogóle wszelkiego rodzaju nadwyżki. Pieniężne dzisiejsze gospodarstwo przytém jest bądź co bądź wyższą formą od poprzedniego naturalnego. Usunąć pieniądze, bez ważnych organicznych zmian w ustroju ekonomicznym, byłoby to samo co cofnąć gospodarstwo na niższy poprzedni stopień rozwoju, zamiast posunięcia go na wyższy.

Wprawdzie—zdaniem Proudhona—najważniejszą rzeczą jest usuwać przeszkody, utworzone przez samychże ludzi, w tym celu ażeby rewolucya, która w jego pojmowaniu jest właściwie tém samém co rozwój, mogła się odbywać swobodnie. Rewolucya polega na tém, że niższy ustrój społeczny zamienia się zwolna na wyższy, doskonalszy. Porządek teokratyczny, czyli kapłański ustąpił miejsca porządkowi feudalnemu, czyli wojskowemu, czy téż rządowemu; wyższym porządkiem od tego ostatniego jest porządek industryalny, czyli ekonomiczny, albo równościowy. Przez porządek industryalny nie należy rozumiéć, ażeby zamiast panowania szlachty i duchowieństwa, miało nastąpić panowanie rolników, przemysłowców, przedsiębierców, właścicieli, robotników; właściwie jest to taka konstytucya społeczna, któréj podstawą, zamiast hierarchii władz, stanie się organizacya sił ekonomicznych.

Na czém polega organizacya sił ekonomicznych? Czy na organizacyi stowarzyszeń? Nie łatwo w tym względzie wyrozumiéć Proudhona. Raz oświadcza się on stanowczo przeciwko stowarzyszeniom, to znowu z wielką siłą przemawia za niemi. Stowarzyszenie—powiada—nie jest żadną siłą ekonomiczną, przeciwnie szkodzi rozwojowi ekonomicznemu, bo ogranicza wolność“ (2), bo praca

(1) T. XVIII. str. 178. — (2) W Manuel du Spéculateur à la Bourse (Cinquième édition. Paris. 1857), powiada: i m człowiek mniéj stowarzyszony, tém swobodniejszy, a więc tém szczęśliwszy“. Str. 213.

tak samo jak miłość wzmacnia się i uświęca przez samotność i t. p. W dalszym jednak ciągu powiada, że tam, gdzie jest wielki podział pracy, gdzie praca gromadzi wielką liczbę robotników, stowarzyszenie jest rzeczą konieczną. W tym wypadku „stowarzyszenie, pod karą niemoralności, tyranii i kradzieży, wydaje mi się — powiada Proudhon — rzeczą zgoła konieczną i słuszną“ (1). Sam pomysł stowarzyszeń—zdaniem jego— „wskazany jest przez wszystkie dążności epoki i przez najbardziéj autentyczne jéj objawy“ (2); a przytoczywszy dla przykładu rozmaite stowarzyszenia, mówi daléj: „przykłady te wystarczą, ażeby pokazać umysłowo najmniéj przenikliwym, sumieniom najtrwożliwszym i najbardziéj uprzedzonym, że myśl ta już dojrzała“ (3).

Liczne sprzeczności w dziełach Proudhona utrudniają jasne określenie jego stanowiska. Kiedy w r. 1849 począł występować w roli socyalisty „*Journal des débats*“, opierając się na „Systemie sprzeczności“, ogłosił artykuł p. t. „*Le socialisme jugé par M. Proudhon*“, w którym przypomniał, że Proudhon sam potępił socyalizm. Cięcie było trafne. Silnie zraniony autor utworzył na poczekaniu nową teoryą, którą zasłaniał się od dalszych razów. Teorya ta dosyć dobrze charakteryzuje go. Ażeby zrozumiéć znaczenie rewolucyi — powiada — badałem wszystkie utopie społeczne, będące w tym czasie w obiegu. „Utopie te dzielą się w naturalny sposób na dwie wielkie klasy: jednę, która żąda wszystkiego dla jednostki, i którą nazwałem e k o n o m i z m e m; drugą, która żąda wszystkiego dla społeczeństwa, i którą nazywam „s o c y a l i z m e m, albo częściéj komunizmem. Starałem się — mówi daléj — wykazać, że utopie te, tak jedne jak drugie, są wyłączne i niewykonalne. „Starałem się je zniweczyć, jednę po drugiéj; utrzymywałem, że socyalizm, utopia spekulacyjna, przydatnym jest tylko jako protest, dobrym jest tylko po to, ażeby przy jego pomocy usunąć utopią rządową“ (4).

Przeciw socyalizmowi pozytywnemu w przekonaniu Proudhona może najsilniéj przemawiało to, że znając dobrze usposobienie włościan francuskich, nie widział możności, by nowa doktryna znalazła pomiędzy nimi wielu wyznawców. Włościanie — mówił — stanowią i zawsze stanowić będą we Francyi rzeczywistą podstawę narodu, główną jego siłę materyalną. Bez włościan nic nie zrobicie, a włościanie nigdy nie zgodzą się na wspólne władanie ziemią. Należy jedynie dążyć do ograniczenia własności ziemskiéj,

---

(1) Idée etc. str. 253. — (2) Société de l'exposition perpétuelle, str. 258; jako dodatek do dziełka: Théor. de la propr. — (3) l. c. str. 259. — (4) XVIII, str. 117.

aby nie mogła ona wyzyskiwać. Da się to zrobić przez przemianę renty w podatek i zniesienie dzierżawy. Rentę ma pobierać gmina. Każdy zaś dzierżawca, płacąc czynsz, tém samém spłaca cenę gruntu posiadanego. Gdy spłaci całkowicie jego cenę, staje się jego posiadaczem, właścicielem zaś zostaje gmina, która pobiera od niego rentę. Takie poglądy Proudhon rozwijał w r. 1851 w swojém dziełku „*Idée générale de la révolution au XIX siècle*" W jego więc mniemaniu, posiadanie ziemi na użytkownictwo było najwłaściwszą formą władania ziemi. W ostatniém swojém dziełku o własności, pisaném w r. 1862 „*Théorie de la propriété*", uwydatnia on wielką różnicę pomiędzy własnością ziemi (*jus utendi et abutendi*) a jéj posiadaniem (*jus utendi, sed non abutendi*). „Powiadam—są to jego słowa — że ten system, który w więcéj lub mniéj wyraźnéj formie panował początkowo u wszystkich ludów, Egipcyan, Arabów, Żydów, Celtów, Germanów, Słowian i samych Rzymian, jest zupełnie racyonalny — mam tu na myśli racyonalność partykularystyczną (*particulariste*) i zgodną z prostym rozsądkiem; wytrzymuje on wszelką krytykę, tak pod względem słuszności, jak ekonomii politycznéj. Jest-to posiadanie ziemi, które cesarz rosyjski, Aleksander II, nadał włościanom wraz z wolnością. Jest to to samo posiadanie, które zmodyfikowane, podług widoków katolicyzmu, tradycyi łacińskich i obyczajów wojennych panowało w średnich wiekach pod nazwą l e n n o ś c i (*fief*)" (1). Zdawałoby się więc, że Proudhon jest zwolennikiem użytkowniczego posiadania ziemi. Gdzie tam! Oświadcza się on przeciwko posiadaniu, a za własnością osobistą, alodyalną — jak powiada (2). Posiadanie — zdaniem jego — sprowadza nieruchomość własności, a więc nieruchomość społeczną, absolutność władzy. Pochwaliwszy poprzednio cesarza Aleksandra II za nadanie własności włościanom w formie posiadania, chwali go daléj za to, że pierwszy wymierzył cios przeciwko słowiańskiéj formie posiadania (?) (3). Własność absolutna jest potrzebna, ponieważ stanowi przeciwwagę absolutyzmowi władzy; jest ona z dążności i charakteru federalistyczna. „Własność, jeżeli ją weźmiemy na początku, jest zasadą błędną sama w sobie i antispołeczną, lecz przeznaczeniem jéj stać się, przez samo upowszechnienie się i poparcie innych instytucyi, osią i główną sprężyną wszelkiego systemu społecznego" (4).

Ekonomia społeczna—w przekonaniu Proudhona — jest nauką równowagi społecznéj, rozległym systematem, który ma na celu

---

(1) Str. 88. — (2) „*Je suis pour l'alleu contre le fief*" — pisał 21 listop. 1861 r. do Grandclément. Correspondance. Tome Onzième, str. 294. — (3) Str. 145. — (4) Str. 208.

zrównoważyć wzajemność pracy i wytworu, podaż i popyt, handel, kredyt, eskontę, ludność, słowem zaprowadzić równowagę we wszystkiém i wszędzie. Prawo równowagi, jest-to „największe — możnaby powiedziéć — jedyne prawo ekonomii politycznéj, ponieważ wszystkie inne są rozmaitemi tylko jego wyrazami“ (1).

Równowaga sprowadzić musi ostatecznie równość. Istotnie, ludzkość dąży ku niéj we wszystkich dziedzinach. Postępuje ona przez przybliżenie *(par des approximations)*:

„1⁰ przybliżenie równości uzdolnienia przez wychowanie, podział pracy, rozwijanie zdolności;

2⁰ przybliżenie równości majątkowéj przez wolność handlową i przemysłową;

3⁰ przybliżenie równości podatku;

4⁰ przybliżenie równości własności;

5⁰ przybliżenie anarchii;

6⁰ przybliżenie nie-religii, czyli nie-mistycyzmu;

7⁰ postęp bezgraniczny w wiedzy, wolności, honorze, sprawiedliwości“ (2).

Równość nie dopuszcza powszechnego zbytku. Nie trzeba się więc łudzić: ogół może żyć tylko w miernym stanie, graniczącym z ubóstwem, i zawsze musi dużo pracować. Ze wzrostem ludności, wzrasta wytwór, ale przytém praca zarobkowa raczéj obniża się, aniżeli podnosi, dzień pracy raczéj przedłuża się, aniżeli skraca. Można jednak w pewnéj mierze powiększyć bogactwo, zatrzymując ludność w téj saméj liczbie; potrzeba w tym celu spełnić trzy warunki: 1) przez wyższą kulturę powiększyć potrzeby; 2) przez doskonalszą organizacyą zaoszczędzić czas i siły robotnika i 3) usunąć pasorzytnictwo. Ogólny dobrobyt wówczas się powiększy, ale zawsze tylko do téj wysokości, która wydaje się być niezbędną. „Warunkiem normalnym człowieka w cywilizacyi jest ubóstwo“ (3). Nie jest on wcale nieszczęściem. Przeciwnie. Nieszczęściem jest pauperyzm, który jest skutkiem nierówności w podziale produktów. Wówczas jedni opływają w zbytkach, drudzy cierpią nędzę, t. j. nie mogą podołać niezbędnym potrzebom życia.

Mutualiści, czyli wyznawcy zasad ekonomiczno-socyalistycznych Proudhona, wystąpili na widownią w r. 1864, kiedy z powodu dodatkowych wyborów do ciała prawodawczego grupa sześćdziesięciu robotników postawiła kandydata także robotnika i ogłosiła przytém swój manifest. Kandydatem był Tolain, dzisiejszy senator.

---

(1) La Guerre et la Paix. II, str. 108. — (2) Théorie de la propriété, str. 242.— (3) La Guerre et la Paix. II, str. 123.

Pomiędzy podpisanymi napotykamy nazwiska: Varlin'a, Fribourg'a, Theisz'a, Avrial'a, Perrachon'a, Murat'a, Camélinat'a i innych, którzy rozwinęli następnie wielką czynność między robotnikami. Zasługa mutualistów dla socyalizmu była wielka: rozbudzili oni na nowo uśpiony ruch robotniczy i wzięli we Francyi inicyatywę w jego dalszym rozwoju postępowym. Wszyscy oni byli zwolennikami Stowarzyszenia Międzynarodowego Robotników i przyłożyli się czynnie do szerzenia filii tego towarzystwa we Francyi. Szczególnie czynnym był Eugeniusz Varlin, z zawodu introligator, który mając zaledwie 32 lata, zginął w krwawym tygodniu komuny. Pamięć jego pomiędzy robotnikami socyalistami jest bardzo ceniona. Mutualiści czynnie się zajmowali organizowaniem kas pożyczkowych, stowarzyszeń spożywczych, tanich kuchni i stowarzyszeń spółdzielczych.

Ruch spółdzielczy, kierowany głównie przez mutualistów, pociągnął ku sobie i innych socyalistów: zwolenników Cabet'a, Lud. Blanc'a, a nawet Augusta Blanqui'ego. Juliusz Vinçard redagował „*Mutualité.*“ Następnie wydawano „*Coopération*“; do redakcyi tego pisma pomiędzy innemi należeli Elizeusz Reclus i pani André Léo. Ruch ten spółdzielczy ogarnął także Belgią, Szwajcaryą, Włochy, po części Niemcy, odbił się nawet pewném echem w naszych krajach. Znalazł on wielkie uznanie u Wiktora Hugo. Dla organizowania stowarzyszeń spółdzielczych zawiązał się komitet, do którego wchodzili pomiędzy innymi: Belluze, zięć Cabet'a, Gustaw Chandey, E. Reclus. Organem urzędowym tego komitetu było pismo, „*l'Association*, *Bulletin international des sociétes coopèratives.*“ Wychodzący w Chaux-de-Fonds (w Szwajcaryi) „G ł o s p r z y s z ł o ś c i“ *(La Voix de l'Avenir)*, organ Stowarzyszenia Międzynarodowego robotników, był jednym z najgorliwszych także propagatorów spółdzielczości. Beluze zorganizował rodzaj banku: *Société du crédit au travail*, który nie długo istniał, ale pomimo to dzielnie przyczynił się do pomnożenia liczby stowarzyszeń spółdzielczych. W r. 1865 liczono już we Francyi samych stowarzyszeń wytwórczych przeszło 50. W tymże roku powstał nowy bank spółdzielczy: *la Caisse d'escompte des associations populaires*. Szczególnie przyjazny dla siebie grunt napotkała spółdzielczość w Lyonie i na południu Francyi (1). Na sierpień 1867 r. był zwołany do Paryża kongres stowarzyszeń spółdzielczych, ale podejrzliwy rząd cesarski nie dopuścił do jego otwarcia. Ruch spółdzielczy miał pomiędzy

---

(1) Patrz dzieło Eugeniusza Flotard'a: „*Le mouvement coopératif à Lyon et dans le midi de la France.*“ (Paris 1867).

ekonomistami także bardzo gorliwych zwolenników, że wymienię Henryka Passy, Batbie, Eugeniusza Villedieu, a nadewszystko Jana Stuarta Milla.

Na kongresach Stowarzyszenia Międzynarodowego mutualiści z początku odegrywali ważną rolę. Na kongresie genewskim mówiono z uznaniem o wzajemności i bezpłatności kredytu. Jeszcze więcéj zajmowano się tém na kongresie lozańskim. Mutualiści paryscy przedstawili wówczas projekt połączenia wszystkich stowarzyszeń robotniczych w jedno ogólne stowarzyszenie p. n. *Fédération du travail.* Sprawozdawcą w tym przedmiocie był Karol Longuet. Zdaniem jego, stowarzyszenia mogą stać się środkiem wyzwolenia proletaryatu wówczas tylko, kiedy wzajemność połączy je pomiędzy sobą. Tolain, Murat, Chemalé popierali go gorliwie. Chemalé oświadczył nawet, że kwestya kredytu wzajemnego i bezpłatnego jest najważniejsza: jest-to powiedział podstawa naszego wyzwolenia się" (1). Socyaliści belgijscy uznawali się także za mutualistów. „Należą — oświadczył De Paepe — tak samo jak obywatele Tolain i Chemalé, do socyalizmu mutualistycznego, który chce zrealizować we wszystkich układach ludzkich zasadę wzajemności" (2). Rezolucye kongresu były przychylne dla wniosków mutualistycznych.

Na trzecim kongresie Międzynarodówki w r. 1868 widzimy już ogromny zwrot w tym względzie. Wprawdzie kongres uchwala, że robotnicy mogą przyjść do posiadania narzędzi produkcyi jedynie przez stowarzyszenia wytwórcze i przez organizacyą kredytu wzajemnego; ale kiedy następnie podniesiono kwestyą organizacyi tego kredytu pomiędzy robotnikami, odezwała się przeciwko mutualizmowi opozycya, wzmagając się coraz bardziéj. Pierwszy Eccarius z Londynu zauważył, że w „Niemczech, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych mało jest znana teorya kredytu bezpłatnego i wcale nie zajmują się nią w praktyce" (3). Cohn z Londynu jeszcze silniéj wyraził się: „Kredyt bezpłatny — zdaniem jego — jest tylko teoryą i to teoryą sporną; przed wprowadzeniem go w życie, trzeba zmienić organizacyą społeczną" (4). Najsilniejszy cios zadał teoryi kredytu bezpłatnego Moritz Hess. „Mała tylko sekta — powiedział on—przyjęła tę teoryą. Zaprzeczają jéj najwięksi ekonomiści. Odsyłam w téj kwestyi do dzieła Karola Marxa: „*La misère de la philosophie*", w którém on wystąpił przeciwko „*Philosophie de la misère*" Proudhon'a (5).

---

(1) Procès-Verbaux du Congrès de l'Association Internationale des Travailleurs— réuni à Lausanne du 2 au 8 septem. 1867. Chaux-de-Fonds. 1867, str. 41. — (2) l. c. 30.— (3) Troisième Congrès de l'Association internationale des Travailleurs. Compte rendu officiel. Bruxelles. Septembre, 1868, str. 33. — (4) l. c. str. 34. — (5) L. c.

Na kongresie bazylejskim w r. 1869 mutualiści Chemalé, Tolain, Murat, Langlois bronili gorąco własności ziemskiéj indywidualnéj przeciwko wnioskowi, domagającemu się uznania ziemi za własność kolektywną. Varlin głosował z kolektywistami, lecz najciekawszym objawem było to, że Hins, który na kongresie brukselskim był jednym z najgorętszych obrońców własności indywidualnéj, teraz najgruntowniéj wykazywał słabe jéj strony.

W komunie paryskiéj 1871 r., pomimo że zwolennicy Proudhona pomiędzy socyalistami stanowili niemal trzecią część, nie zajmowano się prawie wcale kwestyą kredytu. Komisya pracy i wymiany, w któréj zasiadali mutualiści, Theisz i Avrial, wydała jeden tylko dekret, mający ogólniejsze znaczenie: poleciła izbom syndykalnym robotniczym wypracować praktyczny projekt o oddaniu opuszczonych warsztatów robotniczym stowarzyszeniom spółdzielczym i wypracować także projekt organizacyi tych stowarzyszeń.

Z liczby piszących mutualistów nie wielu się odznaczyło wyższém uzdolnieniem: można tu wymienić Alfreda Darimon'a („*De la Réforme des Banques*"), G. Duchêne'a („*L'empire industriel*") i Paget-Lupicin'a („*Le droit du travailleur*"). J. A. Langlois, G. Duchêne, F. G. Bergmann i F. Delhasse kierowali wydawnictwami dzieł Proudhona i uzupełnili początek rękopismu: „*Théorie de la Propriété*." Karol Longuet zdobył sobie sławę jako dziennikarz. Pisma Vermorel'a miały charakter raczéj polityczny, aniżeli ekonomiczny. W kierunku Proudhona pisze d-r Junqua, który zrzucił sutannę księżą i oświadczył się za wolnością religijną. Najważniejsze jego dzieło ma tytuł: „*De la sagesse dans la production et de la fraternité dans la consommation ou le Communisme des Républiques de l'avenir*." (Paris 1880).

III.

U Proudhona z anarchizmu wykluł się federalizm. — Anarchia. — Przeciwstawia się jéj spólność. — Zmiana przekonań Proudhona co do rządu i państwa. — Nie był on początkodawcą ruchu federalistycznego. — Błędne rozumienie przezeń federalizmu. — Podobieństwo jego do Woltera. — Federaliści francuscy. — Anarchiści.

Niejasność wyrażania się i pewien zamęt w pojęciach Proudhona utrudnia dokładne zrozumienie jego teoryi. Przytém ulegała ona nieustannéj zmianie. Postępując jednak stopniowo za rozwojem myśli naszego autora, widzimy, że u niego z anarchizmu wykluł się dopiéro federalizm. W dziełach jego: „*Les Confessions d'un Révolutionnaire*" i „*Idée générale de la révolution au dix-neuvième siècle*", o ile jasném jest zaprzeczanie wszelkiego rządu i wszelkiéj

powagi, o tyle z trudnością tylko i z pewném naciąganiem dałaby się wymotać jego myśl federalistyczna.

Precz z rządem! oto jego hasło, które rozbrzmiewa we wszystkich tych dziełach. „Prawdziwa forma rządu, to a n a r c h i a“ (1). Kapitał, rząd i katolicyzm, jest-to trójca fatalna absolutyzmu: „to co robi kapitał z pracą a rząd z wolnością, to kościół z umysłowością“ (2). A b s o l u t y z m jest pierwszym wyrazem; ostatnim zaś, przez sam los przeznaczonym *(fatidique)*, jest a n a r c h i a, zrozumiana jak najwszechstronniéj (3).

Anarchia — w naszém rozumieniu — jest-to brak rządu, brak kierunku, brak planu, a skutkiem tego bezrząd, bezcelowość, nieporządek, zamieszanie, panowanie dowolności. Czy Proudhon rozumiał anarchią w podobny sposób? Bezwątpienia że nie, chociaż często możnaby posądzić go o to. „Powiedzmy bez obawy—woła— że formułą rewolucyjną nie może być ani p r a w o d a w s t w o b e z p o ś r e d n i e, ani r z ą d y b e z p o ś r e d n i e, ani r z ą d y u p r o s z c z o n e; formułą tą jest: brak wszelkiego rządu. Ani monarchii, ani arystokracyi, ani demokracyi nawet, jeżeli dopuszcza jakikolwiek rząd, działający w imieniu ludu i mianujący się ludem. Precz z władzą, precz z rządem, nawet ludowym: w tém rewolucya“ (4). Ogłosiwszy anarchią za ideał polityczny, Proudhon z dziwną niekonsekwencyą czyni nieraz swoim przeciwnikom zarzut anarchii. Wreszcie w obu tych dziełkach, w których najsilniéj zaleca anarchią, w „Wyznaniach rewolucyonisty“ i w „Ogólnéj idei rewolucyi XIX stul.“, sam podaje formę rządu, podług niego najodpwiedniejszą dla wolności i równości wszystkich. W formie téj rządu jest także władza prawodawcza i władza wykonawcza, chociaż uważa te rzeczy za śmieszne. Uznaje trybunały handlowe, sądy znawców, sądy polubowne. Wyroki więc tych sądów muszą być wykonywane. Nie chodzi przeto właściwie Proudhonowi o zupełne usunięcie rządu, jeno o radykalną zmianę jego charakteru; chodzi mu o to — jak w jednéni miejscu powiada — ażeby rząd zamienił się w a d m i n i s t r a c y ą (5).

W poźniejszych dziełach Proudhon prostuje coraz bardziéj swoje pojęcia o rządzie i anarchii i przychodzi ostatecznie z jednéj strony do uznania konieczności rządu, a z drugiéj do potępienia anarchii. Przeciwstawiając anarchii spólność, powiada, że „spólność pozostaje marzeniem większéj części socyalistów, anarchia zaś jest ideałem szkoły ekonomicznéj, która dąży otwarcie do zniesie-

(1) Confesions str. 131.—(2) l. c. str. 253.—(3) Idée etc. str. 142.—(4) l. c. 140.—(5) Conf. str. 324.

nia wszelkiéj instytucyi rządowéj i oparcia społeczeństwa jedynie na własności i pracy wolnéj“ (1). Zdaniem jego jednak, ani spólność, ani anarchia nie mogą urzeczywistnić się w czystości swego ideału, muszą więc wzajemnie się uzupełniać. W dziele „O sprawiedliwości“ zupełnie zaprzecza swoim dawnym przekonaniom. „Bez rządu powiada—społeczeństwo pada poniżéj stanu dzikości: dla osób nie ma wolności, własności, bezpieczeństwa; dla narodów nie ma bogactwa, moralności, postępu. Rząd jest równocześnie tarczą, która ochrania; mieczem, który mści; wagą, która określa prawo; okiem, które czuwa.... Anarchia, podług nieustannych świadectw w historyi, nie więcéj warta w ludzkości, co nieporządek w świecie“ (2).

Państwo w przękonaniu Proudhona wznosi się nawet do ważnego znaczenia czynnika, ograniczającego szkodliwe następstwa konkurencyi ekonomicznéj. Pozostawiona sama sobie konkurencya musi doprowadzać do tego, że większa własność pochłania mniejszą, że więksi właściciele bogacą się kosztem mniejszych. Odwrotnie się dzieje, „jeżeli protekcya państwa jest silna i zapewniona każdemu; jeżeli skutkiem ogółu instytucyi liberalnych i dobrego wykonywania usług publicznych, warunki eksploatacyi stają się równe; jeżeli nareszcie dobry system nauczania publicznego sprowadza mniejszą nierówność pomiędzy zdolnościami osobistemi“ (3). Mowa tu o rolnikach.

Proudhon—niech co chce mówi—nie był przecież świadomym federalistą ani w 1848, ani w 1851 r. Właśnie przesadny antiguwernalizm przeszkadzał mu w tém, chociaż kardynalna jego zasada ekonomiczna: u m o w a powinna go była doprowadzić do federalizmu, témbardziéj, że zasady federalistyczne nie były ani tak mało znane, ani tak rzadko wyznawane, jak to przedstawia nasz autor. O wiele wcześniéj przed nim rozpoczął propagandę w tym kierunku Aleksy Tocqueville, którego dzieło „O demokracyi w Ameryce“ pojawiło się w r. 1835. Drugie dzieło tego autora „*L'ancien régime et la révolution*“, nacechowane silną dążnością anticentralizacyjną, pojawiło się w roku 1856 i zwróciło powszechną na siebie uwagę. Tymczasem dopiéro w 1858 r. zaczyna wyraźniéj brzmiéć u Proudhona: „szczytna myśl Henryka IV: federalizm powszechny, rękojmia najwyższa wszelkiéj wolności i wszelkiego prawa“ (4). Myśl ta opanowała tak silnie umysł naszego autora, że u kresu prawie będąc swéj czynności publicystycznéj, powiada: „wszystkie moje my-

(1) Du principe fédératif, str. 27. — (2) De la Justice etc. II, str. 6. — (3) Théorie de la propriété, str. 178. — (4) l. c. II, 129.

śli ekonomiczne, wypracowane od dwudziestu pięciu lat, dadzą się streścić w trzech wyrazach: Federacya rolniczo-przemysłowa“ (1).

Wadą federalizmu proudhonowskiego jest pewna jego dowolność i sztuczność, kiedy tymczasem cechą jego powinna być historyczność i naturalność. Dawniéj, kiedy był anarchistą, uważał, że prawa społeczne były niezależne od woli ludzkiéj (2); późniéj mniemał, że prawo było ustawą dowolną woli ludzkiéj (3) i historyą traktował jak prokurator. Kiedy w r. 1849 oceniał z właściwego punktu ruchy włoskie, węgierskie i niemieckie; zostawszy federalistą, z gwałtownością pamflecisty potępiał wszelkie ruchy narodowe. Jemu to głównie przypisać należy, że w obozie socyalistycznym zaczęto „wyrażać się o narodowości, jako o rzeczy reakcyjnéj, przestarzałéj“ (4).

Krytyka, jaką Proudhon uprawiał w swoich dziełach z epoki rewolucyi r. 1848, miała większe znaczenie od rzekomo twórczéj jego działalności z ostatnich lat. W „Wyznaniach“ powiada: „naszemu pokoleniu daje się uczuwać brak nie Mirabeau, ani Robespierre'a, ani Bonapartego, lecz Woltera.“ Otóż, Proudhon był wówczas pod pewnym względem Wolterem: jak ten w swoim czasie krytykę kościoła, tak autor „Wyznań rewolucyonisty“ i „Ogólnéj idei rewolucyi dziewiętnastego stulecia“ krytykę państwa i rządu posunął do ostatecznych granic. Krytyka ta oczyszczała grunt od wielu uprzedzeń i przygotowywała rolę pod zasiew nowych przekonań.

Pomiędzy wybitniejszymi federalistami francuskimi ze szkoły Proudhona należy wymienić: Ksawerego de Ricard, założyciela Związku Łacińskiego i autora dzieła „*Fédéralisme*“ (Paris, 1878) i Edmunda Thiandière, który w dziele p. t. „*La Confédération française*“ (1872) zalecał podzielić Francyą na 36 republik samodzielnych, połączonych jedynie węzłem politycznym przeciwko napaści zewnętrznéj.

Jakkolwiek sam Proudhon wyrzekł się prawie anarchizmu i został federalistą, to pomiędzy jego spadkobiercami myśl anarchiczna wzięła znowu przewagę i na długo przygłuszyła pojęcia federali-

---

(1) Du principe fédératif, str. 83. — (2) „Prawa ekonomii społecznéj niezależne są od woli człowieka i prawodawcy: naszym przywilejem jest poznać je, naszą godnością—uledz im.“ Idée etc. str. 255. — (3) „Prawo jest dowolną ustawą woli ludzkiéj: jest-to teorya umowy i federacyi.“ De la Justice etc. — (4) Już w liście do Edmunda Chojeckiego 9 lipca 1854 r. pisze: „Narodowości! Należy to do tradycyi, jestto rzecz blagi rewolucyjnéj (*de blagologie révolutionnaire*).“ P. J. Proudhon. Sa Vie et sa corespondance 1838—1848, par C. A. Sainte-Beuve. Paris 1872.

styczne. Przyczynił się do tego najwięcéj Michał Bakunin, który z federalisty został anarchistą (1).

. . . .

Nowy ten kierunek znalazł szczególnie gorliwych propagatorów w Janie Most'cie, który zaczął w r. 1878 wydawać w Londynie „*Freiheit*", i w księciu Krapotkinie, redaktorze czasopisma, „*Le Révolte*", wydawanego od 1879 roku w Genewie. Wówczas także upowszechniła się doktryna propagandy czynami. Rozpoczęła się walka chaotyczna, dzika, często bezmyślna, prowadzona nie tylko z organizacyą państwową, nie tylko z fabrykantami i kapitalistami, ale nieraz z całém społeczeństwem—rzec można. Anarchiści, upominani, wstrzymywani, potępieni wreszcie przez znaczną większość socyalistów, zerwali z niemi zupełnie i ogłosiwszy się na kongresie lozańskim w r. 1882 jako zupełnie samodzielne i odrębne od nich stronnictwo, rozpoczęli nawet zawziętą z nimi walkę. Nie mogąc się ustrzec, z powodu anarchicznego swego ustroju, od wspólnictwa prowokatorów wszelkiego rodzaju, nieraz wpadali w zastawione sidła i stawali się narzędziem policyi państwowéj. Doszło wreszcie do tego, że stało się trudném nieraz odróżnić szczerego anarchistę od prowokatora policyjnego (Peuckert, Kammerer, Stelmacher). Rewelacye, zrobione na początku bież. roku (1888) przez posłów socyalistycznych, Singera i Bebla, na sejmie niemieckim, przekonały, że policya pruska korzystała z tego w szerokich rozmiarach.

IV.

Ruch mutualistyczny w Europie.—Stosunek ruchu spółdzielczego do socyalistycznego.—Upadek komuny paryskiéj sprowadza wzrost anarchizmu.—Ruch anarchiczny w Hiszpanii, we Włoszech, w Szwajcaryi i we Francyi.—Wpływ Proudhona na Rosyan.—Propaganda Mosta.—Czém jest właściwie dzisiejszy anarchizm socyalno-polityczny?

Oba kierunki, mutualistyczny i federalistyczno-anarchiczny, poruszyły w mniejszym lub większym stopniu całą Europę.

Kiedy pod koniec drugiego cesarstwa we Francyi, żywiéj objawiać się począł rozwój myśli polityczno-społecznéj, mutualizm sta-

---

(1) Pismo „Czech", wychodzące w Genewie, w r. 1861 wydrukowało jego: „Zasadnicze prawidła polityki i federacyi słowiańskiéj".

Trzeba jednak tu zauważać, że B. chociaż nazwał zasadę narodowości fałszywą, to wszakże przyznał, że „narodowość jest faktem prawnym tak samo jak indywidualność. „Każda narodowość, mała czy wielka, ma niezaprzeczone prawo być sama sobą, żyć odpowiednio swéj przyrodzie; prawo to jest następstwem powszechnego prawa wolności." Co do patryotyzmu, to potępił tylko pyszny i egoistyczny, chełpiący się sławą, potęgą i wielkością swego kraju. „*Annales du Congrès de Genève*". Genève 1868. str. 190.

nął—jak widzieliśmy—przeważnie na gruncie spółdzielczości, gdzie się zetknął z innemi umiarkowanemi kierunkami socyalistycznemi i wielce się przyczynił do ożywienia działalności spółdzielczéj i wytworzenia pośredniego niejako kierunku pomiędzy ekonomizmem indywidualistycznym i socyalizmem komunistycznym. Podniecił on w téj formie czynność spółdzielczą w całéj Europie a pośrednio, głównie przez Niemcy, oddziałał na nasze kraje. Założony w r. 1865 w Warszawie „Ekonomista“ niezawodnie wiele wpłynął na rozbudzenie u nas zajęcia się kwestyami ekonomicznemi. Pierwsze jego roczniki zajmowały się gorliwie nader ważną kwestyą stowarzyszeń i umieszczały w tym przedmiocie bardzo dobre artykuły, pisane przez M. E. Trepkę, Józefa Kirszrota i innych. W Pozańskiém i w Galicyi zajmowano się także żywo tym przedmiotem. Pomiędzy młodzieżą uniwersytecką sprawa stowarzyszeń, spółdzielczości stała się niejako mostem do daléj idących przekonań. Kazimierz Hild, późniejszy tłómacz Lassalle'a i Marxa, stał z początku na gruncie spółdzielczości, praktykowanéj w formie najkorzystniejszéj dla ogółu ludowego.

Wogóle można powiedziéć, że ruch spółdzielczy w całéj Europie znajdował silne poparcie w obozie socyalistycznym i sam torował drogę socyalizmowi. Varlin, który ogromnie przyczynił się do rozruszania ludności robotniczéj we Francyi, był gorliwym krzewicielem stowarzyszeń spółdzielczych robotniczych. P. Lafargue, jeden ze zdolniejszych dzisiaj marksistów we Francyi, był w r. 1868 delegatem komitetu, mającego na celu upowszechnienie kredytu przez założenie banku narodowego (*L'Avenir Réaliste*). Na kongresach Towarzystwa Międzynarodowego Robotniczego popierano czynność spółdzielczą, chociaż rozróżniano w niéj dwa prądy: burżuazyjny i socyalistyczny. Rezolucye kongresów lozańskiego i brukselskiego zalecały zakładanie stowarzyszeń przez samych robotników, przystępność ich dla wszystkich i obowiązek dążenia w nich do usunięcia wszelkiego wyzyskiwania pracy przez kapitał (przez zniesienie procentu, dywidendy itd.). „*L'Egalité*“, organ międzynarodowy genewski, w r. 1869, kiedy znajdował się jeszcze pod przeważnym wpływem Bakunina, ogłosił bardzo dobrze napisany artykuł: „O spółdzielczości wobec rewolucyi socyalnéj“ (*La Coopération devant la révolution sociale*) (1), odpierając w nim krzyki tych, co nieustannie powtarzając: „rewolucya socyalna“, ostro ganili Stowarzyszenie Międzynarodowe za popieranie ruchu spółdzielczego.

Jakkolwiek kierunek anarchiczno-federalistyczny już przed r. 1870 rozwijał się i wzmagał, to przecież wybujał on odrazu silnie

---

(1) N. 34.

dopiéro wskutek upadku komuny paryskiéj 1871 r. Na komunę paryską złożyło się wiele przyczyn, ale niezawodnie jedną z nich była także rozpowszechniająca się w masach robotniczych myśl federalistyczna (1). Dowodem tego, ruchy komunalne, wprawdzie słabe i krótkie, w miastach południowych francuskich, które się objawiły wnet po ogłoszeniu komuny paryskiéj, i to współczucie ku Paryżowi, jakie dość otwarcie wypowiadały miasta francuskie (2). Komunaliści paryscy, pod silném wrażeniem rozdrażnienia z powodu poniesionéj klęski i pełni uczucia zemsty, stanęli, w dwóch skrajnych, najniecierpliwiéj rwących się do rewolucyi, obozach: blankistów i anarchistów formacyi bakuninowskiéj. Malon, Guesde, Brousse stali się zapalonymi anarchistami. Pani André Léo także zbliżyła się do tego obozu. Elizeusz Réclus dodawał im powagi swojém imieniem, którego sławę wprawdzie zdobył na polu wiedzy geograficznéj. Mieli z niemi czucie także Lefrancais (raczéj komunalista) i Artur Arnould (raczéj federalista), który w swojém dziełku, „*l'État et la Révolution*“, 1877), zalecał Francyi instytucye polityczne Szwajcaryi. Ruch komnnalny w Hiszpanii w r. 1873; rozruchy agrarne we Włoszech, agitacya na północy przysporzyły obozowi anarchistycznemu wielu zwolenników. Anarchizm, który wyrodził się z federalizmu, okazał się nawet jego wrogiem. Jemu to w znacznéj części przypisać trzeba upadek rzeczypospolitéj hiszpańskiéj federalistycznéj, z 1873 r.

Przekonania anarchistyczne miały z początku szczególne powodzenie w Hiszpanii i we Włoszech. Co do Hiszpanii, były tam trzy bardzo ważne przyczyny. Najprzód, a n a r c h i a wcale nie była tam nowością. Jeszcze w r. 1845 powstała tam szkoła literacka, która się ogłosiła za anarchiczną. Przedstawiciele jéj wydawali pismo p. t. „Przyszłość“, w którém odrzucając co do literatury i sztuki wszelkie przepisy, wszelką teoryą, wszelką powagę, ogłosili, że w okresie przejściowym, w jakim się znajduje, w okresie przejściowym od upadku powagi do uznania prawdy jeszcze nieznanéj, jedynie naturalną i pożyteczną jest anarchia. Był to protest inteligencyi hiszpańskiéj przeciwko absolutnéj powadze kościoła i monarchii;

---

(1) W dziele Proudhona „*Du Principe fédératif*“ (1868) znajduje się ustęp, zawierający w streszczeniu argumenty podawane przez komunalistów. „Paryż, kiedy ze stolicy stanie się miastem federalném—powiada Proudhon—nic nie straci na tém przeobrażeniu się; przeciwnie, zyska przez to nową i lepszą egzystencyą. Pochłanianie prowincyi przezeń sprowadza w nim przekrwienie; gdybym mógł tak powiedziéć—mniéj naładowany, mniéj apoplektyczny, Paryż byłby swobodniejszy, więcéj by zarabiał i wydawał“. str. 242.

(2) Patrz ciekawy w tym względzie artykuł Juliusza Guesde'a w „*Die Zukunft*“, piśmie berlińskiém (1 listop. 1877).

tak też zrozumiał to rząd hiszpański i, pomimo że w piśmie mówiono tylko o literaturze i sztuce, zamknął wydawnictwo. Chociaż więc krótko istniało, rzuciło ono liczne nasiona w umysły młodzieży i spopularyzowało hasło protestu. Powtóre, socyalizm wszedł do Hiszpanii w postaci furyeryzmu, który w łonie swojém nosił zaczątki dążności anarchistycznych. Jeden z socyalistów hiszpańskich, który służył niejako za łącznik między główném ogniskiem socyalizmu, Paryżem, a Hiszpanią, Ramon de la Sagra, był furyerystą; zbliżył się on późniéj do Proudhona i gorliwie popierał jego plan założenia Banku Ludowego. Wpływ samego Proudhona przytém był znaczny w Hiszpanii. Salmeron i Py y Margall byli jego wyznawcami. Ostatni z nich przetłómaczył na język hiszpański główniejsze dzieła Proudhona. Znakomite dzieło *„Las Nacíolidades“*, Py y Margalla uważa się za program federalistów hiszpańskich. Utalentowany ten i życzliwy dla nas pisarz nie dał się porwać antypatyom proudhonowskim. Po trzecie, przez samę konfiguracyą geograficzną podtrzymywana dążność decentralizacyjna, federalistyczna, gwałcona i dławiona przez absolutyzm rządowy, w ciemnych masach, pod wpływem doktryn rewolucyjnych, rozwinęła instynkty anarchiczne. To też nigdzie nie było tylu anarchistów, co w Hiszpanii. W ostatnich jednak czasach zaszła w ich programie i usposobieniu ogromna zmiana. Można powiedziéć, że anarchiści hiszpańscy z dawnego programu zatrzymywali jeden punkt tylko: nie brania udziału w walce politycznéj, czyli raczéj parlamentarnéj.

We Włoszech anarchizm miał także swoję tradycyą. Jeden z nowszych inicyatorów socyalizmu w tym kraju, Karol Pisacane, który zginął w r. 1857 w ruchu powstańczym w Neapolu, podniósł był także protest przeciwko absolutnéj powadze kościoła. Proudhonizm również odegrał we Włoszech swoję rolę: pierwsze pismo socyalistyczne *„Il Proletario“*, które zaczęło wychodzić we Florencyi w r. 1865, było redagowane przez Nicolo Lo Savio, zwolennika Proudhona. Chorągiew anarchistyczną otwarcie podniósł Bakunin, który, osiadłszy w Neapolu i połączywszy się z uczniami Pisacanego, zwłaszcza z Fanellim, zaczął tam wydawać *„Libertà e Giustizia.“* W r. 1867 założył on w Neapolu sekcyą Towarzystwa Międzynarodowego i nadał jéj odpowiedni swoim przekonaniom charakter. Do tych powodów, które przez czas pewien czyniły ruch anarchiczny popularnym, należy policzyć jeszcze: niechęć Maziniego i jego zwolenników do międzynarodowego ruchu robotniczego (1); zako-

---

(1) Bakunin wystąpił przeciwko powadze Mazini'ego w broszurce: „La théologie politique de Mazini et l'Internationale.“ 1871.

rzenione w narodzie usposobienie do łotrowstwa (rozboje, *mafia, camorra)*; wreszcie dążność federalistyczna, wynik geograficzno-historycznych warunków. Namnożyło się pisemek i programów anarchicznych, które miały po większéj części krótkie efemeryczne znaczenie. Pod względem teoretycznym najwięcéj się uwydatnili: Costa i Covelli. Gorący i żywy temperament włoski, podniecony teoryą anarchiczną, rwał się do czynów, a że stosunki rolnicze w niektórych częściach Włoch są okropne, wybuchły więc tu i owdzie poruszenia agrarne, a nawet większe ruchy powstańcze, z których najważniejsze były: w r. 1874 w Bolonii i w 1876 w Benevencie. Gorączka ta jednak anarchiczna zaczęła rychło przechodzić. Już w r. 1876 kolektywiści - propagandyści zaczęli brać przewagę nad anarchistami. Kongresy socyalistyczne, np. w r. 1881 w prowincyi Romanii, domagały się, wbrew anarchistom, utworzenia partyi zorganizowanéj. Socyaliści, pomimo agitacyi anarchicznéj, wzięli żywy udział w końcu r. 1882 w wyborach do parlamentu i właśnie jeden z wybitnych dawniéj anarchistów, Costa, został wybrany w Ravennie.

Pomiędzy anarchistami szwajcarskimi odznaczyli się: James Guillaume, wielki zwolennik Bakunina i autor broszurki: „*Idées sur l'organisation sociale*“ (1876) i Ademar Schwitzguébel. Po śmierci Bakunina, anarchizm w Szwajcaryi podtrzymywali: Francuz, Paweł Brousse, który wydawał „*Avant-Garde*“ w Genewie,.... Po zawieszeniu „*Avant-Garde*“ i wypędzeniu Brousse'a ze Szwajcaryi, anarchizm znalazł gorliwego propagatora w ks. Krapotkinie. Organ jego „*Le Révolté*“ stał się już wyraźnie terorystycznym. Kiedy Krapotkina skazano w r. 1883 w procesie lyońskim na więzienie, „*Le Révolté*“ wkrótce przestał wychodzić, a inne pojawiające się pisemka anarchistyczne, redagowane nieudolnie, były tak prowokatorsko-wrzaskliwe, że nie budziły żadnego zaufania. W późniejszym czasie anarchizm znowu narobił pewnéj wrzawy; tym razem była to odmiana mostowska i miała główne siedlisko w niemieckiéj Szwajcaryi, a — jak śledcze badania rządu związkowego wykazały—krzewiła się przeważnie pomiędzy Niemcami austryackimi.

Anarchizm, z początku patronowany przez Francuzów, ze znakomitszych przedstawicieli téj narodwości, zachował jednego tylko Elizeusza Réclus, który jednak był tylko platonicznym jego czcicielem, ponieważ przekonania, wypowiadane przezeń w jego „Geografii Powszechnéj“, wcale nie są anarchicznemi. Malon bardzo prędko odsunął się od anarchistów i zbliżył się do niemieckich demokratów socyalnych, a następnie zajął jakieś niejasne stanowisko po nad stronnictwami socyalistycznemi. Guesde został gorliwym

marksistą. Nieprzejednany Brousse, wróciwszy do Francyi, zerwał zupełnie z dawnymi swymi spółwyznawcami i stał się energicznym propagatorem organizacyi robotniczéj. Nieliczni, ale wrzaskliwi i pochopni do awantur, anarchiści francuscy za główny cel postawili sobie przeszkadzać propagandzie i czynnościom socyalistycznym. Dzięki im, przez czas pewien zgromadzenia socyalistyczne stawały się miejscem zgorszenia publicznego. Z pomiędzy anarchistów francuskich jeden tylko Emil Gautier odznaczał się wyższą zdolnością. Propaganda anarchistyczna i ucisk administracyi górniczéj w Montceau-les-Mines wywołały rozruchy pomiędzy ludnością górniczą w roku 1882, które zaniepokoiły mocno warstwy rządzące. Wówczas aresztowano wielu anarchistów, w téj liczbie Krapotkina i Gautier'a i w styczniu r. 1883 odbył się w téj sprawie proces w Lyonie, który przybrał charakter tendencyjny, ponieważ obwiniono głównych przewódców o należenie do zakazanego we Francyi Towarzystwa Międzynarodowego robotników, które — jak wiadomo powszechnie—przestało istniéć faktycznie od r. 1872.

Anarchizm socyalno - terorystyczny znalazł gorliwego i niezmordowanego propagatora w Janie Most'cie, który niezadowolony ze spokojnego zachowania się demokracyi socyalnéj w Niemczech wobec zaprowadzenia ustaw wyjątkowych w r. 1878 i z potępienia przez nią zamachów Hödla i Nobillinga, zerwał z nią i, przeniósłszy się do Londynu, zaczął wydawać tam anarchiczny dziennik „*Freiheit.*“ Propaganda mostowska, lubo zyskała trochę zwolenników w Niemczech, to jednak rozbiła się tam o znakomitą pod względem karności organizacyą stronnictwa socyalno - demokratycznego, ale za to w Austryi, gdzie takiéj organizacyi nie było, rozkrzewiła się dosyć silnie i doprowadziła ostatecznie do rozbójniczych zamachów Stelmachera i Kammerera. Anarchizm mostowski oddziałał także trochę na Galicyą, ale daleko więcéj na robotniczą ludność czeską, która — z powodu niechęci narodowéj ku Niemcom — nie może się pogodzić z centralistycznym kierunkiem propagandy socyalno-demokratycznéj niemieckiéj.

Most, skazany w Londynie za gwałtowny artykuł, po wyjściu z więzienia przeniósł się do Stanów Zjednoczonych w Ameryce i tam wydawał daléj swoję „*Freiheit.*“ Propaganda jego nie pozostała bez skutku na ludność tameczną niemiecką, jak to pokazało się w kwietniu r. 1886 w Chicago, gdzie anarchiści rozruchowi robotniczo - socyalistycznemu nadali charakter terorystyczny. Most znowu dostał się do więzienia.

B. L.



SZKIC HISTORYCZNY
POCZĄTKU I ROZWOJU PISMA.

Kiedy po raz pierwszy dzienniki rozniosły nowinę o wynalezieniu fonografu i telefonu, zdziwienie ogólne było tak wielkie, że z niego wyrodziła się niewiara w podawaną wiadomość: wkrótce jednak nastąpiło potwierdzenie i naukowe objaśnienie dokonanego wynalazku; to znowu wywołało nowe zdziwienie, że wynalezione przyrządy są tak proste, każdy bowiem choćby posiadał tylko elementarne wiadomości z fizyki, pojąć może całe urządzenie tych aparatów. Czy jednak komu przyszła do głowy myśl, że używaliśmy już pewnego rodzaju telefonu i fonografu przed ich wynalezieniem, czyż bowiem mowa nasza nie jest telefonem a pismo fonografem? Ten jednak telefon i fonograf to nie mechaniczne narzędzia, łatwe do zbadania i objaśnienia, lecz owoc pracy całych tysięcy pokoleń w przeciągu lat tysięcy; m ó w i ć wydaje nam się tak rzeczą naturalną i prostą, jak spać lub jeść, ale czy rzeczywiście jest to rzecz prosta? Przedewszystkiém mamy tu do czynienia z niezmiernie delikatnemi czynnościami naszego gardła i ucha: już fakt wydawania rozmaitego rodzaju tonów i ich słyszenia jest sam przez się istnie cudownym, może być jednak naukowo c h o ć n i e z u p e ł n i e objaśniony; lecz kto objaśnić może stosunek pewnego konglomeratu dźwięków do jakiejś istniejącéj rzeczy? nikomu się nie udało do tego czasu zbadać stosunku wewnętrznego wyrazu „pies“ do zwierzęcia, które ten wyraz oznacza; wszystkie naukowe etymologie sprowadzają się do pewnéj nieznacznéj zresztą liczby pierwiastków, z których powstał cały zasób wyrazów języków najbogatszych; etymologia określiła stosunek między wyrazami jednego języka, które powstały z pnia wspólnego z jednéj strony, a mię-

dzy odpowiadającemi sobie wzajemnie wyrazami różnych pokrewnych języków z drugiéj; żadna jednak etymologia do tego czasu nie zdołała objaśnić stosunku samych pierwiastków do idei, które te pierwiastki oznaczają: np. dlaczego pierwiastek *su* w językach indoeuropejskich zamyka w sobie pojęcie rodzenia; wyjątków mamy bardzo mało, są to tylko niektóre wykrzykniki, będące niejako skutkiem fizyologicznych odruchów, oraz wyrazy, powstałe z naśladowania dźwięków, np. kukułka. Widzimy więc, że nasz naturalny telefon, służący do posyłania myśli tak daleko, jak daleko nasz głos dobiedz może, jest dotychczas niezbadany, tajemniczy, i nawet wątpić można, czy kiedykolwiek w przyszłości badania nad początkiem mowy ludzkiéj doprowadzą do jakich rezultatów.

Coś pewniejszego możemy powiedziéć o starym fonografie czyli o piśmie. I tu także nie posiadamy żadnych nieprzerywających się danych, któreby utworzyły szereg faktów historycznych z życia jednego alfabetu od najwcześniejszych jego początków do dziś-dnia; ale teraz jeszcze posiadamy rozmaitego rodzaju pisma: od najpierwotniejszego u niektórych dzikich—do alfabetów używanych w dyalektologicznych dziełach, złożonych ze znaków, które z fotograficzną prawie ścisłością wyrażają rozmaite dźwięki owych dyalektów; mamy przytém niektóre dane z archeologii, a wreszcie ogólno ludzkie prawa psychologiczne. Opierając się na tych faktach, nauka doszła do pewnych rezultatów, rzucających silne światło na powstanie i rozwój pisma.

Przedewszystkiém zauważyć należy wzajemny stosunek myśli, mowy i pisma; teraz bezpośredni związek mają tylko: myśl i mowa z jednéj strony, a mowa i pismo z drugiéj; mowa bowiem maluje niejako samą myśl, czy przedmiotem jéj będzie oderwana idea, czy téż przedmiot realny, gdy tymczasem pismo wyraża tylko dźwięki danego języka, pismo więc ma pośredni przez mowę związek z myślą. To jednak nie jest konieczne, pismo może i bez względu na mowę myśl malować, w takim razie moglibyśmy czytać takie pismo bez znajomości języka, którym posługiwał się piszący, jedynie za pomocą naszéj wyobraźni, każdy czytał by książkę w swoim własnym języku. Nie będzie to nas dziwić, jeśli zwrócimy uwagę, że polak, patrząc na psa wymalowanego, powié sobie w myśli „pies“, francuz na to samo powié „chien“, a niemiec „hund“; nad ułożeniem takiego pisma między innymi pracował Leibnitz; przekonamy się późniéj, że początkowo pismo miało właśnie taki bezpośredni związek z myślą. Teraz jeszcze, zanim przystąpimy do właściwéj historyi pisma, musimy zwrócić uwagę na prawa psychologiczne, na których oparty jest stosunek mowy i myśli: otóż dzia-

łają tu dwa prawa, a raczéj dwa rodzaje jednego prawa asocyacyi. Ogólnie biorąc mowa nasza warunkuje się prawem asocyacyi styczności, mocą którego ukazujący się jeden fakt wywołuje w umyśle ludzkim fakt inny, który pierwszemu zwykle towarzyszy: i tak dziecko uczy się mówić w ten sposób, że wskazują mu jakiś przedmiot np. świécę i jednocześnie mówią wyraz „świéca", więc potém choć samego przedmiotu nie ma przed oczami, w fantazyi dziecka maluje się jego obraz, gdy mu powtórzą jego nazwę. Inaczéj się ma z wyrazami naśladowczemi: dziecko słyszy beczenie owcy i nazywa ją wyrazem „be!" potém choć owcy nie widzi, jednak przedstawia sobie jéj obraz, gdy mu kto ten wyraz „be!" powtórzy; tutaj wyraz, i przedmiot, który ten wyraz oznacza, mają pewną wspólną cechę, pewne podobieństwo, tu więc działa asocyacya podobieństwa. Stosunek pisma do mowy oparty jest także na asocyacyi styczności, nie ma bowiem żadnego podobieństwa między dźwiękiem i literą, ale nie zawsze tak było, przeciwnie nawet na początku obadwa rodzaje asocyacyi były podstawą dla usiłowań człowieka, uwieńczonych tak pomyślnemi rezultatami, ale tylko asocyacya podobieństwa była prawdziwém źródłem tak pisma jak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, i naszéj mowy.

I. **Pierwotne systemy pisma, oparte na asocyacyi styczności.**

Tylko wówczas będziemy mogli mówić o podobnego rodzaju systemach pisma, jeśli wprzód porozumiemy się co należy wogóle pismem nazywać; teraz prawie nie możemy sobie wyobrazić pisma bez papieru, pióra i atramentu, były jednak czasy kiedy wszystkich tych rzeczy nie znano. Do historyi pisma należy wciągnąć wszystko co choćby w przybliżeniu ma do teraźniejszego systemu stosunek; a więc określenie tego pojęcia musi być bardzo ogólném: jak mowa jest wyrazicielką myśli, przyjmowaną przez ucho, tak każdy znak lub zbiór znaków, wyrażający pewną myśl, przeznaczony na to, aby został przyjęty do świadomości za pomocą zmysłu wzroku, jest pismem.

Prawdopodobnie takiém najpierwotniejszém pismem był i jest jeszcze każdy znak robiony w pewnéj okoliczności, w tym celu, aby nam w innym czasie tę samą okoliczność przypomniał; jeszcze teraz często się zdarza, iż zawiązujemy węzełek na chustce, nasi karbowi za pomocą karbów robionych na kijach umieją zapisywać nie tylko liczbę robotników, ale i rodzaj ich roboty, a dawniéj mówiono, że gdy się kto rozgniewał i zemstę przygotowywał, motał węzełek na wąsie. Zdawało by się, że podobnego rodzaju znaki nie za-

sługują wcale, aby je mieścić w historyi pisma, a jednak one to prawdopodobnie dały pierwsze pchnięcie, pierwotnemu człowiekowi do pójścia daléj w tym kierunku. Na tém opierają się niektóre nasze zwyczaje, sięgające najstarożytniejszych czasów jak np. stawianie kopców lub słupów granicznych; pomniki na grobach ludzi zasłużonych lub blizkich naszemu sercu dopiero dziś stały się wyrazem naszych uczuć, dowodem ich zasług, początkowo zaś były tylko znakami mającemi na celu proste przypomnienie. Te pierwsze popędy niezupełnie były bezowocne, z nich rozwinęło się parę systemów pisma, które w rozmaitych okolicach i u urozmaitych ludów różne nosiły nazwiska, tak więc: w północnéj Ameryce *Kekivin*, u Irokezów i Huronów *Wampum* lub *Wampam*, w południowéj Ameryce *Tehmehri*, u Telteków a potém u Azteków *Quiche* albo *Analthe*, w Peru *Quipu*; ostatni rodzaj pisma mieli także Chińczycy. Najwięcéj jest znane pismo Irokezów i Peruwiańczyków o niém téż powiemy słów parę.

Quipu jest potomkiem w prostéj linii owych węzełków, które przed tysiącami lat zawiązywano jak teraz na chustkach, jeżeli te były w użyciu; sama nazwa oznacza „węzeł" i odczytać je może tylko wtajemniczony. Pismo to jest rodzajem frendzli utworzonéj z jednego sznura poprzecznego, do którego jednym końcem przywiązuje się różnokolorowe i rozmaitéj długości mniejsze sznurki na których nawiązano węzły: kolor i długość sznurków, ilość i sposób zawiązania węzłów, wszystko ma swoje znaczenie, wątpię jednak czy je kto teraz odgadnąć potrafi; wiadomo tylko, że dotychczas znajdują się całe archiwa, gdzie przechowują się w podobny sposób zapisane lecz dziś niepodobne do odczytania zbiory traktujące o wypadkach z historyi inków.

Innym, choć na téj saméj zasadzie opartym, jest system pisma *Wampum*, co znaczy „muszla"; jest to rodzaj pasa ułożonego z nitek, na których przewleczono różnokolorowe tabliczki wycięte z muszli, tu także kolor muszli oraz kierunek różnokolorowych linii ma swoje znaczenie.

Wszystkie rodzaje, jakkolwiek mające główną zasadę jedną, tj. asocyacyą styczności, gdyż początkowo znaki te były zrozumiałe dla tego, kto je robił, potém stały się przedmiotem nauczania i otrzymały stałą wartość tak np. gdy pokażę komu chustkę, na któréj jeden róg zawiązałem w jeden węzeł pojedyńczy, drugi w dwa takie same a trzeci w jeden ale podwójny, nikt nie odgadnie co te węzły znaczą, dopiero muszę sam to wytłómaczyć; ale gdyby przyjął się zwyczaj oznaczania np. przez jeden węzeł pojedyńczy, że dwa państwa się poróżniły, przez dwa pojedyńcze—że wybuchła wojna

a przez podwójny—że zwyciężyliśmy, w takim razie każdy widząc te trzy znaki z łatwością ich znaczenie odgadnie, jak gdyby przeczytał o tém we współczesnéj książce.

Cała trudność polega na tém, że najprzód takich znaków musi być wielkie mnóstwo, aby każdy odpowiadał jednemu faktowi, a powtóre że pomiędzy znakiem a myślą przezeń wyrażoną nie ma żadnego wewnętrznego związku, wskutek czego nauka tego pisma była nadzwyczaj utrudniona. Jaką żądzę wiedzy musiał posiadać człowiek, kiedy dokładał tyle nadludzkiego trudu, aby te przeszkody pokonać! trudność ta jednak była wyrokiem na ten rodzaj pisma: nie rozwinęło się daléj, nie pozostawiło żadnego potomstwa, lecz wpłynęło na rozwój pisma wogóle tylko w ten sposób, że zaostrzyło w człowieku popęd do szukania łatwiejszych sposobów utrwalenia swoich myśli.

Zanim przystąpimy do historyi systemów, które miały szeroki rozwój historyczny, które były niejako przodkami naszego teraźniejszego pisma, należy wspomniéć jeszcze o jednym osobnym pierwiastku, jaki wchodził w rozpatrzone już przez nas systemy, tym właśnie pierwiastkiém jest znaczenie rozmaitych kolorów.

Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że wybór kolorów nie odbywał się zupełnie dowolnie, że musiała istniéć tu jakaś zasada; tę dla niektórych przynajmniéj barw znaleść można. Czerwona krew płynąca z ran zadanych na wojnie stała się symbolem wojny; noc, która dla pierwotnego człowieka nie przedstawiała nic poetycznego, lecz przeciwnie była smutną, niebezpieczną ze względu na drapieżne zwierzęta i duchy ciemności, była przyczyną, że czarny kolor stał się symbolem smutku, nieszczęścia, jak przeciwny kolor biały, kolor dnia oznaczał radość i wesele, a barwa wschodzącego zboża zielona nadzieję. Nie można jednak sądzić, że poglądy na to wszędzie i zawsze były jednakowe: u nas np. czerwony kolor jest symbolem miłości, czarny wprawdzie oznacza smutek, ale u innych niepokrewnych z nami narodów tę rolę gra właśnie barwa biała, która znów u nas ma wyrażać niewinność.

W każdym razie można przyznać, iż znaczenie niektórych kolorów opiera się na asocyacyi podobieństwa, reszta zaś dla któréj téj zasady znaleźć niepodobna, otrzymała znaczenie umówione, tj. gdy parę kolorów wyrażało cokolwiek, więc człowiek i na inne barwę rozciągnął tę własność. Na tém także opiera się język kwiatów: od koloru znaczenie przeszło na kwiat, ztąd róża jest symbolem miłości, lilia niewinności itp. większość zaś kwiatów ma również znaczenie umówione, lub przypadkowe.

II. Systemy pisma oparte na asocyacyi podobieństwa.

Każde stworzenie na świecie zadowolone jest z postaci jaką mu nadała natura; wprawdzie kokieterya, chęć przypodobania się, oraz duma mająca źródło w poczuciu własnéj piękności nie jest wyłączną cechą człowieka, ale najmędrsze zwierzęta dbające o swój wygląd, swoje staranie o utrzymanie piękności ograniczają do *minimum*, np. ptaki muskają i czyszczą swe pióra, koty się myją, żadnemu jednak nie przyszło nigdy na myśl, poprawiać naturę, dodawać coś sztucznego do swoich ozdób naturalnych i umyślnie zmieniać swą postać. Człowiek jeden nie zadawalnia się nigdy tém co posiada, najniżéj stojący na stopniu umysłowego rozwoju dziki mieszkaniec Afryki lub Australii pragnie poprawić naturę, sztucznie podnieść swą piękność a raczéj powiększyć jeszcze swą brzydotę: nowonarodzonemu dziecku płaszczą głowę, która przez to ma się stać foremniejszą, torturują swoje niektóre członki, *par force* rozciągając je lub zmieniając kształt ich naturalny, wszędzie gdzie tylko mogą przywieszają świecidełka: do warg, do nosa, do uszu, a instynkt ten jest tak silny, że objawia się nawet u najucywilizowańszych narodów, gdyż i u nas piękne damy chętnie dziurawią uszy, aby do nich przyczepić błyszczący minerał lub kawałek metalu. Ubranie nasze, stanowiące teraz niezbędną potrzebę, ma początek także w tym instynkcie, bez niego skóra nasza tak samo była by przyzwyczajona do zmian atmosferycznych jak skóra zwierząt; nie potrzeba więc wywołała to, lecz chęć przystrojenia ciała: dzicy stroją się w pióra, w skórę zwierząt a gdy żyją w klimacie, gdzie ubranie byłoby nietylko zbyteczne lecz nawet niemożliwe do noszenia wskutek gorąca, tam w inny sposób zadawalniają ten instynkt, skórę pokrywają nacięciami i malowidłami; co spotykamy już u najpierwotniejszych ludów i w jak najszerszém zastosowaniu.

Drugą cechą człowieka, tym razem wspólną z najbliższym jego czwororękim kuzynem, jest chęć naśladowania i odtwarzania wszystkiego, co pod zakres zmysłów podpada; dzieci od wczesnych lat zaczynają z zapałem łamać ołówki i mazać niemożliwe figury na papierze, dzicy posiadają również w wysokim stopniu tę cechę, upiększają niedołężnemi rysunkami swoję broń, sprzęty i własne ciało. Te to właśnie dwie charakterystyczne cechy człowieka, chęć upiększenia swego ciała i otaczających przedmiotów oraz instynkt naśladowczy były źródłem, z którego powstało malarstwo, z tego zaś rozwinęła się stopniowo sztuka pisania.

Może kto zarzucić, iż opierając się tylko na obserwacyi dzieci i dzikich współczesnych, nie mamy jeszcze prawa wnioskować

o tém, że takimiż byli nasi najstarożytniejsi przodkowie, może im nie wystarczy i to przypomnienie, że psychologia jest tylko jedna; na szczęście jednak posiadamy silniéj przekonywające dowody historyczne: w jaskiniach Francyi i Anglii znaleziono rysunki ostrym krzemieniem wydrapane na rogach jelenich lub kłach mamuta, przedstawiające rozmaite przedpotopowe zwierzęta, co może służyć za dowód, że utworzone zostały w czasie, w którym zwierzęta te żyły. Ciekawym jest rysunek znaleziony w jaskini Madeleine w Belgii, przedstawiający mamuta i drugi—idącego człowieka z kijem na ramieniu, i te jednak należą już do późniejszego okresu, wartość ich maleje w porównaniu z tém, co nie dawno (1879 r.) znaleziono w Pireneach: w jednéj jaskini z okresu paleolitycznego natrafiono na zbiór zębów niedźwiedzia jaskiniowego z rysunkami przedstawiającemi współczesne zwierzęta, a co najważniejsza, obrazy kilku ludzi, obrośniętych jak mamut długim włosem.

Oto pierwszy punkt wyjścia we właściwéj historyi pisma; niestety fakty historyczne, jakie posiadamy nie stanowią jednolitego łańcucha, wiążącego te pierwsze próby rysunkowe z naszym udoskonalonym choć niedoskonałym alfabetem; brakuje nam bardzo wielu ogniw, które musimy dopełnić, czerpiąc fakty z życia współczesnych dzikich, lub też zapełniając luki rozumowaniem. Najstarożytniejsze pismo na świecie, jakie spotykamy w Chinach już bardzo oddaliło się od swego źródła, znajdujemy tam wiele pierwiastków, wskazujących nam długi szereg lat rozwoju. Znamy jednak pierwotniejsze choć późniejsze pismo Indyan Ameryki północnéj, ale i tutaj jeszcze odstęp pomiędzy pierwszym rysunkiem i malowaném pismem jest zbyt wielki, abyśmy mieli te dwa zjawiska bezpośrednio z sobą łączyć. Rysunki, o których mówiliśmy, nie są bynajmniéj pismem, są tylko obrazami, a najważniejsza w naszéj historyi chwila była ta, w któréj człowiek po raz pierwszy rysunkowi nadał charakter pisma. Czém właściwie jedno różni się od drugiego? na to pytanie nie jest tak łatwo odpowiedzióć, jak się może na pierwszy rzut oka wydaje: z jednego źródła wypłynęło jedno i drugie. Przedewszystkiém musimy przyznać, że cel jednego różni się wielce od celu drugiego, rysunek jest wyrazem estetycznych dążności, gdy pismo służy do porozumiewania się; rysunek może przedstawiać jednę lub kilka figur, i nie wyraża wcale następczego ich wzajemnego stosunku, pismo zaś pierwotne składało się zawsze z szeregu figur lub grup całych, ułożonych w ten sposób, że oko musiało przechodzić stopniowo od jednéj do drugiéj a zadaniem myśli było odgadywać ich wzajemy stosunek. Zdaje się, że pierwszym krokiem na téj dzodze było użycie godeł, z któremi spotykamy się jeszcze teraz na

każdym kroku: na szyldach malują przedmioty znajdujące się w sklepie; człowiek pierwotny choć wprawdzie szyldów nie używał, ale prawdopodobnie zaczął od tego rodzaju godeł; następnie przyszły inne: każdy stosownie do swéj powierzchowności lub wewnętrznych przymiotów przyjmował imię zwierzęcia, lub przedmiotu, z którym uważał się pod jakimkolwiek bądź względem spokrewnionym duchowo: ztąd takie imiona jak Wilk, Ryś, Odyniec, Lew, Łoś, Karaś itp. pierwotnie służące tylko jednéj osobie a potém dziedziczne; dziki pragnie zaraz ilustrować swoje imię, rysuje więc ten znak na przedmiotach należących do niego, czasem na własném ciele i znaku tego używa jako podpisu; ztąd może wzięło początek wiele naszych herbów. Za godło takie mógł służyć obraz jednéj części ciała ludzkiego lub zwierzęcego, jeżeli różnica indywidualna wyrażała się w tym jednym organie: więc ręka, głowa, oko, skrzydło ptaka, pazur lwa itp. Taki rysunek przestaje już być sztuką piękną a staje się pismem, tém bardziéj, że nie chodzi w nim o estetyczne i dokładne przedstawienie przedmiotu i wystarcza zakreślenie jego konturów. Z rysunków i godeł składa się znany list indyjski, pomieszczony przez Lubbock'a w jego „Początkach cywilizacyi": liczbę osób oznacza tam ilość figur powtórzonych, mamy więc tam siedem razy narysowanego żołnierza i karabin, europejczyk nosi kapelusz, indyanie wyobrażeni z gołemi głowami, każdy ma przy sobie jakiś przedmiot mniéj lub więcéj charakterystyczny, więc żołnierz karabin, oficer szablę, geolog młotek, sekretarz książkę itp. Takie pismo nie ma nic wspólnego z językiem, maluje bowiem nie wyrazy lecz pojęcia, łatwo więc może być czytane przez wszystkich ludzi, których umysł już nieco jest przysposobiony do rozwiązywania podobnego rodzaju zagadek.

Cała historya pisma zdaje się dostarczać dostatecznych dowodów, popierających mniemanie, że nie było narodu któryby wynalazł pismo i zarazem rozwinął je do najwyższego stopnia doskonałości; każdy zapożycza pismo od innego ale zarazem wprowadza w nie ogromne zmiany, które stanowią prawdziwą epokę w historyi; przytém należy zwrócić uwagę, że zapożyczenie to może być dwojakiego rodzaju: samych znaków, które zostały uproszczone i udogodnione, jak np. zostało przejęte pismo egipskie przez Fenicyan, lub też bywa zapożyczoną sama idea pisma, dla któréj tworzą się nowe zupełnie znaki, jak to spotykamy u Persów. W każdym razie, zdaje się rzeczą pewną, że k a ż d a n o w a e p o k a p i s m a z a c z y n a s i ę z c h w i l ą p r z e j ę c i a g o p r z e z n a r ó d, k t ó r y d o o w é j c h w i l i p i s m a n i e p o s i a d a ł, l u b p o s i a d a ł i n n e d a l e k o m n i é j w y k s z t a ł c o n e.

Wuttke twierdzi, że Chińczycy, czy też naród przed nimi żyjący w Chinach posiadał pismo podobne do peruwiańskiego quipu, a jednak potém rozwinął się tam wcale inny system, który jednak z powodów wyżéj przytoczonych wydaje się zapożyczonym niewiadomo zkąd i znacznie rozwiniętym. Prawdopodobnie pierwowzór pisma chińskiego starożytnego był takim zupełnie, jaki widzimy w rysunkowém piśmie Indyan, u Chińczyków już znajdujemy ogromny postęp. Spotykamy tam przedewszystkiém obrazy przedmiotów i ich godła, te jednak z czasem stają się znakami, w których trudno znaleźć pierwotny okres dokładny i wyraźny; mamy więc już symbole, w każdym jednak razie te jeszcze nie tracą podobieństwa wewnętrznego do wyobrażanego przedmiotu. Pismo tu rozszerza się, obejmuje więcéj pojęć i przedmiotów, idzie w tym kierunku ręka w rękę z mową, która także abstrahuje konkretne pojęcia. Następuje przedewszystkiém różniczkowanie: więc figura stojąca oznacza człowieka żywego, leżąca — zmarłego; do przedstawienia pojęć oderwanych służą albo pojedyńcze obrazy, albo ich grupy, więc: serce oznacza ducha, nogi—czynność chodzenia; dwaj ludzie idący ku sobie znaczą pozdrowienie, idący za sobą—następstwo, dwie kobiéty—gawędę lub kłótnię, oko i woda oznacza łzę. Każde pojęcie posiada odpowiedni wyraz w mowie, odpowiedni znak lub grupę znaków w piśmie, ale pomiędzy mową a pismem bezpośredniego związku nie ma wcale; jedyny związek między niemi zachodzi w tém tylko, że następstwo znaków pisma odpowiada ściśle skreślonemu przez gramatykę następstwu wyrazów w mowie. Chińczycy zadowolnili się uproszczeniem zewnętrznéj formy swych znaków, z biegiem czasu stały się one prawie zupełnie niepodobnemi do pierwotnych obrazów; ale główna zasada pozostała niezmienioną, i teraz jeszcze pismo chińskie posiada tyle rozmaitych znaków, ile pojęć mieści się w głowie Chińczyka, a może i więcéj, gdyż niektóre pojęcia mogą być wyrażane przez kilka znaków rozmaitych i w tém właśnie leży największa trudność nauczenia się czytania po chińsku, témbardziéj, że znaki utraciły zewnętrzne podobieństwo do przedmiotów, które mają wyrażać. A więc pismo, wyszedłszy z innego zupełnie źródła stało się znów podobne do tych systemów, które zbudowano na podstawie luźnéj asocyacyi styczności. Zreformowane przez Japończyków chińskie pismo należy już do innego okresu historycznego, było to bowiem pismo sylabowe.

Hieroglify egipskie stanowią nowy okres i to bardzo od poprzedniego różny. Nie wiemy skąd Egipcyanie przejęli pismo, istnieją wprawdzie tradycye, że pismo wynalazł bóg Tot, który przyszedł z Nubii; wierzyć temu ściśle niepodobna, w każdym razie

można sądzić, że naród, od którego otrzymali Egipcyanie to dobrodziejstwo, musiał posiadać pismo przynajmniéj tak rozwinięte, jak u starożytnych Chińczyków. Charakterystyczną cechą Egipcyan było dzielenie wyrazu na sylaby i wyobrażanie sylab przez znaki obrazowe, co dało możność znakomitego zmniejszenia liczby tych znaków. Posiadamy w naszym języku pewne wyrazy, które oznaczają rozmaite przedmioty, np. król*i*k oznacza małego władcę i zwierzę, wyrazu ksiądz używano dawniéj w znaczeniu duchownego i księcia, lak jest rośliną i sztucznie wytworzonėm ciałem; tak też i znaki hieroglificzne oznaczają często grupy podobnych nie pojęć lecz wyrazów, np. obraz sowy (mulak) może oznaczać króla (melech); palec (tep) znaczy również skład (taibe) i tysiąc (tba); palma (pet) oznacza także rok, miesiąc (abot) i t. p. Tu znaki oznaczają nie samą rzecz lecz jéj nazwę, dlatego też o ile możnaby czytać chińskie książki starożytne bez znajomości języka, o tyle tutaj byłoby to niemożliwém. Na tych przykładach widzimy, że pierwotnie Egipcyanom chodziło tylko o to, aby wspólnego znaku używać dla kilku wyrazów podobnie brzmiących, przyczém nie zwracano uwagi na samogłoski; z początku więc była wielka dowolność w wyborze tych znaków, tak np. wyraz król mógł być wyrażony przez dwa znaki, skład przez trzy i t. p. Z czasem jednak zaczęły się ograniczenia, więc jednego znaku używano dla paru wyrazów podobnych do siebie nie tylko pod względem spółgłosek ale i samogłosek, następnie zaczęto dla dłuższych wyrazów używać znaków podwójnych i potrójnych, tak np. jak w naszych rebusach, gdzie rysunek przedstawiający niebo i raka, czyta się: „nieborak." Nie zawsze jednak można było wybrać dogodne wyrazy, tak np. krokodyl znaczy „sukhi", aby napisać ten wyraz, używano dwóch figur, z których jedna przedstawiała międlony len—seppe, a druga pierś kibe; ze względu jednak na to, że połączenie tych dwóch wyrazów nie jest dokładnie podobne do wyrazu sukhi, więc w rodzaju objaśnienia dodawano jeszcze trzeci obraz przedstawiający krokodyla.

Często bardzo obraz przedmiotu nie znaczył całéj jego nazwy, lecz tylko pierwszą jego sylabę, rzadziéj dźwięk pojedyńczy, tak np. jakby u nas obraz worka znaczył *wo* a domu *d*, to znacznie ułatwiało możność składania wyrazów, tym więc sposobem pismo stało się sylabowém i mogło z łatwością oddawać nawet cudzoziemskie wyrazy, o ile te naturalnie nie zawierały w sobie dźwięków obcych dla języka egipskiego.

Wyraźne z początku rysunki zaczęły tracić swoję jasność, czy to wskutek prędkiego pisania, czy też przez chęć kapłanów zmie-

nienia pisma, aby utrudnić czytanie ksiąg świętych ludziom świeckim. W ten więc sposób powstało pismo hieratyczne i demotyczne. To są najcharakterystyczniejsze cechy pisma egipskiego, nie będziemy się dłużéj nad niém rozwodzić, nie chcąc nużyć uwagi czytelnika szczegółami podrzędnemi; przejdziemy zaś teraz do alfabetu, który wziął początek z hieroglifów, t. j. do pisma fenickiego.

Przedtém jednak pozwolimy sobie powiedziéć słów parę o systemie pisma, który pod względem zewnętrznym nie ma nic wspólnego z żadnym innym alfabetem, — jest to klinowe pismo perskie. O ile się zdaje, starożytni Persowie w połowie VI w. przed nar. Ch. przejęli samę zasadę pisma od Babilończyków lub Assyryjczyków, którzy znów pisali w podobny mniéj więcéj sposób, jak Egipcyanie i od nich zapewne swoje pismo zapożyczyli; Persowie przyjęli zasadę, ale nie formę znaków, tę sami wymyślili i to trzeba przyznać bardzo oryginalną ale i trudną do spamiętania. W najstarszych perskich napisach spotykamy dwa rodzaje klinów: pionowy i poziomy, rozmaite zestawienia tych dwóch klinów, oraz kąta również z dwóch klinów utworzonego dają nam znaki rozmaitych sylab, przyczém trzy samogłoski *a*, *i*, *u* mają znaki osobne: tych jest 37, liczba niezupełnie wystarczająca potrzebom języka i dlatego napisy klinowe są trudniejsze do odczytania niż inne.

Nie będziemy tu mówić wcale o wielu systemach pisma, jak np. o sanskryckim, *devanagari* zwanym, o tym, którym napisana Avesta i t. d., ponieważ dotychczas ich początek pozostaje nieznany, a zasada ich wcale lub w niewielkich szczegółach różni się od alfabetów sylabowych i dźwiękowych, o których już mówiliśmy lub mówić będziemy, zwrócić tylko należy uwagę na to, że pisma te wszystkie mają charakter już nie hieroglifów, obrazów, lecz alfabetów, t. j. znaków.

Dochodzimy nareszcie do ostatniéj głównéj epoki pisma, do czysto dźwiękowego alfabetu; około r. 2700 przed nar. Chr. na delcie nilowéj zaszedł wypadek, któremu zawdzięczamy nasz alfabet: z brzegów Palestyny i Fenicyi przybyła garstka ludzi, która zajęła deltę; wiemy jak przedsiębiorczym narodem byli Fenicyanie, dla nich nie istniała tradycya egipska, nakazująca przechowywać ze czcią wszystkie znaki pisma przekazane przez przodków, poznawszy więc pismo hieratyczne wzięli z niego tylko 22 znaki, które stały się tém, czém są teraźniejsze litery, oznaczające pojedyncze dźwięki. Znaki te naturalnie zostały nieco zmienione według gustu Fenicyan, ale początek ich tkwi w starych obrazach hieroglificznych, tak np. litera *a* oznaczała początkowo głowę wołu i nazywała się *aleph*, *b* pierwotnie było rysunkiem domu, którego nazwa

brzmiała *beth*; z czasem jednak już w piśmie hieratycznem pierwotny rysunek został uproszczony, stał się znakiem, stracił podobieństwo do oznaczanego pierwotnie przedmiotu. Widzimy więc, że znowu pismo, które powstało na zasadzie asocyacyi podobieństwa, przeszło w zakres działania asocyacyi styczności, ale nic prawie na tém nie straciło, gdyż wprawdzie znaki utraciły wszelką wyrazistość, ale też i liczba ich znakomicie się zmniejszyła, tak, że teraz nie przychodzi nam z wielką trudnością nauczyć się na pamięć, który znak odpowiada danemu dźwiękowi.

Od czasów Fenicyan pismo nie przeżyło już żadnéj epoki, któraby wielką zmianę wywołała, różne narody wzajemnie pożyczały od siebie alfabety, zastosowywały je do swoich potrzeb, zmieniały znaki lub wymyślały nowe, zasada jednak pozostała niezmienioną: tak Grecy zapożyczyli pismo od Fenicyan, Rzymianie przejęli je od Greków i z tych dwóch źródeł pismo rozszerzyło się w całéj Europie; od greckiego alfabetu pochodzą dwa: g ł a g o l i c a i k i r y l i c a, którą Piotr W. zreformował na tak zwaną g r a ż d a n k ę. Wszystkie inne teraźniejsze alfabety europejskie, oprócz tureckiego, są zreformowanym alfabetem łacińskim.

W tym krótkim przeglądzie historycznym doszliśmy do następujących wniosków:

systemy pisma, oparte pierwotnie na asocyacyi styczności, od samego początku nosiły w sobie zaród śmierci;

właściwém źródłem pisma był rysunek;

każdy system pisma, wskutek stopniowego zacierania się wyrazistości znaków, przechodzi z zakresu jednéj asocyacyi do drugiéj.

głównemi epokami w historyi pisma są te, w których pismo przechodzi od jednego narodu do drugiego;

znaki, malujące pierwotnie obrazy przedmiotów (chińskie), wyrażały potém wyrazy i sylaby (egipskie) i nareszcie dźwięki (fenickie);

pierwotne systemy pisma miały bezpośredni związek z myślą bez względu na mowę; więc istniały dwa stosunki: myśli do mowy i myśli do pisma; potém był stosunek mieszany w piśmie egipskiém i nareszcie w nowszych alfabetach, zaczynając od fenickiego, pismo i myśl bezpośredniego związku nie mają, lecz tylko pośredni przez mowę.

Okresy historyczne w rozwoju pisma:

Okres I.
1) rysunki (najpierwotniejsze);
2) godła (Indyanie północnéj Ameryki);
3) pismo obrazowe, gdzie każdemu pojęciu odpowiada obraz (chińskie).

Okres II. 4) obraz przedmiotu wyraża część jego nazwy (egipskie).
Okres III. 5) alfabet: znaki odpowiadają dźwiękom mowy.

Pierwsze trzy epoki mogą stanowić jeden peryod, gdyż właściwie zasadę mają wspólną.

Z dołączonéj tablicy widzimy, że cyfry używane w średnich wiekach i nasze teraźniejsze, ogółem nie wiele się różnią od najdawniejszych arabskich, a więc z biegiem czasu mniéj się zmieniły niż litery oznaczające dźwięki językowe. Przyczyna téj różnicy prawdopodobnie leży w tém, że w zmianach kształtów pisanych działa to samo prawo, co w zmianach fonetycznych, mianowicie dążymy do uproszczenia procesu wymawiania i pisania; uproszczenie to zaś ma obszerniejsze pole w alfabecie niż w cyfrach; litera nawet bardzo uproszczona w całym wyrazie nie jest trudną do odgadnięcia, w ostatecznym razie można jéj znaczenie z łatwością odgadnąć, tak np. w zwykłém naszém piśmie litery *u* i *n* piszą się jednakowo, a nikt nie bierze jednéj za drugą. Zupełnie co innego zachodzi w cyfrach: tu jedna cyfra nie zależy od sąsiedztwa innéj, i w razie niewyraźnego lub niedbałego pisma z łatwością można błędnie liczbę odczytać, dlatego każdy się stara najdokładniéj oddać kształt każdéj cyfry, a gdzie jest takie staranie, tam o zmianę bardzo trudno. Pomimo tego i tutaj znajdujemy zmiany, ale tylko po największéj części w kierunku estetycznym i to stosunkowo bardzo niewielkie, gdyż, jak widzimy, między cyframi Dürera z XVI w. i naszemi nie ma żadnéj prawie różnicy.

Jan Łoś.



WZORY LICZB z ROZMAITYCH EPOK.

	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	0.
Indyjski devanagari	१	२	३	४	५	६	७	८	९	.,o
Arabski rok 772	١	٢	٣	٤, ٤	٥, ٥	٦	٧	٨	٩	.,o
Arabski z północnej Afryki i Hiszpanii magrebskim albo gobarskim zwany	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
Europ. w. XI wprow. przez Gerberta naucz. Ottona III, *abacus* potem *apices* zwane.	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
Początek XII wieku	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
wiek XII	1	„	3	4, 4	5	6	7	„	cc	„
wiek XIII	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
koniec w. XIV	1	2	3	4	5	6	7	8	9	„
wiek XV	1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
A. Dürer 1525.	1	2	3	4	5	6	7	8	9	

WZORY WYJĘTE z TH. WALTERA „ZAHLEN UND ZIEFFERN".



SAMOBÓJSTWO.

„Kartki te piszę w ostatniéj godzinie mojego życia. Czynię to zaś dlatego, aby raz jeszcze przekonać się, że śmierć stała się dla mnie koniecznością a życie niepodobieństwem.

Niedawno wybiła dziesiąta godzina. Służącéj pozwoliłem pójść na miasto, mój syn poszedł do teatru. Jestem sam w mieszkaniu. Uczuwam pragnienie, ponieważ jednak zapomniałem powiedziéć służącéj, aby postawiła karafkę z wodą na moim stole, muszę czekać aż powróci.

Mój syn przyjdzie około północy; wtedy pożegnam się z nim a skoro uśnie, wypiję tę flaszkę kwasu karbolowego, którą dziś przyniesiono mi z apteki dla przemywania mojéj rany w nodze. Władek śpi twardo. Nie przebudzi się, choćbym się szamotał na łóżku. Gdy zaś jutro rano otworzy oczy, wszystko będzie już skończone.

I pomyśléć tu, że przyczyną mojéj śmierci, śmierci samobójczéj, stała się ranka na nodze, mała, czerwonawa, niewinna na pozór; trzygroszniakiem można by ją zakryć zupełnie. A jednak ona to mnie zabija.

Przez całe życie byłem czynnym człowiekiem. Pracowałem wiele i z przyjemnością, za to prawie wcale nie oddawałem się rozmyślaniom. Dopiero od czasu utworzenia się téj rany, tryb mojego życia odmienił się na odwrót. Zostałem przykuty do łóżka i przeleżałem na niém dziewiętnaście miesięcy. Oczywiście, że przez cały ten czas nie mogłem pracować i być w ruchu jak dawniéj. Wszystkiemi sprawami zajmował się Władek, a ja czułem się nieszczęśliwym, widząc ciągle jego niezaradność i swoję niemożność. Przytém bezczynne moje położenie zmuszało mnie do rozmyślania, a to nie przynosi szczęścia takim prostym jak ja ludziom. Żadna z tych my-

śli, które, niby czarne ptaki, nawiédzały mnie w czasie choroby, nie sprawiła mi radości. Przeciwnie karmiłem się samemi smutkami, gdym porównywał swoję dolę z dolą innych ludzi albo też z własną dolą niedawną.

Aż wreszcie nawiédziła mnie jedna myśl, która opętała zupełnie mój umysł i stała się niby raną na duszy, która nie chciała się nigdy zagoić, podobnie jak rana na nodze. Była to myśl o samobójstwie.

...... Wszystko to zaś zaczęło się od bagateli i nikt by wówczas przewidziéć nie mógł skutków, tak wielkich.

Oto odziębiłem sobie wielki palec u prawéj nogi. Sprawiało mi to nieco bólu i nie mogłem nakładać buta. Pewny, że to wkrótce przejdzie samo z siebie, nie leczyłem się wcale a nawet nie przestawałem chodzić, dobrawszy sobie na odziębioną nogę grubą, wełnianą pończochę i wygodny kalosz.

Spotkawszy pewnego razu znajomego mi felczera, poradziłem się go. Odrzekł, że to głupstwo; dał mi przytém trochę jodyny we flaszeczce, radząc abym nasmarował chory palec przed pójściem spać.

Zrobiłem to, ale podobno zawiele na raz użyłem jodyny i ból w palcu powiększył się. Nie zwracałbym na to uwagi, bo byłem na ból wytrzymałym, ale przeszkadzało mi to, że coraz trudniéj było mi chodzić. A właśnie w tym czasie potrzebowałem być ciągle w ruchu, ponieważ rozpocząłem stawianie oficyny w mojéj kolonii.

Zacząłem się więc leczyć u doktorów, mieszkających w pobliskiém dużém mieście Ł. ci przedewszystkiém położyli mnie do łóżka. Zdecydowałem się przez kilka dni nie wstawać wcale, bylem tylko jak najprędzéj odzyskał możność zajmowania się interesami, rozpoczętą budowlą, ogrodem i pszczołami.

Upłynęło jednak parę tygodni a z moim palcem było coraz gorzéj. Ból nie ustawał, siność nie zchodziła, a nawet utworzyła się mała rana.

Znudzony tém, zresztą nie mając zaufania do prowincyonalnych doktorów, przyjechałem do Warszawy, aby poradzić się sławnego specyalisty. Zapisałem się do szpitala, na oddział chirurgiczny i poddałem się obserwacyi.

Chirurg przez cały miesiąc oglądał moję ranę codziennie, nie dając nic poznać po sobie co o niéj myśli. Wreszcie, gdym stawał się coraz niecierpliwszy, zaproponował mi, abym pozwolił sobie odjąć palec.

Zgodziłem się na to po krótkim namyśle.

Gdy posługacze nieśli mnie na skórzanym materacu na salę operacyjną, byłem pewny, że nóż chirurga przetnie odrazu tę obecną moję, nudną i bezczynną dolę.

Operacyą wytrzymałem bez uśpienia. Tego dnia miałem trochę gorączki, nazajutrz wszakże wstałem w jaknajlepszém usposobieniu. Bez żalu spoglądałem na bandaże, owijające już tylko o czterech palcach nogę, projektując, że z końcem tygodnia wypiszę się ze szpitala i powrócę do swojéj kolonii, za którą coraz silniéj tęskniłem.

Tymczasem upłynął tydzień, potém drugi, za nimi trzeci, wreszcie zaczęły płynąć dni do nieskończoności a ja nie mogłem podnosić się z łóżka. Dwa brzegi skóry, założone na miejscu uciętego palca nie zrastały się; rana się nie goiła.

Powoli ogarniała mnie rozpacz.

Jakże szczęśliwym czułbym się, gdybym mógł wstać, wyjść z téj sali i powrócić do ulubionych zajęć moich, chodzić po rusztowaniach, umawiać się z cieślami, mularzami, doglądać ich, widziéć jak oficyna podnosi się do góry... Gdybym zapomniéć mógł o szpitalu, o tych wiecznie jednostajnych wizytach doktora, o téj czarnéj tablicy zawieszonéj nad moją głową na któréj wypisany był niezrozumiały dla mnie napis, określający moją chorobę:

g. senilis.

Po dwóch miesiącach tych męczarni zbielały mi włosy na głowie i brodzie i wyglądałem jak zgrzybiały starzec, a tak czerstwym i silnym przecież tu przybyłem.

Musiałem się jednak pogodzić z moją dolą. Napady rozpaczy zaczęły ustępować powoli zostawiwszy mnie o dziesięć lat starszym. Wróciła i nadzieja oparta na téj myśli, że kiedyś przecież musi się to skończyć.

Niejednokrotnie zapytywałem doktora „kiedyż nareszcie będę zdrów". Odpowiadał mi: „Nie długo już, nie długo", ale mówił to tym zwykłym, trochę szorstkim, trochę niedbałym tonem, którym doktorzy często zdają się mówić choremu: „ty niepotrzebujesz znać choroby swojéj, bo od tego ja jestem", i którym jeszcze częściéj maskują swoje nieuctwo lub niedołęstwo.

Dzięki energii, która wtedy jeszcze nie zupełnie była mnie opuściła, umiałem ukryć przed ludzkiemi oczami moje cierpienia.

Dosyć często odwiédzali mnie znajomi i krewni. Spędzali po godzinie przy mojém łóżku, za co byłem im serdecznie wdzięczny. Dziwili się moim siwym włosom ale więcéj jeszcze mojemu humorowi, który, jak twierdzili, nie opuścił mnie wcale pomimo tak długiéj choroby. Nie poznawali, że śmiéchy i dowcipy moje były sztuczne, że mnie to kosztuje.

Od smutku ludzie uciekają, a mnie tak było potrzeba towarzystwa ludzi, zwłaszcza ludzi zdrowych, którzy żyją na świecie i trochę tego życia wnoszą ze sobą aż tu, do mojego szpitalnego łóżka. Na tę sztuczną zatém wesołość zużywałem reszty moich sił, tych sił drogocennych, które z takim pożytkiem umiałbym zużytkować na świecie.

Nikt téż nie słyszał mnie narzekającego.

Wszakże, gdy zostawałem sam, upadałem na poduszki i oddawałem się na pastwę męczarniom, które gnębiły mnie od czasu operacyi. Niepokój, niepewność, gwałtowna chęć ruchu i życia, tęsknota za pracą i domem szarpały moję duszę.

Wtedy miewałem chwile, żem żałował mojego udanego humoru. Myślałem, że może lepiéj byłoby ukazać odwiédzającym mnie prawdziwą twarz swoję, wątpiącą i znękaną. Tak robili towarzysze jednéj ze mną szpitalnéj sali. Zazdrościłem im nieraz tego, że umieli wynurzyć obcym swoje żale; męczyło to innych, ale im samym przynosiło ulgę. Podczas bowiem gdy ja po wizytach znajomych moich popadałem w rozpacz, oni przeciwnie czuli się spokojniejszymi niż zwykle.

Jednak nie umiałem ich naśladować. Miałem widocznie inną niż oni naturę, która nakazywała mi w obec obcych kpić i śmiać się z mojéj rany i wszystkich wogóle dolegliwości.

Syn przyjeżdżał do mnie od czasu do czasu. Zwykle mówił mi, że zabawi jeden tylko dzień w Warszawie. Dowiedziałem się jednak przypadkiem, że przebywa tu po tygodniu i więcéj w tajemnicy przedemną.

Z tego czasu poświęcał mi trzy lub cztéry godziny. Przychodził z rana, zaraz po opatrunku doktora, ubrany jak książe, z ufryzowanemi włosami i z twarzą upudrowaną jak kobiéta. Siadał na krawędzi mojego łóżka, ściągał powoli rękawiczki i przez cały czas bytności przy mnie czyścił i szlifował swoje paznogcie.

Że nie wiele myślał o mnie, nawet mu tego za złe nie brałem. Bardziéj bolało mnie to, że nie myślał wcale o sobie. Jedyne jego starania tyczyły się jego powierzchowności. Jedyną jego troską było to, aby miał zawsze na modne i eleganckie ubranie i aby dobrze się przedstawiał.

Ponieważ od roku mieszkał ze mną na wsi, dokąd sprowadziłem go, gdyż pobyt jego w Warszawie zadrogo mnie kosztował, nabrał rumianéj cery. Było to największe zmartwienie w jego życiu. Pragnął być bladym. Twierdził, że blady mężczyzna jest interesującym dla kobiét.

....Z goryczą myślę o nim.

A jednak od czasu jak umarła jego matka, zostawiwszy go niemowlęciem, jego jednego tylko kocham na świecie, Władysia, który jako mały chłopczyk zarzucał mi ręce na szyję i wiązał supełki na moich wąsach, a który oto wyrósł na ładnego durnia, nie mającego pojęcia o żadnéj pracy.

Gdyby ona żyła jeszcze, zapewnie byłby innym. Ona umiałaby go wychować dobrze, czego ja, prosty i niewykształcony człowiek, nie potrafiłem.

Pomimo jednak wszystkiego wolałbym, aby mnie spotkała przykrość, która jemu została przeznaczoną. Dla niego pracowałem nad powiększeniem majątku, a jego pod tym względem zupełne niedołęstwo było dla mnie jeszcze jednym bodźcem do przyjemnéj pracy.

....Tymczasem stan mojéj choréj nogi nie polepszał się wcale. Ranka się wprawdzie nie powiększała, ale i nie goiła się a to położenie uciążliwe, bez zmiany trwało ciągle, ciągle....

Nareszcie doktór zaproponował mi odjęcie drugiego palca i jakiéjś jeszcze kostki przyległéj. Zgodziłem się na to odrazu. Dałem nogę powtórnie pod nóż, podczas krajania paląc spokojnie papierosa.

I znowu powtórzyła się ze mną dawna historya. Znowu wstąpiła we mnie nadzieja, tak silna, że ręce mi niemal drżały do pochwycenia za klamkę u drzwi. I znowu zwątpienie, ciągnące za sobą rozpacz, zabijać powoli zaczęło wszystkie iskry nadziei.

W końcu wpadłem w stan obojętności na wszystko, co się ze mną i około mnie działo. Przestałem liczyć dni, obojętném mi było, czy przybył kto na salę, czy wyzdrowiał lub umarł. Nie rozróżniałem dnia powszedniego od święta.

Całe godziny leżałem na łóżku bez ruchu, bez myśli. Jeden sen tylko witałem chętnie, błogosławiąc go za zapomnienie, jakie mi dawał. Ale ta rozkosz przerywana bywała przebudzaniem się o rannéj godzinie, a przebudzenie sprowadzało mi na myśl moję chorą nogę, bezkształtną, skurczoną, ściśniętą białemi bandażami.

Jak długo trwał ten stan, nie pamiętam; ale musiało minąć wiele dni i wiele nocy, bo pomiędzy dwoma mojemi spojrzeniami przez okno na ogród szpitalny, upłynęła jesień i nadeszła zima.

W tym czasie doktór zrobił jeszcze jednę próbę wyleczenia mnie: odjął mi trzeci palec. Zgodziłem się na to z obojętnością, bezmyślnie, ani na chwilę już nie ułudziwszy się nadzieją.

Przed operacyą poprosiłem, aby mnie uśpili. Doktór chciał mnie odwieźć od tego; nazwał mnie zuchem nielada. Odpowiedziałem mu trochę cierpko, że dosyć się już nacierpiałem.

Gdy po raz trzeci przynieśli mnie posługacze z sali operacyjnéj, nieszczęśliwa moja noga miała tylko dwa palce i prawie podobną była do bydlęcego kopyta.

Leżałem jeszcze czas jakiś pogrążony w apatyi. Gdym zaś budzić się z niéj zaczynał, na ogrodzie szpitalnym zima ustępować już poczynała miejsca wiośnie.

Nastąpiły dni ciepłe, jasne, łagodne, przynoszące z sobą jakieś dziwne powiewy, które wdychałem pełną piersią, zwlókłszy się do okna, a które budzić we mnie zaczęły pragnienie życia i tęsknoty za domem.

Odżyłem zupełnie, zapomniałem prawie o mojéj nodze i zacząłem się dopominać o większe porcye jedzenia.

Wreszcie napisałem do syna, aby przyjechał zabrać mnie ze szpitala i aby obstalował u stolarza dwie kule do podpiérania się.

Wróciłem do swojéj kolonii.

Powitałem ją zaś z taką serdecznością, jakiéj doznawać musi wygnaniec długoletni po powrocie do kraju. Cieszyłem się ze swobody, witałem każdy kąt moich domków, każdy zagon ziemi, każde drzewko w ogrodzie. I wreszcie marzyć zacząłem o nowéj dla mnie przyszłości, o przystosowaniu się do nowych warunków, o życiu kaléki o kulach.

Nie zważałem na miny sąsiadów moich, którzy z zadziwieniem i politowaniem kiwali na mój widok głowami. Miałem nadzieję, że wrócę choć w części do dawnych moich zajęć, do dawnego trybu.

Ale nie długo cieszyłem się tą nadzieją.

Wkrótce przekonałem się, że to co minęło, minęło dla mnie już bezpowrotnie. Noga moja wymagała zupełnego spoczynku. Każdy krok, choćby najostrożniejszy, przypłacałem długim i silnym bólem.

Zostałem więc niewolnikiem łóżka nazawsze, do końca życia...

Wtedy zacząłem więcéj niż kiedykolwiek myśléć o moim synu. Uczuwałem jakiś nieokreślony niepokój o jego przyszłość; chciałem mu ją zapewnić. Mój majątek, aczkolwiek niewielki, wystarczy na dostatnie, chociaż bez zbytków utrzymanie. Ale nie mogę powierzyć go Władkowi w téj formie, w jakiéj obecnie posiadam. Nie umiałby zarządzać kolonią, o czém dowodnie przekonały mnie jego rządy podczas pobytu mojego w szpitalu. Ogród zastałem zapuszczony, gnój spalony na kupie i nie wywieziony w pole, oficyna, tak pięknie zaczęta, została dokończona po fuszersku.

Władek potrzebuje dochodu stałego, pewnego, któryby nie wymagał pracy i starań.

Po namyśle doszedłem do przekonania, że najodpowiedniejszym interesem będzie dom w dużém mieście.

Miewałem ciągłe interesy w Ł., które to miasto szybko się rozwijało. Liczyłem i na tę okoliczność, która w przyszłości wartość domu mogłaby podnieść.

Z żalem prawdziwym pozbywałem się kolonii. Było to kochane dzieło moich rąk, mojéj pracy. Przez lat tyle, najpiękniejszych lat mojego życia, wkładałem w ten zakątek wszystkie moje myśli, starania i marzenia. Każdy kąt powstał tu podług mojego planu, każde drzewko sam zaszczepiałem, nie było grudki ziemi, którąby nie była przedmiotem moich myśli i wyrachowań.

Sprzedałem jednak to wszystko jakiemuś obcemu człowiekowi, aby zapewnić spokojny byt mojemu synowi.

Na poszukiwaniach kupca i kupna zeszło parę tygodni.

Przez ten czas nogę moję leczyli owczarze i wiejskie znachorki. Rozsądni ludzie wzruszali na to ramionami. Ale ci ludzie byli zdrowymi i nie rozumieli co się dzieje w duszy znękanego długą chorobą kaléki.

Zanadto byłem rozsądny, abym miał wierzyć w skuteczność tych babskich leków. Jednak poddawałem się im. Ci prości ludzie mieli wiarę w swoje środki, która i na mnie oddziaływała. W zgnębioną atmosferę choroby wnosili nadzieję i pocieszenie.

Czyż mogłem oprzéć się człowiekowi, który przychodził do mojego łóżka, opuszczonego przez doktorów, mówiąc z silném przekonaniem: „za tydzień panocek będzie mazura tańcował“.

Czyż mogłem wypędzać kobiety, które mnie, marzącemu o zdrowiu, jako o niedościgłém szczęściu, opowiadały o licznych i pewnych, cudownych prawie wyzdrowieniach.

Przyjemność mi sprawiały te zapewnienia, pomimo rozsądku, który szeptał nieustannie: „to są brednie“. Kto inny może oparłby się tym dziecinnym złudzeniom; ja byłem na to już zbyt słaby, zbyt znękany i zbyt nieszczęśliwy.

Przykładałem więc różne dziwaczne maści, pozwalałem liczyć obrazki na ścianach, zatrzymywać zegar i pluć wokoło mojego łóżka.

....Sprzedałem wreszcie kolonią moję dosyć korzystnie i kupiłem w Ł. dom, który zdawał mi się odpowiednim. Była to murowana dwupiętrowa kamienica z obszernym placem, wychodzącym na drugą ulicę. Byłem pewny, że za lat parę, po spłaceniu niewielkiego długu, ciążącego na hipotece, i przy podniesieniu się jeszcze ruchu przemysłowego w mieście, Władek miéć będzie pewny dochód, wynoszący półtora tysiąca rubli rocznie.

Dom został zapisanym odrazu na imię mojego syna i wkrótce przeprowadziliśmy się obadwaj do Ł.

I oto po kilku miesiącach, w ciągu których rozpatrzyłem się w nowéj sytuacyi majątkowéj, przekonałem się, że los wymierzył mi jeszcze jeden cios.

Byłem zrujnowany.

Podczas choroby mojéj nastąpiło w Ł. przesilenie, spowodowane poprzednią gorączką budowlaną. Domy zaczęły spadać gwałtownie; licytacye były na porządku dziennym. Sprzedaże odbywały się za połowę, na trzecią część nawet wartości.

O tém wszystkiém, odłączony od świata murami szpitala, nie wiedziałem zupełnie. Oszust, który mi sprzedał dom, skorzystał z tego; zapłaciłem za drogo i na warunkach na tak ciężkie czasy zbyt uciążliwych.

Była to jedném słowem zupełna ruina. Za rok, najwyżéj za dwa lata będziemy obadwaj zupełnymi nędzarzami. Zbyt dobrze, niestety, znałem się na interesach, aby się łudzić.

I oto nadeszła chwila, gdy straciłem wszystko, co mnie przywiązywało do życia.

Pozostał tylko mój syn...

Gdybym był zupełnie samotnym, zdaje mi się, że nie pomyślałbym o samobójstwie. Znalazł bym dla siebie dach i kawałek chleba, choćby w jakim przytułku dobroczynnym; jestem wszak kaléką, niezdolnym do pracy. Miałbym spokój, w którym przeżyłbym jeszcze jakie dziesięć lat, pozostające mi prawdopodobnie do śmierci.

Ale mam syna, który cierpiéć będzie nędzę i łamać się w walce z życiem a któremu nie będę mógł pomódz i usunąć przeszkód z drogi.

To by mnie zabijało powoli. Wolę zatém odrazu skończyć.

Nie przestałem kochać mojego syna. Ale mam względem niego złe przeczucia i nie chcę doczekać ich spełnienia.

Jednak, gdybym choć na jeden rok życia miał do rozporządzenia dwie zdrowe nogi...

.... Ale nie! rana moja nie zagoi się nigdy. Postanowienie moje jest niecofniętém.

.... Przed chwilą odłożyłem pióro, aby raz jeszcze obejrzéć moję ranę. Od pewnego czasu ciągnie mnie coś do przyglądania się téj czerwonéj plamie na tle żółtéj i wyschłéj skóry. Patrzę nieraz całe kwadranse na nią a gdy ocknę się z tego dziwnego zapatrzenia, uczuwam obawę o moje zdrowe zmysły.

Ale oto słyszę dzwonienie u bramy. Mój syn wraca. Oddam mu dziś ostatni uścisk a za godzinę już pozyskam zupełny spokój, którego na taki długi czas pozbawiła mnie mała ranka na nodze".

Człowiek ten rzeczywiście otruł się przez wypicie znacznéj ilości kwasu karbolowego. Śmierć jego spostrzeżono dopiero nazajutrz, tak jak był przewidział, i gdy pomyślano o pomocy lekarskiéj nieszczęśliwy samobójca był już zimnym i sztywnym.

Wincenty Kosiakiewicz.





PIĄTY ZJAZD LEKARZY I PRZYRODNIKÓW

WE LWOWIE.

Świéżo odbyty w miesiącu lipcu piąty zjazd lekarzy i przyrodników polskich różnił się korzystnie od poprzednich tém, iż był liczniejszy niż zwykle, iż obfitował w większą ilość odczytów i że połączony był z wystawą hygieniczną i dydaktyczno-przyrodniczą. Wogóle z zadowoleniem zaznaczyć możemy, iż każdy zjazd uczonych naszych przewyższa poprzednie tak co do liczby uczestników jak i ilości wykładów; widocznem więc jest z tego, że zjazdy są dla nas instytucyą istotnie potrzebną. „Wobec szczupłéj liczby ognisk— czytamy we wstępnym artykule dziennika zjazdu—w których nauki lekarskie i przyrodnicze mogą być uprawiane w języku narodowym, zjazdy nasze mają przeważnie cechę naukową, ale nierównie ważniejsze jest ich znaczenie, jako zebrań towarzyskich, na których ludziom tego samego lub pokrewnych zawodów daną jest sposobność zapoznania się, zawiązania osobistych stosunków i wymiany zdań“.

Na zjeździe tegorocznym odczytano około stu pięćdziesięciu większych i mniejszych rozpraw treści przyrodniczéj i lekarskiéj, a jeśli zważymy jeszcze, że liczne z poruszonych kwestyi wywołały żywą dyskusyą, ocenimy z łatwością całą wielkość materyału naukowego, jaki nagromadził się na posiedzeniach ogólnych i sekcyjnych. Zbytecznem byłoby tu wyliczanie tytułów wszystkich odczytanych prac, za dużo zaś miejsca zabrałoby streszczenie tych wszystkich rozpraw, które stanowią nie małéj wagi przyczynki do postępu wiedzy lekarskiéj i przyrodniczéj. Dlatego poprzestaniemy na streszczeniu kilku odczytów, mających bądź teoretyczne znaczenie ogólniejsze, bądź téż wielką doniosłość praktyczną.

Z odczytów wygłoszonych na posiedzeniach ogólnych dwa na szczególną zasługują uwagę, a mianowicie dra A. Rollego (z Kamieńca Podols.) o dziedziczności obłąkania, oraz dra Z. Krówczyńskiego ze Lwowa: Profilaktyczne zabiegi nowoczesnéj medycyny. Nadzwyczaj zajmujący odczyt dra J. A. Rollego, znanego w literaturze naszéj pisarza na polu historyczném, stanowi wyjątek z obszerniejszéj pracy, opartéj na trzydziestoletnich badaniach klinicznych i statystycznych. Prelegent starał się wykazać na wstępie, jak niedokładną jest dotychczas statystyka dziedziczności chorób umysłowych. Statystyka szpitalna nie wiele nam w tym względzie daje. Nie w tych samych szpitalach umieszczani bywają chorzy z jednéj rodzíny, a tém mniéj chorzy różnych pokoleń téj saméj rodziny, prócz tego nie wszyscy chorzy dostają się do szpitali, zależy to bowiem od stopnia i charakteru, w jakim pewne zboczenia umysłowe i nerwowe objawiają się. Autor obrał więc za przedmiot studyów swoich—stan uprzywilejowanych; ten bowiem, zdaniem autora, posiada genealogią najdokładniejszą. Dr. Rolle uprzedza jednak, „że nie podnosi kwestyi z celem upokorzenia reprezentantów rycerskiego niegdyś narodu, ani też udowodnienia, że nie posiadają oni warunków bytu ze względu fizycznych wadliwości". Autor nie wymienia nazwisk rodów, byłoby to bowiem zbyt drażliwém, a dla wyświetlenia prawdy zbyteczném. Genealogie jego, w których zauważono zboczenia nerwowo-umysłowe, obejmują sto rodów; liczba pokoleń w poszczególnych rodach waha się od jednego do siedmiu; na te sto rodów składa się 1564 osób (843 mężczyzn i 721 kobiet). W téj grupie osób autor naliczył następujące zboczenia: nerwic umysłowych 142 wypadki (92 m., 50 k.), zwyrodnień umysłowych 89 (46 m. 43 k.), upośledzenia umysłowego (tj. zatrzymania rozwoju intelektualnego na pewnym stopniu) 45 (31 m., 14 k.), czyli w sumie ogólnéj 276 osób (169 m. i 107 k.) a więc 18%. Prócz tego chorobom powyższym towarzyszyły rozmaite cierpienia nerwowe, które w badanych przez autora dwóch pokoleniach wynosiły 20%.

Jako główną przyczynę wszystkich powyższych zboczeń tak umysłowych, jak i nerwowych, uważa autor dziedziczność, ową niepojętą siłę, z jaką rodzice przelewają na potomstwo cechy i zboczenia swego ustroju, tak fizyczne, jako też moralne. Nadzwyczajne spotęgowanie tego fatalnego spadkobierstwa spostrzega autor w klasach uprzywilejowanych dopiero pod koniec XVIII wieku. Na to wzmożenie się cierpień nerwowo-umysłowych w tym czasie wpłynęły, zdaniem autora, cztery główne czynniki, a mianowicie: 1) opilstwo, które bardzo było rozpowszechnione w tak zwanych czasach saskich; 2) zbyt bliskie związki pomiędzy krewnymi tych samych

rodów; 2) rozpusta; 4) wstrząśnienia polityczne, których skutkiem był ubyt silniejszych organizmów (przymusowe albo dobrowolne wygnanie). Powyższe czynniki, dopomagające w wysokim stopniu dziedziczności, przyczyniły się do nadzwyczajnego rozpowszechnienia się zboczeń nerwowo-umysłowych (75%).

Autor odróżnia następujące cztery główne formy dziedziczności zboczeń umysłowych: 1) dziedziczność pojedyńczą albo bezpośrednią (tj. przechodzenie zboczenia jednego z rodziców na dzieci) 2) zwrotną albo pośrednią (atawizm), w której ma miejsce omijanie jednego lub kilku pokoleń 3) przeléwanie uboczne chorób umysłowych, tj. ze stryja lub ciotki, i wreszcie 4) dziedziczność podwójną, tj. odziedziczanie zboczeń umysłowych i po ojcu i po matce, dotkniętych cierpieniami temi. Taka dziedziczność podwójna jest najgroźniejsza w skutkach; sprawia potęgowanie zboczeń umysłowych i kończy się często zupełném wygasaniem rodu; albowiem do cierpień nerwowo-umysłowych przyłączają się jeszcze w tym wypadku liczne inne, jak suchoty, rak itp., prowadzące do zupełnéj zagłady rodu.

Autor dochodzi daléj do wniosku, że związki pomiędzy krewnymi i opilstwo, powtarzające się przez kilka pokoleń, powodują następstwa, podobne do tych, jakie wywołuje dziedziczność podwójna, z tą wszakże różnicą, że w ostatnim wypadku u osobników wolnych od choroby umysłowéj daje się spostrzegać spotęgowanie zdolności umysłowych, podczas gdy w pierwszym wypadku następuje stępienie takowych, a i formy obłąkania należą tu do rzędu nerwic umysłowych i przytém postaci wtórnych, jak obłąkanie częściowe jednoprzedmiotowe, otępienie umysłu, idyotyzm itd.

Pomimo tak oczywistego wpływu dziedziczności w zboczeniach umysłowych, daje się téż niekiedy zauważyć zmiany pomyślne. Przez wprowadzanie do małżeństw pierwiastków, wolnych od tego smutnego spadkobierstwa, siła wrodzonego usposobienia do chorób umysłowych i cierpień nerwowych traci swe natężenie i może być wreszcie zupełnie usunięta w danym rodzie, a Ribot dodaje, że siła ta może być téż zmniejszoną lub usuniętą pod wpływem należytego wychowania, „które jest najpotężniejszym współzawodnikiem dziedziczności psychiatrycznéj“.

Oto treść zajmującego odczytu dra Rollego. Pragnęlibyśmy bardzo ujrzéć wkrótce ogłoszoném obszerne sprawozdanie z poszukiwań zasłużonego lekarza i badacza.

Nie mniéj ciekawym, lubo nie opartym na samodzielnych spostrzeżeniach, był odczyt dra Krówczyńskiego o profilaktycznych zabiegach nowoczesnéj medycyny.

W starożytności i wiekach średnich miano tak dziwne pojęcia o przyczynach chorób, że nie myślano prawie wcale o zapobieganiu chorobom, o profilaktyce lekarskiéj. Obecnie zaś zapobieganie jest równie ważném zadaniem medycyny, jak samo leczenie rozwiniętych już chorób.

Zobaczymy, o ile skuteczną być może profilaktyka w medycynie wobec naszych teraźniejszych zapatrywań na przyczynę chorób. Otóż, odróżniamy trzy główne postaci chorób, ze względu na przyczynę ich powstania: 1) choroby dziedziczne, 2) choroby wrodzone i 3) nabyte. Otóż, do pierwszéj grupy cierpień należy bardzo wiele niebezpiecznych dla ustroju chorób, jak np. gruźlica, choroby umysłowe i t. p. Jeśli zatém suchoty np. są cierpieniem dziedzicznėm, jeśli dziecię rodzi się już z zarodkami téj choroby, to czyż środki zapobiegawcze mogą się tu na co przydać? Otóż, dziecię nie odziedzicza nigdy saméj choroby, lecz tylko predyspozycyą do niéj. Suchoty, jak wiele innych chorób, rozwijają się wskutek infekcyi; najbliższą ich przyczyną są grzybki chorobotwórcze, dostające się do organizmu. Na infekcyą tę narażony jest każdy organizm, ale ustrój predysponowany przez spadkobierstwo do gruźlicy, daleko łatwiéj infekcyi gruźliczéj ulegnie niż wszelki inny i tak właśnie pojmować należy dziedziczność chorób infekcyjnych. Według spostrzeżeń Miecznikowa i innych badaczy, grzybki chorobotwórcze staczają walkę z białemi ciałkami krwi organizmu, z t. zw. fagocytami, a od rezultatu téj walki zależy, czy organizm zostaje zwycięzcą, czy téż choroba pokonywa ustrój. Ale z drugiéj strony większa odporność fagocytów może być osiągnięta przez lepsze, odpowiednie warunki życia i na tém właśnie polega w tym razie doniosłość profilaktyki lekarskiéj, zastosowanie środków zapobiegawczych.

Druga grupa chorób, a mianowicie wrodzone, są takie, które nabywane zostają podczas płodowego życia dziecka, tak, iż przynosi ono z sobą na świat ich zawiązki. W tym wypadku sama przyroda przychodzi nam z pomocą; przekonano się bowiem, że działanie pewnych złośliwych zarazków zostaje osłabione w łożysku przy przejściu ich ze krwi matki do płodu. Odpowiednie traktowanie matki, uwzględnianie przepisów hygienicznych podczas całego okresu ciąży—są to środki zapobiegawcze przeciw wrodzonym cierpieniom. I tu więc profilaktyka ma pole działania.

Trzecią wreszcie grupę chorób stanowią cierpienia nabywane. Tutaj profilaktyka rozwinąć może najszersze już działanie; nabywa się chorób wskutek nie przestrzegania prawideł hygieny. Szkoła np. jest jednėm z najfatalniejszych źródeł nabywania cierpień fizycz-

nych; pod tym jednym choćby względem, jak wiele ma do zrobienia hygiena publiczna w celu usunięcia dotychczasowego złego!

Widzimy zatém, że zabiegi profilaktyki nowoczesnéj medycyny są ze wszech miar uzasadnione, pole bowiem jéj działania jest pod każdym względem wdzięczne i rozległe, a cierpiącą ludzkość uchronić może od wielu nieszczęść. — Oto w krótkości treść zajmującego odczytu d-ra Krówczyńskiego.

Posiedzenia sekcyjne na zjeździe tegorocznym odbywane były przez liczne grupy, a bogata treść odczytów i dyskusyi obszarem swym przewyższa znacznie łamy, jakie możnaby im w miesięczniku ogólno-naukowym poświęcić. Wspomnimy więc tylko o najciekawszych dla szerszego ogółu kwestyach, które na posiedzeniach tych poruszono.

W sekcyi przyrodniczo - dydaktycznéj najciekawsze pytania podnieśli prof. Godlewski w sprawie ujemnego hydrotropizmu roślin, prof. B. Dybowski w kwestyi pochodzenia zębów zwierząt ssących, oraz prof. Wierzejski (w przysłanéj i w nieobecności autora przeczytanéj pracy) w sprawie stacyi biologicznych śródlądowych.

Wiadomo, że rośliny wykonywują pewne ruchy pod wpływem rozmaitych, działających na nie sił. I tak, łodyga czyli pęd zwraca się zawsze w stronę światła, korzeń zaś dąży do ciemności (jest to t. z. heliotropizm dodatni i ujemny); daléj pęd dąży zawsze w kierunku przeciwnym sile ciążenia, korzeń zaś idzie w kierunku działania téj siły, t. j. zwraca się ku ziemi, bez względu na położenie rośliny w przestrzeni (jest to t. z. geotropizm dod. i uj.). Otóż, do ostatnich czasów była jeszcze nierozstrzygniętą kwestya, czy pęd i korzeń zachowują się także przeciwnie ze względu na działanie wilgoci. Niektórzy botanicy przypuszczali, że pędy ulegają ujemnemu hydrotropizmowi, t. j. unikają wilgoci, korzenie zaś dążą do wilgoci, czyli ulegają hydrot. dodatniemu. Inni atoli uczeni twierdzili stanowczo, że hydrotropizm ujemny nie istnieje, że łodygi nie są wrażliwe na wilgoć i że nie mają właściwości unikania téj ostatniéj. Prof. Godlewski rozstrzygnął tę kwestyą. Zasadził nasiona różnych roślin obok pionowéj, wilgocią przesiąkniętéj ścianki torfowéj. Gdy młode roślinki wyrosły, badacz nasz dostrzegł, iż pędy zwracały się w stronę przeciwną wilgotnéj ściance torfowéj, czyli ulegały ujemnemu hydrotropizmowi. Nie u wszystkich atoli roślin zjawisko to daje się dostrzedz, siła bowiem hydrotropizmu wstępuje tu w kolizyą z ujemnym geotropizmem, pod którego wpływem pęd dąży do strzelania w górę. Otóż jeźli rośliny, rosnące obok wilgotnéj ścianki torfowéj, umieścić na przyrządzie odśrodkowym i szybko je obracać wkoło w płaszczyźnie pionowéj oś główna ro-

śliny łącząca korzeń i pęd, przyjmować będzie coraz to inne położenie w przestrzeni, a tym sposobem działanie geotropizmu zostaje usunięte. W tym zaś wypadku wszystkie już badane rośliny ujemnemu hydrotropizmowi ulegają. Prof. Godlewski dowiódł zatém działania téj mało dotąd znanéj siły na pędy roślin.

Ciekawym był też odczyt prof. Dybowskiego o historyi powstawania zębów złożonych u zwierząt ssących. Nie wchodząc w szczegóły, interesujące specyalistę tylko, zaznaczymy ogólny wynik poszukiwań. Otóż porównywając z sobą budowę zębów u różnych ssących, autor doszedł do wniosku, że każdy ząb człowieka i innych ssaków przedstawia utwór złożony, powstający ze zrośnięcia się kilku elementów pierwotnych; jako dowody teoryi swéj przytacza autor następujące fakta: w zębach mlecznych istnieją liczne korzonki szczątkowe, u wielu zwierząt (np. u słonia) zęby składają się z oddzielnych filarów, na koronach zębów znajdują się pojedyńcze sęczki t. z. jarzma, których autor widzi u większości zwierząt cztery. Poszukiwania prof. Dybowskiego doprowadziły go daléj do rozmaitych wyników, dotyczących pochodzenia człowieka; okazuje się, że na zasadzie uzębienia człowiek zbliżony jest najbardziéj do zwierząt drapieżnych. Praca prof. Dybowskiego pięknie się odbija na tle do przesady rozwielmożnionéj faunistyki, jaka charakteryzuje poszukiwania wszystkich prawie galicyjskich zoologów.

Prof. Wierzejski z Krakowa poruszył kwestyę nie małéj wagi dla nauki krajowéj. Zoolog niemiecki d-r Zacharias podniósł w kilku specyalnych czasopismach zagranicznych sprawę zakładania stacyi biologicznych, a szczególniéj zoologicznych nad jeziorami lub większemi stawami. Otóż prof. Wierzejski zwraca uwagę na konieczność założenia takiéj stacyi śródlądowéj w Galicyi. Pozornie pracownia taka zdaje się być zbyteczną, możnaby bowiem sądzić, że ekskursye biologiczne nad brzegi jezior i stawów mogłyby w zupełności wystarczyć do faunistycznych i biologicznych poszukiwań nad mieszkańcami wód słodkich. W rzeczywistości jednak jest inaczéj. Liczne zwierzęta słodko-wodne są tak delikatne, że nie mogą znieść dłuższéj nieco podróży w zamkniętych blaszankach. Zwierzęta takie mogą być więc badane tylko w laboratoryach, znajdujących się tuż nad brzegiem jeziora lub stawu. Oprócz tego fauna wód słodkich nastręcza pewne pytania, które mogą być rozwiązane jedynie przez ustawiczną jéj obserwacyę w różnych porach roku i przy rozmaitych warunkach zewnętrznych; do takich pytań należy np. kwestya składania przez niektóre zwierzęta dwojakiego rodzaju jaj: letnich i zimowych. Wszystkie te okoliczności przemawiają bardzo za zakładaniem stacyi zoologicznych śródlądowych.

Wskutek poruszenia w Galicyi téj sprawy, znalazł się już ofiarny mąż, baron Brunicki, który własnym kosztem zobowiązał się wybudować taką stacyę nad brzegiem jeziora w Lubieniu (miejsce kąpielowe niedaleko Lwowa).

W sekcyach lekarskich podniesiono kilka ważnych kwestyi, wśród których pierwsze miejsce zajmowało doniosłe pytanie o wyleczalności i leczeniu suchot krtaniowych. Zabierali tu głos znani specyaliści: dr. A. Sokołowski, dr. T. Heryng, prof. Baranowski i inni. Zdania co do wyleczalności i leczenia suchot krtaniowych—mówi dr. Sokołowski—są podzielone, z jednéj strony panuje sceptycyzm, z drugiéj entuzyazm, oba kierunki szkodliwe. Do ostatnich prawie czasów zapatrywano się jednak powszechnie bardzo pesymistycznie na wyleczalność suchot krtaniowych. Dopiéro prace Schmidtha i T. Herynga pogląd ten zmieniły. Liczne doświadczenia w praktyce prywatnéj i szpitalnéj utwierdziły dra Sokołowskiego w przekonaniu, że wyleczalność istnieje, chociaż należy do stosunkowo rzadkich wypadków. Dalsze wnioski ogólne, do jakich dochodzi dr. S., są następujące: Zabliźnienie pojedyńczych owrzodzeń krtaniowych występuje albo samodzielnie lub też dopiéro na skutek leczenia miejscowego, co pozostaje w ścisłym związku z ogólnym stanem i charakterem zmian w płucach. Najpewniejszém zaś leczeniem miejscowém suchot krtaniowych okazała się skombinowana metoda: tj. działanie kwasu mlecznego, leczenie chirurgiczne (wyskrobywanie, wprowadzone przez dra Herynga, wyrywanie granulacyi za pomocą pincety) oraz użycie galwanokaustyki.

Dr. T. Heryng mówił o dowodach anatomicznych uleczalności suchot krtaniowych, na podstawie własnych swoich poszukiwań. Zdaniem jego, przez chirurgiczne, miejscowe leczenie można wrzód natury gruźliczéj zmienić na wrzód zwykły, czyli „usunąć wszystko chorobowe“. Prelegent zaznacza jednak wyraźnie, że wyleczywszy lokalnie gruźlicę krtani, nie wylecza się jeszcze suchot płucnych, towarzyszących najczęściéj gruźlicy krtaniowéj. Sama wszakże ulga i ochrona chorego od ewentualnéj śmierci głodowéj, dostatecznie już przemawiają za leczeniem miejscowém. Prof. Baranowski zaznacza, że byłoby za wiele żądać uleczenia radykalnego. Czy lekarz, usuwający jedno ognisko gruźlicze, może dać rękojmię, że nie wystąpi inne, ukryte lub niedostępne? Okoliczność ta nie zmniejsza więc bynajmniéj zasług lekarzy, którzy na zjeździe głos zabierali, w sprawie miejscowéj wyleczalności krtaniowych suchot.

Nie streszczając innych odczytów, wygłoszonych na zjeździe tegorocznym, zaznaczymy tylko, że z ciekawszych tematów; dyskutowano daléj o faunie studni lwowskich, o szczepieniu ochronném

przeciw zarazie księgoszuszowéj, o leczeniu niedrożności jelit, o chirurgii mózgowéj, o leczeniu gorączki wobec nowszych pojęć o gorączce, o epidemiczném zapaleniu płuc, o metodzie Pasteura leczenia wodowstrętu, o drugiém prawie mechanicznéj teoryi ciepła, o słownictwie naukowém polskiém, o traktowaniu wykładów nauk przyrodniczych w szkołach ludowych i średnich itd.

Z krótkiego tego przeglądu widzimy, iż zjazd tegoroczny obfitował w materyał naukowy. Poruszono na nim wiele żywotnych i doniosłych pytań naukowych, które traktowano bardzo poważnie i wyczerpująco, o ile wogóle na zjazdach można wyczerpująco traktować przedmiot. Jeśli zaś prócz tego uwzględnimy nadzwyczajną korzyść społeczną, wynikającą dla nas z podobnych zjazdów, zupełnie bezstronnie będziemy musieli przyznać doniosłe znaczenie tegorocznego zjazdu dla wiedzy krajowéj.

Dr. S. S.





STANOWISKO
FILOZOFII DOŚWIADCZALNÉJ
WOBEC INTUICYJNÉJ.

Walka między filozofią intuicyjną, a doświadczalną o pojęcia wrodzone, poprzedzające wszelkie doświadczenie, nie jest nową. Ciągnie się ona całe wieki, raz uciszając się, to znowu wzmagając, ale nie przynosząc stanowczego zwycięstwa żadnéj ze stron walczących. Z tak ujemnego wypadku owéj walki możnaby wnosić, że jest ona sporem o wiatr, nie przynoszącym żadnéj zgoła korzyści, że jest marnowaniem sił i czasu, które z większym pożytkiem dałyby się użyć na inne cele. Wniknąwszy atoli w rzecz głębiéj, łatwo się przekonać, że owa walka, na pozór bezowocna, oddaje sprawie postępu niezmierne przysługi. Zmusza ona myśl ludzką do coraz pilniejszéj baczności na siebie i na to, co się wkoło niéj dzieje, do coraz głębszego wnikania w prawa i warunki swéj czynności, do coraz dokładniejszego sformułowania podstaw poznania. Pod jéj naciskiem systematy filozoficzne, oparte na słownych rozróżnieniach, wychodzące z założeń niesprawdzonych i niedowiedzionych, lecz przyjętych na wiarę jakiéjś powagi—zmuszone były albo ustąpić miejsca innym, bardziéj oględnym w swych wywodach, albo się przeobrazić i na nowych oprzéć podstawach. Tym sposobem pod ciosami kantyzmu upadł dogmatyzm filozoficzny, przed natarciem zaś materyalizmu spekulacya metafizyczna ustąpiła miejsca realnemu idealizmowi, który z kolei, nie umiejąc usprawiedliwić swych założeń, zeszedł z pola i utrwalił panowanie neo-kantyzmu. Z drugiéj strony sensualizm, materyalizm i pozytywizm, zmuszone do ciągłéj obrony swych zasad, rozszerzały stopniowo swe podstawy i przeobrażając się zgodnie z postępem wiedzy, przybrały charakter filozofii doświadczalnéj.

Obecnie dwa są głównie panujące kierunki — takie przynajmniéj, z któremi musi rachować się każdy, co wstępuje na pole badań filozoficznych. Są niemi: filozofia doświadczalna, która całą wiedzę wyprowadza z doświadczenia, i filozofia krytyczna, czyli neo-kantyzm, który uznaje wprawdzie, że doświadczenie jest jedyném źródłem wiedzy, ale zarazem utrzymuje, że koniecznemi warunkami doświadczenia są pewne pojęcia *a priori*.

Filozofia krytyczna licznych ma wyznawców nie tylko w Niemczech, ale także w Anglii i we Francyi. Jeden z wybitniejszych przedstawicieli krytycyzmu francuskiego, Ludwik Liard, w dziele swém: *La science positive et la metaphisique* tak usprawiedliwia stanowisko filozofii krytycznéj: „Jakkolwiek początek naszego poznania leży w doświadczeniu, nie wypełnia go ono przecież całkowicie. Doświadczénie daje nam poznać to tylko, co jest, nie zaś to, co być powinno, co nie może nie być; pokazuje ono nam pewien porządek rzeczy, ale nie daje nam pewności, że ten porządek jest stały, że niemasz od niego jakichś wyjątków, że nie zajdą w nim kiedyś jakieś odmiany. Słowem uczy nas ono tylko o tém, co jest szczegółowém, przypadkowém, ale nie może dać nam poznać tego, co jest powszechném i koniecznėm. Skoro zaś w poznaniu naszém wykrywamy pojęcia i sądy, które mają charakter powszechności i konieczności,— rzecz więc prosta, że te pojęcia i sądy nie pochodzą z doświadczenia, ale z czystego rozumu." Daléj zaś powiada: „Zarzucą zapewne, że zasadnicze twierdzenie kantyzmu jest bez dowodu. Otóż dowody, jakich można w téj rzeczy wymagać, nie mogą być demonstracyjne w geometryczném znaczeniu tego słowa. Gdy chodzi o przekonanie się, czy rzeczywiście istnieją zasady *a priori*, demonstracya może być tylko dyalektyczną, nie zaś logiczną"... „Zagadnienia, dotyczące zasad poznania, mogą być rozwiązane tylko za pomocą hipotez"... „Najlepszą, a właściwie jedynie prawdziwą hipotezą, tłómaczącą zasady poznania, jest ta, która nie gwałcąc w niczém faktów, ugruntowuje się zwycięsko na ruinach innych hipotez. Taką właśnie jest hipoteza Kanta. Najsilniejszym dowodem jéj prawdziwości jest, że filozofia doświadczalna nie zdoła z danych empirycznych wyprowadzić zasad powszechności i konieczności.

W tém określeniu filozofii krytycznéj zawiera się zarazem i krytyka filozofii doświadczalnéj. Poznajmyż, jakie są podstawy tejże, ażebyśmy mogli ocenić, o ile wymierzone przeciwko niéj zarzuty są słuszne.

Filozofia doświadczalna w ostatniéj swéj postaci, jaką jéj nadała teorya rozwojowa, również przyjmuje, że umysł nie jest, jak to

utrzymywał Locke, czystą tablicą, na której doświadczenie indywidualne wypisuje wszystko, co stanowi treść naszego poznania. Przeciwnie, utrzymuje, że w podstawie wszelkiéj czynności umysłowéj leżą pewne formy działania, które są koniecznym warunkiem osobniczego doświadczenia, wytycznemi punktami poznania. Różnica zachodzi w tém, że owych form nie wyprowadza ona z po za świata, nie uznaje w nich nic transcendentalnego. Zapatruje się na nie, jako na wynik przystosowania się organizmu do warunków świata zewnętrznego, jako na wypadek doświadczenia rasy, które stawszy się uorganizowaném, dzięki dziedziczności przechodzi z pokolenia na pokolenia; jako na utrwalone dziedzicznością usposobienie układu nerwowego, który wskutek niego w ten tylko a nie w inny sposób może oddziaływać na czynniki zewnętrzne. Umysł ludzki już w pierwszéj dobie swego istnienia uposażony był w pewne formy działania, które oddziedziczył po swych przodkach zwierzęcych; w pierwszém swém doświadczeniu ulegał on już warunkom, które stanowiły jego istotę. Umysł bowiem nie jest jakimś bytem metafizycznym, istniejącym oddzielnie od tego, co jego wątek stanowi. Pojęty abstrakcyjnie, jest on po prostu oddziaływaniem układu nerwowego na siły zewnętrzne; w konkretném zaś znaczeniu jest zbiorem pewnych pojęć, uczuć i chęci, skojarzonych w pewne grupy, nie zawsze łączące się w jednolitą całość i dlatego przedstawiające różny stopień siły i trwałości. Doświadczenie, które się powtarza niezmiennie i nieprzerwanie całym szeregiem następujących po sobie pokoleń i pod którego wpływem system nerwowy przystosował się do pewnego oddziaływania tak, że wszelkie inne oddziaływanie jest dla niego wprost niemożliwém—stanowi podstawę tego, co w doświadczeniu indywidualném i wogóle w poznaniu uznajemy za powszechne i konieczne. Słowem powszechność i konieczność pierwiastków poznania, będąc następstwem jednostajnego oddziaływania umysłu na czynniki zewnętrzne, stałe i powszechne, mają za jedyne swe źródło doświadczenie, nie doświadczenie indywidualne, ale doświadczenie rasy, utrwalone dziedzicznością, jako pewne usposobienie układu nerwowego.

Taki jest w najogólniejszych zarysach charakter filozofii doświadczalnéj. Zapatrywanie jéj na naturę umysłu i na genezę pierwiastków poznania, powszechnych i koniecznych, jest bezwątpienia hipotezą; lecz również hipotezą, jak to sam Liard powiada, są twierdzenia kantyzmu, dotyczące tych samych zagadnień.

Tym sposobem mamy przed sobą dwie hipotezy, stojące na przeciw siebie i walczące z sobą o prawo panowania nad myśleniem filozoficzném. Jedna z nich opiera się na czynniku natural-

nym, dającym się do pewnego stopnia sprawdzić; druga—na pierwiastku nadprzyrodzonym, którego nie tylko sprawdzić, ale nawet, ściśle rzecz biorąc, pojąć nie podobna. Pomimo bowiem najzręczniejszéj dyalektyki, pozostanie nazawsze zagadką nierozwiązalną, czém jest ów rozum czysty, oderwany od organizmu cielesnego i pozbawiony wszelkiéj treści doświadczalnéj, ale zarazem uposażony w pewne pojęcia *à priori*,—jak również, czém są owe pojęcia, które, nie pochodząc z doświadczenia i nie mając z niém nic wspólnego, kierują niém jednakże i są dla niego warunkiem koniecznym? W jaki nareszcie sposób owe pojęcia, z natury swéj obce danym doświadczenia, łączą się z niemi w jednę całość i temu, co jest przypadkowém i szczególném, nadają charakter powszechności i konieczności?

Wybór między temi dwiema hipotezami, tak bardzo różniącemi się pod względem swych założeń, zdaje się nie trudnym. Filozofia doświadczalna bardziéj odpowiada wymaganiom naukowym, aniżeli krytyczna, która, tłómacząc nieznane za pomocą mniéj jeszcze znanego, wykracza przeciwko zasadniczym prawom logiki.

Wybór ten atoli, lubo usprawiedliwiony dostatecznie, sporu jeszcze nie rozstrzyga. Przyznać słuszność filozofii doświadczalnéj pod jednym względem, nie znaczy to dowieść jéj słuszności pod innemi. Do tak dodatniego wyniku możemy dojść wtedy tylko, gdy wykażemy, że wszystkie zarzuty, z jakiemi występuje filozofia krytyczna przeciwko doświadczalnéj, nie mają żadnéj podstawy; że do wytłómaczenia sprawy poznania doświadczenie wystarcza jaknajzupełniéj; że uciekanie się w tym wypadku do czynnika nadprzyrodzonego zgoła jest niepotrzebném.

Liard w powołaném powyżéj dziele poddaje szczegółowéj krytyce zapatrywania filozofii doświadczalnéj na zagadnienia, które stanowią sporne punkty, a do których zalicza on zasadę przyczynowości, pojęcia czasu i przestrzeni i całą wogóle matematykę. Krytyka jego, mająca za główny punkt wyjścia twierdzenie, że z danych empirycznych niepodobna wyprowadzić zasad powszechności i konieczności, nie zawiera nic nowego. Posługuje się ona rozumowaniami powszechnie znanemi, których zasadniczy błąd leży w tém, że wywody, oparte na danych doświadczalnych, podciąga pod reguły logiki formalnéj i każe w nich widziéć *petitio principii*, pomimo że sam uroczyście oświadcza, że o tego rodzaju zagadnieniach rozstrzyga nie logika, ale dyalektyka oparta na faktach. Jedyną zaletą jego krytyki jest to, że podając swe zarzuty w systematycznéj całości, ułatwia tém samém rozprawienie się z niemi.

Zanim będziemy mogli przystąpić do rozpatrzenia się w szczegółowych zarzutach, musimy wprzód zastanowić się nad głównym, który się zawiera w twierdzeniu, że z danych empirycznych niepodobna wyprowadzić zasad powszechności i konieczności. Zdajmy sobie naprzód sprawę ze znaczenia, jakie przywiązujemy do wyrazów: powszechność i konieczność.

Jak wiadomo, są to wyrazy oderwane a właściwe ich znaczenie może się wyjaśnić, gdy je sprowadzimy do konkretnych, z których zostały urobione. Takiemi konkretnemi wyrazami są przymiotniki: powszechny i konieczny. Otóż, powszechny oznacza to, co istnieje wszędzie i zawsze; konieczny—co istniéć musi, co nie może nie istniéć.

Jakież są znamienne cechy rzeczy, pozwalające nam wyróżnić pośród nich te, które są szczególne i przypadkowe, od tych, które są powszechne i konieczne?

Że świat zjawisk zewnętrznych znamy tylko z doświadczenia, zgadza się na to i kantyzm. Cóż to jest doświadczenie? Jest ono oddziaływaniem umysłu na wrażenia zewnętrznego świata, albo, ściśléj wyrażając się, jest wypadkową działania zewnętrznych czynników na umysł i oddziaływania umysłu na owe czynniki. Taką wypadkową są stany naszéj świadomości żywe i słabe, rozmaicie z sobą skojarzone i występujące w mniéj lub więcéj stałém ugrupowaniu. Ponieważ te stany są jedynym materyałem, z którego powstaje nasze poznanie o świecie zewnętrznym, wynika stąd bezpośredni wniosek, że świata zewnętrznego, jakim on jest w sobie, nie znamy, że znamy go tylko ze stosunku, w jakim zostaje do naszego umysłu, ze skutku, jaki wywiera na naszym umyśle za pośrednictwem wrażeń zmysłowych. Poznanie więc świata zewnętrznego jest względne. Właściwie rzeczy biorąc, znamy bezpośrednio tylko stany naszéj świadomości, świat zaś zewnętrzny poznajemy pośrednio, jako przypuszczalną przyczynę owych stanów. Stąd jedynym punktem wyjścia dla naszych pojęć i sądów o tém, co się dzieje zewnątrz nas, są stany naszéj świadomości, czyli wogóle doświadczenie. Dla tego téż, chcąc odpowiedziéć na pytanie, jakie to są cechy znamienne, pozwalające odróżnić między zjawiskami świata przedmiotowego to, co jest powszechném i koniecznem, od tego, co jest szczególném i przypadkowém, — musimy z tém zapytaniem zwrócić się do doświadczenia i w jego warunkach szukać na nie odpowiedzi.

Pomiędzy danemi doświadczenia indywidualnego łatwo dają się odkryć dwie ich grupy, stanowczo od siebie różniące się tém, że jedną z nich stanowią dane stałe i niezmienne wobec wszelkich

zmian czasu, miejsca i okoliczności, gdy tymczasem druga składa się z danych, które za każdą zmianą czasu, miejsca i okoliczności, albo zmieniają się częściowo, albo ustępują miejsca innym. Ponieważ dane stałe i niezmienne są jedynemi w swoim rodzaju i nie mają przeciwko siebie nic, coby je zaprzeczało, ponieważ umysł nasz, nie znając nic im przeciwnego, nic też przeciwnego im i pomyśléć nie może; muszą one przeto być dla nas koniecznemi. Koniecznemi są one dla nas jeszcze i dla tego, że doświadczenie indywidualne, zgadzając się w swych danych stałych i niezmiennych z doświadczeniem rasy, przekazaném nam przez dziedziczność, znajduje w naszym umyśle grunt dla siebie przygotowany, utrwalony w pewnym kierunku sposób oddziaływania umysłu na zewnętrzne czynniki. Kojarząc się z odziedziczonemi przez umysł usposobieniami, stają się one pierwiastkami jego ustroju, jedynym punktem oparcia dla wszystkich jego czynności, naturalném tłem jego myśli, uczuć i dążności.

Lecz to, co jest konieczném, musi zarazem być i powszechném. Gdzież jest rękojmia, że to, co się dziać musiało w przeszłości i w znanych nam przestrzeniach, dziać się też musi w przyszłości i w przestrzeniach nam nieznanych? Skąd ta pewność, że dane stałe i niezmienne dotychczasowego doświadczenia nie zostaną zaprzeczone przez doświadczenie przyszłe?

Ponieważ doświadczenie tak indywidualne, jak i powszechne drogą tradycyi naukowéj nam udzielone, daje nam poznać to tylko, co się działo w przeszłości i to w pewnych tylko granicach przestrzeni, ale nie daje nam poznać tego, co się dzieje wszędzie w przestrzeni nieskończonéj, a mniéj jeszcze, co się dziać musi w przyszłości—zdaje się więc, iż nieuniknionym dla nas jest wniosek, że powszechność jest pojęciem, pochodzącém z czystego rozumu, pierwiastkiém bezwzględnym naszego umysłu, który wnosi go w dane doświadczenia i zapomocą niego uogólnia je, przerabiając to, co z natury swéj jest szczególném na powszechne.

Jak widzieliśmy, wniosek ten uważa Liard, a z nim wszyscy nowi zwolennicy Kanta, za jedynie prawdziwy. Czy jest on takim rzeczywiście?

Ma on przeciwko sobie fakty, które go zwalczają w sposób stanowczy.

Pomijam tu tę okoliczność, że trzymając się ściśle powyższego wniosku, należałoby przyjąć, że uogólnienie nie jest przyczyną pojęć oderwanych, ale ich skutkiem—co byłoby dopuszczać się grzechu metafizyki scholastycznéj, która pod wszelkie czynności umysłowe podkładała jakieś b y t y, mające być ich przyczyną. Zwrócę

więc tylko uwagę na fakty, jakich nam dostarcza codzienne doświadczenie.

Wiadomo, że ludzie nierozwinięci, umysły ubogie w doświadczenie, odznaczają się zazwyczaj zbyt wielką pochopnością do uogólniania. Wszystko niemal, co spostrzegają w koło siebie, czego w sobie doznają, przenoszą oni na wszystkie czasy i miejsca, wierząc naiwnie, że co raz się stało, to musi i na przyszłość powtórzyć się. Pochopność ta atoli powoli słabnie, w miarę jak umysł się kształci, jak rozszerza się zakres doświadczenia. Skądże pochodzi ta naiwna wiara i co jest przyczyną następnego jéj słabnięcia? Pochodzi ona z bezwładności umysłowéj.

Umysł z natury swéj jest bezwładnym. Nie może on sam przez się, mocą wewnętrznéj energii, któraby była niezależną od podniet zewnętrznych, wyjść ze stanu, w jakim się znajduje, stanu, którym jest jego doświadczenie. Musi on w nim pozostawać dopóty, dopóki nowe doświadczenie nie nada mu nowego kierunku, nie wytworzy w nim stanu odmiennego.

Dla umysłu ubogiego w doświadczenia naturalnym stanem jest wiara, że cały świat i przyszłość są wierną kopią znanéj mu przestrzeni i przeszłości, gdyż nad to, co mu dało poznać doświadczenie, nic innego nie zna i pomyśléć nie jest zdolny. Powoli jednak, gdy przybywa mu doświadczenia, gdy poznaje coraz szersze zakresy czasu i przestrzeni, przekonywa się, że to, co się dzieje tu i owdzie, nie koniecznie dziać się musi wszędzie, że to, co raz się stało, może się już nie powtórzyć. Nabyte doświadczenie, kosztem nierzadko dotkliwych zawodów, hamuje naturalną jego skłonność do uogólniania i czyni go pod tym względem ostrożniejszym. Otóż tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku umysł działa na podstawie doświadczenia, którego przekroczyć nie może z powodu swéj bezwładności.

Jakkolwiek doświadczenie powściąga zbyteczną pochopność do uogólniania, samego uogólniania nie tylko nie obala, ale przeciwnie uświęca je swą powagą, dostarczając rękojmi, że to, co raz się stało, nie tylko może, ale nawet pod pewnemi warunkami musi się powtórzyć. Taką rękojmią jest ziszczenie przewidywań, opartych na dokładnéj znajomości tego, co było. Przewidywanie tak zwykłe, jak i umiejętne nie jest niczem więcéj, jak uogólnieniem. Czy to przewidując następstwa naszego postępowania, czy przepowiadając skutki działania pewnych czynników fizycznych, wnioskujemy z tego, coraz się zdarzyło, o tém, co zdarzyć się może i musi pod wiadomemi warunkami. To znaczy, że fakty, zaszłe w przeszłości, przenosimy myślą w przyszłość. Przenosimy je zaś

wskutek bezwładności umysłu, dla którego doświadczenie jest jedynym punktem wyjścia w jego sądach i wnioskach o nieznanych mu czasach i przestrzeniach.

Dwa te fakty wykazują jasno, że przyczyną uogólnienia nie jest jakiś pierwiastek bezwzględny, tkwiący w umyśle i uporządkowujący doświadczenie, ale przeciwnie jest nią bierność umysłu wobec doświadczenia, jest nią b e z w ł a d n o ś ć jego, wskutek któréj musi działać w tym kierunku i w takim zakresie, jakie mu doświadczenie wyznacza. Dowodzą one nareszcie, że pojęcia powszechności i konieczności niczém się nie różnią od innych pojęć oderwanych i zamiast zawdzięczać swój początek siłom nadprzyrodzonym, są one zwykłym wyrobem myśli i pochodzą z doświadczenia, które myśl nasza uogólnia.

O prawdziwości powyższego zapatrywania, gdyby nastręczały się pod tym względem jakie wątpliwości, przekona nas ostatecznie sam mechanizm uogólnienia. Nim atoli przystąpię do rozpatrzenia się w nim, uważam za potrzebne zastanowić się nieco bliżéj nad b e z w ł a d n o ś c i ą u m y s ł u, która, jak wiemy, główną odgrywa rolę w czynności uogólniania, ale o któréj panują dotąd sprzeczne mniemania.

Psychologia dzisiejsza ma charakter czysto deterministyczny. W założeniu więc przyjmuje ona bezwładność umysłu. Z tém wszystkiém, ulegając pewnym skrupułom, albo po prostu nieporozumieniu, unika wyraźnego jéj przyznania. Co więcéj, nie rzadko występuje nawet przeciwko niéj. Przykład tego mamy na Bain'ie, który, wychodząc z założenia, że pojęcia bezwładności i ciężkości są współzależnemi, utrzymuje, że kto przyznaje umysłowi bezwładność, ten przez to samo przyznaje mu także i ciężkość. Założenie to opiera się na dawniejszém zapatrywaniu na ciężkość, którą uważał za nieoddzielną własność materyi. Że nie jest ona nieoddzielną własnością materyi, dowodzi tego nasze pojęcie o eterze, który jest materyą nie-ważką; że nie jest ona zgoła własnością materyi taką, jak bezwładność, wykazuje się stąd, że ciężkość stanowi pewne działanie, które daje się wymierzyć, spowadzić do ściśle określonego prawa, że jest ona przyczyną pewnego skutku—słowem, siłą, podobną do innych sił przyrody. Wprawdzie nie znamy dotąd jéj natury, ale znając dokładnie jéj skutek, nie możemy jéj oddzielać od téj grupy zjawisk, do jakiéj właściwie ona należy. Ciężkość działa na ciała wskutek ich bezwładności, tak samo jak i każda inna siła. Pod tym względem nie stanowi ona żadnego wyjątku—i dla tego nie możemy pojęcia bezwładności uważać za zależne od pojęcia ciężkości. To, co jest bezwładném, nie koniecznie ma być ciężkiém. Bezwła-

dność nic innego nie oznacza, jak niezdolność ciał wyjścia ze stanu spoczynku lub ruchu, pokąd nie podziała na nie siła zewnętrzna. W tém znaczeniu daje się ona zastosować najzupełniéj do umysłu, który, pokąd nie podziałają nań wrażenia zewnętrzne, musi pozostawać w tym stanie, jaki w nim wytworzyło uprzednie doświadczenie.

Umysł nie jest niczém więcéj, jak uorganizowaném i organizującém się doświadczeniem, jak sumą stanów świadomości żywych i słabych, rozmaicie z sobą skojarzonych w mniéj lub więcéj stałe grupy, jak pewném oddziaływaniem organizmu na zewnętrzne czynniki, oddziaływaniem, którego forma zależy od doświadczenia przodków, którego ostateczném zadaniem jest przystosowanie organizmu do zewnętrznych warunków. Ponieważ doświadczenie, w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, stanowi organizacyą umysłu, rzecz więc prosta, że przekroczyć go nie może, jak nie może księżyc przekroczyć siły ciążenia powszechnego, która go utrzymuje w jego obiegu około ziemi. Wszelkie czynności jego—myślenie, uczucie i dążenia—są szczególnemi sposobami oddziaływania jego na świat zewnętrzny i objawiają się z powodu wrażeń, jakie ów świat wywiera na niego za pośrednictwem zmysłów. Sam przez się, nie zależnie od doświadczenia, nie może on ani wytworzyć w sobie jakiegoś stanu, któryby w nim uprzednio nie istniał, jako dane doświadczenie. Nie ma on bezpośredniéj władzy nad swemi myślami, uczuciami i chęciami, nie może ich dowolnie ani wywołać w sobie, ani téż ich usunąć z pola świadomości, gdy raz w niém wystąpiły. Pozostają one w nim dopóty, dopóki nowe doświadczenie nie zastąpi ich nowemi, a przynajmniéj nie zaprowadzi w nich jakiéj zmiany. Nawet wtedy, gdy umysł występuje przeciwko myślom, uczuciom i chęciom, które w nim rozbudziło obecne doświadczenie, gdy je zwalcza i pokonywa; działa on na podstawie doświadczenia, opiéra się na innych myślach, uczuciach i chęciach, które tamtym są przeciwne, a które w nim wytworzyło doświadczenie przeszłe. Słowem, w każdéj ze swych czynności, jakąkolwiek przybiera ona postać, musi on działać na podstawie doświadczenia, tak własnego, jak i całego szeregu swych przodków. Doświadczenia swego przekroczyć nie może, gdyż stanowi ono wewnętrzny jego ustrój—i w oderwaniu od doświadczenia jest on czczą abstrakcyą, lub, co gorsza, marą wyobraźni.

Tak się przedstawia zagadnienie bezwładności umysłu we właściwy sposób zrozumiane. Zbytecznem byłoby dodawać, że bezwładność umysłu wobec doświadczenia nie znaczy to samo, co bierność jego względem czynników zewnętrznych. W odniesieniu do

tych ostatnich nie jest on biernym, ale czynnym. Jako uorganizowane doświadczenie, oddziaływa on na nie, przerabia je na wewnętrzną swą treść i tak przerobione, przyswaja.

Jak widzieliśmy, wskutek swéj bezwładności, umysł uważa za konieczne to, co w jego doświadczeniu jest stałém i niezmiennéem wśród zmian czasu, miejsca i okoliczności. Wskutek téj bezwładności musi on uważać to, co jest dla niego koniecznéem, za powszechne. Słowem to, co jest koniecznéem dla niego w odniesieniu do przeszłości i do przestrzeni znanych, koniecznéem jest również w odniesieniu do przyszłości i do przestrzeni nieznanych.

Czas i przestrzeń w najwyższém swém uogólnieniu przedstawiają się nam jako następstwo i współistnienie położeń. Jaką drogą dochodzimy do tego uogólnienia, dowiemy się o tém w dalszym ciągu; na teraz wystarczy nam wiedzićć, że w podstawie jego leżą pewne, ściśle określone dane doświadczenia, które możemy sprowadzić do wrażeń zmysłowych.

Pojęte w znaczeniu konkretném, czas i przestrzeń nie są niczém więcéj, jak stosunkami następstwa i współistnienia rzeczy,— stosunkami, w których każde zjawisko, każdy fakt, czy to fizyczny, czy umysłowy, zajmuje ściśle oznaczone położenie. Mówiąc, że coś dzieje się w pewném miejscu i czasie, rozumiemy przez to, że dany fakt w odniesieniu do innych zajmuje pewne położenie tak pod względem współistnienia, jak i następstwa, czyli że istnienie jego łączy się z istnieniem innych faktów, między któremi jedne towarzyszą mu, drugie go poprzedzają. Wskutek właściwego sobie położenia pod obu powyższemi względami wszystkie zjawiska pozostają w pewnéj od siebie zależności, oddziaływają na siebie, dzięki czemu są tém, czém są; przeniesione w inne położenie, zmieniają się, stają się czém innéem. Doświadczenie atoli uczy nas, że wśród nieskończonéj rozmaitości zjawisk, pochodzącéj od względnego ich położenia w czasie i przestrzeni, istnieją takie, które pozostają stałemi i niezmiennemi wobec zmian czasu i przestrzeni, czyli że pozostają tém, czém są w każdém położeniu tak pod względem następstwa, jak i współistnienia. Jak wiemy, dane tego rodzaju są dla umysłu koniecznemi, gdyż stanowią pierwiastki jego organizacyi.

Otóż pomiędzy temi koniecznemi faktami doświadczenia pierwsze miejsce zajmuje czas i przestrzeń. Oznaczając stosunek rzeczy i potrzebując do swego określenia przynajmniéj dwóch terminów, nie dają się one pojąć w oderwaniu od rzeczy. Myśląc o czasie i przestrzeni, musimy je wypełnić jakąś treścią, gdyż nie są one niczém więcéj, jak następstwem i współistnieniem zjawisk. Doświadczenie bowiem nie dało nam poznać ani czasu, ani przestrzeni,

którehy istniały same przez się po za obrębem rzeczy konkretnych, jak nie dało nam poznać rzeczy, któreby istniały po za czasem i przestrzenią. Podobnież musimy pojmować czas i przestrzeń, jako nieskończone, albowiem doświadczenie nie dało nam poznać ani początku, ani końca tak następstwa, jak i współistnienia zjawisk. Po za danėm zjawiskiem musimy domyślać się innych, które z niém współistnieją, a po za temi znowu innych i t. d. aż do nieskończoności; jednocześnie musimy myśléć i o tych, które je poprzedziły i po nich następują, w obu przeciwnych sobie kierunkach idąc do nieskończoności.

Wskutek tego, kto myśli o przestrzeniach znanych, musi zarazem myśléć i o nieznanych, jako o dopełnieniu tamtych; kto myśli o przeszłości, musi także myśléć i o przyszłości. Lecz myśléć o przestrzeniach nieznanych i o przyszłości, jest to przedstawiać sobie w myśli współistnienie i następstwo pewnych faktów. Jakich faktów? Przedewszystkiém takich, któreby odpowiadały warunkom zmysłowego postrzegania, któreby w razie, gdybyśmy się wśród nich znaleźli, czyniły wrażenie na naszych zmysłach. Ażeby zaś temu warunkowi mogły zadość uczynić, muszą być podobne do tych faktów, jakie znamy z doświadczenia. Lecz doświadczenie uczy nas, że w każdém zjawisku są dwojakiego rodzaju pierwiastki, jedne zmieniające się za każdą zmianą miejsca i czasu, inne zaś, które wobec tych zmian pozostają stałemi i niezmiennemi. Rzecz więc prosta, że do nieznanych czasów i przestrzeni przenosić możemy nie cechy zjawisk zmienne, stanowiące ich indywidualność, ale te, które są w nich stałemi, cechy ich ogólne, rodzajowe, a przedewszystkiém prawa, jakiemi się te zjawiska rządzą.

Lecz cóż nas upoważnia do takiego przenoszenia faktów doświadczalnych do nieznanych czasów i przestrzeni? Upoważnia nas do tego również doświadczenie. W miarę, jak się rozszerza nasza znajomość przestrzeni ziemskich i niebieskich, przekonywamy się, że to, co jest stałém i niezmiennėm w znanych nam przestrzeniach, również jest takiém i w przestrzeniach nieznanych. Podobnież cała przeszłość ludzkości i życie indywidualne przekonywają nas, że każda chwila następująca podobną jest do upłynionéj w tém, co stanowi niezmienną cechę zjawisk i wydarzeń. Wiemy z doświadczenia, nie rzadko drogo okupionego, że nasze postępowanie musi miéć pewne, z nieprzepartą koniecznością wynikające z niego skutki. W ten sposób uczymy się przewidywać najprzód wypadki naszego własnego życia, a następnie życia powszechnego. Przewidywanie zaś nie jest niczém innėm, jak przenoszeniem naszego doświadczenia do czasów i przestrzeni nieznanych. Doświadczenie

umiejętne, jakiém jest nauka, wykazujące, że przewidywania ludzkie, oparte na dokładnéj znajomości tego, co się działo w przeszłości, sprawdzają się najzupełniéj— i w ten sposób dowodzą, że cały świat pojęły, jako współistnienie i następstwo zjawisk, jest stałym i niezmiennym w tém, co doświadczenie nam podaje, jako konieczne, czyli że to, co jest dla naszego umysłu koniecznéin, musi być zarazem i powszechném.

Tak więc przekonywamy się, że dla wytłómaczenia pojęć powszechności i konieczności bynajmniéj nie potrzebujemy uciekać się do przypuszczeń nadprzyrodzonych, nie dających się sprawdzić, do czynników czysto dowolnych, fantazyjnych, jakiemi są pojęcia *a priori*, rozum czysty, wrodzone idee, pierwiastek absolutny i t. d.; że dla ich wyjaśnienia wystarczają najzupełniéj czynniki naturalne, dane doświadczenia. Umysł, będąc bezwładnym, nie może przekroczyć swego doświadczenia i musi trzymać się go wiernie w każdéj ze swych czynności, gdyż jest ono jedynym dla nich punktem wyjścia i oparcia.

Rozprawiwszy się z zarzutem, dotykającym podstawy filozofii doświadczalnéj, przechodzę po kolei do szczegółowych.

Zaznaczyłem już wyżéj, że do głównych punktów filozofii doświadczalnéj, przeciw którym neo-kantyzm wymierza swe ciosy, należą jéj zapatrywania na początek naszych pojęć przyczynowości czasu, przestrzeni i prawd matematycznych.

Stanowisko, jakie pod tym względem zajmuje Liard w swéj krytyce, da się określić jak następuje: Ponieważ dotychczasowe usiłowania wyprowadzenia powyższych zasad z danych empirycznych okazują się płonnemi,— przeto twierdzenie Kanta, że zasady te pochodzą nie zdoświadczenia, ale z czystego rozumu, musi być uznane za jedynie prawdziwe. Że rozumowanie tego rodzaju jest jawném gwałceniem ścisłości logicznéj, każdy to przyzna. Przypuszczając nawet, że dotychczasowe usiłowania filozofii doświadczalnéj potrzeba uznać za chybione, czyliż stąd mamy prawo wnosić, że takiemi będą również i jéj usiłowania przyszłe?! Czy mamy prawo na podstawie tego jednego faktu wyprowadzać rozpaczliwy wniosek, że niema dla nas innéj rady, jak zaniechawszy dalszych prac i poszukiwań, szukać ratunku w dogmatyzmie Kantowskim, którego ani dowieść, ani zaprzeczyć nie można? Dzieje nauk i umiejętności dostarczają nam licznych dowodów, że to, co niegdyś było zagadnieniem, o którego rozwiązanie próżno kusił się rozum ludzki, co powszechnie uznawane było za tajemnicę, niedostępną poznaniu, — następnie, dzięki nowym badaniom i niespodziewanym odkryciom, zostało wyjaśnioném i sprowadzoném do czynników naturalnych.

Krytykując zapatrywanie filozofii doświadczalnéj na zasadę przyczynowości, usiłuje Liard wykazać, że wywody jéj, któremi swe zapatrywanie popiéra, nie są czém innéra, jak najzwyklejszém *petitio principii*, czyli poprostu kręceniem się w kółko. Dowód tego upatruje on w tém, że filozofia doświadczalna, przyznając prawu przyczynowości charakter konieczności i powszechności, odwołuje się, jako do ostatecznéj instancyi pod tym względem, do zasady stałości praw przyrody; tymczasem ta zasada potrzebuje sama dowodu swéj konieczności i powszechności. W tém przedstawieniu rzeczy jest pewna niedokładność. Zasada przyczynowości, tak samo jak i stałości praw przyrody, są uogólnieniami indukcyjnemi; różnica między niemi jest ta, że zasada stałości praw przyrody, jako uogólnienie szersze, obejmujące wszystkie wogóle prawa tak następstwa, jak i współbytności zjawisk, zawiera już w sobie i prawo przyczynowości—tak iż kto przyjmuje zasadę stałości praw przyrody, ten już z konieczności musi przyjąć i prawo przyczynowości. Właściwym atoli dowodem słuszności tak jednéj, jak i drugiéj jest powszechne doświadczenie.

Badania naukowe, przeprowadzone we wszystkich zakresach zjawisk przyrody, w rozmaitych punktach ziemskiéj, a nawet niebieskiéj przestrzeni, wykazują, że cały świat podlega pewnym prawom, które od najdawniejszych czasów pozostają stałemi i niezmiennemi; a zarazem świadczą, że w żadnym okresie dziejów przyrody, nawet w tych, o których tylko domyślać się możemy, nie zaszło nic takiego, coby można było uważać za wyjątek od praw powszechnych, coby nie dało się wytłómaczyć za pomocą czynników czysto naturalnych. Pomiędzy temi prawami stałemi i niezmiennemi główne miejsce zajmuje prawo przyczynowości, oznaczające niezmienne i bezwarunkowe następstwo zjawisk.

Życie codzienne zarówno jak i dociekania naukowe przekonywają nas na każdym kroku, że wszelkiego rodzaju zjawiska bywają poporzedzane przez inne, z któremi są tak związane, że gdy te się pojawią, i tamte muszą nastąpić, gdy zaś nie pojawią się i owe nie wystąpią, że podobna przyczyna w podobnych warunkach podobne pociąga za sobą skutki. Jak dotąd nauka w żadnéj gałęzi swych badań nie wykryła nic takiego, coby temu prawu było przeciwne a codzienne nasze postępowanie, opierające się wyłącznie na przewidywaniu następstw zjawisk przyrody i własnych naszych czynów, dostarcza ciągle nowych dowodów, które stwierdzają stałość i niezmienność prawa przyczynowości.

Ponieważ stałość praw przyrody i przyczynowość są danemi doświadczenia niezmiennemi i trwałemi wobec zmian czasu, miej-

sca i okoliczności, ponieważ odpowiednie im stany naszéj świadomości są również trwałemi i niezmiennemi—muszą one przeto być dla naszego umysłu prawdami koniecznemi i powszechnemi. Umysł po za nie żadnym wysiłkiem wewnętrznym wyjść nie może, gdyż nie zna takiego stanu, któryby im wprost był przeciwnym, któryby je wykluczał zupełnie. Konieczność i powszechność tych praw tém bardziéj przymusową jest dla nas, że będąc danemi doświadczenia naszych przodków, leżą one niejako w ustroju naszego umysłu, jako usposobienie wrodzone do odpowiadających im stanów świadomości. Jakoż milczące, instynktowe ich uznanie towarzyszy najpierwszym objawom życia umysłowego. We wszystkich swych sądach i wnioskach o tém, co się zdarza i zdarzać musi w nieznanych nam czasach i przestrzeniach, myśl ludzka może się opierać tylko na tém, co w jéj doświadczeniu jest trwałém, co stanowi jéj stan niezmienny wśród zmiennych wrażeń zewnętrznego świata—stan, który towarzyszy wszystkim innym, ale który z żadnym z nich nie jest tak skojarzony, ażeby nie mógł być od niego oderwanym.

Ostatniemi czasy prawo przyczynowości przybrało nową postać. Uważają je mianowicie za jedno z zasadą trwałości energii. Rozważane z tego nowego stanowiska, znaczy ono, że każdy objaw energii musi być poprzedzonym przez inny, który tamtemu równym jest pod względem ilości. Stąd bezpośredni wniosek, że każdy skutek musi być równym ilościowo swéj przyczynie. Za przyczynę uważa się tu nie sam tylko główny czynnik, ale i okoliczności, wśród których czynnik ten działa i które wywierają wpływ na skutki jego działania.

Zasada trwałości energii powiada, że suma energii tak czynnéj, jak i ukrytéj jest stała we wszechświecie, że zatém ani nowéj energii stworzyć, ani istniejącéj już zniszczyć nie można. Wszystko, co się dzieje w świecie, jest tylko skntkiem przeobrażania się energii, przemiany jednych jéj form na inne, a przedewszystkiém przemiany energii potencyalnéj na energią czynną. W tych przemianach nic nie ginie i nic nie przybywa. Suma danéj energii pozostaje zawsze ta sama pomimo ciągłéj zmiany w jéj objawach. Ponieważ przyczyna i skutek nie są czém innném, jak tylko odmiennemi formami téjże energii, która w nich obu pozostaje równą sobie, przeto i między niemi nie może zachodzić najmniejsza różnica pod względem ilości.

Prawo przyczynowości, pojęte jako zasada trwałości energii, staje się ściślejszém, jaśniejszém i tém konieczniejszém dla naszego umysłu, że kto raz pojął je w całéj jego rozciągłości, ten nie jest w stanie nawet pomyśléć o czémś, coby nie było skutkiem pewnéj

przyczyny i odwrotnie przyczyną pewnego skutku. Pojmować bowiem jakiś fakt bez przyczyny i bez skutku, jest to pojmować rzecz bezwzględną, jest to doznawać stanu świadomości, którego by nie poprzedzał i po nim nie następował inny stan umysłu.

Zasada trwałości energii, zarówno jak i jéj współrzędne—niezniszczalności materyi i ciągłości ruchu — jest świeżym nabytkiem nauki. Znane są dokładnie okoliczności, wśród których powstała, i drogi, któremi myśl ludzka doszła do jéj wykrycia. Wobec tych faktów trudno zaprzeczyć jéj początku czysto doświadczalnego. Nie jest ona niczém więcéj, jak indukcyjném uogólnieniem. Pomimo to wszakże posiada charakter powszechności i konieczności w równym stopniu, jak i te zasady, które uczniowie Kanta wyprowadzają z czystego rozumu. Pozostaje więc jedno z dwojga: albo zasadę trwałości energii zaliczyć do prawd *a priori*, uważając ją za pochodzącą z czystego rozumu, albo w prawdach *a priori* uznać zwykłe uogólnienia doświadczenia powszechnego, dokonane za pomocą indukcyi.

Uczniowie Kanta wybierają pierwszą alternatywę, usprawiedliwiając swój wybór rozumowaniem następném. Wszystkie prawdy konieczne i powszechne mają swe źródło w czystym rozumie, są objawem tkwiącego w umyśle ludzkim pierwiastku bezwzględnego. Dlatego atoli, żeby mogły się objawić w czynności myślenia, jako sądy, muszą one wprzód być uświadomione; otóż do takiego uświadomienia ich niezbędne są fakty doświadczalne, jako konieczny materyał myślenia.

Że to rozumowanie nie wytrzymuje krytyki, dowodzi tego to, co powiedziałem wyżéj o pochodzeniu pojęć powszechności i konieczności. Co więcéj, zawiera się w niém mimowolne przyznanie faktu, który zachwiewa potężnie całą doktrynę kantowską, a mianowicie, że prawdy *a priori* zamiast poprzedzać doświadczenie i niém kierować, z niego bezpośrednio wynikają. Napróżno tu bowiem utrzymywać, że fakty doświadczalne odgrywają wobec czystego rozumu rolę prostych bodźców, popychających go do działania, że dostarczają mu koniecznego materyału, na którym by mógł swą czynność wywierać. Dzieje bowiem nauk, a przedewszystkiém najświeższe zdobycze, jakiemi są zasady niezniszczalności materyi i trwałości energii, wykazują dokładnie, że wszystkie te prawdy *a priori* dla swego uświadomienia wymagają faktów takiéj natury, że trudno je uważać już za proste tylko bodźce; muszą one być nieraz tak drobiazgowemi i licznemi, że na ich zgromadzenie potrzeba bardzo wiele czasu, i tak wymownemi, że potrzeba bardzo ograniczonego umysłu, ażeby ich znaczenia nie zrozumiéć. Dość tu przy-

toczyć prace Lavoisier'a i Joule'a, którym zawdzięczamy ustalenie zasad niezniszczalności materyi i trwałości energii. Gdyby fakty doświadczalne miały służyć tylko za podnietę dla czystego rozumu i za prosty materyał dla jego działania, to jak wytłómaczyć to tak spóźnione jego objawienie się w sprawie zasad trwałości energii? Czy dotąd zbywało mu na odpowiednich faktach? Ależ prawo przyczynowości znaném było od najdawniejszych czasów; fakty zaś, dotyczące prawa przyczynowości, są te same, na których i trwałość energii opiera się. Na tém nie koniec. Logicznie myśląc, należałoby przypuszczać, że prawdy, pochodzące z czystego rozumu, stanowiące właściwie jego istotę, skoro raz zostaną uświadomione, wystąpią w całéj potędze swego charakteru, jako wewnętrzna konieczność myślenia, jako niezmienna podwalina sądów i wniosków ludzkich. Tymczasem wystarczy zastanowić się nad dziejami zasady przyczynowości, ażeby się przekonać, że rzecz się ma zgoła przeciwnie. Zasada przyczynowości uznawaną była w najdawniejszych czasach. Nie przeszkadzało to przecież, że wierzono jednocześnie w powstawanie świata z niczego, w cuda, w wolną wolę, co wszystko wychodzi z przypuszczenia, że coś może powstać bez przyczyny. A i dziś jeszcze, pomimo, że zasada przyczynowości dokładniéj i ściśléj bywa pojmowaną,—nie brak ludzi, którzy w swych sądach i wnioskach ustawicznie ją gwałcą, trzymając się ślepo tradycyjnych przesądów i uprzedzeń.

Powié kto może, że ten sam zarzut możnaby zrobić i naszemu zapatrywaniu na naturę konieczności i powszechności tego, co w doświadczeniu jest stałém i niezmienném. Wejrzawszy atoli głębiéj w zagadnienie, nie trudno się przekonać, że zarzut ów opiéra się na nieporozumieniu. Doświadczenie jest wypadkową dwóch czynników: działania na umysł sił zewnętrznych i oddziaływania na nie umysłu. Działanie sił przyrody musi dokonywać się podług stałego i niezmiennego porządku przyrody; co się tyczy oddziaływania umysłu, to może ono być mniéj lub więcéj odpowiedniém, stosownie do przystosowania się umysłu do warunków zewnętrznego świata. Wskutek tego to, co w doświadczeniu umysłu należycie przystosowanego i oddziaływającego na czynniki zewnętrzne w sposób odpowiedni, jest stałém i niezmienném i uświadomione występuje, jako prawda konieczna i powszechna; w doświadczeniu umysłu mniéj przystosowanego, czyli, co na jedno wychodzi, nierozwiniętego, niewykształconego, albo uprzedzonego, może być zmienném i niestałém, może znajdować obok siebie dane wręcz sobie przeciwne. Uprzedzenie bowiem, błędne zapatrywanie się na fakty, stanowią tak samo pewne stany świadomości, jak i prawdy, i są da-

nemi doświadczenia, powstającemi w skutek nieodpowiedniego oddziaływania umysłu na siły zewnętrzne. Działanie sił zewnętrznych proste, bardziéj jednorodne i bezpośrednie, zdolném jest w umyśle najmniéj rozwiniętym wytworzyć stan ściśle sobie odpowiadający,—ale działanie ich złożone, różnorodne i pośrednie, wywołując oddziaływanie umysłu, do niego nieprzystosowane — musi pociągnąć za sobą w następstwie stan świadomości, który nie odpowiada ściśle porządkowi świata, jakkolwiek odpowiada danym doświadczenia. Jakoż widzimy, że kiedy zasada przyczynowości, będąca skutkiem pośredniego działania sił zewnętrznych, działania nadzwyczaj złożonego i różnorodnego, bywa uznawaną i stosowaną w całéj swéj rozciągłości tylko przez niewielu; to takie pojęcia, jak czas i przestrzeń, opierające się na prostém postrzeżeniu, będące zatém skutkiem bezpośredniego, mniéj złożonego i bardziéj jednorodnego działania sił zewnętrznych, są uważane za konieczne i powszechne przez wszystkich wogóle, bez względu na stopień rozwoju umysłowego i wykształcenia.

Pojęcia czasu i przestrzeni zalicza filozofia doświadczalna, jak to zaznaczyłem już poprzednio, do nabytków doświadczenia. Sprowadza je ona drogą analizy psychologicznéj do pewnych wrażeń zmysłowych, które są pierwiastkami doświadczenia — i wykazuje, że powstały one przez skojarzenie się tych wrażeń w pewne całości psychiczne, które następnie uświadomione i pojęte w oderwaniu, dały początek pojęciom czasu i przestrzeni.

Liard, który w swéj krytyce uwzględnia tylko psychologią angielską, załącza następujące uwagi z powodu powyższego zapatrywania na początek pojęć czasu i przestrzeni:

„Jest-to prawo umysłu, że wszystkie nasze intuicye następują po sobie kolejno, i że te z nich, które wydają się nam zewnętrznemi względem nas, rozmieszczają się jedne zewnątrz drugich. Konieczność tego prawa uznaje filozofia doświadczalna, utrzymuje bowiem, że prawa, podług których łączymy zjawiska w celu ich wyrozumienia, dają się ostatecznie sprowadzić do dwóch — do prawa następstwa i współbytności. Zachodzi więc pytanie, jakie jest pochodzenie dwóch tych praw? Czy są one przyrodzone umysłowi, dane mu *a priori*, czy nabyte przez doświadczenie?

„Zgadza się Spencer na to, że czas jest warunkiem naszego myślenia, nie podobna nam bowiem pojąć jakiegoś stanu naszéj świadomości, któregoby nie poprzedzał i po którymby nie następował stan inny. Z tém wszystkiém utrzymuje, że uświadomienie tego warunku myślenia nie towarzyszy pierwszym naszym postrzeżeniom. W początkach naszego myślenia ujmuje tylko taki a taki

stosunek położenia pewnych stanów naszéj świadomości, a dopiéro późniéj, gdy te stany stały się dla nas zwykłemi, wyłania się z nich drogą porównania pojęcie względności ich położenia wogóle, czyli pojęcie czasu. Bardzo dobrze. Lecz czy te początkowe wrażenia i postrzeżenia, te pierwociny myślenia, poprzedzające pojęcie czasu i niezbędne do jego wytworzenia, dane są naszéj świadomości po za obrębem nie już pojęcia abstrakcyjnego, ale instynktowego zastosowania prawa następstwa? Powié kto może, że następstwo daném tu jest jako fakt, i że dopiéro z nagromadzenia tych faktów wywiązuje się prawo? Lecz czy prawo dla tego, że nie zostało wyrażone za pomocą formuły abstrakcyjnéj, przestaje być prawem? Czy stany naszéj świadomości nie rozwijałyby się drogą następstwa, gdybyśmy niezdolni byli wyprowadzić téj formuły z doświadczenia? Jedno z dwojga: albo prawo następstwa zawiera się w najpierwszych naszych wrażeniach, albo się w nich nie zawiera. Jeżeli się w nich zawiera, natenczas pojęcie czasu musi być uznaném za wrodzone, gdyż poprzedza wszelkie doświadczenie; jeżeli się nie zawiera, w takim razie nie może być zrozumianém i za pomocą prawa kojarzenia nie podobna wytworzyć czasu z wrażeń, które go nie posiadają. Widzimy więc, że Spencer wytwarza empiryczne pojęcie czasu z samegoż czasu i dopuszcza się w ten sposób błędu logicznego, zwanego *petitio principii.*"

Najsłabsza strona powyższéj krytyki zawiera się w tém, że oceniając wywody Spencera pod względem logicznéj konsekwencyi, wychodzi ona z założeń, które tym wywodom nie tylko są obce, ale wręcz im przeciwne. Za pomocą takiéj metody w każdém rozumowaniu można wykazać *petitio principii*, szczególniéj, gdy się je podciąga pod zasady, których słuszność na tém głównie polega, że im przeciwne nie wytrzymują krytyki.

Co się tyczy jéj strony materyalnéj, to błąd jéj tkwi w tém, że faktyczne następstwo wrażeń, czyli — jak powiada Spencer — czas konkretny uważa za prawo umysłu pierwotne i przyrodzone.

Najprzód stany naszéj świadomości nie występują samorzutnie, ale są zwykle spowodowywane przez wrażenia zewnętrzne. Są one prostém następstwem oddziaływania umysłu na czynniki świata zewnętrznego i zgodnie z teoryą rozwoju porządek, w jakim stany naszéj świadomości objawiają się, musi być uważany jako ostateczny wypadek przystosowania się organizmu ludzkiego do warunków otoczenia, a zatém jako fakt następczy nie zaś pierwotny. Czas konkretny jest pewnym porządkiem rzeczy i ma znaczenie czysto przedmiotowe. Jest on porządkiem nie tylko zjawisk umysłowych, ale i fizycznych. Obieg soków w roślinie odbywa się tak-

że drogą kolejnego następowania po sobie ich fal oddzielnych. Pojęcie zaś czasu jest wytworem myślenia, wyrobkiem ludzkim—i dla tego uważać je za przyrodzone umysłowi jest to samo, co zaliczać do *à priori* wszystko, co tylko człowiek nabył drogą myślenia abstrakcyjnego, słowem, całą wiedzę, która w swém usystematyzowaniu jest czysto abstrakcyjną.

Powtóre, nie jest to prawdą, ażeby absolutném prawem życia umysłowego było kolejne następowanie po sobie stanów świadomości. Postrzeganie i wyobrażanie dowodzą jasno, że umysł nasz w tym samym akcie może uświadomić sobie kilka naraz wrażeń, występujących jednocześnie. Wrażenia bowiem zmysłowe i, co zatém idzie, stany naszéj świadomości, kojarzą się z sobą nietylko w kierunku następstwa, ale i współbytności. Jeżeli w wyższych czynnościach rozumowych główną rolę odgrywa kojarzenie wyobrażeń następcze, to w każdym razie w podstawie ich leży już kojarzenie wyobrażeń współczesne, którego wyrobkiem są same wyobrażenia. Nie dość tego. Podczas, kiedy bieg myślenia rozwija się pasmem następujących po sobie wyobrażeń, wyraźnie uświadomionych, występują obok nich wyobrażenia nawpółświadome, pozostające na drugim planie, a nierzadko się zdarza, że z głębin umysłu wyłaniają się nagle wyobrażenia, które w żadnym nie zostają stosunku z biegiem naszego myślenia i przerywają całe jego pasma.

Zresztą wyrażenie: stany świadomości, nie zupełnie jest właściwe. Daje ono do myślenia, że przez świadomość, rozumié się coś samoistnego, jakiś byt metafizyczny. Kiedy tymczasem nie jest ona niczém inném, jak zjawiskiem, podobném do wszelkich innych. Nie znamy jéj istoty, ale wiemy, że towarzyszy ona zawsze czynnościom układu nerwowego, skoro te dosięgają pewnego natężenia i mają pewną trwałość. Zamiast więc mówić: stany świadomości, ściśléj byłoby używać wyrażenia: stany świadome, tak jak się mówi: stany nieświadome, bezwiedne. Mając to na uwadze, nie trudno wytłómaczyć, dla czego stany wyraźnie świadome następują po sobie kolejnie. Sprawy życiowe organizmu dokonywają się współcześnie, przedstawiając układy czynności prawie samodzielne. Usystematyzowanie swe zawdzięczają one układowi nerwowemu, który je koordynuje i sprowadza do mniéj lub więcéj doskonałéj jedności. Ostatecznym celem tego usystematyzowania jest zachowanie organizmu, środkiem zaś—oddziaływanie na zewnętrzne czynniki. Takie oddziaływanie nie może być czém inném, jak wypadkową wszelkich czynności organicznych. Otóż taka wypadkowa, na którą w każdéj chwili składają się liczne siły, współcześnie działające, może objawiać się tylko w kolejném następstwie czasu. Dzieje się

w tym wypadku to samo, co w każdéj maszynie, któréj szczegółowe ruchy obrachowane są na wytworzenie ruchu wypadkowego, mającego za zadanie wykonywanie pewnéj czynności. W niéj obok współcześnie odbywających się ruchów różnych kół i drągów—dokonywa się ruch główny, będący wypadkową szczegółowych, ruch, który, panując niejako nad innemi, przykuwa do siebie naszą uwagę i w ten sposób inne towarzyszące mu ruchy spycha na drugi plan, czyniąc je na wpół świadomemi. Stany świadome, będąc wypadkową spraw życiowych, muszą się objawiać porządkiem następstwa nie dla tego, że ten porządek został im nadany z góry, ale dla tego, że wskutek przystosowania się organizmu do warunków zewnętrznych skierowane są ku jednemu celowi, jakim jest oddziaływanie na zewnętrzne czynniki.

Przechodząc do pojęcia przestrzeni, powiada Liard: „Filozofia doświadczalna sprowadza współbytność do następstwa. Podług niéj, szereg stanów świadomości następujących po sobie, tém się różni od szeregu współistniejących, że ten ostatni daje się odwrócić z zachowaniem swéj wyrazistości, kiedy tymczasem tamten odwrócić się nie daje w ten sam sposób. Otóż, ponieważ następstwo jest podstawą współbytności, a następstwo daném nam jest *à priori*, przeto i współbytność nie może być uważana za coś innego, jak za prawo umysłu przyrodzone“.

Powyżéj starałem się wykazać, że następstwo, jako zasadnicze prawo naszego umysłu, jest bezpośrednim skutkiem oddziaływania organizmu na zewnętrzne czynniki, nie zaś przyczyną tego oddziaływania, czémś narzuconém umysłowi z góry. Zresztą, gdybyśmy nawet przyjęli zapatrywanie Liarda na początek pojęcia czasu, to stąd jeszcze nie wynika konieczność logiczna, ażebyśmy ten sam początek przyznali także i pojęciu przestrzeni. Różnica bowiem, jaka zachodzi między szeregiem stanów świadomości następujących po sobie a szeregiem stanów współistniejących pochodzi stąd, że te mogą być odwrócone, tamte zaś nie mogą. Otóż takie odwracanie szeregu stanów jest faktem doświadczalnym—a zatém tylko drogą doświadczenia przychodzimy do pojęcia przestrzeni.

W dalszym ciągu swego rozumowania dowodzi Liard, że ani zmysł dotykowy sam przez się, ani w połączeniu ze zmysłem mięśniowym, nie dają nam poznać współbytności ciągłéj, jaką jest przestrzeń, tylko współbytność rozdzielną. Dla zjednoczenia współbytności rozdzielnéj w całość ciągłą potrzebny jest nowy czynnik—i takim właśnie jest przestrzeń *à priori*, która logicznie poprzedza tak umiejscowianie wrażeń dotykowych, jak i ocenianie szérokości ruchow mięśniowych.

Że zmysł dotykowy i mięśniowy ani same przez się, ani w połączeniu nie dają nam pojęcia przestrzeni takiego, jakie mamy w stanie normalnym, nie ulega wątpliwości. Trzeba atoli pamiętać, że pojęcie przestrzeni nie składa się z samych tylko wrażeń dotykowych i mięśniowych, że z niemi kojarzą się jeszcze wrażenia wzrokowe, które w pojęciu przestrzeni główną odgrywają rolę i nadają wrażeniom dotykowym i mięśniowym pożądaną ciągłość. Za pomocą tylko wzroku poznajemy współbytność ciągłą, dzięki lokalnemu charakterowi jego wrażeń, które zléwają się z sobą w jednę całość nierozdzielną. Jaką jest przestrzeń czysto dotykowo-mięśniowa, właściwa ślepym od urodzenia, o tém jasnego pojęcia miéć nie możemy, gdyż w tym kierunku badania nie posiadają jeszcze pewnych danych. W każdym razie musi ona znacznie różnić się od przestrzeni wzrokowéj, jak o tém świadczy zachowywanie się ślepych od urodzenia w chwili, gdy zostanie im przywrócony wzrok za pomocą operacyi.

Nie podobna zaprzeczyć, że wytłómaczenie pojęcia przestrzeni na podstawie danych doświadczenia, napotyka trudności, których dotąd niezdołano całkowicie usunąć. Lecz to jeszcze nie dowodzi, że ich usunąć nigdy nie zdołamy. Kraków, jak powiada nasze przysłowie, nie od razu został zbudowany. To zaś, co dotąd pod tym względem zrobiono, daje nam niepłonną nadzieję, że dalsze usiłowania osiągną pożądany skutek.

Metafizyka spekulacyjna posiada szczególniejszą zdolność przemieniania zagadnień z natury prostych i łatwych do zrozumienia w najtrudniejsze i najbardziéj zawiłe. Umié ona zawinąć je w tak gęstą tkankę sztucznych subtelności, że więcéj kosztuje pracy wydobycie ich z tych powijaków, aniżeli samo ich rozwiązanie. Tak własnie ma się rzecz z zagadnieniem, dotyczącém początku i charakteru matematyki.

Podług filozofii doświadczainéj, matematyka jest wprawdzie nauką czysto dedukcyjną, opiera się przecież na zasadach, które mają początek w doświadczeniu i są uogólnieniami indukcyjnemi. Wszystkie jéj pierwiastki są prostemi abstrakcyami myślenia. Charakter konieczności i powszechności, jaki mają pojęcia i wywody matematyczne, pochodzą stąd, że są natury hipotetycznéj.

Liard zbija to zapatrywanie, dowodząc, że doświadczenie nie dostarcza umysłowi wszystkich pierwiastków, jakie wykrywamy w matematyce, że dane doświadczenia nie czynią zadość wszystkim warunkom rozumowania matematycznego. Dowodzenie swe sprowadza on do trzech głównych punktów:

a) W przyrodzie nie masz ani linii absolutnie prostych, ani téż doskonałych kątów, kwadratów, kół itd. Jeżeli więc całe rozumowanie geometryczne opiéramy na przypuszczeniu, że figury geometryczne posiadają doskonałość, jakiéj nie ma w rzeczywistości; to sama możliwość takiego przypuszczenia dowodzi, że nasze pojęcie o doskonałości figur geometrycznych jest pojęciem *à priori*, poprzedzającém doświadczenie, że pochodzi z czystego rozumu. Rozum przerabia dane doświadczenia podług wzoru, jaki w samym sobie znajduje—i wytwarza z nich figury idealne. Dokonać tego nie może ani abstrakcya, ani uogólnienie. Abstrakcya oddziela tylko jedne własności od drugich, uogólnienie zaś polega na zastosowywaniu odkrytych doświadczeniem własności i stosunków w jednym wypadku do wszystkich jemu podobnych. Tak więc, jak jedna, tak i drugie nie tworzą nic nowego, nic nie wnoszą do danych doświadczenia, czego w nich już nie ma.

b) Wszystkie działania matematyczne, dające się ostatecznie sprowadzić do liczenia i mierzenia, opierają się na pojęciu równości bezwzględnéj. Lecz w świecie zewnętrznym nie ma dwóch rzeczy, któreby były absolutnie równemi, między któremi nie zachodziłaby jakaś, chociażby najmniejsza różnica. Dla tego też mocą logicznéj konieczności jesteśmy zmuszeni przyznać, że pojęcie bezwzględnéj równości pochodzi nie z doświadczenia, ale z czystego rozumu, że jest pojęciem *à priori*.

c) Tworzenie liczb i figur geometrycznych, czyli poprostu dodawanie i dzielenie ilości, oraz kombinowanie pierwiastków geometrycznych nie mają granic i mogą być przedłużane do nieskończoności; tymczasem w rzeczywistości stosunki ilościowe i przestrzenne są skończone. Dowodzi to więc wyraźnie, że rozum w działaniach matematycznych wychodzi po za granice doświadczenia, prześciga je o całą nieskończoność.

W założeniu powyższych rozumowań leży przypuszczenie, że umysł ludzki we wszystkich fazach swego rozwoju odbiera od świata zewnętrznego jednakie wrażenia i jednakowe o nim wyrabia sobie pojęcia, że to, co w poznaniu człowieka wieku naszego jest rezultatem umiejętnych dociekań, zawierać się musiało i musi w poznaniu naszych najdalszych przodków i współczesnego nam człowieka bez wykształcenia. Tymczasem codzienne doświadczenie przekonywa nas na każdym kroku, że indywidualne różnice między ludźmi zarówno pod względem wrażeń i spostrzeżeń, jakotéż pojęć i sądów są tak wielkie, że nie rzadko, patrząc, słuchając i dotykając się téj samćj rzeczy, co innego w niéj widzą i odmienne o niéj wyobrażenia sobie tworzą. Jakoż, gdy zważymy, że umysł ludzki

nie jest niczém więcéj, jak uorganizowaném doświadczeniem, musimy się zgodzić, że każdy człowiek, odpowiednio stopniowi swego rozwoju i wykształcenia, inaczéj zapatruje się na rzeczy i inaczéj je pojmuje. Co więcéj, sama budowa organów zmysłowych, będąc w różnym stopniu zrócznikowaną, wpływa na odmienny sposób pojmowania rzeczy.

Rzeczy konkretne nie są dla nas niczém więcéj, jak skupieniem pewnych własności. O tych własnościach dowiadujemy się za pośrednictwem zmysłów, które odbierają od nich właściwe sobie wrażenia. Jakkolwiek każda własność rzeczy, do których nasze zmysły przystosowały się, wywiera na nich pewne wrażenie, nie każda przecież wywiera je w równym stopniu. Zależy to od tego, do których własności nasze zmysły najbardziéj przystosowały się. Zresztą nie trzeba zapominać, że wrażenie nie jest prostém odbiciem na umyśle zewnętrznych czynników, lecz ich przeróbką, wypadkiem oddziaływania na nie umysłu. Nie dość na tém, nie wszystkie własności rzeczy, pomimo swego działania na nasze zmysły, dostają się do ogniska naszéj świadomości, bywają przez nas postrzegane. Głównym warunkiem postrzeżenia jest uwaga, skierowanie się naszéj świadomości w jednym wyłącznie kierunku. Uwaga w początkach życia umysłowego bywa czysto automatyczną, działającą w kierunku największego ciągnienia. Zwraca się ona ku wrażeniom najsilniéj działającym na zmysły. To téż umysły nierozwinięte uważają własności rzeczy najsilniéj działające na ich zmysły za istotne—i na inne nie zwracają uwagi. Dopiéro w późniejszéj dobie rozwoju umysłu i dokładniejszego przystosowania się zmysłów do warunków otoczenia, uwaga z mimowolnéj staje się dowolną w tém znaczeniu, że skierowuje się zamiarowo na te rzeczy i ich własności, które najbardziéj odpowiadają wymaganiom poznania i przedsięwziętemu zadaniu. Od wyrobienia uwagi czynnéj zależne są obserwacya i doświadczenie, które nie są czém innném, jak zwykłém postrzeganiem, ale postrzeganiem uregulowaném w celu osiągnięcia wyraźnie określonego zadania.

To więc, co w poznaniu dzisiejszego człowieka, wzbogaconego tradycyą naukową kilkudziesięciu wieków, jest pierwiastkiem koniecznym, może takim nie być, a nawet zgoła nie znajdować się w poznaniu człowieka, pozbawionego dobrodziejstw wykształcenia. Z tém większą słusznością można to powiedzićć o oddalonych naszych przodkach, którzy pierwsi wytworzyli pojęcia o ilościowych i przestrzennych stosunkach. Stosować więc do wyobrażeń ludzi pierwotnych, którym zawdzięczamy zasadnicze wyobrażenia o zewnętrznym świecie, wymagania, jakie po tylu wiekach trudów i po-

święceń stały się koniecznemi warunkami poznania — jestto zapominać, że czynność umysłowa, jak wszelka inna, będąca objawem życia, wyrabia się i wyształca powoli, przechodzi liczne fazy, z których każda ma właściwe sobie warunki.

Dla nas, bogatych w doświadczenie wieków, zaopatrzonych we wszelkie przyrządy miernicze i mikroskopy, spotęgowujące i bez tego spotęgowaną w nas pracą przodków zdolność postrzegawczą— nie masz w przyrodzie ani linii absolutnie prostych, ani absolutnie doskonałych kątów, trójkątów, kół i t. d. Dość atoli zwrócić się do ludzi niewykształconych, ażeby się przekonać, że dla nich każda linia prosta, nie przedstawiająca ich oku wyraźnych nierówności, jest bezwzględnie prostą, że każda figura geometryczna, nie przedstawiająca widocznych nieregularności, jest bezwzględnie doskonałą. O tém, że w rzeczywistości nie ma ani absolutnie prostych linii, ani absolutnie doskonałych trójkątów, kół i t. d. nie wiedzą oni zgoła jak nie wiedziała o tém ludzkość przed wynalazkiem przyrządów mierniczych. W odróżnianiu bowiem tego, co jest doskonale prostém, od tego, co nie jest prostém, kierujemy się nie naukowo wyrobionemi pojęciami, ale bezpośredniém postrzeganiem. Nasi protoplaści, którzy pierwsi odróżnili linię prostą od krzywéj, różnicę tą przeprowadzili na podstawie wrażeń wzrokowo-mięśniowych i dotykowych — i ich pojęcie o prostéj linii odpowiadało jak najściśléj stopniowi przystosowania się ich zmysłów do odznaczania mimowolnych różnic w zakresie powyższych wrażeń.

Pojęcia linii prostéj i krzywéj są współrzędne. W miarę, jak zakres jednego z nich rozszerza się, zakres drugiego zacieśniać się musi. Im dokładniéj oceniamy nierówności linii konkretnych, dzięki przyrządom mierniczym i powiększającym szkłom, tém pojęcie o linii prostéj staje się bardziéj hipotetyczném. Pomimo tego charakteru, jaki ma linia prosta w naszém rozumowaniu matematyczném, nie jest ona bynajmniéj wytworem czystego rozumu. Obecne jéj pojęcie urabiało się powoli pod wpływem wzrastającego doświadczenia drogą abstrakcyi, przez usuwanie i wykluczanie z danych doświadczenia wszystkiego, co sobie wzajemnie przeczyło. Jeżeli bowiem w rzeczywistości niemasz linii doskonale prostych to są przecież linie, które mniéj lub więcéj są prostemi doskonale. Powtarzające się wrażenia tych linii zostawiają po sobie ślad w umyśle, w którym częściowe różnice zacierają się, a pozostaje tylko główny jéj kierunek. Większym byłoby cudem odtworzyć w wyobraźni linią ze wszystkiemi jéj konkretnemi nierównościami, niż linią doskonale prostą, czyli idealną.

Co się powiedziało o linii doskonale prostéj, to samo należy rozumiéć i o bezwzględnie doskonałych trójkątach, kołach i innych figurach geometrycznych, które mają również charakter hipotetyczny. Dla ludzi, nie mających książkowego wykształcenia, każdy trójkąt, kwadrat i koło są albo doskonałe, albo niedoskonałe. O bezwzględnéj doskonałości w tém znaczeniu, jakiéj jéj nadają filozofowie, nie mają oni najmniejszego pojęcia — i ktoby im chciał dowodzić o kole, którego punkty obwodowe znajdują się podług zwykłego wymiaru na jednakiéj odległości od środka, że nie jest bezwzględnie doskonałém, tenby wprawił ich w zdumienie tylko i mógłby być posądzonym o chęć zażartowania z nich. Pojęcia o bezwzględnéj równości, doskonałości i t. d. są wynalazkiem spekulacyi — i w gruncie rzeczy mają znaczenie ujemne. Oznaczają one równość, doskonałość i t. d. pozbawione wszelkich przypuszczalnych nierówności i niedoskonałości. Są to więc wyrazy, którym nie odpowiada nic rzeczywistego, żadne zgoła wyobrażenie.

Co się tyczy téj właściwości działań matematycznych, że tworzenie liczb i kombinowanie pierwiastków geometrycznych mogą być przedłużane do nieskończoności — to na to można odpowiedziéć: najprzód, że jeżeli dodawanie i dzielenie ilości rzeczywiście może być przedłużane do nieskończoności, to wątpię, czy można to samo utrzymywać o kombinowaniu pierwiastków geometrycznych. Jednostki liczebne są głuchemi abstrakcyami, różniącemi się od siebie tém tylko, że różne zajmują położenie w czasie i przestrzeni; kiedy tymczasem pierwiastki geometryczne, przedstawiając określone stosunki przestrzeni, różnią się od siebie nie samém tylko położeniem, ale i kierunkiem w przestrzeni. Kombinacya pierwiastków geometrycznych, chociażby praktycznie nie dała się wyczerpać, nie mniéj musi być skończoną. Powtóre, dodawanie i dzielenie, jeżeli i mogą być przedłużane do nieskończoności, to dla tego, że są one niczém więcéj, jak dodawaniem i dzieleniem pewnych cząstek czasu i przestrzeni. Ilość bowiem nic innego nie oznacza, jak czas i przestrzeń, pojmowane nie w ciągłości, ale w krotności. Ponieważ czas i przestrzeń są nie skończone, gdyż doświadczenie nie dało nam poznać ich granic, ich początku i końca, przeto tak zsumowywanie, jak i dzielenie ich cząstek, ich momentów muszą być nieskończonemi. Nieskończoność ich pochodzi jeszcze i stąd, że samo myślenie, nie znając ani początku, ani końca swego, nie jest zdolném zatrzymać się na jakimś stanie świadomości, któryby nie był poprzedzonym przez inny i po którym by inny nie następował.

Do pierwiastków transcendentalnych zalicza Liard także zasady myślenia, których głównem źródłem ma być odróżnianie zjawiska od rzeczy w sobie. W doświadczeniu — powiada on — dane są tylko zjawiska, prawa zaś odnoszą się do rzeczy w sobie, do istoty. Praw tych ze zjawisk wyprowadzić nie można, gdyż w nich nie znajdują się, wyprowadza je rozum z pierwiastków, które w nim samym tkwią. Całe to rozumowanie polega na tém, że rozróżnieniu czysto logicznemu nadaje się znaczenie rzeczywiste.

Odróżnianie istoty rzeczy od jéj zjawisk ma swe źródło, jak powiada Spencer, we względności naszego poznania, które wymaga dwóch terminów. Zjawisko, jako zjawisko, może być pojętém w odniesieniu do czegoś, co się różni od zjawiska, co niém nie jest. Tém czémś różném od zjawiska jest właśnie istota, będąca pojęciem nieokreśloném. Bliższe wyjaśnienie pochodzenia pojęcia o istocie rzeczy znajdujemy u Lewesa. Rzecz konkretna jest zbiorem pewnych własności znanych i nieznanych. Otóż doświadczenie nas uczy, że ilość własności nieznanych jest nieskończenie większą od znanych. W miarę, jak udoskonalają się metody badania, wykrywamy coraz to nowe własności rzeczy — i nie możemy nawet pomyśléć o tém, ażeby ich ilość mogła być skończoną. Ta nieskończona ilość własności nieznanych, ale możliwych, zestawiona z ograniczoną ilością własności znanych, przybiera pozór .czegoś, co z natury swéj zdaje się być różném od zjawiska. Do podtrzymywania tego złudzenia przyczynia się także sama forma myślenia. W sądach naszych przeciwstawiamy podmiot, jako rzecz, orzeczeniu, jako jéj własnościom. W tém przeciwstawieniu rzeczy jéj własnościom, pojmujemy rzecz, jako coś, co jest przyczyną własności, ich istotą. To więc, co jest czysto logiczném odróżnieniem, staje się dla nas rzeczywistém.

Te są główne zarzuty, z jakiemi Liard w imię filozofii intuicyjnéj zwraca się do doświadczalnéj. Jakkolwiek załączone tu uwagi nie wyczerpują kwestyi i pod wielu względami mogą się okazać niezupełnie przekonywającemi; w każdym razie dowodzą tego jednego, że założenia filozofii doświadczalnéj mają podstawę, któréj tak łatwo zburzyć nie można za pomocą dyalektyki czysto spekulacyjnéj. Opierając się na faktach, może ona tylko przez fakty być obaloną. Daleka od tego, by miała sobie przyznawać nieomylność, podaje ona swe wyjaśnienia i hipotezy z tém zastrzeżeniem, że uważa je za prawdopodobne, jako najbardziéj odpowiadające obecnemu stanowi wiedzy. Czy wszystkie jéj zapatrywania utrzymają

się w przyszłości? Na to pytanie odpowiada ona: utrzymają się potąd, póką̨d fakty, na których jéj zapatrywania opierają się, nie zostaną zaprzeczone przez dalsze doświadczenie, przez głębsze wniknięcie w naturę rzeczy i odkrycie stron jéj dotąd nieznanych. Muszą one uledz częściowym zmianom, uzupełnieniom i sprostowaniom, gdyż zakres poznania coraz się rozszerza. Mogą nawet zupełnie ustąpić miejsca innym, z tém wszystkiém pozostanie to, co stanowi jéj charakterystyczną cechę — metoda, która wszelkie swe rozumowania opiéra na faktach doświadczalnych.

Władysław Kozłowski.





DZIEJE RODÓW LITEWSKICH,

jako materyał do archeologii historycznéj.

Poczet rodów w Wielkiém Księstwie Litewskiem w XV i XVI wieku. Ułożył i wydał Adam Boniecki. Warszawa 1887. 4°, str. XV, 425, XLIX.

Badania naukowe dziejów oddzielnych rodzin możnowładczych i szlacheckich powinny stanowić część nieodłączną archeologii historycznéj. Przeprowadzone wszechstronnie rozjaśnią one niewątpliwie wiele stron ciemnych jeszcze w dziejach wewnętrznych całego społeczeństwa. Dotąd jednak część ta archeologii historycznéj, z niewielkiemi zresztą wyjątkami, stanowiła specyalność wyłączną takiéj literatury, która mając na widoku mitry i klejnoty herbowne, rzadko kiedy uwzględniała prawdziwy cel naukowy. Większa część wydawnictw tego rodzaju oparta była na podstawach fantastycznych i dążyła do celu z góry uplanowanego, nie mającego nic wspólnego z nauką historyczną. Nieraz jednak i tam spotykamy dowody oparte na źródłach „najnowszych.“ Lecz tu powstawał zamęt największy w pojęciach o źródłach, o ważności tego lub owego źródła i o ich stosunkach wzajemnych. Zamęt ten panuje nie tylko w kole czytelników literatury tak zwanéj heraldycznéj, ale nawet u autorów piszących dzieje rodów lub osób historycznych. Przykład dosadny podał nam p. Ad. Krechowiecki w obronie swego „Starosty Zygwulskiego“ przeciwko zarzutom p. Zielińskiego (1). P. Kr. z pewnością dowodzi, że oparł swą powieść nie na Niesieckim lub Siarczyńskim, lecz na „nowszych źródłach“, a tém nowszém źródłem jest praca ś. p. K. Stadnickiego w „Złotéj księdze szlachty“ p. Żychlińskiego. Nie dość, że autor

---

(1) Biblioteka Warszawska, 1887, październik, str. 146 nst.

w swéj obronie myśli, że im nowsze źródło, tém lepsze, i opracowanie Stadnickiego uważa za źródło historyczne, ale stawia daléj na jednéj stopie i do jednéj kategoryi źródeł obok Żychlińskiego zalicza Akta kapituły przemyskiéj z wieku XVI (które zna tylko z „*Praemislia Sacra*“ Pawłowskiego), Orzechowskiego „*Annales*“ i „Dzieje Polski“ Szujskiego. Zamiast Szujskiego lepiejby się p. Kr. powołał na ks. Bukowskiego, który ma dobrą monografią w Stadnickim. Nie zwracalibyśmy uwagi na podobny chaos w pojęciu o źródłach u powieściopisarza, gdyby ten zamęt nie był zbyt ogólnym w obszernéj literaturze i gdyby sam autor powieści historyczno-genealogicznéj nie podjął kwestyi o źródłach do dziejów rodów.

Taka nieumiejętność wybierania i oceniania źródeł, częściéj jednak chęć schlebiania pewnego rodzaju dumie rodowéj, zdyskredytowała prace genealogiczne w oczach ogółu nawet wykształconego, który w badaniach nad dziejami rodów szlacheckich nie widzi celu innego, jak wychwalanie cnót rodowych i schlebianie dumie magnackiéj. Czas więc już wielki potemu, aby wyprowadzić badania genealogiczne z manowców na drogę utartą badań naukowych. Zdaje się, że już wstępujemy w nowy okres, który względy uboczne całkiem odrzuci. W ostatnich czasach, nie mówiąc o cennych pracach dawniejszych, zjawiły się wydawnictwa, jak „Archiwum Sławuckie“, jak dzieło p. Wolffa „Pacowie“, rzecz oparta wyłącznie na źródłach archiwalnych, przeważnie na Metryce Litew. i pamiętnikach współczesnych, jak nareszcie praca p.Znieckiego, obejmująca poczet rodów litewskich aż do połowy wieku XVI. Wydawnictwa te wskazały drogę prawdziwą, jaką ma iść daléj historya rodów szlacheckich. Wydawnictwo aktów, odnoszących się do pewnéj rodziny i opracowania historyczne, oparte na materyale archiwalnym i na dokumentach współczesnych, oto jest zadanie przyszłych badaczy dziejów rodów. Wydawnictwo aktów jest ważne pod tym względem, że nieraz drobny szczegół, opuszczony w opracowaniu, w szeregu wielu innych tegoż rodzaju faktów otrzymuje wielki walor i ma znaczenie dla dziejów wewnętrznych.

Jeżeli dzieło p. Wolffa „Pacowie“ powinno zasłużyć na uznanie chlubne, to praca p. Znieckiego „Poczet Rodów“ stanowi niewątpliwie epokę w naszéj historyografii genealogicznéj. Pracy o takim zakresie, opartéj na materyale pierwszorzędnéj wartości dotąd nie posiadaliśmy. Książka p. B. musi się znaleść w ręku każdego historyka Litwy. Boć to ci wszyscy Białozory, Czaple, Czyże, Hornostaje, Jeże, Komary, Cybulki, Harbuzy, Bobojedy, Kiszki, Kisiele, którzy po 300—400 latach po raz pierwszy spotkali się w księdze p. B., żyli, działali i tworzyli historyą. A znalazł p. B. tych

różnych kniaziów Babów, Kapustów, Kozeków w tych dokumentach, które oni sami zeznali i swą czynność niemi stwierdzili. P. Boniecki pierwszy w takim zakresie wskazał drogę, jaką powinni iść badacze, pierwszy na taką skalę otworzył metrykę litewską i zmusił szlachtę, która przez lat 400—300 była w spokoju, aby sama mówiła o swych czynach. Metryka Litewska jest to cała Litwa u siebie w domu z jéj przywarami i zaletami. Przed nią szlachta staje taką, jaką była — kłótnie i spory, bójki i napaści na równéj drodze, sprzedaż i kupno, zastaw i działy, wszystko się w niéj schodzi. Przez nią dostaje ona urzędy i dostojeństwa, jak również i chleb rzeczypospolitéj w formie dzierżaw i starostw. Tam się spotykali pan i bojarzyn, nie był w niéj chyba ten, co przez lenistwo lub abnegacyą zadowolnił się teraźniejszością i nie dbał całkiem o poprawę losu swego, albo o zabezpieczenie następców testamentarnie. Spotykamy w aktach Metryki i „ludzi“, bo panowie przyzywali ich nieraz, aby świadczyli w sprawie granicznéj z sąsiadem, albo sprzedawali ich komu innemu. W ten więc sposób Metryka jest źródłem pierwszéj wagi dla dziejów wewnętrznych Litwy. Zbadanie jéj wszechstronne da nam pewny zarys życia społecznego, który może być rozszerzany i oświetlany na podstawie innych źródeł lub kombinacyi historycznych (1). Znaczenie Metryki doskonale zrozumiał p. B. i na niéj, jako na fundamencie pewnym, oparł budowę swego dzieła, do przeglądu którego przystępujemy obecnie.

Podstawą główną pracy p. Bonieckiego jest sumaryusz, obejmujący akta najdawniejsze aż do połowy XVI wieku. Wiadomości objęte sumaryuszem uzupełnił autor szczegółami zaczerpniętemi z innych źródeł, których spis obszerny podany jest w przedmowie. Z powodu, że wiadomości sumaryusza sięgają tylko do połowy wieku XVI, na téj więc epoce p. B. zamyka badania swoje i tylko w wypadkach wyjątkowych po za nią przekracza. O charakterze tego sumaryusza i sposobie sporządzenia jego p. B. zamilcza (2). Z dzieła jednak jego możemy się domyślać, że zawiera on w sobie regestra do tych ksiąg, które w końcu wieku XVIII zostały skopio-

---

(1) Szczegółowy opis Metryki Litewskiéj wydaliśmy w Petersburgu p. t. „Opisanie knig i aktow litowskoj Metryki.“ Przy powoływaniu się na akta Metryki używamy skróceń, jakie zostały przyjęte w Ateneum w artykule „Dostojnicy litewscy“, 1886, styczeń. Numera ksiąg podajemy według systemu petersburskiego. Odpowiednie numera warszawskie są wskazane we wspomnianym wyżéj opisie.

(2) W cytatach z sumaryusza wskazuje autor tylko N-er księgi, i nie podaje stron, co bardzo utrudnia sprawdzanie. Numera ksiąg, podane według regestru warszawskiego, nie odpowiadają petersburskim.

wane, a które obecnie są w Warszawie, nie zaś do ksiąg oryginalnych, które świéżo z Petersburga przewieziono do Moskwy. Autor zaznacza, że w sumaryuszu znalazł liczne omyłki, które musiał sprostować. Nie wiemy, czemu mamy przypisać, czy pracy krytycznéj autora, czy akuratności sumaryusza, fakt, żeśmy nie znaleźli ważnych błędów w sumaryuszu. Pomyłki te mają charakter błędów drukarskich, łatwo mogą być poprawiane: Militynicz (str. 22) zam. Mikitynicz, Kholimont zam. Golimont (кг, kg = g), Czenadej zam. Henadej, Nowosielicki zam. Nowosielecki, Skirmin zam. Skirwin, Jan Bujanowicz (XXVI) zam. Jakub Janowicz i niewiele innych, których autor uniknąłby przy korzystaniu z oryginału. Tak samo np. w oryginale mamy: „Lewkowicz Sidor kłał pered nami list otca naszoho sławnoje pamieti K a z i m i e r a na to, szto J. M. dał otcu jeho nieboszczyku Lewku ludej i zemli na imia Wersoce i też zemli w Ejszyszskom i raduńskom i koniewskom powietie.“ 10-go lutego 1500 (Z. 8, 259). Sumaryusz w tém miejscu ma datę fałszywą i Aleksandra zam. Kazimierza. Korzystanie z sumaryusza miało i tę stronę niedogodną, że nie pozwalało autorowi korzystać ze szczegółów, nieraz ważnych, a o których sumaryusz zamilcza. Dla przykładu weźmy ustęp o Puhaczewiczach. Z aktu powołanego przez p. B. dowiadujemy się więcéj niż szanowny autor podaje. Wypływa z niego, że Ostafi Puhacz był bratankiem Iwana Zenowiewicza, który wydzielił część ojcowizny wdowie Puhaczowej Ahafii (Z. 12, 23). W Metryce Lit. 21 (=P. 1. 4) w popisie poborowym z roku 1528 wymienieni Puhaczewicze Hrehory i Wasil, ale stawią oni nie 28 koni, a 7. Omyłka musiała zajść przy transkrypcyi słowiańskiéj numeracyi. W oryginalnéj księdze przy Puhaczewiczach znajdujemy dopisek późniejszy „Zenowicze.“ Hrehory Ostafiewicz stawił się jako świadek przy sprzedaży w r. 1532 trzeciéj części Smorgoń przez Jana Jurjewicza Zenowicza (Z. 34, 178). Oczywiście, że szczegóły tu nie mogą być znane z sumaryusza. Oprócz sumaryusza p. B. posiada odpis całéj księgi 21 (=P. 1.), zawierającéj nader cenny regestr poborowy z r. 1528 spisany na mocy uchwały sejmowéj. Regestr ten zawiera popis kniaziów, panów, wdów wojewodzińskich, bojarów z poszczególnieniem wiele, kto ma stawić koni na potrzebę wojenną. Jest to bardzo materyał cenny dla określenia ludności kraju. P. Boniecki nie omawia tego regestru, ale ze stałych odsyłaczy wnosimy, że musi go posiadać. Szkoda tylko, że w odpisie w wielu miejscach źle odcyfrowano liczbowanie słowiańskie. Na takim więc sumaryuszu mógł p. B. śmiało oprzéć swe dzieło, i jeżeli znajdą się w nim błędy, to nie będą znów one bardzo rażące i z łatwością dadzą się usunąć.

Na podstawie sumaryusza p. B. ułożył spis alfabetyczny rodów poszczególnych i pod te rubryki zaciągnął wiadomości, jakie o nich znalazł w sumaryuszu lub w źródłach drukowanych. Przy rodach więcéj rozgałęzionych autor podał dokładne tablice genealogiczne. W ten więc sposób mamy tu zebrane faktyczne wiadomości, tyczące się poszczególnych rodzin, dóbr jakiemi one władały, jakie i kiedy kto z członków tych rodów piastował urzędy. Spotykamy nareszcie wyroki sądów marszałkowskich i w. książęcych w sprawach pomiędzy temi rodami. Ztąd więc poznajemy nietylko stosunki familijne prywatne, ale całe życie państwowe i przenikamy w tajniki dziejów wewnętrznych Litwy. Dzieło swe p. B. zamyka spisem dygnitarzy i urzędników duchownych świeckich, którzy zostali wspomnieni w poczcie rodów.

Spis dygnitarzy świeckich na Litwie przed laty dwoma wydał p. Wolff p. t. „Senatorowie i Dygnitarze“. P. W. podał możliwie zupełny spis senatorów i dygnitarzy litewskich od pierwszego połączenia Litwy z Polską aż do r. 1792. Za zasadę swego wydawnictwa p. W. przyjął podanie terminu postąpienia na pewien urząd i ustąpienia z niego danéj osobistości i wynalezienie możliwie wszystkich dygnitarzy pewnych kategoryi. W razie zaś niemożebności ostatecznéj (według jego przekonania) odnalezienia daty pewnéj, podawał przypuszczalną, lub wykazywał lata, w jakich dana osoba z pewnością zajmowała ten lub ów urząd. Naturalnie z różnych powodów wcisnęło się trochę błędów i niedokładności, ale zasada była dobrą i spis ten czasem da się ostatecznie poprawić. „Ateneum“ już umieściło szereg sprostowań, my obecnie rozporządzamy liczbą ich znaczniejszą, ale i przez to nie wszystko daje się sprostować (1).

---

(1) *Sprostowania do „Senatorów“ Wolffa, które nie weszły w dopełnienie, zamieszczone w Ateneum. Liczby, wyrażone tłustym drukiem, oznaczają stronice „Senatorów.“*

24. Kniaź Aleksander Proński mian. starostą łuckim 8 gr. 1580 r. (Z. B. 26, 262).— **26.** Strawiński B. wdą mińskim 25 lutego 1631 r. (Z. 99, 464). — **30.** Gedrojć wdą mścisławskim 19 lipca 1617 (Z. 92, 101). — **32.** Siesicki M. z wojew. mińskiego postąpił na mścisławskie 19 kw. 1698 r. (Z. 149, 660). — **36.** Gasztold St. wdą nowogrodzkim 8 grudnia 1522 r. po śmierci Zabrzezińskiego marsz. ziem. (Z. 2, 119). — **57.** Sakowicz B. A. wdą trockim we wrześniu 1484 (Z. 25, 32). - **61.** Pociej wdą trockim 21 maja 1742 r. (Z. 173, 39). — **63.** Radziwiłł J. M. kaszt. trockim 1 kw. 1522 (S. 3, 12). — **69.** Masalski M. J. kaszt. trockim 21 maja 1742 (Z. 173, 40). — **73.** Hornostaj J. sprawcą wdztwa wileńskiego przed 9 maja 1549 (S. 22, 1). — **73.** Radziwiłł M. J. wdą wil. 11 czerwca 1551 (S. 27, 43). — **73.** Wołowicz sprawcą wdztwa wil. 1 lipca 1565 r. (S. 48, 153). — **74.** Sapiecha L. wdą wil. 6 lutego 1623 (Z. 92, d. 106).—**80.** Radziwiłł Janusz kaszt. wil. 1 czerw. 1620 (Z. 93, 337). — **88.** Pociej L. wdą witeb. 24 paźdź. 1686 (Z. 143). — **101.** Sadowski M. kaszt. brzeski 20 lutego 1698 (Z. 149, 30). — **110.** Strawiński mian. kaszt. witeb.

P. Boniecki zna wydawnictwo p. Wolffa, lecz nie trzyma się przyjętéj przezeń zasady. Daty piastowania urzędów zaznacza tylko jedynie, jakie znalazł sam w aktach i nie robi żadnych przypuszczeń co do chwili objęcia lub opuszczenia urzędu. Z „Senatorów“ Wolffa p. B. korzysta dla sprostowania dat i omyłek znalezionych w sumariuszu. Sprostowania te, jak zobaczymy niżéj nie zawsze są szczęśliwe, gdyż świadectwo Wolffa bywało błędném. Zdaniem naszém niekoniecznie należało trzymać się téj zasady. Mając tak obszerny materyał, p. B. mógł sprawdzić daty Wolffa i tam tylko podawać swoje, gdzie się one nie zgadzały z nim. P. B. obejmuje znacznie większy zakres dygnitarzy, niż Wolff, gdyż podaje spis dygnitarzy duchownych łacińskich i greckich, jak: Arcybiskupi, Biskupi, Archimandryci, Metropolici i Władycy. Oprócz tego p. B. podaje spis urzędnikków ziemskich i powiatowych, których pan Wolff wykluczył zupełnie ze swego wydawnictwa. W ten więc sposób mamy obecnie spis nader ciekawy, a skądinąd praktycznie bardzo potrzebny, takich urzędników, jak to: chorążowie powiatowi, ciwuowie, hajewnicy, horodniczowie, klucznicy, koniuszowie, leśniczowie, mostowniczowie, pisarze grodzcy i ziemscy, podkomorzowie, podsędkowie, podstarościowie, sędziowie grodcy i ziemscy, starostowie, namiestnicy, dzierżawcy, wojscy. W spisie tym nazwani tylko ci urzędnicy, którzy zostali objęci pocztem rodów i daty podane tylko te jakie autor sam znalazł. Spis niektórych urzędników autor przedłuża po za połowę wieku XVI. Do tego okresu ze-

---

22 maja 1592 (Z. 76, d. 293). —**110**. Sapiecha A. P. kaszt. mińskim 29 maja 1592 (Ibid.).— **154**. Radziwiłł J. M. hetmanem polnym 20 maja 1531 (Z. 17, 63). — **156**. Gosiewski hetmanem polnym 18 czerwca 1654 (Z. 128, 489). — **164**. Wołowicz Hier. złożył urząd podkanclerzego 22 lutego 1619 r. (Z. 94, 50). — **182**. Mniszek J. marsz. nadw. 7 lipca 1706 (Z. 154 p. 187).— **208**. Styrnel cześnik występuje pod rokiem 1490 (Lustr. B. 28, 16).— **218**. Wice-instygatorowie: Mikołaj Gołembiowski w r. 1618 (Z. 95, 71) i w r. 1623 grudnia 4 (Z. 120, 558); Fr. Bobiński mian. po postąpieniu Rukiewicza na instygatorstwo 26 kwietnia 1710 (Z. 154, 301). — **219**. Rukiewicz instygatorem w r. 1710 (z nom. Bobińskiego na wice-instyg). — **219**. Zembrzycki: Jan z Zembrzyc Zembrzycki wspomniany z tytułem instyg. 5 kw. 1672 r. (Z. 120, d. 88). — **219**. Witakowski Kaź. mianowany instygatorem post fata Kurowicza 17 stycznia 1693 roku (Z. 146, 605), chociaż w czerwcu 1692 r. po śmierci Kurowicza otrzymał nominacyą Romanowicz (Z. 146, 447).—**239**. Dönhoff St. mian. łowczym 25 wrz. 1697 r. (Z. 149, 6). — **252**. Petrus de Boleslauia Alexandri alias Wytowdi notarius występuje w r. 1399 (Perg. dok. Metryki N. 252).—**270**. Pielgrzymowski Kl. mian. pisarzem 26 paźdź. 1586 r. (Z. 74, d. 200). — **274**. Pac K. M. rezygnował z pisarstwa 7 marca 1710 r. (Z. 151, 63). — **286**. Sapieha M. J. mian. pisarzem polnym 25 lipca 1698 (Z. 146, 419). — **291**. Dorohostajski K. M. podczaszym 29 maja 1592 roku (Z. 76, 299). — **298**. Czetwertyński mian. podkoniuszym 30 stycznia 1699 roku (Z. 149, 705).—**299**. Wiażewicz podkoniuszym 28 czerw. 1760 (Z. 181, 756).—**310**. Kołłątaj H. referendarzem 18 maja 1787 (Pub. 34, 65).

braliśmy luźnie nieco notat z akt Metryki i one zmieniają trochę lub uzupełniają daty p.Ranieckiego.

Biskup łucki Jerzy Falczewski: został nominatem w r. 1536, a w marcu tegoż roku był biskupem łuckim Paweł (patrz niżéj pod Chwalczewscy). Jan Andruszewicz biskup łucki, znany p. B. z Encyklopedyi, występuje w aktach Metryki 8 sierpnia 1556 roku (Z. 35, 274).

Archimandryci: pieczerscy: Antoni mianowany w roku 1524 (Z. 12, 153); Iłarion Piasoczyński w r. 1551 (Z. 35, 22); ławryszowscy: 20 marca 1524 roku arch. ławr. Oleksiéj otrzymał przywiléj na archimandryą św. Trójcy w Wilnie po śmierci arch. Tichna (Z. 12, 150), Aleksiej Michajłowicz jest u p. B. na swojém miejscu, pod dniem 1 grudnia 1546 r. występuje przed królem arch. ławr. Ofanasej Kurka (Z. 31, 12).

Ciwunowie: merecki: Olechno Chodorowicz wspomniany w dokumencie z dnia 6 października 1530 (Z. 17, 38); pojurski: Mikołaj Pietkowicz wspomniany 14 sierpnia 1530 r. (Ib. 3).

Cześnik Styrnel, nieznany i p. Wolffowi występuje w dokumencie z 1490 (Lustr. B. 27, 16).

Kasztelanowie: miński: A. Sapieha mian. 29 maja 1592 r. (Z. 76, 292); witebski: Strawiński 22 maja 1592 r. (Ib. 293)—p. Wolff ma mylną datę.

Obruśnych p. B. zna dwóch Waśkę Zienowjewicza i Jermołę Andrejewicza. Obrusnych jednocześnie było wielu i jak inni służkowie, mieli swą ziemię obrusną we włości grodzieńskiéj. W tych że latach spotykaliśmy obrusnych: Stepana Waśkowicza 8 sierpnia 1559 r. (Z. 42, 21); tegoż roku pod dniem 1 kwietnia wymienieni Jan Waskowicz Gołek (Ib. 36), Waśko Zenkowicz i Mikołaj Karpowicz (Ib. 37), Łukasz Hostiłowicz (Ib. 38) i inni.

Pisarz Witołda Petrus de Boleslauia otrzymał 18 listopada 1399 r. od Władysława Jagiełły 300 grzywien na pewnych wsiach w Sandomierskiém (Metr. X 252) (1). Pielgrzymowski E. mian. pisarzem 26 października 1586 r. (Z. 74, 200), a nie lutego, jak ma Wolff.

Podkomorzym bielskim 16 sierpnia 1549 r. był starosta kowelski Aleksander Łaszcz (Z. 32, 88).

Jako *sędzia piński* występuje w r. 1548 Semen Domanowicz, (Z. 32, 39) nieznany p. B.

Starostowie: brzeski—zam. Jan Bujanowicz Niemirowicz powinno być Jakób Janowicz Niemirowicz;

---

(1) Por. Opisanje Lit. Metryki str. 244.

brański i surażski namiestnik Tomasz Owsiany spotyka się już w roku 1548 (Z. 32, 17).

drohicki—Iwan Bohowityn był już starostą 3 sierpnia 1541 r. (Z. 28, 80).

dziśnieński Jurij Zenowicz otrzymał stwo 5 września 1576 roku (Z. 58, 18).

haliczański i krasnosielski namiestnik królowéj Bony Wasilej Junkiewicz opuszczony zupełnie, spotyka się w r. 1549 (Z. 32, 45).

jurborgski nam. królowéj Bony Stanisław bez nazwiska występuje w roku 1530 (Z. 17, 31).

klecki, *piński i grodecki* starosta Piotr Mylski jest już na tych urzędach 16 lipca 1548 roku (Z. 32, 10).

kowelski starosta i podkomorzy bielski Aleksander Łaszcz znany jest 16 sierpnia 1549 roku (Z. 32, 88). Mylnie u p. B. w odsyłaczu nazwany kowieńskim.

knyszyńskim dzierżawcą Piotr Chwalczewski był już 13 marca 1553 r. (Z. 35, 116).

łuckim starostą kn. Aleksander Proński mian. 8 grudnia 1580 r. (Z. kor. 26, 262).

przełajski nam. Lewon występuje 4 października 1530 roku (Z. 17, 31), zapewne jest to znany p. B. Lew Dymitrjewicz z r. 1537.

Wojewodą trockim Andrzej Sakowicz mianowany we wrześniu 1484 (Z. 25, 32); p. B. daty nie podaje, a u p. Wolffa jest mylną.

Wojewodą wileńskim Mikołaj Radziwiłł mianowany 11 czerwca 1551 r. (S. 27, 43).

* * *

Podając w części głównéj dzieła swego spis rodów litewskich w porządku alfabetycznym, p. Boniecki przy każdém nazwisku poszczególném ułożył w porządku chronologicznym wszystkie wiadomości, tyczące się omawianéj rodziny, jakie znalazł w sumaryuszu. P. B. uznaje te fakta tylko, które stwierdzone zostały przez akt urzędowy. Nie ma więc tu miejsca przeróżnym tradycyjnym fantazyom, wyprowadzającym pochodzenie rodów, nie zawsze znakomitych, od znakomitych protoplastów. P. B. nie doposzcza w swém dziele nawet różnych kombinacyi historyczno-genealogicznych, które nieraz mają pewną zasadę. Jako przykład weźmiemy rodowody Czartoryskich i Sanguszków. Mówiąc o protoplaście Czartoryskich Wasilu, p. B. dodaje: czyim był synem nie wiadomo, jak również dotychczas nie wyjaśniono, czy od książąt ruskich, czy od litewskich wiodą swój ród, i powątpiewa o możebności wyprowadzenia tego rodu od Konstantego Olgierdowicza, co stara się dowieść p. Wolff (Ród Gedymina, str. 95). Faktem niezbitym jest tylko to, że

protoplastą rodu tego jest kniaź Wasil, żyjący na początku wieku XV; na to mamy dokument, a czy był on synem Konstantego Olgierdowicza na to dokumentu nie ma. Tak samo rzecz ma się z Sanguszkami. Znanym protoplastą rodziny téj jest kniaź Sanguszko, który trzymał w pierwszéj połowie wieku XV Ratno. Od niego p. B. rozpoczyna rodowód i przodków Sanguszki nie poszukuje. Jednocześnie prawie p. Wolff (*l. c.* 116) podaje szereg dowodów, które mają stwierdzić fakt, że Sanguszko był synem Fedora Ratneńskiego, a wnukiem Olgierda, i obala pochodzenie Sanguszków od Lubarta. Zaznaczamy tu fakty te, które świadczą o niezwykłéj ostrożności autora naszego i zaznajamiają z metodą jego. Obiecawszy, w tytule dzieła, dać poczet rodów na Litwie, p. B. w rzeczywistości daje więcéj, niż obiecał. W dziele jego znajdziemy najprzód nazwiska takich osób, których rodu p. B. nie zna, i powtóre wylicza takie osoby, które na Litwie nie osiadały, były tam chwilowo. Przykłady możemy znaleźć tuż na pierwszych kartach; np. 4—6: Babiński, Bachta, Marcinowicz, Bejnarowicz, Berdowski, Bernat, Berwenców Bezski, Biały—wszystko to są osoby pojedyńcze o rodach ich autor nic nam nie mówi i my nawet nie wiemy, czy sformowali oni osobne rodziny. Z osób chwilowy mających pobyt na Litwie wskażemy więźniów moskiewskich, jak—Czeladin, Golicyn, Kisielew, Kitajew; albo nazwiska Gwagnin, Hosza v. Hozjusz i w. innych.

W dziele p. B. akta Metryki nie zostały wyczerpane zupełnie nawet do połowy wieku XVI. Najprzód dla tego, że zapewne, nie wszystkie księgi za ten czas są w Warszawie, a powtóre, może i dla tego, że sumaryusz nie objął wszystkich ksiąg warszawskich. Księgi objęte sumaryuszem o ile udało się nam sprawdzić wyczerpane są przez p. B. dostatecznie. Myśmy mieli pod ręką oryginalne akta metryki i, notując w chwilach wolnych ciekawsze fakta, zebraliśmy nieco ciekawych dat. Z oznajomienia się z samemi księgami możemy twierdzić śmiało, że dadzą one wiele jeszcze nowych rzeczy nawet dla pierwszéj połowy wieku XVI. Jako próbkę tego, co można jeszcze zrobić, podamy tu nasze notatki o trzech rodzinach — Chwalczewskich, Tryznach i Unichowskich, ograniczając je okresem założonym przez p. B. i tylko w razach wyjątkowych nieco wychodząc z niego.

Chwalczewscy. Losy rodziny téj obchodzą nas bliżéj ze względu na osobę autora kroniki. Dotąd mamy o niéj tylko urywkowe daty, i słusznie twierdzi autor ostatniéj pracy o Chwalczewskim, p. Schirmer, że nie mamy żadnéj rozprawy, któraby nam podała dokładne wiadomości o życiu S. Chwalczewskiego. Herbarze zawie-

rają bardzo mało szczegółów o życiu jego, a inne źródła bądź są nieprzystępne (jakie?), bądź nie mieszczą w sobie dostatecznych wzmianek, na podstawie których moglibyśmy skreślić dokładny jego życiorys" (1). Oczywiście do wynalezienia tych dat wypadało zrobić poszukiwania, a do tego poszukiwania umiejętnie pokierowane. P. Sch. nie miał na celu robienie nowych badań i zadowolnił się na zestawieniu, znanych szczegółów, nie zawsze poddając je krytyce naukowéj. Rodzina Chwalczewskich nie litewska, nie na Litwie więc mamy szukać jéj dziejów. Z woli, prawdopodobnie, Bony bracia Jerzy, Piotr, Franciszek i Stanisław przedostali się na Wołyń, Podlasie a przez to zostawili ślady pobytu tam swego w aktach Metryki. P. Boniecki ma daty pewniejsze niż p. Schirmer, że zaś nasze notaty powiększają nieco wiadomości o braciach, podajemy je tu w sposób sumaryjny.

Jerzy. P. Boniecki zgodnie z p. Sch. twierdzi, że był on od r. 1535 biskupem łuckim. W aktach metryki nominacyi nie spotkaliśmy, mamy jednak takie daty. W dokumencie z dnia 8 marca 1536 r. występuje służebnik Pawła biskupa łuckiego (Z. 19, 89). Pod dniem 1 czerwca 1536 roku Jerzy Chw. występuje z tytułem „olekt" (elekt-nominat) łucki (Ib. 153). Datę śmierci biskupa p. Sch. oznacza na rok 1544, a p. Boniecki na rok 1547. Na dniu 26 kwietnia 1548 roku biskup był osobiście w Wilnie (Z. 31, 183), a 15 lutego 1549 roku w Krakowie (Ib. 246). Dopiero 15 października 1549 bracia Stanisław, Piotr i Franciszek pozywają kapitułę łucką o zatrzymanie spadku po bracie (S. 22, 222 i 224). Więc przedłużmy biskupowi żywota do roku 1549, a osoby interesowane odeślijmy do akt kapituły łuckiéj.

Piotr. Pierwszy raz spotkaliśmy go na Litwie z tytułem dworzanina Bony 29 grudnia 1548 r. (Z. 32, 45), jeszcze w roku następnym nie piastował urzędu żadnego (S. 22, 222). Dnia 13 marca 1553 r. jemu jako dzierżawcy knyszyńskiemu i sprawcy zamków i dworów w. ks. Lit. Bona poleca oddać włókę ziemi w Kownie na cerkiew ruską (Z. 35, 116). Z temiż tytułami występuje 8 sierpnia 1559 r. (Z. 42, 21); 13 gr. 1560 (Ib. 67). Pod dniem 22 sierpnia 1562 r. jest on na Litwie i ma tytuł sprawcy pożytków w zamkach i dworach w. ks. Lit. dzierżawcy knyszyńskiego i zabielskiego (Ib. 35, 249).

Franciszek—trzeci brat a wspomniany tylko przez p. p. Bonieckiego i Schirmera, zażył także z łaski Bony chleba publicznego: 22 stycznia 1555 złożył on przysięgę na starostwo kowelskie (Z. 36, 35); spotkaliśmy go raz jeszcze 1 marca 1558 r. (Z. 43, 40).

---

(1) Przewodnik Naukowy 1886 zesz. 2 str. 152 ust.

Stanisław, autor kroniki, najwięcéj obchodzić nas może, nie mamy jednak o nim dokładnych szczegółów. Kilka uwag musimy wszakże zrobić z powodu p. Schirmera. „Stanisław, według p. Sch., około r. 1539 został starostą krzemienieckim, i był nim prawdopodobnie aż do r. 1550. W tym roku występuje Feliks Hercyk jako starosta krzemieniecki". Otóż data ustąpienia ze starostwa jest stanowczo nieprawdopodobną. Szczęsny Hercyk pełnił urząd starosty krzemienieckiego już 16 lipca 1548 roku (Z. 32, 5), a w grudniu tegoż roku był nim Iwan Bohuszewicz Bohowityn (Z. 32, 34). Data ta zgadza się zupełnie z przywilejem Bony z d. 29 czerwca 1548 roku (Z. 32, 4), gdzie Stanisław nazwany tylko starostą kobryńskim. Zdaje się, że rok 1548 będzie najpodobniejszą datą postąpienia St. Chw. z Krzemieńca do Kobrynia. 17 grudnia 1549 r. Stanisław w liście Bony nazwany starostą kobryńskim i dzierżawcą sieleckim (Z. 33, 6). Dnia 15 lutego 1552 roku jako starosta kobryński złożył przysięgę do zamków w Pińsku, Klecku i Gródku (Z. 33, 99). Ostatnią wzmiankę o Stanisławie w Metryce spotkaliśmy pod d. 2 sierpnia 1554 roku, gdzie jest nazwany starostą kobryńskim, pińskim, kleckim i grodeckim (Z. 36, 7). P. Boniecki podaje i inne daty, tyczące się Stanisława. Niezawodnie gruntowniejsze badania dałyby więcéj dat ciekawych, nam chodziło głównie o wskazanie możebności poszukiwań dalszych. Na zakończenie dodamy, że nazwisko téj rodziny w aktach łacińsko-polskich występuje w formie Chwalczewski, forma Falczewski jest stałą w aktach ruskich.

Tryznowie bardzo rozrodzona rodzina i już w połowie wieku XVI senatorska. P. B. zna tylko Wasila Karpowicza (1523—1525) i syna jego Ofanasa (1525). Już z „Senatorów" p. Wolffa wiemy, że pierwszym k-lanem podlaskim od r. był 1566 Hrehory Józefowicz Tryzna, który po utworzeniu kasztelanii smoleńskiéj w r. 1569 został k-lanem smol. i umarł aż 1571 roku. Ten Hrehory miał 3 córki: jedną Aleksandrę wydał za mąż Dymitra Sapiehę, zwanego „rewizorem" od rewizyi na Podlasiu (S. 68, 288). Z czterech synów ciekawą jest osobistością Jan. Posiadał on we wrześniu 1567 roku pięknie oprawny egzemplarz „Wizerunku" Reja wydania 1560 roku i pilnie go czytał, robiąc niekiedy swoje uwagi po polsku i po rusku. Natępnie w roku 1574 książka ta przeszła na własność Adama Chreptowicza, a przez Nieswież dostała się do Akademii Nauk w Petersburgu. Według tego egzemplarza prowadziliśmy nasze wydanie. Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu posiada ciekawą zapiskę genealogiczną o rodzinie Tryznów z w. XVII, umieszczoną w ruskim rękopisie z powieściami z wieku XVI, o którym „Ateneum" dało sprawozdanie

w zesz. z Maja r. 1887. Według téj zapiski dziad k-lana podlaskiego miał trzech synów: Wasila, Jesifa i Zacharyę i córkę Oksanę (1). Bracia Karpowicze w Metryce spotykają się nieraz. Z jednego aktu dowiadujemy się, że jeden z braci, Wasil, umarł w r. 1536 i synowie jego pozywają bojarzyna hospodarskiego Zarankowicza w r. 1538 o spłacenie długu, zaciągniętego u ich ojca (S. 9, 30). Rodzina ta w końcu wieku XVI miała stosunki z kanclerzem Lwem Sapiehą, który w roku 1599 dał konsens na ustąpienie sioła Bula, do starostwa słonimskiego należącego, synowi k-lana podlaskiego Hrehoremu Tryznie, podkomorzemu słonimskiemu, żonatemu z Rainą Sapieżanką, córką Bohdana Sapiehy, woj. mińskiego (Z. 85, 17). W późniejszych czasach stosunki Tryznów z Sapiehami coraz się zwiększają. Trzeci syn starego Tryzny, Zacharya, miał córkę Katarzynę, którą 15 stycznia 1548 roku wydał za Pawła Jakubowicza Uniechowskiego.

Uniechowscy całkiém nieznana p. Znienieckiemu rodzina, gdyż w połowie pierwszéj wieku XVI-go w aktach Metryki nie zjawia

---

(1) W poznańskim rękopisie ruskim na karcie 333—6 ręką wieku XVII-go zapisano:

Urodzenie panów Tryznów. Stary Tryzna miał synów trzech: Wasila, Jesifa, Zacharję, a czwartą córkę Oksanę.

Z Wasila urodziło się synów czterech: Ofanas, Iwan, Wasilej, Andrzej, a dziewek dwie: Maryna i Nastazya. Z pierwszego syna *Ofanasa* urodziło się synów dwóch: Andrzej i Józef; dziewek cztery: Hanna, Nastazya, Fedora, N. *Andrzej* Tryzna miał synów trzech, a dziewek trzy. Józef bezpotomnie zszedł, a starsza córka Hanna była za Iwanem Kołłontajem, spłodziła syna Adama małego; druga córka Nastazya za Filipem Szymkowiczem, spłodziła dziewek dwie: Bogdanę i Halszkę; Bogdana była za panem *Sapiehą*, Halszka za panem Naruszewiczem; a potym matka ich była za panem Janem Zawiszą, spłodziła córkę, była za kniaziem *Kowelskim*; czwarta (?) była za Fryderykiem Horainem, córkę miała Jewę, która była za Pauszą, miała syna jednego, a córek; *Iwan* i *Wasilej* bezpotomnie zeszli.

Andrzej Koroszczyc Tryzna miał synów trzech: Hrehory, Iwan, Fedor, a córek sześć.

Córek dwie Wasilowych — *Maryna* była *za Gniewoszem*, spłodziła syna Hrehora, był podsędkiem wołodymierskim, a córek miała trzy: Fedorę, Marynę i Hannę........ (opuszczamy dalszy rodowód), a druga córka Wasilowa *Nastazya* była za Pociejem Jelcem (?), spłodziła synów dwóch: Łukasza i Wasila, a córek cztery: Marynę, Hannę, Helenę, Rainę..... (dalszych pomijamy).

Z *Józefa* Tryzmy syn Hrehory, który był kasztelanem smoleńskim, a córka jedna była za Lewiaczem (?) Żyzemskim, potym była za panem Janem Olendskim. Ten Hrehory Tryzna miał synów czterech: Jana, Hryhora, Piotra i Fedora. Fedor bezpotomnie umarł; a córek cztyry: jedna była za *Dmitrem Sapiehą*, druga była za Onikiejem Korsakiem, trzecia była za Fedorem Wahanowskim, ta bezpotomnie zmarła.

Trzeci syn starego Tryzny *Zacharja* ten po sobie zostawił synów dwóch Andrzeja i Michała. Michał bezpotomnie zmarł; córek cztyry: Bohdanę, Marynę, Katarzynę i Hannę. Andrzej Tryzna zostawił po sobie syna Aleksandra, a córkę Jewę i Bohdanę. Bohdana była z Horajnem spłodziła dzieci nie mało, pomarli, tylko został syn Jan; córka Maryna była za Iwanem Bohuszewiczem, sędzim witebskim, ta bezpotomnie zmarła; *Katarzyna* była za *Pawłem Jakowowiczem Uniechowskim*, ta po sobie zostawiła synów siedmiu, córek sześć; Hanna była za Siemienem Hłuszaninem, spłodziła syna Andrzeja, a córek trzy.

się zgoła. Musiał to być bardzo ród cichy. 28-go kwietnia 1590 roku ziemianin nowogrodzki, Hrehory Uniechowski, uzyskał przywiléj zwalniający od ciężarów ziemskich dom jego w Nowogródku (Z. 76, d. 165). 11 marca 1595 roku temuż Hrehoremu tatarka nowogrodzka carewiczowa Ostryńska zapisała wieś Kohyłczewską (ib. 629). Oto i wszystko co spotkaliśmy w Metryce o Uniechowskich z w. XVI. Ten to Hrehory był synem Katarzyny Tryznianki i w końcu wieku XVI właścicielem poznańskiego rękopisu powieści ruskich i pozostawił własnoręczną zapiskę rodową od czasu ożenienia się ojca jego (1548) aż do roku 1599, pisaną prawie jednym ciągiem. Umarł w roku 1606. Sam Hrehory nie kopiował całego rękopisu, który pisany jest ręką, napotykającą się nieraz w księgach Metryki Litewskiéj, skopiowanych za kanclerstwa Lwa Sapiehy. Nam się zdaje, że rękopis ten skopiowany został w kancelaryi Sapiehy, potém dostał się do koligatów sapieżyńskich Tryznów (np. Jana, co to pisał i po rusku i po polsku) a przez nich do Uniechowskich (1).

* * *

---

(1) Na str. 341 ruskiego rękopismu biblioteki Raczyńskich znajdujemy następną notatkę, pisaną charakterem ruskim:

Roku 1548 meseca henwara 15 dnia ożenilsie pan otiec moj, a w tot czas jemu bylo ot urożenja jeho let 33, a pani matuchnie mojej było ot porożenja let 16, była doczka pana Zacharja Tryzny, imieniem Kataryna. *Rożenje dietiej ich*. Roku 1549 mca henwara 8 dnia wo wtorok pieriedo dniem rodilsia *ja Hrehorej*. Roku 1550 henwara 30 dnia rodilsia syn *Wasilej*, a osmoho roku ot urożenja swojeho umier. Roku 1554 fewrala 13 dnia w poniedielok rodilsia *Fedor*, umier roku 1571. Roku 1556 oktebra 19 dnia rodilisie blizniata Aleksandra i Zofieja. Roku 1558 awhusta 3 dnia rodiłasia doczka Owdotja, umierła w druhom roku. Michał rodilsia roku 1560 apriela 3 dnia w poniediełok. Ożenilsie roku 89. R. 1561 awhusta 8 dnia w subotu urodilsie *Iwan*, umier roku 85 apriela 30 dnia. Roku 1564 diekabra 10 dnia urodilsie *Jarosz*, a ożenilsie był roku 1598 na miesopusty wielikie s Hannoju Szemietownoju, umier tohoż roku piered wielikodniem. Roku 1566 fewrala 14 dnia urodilsia *Bohdan*, inaczej nazwanyj *Janusz*; ożenilsie roku 1599 mca henwara 7 dnia. Roku 1567 marca 26 dnia rodiłasia Hanna, roku niedożdawszy umierła. Roku 1568 nojabrla 11 dnia urodiłasia Nastasja; była dana za muż za Jana Bykowskoho, nazywajemoho Mordasowicza; umierła. Roku 1570 henwara 5 dnia urodilsie syn Iwan i umier. Roku 71 fewrala 1 dnia urodilisie bliznìata doczka Hanna, a druhaja miertwaja, i s toho rożenja sama dołh smierti zapłatiła toho roku zwyszpisanoho 1571 mca fewrala 10 dnia. Pan otiec moj, pan Pawieł Jakowlewicz Uniechowskij zapłatił dołh smierti roku 1593 mca diekabra 26 dnia. Miał wieku swojeho ot urożenja let siemdiesiat diewiet' biez kolku niedieł, bo sie sminit leto 79 let henwara 15 dnia. W 94 pohrieb tieła henwara 23 dnia. Roku 1595 miesieca diekabra 22 dnia pod Mohilewem pan Onikiej Uniechowskij zabit od wojska Naliwajkowoho. Pohriebieno tieło w Uniechowie roku 1596 henwara 23. Rożenie moje Hrihorja Pawłowicza Uniechowskoho roku 1549 henwara 8 dnia, a ożeniłem sie roku 1571, było wesele na dień siemoje suboty (dopis u góry: w poniediełok pierwyj semoj subotie) panieju Zofieju Michajłownoju Ulatowskoju, kotoraja była za panom Karpom Tiszkowiczom.

Na tém się kończą notatki Hrehorego Uniechowskiego, oczywiście pisał je po roku 1599, poczém inną ręką dopisano także po rusku: Z woli i prezrenja pana boha wsiemohuszczoho pan otiec dobrodiej moj pan Hrehoryj Pawłowicz Uniechowskij zapłatił dołh smierti roku 1606 mca apriela 1 dnia ził na tom swietie mizernym ot urożenja swojeh let 57 i niedieł osm. Daléj następuje notatka polska z wieku XVII.

Poznawszy bliżéj dzieło p. Bonieckiego i zaznaczywszy w niém braki niektóre, wynikłe przeważnie z powodu niemożności korzystania z ksiąg oryginalnych Metryki Litewskiéj (mianowicie niezupełny spis rodów nawet w okresie do połowy w. XVI, nieścisłość w wielu razach dat chronologicznych i niektóre w nich błędy), musimy przyznać téj pracy pomnikowéj zalety niewątpliwe. P. Bon. pierwszy na skalę tak szeroką odważył się podjąć i wykonał pracę genealogiczną, opartą na materyale źródłowym. Do pracy swéj użył źródła najpewniejszego, które, jeżeli i było użytkowane, to tylko dorywczo, a dotąd nie było tak wszechstronnie wyzyskaném dla celów genealogicznych. Nie dając się uwodzić różnym opowieściom z czasów późniejszych, w dziele swém autor nasz podawał te tylko fakta, które zostały stwierdzone przez współczesny akt prawny. W układzie dziejów poszczególnych rodów p. B. trzymał się porządku linii genealogicznych, przez co uniknął pogmatwania i dał czytelnikowi możność łatwiejszą oryentowania się; przytém korzystnemi są wielce tablice genealogiczne rodów więcéj rozgałęzionych.

Takie obrobienie materyału genealogicznego powinno posłużyć za podstawę i wzór dla dalszych wydawnictw o tymże charakterze. Obecnie źródłowe opracowania dziejów rodów pojedyńczych powinny stanąć na miejscu przeróżnych bałamutnych wydawnictw heraldycznych. Dzieje poszczególnych rodów składają część integralną dziejów wewnętrznych całego narodu, muszą więc być traktowane jako przedmiot ściśle naukowy. Szczerze przyklaskujemy dziełu p. Bonieckiego, a zarazem życzymy, aby ci, którzy mają materyał zebrany w tymże zakresie (a tacy są), idąc w ślady naszego autora, pośpieszyli z wydaniem, które byłoby dalszym ciągiem „Pocztu Rodów.“ Potomkowie zaś rodów zasłużonych ojczyźnie, co pracują nad dziejami przodków swoich (a i o takich wiemy), niech zadowolnią się materyałem źródłowym i przystąpią do ogłoszenia archiwalnych aktów współczesnych, tyczących ich rodu i wydania monografii, opartych na tych aktach. *Mutatis mutandis* może służyć za wzór „Archiwum Sławuckie“ Sanguszków i „Pacowie“ Wolffa. Z czasem znajdzie się nowy Korzon, co opowie nam dzieje stosunków wewnętrznych całéj Litwy, oparte na tych źródłowych wydawnictwach.

St. Ptaszycki.

Petersburg, w grudniu 1887.



LIST SŁOWEŃCA.

Czytając w „Ateneum“ listy czeskie, pisane przez d-ra W. Gablera, uczuwa się gorącą sympatyą dla narodu czeskiego, który nie szczędzi żadnych ofiar dla zabezpieczenia swego bytu narodowego, dla swego wszechstronnego rozwoju. Czechom nie brak dobrych przywódców — nie są téż bez sojuszników. Skutkiem podróży Słoweńców do Pragi r. 1885, i potém Czechów do Lublany roku zeszłego, powstał ścisły związek pomiędzy Czechami a Słoweńcami, powitany z obu stron radośnie. Owocem tegoż sojuszu jest także nowo założone towarzystwo czesko-słoweńskie (*Spolek česko slovinský*) w Pradze. Czego będzie można takiemi środkami dokazać, tego dziś przewidziéć jeszcze nie można. Dla dostatecznego poznania rzeczy, trzeba przedewszystkiém poznajomić się dobrze z sojusznikami samemi, z ich charakterem, stanem politycznym, socyalnym a narodowym, a ponieważ dr. Gabler dał nam co do Czechów w tym względzie informacyę zupełną postanowiłem podać w liście niniejszym wiadomość o rodakach moich, Słoweńcach.

Słoweńcy—plemię słowiańskie zaciśnione najwięcéj na zachód, w liczbie około 1,374,000 głów, mieszkają aż w 6-ciu krajach, mianowicie w Styryi, Karyntyi, Krainie, Przymorzu (Küstenland), Włoszech (t. zw. Rezyane) i Węgrzech (Przekmurcy). Jaką może być skutkiem takiego rozproszenia solidarność i wzajemność między nimi łatwo się domyśléć. Zwłaszcza Rezyanie we Włoszech a Przekmurcy w Węgrzech nie mają żadnych stosunków z główną masą naszego narodu; z téj téż przyczyny już od wyżéj wskazanéj liczby Słoweńców przeszło 100 tysięcy potrącić wypada. Mamy więc przed sobą widok nie wiele obiecujący. Lecz nie dosyć tego! Słoweńcy w Styryi, połączeni z Niemcami w sejmie krajowym w Gracu, znajdują się ciągle w mniejszości; Słoweńcy w Przymorzu, wysyłający

posłów na sejm do Gorycyi, są w podobném położeniu, a Słoweńcy w Karyntyi, po śmierci swego przywódcy, Jędrzeja Einspielera, na sejmie celowieckim ani jednego nawet swego posła nie mają. W szczęśliwszém położeniu znajdują się jedynie Kraińcy, którzy mają na swym sejmie krajowym w Lublanie—mieście zwaném stolicą słoweńską—więcéj posłów słoweńskich aniżeli niemieckich; przywłaszczają też sobie prawo kierownictwa usiłowaniami i działalnością Słoweńców i w innych krajach.

Pomimo tak smutnego położenia, zdołano jednak wielu rzeczy dokazać. Szczęściem dla narodu słoweńskiego było, że miał za pierwszego przywódcę swego męża pod każdym względem jakby na ten cel przeznaczonego. „Ojciec Słoweńców“—dr. Jan Bleiweis, zmarły w 1881 r., którego lud jeszcze teraz zapomniéć nie może, był rzeczywiście ojcem całéj rodziny słoweńskiéj: trzeźwy, dobrego serca, bez namiętności a niewłaściwéj dumy, zdobył sobie wszystkich serca, wszystkich zaufanie. W pierwszém słow. czasopiśmie „Novice“, które założył r. 1843, zjednoczył z samego początku wszystkie wówczas żyjące siły literackie, nie robiąc różnicy między Styryjczykiem a Kraińcem, między Przymorzaninem lub Karyntyjcem; wszyscy byli dlań jednako drogimi, wszyscy synami matki Sławii, czyli jak się wówczas wyrażano, matki „Słowenii“. Teraz jednak po śmierci jego, można czuć już wielką zmianę w życiu naszém socyalno-polityczném, a zmianę nie na korzyść narodu, lecz na pożytek jego wrogów. Zamiast jednego „ojca“ dostaliśmy wielu ojczymów, i to takich, którzy nie wiedzą sami czego chcą, nie zdolni podtrzymać dobrze karności narodowéj, lecz umieją natomiast wytwarzać różnice pomiędzy mieszkańcami tego lub owego kraju. Dla teraźniejszych przywódców narodu słoweńskiego tylko jeszcze Kraińczyk coś wart, wszyscy zaś mieszkańcy kresowi są dla nich niby jeno ciężarem, zawadą.

Chcecie dowodów? Dosyć ich daje nam np. już „Matyca Słoweńska“ w Lublanie. Założona 1867 r. głównie za podnietą patryotów styryjskich, których zgłosiło się zaraz jako założycieli z wkładką po 50 zł. wielka liczba, miała Matyca wiele już razy obowiązek okazać swą życzliwość względem Styryjczyków. Poczęła rzeczywiście wydawać publikacyą „Słoweńska Styrya“ (*Slovenski Štajar*), czyli opis kraju i ludu oraz jego gospodarstwa. Lecz z zamierzonych c z t e r e c h tomików wyszły dopiero d w a, mianowicie pierwszy i trzeci, tak iż dzieło to nie ma teraz prawie żadnego użytku. Styryjczycy zwracali wiele razy uwagę wydziału Matycy na niezupełność tego dzieła, lecz daremnie; Matyca wydała późniéj dopiero książkę p. tyt. „Notatki o duchowém życiu Słoweńców styryjskich“

przez d-ra Pajeka, lecz nie chciała wydać „Dziejów literatury Słoweńców styryjskich“, napisanych przez prof. Macuna, które musiał autor wydać wreszcie własnym nakładem. Podobnie jak z Matycą ma się rzecz i z całą działalnością literacką. Pisarze kraińscy, mający pretensyą do jakiegoś pierwszeństwa, zadają sobie coraz więcéj pracy nad „wykształceniem języka słoweńskiego“, czyli raczéj nad wprowadzaniem coraz nowych form i wyrazów, które potém nazywają „umiejętnymi“; a kiedy patryoci kresowi starają się o większe uwzględnienie mowy ludowéj w szkołach i urzędach, kiedy piszą o ile tylko można tak, jak to lud sam mówi, to nazywają ich za to krytycy lublańscy „šušmaremi“, psucicielami „języka słoweńskiego“, to jest tego, według ich metody przerobionego języka, którego urzędy nasze nie chcą uznać za słoweński, albowiem wszystko w nim rzeczywiście jest zmienione i różni się od prawdziwego języka ludowego słoweńskiego. Zarzuty owych filologów ściągają się nie tylko do słoweńskich autorów w Styryi—chociaż to najczęściéj się dzieje,—lecz i do pisarzy z Karyntyi i Przymorza; a z tego już można rozeznać, jaki może być potém rozkwit naszéj literatury! Dawniéj miało tylko każde dziesięciolecie swego gramatyka, obecnie zjawia się niemal każdego roku jeden nowy, tak, że pisownia języka naszego u tych „uczonych“ to prawdziwy chaos, w którym zwycięża ten, kto umié najgłośniéj krzyczéć i rzucać błotem na tych, którzy nie mają ochoty iść w jego ślady. Prawdziwy język ludowy bywa uwzględniany tylko w wydawnictwach stowarzyszenia św. Hermagora i tylko w tém leży przyczyna, że w roku bieżącym stowarzyszenie to liczy przeszło 40,000 członków.

Gdyby mi teraz zadano pytanie: jacy są obecnie przywódcy narodu słoweńskiego? — mógłbym powiedziéć, że nie mamy dzisiaj żadnego. Stanowisko owo chcą zaiste otrzymać p. Hribar, d-r Tawczar, d-r Wošnjak i inni, lecz formalnym przywódcą po śmierci d-ra Bleiweisa był mianowany Lukasz Svetec, notaryusz w Lityi, blisko Lublany. Ale wszystko to tylko *pro forma*, albowiem ani on, ani żaden inny nie jest w stanie wywierać na lud takiego wpływu, jaki miał niegdyś d r Bleiweis, a jaki wywierać każdy istotny przywódca udu powinien. Naród słoweński jest więc teraz niby trzoda owiec bez pasterza, wskutek czego mamy do zapisania tyle niepowodzeń w polityce słoweńskiéj, że trzeba zaprawdę dziwić się, że jeszcze nie utraciliśmy tego, co poprzednio zostało zyskane. Ale prawda, utraciliśmy już progimnazyum w Kraniu (miasto to leży w Krainie), co wywołało przeciw ministrowi oświecenia p. Gautschowi wiele hałasu, chociaż bez najmniejszéj dlań szkody; wié on

o tém zbyt dobrze, a groźne okrzyki krytyków lublańskich nie nabawią go bezsenności. Tracimy daléj coraz więcéj ziemi na kresach, albowiem przy takim położeniu rzeczy, kiedy nie ma żadnéj pomocy, ba, żadnego patryotycznego natchnienia z Lublany, patryoci kresowi nie mogą, ba nawet nie wiedzą dla czego wystawiać na plac boju swoje osoby, swoję majętność, swe usiłowania i t. d., kiedy muszą nieraz w czasopismach słoweńskich czytać, że są — z powodu posługiwania się w piśmie językiem ludowym — wcale niepotrzebnymi na świecie!

Jest w tém coś chorobliwego i dziwić się trzeba, jak mogło wogóle przyjść do tego. Powié kto może, iż się mylę. Chciałbym rzeczywiście, żeby tak było, lecz *facta loquuntur*. Owóż ja, piszący teraz te słowa, byłem i jestem przekonany o lepszéj przyszłości narodu słoweńskiego i jego praw narodowych. Pełen ideałów, nie znałem większéj ofiary po nad ofiarę za swoję ojczyznę i swój lud. Wpajałem często te ideały i innym, a rzeczywistość dzisiejsza zadaje tym ideałom kłamstwo. Zamiast ideałów można teraz tu spostrzedz tylko samochwalstwo i zarozumiałość, do tego stopnia posuniętą, że nikogo sobie równego nie może znosić obok siebie; zamiast ofiarności dostrzega się tylko uganianie za chlebem; zamiast miłości braterskiéj, tylko kilka frazesów o solidarności lub wzajemności. O zgodzie nawet mowy nie ma. Przykre to zapewne słowa, lecz niestety! prawdziwe.

Naród słoweński można podzielić na trzy kategorye, mianowicie: na inteligencyą, stan średni i wieśniaków. Arystokracyi ani szlachty u Słoweńców nie ma. Pomiędzy inteligencyą, tworzącą się z profesorów, urzędników, nauczycieli i kapłanów, nie ma prawie żadnego sojuszu, profesorowie nie mają zwyczajnie dobrego oka dla niższych nauczycieli, jedni i drudzy niechętni są znowu duchowieństwu. Profesorowie z wysoka patrzą na warstwy ludowe. Najwięcéj okazują gniewu czy zazdrości, jeśli przypadkiem z tych warstw chce być czynnym w literaturze ktoś, kto nie może popisać się tytułem „doktora“ lub „profesora“. Wnet cały szereg krytyków wystąpi przeciw niemu, potępiając wartość jego dziełka, zarzucając mu nieznajomość rzeczy, a nawet języka, nazywając go „niepowołanym“ i t. d. Podobne zarzuty spotykają i dziełka autorów stanu kapłańskiego i rzadkie tylko są przypadki, ażeby profesorowie i księża w jednym czasopiśmie wspólnie pracowali. Dla tego mają też pierwsi swój organ w dzienniku „Slov. Narod“, księża zaś dziennik „Slovenec“ (oba w Lublanie); organami znowu nauczycieli są „Popotnik“ w Maryborze i „Učiteljski Tovariš w Lublanie. Jak przecie nieusprawiedliwione jest rozdrobnienie sił, któż może o tém

wątpić, skoro z tego tylko wrogom dobra pociecha. Tylko w razie wyborów można dopatrzéć u tych profesorów lub doktorów jakieś zbliżenie się do ludu, mianowicie kiedy idzie o zdobycie jakiego mandatu na posła krajowego lub do rady państwa wiedeńskiéj. Wówczas są zawsze najlepszymi patryotami. Lecz lud, nie dowierza im i wybiera chętniéj jakiego księdza lub prostego wieśniaka. Dla tego mamy wśród posłów wielu duchownych. Nie dawne to bowiem czasy, jak nasi profesorowie i doktorowie poczęli ogłaszać się za narodowców lub patryotów słoweńskich.

O stanie średnim, mieszczańskim, można powiedziéć, iż jest on narodowości słowiańskiéj najbardziéj obcym. Nie tylko w miastach kresowych: Maryborze, Celowcu, Celju, Gorycyi, Tryeście itd. mówią mieszczanie obcym językiem, na północy niemieckim, na południu zaś włoskim, lecz dzieje się to też po wszystkich innych miastach i miateczkach, ba nawet w wioskach, a w Lublanie tyle tylko, jak gdyby u Słoweńców o patryotyzmie i zamiłowaniu języka ojczystego nawet jeszcze żadnéj wzmianki dotąd nie było. Zwykle narodowcy z wyższéj warstwy dają ku temu pierwszy przykład. Czémże, proszę, wytłómaczyć, że nawet poseł słoweński, który pracuje na pozór dla sprawy narodowéj, nie dba o to, aby dzieci jego nauczyły się języka ojczystego; jego synowie i córki, nie znając mowy, za którą ojciec ich walczy, wstydzą się potém czynów swego ojca! A takich przykładów mamy bardzo wiele, mówiących jakby umyślnie a jasno, że owi ojcowie nie wierzą w to, za co postanowili walczyć; inaczéj bowiem więcéj okazywaliby troskliwości, ażeby się téż ich dzieci wykształciły dostatecznie w mowie ojczystéj, która dobija się o równouprawnienie z niemczyzną. Ale od teoryi do praktyki bywa daleko, a sprawowanie się tych „powołanych“ dopomaga bardzo temu, iż z czasem będzie jeszcze daléj.

Istotny więc naród słoweński tworzy tylko warstwa najniższa, mianowicie wieśniacy. Oni tylko trzymają się stanowczo języka a obyczajów swych ojców, na nich tylko spoczywa, ciężar zachowania swéj narodowości. Dla wrodzonych sobie zdolności mogliby oni wiele zdziałać, gdyby im nie brakowało dobrych, a bezinteresownych przywódców, przywódców takich, którzyby świecili im przykładem swoim. Rzeczywiście, że naród nasz i kraj nie jest arcy bogatym, lecz nie jest znowu tak nędznym, ażeby ofiarna ręka naszego wieśniaka dla sprawy narodowéj żadnego grosza przynieść nie mogła. Ofiarność ludowa i dla zapomogi literatury objawia się szczególnie w wielkiéj liczbie członków wzmiankowanego już stowarzyszenia św. Mohora, w trzymaniu więcéj gazet dla gospodarzy wiejskich, i wreszcie przy składaniu funduszów na cele szkolnicze

świeżo założonego towarzystwa szkolnego „św. Cyryla a Metodego“, na który cel złożono dotąd już przeszło 12,000 złr. Tylko w jednéj rzeczy byłoby ludowi naszemu coś do zarzucenia, mianowicie, że w swych przedsięwzięciach zwyczajnie nie jest wytrwały, że zapał jego do jakiegoś celu wprędce się wyczerpuje, zwłaszcza kiedy widzi, iż usiłowanie jego nie przynosi wnet pożądanego owocu. Zresztą pilny jak mrówka, pracowity i ochędożny, może sobie zaiste zdobyć serca wszystkich, którzy go jeno trochę poznają, chociaż nie jest wolnym od wybryków namiętności, skłonny do bijatyk i pijaństwa, do tańca i życia nieoględnego, które się dzisiaj nie pyta, co będzie nazajutrz jeść itd. Gdyby tych wad nie było, mógłby być naród nasz daleko zamożniejszym a ludowi zamożnemu mniéj się potrzeba obawiać wynarodowienia. Co tu o ludzie naszym powiedziałem, stosuje się niezaprzeczenie do wszystkich warstw wieśniaczych wogóle, czy to w Styryi lub Krainie, czy w Karyntyi, lub Przymorzu, chociaż nie można zaprzeczać, że i pomiędzy wieśniakami w Krainie panuje mniemanie, iż są czémś lepszém aniżeli ich pobratymcy w krajach sąsiednich. „Kraińczyk jest Bogiem, Karyntyjczyk świętym, Styryjczyk zaś buhajem“, można słyszéć często mówiącego z wielką dumą jakiegoś Kraińczyka; a Styryjczykom, pod wielu względami więcéj wykształconym, serce pęka z żalu, że i oni są członkami takiego brutalnego społeczeństwa. Lecz ponieważ znamy już przesądy tak zwanéj dumnéj „inteligencyi“ kraińskiéj, wiemy więc skąd „przysłowie“ owo pochodzi; wiemy dobrze jaka jest myśl jego przewodnia i dokąd wogóle taki stan rzeczy przywieść może, to i na to milczymy. Nie można się tedy wcale dziwić, że Gajowa idea iliryjska znalazła w swym czasie między Styryjczykami wielu zwolenników, i że się już Kraińcy sami poczęli obawiać, co to będzie, jeżeli się oderwie przeszło 400.000 Słoweńców styryjskich od wspólnego plemienia słoweńskiego?

Jaki wpływ będzie mógł wtedy wywierać na ten lud już wzmiankowany sojusz czesko-słoweński? Powiadamy zgóry, że istotnie wielki, zwłaszcza jeżeli bracia Czesi, poznawszy rany społecznego życia naszego, zrobią wszystko możliwe dla ich wyleczenia. Nasamprzód byłoby tedy potrzeba, ażeby wyszukać Słoweńcom mianowicie zaś ludowi, dobrych przywódców, którzy by umieli zjednać sobie zaufanie ludu a dbali o dobro ogólne, nie zaś tylko swe własne. Potrzeba daléj połączyć ile można warstwy społeczne, ponieważ rozdrobnienie w narodzie tak małym, nie może niegdy przynieść żadnych korzyści. Jestto sprawa istotnie bardzo ciężka, lecz niezbędna, dla dobra całego narodu, który bez tego jeżeli nie dziś, to być może już jutro zatonie w niemieckiém lub włoskiém morzu.

Przy dzisiejszym stanie rzeczy nie obronimy się nigdy. Naród tak maluczki obok tylu nieprzyjaciół, nie mający zresztą ideałów, nie znający surowéj karności a pozbawiony już miłości braterskiéj, jest zupełnie podobnym do niwy, obok któréj płyną wielkie rzeki, unoszące ziemię jéj z sobą. Jeżeli zaś jeszcze ci, którzy siedzą po środku owéj niwy, nie dbają o to, co się dzieje przy granicach, jeżeli drwią z tych, którzy stawiają nawałom przeszkody, wówczas nie można rzeczywiście wróżyć niczego dobrego! Nie Czechom pomoc Słoweńców, lecz Słoweńcom pomoc Czechów jest potrzebną a to w tych miejscach, gdzie najwięcéj grozi niebezpieczeństwo, gdzie nie ma tych, coby podniecali do roboty, gdzie nie ma żadnego usposobienia ku obronie swego bytu. Spodziewam się, iż będą bracia Czesi zdolnymi to zrobić, chociażby wymagało to i ofiarności z ich strony. Nie ma lepszego pasterza od tego, który da i życie swe za swoje owieczki! Zaufanie i wdzięczność ludu słoweńskiego ku Czechom zaiste nie minie nigdy! Ukazując tu, jakby w źwierciedle, najgłębsze rany naszego społeczeństwa, zrobiłem to tylko dlatego, ażeby zwrócić ich uwagę na ten najboleśniejszy a najbardziéj wymagający poprawy niedostatek, na który będzie zaiste można znaleść jeszcze lekarstwo, jeżeli staną u steru ręce, głowy i serca odpowiednie. Spodziewając się téj uroczystéj chwili kończę słowami poety ukraińskiego.

„Błahosłowy Bože na deń woskresenia
Mij tychyj, mij szczyryj weś lud,
Naj win procwitaje, naj win pokryplaje
I serce i duszu i hrud'“.

Prawdomluw.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Krytyczny rozbiór Dziejów polskich Jana Długosza (do roku 1384), opracował d-r Alexander Semkowicz. (Praca uwieńczona nagrodą konkursową Towarzystwa literacko-historycznego w Paryżu, dnia 3 Maja 1882 r.). Kraków. Nakładem Akademii umiejętności, 1887, wielka 8-ka, str. XV, 407.

Nie ma w naszéj średniowiecznéj historyografii postaci równie potężnéj ogromem dokonanych prac, jak kanonik krakowski, nauczyciel Jagiellonów—Jan Długosz. Dość wskazać na trzy największe jego dzieła: *Lites et res gestae*, *Liber beneficiorum*, a wreszcie tę „Historyą“ jego, nad którą 25 lat życia przepędził, aby mieć wyobrażenie o téj niezmordowanéj czynności człowieka, który żywot cały spędził nad badaniem dziejów swego narodu i z piórem w ręku skonał, jak żołnierz na stanowisku. Ćwierć wieku, to spory kawał czasu; i dzisiejszy historyk nie spotrzebowałby go więcéj na napisanie podobnego dzieła; ileż to trudu i mozołu, ileż własnego ja włożył on w tę pracę swoję, z jakiém gruntowném przygotowaniem zabrał on się do niéj. Ale historya Długosza nie doczekała się dotychczas należytego ocenienia, zapatrywania na jéj wartość rozmaite. Kompilatorowie XVI i XVII w., którzy wyzyskiwali Długosza, łupili go niemiłosiernie, nie przyznając się jednak do tego, obrzucili go całym szeregiem zarzutów, jak gdyby w niepamięć chcieli puścić dzieło jego, i nie przypisywali mu ani zasług żadnych, ani żadnego znaczniejszego miejsca w naszéj historyografii. Dopiéro Braun korzystniéj ocenił Długosza i przywrócił mu dawno odmawiane stanowisko. Sąd ten począł przybierać coraz przychylniejsze dla kanonika krakowskiego formy, tak, że w pierwszéj połowie naszego wieku Długosz, któremu dano zaszczytny tytuł ojca naszego dziejopisarstwa, był dla historyków naszych niemal alfą

i omegą całéj wiedzy o czasach Piastowskich, był źródłem, w które wierzono jak w ewangelią, pisząc o wewnętrznych stosunkach pierwotnéj Polski. Dopiéro z postępem metody historycznéj, pod wpływem szczególniéj badaczów niemieckich (Roepell), poczyna się u nas nowy zwrot w zapatrywaniu na dzieje Długosza (Helcel), poczyna się krytyczna ocena jego opowieści, oddzielenie fałszów od prawdy, rzeczywistych faktów, popartych pierwszorzędnemi źródłami, od zmyślań i tworów wyobraźni. Ale całości dziejów Długosza nie poddał dotychczas nikt krytycznemu rozbiorowi. Prace Herdy (rozbiór 10 księgi), Girgensohna (7 ks.) i dawniejsza dr. Semkowicza (9 ks.) zbyt małą obejmują cząstkę, ażeby wydać sąd o całości; rozprawy zaś oceniające całość jego historyi są niewyczerpujące i jako takie nie mogą być ostatnim wyrazem sądu o Długoszu. Carona: *Johannes Longinus*, jakkolwiek świetnie napisany, jest szkicem o śmiało zakreślonych konturach, praca Zeissberga, najgruntowniejsza wprawdzie z dotychczasowych, ale przedmiotu nie wyczerpuje; Szujskiego („Stanowisko Długosza w historyogr. europ.“) jest raczéj efektownéin essey, niż rezultatem żmudnego rozbioru. — Więc téż od dawna brak był i potrzeba takiego dzieła, któreby rozebrało cały potężny gmach Długoszowéj historyi na składające go cegiełki, i tym drobiazgowym rozbiorem szczegółów, ustęp za ustępem wykazało, co sądzić mamy o dziejach Długosza. Dziełem takiém jest praca d-ra Semkowicza, któréj tytuł podany wyżéj. Nie daje ona wprawdzie całkowitego rozbioru „dziejów“, bo tylko pierwszych 10 ksiąg, ale obejmując tę część kroniki jego, w któréj on jest historykiem-badaczem, rzuca najlepsże światło na jego metodę i zdolności dziejopisarskie. W tych pierwszych 10 księgach bowiem Długosz nie opowiada wypadków swoich czasów, w których żył i na które patrzał, ale na podstawie nagromadzonych źródeł odtwarza minione wieki Piastowskie. I tę właśnie część historyi, aż do r. 1384, na którym opuszcza Długosza ostatni z kronikarzy średniowiecznych, Janko z Czarnkowa, krytycznie rozebrać, wziął sobie autor za zadanie. Nie chodziło autorowi o wyrzeźbienie całkowitéj postaci Długosza-historyka, tylko o zbadanie dzieła jego w téj jego niesamodzielnéj części, a z zadania tego wywiązał się d-r S. z nadzwyczajną ścisłością i sumiennością, z olbrzymim nakładem pracy, która zdumiewa,—ale téż krytyka godna wielkiego dzieła średniowiecznego dziejopisa. Długosz nie spodziewał się, że znajdzie się krytyk w XIX w., który z anatomiczną dokładnością rozbierze dzieje jego na atomy, który każdy fakt przez niego podany, każdy wydany sąd jak najdokładniéj zważy i gruntownéj podda analizie. Dr. S. podpatrzył Długosza w jego pracowni, podpatrzył go w chwili tworzenia, jego

metodę korzystania ze źródeł i pisania dziejów, i oto na przeszło 7,000 aż do najdrobniejszych szczegółów rozebranych ustępach oparty, odsłania nam całą fakturę Długoszowego dzieła, jego amplifikacye i przekręcania, zmyślenia i anachronizmy, błędy faktyczne i stronniczość sądów. Jeżeli pójdziemy za autorem, to Długosz przedstawi nam się w owéj pierwszéj części dziejów w ten sposób.

Średniowieczny nasz historyk nie zabrał się do pracy swéj bez należytego przygotowania, przeciwnie poczynił on gruntowne studya źródłowe i zebrał bardzo obszerny materyał nim przystąpił do napisania swoich dziejów. Miał on niezawodnie cały szereg roczników pod ręką, choć niewątpliwie wykazać się da użytkowanie tylko rocznika kapitulnego i Traski, które w całości wciągnął do swojéj kroniki i rocznika wielkopolskiego, który mu posłużył do uzupełnienia wiadomości zaczerpniętych z kroniki wielkopolskiéj. Wiadomości podane przez Długosza, a znajdujące się w szesnastu innych rocznikach, mógł on wziąć za pośrednictwem innych źródeł, choć nie wykluczona możliwość, a nawet większe prawdopodobieństwo, że wziął je z oryginałów. Z kronik znał i Galla i Wincentego, Kronikę Mierzwy, wielkopolską, Janka z Czarnkowa, Kronikę szląską i Kronikę książąt polskich, a korzysta z nich stosownie do swoich pojęć, sympatyi i zapatrywań politycznych i religijnych. Galla zużytkował w całości, ale przerabia go stylistycznie, rozwleka opisy, naszkicowane w źródle jego kilkoma zaledwie rysami, stara się szeroko, pragmatycznie przedstawić wydarzenia, dorywczo podane przez Galla. Tam jednak, gdzie przedstawienie tegoż nie zgadza się z osobistemi zapatrywaniami klerykalnego Długosza, przenosi nadeń Wincentego, który jako biskup musiał znaleść większą wiarę u niego. Z Janka korzysta on w latach 1370—1384, ale i tu, gdy chodzi o fakta obojętne dla niego, podaje je wiernie za Jankiem, gdzie jednak w grę wchodzą sprawy i kwestye, o których Długosz już z góry inne miał przekonanie, nie waha się on zmieniać, przekręcać, a nawet wprost fałszować swoje źródło, np. gdy wbrew twierdzeniu Janka i brzmieniu dokumentu koszyckiego twierdzi, że duchowieństwo zostało uwolnione od podatków. Używał Długosz nadto żywoty świętych: Wojciecha, Jadwigi, Stanisława, Kingi i Jacka, używał katalogów biskupów polskich, z których niektóre są nieznane dotychczas, zużytkował nadto cały szereg dziś znanych dokumentów (88 sztuk) z lat 1065—1382, prócz innych nam nieznanych. — Ale prócz polskich źródeł miał Długosz i ruskie, jak Nestora, z którego chronologią bizantyńską nie umié sobie po największéj części dać rady, jak latopisca jakiegoś litewsko-ruskiego, który odmienny był od znanych Daniłowicza i Nar-

buta, ale z tego samego, co one, powstał źródła. Miał ze źródeł krzyżackich: Kroniki Dusburga, Wiganda, oliwską,—z czeskich: Kosmasa, Pułkawy i drobniejsze,—z węgierskich: głównie chronica Hungarorum. Nadto korzystał Długosz ze znanéj kroniki Marcina Polaka i z 16 innych pomniejszych źródeł. Mimo to jednak nie wszystkie przez Długosza podane wiadomości dadzą się skonstatować w znanych nam dziś źródłach; są i takie, które nigdzie indziéj, tylko u niego znajdujemy, a można je podzielić na następujące grupy:

a) z nieznanych kronik i roczników. .	z lat	987—1382 . . .	224
b) „ dokumentów	„	1010—1382 . . .	80
c) wiadom. na ustném podaniu polegaj.	„	965—1376 . . .	25
d) „ „ autopsyi poleg. . . .	„	— . . .	29
e) „ z nieznanych ruskich źródeł	„	1122—1288 . . .	31
f) „ „ czeskich „ .	„	1055—1378 . . .	18
g) „ „ węgierskich „ .	„	1345—1383 . . .	12

Razem znajdujemy zatém u Długosza 419 szczegółów, które z nieznanych nam pochodzą źródeł. — Jakżeż on korzystał ze swych źródeł? Otóż zasady, jakiemi się przy tém kierował, dadzą się ująć w następujące punkta: 1) Zwykle opowiada on na podstawie pierwotnych źródeł, pochodnym daje jednak pierwszeństwo, gdy te przekonaniom jego bardziéj odpowiadają. 2) Sprzeczne podania kilku źródeł zestawia obok siebie. 3) Fakt podany w źródle, wydający mu się mylnym, choć nie ma na to dowodów, zbija rozumowaniem nie faktami. 4) Pragmatyzując wytwarza częstokroć domysły zupełnie nieuzasadnione. 5) Wytwarza czasem z fantazyi fakt, który zdaniem jego zajść musiał, a nieraz z jednego rysu wysnuwa szeroką opowieść. 6) Często bez żadnych uwag zmienia źródło, mianowicie, gdy niekorzystne dla Polski znachodzi szczegóły. 7) Zwykle nie wymienia źródła, gdy jednak wykombinuje jakiś fakt, powołuje się ogólnikowo na źródło. 8) Często zamilcza szczegóły w źródłach podane, sprzeczne z jego zasadami religijnemi i politycznemi. 9) Ustne podania uważa za źródło dziejowe. 10) Często miesza Długosz chronologicznie fakta, w źródłach bez dat podane, często pod jednym rokiem podaje fakta z lat kilku, często wreszcie pod różnymi latami powtarza jedno i to samo; takich powtarzań wykazał d-r S. 41. 11) Goniąc za pięknością formy, za wspaniałém obrazowaniem, stwarza Długosz na wzór Liwiusza barwne obrazy bitew i oblężeń, choć ich nie znalazł w zródle, opisy te jednak, wytworzone przez niego samego, cechuje jednostajność, szablonowatość. 12) Charakterystyki osób, wysnute z ich czynów, odznaczają się u niego przeważnie niesprawiedliwością, brakiem miary w ocenie, brakiem bezstronnego spokoju, chociaż niektóre są wcale do-

bre, a Kazimierza W. charakterystyka jest świetną. Jeżeli metoda taka odbiega w wielu względach od naszéj, to nie wina Długosza; lepszéj nie miano wówczas. Ani mu zarzutu robić nie można i z tego, że wkłada mowy w usta osobom działającym, że daje wiarę baśniom o początkach narodu polskiego, że tworzy dziwolągi etymologiczne: wszystko to właściwości wieku, w którym żył, właściwości, których się nie ustrzegli najznakomitsi z ówczesnych historyków.

Ale ciekawszém jeszcze jest, jak Długosz wydaje sądy o faktach i osobach, jak on żywcem przenosi swoje sympatye i antypatye narodowościowe, swoje zapatrywania religijne, społeczne i polityczne w dawne, minione wieki, przyczém sądy jego częstokroć w sprzeczności stają z etyką chrześciańską i ogólno-ludzką. Czyny niemoralne książąt, którym sprzyja, usprawiedliwia, dla tych, których nienawidzi, nie ma dosyć słów potępienia. Usprawiedliwia Krzywoustego za śmierć brata Zbigniewa, ale nie ma litości ani przebaczenia dla Bolesława Śmiałego. Fanatyzm religijny wyradza u Długosza nadto i nienawiść narodowościową: nienawidzi Czechów, którzy za jego czasów wszczęli wojny husyckie, nienawidzi Rusinów, nie należących do katolickiego kościoła; ztąd sądy jego niejednokrotnie wypaczone. Nienawidzi Krzyżaków ze względów politycznych, Szlązaków, że zniemczeli. W zapatrywaniach politycznych i religijnych jest Długosz monarchistą-klerykałem, ze szkoły Zbigniewa Oleśnickiego, klerykałem, któryby chętnie podporządkował władzę świecką władzy duchownéj, i temi zapatrywaniami swemi silnie zabarwia Długosz ustępy i sądy w swéj historyi. Z drugiéj strony przeważa to wszystko jego idealna miłość Polski, dla któréj chciałby wszystkiego najlepszego przysporzyć, dla któréj nie waha się zmieniać źródło, jeżeli niekorzystnie świadczy o jego narodzie, lub opuszcza nieprzyjemny dlań szczegół. Jakkolwiek wobec dzisiejszéj nauki postępowanie takie nawet miłością ojczyzny nie da się usprawiedliwić, Długoszowi takich fałszerstw z szlachetną podjętych tendencyą zbytnio za złe brać nie można.

Wszystkie te braki nie ujmują jednak wysokiéj wartości dziejom Długosza, ścisła krytyka historyczna bowiem, to dopiero owoc 19 w. wszak dziś dopiero otrzymaliśmy krytykę Długosza. A krytyka ta, mozolném porównaniem tekstów przeprowadzona, ścisła i drobiazgowa, rozbierająca rok za rokiem, ustęp za ustępem, zdanie za zdaniem dzieło Długosza jest wielkim krokiem naprzód w poznaniu tego dzieła a zarazem w badaniu czasów Piastowych. Dr. S. bowiem przeprowadza rozbiór nie tylko na podstawie źródeł, ale na każdém miejscu, szczególniéj zaś przy spornych kwestyach, których tak wiele w owych czasach, zużytkowuje całą odnośną litera-

turę i analizuje rezultaty innych badaczy, tak, że niektóre ustępy w rozbiorze stanowią wcale pokaźne rozprawki, jak np. Zbrodnia Gąsawska 1227 (str. 220—4), zawikłania w Polsce po śmierci Leszka Białego 1228 (224—8), objęcie rządów przez Wacława 1300 (321—4), rok 1382 (393—8), a szczególnie napad Tatarów 1241, obejmujący 21 stron (239—259). A jeżeli w szczegółach dozna praca dr. S. z czasem, w miarę odkrycia nowych źródeł, niewątpliwie pewnych zmian, zawsze będzie ona koniecznym przewodnikiem, bez którego żaden badacz dziejów Piastowych nie będzie się mógł obejść.

Jedno tylko nie zaspakaja nas dostatecznie w pracy dr. S.: jakież właściwie stanowisko przyznać Długoszowi w historyografii naszéj. Co dla dziejów samych jego dzieło przynosi, tego dowiódł autor najzupełniéj skrupulatnym swym rozbiorem, ale, czy i o ile metoda Długosza odbiega od powszechnie wówczas obowiązujących prawideł metody i krytyki historycznéj, czy znamionuje ona postęp, lub nie, na to dostatecznéj odpowiedzi nie znajdujemy, choć dr. S. często zaznacza, że to lub owo było wspólną właściwością ówczesnych pisarzy. Chielibyśmy w osobnym rozdziale mieć dokładnie i wyczerpująco wyłuszczone wszystkie zasady, jakiemi kierowali się dziejopisowie, całą ówczesną teoryą historyi, i przeprowadzić paralelę między nią, a dziełem Długosza, jak to z Kromerem zrobił u nas pierwszy Finkel; tylko tym sposobem można ocenić historyograficzne stanowisko Długosza, czy i o ile jest on wytyczną postępu. We wstępie mówi dr. S. że „o nikim z taką stanowczością nie można wyrzec, że jest dzieckiem swego wieku, jak o Długoszu“ (str. 5), a jednak niżéj mówiąc o w. 15, jako „początku bystrzejszéj krytyki“, rodzącéj się na zachodzie, powiada, że „w Polsce Kadłubek—to alfa i omega całéj wiedzy historycznéj“ (str. 5), że „mogło więc społeczeństwo polskie 15 w. z mniejszą aniżeli Cicero przesadą powtórzyć słowa jego: „*abest historia literis nostris*“ (str. 7), a daléj „że nie możemy wskazać innego historyka 15 w. któryby mógł na równi z nim (Długoszem) stanąć pod względem ilości nagromadzonych źródeł i metody w użytkowaniu tychże“ (str. 11), że „olbrzymie dzieło Długosza“ jest „perłą w literaturze naszéj historycznéj.“ Ale w takim razie nie wiemy, czy „mylą się ci, którzy twierdzą, że on (Długosz) wyprzedził swój wiek“, czy nie. A wreszcie, Długosz pisał dzieje swoje sposobem analitycznym; czy przed nim, albo za czasów jego nie było innych wymagań co do budowy dzieła historycznego, grupujących materyał więcéj co do treści? Wiadomo, że u nas pierwszy krok do postępu na tém polu zrobił Miechowita, o którym to autor z taką niemal pogardą się wyraża w przedmowie; że on starał się pierwszy mate-

ryał podzielić według treści na grupy, ująć go w odpowiedniejsze formy. Jeżeli jednak Miechowita aż do r. 1480 prawie wyłącznie skraca Długosza, to nie można zarzutu bez wartości, czy małéj wartości rozciągać na całe dzieło, boć przecież do podługoszowych czasów 1480 — 1506 Miechowita jest źródłem pierwszorzędném.

F. Bostel.

Złota przędza poetów i prozaików polskich, pod redakcyą D-ra Piotra Chmielowskiego, ze współudziałem Stanisława Krzemińskiego i Ernesta Sulimczyka Świeżawskiego (tom IV, Warszawa 1887).

Literaturę naszą można nazwać metaforycznie „przędzą“ ducha polskiego, uzewnętrznioną w utworach piśmiennych. Na jéj odwieczną, mniéj lub więcéj ciągłą a zawsze niedokończoną i w mgłach przyszłości ginącą tkaninę składa się wiele rozmaitych włókien: oprócz „złotych“ są tam srebrne, szychowe, jedwabne, bawełniane i parciane nici. Całość jednak, o ile ją ogarnąć okiem i w jedności pojąć można, jest dla naszego uczucia patryotycznego „złotą,“ bo drogocenną, niemało potu, łez i krwi kosztującą „przędzą.“ Aby jéj zawartość dokładnie poznać, aby zbadać literaturę— już nie w jéj najobszerniejszym, ale w zwykłym, węższym, konwencyonalnym zakresie, należy wszystko przeczytać, przetrawić, wszechstronnie a porównawczo ocenić. Trudno tego dokazać; ale do takiego celu dążyć—i można i trzeba. Żadna też ze znanych, opracowujących dzieje piśmiennictwa naszego książek nie odpowiada w zupełności swojemu zadaniu; chociaż ich autorowie odznaczają się nieraz to wielką erudycyą, to głębokością poglądów i zmysłem historyozoficznym. Dobra historya literatury polskiéj spoczywa dotąd jeszcze w sferze nieziszczonych ideałów. Wywoła ją stamtąd i na światło dzienne wystawi ten, kto poznawszy gruntownie całą sumę faktów, objaśnić je i w jeden łańcuch dziejowy, bez sztucznych ogniw, powiązać zdoła. Drogę do tego celu wytykają monografie, które się należycie mnożyć mogą tylko przy jaknajwiększém rozpowszechnieniu pomników skarbu literackiego.

Gdyby każdy z badaczów miał pod ręką bogaty księgozbiór, antologie w rodzaju „Złotéj przędzy“ należałyby do zbytków salonowych. Jak najpiękniejsza równianka nie zastąpi ogrodu kwiatowego, tak najzręczniej usnute wypisy—biblioteki. Wyjątek z utworu, choćby najokazalszy, jest jedynie wyciętą kartką, oderwanym od swéj całości strzępkiem. Zbiór wszakże tych strzępków, wprawną ułożony ręką, stanowiąc symetryczną girlandę, możnego zachęci do zdobycia skarbów, a biednemu da... przedsmak zakazanych rozkoszy. W kraju wydziedziczonych dobra miniatura złotéj przędzy ducha ojczystego bardzo pożądanym jest gościem. Dążono też do

niéj oddawna. Jako najwcześniejszy na tym torze pracownik, występuje w r. 1838 Jan Popliński („Nowe wypisy polskie—część druga, zawierająca historyą prozy polskiéj z wyimkami"). W jego ślady wkracza K. W. Wójcicki, ze swą czterotomową „Historyą lit. pol. w zarysach" (1845). W ostatnich wreszcie dwu dziesięcioleciach ukazują się: „Przykłady i wzory" Karola Mecherzyńskiego, oraz przeznaczona dla szkół naszych (z życiorysami w języku ruskim), chrestomatya T. Wierzbowskiego. Tym sposobem „Złota przędza," jako kwiatozbiór historyczno-literacki, piąte pod względem chronologicznym zajmuje miejsce. Pierwsze, trzecie i czwarte z pomiędzy wymienionych dzieł—noszą na sobie cechę dążności pedagogicznéj; drugie i piąte — służyć mają szerokim kołom publiczności polskiéj. Obie grupy wspólną posiadają istotę, grunt i cel jeden, a różnią się między sobą głównie wielkością ram i odpowiednim doborem okazów. Przeglądając te wydawnictwa w porządku czasowym, a szczególniéj pierwsze, drugie i piąte, dostrzegamy w nich, ku własnemu zadowoleniu, rozwój stopniowy. Popliński ograniczył się na prozie, a dążąc do gatunkowego i historycznego usystematyzowania materyału, nie umiał jakoś przeprowadzić linii granicznéj międy teoryą dziejową a wypisami — epoki z sobą powikłał, własne poglądy z cudzemi zmącił. Wójcicki — poezyi poczesne przeznaczył miejsce; ramy antologii znacznie rozszerzył, i choć niewszędzie ziarno od plewy odróżnił, a dziełu swemu nazbyt pretensyonalne dał miano, to jednak oświetlił całość pewną myślą przewodnią i współziomków zaopatrzył w duży zasób zdrowego pokarmu. Chmielowski wreszcie, wespół z Krzemińskim i Świeżawskim, jako epigonowie Wójcickiego, osiągnęli już niemal ideał wymarzony. Starali się bowiem z dobrym skutkiem nietylko o możliwą zupełność i symetryą w układzie, ale nadto o dobór okazów charakterystycznych, o najświeższe informacye życiorysowe i bibliograficzne, o uwydatnienie wreszcie pochodu dziejowego myśli twórczéj i obudzenie uśpionych strun życia. Łatwo bezwątpienia wykazać, że to lub owo redaktorowie opuścili (np. Prelekcye i „Konfederatów barskich" Mickiewicza, w t. I-ym, Trzecieskiego, Glicznera, Otwinowskiego Erazma w t. IV), można się dziwić, iż w podręczniku, służącym do wykładu historyi literatury, dali miejsce takim drugorzędnym zabytkom językowym z wieku XV, jak „Żywot Św. Błażeja" lub „Żywot Ojca Amandusa;" ale nie będą to zarzuty poważne; trudno bowiem w czterech tomach streścić skarbnicę wielowiekową, a rzadkości bibliograficzne i odkrycia rękopiśmienne zawsze warto światu ogłosić. W takiém, jak „Złota przędza," zbiorowisku wszelkie przedewszystkiém cenne „kruki białe" powinny znaleść przytułek, a wzgląd na symetryą

i estetyczny kształt bukietu przed potrzebą nakarmienia zgłodniałéj rzeszy na drugi plan ustąpić musi. Bardzo dobrze to pojmował Nestor antologów historycznych, Popliński, gdy podając bogate wypisy z rzadkich dzieł XVI-go stulecia, Krasickiego, jako będącego „w ręku wszystkich", wcale nie przedrukowywał. Redaktorowie „Złotéj przędzy" w części tylko poszli torem swego poprzednika. Zawdzięczamy im wprawdzie wyświetlenie takich zjawisk piśmienniczym, jak: „List Mateusza h. Cholewa do S. Bernarda", „List pedagogiczny Elżbiety królowéj"; takich postaci, jak: Jan Damascen Kaliński, Samuel Grądzki, Stefan z Garczyna Garczyński (autor „Anatomii Rzeczypospolitéj", znakomity socyolog z pierwszéj połowy XVIII w.), Bard, Kantorbery Tymowski i wielu innych. Niepraktycznie sobie jednak, mojém zdaniem, postąpili, ogłaszając znane z rozlicznych wydań utwory Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego i innych. Piękna rzecz — symetrya; ale za ubodzy jesteśmy na to, byśmy jeden utwór, a témbardziéj kawałek utworu—kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt razy kupowali.

Życiorysy, w połączeniu ze wskazówkami bibliograficznemi i odsyłaczami do odpowiednich rozpraw o przedmiocie, stanowią najcenniejszą stronę wydawnictwa. Nie jeden w nich błąd zastarzały sprostowano, nie jednę wyjaśniono kwestyą. Są tam zapewne usterki i opuszczenia (pokryto np. milczeniem imię Stanisława Węclewskiego, sumiennego komentatora i biografa dwu wierszopisów staropolskich); tak wielką wszakże notatki dane odznaczają się dokładnością, że zasługują na to, by je, jako unikat w swoim rodzaju, z koniecznemi uzupełnieniami osobno wydano.

Plan i ramy książki uwydatniają się w przedmowach, umieszczonych na czele pierwszego i czwartego tomu. Otworzył ją niegdyś (przed czterema laty) w „słowie wstępném" J. I. Kraszewski, prowadził od str. 195 i zamknął P. Chmielowski. Pomimo zmiany osób i biegu czasu, między różnemi częściami wydawnictwa panuje zasadnicza zgoda.

Podział historyi literatury, wyrażony w „poglądzie ogólnym" (t. IV, od str. I do XXIII), przedstawia niektóre cechy oryginalne. Okres I (od w. X do końca XIV) rozpada się na dwie doby, odgraniczone chronologicznie „mniéj więcéj połową wieku XIII, a wewnętrznie znaczeniem duchowieństwa." „W pierwszéj dobie (objaśnia autor) duchowieństwo nie czuje się jeszcze silném pod względem politycznym, a znaczenie swoje i wpływ zakłada tylko na swym charakterze kapłańskim." „Przykład takiego zatargu, jaki zaszedł między Bolesławem Szczodrym a biskupem Stanisławem nie świadczy o potędze politycznéj duchowień-

stwa, ale o jego potędze religijnéj." — Mniemałbym że o ile podział tego okresu na dwie doby jest w historyi społeczno-państwowéj ze wszech miar usprawiedliwiony, o tyle w dziejach piśmiennictwa (tam, gdzie jeszcze właściwéj literatury niéma) — całkiém zbyteczny. Co się tyczy zatargu między monarchą, stronnikiem politycznym Grzegorza VII, a biskupem (który, naturalnie, do przeciwnego należał obozu i, jak świadczy Gallus, o zdradę kraju był posądzony), musiał on miéć charakter państwowy raczéj, niż moralny; wywołał bowiem przewrót, który się każe domyślać czynnika podobnéj natury. Duchowieństwo nie doszło jeszcze wówczas do potęgi politycznéj; ale pojedyńczy przedstawiciele stanu, jako dygnitarze, występujący w tonie na pół świeckim, działali niezawodnie, wraz z innymi, przeciw energicznemu królowi, przyczyniając się tym sposobem do wyniesienia na tron takiego, jak Władysław Herman, zera. O zapale religijnym duchowieństwa polskiego z owych czasów nic zgoła nie wiemy; owszem, to, co o niém autor na str. II powiada, że „kierowało się bardziéj rutyną, niż natchnieniem" — możemy chyba bez przeszkody (gdy mowa o téj saméj dobie) i na str. IV powtórzyć.

Ścisłych granic chronologicznych między okresami słusznie autor nie zaprowadza; trudno bowiem przytoczyć taki wypadek, któryby w historyi literatury stanowczy a natychmiastowy przewrót wywołał. Okres II-gi zamyka nasz uczony w granicach wieku XV, XVI i początku XVII (do czasów panowania Władysława IV); dzieli go następnie na dwa podokresy, a w końcu drugi podokres — na trzy doby (I—1548; II—1586; III—1632. Dziwi mię to, że autor, mówiąc w charakterystyce pierwszego podokresu o nauce scholastycznéj, nic nie wspomniał o nominalizmie, owym szkolnym, co prawda, lecz postępowszym, wobec rzekomego realizmu i liberalniejszym prądzie. Wszakże prof. Struve pisał coś o tém w „Ateneum" za r. 1877 („Pierwszy okres hist. fil. w Polsce")?

Czasy, zwane zazwyczaj wiekiem makaroniczno - panegirycznym, niepotrzebnie, jak sądzę, oddzielił Chmielowski w swoim systemie od okresu poprzedzającego, tworząc okres trzeci od „panowania Władysława IV do roku mniéj więcéj 1740." Daleko bliższy bowiem zachodzi związek między tym okresem a dobą poprzedzającą (czasami Zygmunta III), niż między dobą reformacyjną a staro-jagielońską. Podjęta, w ślad za innymi pisarzami, obrona wieku jezuickiego, jako oparta na sofistycznéj dowodzeniu, to używająca różnych podpórek, to odrzucająca je, by w końcu, pod maską nowego słowa, saméj sobie zaprzeczyć, nie wytrzyma nigdy ścisłéj krytyki. Autor w zapale krasomówczym występuje, podobnie jak

niegdyś Bełcikowski, przeciwko potwarcom epoki, niesłusznie „jezuicką“ i „makaroniczno-panegiryczną“ zwanéj, aby w wyniku sylogistycznym ochrzcić ją „okresem ściemnienia światła i zepsucia smaku“; dobrą zaś sławę kunsztownéj argumentacyi ten tylko szczegół ratuje, że czytelnik nie wątpi o stopniowém, w dwu głównych spadkach, ściemnieniu światła.

Miałbym jeszcze ochotę posprzeczać się z redaktorami „Złotéj przędzy“ w przedmiocie obszaru pojęcia literatury polskiéj, która, zdaniem mojém, pomimo ustalonych dla niéj odwiecznym zwyczajem granic konwencyonalnych, powinna się we właściwém, ściśle estetycznéém, zamknąć łożysku, jeśli nie ma być encyklopedyą wiedzy ludzkiéj lub wycinkiem z encyklopedyi. Ponieważ jednak sprawa ta przekracza zakres niniejszego artykułu, odkładam ją do innéj pory, a kończąc pobieżną ocenę najnowszéj antologii, dodam, że jest ona wybornem *vade-mecum* historyczno-literackiém, niezbędném zarówno dla zwykłego miłośnika rzeczy ojczystych, jak i dla specyalnego badacza. *A. G. Bem.*

= **Kodeks Dyplomatyczny Polski obejmujący przywileje książąt Szląskich**. *Wydał Dr. Mikołaj Bobowski. Warszawa 1887.* (str. XVIII, 237, XI; cena 5 rs.). — Wśród licznéj rzeszy naszych historyków-amatorów odznaczał się korzystnie zmarły 1877 r. Michał Boniecki tak stosownem wytknięciem sobie szczuplejszego pola badań, ograniczając je do dziejów Szląska, jak sięganiem, o ile to było w jego możności, do źródeł i pomników dotąd nieogłoszonych. W latach 1874 i 1875 ukazało się główne dzieło Bonieckiego „Książęta Ślązcy z domu Piastów. Przyczynek do historyi i rodzin panujących w Polsce“, dzieło poświęcone przeważnie badaniom genealogicznym, ale podające równocześnie i wcale zajmujące przedstawienie tych zawikłanych a dla nas zawsze ciekawych stosunków dzielnicowych. Omawialiśmy już poprzednio w „Ateneum“ kilkakrotnie odnoszące się do dziejów Szląska publikacye i przy téj sposobności skreśliliśmy choć pokrótce rozwój współczesnéj historyografii szląskiéj; nie chcąc się więc obecnie powtarzać, przypominamy tylko, że w chwili, kiedy Boniecki pracę swoją wykończał, nie były jeszcze wydawnictwa Towarzystwa historycznego we Wrocławiu, ani w części tak zupełnemi jak obecnie, że więc musiał autor walczyć z wielkiemi trudnościami, które dzisiaj, przynajmniéj o ile to dotyczy XII i XIII wieku, pokonanemi już są prawie w całości. Nie wiemy, jak dalece był ś. p. Boniecki do badań dziejowych fachowo przygotowany, czy potrafiłby bez niezawsze łatwéj do uzyskania pomocy bieglejszych w paleografii i dyplomatyce pracowników korzystać ze spoczywającego w archiwach i nieodczytanego dotąd

przez nikogo materyału, czy nareszcie pozwalały mu stosunki osobiste przebywać przez dłuższy czas zagranicą w celu przedsiębrania archiwalnych poszukiwań po miastach i miasteczkach szląskich, bo gdyby był umiał i mógł to wszystko Boniecki wykonać, to musielibyśmy, oceniając jego książkę, wytknąć nieuwzględnienie w niéj olbrzymiego a dostępnego z łatwością materyału, znajdującego się bądź w archiwach państwowém miejskiém i kapitulném we Wrocławiu, bądź w całym szeregu mniejszych archiwów miejskich, jak: lignickiém, głogowskiém, brzeskiém i t. d. Nieuwzględniając jednak przechowanych na Szląsku rękopiśmiennych zabytków, nagrodził nam po części ś. p. Boniecki, wynikłe ztąd niedostatki, wyzyskując skwapliwie wszystkie tyczące się stosunków szląskich, a w Archiwum Główném w Warszawie przechowane dokumenty. Owocem przedsięwziętych w tym kierunku zabiegów Bonieckiego był zbiór odpisów, który sam autor „Książąt Sląskich“ drukiem ogłosić zamierzał; gdy jednak przedwczesna śmierć uniemożebniła zasłużonemu badaczowi wykonanie zamiaru, podjęła rodzina jego na swe barki połączony z podobném wydawnictwem ciężar, powierzając naukowę stronę przedsięwzięcia najpierw panu Milewskiemu, a gdy ten wydrukowawszy zaledwie kilku arkuszy, ze światem tym się pożegnał, dr. Mikołajowi Bobowskiemu, młodemu a już zaszczytnie z kilku filologicznych prac znanemu pracownikowi. Dokumenty objęte nowym tym dyplomataryuszem wypełniają okres od r. 1290 do r. 1562, a z ogólnéj ich liczby, wynoszącéj sztuk 143, przypada na wiek XIII—1; na XIV—11; na XV—97; na XVI—34. Prócz ogłoszonych już poprzednio przez Stronczyńskiego („Wzory pism dawnych“) dyplomów, i prócz niewielu aktów znanych ze zbioru „Tomiciana“ zawiera Kodeks Dyplomatyczny Szląski same nieznane bądź w oryginałach, bądź w odpisach (Metryka koronna) zachowane dokumenty; są one przeważnie aktami politycznéj doniosłości, stwierdzającymi i objaśniającymi stosunki, jakie zachodziły między Polską a książętami szląskimi, a jako takie stanowią niezmiernie cenny materyał zwłaszcza do dziejów XV wieku, do którego najwięcéj téż ich się odnosi. Co się tyczy wydania, to nazwać je można bardzo staranném i dobrze świadczącém o zdolnościach po raz pierwszy na tém polu kroki stawiającego badacza. Nie było wprawdzie tu pola do krytycznych spostrzeżeń nad autentycznością dokumentów, lub do mozolnych prostowań wypisanych w nich chronologicznych danych, ale co tylko do wydawcy należało, i czego wymagała natura materyału, temu wszystkiemu uczynił p. Bobowski zadosyć, nie wstrzymując się nawet w razie potrzeby od dołączania dłuższych historycznych uwag i objaśnień *B.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawa Oświęcimska.—Zapatrywanie nauki, prawodawstwa i opinii publicznéj na kwestyę wychodztwa.– Mimo szkodliwości jéj u nas, emigracya jednak istnieje.—Co na to poradzić? — Zbieranie dokładnych wiadomości o przyczynach wychodztwa i o warunkach czekających wychodzców za oceanem. — Handel i wyzysk prostytutek.— Opieka nad niemi.—Koléj Wiedeńska.—Kanalizacya.—Bank poznański.—Nowe prawodawstwo o magazynach towarowych i w szczególności zbożowych. — Nowe przepisy o dostawach przez producentów zboża do intendentury. — Wiadomości o cenach zboża i o zbycie wyrobów fabrycznych.—Nieco pomyślniejszy dla naszego kraju horoskop ekonomiczny.

Sprawa ajentów emigracyjnych, którzy zachęcali lud galicyjski do wychodztwa i popełnili przytém cały szereg krzyczących nadużyć przeważnie z ciemném chłopstwem galicyjskiém, rozbrzmiewa silném oburzeniem w łamach naszéj prasy peryodycznéj. Ajenci w Oświęcimiu i w wielu innych miejscowościach Austryi i Prus uformowali szajkę, przypominającą osławioną organizacyę handlarzy murzynów. Wyzysk, oszustwo, lichwa, dochodząca do potwornych rozmiarów, samozwańcze przywłaszczanie sobie charakteru urzędników państwowych, obok najordynarniejszéj kradzieży, a w końcu zaprzedawanie swoich „klientów" nieomal literalnie w niewolę, oto rysy działalności pp. Zwillinga, Klauznera *et consortes*. Zdaje się, czytając relacye o tém co się działo w Oświęcimiu, a może i obecnie jeszcze w innych miejscowościach dzieje, że żyjemy nie w drugiéj połowie XIX stulecia, lecz w czasach najswobodniejszego rozwoju rynków niewolniczych. Nic dziwnego że urząd prokuratorski w Krakowie i wogóle władze państwowe austryackie zabrały się energicznie do pp. ajentów. To co oni robili, wystarczyłoby do uwięzienia nie tylko z mocy dzisiejszych praw austryjackich, ale nawet na podstawie słynnego „*Code noir*", wydanego przez Ludwika XIV, t. j. nawet na zasadzie takiego prawodawstwa, które uświęcało handel niewolnikami.

Jeżeli zbrodnicze nadużycia ajentów oświęcimskich nie przedstawiają co do karygodności żadnéj kwestyi, to interesującém jest pytanie: jak się zapatrywać należy na działalność takich ajentów emigracyjnych, którzy żadnych nie popełniają nadużyć (był przecie zakwalifikowany przez Krasickiego do bajki szewc, który nie pijał) względem emigrantów. Odpowiedź na to pytanie zależy w znacznym stopniu od rozstrzygnięcia kwestyi czy emigracya jest klęską dla kraju, ludność którego się przez taki sztuczny odpływ zmniejsza,—czy jest nią zawsze, wszędzie i bezwarunkowo, w szczególności zaś, ze względu na nasze stosunki, czy jest klęską w Galicyi, w Poznańskiém i u nas.

Opinije teoretyków w sprawie wychodztwa przedstawiają wielką różnorodność.

Ekonomiści angielscy z XVI i początku XVII stulecia opanowani są obawą przeludnienia. Raleigh (*History of the world*), Bacon (*De coloniis in Hiberniam deducendis*) i inni radzą, dla uniknienia téj klęski, zakładać kolonie i protegować emigracyę. Między myślicielami, ekonomistami i mężami stanu z czasów Colbert'a zaczyna przeważać zdanie przeciwne. Saavedra Faxardo i William Temple widzą bogactwo kraju w jego ludności. Spinoza, a wcześniéj jeszcze król Henryk IV wypowiadają tę samą myśl (1). Seckendorff w swoim projekcie urządzeń państwowych w Niemczech radzi zakładać na koszt państwa olbrzymie przytułki dla wychowywania sierot i dzieci rodziców ubogich, a to w celu powiększenia tym sposobem liczby obywateli, jako bogactwa kraju. Zdanie, że liczba mieszkańców stanowi bogactwo, wypowiadają na różny sposób Vauban, Law (2) Necker, Rousseau, Filangieri, Pitt i wielu innych. Szkoła fizyokratów a potem inni ekonomiści i myśliciele (Steuart, Mirabeau) rozpoczynają przeciw temu zapatrywaniu reakcyę, dochodzącą do najwyższego wyrazu w głośném prawie Malthus'a, który przepowiada w dziele *Principle of population* grożącą rodzajowi ludzkiemu śmierć głodową wskutek przeludnienia ziemi.

Z pomiędzy nowszych ekonomistów zajmuje się może najwięcéj kwestyą emigracyi głośny uczony niemiecki profesor Wilhelm Roscher, który w słynném swém dziele „Zasady

---

(1) Spinoza *Tract. polit.* VII, 18. „Imperii potentia ex civium numero oestimanda est." — Henryk IV we wspaniałéj przedmowie do edyktu z dnia 8 kwietnia 1599 „*Sur le dessechement des marais*" powiada: „La force et richesse des roys et princes souverains consiste en l'opulence et nombre de leurs subjects."

(2) Vauban. *Dime royale*: „Les sujets ne peuvent pas faire des enfants, sans que le prince n'en profite." Law. *Trade and monney*: „Numbers of people the greatest riches.„

ekonomii politycznéj" podaje tak wiele wiadomości historycznych, dotyczących badanéj przez siebie nauki, że do dziś dnia, pomimo ubiegłych lat przeszło 30, służy ono w wielu kwestyach jako *vade-mecum* dla pracujących nad ekonomią polityczną. Otóż Roscher, mówiąc o emigracyi we wzmiankowanych „Zasadach ekonomii", a również w pracach: p. t. *Ansichten über die deutsche Auswanderung* i *Kolonien, Kolonial-Politik und Auswanderung*, wypowiada zdanie, że wychodztwo może być korzystném dla emigrującego, jeżeli posiada on pewien — niekoniecznie zresztą znaczny — zasób pieniężny i jeżeli jest pracowity, szczególniéj zaś bywa korzystne dla potomków emigranta, gdyż ci zwykle dochodzą do znacznie większéj zamożności, niż to byłoby dla nich możliwém w ojczyźnie. Co się tyczy jednak kraju, z którego wychodztwo przybiera obszerniejsze rozmiary, ten ponosi znaczne straty w zdolnych do pracy ludziach, w kapitałach zużytych na przesiedlenie i wywiezionych przez emigrantów do nowéj ojczyzny a w dodatku doznaje zaostrzenia kontrastów między klasami zamożnemi a proletaryatem, z powodu, że emigruje głównie—podług Roschera—ludność miernéj zamożności, gdyż bardzo bogaci nie mają potrzeby, a bardzo biedni nie mają o czém kraju opuścić. Te ujemne dla kraju ojczystego emigrantów skutki równoważą się w odpowiednim stopniu korzyściami w takim tylko razie, jeżeli ekspatryowani koloniści zachowują ze swą przeludnioną dawniéj ojczyzną ścisłe stosunki ekonomiczne. W tym wypadku, oprócz korzyści wytworzenia swobodniejszéj przestrzeni (*elbow room*) dla pozostałych w kraju mieszkańców, następuje żywa wymiana handlowa surowych produktów kolonialnych nowéj ojczyzny z wyrobami fabrycznymi dawnéj, ku zobopólnéj obu stron korzyści. Korzyść ta jednak może być osiągnięta pod warunkiem, że nowo-zakładająca się kolonia otrzyma wyłączny, albo co najmniéj przeważny charakter narodowy tego kraju, z którego wyszli emigranci. Przeciwnie, jeżeli garstka wychodźców z pewnego kraju wsiąknie w liczniejszą ludność kolonialną innéj narodowości, wówczas podda się ona wyrobionym przez większość stosunkom ekonomicznym z obcą metropolią i nie zrównoważy nowemi korzyściami handlowemi szkód, jakie kraj ojczysty poniósł przez utratę energicznych rąk roboczych i kapitałów. Podług zdania Roschera (wypowiedzianego jeszcze wcześniéj przed rozpoczęciem przez rząd niemiecki działalności kolonizacyjnéj) tylko koloniści holenderscy i angielscy przynosili, a w części i dziś przynoszą swym krajom ojczystym korzyść ekonomiczną, niemieccy zaś wyrządzają stratę, z powodu właśnie braku kolonii o charakterze wyłącznie lub przeważnie niemieckim.

Jeżeli zdanie Roschera, któremu chyba słuszności odmówić nie można, przełożymy na nasze stosunki, to wypadnie, że nasza emigracya przynosi krajowi niczém nie powetowaną stratę.

Kraj nasz widocznie nie jest jeszcze przez element miejscowy przeludnionym, skoro się w nim mieszczą i wciąż jeszcze przybywają koloniści obcego pochodzenia. To samo jest i w Poznańskiém, gdzie kolonizacya niemiecka coraz większe robi postępy. U nas więc i w Poznańskiém wiele jest jeszcze miejsca na tak zwaną kolonizacyę wewnętrzną elementu miejscowego, a wychodztwo nie ma racyonalnéj podstawy ekonomicznéj.

Inaczéj nieco jest w Galicyi. — Koloniści obcéj narodowości, w miastach dość liczni, lokują się po wsiach galicyjskich w bardzo drobnéj ilości. Wieśniacy galicyjscy, peryodyczném, na czas krótki robót rolnych w lecie wychodztwem do nas radzą jak mogą swéj biedzie, z przeludnienia w części wynikłéj. Podług tablic podanych w głośnéj broszurze Szczepanowskiego „Nędza Galicyi w cyfrach,“ stosunek ludności rolniczéj w téj prowincyi do obszaru ziemi i do środków wyżywienia jest przerażający. To téż Szczepanowski, w obec przymierania głodem włościaństwa galicyjskiego, radzi protegować, nie zaś powstrzymywać wychodźtwo z Galicyi. Powiada on: „widzieliśmy, że, w porównaniu z Kongresówką, Galicya od r. 1860 straciła z braku środków utrzymania $1\frac{1}{2}$ milijona ludności, o którą liczbę by Galicya teraz była więcéj zaludnioną, gdyby tylko stworzono odpowiednie środki zarobkowania i utrzymania. Jeżeli więc w tym czasie wyemigrowało z jakie 100, lub 200 tysięcy ludności, to z pewnością fakt ten nie zmniejszył ani o jednostkę obecnéj ludności galicyjskiéj, tylko zmniejszył o tyle ilość ofiar śmierci głodowéj. Nie sto tysięcy, ale milion, całe $1\frac{1}{2}$ miljona mogło było wyemigrować, a ludność by była akuratnie taką samą, jaką jest teraz, to jest odpowiadającą środkom utrzymania“.

Gdyby uważać premissy, podane przez Szczepanowskiego, za niezbite, t. j. gdyby uważać: 1°, że ludność galicyjska rzeczywiście wymiera z głodu; 2°, że głodowi temu żadnym środkiem prócz emigracyi zapobiedz niepodobna (sam p. S. wspomina zresztą o możności stworzenia na miejscu środków zarobkowania i utrzymania) i 3° że emigracya w znacznéj ilości wypadków od głodu broni, nie zaś na głód prowadzi,—to oczywiście należałoby przyjąć jako wniosek parafrazę przypowieści o bezużyteczności zmarłego doktora i, pomijając nawet ważną z ekonomicznego punktu widzenia utratę wywiezionych z kraju drobnych w każdym poszczególnym wypadku, ale poważnych w zbiorowéj cyfrze kapitałów pieniężnych, powiedzieć, lepszy dla nas żywy *yankee*, niż umarły polak.

Pomimo jednak całego uznania dla pracy p. Szczepanowskiego, mamy pewne zastrzeżenia co do podanych przez niego premiss, — a ztąd i wniosek co do korzyści prądu emigracyjnego z Galicyi przyjmujemy z dobrodziejstwem inwentarza. W szczególności co do kwestyi, czy emigracya polepsza los wychodźców galicyjskich, sprawa oświęcimska jest wymownym dowodem jak inaczéj rzecz wygląda w wykonaniu faktycznèm, niż w teoretycznych wywodach p. Szczepanowskiego.

Wracając do naszych miejscowych stosunków, powtarzamy wniosek, do któregośmy doszli wyżéj, a mianowicie, że u nas wywoływanie i popieranie emigracyi, nie da się ekonomicznie usprawiedliwić.

Opinię tę podzielały władze w kraju naszym i starały się powstrzymać wychodźtwo, a przeciwnie protegowały przypływ obcych kolonistów, czyli t. zw. immigracyją. Pomijając czasy odleglejsze, przepisy z roku 1833 dawały osiedlającym się w Królestwie kolonistom prawo przywozu swego mienia ruchomego bez cła, uwalniały od wojska i od podatków na 6 lat i pozwalały wydzielać im z łatwością grunta na wieczystą dzierżawę.

Koloniści osiedlający się w Cesarstwie jeszcze większe miewali przywileje, a mianowicie do ostatnich jeszcze czasów, na mocy prawa z r. 1803, otrzymywali oni na czas pierwszych 10 lat zwolnienie, a na 10 lat następnych zmniejszenie podatków; również otrzymywali zwolnienie od służby wojskowéj i dostawali po 60 dziesięcin ziemi na rodzinę i po 300 rubli zapomogi pieniężnéj na zagospodarowanie. Naodwrót, emigracya z państwa rosyjskiego była utrudnianą. Obecnie, chociaż paszporta emigracyjne — z zachowaniem pewnych warunków—bywają wydawane, do dziś dnia jednak zachęcanie do wychodźtwa, jest uważane przez prawodawstwo rosyjskie za przestępstwo kryminalne. Artykuł 328 kodeksu karnego głosi: Namawiający poddanych państwa rosyjskiego do wysiedlenia za granicę, ulega pozbawieniu wszelkich praw osobistych i praw stanu i zesłaniu na mieszkanie do Syberyi albo téż oddaniu do rot aresztanckich na czas od roku do półtora..

Jeżeli nareszcie zadamy sobie pracę zbadania opinii publicznéj, chociażby drogą przejrzenia tego, co się pisze w sprawie wychodztwa w naszéj prasie peryjodycznéj, to się przekonamy, że opinia jest emigracyi przeciwną.

Tak więc z punktu widzenia ekonomicznego, emigracya z naszego kraju powinna być uważaną za objaw szkodliwy, zachęcanie do emigracyi, chociażby bez oszustwa i wyzysku, jest przez prawo-

dawstwo obowiązujące karaném, opinia zaś uważa wychodźtwo za szkodliwe.

Pomimo to emigracya istnieje u nas. Mówimy tu wyłącznie o wychodźtwie ludowém, wywołaném przez nadzieję polepszenia stanu ekonomicznego, gdyż tylko takie wychodźtwo jest przedmiotem naszego rozbioru.

Sprawa oświęcimska zwróciła uwagę naszéj publiczności, szczególniéj zaś naszéj prasy, na objawy ruchu emigracyjnego w naszym kraju. Jedno z pism naszych codziennych, a mianowicie Kuryjer Warszawski z dnia 24 Sierpnia r. b. zapowiada szereg odkryć w téj mierze, na zapytanie jednak: „czy występne ajencyje nie roztoczyły skrzydeł nad naszym krajem"? odpowiada „z góry, bez wahania: nie" i twierdzi, że „włościanin nasz, nie naglony do Ameryki głodem, mogący dobrze wyżyć na własnych śmieciach, nie rzuca się w objęcia ajencyj, które też nie znajdują tu gruntu dla swych działań, nie szuka pośredników, lecz opuszcza kraj z całą rozwagą i nie na ślepe losy".

Gdyby tak było rzeczywiście, lud nasz zasługiwałby na świadectwo dojrzałości społecznéj.

Cóż kiedy obserwacye własne, nie systematycznie wprawdzie, lecz tylko dorywczo prowadzone, wiadomości umieszczane w naszéj prasie, a w części i kronika sądowa nie pozwalają nam pisać się na optymistyczny pogląd „Kuryera Warszawskiego.

Emigracya, która nie jest dotąd u nas zjawiskiem liczebnie groźném, dotyka głównie trzech sfer: włościańskiéj małorolnéj, drobnéj rzemieślniczéj i uboższéj żydowskiéj, najrozmaitszych zajęć. Zdarzało się nam dowiadywać pośrednio, a czasem i bezpośrednio o losach jednostek z każdéj z tych sfer, a wrażenia nasze osobiste kazały nam przyjść do uogólnienia—może zbyt pośpiesznego, gdyż opartego na szczupłéj ilości przykładów—że w wychodztwie emigrantów z kraju naszego bardzo mało jest „rozwagi", a właśnie bardzo wiele rzucania się „na ślepe losy". Bodźce emigracyjne u nas podzielić można na dwie kategorye: przyciągające i wypychające. Do wypychających należą: obawa powinności wojskowéj, bankructwo i „nieporozumienia" z władzami karnemi. Te nas mniéj interesują. Bodźcem przyciągającym jest zawsze nadzieja świetnego losu w nowéj ojczyźnie. Nadzieja ta czasem jest oparta na pewnéj realnéj podstawie: na wezwaniach krewnych, na listach znajomych itp. Zdarzało się nam jednak nie raz i nie dwa spotykać objawy pociągu emigracyjnego opartego na mrzonkach jedynie. Jakieś niemożliwe wieści,—doszłe pocztą pantoflową, jakieś świetności we własnéj głowie urojone wytrącają całe rodziny z miernego dobrobytu i rujnują

je przez niefortunne próby szukania krain srebrem i złotem płynących. Prawda, że objawy takie częściéj zdarzało nam się widziéć między żydami, a z liczby chrześcian, wśród rzemieślników, niż w sferze włościańskiéj.

Co do działalności ajencyi, zdaje się, że nie zdołały one skutecznie rozrzucić na kraj nasz sieci. Wypadki jednak namawiania do emigracyi zdarzają się i u nas. W tych dniach np. trzéj zrujnowani przez podobne namowy mieszkańcy Warszawy, rzemieślnicy: Sosnowski, Nachsztern i Szymański wystąpili ze skargą do władz sądowych przeciwko konsulowi rzeczpospolitéj argentyńskiéj panu Ernstowi o popchnięcie ich przez świetne, a kłamliwe obietnice do emigracyi. Wskutek téj skargi prowadzi się przeciw p. Ernstowi sprawa karna. Charakterystyczném jest opowiadanie stolarza z warsztatów drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, Stanisława Sosnowskiego. Pod wpływem zwodniczych zapewnień, że w Hamburgu będą oczekiwały wychodźców statki, które przewiozą ich do Buenos-Ayres, że na miejscu otrzymają oni posady, pieniądze, wyruszyli biedni ludzie z żonami z dziećmi i..... część ich wróciła z Hamburga w stanie ostatecznéj nędzy, a część ginie po drodze z głodu, bo wrócić nie ma o czém.

Nie przesądzając stopnia winy p. Ernsta w tym razie, widzimy jednak, że wychodźcom naszym zdarza się rzucać w świat nieznany bez należytéj rozwagi, na ślepo.

Czy społeczeństwo nasze powinno, czy może i ewentualnie co powinno i może przedsięwziąść celem uchronienia kraju od szkodliwego społecznie zjawiska emigracyi i celem zabezpieczenia jednostek od często spotykanego przy emigracyi wyzysku, a ztąd ruiny mienia, zdrowia, a nieraz i życia nieszczęśliwych wychodźców?

Że, o ile to możliwe, obowiązkiem naszym jest bronić ogół i jednostki od klęsk wszelakich, to chyba kwestyi nie ulega.

Chodzi więc tylko o to, czy obrona jest możliwa i w jaki sposób dałaby się uskutecznić? Samo negowanie zjawiska nic tu nie pomoże. Nie wystarczy nawet głos prasy, chociażby ludowéj.

Potrzeba przedewszystkiém, żeby do przeciwdziałania wychodźtwu, w wyjątkowych zaś razach do stworzenia jednostkom emigrującym znośnych warunków emigracyi, zabrała się uczciwa i o dobro ciemniejszych, a uboższych warstw dbała inteligencya miejska i wiejska.

W tych miejscowościach, które gorączką wychodztwa są ogarnięte, potrzebaby zbadać przyczyny miejscowe emigracyi i usuwać o ile możności wpływy szkodliwe.

W miastach urzędnicy fabryczni, kolejowi, starsi cechowi członkowie towarzystw dobroczynności, redaktorowie pism itd,

itd., po wsiach właściciele ziemscy, dzierżawcy, urzędnicy gospodarczy, nauczyciele wiejscy powinni przeciwdziałać emigracyi przez dostarczanie tym, którzy do wychodztwa dążność okazują, przez rozpowszechnianie jak najusilniejsze między ludem prawdziwych i dokładnych wiadomości o warunkach, jakie w emigracyi czekają wychodzców, o smutnych losach, jakie dawniejszych emigrantów spotkały itp.

Samo jednak ogólnikowe zrzędzenie nie wystarczy. Lud rozumié doskonale czy mu ktoś opowiada ogólniki, czy téż cytuje fakta, które zna dokładnie. Otóż dziś, jeżeli z jednéj strony zjawia ajent emigracyjny, który wiele z pewnością kłamie, ale ma jaką taką znajomość rzeczy, cytuje fakta, imiona, wypadki nieraz prawdziwe,—jeżeli przychodzi list od szczęśliwego wybrańca losu, albo wyjątkową energią i zdolnościami obdarzonego emigranta, który opisuje w znacznéj zapewne części prawdziwie, a w pewnéj tylko części, w skutek skłonności do chwalenia się i przesady, zbyt różowo, warunki życia w Ameryce,—otóż jeżeli przeciwko takim szczegółowym, pewnym realizmem tchnącym wiadomościom, przeciwstawia się tylko sceptyczne niedowierzanie, bez powołania na fakta rzeczywiste, a dobrze znane, wówczas zwycięstwo zostaje najczęściéj po stronie łudzących świadomie, lub bezwiednie świetnemi perspektywami.

Trzeba więc przedewszystkiém, dla skuteczności działania, żeby pewna ilość ludzi dobréj woli poznała dokładnie sprawę wychodztwa.

Daléj w tych wypadkach, gdzie nie można prądu powstrzymać, trzeba przynajmniéj bieg jego tak zregulować, żeby jak najmniéj przynosił szkody.

U nas możeby się ruch emigracyjny dał całkiem zatamować. W Poznańskiém już rzecz byłaby trudniejsza. W Galicyi w pewnych wypadkach może należałoby uważać emigracyą jako zjawisko na pewien czas i w pewnych okolicach konieczne, a mianowicie w Galicyi zachodniéj (*vide* powołany wyżéj Szczepanowski); o ile więc nie dałaby się kolonizacya skierować wewnątrz kraju ku wschodowi, należałoby, po przedstawieniu prawdziwéj perspektywy, czekającéj emigrantów, otaczać jednak tych, którzy wyjść z kraju zechcą koniecznie, pewną opieką, dawać im informacye, kierować do pewnych znanych osób w Hamburgu, w New-Yorku itd. Jeżeli takiéj czynności zaniedbają ludzie uczciwi, to na niezajętém stanowisku ulokują się wyzyskiwacze, a chociaż sprawiedliwość ukarze dziesiątki zbrodniarzy, to na ich miejsce wystąpią set-

ki nowych. Kiedy się usuwa działalność szkodliwą, ale przez stosunki życiowe wywołaną, trzeba ją zastąpić działalnością pożyteczną. Nie dość jak zabronić głodnemu jeść lebiodę, lub korę drzewną, jako rzeczy szkodliwe; trzeba mu jeszcze dać chleba, bo inaczéj będzie on, w braku pożywnego jedzenia, jeść choćby glinę. A więc proponujemy rozwinięcie działalności informacyjno-opiekuńczéj w sprawie wychodztwa.

* * *

Jeżeli co do emigrantów szukających za morzami bogactw, a znajdujących natomiast sakwy dziadowskie, może być wątpliwość, czy są oni tu u nas przeważnie ofiarami wyzysku ajentów, czy téż własnéj tylko nierozwagi, to jest inna kategorya „żywego towaru“ który stanowi niewątpliwie źródło znacznego a ciągłego zysku handlarzy, nie lepszego od kupczących murzynami gatunku. Tylko że wrażliwość nasza na ten zbrodniczy handel tak dalece się stępiła, iż nie myślimy o nim, nie pamiętamy szczegółów spraw, o których czytaliśmy wczoraj, czytamy dziś, będziemy czytać jutro, o których dowiadujemy się prawie codzień. A jakaż to drobna tylko cząstka dochodzi do wiadomości publicznéj! Gdyby się znalazł uczony, któryby, jak Cuvier z zęba mamuta, umiał odbudować całość, przestraszylibyśmy się może jéj potwornością. Ale takie drobne oderwane fakta, co godzina po łyżce podawane, nie pobudzają już naszych nerwów.

Sprobujmy jednak zebrać wiązkę faktów z gazet ostatnich dni.

Dziennik Łódzki z d. 25 lipca. „Kapitan okrętu udającego się z Hamburga do Ameryki zameldował policyi, że na jego statku jakiś Dawid Herman z Warszawy zamówił miejsce dla siebie i sześciu dziewcząt. Okazało się, że był to znany warszawskiéj policyi Herman Roder, który początkowo utrzymywał potajemny dom schadzek przy ul. Chmielnéj, a następnie założył agenturę sprzedaży dziewcząt do południowéj Ameryki. Proceder ten przynosił mu znaczne zyski, gdyż płacono mu za Oceanem za „dostawiony towar“ po parę, do pięciu tys. rubli od sztuki“.

Kuryer Warszawski z d. 10 sierpnia: „W domu pod N. 9 przy ul. Nowogrodzkiéj mieszkała 18 letnia Józefa Witczakówna. Biedna dziewczyna dostała się do lupanaru zwykłą drogą (to „zwykłą drogą“ jest wymowne) uwiedzenia i sprzedania. Widoczne życie okropne musiało się sprzykrzyć nieszczęśliwéj, gdyż nocy wczorajszéj, pozostawiwszy rzeczy swoje, uciekła. Jest obawa czy biédna dziewczyna nie pozbawiła się życia.

Kuryer Warszawski z dnia 11 sierpnia: „Partyę młodych słowaczek, wiezionych z Węgier, powstrzymano w Żywcu, a pośredniczące w téj ekspedycyi kobiety uwięziono" (Korrespondencya datowana 9 sierpnia z Krakowa).

Gazeta Polska z dnia 16 sierpnia: „Pewien gatunek ajentów namawia młode dziewczęta do wyjazdu w celach niemoralnéj spekulacyi. Dwóch takich ajentów schwytała 8 sierpnia policya w Mysłowicach. Mieli oni z sobą pięć ofiar, zwerbowanych na Rusi Czerwonéj i wieźli je na zachód, zaopatrzywszy w fałszowane paszporty. Mieli przy sobie 2 tysiące marek."

Kuryer poranny z dnia 21 sierpnia: „Onegdaj o godz. 6 po południu nad brzeg Wisły naprzeciw starych wodociągów przyszła jakaś kobieta i, zeszedłszy z bulwaru na dół, rzuciła się w nurty. Jeden ze świadków téj sceny wskoczył na czółno i niedoszłą samobójczynię uratował. W cyrkule dowiedziano się, że jest to Helena K., która objaśniła, iż postanowiła pozbawić się życia ze wstydu, podstępem bowiem wprowadzoną została do lupanaru, gdzie dotychczas przebywała."

Kuryer poranny z dnia 19 sierpnia: „W tych dniach policya pruska zatrzymała 8 osób, pomiędzy nimi trzech mężczyzn, którzy uprowadzali pięć ładnych panien z Rosyi za granicę. Handlarzy, pomimo eleganckiego ubrania, okuto w dyby i razem z żywym towarem odstawiono pod konwojem do Sosnowic."

Kuryer poranny z dnia 28 sierpnia: „Nocy wczorajszéj na Ordynackiém pod restauracyą Szczypiora niejaki Bejnisz Reichfeld, spotkawszy Mowszę Lewina, rzucił się na niego i powalił uderzeniem pięści. Obydwóch wezwano do cyrkułu. Tu okazało się, że Reichfeld, ma narzeczoną, Maryę Taubenfeldównę, którą Lewin usiłował wywieść z Warszawy do lupanaru do Kowna. Z zeznań świadków przekonano się, że jak R. tak i L. są handlarzami żywym towarem. R. udawał zakochanego, by swoją ofiarę zabezpieczyć dla siebie, podstęp się jednak nie udał i dzięki awanturze wykryto szajkę handlarzy."

Tak więc, przejrzawszy nasze gazety z miesiąca, znajdujemy w nich siedem opisów o wypadkach, osnutych na tle sprzedaży kobiet do domów prostytucyi. Gdyby tak rozpatrzyć się uważniéj, znalazłoby się może drugie siedem. A niewiadomych, niewyśledzonych wypadków ile było przez te dziesięć dni? Któż to wie!? Może 70, może i więcéj.

Kwitnie ten rodzaj handlu żywem mięsem na dobre! Na jednego złapanego handlarza, tuziny ich chodzą wolno. Ba! nie tylko chodzą,—nieraz jeżdżą powozami.

Oprócz domów publicznych, domów stręczeń, domów schadzek, ileż to handlów tego rodzaju odbywa się na tak zwanych lekcyach tańca, a ile jeszcze przez stręczycieli i stręczycielki prywatne. W swoim czasie było dochodzenie o stręczenie do nierządu nawet w pewnym kantorze guwernantek.

Gdyby tak, jako pendant do zapowiedzianych przez „Kuryer Warszawski“ odkryć emigracyi dotyczących, zechciało które z ruchliwych pism codziennych zająć się odkryciami, dotyczącemi handlu ofiarami prostytucyi, to dowiedzielibyśmy się z pewnością, że dzieją się u nas rzeczy nie mniéj jaskrawe od słynnych niedawno odkryć „Pall-Mall Gazette“ w Londynie.

A czy opieka nad temi kobietami nie dałaby się urządzić? Możeby niektóre panie kręciły noskami: *„fi donc!—s'occuper des creatures pareilles.“* Może i niektórzy poważni mężowie miotaliby gromy oburzenia (postępowali ponoć tak, podług „Pall-Mall Gazette,“ ci, którzy najwięcéj oddawali się po cichu rospuście); ale jeśli więźniowie, zbrodniarze doznają opieki, jeżeli nawet istnieje—nie rażąc nikogo — towarzystwo opieki nad zwierzętami, to dla czego nie miałoby się utworzyć towarzystwo opieki nad kobietami, które wprawdzie nie zawsze bez winy własnéj weszły na smutną drogę prostytucyi, ale z pewnością zawsze są nieszczęśliwe. Sądzimy, że władze, przy odpowiednich rękojmiach co do uczciwości kierunku, zatwierdziłyby z łatwością ustawę podobnego stowarzyszenia. A towarzystwo takie miałoby obszerne pole działania. Zapobieganie handlowi tych białych niewolnic, ułatwianie wypisania się z klassy prostytutek (jak wiadomo rzecz to bardzo trudna), dostarczanie im pracy, bronienie ich od wpływu i wyzysku całéj falangi osób, które z nierządu swych ofiar korzyść ciągną i do nierządu popychają itd. itd.

Niechby na początek jeden przynajmniéj rezultat dał się osiągnąć, a mianowicie niechby zatrzymywanie prostytutek w domach publicznych za długi zaciągnięte u właścicieli zakładu zostało uniemożliwione, to i tak już byłoby wiele. Członkowie stowarzyszenia wizytujący domy w asystencyi policyi, ułatwiający wyjście każdéj kobiecie, chcącéj dom opuścić, potrafiliby zapewne usunąć dzisiejsze *„lupanari adscriptio.“*

Wogóle może towarzystwo opieki nad temi ofiarami wyzysku połączonego często z uwiedzeniem, zmniejszyłoby nieco ilość wiadomości reporterskich o „tych stworzeniach,“ rzucających się do „nurtów rzeki.“ Ale one to zapewne robią z nadmiaru szczęścia?!?

*
* *

Koléj żelazna Warszawsko-Wiedeńska przechodzi pewne perturbacye. Akcyonaryusze zagraniczni, którzy znacznie więcéj niż

krajowcy posiadają akcyi téj drogi, wystąpili z różnemi żądaniami, dotyczącemi podniesienia dywidendy, zmian, lub usunięcia różnych osób, wprowadzenia oszczędności itd. itd. Krążą pogłoski, że znaczna grupa akcyonaryuszów chciałaby wprowadzić na wybitne i wpływowe stanowiska na téj drodze p. Bertranda de Lysen, który› działając za plecami wybranego przez akcyonaryuszów zagranicznych „słomianego człowieka,“ w rzeczywistości kierowałby wszystkiemi sprawami drogi. Głównie chodziłoby o robienie oszczędności, a to z przyczyny, że pewne grupy kapitalistów zagranicznych, podniosłszy drogą sztucznéj spekulacyi nadmiernie cenę akcyj drogi War.-Wied., obecnie chciałyby podnieść odpowiednio i dochód. Rezultat scyssyi między zagranicznymi a tutejszymi akcyonaryuszami może mieć pierwszorzędną dla kraju naszego doniosłość, ze względu na poważne znaczenie drogi i znaczny kontyngens pracowników, których byt, przy napływie elementu cudzoziemskiego, mógłby być zachwiany. Ponieważ koszta eksploatacyi kolei w ostatnich czasach rzeczywiście znacznie, w porównaniu z latami ubiegłemi, wzrosły, pożądaném przeto byłoby, żeby ci, którzy dziś na czele drogi stoją, zwrócili na grożące niebezpieczeństwo uwagę. Wchodzenie w bliższe szczegóły, z powodu że partye akcyonaryuszów nie ugrupowały się jeszcze ostatecznie i mogą uledz znacznym zmianom, uważamy w obecnéj chwili za przedwczesne.

* * *

Od czasu wyjazdu z Warszawy najmłodszego z Lindleyów i objęcia głównego kierownictwa robót kanalizacyjnych przez pana Höhmana, słyszymy coraz częstsze uwagi specyalistów inżynierów co do mniejszéj dbałości o dokładność dokonywanych robót, a utyskiwania ze strony publiczności na brak pamięci o wygodzie mieszkańców miasta i na gburowatość kierownika kanalizacyi. Inżynierzy zarzucają, że połączenia kanałów, zamiast łagodnemi krzywiznami, jak to było dawniéj, dokonywane są obecnie prostokątnie, co ma jakoby powodować tworzenie się wirów, — zarzucają, że używana obecnie do budowy kanałów cegła nie zawsze jest odpowiedniéj wartości, — że kierunek małych kanalików, względnie do wielkich kanałów, w niektórych miejscach przez nieuwagę został obrany nieracyonalnie i t. d. i t. d.

O ile te zarzuty są słuszne, mogą ocenić tylko znawcy fachowi. Mniejszy stopień jednak dbałości o wygodę publiczną może ocenić i nie specyalista. Ziemia bywa teraz mniéj wywożoną i formuje obok przekopywanych kanałów, niemożliwe do przebycia wały; mostków i wogóle przejść dla publiczności znacznie skąpiéj niż to bywało dawniéj. W dodatku słyszymy niejednokrotnie z ust wia-

rogodnych, że p. Höhman w bardzo nieparlamentarny sposób przemawia do podwładnych inżynierów, do robotników a nawet do publiczności. Ponieważ sens jego przemówień, jako wygłaszanych po niemiecku, nie dla wszystkich jest dostępny, więc też p. H. ilustruje swe perory w ogólnie zrozumiały sposób gestami, np. przez wymachiwanie kijem. Może też p. H. „chociaż niemiec, głos ludzki zrozumié" i zechce być wstrzemięźliwym w wymowie, a spokojniejszym w gestykulacyi. To mu da więcéj czasu i skupienia umysłu na rozważanie specyalnych kwestyi techniki kanalizacyjnéj.

* * *

Sprawa banku poznańskiego różne w ostatnich czasach przechodziła perypetye. Przed zebraniem akcyonaryuszów na d. 13 lipca r. b. wyznaczoném, krążyły wieści o wiszących nad istnieniem banku niebezpieczeństwach. Byli pono tacy, którzy chcieli wprost albo pośrednio, (przez uchwalenie jako warunku koniecznego rozpoczęcia czynności niemożliwéj do zebrania summy kapitału zakładowego), doprowadzić do rozwiązania banku. Miała być i taka—nie liczna na szczęście—garstka, która chciała ze składek na cel publiczny zebranych zrobić dojną krówkę dla garstki ptaków niebieskich, które wprawdzie orzą i sieją, a przynajmniéj siać i orać każą, widocznie im to jednak nie wystarcza, skoro tak skwapliwie rostwierają dzioby, w oczekiwaniu manny, pieczonych gołąbków i t. p. Zebranie w d. 13 lipca wykazało, że znaczna większość do błędnych torów wstręt czuje. Ale ujawniło ono zarazem niebezpieczeństwo inne. Nie weszli wprawdzie panowie ojcowie banku na fałszywe drogi, ale też nie chcieli iść na żadne. Wypowiedzieli hasło: „Bezczynnie stoimy i bezczynnie stać będziemy" i zdawało się, że żadna siła nie ruszy ich ni w tył, ni naprzód. Były wśród obradujących partye; była i prawica i lewica i centrum i dzicy, w jednéj wszakże kwestyi wszyscy dziwnie się zgadzali: nikt nie chciał przyjąć wyboru i każdy mówił: „ja nie chcę, ale moi bliźni powinni." Nareszcie po różnych pertrakcyach, zwoływaniach, przejażdżkach, listach, udało się wyszukać i uprosić grono osób dobréj woli, do przyjęcia na zebraniu z d. 14 Sierpnia mandatów na członków rady nadzorczéj.

Tymi ludźmi dobréj woli są pp. Stanisław Żółtowski, Franciszek Chełchowski, Juljan Brzeski, Teodor Moszczeński i Adam Kościelski.

Korespondent „Kraju" z Poznania p. Domarat, podając listę nazwisk, cieszy się bardzo, że wybrani są sami „panowie ze wsi" i że skoro „Kazio" będzie się mógł porozumieć z „Edziem", a „Mundzio" ze „Stefciem", nie oglądając się na panów X. Y. Z. „z miasta", to rzecz urządzona w taki sposób, w jaki „powinna być zawsze

i wszędzie", pójdzie *eo ipso* wybornie. Wyznamy szczerze, że nie możemy się pisać na poglądy filozoficzno-społeczne p. Domarata. Dla nas mieszkaniec miasta równie dobry jak mieszkaniec wsi, a nawet chętniéj widzielibyśmy w sprawie publicznéj udział wszystkich sfer, niż jednéj wyłącznéj. Imiona Kazia, Mundzia, Edzia i Stefcia nic nam nie przeszkadzają, ale też nic nie pomagają. J a k s i ę z w a ł, t a k s i ę z w a ł, byle... pracował rozumnie, uczciwie, gorliwie i z pamięcią o społeczeństwie. Podobnéj pracy oczekujemy od nowych kierowników banku poznańskiego, a jeżeli się nadzieje nasze ziszczą, wykrzykniemy na całe gardło: „tak być powinno zawsze i wszędzie" i skłonimy z poszanowaniem głowę przed pracownikami.

* * *

W ostatnich numerach ministeryalnego organu p. t. „Goniec finansów, przemysłu i handlu" znajdujemy bardzo obszerne i ciekawe motywa do przepisów prawodawczych o magazynach, czyli składach towarowych, które, jak wiadomo mają nadane sobie prawo wydawania warrantów, t. j. dokumentów, mających obieg podobny do weksli i służących za podstawę do umów sprzedażnych i zastawnych na złożony w magazynie towar. Z motywów tych widzimy, że oprócz ułatwienia kredytu wszystkim producentom w ogóle i dania im możności wyczekiwania na chwilę odpowiednią dla zbytu, nowe prawodawstwo miało szczególniéj na uwadze dogodność rolników i starało się specyalnie o rozwój magazynów zbożowych, w których by każdy rodzaj zboża, *resp.* żyto, pszenica i t. d. tracił swoją indywidualność, jak się wyrażają przepisy, a to w celu wyrobienia na wielkich rynkach wewnętrznych i międzynarodowych pewnych przeciętnych typów ziarn, mogących być przy stałéj jakości, dostarczanemi w znacznych partyach. Dowiadujemy się, że nowe prawo za szczególniéj pożądane uważa urządzanie magazynów przez ziemstwa i municypalności, jak również zgromadzenia kupców i giełdy Co się tyczy kolei żelaznych, okazuje się, że przy naradach nad nowellą prawną były wypowiadane poważne obawy, czy koleje żelazne, jako postawione pod względem transportowym w lepszych od wszelkich stowarzyszeń lub osób prywatnych warunkach, nie zmonopolizują interesu magazynowego i nie uniemożliwią wszelkiéj postronnéj konkurencyi; z drugiéj zaś strony obawy, czy interes magazynowy nie pociągnie nowych dopłat rządowych kolejom gwarantowanym. Obawy te jednak są — podług orzeczenia motywów—możliwe do usunięcia przez wprowadzenie przepisów zapobiegających dawaniu większych przywilejów jednym transportom nad drugiemi i przez zupełny rozdział interesu magazynowego od pozostałego go-

spodarstwa kolejowego. Daléj motywa nowelli wypowiadają, że zakaz wydawania przez magazyny pożyczek na złożony towar jest spowodowany doświadczeniami niepowodzeń towarzystw akcyjnych, założonych w latach 1871 i 1872, które to towarzystwa, nie mogąc podołać operacyom zbyt wielkich kapitałów wymagającym, musiały się zlikwidować, a również przykładem państw zagranicznych które rzadko tylko i ze znacznemi ograniczeniami (jak np. prawo francuskie z d. 31 Sierpnia 1870 r.) nadają magazynom prawo wydawania podobnych pożyczek.

Odsyłając interesujących się nowém prawodawstwem do tekstu motywów, jako zbyt do powtórzenia obszernych, pozwolimy sobie tylko zrobić kilka uwag, dotyczących możliwego zastosowania nowych przepisów do naszych warunków produkcyi i handlu hurtowego w ogóle, a zbożowego w szczególności.

Żeby się nowy interes magazynowy rozwinął w sposób wywierający znaczny wpływ na nasze stosunki handlowe, potrzeba przedewszystkiém, żeby magazynowane ilości towarów były poważne. Na to zaś niezbędną jest znaczna ilość wielkich magazynów przy stacyach kolei i przystaniach wodnych. W szczególności magazyny zbożowe z urządzeniami do przesuszania zboża, które leżąc dłużéj nieprzewietrzane, mogłoby się zagrzać, z elewatorami i t. d. i t. d. wymagają bardzo znacznego nakładu.

W Ameryce takie magazyny są przedsiębiorstwem kapitalistów prywatnych, którzy pobudowali na swój koszt olbrzymie składy z elewatorami i którzy wydają na produkta w magazynach złożone pożyczki, równające się prawie zupełnie (oprócz drobnego procentu przeznaczonego na marżę) wartości zdeponowanego towaru. My tak zamożnych kupców hurtownych i w szczególności zbożowych nie mamy, pobudowanie więc magazynów i całe przedsiębiorstwo mogłoby chyba być dokonaném przez kompanie dróg żelaznych. Otóż drogi żelazne wewnątrz Cesarstwa, gdzie transport zbożowy w znacznéj mierze odbywa się kolejami i gdzie z powodu odmiennych warunków gospodarstwa rolnego, dwa tylko bywają peryody młócki zboża, wiosenny i jesienny, — w skutek czego znaczne ilości zboża w krótkim czasie bywają rzucane na rynek, — tam więc koleje mają więcéj interesu do budowania magazynów. Ale w naszym kraju, w którym eksport w większych ilościach wodą głównie się odbywa, a młócka — chociażby dla zachowania paszy dla inwentarza — dokonywa się przez rok cały, u nas więc koleje mniéj są w budowaniu magazynów zainteresowane. Nowe przeto prawodawstwo może u nas znaleźć zastosowanie chyba na stacyach kolejowych, oddalonych od spławów, a leżących w centrach ruchu zbożowego. Żeby się je-

dnak interes magazynowy rozwinął obszerniéj, potrzebne byłyby elewatory, dokładna opieka, tak, aby przewidziane 3% straty w rzeczywistości zeszły do znacznie mniejszéj cyfry i żeby weszło w życie transportowanie zboża bez worków. Ten rodzaj transportów „luzem“ ma już miejsce na drodze Wiedeńskiéj, a zaczyna się praktykować na Nadwiślańskiéj i Iwangrodzkiéj, w sposobie zaś wyjątków zdarza się i na drogach południowo-zachodnich. Dopóki jednak nie będzie wprowadzone ważenie wagonów naładowanych, jak w Anglii, a to celem zabezpieczenia drogi od nadużyć nadwagi, osób zaś prywatnych od znacznego manco i dopóki opłaty za zamknięcie drzwi wagonu będą tak wysokie jak dziś (na drogach południowo-zachodnich np. za drzwi pobiera się 5 rubli, wówczas gdy wypożyczenie worków na wagon kosztuje nie wiele co więcéj, a mianowicie 6 rubli), dopóki nareszcie wypadki przewiercania dna wagonów i w ogóle kradzieży na różne sposoby nie zmniejszą się, dopóty transporta zboża luzem, a co za tém idzie, stosunki transportowo-magazynowe rozwinąć się u nas prawidłowo nie będą mogły.

* * *

Nowe przepisy o dostawach wojskowych, bezpośrednio przez rolników dokonywanych, są krokiem naprzód pod względem ekonomicznym, a to ze względu na korzyści intendentury z jednéj, a producentów z drugiéj strony. Miejmy nadzieję, że praktyka wprowadzi jeszcze w tym stosunku szereg uproszczeń, korzystnych dla stron obu. Podług nowych przepisów, producent, chcący się podjąć dostawy, powinien złożyć deklaracyę co do ceny, opis gatunku i wagi zboża i dostarczyć dowodu swéj odpowiedzialności pieniężnéj, *respective* złożyć kaucyę. Następnie, dopóki nie otrzyma na swą ofertę odpowiedzi—a odpowiedź taka, wobec przewidzianych sprawdzań i porównywań cen, nie może nastąpić wcześniéj jak po 6 tygodniach—ma producent ręce związane. A tymczasem mogą się zmieniać kilkakrotnie ceny, konjunktury handlowe. Producent może stracić zręczność dogodnéj sprzedaży prywatnéj, a po 6 tygodniach może się dowiedzieć że intendentura ofertę jego odrzuciła. W handlu zbożowym czas znaczy niezmiernie wiele. Spodziewać się więc należy, że praktyka wprowadzi z czasem w życie inny, uproszczony stosunek handlowy między producentem a intendenturą. Podobnie jak to bywa po większéj części zagranicą, dojdziemy zapewne i u nas do tego, że producenci będą składać intendenturze próby zboża i podawać cenę, intendentura zaś będzie dawać natychmiast odpowiedź czy przyjmuje ofertę, lub nie. Następnie oczywiście intendentura miałaby prawo sprawdzać czy przysłane zboże odpowiada pró-

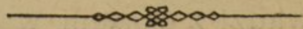
bie i, w razie różnicy, natychmiast zawiadamiałaby—tak jak to dziś robi kupiec zbożowy—producenta, że zboże pozostaje do jego dyspozycyi. Wogóle spodziewamy się z czasem przejścia od formalizmu biurowego do stosunku o charakterze więcéj handlowym. I tak np. dzisiejsza odstawa zboża do spichrza przez samego producenta, przy formalnościach co do dni, godzin i t. p. jest dla producenta ambarasująca i kosztowna. Wreszcie możeby, ze względu na charakter hurtowny zakupów przez intendenturę dokonywanych, najdogodniéj było wprowadzić za jednostkę ładunek wagonowy.

* * *

Mamy przed sobą szereg numerów — aż do N. 5961 z dnia 24 sierpnia — wydawnictwa londyńskiego „J. E. Beerbohm's Evening Corn Trade List“, stanowiącego powagę w kwestyi handlu zbożowego, mamy i Berliński „Markt-Bericht“ aż do dnia 25 sierpnia, mamy nareszcie obszerną relacyę o stanie rynków zbożowych ajenta rosyjskiego ministeryum finansów w Londynie z dnia 11 sierpnia r. b. Na mocy wieści z tych wszystkich źródeł zebranych, należy przyjść do wniosku, że, pomimo chwilowéj ciszy przez lepszą pogodę spowodowanych, mamy wszelką zasadę do liczenia na dość znaczną zwyżkę cen pszenicy. Na Zachodzie Europy urodzaje wogóle są niższe od cyfry przeciętnéj,—Stany Zjednoczone, które głównie ciążyły w ostatnich latach nad naszymi rynkami, liczą na 87% normalnego urodzaju a zapasy zeszłoroczne mają nieznaczne, Indye Wschodnie spodziewają się wprawdzie urodzaju bardzo dobrego, ale zapasy zeszłoroczne zupełnie mają wyczerpane. To też relacya ajenta ministeryum głosi w konkluzyi: „wszystkie nadzieje i cała uwaga tu (tj. w Londynie) zwrócona obecnie na Rosyę, która znowu zajmie rolę głównego spichrza Europy.“

Z drugiéj strony z jarmarku Niżegrodzkiego otrzymujemy pomyślne dla naszych fabrykantów wiadomości. Ruch wogóle bardzo ożywiony i nasze wyroby idą raźnie. Może też trochę chociaż wybrniemy z panującego od kilku lat w naszych stosunkach rolnych, przemysłowych i handlowych kryzysu ekonomicznego.

(—X—)







NEKROLOGIA.

† Dnia 21-go czerwca r. b. w Dowborowie (w powiecie Wilejskim) zakończył życie **Jerzy Laskarys**, poeta. Urodzony w Wilnie 1828 roku, odbywał nauki najprzód w tamtejszym instytucie szlacheckim, a potém w uniwersytecie w Petersburgu. Drukował mnóstwo artykułów i utworów poetycznych po rozmaitych czasopismach. Osobno wyszły: „Kartki z życia“ (1856),—„Ludzie prości“ (1858),— „Pięć hymnów“ (1858), — „Rarogi“ (1860 i 1861); opracował nadto dla młodzieży „Pamiętniki Paska“ i Rzewuskiego „Pamiątki starego szlachcica.“ W rękopisach pozostały po nim: przeróbka „Wojny Chocimskiéj“ Wacł. Potockiego i poemat „Jontek.“

† Ksiądz **Ignacy Polkowski**, urodzony 6-go marca 1833 we wsi Zdunach, w Królestwie, po ukończeniu nauk w akademii duchownéj warszawskiéj, sprawował różne urzędy kościelne; następnie przeniósł się w Poznańskie, gdzie rozwinął żywą działalność literacko-naukową. Jego staraniom i zabiegom przypisać należy 400-letnią uroczystość urodzin M. Kopernika, obchodzoną w r. 1872, a uświęconą wydawnictwem albumu pamiątkowego. Temiż czasy wydał on „Coperniciana“, to jest zbiór materyałów, dotyczących osoby naszego astronoma, dalej „Groby i pamiątki polskie w Rzymie“, i „Bydgoszcz—kilka wspomnień o zamku i mieście“, nakoniec wielką księgę, zawierającą opis i dzieje „Katedry Gnieźnieńskiéj“ oraz znajdujących się w niéj zabytków przeszłości. Przeniósłszy się następnie do Krakowa, pracował wytrwale w tymże kierunku i ogłosił znaczną liczbę prac większych i mniejszych. Do najważniejszych należą: „Katalog rękopisów kapitulnych katedry krakowskiéj“, który wydrukowała Akademia umiejętności w roku 1884, „Mapa dyecezyi krakowskiéj“ (1886 r.), „Wywody o początku katedry na Wawelu“ (1887), „Dwieście najstarszych inkunabułów, z biblioteki kapitulnéj krakowskiéj“ (1887), „Sprawy wojenne króla Stefana Batorego. Dyaryusze, relacye, listy i akta do lat 1576—1586“

(1887 r.), wreszcie „Spadek po prymasie, arcybiskupie gnieźnieńskim a biskupie krakowskim Piotrze Gamracie“ (1888 r.). — Ksiądz Polkowski zmarł w Krakowie 26 sierpnia r. b.

† **Alfred Brandowski**, były profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, urodzony 1835 r. w Wilkowéj, w Poznańskiém, zmarły w Krakowie w początkach miesiąca lipca r. b. — uprawiał jako pedagog i jako pisarz nauki filologiczne. Z prac jego przytaczamy tu: „De Stanislai Oxii Orichovii annalibus Comment.“ (1861),—„Wykład budowy wierszów Owidyusza, Wirgilego i Horacego“ (1868),— „O pomysłach lechickich p. Aug. Bielowskiego“ (1868),— „Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364“ (1874),— „Filozofia Seneki pana Kruczkiewicza rozebrał B.“ (1875), — „O łacinie Mikołaja Kopernika“ (1878), — „O różnicy, która zachodziła w złotym wieku literatury rzymskiéj między łacińskim językiem gminnym a poprawnym czyli klassycznym“ (1880). Wydał nadto kronikę mistrza Wincentego Kadłubka, według rękopisów znajdujących się w bibliotece Jagiellońskiéj.

† **Józef Bełza**, przyrodnik, urodził się r. 1805 w Kaliskiém we wsi Masłowicach. Od r. 1827 do 1830 był adjunktem pracowni chemicznéj w uniwersytecie aleksandryjskim w Warszawie. Wydał „Chemią policyjno-prawną“, — „Dodatek do chemii“, — „Krótki rys chemii“, — „O wyrabianiu cukru z buraków“, — „Rys życia Armińskiego“ i „Zasady technologii.“ Pomieszczał nadto liczne prace w pismach czasowych. Zmarł 24 lipca r. b. w Warszawie.

† W dniu 9-go sierpnia r. b. pochowano na cmentarzu Powązkowskim zwłoki **Leona Myszkowskiego**, urodzonego w roku 1831. Rzeźbiarz z powołania i zawodu, oddawał się zarazem sztuce muzycznéj, a niektóre jego kompozycye były ogłoszone drukiem. Pozostawił pracę literacką: „Życiorysy rzeźbiarzy polskich bieżącego wieku.“

† **Stanisław Wędrychowski**, niegdyś wydawca „Gazety anonsowéj“, zmarł w początku miesiąca sierpnia r. b. w Warszawie.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.